

Erich Segal

Doktorzy

Przełożyła: Maria Straszewska-Hallab

Dla Karen i Franceski

“Fundamentalną podstawą medycyny jest miłość”.

Paracelsus (1493-1541)

Wielka sztuka chirurgii

“Nadaliśmy lekarzom status bogów i czcimy jak bóstwa, oddając im nasze ciała i dusze, nie mówiąc już o innych dobrach tego świata. A jednak - paradoksalnie - są to najbardziej podatni na ciosy i najwrażliwsi z ludzi. Statystycznie liczba samobójstw wśród nich jest ośmiokrotnie większa niż średnia krajowa. Procentowo rzecz ujmując, nadużywanie leków i narkotyków jest stukrotnie większe aniżeli wśród reszty populacji.

Boleśnie zdają sobie sprawę z tego, że nie są w stanie spełnić naszych oczekiwań i to zwiększa jeszcze niepomiernie ich frustracje.

Adekwatnie nazywa się ich przeto «okaleczonymi uzdrowicielami»”.

Dr Barney Livingston, *Doktorzy*

“Stany Zjednoczone tracą rocznie równowartość siedmiu klas absolwentów szkół medycznych na skutek różnych nałogów, alkoholizmu i samobójstw wśród lekarzy”.

Dr David Hilfiker, *Leczenie ran*

Wstęp

Poza jednym wyjątkiem, wszyscy bohaterowie tej książki są biali i w większości, z wyjątkiem pięciu kobiet, są mężczyznami.

Niektórzy zaliczali się do wybitnych, niemal do geniuszy. Inni byli geniuszami na skraju szaleństwa. Jeden z nich grał na wiolonczeli i miał nawet recital w Carnegie Hall, a inny grał zawodowo w koszykówkę. Sześciu pisało powieści, dwie właśnie opublikowano. Jest wśród nich niedoszły ksiądz oraz absolwent prawa. A wszyscy bez wyjątku byli początkowo śmiertelnie przerażeni studiami.

Tego słonecznego wrześniowego poranka 1958 roku połączył ich status studentów pierwszego roku Harwardzkiej Szkoły Medycznej. Zebrali się w sali "D", aby wysłuchać powitalnego przemówienia dziekana Courtneya Holmesa.

Rysy jego twarzy mogły pochodzić prosto z rzymskiej monety. Całą swą postawą sprawiał natomiast wrażenie, że urodził się ze złotym zegarkiem i łańcuszkiem za pasem zamiast pępownicy.

Nie musiał nikogo uciszać. Uśmiechnął się tylko i widzowie natychmiast umilkli.

- Panowie - zaczął. - Rozpoczynacie oto wspólnie wielką podróż do granic medycznej wiedzy, gdzie zaczniecie swoje własne, indywidualne badania i eksploracje tego jeszcze nie odkrytego w pełni i nie nakreślonego do końca terytorium cierpienia i choroby. Ktoś z was, siedzących tu teraz na sali, wynajdzie być może lekarstwo na białaczkę, cukrzycę, liszaja rumieniowatego lub wielogłową hydrę nowotworów...

Przerwał na chwilę dla uzyskania odpowiednio dramatycznego efektu, a potem z błyskiem w bladoniebieskich oczach dodał:

- A może nawet lekarstwo na zwykłą gripę.

Roześmiali się z uznaniem.

Srebrnowłosy dziekan pochylił głowę, być może w zamyśleniu. Studenci czekali w napięciu. W końcu spojrział na nich i odezwał się głosem o oktawę niższym:

- Pozwólcie, że zakończę, zdradzając wam pewien sekret - równie upokarzający dla mnie, jak i dla was.

Odwrócił się i napisał coś na tablicy.

Dwie proste cyfry - liczbę dwadzieścia sześć. Na sali rozległy się pomruki zdziwienia.

Holmes odczekał, aż nastanie cisza, zaczerpnął powietrza, a potem popatrzył prosto na zahipnotyzowane audytorium.

- Panowie, zakonotujcie to sobie dobrze w pamięci - istnieją tysiące chorób na tym świecie, jednakże medycyna potrafi empirycznie wyleczyć tylko dwadzieścia sześć z nich. Reszta... jest czystą zgadywanką.

I to było wszystko.

Wyprostowany niczym żołnierz zszedł z gracją atlety z podium i wyszedł z sali.

Tłum zaniemówił z oszołomienia.

Część pierwsza

NIEWINNOŚĆ

Wkraczają w ten nowy świat nadzy
zimni, niepewni wszystkiego
poza tym, że w niego wkraczają...

Cisza - wraz z nagą godnością wejścia
zachodzi w nich zmiana - zakorzeni, i
zaciskają ręce i zaczynają się budzić.

William Carlos Williams (1883-1963)

Pediatra i poeta

Rozdział I

Barney Livingston był pierwszym chłopcem z Brooklynu, który zobaczył Laurę Castellano nago.

Pewnego sierpniowego poranka w tym samym roku, w którym przekroczył piąty rok życia, zawędrował do tylnego ogrodu, gdzie powitał go jakiś nieznany głos.

- Cześć!

Spojrzał w stronę sąsiedniego domu. Zza płotu wyglądała mała jasnowłosa dziewczynka. Poczuł nagle uczucie tęsknoty za poprzednimi mieszkańcami tamtego domu, a zwłaszcza za Murrayem, wyśmienitym piłkarzem. Tymczasem ci nowi - z tego, co słyszał - nawet nie mieli syna.

Barney zdziwił się zatem, kiedy po przedstawieniu się Laura zaproponowała grę w piłkę. Wzruszył niezdecydowanie ramionami na znak zgody i poszedł do domu po swoją Spauldeen.

Kiedy po chwili wrócił z małą, gumową piłką, różową niczym guma do żucia Bazooka, Laura stała już na środku ich ogrodu.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał.

- Wdrapałam się na płot - wyjaśniła nonszalancko. - No a teraz, *vámonos*, podaj mi wysoką.

Wyprowadziło to trochę Barniego z równowagi. Nic więc dziwnego, że niezdarnie podał jej piłkę. Laura złapała ją jednak zręcznie i odrzuciła sprawnie z powrotem. Zaniepokoił go fakt, że Murray miał siedem lat i nadal potrzebował pomocy w pokonywaniu płotu, który Laura przeskoczyła najwidoczniej z łatwością.

Pół godziny później Barney doszedł do wniosku, że Laura całkiem zadowolająco mogła zastąpić Murraya. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów z naklejką "Lucky Stripe". Zaproponował jej jednego.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Tato mówi, że mam alergię na czekoladę.

- A co to jest alergia?

- Nie jestem pewna - przyznała. - Najlepiej zapytajmy o to *papacito*. On jest doktorem.

Nagle wpadła na pomysł. - Hej, a może zabawilibyśmy się tak w doktora i pacjenta?

- A na czym to polega?

- Najpierw ja przebadam ciebie, a potem ty mnie.

- To trochę nudne.
- Będziemy musieli się rozebrać.
- Tak? - To mogło być nawet całkiem interesujące.

Godziny przyjęć odbyły się pod sędziwym dębem w najodleglejszym kącie ogrodu Livingstonów. Laura kazała mu ściągnąć pasiasty podkoszulek, pragnąc sprawdzić stan klatki piersiowej pacjenta. Posłużyła się przy tym wymyślnym stetoskopem.

- A teraz ściągnij spodnie.
- Ale po co?
- Nie psuj zabawy, Barney.

Z pewną niechęcią zdjął niebieskie spodnie i stanął przed nią w majtkach, czując się coraz bardziej niepewnie i głupio.

- To też ściągnij - rozkazała młoda lekarka.

Barney spojrzał ukradkiem za siebie, sprawdzając, czy nikt go przypadkiem nie obserwował z domu, po czym ściągnął resztę swego odzienia.

Laura obejrzała go dokładnie, zwracając szczególną uwagę na drobny wisiołek pomiędzy jego nogami.

- To moja sikawka - wyjaśnił z nutką dumy w głosie.
- Wygląda mi to raczej na prącie - odpowiedziała z kliniczną obojętnością. - W każdym razie jesteś w porządku. Możesz się ubrać.

Posłuchał skwapliwie, a ona spytała: - Może zabawimy się teraz w coś innego?

- Nie, to niesprawiedliwe. Teraz moja kolej być doktorem.
- No dobrze.

Rozebrała się prędko do naga.

- Och, Lauro, co się stało z twoim... no wiesz...
- Ja nie mam takiego - odpowiedziała ze smutkiem.
- O rany, a dlaczego?

W tym momencie czyjś przenikliwy głos przerwał konsultację.

- Baaarney, gdzie jesteś?

W tylnych drzwiach domu pojawiła się matka. Pospiesznie wymówił się i wyjrzał zza pnia.

- Tutaj jestem, mamo.
- A co ty tam robisz?
- Nic, bawię się z kimś.

- Z kim?

- Z dziewczynką z sąsiedniego domu, której na imię Laura.

- Ach, to ta nowa rodzina. Zapytaj ją, czy ma ochotę na ciasteczka i mleko.

Zza drzewa wyłoniła się figlarna twarz. - A jakie ciastka? - zapytała wesoło Laura.

- Herbatniki - odpowiedziała z uśmiechem pani Livingston. - Prawie takie słodkie jak ty.

Rajem ich dzieciństwa był gwarny Brooklyn, pełen radosnego jazgotu tramwajów, zlewającego się z brzęczeniem dzwonek na zabawnie wymalowanym samochodzie sprzedawcy mrożonych smakołyków. Lecz przede wszystkim pełen śmiechu dzieci grających w palanta, w piłkę lub hokeja na wrotkach, wprost na ulicy.

Brooklyńscy Dodgersi nie stanowili wówczas tylko zwykłej drużyny baseballowej, lecz byli dla wszystkich zespołem prawdziwych bohaterów. W ataku grał tam wtedy niejaki Duke, Pee Wee i Peacher. Mieli wśród siebie nawet faceta, który potrafił biegać szybciej, aniżeli dało się wymówić jego imię - Jacka Robinsona.

Oddaliby życie i serca za Brooklyn.

No i co z tego, że nigdy nie udało im się pobić nowojorskich Jankesów*?

A w każdym razie nie w 1942 roku. Wtedy bowiem Amerykanie walczyli na trzech innych frontach - w Europie przeciwko hitlerowcom, na Pacyfiku przeciwko hordom Tojo i u siebie przeciwko OPA. Była to instytucja ustanowiona przez prezydenta Roosevelta J w celu racjonowania cywilnych dostaw najistotniejszych artykułów, aby w ten sposób zapewnić wszystko co najlepsze dla wojska.

I tak, kiedy marszałek Montgomery przystąpił do bitwy z Rommlem pod El Alamein, a generał Jimmy Doolittle bombardował Tokio, Estelle Livingston walczyła w Brooklynie o zdobycie dodatkowych znaczków na mięso, dla zapewnienia swoim synom zdrowia, prawidłowego wzrostu i rozwoju.

Mąż jej, Harold, został powołany do wojska rok wcześniej. Był nauczycielem łaciny w szkole średniej i przebywał teraz w bazie wojskowej w Kalifornii, ucząc się tam japońskiego. Rodzinie mógł tylko powiedzieć, że był w czymś, co nazywało się "wywiadem". To całkiem zrozumiałe, tłumaczyła swoim małym synom Estelle, gdyż tatuś miał ogromnie dużo wiadomości.

* Jankesi - drużyna baseballowa. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)

Z jakiegoś niewiadomego powodu ojca Laury, doktora Luisa Castellano, w ogóle nie powołano do wojska.

- Jaka jest ta Laura, Barney? - zapytała Estelle, usiłując nakłonić młodszego syna do połknięcia następnej porcji owsianki.

- Jak na dziewczynę jest całkiem w porządku. Potrafi nawet grać w piłkę. Tylko mówi tak jakoś śmiesznie.

- To dlatego, że państwo Castellanowie pochodzą z Hiszpanii, mój drogi. Musieli stamtąd uciekać.

- A dlaczego?

- Dlatego, że nie podobali się złym ludziom, którzy nazywają się faszystami. To właśnie z tego powodu wasz tatuś jest w wojsku. Żeby walczyć z faszystami.

- A czy tatuś ma karabin?

- Nie wiem. Ale jestem pewna, że jeśli będzie mu potrzebny, to prezydent Roosevelt dopilnuje, żeby go dostał.

- To dobrze. Wtedy będzie mógł zastrzelić tych wszystkich złych ludzi w prącie.

Estelle, z zawodu bibliotekarka, zawsze popierała wzbogacanie słownictwa syna, tym razem jednak ten jego nowy werbalny nabytek zupełnie ją zaskoczył.

- Kto ci opowiadał o prąciach, kochanie? - spytała, siłąc się na naturalność.

- Laura. Jej ojciec jest lekarzem. Ale ona nie ma prącia.

- Co takiego, kochanie?

- Laura nie ma prącia. Z początku jej nie wierzyłem, ale mi pokazała.

Estelle zaniemówiła. Pomieszała tylko owsiankę młodszego syna, zastanawiając się, co Barney już wiedział, a czego jeszcze nie.

Z czasem Barney i Laura przeszli do lepszych zabaw. Bawili się na przykład w kowbojów i Indian, amerykańskich GI* i szwabów albo japońców, sprawiedliwie zamieniając się rolami i odgrywając każdego dnia to jednych, to drugich.

Minął rok. Wojska alianckie wkroczyły do Włoch, a jankesi na Pacyfiku odbijali Wyspy Salomona. Kiedyś późno w nocy brat Barniego, Warren, obudził się z płaczem i ponad czterdziestostopniową gorączką. Obawiając się najgorszego, owej przerażającej letniej plagi - dziecięcego paralizu - Estelle zwinęła prędko spoconego chłopca w kąpielowy ręcznik i zaniósła na schody domu doktora Castellano. Przerażony i zmieszany Barney podążył o krok za nią.

Luis nie spał jeszcze i czytał jakieś medyczne czasopisma. Pospiesznie umył ręce przed rozpoczęciem badania. Jego wielkie, owłosione dłonie były zadziwiająco szybkie i delikatne. Barney przyglądał się z podziwem, jak doktor zaglądał Warrenowi do gardła, a potem osłuchiwał mu klatkę piersiową, usiłując jednocześnie uspokoić chore dziecko.

- Spokojnie - szeptał - tylko oddychaj, wdech, wydech, dobrze *niño*?

Tymczasem Inez Castellano pobiegła po zimną wodę i gąbkę. Estelle zaniemówiła ze strachu. Barney wtulił się w fałdy jej kwiecistego szlafroka. W końcu odważyła się zapytać.

- Czy to, no wie pan...?

- *Cálmate*, Estelle, to nie polio. Popatrz na tę płonicopodobną : wysypkę na jego piersiach, a zwłaszcza na te powiększone czerwone brodawki na języku. Nazywamy to "truskawkowym językiem". Chłopiec ma tylko szkarlatynę.

- Ale to też jest poważne, prawda?

- Owszem. Ktoś musi mu przepisać jakieś sulfonamidowe tabletki, takie jak *prontosil*.

- A czy pan nie mógłby tego zrobić?

Luis odparł, zaciskając zęby: - Nie wolno mi wypisywać recept. Nie mam zezwolenia na praktykę w tym kraju. No cóż, *vámonos*, Barney niech tu zostanie, a my tymczasem weźmiemy taksówkę do szpitala.

W taksówce Luis trzymał Warrena na rękach, ocierając mu szyję i czoło gąbką. Jego pewność siebie uspokoiła Estelle, choć nadal dziwiło ją to, co jej powiedział.

- Ależ, Luis, myślałam, że ty jesteś lekarzem. Przecież pracujesz w szpitalu, prawda?

- W laboratorium. Robię badania krwi i moczu. - Umilkł i po chwili dodał: - W moim kraju byłem lekarzem. I sądzę, że całkiem niezłym. Pięć lat temu, kiedy tu przyjechaliśmy, uczyłem się angielskiego jak wariat. Przestudiowałem od nowa wszystkie podręczniki, pozdawałem egzaminy, ale Urząd Stanu odmówił mi licencji. Najwidoczniej nadal jestem dla nich niebezpiecznym cudzoziemcem. W Hiszpanii należałem bowiem do niewłaściwej partii.

- Ale przecież walczyłeś przeciwko faszystom.

- Tak, ale byłem socjalistą - coś równie *sospechoso* w Ameryce.

- Ależ to skandal.

* GI - nazwa amerykańskich żołnierzy.

- *Bueno*, mogło być gorzej.
- Nie rozumiem?
- Mogli mnie złapać żołnierze Franco.

W szpitalu natychmiast potwierdzono diagnozę Luisa i podano Warrenowi zasugerowane przez niego lekarstwo. Dla obniżenia temperatury dziecka pielęgniarki wymyły go nasączonymi w alkoholu gąbkami. Po piątej nad ranem orzeczono, że można go zabrać do domu. Luis odprowadził Estelle z chłopcem do taksówki.

- Nie jedziesz z nami? - spytała.

- Nie. *No vale la pena*. Mam być w laboratorium o siódmej. Zostanę tutaj i spróbuję się zdrzemnąć w dyżurce.

- Jak to się stało, że jestem u siebie w łóżku, mamusiu?

- Wróciliśmy do domu bardzo późno, kochanie. Spałeś już wtedy u Castellanów na kanapie, więc razem z Inez przeniosłyśmy cię i Warrena do naszego domu.

- Czy Warren ma się już dobrze? - zapytał Barney, który jeszcze nie widział brata.

Estelle skinęła głową. - Dzięki Bogu za doktora Castellano. Mamy szczęście, że jest naszym sąsiadem.

Przez ułamek sekundy Barney poczuł ukłucie zazdrości. Ojciec Laury był w domu. Czasami tęsknił za swoim tatą tak bardzo, że aż go to bolało.

Żywo utkwiał mu w pamięci dzień, w którym wyjechał. Harold podniósł go wówczas do góry i przytulił do siebie mocno, aż poczuł w jego oddechu zapach papierosowego dymu. Teraz, nawet na widok kogoś zapalającego papierosa, czuł się samotny.

Miał jednak za to coś na pocieszenie - małą prostokątną chorągiewkę z niebieską gwiazdą na białym tle z czerwonym brzegiem, która wisiała dumnie przed frontowym oknem domu Livingstonów. Oznajmiała wszystkim przechodniom, że członek ich rodziny walczył gdzieś daleko za ojczyznę. Niektóre domy miały chorągiewki z dwoma, a czasem nawet i trzema gwiazdami.

Pewnego grudniowego wieczoru, kiedy bracia wracali z cukierni ze słodkimi bułeczkami za piątaka, Warren zauważył coś dziwnego w oknie pani i pana Cahn - flagę, na której widniała złota gwiazda.

- Mamo, a dlaczego ich jest taka ładna? - skarżył się Warren przy obiedzie.

Estelle zawahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała cicho:

- Ponieważ ich syn... był wyjątkowo odważny.

- Czy nasz tatuś też zdobędzie kiedyś taką gwiazdę?

Estelle poczuła, że blednie na twarzy, lecz mimo to starała się odpowiedzieć spokojnie. - W tych sprawach nigdy nic nie wiadomo, kochanie. A teraz proszę jeść te brokuły.

Kiedy kładła chłopców do łóżka, uderzyło ją nagle, że w trakcie całej tej rozmowy Barney siedział cicho. Czyżby rozumiał, że Arthur, jedyny syn państwa Cahnów, został zabity w akcji?

Później siedząc samotnie przy kuchennym stole i udając, że Postum, które piła, było prawdziwą brazylijską kawą, powtarzała sobie liczne zapewnienia Harolda, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. (Do tłumaczy się nie strzela, kochanie.) Ale czyż przepisy bezpieczeństwa nie zabraniały mu ujawnić nawet tego, gdzie jest i co robi? Jeszcze nie było takiego dnia, żeby któraś z rodzin w Brooklynie nie otrzymała jednego z tych strasznych telegramów.

I wówczas usłyszała głos starszego syna. Brzmiał czule i pocieszająco.

- Nie martw się, mamó. On wróci.

Stał w swojej piżamce z Myszka Miki i mimo że miał zaledwie sześć i pół roku, już przejmował inicjatywę, usiłując pocieszyć matkę. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Skąd wiedziałeś, o czym myślałam? - spytała.

- Wszyscy w szkole wiedzą o Artiem Cahnem. Widziałem nawet, jak jedna z nauczycielek płakała. Nic nie mówiłem, bo nie chciałem przestraszyć Warrena. Ale tacie na pewno nic się nie stanie. Przyrzekam ci.

- Skąd jesteś taki pewny? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał. - Ale kiedy się martwisz, to jesteś taka smutna.

- Masz rację, Barney - powiedziała, przytulając go mocno do siebie.

W tym momencie jej pocieszyciel nagle zmienił temat.

- Czy mogę wziąć sobie ciastko, mamusi?

Rok 1944 obfitował w budujące prasowe nagłówki. Wyzwolono Paryż i Rzym, a po jakimś czasie, gdy Amerykanie odbili Guam, F.D. Roosevelt został w sposób bezprecedensowy wybrany w czwartej kadencji. Harold Livingston zadzwonił z Kalifornii do rodziny, aby im oznajmić, że wysyłano go za granicę. Nie mógł jednak

sprecyzować gdzie. Powiedział tylko, że będzie pomagać w przesłuchaniach japońskich jeńców wojennych. Następną wiadomość od niego dostaną przez pocztę V - te ledwie czytelne, miniaturowe listy sfotografowane na mikrofilmie i odbite potem na szarym, śliskim papierze.

Rok ten był również kamieniem milowym w życiu Luisa Castellano. Stanowy Urząd Medyczny cofnął swoją decyzję i oznajmił, że hiszpański uchodźca nadaje się do praktykowania medycyny w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Mimo zadowolenia i pewnej satysfakcji, Luis zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nie poruszyły ich wcale jego kwalifikacje, lecz raczej to, że wszyscy sprawni fizycznie lekarze zostali powołani do wojska. Oboje z Inez prędko przerobili frontową sypialnię na parterze, na gabinet. Bank udzielił mu pożyczki na zakup aparatu rentgenowskiego.

- Na co to, *papacito*? - zapytała ojca trzyletnia Isobel, gdy czwórka młodych widzów przyglądała się instalowaniu maszyny.

- Ja wiem! - zgłosił się na ochotnika Barney. - To jest do patrzenia wewnątrz ludzi, prawda, doktorze Castellano?

- Masz rację, mój chłopcze - przyznał Luis, poklepując Barniego po głowie. - Ale dobrzy lekarze mają inną maszynę do oglądania wnętrza pacjentów. - Wskazał palcem na swoje skronie. - Mózg jest ciągle jeszcze najlepszym narzędziem diagnostycznym człowieka.

Reputacja i praktyka Luisa rosły szybko. Szpital King's County zaoferował mu pewne przywileje i usługi. Mógł teraz wysyłać próbki do laboratorium, w którym kiedyś szorował próbówki.

Niekiedy pozwalano dzieciom na zwiedzanie tego medycznego przybytku. Barney i Laura mogli nawet dotykać instrumentów i zaglądać do uszu młodszego rodzeństwa za pomocą wziernika usznego, pod warunkiem, że potem pozwolą Warrenowi i Isobel osłuchać swoje klatki piersiowe przez stetoskop.

Stali się nieomal jedną rodziną. Estelle Livingston była za to szczególnie wdzięczna. Jediną rodziną, jaką miała, była jej matka, która w razie braku innych opiekunów do dzieci przyjeżdżała kolejką podziemną z Queens, aby przypilnować Warreną, kiedy Estelle pracowała w bibliotece.

Wiedziała jednak, że chłopcy potrzebowali męskiego wzorca w życiu i rozumiała, dlaczego Barney i Warren tak uwielbiali tego szorstkiego,

niedźwiedziowatego lekarza. Ze swojej zaś strony Luis zdawał się cieszyć ze zdobycia dwóch “synów”.

Estelle i Inez bardzo się zaprzyjaźniły. W każdy wtorek wieczorem odbywały razem straż przeciwlotniczą, w trakcie której patrolowały ciche, ciemne ulice, pilnując, żeby wszyscy wygasili światła. Od czasu do czasu wypatrywały na niebie śladów nieprzyjacielskich bombowców. Miękka ciemność działała uspokajająco na Inez i pozwalała jej swobodniej wyrażać swoje myśli.

Pewnego razu Estelle zapytała zdawkowo, czy nie przeszkadzał jej brak snu. Zaskoczyła ją odpowiedź Inez.

- Nie. Przypomina mi to stare, dobre czasy. Brakuje mi tylko karabinu.

- Czy ty też walczyłaś?

- Tak, *amiga*. I wcale nie byłam jedyną kobietą. Dlatego że Franco miał za sobą nie tylko hiszpańskie wojsko, ale i *regulares* - najemników z Maroko, którym płacił za brudną robotę. Nasza jedyna nadzieja leżała w ataku i ucieczce. Ale tych rzeźników było i tak za dużo. I z dumą przyznaję się, że kilku z nich zabiłam.

Nagle zorientowała się, że zaskoczyła tym przyjaciółkę.

- Zrozum - ciągnęła - ci dranie mordowali dzieci.

- Rozumiem cię - odpowiedziała niepewnie Estelle, usiłując pogodzić się z myślą, że ta cicha kobieta u jej boku zabiła człowieka.

Jak na ironię, oboje rodzice Inez nie tylko zagorzale popierali Franco, ale również organizację Opus Dei, Kościół wewnątrz Kościoła, który obstawał za dyktatorem. Kiedy ich jedyna córka, zapalona socjalistycznym idealizmem, opuściła dom, żeby przyłączyć się do republikańskiego oddziału milicji, przeklęli ją i wydziedziczyli. - Nie miałam wówczas nikogo na świecie oprócz karabinu i sprawy. W pewnym sensie ta kula przyniosła mi szczęście.

Jaka kula? - zastanawiała się Estelle. Wkrótce jednak wszystko się wyjaśniło.

Podczas oblężenia Malagi Inez wraz z pół tuzinem innych lojalistów wpadła w zasadzkę w drodze do Puerta Real. Kiedy odzyskała przytomność, spoglądała na zarośniętą twarz młodego, tęgiego doktora, który przedstawił się jej jako “towarzysz Luis”.

- Już wtedy był osobowością. Naturalnie nie nosiliśmy mundurów, ale Luis robił, co mógł, żeby wyglądać na wieśniaka. - Roześmiała się. - Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek brakowało mu pracy. Było tylu rannych. W ciągu tych długich godzin nigdy nie stracił poczucia humoru. To wszystko, co mogliśmy ze sobą zabrać, kiedy

przyszło nam uciekać. Ledwo zdążyliśmy się przedostać do Francji, zamknięto granicę.

Zacząła się nauka i Barney z Laurą znaleźli się w tej samej trzeciej klasie w Szkole Podstawowej nr 148. Fakt, że byli teraz w grupie trzydziścioro innych dzieci, zbliżył ich jeszcze bardziej. Laura odkryła, że miała w Barniem cennego przyjaciela. Barney potrafił już bowiem czytać.

Jego rodziców zbliżyła do siebie wspólna miłość do książek. Od trzeciego roku życia uczyli go więc czytać na zmianę. W nagrodę czytali mu głośno opowiadania z *Mitologii Bullfincha* czy też wiersze z *Dziecięcego ogrodu poezji*. Strategia ta zaowocowała. Apetyt Barniego na książki był nieomal równie nienasycony jak jego zapotrzebowanie na waniliowe wafle. W rezultacie tego był w stanie, siedząc na frontowych schodach, wtajemniczać Laurę w zawiloci tak nieśmiertelnej klasyki, jak *Popatrz, biegnie Spot*.

W odpowiednim czasie Barney zaczął domagać się rewanżu. Na siódme urodziny matka podarowała mu zestaw do koszykówki wraz z tarczą, obręczą i prawdziwym koszem, który świszczwał przy każdym celnym strzale. W przeddzień uroczystego wieczoru Luis zaryzykował własne życie i członki, przybijając to wszystko do dębu Livingstonów na przepisowej wysokości trzech metrów.

Barney wydał dziki okrzyk radości i obwieścił:

- Lauro, musisz mi pomóc ćwiczyć, jesteś mi to winna.

W zakres tej pomocy miało wchodzić udawanie obrony przeciwnika oraz blokowanie strzałów Barniego do kosza. Ku jego zdziwieniu Laura okazała się w tym aż za dobra. Zaliczała prawie tyle samo koszów co on. I chociaż rósł jak na drożdżach, to ona ciągle była wyższa od niego.

Niemcy skapitulowali 7 maja 1945 roku i z końcem lata Japonia poddała się również. Nigdzie radość z tego powodu nie była tak duża, jak w domu Livingstonów na placu Lincolna. Barney, Warren i Estelle paradowali wokół kuchennego stołu, wyśpiewując "Kiedy tatuś przemaszeruje wreszcie z powrotem do domu". Nie widzieli go już ponad trzy lata.

Harold Livingston wrócił do domu. Ale wcale nie marszem. W rzeczywistości chód jego był powolny i niekiedy wręcz niepewny.

Estelle i obaj chłopcy, popychani i potrąceni nieustannie przez tłum innych żon i dzieci, czekali z zapartym tchem na przyjazd pociągu. Jeszcze zanim się zdążył zatrzymać, niektórzy GI skakali na peron i biegli pochyleni w stronę swych ukochanych.

Barney stał na czubkach palców. Nie zauważył jednak żadnego! żołnierza, który choć trochę przypominałby mu ojca, którego tyle razy widywał w snach.

Nagle matka krzyknęła cicho: - O tam! To on!

Pomachała w stronę kogoś stojącego daleko na końcu peronu, Barney popatrzył we wskazanym kierunku, ale nie zobaczył nikogo. To znaczy nikogo, kto by odpowiadał jego wspomnieniom o Haroldzie Livingstonie.

Zobaczył tam tylko zwyczajnego mężczyznę, typowych rozmiarów, z przerzedzonymi włosami na skroniach. Kogoś bladego, wychudzonego i zmęczonego.

Ona się myli - pomyślał. To nie może być tatuś. Na pewno nie.

Estelle nie mogła powstrzymać się dłużej. Krzyknęła: - Haroldzie! - i pobiegła do przodu, aby go objąć.

Barney stał w miejscu i patrzył. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że matka dawniej nigdy nie zostawiała ich samych.

- Czy to nasz tatuś? - zapytał mały Warren.

- Chyba tak - odpowiedział Barney, ciągle jeszcze trochę niepewny.

- Przecież mówiłeś, że jest większy od doktora Castellano.

Barney miał prawie ochotę powiedzieć, że tak mu się tylko zdawało.

Teraz znowu byli razem, we czwórkę. Estelle trzymała męża pod rękę.

- Barney, Warren, jak wyście urosli! - powiedział z dumą Harold Livingston, obejmując starszego syna. Barney rozpoznał znajomy zapach papierosowego dymu.

Mimo tłumu na zewnątrz, udało im się jakoś znaleźć taksówkę z bardzo patriotycznym kierowcą.

- Witaj w domu, żołnierzu! - oznajmił. - Ale pokazaliśmy tym szwabom, co? - triumfował taksówkarz.

- Mój mąż służył na Pacyfiku - poprawiła go dumnie Estelle.

- Och, szwaby, japonce - co to za różnica? To wszystko kupa cholernych zawszańców. Powiedz mężowi, że odwalił dobrą robotę.

- Czy udało ci się kogoś zabić? - zapytał z nadzieją w głosie Warren.

Harold odpowiedział wolno: - Nie, synu. Pomagałem tylko tłumaczyć, kiedy przesłuchiwalismy jeńców... - Głos uwiązał mu w gardle.

- Nie bądź pan taki skromny. Pozwól być dzieciakowi dumnym z ciebie. Mogę się założyć, byłeś na tyłu akcjach, że zasłużyłeś sobie na order. Bardzo ci się, bracie, dostało?

Barney i Warren popatrzyli na siebie z szeroko otwartymi oczyma, ale Harold szybko rozwiął wszelkie ich bohaterskie iluzje.

- To nie było nic takiego. Tylko pocisk artyleryjski, który upadł w pobliżu naszego namiotu. Przez jakiś czas byłem trochę rozklekotany, ale teraz już wróciłem do siebie. Powinienem ściągnąć te cholerne bandażę przed przyjazdem. Najważniejsze, że już wszyscy jesteśmy razem.

Protesty te upewniły Estelle w tym, co wyczuła już w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała go na peronie. Harold był bardzo chorym człowiekiem.

Luis Castellano czekał w oknie, kiedy przed dom Livingstonów zajechała taksówka. Momentalnie wyszedł z rodziną na ulicę i objął Harolda w niedźwiedzim uścisku. - Przez te wszystkie lata mówiłem do twojej fotografii na kominku! - wyjaśnił. - Czuję się tak, jakbyś był moim dawno zaginionym bratem!

Noc ta na zawsze utkwiała Barniemu w pamięci. Słyszał ich głosy, mimo że jego pokój znajdował się na drugim końcu korytarza.

Wydawało mu się, że matka ciągle płakała i głosem oscylującym pomiędzy gniewem a rozpaczą pytała nieustannie: - Czy możesz mi to wyjaśnić, Haroldzie? Co to znaczy "trzydziestoprocentowe inwalidztwo"?

Ojciec usiłował ją pocieszyć. - To nic takiego, kochanie. Zapewniam cię, że nie ma się o co martwić.

A potem nastąpiła cisza. Z sypialni rodziców nie dobiegały już żadne odgłosy. Barney patrzył w zamyśleniu na ich drzwi na drugim końcu korytarza.

Przy śniadaniu przyglądał się twarzom rodziców, ale nie mógł na nich wyczytać niczego, co mogłoby mu zdradzić tajemnicę poprzedniego wieczoru. Na widok matki, denerwującej się na kogoś zupełnie obcego, ogarnęły go dziwne, niezrozumiałe uczucia. Wyjął szedł wcześniej po Laurę, żeby mieli więcej czasu na rozmowę w drodze do szkoły.

Zwierzył jej się ze swoich obaw, gdy tylko zostali sami: - się. Nie wiem, ale mój ojciec jest jakiś inny. Wydaje mi się, że jest chory.

- Wiem o tym.

- Skąd wiesz?

- Jak tylko wróciliśmy wczoraj do domu, papa zabrał mamę dół swojego gabinetu i mówił jej o czymś, co nazywało się *neurosis de guerra*.

- Co to znaczy po angielsku? - zapytał zaniepokojony Barney.

- Barney, ja nawet nie wiem, co to znaczy po hiszpańsku - przyznała.

Tego popołudnia Estelle Livingston siedziała w wypożyczalni Grand Army Plaża, będącej jednym z oddziałów Brooklyńskiej Biblioteki Publicznej. Podniosła oczy i zobaczyła Barniego i Laureę. Przeszukiwali półki medycznych książek. Zaprosiła ich do siebie do biura na zaplecze, gdzie można było swobodnie porozmawiać.

- Proszę was, nie martwcie się - powiedziała, usiłując przybrać uspokajający ton. - On nie był ranny. To tylko łagodny przypadek wstrząsu psychicznego w następstwie wybuchu. Był bardzo blisko ogromnej eksplozji i po czymś takim nie wraca się do, siebie tak prędko. Ale w następnym semestrze już pójdzie z powrotem do pracy. Odetchnęła głęboko i zapytała: - Czy lepiej się teraz czujecie?

Dzieci skinęły w milczeniu głowami. A potem wyszły pospiesznie.

Zgodnie z obietnicą Estelle, Harold Livingston powrócił tej jesieni do swoich pedagogicznych obowiązków w Erasmus Hall. I tak jak niegdyś, uczniowie uważali, że jest czarujący i dowcipny. Potrafił ich nawet zainteresować *Wojną galijską* Cezara i robił wrażenie, że znał całą klasyczną literaturę na pamięć.

A mimo to zapominał czasami po drodze ze szkoły do domu o zakupach, nawet jeśli Estelle włożyła mu do wewnętrznej kieszeni marynarki ich listę.

Odkąd dostał swój koszykarski sprzęt, Barney marzył o dniu, w którym zagrają razem z ojcem w piłkę.

Podczas długiej nieobecności Harolda, Barney nieustannie domagał się od matki szczegółów dotyczących ojca i wypytywał ją o to, jaki był "za dawnych czasów". Pewnego razu Estelle wspominała lato przed jego urodzeniem. Byli wówczas nad jeziorem w Białych Górach i zupełnie przypadkowo w ich ośrodku wypoczynkowym odbywały się wtedy rozgrywki tenisowe dla gości.

- Harold postanowił spróbować, tak dla hecy. Był wspaniałym graczem za swoich uczelnianych czasów, chociaż naturalnie CCNY* nie miało wówczas drużyny tenisowej. W każdym razie, Harold pożyczył raketkę i powalcował na kort. A potem ni stąd, ni zowąd znalazł się w finałach! Pobił go dopiero instruktor wychowania fizycznego w miejscowej szkole, a i tak miał szczęście, że Harold nie był tego dnia w sosie. Powiedział mu wówczas, że gdyby traktował to poważnie, to mógłby zostać następnym Billem Tildenem. Wyobrażasz to sobie?

Barney nie miał pojęcia, kim był Bill Tilden, ale z pewnością mógł sobie wyobrazić mężczyznę z fotografii na kominku w białym tenisowym stroju, ścinającego w drobny pył małą piłeczkę. Tak często marzył o dniu, w którym pokaże ojcu własne sportowe umiejętności. I wreszcie przyszedł na to czas.

- Czy widziałeś tę tarczę, którą doktor Castellano zawiesił na drzewie? - zapytał ojca pewnej soboty niby od niechcienia, jakby w swojego rodzaju uwerturze.

- Tak - odpowiedział Harold. - Wygląda bardzo profesjonalnie.

- Czy chciałbyś może postrzelać ze mną i Warrenem do kosza?

Harold westchnął i odpowiedział cicho: - Nie sędzę, żebym mógł dotrzymać kroku takim dwóm dynamom jak wy. Ale wyjdę z wami i popatrzę.

Barney i Warren popędzili włożyć tenisówki, a potem podryblowali na "boisko".

Pragnąc pochwalić się swoją sprawnością przed ojcem, Barney zatrzymał się parę metrów przed koszem, podskoczył i strzelił w jego kierunku piłkę. Na swoje nieszczęście nie trafił. Obrócił się prędko i wyjaśnił: - To była tylko rozgrzewka, tatusiu.

Oparty o drzwi do ogrodu Harold Livingston skinął z uśmiechem głową i zaciągnął się głęboko papierosem.

Barney z Warrenem zdołali zatopić w koszu zaledwie kilka piłek (Dobre, zdecydowane rzuty, prawda, tato?), kiedy zza płotu dobiegł ich czyjś rozgniewany głos.

- Hej, co, u diabła, chłopaki? Dlaczego gracie beze mnie?

Do licha, to Laura. Po co ona się wtrąca?

- Przepraszam - bąknął Barney - ale dzisiaj gramy rzeczywiście ostro.

- Z kogo ty sobie żartujesz? - odparła. (Zdążyła już przeskoczyć przez płot.) - Potrafię się rozpychać łokciami równie dobrze jak ty.

* CCNY, City College of New York - Uniwersytet Nowojorski.

W tym momencie Harold zawołał: - Bądź grzeczny, Barney. Daj Laurze spróbować, skoro chce.

Spóźnił się jednak o ułamek sekundy. Laura zdążyła już bowiem odbić Barniemu piłkę i dryblowała z nią teraz obok Warrena, żeby zatopić ją w koszu na tarczy. Kiedy trzej gracze skończyli rzucać na zmianę do kosza, Laura zawołała: - Dlaczego nie zagra pan z nami, panie Livingston? Moglibyśmy zorganizować dwie drużyny.

- To miło z twojej strony, Lauro, ale jestem dzisiaj trochę skonany. Lepiej pójde się przespać.

Na twarzy Barniego pojawił się wyraz rozczarowania. Laura spojrzała na niego i natychmiast zrozumiała, co czuje. Odwrócił się wolno w jej stronę. Ich oczy się spotkały. Od tego momentu oboje wiedzieli, że potrafili czytać swoje myśli.

Za każdym razem, kiedy cały klan Livingstonów przychodził do sąsiadów na obiad, Barney podziwiał Luisa za jego umiejętność ożywiania Harolda, który stawał się przy nim niemal gadatliwy. Doktor był człowiekiem o falstaffowym wprost apetycie na wino, jedzenie, a przede wszystkim na wiedzę. Harolda pociągał ten nigdy nie kończący się strumień pytań, toteż zabawiał Luisa anegdotami z historii rzymskiej Hiszpanii, a zwłaszcza rewelacjami o tym, że niektórzy pisarze Imperium byli hiszpańskiego pochodzenia, tak jak na przykład Seneka, urodzony w Kordobie.

- Inez, czy ty to słyszałaś? Seneka był jednym z nas! Potem odwracał się do swojego nauczyciela i domagał się melodramatycznie: - A teraz, Haroldzie, gdybyś nam tak jeszcze mógł powiedzieć, że Szekspir był również Hiszpanem!

Laura lubiła słuchać, jak pan Livingston tłumaczył im, dlaczego ona, w przeciwieństwie do stereotypowych latyńskich *chiquitas*, miała jasne włosy. Rodzina ich przypuszczalnie miała celtyckich przodków, którzy zawędrowali kiedyś na Półwysep Iberyjski.

Kiedy obaj ojcowie przenieśli się do gabinetu Luisa, a matki do kuchni, Laura powiedziała Barniemu: - Och, uwielbiam twego ojca. On tyle wie.

Barney pokiwał głową i pomyślał sobie równocześnie: Tak, ale wołałbym, żeby częściej ze mną rozmawiał.

W każdą sobotę po południu mama i tato Barniego siadali nabożnie przed radiem, czekając, aż Milton Cross zaanonsuje swym miękkim głosem, jakie to wielkie

głosy z Opery Metropolitańskiej będą śpiewać tego dnia. Luis i Inez zabierali w tym czasie małą Isobel na spacer do parku.

Laura, Barney i Warren mogli zatem spędzać popołudnia w kinie Savoy (dwadzieścia pięć centów za wstęp plus piątaka na prażoną kukurydzę). Były to czasy, kiedy filmy nie były jedynie frywolną rozrywką, ale raczej moralną lekcją tego, jak dobrzy Amerykanie powinni żyć. Randolph Scott wjeżdżał więc dzielnie na białym koniu w *Terytorium złoczyńcy* w obronie dobra, a John Wayne *Wysoko w siodle* nieomal w pojedynkę ujarzmił Dziki Zachód.

W bardziej tropikalnej scenerii Johnny Weismiller jako Tarzan udowadniał każdemu dzieciakowi korzyści płynące z umiejętności pływania, zwłaszcza w rojących się od krokodyli wodach.

Jednakże ich najbardziej ulubionym bohaterem był Gary Cooper. Częściowo dlatego, że miał budowę mistrza koszykówki, a częściowo z tego powodu, że pomagał hiszpańskim partyzantom w *Komu bije dzwon*. Przede wszystkim kochali go jednak za to, że grał odważnego lekarza w *Historii doktora Wassella*. Kiedyś Laura i Barney wyszli z kina z załzawionymi oczyma po obejrzeniu dwóch kolejnych projekcji filmu i oboje doszli do wniosku, że był to najszlachetniejszy z zawodów. Mieli oczywiście pod nosem równie szacownego lekarza. Luis Castellano nie był może aż tak wysoki jak Cooper, ale na swój własny sposób stał się wzorem zarówno dla córki, jak i dla Barniego (który często marzył, żeby ich sąsiad został w jakiś sposób również i jego ojcem).

Ambicje Barniego pochlebiały Luisowi, lecz w przypadku córki odnosił się do nich pobłażliwie, jako do przelotnych fantazji. Był przekonany, że Laura wyrośnie z tej donkiszoterii, wyjdzie za mąż i będzie miała dużo *niños*.

Mylił się jednak.

Zwłaszcza po śmierci Isobel.

Rozdział II

Wszystko potoczyło się lotem letniej błyskawicy. Podobnie jak trzask piorunu - ból przyszedł dopiero później.

Heinemedina szalała tego roku. Anioł Śmierci kroczył po wszystkich ulicach miasta. Większość rodziców z Brooklynu, tych, których było na to stać, wysłało dzieci do bezpiecznych wiejskich miejscowości, takich jak Spring Yalley.

Estelle i Harold wynajęli na sierpień wypoczynkowy domek nad morzem w Jersey. Luis jednak upierał się, żeby zostać tam, gdzie był najbardziej potrzebny, a Inez z kolei nie chciała, żeby staczał tę walkę samotnie. Livingstonowie zaproponowali im, że wezmą ze sobą dziewczynki, a Luis obiecał, że oboje z Inez poważnie się nad tym zastanowią.

Być może zbyt był przejęty złośliwymi przypadkami polio, aby zauważyć, że jego młodsza córka wykazywała niektóre objawy tej choroby. Jakże mógł jednak przeoczyć, że gorączkowała i oddychała gwałtownie? Być może przyczyną było to, że dziewczynka nigdy właściwie nie powiedziała, że się źle czuje. Dopiero kiedy pewnego dnia znalazł ją nieprzytomną, zorientował się z przerażeniem, co się stało.

Było to zaburzenie oddechu i wirus atakował bezlitośnie górny odcinek rdzenia kręgowego. Isobel nie była już w stanie oddychać nawet z pomocą żelaznego płuca. Zmarła przed zachodem słońca.

Luis, przybity ciężarem samooskarżenia, wydawał się bliski obłędu. Był przecież lekarzem! Lekarzem! A mimo to, nie potrafił uratować nawet własnej córki!

Laura długo nie mogła zasnąć. Bała się, że jeśli zamknie oczy, to nigdy się nie obudzi. Barney dotrzymywał jej towarzystwa w tym całonocnym żałobnym czuwaniu. Siedziała w dusznym skwarze gościnnego pokoju, zraniona i obolała w środku.

W pewnym momencie szepnęła: - Lauro, to przecież nie twoja wina.

Zdawało się, że go nie słyszała. Oczy jej nadal patrzyły w nicłość.

- Zamknij się, Barney - odrzekła. - Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

W rzeczywistości jednak była mu wdzięczna. Odetchnęła z ulgą, ponieważ ujął w słowach dręczące ją poczucie winy za to, że żyła.

Tylko Estelle była w stanie zająć się przygotowaniami do pogrzebu. Przypuszczała, że Castellanowie zechcą sobie katolickiego obrzędu, więc skontaktowała się z ojcem Hennesseyem z kościoła św. Grzegorza. Jednakże kiedy

tylko oznajmiła im o tym, Luis krzyknął ze złością: - Tylko nie ksiądz, tylko nie ksiądz! Chyba że potrafi mi wyjaśnić, dlaczego Bóg zabrał nam naszą małą dziewczynkę!

Estelle posłusznie zadzwoniła do ojca Hennesseya i powiedziała mu, że jednak nie będzie potrzebny.

Potem przyszedł do nich Harold, usiłując wytłumaczyć, że należało coś na pogrzebie powiedzieć. Nie mogli przecież rozstać się ze swą córką bez słowa. Inez spojrzała na męża, wiedząc, że wszystko zależało od niego. Luis pochylił głowę i wymamrotał: - No dobrze, Haroldzie. Powiedz coś. Ty jesteś erudytą. Zabraniam ci jednak mówić cokolwiek o Bogu.

Obie rodziny patrzyły w bezlitosnym sierpniowym słońcu, jak spuszczano maleńką trumienkę do ziemi. Barney ujął Laurę za rękę. Ścisnęła go mocno, tak jakby mogło to powstrzymać jej łzy. I kiedy stali tak wokół grobu, Harold Livingston przeczytał parę linijek z wiersza Bena Jonsona o śmierci dzielnego hiszpańskiego dziecka.

Konwalia dnia

jest najpiękniejsza w maju.

Chociaż umiera po nocy,

pozostaje jednak kwiatem światła.

Piękno dostrzegane jest jeno w małych proporcjach.

I tylko na krótką miarę życie może być doskonałością.

Podniósł głowę znad książki i zapytał: - Czy ktoś chciałby jeszcze coś powiedzieć?

Z głębi duszy Luisa Castellano wyrwały się ledwie dosłyszalne słowa: - *Adios, niña.*

Pojechali do domu. Otworzyli wszystkie okna w samochodzie w nadziei, że powiew wiatru rozwieje tę ciężką, nieznośną atmosferę. Inez powtarzała cichym, żalonym głosem: - *Yo no sé que hacer.* Nie wiem doprawdy, co mam teraz robić!

Estelle usłyszała nagle swój głos: - Moja mama przyjechała dziś do nas z Queens. Przygotowuje teraz dla nas wszystkich kolację.

Jechali dalej w ciszy.

Kiedy przejeżdżali przez most Triborough, Luis Castellano zapytał przyjaciela: - Czy lubisz whisky, Haroldzie?

- No cóż, lubię. Oczywiście, że lubię.

- Mam dwie butelki. Dostałem je od jednego pacjenta na Gwiazdkę. W czasie wojny używaliśmy jej czasem zamiast środków znieczulających. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś się do mnie przyłączył, *amigo*.

Po powrocie do domu Laura nadal nie była w stanie zasnąć. Nie protestowała jednak, że Barney siedział wiernie tuż obok. Matka i Estelle zajęte były czymś na górze w pokoju Isobel. Może ściągały pościel? Albo pakowały jej rzeczy? A może po prostu tuliły do siebie jej lalki- tak jakby coś z jej żywego ducha ciągle jeszcze w nich tkwiło.

Od czasu do czasu dobiegały do niej nieomal dzikie odgłosy rozpacz i żalu Inez. W całym domu rozlegał się jednak przede wszystkim ochryply męski śmiech. Harold i Luis upijali się w gabinecie. Luis zachęcał głośno Harolda do zaśpiewania z nim dobrej starej pieśni - *Francisco Franco nos quiere gobernar*.

Barney bał się mimo woli. Nigdy jeszcze nie widział, żeby Luis i ojciec do tego stopnia stracili panowanie nad sobą.

- Chyba rzeczywiście wykończą te dwie butelki.

- Wszystko mi jedno - powiedziała Laura. Przerwała na chwilę, a potem dodała:
- Ciągle myślę tylko o tym, że byłam dla niej taka niedobra. W ostatnią niedzielę nakrzyczałam na nią i nazwałam ją głupim brzdącem. Pomyśl tylko - w ostatnią niedzielę!

Barney pochylił się i szepnął: - Skąd mogłaś wiedzieć?

I wtedy rozplakała się.

- Powinnam być za to ukarana. To ja powinnam umrzeć, a nie ona!

Barney wstał, podszedł do niej bez słowa i delikatnie położył jej na ramieniu rękę.

Przez całą resztę tego gorącego, dusznego lata Barney, Laura i Warren grali w nieskończoność w koszykówkę i tylko w soboty wychodzili razem do klimatyzowanego kina Savoy. Barney nie pamiętał, żeby Laura choć raz wymówiła imię siostry. Dopiero pierwszego dnia szkoły, kiedy szli we trójkę w stronę Szkoły Podstawowej nr 148, stwierdziła rzeczowo: - Isobel miała zacząć dziś pierwszą klasę.

- Aha - potwierdził Barney. Warren powtórzył za nim niczym echo: - Aha.

Śmierć dziecka nigdy nie jest końcem sama w sobie. Na zawsze pozostaje żywa w umysłach rodziców. Ból po takiej stracie zwiększa się zwykle tylko z upływem lat, gdy przy każdej kolejnej rocznicy urodzin przychodzą do głowy nowe, dręczące myśli. - W przyszłym tygodniu skończyłaby dziesięć lat. Na pewno spodobałby jej się ten cyrk...

W rzeczywistości więc Isobel nigdy nie opuściła domu Castellanów. Ból związany z jej nieobecnością był bowiem nieustannie obecny.

Laura obserwowała z coraz to większym niepokojem, jak jej rodzice rozchodzili się w dwóch różnych duchowych kierunkach, porzucając ją w pozbawionej miłości próżni. Każde z nich poszukiwało ulgi w modlitwie: Inez - o wieczność, a Luis - o zapomnienie.

Inez zaczęła swą pielgrzymkę ku nawróceniu przez ciągłe czytanie świętego Jana od Krzyża, mistycznego poety, który potrafił ująć w słowach to, co niewysłowione: - *Vivo sin vivir en mí*, czyli "Żyję, w rzeczywistości nie żyjąc" oraz *Muero porque no muero*, to znaczy "Umieram, nie umierając".

Kiedyś, jako młoda buntowniczka, odrzuciła Kościół za to, że popierał faszystów Franco, teraz jednak szukała schronienia w jego wszystko przebaczącym sanktuarium. Tylko on mógł bowiem wyjaśnić przyczynę śmierci jej córki. Miejscowy ksiądz gorliwie utwierdzał ją w przekonaniu, że zgrzeszyła przeciw Bogu i taka spotkała ją kara.

W pewnym sensie Luis również poszukiwał Boga, lecz tylko po to, aby stawić mu gniewnie czoło. Jak śmiałeś zabrać mi moją córeczkę? - pomstował w wyobraźni. A potem, kiedy nocne picie uwolniło go od pozostałych nielicznych zahamowań, krzyczał głośno, wymachując z dziką furią zaciśniętą pięścią na Wszechmogącego.

Jako doktor zawsze czuł się samotny pomimo pozorów pewności siebie, jakie przybierał, gdyż wiedział, że tego właśnie potrzebowali jego pacjenci. Teraz czuł się jednak jak rozbitek w pozbawionym jakiegokolwiek sensu życiu. Ból tego osamotnienia uśmierzały jedynie nocne dawki znieczulającego środka - alkoholu.

Nawet jeśli Castellanowie wychodzili w soboty na spacer do parku - on zamyślony, a ona milcząca - to łączyła ich jedynie wspólna izolacja. Nic więc dziwnego, że Laura chętnie towarzyszyła Barniemu w nowo ustanowionych przez Estellę sesjach literackich.

Co miesiąc Estellę wybierała książkę, którą potem czytali razem głośno i omawiali w soboty po śniadaniu. *Iliada* dzieliła dumnie miejsce z takimi arcydziełami, jak *Ostatni Mohikanin* i poezją barda Walta Whitmana - byłego mieszkańca Brooklynu.

Harold siedział, paląc papierosy, i przysłuchiwał się im cicho. Kiwał z uznaniem głową, kiedy Barney lub Laura poczynili jakieś wyjątkowo udane spostrzeżenia. Warren był jeszcze na to za mały, więc grał na zewnątrz domu w koszykówkę. Wkrótce jednak zaczął być zazdrosny o seminaria brata i domagał się, żeby go również na nie wpuszczano.

Życie w szkole nr 148 toczyło się jednostajnie. Barney i Laura uczyli się często razem, więc nic dziwnego, że osiągali nieomal identyczne wyniki. Żadne z nich nie celowało jednak w dobrym zachowaniu. W pewnym momencie znękana nauczycielka, panna Einhorn, zmuszona była wystosować list do rodziców, skarżąc się na niesforność Barneya i Laury na boisku i wieczne szeptki między sobą w klasie. Raz oskarżono nawet Laurę o rzucanie kulek z przeżutego papieru w Herbiego Katza.

Barney został kołem napędowym całej klasy. Nie ulegało wątpliwości, że był urodzonym prowodyrem. Laura ogromnie zazdrościła, że nie mogła na przerwach grać z chłopcami w koszykówkę, nawet mimo wstawiennictwa Barniego. Według ówczesnych zwyczajów dziewczęta mogły grać wyłącznie z dziewczętami. Co gorsza, wiele koleżanek nie darzyło jej specjalną przyjaźnią, gdyż uważały, że jest niezdarna, za chuda i o wiele za wysoka. Ku zmartwieniu Barniego - oraz swojemu własnemu - była najwyższą osobą w całej klasie. Na długo przed nim przekroczyła granicę jednego metra i pięćdziesięciu centymetrów, a potem jednego metra i pięćdziesięciu dwóch centymetrów i zdawało się, że nie będzie temu końca.

Jej chwile triumfu były rzadkie, niemniej pamiętne. Jeden z takich epizodów nazwali później "W samo południe na boisku".

W rzeczywistości wydarzyło się to jednak pewnej chłodnej listopadowej soboty około czwartej po południu. Warren, Barney i Laura wyszli wcześniej z kina, gdyż na filmie było za dużo Maureen O'Hara, a za mało Errola Flynna. Przechodząc przez boisko, zobaczyli, że rozgrywał się tam właśnie mecz koszykówki w składzie trzech na trzech. Wymienili między sobą prędkie spojrzenia, Barney wystąpił i rzucił zwyczajowe wyzwanie:

- Bierzemy zwycięzców.

Jeden z graczy zaoponował: - Ale przecież jest was tylko dwóch.

Barney wskazał na swoją drużynę i policzył: - Raz, dwa, trzy.

- Hej, chłopie, my nie gramy z dziewczynami.

- Ona nie jest zwykłą dziewczyną.

- Masz rację, jest płaska jak chłopak. Ale to nic nie pomoże, i tak chodzi w spódnicy.

- Chcesz, żeby ci połamać szczękę? - zapytała groźnie Laura.

- Przestań się rzucać, dziecinko.

W mgnieniu oka Barney rozłożył winnego na łopatki i wykręcił mu boleśnie do tyłu ramię.

- O cholera, przestań! - błagał. - Poddaję się, poddaję się.

Bierzcie zwycięzców.

Nie oddali ani jednej gry. Kiedy potem maszerowali we trójkę do domu, Barney poklepał Laurę bratersko po plecach. - Dobra gra, Castellano. Aleśmy im pokazali, co?

- Aha - przytaknął dumnie Warren.

Laura jednak nie odezwała się ani słowem. Myślała tylko o tych upokarzających słowach: "Jest płaska jak chłopak".

Wszystko zmieniło się nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tuż przed dwunastymi urodzinami Laury nawiedzała ją najwidoczniej nocą jakaś dobra wróżka i rozsypywała po jej sypialni niewidzialne dary. Zaczęły jej rosnać piersi. Wyraźnie i bezwzględnie. Świat znowu był piękny.

Luis zauważył to i uśmiechnął się do siebie. Inez spostrzegła to również i powstrzymała w sobie ochotę do płaczu.

Barney Livingston zaś stwierdził nonszalancko: - Hej, Castellano, nareszcie masz cycki!

Barney rozwijał się również i na dowód tego pojawił mu się na twarzy meszek, który nazywał "brodą".

Estelle zrozumiała, że nadszedł czas, aby Harold porozmawiał ze starszym synem na tak zwane tematy poważne.

Harold czuł się w związku z tym bardzo ambiwalentnie. Był dumny i bał się zarazem, przypominając sobie wprowadzający wykład własnego ojca sprzed trzydziestu lat. Dotyczył on dosłownie ptaszków i pszczołek i nie sięgał wyżej filogenetycznej skali. Postanowił wobec tego, że on zrobi to teraz prawidłowo.

A zatem, w parę dni później, kiedy Barney przyszedł ze szkoły do domu, ojciec zawołał go do swojego gabinetu.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie - zaczął.

Starannie przygotował sobie cyceronowski wstęp, zaczynający się od Arki Noego i przechodzący ostatecznie w mowę na temat samca i samicy ludzkiego gatunku. Jednakże mimo swego pedagogicznego doświadczenia nie był w stanie podtrzymać dyskusji na tyle długo, aby osiągnąć rozmnażania się ssaków.

W końcu w desperacji wyciągnął cienką książeczkę pod tytułem *W jaki sposób przyszedłeś na świat* i podał ją Barniemu, który pokazał ją później wieczorem Laurze przez płot.

- Boże! Co to za głupota! - wykrzyknęła, przerzucając pospiesznie kartki. - Czy twój tato nie mógł ci po prostu powiedzieć, jak się robi dzieci? Zresztą wiedziałeś to już przecież od lat!

- Tak, ale są jeszcze inne rzeczy, o których nie mam pojęcia.

- Jakie?

Barney zawahał się. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy miał świadomość, że dzieli ich płęć.

Nie ulegało więc wątpliwości - oboje rośli i dojrzewali.

Rozdział III

W czerwcu 1950 roku ukończyli szkołę podstawową. W tym samym roku Jankesi ponownie wygrali Baseballowe Mistrzostwa Stanów, Korea Północna zaatakowała Południową i na rynku pojawiły się środki "leczące pospolite przeziębienia" - tak przynajmniej twierdzili wszyscy, z wyjątkiem lekarzy.

Tego lata Laura bardzo wypiękniała.

Nieomal z dnia na dzień utraciła kościste ramiona, tak jakby jakiś nadprzyrodzony Rodin wygładził je podczas snu. W tym samym czasie jej wysokie kości policzkowe uwydatniły się jeszcze bardziej, a niezgrabny chód nabrał płynnej i wdzięcznej zmysłowości.

Mimo że zaokrągliła się we wszystkich pożądanym miejscach, to jednak pozostała szczupła jak zawsze. Nawet Harold Livingston, który rzadko unosił głowę znad książki, zauważył pewnego wieczoru przy kolacji: - Laura stała się taka jakaś - jakby to powiedzieć - "posągowa".

- No a ja? - zapytał lekko oburzony Barney.

- Nie rozumiem, synu? - zapytał ojciec.

- No, czy nie zauważyłeś, że jestem już teraz wyższy od Laury?

Ojciec zastanowił się przez chwilę. - No tak, chyba tak.

Szkoła średnia Midwood wybudowana była w tym samym neogeorgiańskim stylu i miała podobnie dumną wieżę co ceglastoczerwone budynki Akademii Brooklyńskiej, do której przylegała. Na jednej ze ścian jej imponującego marmurowego westybulu znajdowało się szkolne motto:

Wstąp - aby dojrzeć na ciele, duchu i umyśle.

Odejdź - by lepiej służyć twemu Bogu, ojczyźnie i bliźniemu.

- O rany, to rzeczywiście tak jakoś podnosi na duchu, prawda, Barney? - zauważyła Laura, gdy stali wpatrzeni w te rzeźbione, napawające lękiem słowa.

- Aha. W każdym razie ja mam nadzieję, że przed wyborami do drużyny koszykarskiej zdążę jeszcze trochę urosnąć.

Laura wyróżniała się wśród pierwszoklasistek tak wzrostem, jak i urodą. Wkrótce zarówno seniorzy, jak i juniorzy - a wśród nich najlepsi sportowcy i liderzy

uczniowscy - biegali tam i z powrotem po schodach, aby natknąć się na nią i poprosić o spotkanie.

To były upojne dni. Nagle została odkryta przez mężczyzn - a w każdym razie przez chłopców. Te uporczywe zaloty pomogły jej zapomnieć, że była kiedyś takim rozczarowaniem dla własnej płci. (Nie dość, że jestem brzydka - zwierzała się niegdyś Barniemu - to jeszcze do tego wysoka, tak żeby wszyscy musieli to widzieć!)

Na początku pobytu w Midwood Barney i Laura jadalі sami przy stoliku w kawiarni, teraz jednak otaczali ją adoratorzy z wyższych klas, tak więc Barney nawet nie próbował się do niej przysiądać. (Obawiam się, że mnie zadepczą, Castellano.)

Barney nie robił jednak wielkiego postępu. Wydawało się, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnęły pierwszoklasistki, było spotkanie się z pierwszoklasistą. Jak przystało na prawdziwego Brooklyńskiego Dodgersa*, musiał "przeczekać do następnego roku". I zadowolić się marzeniami o kapitanie wodzirejek - Cookie Klein.

Mimo że drużyny sportowe w Midwood znane były głównie ze swoich porażek, niemniej frekwencja na szkolnych zawodach sportowych była zawsze ogromna. Czyżby ten nieuleczalny optymizm - czy też może masochizm - związany był z fluoryzacją wody w Flatbush?

Przyczyn tego należało szukać gdzie indziej. Wodzirejki z Midwood były wyjątkowo piękne - i widok ich w nadmiarze rekompensował porażki.

Wszystkie dziewczęta konkurowały między sobą zaciekle, żeby zostać wodzirejką. Niektóre decydowały się nawet na bardzo drastyczne posunięcia. Mandy Sherman poświęciła na przykład dwa tygodnie ze swoich wiosennych wakacji na poddanie się operacji plastycznej, wierząc, że brakowało jej tylko doskonałego nosa.

Można sobie zatem wyobrazić konsternację Cookie Klein, kiedy Laura odrzuciła jej propozycję. W przeciągu paru godzin wiadomość ta obleciała całą szkołę.

- Każdy o tym mówi - zrelacjonował jej Barney. Laura wzruszyła tylko ramionami.

- Uważam, że to bardzo głupie, Barney. Kto by, u diabła, chciał, żeby się na niego ludzie gapili? Niech one sobie ćwiczą te swoje młynki, a ja się będę spokojnie uczyć. - W chwilę później dodała na poły do siebie: - A poza tym i tak nie jestem taka znowu piękna.

* Brooklyn Dodgers, drużyna baseballowa pochodząca z dzielnicy Brooklyn w Nowym Jorku.

Popatrzył na nią i pokręcił głową. - Powiem ci coś, Castellano. Zdaje mi się, że brakuje ci piątej klepki.

Barney był pilnym uczniem. Kilka razy w tygodniu wstawał o piątej rano, żeby obkuć się dodatkowo przed szkołą i potem mieć wolne popołudnie na piłkę. Ponieważ oficjalny sezon jeszcze się nie rozpoczął, wiele wielkich szyszek z Varsity* szwendało się po boisku i Barney chciał się na własne oczy przekonać, z kim będzie miał do czynienia.

Inni gracze dawno już rozeszli się do domów, a Barney w ciemnościach rozpraszanych jedynie przez uliczną lampę ćwiczył swój skok, wygięcie ręki i w końcu rzut karny.

Dopiero potem wsiadał zmęczony do trolejbusu zmierzającego w kierunku alei Nostrand, usiłując uczyć się w drodze do domu.

Oczywiście przerabiał wymagane przedmioty - matematykę, nauki społeczne, angielski oraz nauki ścisłe. Pragnąc zrobić przyjemność ojcu, wybrał na swój dowolny przedmiot łacinę.

Uwielbiał ją. Wyszukiwanie w łacinie korzeni, które umożliwiły językowi angielskiemu taki rozkwit, sprawiało mu ogromną radość. Rozwinęło to również jego umysłowe zdolności i uściśliło styl mówienia. A jak do tego wzbogacił swoje słownictwo! Przy każdej sposobności popisywał się swoją werbalną ekwilibrystką. Zapytany przez nauczycielkę angielskiego, czy przygotował się porządnie do semestralnego testu, odpowiedział: - Bez wątpienia, panno Simpson, pracowałem nad tym materiałem bez wytchnienia po nocach.

Jeśli nawet ojciec był z niego dumny, to nie okazywał tego po sobie nawet wówczas, gdy Barney zadawał mu jakieś gramatyczne pytania, dobrze znając na nie odpowiedzi.

Zwrócił się w końcu do matki: - O co chodzi, mamó? Czy tato nie cieszy się z tego, że uczę się łaciny?

- Oczywiście, że tak. Jest nawet z ciebie bardzo dumny.

Skoro jednak powiedział to jej, to dlaczego nie mógł powiedzieć jemu?

Pewnego dnia przybiegł do domu z wynikiem semestralnego testu z łaciny i popędził na górę do pokoju ojca.

* Varsity - reprezentacyjna drużyna szkolna, uniwersytecka lub klubowa.

- Popatrz, tato! - powiedział zziębnięty, podając mu egzaminacyjne wypracowanie.

Harold zaciągnął się papierosem i spojrzał na pracę syna. - Ach, tak - mruknął do siebie. - Ja też czytam w tym roku Wergiliusza z moimi dziećmi. - A potem nastąpiła cisza.

Barney czekał z niecierpliwością. W końcu nie mógł się powstrzymać od dodania: - Jeśli chcesz wiedzieć, to była najwyższa nota w całej klasie.

Ojciec pokiwał głową i zwrócił się do niego: - Wiesz, jest mi trochę żal...

Barniemu zaschło w ustach.

- To znaczy, chciałbym, żebyś był w mojej klasie.

Barney na zawsze zapamiętał ten dzień, tę godzinę, tę chwilę - i te słowa.

Ojciec lubił go chyba mimo wszystko.

Laura podjęła ważną i zaskakującą decyzję. Pewnego dnia wspomniała o niej mimochodem Barniemu w trakcie jazdy trolejbusem ze szkoły.

- Mam zamiar ubiegać się o stanowisko prezydenta.

- Zwariowałaś, Castellano? Jeszcze żadna dziewczyna nie została prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Skrzywiła się. - Myślałam o klasie, Barney.

- To też szaleństwo. W całym Midwood jest nas tylko dwoje ze starej szkoły. Nie będziesz miała za sobą gangu przyjaciół na poparcie.

- Ale za to mam ciebie.

- Tak, ale to tylko jeden głos. Nie uczysz chyba na to, że zapcham jakoś całą urnę, co?

- Mógłbyś mi pomóc w napisaniu przemówienia. Wszyscy kandydaci dostają dwie minuty w trakcie apelu klasowego.

- Wiesz, kto się jeszcze ubiega?

- Nie, ale jestem chyba jedyną dziewczyną. Czy możesz popracować trochę ze mną w niedzielę po południu?

- No dobrze - westchnął. - Pomogę ci zrobić z siebie durnia.

Jechali przez parę minut z nosami zatopionymi w książkach. A potem Barney zauważył: - Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś taka ambitna.

- Owszem, jestem - przyznała ściszym głosem. - Jestem ambitna jak diabli.

W końcu przesiadli całą sobotę i niedzielę na przygotowaniu owego dwuminutowego przemówienia, mającego odmienić losy świata. Z początku stracili mnóstwo czasu, usiłując wymyślić wyszukane obietnice wyborcze - coś w rodzaju darmowych wycieczek klasowych na Coney Island. Barney doszedł jednak do wniosku, że polityka na jakimkolwiek poziomie opiera się głównie na uchodzących za prawdę kłamstwach. Innymi słowy, należało przekonująco kłamać.

Bezwstydnie namawiał wobec tego Laureę, aby obficie szastała tym najbardziej makiawelicznym ze słów - uczciwością.

Trzej spoceni i obłąkańczo gestykulujący rękami kandydaci rozśmieszyli swoją pompatycznością całe audytorium, toteż spokojne i rozważne podejście Laury do podium (Barney przeciwiczył to z nią także) uczyniło na wszystkich zaskakujące wrażenie.

Przemawiała spokojnym, powolnym tonem, przerywając tu i ówdzie częściowo dla efektu, a częściowo dlatego, że ze strachu nie mogła oddychać.

Równie zaskakujący był kontrast pomiędzy jej przemówieniem a tymi poprzednimi. Powiedziała po prostu, że jest nowa w Midwood, tak jak jeszcze parę lat temu była nowa w Ameryce. Wysoko ceniła sobie serdeczność swoich szkolnych kolegów, podobnie jak doceniała kraj, który ją przyjął. Dług, jaki w ten sposób zaciągnęła, mogła spłacić jedynie poprzez publiczną służbę. W razie wybrania jej, nie mogła przyrzec im cudów, obiecać gwiazdek z nieba czy kabrioletów w każdym garażu (śmiech na sali). Mogła im tylko zaoferować uczciwość.

Rozległy się stłumione oklaski. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie wywarła na swoich współtowarzyszach żadnego wrażenia. Oślepiła ich raczej ta oczywista szczerłość jej słów, ta jawna uczciwość oraz - nie da się zaprzeczyć - jej wyjątkowa uroda.

Przed zakończeniem apelu, zanim jeszcze odśpiewali *Alma Mater*, jej wybór wydawał się przesądzony. W drodze do domu brakowało im tylko telegraficznej taśmy.

- Wygrałaś, Castellano. Zamknęłaś licytację. Mogę się założyć, że pewnego dnia zostaniesz prezydentem całej szkoły.

- Nie, Barney - odpowiedziała czule. - To ty wygrałeś. Napisałeś prawie całe przemówienie.

- Nie przesadzaj. Połałem tylko trochę wody. To twój występ był prawdziwym nokautem.

- No dobrze, już dobrze. Wygraliśmy razem.

Tego lata Castellanie i Livingstonowie wynajęli razem mały domek niedaleko plaży w Neponset na Long Island. Siedzieli tam, wdychając zdrowe morskie powietrze, a Luis przyjeżdżał do nich na soboty i niedziele. Był wyczerpany tymi swoimi corocznymi okrutnymi zmaganiem z polio.

Oczywiście rozmowa o możliwości wybuchu epidemii oraz widok małych dzieci bawiących się beztrudno na plaży przypominały Inez jej małą Isobel - chód wspomnienia te i tak nigdy nie były daleko. Gdyby tylko wtedy wyjechali nad morze...

Siedziała wpatrzona w ocean. Harold i Estelle zatopili się w książkach. Estelle czytała *Dumą i uprzedzenie*, a Harold *Rzymską rewolucję* Syme'a.

Tymczasem niewinnie kokieteryjna Laura przyłączyła się do swoich rówieśniczek, z którymi biegała i nurkowała w falach. Każdy ratownik zasiadający na wysokim drewnianym krześle modlił się w duchu, żeby zawołała go na pomoc.

Były oczywiście i randki. Młodzi, opaleni adoratorzy robili, co mogli, żeby zabrać Laurę do otwartego kina w samochodach rodziców lub zaprosić na pieczoną na różnie kolację pod gwiazdami na opuszczonej plaży.

No i na pieszczoty.

Parkowali w jakimś zacisznym miejscu, "żeby poobserwować łodzie podwodne", podczas gdy w radiu zawodził Nat King Cole - zapewniając wszystkich, że "Miłość jest cudowną rzeczą".

Pewnego dusznego sierpniowego wieczoru Sheldon Harris położył jej rękę na piersi.

- Nie rób tego - powiedziała bez przekonania. Kiedy jednak usiłował wsunąć jej rękę pod bluzkę, zakazała mu tego ponownie. I tym razem zupełnie poważnie.

Barney nie miał czasu na tego rodzaju błahostki. Codziennie rano, pochłonawszy z wilczym apetytem śniadanie, biegł z tenisówkami w ręku (tak, żeby nie nasypał się do nich piasek) po ciągle jeszcze pustej plaży do Riis Park, gdzie przez całą dobę odbywały się rozgrywki koszykówki.

Nie miał już dużo czasu. Załedwie za sześćdziesiąt jeden dni miał się ubiegać o miejsce w Midwood Varsity. Nie mógł liczyć na przypadek. Poradził się nawet doktora Castellano, jakie jedzenie najpewniej pobudza wzrost. (Zacznij od jedzenia obiadów - poradził mu Luis.) Kampanię odżywczą Sarniego uzupełniały okresowe sesje na drążkach gimnastycznych w Riis Park. Wisiał na nich tak długo, jak tylko był w stanie

wytrzymać, w nadziei, że jego ciało wyciągnie się w odpowiednim kierunku. W przeddzień Dnia Pracy* 1951 roku Barney stał na werandzie wyprostowany jak struna pod ozdobioną sztukaterią ścianą, a Harold z Luisem dokonywali niezależnych od siebie pomiarów.

Rezultaty okazały się imponujące. Jedna z taśm wykazywała, że miał metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, a druga, że metr osiemdziesiąt trzy. Krzyknął dziko z radości, Warren (metr sześćdziesiąt) wraz z Laurą, która na szczęście przestała w końcu rosnąć i zatrzymała się na jednym metrze i sześćdziesięciu pięciu centymetrach, stali opodal i klaskali w ręce.

- Udało mi się, udało mi się! - pisał radośnie Barney, skacząc po pokoju jak zając.

- Niezupełnie - uśmiechnęła się Laura złośliwie. - Jeszcze musisz trafić do kosza!

I tak oto w tym samym roku, w którym prezydent Truman pozbawił generała Mac Arthura dowództwa na Dalekim Wschodzie, a profesor Robert Woodward z Harvardu zsyntetyzował cholesterol i kortyzony, Laura została prezydentem drugiej klasy. Barney zaś stanął przed długo wyczekiwany momentem - a raczej ściślej mówiąc - trzema minutami prawdy.

Trener koszykówki, Doug Nordlinger, potrzebował zaledwie stu osiemdziesięciu sekund, żeby rozróżnić pomiędzy tygrysem a zdechlakiem.

Powietrze na sali gimnastycznej przenikał strach. Kandydaci podzieleni zostali na pięcioosobowe grupy (Koszulki przeciw Nagusom), które miały wychodzić kolejno na boisko i grać przeciwko sobie przez trzy minuty bacznej obserwacji. Każdy z dziesięciu aspirantów musiał się wykazać swoimi umiejętnościami w jednakowym czasie.

W ciągu pierwszych dwóch minut testu Barney prawie nie dotknął piłki. Zdawało się, że wszystkie jego marzenia o chwale spłyną z potem.

Nagle ktoś strzelił niecelnie do kosza jego drużyny. Wskoczył po piłkę jednocześnie z wyższym od siebie przeciwnikiem. Wykiwał go jednak i przechwyił piłkę.

Kiedy ruszył na środek boiska, kilka Koszulek rozpaczliwie rzuciło się za nim. Barney obrócił się, dryblując to jedną, to drugą ręką. Podbiegła do niego następna

* Dzień Pracy obchodzony jest w Stanach Zjednoczonych w każdy pierwszy poniedziałek września.

zaciekła i żądna krwi Koszulka. Barney uchylił się w lewo, pobiegł w prawo i zwinnie prześlizgnął się obok niej. Na dziesięć sekund przed gwizdkiem znalazł się pod koszem wroga. Chciał strzelać, lecz zdrowy rozsądek nakazywał, żeby oddać piłkę lepiej usytuowanemu zawodnikowi. Zmusił się do odrzucenia piłki w stronę innego Nagusa stojącego bez krycia. Kiedy ten strzelił - i chybił - zadzwonił dzwonek.

I już było po wszystkim.

Trener ustawił całą dziesiątkę w szeregu. Wszyscy kręcili się nerwowo jak przed rozstrzelaniem - co w pewnym sensie było zgodne z prawdą. Oczy Nordlingera przesuwaly się z lewa naprawo i z powrotem.

- W porządku. Niech wystąpią następujące osoby: ty - wskazał na wysokiego, kościstego i opryszczonego na twarzy członka drużyny Koszulek. - A reszcie dziękuję.

Serce Barniego zamarło.

- Z wyjątkiem ciebie. Hej, Kędzierzawy, nie słyszysz, jak do ciebie mówię?

Barney, wpatrzony ze smutkiem w podłogę, podniósł nagle wzrok. Nordlinger wskazywał na niego.

- Tak, słucham? - Jego głos przypominał krakanie.

- To było sprytne zagranie. Jak ci na imię?

- Barney, proszę pana. Barney Livingston.

- W porządku, Livingston. Idź i usiądź z Sandym na ławce. Barney stał zdziwiony w bezruchu, a trener odwrócił się i krzyknął:

- Następne dwie drużyny na boisko!

- Chodźmy! - powiedział jego kościsty współzawodnik. I ruszyli we dwójkę w kierunku drewnianej świątyni dla wybrańców.

- Trener wiedział już, jak ci na imię - zauważył z ciekawością Barney.

- Aha! - uśmiechnęła się z zadowoleniem tyczka do fasoli. - Jeśli się ma metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu, to niejeden trener w Flatbush wie, jak się nazywasz.

Jeszcze tego samego wieczoru Barney, Sandy Leavitt (gdyż tak brzmiało pełne nazwisko tyczki) oraz trzeci, okrągły drugoklasista, Hugh Jascourt, zostali zmierzani w celu przygotowania dla nich odpowiednich strojów. Oficjalne treningi rozpoczynały się już od poniedziałku, jednakże ich satynowe drużynowe kurtki miały być gotowe dopiero za trzy tygodnie. Gdyby tak jednak "Argus" opublikował tę dobrą nowinę nieco wcześniej, to życie towarzyskie Barniego niewątpliwie od razu zdecydowanie by się poprawiło!

Pobiegł zawiadomić o tym Laureę.

Rozdział IV

Pod koniec drugiej połowy meczu pomiędzy Midwood a New Utrecht sędzia nacisnął guzik. Zadzwoił dzwonek, który przeszedł do annałów historii. Po nim nastąpiło ogłoszenie: - Zmiana w drużynie Midwood. Numer dziesięć - Livingston.

Na trybunach rozległy się zdawkowe oklaski. I jeden radosny wojenny okrzyk: - Naprzód, Livingston!

Do końca meczu pozostały jedynie cztery minuty i chłopcy z New Utrecht stawali się nieostrożni. Barney zdołał przechwycić podanie i prędko pobiegł na drugi koniec boiska, podając w końcu piłkę kapitanowi Jayowi Axelrodowi, który zatopił ją w koszu.

A potem, zaledwie czterdzieści sekund przed zakończeniem meczu, jeden z przeciwników zaatakował Barniego, dostając za to karne. Barney zaczerpnął głęboko powietrze na linii karnej. Tyle razy tego lata odgrywał w wyobraźni tę scenę w Riis Park! Teraz stało się to rzeczywistością. Wycelował dokładnie - i strzelił - swój pierwszy punkt dla Varsity!

Laura zwinęła dłonie w trąbkę i krzyknęła: - Tylko tak dalej, Barney!

Po zakończeniu meczu, kiedy stali obok siebie pod sąsiednimi prysznicami, Jay Axelrod pogratulował Barniemu gry, dodając: - Ta Laura Castellano musi być twoim zatwardziałym kibicem. Chodzisz z nią może?

- Nie, nie! - Barney przepłukał gardło, nabierając ciepłej wody do ust. - Czemu pytasz?

- Bo chciałbym się z nią umówić.

- A co ci przeszkadza?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział z nagłą nieśmiałością kapitan drużyny koszykarskiej Midwood. - Ona jest taka atrakcyjna i...

- Chcesz, żebym ci ją przedstawił? - zaproponował uczynnie Barney.

- Naprawdę, zrobiłbyś to dla mnie, Livingston? Byłbym ci za to bardzo wdzięczny.

- Nie ma sprawy, Jay. Ona czeka na zewnątrz. Możesz się z nią spotkać jeszcze dzisiaj.

- O nie, Barn. Jeszcze nie teraz.

- Czemu nie?

- Najpierw muszę przyciąć włosy.

W drodze do domu Barney powiedział Laurze o zaszczycie, jaki miał ją wkrótce spotkać. Roześmiała się.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Suzie Fishman przysłała do mnie po meczu i prosiła, żebym ci ją przedstawiła.

- Suzie Fishman? - zapytał Barney z okrągłymi ze zdziwienia oczami. - Ależ to jedna z najładniejszych dziewcząt w szkole. Jak to możliwe, że ma ochotę na spotkanie ze mną? Przecież ja zaliczyłem tylko jeden punkt.

- Podobasz się jej.

- Naprawdę? Czyż to nie zdumiewające, Castellano, ile może działać strój z Midwood?

- Och - uśmiechnęła się. - Czy to wszystko, co masz do zaofiarowania?

Otrzymawszy swoją nową, błyszczącą drużynową bluzę, Barney począł czynić rozpustne postępy w zdobywaniu serc wodzirejek. Cały zespół jadał razem obiady, w trakcie których rozmowy obfitowały w najróżniejsze erotyczne fanfaronady. Jeśli w tych przechwałkach nad kanapkami z tuńczykiem i mlekiem była choć szczypta prawdy, to w całym Flatbush - a może i w całym Brooklynie - nie było ani jednej szesnastolatki, która byłaby jeszcze dziewicą.

Od czasu kiedy Barney przedstawił ich sobie, Laura spotykała się regularnie z Jayem Axelrodem. Stanowili razem tak przystojną parę, że Barney nazywał ich żartobliwie państwem Midwood. Tej zimy Laura zdecydowała się na następny zuchwały krok. Zamiast ubiegać się o prezydenturę klasy juniorów, zgłosiła się do kampanii o stanowisko skarbnika, które było trzecim najważniejszym urzędem w całej szkole.

- Castellano, ty rzeczywiście jesteś wariatką. Kiedy ludzie się dowiedzą, że drugoklasistka ubiega się o skarbnika, będziesz pośmiewiskiem w całym Midwood.

Laura uśmiechnęła się. - To dobrze. Niech się śmieją. Przynajmniej będą o mnie mówić, a to też dobra reklama.

- O Boże! - westchnął Barney z nie ukrywanym podziwem. - Ty rzeczywiście grasz ostro, co?

- Posłuchaj, Barney. Mój tato zawsze powtarza: *Si quieres ser dichoso, no estás nunca ociosa.*

- Co znaczy...?

- To znaczy, że życie jest również ostrą grą.

Podczas jednego z intensywnych treningów na tydzień przed decydującym meczem z Madison High, wrogiem numer jeden Midwood, Jay Axelrod potknął się i upadł, skręcając sobie przy tym brzydko nogę w kostce. Doktor powiedział, że będzie mógł nałożyć tenisówki nie wcześniej niż za dziesięć dni. Następnego dnia, kiedy Barney wycierał się ręcznikiem po zakończeniu treningu, Doug Nordlinger przeszedł obok niego i zauważył obojętnie: - Zaczynasz jutro wieczorem, Livingston.

Zaczyna! Nie do wiary! To niemożliwe!

Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu.

- Musisz przyjść, tato! - błagał przy kolacji. - To przecież będzie w piątek wieczorem i nie musisz na drugi dzień uczyć. I prawdopodobnie będzie to największy zaszczyt, jaki mnie kiedykolwiek spotka w życiu.

- Wątpię w to - powiedział Harold, uśmiechając się pobłaźliwie. - Rozumiem jednak twoje podniecenie.

- Ale przyjdiesz tato, prawda? - poprosił jeszcze raz Barney.

- Oczywiście - odpowiedział Harold. - Już od lat nie widziałem meczu koszykówki.

Tego piątku Barney siedział na lekcjach jak w transie, myśląc wyłącznie o tym, ile minut pozostało jeszcze do siódmej.

Po szkole udał się na pustą salę gimnastyczną i przez pół godziny ćwiczył rzuty karne, a potem podskoczył do George'a, żeby się pokrzepić kanapką z befsztykiem i czereśniową coką za dziewięćdziesiąt pięć centów.

O szóstej, kiedy inni gracze zaczęli się schodzić do szatni, był już przebrany i siedział na ławce, objął ramionami kolana, daremnie usiłując wmówić sobie, że jest spokojny.

- Hej, Livingston - usłyszał nosowy głos. - Mam dla ciebie dobrą nowinę. Noga Axelroda już się zagoiła, nie będziesz więc dzisiaj zaczynać.

Barney drgnął, jakby porażony prądem. To ten wyrośnięty kretyn, Sandy Leavitt, z idiotycznym uśmiechem na twarzy.

- Ha, Livingston, nabrałem cię, co?

- Odpierdol się - warknął nerwowo Barney.

Drużyna Madison pierwsza wkroczyła na salę przy głośnych okrzykach kibiców, którzy przemaszerowali w górę ulicy prawie dwie mile, żeby zobaczyć tę tradycyjną Walkę o Aleję Bedford. Po chwili Jay Axelrod (w sportowym stroju, ale o kulach) wprowadził drużynę Midwood na salę przy akompaniamencie wirujących wodzirejek, drżących krokwi sklepienia i kołatającego szaleńczo serca Barniego.

Szybko rozpoczęli rozgrzewkę. Barney przechwycił rykoszetującą piłkę i dryblując do strzału, spojrział w stronę zapchanej widowni. Ojca jeszcze nie było.

Rozgrzewka trwała nadal. Za chwilę rozpoczynał się mecz. Barney ponownie spojrział ukradkiem na widzów, wśród których siedziała już Laura z Warrenem. Dzięki Bogu. Ale tato - gdzie się podziali mama z tatą?

Zadzwonił dzwonek. Obie drużyny wróciły na ławki. Tylko wyznaczeni do gry ściągali z siebie na stojąco bluzy. Drżącymi palcami Barney rozpiął swoją. Kiedy pierwsza piątka zajęła miejsca na boisku, głośniki oznajmiły monotonię ich nazwiska.

- I numer dziesiąty - Livingston.

Jeszcze raz popatrzył na widownię. Jego rodziców nadal tam nie było.

- Panie i panowie, proszę wstać na Gwiazdzisty sztandar.

W patriotycznym geście położył prawą rękę na lewej piersi i poczuł łomotanie własnego serca.

- Rozegranie piłki!

Ostry gwizdek sędziego obudził w Barniem atletę. Natychmiast przypiął się do obrońcy Madison dryblującego pewnie w jego kierunku. W ułamku sekundy rzucił się do przodu, wykradł piłkę i jak rakieta poleciał na drugi koniec boiska.

Był zupełnie sam, kiedy dosięgnął! kosza. Oddychaj, Livingston - powtarzał sobie - rozluźnij się i wyceluj ostrożnie. Odczekał jeszcze moment i... kosz!

Z podniecenia zakręciło mu się w głowie.

Midwood prowadziło o trzy kosze, kiedy drużyna Madison poprosiła o przerwę. Obie drużyny skupiły się wokół swoich trenerów. Barney znowu popatrzył na widownię. Ciągle tylko Laura i Warren.

Może mieli wypadek? Nie, przecież ojciec nie prowadzi, a poza tym Warren już siedział na sali.

W czasie przerwy w połowie meczu wyszli do szatni i ssali plasterki pomarańczy. Barney w mocno przepoconym stroju osunął się ciężko na ziemię i oparł

plecami o drzwi swojej szafki. Czterdzieści minut później mecz zakończył się z sześciopunktową przewagą Midwood. Barney zdobył trzynaście punktów. Zamiast odejść z chłopcami do szatni, podszedł wolno do Laury i Warrena.

Laura odezwała się pierwsza: - Papa nie pozwolił mu przyjść.

- Co takiego?

- Zaraz po obiedzie ojciec poczuł jakiś ból w piersiach - wyjaśnił Warren. - I doktor Castellano przyszedł, żeby go zbadać.

- Co mu jest?

- Papa myśli, że może coś mu zaszkodziło. - I szybko dodała: - Kazał mu się położyć do łóżka na zdrowym boku.

A potem usiłowała zmienić temat: - Byłeś fantastyczny, Barney. Mogę się założyć, że będziesz miał zdjęcie w "Argusie".

A Warren dodał: - Do końca życia zapamiętam wszystkie twoje wielkie wyczyny.

- Tak? To dobrze - odpowiedział z roztargnieniem Barney i odszedł w kierunku pryszniców.

Na drugi dzień rano Luis zawiózł ociągającego się Harolda do szpitala na elektrokardiogram. Sąsiad zgodził się na to tylko pod warunkiem, że Estelle nie będzie im towarzyszyć. (Już i tak za bardzo się denerwujesz, kochanie, choć nie ma o co.)

Później paląc nerwowo papierosa, słyszał, jak Luis rozmawiał na temat wyników z kardiologiem, mrużąc coś o falach P i Q.

Wreszcie Luis wrócił i pomógł Haroldowi wejść do samochodu.

- No i? - zapytał Harold, usiłując nie okazywać po sobie niepokoju. - Prawda, że to tylko jakaś niestrawność? Zdaje się, że po tylu latach żywienia w wojsku mam do tego skłonności.

Luis milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział: - Haroldzie, testy wykazały u ciebie arytmie serca. Oznacza to...

- Znam grekę, Luisie. To jakies nieregularności tempa. Czy to coś poważnego?

- No cóż, i tak, i nie. Jeśli to tylko jednorazowy fizjologiczny wypadek, to nie ma się o co martwić. Ale może to być również znak ostrzegawczy jakiegoś ukrytego patologicznego procesu.

- A zatem w ten wyszukany sposób przyznajesz się, że właściwie nie wiesz.

- No dobrze, Haroldzie. Nie wiem. Ale ponieważ ty również nie wiesz, to radzę ci, żebyś zaczął dbać o siebie i chodził na regularne badania. Mógłbyś na przykład zacząć od ograniczenia palenia.

- To mnie odpręża.

- Tak ci się tylko wydaje, przyjacielu. Nikotyna jest trującym alkaloidem i w rzeczywistości należy do stymulantów. Zapewniam cię, że nic ci się nie stanie, jeśli ograniczysz palenie.

Kiedy zbliżyli się do placu Lincolna, Harold zapytał: - Co zamierzasz powiedzieć Estelle?

- Czy nie sądzisz, że powinienem powiedzieć jej prawdę?

- Sam przecież przyznałeś, że nie masz pewności.

- Czy mogę jej chociaż to powtórzyć?

- Rób, co chcesz, Luis - zażartował Harold. - Rozpowiadaj po całym Brooklynie o niedociągnięciach swego zawodu.

Kiedy Luis zaparkował samochód, Harold odwrócił się do niego, i powiedział stanowczo: - Ale nie ma powodu, żeby martwić tym dzieci.

- Zgadzam się z tobą, Haroldzie. Nie powinno się ich obarczać dodatkowym ciężarem, kiedy i tak są już wystarczająco zajęci dorastaniem. Chcę jednak, żebyś ty się tym trochę pomartwił i pamiętał o tym, co ci powiedziałem.

Barney usiłował rozpocząć ten temat niejako mimochodem. Kiedy jechali w poniedziałek rano trolejbusem, spojrzął zza podręcznika do chemii i zapytał rzeczowo (swobodnym tonem, który wcześniej dobrze przećwiczył): - Czy poszłaś już "na całego" z Jayem Axelrodem?

- Nie twoja sprawa - odparła Laura.

- To znaczy, że poszłaś.

- Nie, to tylko znaczy, że to nie twoja sprawa. A w ogóle skąd to pytanie?

- No cóż - odpowiedział głupawo - niektórzy chłopcy w drużynie...

- Koszykarskiej? Jedyne nagie kobiety, do jakich zbliżyły się te niewyżyte osły, to posągi w Brooklyńskim Muzeum. I jestem pewna, że mieli ochotę je pomacać.

- Aha - zaśmiał się Barney. - Trochę przesadzają, co?

- Nie tylko "oni", Livingston. Dochodzą mnie słuchy, że roznosiłeś po całej szkole, że zaliczyłeś już trzy wodzirejki. Czy to prawda?

- Absolutna, Castellano, absolutna.

- Czy to znaczy, że to zrobiłeś?
- Nie, ale przyznaję, że się tym chełpiłem.

W rzeczywistości Barney czynił stopniowo pewne postępy w swojej pogoni za ostatecznym spełnieniem seksualnym. Na drugiej randce Mandy Sherman pozwoliła mu się pocałować na dobranoc. Na trzeciej, kiedy siedzieli przytuleni do siebie w ostatnim rzędzie kina Savoy, zgodziła się, żeby trzymał rękę pod jej swetrem.

O mój Boże! - pomyślał Barney podniecony i jednocześnie trochę przerażony. To już będzie to! Następnym razem muszę się przygotować.

Ale jak? Nie mógł przecież tak po prostu wejść do apteki pana Lowensteina na alei Nostrand i poprosić go o "Trojana". Aptekarz najprawdopodobniej powie o tym rodzicom, albo co gorsza, jeszcze go wyśmieje. Nie, trzeba będzie zrobić to bardziej dyskretnie - na obcym terytorium.

I tak pewnego sobotniego popołudnia, kiedy obaj z Warrenem pojechali do centrum Brooklynu na film, rozglądał się za odpowiednio dużą i nie rzucającą się w oczy apteką. Warren nie mógł zrozumieć, dlaczego jego brat chodził bez powodu tam i z powrotem po ulicy Fulton. Nie miał jednak odwagi kwestionować tego, co robił jego bohater.

Podeszli do dużych oszklonych drzwi i Barney zatrzymał się.

- O cholera!
- O co chodzi, Barney?
- Co za dureń ze mnie! Mam przecież na sobie moją koszykarską bluzę.
- Nie rozumiem. No i co z tego?
- A to! - odpowiedział z nerwowym podnieceniem Barney, wskazując na lewą stronę swojej klatki piersiowej, gdzie na białej satynie wyhaftowane było niebieską nitką jego imię. - To pewna zdrada. Od razu będą wiedzieć, kim jestem i skąd. Może lepiej będzie, jak ty to zrobisz.

- Ale co?

Barney zaprowadził Warrena do miejsca na chodniku, gdzie nikt nie mógł podsłuchać. - Słuchaj, Warren, chcę, żebyś dla mnie coś zrobił. Coś naprawdę bardzo ważnego.

Podał mu potem dokładne wskazówki, czego miał szukać i jak o to poprosić, jeśli nie byłoby to wystawione na ladzie. Wcisnął mu w rękę pięciodolarowy banknot, trochę wilgotny od trzymania w garści.

- Ależ, Barney! - zaprotestował Warren. - Ja mam tylko dwanaście lat. Nigdy nie pozwolą mi kupić czegoś takiego.

- Słuchaj, to jest centrum. Codziennie tysiące ludzi przechodzi przez ten sklep. Prawdopodobnie pomyślą, że jesteś karłem.

Kiedy jego młodszy brat wszedł, ociągając się, do apteki, Barney chodził nerwowo tam i z powrotem, modląc się, żeby żaden ze znajomych rodziców, robiących sobotnie zakupy w pobliskim domu handlowym A&S, nie złapał go na gorącym uczynku. Po kilku minutach oczekiwania ukazał się Warren z małą papierową torebką w ręku.

- Dlaczego, u diabła, zajęło ci to tyle czasu? - dopytywał się zirytowany Barney.

- Słuchaj, Barney, wypytywali mnie tam o tyle rzeczy. Czy to ma być z kremem, czy bez? Nie miałem pojęcia, co robić.

- No i co w końcu zrobiłeś?

- Ponieważ nie wiedziałem, wziąłem paczkę takich i takich.

- To świetnie. - Barney odetchnął z ulgą i objął ramieniem młodszego brata. - Dumny jestem z ciebie, mały.

Tymczasem Laura stała się takim autorytetem dla wszystkich, że wiele starszych dziewcząt zwracało się do niej z prośbą o radę w sprawach związanych z makijażem, chłopcami czy też problemami z... trudnymi rodzicami. Laurze jednak nie odpowiadała ta rola. Nie miała ochoty zajmować się uspokajaniem, radzeniem i pocieszaniem innych dziewczyn w ich kłopotach.

Jakże bowiem mogła być rodzicem, skoro sama nie doświadczyła nigdy luksusu bycia dzieckiem?

Tego lata Livingstonowie i Castellanowie ponownie wynajęli domek na plaży. Jednakże tylko Warren pojechał z nimi nad morze.

Luis postarał się o to, aby jego córka mogła pomagać pielęgniarce w szpitalu - pragnąc pokazać jej surowe realia medycznego zawodu.

W ciągu tygodnia dojeżdżała więc do pracy razem z nim, z domu na placu Lincoln, a w piątki wieczorem włączali się w strumień gorących od spiekoty samochodów wyjeżdżających w żółwym tempie z miasta w stronę orzeźwiających wiatrów wybrzeża.

Zajechawszy na miejsce, Laura przebierała się prędko w kostium i natychmiast skakała do wody, usiłując zmyć z siebie w ten sposób ból i cierpienie, któremu musiała stawić czoło w czasie poprzednich pięciu dni.

Barney natomiast wyjechał w góry Adirondack, gdzie pracował jako wychowawca na obozie Hiawatha*, prowadzonym przez Douga Nordlingera. Przedsięwzięcie to było prawdziwym polem do pedagogicznych popisów trenera.

Stanowiło również wyjątkową okazję do zebrania razem wszystkich jego najlepszych zawodników. Pensja ich wynosiła zaledwie siedemdziesiąt pięć dolarów za lato - plus napiwki, jakie mogli wyczarować od rodziców wychowanków. (Jeśli dzieciaki powiedzą rodzicom, że im tu dobrze, to ojcowie chętnie wcisną wam jakiś banknot do ręki.)

Barak Barniego składał się z ósemki dziewięciolatków - siedmiu normalnych, agresywnych chłopców. Ósmy, Marvin Amsterdam, był boleśnie zamkniętym w sobie dzieckiem. Koledzy kopali go niemiłosiernie niczym piłkę, ponieważ czasami moczył łóżko.

Marvin był jedynakiem. W czasie rozvodu rodziców upokorzyła go podsłyszana niechcący wiadomość, że żadne z nich nie miało ochoty dalej się nim opiekować. Zapakowano go do szkoły z internatem i ojca lub matkę widywał jedynie w trakcie dłuższych przerw z okazji Bożego Narodzenia lub Wielkanocy. Nieomal natychmiast po zakończeniu szkoły zesłano go ponownie na banicję - tym razem do obozu Hiawatha, gdzie coraz częściej marzył o tym, żeby się stać tak przezroczystym, aby inne dzieci go nie widziały.

Na domiar złego był beznadziejny w każdym sporcie. Na obozie wybierano go do różnych gier jako ostatniego, a w szkole po prostu pomijano go zupełnie.

Pewnego wieczoru, pijąc piwo w komendanturze obozu, Barney zaczął rozmawiać z Jayem Axelrodem na temat problemów Marvina.

- Czy nie dałoby się czegoś zrobić, żeby pomóc temu dziecku? - zapytał Barney.

- Słuchaj, stary - odpowiedział Jay - jestem wychowawcą, a nie lekarzem. Nie radzę ci się w to za bardzo mieszać, Barney. On jest już skazany na to, że do końca życia będzie ciamajdą.

Barney szedł w kierunku swojego baraku wśród cykania świerszczy i połyskujących ogni świetlików, przyznając Axelrodowi rację. Marvin

* Hiawatha - postać z folkloru indiańskiego, półbóg, prorok i mąż stanu plemienia Mohawk. Prometeusz indiański, który nauczył ludzi budowy łodzi, leczenia chorób, zbierania ziół itd.

najprawdopodobniej potrzebował fachowej opieki. Mimo to nadal pragnął mu w jakiś sposób pomóc.

To jasne - mówił sobie - że chłopak nigdy nie będzie koszykarzem, a poza tym i tak nie można się tego nauczyć przez półtora miesiąca. Ale może by tak tenis? Przynajmniej nie czułby się tak strasznie lekceważony.

Odtąd późnymi popołudniami, w czasie przeznaczonym na "wolne zabawy" (i nieoficjalne sesje treningowe dla koszykarzy z Midwood), Barney zabierał małego Marana i szkolił go w sztuce odbijania piłki raketką.

Z początku zaskoczony, a potem pełen wdzięczności za to wyróżnienie, Marvin starał się jak mógł, aby zasłużyć na uwagę, jaką poświęcała mu nagle ta nowa, bohaterska postać w jego życiu. Po dwóch tygodniach odbierał piłki zupełnie przyzwyczajenie. A pod koniec lata Marvin Amsterdam pobił nawet jednego czy dwóch chłopców w swojej grupie.

Barney pisał do Laury: "Trenerowi nie podoba się, że opuszczam treningi, żeby pracować z tym dzieckiem. Myślę jednak, że nic w życiu nie dało mi takiej satysfakcji, jak pomoc Marvinowi w zdobyciu większej pewności siebie".

Doug Nordlinger nie był jednak jedyną osobą, której nie podobała się ta nieproporcjonalna koncentracja uwagi Barniego na jednym obozowiczu. W czasie "tygodnia rodziców" inni chłopcy poskarżyli się odwiedzającym ich rodzinom, że ich wychowawca miał swoich faworytów. W rezultacie tego Barney dostał zaledwie czterdzieści dolarów napiwku.

A po szczerzej rozmowie z matką i ojcem Marviną (wyjątkowo pojawili się razem), w której zasugerował dyplomatycznie, że ich syn autentycznie potrzebował profesjonalnej pomocy, oboje po raz pierwszy od lat zgodzili się co do jednego - że Barney wyjątkowo beczelnie pouczał ich, jak mają wychowywać swoje dziecko.

Nie było to najbardziej udane lato. Barney pocieszał się tylko tym, że znalazł trochę czasu na przeczytanie *Objaśnień marzeń sennych* Freuda. W liście do Laury przyznał się, że wzbudziło to w nim uczucia, które mógł tylko porównać do "otworzenia ukrytych za obrazem Salvadora Dali drzwi i znalezienia tam nowego świata - krainy Podświadomości".

Poza tym jedyną jego radością były cotygodniowe listy od Laury. Lecz nawet poczta stała się źródłem pewnego rozczarowania, gdyż zawsze na tej samej papeterii był w niej list dla Jaya Axelroda.

Barney nie zmartwił się więc specjalnie, kiedy nadszedł wreszcie ostatni dzień i kiedy wysiadł z autokaru Greyhound przed Dworcem Centralnym. Większość z jego wychowanków ruszyła w objęcia czekających tam na nich rodziców.

Na Marvina Amsterdama czekała tylko tymczasowa opiekunka, a on nie spieszył się wcale, żeby z nią odejść. Chłopiec zastanawiał się rozpaczliwie, o czym by tu zagadać Barniego, ażeby jak najdłużej uniknąć bólu rozstania. Barney czekał cierpliwie.

- Nie zgub mojego adresu, mały. Obiecuję, że odpiszę na każdy twój list.

Uścisnęli sobie ręce, lecz Marvin nie był w stanie odejść. W końcu zniecierpliwiona opiekunka zabrała swego pupila siłą. Barney patrzył ze smutkiem za chłopcem, odjeżdżającym w limuzynie z szoferem. A, niech cholera weźmie te czterdzieści dolarów! - pomyślał sobie. Nawet dotknięcie ręki tego dzieciaka było tego warte.

Z ulgą rozstał się wreszcie z towarzystwem obozu Hiawatha, lecz kiedy przyjechał do domu, przygnębił go widok Laury siedzącej na werandzie z Jayem Axelrodem.

- Widzę, że to poważne - zauważył Barney na drugi dzień po wyjeździe Axelroda do Cornell na "tydzień studentów pierwszego roku".

- Aha. Być może. Chciał się - jakby to powiedzieć - "przyszpilić". - Niezręcznie pokazała mu szpilkę studenckiego stowarzyszenia swego adoratora, którą trzymała w ręce.

- O, gratulacje. To jak zaręczyny do zaręczyn. Musicie się kochać, co?

Laura zaledwie wzruszyła ramionami i odpowiedziała cicho: - Chyba tak.

Rozdział V

Pod koniec pierwszego miesiąca swego pierwszego roku studiów Jay Axelrod wysłał do Laury list. Pisał w nim, że przebywanie na pustkowiach stanu Nowy Jork było dla niego swojego rodzaju "transcendentalnym doświadczeniem". Miał tam czas na medytację i długie spacery, w czasie których doszedł do wniosku, że formalizacja ich związku była dla Laury krzywdząca. Była jeszcze bardzo młoda i powinna spotykać się z różnymi innymi ludźmi przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. PS. Czy mogłaby mu zatem zwrócić jego szpilkę?

- Co za gówniane pieprzenie! - skrzywił się Barney. - To po prostu tchórzowskie przyznanie się do tego, że ma cię w nosie.

Laura skinęła głową. - Gdyby chociaż miał odwagę przyznać się do tego, że się boi. - Siedziała przez chwilę w milczeniu, a potem uderzyła pięścią w stos zeszytów. - Do diabła! A ja myślałam, że on jest taki uczciwy!

- Większość chłopców zachowuje się egoistycznie wobec dziewcząt - usiłował ją pocieszyć.

- Czy ty też, Barney?

- Pewno tak. Nie miałem jednak jeszcze okazji, żeby to pokazać.

Barney rzeczywiście dawał kibicom Midwood powody do radości.

Od pierwszego gwizdka po końcowy dzwonek walczył jak oszalały demon, blokując, podając, odbijając piłkę i broniąc własnego kosza z zacięłością udzielającą się wszystkim na boisku.

Osiągnięcia te nie pozostały nie zauważone. Pod koniec sezonu został członkiem drugiej drużyny miejskiej. Wybrano go również na kapitana szkolnej drużyny na przyszły rok.

- Ale szczęściarz z ciebie, Livingston - powiedziała z dumą w głosie Laura. - W przyszłym roku trybuny zaroją się od zwiadowców z różnych uczelni. Z pewnością dostaniesz tyle samo propozycji, co ten gówniarz Jay Axelrod.

- O nie, mylisz się, Castellano. Więcej.

Laura, nadal jeszcze obolała i przygnębiona z powodu odrzucenia, usiłowała popełnić polityczne samobójstwo.

Przegrała jednak ze sobą znakomicie.

Zgłosiła swoją kandydaturę na prezydenta całej szkoły - stanowisko, jakiego jeszcze żadna dziewczyna nigdy nie zajmowała. Wygrała - tym razem tylko przy symbolicznej pomocy ze strony Barniego.

Ku swojej konsternacji przekonała się jednak, że nawet wybór na najwyższe stanowisko w Midwood nie zdołał zaleczyć rany zadanej jej poczuciu własnej godności.

Tego wieczoru kapitan i prezydent przeprowadzili w ogrodzie kolejną rozmowę od serca.

Siedzieli na werandzie, spoglądając na cień dębu na tle gwiazd. Barney zdobył się w końcu na odwagę i zapytał: - Ale właściwie dlaczego, Castellano?

- Dlaczego co?

- Kiedy byliśmy mali, nigdy nie przypuszczałem, że będziesz chciała być politykiem. Nie wpadłaś chyba na jakiś szalony pomysł, żeby zostać senatorem czy czymś w tym rodzaju?

- Nie bądź głupi.

- No więc?

- Przrzeknij mi, że mnie nie znienawidzisz.

- Nigdy nie mógłbym cię znienawidzić. No powiedz mi wreszcie.

- No więc - zaczęła ze skrepowaniem - tak pomiędzy nami a tym dębem... myślałam, że będzie to najlepszy sposób na to, żeby się dostać na jakiś dobry uniwersytet. - Przerwała na chwilę, a potem spytała nieśmiało: - Czy uważasz, że jestem obrzydliwą egoistką?

- Słuchaj, ambicja jest zwykłą ludzką cechą - odpowiedział. - Przecież gdyby Jerzy Waszyngton nie był ambitny, nadal wszyscy mówilibyśmy z brytyjskim akcentem. Tak czy nie?

- Nie wiem. Mama mówi, że mężczyźni uważają, że ambicja w kobiecie jest nieatrakcyjna.

- Ależ skąd, moja kochana. Nie ma w tobie nic nieatrakcyjnego, Lauro.

Barney zdziwił się, że trener poprosił go o powrót do obozu Hiawatha - i to na stanowisko głównego wychowawcy. Potem dowiedział się, że zaszczyt ten szedł w parze z dowództwem drużyny koszykarskiej. (Udało mu się nawet skombinować pracę dla Warrena w charakterze młodszego wychowawcy za dwadzieścia pięć dolarów za lato.)

Zająwszy miejsce w kwaterze komendy obozu, Barney przejrzał listę obozowiczów i z ambiwalentnym uczuciem ulgi odkrył, że nie było na niej Marvina Amsterdama. Czy jeszcze kiedyś zobaczy tego dzieciaka? A jeśli tak, czy będzie to Wimbledon czy też Bellevue*?

W każdym razie nie mógł sobie tego lata pozwolić na ryzyko gniewu ze strony Nordlingera. Polecający list trenera będzie się przecież liczył w jego podaniu na uczelnię.

Codziennie, niczym posłuszny mnich, siedział wiernie od czwartej trzydzieści do szóstej w sali rekreacyjnej, trenując z Leavitem, Craigiem Russo i dwoma innymi protegowanymi Nordlingera.

Pewnego wieczoru w połowie sierpnia zadzwonił u niego w pokoju telefon. To Laura dzwoniła ze szpitala.

- Barney, twój ojciec miał wylew.

Zamarła mu krew w żyłach.

- W jakim jest teraz stanie?

- Dopiero rano będą mieli jako taką pewność, ale powinien z tego wyjść. Moja mama jest cały czas z twoją matką. Ona nie chce się ruszyć z poczekalni. Tak jakby się bała, że jeśli zaśnie, to stanie się coś złego.

- Wezmę Warrena i zaraz przyjedziemy tam do was.

- Na litość boską, Barney - ostrzegła Laura. - Tylko prowadź ostrożnie!

Obudził młodszego brata i pobiegł zarekwirować samochód Sandy'ego Leavitta. W dwie godziny i czterdzieści pięć minut później skręcił na parking zarezerwowany "Tylko dla lekarzy". Obaj bracia pobiegli na górę w stronę oddziału kardiologicznego, gdzie płacząco powitała ich matka. Luis uspokoił ich, zapewniając, że niebezpieczeństwo już minęło.

- Śpi teraz spokojnie i myślę, że powinniście zabrać waszą matkę do domu, żeby też trochę odpoczęła.

- Ale co się stało? - dopytywał się Barney.

- To niedokrwienie mózgu - wyjaśnił Luis. - To znaczy zawał mózgu w następstwie zakrzepu w tętnicy mózgowej. Jeszcze jest za wcześnie, żeby można było oszacować zasięg uszkodzenia mózgu.

- Jakie są prognozy? - zapytał z niepokojem Barney.

* Bellevue - słynne światowe rozgrywki tenisowe.

Luis usiłował zdobyć się na szczerłość i pocieszyć ich jednocześnie. - Może to spowodować tylko nieznaczną utratę ruchu lub też paraliż, włącznie z afazją. Musisz jednak pamiętać, że w niektórych przypadkach lekarze po prostu nie mogą niczego prognozować. A teraz zabierz wszystkich do domu.

- To znaczy, że pan tu zostaje? - zapytał Barney.

Luis skinął głową. - Wy jesteście jego rodziną, a ja jego lekarzem.

W ciągu tygodnia stan zdrowia Harolda poprawił się o tyle, że mógł przyjmować gości i mówić cicho, wymawiając niewyraźnie wyrazy. Przed nadejściem Dnia Pracy jedno było jednak dla wszystkich oczywiste - Harold był inwalidą. Nie mógł już dalej pracować.

Estelle udała się do Nauczycielskiej Rady Emerytalnej i wszczęła długie, biurokratyczne starania o przyspieszoną z powodów zdrowotnych emeryturę dla męża. I wówczas poznała bezwzględność ubezpieczeniowych tabel. Harold uczył łącznie przez trzynaście lat i w związku z tym był uprawniony jedynie do pensji, która pokrywała zaledwie koszty ogrzewania w czasie zimy. Wprawdzie jego wojskowa renta inwalidzka wystarczała na spłaty pożyczki na dom, ale reszta...

Tego wieczoru Estelle przedstawiła Barniemu i Warrenowi ponurą rzeczywistość ich sytuacji.

Skończywszy swoje krótkie sprawozdanie, spojrzała ze smutkiem na starszego syna. Barney zrozumiał i nie czekając, aż go poprosi, wziął na swe barki odpowiedzialność za rodzinę.

- W porządku, mamó. Postaram się o jakąś pracę. Starsze roczniki kończą zajęcia o pierwszej, więc chyba będę w stanie dostać jakąś pracę na popołudnia i weekendy.

Estelle popatrzyła na niego z niemą wdzięcznością. Warren dopiero wówczas pojął cenę tego poświęcenia. - Ale co z twoją koszykówką? Przecież trenujesz codziennie po południu.

- Wiem, Warren, wiem! - wybuchnął z rozpaczą Barney. - Będę musiał po prostu zrezygnować z tej choleralnej drużyny.

Siedział wpatrzony w zawartość otwartej szafki - tenisówki, szorty, koszulkę i inne drobiazgi związane ze sportem, który w ciągu tych ostatnich lat przyniósł mu tyle radości. Nie mógł się zdobyć na to, żeby to wszystko teraz oddać.

Nagle posłyszał ochryple głosy swoich byłych współzawodników, którzy właśnie weszli do szatni. Dla wszystkich była to kłopotliwa sytuacja. W końcu Craig Russo przełamał lody: - Jak się czuje twój tato, Livingston?

- Nieźle, Craig. Dziękuję za pamięć.

Potem odezwał się Sandy Leavitt: - Będzie tu nam ciebie brakowało.

- Aha. Mnie was również.

Na koniec, jak zwykle niezręcznie, Sandy dodał: - Chyba słyszałeś, że ja... jestem teraz kapitanem?

Ku zdziwieniu Barniego Laura czekała na niego na zewnątrz.

- Czy nie masz teraz jakichś rządowych obowiązków lub czegoś w tym rodzaju?
- wysilił się na kiepski dowcip.

- Myślałam, że przyda ci się ktoś do towarzystwa w drodze do domu.

- Ach, tak! - przerwał i po chwili dodał: - Dziękuję, Castellano.

Pracy na pół etatu nie brakowało. To znaczy, jeśli nie miało się nic przeciwko monotonnym zajęciom i niskim zarobkom.

Barney zdecydował się na coś, co miało choć pozory urozmaicenia - obsługiwanie punktu z wodą sodową i funkcję chłopca na posyłki w aptece Lowensteina przy alei Nostrand, parę przecznic od domu. Codziennie po lekcjach pędził do pracy, gdyż płacono mu za godziny. Nakładał biały fartuch i idiotyczny biały kapelusz i sprzedawał klientom, których przez całe życie znał jako sąsiadów, lody, wodę sodową czystą lub z sokiem albo - kiedy się nadarzyła okazja - banany nadziewane lodami i bakaliami. Za każdym razem, kiedy wyobrażał sobie, że wrzuca piłki do kosza w ciepło oświetlonej sali, zmuszał się do powrotu do rzeczywistości, w której włókł się po chłodnych ulicach Brooklynu, roznosząc lekarstwa do domów.

Usiłował pocieszyć się myślą, że przynajmniej tę część jego pracy można było uważać za edukacyjną. Stary Lowenstein pozwalał mu w końcu przyglądać się, jak mieszał różne lecznicze płyny.

- Jedno jest pewne, Barney - mówił mu z uśmiechem. - Najwyższą notę z farmakologii masz na medycynie zapewnioną.

Apteka była oficjalnie otwarta do 19.30, ale zazwyczaj było już dobrze po dwudziestej, kiedy Barney wracał wreszcie do domu. Matka zawsze czekała na niego z

kolacją i dotrzymywała mu towarzystwa, kiedy Warren uczył się na górze. Był to jej sposób na okazanie mu wdzięczności za jego poświęcenie.

Ze zrozumiałych powodów rozmowa z nią przypominała nieustanną serię wspomnień.

- On zawsze miał tyle werwy - mówiła z nostalgią.

- Aha. Słyszałem coś o tym.

- Zawsze schodziliśmy ostatni z tanecznego parkietu. Byłam zupełnie wykończona. Kiedy przychodziliśmy do domu, on jeszcze wchodził czasem do swego gabinetu i czytał jakiegoś łacińskiego autora aż do śniadania. Nic dziwnego, że był najpopularniejszym nauczycielem w szkole.

Barney położył dłoń na rękę matki. - Nie martw się, mamó. No i co z tego, że musi się teraz podpierać laską? Przynajmniej możemy z nim rozmawiać.

Skinęła głową. - Masz rację. Powinniśmy być za to wdzięczni. - A potem szepnęła czule: - Jesteś dobrym chłopcem, Barney.

Co wieczór powtarzała nieomal ten sam monolog.

Następnie przychodziła kolej na najgorszą część dnia - odwiedziny u ojca.

Harold spędzał większość czasu w łóżku na czytaniu. Najpierw porannych gazet, potem jakichś uczonych prac, a kiedy przebudził się z popołudniowej drzemki, przeglądał "World-Telegram". Po kolacji był już zazwyczaj zmęczony i miał siły jedynie na przyjmowanie gości.

Czując się winny z powodu swojego "nieróbstwa", brał zwykle ciężar rozmowy na siebie, rozprawiając na temat bieżących wydarzeń lub omawiając książkę, którą aktualnie czytał. W jego głosie zawsze brzmiała jednakże ledwie dosłyszalna nuta skruchy.

Barney wyczuwał to i odwracając tradycyjne role, usiłował uspokoić ojca, opowiadając mu o interesujących zdarzeniach ze swego intelektualnego świata. Pewnego wieczoru wspominał o swojej fascynacji psychoanalizą.

- Tato - zapytał. - Czy czytałeś może kiedyś Freuda?

- Owszem. Trochę.

Odpowiedź ta zaskoczyła Barniego. Spodziewał się, że ojciec nie miał pojęcia o takich "nowoczesnych" sprawach.

- Kiedy byłem w wojskowym szpitalu - ciągnął Harold - był tam taki bardzo miły psychiatra, który odwiedzał nas i zmuszał do ciągłego opowiadania o tym, jak

doznaliśmy naszych obrażeń. Robił to chyba ze dwanaście razy. I to pomagało. Naprawdę pomagało.

- Ale w jaki sposób, tato? - zapytał Barney ze wzrastającą ciekawością.

- No cóż, wiesz pewno, w jaki sposób Freud wyjaśnia proces snu.

- On twierdzi, że sny otwierają drzwi do naszej podświadomości.

- No właśnie. Otóż ten doktor leczył moją psychę, pomagając jej "śnić na głos".

Każdej nocy przeżywałem od nowa tę eksplozję, ale ciągle rozmawianie o tym położyło w końcu kres tym koszmarom.

Nagle przyszło mu na myśl zapytać: - A tak nawiasem mówiąc, w związku z jakim przedmiotem to czytasz?

Barney przyznał się ze wstydem, że studiuje psychologię w "wolnych chwilach". Obaj wiedzieli, że w ogóle nie miał czasu i Barney spodziewał się nagany za zaniedbywanie szkolnych obowiązków. Jednakże i tym razem ojciec zaskoczył go swoją reakcją.

- No cóż, synu, nie pomoże to twoim stopniom. Zawsze jednak uważałem, że właściwym celem edukacji jest stymulowanie umysłu do samodzielnego myślenia. Czytałeś może Junga?

Barney pokręcił głową.

- Przyjrzyj się jego teorii snów i kolektywnej podświadomości. Może moglibyśmy potem porozmawiać na ten temat?

- Dobrze, tato. Poproszę mamę, żeby mi przyniosła jego egzemplarz z biblioteki.

- Nie ma potrzeby - odpowiedział Harold. - Mamy go u nas w bibliotece, na tej samej półce co Artemidorus.

Od tego czasu Barney wyczekiwał wizyt u ojca i uważał je za najlepsze chwile dnia.

Zazwyczaj zasiadał do lekcji dopiero po dziesiątej. O północy był już tak zmęczony, że padał na łóżko. Nic zatem dziwnego, że zaczął pozostawać w tyle za resztą klasy.

Nie był nawet w stanie nadrobić zaległości w trakcie sobót i niedziel. W soboty musiał się stawiać u Lowensteina o ósmej rano i pracować cały dzień.

Pozostawały mu zatem tylko niedzielne popołudnia. W końcu nastawił się do tego fatalistycznie. Wiedział już, że nie zdoła otrzymać uczelnianego stypendium na

podstawie swoich osiągnięć w koszykówce. A ze stopniami na obecnym poziomie w ogóle nie przyjmą go na uniwersytet w Kolumbii.

A skoro tak, to czemu, u diabła, w ten jeden jedyny wolny dzień nie miałyby iść na boisko i dla relaksu nie rzucić się w wir ostrego kosza? Grał tak długo i zaciekle, że w końcu chłopcy jeden po drugim wymawiali się zmęczeniem i szli do domu.

Stopnie za pierwszy semestr były, tak jak się spodziewał, niższe niż zwykle. Jednakże łączna średnia nadal przekraczała dziewięćdziesiąt punktów, co automatycznie wcale nie wykluczało możliwości dostania się na uczelnię. A zwłaszcza jeśli powiodłoby mu się dobrze na zbliżających się egzaminach Ministerstwa Oświaty, które służyły ocenie umiejętności matematycznych i werbalnych każdego kandydata. Teoretycznie było to coś w rodzaju badania krwi - na co trudno było się przygotować.

W rzeczywistości jednakże w trakcie zimowych wakacji uczniowie uczęszczali na kosztowne kursy douczające dla poprawienia swoich "zdolności". Każda rodzina z ambicjami wspinania się po szczeblach drabiny społecznej wygrzebywała skądś dwieście dolarów mających zapewnić dzieciom wyniki przerastające ich normalne możliwości. Inez Castellano uważała to za rodzaj oszustwa i kompromitację własnego honoru. Luis jednakże był większym realistą i zlekceważył jej sprzeciwy. Dlaczego miałyby ograniczać szansę córki? Hojnie zaofiarował nawet pokrycie kosztów kursu dla Barniego, któremu jednak duma nie pozwoliła na przyjęcie tej propozycji.

Barney pracował w dzień Bożego Narodzenia (za podwójną zapłatę), gdyż apteka Lowensteina miała akurat dyżur w tym rejonie. Czuł się bardzo osamotniony, tym bardziej że Laura ciągle zdawała się nieuchwytna. Albo biegła na douczające kursy, albo bawiła się gdzieś, nie wiadomo gdzie.

Pojawiła się na tydzień przed SAT* i zaproponowała, że podzieli się z nim sztuczkami, których ją nauczono. Przyjął tę propozycję z wdzięcznością i oboje spędzili kilka kolejnych wieczorów na wkuwaniu razem.

Wyniki okazały się szczęśliwe, ale jak na ironię Laura uzyskała zaszczytne sześćset dziewięćdziesiąt punktów ze słownictwa i sześćset sześćdziesiąt z matematyki, a Barney kolejno siedemset dwadzieścia i siedemset trzydzieści pięć.

- Do licha, Barney, te liczby zapewnią ci miejsce na każdej uczelni w kraju - zauważyła Laura.

* SAT, Standard Appreciation Test - ogólnostanowy test oceniający umiejętności matematyczne i werbalne uczniów szkół średnich.

- Słuchaj, Castellano - wykrzywił się. - Gdybym mógł grać w piłkę w tym roku, jedyny wynik, jaki byłby mi potrzebny, to dwadzieścia punktów na mecz.

Ostra zima dawała mu się solidnie we znaki i Barney zaczął przychodzić do domu ledwo żywy ze zmęczenia. Czasami spał zaledwie cztery godziny dziennie. Był to już jednak jego ostatni semestr, ostatni okres pobytu w domu. Za parę dni będzie już po wszystkim i pozostaną tylko okrzyki radości.

Albo płacz.

Pewnego sobotniego wieczoru siedział w aptece nieomal do północy, pomagając panu Lowensteinowi w inwentaryzacji. Skończywszy pracę, powlókł się mozolnie przez szarą pluchę do domu. Wszedł chwiejnie na schody, marząc jedynie o tym, żeby położyć się do łóżka i nie śnić już o żadnych aspirynach, antyhistaminach i środkach przeczyszczających.

Kiedy ściągał płaszcz, żołądek przypomniał mu, że dano mu tylko kanapkę na kolację, więc zawlókł się ciężko do kuchni. Ku jego zdziwieniu w kuchni paliło się światło. Jeszcze bardziej zaskoczył go widok siedzącej tam samotnie Laury.

- Hej, co, u diabła, przyniosło cię tu tak późno, i to do tego w sobotni wieczór? - zapytał.

- Barney, muszę z tobą porozmawiać. To ważne.

- Tato? - zapytał w natychmiastowym odruchu. - Czy coś się stało ojcu?

- Nie, nie, to nie to - przerwała, a potem dodała ledwo dosłyszalnym głosem: - To o mnie chodzi, Barney. To ja jestem w kłopotach. Wiem, że jesteś zmęczony...

- Nic nie szkodzi. To nieważne. Siadaj. Wezmę sobie kanapkę i pogadamy.

- Nie. Nie tutaj. Czy możemy wyjść na spacer?

- O tej porze?

- Tylko wzdłuż ulicy. Możesz zjeść tę kanapkę po drodze.

Po raz pierwszy przyjrzał się jej uważnie. Zobaczył w jej oczach panikę.

- W porządku, Castellano, w porządku.

Złapał w garść kilka czekoladowych herbatników, narzucił na siebie zachlapaną błotem, zielonkawą kurtkę i wyszli razem na ulicę.

Pierwsze sto metrów przeszli w zupełnym milczeniu. W końcu Barney nie mógł już dłużej wytrzymać tego napięcia.

- Czy powiesz mi w końcu, o co chodzi?

- Wiesz... nie mam okresu... - wykrztusiła. - A to już sześć tygodni.

- Czy to znaczy, że jesteś w ciąży?

Zdobyła się tylko na skinienie głową.

- O Boże, jak to się mogło stać?

- Nie wiem, Barney. Tak mi wstyd, naprawdę. I tak potwornie się boję!

Opanowało go nagle niczym niewytłumaczalne poczucie zdrady.

- Dlaczego, u diabła, nie pójdziesz do tego sukinsyna, co to zrobił? - warknął z wściekłością. Nie mógł się zmusić do nazwania go "ojcem".

Potrząsnęła głową. - Bo to cham. Jesteś jedyną osobą, której mogłam o tym powiedzieć.

- Czy mam się w związku z tym czuć zaszczycony?

Znużony zaczerpnął powietrza, lecz widząc jej przygnębienie, usiłował opanować własne uczucia. - No, dobrze - powiedział wolno i dobitnie. - Czy tak dla informacji własnej mogę wiedzieć, kim jest ten facet?

- To... Sandy Leavitt.

Barney nie był w stanie powstrzymać się od gniewnego wybuchu: - Ale dlaczego właśnie on?

- Proszę cię - błagała. - Gdybym chciała, żeby na mnie krzyczano, to powiedziałabym o tym rodzicom. - A potem przyszła kolej na łzy. - Proszę cię, Barney, pomóż mi - szlochała.

Zatrzymał się w cichej, zimowej ciemności i szepnął: - Uspokój się, Lauro. Chodźmy gdzieś, gdzie jest ciepło, i obgadamy tę sprawę. Mama już o tej porze śpi. Nikt nas nie usłyszy.

Wróciwszy do kuchni, zaczęli sumować swoją wspólną niewiedzę dotyczącą nielegalnych praktyk medycznych, usiłując obmyślić jakiś plan działania.

Było mu nieomal równie ciężko tego słuchać, jak Laurze o tym mówić. Staczał w sobie zaciętą walkę pomiędzy wściekłością a litością.

Laura wiedziała o dwóch innych dziewczętach z Midwood, które znalazły się w podobnym położeniu. Każda z nich podjęła inne kroki dla rozwiązania tego problemu.

Jedna zapłaciła pięćdziesiąt dolarów jakiemuś ciemnemu typkowi w obskurnym dwupokojowym mieszkaniu na piątym piętrze kamienicy w pobliżu Red Hook. Było to przerażające doświadczenie i miała wyjątkowe szczęście, że wyszła z tego cało. Powiedziała potem Laurze, że facet ten był tak brudny, że widziała brud pod jego paznokciami.

Druga dziewczyna powiedziała o tym rodzicom, którzy mimo swego oburzenia postarali się o przerwanie ciąży w sterylnych warunkach medycznych. Alternatywa ta wymagała wyjazdu do Puerto Rico - w czasie letnich wakacji, kiedy jej nieobecność nie wzbudziła żadnych podejrzeń.

- Barney, co my teraz zrobimy? - A potem zawstydzona poprawiła się szybko: - Przepraszam. Nie powinnam używać słowa "my". To w końcu jest mój problem.

- Nie, Castellano. Poczekaј trochę, a znajdziemy jakieś bezpieczne wyjście. Po pierwsze, czy jesteś absolutnie pewna, że jesteś w ciąży?

- Powinnam dostać okres dwa tygodnie temu. Zazwyczaj jestem punktualna jak zegarek.

- W porządku. Musimy zatem znaleźć prawdziwego lekarza, i to bliżej niż w Puerto Rico. Dobrze byłoby zapytać twego ojca, to znaczy udawać, że chodzi o kogoś innego.

- Nie, Barney. On by to od razu przejrzał. Wolałabym raczej umrzeć, niż mu o tym powiedzieć.

Odwróciła się. Całym jej ciałem wstrząsnął stłumiony szloch. Barney wstał, obszedł stół i położył jej dłonie na ramionach.

- Lauro, powiedziałem ci, że się tym zajmę. - I jednocześnie pomyślał sobie: Gdybym tylko, do cholery, wiedział jak!

Przez całą niedzielę kłopot Laury usunął wszystko na dalszy plan.

Pod wieczór zdołał wmówić sobie, że z pewnością nazajutrz znajdzie kogoś w szkole, kogoś, o kim po prostu jeszcze nie pomyślał, a kto znał wszystkie możliwe chwytły.

W poniedziałek rano, w czasie jazdy do szkoły, prawie ze sobą nie rozmawiali. Uderzyło go to, że wszystko zdawało się takie normalne. Dziewczyna siedząca obok niego była tą samą osobą, którą znał od tylu lat. Tylko że teraz rosło w jej wnętrzu czyjeś dziecko.

Kiedy rozstali się w głównym westybulu, zaczął przemierzać korytarze. Po każdej lekcji chodził niczym myśliwy na tropach swej ofiary, przyglądając się uważnie każdej mijanej twarzy. W czasie przerwy obiadowej przeszukał wzrokiem jadalnię, ale nadaremnie. Do pierwszej nie poczynił żadnych postępów.

Wszedł do apteki i zaczął przeglądać recepty i lekarstwa przygotowane już do rozniesienia. Jak zwykle pan Lowenstein wygłosił przyszłemu lekarzowi krótki wykład

o właściwościach każdego preparatu. Barney słuchał grzecznie, po czym zgarnął wszystkie paczuszki do płóciennej torby i wyszedł na zewnątrz, w przejmujące zimno, gdzie przynajmniej mógł przebywać sam na sam ze swoimi myślami.

Dopiero w drodze powrotnej przyszedł mu do głowy pewien pomysł. A gdyby tak zapytać o to starego Lowensteina? Przecież jego wiadomości nie są wcale mniejsze niż niejednego lekarza, a poza tym codziennie wielokrotnie spotyka się z nimi. A może by tak jego poprosić o pomoc?

Ale jeśli się rozzłości - co nie ulega wątpliwości - to pewno stracę pracę.

Ściągając kalosze, spojrzął na swego pracodawcę. Bez wątpienia aptekarz był człowiekiem o dobrej i życzliwej twarzy. Chociaż nie było aptekarskiego odpowiednika przysięgi Hipokratesa, Barney wiedział, że stary Lowenstein nie plotkował. Kiedy otrzymywał receptę na coś potencjalnie kompromitującego, tak jak w przypadku jednego klienta, który zaraził się rzeżączką, kazał Barniemu pilnować apteki, a sam poszedł osobiście dostarczyć mu penicylinę, nikomu nie zdradzając, gdzie idzie.

Pozostawało zaledwie piętnaście minut do zamknięcia sklepu i pan Lowenstein zaczął już zamykać niebezpieczne leki, kiedy Barney podszedł do niego, pytając, czy mógłby z nim przez chwilę porozmawiać. - Oczywiście, Barney, o co chodzi? Jeśli masz na myśli podwyżkę, to nie musisz się martwić. Miałem zamiar dać ci ją od przyszłego miesiąca.

- O nie, nie! - odpowiedział prędko Barney. - Chodzi o inny problem.

- Jaki znowu problem?

- Otóż... - Barney zawahał się, a potem wyrzucił z siebie prędko: - Jedna z dziewcząt, którą znam, jest w kłopotcie.

Stary Lowenstein przyjrzał się twarzy Sarniego i mruknął: - Czy mam przez to rozumieć, że ty jesteś odpowiedzialny za ten niefortunny wypadek?

Barney skinął głową.

- To straszne - powiedział aptekarz, nie okazując jednak gniewu. - Jak sądzisz, po co sprzedajemy tu środki antykoncepcyjne? Jeśli młodzi chcą się angażować w tego typu rzeczy, to powinni przynajmniej odpowiednio się zabezpieczyć. Prawdę rzekłszy, Barney, dziwię się tobie.

- Tak, proszę pana.

Potem nastąpiła cisza, gdyż żaden z nich nie wiedział, kto miał teraz mówić.

W końcu Barney zapytał z wysiłkiem: - Czy może mi pan w jakiś sposób pomóc, panie Lowenstein? Proszę mi wierzyć, wstydzę się pana o to prosić, ale ona jest

zrozpaczona - to znaczy oboje jesteśmy zrozpaczeni. Nie chcę, żeby poszła do jakiegoś rzeźnika z ciemnego zaułka. To przecież mogłoby zagrozić jej życiu. - Potem poczuł się potwornie nieswojo i przeprosił: - Sądzę, że nie powinienem o tym panu mówić.

Aptekarz westchnął: - Barney, to, czego nie powinienes, to narobić tej młodej kobiecie kłopotów. Ale jeśli z jakiegoś powodu nie możecie się pobrać - bo chyba jesteście jeszcze na to za młodzi - to sądzą, że musicie się zdecydować na tę drugą alternatywę. Nie wiem, czy to słuszne. Nie jestem Panem Bogiem. Ale postaram się ci pomóc.

Barniego ogarnęło ogromne uczucie ulgi. Miał ochotę zarzucić mu rękę na szyję.

- Zamknij aptekę i przyjdź do mnie na zaplecze - rozkazał mu szef.

Barney pospiesznie wykonał polecenie i wszedł do kantorka aptekarza. Lowenstein wypisywał na małej karteczce numer telefonu.

- Nie pytaj mnie, skąd mam te wiadomości - zaznaczył - ale z tego, co słyszę, ten człowiek jest bardzo ostrożny. Na wszelki wypadek przepisuje nawet pozabiegowe antybiotyki.

Barney spojrział na kartkę. - Doktor N. Albritton - w Pensylwanii?

Jego pracodawca wzruszył ramionami. - To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, mój chłopcze. Podobno przyjmuje pacjentów w soboty i niedziele, co trochę ułatwia całą sprawę. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. No więc?

- Słucham?

- Czy zamierzasz dzwonić w takiej sprawie od siebie z domu? Siadaj tutaj i dzwoń. \

Pan Lowenstein taktownie wyszedł z pokoju, a Barney w staniej małego szoku połączył się z międzystanową telefonistką i poprosił o numer w Chester, w stanie Pensylwania. Po chwili usłyszał spokojny głos lekarza. A potem nadszedł najtrudniejszy moment.

Usiłował jak najszybciej wyłuszczyć mu swoją sprawę, nie podając jednocześnie zbyt wielu szczegółów dla ochrony tożsamości Laury. Lekarza jednak najwidoczniej nie interesowały takie drobiazgi.

- Myślę, że wiem, jaki jest charakter tej sprawy. Czy moglibyście przyjść do mnie do kliniki w sobotę rano? Jesteśmy na przedmieściach Filadelfii.

- Tak, oczywiście. Będziemy u pana, kiedy tylko pan sobie życzy.

- No więc, powiedzmy, że o jedenastej, dobrze?

- Tak, proszę pana. Dziękuję panu bardzo.

Nie był to bynajmniej koniec rozmowy. - Panie Smith, mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z wysokości mojego honorarium?

- Nie, nie, ale przyniesiemy ze sobą pieniądze, niech się pan nie obawia. Ale ile ono właściwie wynosi?

- Czteryście dolarów. Oczywiście w gotówce.

Barney zaniemówił.

W końcu głos lekarza zapytał uprzejmie: - Czy to zmienia w jakiś sposób postać rzeczy, panie Smith?

- Nie, nie. W porządku - odpowiedział Barney ochryple.

Kiedy Lowenstein wszedł z powrotem do biura, zarzucili na siebie płaszcze i wyszli tylnymi drzwiami z apteki.

Barney rozpływał się z wdzięczności. Zwrócił się do swego pracodawcy i powiedział ze wzruszeniem:

- Jakże ja mogę się panu za to kiedykolwiek odwdziżyć, panie Lowenstein?

Stary przystanął i spojrzał na Barneygo. - Nie wspominając o tym nikomu. Nigdy.

- O rany, Barney, skąd my, u diabła, weźmiemy te czteryście dolarów? Nie mam nawet pięćdziesięciu na koncie. Znowu jesteśmy w tym samym punkcie i nic na to nie możemy poradzić!

Rozpłakała się.

Odpowiedział bez wahania: - Słuchaj, Castellano, jedziemy tam w sobotę i wszystko będzie w porządku.

- A co z tymi czterema stówkami?

Barney uśmiechnął się. - Nie ma sprawy. Mam prawie tyle w banku.

Popatrzyła na niego zaskoczona. - Przecież pracowałeś na te pieniądze jak dziki osioł. Oszczędzałeś je na uniwersytet.

- To nieważne. To moja forsa i mogę z nią zrobić, co mi się podoba. Nie traćmy więc czasu na dyskusje na ten temat. Lepiej zastanówmy się nad tym, jak, u diabła, wytłumaczyć rodzicom nasze zniknięcie w sobotę rano?

Laura nie potrafiła dokładnie sprecyzować tego, co czuła. W końcu szepnęła cicho: - Wiem, że to zabrzmiało głupio, Barney, ale zrobiłabym to samo dla ciebie.

- Wiem - skinął poważnie głową.

Następnego dnia Barney udał się prosto po szkole do banku i wyciągnął ze swego konta trzysta osiemdziesiąt siedem dolarów i pięćdziesiąt siedem centów. Laura opróżniła swoje z czterdziestu sześciu dolarów i jednego centa. Potem poszli zakupić autokarowe bilety powrotne po sześć siedemdziesiąt pięć każdy.

Barney zaplanował tę podróż z dokładnością Hannibala opracowującego przejście przez Alpy. Autokar Greyhound odchodził o siódmej rano i przyjeżdżał do Filadelfii tuż przed dziewiątą. W ten sposób pozostawały im dwie godziny na dotarcie do kliniki doktora Albrittona.

Pan Lowenstein zwolnił go na jeden dzień, a rodzicom powiedzieli, że będą próbowali dostać bilety na miejsca stojące na popołudniowy spektakl *Antoniusza i Kleopatry* z Laurence'em Olivierem i Vivien Leigh w rolach głównych. Ponieważ mieli wychodzić wcześnie rano, planowali, że zjedzą śniadanie u Nedicka na Times Square. A potem może pójdą do Lindy'ego albo Jacka Dempseya na jakieś kanapki i sernik, więc przypuszczalnie wrócą do domu trochę późno.

O północy Barney ciągle jeszcze wiercił się w łóżku, usiłując zasnąć. Nagle usłyszał coś, co przypominało dźwięk kamyczków rzucanych w okno. Wyjrzał na podwórze i zobaczył sylwetkę Laury. W mgnieniu oka był przy niej.

- Barney, dostałam okres!

- A zatem był to fałszywy alarm?

Śmiała się i płakała na przemian. - Tak, Livingston, fałszywy alarm! Czy to nie cudowne?

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

- Castellano, nawet nie wiesz, jak ja się cieszę! - wyszeptał.

- Hej, Barney - powiedziała żarliwie. - Nigdy ci tego nie zapomnę. Myślę, że jesteś najwspanialszym facetem na świecie.

Rozdział VI

Nikogo nie zdziwiło, że Laura została przyjęta do Radcliffe - i to na pełne stypendium. Nie posiadała się z radości, że będzie studiować na siostrzanej uczelni Harvardu, gdyż uważała ją za najlepszą pozycję do szturmowania ostatecznej cytadeli - Szkoły Medycznej.

Radość Barniego była o wiele bardziej powściągliwa. Został, co prawda, przyjęty na Kolumbię, ale jego stypendium pokrywało jedynie czesne.

- Ale będziesz chyba w stanie grać w kosza, co? - zapytała Laura.

- Owszem, ale tylko pod warunkiem, że będą trenować od północy do czwartej nad ranem - odpowiedział z goryczą.

Postanowiwszy mimo wszystko w pełni cieszyć się studenckim życiem, Barney znalazł pracę, która dawała mu tyle pieniędzy, że mógł podtrzymywać swój udział w rodzinnym budżecie i równocześnie zamieszkać w domu akademickim.

Pierwszego lipca został pomocnikiem nocnego portiera w jednym z eleganckich bloków mieszkalnych w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Nowego Jorku. Zajęcie to było męczące, ale za to opłacalne. Przed nadejściem Dnia Pracy zarobił tyle, że mógł pokryć koszty czynszu za pierwszy semestr.

Nagle przyszedł czas na pożegnanie z Laurą - moment, z którym nie mógł pogodzić się przez całe lato. Obserwując tydzień wcześniej przez okno, jak dwóch krzepkich mężczyzn z Railway Express ładowało do ciężarówki kufer Laury, nie pozwolił sobie na rozmyślanie nad znaczeniem tego zdarzenia.

W przeddzień jej wyjazdu siedzieli obok siebie na tylnych schodkach, wpatrzni w zarys dawno zaniedbanego kosza.

- Boisz się, Castellano?

- Więcej, jestem wręcz przerażona. Ciągłe wydaje mi się, że przyjęli mnie przez pomyłkę i że obleję wszystkie kursy.

- Aha - odpowiedział. - Dobrze znam to uczucie.

Siedzieli w milczeniu. Nagle Laura szepnęła: - A gównno!

- O co chodzi? - zapytał.

- Cholerna szkoda, że nie będzie cię w Bostonie.

- Ja też bym wolał grać dla Boston Celtics*, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.
- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to podobało.
- Więc jak, u diabła, chcesz zostać lekarzem?
- Nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Naprawdę nie wiem.

Uczelnia Radcliffe wydawała co roku broszurę zatytułowaną *Rejestr studentek pierwszego roku*. Zawierała ona imiona i zdjęcia wszystkich nowicjuszek dla ułatwienia im zapoznania się ze sobą. Dokument ten był jednak o wiele ważniejszy dla chłopców z Harvardu, którzy jak doradcy w końskich wyścigach studiowali go i zakreślali prawdopodobnych zwycięzców.

W 1954 roku fotografia Laury Castellano zakreślona była nieomal w każdym egzemplarzu, o czym świadczyła fala telefonów do najnowszej mieszkanki Briggs Hall.

Z początku jej to pochlebiało. Potem bawiło, lecz kiedy minuta po minucie męskie głosy, od wysokich tenorów po głębokie basy, powtarzały jak papugi: “Nie znasz mnie jeszcze, ale...” poprosiła dziewczynę w centralce, żeby zignorowała wszystkie kolejne telefony. (Możesz im nawet powiedzieć, że jestem trędowata.)

Następnego ranka spotkała się ze swoją doradczynią, Judith Baldwin, pełną życia, czterdziestoletnią profesorką w katedrze biologii, która nie wierzyła, aby Laura miała szansę dostania się do Szkoły Medycznej, a zwłaszcza na Harvardzie. Przyznała się, że ją samą odrzucono zaledwie dwanaście lat temu.

- Naturalnie, nie mogłam tego brać zbyt osobiście, to była wówczas oficjalna polityka. Harvardzka Szkoła Medyczna zaakceptowała pierwszą kobietę dopiero w 1945 roku.

- Nie przyjmowali kobiet nawet w czasie wojny? - zapytała ze zdziwieniem Laura.

Judith pokręciła głową. - Najwidoczniej kobiety nie były godne harwardzkiej aprobaty. Teraz przyjmują tylko jakieś pół tuzina - i jest to dla nich monumentalne ustępstwo. Jeszcze w 1881 roku grupa bostońskich kobiet zaproponowała Harvardowi milion dolarów - wyobraź sobie, jakie to były wtedy pieniądze - w zamian za szkolenie paru kobiet rocznie. I Harvard nie zgodził się na to.

Nie dodało to Laurze specjalnej otuchy.

* Boston Celtics - drużyna koszykarska.

Tymczasem Judith opowiedziała następną pikantną historyczną anegdotę. - A mimo to mieli wówczas jedną kobietę na liście wykładowców. Czy mówi ci coś nazwisko Fanny Farmer?

- Czy to ta autorka książki kucharskiej?

Judith skinęła głową. - Otóż wyobraź sobie, że gotowanie było kiedyś obowiązkowym przedmiotem w Szkole Medycznej.

- Ale po co?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Judith. - Wydaje mi się jednak, że skoro studentom nie wolno było się żenić, to profesorowie uznali widocznie, że powinni nauczyć się gotować.

- Brzmi to trochę zakonie - zauważyła Laura. - Ale mimo wszystko chcę spróbować, pani profesor. Czy może mi pani pomóc?

- Pod warunkiem, że rzeczywiście czujesz się na tyle silna, aby przeżyć możliwość odrzucenia, Lauro. Uwierz mi, to naprawdę może doprowadzić człowieka do wściekłości, jeśli się widzi chłopaka na chemii czy biologii, którego się właściwie douczało, żeby mógł się prześlizgnąć ze swoją czwórką, a który mimo to dostaje się do Szkoły Medycznej, podczas gdy twoje piątki nie są dla nich na tyle dobre, żeby zagwarantować ci przyjęcie. Jeśli sądzisz, że przemawia przeze mnie gorycz - nic na to nie poradzę, ale taki mam do tego stosunek.

- Czy usiłuje mnie pani zniechęcić? - spytała Laura.

- A udało mi się? - zapytała Judith.

- Nie - odpowiedziała stanowczo Laura.

- To dobrze - Judith uśmiechnęła się szeroko. - A teraz zabierzemy się do opracowania strategii walki.

Wróciwszy do Briggs Hall, Laura znalazła plik wiadomości telefonicznych od nieznanego adoratora oraz list od Barniego.

Droga Castellano,

to pierwsza rzecz, jaką piszę na tej maszynie, którą dostałem od Twoich rodziców z okazji ukończenia szkoły.

Właśnie się wprowadziłem do John Jay Hall. Pokój mój nie jest specjalnie obszerny. W porównaniu z nim budka telefoniczna wygląda jak Dworzec Centralny. Spotkałem już jednak kilku fajnych chłopaków i paru przyszłych studentów medycyny.

To ciekawe, ale jakoś nie wpadłem dotąd na przy sztych medyków, którzy byliby jednocześnie mili. Wydaje mi się, że większość z nich pragnie specjalizować się w czymś, co można byłoby nazwać "Syndromem króla Midasa". Główną lekturą rekreacyjną jest tutaj "Ekonomia medyczna".

Uniwersytet kolumbijski jest świetny i chociaż muszę pozaliczać wszystkie przekłete przedmioty ścisłe, to jednak postanowiłem specjalizować się w języku angielskim. Jakże mógłbym przepuścić szansę posłuchania wykładów takich siłaczy, jak Jacaues Barzun czy Lionel Trilling? Ten ostatni prowadzi zajęcia na temat "Freud i kryzys kultury". Wyobrażasz sobie - na kursie literatury?

Wszystko byłoby dobrze, gdybym nie musiał przerabiać chemii organicznej, ale chcę się pozbyć tego cholernego świństwa, żeby nie wisiało to nade mną jak miecz Damoklesa.

Tak dla hecy poszedłem w zeszłym tygodniu na selekcję do drużyny koszykarskiej pierwszego roku. Wiedząc, że i tak nie będę mógł grać - nawet jeśli zostalbym wybrany do drużyny - byłem na zupełnym luzie.

Cała sala, od ściany do ściany, wypełniona była wysokimi, muskularnymi blondynami z Midwest, którzy mieli tu pewno stypendia za łuskanie kukurydzy. (Nie musisz mi tego mówić - wiem, że jestem zazdrosny.)*

W każdym razie powoli oddzielano plewy od ziarna (zauważ, proszę, że nadal trzymam się rolniczej metaforyki) i ciągle jakoś mnie nie odrzucano.

W ostatniej selekcji zupełnie mi odbiło - próbowałem idiotycznie dalekich strzałów z podskoku, nawet leworęcznych rzutów, które jakimś perwersyjnym wprost cudem trafiały do kosza.

Na koniec trener pierwszego roku Kolumbii, niezwykle zarozumiały facet o nazwisku Ken Cassidy, przyjął mnie w szeregi swojej drużyny.

No więc, kiedy już wygłosił tę swoją nadętą orację, podszedłem do niego i powiedziałem mu, że finansowe obligacje nie pozwalały mi przyjąć jego łaskawej propozycji.

Odpowiedź, jaką mi dał, trochę roztrzaskała ten jego obraz doskonałości. Było to mniej więcej w stylu - a po co ty, u diabła, sukinsynu, tra ciłeś mój (niewymownie) cenny czas, skoro i tak wiedziałeś, że nie będziesz mógł grać? I tak dalej. Niektórych epitetów nie sły szalem nawet na boiskach Brooklynu.

Muszę już jednak kończyć. Wyślę ten list w drodze do pracy.

Mam nadzieję, że jesteś grzeczna.

Ucałowania

Barney

W Boże Narodzenie mieli sobie tyle do opowiedzenia, że siedzieli razem do czwartej nad ranem. Z entuzjastycznych opowiadań Barniego o intelektualnych gigantach, z jakimi miał do czynienia na Kolumbii, Laura wywnioskowała, że przeciętny student pierwszego roku uzyskiwał tam lepsze wykształcenie niż na Harvardzie.

Jedno było jednak wspólne dla obu uczelni. Przyszli adepci medycyny, nieomal co do jednego męża, byli na ogół pozbawionymi wszelkich skrupułów, rywalizującymi ze sobą kujonami. Zazwyczaj nie wahali się przed zepsuciem koledze jego chemicznych doświadczeń, jeśli musiał wyjść na chwilę za naturalną potrzebą.

- To jest dopiero prawdziwa edukacja - skomentował Barney z krzywym uśmiechem. - Ale właśnie takie typki dostają się na akademię.

- To prawda - zgodziła się Laura. - Ciekawa jestem, czym oni się, u diabła, kierują? To nie mogą być przecież tylko pieniądze.

- Nie - odpowiedział Barney, usiłując przybrać ton zawodowego analityka. - Wyczuwam w nich wysoki stopień społecznego braku pewności siebie. Ci faceci patrzą na biały fartuch jak na rodzaj kaftana bezpieczeństwa. Ale można na to spojrzeć i z innej strony. Większość z tych dudków mogła zapewnić sobie randki

tylko w domach publicznych. Wyobraź sobie, jaką władzę napawa ich możliwość powiedzenia kobiecie: - Rozbieraj się i pokaż cycki. Laura roześmiała się.

- Ja nie żartuję, Castellano - upierał się.

- Wiem. I gdyby mnie to tak nie śmieszyło, to pewno bym płakała.

Następnego dnia odbyli kolejną długą nocną rozmowę, tym razem na inny, równie drażliwy temat - ich rodziców.

Harold Livingston znalazł wreszcie sposób na zwalczanie poczucia winy z powodu swojej bezużyteczności. Wpadł na pomysł, żeby wykorzystać umiejętności, jakie zdobył w armii, i przetłumaczyć niektóre klasyczne utwory literatury wschodniej - zaczynając od jedenastowiecznej Opowieści dżinów, będącej pierwszą i najsłynniejszą powieścią japońską.

* Midwest - środkowo-zachodnia część Stanów Zjednoczonych.

Barney był dumny z odwagi ojca i zapewniał Warrena, że nie było to dla niego tylko zwykłe terapeutyczne ćwiczenie. Sprawdził w bibliotece na uczelni i skonstatował, że praca Harolda mogła wypełnić istotną lukę na półkach literackich.

- To mu pewno przedłuży życie.

Z drugiej strony Laura nie była w stanie rozproszyc własnych wątpliwości. Od momentu kiedy weszła do domu, wyczuła, że jej rodzina się rozpada. Każde z rodziców usiłowało na zmianę uzyskać jej zaufanie, tak jakby sprzysiężenie z nią miało uprawomocnić odrębność ścieżek, które wybrali.

Inez, która chodziła teraz tak często do kościoła spowiadać się ze swoich grzechów, że nie mogła mieć czasu na popełnianie nowych, usiłowała namówić Laurę, aby się do niej przyłączyła.

- Przykro mi, mamo, ale nie mam się z czego spowiadać.

- Wszyscy urodziliśmy się grzesznikami, moje dziecko. Przez chwilę Laura zapomniała, że pierwszym grzechem było

nieposłuszeństwo Adama. Zamiast tego pomyślała o innym piętnie po wygnaniu z raju - znamieniu Kaina. Czyż ja jestem stróżem mojej siostry? Dobrze wiedziała, że w oczach matki nim była.

W towarzystwie ojca również nie znalazła pocieszenia. Wręcz przeciwnie. Pewnego wieczoru, wróciwszy późno do domu, usłyszała zapity głos Luisa, wołającego z gabinetu: - Venga, Laurita, venga charlar con tu papa. Chodź tu i porozmawiaj z ojcem.

Posłuchała niechętnie.

Luis siedział w podkoszulku, z łokciami opartymi na biurku, w zasięgu na wpół pustej butelki.

- Napij się ze mną, Laurita - zaproponował głosem mętnym i niewyraźnym.

- Nie, dziękuję papa - odpowiedziała, usiłując się opanować. - Czy nie uważasz, że ci to powinno wystarczyć?

- Nie, córko - odpowiedział. - To ciągle jeszcze boli.

- Co takiego? Nie rozumiem?

- Muszę pić, aż przestanę czuć ból egzystencji.

- O, przestań, papa, nie kamufluj tego filozofią. Jesteś po prostu zwykłym starym pijakiem.

- Nie jestem jeszcze taki stary, Laurita - odpowiedział ojciec, uczepliwszy się tylko tego przymiotnika. - I to jest w tym wszystkim najgorsze. Twoja matka wyrzekła się świata, diabła i ciała. Nie chce nawet ze...

- Czy ja muszę tego słuchać? - przerwała Laura, czując się coraz to bardziej nieswojo.

- Nie, oczywiście, że nie. Myślałem jednak, że może zrozumiesz, dlaczego piję. Gdybyś wiedziała, jakie ciężkie mam życie...

Nie wiedziała, jak ma mu na to odpowiedzieć.

Ojciec ciągnął dalej: - Przynajmniej butelka mnie nie odpycha. Rozgrzewa mnie, kiedy mi zimno, pociesza, kiedy się boję...

Laura nie była w stanie dłużej wytrzymać tej rozmowy.

Wstała. - Idę spać. Muszę się jutro uczyć.

Odwróciła się i skierowała w stronę drzwi, a Luis zawołał za nią:

- Laurita, błagam cię, jestem przecież twoim ojcem...

Nie zatrzymała się. I nawet się nie odwróciła. Czowała się tylko zażenowana i dotknięta. I zupełnie zagubiona.

Estelle musiała zauważyć, że Castellanowie prawie nie tknęli jedzenia, które z takim oddaniem przygotowała na świąteczny obiad. Inez siedziała jak posąg. Luis popijał wino, a Laura spoglądała nieustannie na zegarek, licząc nie tylko dni, ale wręcz godziny i minuty, które dzieliły ją od ucieczki do Bostonu.

Ciężar podtrzymywania rozmowy spadł na kruche ramiona Harolda Livingstona.

Obrócił się w stronę Laury z uśmiechem. - Barney mówił mi, że oboje zdaliście półroczne egzaminy z chemii organicznej na piątki. Oby tak dalej, a bramy do Szkoły Medycznej będą stały przed wami otworem.

- Przed Barniem może i tak - odpowiedziała Laura. - Ale moja doradczyni powiedziała mi, że władze medyczne niechętnie patrzą na aspiracje młodych lekarek. Żeby się dostać do nich na wstępną rozmowę, trzeba być pierwszą na roku i posiadać list polecający od Pana Boga, a przynajmniej od świętego Łukasza.

Kątem oka widziała, jak Inez krzywi się na jej lekceważącą uwagę.

- Ależ, Lauro, z pewnością trochę przesadzasz - zauważył Harold Livingston.

- No dobrze - odpowiedziała Laura. - To wymieńcie mi imiona trzech słynnych w historii kobiet lekarek.

- Florence Nightingale - wtrącił natychmiast Warren.

- To była pielęgniarka, ty baranie - odpalił Barney.

- No cóż - zacznij wolno Harold, przyjmując wyzwanie. - W jedenastym wieku żyła niejaka Trotula, profesor medycyny na uniwersytecie w Salerno. Była nawet autorką słynnego podręcznika położnictwa.

- To rzeczywiście dobry przykład, panie Livingston - uśmiechnęła się z uznaniem Laura. - Proszę o pozostałe dwa nazwiska.

- No, a poza tym była jeszcze przecież pani Curie - zaproponował Harold.

- Przykro mi, panie Livingston, ale ona była tylko chemikiem - i nawet to nie przyszło jej łatwo. No cóż, poddajecie się?

- Tak, Lauro - przyznał Harold. - Jednakże jako studentka historii nauk ścisłych sama powinnaś umieć odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Prosto ze stron "New York Timesa" mogę wam podać nazwisko doktor Dorothy Hodgkin, która właśnie odkryła witaminę B 12, niezbędną w leczeniu złośliwej anemii. Następnie mogę przytoczyć Helen Taussig - nawiasem mówiąc, była studentką Radcliffe, której nie przyjęto do Harvardzkiej Szkoły Medycznej, a która dokonała pierwszej udanej operacji na dziecku z chorobą błękitną.

Mogłabym prawdopodobnie dorzucić wam do tego jeszcze parę nazwisk, ale nie wystarczyłoby ich nawet, żeby utworzyć drużynę piłkarską przeciwko AMA*.

W tym momencie Luis przerwał ciszę i wtrącił: - Ty to wszystko odmienisz, Laurito. Na pewno będziesz słynną lekarką.

W normalnych warunkach Laura byłaby mu wdzięczna za ten niespodziewany pokaz ojcowskiego optymizmu.

Lecz Luis był już w pestkę zalany.

Później, kiedy byli sami, Laura oznajmiła spokojnie Barniemu:

- Nie przyjeżdżam do domu na Wielkanoc.

- To podła wiadomość. A dlaczego?

- Szczerze mówiąc, myślę, że już przeżyłam Ostatnią Wieczerzę.

Nadeszło lato i Barney ponownie rozpoczął pracę na nocnej zmianie przy alei Parkowej. Pocił się w swoim mundurze portiera i zmuszał do uczenia w każdym wolnym momencie.

Ukończywszy pierwszy rok ze średnią pięć minus, nie chciał dopuścić do tego, żeby marne wyniki z fizyki podcięły mu skrzydła i przeszkodziły w dostaniu się do nieba - Szkoły Medycznej. Zdecydował wobec tego, że zaliczy obie części tego

przedmiotu w czasie letniego semestru na uniwersytecie w Long Island, gdzie współzawodnictwo pomiędzy adeptami studiów medycznych było nieco słabsze.

Zabieg ten nie był wcale sekretem wśród przyszłych lekarzy. Laura również postanowiła wziąć kurs fizyki tego lata, jednakże na Harvardzie. Rodzicom wyjaśniła w liście, że nie była w stanie wytrzymać jeszcze jednego dusznego, męczącego lata na roztopionym asfalcie Nowego Jorku. Nie sądziła, aby wyczuli właściwe powody.

Szybko zorientowała się jednak, że jedynym podobieństwem pomiędzy uniwersytetem harwardzkim a jego szkołą letnią była tylko wspólnota nazw. W lipcu i sierpniu dziedziniec uniwersytecki zamieniał się w swego rodzaju klub wiejski, do którego zjeżdżała się śmietanka dziewcząt ze Wschodniego Wybrzeża w nadziei złapania w Cambridge prawdziwego harwardzkiego męża. Laurę bawił ten

* AMA, American Medical Association - Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne.

ich rozbrajający brak subtelności. Wszystkie nosiły króciutkie spodenki i jak najbardziej obcisłe trykoty.

Chyba oszalałbyś tutaj, Barney. Więcej tu serniczków niż u Lindy'ego!

Przez cztery popołudnia w tygodniu mam laboratoria i w piątki jestem już tak przesycona tymi równaniami, wzorami i różnymi niezrozumiałymi pojęciami, takimi jak na przykład zjawisko Dopplera (kogo, u diabła, w ogóle obchodzi prędkość dźwięku?), że pod koniec tygodnia chce mi się już tylko spać. Może mógłbyś coś skombinować, żeby tu przyjechać w przyszłym roku? Bóg jeden wie, że nie pożałowałbyś tego. Tymczasem nie przemęczaj się zbytnio.

Pozdrowienia L

Następnego dnia, idąc w stronę zabudowań LIU*, Barney popatrzył na przechodzące obok niego studentki i nagle zorientował się, że w kwestiach seksualnych cofał się coraz bardziej. Warren chwalił się ostatnio, że "poszedł prawie na całego z pewną dziewczyną z Eastern Parkway". To przecież nie do pomyślenia, żeby jego mały braciszek zaliczył to wcześniej od niego.

I tak z makiaweliczną przebiegłością postanowił spenetrować najbardziej obiecujące według niego tereny łowcze, to znaczy Szkołę Współczesnego Dramatu.

Instynkt go nie zawiódł, wszędzie roiło się tam od przyszłych aktorek w proporcji, co najmniej, trzech dziewcząt na jednego chłopaka. Poza tym szybko się zorientował, że słowo "Kolumbia" miało dla nich nieomal magiczne znaczenie.

A zatem niech żyje Ivy League**!

Pierwszy jego sukces uwodzicielski można było przypisać raczej mało romantycznej inicjatywie panny Rochelle Persky, która w trakcie namiętych pocałunków w pokoju gościnnym swoich rodziców szepnęła do niego czule: - No i jak, zrobisz to wreszcie czy nie?

* LIU, Long Island University - uniwersytet w Long Island. ** Ivy League - najlepsze i najstarsze uniwersytety w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, takie jak np. Harvard, Yale, Princeton i Kolumbia, gwarantujące wysoki poziom wykształcenia i prestiż społeczny.

Więc zrobił.

A raczej zrobili.

Nie mógł oczywiście ukryć swej dumy. W następnym liście do Laury dał jej to kilkakrotnie do zrozumienia, choć naturalnie pominął wszelkie kompromitujące szczegóły.

Nie tyle może z jakiegoś poczucia rycerskości, co dla podkreślenia swoich własnych umiejętności w tym przedsięwzięciu. (Na zakończenie podpisał się: Już nie dziewiczy - Twój B.)

Barney zobaczył się z Laurą dopiero w sierpniu, gdy przyjechała z krótką, niechętą wizytą do domu w Neponset, na który Castellanowie i Livingstonowie dostali ofertę zakupu.

Warren miał właśnie zaczynać swój ostatni rok w Midwood, więc był nieobecny, gdyż pracował jako kierowca autobusowy w Greenwood Manor, w słynnym kurorcie wypoczynkowym w górach Catskill.

Największe napiwki - jak pisał rodzicom, żeby powiadomili o tym Barniego - dostawali kelnerzy z aspiracjami na lekarzy. Natomiast wybrany przez niego zawód - prawo - uplasował się dopiero na drugim miejscu.

Po kolacji Barney i Laura wyszli na spacer po plaży w zachodzącym słońcu.

- Jak tam twoi starzy?

- Nie siedzę tu tak długo, żeby to sprawdzić - odparła Laura. - Wracam w poniedziałek pociągiem do Bostonu.

- Ale przecież zajęcia zaczynają się dopiero za sześć tygodni.

- Owszem, ale przyjaciel zaprosił mnie do swojego rodzinnego domu w Cape.

- Czy to coś poważnego, czy też tylko zwykła wycieczka krajoznawcza? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

Nie wiedział, czy próbowała się w ten sposób wykręcić, czy też faktycznie nie była tego pewna.

- A kim jest ten facet?

- Nazywa się Palmer Talbot.

- Brzmi to jak samochód sportowy - zauważył Barney. - Czy jest chociaż miły?

- Słuchaj, Livingston, czy sądzisz, że ja chodziłabym z kimś, kto nie byłby miły?

76

Popatrzył na nią z przebiegłym uśmiechem. - Być może. Masz już w końcu pewne notowania w aktach personalnych.

- Może ten facet jest inny.

- Aha. Ma podwójne nazwisko.

W drodze powrotnej Laura przyjrzała się uważnie Barniemu i po raz pierwszy zauważyła rysujące się na jego twarzy zmęczenie.

- Te przepracowane noce wpędzą cię do wczesnego grobu, Barney. Nie możesz postarać się o jakąś inną pracę?

- Nie, Castellano. Lubię to. Mam dzięki temu dużo czasu na naukę. A poza tym dostałem awans. W przyszłym roku będę pierwszym portierem.

- Nadal twierdzę, że się zabijasz.

- Słuchaj no, nie jesteś jeszcze lekarzem.

- Nie, ale jeśli tak dalej pójdzie, to zwłoki, jakie dostaną mi się w Szkole Medycznej, mogą być moje.

Rok 1955 upamiętnił się tym, że Amerykanie dwukrotnie tańczyli z radości na ulicach. Raz z powodu bezprecedensowego wydarzenia w historii Brooklynu - to znaczy zwycięstwa brooklyńskiej drużyny baseballowej nad nowojorskimi Jankesami oraz wygrania przez nią Baseballowych Mistrzostw Stanów.

Drugą ogólnokrajową euforię wywołało ogłoszenie z dnia 12 kwietnia, podające rezultaty szeroko zakrojonych badań doktora Jonasza Salka, który zaszczepił wszystkie dzieci w Pittsburghu. Orzeczenie to stwierdzało po prostu, że eksperyment zakończył się powodzeniem. Nauka odniosła wreszcie zwycięstwo nad polio. Cały kraj oszalał z radości i jak potem jeden ze świadków wspominał - "wszędzie bito we dzwony, trąbiono klaksonami, uruchamiano syreny fabryczne, strzelano z armat i przetrzymywano na chwilę czerwone światła na skrzyżowaniach. Zwalniano się na resztę dnia z pracy i zamykano szkoły albo organizowano w nich naprędce ogniste

apele, pito toasty i tulono dzieci. Ludzie chodzili do kościołów, uśmiechali się do obcych i przebaczaali sobie wzajemnie”.

Nigdy nie będzie już takich tragedii jak w przypadku Isobel Castellano. Niech Bóg błogosławi doktora Salka! Szkoda tylko, że nie wynalazł tej szczepionki trochę wcześniej.

Rozdział VII

Stało się to w niedzielę rano. Warren pochłaniał właśnie pączka z marmoladą i sportową część “Timesa”. Jego ojciec przerzucał bez celu strony “Przeglądu Książkowego”. Zdawał się bledszy i jakoś bardziej zdenerwowany niż zwykle. Od rana zdążył wypalić już trzy

papierosy.

- Chcesz może jeszcze kawy, kochanie? - zapytała troskliwie Estelle.

- Nie, dziękuję. Trochę mi duszno. Wyjdę może do ogrodu, żeby się przewietrzyć.

- Dobrze. Wyjdę z tobą - odparła.

Harold sięgnął po laskę i usiłował sam stanąć na nogi. Zawsze uparcie odmawiał pomocy.

Warren przeszedł do “Wiadomości Tygodnia”, kiedy nagle usłyszał głos matki, wołającej w panice z ogrodu.

- Na pomoc, na pomoc! Niech mi ktoś pomoże!

W mgnieniu oka pobiegł do tylnych drzwi i zobaczył ojca rozciągniętego na ziemi. Rzucił się w jego kierunku.

- Co się stało, mammo?

- Rozmawialiśmy tutaj - płakała Estelle - i on nagle upadł. Chyba jest nieprzytomny, nie wiem, po prostu nie wiem.

Warren przykląkł i popatrzył na ojca leżącego z zamkniętymi oczyma i popielistoszarą twarzą. Złapał Harolda za ramię i krzyknął tak, jakby było go to w stanie obudzić: - Tato, tato! - Nie było odpowiedzi. Nie potrafił stwierdzić, czy ojciec oddychał. Chyba tak. Nie miał jednak pewności. Potem przyłożył ucho do klatki piersiowej Harolda.

- W porządku, mammo, w porządku. Słyszę jego serce. Ale bije bardzo szybko. Najlepiej będzie, jak poproszę doktora Castellano.

Skinęła głową niema z przerażenia. Warren pobiegł po pomoc, a Estelle przykłęka i położyła sobie głowę męża na kolanach.

Samochodu Luisa nie było przed domem. Warren wbiegł pospiesznie na schody i zadzwonił. Potem zaczął się dobijać do drzwi. Otworzyła mu Inez.

- Ojciec jest chory. Zemdlał, czy coś takiego. Gdzie jest doktor Castellano?

- Och, Matko Przenajświętsza, właśnie wyjechał do jakichś pacjentów. Nie wiem, kiedy wróci. Ale słuchaj, doktor Freeman

mieszka tu niedaleko na ulicy Parkowej - powiedziała, wskazując palcem w lewo.

- Dobrze, dobrze, pod którym numerem?

Pokręciła głową. - Nie wiem, ale to jedyny blok mieszkalny w okolicy. Jego nazwisko jest wypisane na mosiężnej tabliczce w pobliżu frontowych drzwi. Idź po lekarza, a ja pójde do Estelle i zobaczę, w czym mogłabym jej pomóc.

W niecałe dwie minuty później zadyszany Warren stanął na ulicy Parkowej przed numerem sto trzydziestym piątym, naciskając dzwonek przy nazwisku doktora Oscara Freemana. W chwilę potem w mikrofonie odezwał się męski głos.

- Doktor Freeman. W czym mogę pomóc?

- Panie doktorze, mój ojciec zemdlał. To znaczy leży na ziemi. Czy mógłby pan prędko przyjść?

- Czy jest nieprzytomny?

- Tak, tak! - odpowiedział Warren, krzycząc nieomal z niepokojem. - Czy mógłby się pan pospieszyć? Bardzo pana proszę!

Nastąpiła krótka cisza.

Następnie bezosobowy głos lekarza odezwał się chłodno: - Przykro mi bardzo, mój chłopcze, ale najlepiej będzie, jeśli wezwiecie pogotowie. Nie mogę się mieszać w tego typu sprawy z powodów zawodowych.

Warren usłyszał trzask w mikrofonie. Stał przez chwilę bez ruchu zagubiony i niepewny. Nigdy nie przypuszczał, że doktor mógłby odmówić przyjścia z pomocą do chorego. O mój Boże, co ja mam teraz robić?

Gnany strachem pobiegł z powrotem do domu.

Scena w ogrodzie właściwie się nie zmieniła, poza tym, że Inez przyniosła koc do przykrycia Harolda, który dygotał z zimna.

- Gdzie jest lekarz? - spytała Estelle.

- Nie przyszedł - odpowiedział ze złością Warren. - Czy ktoś zadzwonił do szpitala?

- Tak - odparła Inez. - Powiedzieli, że przyjadą tak szybko, jak tylko będą mogli.

W dwadzieścia siedem minut później nadjechała karetka pogotowia. Zawiozła Harolda Livingstona do Szpitala King's County, gdzie orzeczono jego zgon.

Barney był w pracy, kiedy otrzymał telefon od Warrena. Wybiegł na ulicę, pomachał na taksówkę i wskoczył do niej w biegu.

- A to coś nowego - zażartował kierowca. - Portier zatrzymujący taksówkę dla siebie samego!

- Oszczędź mi pan tych żartów - warknął Barney - i zawieź mnie pan jak najszybciej do Szpitala King's County.

Korytarz szpitalny był słabo oświetlony i śmierdział od środków dezynfekcyjnych. Na drugim końcu zobaczył Inez pocieszającą jego zapłakaną matkę. Usłyszał ryk Luisa: - Mierda! To była głupota, nonsens! Nie powinienes mu pozwolić odejść!

Barney podszedł bliżej i zobaczył, jak Hiszpan zwymyśla jego młodszego brata, będącego w stanie szoku.

- Przysięgam, doktorze Castellano - protestował Warren - mówiłem mu, że to sprawa życia i śmierci...

Na widok swego starszego syna Estelle wstała i krzyknęła: - Barney, och, Barney! - I rzuciła mu się w objęcia.

Świat stanął w miejscu, kiedy tulił matkę w ramionach, usiłując ją pocieszyć.

W chwilę potem Estelle szepnęła: - Chcę go jeszcze zobaczyć.

Czy pójdziesz ze mną, Barney? Starszy syn skinął głową. Spojrzał na twarz brata i wyczuł nurtujące go wyrzuty sumienia.

- Warren, zostań tu z Castellanami do naszego powrotu.

Kiedy szli potem obaj z Luisem w kierunku szpitalnego parkingu, Barney zdobył się w końcu na pytanie: - O co był pan taki wściekły, doktorze Castellano?

Luis opisał mu wydarzenia tego ranka, przerywając swe opowiadanie licznymi przekleństwami.

Barney był tym wstrząśnięty do głębi. - Jak to w ogóle możliwe, żeby doktor siedział na dupie i pozwolił mojemu ojcu skonać?

Luis odpowiedział przez zaciśnięte zęby: - Ten nikczemnik bał się procesu.

- Nie rozumiem. Jakiego procesu?

- Mój chłopcze, w tym kraju wielu lekarzy odmówi pomocy w nagłych wypadkach, takich jak ten. Jeśli bowiem pacjent umrze, to rodzina może go potem oskarżyć o niewłaściwe leczenie.

- Ale czyż pomoc nie jest obowiązkiem lekarza?

- Tylko moralnym - odparł Luis z wściekłością. - Ale nie prawnym. Żadne prawo nie nakazuje lekarzowi udzielania pomocy.

- Czy sądzi pan, że to by coś w tym wypadku pomogło? - zapytał Barney.

Luis wzruszył ramionami. - Nigdy się tego nie dowiemy. Przyczyną śmierci twojego ojca był zawał serca. Czas ma istotne znaczenie w przypadku migotania komór sercowych. Freeman mógł zrobić zastrzyk z lignokainy i przynajmniej spróbować reanimować.

Barney wybuchnął z wściekłością: - Zamorduję tego faceta. Pójdę i zamorduję go gołymi rękami!

Luis ścisnął go mocno za ramię. - Calma, cdlmate, hijo. To nie ma sensu. Musisz pogodzić się z tym, że on już nie żyje. Musisz się uspokoić, choćby ze względu na twoją matkę. Pamiętaj, że jesteś teraz głową rodziny.

Była już prawie północ, kiedy przyjechali do domu. Laura przybyła z Bostonu parę minut wcześniej.

- Przygotowałam kawę i kanapki - powiadomiła nieśmiało. - Myślałam, że może jesteście głodni.

Żal Livingstonów był nieomal dotykalny, wiedziała jednak, że Barniego męczyło jeszcze coś więcej oprócz rozpacz.

Luis i Inez zabrali Estelle na górę. On dał jej na uspokojenie zastrzyk, a Inez pomogła jej rozebrać się i położyć do łóżka. Warren zabrał ze sobą kanapkę i jabłko i poszedł do siebie do pokoju. Wolał być sam ze swoim smutkiem.

Barney siedział z Laurą w kuchni.

- Barney, mów coś do mnie - odezwała się cicho. - Wiem, że cię to boli, ale mówienie o tym na pewno ci pomoże.

Pochylił głowę.

Podeszła do niego, przyklękła i dotknęła jego ramienia.

- Powiedz coś, Barney.

W końcu dał upust swojej obsesji. - Nie mogę w to uwierzyć, że doktor pozwolił mu umrzeć.

- Barney, w tej chwili to już nie jest takie ważne.

- Nie? No to co, u diabła, jest?

O!

Położyła mu dłoń na policzku, a on pochwycił ją, jak tonący chwytą za ratowniczą linę. I pozwolił sobie na płacz.

W ciągu następnych dni Estelle Livingston była niepokieszona. Barney siedział w domu, wychodząc na Manhattan tylko na zajęcia albo na nocną zmianę do pracy.

W pogrzebie Harolda, choć planowano w nim tylko udział najbliższej rodziny, uczestniczyło także kilkunastu nauczycieli z Erasmus Hall, którzy pamiętali go dobrze, a nawet paru byłych uczniów, którzy przeczytali o jego śmierci w brooklyńskiej gazecie.

Pewnego wieczoru, w dwa tygodnie później, Estelle usiadła z synami przy kuchennym stole, aby porozmawiać z nimi o przyszłości.

- Nie będzie nam aż tak źle - oznajmiła im. - Harold był bardzo skrupulatny w tych sprawach. Dom jest już całkowicie spłacony. W testamencie zażyczył sobie, aby synowie podzielili się między sobą jego biblioteką. Nie sprecyzował tego. Wiedział, że podzielicie się sprawiedliwie.

- Nie byłbym w stanie wziąć jego książek - mruknął Barney. Warren przytaknął. - Ja również. Chcę, żeby wszystko pozostało tak jak jest.

Estelle rozumiała to. Wszyscy potrzebowali czasu.

- Pomyślał o nas - ciągnęła dalej. - Jego polisa ubezpieczeniowa ze Stowarzyszenia Nauczycieli to piętnaście tysięcy, a wojskowa - następne dziesięć. Oznacza to, że nie powinniśmy mieć żadnych istotnych finansowych kłopotów.

Obaj bracia skinęli głowami.

- Zastanawiałam się długo, co zrobić z tymi pieniędzmi - ciągnęła dalej. - Barn&y, chcę, żebyś przestał zapracowywać się na śmierć. Przez resztę twego pobytu w Kolumbii będę pokrywała twoje wydatki, żebyś mógł zająć się tylko nauką.

Barney uniósł rękę w proteście, lecz ona przerwała mu.

- Proszę cię - nalegała, a potem powiedziała słowa, które położyły kres wszelkiej dyskusji. - Tego sobie życzył twój ojciec. Nie myśl, że nie rozmawialiśmy o tym.

Barney siedział nieruchomo, wyobrażając sobie, jak bolesne musiały być te rozmowy dla matki.

- Odkładam taką samą sumę do banku dla ciebie - zwróciła się do Warrena. - Będiesz więc mógł studiować prawo, gdzie tylko zechcesz.

- Ależ, mam - odezwał się cicho Warren. - A co wówczas zostanie dla ciebie?

- Nie martw się o mnie. Jak tylko ukończysz szkołę, wystawię dom na sprzedaż...

W podświadomym odruchu obaj bracia odpowiedzieli jednocześnie: - Nie!

- Pomyślcie realistycznie, chłopcy. Który z was zamierza pracować w Brooklynie? - spytała. - A poza tym ciotka Cecylia wysyłała mi broszury z Florydy już od lat i szczerze mówiąc, od czasu kiedy namówiła babcię, żeby się tam przeniósł, często myślałam o tym, jak dobrze byłoby spędzać zimy bez kaloszy i parasolek. Wiem, ile to miejsce dla was znaczy - ciągnęła dalej. - Każdy kąt jest tu pełen wspomnień. Ale proszę, uwierzcie mi, możemy sprzedać dom i zachować wspomnienia. One zawsze będą należeć do nas.

- Chyba masz rację, mam - powiedział Barney, wzdychając z rezygnacją.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

Z początku nie potrafił tego pojąć, że po raz pierwszy w życiu mógł teraz robić, co chce, w czasie wakacji.

Następnego lata, kiedy Estelle pojechała do Miami na poszukiwanie mieszkania, bracia Livingstonowie zapisali się na autobusową wycieczkę po kraju, obejmującą Wielki Kanion, park Yellowstone oraz kalifornijskie sekwoje, a kończącą się trzema dniami w Hollywood.

Po raz pierwszy poznali się wówczas jako dorośli. Rozmawiali o swoich marzeniach, o owej "wyśnionej dziewczynie", którą każdy z nich miał zamiar kiedyś poślubić.

- To smutne - zauważył półgłosem Warren.

- Co takiego?

- To, że tato nie będzie na naszych weselach. Wiesz, tak jakoś nie mogę się z tym pogodzić.

- Ja również.

Zawsze byli braćmi. Tego lata jednakże zostali przyjaciółmi.

- A co ty, u diabła, tutaj robisz?

Młodzięczy Ken Cassidy, ostatnio awansowany na stanowisko trenera drużyny koszykarskiej kolumbijskiego uniwersytetu, stanął jak wryty na widok ducha z przeszłości wśród nowych twarzy z pierwszego roku, kandydujących do drużyny.

- Jestem tu, tak jak i inni, panie Cassidy - odpowiedział Barney Livingston z wyjątkową uprzejmością.

- Dosyć tego, nie zwracaj mi głowy!

- To jest Ameryka, proszę pana. Każdy ma prawo do bezstronnego osądu.

- W porządku - westchnął trener. - Korzystaj z tych twoich konstytucyjnych praw. Idź i poodbijaj sobie piłkę, zanim ja poobijam ci głowę.

W pierwszej rundzie tylko Barney zatopił piłkę w koszu. A pod koszem przypominał ośmiornicę z łokciami. Na koniec wywołał takie zamieszanie wśród pozostałych, że nawet dość sztywny trener musiał się w końcu roześmiać.

A co mi tam - pomyślał Cassidy. Wezmę tego błazna na piętnastego zawodnika. Przynajmniej zmusi pozostałych do agresji w czasie treningów.

Czując się teraz bogaty, Barney mógł sobie pozwolić na dzwonienie do Laury przynajmniej raz w tygodniu. Ona z kolei nie mogła się doczekać lutego, kiedy to Kolumbia miała przyjechać do Cambridge, żeby grać z Harvardem.

- Castellano - ostrzegął ją - te twoje mięczaki z Harvardu będą miały do czynienia z najzacieklejszym ryszotkowym szczurem na świecie!

W czasie długiej podróży autokarem z Morningside Heights, kiedy reszta drużyny spała spokojnie, Barney siedział zupełnie przytomny, kipiąc w środku, gotowy do rzucenia się w wir walki.

Zjedli wczesny posiłek przed treningiem w harwardzkim klubie uniwersyteckim. Do meczu pozostały jeszcze cztery godziny. Barney miał jednak w tym czasie zupełnie inne plany. Przeszedł przez lodowate ulice Cambridge do stacji metra, gdzie przesiadł się na tramwaj i wysiadł dwie przecznice przed Harwardzką Szkołą Medyczną.

Do wyłożonego drewnem gabinetu doktora Stanton Wellesa, dyrektora do spraw przyjęć, przybył o piętnaście minut za wcześnie. Znając dobrze legendę o tym, że HSM* przyjmuje nie tylko najlepszych, ale również i najodważniejszych, Barney starał się wykorzystać ten czas na zastanowienie się nad odpowiedzią na nieuniknione pytanie: - Dlaczego właściwie chce pan zostać lekarzem, panie Livingston?

(A) Ponieważ pragnę leczyć i dodawać otuchy cierpiącym. Nie, to zbyt oczywiste.

Albo może:

(B) Ponieważ wasze niezrównane wyposażenie naukowe pozwoli mi na pracę badawczą nad nowymi lekami i ułatwi dążenie do coraz to nowych osiągnięć. I może jak doktor Jonasz Salk będę mógł kiedyś zapobiec tragediom takim, jak śmierć małej Isobel. Nie, to zbyt pretensjonalne.

A może tak:

(C) Ponieważ gwarantuje to wzniesienie się na wyższy szczebel drabiny społecznej. To prawda, lecz nikt się do tego nie przyzna.

Albo nawet:

(D) Ponieważ chcę dobrze zarabiać. Mogliby docenić moją szczerość, ale równie dobrze odrzucić mnie za tępotę.

A może tak:

(E) Ponieważ zawsze podziwiałem doktora Luisa Castellano i chcę być takim troskliwym człowiekiem jak on.

Oraz:

(F) Ponieważ jeden bezlitosny doktor przyczynił się do śmierci mojego ojca i wobec tego chcę być lepszym lekarzem od takich zawszańców jak on.

Odpowiedzi (E) i (F) miały chociaż tę przewagę, że były szczere.

Ale czy to wystarczy?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, usłyszał czyjś głos: - Pan Livingston?

Podniósł oczy do góry. Stał przed nim wysoki, szczupły i dystyngowany mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, mogącym pochodzić tylko od Braci Brooks*. Barney skoczył na równe nogi.

- Tak, proszę pana - odpowiedział, prawie salutując.

- Jestem doktor Welles. Dziękuję, że się pan pofatygował, żeby nas odwiedzić. Może wejdziemy do mojego gabinetu?

Barney wszedł do pokoju udekorowanego podziwu godną kolekcją laminowanych dowodów sławy. Oprócz dyplomów znajdowały się tam również świadectwa członkostwa w różnego rodzaju stowarzyszeniach (narodowych,

* HSM, Harvard School of Medicine - Harvardzka Szkoła Medyczna.

* Brooks - ekskluzywny sklep w Nowym Jorku.

międzynarodowych, królewskich itp.). Nie wspominając już o listach podpisanych chyba przez wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych od czasu Jerzego Waszyngtona.

Dyrektor ukrył się za masywnym mahoniowym biurkiem, a Barney usiadł wyprostowany na tradycyjnym harwardzkim krześle (w stylu kolonialnym, o podpalanych, drewnianych poręczach i błyszczącym czarnym oparciu z wymalowanymi na nim złotymi insygniami szkoły).

Nastąpiła długa cisza. Barney pochylił się do przodu, trzymając ręce na kolanach, jakby w gotowości do przyjęcia piłki.

W końcu Welles otworzył usta i zapytał: - Czy sądzi pan, że macie dzisiaj jakieś szansę?

Barney zgłupiał. Jaki teraz numer chciał mu ten facet wykreścić? I jak miał to potraktować? Uprzejmie powiedzieć, że jako sportowcy zrobią, co mogą? Czy też może powiedzieć mu, że ma nadzieję, że skopią dupy harwardczykom? Czy też może zapytać go, jak można rozmawiać o koszykówce, skoro na świecie jest tyle chorób i cierpienia? Odrzucił jednak wszystkie alternatywy.

- Myślę, że tak, proszę pana - odpowiedział uprzejmie. Następne pytanie napłynęło również z lewego pola.

- Chcesz się założyć?

Barney nie był w stanie wymyślić na to żadnej alternatywy. Więc odpowiedział: - Chyba nie. No bo jakby to wyglądało, gdybym musiał włożyć panu dziesięć doków w rękę? Jeszcze by ktoś pomyślał, że to łapówka.

Welles roześmiał się. - Masz rację. Nigdy o tym nie pomyślałem. Powiedz mi... - zamilkł na chwilę, a potem zapytał: - Co cię skłoniło do koszykówki?

W tym momencie Barney doszedł do wniosku, że Welles nie uważał go za poważnego kandydata.

- Ponieważ w Brooklynie nie ma pól do gry w polo*, proszę pana. Doktor uśmiechnął się. - Hmm. To też nigdy nie przyszło mi do głowy.

Potem wstał, podał mu rękę i powiedział serdecznie: - Miło mi było pana poznać, Livingston.

* Polo - ekskluzywna gra, w której dwie konne drużyny usiłują za pomocą długich kijów wrzucić piłeczkę do bramki przeciwnika. Sport ten uprawiany jest głównie przez zamożne warstwy społeczne.

- Ależ, proszę pana, czy nie zapyta mnie pan nawet, dlaczego chcę zostać lekarzem?

- Sądzę, że wyjaśnił to pan całkiem elokwentnie w pańskim podaniu. To bardzo wzruszające. Myślę, że ucieszy pana wiadomość, że część z nas w HSM domaga się wprowadzenia ustawy "Dobrego samarytanina". Po to właśnie, żeby lekarze nie bali się udzielać pomocy nieprzytomnym pacjentom - takim jak pana ojciec. Przykro mi, że nie będę oglądać dzisiejszego meczu, ale muszę iść na obiad z jakimś ważniakiem z Tokio. W każdym razie jestem pewny, że będziemy się często widywać w przyszłym roku.

Nie zważając na oblodzone partie chodnika, Barney ślizgał się jak dziecko wzdłuż ulicy, biegnąc w kierunku tramwaju.

W hali sportowej nie było tłumów. Kolumbia nie cieszyła się specjalną popularnością. Drużyna gości weszła na parkiet jedynie przy bardzo skąpych oklaskach. Tylko jedną osobę pobudziło to do zachęcającego okrzyku:

- Livingston! Trzymaj się!

Barney uśmiechnął się i dryblując jedną ręką, pomachał w stronę trybuny. Dobra, stara Castellano, mój wierny jednoosobowy klub kibiców. Tym razem miał jednak dwóch popleczników. Osoba siedząca obok niej również zawzięcie klaskała. Niewątpliwie ten gość o szerokich ramionach w tweedowym garniturze od Harrisa to ów "dzielny, szlachetny rycerz" z podwójnym nazwiskiem - Palmer Talbot. O mój Boże, wygląda na jeszcze większego sztywniaka niż ten Ken Cassidy, nasz wszechamerykański trener!

Trzy minuty po rozpoczęciu meczu poproszono Sarniego na pierwszą zmianę w zespole Kolumbii. Ponowne okrzyki ze strony Laury. Pragnąc pokazać jej to, czego się nauczył od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni w akcji, rzeczywiście dawał z siebie wszystko. Entuzjazm ten kosztował go jednak słono, jeszcze przed zakończeniem pierwszej części meczu musiał po kolejnym faulu opuścić boisko. Trener Cassidy był wściekły.

- Kim ty jesteś, Livingston? Zwierzakiem? Co się, u diabła, stało z twoją subtelnością?

- Chyba zostawiłem ją w Nowym Jorku. Przepraszam.

Przez całą drugą połowę siedział ze spuszczoną głową na ławce, usiłując nie patrzeć na Laurę.

Po meczu (który Harvard wygrał z łatwością) Laura przebiegła przez boisko, aby objąć Sarniego. I przedstawić mu Palmera.

- Miło mi cię w końcu poznać - powiedział przystojny (i wyższy od niego!) harwardczyk. - Laura tyle mi o tobie opowiadała.

- Och! - odparł tylko Barney, usiłując nie okazywać braku pewności siebie. - Szkoda, że dzisiaj tak mi się wszystko knociło.

- O, nie przesadzaj, Barney - pocieszała go Laura. - Niektóre z tych gwizdków były raczej podejrzone. Myślę, że sędziowie byli uprzedzeni.

- Przestań, Castellano - odpowiedział Barney. - Nie pochlebiaj mi. Byłem dzisiaj do niczego, jak kluski w oleju.

- Gdy mowa o kluskach, to mam nadzieję, że pójdziesz z nami na kolację - zaproponował Palmer serdecznie.

O cholera - pomyślał Barney - tak czekałem, żeby być dzisiaj sam na sam z Laurą i opowiedzieć jej o dzisiejszym spotkaniu.

- Tak, tak. Oczywiście.

Poszli do małego eleganckiego bistro, znajdującego się na drugim piętrze drewnianego domu w wąskim pasażu, tuż obok ulicy Boylston.

- Myśleliśmy, że będziesz zmęczony po meczu, więc wybraliśmy jak najbliższe miejsce - wyjaśnił Palmer, kiedy wychodzili z hali sportowej. - I podają tam nawet całkiem przyzwoite jedzenie.

Barney, nadal czując się trochę niepewnie, nie mógł zdecydować, czy ten facet go poniża, czy też jest po prostu fizycznie wyższy od niego. Usiedli, usiłując nawiązać rozmowę. Nie byli jednak w stanie znaleźć wspólnego tematu.

- Palmer ukończył w zeszłym roku - magna cum laude - historię sztuki - wyjaśniła Laura, gdyż jej powściągliwy towarzysz milczał na ten temat. Okazało się również, że był w drugiej ósemce wioślarzy. Teraz studiował na pierwszym roku Wyższej Szkoły Handlowej (specjalizując się w czym - w pieniądzech?).

Zdawało się, że był szczerze zainteresowany tematem pracy Barneyego - *Obraz lekarza w literaturze angielskiej*.

- Mam nadzieję, że zacytujesz te wspaniałe wersy z Matthew Arnolda, nakazujące unikania "doktora wymownego i sławnego ponad miarę", który przychodzi jedynie po to, by "nadać niemocy, której nie może wyleczyć, imię" - czy coś w tym sensie.

O nie, Palmer - pomyślał Barney - to właśnie były dokładne słowa poety. Musiał jednak przyznać, że ten Palmer był całkiem interesujący. Można nawet powiedzieć, że to zupełnie miły facet.

- A tak nawiasem mówiąc, Barney - zapytała Laura - jak ci poszła dzisiejsza rozmowa?

- W porządku.

- Tylko w porządku?

Barney aż palił się, żeby jej wszystko opowiedzieć, ale nie przy świadkach. Wzruszył więc tylko ramionami i oświadczył: - Powiedzmy sobie, że nie była taka straszna jak moje senne koszmary na ten temat, więc nic się nie martw.

- Nie mam na to wpływu, Barney. Jestem po prostu totalnie przerażona. W końcu przyjmują tylko pięć czy sześć kobiet na rok.

Palmer wtrącił ciekawą, choć mało istotną informację. - W Rosji większość lekarzy to kobiety.

- Czy sugerujesz mi przez to, że powinnam składać podanie na uniwersytet moskiewski? - spytała kpiąco Laura.

- O nie! - zaprotestował Palmer. - Nie chciałbym, żebyś kiedykolwiek wyjechała z Bostonu.

O jedenastej trzydzieści stanęli przed halą sportową. Drużyna Kolumbii siedziała już w autokarze, gotowa do długiej podróży aż do Nowego Jorku.

- Jesteś pewny, że nie masz ochoty na zatrzymanie się tu na noc? - zapytał przyjaźnie Palmer. - Z przyjemnością cię przenocuję.

- Nie, nie, dziękuję. Mam mnóstwo nauki.

- Muszę przyznać, że wy, brooklyńczycy, jesteście ambitni.

- To chyba typowe dla całego rejonu - odparł Barney ze swobodą, na jaką go było stać. Uścisnął dłoń Palmera, ucałował Laurę na dobranoc i odwrócił się gotowy do odparcia uszczypliwych docinków kolegów na temat jego żenujących popisów w trakcie meczu.

Oceny Laury były wysokie. Otrzymała prawdziwie entuzjastyczne rekomendacje, wiedziała więc, że dotrze przynajmniej do wstępnej rozmowy. Czekaly ją jednak nie dwie rutynowe rozmowy kwalifikacyjne - tak jak w przypadku mężczyzn - lecz trzy. I tutaj znowu musiała skapitulować przed tą niesprawiedliwością.

Pierwsze spotkanie odbyła z doktorem Jamesem L. Shayem, znanym internistą, w jego gabinecie na Beacon Hill, w którym dominowało ogromne okno z widokiem na żaglówki na jeziorze.

- Jest pani śliczną dziewczyną, panno Castellano - zauważył, spoglądając na nią spod swych ściętych do połowy okularów.

- Dziękuję - odpowiedziała. (No bo cóż innego mogła mu powiedzieć? Z pana też całkiem niezły facet, doktorze.)

- Dziewczyna taka jak pani powinna wyjść za mąż i postarać się o gromadkę dzieci, nie uważa pani?

- Z całym szacunkiem dla pańskich poglądów, proszę pana, nie uważam, aby medycyna i macierzyństwo wzajemnie się wykluczały.

- Ale, niestety, to prawda, moja droga. Uwierz mi, że to prawda. To niemożliwe, aby kobieta mogła osiągnąć pełną prawdziwie owocną pozycję w tym zawodzie, nie wyrządzając niepowetowanej krzywdy swoim własnym dzieciom. Chyba nie chciałaby pani tego, prawda?

Laura nadal nie była pewna, czy mówił serio, czy też poddawał ją w ten sposób jakiejś próbie.

- Rozumiem pański punkt widzenia, proszę pana.

- To dobrze, to dobrze.

- A więc nigdy nie wyjdę za mąż. Poświęcę się medycynie. Doktor Shay spojrzał na nią uważnie. - Chyba pani żartuje, panno Castellano.

Wyczuła zgrzyt. W ułamku sekundy odparła: - Myślałam, że to pan żartuje, doktorze.

Rozmówca nie znalazł na to odpowiedzi. Siedział przez moment, przeglądając jakieś papiery, a potem wstał i uśmiechając się kwaśno, powiedział: - Dziękuję za to, że pani tu przyszła, panno Castellano.

Wyszła z gabinetu, wiedząc, że wygrała rundę, ale obawiając się, że straciła głos.

W kącie laboratorium "643" (jak nazywano budynek "D" przy alei Huntington nr 643) doktor Louise Hoffman, trzydziestoparoletnia biochemiczka starała się raczej upewnić co do mocy jej intencji.

- Będę z tobą zupełnie szczerą, Lauro - zaczęła. - Ja też przeszłam przez studia, pragnąc zostać lekarzem, i zostałam przyjęta do HSM, a więc nie mam do nikogo żalu. Ale życie kobiety lekarki w szpitalu wiąże się z codziennym upokorzeniem. Niektórzy

mężczyźni po prostu odmawiają ci tam prawa pobytu. Słuchaj - jesteś mądra. Dlaczego nie miałabyś zostać pracownikiem naukowym, gdzie przynajmniej nie będziesz traktowana jako coś tylko trochę lepszego od szczotki do podłogi?

- Ale ja chcę to wszystko zmienić, a przynajmniej spróbować - zaprotestowała Laura. - Jeśli wszystkie będziemy uciekać od medycyny klinicznej tylko dlatego, że ciężko, to zawsze będą nas traktowali jak szczotki.

Doktor Hoffman uśmiechnęła się. - Jesteś odważna, Laura. Myślę, że będziesz świetnym lekarzem. To znaczy - przerwała dramatycznie - jeśli przeżyjesz Szkołę Medyczną.

Już po dwóch, jeszcze tylko jedna. Laura wiedziała, że ta ostatnia rozmowa - psychologiczna ocena - będzie decydująca.

Doktor Paul Gardner przyjmował pacjentów w gustownej przybudówce z czerwonej cegły, przy swoim domu w Chestnut Hill. Laura przybyła tam punktualnie o szóstej czterdzieści i dziesięć minut później lekarz poprosił ją do swojego gabinetu. Na widok kozetki pomyślała sobie przez ułamek sekundy, że może każą się jej na niej położyć. Jednakże doktor Gardner wskazał jej krzesło. W chwilę potem siedział za biurkiem nad otwartym notatnikiem.

- A więc?

- Słucham, panie doktorze?

- A więc chce pani zostać lekarzem, panno Castellano.

- Tak, proszę pana.

- Jakież szczególne powody?

Przynajmniej ten facet jest jakiś sensowny. - No więc, może zacznę od tego, że mój ojciec jest lekarzem...

- Ach, tak. A zatem potrzeba rywalizacji z ojcem?

- Wcale nie. Lubię go. A nawet podziwiam.

- A więc może zdecydowała się pani na studia medyczne, żeby jak to się mówi, ubiegać się o jego względy?

- Słucham?

- Pani matka, jak sądzę, nie jest lekarzem. A więc, zostając lekarzem, będzie pani mogła zająć jej miejsce jako najważniejsza kobieta w rodzinie.

- Och, proszę pana! - zaprotestowała Laura z rozpaczą. - To jedno wielkie... nieporozumienie.

- Śmiało możesz powiedzieć "gówno", Lauro. Tutaj możesz mówić, co ci się żywnie podoba.

- Naprawdę?

- Tak, oczywiście.

- No więc, panie doktorze, szczerze mówiąc, uważam, że ta cała rozmowa to jedno wielkie gówno.

Gardner wyglądał na zadowolonego. - Proszę, proszę, niech pani mówi dalej.

Laura nie czuła się już zobowiązana do przestrzegania dobrych obyczajów.

- Niech pan posłucha, panie doktorze. Gdyby zadał pan sobie trochę trudu, żeby przeczytać moje podanie, to wiedziałby pan zapewne, że moja młodsza siostra zmarła na polio, kiedy miałam zaledwie dziewięć lat. A więc, jeśli chce się pan doszukiwać w mojej podświadomości ukrytych motywów, to może spróbowałby pan zająć się poczuciem winy? A co sądzi pan o tym, że jedynym sposobem, w jaki mogłabym usprawiedliwić swoje istnienie, jest walka o to, by inne dzieci nie traciły braci i sióstr?! - Zniżyła głos i zapytała bez przeprosin: - No więc, co pan o tym myśli?

Gardner popatrzył jej prosto w oczy (po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia tej rozmowy) i odpowiedział: - Myślę, że to bardzo spostrzegawcze, panno Castellano. Mam nadzieję, że pomyśli pani o psychiatrii jako specjalizacji.

Rok 1957 był niezwykły. Rosjanie wypuścili sputnika w przestrzeń kosmiczną. Fidel Castro i Che Guevara (dzielny lekarz) ku ogromnej radości Luisa Castellano rozpoczęli rewolucję w kubańskich górach Sierra Maestra.

Brooklyńscy Dodgersi opuścili Brooklyn dla zielonej murawy Los Angeles. (O perfidio! Nawet trybuny po nich płakały!)

A 15 kwietnia do dwóch sąsiadujących ze sobą domów na placu Lincolna w Brooklynie doręczono dwa telegramy zawiadamiające o przyjęciu do Harvardzkiej Szkoły Medycznej.

I to był koniec ich dzieciństwa.

Część druga

UCZNIOWIE HIPOKRATESA

Wszystkie szczodre umysły boją się tego,
co powszechnie nazywa się “faktami”.
Są to bowiem brutalne bestie intelektualnej domeny.

Oliver Wendell Holmes (1809-1894)
profesor anatomii i dziekan Harvardzkiej Szkoły Medycznej

Rozdział VIII

Emerson zauważył niegdyś, że atmosfera panująca w harwardzkiej wszechnicy podobałaby się zapewne Sokratesowi. Rajski spokój georgiańskich budowli z czerwonej cegły, otoczonych sędziwymi drzewami, nadawał się idealnie na perypatetyczne seminaria.

Na podobnej zasadzie Harwardzka Szkoła Medyczna odpowiadałaby przypuszczalnie Hipokratesowi, totemicznemu ojcu wszystkich doktorów (a nawet może i osobistemu lekarzowi Sokratesa). Architektura Harwardzkiej Szkoły Medycznej jest zdecydowanie klasyczna. Zielony dziedziniec zamykają od wschodu i zachodu marmurowe budynki, a od południowej strony dominuje nad nim majestatyczna świątynia, podparta śmiałymi jońskimi kolumnami. Godny pomnik Apolla Uzdrowiciela, Asklepiosa - boga medycyny i jego córki Higieii - bogini zdrowia.

Według jednej frywolnej legendy Hipokrates, znudzony siedzeniem przez dwa tysiąclecia na Polach Elizejskich, postanowił powrócić na ziemię. Zdecydował, że złoży papiery do Harwardzkiej Szkoły Medycznej, żeby zorientować się, jakie w tym czasie poczyniono postępy w jego dawnej profesji. Udając piątkowego absolwenta Harvardu, który zdał egzamin wstępny do Szkoły Medycznej z doskonałą punktacją i który do tego był również niezłym biegaczem, poszedł spokojny i pewny siebie na rozmowę kwalifikacyjną.

Kiedy jego rozmówca, Christopher Dowling, szacowny chirurg ortopeda, zapytał go, co jego zdaniem jest główną zasadą medycyny, Hipokrates bez namysłu zacytował samego siebie: - Po pierwsze, nikomu nie szkodzić.

Odrzucono go z miejsca, twierdząc, że się nie nadawał.

Długo rozprawiano nad tym, jaką powinien dać odpowiedź. Jedna szkoła utrzymuje, że pierwszą zasadą współczesnej filozofii medycyny jest sprawdzenie, czy pacjent posiada ubezpieczenie Niebieskiego Krzyża lub Niebieskiej Tarczy. Ale to tylko niepoprawny cynizm. Prawdziwa reguła współczesnej filozofii, ignorowana zaledwie przez paru altruistycznych renegatów, polega na tym, że doktorowi nigdy nie wolno przyznać się do tego, że się myli.

W jakim jednak sposób ci zwykli śmiertelnicy osiągają swoją nieomylność? Otóż istnieje wśród nich odpowiednia hierarchia. Z początku wszyscy są nowicjuszami, których wiara poddana zostaje okrutnym testom. Przez cztery długie lata palą świece do późnej nocy, a potem, jeśli ogień ten nie strawi ich do szczytu, wstępują

do słynnego ze swego ascetyzmu “zakonu somnambulików”, innymi słowy - szpitalnych internistów. Po roku bezsennej pokuty mogą w końcu biczować młodszych praktykantów. Wreszcie, w odpowiednim czasie, zostają poddani inicjacji. Odtąd awansom w owym świętym zakonie nie ma końca. Stanowiska biskupów, kardynałów - nawet sam Rzym - stoją przed nimi otworem. Tyle tylko, że w przypadku medycyny istnieją dziesiątki tysięcy Watykanów - papiestwo pediatryczne, neurologiczne, psychiatryczne-gdzie również używa się określenia “duchowego ojca”. Nawet proktologia ma swoją stolicę apostolską. Święty Piotr zbudował swój kościół na skale. A wielu doktorom wystarczyło do tego celu tylko kamienie żółciowe.

Wszystko zaczyna się jednakże od rytualnego upokorzenia. Bez względu na to, czy to Buffalo czy Boston, Missisipi czy Montana - obrządki wszędzie pozostają te same. Ci, którzy zamierzają sprostać agonii i cierpieniu ludzkości, muszą najpierw doświadczyć ich sami.

Jedyny akademik Harwardzkiej Szkoły Medycznej jest kolosalną architektoniczną chimerą, łączącą w sobie najgorsze cechy weneckiego i bostońskiego gotyku (medycznie ukierunkowane umysły określały go mianem bezkształtnej anomalii).

Kolisty westybul wieńczyła rokokowa czaszka, przesadnie zdobiona wijącymi się węzami, zlewkami, buteleczkami i różnymi innymi laboratoryjnymi pojemnikami - słowem tym wszystkim, co zadręcza po nocach studentów medycyny i oferuje jednocześnie prawdziwe pole do popisów każdemu freudyście. Nad drzwiami widniały słowa doktora Louisa Pasteura: *Dans te champs de l'observation le hasard ne favorise que les esprits préparés*. “Na polu naukowej obserwacji szczęście sprzyja jedynie umysłom przygotowanym”.

Kilku studentów obsługiwało długie dębowe stoły. Siedzieli za prostokątnymi tablicami z wymalowanymi na nich literami alfabetu, mającymi ułatwić nowo przybyłym wpis i odbiór kluczy. Z szumem przyciszonej rozmowy mieszały się dźwięki dobiegającego skądś walca Chopina.

- Ach, to ostre c-moll! - westchnął z uznaniem Palmer. - To po prostu musi być Rubinstein.

- Nie - odpowiedział mu młody, chudy mężczyzna w okularach i białym kitlu. - To Applebaum.

Laura wysłedziła grupę znajomych harwardzkich uchodźców zza rzeki i pospiesznie przyłączyła się do nich, z nieodłącznym Palmerem drepczącym jej po piętach.

Barney również ustawił się w kolejce. Poczł tylko niewielką ulgę, przekonawszy się, że faktycznie oczekiwano go tutaj i nawet przyznano mu zakwaterowanie.

“Zakwaterowanie” brzmiało być może zbyt przesadnie. Okazało się bowiem, że był to pokój wielkości szafy, urządzony w stylu przypominającym wystrój pudełka na sery. Z całą pewnością więźniowie oczekujący na karę śmierci zajmują przyjemniejsze kwatery - pomyślał - i o wiele wygodniejsze łóżka. No, ale czego można się było spodziewać za trzy stówki na rok?

Z obawy przed uduszeniem rozpakowywał się przy otwartych drzwiach. Nagle ukazała się w nich uśmiechnięta twarz o dużych, wylupiastych oczach.

- Ty też z pierwszego roku? - zapytał jej właściciel, wchodząc do pokoju.

Barney skinął głową i podał mu rękę. - Barney Livingston, Kolumbia.

- Maury Eastman, Oberlin. Jestem pisarzem. - Przyjął intelektualną pozę, pykając z fajeczki, którą trzymał w lewej ręce.

- Co zatem robisz w Vanderbilt Hall? - zapytał zaskoczony Barney.

- Zamierzam również być doktorem, ale tylko w takim sensie, w jakim byli nimi Keats, Rabelais, Czechów i Sir Arthur Conan Doyle.

- Myślałem, że Keats nie ukończył studiów - zauważył Barney.

- Ale mimo to pracował jako asystent chirurga w Szpitalu Świętego Tomasza. - Oczy Maureya zabłysły. - Czy ty też zamierzasz pisać?

- Tylko recepty - odpowiedział Barney. - Opublikowałeś już coś?

- Parę krótkich opowiadań w niewielkich czasopismach. Mogę ci je podrzucić pod drzwi. Ale to wszystko tylko w ramach rozruszania silnika do Pierwszego Wielkiego Dzieła. Kilka wydawnictw nowojorskich wykazało już pewne zainteresowanie. Jeśli okażesz się odpowiednio barwną postacią, to może cię w nim umieszczę.

- A o czym ma właściwie być to Wielkie Dzieło?

- Będzie to pamiętnik harwardzkiego studenta medycyny. No wiesz, ból i rozterki, i co to znaczy żyć pod ostrzem noża. Mistyka medycyny fascynuje miliony czytelników.

- Powiedzieć ci coś interesującego, Maury? Czy wiesz, że słowo fascynacja pochodzi od łacińskiego słowa, które znaczy "kutas"?

- Niemów!

- Naprawdę, mój ojciec był łacinnikiem. Pochodzi ono od *fascinum*, rzeczownika rodzaju nijakiego, oznaczającego męski Członek. Postaraj się to jakoś wpleść w swoją fabułę.

- Muszę przyznać, Barney, że jesteś oazą ogłady w tym rynsztoku naukowych snobów.

- Dziękuję. Zobaczymy się na dole na wieczorku, co?

- Z pewnością. Ciekaw jestem, jak się ułożą stosunki z dziewczynami. W tym roku przyjęto pewną hiszpańską muchę. Zazwyczaj wybierają same psy i świny. Tym razem jednak utrafili w dziesiątkę. Na samą myśl o niej doznaję wzdęcia!

(O cholera! - pomyślał Barney. Znowu się zaczyna.) - Aha. Zdaje się, że nazywa się Laura Castellano.

- Kto? - zapytał Maury. (Co? - pomyślał Barney.)

- Mam na myśli Gretę Andersen. Była Miss Oregonu parę lat temu i zapewniam cię, że ma budowę ceglanego wychodka.

- Dziękuję, żeś mnie uprzedził. Najlepiej będzie, jak wezmę prysznic i ogolę się, żeby... móc "zafascynować" sobą Gretę.

- Miej się na baczności, będę obserwował każdy twój ruch.

- Nie mam nic przeciwko temu, Maury. A wówczas może uwierzysz w moją teorię, że Kamasutra została napisana w Brooklynie.

Kiedy pisarz w końcu go opuścił, Barney poprzysiągł sobie, że od tej pory drzwi do swojego pokoju będzie trzymał zamknięte.

Podjąwszy dziesięć lat wcześniej decyzję o przyjmowaniu kobiet i kształceniu ich na przyszłych lekarzy, Harvard zdecydował się w końcu na następny śmiały krok i przeznaczył małą część dotychczasowego męskiego klasztoru na schronienie dla garstki swoich studentek. Ta właśnie część Vanderbilt Hall, oficjalnie zwana Dziekanką, znana była wśród populacji akademika, posiadającej chromosomy XY i owłosione klatki piersiowe, pod nazwą "strefy erogennej".

To tutaj Laura Castellano miała spędzić swój pierwszy rok. Właśnie zeskrobywała z siebie kurz po podróży, kiedy w długim lustrze damskiej łazienki ujrzała czyjaś rozpromienioną twarz.

- Idziesz na wieczorek? - zapytał atlasowy głos.

Laura skinęła twierdząco głową. - Tylko na chwilę, gdyż jestem już z kimś umówiona. A poza tym, z jakiegoś powodu sherry mi nie służy.

- To przez te wszystkie dodatki - odpowiedziała z przekonaniem jej towarzyszka. - One faktycznie zaburzają metabolizm i do tego są toksyczne jak diabli. Z czysto naukowego punktu widzenia powinni podawać wódkę albo szkocką.

- Nie ma co na to liczyć. Chemiamusi tutaj podlegać ekonomii. Dziewczyna uśmiechnęła się, ukazując szereg lśniących zębów.

- Nazywam się Greta Andersen - powiedziała. - I jestem chyba najbardziej przerażoną osobą na roku.

- Mylisz się, właśnie z nią rozmawiasz! Jestem Laura Castellano.

- Jak to w ogóle możliwe, że się boisz? Masz przecież najfajniejszego chłopaka na roku.

- Dzięki. Zgadzam się z tobą, że Palmer jest wspaniały, ale on nie jest studentem.

- No to dlaczego stał w kolejce po przyznanie mu pokoju?

- O, zdaje się, że masz na myśli Barniego. Wysoki, czarne, kręcone włosy?

Greta przytaknęła głową. - I do tego wyjątkowo interesujący. Podoba mi się jego koci sposób przestępowania z jednej nogi na drugą. Tak jakby był bokserem czy czymś w tym rodzaju. A zatem nie jesteś w nim zaangażowana?

- Nie romantycznie. Wyrośliśmy razem w Brooklynie, prawie jak brat i siostra. Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, Greto, to ci go przedstawię.

- Gdybym była grzeczną dziewczynką, to by mnie tutaj nie było - mruknęła znacząco.

Laura uśmiechnęła się i pomyślała: Barney, ale mi będziesz za to wdzięczny!

W ciągu następnych czterech lat nigdy już nie widzieli tyłu wybitnych lekarzy zgromadzonych na jednej harwardzkiej sali. W powietrzu unosiła się aura znakomitości. Świeżo upieczeni studenci nie mieli tam naturalnie do zaoferowania niczego oprócz przyciszonych wyrazów czci i uznania. Chciwie chłonęli każdą sylabę z na wpół publicznych rozmów wykładowców.

Corocznie powtarzał się ten sam temat: Kto wygra w tym roku? I bynajmniej nie mówiono tu o Krajowych Mistrzostwach Baseballowych. Według krążącej plotki, co najmniej sześciu profesorów siedziało na spakowanych walizkach na wypadek, gdyby poproszono ich nagle o wyjazd do Sztokholmu.

Harwardzka Szkoła Medyczna, poszukując ciągle materiału “na Nobla”, długo debatowała nad selekcją rocznika, którego teraz witała kieliszkiem sherry. Poświęcono oczywiście odpowiednią uwagę koncepcji całego człowieka, ale Harvard szukał przede wszystkim wybitnych i prawdziwie oddanych nauce umysłów - ludzi, którzy nie mieli w życiu innych zainteresowań oprócz badawczych i których libido wolało wirusy od seksu.

Jednym z przedstawicieli tego właśnie gatunku był Peter Wyman, prawdziwy geniusz, który posiadał już dyplom z biochemii i teraz pracował usilnie, aby w przyszłości dodać do swego imienia tytuł doktora medycyny, tylko po to, żeby zapewnić sobie paszport do każdej dziedziny badań naukowych. Ziemistoblady, o mocno przerzedzonych włosach, był chyba jedynym studentem rzeczywiście rozmawiającym z profesorami. Rozprawiał z zapałem z jednym z cytologów na temat “przejścia poza sferę podkomórkową”.

- O Boże! - szepnął ze zgrozą stojący obok Barneygo student.

- Przez niego mam ochotę się spakować i wracać do domu.

- A mnie się chce rzygać - odparł Barney.

To rzekłszy, skierował się w stronę drzwi, w których dostrzegł Laurę wraz z Gretą Andersen.

Instynkt mówił mu, że należało przechwycić piłkę, zanim dostanie się na środek boiska.

Kiedy Laura zaczęła ich przedstawiać, miał wrażenie, że zaraz dostanie ataku serca. Nigdy w życiu nie widział jeszcze takiego ciała - ani w Midwood, ani na Bulwarze Zachodzącego Słońca, ani nawet na komediowej scenie w Union City, w New Jersey. I to miała być studentka medycyny?

Posłyszał za sobą tętent kopyt reszty hipokratesowego stada. Zastosował więc najostrożniejszy z możliwych chwytów i zaprosił ją na “pizzę czy coś takiego” po zakończeniu wieczorku.

Greta uśmiechnęła się, a jemu wydawało się, że na całej sali pojaśniało światło świec. - To wspaniale, po prostu uwielbiam pizzę!

Będzie musiała się przebrać w coś mniej oficjalnego i spotka się z nim na dole o siódmej trzydzięci. (Świetny początek, Livingston, co za strzał!)

Reszta wieczorku przypominała szaleńczy zjazd toboganem. Barney porozmawiał przez chwilę przyjaźnie z kilkoma profesorami. Podziękował temu, który z nim rozmawiał podczas spotkania kwalifikacyjnego, a teraz opowiadał się z emfazą za chirurgią ortopedyczną (to dopiero medycyna dla prawdziwego mężczyzny!) i skierował się w stronę wyjścia.

W tym momencie zauważył, że Laura rozmawia z wysokim, przystojnym studentem, który wyróżniał się wśród zebranych nie tylko swym eleganckim ubiorem, lecz również faktem, że był jedynym czarnoskórym mężczyzną na sali nie roznoszącym tac. Zauważyła jego wzrok i pomachała w jego stronę ręką.

Podchodząc do nich, Barney zorientował się nagle, kim był ten facet.

- Barney, chciałabym, żebyś poznał...

- Nie potrzeba tu żadnych wyszukanych wstępów - przerwał jej. - Na pierwszy rzut oka wiem, z kim mam do czynienia. - A potem spojrzawszy na jej towarzysza, powiedział: - Bennett Landsmann, najzacieklejszy biegacz i strzelec w historii harwardzkiej koszykówki. Widziałem, jak grałeś z Kolumbią cztery lata temu. Zaliczyłeś wówczas coś około trzydziestu dwóch punktów. Czyż nie tak?

- Coś koło tego - odpowiedział skromnie czarnoskóry mężczyzna i podał mu rękę. - Nie dosłyszałem jednak twojego nazwiska?

- Bo ci go nie podałem - odpowiedział Barney. - Jestem Barney Livingston i cieszę się, że ukończyłeś studia, zanim mogłem zagrać przeciwko twojej maleńkiej uczelni. A propos - jak to się stało, że dopiero teraz zaczynasz medycynę? Czy nie jesteś od nas o dwa lata starszy?

- Może dlatego, że jestem trochę opóźniony w rozwoju - uśmiechnął się figlarnie Bennett.

- Nie wierz mu, Barney - ostrzegła Laura. - Był w tym czasie w Oksfordzie na stypendium Rhodesa.

- To by się zgadzało - odpowiedział Barney, a potem zapytał Bennetta: - Czy wiesz, że w podziemiach tego wiekowego mauzoleum znajduje się sala gimnastyczna? Może miałbyś kiedyś ochotę na postrzelanie paru koszy?

- Z przyjemnością - odpowiedział Bennett. - Słyszałem nawet z wiarygodnego źródła, że zwykle o piątej trzydzięci zbierają się ochotnicy do meczu. Może należałoby to sprawdzić?

- To byłoby wspaniałe - zgodził się entuzjastycznie Barney.

- A więc, do zobaczenia - powiedział Bennett. - A teraz musicie mi wybaczyć, ale obiecałem solennie doktorowi Dowlingowi, że wysłucham jego ortopedycznej oferty.

Barney patrzył, jak Bennett Landsmann poruszał się z wdziękiem wśród tłumu, i pomyślał sobie: Ciekaw jestem, jak on się czuje jako jedyny Murzyn pośród całego rocznika? Mogę się założyć, że pod tymi pozorami swobodnego czaru jest samotny jak diabli. Albo po prostu wściekły.

Przed wyjściem Barney poznał jeszcze kilku innych przyszłych kolegów, a wśród nich pochodzącego z Pittsburgha Hanka Dwyera, byłego studenta Seminarium Świętego Krzyża. Miał on miękki głos i delikatne rysy twarzy. Początkowo kształcił się na księdza, lecz nagle poczuł powołanie na lekarza. Najwidoczniej jednak nadal targają nim ambiwalentne uczucia.

- No cóż - poradził mu Barney. - Masz przecież poprzednika w świętym Łukaszu.

- No, niby tak - przyznał Dwyer, zmuszając się do uśmiechu. - Tak właśnie powiedziałem mojej matce. Ale jej się to nadal nie podoba. W mojej rodzinie religia jest najważniejsza.

- A co się dzieje, gdy ktoś zachoruje?

- Wtedy idzie się do kościoła i modli o jego powrót do zdrowia.

- A jeśli komuś grozi śmierć?

- To wtedy wzywają księdza, żeby dał mu ostatnie namaszczenie.

Barney miał niejasne wrażenie, że ta nagła potrzeba zamiany koloratki na biały kitel inspirowana była przez coś więcej aniżeli zwykłe pragnienie uzdrawiania bliźnich. Zauważył bowiem ukradkowe spojrzenia, jakie Hank rzucał w kierunku niezrównanej panny Andersen.

Wyszedł tuż przed siódmą i pobiegł nałożyć na siebie coś mniej oficjalnego. Wrócił na dół o siódmej dwadzieścia cztery, żeby zapewnić sobie strategiczną pozycję przed ukazaniem się wspaniałej Grety.

Oczekiwanie zrodziło w nim różne myśli. Nagle zorientował się, że może zaproszenie tej Wenus z Milo do zwykłej pizzerii było równoznaczne z zabraniami królowej Anglii na pączki do Dunkina. No nie, taka sposobność może się już nie

powtórzyć. Pomyśl, Livingston, gdzie by tu ją zabrać? Gdzie byłaby trochę lepsza atmosfera i klasa?

A może do Copley Grille? Tam mają przynajmniej przyjemny, drewniany wystrój i przyćmione światła.

W pamięci stanął mu "ojcowski" wykład Warrena, wygłoszony w przeddzień jego wyjazdu do Bostonu.

Młodszy brat pracowicie sporządził finansowy bilans i ogłosił:

- Wyliczyłem tu wszystkie twoje wydatki, Barney. I sędzę, że jeśli obecna stopa procentowa się utrzyma i jeśli nie zaszalejesz z kupnem samochodu czy czegoś podobnego, to wystarczy ci forsy na całe następne cztery lata. Czesne - tysiąc na rok. Masz najtańszy pokój w całym akademiku. Trzysta czterdzieści dolarów za komorne, a posiłki powinny cię kosztować jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów za semestr.

- Nadal twierdę, że wolałbym gotować u siebie w pokoju.

- Nie ma mowy. Przeczytaj regulamin. Cały pierwszy rok ma jadać w jadalni. Jeśli będziesz chodzić do kina, to tylko raz w tygodniu...

- Czy stać mnie będzie na randkę?

- Tak, tak - odpowiedział Warren, uśmiechając się pobłaźliwie. - Możesz nawet poszaleć z dwiema porcjami prażonej kukurydzy. W każdym razie zakładając, że dodamy do tego następne sto pięćdziesiąt dolarów na podróże i inne nieprzewidziane wydatki, powinieneś się zmieścić poniżej trzech tysięcy na rok.

Cholera, Warren, czemu nie przygotowałeś jakiegoś zastępczego planu uwzględniającego seksbomby?

Do diabła z tym - pomyślał. Jeśli uda mi się zaimponować temu kociakowi na pierwszej randce, to z przyjemnością pogłoduję trochę przez resztę tygodnia.

Potem spojrzął na zegarek. Dochodziła już ósma piętnaście, a Grety jeszcze nie było. Czekał jednak wiernie nadal, mając do towarzystwa jedynie legendarnych, harwardzkich doktorów, wyraźnie przyglądających mu się z wiszących na ścianach portretów.

Oliver Wendell Holmes, były dziekan Szkoły Medycznej, lepiej znany Sarniemu ze swojej poezji, zdawał się strofować go swymi nieśmiertelnymi wersetami: "Płaszczanie się na kolanach nie jest wielbieniem, dobrze są już nam znane dryle powiek, zgiętego karku i kolan..."

Innymi słowy, co z ciebie za dureń, który czeka tak długo na jakąś tam dziewczynę?

Telefony do pokoju Greta okazały się równie bezowocne. Wszyscy poszli się gdzieś zabawić, korzystając z ostatniego wieczoru wolności. Barney poczuł zmęczenie. Był głodny i zły, ale przede wszystkim zaskoczony. Dlaczego, u diabła, dała mu tak wysokokaloryczną zachętę, jeśli nie miała ochoty z nim wyjść? Przecież mogła się wymówić zmęczeniem czy czymś innym. Właśnie miał zamiar strzelić pięścią w portret doktora Johna Warrena (1753-1815), kiedy pojawiła się Laura z Palmerem.

- Co ty tu robisz, Barney? Myślałam, że umówiłeś się z Gretą.

- Ja też, ale widocznie dostała lepszą ofertę.

- Może byś poszedł z nami coś przekąsić? - zaproponował Palmer ze szczerym współczuciem. - Chodź. Jedzenie to największa przyjemność oprócz wiesz czego.

Barney uśmiechnął się z wdzięcznością. Wstał i wyszedł za nimi, przyznając w głębi serca, że Castellano miała rację. Palmer faktycznie był miłym facetem.

Potem wciśnięto go do porsche'a i z warkotem ruszyli w kierunku Jacka i Marion, gdzie Laura zmusiła go do zamówienia gigantycznego czekoladowego tortu. - Odrobina hiperglikemii wywołana niewielką ilością węglowodanów faktycznie podnosi na duchu!

W głębi serca przejęła się tym bardziej niż Barney, który przy dziesiątym kęsie otrząsnął się z bólu urażonej męskiej dumy. Ja będę musiała jakoś żyć z tą seksbombą - pomyślała sobie. Mam nadzieję, że nie doprowadzi mnie do szaleństwa.

Kiedy wrócili do westybulu w Vanderbilt Hall, Laura bezceremonialnie odesłała Palmera. - Jesteś wolny do następnej soboty, mój drogi.

- Nie z własnej woli - zaznaczył Palmer. - Ale i tak będę do ciebie dzwonić.

Wychodząc, pomachał im ręką. - Ciao, doktorzy!

Laura i Barney zostali sami.

- Dzięki, Castellano. Czuję się raczej anemicznie przed waszym nadejściem. Uważam, że ten Talbot to rzeczywiście wspaniały facet.

- Owszem - odpowiedziała Laura, kierując się w stronę swojego pokoju. - Przypuszczalnie jest nawet dla mnie za dobry.

Rozdział IX

Jeśli zadaniem poprzedniego wieczoru przy lampce sherry było polerowanie twardych niczym szlachetne kamienie jaźni przyszłych lekarzy, to wprowadzający wykład dziekana Courtneya Holmesa, wygłoszony następnego ranka, rozbił je prędko na drobne kawałki.

Zaskoczyło ich stwierdzenie, że nawet najwybitniejsi doktorzy (tacy jak między innymi sam Holmes) posiadali żałośnie niepełną wiedzę o, chorobach trapiących ludzkie ciała i potrafili empirycznie wyleczyć zaledwie dwadzieścia sześć z nich.

Czyżby zatem mieli harować tu przez następne pięć lat tylko po to, aby pracować w zawodzie, który w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach był jedynie zgadywanką?

Oczy neofitów ciągle jeszcze pały z podniecenia, kiedy ustawiali się w kolejce po południowy posiłek. Laura szepnęła do Barniego, że czuje się zobowiązana więzami płci i przyłączyła się do czterech pozostałych dziewcząt, które zarekwirowały już "honorowy" stół. Barney skinął głową i rozejrzał się po jadalni. Zobaczył Bennetta Landsmanna i postanowił przysiąc się do kogoś, kogo już znał.

Po chwili przyłączył się do nich Hank Dwyer, ciągle jeszcze pod wrażeniem przemówienia Holmesa.

- Czy mamy znać te wszystkie nieuleczalne choroby, które on wymienił? O części z nich w ogóle jeszcze nawet nie słyszałem.

Odpowiedział mu kolega siedzący samotnie na drugim końcu stołu:

- Jak to się stało, że cię tu przyjęli? Holmes zacytował przecież najbardziej podstawowe medyczne zagadki. No wiesz, takie, które już w niedalekiej przyszłości rozwiążą nasze badania naukowe, a przynajmniej moje.

Był to nosowy głos Petera Wymana.

- Czy ten facet sobie żartuje? - zapytał szeptem Barney.

- Mam nadzieję - odpowiedział Bennett. Wyman dalej ciągnął swój wywód:

- Zacznijmy może od białaczki i cukrzycy. Mogę chyba założyć, że wiecie, co to leukocyty i trzustka?

- Wiem tylko tyle, że na sam jego widok boli mnie trzustka.

- Skąd ty jesteś taki mądry? - dopytywał się Dwyer Wymana.

- Powiedziałbym, że to dzięki czynnikom dziedzicznym, otoczeniu i nauce - odpowiedział Peter.

- Jak się nazywasz?

- Peter Wyman. MIT* - *summa cum laude*. A ty?

- Henry Dwyer. Kolegium Świętego Jana. Dezerter.

- Dokonałeś właściwego wyboru, Dwyer - skomentował protekcjonalnie Peter. -

Jedyna prawdziwa religia to nauka.

Dwyer spojrział gniewnie, a Barney szepnął do Bennetta: - Oho, jeszcze nam ksiądz pobije pedanta!

Wyman trajkotał dalej, a reszta siedzących przy stole umilkła. Usiłowali zebrać w sobie siły, gdyż za niecałe trzydzieści minut zaczynali pierwszą z czterystu pięćdziesięciu pięciu wymaganych godzin anatomii. Ci, którzy mieli już kiedyś na studiach kurs anatomii porównawczej i dokonywali sekcji żab i królików, wmawiali sobie, że ćwiczenia na gatunku *homo sapiens* będą z pewnością podobne. Inni pracowali już dawniej na pół etatu w szpitalach, gdzie widzieli trapy. Jednakże żaden z nich nigdy jeszcze nie wbił noża w prawdziwe zwłoki i nie rozpruwał nim ludzkiego korpusu.

Panujący na sali smród odurzył ich, zanim jeszcze ujrzeni rzędy ciał zawiniętych w plastikowe torby, niczym podłużne, nadziewane liście kapusty.

- O Jezu! - jęknęła Laura do Barniego. - Nie mogę oddychać!

- Przyzwyczajmy się do tego - mruknął. - To je chroni przed zepsuciem.

- Czyż to nie paradoksalne, że my, którzy przyszliśmy tu po to, aby konserwować żywych, musimy najpierw konserwować umarłych? - zapytał Maury Eastman.

- Pieprzysz! - odwarknął Barney. Był zdenerwowany i nie miał ochoty na błahe kpiny.

Nie zrażony tym samozwańczy spadkobierca Czechowa filozofował dalej. - Ciekaw jestem, na kogo z nas dzisiaj wypadnie. No wiecie, na każdym roku są tacy, którzy nie są w stanie tego wytrzymać. Niektórzy wymiotują albo mdleją. Słyszałem nawet o takich, którzy wyszli z sali i na dobre zrezygnowali ze studiów.

Zamknij się, u diabła - pomyślał Barney. Każdy z nas zastanawia się przecież teraz, czy da sobie radę.

* Massachusetts Institute of Technology - jedna z najlepszych uczelni technicznych w Stanach.

- Dzień dobry panom! - zawołał łysiejący osobnik odziany w biały kitel, przechodząc pospiesznie przez wahadłowe drzwi w odległym końcu sali. Był to profesor Charles Lubar, ich przyszły przewodnik po ludzkim labiryncie.

- Cieszę się bardzo, że właśnie w tym semestrze będę prowadził tę naszą ekspedycję mającą na celu zgłębianie tajemnic ludzkiego ciała, gdyż dokładnie sto lat temu Henry Gray opublikował swoją *Anatomię*, która do dzisiaj służy nam za podstawowy podręcznik. Na każdy stół wyznaczylśmy po czterech studentów. Wasze nazwiska podane są na kartkach. Proszę zabrać instrumenty i poszukać swoich miejsc. Zaczniemy, jak tylko będziecie gotowi.

Barney i Laura mieli nadzieję, że zostali przypisani do tego samego ciała. Niestety, stało się jednak inaczej. Barney szybko odnalazł swoją pozycję przy pobliskim stole, a Laura udała się na poszukiwanie swojej. Rzuciła mu na pożegnanie bezradne spojrzenie.

- Trzymaj się, Castellano! - zawołał za nią cicho. - Wszystko będzie dobrze! - Przytaknęła mu tylko głową i odeszła.

Barney ucieszył się, że Bennett był jednym z pozostałych dwóch studentów dzielących z nim, jego” zwłoki. Cała trójka miała szczęście, gdyż przy wszystkich pozostałych stołach stanęły kwartety anatomów. Barney skinął głową w stronę śmierdzącej obezwładniająco postaci, która zgodnie z zawiązaną na nodze etykietką była pięćdziesięciosześcioletnim mężczyzną zmarłym w wyniku wylewu krwi do mózgu.

Przy sąsiednim stole ktoś inny przeczytał swoją karteczkę i stwierdził: - Mamy fatalnego nieboszczyka, chłopcy. To rak. Musi mieć flaki jak kupa złomu. - Barney i Bennett spojrzeli na niego z dezaprobatą. - Hej! - zaprotestował przeproszająco. - Jestem trochę zdenerwowany, to wszystko. Nie chciałem tego powiedzieć, tak mi się tylko wyrwało.

- W porządku - powiedział Barney. Bennett skinął potakująco głową.

Trzecim członkiem ich zespołu była niska dziewczyna w okularach, o mocno kręconych włosach. Barney domyślił się, że musiała to być Alison Redmond. Laura wspomniała mu już wcześniej o tym małym supermózgu z St. Louis. Podeszła do stołu w momencie, gdy profesor Lubar zaczynał swą tradycyjną homilię.

- Po pierwsze, proszę spojrzeć na opis osoby, której sekcję będziecie przeprowadzać. To mało prawdopodobne, ale jeśli uważacie, że istnieje jakaś szansa na to, że może to być ktoś, kogo znacie, to nie wahajcie się poprosić o przeniesienie.

O Boże! - pomyślał Barney. To mi jeszcze nigdy nie przyszło do głowy. Ktoś, kogo znam, to rzeczywiście byłoby groteskowe. A potem przyszło mu na myśl coś przerażającego i zupełnie irracjonalnego. A co by było, gdyby to był mój ojciec?

- W porządku, panowie - ciągnął dalej Lubar. - A teraz chcę, aby nie było nieporozumień co do drugiego punktu. Ciała leżące przed wami były kiedyś żywymi, oddychającymi i czującymi ludźmi. Osoby te były na tyle wspaniałomyślne, że postanowiły pozostawić swe ciała nauce, żeby nawet po śmierci służyły ludzkości. Żądam zatem, abyście traktowali tych ludzi z szacunkiem. Jeśli zobaczę, że któryś z was stroi sobie żarty lub wygłupia się, to natychmiast wyrzucę winnego z kursu. Zrozumiano?

Wszyscy zgodnie mu przytaknęli.

Profesor, teraz już trochę mniej ostrzegawczym tonem, ciągnął:

- Każdy anatom ma swoją własną teorię na temat tego, od czego należy zacząć studium nad ludzkim ciałem. Niektórzy zaczynają od obszaru najbardziej znanego - to znaczy od naskórka albo napowierzchniowego nabłonka - i zaczynając od skóry, przechodzą przez kolejne warstwy. Ja jednak uważam, że najpierw należy zająć się samym sednem sprawy.

Następnie ruchem ręki nakazał wszystkim, aby zebrali się wokół jednego ze stołów w pierwszym rzędzie, na którym leżały męskie zwłoki z odsłoniętą szarą klatką piersiową i brzuchem.

Twarz i szyja pozostały owinięte płótnem, sprawiając wrażenie, że "George" (jak go nazwał profesor) poddawał się właśnie wieczystemu masażowi twarzy. Niektórzy z zebranych obawiali się, że nieboszczyk krzyknie za chwilę z bólu, gdyż Lubar, trzymając skalpel tuż pod jego szyją, przystąpił do ataku.

Jego ręka poruszała się prędko, przecinając ciało w wycięciu szyjnym na głębokość około półtora centymetra. Niczym kolejowy zawiadowca wymieniał nazwy stacji, przez które przechodził jego instrument - naskórek, skóra właściwa, tłuszcz podskórny, powięź powierzchowna, powięź, mięsień...

Na koniec miękka tkanka ściany brzucha została przerwana.

Przeleciał skalpelem w dół sztywnej jak nawoskowany papier skóry, rozcinając ją niczym zamek błyskawiczny. Profesor zatrzymał się na moment, aby zaczerpnąć powietrza.

Następnie wyciągnął ostry, ząbkowany nóż ze skórzanej torby, której zawartość przypominała kolekcję lśniących narzędzi stolarskich, i zatopił go w nacięciu, jakie

uczynił u szczytu mostka. Zebrani skrzywili się na dźwięk tego zgrzytu, tak jakby piłowano ich własne klatki piersiowe.

Przecinając mostek, profesor zaczął ponownie objaśniać: rękojęć mostka, wyrostek mieczykowaty, mięśnie międzyżebrowe, nerwy piersiowe...

I nagle klatka piersiowa otworzyła się z trzaskiem niczym skorupa włoskiego orzecha, odsłaniając ukryty w niej silnik ludzkiego żywota oraz otaczające go płuca.

Studenci pochylili się do przodu, aby lepiej widzieć. W tym momencie usłyszeli coś, co przypominało odgłos wypuszczanego z balonu powietrza i na ziemię osunęło się jakieś ciało. Oczy wszystkich zwróciły się na pierwszą ofiarę kształcenia w Szkole Medycznej, Na podłodze leżał bledszy od trupa Maury Eastman.

Barney pochylił się, aby ocucić swego upadłego towarzysza broni. Usłyszał nad sobą pocieszającą uwagę niczym nie wzruszonego Lubar: - Nie martwcie się. To się zdarza co roku. Jeśli nadal oddycha, to wynieście go na zewnątrz, żeby zaczerpnął świeżego powietrza. A jeśli nie, to połóżcie go tu na stole, to się nam przyda do następnej sekcji.

Barney wraz z innym muskularnym studentem zaciągnął Eastmana do drzwi. W połowie drogi Maury odzyskał przytomność. - Nie! - protestował słabo. - Musiałem zjeść coś niestrawnego na obiad...

Barney spojrzał na kolegę, aby mu dać znać, żeby pozwolił Maureyowi stanąć na nogi. Gdy tylko jako tako oprzytomniał, zostawili go samemu sobie i pobiegli oglądać dalszy ciąg demonstracji. Lubar zabierał teraz wszystkich na szybką wycieczkę po klatce piersiowej: wielkie naczynia krwionośne serca, grasica, przełyk, pień współczulny, nerw błędny - jeden z najdłuższych przewodów elektrycznych, ciągnący się od głowy aż po same nerki.

Studenci patrzyli na to jak na wyblakłą fotografię organów, które oglądali dotąd tylko na żywych, kolorowych ilustracjach. Wszystko, co było niegdyś czerwone, różowe czy purpurowe, miało teraz jedynie blady odcień szarości.

Nagle Lubar przerwał swój własny komentarz i zapytał: - A co tutaj jest nie w porządku? - Popatrzył po twarzach studentów, którzy usiłowali uniknąć jego wzroku. W końcu zmuszony był wyznaczyć ochotnika.

- Ty! - wskazał na jednego ze studentów, który najwidoczniej był zbyt dobrze wychowany, ażeby odwrócić oczy. - Co się tu z George'em stało?

Hank Dwyer zaczął się jękać: - Nie rozumiem, panie profesorze. To znaczy, nic już tu nie działa. Całe jego ciało przestało funkcjonować. Jest przecież martwy.

Usłyszał za sobą stłumiony chichot. Nie tyle może z szyderstwa, co z ulgi, że sami nie zostali wybrani. Wszyscy wiedzieli, że będąc na jego miejscu, powiedzieliby zapewne coś równie głupiego.

Lubar jednak nie wyśmiał odpowiedzi. - Owszem - potwierdził bez cienia ironii. - Zgodziłbym się z tym nawiązaniem do podstawowego problemu. Ale czy zauważył pan tu może coś niezwykłego, panie...

- Dwyer, panie profesorze.

- No właśnie, panie Dwyer. Czy zauważył pan może, że ten pan miał zaledwie czterdzieści cztery lata, kiedy umarł? Jak pan sądzi, co spowodowało tak przedwczesny koniec? Czy te płuca są według pana normalne?

Dwyer pochylił się do przodu, żeby się im lepiej przyjrzeć. W tej odległości zapach formaliny przyprawił go o mdłości. Zobaczył jednak to, o co profesorowi chodziło. - Jego płuca są jakby skurczone i potwornie czarne.

- Co wskazuje, że człowiek ten albo był górnikiem, albo namiętym palaczem. Ta czerń to węgiel. Czy zauważył pan jeszcze coś innego, panie Dwyer?

- Na lewym płucu ma guza - takiego białego i lepkiego.

- Niczym galaretka - dodał z nikłym uśmiechem Lubar. - Jak dostaniecie się na patologię, to zobaczycie, że chłopcy posługują się tam ciągle spożywczymi metaforami. W każdym razie proszę zwrócić uwagę na tę sól z pieprzem, którymi posypane wydaje się jego drugie płuco. Ta galaretka to rak pierwotny. A te punkciki soli to przerzuty, nowo powstałe kolonie pierwotnego nowotworu. A zatem, jeśli któryś z was chce popełniać powolne samobójstwo, to może sobie wypalać drogę do nieba w tak młodym wieku jak ten oto człowiek.

Wokół zwłok George'a rozległ się chóralny pomruk. Niektórzy, nadal nie wierząc we własną śmiertelność (lub prawdziwość raportu Amerykańskiego Stowarzyszenia do Walki z chorobami Nowotworowymi), uważali, że im to się z pewnością nie przytrafi. W końcu palili zaledwie dwa lub trzy papierosy dziennie, chyba że był to okres egzaminów.

- W porządku - powiedział profesor. - A teraz proszę odejść na swoje miejsca i otworzyć swoje "własne" zwłoki.

- Jak go nazwiemy? - zapytał Barney, rozwijając nerwowo wraz ze swoimi towarzyszami przydzielone im zwłoki.

- Może Leonardo? - zaproponowała Alison Redmond. - Anatomiczne rysunki Leonarda da Vinci są równie dobre jak Graya, mimo że wykonał je w 1487 roku. Był mistrzem w technice cieniowania, dla uzyskania trójwymiarowych efektów.

- No dobrze - zgodził się Bennett. - Zgadzam się na Leonarda. Te jego rysunki są rzeczywiście wspaniałe, tym bardziej że w jego czasach prawdopodobnie nie pozwalano nawet na przeprowadzanie sekcji zwłok.

- Naturalnie, włoski renesans należał do rzadkich wyjątków- pouczała ich nadal Alison. - W 1506 roku Leonardo sam dokonał sekcji zwłok, przypuszczalnie dzięki swemu przyjacielowi, profesorowi Marcantonio delia Torre.

- Dobrze, dobrze, Alison - przerwał Barney, pragnąc zatamować ten jej werbalny krwotok. - Dowiodłaś już swoich racji. Zabierzmy się teraz do pracy. Kto ma ochotę na ukrojenie pierwszej pajdy?

Alison i Bennett zgłosili się jednocześnie.

- No cóż, ja również mam na to ochotę - przyznał Barney - ale może oddamy pierwszeństwo paniom.

- Nie musisz być taki protekcyjny, Livingston - odpowiedziała Alison z nie ukrywaną wrogością. - Jestem tak samo dobra jak każdy z was. Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

- Nie wątpiłem w to ani przez sekundę - odpowiedział Barney. - W takim razie może pociągniemy losy.

- Tak będzie najsprawiedliwiej - przyznał Bennett. - Skąd jednak weźmiemy tu losy?

- Możemy użyć do tego moich papierosów - powiedziała Alison, wyciągając z kieszeni w połowie pustą paczkę.

- To z pewnością lepsze od palenia - zauważył sarkastycznie Barney.

- Moje ciało należy wyłącznie do mnie - odparła.

- Ależ oczywiście, oczywiście - przyznał Barney z udaną szczerością.

Przerwał im głos profesora Lubara.

- Proszę zwrócić uwagę na to, jak trzymam skalpel. - Ujął go niczym smyczek do wiolonczeli i pokazał im ruchy, które mieli naśladować. - Spróbujcie przeciąć skórę pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Zróbcie to szybko i lekko, gdyż chcę, żebyście zbadali kolejne warstwy skóry, podskórnego tłuszczu, powięzi i mięśni. Proszę zatem wykonać nacięcie aż po sam Pectoralis major.

Barney wyciągnął zwycięski papieros i usiłował teraz jak najlepiej naśladować prawidłowe trzymanie skalpela. Właśnie zbierał w sobie odwagę do wykonania nacięcia, kiedy Alison zapytała: - Może chcesz spojrzeć na książkę, zanim zaczniesz?

- Nie, dziękuję. Jestem byłym sportowcem. Dobrze wiem, gdzie należy uderzać. Czuli wzrastające napięcie.

- W porządku - szepnął Bennett, dodając mu niepewnie odwagi. - Tnij!

Barney zawahał się przez ułamek sekundy. Zauważył, że wielu jego kolegów już wykonywało ćwiczenie. Hank Dwyer przeżegnał się przy sąsiednim stole i prędko nacisnął skalpel. Miał ochotę odwrócić wzrok, lecz wiedział, że Alison obserwowała go bacznie.

Obniżył rękę i przeciął wysuszone jak pergamin ciało Leonarda tuż poniżej szyi. Przypominało to krojenie chrupkiego, jesiennego jabłka.

Nie było krwi, co bardzo ułatwiało zadanie. Dzięki temu Leonardo wydawał się jakby trochę mniej ludzki, bardziej podobny do woskowej imitacji życia.

- Dobra robota, Barney - mruknął Bennett Landsmann. Alison z własnej inicjatywy pochyliła się nad otwartą klatką piersiową i za pomocą szczypczyków zaczęła odwijać i zaciskać skórę.

- Mój Boże! - mruknęła pod nosem. - To najpowolniejszy stół na całej sali. Pospieszcie się, inni dotarli już do mięśni.

Bennett spojrział w prawo i poprawił swą towarzyszkę: - Uspokój się, Alison, oni są dopiero przy powięzi pachwowej.

- Skąd ta pewność? - zapytała go zdziwionym tonem, jakby insynuując przez to, że Bennett miał coś zdradzieckiego na sumieniu i na przykład już dawno ukończył ten kurs.

On jednak wskazał tylko na ich anatomiczną biblię i powiedział słodko: - Stąd! To wszystko jest tutaj, w pracy doktora Graya, proszę pani.

Barney pragnąc zachować spokój, podał jej skalpel i powiedział:

- Masz, Alison. Teraz ty tnij. My z Benem będziemy robili notatki.

Wzięła nóż i bez słowa zaczęła ciąć z wprawą i szybkością, której mógłby jej pozazdrościć niejeden doświadczony chirurg.

- Mój Boże, Barney, ale ty cuchniesz!

Trzy godziny później, wykończeni fizycznie i psychicznie, powlekli się do swoich pokoi.

- Szczerze mówiąc, CasteDano, ty też nie pachniesz jak różyczka!

- Wiem. Dobrze byłoby znaleźć jakąś pralkę i wsadzić do niej na godzinę lub dwie całe ciało.

- Dzięki Bogu za ten smród - stwierdził Barney. - Powalił mnie z nóg na tyle, że prawie nie zauważyłem, że kroję czyjeś ciało.

W tym momencie otworzyły się drzwi do sąsiedniego laboratorium i wyszła stamtąd następna grupa studentów po swojej pierwszej sekcji. Wśród nich była Greta Andersen.

- Hej, Castellano! - szepnął Barney. - Czy zapytałaś może Grete, dlaczego nie przyszła?

- Nie. Nie było jej jeszcze, kiedy wróciłam, a potem od razu poszłam spać.

- Ach, tak! - powiedział Barney z widocznym rozczarowaniem. - Sądzę, że chyba po prostu zapomniała.

- Szczerze mówiąc, uważam, że ona nie zwiastuje nic dobrego - ostrzegła Laura.

- Jak to mówiła moja matka, kiedy miałam pięć lat i próbowałam dotknąć palników na kuchence: *Cuidado, te quemaras*.

- Nic się nie martw - odpowiedział spokojnie. - Nie jestem aż tak zaangażowany, żeby się oparzyć.

W tym momencie przyłączył się do nich przedmiot ich dyskusji.

- Cześć, Barney! - powiedziała swobodnie Greta, jak gdyby nigdy nic. - Jak ci poszło z tym ciałem?

O cholera, czy wszystko, co ta dziewczyna mówi, musi mieć seksualne konotacje?

- Dobrze - odpowiedział Barney. A potem dodał niedbale: - Zdaje się, że się minęliśmy wczoraj wieczorem.

- Ach, Barney. Przykro mi bardzo, że nie mogliśmy się spotkać, ale... jakby to powiedzieć, wpadłam w sidła jednego z profesorów.

Wpadłaś w sidła czy raczej sama usidliliś? - pomyślał Barney.

- I jak już wreszcie dotarłam do mojego pokoju, potwornie rozboleła mnie głowa. Próbowałam do ciebie zadzwonić...

- Nic nie szkodzi - odpowiedział. - Może po prostu umówimy się innym razem, to wszystko.

- Im wcześniej, tym lepiej - odpowiedziała Greta kusząco. Nie mogła jednak pozostać z nimi ani minuty dłużej, gdyż profesor Robinson, jej wykładowca anatomii,

przechodził właśnie obok nich i Greta przypomniała sobie nagle, że nie zadała mu kilku pytań. Przepraszyła ich wobec tego i pobięła w dół korytarza. Barney nie był w stanie odwrócić oczu od ruchów jej okazałych mięśni pośladkowych.

Laura widząc, jak patrzy na Gretę, zażartowała: - Uważam, że formalina uderzyła ci do głowy. Może tak zdjąłbyś najpierw te cuchnące ciuchy i wziął prysznic, co?

Barney nadal stał roztargniony. - O Jezusie, wszystko bym dał, żeby tylko zobaczyć Gretę pod prysznicem.

- Dobrze, Livingston - powiedziała Laura. - Zrobię jej polaroidową fotografię i ofiaruję ci na Boże Narodzenie.

Barney wychował się z nieomal religijną wiarą w niezawodną skuteczność mydła marki Lifebuoy. Teraz jednak szorował się nim przez prawie piętnaście minut, a jego ciało wcale nie pachniało mydłem. Wprost przeciwnie, mydło zaczęło śmierdzieć formaliną!

- Spędzę tu chyba całą wieczność! - narzekał półgłosem.

- To tak jak z *Filoktetem* Sofoklesa - odpowiedział mu głos spod sąsiedniego prysznica.

- Wyjaśnij, proszę, tę niejasną aluzję - krzyknął Barney, usiłując nie myśleć o swoim zapachu.

- Dziwię ci się, Barney. Myślałem, że masz klasyczną mitologię w małym palcu - odpowiedział Maury Eastman.- Filoktet był greckim bohaterem w czasach wojny trojańskiej. Miał ranę śmierdzącą tak straszliwie, że jego przyjaciele nie byli w stanie tego ścierpieć. Porzucili go na bezludnej wyspie. Jednakże jakiś wielki prorok powiedział im, że bez Filokteta, z całym tym jego smrodem, nigdy nie zdobędą Troi, więc przywieźli go z powrotem. Całkiem niezła aluzja, co?

- Niezupełnie, Maury. Przecież tutaj wszyscy cuchną.

Wróciwszy do siebie do pokoju, Barney zapakował ubranie do kufra. Postanowił, że tak długo jak tylko się da, będzie nosił te same rzeczy na zajęcia z anatomii. Ale chociaż przebrał się w zupełnie świeżą odzież i dokładnie wymył sobie włosy, zapach formaliny unosił się wokół niego niczym jakaś złośliwa aureola.

W paradoksalny sposób smród ten zbliżał do siebie wszystkich studentów pierwszego roku z tej prostej przyczyny, że nikt inny nie usiadłby z nimi przy stole w jadalni.

- Ile z tego mamy właściwie zapamiętać? - zapytał Hank Dwyer. - Czy sądzisz, że to wystarczy, jeśli będziemy znali główne rodzaje mięśni?

- To nie przedszkole, Dwyer. Będziesz musiał znać każdy ztrzystu znanych mięśni, ich pochodzenie, położenie i działanie. Nie wspominając już nawet o dwustu pięćdziesięciu więzadłach i dwustu ośmiu kościach.

- Do diabła, Wyman! - warknął Barney. - Nie jesteśmy teraz w nastroju, żeby wysłuchiwać twojego gadania o naszej głupocie. Jeśli się natychmiast nie zamkniesz, to wyniesiemy cię na górę do pokoju i dla wprawy przeprowadzimy na tobie sekcję.

Barney zmusił się do nauki prawie do jedenastej w nocy. Potem zadzwonił do skrzydła, w którym mieszkały dziewczęta, żeby sprawdzić, czy Greta nie dałaby się namówić na małą kawę. Laura podniosła słuchawkę.

- Cześć, Castellano. Czy mogę rozmawiać z Gretą?

- Jak ją znajdziesz. Ostatni raz widziałam ją przed obiadem. Czy mam jej zostawić wiadomość, że dzwonił jej niewyżyty adorator?

- Nie, ona ma takich tysiące. Zejdę na dół po jakieś żarcie i pójdę spać. Masz może ochotę na kawę albo coś takiego?

- Za późno, Barney. Właśnie umyłam włosy. Ale to wzruszające, że w ogóle jeszcze o mnie myślisz. - A potem, zmieniając temat, zapytała: - Jak ci idzie nauka?

- Jak dotąd to samo wkuwanie na pamięć. Nic tylko wkuwanie. Czy rzeczywiście zostanę lepszym lekarzem, jeśli będę znał nazwy wszystkich mikronów ciała? Każdy głupiec potrafi wyuczyć się tego gówna na pamięć.

- Właśnie dlatego mamy tylu głupich doktorów, Barney. Znają wszystkie nazwy, lecz nie pojmują ich znaczenia. Z tego co słyszę, dopiero za dwa lata zobaczymy pierwszego chorego.

- Małe sprostowanie, Castellano. Jutro przy śniadaniu spotkasz się z pierwszym prawdziwym przypadkiem.

Powiedział jej dobranoc i zszedł na dół do automatu, gdzie wydał osiemdziesiąt centów na cztery baloniki czekolady.

Idąc wolno korytarzem w stronę swojej celi, posłyszał stukot maszyny do pisania. Mógł to być tylko esteta Maury. Drzwi do jego pokoju były otwarte, aby każdy przechodzień mógł widzieć artystę przy pracy. Mijając pokój Maureya, udał głębokie zamyślenie. Jednakże nie udało mu się uciec.

- Livingston!

- O, cześć, Maury. Właśnie miałem iść do łóżka. Jestem wykończony tym dzisiejszym...

- Emocjonalnie wyczerpany?

- Totalnie.

- Wstrząśnięty?

- Trochę.

- Lecz mimo to, głęboko poruszony pierwszym kontaktem z martwym ciałem.

- No cóż, szczerze mówiąc, wolę spotkania z żywymi.

- Hej, to dobre, bardzo dobre! - Maury zaczął gorączkowo pisać, a Barney usiłował wymknąć się z pokoju.

- Livingston, nie możesz teraz odejść!

- Dlaczego nie, Maury?

- Musisz zobaczyć, jak naprawdę wyglądał pierwszy dzień w tej szkole.

- Poważnie? A jak sądzisz, gdzie ja, u diabła, dzisiaj byłem?

- Musisz zobaczyć, jak żywo uchwyciłem ten *Sturm und Drang*. - Podał Sarniemu plik żółtych stron, zachęcając do zabrania go ze sobą.

Barney marzył już tylko o pójściu do łóżka. Wyczuł jednak w głosie Maureya nutkę paniki.

- W porządku - skapitulował, rzucając się na nie zasłane łóżko Maureya. - Pokaż mi tę transformację życia przez sztukę. - Odłożył na bok swoją kolekcję wysokokalorycznych smakołyków.

- O, cudownie! - zauważył Maury, sięgając z radością po jeden z baloników i rozwijając go pospiesznie. Potem zwrócił się do

Sarniego i zapytał z pełnymi ustami: - Nie masz chyba nic przeciwko temu, Livingston, co? Tak mnie to wciągnęło, że nie zszedłem na dół na obiad.

Barney znów zaczął czytać. Maury całkiem dobrze przekazał uczucia, strach i roztrzęsienie, podniecenie związane z oglądaniem otwarcia ludzkiego ciała i ujawnieniem jego tajemnic. Dodał nawet do tego akcent humorystyczny - jeden ze studentów zemdlął i miłosierny narrator pospieszył go cucić. Zastosował jednak niezbyt subtelną zamianę bohaterów. To Maury obserwował ze wzrastającym podnieceniem Lubara, podczas gdy tchórzliwym studentem okazał się nie kto inny tylko Barney!

Maury pochylił się nad nim z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dobra robota, co?

Barney poczuł się niepewnie. Dlaczego ten facet przekreślił prawdę?

- Nie wypowiadasz się tu jasno na temat klatki piersiowej.

- Na miłość boską, to jest przecież literatura. Dla przeciętnego czytelnika.

- Wiem o tym. Ale ten przeciętny czytelnik nie ma jakoś wrażenia, że w ogóle na nią spojrzales.

- Spojrzałem! - zaprotestował zapamiętale.

- No to, do cholery, jak to się stało, że nawet nie opisałeś serca?! Nawet literaci gadają na ten temat.

- Livingston, zdecydowanie zaczynam cię mieć dosyć!

Barney puścił tę uwagę mimo uszu, niczym bokser unikający ciosu.

- Posłuchaj, Eastman, chcę, żebyś powiedział mi prawdę. Czy wróciłeś potem na swoje miejsce po tym, jak... zasłabłeś?

- O co ci chodzi? - zapytał niepewnie Maury.

- O to, czy byłeś na pozostałej części zajęć z anatomii? Oczy Maureya przypominały spojrzenie wystraszonej sowy.

- Nic z tego nie rozumiesz, Livingston. Wszyscy się ze mnie śmiali. Ty też śmiałeś się wraz z innymi.

- Z kim?

- No słyszałeś. Wszyscy ze mnie drwili.

Barney poczuł wzrastający niepokój. Przysunął się bliżej do Maureya i zapytał łagodnie: - Czy chciałbyś może pogadać o tym, co cię niepokoi?

- Wypchaj się, Livingston. Nie jesteś moim psychiatrą.

- A chodzisz do psychiatry, Maury?

- Nie twoja sprawa. Wynoś się stąd do diabła i zostaw mnie w spokoju!

Ukrył twarz w rękach i rozplakał się.

Barney zrozumiał aż nadto dobrze, że była to prośba, aby nie zostawiać go samego. Wiedział jednak również, że Maury prędko potrzebował fachowej pomocy.

- Wyjdę, jeśli sobie tego życzysz - powiedział cicho. - Ale sądzę, że powinieneś zawołać służbę zdrowia.

- Nie mogę - odpowiedział Maury, chichocząc jak obłąkany. - Mój ojciec nie wierzy w psychiatrów.

- Jak to?

- Bo sam jest jednym z nich. - A potem ni stąd, ni zowąd dodał: - Mój ojciec mnie nienawidzi.

- Ale dlaczego? - zapytał Barney na pozór spokojnie, choć wewnątrz odczuwał szaloną terapeutyczną pustkę.

- Ponieważ zabiłem moją matkę - odpowiedział Maury rzeczowo.

- Och! - odpowiedział Barney, nie mogąc zdobyć się na nic innego.

- Tak naprawdę, to ja tego nie zrobiłem - wyjaśnił Maury. - To znaczy miałem wtedy zaledwie dwa lata, kiedy ona zażyła te pigułki i umarła. Mój ojciec uważa jednak, że to była moja wina.

Barney wiedział, że nie było czasu do stracenia.

- Słuchaj, muszę iść na chwilę do kibla. Zaraz wrócę. - Skierował się do wyjścia. Nagle w głosie Maureya zabrzmiała groźba: - Lepiej wracaj tu zaraz.

Na końcu korytarza, w pobliżu klatki schodowej, był telefon. Zasapany biegiem poprosił o połączenie ze służbą zdrowia.

Na dyżurze był doktor Rubin. Głos jego brzmiał spokojnie i uspokajająco, więc Barney wysapał najważniejsze szczegóły stanu swego przyjaciela.

- Co wobec tego mam robić? - zapytał nagłaco.

- Proponuję, żebyś zszedł tu do nas na dół, to sobie dalej porozmawiamy - odpowiedział doktor.

- Ale czy nie mógłbym zostawić go z wami? Chodzi o to, że mam jeszcze mnóstwo nauki.

- Słuchaj, Livingston - odpowiedział ze współczuciem doktor. - Nie musisz podtrzymywać tej szarady o "przyjacielu". Nie ma się czego wstydzić. Widziałem już dzisiaj kilku twoich kolegów z podobnymi... problemami.

- Nie, nie doktorze, pan nic nie rozumie!

- Ależ rozumiem, rozumiem - upierał się lekarz. - Czy wolałbyś może, żebym przyszedł do ciebie na górę?

- Dobrze - skapitulował Barney. - Czy mógłby pan jak najszybciej spotkać się ze mną przy schodach na trzecim piętrze?

Rubin zgodził się. Barney odłożył słuchawkę i zmęczony napięciem ostatniej godziny powlókł się wolno w stronę pokoju Maureya.

Eastmana w nim jednak nie było.

A okno było otwarte.

Rozdział X

Zaskoczył go błyskawiczny przebieg dalszych wydarzeń. I ta niesamowita cisza, brak jakiegokolwiek paniki, syren czy okrzyków. Nie było niczego, czym mogliby zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę.

Barney wybiegł z pokoju Maureya i zderzył się na korytarzu z doktorem Rubinem. Wysłuchawszy w ułamku sekundy jego wyjaśnień, doktor kazał mu natychmiast zawiadomić uniwersytecką policję, a potem pozbierać koce i przynieść mu je na dół. Wykonywał te polecenia tak gorączkowo, że miał wrażenie udziału w jakimś przyspieszonym filmie. Zadzwoił, ściągnął pościel z łóżka Maureya i pognął na dół po schodach, wlokąc za sobą prześcieradła i koce pod ścianę budynku, w której znajdowało się okno pokoju Maureya.

Dobiegły go jęki. Maury żył zatem? Podchodząc bliżej, zobaczył go leżącego nieruchomo na ziemi.

- Prędko, pomóż mi! - warknął lekarz. - Podtrzymaj mu głowę, mniej więcej równo z korpusem. Nie chcielibyśmy przyczynić się do jakiegoś złamania szyi, jeśli tego jeszcze nie ma.

- W jakim jest stanie? - zapytał Barney, klękając i ujmując ostrożnie w dłonie głowę Maureya. Miał nadzieję, że bijące gwałtownie serce nie spowoduje trzęsienia rąk.

- Klasyczny przypadek - skomentował rzeczowo Rubin. - Z całą pewnością pęknięcie kości pięty oraz obszaru lędźwiowego.

- Poświecił Maureyowi latarką w oczy i dodał: - Nie wygląda na to, żeby doszło do wklinowania.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jego pień mózgowy jest w porządku. Nie ma żadnych uszkodzeń neurologicznych. Cholerny szczęściarz z niego.

Można i tak na to popatrzeć - pomyślał Barney. Maureyem wstrząsnęły nagle gwałtowne dreszcze. Barney prędko owinał go kocem.

- Livingston, czy to ty? - zapytał w taki sposób, jakby każda sylaba była bolesna.

- Tak, tak. Nic się nie martw, Maury. Nic ci nie będzie.

- O cholera! - jęknął ranny. - Ale mi ojciec zrobi za to piekło! Powie mi pewno, że niczego nie potrafię zrobić dobrze. - Wydał z siebie dziwny dźwięk z pogranicza płaczu i śmiechu. A potem znowu jęknął z bólu.

- On bardzo cierpi - błagalnie zwrócił się do doktora Barney.

- Czy mógłby mu pan dać jakiś zastrzyk?

- Nie. To przytępiłoby jego wrażenia zmysłowe. Dopóki nie stwierdzimy zakresu obrażeń, dopóty musi zachować przytomność.

Zabłyśły światła. Uniwersytecka policja i karetka pogotowia zmaterializowały się nieomal równocześnie. Barney nie usłyszał nawet dźwięku silników. Maureya otoczyła nagle szóstka ludzi, rozmawiających nienaturalnie ściszym szeptem.

Barney czuł, że odgrywali już tę scenę wiele razy i znali swe role na tyle dobrze, że dialog nie był im potrzebny.

W celu zabezpieczenia kręgosłupa sanitariusze założyli na szyi Maureya szynę i właśnie przygotowywali się do ułożenia go na noszach, kiedy ukazał się dziekan Holmes. Przedstawiał sobą dziwne zjawisko. Jego twarz to znikwała, to pojawiała się w pulsującym świetle lampy karetki pogotowia. Holmes pochylił się nad Maureym i za pomocą pożyczonej latarki upewnił się, że nie było uszkodzeń czaszki. Potem skinął lekko głową, zezwalając tym samym na odwiezienie pacjenta do szpitala.

Kiedy wnoszono go do karetki, Maury krzyknął słabym głosem:

- Livingston, jesteś tu?

- Tak, jestem, Maury.

- Moje kartki! Proszę cię, weź moje kartki.

- Tak, tak, oczywiście! Nic się nie martw.

Drzwi karetki zamknęły się bezszelestnie i w chwilę później samochód rozplynął się w ciemnościach nocy.

Na trawniku pozostało teraz tylko ich trzech. We wszystkich oknach Vanderbilt Hall panowała ciemność. Barney spojrział na świecące wskazówki swojego zegarka. Była trzecia czterdzieści pięć nad ranem.

Nie wiedział, co dalej robić. Czuł, że należało poczekać, aż pozwolą mu odejść do pokoju. Stał więc niczym zmęczony, lecz posłuszny żołnierz, podczas gdy starsi oficerowie konferowali między sobą. Od czasu do czasu rozróżniał poszczególne słowa.

- Eastman... znam jego ojca... wybitny facet. Zajmie się rym... - W końcu Rubin skinął głową, obrócił się na pięcie i poszedł dalej pełnić swój dyżur. Być może czekały na niego inne podobne wezwania.

Holmes zwrócił się do Barniego:

- Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska?

- Livingston, panie dziekanie. Pierwszy rok. Mieszkam na końcu korytarza, na tym samym piętrze co Maury. To znaczy... tam gdzie mieszkał Maury.

Dziekan pokiwał głową. - Livingston, chcę, żebyś zrozumiał, że nawet jako przyszłego lekarza obowiązuje cię tajemnica lekarska. Nie wolno ci wspominać o tym nikomu.

- Oczywiście, panie dziekanie.

- Nawet w rozmowie z najbliższymi przyjaciółmi. To jeden z trudniejszych aspektów naszego zawodu. A poza tym, mogłoby to mieć nieodpowiedni wpływ na twoich kolegów. Z pewnością wiesz, o co mi chodzi.

Barney skinął głową na zgodę, a także ze zmęczenia.

- Panie dziekanie, ale ludzie wcześniej czy później zauważą, że go nie ma.

- Już ja się tym zajmę. Napiszę mały okólnik - coś o nagłej chorobie w rodzinie.

- Dobrze, panie dziekanie. Czy mógłbym już teraz odejść? Jest już bardzo późno, a...

- Oczywiście, Livingston, czy tak?

- Tak, panie dziekanie.

- Z tego, co mówił mi doktor Rubin, byłeś dzisiaj twardy jak kamień. Doceniam twoją postawę i jestem pewny, że Eastman doceni ją również.

- No cóż, Maury to naprawdę bardzo miły facet. Może tylko trochę za bardzo wrażliwy.

- Miałem na myśli doktora Eastmana, jego ojca.

- Och! Tak, panie dziekanie. Dobranoc panu.

Uszedł zaledwie pięć kroków, kiedy dziekan zatrzymał go ponownie. Barney przystanął i odwrócił się.

- Słucham pana?

- O jakich to kartkach mówił młody Eastman?

Barney zawahał się, a potem ze złością postanowił, że coś z Maureya Eastmana powinno pozostać nienaruszone.

- Nie wiem, panie dziekanie. On przypuszczalnie gorączkował.

Dziekan Holmes skinął głową, co Barney przyjął za zgodę na odejście. Zmęczony skierował się w stronę akademika.

Pokój Maureya był nadal otwarty. Zaświecił światło i wszedł do środka. W podręcznej maszynie do pisania leżała w połowie zapisana kartka. Barney pochylił się, żeby ją przeczytać. Zawierała myśli narratora po pierwszym dniu studiów medycznych.

“Było to nasze pierwsze zetknięcie z przedstawicielem Tamtego Świata. To ciekawe, spojrzeliśmy w jego wnętrze i wydawało nam się, że wszystko było w porządku. Nie brakowało niczego. Co zatem zabiera ze sobą Śmierć?

Zarozumiali naukowcy powiedzieliby po prostu, że elektryczne impulsy. Ludzie religijni twierdzą, że duszę. Ja jednak jestem humanistą i to, co dzisiaj widziałem, przyjąłem za nieobecność ducha.

Gdzie zatem znajdował się teraz?”

Barney zabrał tuzin kartek z “książki” kolegi i wyłączył światło. Ze smutkiem poszedł do swojego pokoju. Czuł desperacką potrzebę wyłączenia własnych myśli.

- O Jezusie, Livingstone! Chory jesteś, czy co? Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał wczorajszej nocy.

- No bo nie spałem - odpowiedział ochrypłym głosem Barney, usiłując zsynchronizować ruch lewej ręki, w której trzymał słodką bułeczkę, z prawą, w której wywijał marmoladę na ostrzu noża. Na jego tacy stały trzy kubki kawy.

- Czy mogę się przysiąść, czy też jest to stół zarezerwowany wyłącznie dla pracusiów?

- Siadaj, Castellano, siadaj.

Laura usiadła naprzeciw niego, bębniąc palcami po blacie.

- No i co, powiesz mi, co się stało, czy nie?

- Uczyłem się wczoraj o tkance nabłonkowej i tak mnie to wciągnęło, że się zupełnie zapomniałem. Zanim się obejrzałem, zaczęło świtać.

Laura wyciągnęła rękę i zarekwirowała jedną z jego kaw, a potem odrzekła: - Pieprzysz. Dobrze wiem, co się naprawdę stało.

Barney otworzył nagle opadające z niewyspania powieki.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową z uśmiechem. - Miałeś niespodziewane romantyczne spotkanie. Kim była ta szczęściara, Livingston? Pielęgniarką?

- Chwileczkę, Lauro, czy ja cię wypytuję o twoje seksualne życie?

- Owszem, i zazwyczaj niczego przed tobą nie ukrywam.

- No cóż, to jednak jest co innego. Złożyłem swojego rodzaju lekarską przysięgę. Proszę cię zatem, nie nalegaj.

Pragnął powiedzieć jej o swoim bólu i zagubieniu, które odczuwał, ale nie ośmielił się złamać danego słowa. Może nie tyle ze strachu przed Holmesem, ile raczej z szacunku dla Hipokratesa. Wypił łyk kawy i zauważył: - Boże, co to za paskudztwo!

- Moim skromnym zdaniem - ciągnęła swobodnie Laura - ty i Greta znaleźliście się w końcu na tej samej częstotliwości.

Barney uśmiechnął się z przymusem. - Jak ty do tego doszłaś?

- Logika dedukcyjna, Barney. Greta przyszła do pokoju dopiero po drugiej. Ty też masz wygląd nie pościelonego łóżka. Nawet się nie ogoliłeś.

- Naprawdę? - Dotknął dłonią policzka. - Dzięki ci, Lauro, nawet tego nie zauważyłem. Czy zanim zostawisz mnie w spokoju, mogłabyś coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Przynies mi wobec tego jeszcze jeden kubek kawy w zamian za ten, który mi ukradłaś.

Wstała uprzejmie, by przynieść mu następną dawkę kofeiny. Barniego oprócz głowy rozboleła w tej chwili i serce.

Czy na tym właśnie ma polegać dotrzymanie tajemnic lekarskich? - zastanawiał się. To znaczy, że nie wolno mi nawet otwarcie rozmawiać z najlepszą przyjaciółką, jaką mam na tym całym cholernym świecie?

- Zła nowina, Barney. Straciliśmy Alison.

Z początku zaniemówił ze zdziwienia. Błysk w oku Bennetta Landsmanna upewnił go jednak, że nie było to nieszczęście podobne do tego, które spotkało Maureya.

- Podobno jakiś facet przy stole Setha Lazarusa musiał nagle opuścić szkołę. Kiedy tylko nasza partnerka dowiedziała się o tym, zaczęła czarować Lubara, żeby ją przeniósł.

- Przynięła mu pewno w zamian, że go nigdy nie będzie podrywać.

- To nie było zbyt uprzejme. Ale pewno zgodne z prawdą. - Bennett uśmiechnął się. - Wieść gminna niesie, że Seth trzyma skalpel prawie tak samo dobrze jak Errol Flynn. Alison pragnęła zatem zmierzyć swe umiejętności z samym mistrzem.

- Nie mam nic przeciwko temu. Poza tym, że został nam nieboszczyk zwany Leonardo. Może dałoby się to zmienić?

Wspólnik skinął głową. - Co myślisz o Franku?

- Bardzo pospolite imię - stwierdził Barney. - Może dotyczyć wszystkiego - począwszy od FDR*, a skończywszy na hot dogach.

- Słuchaj, Livingston, dla prawdziwego kibica sportowego istnieje tylko Frank Gifford, nieśmiertelny obrońca nowojorskich Gigantów**.

Zmęczona twarz Barniego pojaśniała. - Bogiem a prawdą, po każdym prawdziwym starciu Frank wyglądał o wiele gorzej.

Nie mogli już dłużej ociągać się z powrotem do dalszego krojenia "Frankowego" ciała. Oparli przed sobą otwartą Anatomie Graya i zaczęli ostrożnie ciąć w kierunku nasierdza.

Po dwudziestu minutach pracy w zupełnej ciszy Bennett szepnęła:

- Wiesz, nie spałem zbyt dobrze wczoraj w nocy.

- Co, ty też?

- Bez przerwy myślałem o tym laboratorium. O tym facecie, któremu z taką beztrąską rozpruwamy flaki. W pewnym sensie rozumiem, dlaczego przez tyle wieków było to zabronione.

Barney przytaknął głową. - Wiem, co masz na myśli. To tak jakbyśmy wtrącali się w jego najbardziej intymne sprawy.

- No właśnie - przyznał Bennett. - A ten zapach, którego nie jesteśmy w stanie z siebie zmyć, to jak znamię Kaina.

- Tylko spokojnie - odpowiedział Barney. - Przecież nie depczemy po jego duszy.

Bennett spojrział z wdzięcznością na swego laboratoryjnego partnera. - To ładny sposób patrzenia na te sprawy, Livingston. Pomaga zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Wróciwszy do bezlitosnego wnikania w wewnętrzne organy Franka, Barney pomyślał ze skruchą: - Przepraszam, Maury, nie powinienem cię cytować.

* FDR - F.D. Roosevelt.

** Giganci - New York Giants, słynna drużyna amerykańskiego futbolu.

- To napięcie daje mi się już we znaki, Barney.

- Tak prędko? Na miłość boską, Castellano, to zaledwie tydzień, a hydra biochemii nie pokazała nam jeszcze swych wielozwiązkowych głów.

Siedzieli razem przy obiedzie składającym się z galaretkowatych kawałków mięsa podejrzanego pochodzenia, zakamuflowanych bliżej nie określoną, brązową cieczą,

- Dlaczego wszyscy wiecznie muszą się na mnie opierać? - narzekała dalej Laura.

- Kto się na tobie opiera?

- Wygląda na to, że cała Dziekanka.

- Może wreszcie zrozumiesz, jak ja się czuję, kiedy ludzie traktują mnie jak swego ojca spowiednika.

- Tylko, że ty to lubisz - zaprotestowała Laura.

- Tak. Pewno. Sprawia mi to ogromną satysfakcję, jeśli uda mi się pomóc kolegom w kłopotach. A poza tym to dla mnie taka próba generalna przed zostaniem prawdziwym psychiatrą.

- No dobrze - zgodziła się. - Koledzy to co innego, ale ja nie mam chyba obowiązku doradzania każdej dziewczynie na naszym piętrze! Przecież ja prawie nie znam tej Alison Redmond.

- A... stara, kochana Alison. Zbiegła z mojego stołu na ćwiczeniach z anatomii - jakby to powiedzieć - nadmiernie pobudzona legendarnym skalpelem Setha Lazarusa.

- To wcale nie był prawdziwy powód, Barney. Powiedziałabym raczej, że za bardzo podnieciło ją ciało pewnej osoby.

- Moje czy trupa? - zażartował.

- Bennetta - odparła z uśmiechem.

- Och! Właściwie nie mam prawa być zazdrosny. To naprawdę niczego sobie facet. Ale dlaczego miałyby to być powodem do ucieczki?

- Sam spróbuj to sobie wyjaśnić, doktorze Freud. Boi się, że się zaangażuje.

- To raczej mało realistyczne mrzonki. Dlaczego Bennett miałby się oglądać za takim szurkiem jak ona?

Laury to bynajmniej nie bawiło.

- Był ze mną na Harvardzie, co prawda o dwa lata wyżej, lecz sama mogę poświadczyć, że bez względu na opakowanie, zawsze pociągał go intelekt.

- Jak to się stało, że nie dobrał się do ciebie?

- Nie twoja sprawa - odparła. Zarumieniła się jednak lekko.

- No dobrze - ciągnął dalej Barney. - Nawet jeśli faktycznie byłby tak niewybredny, w co osobiście wątpię, to jakie obiekcje ma Alison?

- Chcesz znać prawdę? - spytała Laura. - Tak Bogiem a prawdą, to ona nie chce, aby cokolwiek odciągało ją od studiów. Ma absolutną obsesję na punkcie zostania najlepszą studentką roku. To dopiero początek semestru, a ona już zażywa proszki, żeby nie zasnąć i móc się uczyć po nocach.

- To wariatka. W każdym razie oszczędź mi, proszę, dalszych szczegółów.

Przerwało im przybycie Hanka Dwyera.

- Słuchaj, Barney, czy możesz mi poświęcić parę minut?

- Oczywiście - odpowiedział przyjaźnie Barney. - Chodź, przysiadź się do nas.

Hank skinął niepewnie głową w kierunku Laury, a potem odpowiedział z wysiłkiem: - To w pewnym sensie prywatna sprawa, Barney. Czy mógłbym może wpaść dzisiaj wieczorem do ciebie do pokoju?

- Przykro mi bardzo, Hank, ale mam roboty do cholery i naprawdę nie mogę poświęcić ci ani sekundy przed jedenastą trzydzieści.

Dwyer pokiwał głową z wdzięcznością, po czym z szacunkiem się wycofał.

Gdy tylko zniknął z zasięgu ich głosu, Barney szybko nawiązał do bardziej palącego tematu.

- A teraz, Castellano, chcę, żebyś odpowiedziała mi prosto: tak lub nie. Czy Greta Andersen jest totalną nimfomanką?

Laura pokręciła głową. - Przykro mi, ale to nie jest pytanie na tak lub nie.

Wstała i tym samym zakończyła konsultację.

To w pewnym sensie paradoksalne, że biochemia, która zgodnie z definicją stanowi naukę o procesach życia, jest równocześnie chyba najbardziej zabójczym kursem, przez jaki musi przebrnąć każdy student medycyny. Żywe funkcje zredukowane zostają tam do martwych wykresów i złożonych wzorów ujętych w telegraficznym skrócie.

- Życie byłoby niemożliwe - zaczął dramatycznie profesor Michael Pfeifer - bez organicznych związków zwanych aminokwasami. To budulce, z których skonstruowane są białka. One również stanowią ostateczny produkt trawienia białek.

Następnie Pfeifer zarzucił swoje sieci jeszcze szerzej.

- W przyrodzie istnieje około osiemdziesięciu aminokwasów. Do ludzkiego metabolizmu i wzrostu koniecznych jest tylko dwadzieścia z nich. Aminokwasy, które są dostarczane organizmowi w formie pobieranej przez niego żywności, noszą nazwę "aminokwasów niezbędnych". Aminokwasy produkowane przez dany organizm nazywają się "glicynami". Wypisałem obie te grupy na tablicy. Nie musicie ich jednak przepisywać.

Dyspensa z notatek przyjęta została ogólnym westchnieniem ulgi.

- Przeczytam wam je - powiedział Pfeifer swobodnie. I zaczął: - Histydyna, izoleucyna, leucyna, lizyna, mentionina, cysteina, fenyloalanina, tyrozyna, treonina, tryptofan, walina.

Potem obrócił się w stronę drugiej tablicy i wyliczył nazwy "nieistotnej" grupy aminokwasów, dodając: - Naturalnie wrócimy do tego szczegółowo trochę później.

Ten facet jest naprawdę całkiem do rzeczy - pomyślał Barney. I tyle prawdy w tym micie, że biochemia to koszmar.

Wkrótce jednak sam się o tym przekonał.

Asystenci zaczęli bowiem rozdawać po obu stronach sali grube pliki papierów, na których, jak się wkrótce okazało, wyrysowane były szczegółowe wzory wszystkich związków, o których tak miło i pobieżnie napomknął Pfeifer.

Jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak kolektywna psychika studentów pierwszego roku, to w tym momencie z pewnością popadła w kompletną, kolektywną depresję. Cała sala jęknęła. I wówczas Pfeifer zadał im ostateczny cios.

- Tak, dla utrzymania was w odpowiedniej kondycji, sądzę, że za jakieś trzy tygodnie zrobimy sobie pierwszy mały teścik.

Nastała dziwna cisza. Przez kilka sekund studenci wstrzymali oddech. Wszyscy wiedzieli, że należało zadać pewne istotne pytanie i rozglądali się między sobą, komu wystarczy tyle odwagi, żeby je wypowiedzieć. Nagle Laura uniosła rękę.

- Tak, słucham panno... Jak pani właściwie na imię?

- Laura Castellano, panie profesorze. Chciałam się tylko zapytać, czy będziemy musieli zapamiętać te wszystkie wzory?

Przeszło setka głów wysunęła się do przodu, żeby lepiej słyszeć odpowiedź profesora.

- No cóż, panno Castellano, to trochę przedwczesna konkluzja. Do tego czasu zdążymy omówić o wiele więcej materiału i będzie to kwestia ustalenia pewnych

priorytetów. Jakżeż można bowiem stwierdzić, że dwadzieścia aminokwasów jest ważniejszych od pięćdziesięciu ośmiu białek, z których zbudowana jest nasza krew?

- Dziękuję, panie profesorze. (Ty sadystyczny skurwysynie.)

- Czy są jeszcze jakieś pytania? - zapytał wspaniałomyślnie Pfeifer.

Barney siedział z tyłu obok Bennetta Landsmanna. Szepnął więc tylko do swego laboratoryjnego partnera: - Zapytaj go, gdzie parkuje samochód, to mu podstawię bombę.

Kiedy się rozchodzili, Barney zawołał: - Brawo, Castellano, strzeliłaś w dziesiątkę. Nikt z nas teraz nie zmruży oka w nocy.

Barney był wściekły.

Na dziekana, który zmusił go do milczenia o Maureyu. Na bezsensowne wymagania Pfeifera względem jego podupadającej pamięci oraz na to, że musi przerywać naukę na nieoficjalne "godziny przyjęć". Nieomal miał ochotę kogoś pobić. Zadowolili się jednak czymś pośledniejszym.

Udał się pospiesznie do swego pokoju. Ściągnął buty i dżinsy, włożył szorty i tenisówki, po czym dla rozgrzewki popędził na dół do sali gimnastycznej znajdującej się w podziemiach budynku.

Odbывał się tam właśnie mecz koszykówki. Oprócz Bennetta Landsmanna nie znał żadnego z graczy. Większość z nich wyglądała na starszych facetów. Przypuszczalnie byli stażystami lub lekarzami pracującymi w klinice. Przez parę minut obserwował ich z boku. Widok zaciętej gry przynosił mu pewną ulgę. Najwyraźniej nie tylko jemu potrzebna była fizyczna katharsis.

Po przeszło pięciu minutach gry wysmukły rudzielec uniósł do góry ręce przepraszającym gestem.

- Przykro mi, chłopcy, ale muszę potrzymać Glanvillowi kleszcze podczas pielolitolitotomii. - Skinął głową w kierunku Barniego:

- Masz ochotę na małe ścięcie? Barney przytaknął gorliwie.

- W porządku, chłopcy - powiedziała marchewka. - Ten nieszczęśnik chce, żeby mu połamać żebra. Potraktujcie go jednak miłosiernie. - Potem odwrócił się z uśmiechem w stronę Barniego.

- Baw się dobrze, mój chłopcze. Uważaj jednak, w przeciwnym razie ci straceńcy rozłożą cię na noszach.

Barney ponownie skinął głową. Mimowolnie przyszedł mu na myśl wspomnienia z poprzedniego wieczoru.

W pół godziny później piątka przeciwników doznała więcej posiniaczeń, aniżeli widuje się na stacjach pogotowia w sobotnie noce. Kiedy zwlekli się w końcu zadyszani z boiska, Barney ociekał potem. To było cudowne! Bennett rzucił w niego lekko wilgotnym ręcznikiem i zauważył z uznaniem: - Livingston, ty rzeczywiście grasz po świńsku. Muszę pamiętać, żeby zawsze być w twojej drużynie.

- Bennett, w twoich ustach to prawdziwy komplement. Sam co najmniej czterokrotnie podłożyłeś nogę ich środkowemu zawodnikowi. Gdzie cię nauczono podstaw - w Sing Sing?

- Czy uwierzyłbyś, jak ci powiem, że w Turynie?

- We Włoszech? Co ty tam, u diabła, robiłeś?

- Kiedy byłem w Oksfordzie, latałem tam w każdą sobotę i grałem dla Fiata Turyn. Dostawałem trzysta dolców za mecz i miałem okazję podróżować do wielu miejsc, których w przeciwnym razie nigdy bym nie zobaczył. Powiem ci jednak, że Europejczykom brakuje koszykarskiej finezji i dlatego nadrabiają to łokciami i kolanami. Myślę, że Ruscy dostają nagrodę za każdą kwaterek przelanej krwi.

- Walczyłeś kiedyś z Ruskimi?

- Tylko ze Spartakiem, jednym z ich rzekomo amatorskich klubów. Zapewniam cię jednak, że częściej byłem na ziemi niż na nogach.

- Cholera, Landsmann. Zatkales mnie, naprawdę!

- Livingston, jeśli chcesz tam uciec, to z pewnością zapewnią ci pracę w Leningradzie.

Po wzięciu prysznic i zjedzeniu kolacji Barney rozprężył się na tyle, że był w stanie skoncentrować się znowu na książkach. Miał zamiar spędzić cztery do pięciu solidnych godzin na pamięciowym wkuwaniu, które jakoś dziwnie mylono z intelektualną działalnością.

Wlokąc się wolno korytarzem, usłyszał muzykę. Dobiegające z pokoju Maureya Eastmana fale akustyczne przypominały skrzypków Mantovaniego pod wpływem LSD. Wzdrygnął się w środku i ostrożnie podszedł do drzwi.

Wnętrze pokoju jaśniało oślepiającym blaskiem. Przez cały sufit przebiegał rząd teatralnych świateł, z których każde skoncentrowane było na jakiegoś rodzaju

dziele sztuki - miniaturowej galerii obramowanej dwoma ogromnymi stereofonicznymi głośnikami.

- Możesz wejść, to nie jest Latający Holender - usłyszał za sobą dźwięczny baryton. Barney odwrócił się na pięcie i zobaczył elegancko ubranego młodzieńca po dwudziestce, o ostrych rysach twarzy.

- Czy mogę zaproponować ci coś do picia? - zapytał serdecznie.

Barney przyłożył dłoń do ucha. - Nic nie słyszę. Czy możesz trochę przyciszyć ten cholerny hałas?

- Raczej nie. Mahlera należy grać *fortissimo*.

- To załatw sobie słuchawki. Tutejsi chłopcy nie są w stanie uczyć się przy twoim *fortissimo*.

Miłośnik muzyki uśmiechnął się uprzejmie. Podszedł do tablicy rozdzielczej instrumentu, nieomal gównie skomplikowanej jak ta na Boeingu 707, i przekręcił gałki. Pokój przestał w końcu rezonować.

- Dzięki - powiedział Barney i skierował się do wyjścia.

- Nie zostaniesz, żeby się czegoś ze mną napić?

- Przykro mi, ale mam mnóstwo pracy.

- Wielki Boże, czemu wszyscy są tutaj tacy sumienni? Słuchaj, jedna mała szklaneczka szkockiej nikomu nie zaszkodzi.

Mimo wszystko Barniego zafascynował ten typ. Wobec tego poprosił go o colę.

- A może z cytryną? Albo z odrobiną rumu w stylu Cuba Libre?

- Czystą, dziękuję. Tylko z odrobiną lodu. Czy też studiujesz medycynę?

- Aż jakiegoż innego powodu miałbym mieszkać w tym ponurym akademiku?

- No tak, na to by wyglądało. Jeszcze parę dni temu ten pokój był zajęty. To znaczy przez kogoś innego.

- Biedaczysko - podał Sarniemu szklanekę coli i nalał sobie Chivas Regal na szerokość dwóch palców.

- Znałeś Maureya?

- Tylko z imienia i numeru. Wiesz, jak to jest. Słyszałem, że chodziło tam o jakieś sprawy rodzinne czy coś takiego. W każdym razie liczyłem właśnie na to, nie załatwiając sobie żadnego zakwaterowania w tym roku. Nie przypuszczałem jednak, że nastąpi to z taką szybkością. A ty znałeś tego biedaka?

- Był miłym facetem - odpowiedział surowym tonem Barney.

- Czyż to nie Hemingway powiedział, że "mili faceci zawsze kończą ostatni?"

- Nie, to był Leo Durocher, były zawodnik Brooklyńskich Dodgersów.
- Coś podobnego! Nazywam się Lance Mortimer i jeszcze nie spotkałem tu nikogo,” o kim nie można by powiedzieć, że jest skurwysynem o przerośniętych ambicjach.
- Czy dotyczy to również ciebie?
- Przede wszystkim mnie. Zamierzam zostać milionerem, zanim ukończę trzydziesty piąty rok życia.
- W takim razie, czy nie byłoby ci lepiej w Harwardzkiej Szkole Handlowej?
- O Chryste, jaki z ciebie świętoszek. Skąd jesteś?
- Z Brooklynu - odpowiedział szorstko. - Czy to też zamierzasz skomentować czy olać, Lance?
- Nie wygłupiaj się. Słyszałem, że to cudowne miejsce. Zdaje się, że Lauren Bacall też stamtąd pochodzi.
- Podobno.
- No cóż, jeśli Bogart nie miał nic przeciwko niej, to ja również nie mam do niej zastrzeżeń. - Lance uśmiechnął się, tak jakby udał mu się jakiś dowcip. - Zdaje mi się, że zapomniałem, jak się nazywasz.
- I *vice versa*. I może na tym staniemy?
- No nie, stary - przymilił się Lance. - Jak na ciebie wołali w Brooklynie?
- Różnie. Przyjaciele nazywają mnie Barney albo Livingston. Zazwyczaj reaguję na jedno i drugie.
- To również było powodem do śmiechu. - Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że wszyscy twoi pacjenci będą się podśmiewywać z twojego nazwiska. “Przypuszczam, że mam do czynienia z doktorem Livingstonem?”
- Nie zamierzam leczyć pacjentów, którzy “przypuszczają”. A teraz jeśli tylko mógłbyś trochę przyciszyć ryki tego twojego hi-fi, to może będę w stanie zająć się badaniem preparatów histologicznych.
- Preparatów histologicznych? - Lance zareagował na to ze sztucznym rozbawieniem. - Czy w ogóle wolno wam zabierać te cenne okazy ludzkiej tkanki poza obręb laboratorium?
- Po parę za każdym razem.
- A jakiego mikroskopu używasz?
- Specjalności tutejszego zakładu. Za dziesięć dolców na semestr.
- Ależ to jednooczny zabytek z epoki kamiennej!

- Słowo daję, Lance, chyba nic nie jest w stanie zaspokoić twoich wymagań - stwierdził zniecierpliwiony Barney.

- Ależ, doktorze Livingston, nie zrozumiał mnie pan. Miałem po prostu zamiar zaproponować panu korzystanie z mojej małej zabawki. - Zdjął flanelowy pokrowiec z błyszczącego supernowoczesnego obucznego mikroskopu, który stał na jego biurku.

- O! - wykrzyknął Barney, zanim zdołał się powstrzymać.

- Nikon, dzieło sztuki autorstwa dobroduszy elfów z Tokio. Prawdę rzekłszy, mam takie dwa. Mam również dwa kompletne zestawy preparatów, które oglądaliśmy dzisiaj w czasie wykładu.

- Skąd je dostałeś?

- Nie powiem ci, aż zmienisz swoją niską opinię o mnie.

- Skąd wiesz, co sobie myślę o tobie?

- Wszyscy myślą o mnie tak samo. Dopóki nie przekonają się, że pod tą moją obrzydliwą powierzchownością bije serce z kamienia i kryje się mózg ze stali. Inaczej mówiąc, Barney, jestem urodzonym zwycięzcą.

- Skoro tak twierdzisz - przyznał niechętnie Barney. - A teraz powiedz mi, skąd wzięłeś te preparaty.

- Powinieneś się tego domyślić. Jedyne szczegóły, którego ci brakuje, to ile zapłaciłem biednemu studentowi z trzeciego roku obsługującemu projektor. Ale to już jest kwestia tajemnicy lekarskiej.

Barney miał już tego dosyć. Rzuciwszy przez ramię zdawkowe "Do widzenia, Lance", skierował się w stronę drzwi. Młody człowiek skoczył na równe nogi i rzucił się za Barniem niczym Apollo w pogoni za Dafne. - Poczekaj chwileczkę, Livingston! Nie chcesz tego mikroskopu?

- Będę z tobą brutalnie szczery. Nie odpowiada mi perspektywa wiecznego poczucia wdzięczności względem ciebie.

- Ale przecież ci powiedziałem - mam dwa mikroskopy i podwójny zestaw preparatów.

Barney nie mógł się powstrzymać od zapytania: - Lance, czy wszystko posiadasz w dwóch egzemplarzach?

- No niby tak. A w każdym razie większość rzeczy.

- Dwa samochody?

Kolega skinął głową. - Tylko dwie corvetty z drugiej ręki.

- Mogę się założyć, że w tym samym kolorze.

Lance ponownie potwierdził głową. - To wydawało mi się bardziej praktyczne.

- O tak, z pewnością. - A potem, rozbudziwszy swą własną niezdrową ciekawość, zaczął badać głębiej: - Dwie dziewczyny?

- W tym robię wyjątek.

- Czyżby?

- Zawsze trzymam trzy lub cztery na aktualnej liście, ponieważ uważam, że kobiety są mniej pewne od samochodów.

- No cóż, to przynajmniej brzmi rozsądnie. - Barney wiedział, że żeglował po niezbadanych wodach. Wmówił sobie jednak, że odkrywanie tego, co powoduje tym człowiekiem, sprawia mu przyjemność.

- No, ale naturalnie masz tylko jedną mamę i papę.

- A cóż to, "Dwadzieścia pytań do..."?

- Przepraszam, trochę mnie poniosło. A poza tym nie chciałbym pożyczać mikroskopu od faceta, który z braku lepszego wyrażenia jest "analnie zachłanny".

- Z ciebie też jest trochę dziwak. Gadasz jak przysły psychiatra. - Lance zakończył uprzejmie: - Podoba mi się to. Możesz pożyczyć któryś z moich samochodów, kiedy tylko będzie ci potrzebny.

- Dzięki - odpowiedział Barney i zaczął zbierać poszczególne części supermikroskopu Mortimera w obawie, że jego dobroczyńca jeszcze zmieni zdanie.

- Kiedy chcesz, żeby ci to przynieść z powrotem? - zapytał, podnosząc pudełko preparatów.

- Nie spiesz mi się. Jeśli chcesz, możesz je zatrzymać na cały semestr. W razie czego zawsze mogę postarać się o następny zestaw.

- Jesteś wspaniały, Lance.

- Czy mam przez to rozumieć, że mnie polubiłeś? - zapytał Mortimer z prawdziwym zdziwieniem.

- Oczywiście! - uśmiechnął się Barney. - Jesteś jedyny w swoim rodzaju.

Bardzo przydał mu się ten mikroskop. Oglądanie wycinków tkanki łącznej podkolorowanej hematoksyliną i śladami żywicy było wspaniałym przeżyciem. Oślepiły go migoczące różowe i niebieskie plamy, ten zorganizowany chaos przypominający niektóre z obrazów Jacksona Pollocka. Dopiero teraz twierdzenie laboratoryjnego instruktora stało się dla niego prawdziwe. "Histologia i historia sztuki to dwie estetyczne dziedziny uzupełniające się wzajemnie".

Tuż po jedenastej poczuł zapotrzebowanie na dawkę węglowodanów. Po drodze do automatu ze słodyczami zatrzymał się przy telefonie, aby podzielić się swoim podnieceniem z Laurą.

Odpowiedział mu zirytowany kobiecy głos:

- Jeśli to do Greta albo Laury, to natychmiast odkładam słuchawkę.

Znał ten głos. - Cześć, Alison, to ja, Barney. No wiesz, spotkaliśmy się nad martwym ciałem Leonarda.

- O, cześć - odparła. - Jak ci idzie sekcja?

- Świetnie, a tobie?

- Nieźle - odparła, - Domyślam się, że chcesz rozmawiać z Laurą, czy tak?

Wyczuł jej samotność i zdecydował się na ostateczne poświęcenie.

- Alison, może chciałabyś za jakiś czas pójść ze mną na kawę?

- O! - powiedziała wytrącona z równowagi, gdyż nie była przyzwyczajona do tego, aby ktoś wykazywał chociażby najmniejsze zainteresowanie jej osobą. - Och, Barney, mam jeszcze na dzisiaj tyle nauki. Może innym razem?

- Oczywiście, oczywiście - odpowiedział z wewnętrzną ulgą. - Czy można wobec tego prosić Laurę?

Usłyszał szcęk słuchawki uderzającej o kamienną ścianę. Alison wypadła jak burza, żeby zawołać Laurę. Ona również odezwała się ze złością: - Hej, kto tam, u diabła? Usiłuję się uczyć!

- A na kogo czekałaś? Na Marlona Brando?

- O, przepraszam cię, Barney. O co chodzi?

- Nie uwierzysz, ale mam kompletny zestaw preparatów z histologii i mikroskop Nikona do tego.

- O Boże, skąd to wzięłaś?

- Słuchaj, to za długa i zbyt sensacyjna opowieść na telefon. Chciałabyś może wpaść tu i obejrzeć te przepiękne preparaty tkanki płucnej podbarwione srebrem, nie mówiąc już o całym kalejdoskopie innych cudowności?

- Ależ, oczywiście. Czy teraz?

- Nie, może za jakieś pół godziny. Mam teraz swoją godzinę konsultacyjną.

- Aha! No to w takim razie do zobaczenia po północy.

- Siadaj, Hank.

- Wiem, że jesteś zajęty, Barney. Nie zabiorę ci więcej jak trzy minuty.

- No dobrze, ale siadaj. Po co masz się narażać na żyłaki? Dwyer skinął głową i usadowił się na skraju łóżka.

- W porządku, dziecino, strzelaj.

Hank wiercił się przez chwilę, aż wreszcie wykrztusił z siebie z trudem: - Barney, mam taki problem. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś mógł mi coś poradzić.

- Ależ oczywiście, oczywiście - odpowiedział Barney, zastanawiając się jednocześnie: - Dlaczego jemu się wydaje, że ja znam życie lepiej od niego?

- O co chodzi, Hank?

Zmieszanie Dwycera zdawało się wypełniać cały pokój. Na koniec zwięźle określił swój dylemat: - O seks.

- Co masz przez to na myśli? - zapytał Barney niespokojnie.

- Mam problem z seksem - ciągnął Dwyer, wycierając spocone dłonie o sweter.

O nie! - krzyczał głośno instynkt samozachowawczy Barneyego. Wyślij go do prawdziwego psychiatry, bo w przeciwnym wypadku codziennie będziesz miał facetów wyskakujących ci wieczorami przez okno...

- Hank, czy nie sądzisz, że powinieneś porozmawiać na ten temat... ze specjalistą?

- O nie, nie Barney. Jestem przekonany, że facet z doświadczeniem takim jak twoje będzie w stanie mi pomóc.

No cóż - pomyślał z rozbawieniem Barney. Ktoś tu musi uważać, że jestem obdarzony charyzmą.

- W porządku, Dwyer, o co chodzi?

- Wiesz, że miałem być księdzem?

- Aha.

- I chyba mówiłem ci, dlaczego zrezygnowałem?

- Aha, coś w związku ze "światem, ciałem i stetoskopem".

- To przez Cheryl. Cheryl De Sanctis. Mam na jej punkcie obsesję - dniami i nocami. Nie mogę się uczyć, nie mogę spać, nie jestem w stanie studiować anatomii, bo pragnę tylko jednego...

- Przespać się z nią? - podsunął Barney.

- Tak, Barney. No widzisz, wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo cię rozumiem. Jak dotąd nie widzę problemu, chyba że Cheryl jest mężatką albo zakonnicą.

- Na litość boską, za kogo ty mnie uważasz? Ona jest po prostu wspaniałą dziewczyną z mojej parafii. Uczy w przedszkolu. Jej rodzina jest bardzo religijna.

Przerwał na chwilę, a potem dodał z jękiem tęsknoty: - A poza tym ma najwspanialszą parę cyców, jakie kiedykolwiek, bracie, widziałem.

- O! - powiedział Barney, usiłując odgadnąć, w czym rzecz. - Ale ty jej zwisasz i w tym cały problem?

- Nie, nie! Ona mnie kocha i jestem pewny, że kochałbym ją nawet, gdyby nie miała tak niesamowitego ciała. Wczoraj wieczorem zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że przyjeżdża na przyszły weekend i chce się zatrzymać u mnie w pokoju.

- To żaden problem, Hank. O ile mi wiadomo, nie wolno nam przechowywać w pokojach jedynie broni palnej i gadów.

- Sądzę, że ona chce pójść na całego.

- To wspaniale - odpowiedział z niecierpliwością Barney, myśląc jednocześnie: Żeby to ja miał tylko takie problemy!

- To znaczy, sądzisz, że to w porządku, co? Uważasz, że powinniśmy cudzołożyć?

- Słuchaj, Dwyer. Ja nie jestem moralistą, ale wydaje mi się, że jeśli dwoje dorosłych ludzi naprawdę się kocha, to obejmuje to również i seks.

- Przed małżeństwem?

- Dwyer, czy ty poważnie zamierzasz się z nią ożenić? Hank skinął głową. - Kocham ją, Barney. Czy mam przez to rozumieć, że nam błogosławisz?

- Sądzę, że powinienes potraktować to trochę bardziej po świecku, jako coś w rodzaju zachęty. Nie jestem w końcu twoim spowiednikiem. A tak swoją drogą, to czemu właściwie nie porozmawiasz na ten temat ze swoim księdzem?

- Ksiądz powiedziałby, żeby tego nie robić.

Zanim Barney zdołał zastanowić się nad wielorakimi implikacjami tego duchowego dialogu, ktoś zapukał do drzwi.

Dwyer spojrział na zegarek i powstał: - Och, to już po północy. Przykro mi, że ci zabrałem tyle czasu.

Laura zawołała wesoło: - To ja, Livingston, jesteś sam?

Dwyer zmieszał się: - Do licha, Barney, żałujesz pewno, że nie masz tu tylnych drzwi.

- Daj spokój, Hank, to tylko Laura.

- Jak to "tylko"? Przychodzi do ciebie do pokoju po pomocy najpiękniejsza dziewczyna na roku! Jak ty to robisz?

Obrócił się szybko i otworzył drzwi.

- Cześć, Hank - uśmiechnęła się Laura. - Mam nadzieję, że w niczym wam nie przeszkodziłam.

- Ja również - odpowiedział z zażenowaniem.

- Nie ma problemu. Wpadłam tylko, żeby zobaczyć, czy mikroskop Livingstona faktycznie dorasta do reklamy, jaką mu wcześniej zrobił.

- Ach, tak - przytaknął Dwyer, zupełnie zmieszany. A potem wybiegł pośpiesznie, żeby zadzwonić do swojej bogdanki.

Rozdział XI

- Oby tylko włożyć babie palec w pochwę!

- Lauro, nie tak głośno, jesteśmy w Bostonie! - Twarz Palmera Talbota przypominała kolorem homara, którego właśnie spożywał. Zażenowany rzucił wzrokiem po twarzach gości w restauracji Steubena, jedzących kolację przy sąsiednich stolikach.

Rozbawiło to Laurę. W trakcie niewinnej pogawędki Palmer zapytał ją mimochodem, w jaki sposób ona i jej koledzy radzą sobie z tą "ogromną liczbą nudnych idiotyzmów, którymi karmią ich na siłę". Odpowiedziała mu na to, że studenci medycyny wymyślili z upływem czasu kilka użytecznych mnemotechnicznych zwrotów, dzięki którym natychmiast potrafią wyciągnąć istotne informacje z tylnych półek pamięci.

- Na przykład? - zapytał.

- No więc istnieje absolutnie pewny i sprawdzony sposób na zapamiętanie dwunastu nerwów czaszkowych, czyli elektrycznych przewodów, które transmitują rozkazy z mózgu do różnych części ciała. - Zawadiacko przekrzywiła piękną, jasnowłosą głowę i zadeklamowała: - Oby tylko włożyć babie palec...

W tym momencie zmieszany Palmer dostał towarzyskiej apopleksji.

- Brzmi to jak jakiś kolejny wymysł Barniego - uśmiechnął się kwaśno.

- O nie. Powiedziałam ci już, że to klasyka, część tutejszego folkloru. O ile mi wiadomo, sięga czasów Galena, a może nawet i samego Hipokratesa. Jakżeż inaczej mogłabym z miejsca wyliczyć: okoruchowy, trójdzielny, wężowy, bloczkowy, podjęzykowy, wzrokowy...

- Już rozumiem - powiedział Palmer. - To z pewnością zwrot, który niełatwo wyleci z pamięci. - A potem zmieniając temat, szepnął z czułością w głosie: - To wprost nie do zniesienia. Jesteśmy w tym samym mieście, a widuję cię tylko w weekendy, i to nawet nie zawsze w piątek wieczorem.

- Mam również zajęcia w soboty.

- To czyste barbarzyństwo, Lauro. To wprost nieludzkie.

- To, mój kochany, jest cała kwintesencja Szkoły Medycznej.

W godzinę później nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Cóż w tym takiego śmiesznego? - zapytała, figlarnie uderzając go poduszką.

- Zrujnowałaś mi życie! - parsknął śmiechem. - Już nigdy nie będę w stanie iść do łóżka z dziewczyną, nie myśląc o dwunastu nerwach czaszkowych.

- A potrafisz je wymienić?

- Nie, ale z pewnością zapamiętam ten mnemotechniczny chwyt!

Odsunęła się od niego delikatnie, kiedy próbował ją objąć.

- Nie ma mowy - upomniała go stanowczo. - Wiesz, że muszę wrócić do akademika, żeby wstać jutro wcześniej i przelecieć moimi okoruchowymi nerwami po Anatomii Graya.

- A czemu nie po mojej? Dlaczego nie możesz zostać na noc i postudiować tu ze mną? Obiecuję, że odwożę cię zaraz o świcie.

- Przykro mi, ale twój świt w niedzielę rozpoczyna się dopiero po przeczytaniu całego cholernego "New York Timesa".

- Oraz "Boston Globe" - powiedział, uśmiechając się czule. - I dopiero po porannych pieszczotach.

Pocałowała go w czpło. - Innym razem. - A wstając, żeby się ubrać, dodała: - Czasami mam niejasne wrażenie, że chciałbyś, żeby mnie wylali.

- Przyznaję, że w różnych dziwnych momentach myśl ta przychodziła mi czasem do głowy. Jednak sumienie przypominało mi wtedy, jak żarliwie jesteś oddana swemu przyszłemu powołaniu i czułem, że to egoizm z mojej strony.

- To dobrze. A czy owo sumienie karci cię również za takie myśli?

- Niezupełnie. Przypominam sobie bowiem wówczas, że prawie jedna trzecia twojego rocznika jest już żonata.

- Ale żadna z kobiet nie jest jeszcze zamężna. Jesteśmy na to zbyt zajęte.

- Udowadnianiem czego? Że jesteście równie dobre jak mężczyźni?

- Nie. To nie wystarcza. Musimy udowodnić, że jesteśmy lepsze. Czy ty w ogóle możesz to pojąć?

Palmer rzeczywiście usiłował być sprawiedliwy, ale nie był w stanie zrozumieć stopnia jej zaangażowania.

- Kiedyś jednak zamierzasz chyba wyjść za mąż i mieć rodzinę, prawda?

- Na razie jestem jeszcze o jakieś dziesięć lat od tego kiedyś - odpowiedziała cicho. A potem dodała: - Nie chcę być tylko jakąś tam zwykłą lekarką, Palmer. Zamierzam być bardzo dobrą lekarką.

Popatrzył na nią i szepnął z tkliwością: - Kocham cię, Lauro, i będę czekać tak długo, jak będę musiał.

Przytulił ją do siebie tak, jakby chciał przez to przypieczętować daną jej obietnicę. Kiedy dotknęła twarzą jego policzka, poczuła nagle niczym nie wytłumaczony smutek.

O Jezu! - pomyślała sobie. Ten wspaniały facet tak bardzo mnie kocha. Ja też rzeczywiście go lubię. Więc dlaczego... nie mogę się odprężyć? Co się ze mną dzieje?

Kiedy ich porsche zatrzymał się przed mrocznym Vanderbilt Hall, zza rogu wyłoniła się młoda para, trzymając się za ręce. Palmer eskortował Laurę do frontowych drzwi, kiedy nagle ktoś za nimi zawołał:

- Hej, Lauro, zaczekaj!

Z ciemności wyskoczył Hank Dwyer, ciągnąc za sobą niską, pulchną dziewczynę.

- Cześć! - powitała ich radośnie Laura, zaskoczona tym, że ten niedoszły ksiądz chadza gdzieś tak późno po północy i do tego w towarzystwie dziewczyny.

- Lauro! - wysapał Hank. - Jesteś pierwszą osobą, którą o tym zawiadamiamy. Cheryl i ja zamierzamy się pobrać! Och, ale przecież wy się jeszcze nie znacie. Laura Castellano - a to moja narzeczona, Cheryl De Sanctis, z moich rodzinnych stron.

Czarnowłosa towarzyszka Dwycera skinęła głową i uśmiechnęła się nieśmiało. Jednakże nawet w ciemności błyszczały jej oczy.

Laura przedstawiła im Palmera, który zapytał ich grzecznie, kiedy zamierzają zawiązać małżeński węzeł.

- Na Boże Narodzenie - odpowiedziała Cheryl. - Zamierzamy się pobrać w trakcie zimowych wakacji.

- No właśnie - dodał Hank ze śmiechem. - Dzięki temu nigdy nie zapomnę naszej rocznicy. Czyż to nie cudowne?

- Uważam, że to wspaniałe - skomentował Palmer i z nutką ironii, którą tylko Laura wyczuła, dodał: - Czy nie będzie to dodatkowym obciążeniem dla twoich medycznych studiów?

- Ależ skąd! Wręcz przeciwnie! - odpowiedział wylewnie Dwyer. - Kiedy będziemy razem, nie będę tracił tyle czasu co teraz na myślenie o Cheryl.

Palmer uśmiechnął się ironicznie do Laury: - To rzeczywiście trzeźwe spojrzenie, nieprawdaż?

- Co jednemu dogodzi, to drugiemu zaszkodzi - odpowiedziała Laura znacząco, całując szybko Palmera w policzek. Potem pomachała ręką w stronę przyszłych państwa młodych i pospiesznie weszła do środka.

Kiedy znalazła się w pustym westybulu, powróciło jej wcześniejsze przygnębienie. Coś w sposobie, w jaki Hank i Cheryl patrzyli na siebie, dało upust jej emocjom. Niewątpliwie obydwójce byli w sobie bardzo zakochani. Czy uczucia Palmera w stosunku do niej były takie same? Nagle poczuła dla niego litość. I nie wiadomo dlaczego, zrobiło jej się żal samej siebie.

Nieświadomie skierowała się w stronę pokoju Sarniego, żeby trochę poplotkować, jeśli jeszcze nie spał. Zbliżając się do drzwi, usłyszała jego zmęczony głos, recytujący biochemiczne wzory.

Zatrzymała się, nie chcąc zwracać mu głowy swymi niedojrzałymi problemami dotyczącymi stosunków międzyludzkich, miłości i tego całego dorastania.

Poszła więc do siebie do pokoju, rzuciła się na łóżko, otworzyła zeszyt do biochemii i usiłowała zagłębić się w aminokwasach.

Barney wkuwał przez cały wieczór, aż do nieoczekiwanej wizyty Landsmanna, mającego na sobie elegancki blezer i niebieską, pasiastą koszulę oraz coś, co wyglądało na klubowy krawat. Barney nie mógł uwierzyć, że wyszedł tylko po to, aby obejrzeć ostatni film Ingmara Bergmana w kinie przy ulicy Exeter.

- O Chryste, Landsmann, czy to miała być rozrywka? Po obejrzeniu *Siódmej pieczęci* przez parę dni dręczyły mnie po nocach koszmary.

Bennett uśmiechnął się szeroko: - Ale bohaterowie jego filmów są tak posępni, że w porównaniu z nimi mam wrażenie, że jestem w euforii. W każdym razie perspektywa nauki nie wydaje mi się już taka straszna. Może się przepytamy?

- Dobry pomysł. Jak stoisz z aminokwasami?

- Nieźle. Zaliczyłem dziś po południu pięć godzin.

- W porządku. Może zatem poświęcimy nieco uwagi takiej trywialnej sprawie, jak produkcja białka w przewodzie pokarmowym.

- Chyba sobie żartujesz? Czy tego też się mamy uczyć?

- No cóż, panie Landsmann - odparł Barney, usiłując naśladować protekcyjny głos profesora. - Oczekujemy od państwa znajomości tylko najważniejszych rzeczy. Innymi słowy, wszystkiego, co padnie z moich ust.

Na co Bennett odpowiedział: - A gównno.

I zasiedli do pracy.

Po godzinie ogłosili przerwę i Bennett skoczył do siebie po parę sztuk Budweisera. Popijając piwo, dyskutowali na takie banalne tematy, jak: kto wygra tego roku koronę Ivy w piłce nożnej albo czy ktoś kiedykolwiek zdoła pokonać Yale w pływaniu. (Słyszałem, że tam prowadzą rekrutację wśród ryb - żartował Barney.) Rozprawiali nawet o międzyuniwersyteckich rozgrywkach szachowych.

Kiedy zrobiło się już późno, Barney wyczuł, że jego nowy przyjaciel czuje się już bardziej swobodnie i wobec tego ośmielił się zaryzykować kilka bardziej osobistych pytań.

- Powiedz mi, Landsmann - zapytał przyjaźnie - jak się czujesz w roli rodzyńka medycyny?

- Nie pochlebiaj mi, Barney. Zostałem skaperowany, to fakt, ale z pewnością nie jestem najlepszym zawodnikiem w tej lidze.

- Do diabła, wiesz przecież, o czym mówię, Ben.

- Oczywiście. Nie jest to jednak dla mnie żaden problem,' Barney. Zawsze byłem tym symbolicznym czarnym. Szczerze mówiąc, nigdy nie czułem się inaczej.

- Skąd pochodzisz?

- Wychowałem się w Cleveland. - Nie zaoferował więcej szczegółów.

Barney zawahał się pomiędzy nieśmiałością a fascynacją.

- Co robią twoi starzy? - rzucił niewinne pytanie.

- Mój ojciec robi buty - odpowiedział swobodnie.

- O! - odpowiedział Barney, oniemiały z podziwu dla wielkości dokonań faceta tak skromnego pochodzenia. Wyczuł jednak, że sięgnął szczytu osobistych wynurzeń Bennetta i nie mógł posunąć się dalej.

Przez następne półtorej godziny obaj mężczyźni zajęli się pracą. Byli właśnie w trakcie zapamiętywania utleniającego metabolizmu kwasu pirogronowego, kiedy Laura podeszła do drzwi i zawróciła.

Dobrze, że nie zatrzymała się pod nimi dłużej, gdyż zanim się rozstali tej nocy, podjęli następny świecki temat - tym razem dotyczący kobiet z roku.

- Ta Castellano - mruknął Bennett, potrząsając z zakłopotaniem głową - znałem ją, kiedy była jeszcze w Radcliffe. To dopiero enigma. Piękna, diabelsko zdolna - i taka tajemnicza.

Tajemnicza? Barney nigdy tak nie sądził. No, ale on rzeczywiście znał Laurę. Była częścią jego własnego życia.

To ty jesteś enigmą, Bennett.

W nocy, przed pierwszym egzaminem z biochemii, jedno pytanie łączyło nieustraszonych i oszalałych ze strachu: - Co, u diabła, te bzdury miały wspólnego z leczeniem chorych?

- Na litość boską, te wszystkie głupie wykresy przypominają szkolenie mechanika samochodowego albo technika od naprawy telewizorów - narzekala Laura.

Uczyła się w pokoju Barniego. Rzucali do siebie pytaniami, usiłując przewidzieć zagadnienia, o które Pfeifer może pytać nazajutrz rano.

- Musisz się rozluźnić, Castellano. Przyznaję, że przypomina mi to uczenie się pięćdziesięciu gatunków makaronu, ale niestety mają one pewien niejasny związek z funkcjonowaniem ludzkiego ciała.

- Mogę się założyć, że mój ojciec nie musiał wkuwać na pamięć tych bzdur.

- Z pewnością musiał. Ludzie studiowali metabolizm w Grecji i Chinach już dwa tysiące lat temu.

- Troszeczkę, zgoda. Ale nie musieli znać tych wszystkich krwawych szczegółów. A poza tym przyszedłem tu po to, żeby leczyć chorych!

- No cóż - odpowiedział, uśmiechając się z wisielczym humorem. - Rozejrzyj się wokół siebie. Z Pfeiferem jest coś nie tak, a my wszyscy musieliśmy chyba oszaleć, żeby to robić. Chcesz czekoladkę?

- Nie, ale mam ochotę na colę, żeby nie zasnąć. Zejdę na dół i...

- Nie wysilaj się, Castellano. Zostań tu i ucz się za nas dwoje. Muszę sobie trochę dokrwić mózg.

Pobiegł na dół, gdzie stało sześć automatów oferujących produkty o wątpliwej wartości odżywczej. Wydawało mu się, że o tak późnej godzinie wszystkie do niego mrugały. Prawdopodobnie nie było to wcale ułudą, gdyż wszystkie były już puste, nawet te zawierające papierosy.

Wszedł wolno na schody, usiłując przypomnieć sobie, kto na jego piętrze miał kuchenkę elektryczną i dzbanek do kawy. Ach, tak, oczywiście! Lance Mortimer z pewnością będzie miał dwa.

Zapukał do jego drzwi. Nie było odpowiedzi. Czy to możliwe, żeby ten facet zasnął? Kiedy zapukał ponownie, tym razem głośniejszym i również nie uzyskał odpowiedzi, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte, Lance leżał rozłożony w fotelu z odchyloną do tyłu głową, zamkniętymi oczyma i słuchawkami na uszach.

Słuchawkami? Jakżeż ten człowiek może być tak zblazowany, żeby słuchać muzyki w noc taką jak ta? Podszedł do niego i lekko popukał mu w czoło.

- Hej, jest tam kto? - zapytał wesoło.

Lance otworzył oczy i odsłonił jedno ucho.

- O, doktor Livingston. Gdzie się pan ukrywał?

- We własnym pokoju, tak jak wszyscy, ucząc się tych cholernych chemicznych struktur. Czemu nie robisz tego samego? Nie zamierzasz podchodzić jutro do tego testu?

- Czemu się tak rzucasz? Nie ma powodu do paniki.

- Może i nie, ale czy nie sądzisz, że należałoby się trochę pouczyć?

- Ależ stary, ja się uczę, naprawdę. Posłuchaj!

Barney niechętnie nałożył sobie na głowę słuchawki. Ku swemu zdziwieniu usłyszał w nich głos Mortimera, recytujący metaboliczne arkana, z których miano ich przetestować następnego ranka.

- Po prostu w kółko przesłuchuję te taśmy - wyjaśnił Lance. - I nawet jeśli zasnę, mój mózg będzie podświadomie pochłaniał te informacje.

- Prawdziwy dziwak z ciebie, Lance.

- Prawda? - Sąsiad uśmiechnął się szeroko. - Przykro mi, że nie mam żadnej taśmy, żeby ci pożyczyć, ale dopiero wczoraj złapałem ten aparat w Centrum Badań Akustycznych w Cambridge. Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

- Owszem. Czy masz może coś z kofeiną w środku?

- Coś w rodzaju kawy, herbaty czy coli?

- Colę, może nawet dwie, jeśli masz.

- Weź sobie - powiedział Lance, wskazując na lodówkę. - Jest tam też trochę camembertu, może ci będzie smakować. - Przechylił się do tyłu w fotelu i zaczął wsłuchiwać się w swoje pedagogiczne nagrania.

Kiedy Barney wrócił do pokoju, Laura leżała rozłożona na łóżku, śpiąc głęboko.

Popatrzył na jej ciemne, podkrążone oczy i zdecydował, że potrzebowała snu bardziej niż czegokolwiek innego. Usiadł przy biurku i uczył się jeszcze przez pół godziny. Potem jednak był już zbyt nieprzytomny. Spojrzał na Laurę. Spała tak głębokim snem, że byłoby okrucieństwem ją obudzić. Ściągnął buty i złapał za koc. Zwinął swoją kurtkę w poduszkę, położył się na podłodze i natychmiast zasnął.

Gdzieś w bezpiecznej krainie, pomiędzy nocą a rankiem, Laura wzdrygnęła się nagle i obudziła się. Dopiero po kilku sekundach zorientowała się, gdzie była. Potem

zobaczyła Barniego śpiącego na podłodze i uśmiechnęła się. Był taki spokojny! Zebrała swoje notatki i już miała odejść, kiedy spojrzała na jego biurko. Zapomniał nakręcić sobie budzik. Nastawiła go na siódmą, a potem cicho zamknąwszy za sobą drzwi, wyszła na palcach na korytarz.

Pod niektórymi drzwiami nadal świeciły się światła. Jedne z nich stały szeroko otworem. Lance Mortimer ze słuchawkami na uszach kreślił przy stole wzory. 'Spojrzał w górę, gdy przechodziła.

- Cześć, Lauro! - powiedział z uśmiechem. - Jak się ma Barney?

- Śpi - odpowiedziała rzeczowo.

- Szczyścieciarz z niego - zauważył złośliwie Lance. Popatrzyła na niego zbyt zmęczona, aby okazać zniecierpliwienie i mruknęła tylko: - A pieprzę cię, Mortimer.

Kiedy dochodziła do schodów, usłyszała odpowiedź kolegi: - W każdej chwili, Lauro, w każdej chwili.

Siedzieli zaspani, gryząc ołówki lub usilnie pracując na wrzody, w oczekiwaniu na mały tekścik profesora Pfeifera. Cienki i fałszujący tenor Petera Wymana, nucącego: "Ach, co to za prze-pię-kny ra-nek" bynajmniej nie łagodził bólu w ich rozstrojonych żołądkach ani też nie uspokajał ich pulsujących skroni.

Pocziwy profesor wcale ich nie zawiódł. Pierwsze pytanie, mimo że dotyczyło pionierskiej pracy ostatniego laureata Nagrody Nobla, Sir Hansa Krebsa, z zakresu metabolizmu i tak pochodziło nie z tego świata.

"Wyobraź sobie, że żyjesz na planecie Saturn. Przetwórz cykl Krebsa, używając azotu zamiast tlenu. Narysuj cały diagram".

Następna część testu, zdaniem Pfeifera, była o wiele "słodsza". Dotyczyła glukoneogenezy. Innymi słowy, przemiany cukru w celu zaspokojenia zapotrzebowania tkanek ciała.

"Zakładając, że masz pięć molekuł glukozy, ile ATP oraz ile fosforanu będziesz potrzebował do utworzenia glikogenu? Ile dwutlenku węgla przy tym powstanie? Przedstaw kolejne etapy odpowiedzi".

Sto dwadzieścia pięć osób sięgnęło prawymi dłońmi do czoła, usiłując wydobyć z pamięci właściwe odpowiedzi.

Mijały godziny. Większość ofiar oddała wreszcie egzaminacyjne papiery i wyszła z sali, powłócząc nogami. Kilku obsesyjnych nadgorliwców nadal wściekle skrobało.

- No, no! - odezwał się Pfeifer, tak jakby karciał przedszkolaków. - Jeśli do tej pory nie odpowiedzieliście na pytania, to najprawdopodobniej w ogóle nie potraficie na nie odpowiedzieć. Proszę o kartki.

Na zewnątrz sali wykładowej liczba przekleństw przerastała ilość jonów w powietrzu.

- Ten facet jest sadystycznym maniakiem! - brzmiała typowa hipoteza.

Peter Wyman patrzył na te reakcje jak na dowody medycznej ignorancji.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedział przyjaźnie. - Zgadzam się, że było sporo pisania, ale pytania jako takie były absolutnie w porządku.

- O, zamknij się, Wyman! - odburknął zazwyczaj spokojny Sy Derman, który przypadkowo był posiadaczem czarnego pasa w judo. - W przeciwnym razie na zawsze wstrzymam ci podstawowe utlenianie.

- Myślę, że Wyman blefuje - zauważył Barney. - Przecież oddał kartkę jeden z ostatnich.

- Racja - zawtórowała Laura. - A do tego spociłeś się, Peter, jak świnia.

- Pot jest normalnym sposobem regulowania temperatury ciała, panno Castellano - zgodził się łaskawie. - Im szybciej ktoś myśli, tym więcej spala kalorii. Powiedziałbym, że spalałem około pięciu dzuli na sekundę. Według wzoru I^2Rt .

- Powiedz mi coś, Wyman - odpowiedziała mu na to. - Czy urodziłeś się już takim potworem, czy też musiałeś gdzieś pobierać lekcje?

- Posłuchaj no, panienko. Według mnie, to miejsce zaczęło schodzić na psy od czasu, gdy zaczęto przyjmować tu kobiety.

- To ty posłuchaj, smarkaczu - przerwała mu. - Jeśli kiedykolwiek usłyszę jeszcze od ciebie chociażby odrobinę seksualnego szowinizmu, to się z tobą policzę po brooklyńsku.

- Lepiej bądź ostrożny - ostrzegł go Barney. - Laura świetnie się posługuje scyzorykiem.

- A juści, zaraz w to uwierzę! - zadrwił Wyman, ale mimo wszystko na wszelki wypadek pospiesznie się usunął.

- Kto ma ochotę się zalać? - zapytał Lance Mortimer. Pod tym względem pośród dwunastu studentów zgromadzonych wokół Wymana panowała zgodność. Wymaszerowali zatem do Baru Alberta na świąteczny obiad złożony z piwa i ziemnych orzeszków.

Mieli przecież ku temu powody. Po raz pierwszy rozciągnięto ich na kole tortur Torquemady* i przeżyli to, choćby tylko dlatego, by stawić czoło następnemu dniu. Kilka dzielnych, zaspanych duszyczek zawędrowało na popołudniowe zajęcia z anatomii, ale większość z nich zawlokła się do swoich pokoi, gdzie po prostu zasnęła.

W pewnym sensie Harvardzka Szkoła Medyczna jest nadal świątynią Asklepiosa - głębokie rany goją się tam cudownie w przeciągu jednej nocy. I tak oto następnego ranka na twarzach, a może nawet i na duszach studentów, którzy zebrali się w sali "C", aby usłyszeć ciąg dalszy kolejnych przygód aminokwasów w wiecznej pogoni za Doskonałym Białkiem - nie było widać żadnych oczywistych zniekształceń.

Profesor Pfeifer z miejsca zagłębił się w pasjonujących osobliwościach aminokwasu argininy, nawet przelotnie nie nawiązując do poprzednich zajęć. Wiedział, że cierpieli, a oni z kolei dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Fakt ten tylko wzmagał ogólne napięcie.

W końcu, na jakieś trzydzieści sekund przed zakończeniem zajęć, Pfeifer zaczerpnął powietrza i powiedział cicho: - Jeśli chodzi o wczorajszy test... Miło mi, że mogę powiedzieć, że niektórym z was poszło bardzo dobrze. Dwie osoby napisały na dziewięćdziesiąt osiem, a jedna nawet na dziewięćdziesiąt dziewięć punktów. - Potem dodał z uśmiechem: - Z zasady nigdy nie daję doskonałych stopni.

Pfeifer przerwał, zaczerpnął powietrza, po czym kontynuował:

- Naturalnie byli i tacy, którzy - jakby to powiedzieć? - jeszcze nie pojęli istoty tego kursu. Fakt, że najniższa liczba punktów wynosiła zaledwie jedenaście, doskonale o tym świadczy. Wystarczy jednak, jeśli powiem, że większość z was uzyskała pięćdziesiąt pięć punktów i rokuje wszelkie nadzieje na to, że ostatecznie zaliczy ten przedmiot.

Sala wypełniła się podnieconym szeptem. A potem, jakby na pożegnanie, Pfeifer oświadczył: - Jutro wcześniej rano wywieszę kartkę ze stopniami na zwykłym miejscu. Do widzenia, panowie!

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy studenci zaczęli wychodzić za nim, usłyszano, jak Peter Wyman mamrotał półgłosem: - Ciekaw jestem, z jakiego powodu straciłem ten punkt?

* Thomas de Torquemada (ok. 1420-1498) - pierwszy Wielki Inkwizytor w Hiszpanii, dominikański mnich, którego nazwisko stało się synonimem okrucieństwa.

Profesor Pfeifer miał zwyczaj zjawiać się w Szkole Medycznej nie później niż o szóstej rano, aby mieć kilka godzin na pracę naukową bez potrzeby przerywania jej na rozmowy ze studentami. Wyniki egzaminów wywieszał zazwyczaj na tablicy ogłoszeń na zewnątrz swojej sali wykładowej, używając jedynie inicjałów dla zachowania anonimowości studentów, a potem wycofywał się do laboratorium. Nie trzeba chyba dodawać, że nazajutrz liczba rannych ptaszków znacznie się powiększyła. Słońce było jeszcze zaledwie nieśmiałym półkolem na wschodnim horyzoncie, a już około pół tuzina studentów stało pod "ścianą płaczu".

Do tradycji należał również powszechny wśród wszystkich studentów (nawet tych niepalących) zwyczaj wypalania czubkiem papierosa swoich inicjałów po przeczytaniu wyników.

Barney zjawił się tam o siódmej. Bennett już na niego czekał. Nie uśmiechał się, ale też nie był nachmurzony.

- Jakie mamy wyniki, Landsmann?

- Livingston - odpowiedział mu poważnie przyjaciel. - Dla nas nie jest to ani najlepsza, ani najgorsza nowina. *Voilà!*

Wskazał na listę oraz sześć nazwisk puszczonej z dymem w niepamięć. Odbiorcy chlubnych dziewięćdziesięciu dziewięciu i godnych pozazdroszczenia dziewięćdziesięciu ośmiu punktów już przyszli i wyszli. Smugi dymu unosiły się jeszcze z inicjałów właściciela jedenastki oraz dwóch innych, którzy zaliczyli pośrednie czterdzieści siedem i pięćdziesiąt sześć punktów.

- Kiedy tu przyszedłeś, Ben?

- Byłem kwadrans przed siódmą i te dziury już tu były. Zdaje się, że obaj wyznajemy grecką filozofię *meden agan* - niczego w nadmiarze. Ja dostałem siedemdziesiąt cztery a ty siedemdziesiąt pięć.

- Skąd wiesz? Po drodze uzmysłowiłem sobie, że obaj mamy te same inicjały.

- Nie denerwuj się. Użyłem mego pełnego nazwiska - Bennett A. Landsmann. A zatem to ja dostałem siedemdziesiąt cztery.

Twarz Barniego nabrała nagle kolorów: - Hej, Landsmann, nie jesteśmy tacy źli! Ale czym by tu wymazać nasze nazwiska?

- Mam przy sobie tradycyjne narzędzie.

- Przecież ty nie palisz.

- Oczywiście, że nie, ale czasami umawiam się z nie uświadomionymi młodymi kobietami, które palą. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął srebrną papierośnicę. Wyciągnawszy długi, cienki papieros, zapalił go podobną zapalniczką. Na obu wyryte były monogramy, a w każdym razie jakieś pieczęcie.

- Hej, to całkiem niczego sobie pudełko, Ben. Czy mógłbym je obejrzeć?

Bennett rzucił nim w kierunku Barniego. Na wieczku, na polu z brązu, wyryty był okrągły herb ze srebrną literą A.

- Co to jest?

- Należała do mojego ojca. Był oficerem w Trzeciej Armii Pattona.

- Bardzo eleganckie - podziwiał Barney. - Mój ojciec służył na Pacyfiku, lecz nigdy czegoś takiego nie dostał. Czego twój ojciec doko...

- Hej, chodźmy już - przerwał Bennett. - Pora na śniadanie. Wymażmy te nasze nazwiska i chodźmy.

Podał Barniemu papierosa.

Wypalając swoje inicjały, Barney pospiesznie przeleciał wzrokiem po liście, szukając imienia Laury.

Nie było go tam. To znaczy, już go tam nie było. Albo poszło jej wyjątkowo dobrze, albo oblała. Nie wiedziałby, co jej powiedzieć, gdyby się okazało, że uplasowała się na końcu. Z drugiej zaś strony, gdyby zdała najlepiej (a znając Laurę, można się było tego po niej spodziewać), też nie miał pojęcia, jak by na to zareagował.

Rozdział XII

- Jak ci poszedł test z biochemii, Lauro?

- Nieźle.

- Czy to znaczy, że dobrze?

- Nie, to po prostu znaczy, że nieźle.

- Daj spokój. Nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych sekretów. Jestem w końcu twoim przyszłym mężem.

- Chciałabym ci przypomnieć, Palmer, że jeszcze nie dałam ci na ten temat oficjalnej odpowiedzi.

- W porządku, pani doktor, w porządku. Kapituluję. A swoją drogą, co zamierzasz robić w Dzień Dziękczynienia?

- Uczyć się, a cóż innego?

- Nie mam co do tego wątpliwości. Musisz sobie jednak zrobić jakąś przerwę. Nawet więźniowie w celi śmierci dostają w Dzień Dziękczynienia indyka.

- O, jadalnia z pewnością wystąpi z jakąś przyzwoitą namiastką oryginału - celofanową atrapą z nadzieniem z plastyku lub czymś w tym guście.

- W takim razie przyjadę, żeby zjeść tę namiastkę razem z tobą.

- A co na to twoi rodzice? Czy nie będą rozczarowani tym, że cię nie zobaczą?

- Nie w takim samym stopniu jak ja, jeśli nie będę się mógł widzieć z tobą.

Nagle przyszła mu do głowy niespokojna myśl.

- A może poczyniłaś już jakieś plany?

- No cóż, mieliśmy razem z Barniem...

- A, znowu doktor Livingston... - przerwał jej z ironią.

Laura spojrzała na niego z dezaprobatą. - Jak już powiedziałam - ciągnęła znacząco - mieliśmy razem z Barniem oraz paroma innymi osobami z pierwszego roku nakryć obrusem największy stół w stołówce i udawać, że jesteśmy jedną rodziną. Niestety, w ostatniej chwili było kilka dezercji.

- To znaczy?

- No cóż, Bennett leci do domu do Cleveland, żeby spędzić ten dzień ze swoimi rodzicami.

- To raczej rozrzutne. Musi mu się nieźle powodzić.

Laura skinęła głową. - Myślę, że tak. Sądząc po jego ubraniu, powiedziałabym, że w pojedynkę chroni przed bankructwem Braci Brooks. No, a potem Livingston też się wykręcił.

- Wraca na rodzinne łono w Brooklynie?

- Nie powiedział mi, co robi. Wręcz przeciwnie, zachowywał się bardzo dziwnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Dlaczego? Może się na ciebie pogniewał z jakiegoś powodu?

Wzruszyła ramionami. - Nie sędzę, chyba że go szlag trafił, ponieważ nie chciałam mu powiedzieć, jak mi poszedł egzamin z biochemii.

- No, a tak nawiasem mówiąc, jak ci poszło? - rzucił Palmer, usiłując ją zaskoczyć znieścacka.

- Powiedziałam ci już, Palmer, że nieźle - odparowała.

*Zebraliśmy się tutaj, aby prosić Boga o błogosławieństwo,
Karząc nas, ujawnia nam swoją wolę,
Przeto prześladowania nie są dla nas utrapieniem.
Śpiewajmy chwałę Jego imienia,
On bowiem nie zapomina o swoich dzieciach.*

Barney słuchał w samochodzie stacji WCRB. Wyglądało na to, że jest to jedyna rozgłośnia radiowa w całej Nowej Anglii, która nie rozpoczęła jeszcze nadawania programu z okazji Dnia Dziękczynienia. Ponieważ był sam w samochodzie Lance'a, mógł śpiewać na cały głos *Hymn dziękczynienia*, który z rozrzewnieniem pamiętał z dawnych szkolnych czasów.

Południowy kierunek autostrady międzystanowej numer osiemdziesiąt sześć był prawie całkowicie pusty. Większość podróżnych dotarła już do celu i zasiadała właśnie do świątecznego stołu. Z całą pewnością spędzanie Dnia Dziękczynienia w pojedynkę było znacznie gorsze niż samotne święta Bożego Narodzenia. Właściwie poza paradą w telewizji nic się nie działo. Wszyscy spędzali czas razem, ciesząc się swoją obecnością.

Barney był jednym z nielicznych, którzy tego nie zrobili. Musiał rozczarować matkę, która tak czekała na jego powrót do Brooklynu. Na dodatek jedynym wyjaśnieniem, jakie jej zaofiarował, było stwierdzenie, że jedzie odwiedzić kogoś, "kto ma pewne kłopoty".

(Ciekawość zmusiła Estellę do zadania pytania: - Czy to dziewczyna? Barney odpowiedział jej tylko, że nie ma powodu do zmartwień.)

Na północnych przedmieściach Hartford zjechał z autostrady i podążał dalej drogami, które z czasem stawały się coraz węższe i coraz bardziej prymitywne. W końcu precyzyjnie się przez wąski, bito trakt, obrzeżony be/listnymi drzewami i wyjechał nagle na ogromną otwartą przestrzeń. Około sto metrów przed nim znajdował się obszerny dom we francuskim stylu. Mała mosiężna tabliczka na dużej, kutej bramie obwieszczała: Instytut Stratfordzki.

Barney pomyślał przez chwilę o jego potocznym przydomku: "Forteca Szaleńców". Tutaj bowiem mieszkała arystokracja wariatów. A w każdym razie plutokracja. Chodziły słuchy, że mieszkańcy płacili tam prawie tysiąc dolarów tygodniowo.

O Chryste! - pomyślał. Za takie pieniądze powinni mieć kaftany bezpieczeństwa z kaszmiru. Dobrze wiedział, dlaczego zmusza się do takich słabych dowcipów. Dawno już słyszał o paranoi, jaka udziela się ludziom odwiedzającym kogoś w zakładzie dla nerwowo chorych. Nawet ci najbardziej pewni siebie odczuwają nieracjonalny niepokój, że zostaną zdemaskowani i zamknięci na zawsze.

Kiedy podjechał do stróżówki w celu identyfikacji, strażnik obgryzał właśnie udko indyka, patrząc obojętnie na migoczący ekran telewizora. Niedbale przerzucił kciukiem kartki notatnika, pozostawiając tłustą plamę na każdej stronie.

- Aha - pokiwał głową. - Doktor Livingston do pana Eastmana. Proszę wejść. (Barney powiedział za ledwie przez telefon, że dzwoni z Harvardzkiej Szkoły Medycznej, ale najwidoczniej zwiększyło to jego szansę dostania się tutaj.)

W ciężkich drewnianych drzwiach przywitała go anielska siostra przełożona. Uprzejmie złożyła mu życzenia świąteczne i zakładając chyba, że Barney był dobrze obznajomiony z instytutem, powiedziała, że "chłopiec Eastmana" przebywa właśnie na świeżym powietrzu, na trawniku poza domem. "Doktor Livingston" mógł go sobie tam poszukać.

Barney skinął głową i skierował się w głąb długiego, wąskiego korytarza.

Skręcił jednak w niewłaściwym kierunku i dzięki temu znalazł się przed białymi, szczelnie zamkniętymi, metalowymi drzwiami. Spojrzał przez prostokątne okno z zakratowaną szybą i zobaczył fantasmagoryczne nagromadzenie pacjentów drepczących gdzieś donikąd, przeciągających się i jęczących. Każdy z nich przebywał

najwyraźniej w swoim własnym, prywatnym świecie, najwidoczniej nie chcąc, czy też nie będąc w stanie przyjąć do wiadomości obecności innych. Przypominało mu to film Felliniego. Tylko że ta chimeryczność była rzeczywistością.

O Jezu! - pomyślał. Czy Maury też jest tutaj?

- W czym mogłaby m panu pomóc? - zapytał surowy, kobiecy głos. Odwrócił się i zobaczył za sobą Walkirię odzianą w pielęgniarski strój.

- W czym mogę panu pomóc? - powtórzyła o oktawę niżej.

- Jestem... z Harwardzkiej Szkoły Medycznej... Chciałbym się zobaczyć z młodym Eastmanem.

- Z całą pewnością go tu nie ma - zaprotestowała. Dzięki Bogu - pomyślał Barney.

- Powiedziano mi, że jest na trawniku za domem. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie to jest?

Wskazała właściwy kierunek. Barney skinął głową i pospiesznie się oddalił, mając nadzieję, że nie pokazał po sobie przerażenia, które w rzeczywistości odczuwał.

Maury siedział samotnie na dużym, pustym, kamiennym tarasie wychodzącym na ogromny, wypielegnowany ogród. Wydawało się, że obserwował słońce zachodzące za grzbietami gór.

- Cześć, Maury - odezwał się cicho Barney.

- Cześć, Barney - odpowiedział mu bezbarwnym tonem kolega, nie odwracając głowy. - Dziękuję, że przyjechałeś. Zdumiewające słońce, co? Tak jakby Bóg wrzucił do automatu błyszczącego miedziaka, by kupić nam za to niebo pełne gwiazd. - Nadal nie odwracał głowy.

- To piękna metafora. Powinieneś to zapisać.

- Przestałem już pisać - mruknął.

Skoro Maury nie miał zamiaru spojrzeć mu w twarz, Barney zdecydował się obejść jego krzesło. Oparł się o balustradę werandy. Teraz zrozumiał, dlaczego jego kolegę tak fascynowało niebiańskie światło. Jego własne oczy przypominały wypalone, elektryczne gniazdka. Barney wzdrygnął się na ich widok.

- Jak tam Szkoła Medyczna? Czy bardzo za mną tęsknią?

- A, właściwie to taka wegetacja. Brak mi ciebie, Maury. Ten facet, co teraz mieszka w twoim pokoju, jest prawdziwym osłem.

- Ktoś mieszka w moim pokoju? Myślałem, że go zabiją deskami, nałożą kwarantannę czy coś takiego, żeby nikt nie złapał mojego...

- Przestań się biczować - przerwał Barney, kładąc mu lekko rękę na ramieniu. - Mogę się założyć, że wrócisz do nas na wiosnę.

- Nie pleć bzdur. Zostanę tutaj na zawsze.

Barney popatrzył na te lodowate, puste oczy i pomyślał: J[^]epiej było temu biedakowi, kiedy był wariatem. Przynajmniej tętnił wówczas życiem.

- Hej, Maury, zaufaj mi, dobra? Jestem już prawie w jednej ósmej doktorem. Wszystko będzie dobrze, Maury. Wyjdiesz z tego i zostaniesz następnym Johnem Keatsem, tak jak kiedyś mówiłeś.

- Keats umarł, mając dwadzieścia sześć lat.

- No tak, to prawda - odpowiedział zmieszany Barney. - To chyba nie najlepszy przykład. Ale wiesz przecież, co mam na myśli.

Nastała cisza. Ale dlaczego? - zastanawiał się Barney. Przecież wiedział, do cholery, co chciałem przez to powiedzieć. Dlaczego nie chce, żebym go pocieszał? Dlaczego uparł się, żeby pociągnąć mnie za sobą w tę przepaść? I po co właściwie prosił mnie, żebym tu przyjechał?

Przez parę minut siedzieli, nie odzywając się do siebie. A potem, ni stąd, ni zowąd, Maury powiedział cicho: - Podpalają mnie tu prądem.

- Co takiego? - Barney dobrze wiedział, o co mu chodziło. Nie mógł w to jednak uwierzyć.

- Lekarze nazywają to EKT - Elektrokonwulsyjną Terapią- wyjaśnił Maury tym samym szarym, martwym głosem. - Koledzy nazywają to jednak "podpalaniem". Wiesz pewno, jakie mają tu maszyny do podsmażania ludzkich umysłów.

- Leczenie wstrząsowe... Mówisz, że poddają cię tu leczeniu wstrząsowemu?

Przyjaciel skinął twierdząco głową.

Barney poczuł w sobie odrazę. Zawsze kojarzył stosowanie elektryczności z systemem karnym: elektrowstrząsami dla agresywnych, antyspołecznych typów oraz wyższą karą dla ludobójców - krzesłem elektrycznym. Ale w przypadku tego nieszkodliwego biedaka?

- Podobno ma to wyleczyć depresję. - Wzruszył ramionami i dodał: - W każdym razie mój ojciec uważa, że mam się lepiej.

- Czy był tutaj, żeby cię zobaczyć?

- Nie. Jest bardzo zajęty, a San Francisco nie leży, jakby to powiedzieć, za rogiem. - Westchnął głęboko i ciągnął dalej: - Ale dzwoni tu. Dzwoni do doktora Cunninghama, głównego psychiatry, żeby się upewnić, że on się mną opiekuje... Kazalem ci tu przyjechać. .. aż... skąd by to nie było... i nawet nie zapytałem, co u ciebie słysząc... Ani u twojej żony.

- Ja nie jestem żonaty - szepnął Barney ze wzrastającym niepokojem w sercu.

- O! - odpowiedział Maury dziecięcym głosem. - Myślałem, że miałaś coś wspólnego z tą wysoką blondynką.

- Laurą - podpowiedział Barney, kiwając głową. - Laura Castellano jest tylko moją przyjaciółką.

- Była bardzo ładna, to pamiętam.

- To dobrze - powiedział Barney z wymuszonym uśmiechem. - Jeśli masz ochotę na rozmowy o ładnych dziewczynach, to znaczy, że jesteś na najlepszej drodze do zdrowia.

- Nie ma czegoś takiego jak "zdrowie" w psychiatrii - odpowiedział Maury z nutą smutnej rezygnacji w głosie. - Przechodzi się po prostu z jednej choroby w drugą. Jestem pewny, że wkrótce cię tego nauczą.

- Co za idiota naopowiadał ci takich bzdur?

- Mój ojciec - wymamrotał Maury. - Odkąd pamiętam, zawsze mi to powtarzał.

Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze,

Cały świat podadzą ci na talerzu.

Już od dzisiaj, już od teraz -

Kochanie, zawsze będziesz stąpać po różach...

Wjechawszy z powrotem na międzystanową autostradę numer osiemdziesiąt sześć, Barney przeszukał stacje w swoim samochodowym radiu w nadziei, że znajdzie coś, co mogłoby złagodzić tępy ból, jaki odczuwał we wnętrzościach. Jednakże jedyną odpowiednio wyraźną stacją, jaką udało mu się złapać, była hardfordzka WFDR, nadająca wyłącznie melodie rozrywkowe. Wydawało mu się, że tubalny głos Ethel Merman, wykrzykujący szaleńcze, optymistyczne slogany, tak typowe dla Broadwayu, kpił ironicznie z położenia Maureya.

Podjechał pod pierwszy hotel przy zjeździe z autostrady i zamówił trójwarstwowego hamburgera (miało to chyba symbolizować rozczarowanie, rozpacz i depresję). Usiłował zmusić się do jedzenia.

- Smętnie dziś wyglądasz, bracie - zauważyła ze współczuciem kędzierzawa kelnerka. - Straciłeś dziewczynę czy pracę?

- Ani jedną, ani drugą - odpowiedział Barney. - Wydaje mi się jednak, że za chwilę stracę cierpliwość.

Rozmienił u kasjerki na drobne równowartość pięciu dolarów i wszedł do budki telefonicznej. Wyjął z kieszeni zmiętą kopertę i wykręcił numer do San Francisco. Po trzech sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

- Gabinet doktora Eastmana. To była jego centralka.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak mógłbym się skontaktować z doktorem? To bardzo ważne.

- Czy jest pan jego pacjentem?

- Nie, nie. Właściwie jestem lekarzem. Nazywam się Livingston.

Nastąpiła krótka cisza. Posłyszał trzask wskazujący na przełączanie drutów. A potem odezwał się jakiś mężczyzna spokojnym barytonem: - Tak, słucham, Eastman przy telefonie.

- Tu mówi Barney Livingston. Doktorze, jestem przyjacielem Maureya. Byłem ostatnim facetem, z którym rozmawiał zanim... zanim... no wie pan - wyrzucił z siebie.

- Tak, oczywiście. Czy dostał pan moją kartkę?

- Tak, dziękuję panu - odpowiedział Barney, myśląc jednocześnie, jak krótki i pozbawiony wszelkich emocji był ten dziękczynny list Eastmana. - Właśnie dzięki niej mam pański numer.

Eastman w zasadzie nie podtrzymywał rozmowy, więc Barney został zmuszony do przejęcia inicjatywy. - Właśnie byłem z wizytą u Maureya, proszę pana...

- Nie uważani, aby wchodziło to w zakres pańskich obowiązków - stwierdził zimno doktor.

- Ależ Maury to bardzo miły facet, proszę pana. Bardzo go lubię.

- Miło mi to słyszeć. Zazwyczaj ma trudności w kontaktach ze swoimi rówieśnikami. A zatem, w czym mógłbym panu pomóc, panie Livingston?

- To Maury potrzebuje pomocy, proszę pana.

- Nie rozumiem. - W głosie psychiatry zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

- Panie doktorze - ciągnął Barney, usiłując zachować spokój. - Czy wie pan o tym, że stosują tam na pańskim synu leczenie wstrząsowe?

- Oczywiście.

- Niech mi pan wybaczy moją szczerość, ale właśnie widziałem się z pańskim synem. Z tego, co widzę, Maury jest w jeszcze gorszym stanie niż przedtem.

- Doktor Cunningham twierdzi zupełnie inaczej - odparł chłodno Eastman. - A poza tym, co upoważnia studenta pierwszego roku medycyny do wydawania sądów o doświadczonych lekarzach?

- Doktorze! - odpowiedział z przejęciem Barney. - Proszę tylko, żeby pan tu przyjechał na chwilę i zobaczył, jak te zabiegi spalają mózg pańskiego syna...

- To zupełnie niepotrzebne, Livingston. Technika ta jest mi dobrze znana i uważam, że jest wskazana na depresję chłopca.

Jasne było dla Barniego, że doktor Eastman celowo unikał sformułowania "mój syn". Tak jakby chciał się rozgrzeszyć z jakiegokolwiek odpowiedzialności za nieszczęśliwy stan Maureya.

- Doktorze Eastman, błagam pana. Niech pan nie pozwoli, aby dalej stosowano na Maureyu te elektrowstrząsy. On wróci do siebie. Niech mu pan pozwoli spokojnie powrócić do zdrowia.

Nastąpiła krótka cisza, przerywana jedynie lekkimi zakłóceniami na linii.

- Livingston, wdzięczny jestem panu za pańską troskliwość i z pewnością podejmę tę kwestię z doktorem Cunninghamem. Mam nadzieję, że mile pan spędził Dzień Dziękczynienia.

Barney zaniemówił.

- A zatem, do widzenia! - pożegnał się doktor spokojnie i mroząco zarazem.

Barney odłożył słuchawkę i oparł się o telefoniczną budkę niczym pobity bokser.

Parę minut po ósmej wjechał na teren uczelni. Biblioteka była jeszcze otwarta, więc poszedł przejrzeć ostatnie publikacje na temat techniki elektrowstrząsów. Czytał gorączkowo, notując na kartkach. Terapia wstrząsowa wskazana była przede wszystkim przy istnieniu: a) dużej i niechybnej możliwości samobójstwa, b) depresyjnego otepienia oraz c) niebezpieczeństwa zagrożenia zdrowia z wielu różnych innych powodów.

To prawda, że Maury podlegał pod wszystkie powyższe punkty, ale nawet najwięksi zwolennicy tej metody podkreślali, że powinna być stosowana tylko wówczas, gdy istotnym elementem terapii był pośpiech. Komu jednak był on potrzebny w tym przypadku? - pytał samego siebie. Maury siedział sobie przecież na werandzie, snując metafory niczym stara kobieta podczas wyszywania serwetek.

Towarzyszyły temu jednak uboczne skutki. W każdym przypadku następowała przynajmniej częściowa utrata pamięci, chociaż badania wykazywały, że zazwyczaj była ona tylko chwilowa. Ale co by się stało, gdyby Maury nie potwierdził statystyk? Gdyby na zawsze uszkodzono mu pamięć?

Czyż to nie Tomasz Mann zdefiniował pojęcie geniuszu jako zdolność do uzyskiwania wolnego wstępu psychicznego do wszelkich przeszłych doświadczeń? Czyż pamięć nie była dla artysty jego najcenniejszą własnością?

Maury był inteligentnym, wrażliwym i twórczym facetem, któremu należała się przecież jakaś szansa na to, aby mógł się rozwinąć w pełni jako człowiek. A przynajmniej stanąć, czy też upaść o własnych siłach, a nie być ciągle strącany przez grzmoty obojętnego Zeusa.

Ci psychiatrzy traktują choroby psychiczne jak gangrenę mózgu, którą należy jak najprędzej wyciąć. Nie wchodzi tu w grę żadne ludzkie zdolności - pomyślał Barney. Jak zostanę psychiatrą, będę się starał leczyć te wewnętrzne rany, pomagać pacjentom stać się znowu pełnymi ludźmi. Żadna maszyna tego nie potrafi.

Vanderbilt Hall roił się od wesoło trajkoczących studentów.

Niewielka grupka zebrała się wokół pianina, śpiewając świąteczne kolędy. Jutro rozpoczną normalną naukę, dzisiaj jednak wszyscy zamierzali w pełni wykorzystać świąteczną przerwę.

Barney zobaczył w stołówce Gretę Andersen, niosącą tacę z jedzeniem przypominającym surowiec, z którego wykonane było położone na podłodze linoleum. Nawet płaszcz z wielbłądziej wełny leżał na niej jak obcisły sweter. Płynnym krokiem skierowała się do kąta, w którym Laura rozmawiała z paroma stażystami.

Postanowił się do nich przyłączyć.

- Cześć, chłopcy! - przywitał się.

- O! - zawołała Laura. - Nasz tajemniczy podróżnik. Czy to nadal sekret stanowy, czy też możesz już nam powiedzieć, gdzie byłeś?

- Byłem na przylądku Canaveral. Pomagałem im wysłać indyka na orbitę.

- Na litość boską, Livingston - żaliła się Laura. - Nie jesteśmy tu przecież Biurem Śledczym w Senacie.

- Powiedzmy zatem, że byłem u przyjaciela.

- Mogę się założyć, że była niezła - zagruchała Greta, racząc go jednym ze swoich promiennych uśmiechów.

- No dobrze - zgodził się Barney. - Przyznaję się. Spędziłem cały dzień z Jayne Mansfield, przelatując z nią po różnych... anatomicznych detalach.

- Wiesz co? - mruknęła Greta. - Jestem prawie gotowa w to uwierzyć. - A potem dodała, odchodząc: - Może właśnie dlatego nigdy do mnie nie dzwonisz.

Studenci zaczęli powoli rozchodzić się do swoich cel, aby znowu rzucić się na książki. W końcu Laura i Barney zostali sami. Popatrzyła mu prosto w oczy. - Chyba powiesz mi wreszcie prawdę, co?

- Posłuchaj - powiedział niepewnie. - Naprawdę nie mogę. Dałem słowo.

Wykonała ręką teatralny gest. - Kiedyś dawno, dawno temu byliśmy przyjaciółmi.

Barney wykorzystał nadarzający się moment.

- Coś ci powiem, Castellano. Wymienimy informacje, dobra?

- W porządku.

- Powiem ci, gdzie byłem, jeśli ty mi powiesz, jak ci poszło z biochemii.

Laura zawahała się, nie przygotowana na taki obrót sprawy. Potem uśmiechając się głupawo, powiedziała konfidencjonalnie: - Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że to ja dostałam te jedenaście punktów?

- Nie.

Poklepała go po ramieniu i rzuciła niefrasobliwie: - Dobranoc, Barney. Nie zapomnij, że jutro jest "Wielki Dzień" na anatomii. Jakby to Greta powiedziała, trzeba będzie "stanąć" na wysokości zadania.

- Prącie...

Z tonu głosu profesora Lubara jasno wynikało, że wykładem na ten temat nigdy nie był zmęczony. W ramach pomocy pedagogicznej trzymał przed sobą duży model wspomnianego organu. Wywołało to już wiele dyskusji wśród studentów, którzy zjawili się tego dnia w pełnym składzie, a niektórzy nawet przybyli na zajęcia nieco wcześniej.

- Jest to męski organ kopulacyjny oraz w przypadku ssaków także narząd służący oddawaniu moczu. Ma kształt cylindryczny i zwisa z przodu z łuku łonowego. Określenie "fallus" nie jest w tym przypadku właściwe, gdyż odnosi się jedynie do prącia w stanie wzwodu. Długość ludzkiego prącia jest różna i wynosi od dwunastu i pół centymetra do dwudziestu centymetrów. Różnica ta nie ma żadnego wpływu na satysfakcję mężczyzny czy kobiety w trakcie stosunku płciowego. Niektórzy z was słyszeli może opowieści o narządach długości ponad trzydziestu centymetrów, zapewniam was jednak, że jest to mitologia albo być może ktoś natknął się na konia w nocy.

Nikt się nie roześmiał. Powstrzymali skurcze mięśni twarzy z szacunku dla profesora i genitaliów trupów, lecz przede wszystkim swoich własnych.

Lubar podniósł swą falliczną ikonę, omawiając trzy warstwy tkanki - ujście moczowodu, napletek i życiodajną zawartość moszny. Przerwał na chwilę, aby skomentować z wymuszonym uśmiechem: - Myślę, że to jasne dla wszystkich. - A potem zadał pytanie: - Czy ktoś z was mógłby mi powiedzieć, co jest wynikiem przekrwienia genitaliów, w trakcie którego ciała jamiste prącia wypełniają się krwią?

Przez chwilę nie było reakcji... to znaczy pozornie. Czyżby on nawiązywał do... ? Czyżby chodziło mu o... ?

Z niewiadomego powodu profesor wywołał Laureę.

- No więc, panno Castellano? Rezultatem przekrwienia jest...?

- Erekcja, panie profesorze.

Cała sala odetchnęła z ulgą.

- Jak to się stało - zapytał Lubar - że mimo przytłaczającej większości mężczyzn w tej grupie, tylko pannie Castellano znane jest powszechne zjawisko wzwodu prącia?

Nikt się nie odezwał.

Zawsze skory do wykorzystywania każdej okazji, aby dowcipkować kosztem swoich studentek, Lubar zapytał Laureę: - Czy może mi to pani jakoś wyjaśnić, panno Castellano?

- Być może po prostu widziałam ich więcej, panie profesorze - odpowiedziała swobodnie.

Profesor wycofał się roztropnie do Anatomii Graya, proponując grupie, aby zajęła się ostrożnie sekcją wyznaczonego na dzień dzisiejszy narządu. Tym, którzy byli w posiadaniu kobiecych zwłok, kazał odwiedzić sąsiadów. I tak oto zabrali się do pracy.

To ciekawe. Wszyscy myśleli, że po prawie trzech miesiącach zajęć zostali już wystarczająco uodpornieni na widok cięcia ludzkiego ciała. Większość z nich wzdrygnęła się jednak - przynajmniej wewnętrznie - przed rozpoczęciem tego rodzaju amputacji.

- O Jezu, Castellano - mruknął z podziwem Barney, kiedy w parę godzin później wychodzili z sali - zakasowałaś wszystkich facetów na roku.

- To przecież nie było nic takiego - odpowiedziała. - Dlaczego, u diabła, się nie odezwałaś?

- Nie mam pojęcia. Sądzę, że bałem się nadstawić karku.

Przeszyła go złośliwym spojrzeniem. - Karku, Livingston?

Oczy jej zamigotały.

W tym momencie przyłączyła się do nich Greta.

- Czyż nie było to wręcz niewiarygodnie obrzydliwe? - zapytała z dezaprobatą.

- O co ci chodzi? - spytała Laura.

- Te wszystkie insynuacje. Lubar wymachiwał tym dookoła jak jakąś świętością.

- Prawdę rzekłszy - zauważył spokojnie Barney - to była świętość dla starożytnych Greków i Rzymian. Czčili to na przeróżnych festiwalach.

- Och, przestań już, Barney. Mam już tego dosyć jak na jedno popołudnie. Szczerze mówiąc, uważam, że profesor Lubar to... to...

- Stary kutas? - podsunęła jej Laura.

Greta odeszła niczym burza, zaczerwieniona z oburzenia i zażenowania.

Jeśliby ktoś kiedykolwiek potrzebował dowodów na to, że Ojcowie Pielgrzymi byli prawdziwymi ascetycznymi purytanami, to wystarczy zastanowić się tylko nad bostońskimi zimami. Z nadejściem świąt Bożego Narodzenia cała okolica zamarza, a bezlitosny wiatr chłoszcze mieszkańców jak bicz pokutników. Pielgrzymi owi mogli w końcu wylądować na umiarkowanych wybrzeżach Wirginii zamiast na surowej skale Plymouth. Albo śladem innych Anglików wyemigrować do Zachodnich Indii, zrzucić ciasno zapięte trzewiki i baraszkować na bosaka w piasku.

Założyciele kolonii w zatoce Massachusetts woleli jednak cierpieć. A pogoda w Nowej Anglii dawała im ku temu wszelką sposobność.

Jeszcze przed pierwszą zadymką mieszkańcy Vanderbilt Hall zostali zasypani lawiną pracy. Nie odliczano tam handlowych dni do świąt, lecz czas liczono na

godziny przed pierwszymi finałowymi egzaminami - czterema pod rząd - z anatomii, histologii, fizjologii i wreszcie z biochemii.

Przez całą noc we wszystkich oknach akademika paliły się światła. Być może przechodnie mylnie poczytywali to za jakiś rytuał dla uczczenia festiwalu światła, obchodzonych w różnych częściach świata w czasie zimowego przesilenia dnia z nocą, a zatem najciemniejszych dni roku. Wewnątrz jednak nie odbywały się żadne zabawy, nie kołędowano tam, a co najważniejsze - nie spano.

W tym czasie nawet Peter Wy mań wydawał się przerażony.

Palmer Talbot, student medycyny przez asocjację, również musiał zgodzić się na pewne wyrzeczenia.

- Odpadają nawet sobotnie wieczory?

- Proszę, spróbuj zrozumieć. Jesteśmy tu jak w oblężonym mieście. Ludzie wręcz wariują od tego napięcia. Uwierz mi, jeszcze przez coś takiego nie przeszedłem.

- No to po co poddajesz się takim torturom, Lauro? Jak dotąd - z tego co widzę - wszystko, co osiągnęłaś w tej Szkole Medycznej, było po prostu najeżone strachem. Któż przy zdrowych zmysłach w ogóle by się na coś takiego zgodził?

- Taka jest tutaj kolej rzeczy. To cena, jaką muszę zapłacić.

- Ale ja za to płacę również. Jak możesz oczekiwać, że przy takim trybie życia utrzymasz jakikolwiek związek?

Westchnęła ciężko. - Palmer, w tej chwili jedyne związki, o których jestem w stanie myśleć, to chemiczne i te, które istnieją pomiędzy nerwami czaszkowymi oraz preparatami histologicznymi. Ni stąd, ni zowąd nie jestem już sobą, ale robotem przeprowadzającym badania nad człowiekiem.

- Jeśli tak tego nie lubisz, to dlaczego tego nie rzucisz?

- Nigdy nie powiedziałam, że tego nie lubię, Palmer.

Mimo że wielokrotnie potwierdzono już naukowo, iż człowiek nie jest w stanie zachować zdrowia psychicznego przy braku odpowiedniej ilości snu, na wpół oszaleli studenci medycyny patologicznie wprost ignorowali tę prawdę. Naturalnie kofeina była w tym bardzo pomocna, toteż wielu z nich mierzyło noc liczbą pustych plastikowych kubków po kawie.

Paru z nich wspomagało się ostatnimi postępami w farmaceutyce. Jeśli mieli tyle szczęścia, że znali kogoś ze starszych roczników lub jeszcze lepiej, jakiegoś stażystę, mogli od nich otrzymać nowe, "ożywiające" tabletki - takie jak siarczan

amfetaminy, inaczej benzedrin, który stymuluje system nerwowy i pozwala "pokonać" senność. Zbyt byli zajęci ślęceniem nad podręcznikami, aby zwracać uwagę na drobny druk na naklejkach. Nawet wybredna Alison Redmond pominęła kwestię bezpieczeństwa tych tabletek, gdyż jak twierdziła, pomagały jej zachować "trzeźwą głowę".

Barney Livingston tańczył na inną nutę. Jego sposób na pokonanie senności polegał na okresowym robieniu pompek, po których brał zimny prysznic. Wszyscy uważali go za wariata, z wyjątkiem Bennetta, którego namówił do stosowania tej samej metody.

Laura trzymała się coca coli i przed wyjściem do pokoju Barniego napełniała nią duży termos. Studenci spacerowali tam i z powrotem po korytarzach, zapamiętali wkuwając materiał z niezliczonych karteczek w swoje znękaną i zamęczoną umysł.

Tylko Hank Dwyer żył w całkowitej nieświadomości tego wprost nadludzkiego napięcia. Kiedy jego przyjaciele mieli wrażenie, że są w piekle, on czuł się jak oczyszczona dusza, która za kilka dni miała opuścić ten tymczasowy czyściec i ulecieć w niebiańskie ramiona Cheryl do raju.

O trzeciej nad ranem przed Inkwizycją Numer Jeden (Anatomią A) Laura i Barney zgodzili się na pięciominutową przerwę. Otworzyli okno, aby uderzenie zimnego powietrza pomogło im oprzytomnieć, po czym uchylili drzwi dla zwiększenia przeciągu. Żywe trupy w ogóle nie zwróciły na nich uwagi, tylko dreptały dalej, mrużąc coś do siebie i dalej wkuwając na pamięć. Dreptali, mrużeli i wkuwali. I tak w kółko.

- Już to kiedyś gdzieś widziałem - odezwał się ochrypłym głosem Barney. - Właśnie w ten sposób poruszają się ludzie na oddziale psychiatrycznym.

Żadne z nich się nie roześmiało. Zbyt byli pochłonięci zapamiętywaniem pochodzenia, zaczepienia i unerwienia mięśnia opuszkowo-jamistego.

Testy same w sobie przyniosły rozczarowanie i pewien rodzaj ulgi. Studenci byli po nich tak wyczerpani, że złapawszy tylko coś do zjedzenia, uciekali z powrotem do swoich pokoi, ażeby natychmiast zapaść tam w głęboki i niczym nie zakłócony sen. Następnego ranka wchodzili na salę egzaminacyjną jak automaty, aby ponownie stawić czoło kolejnym testom, których pytania przyprawiały ich o takie mdłości, że prawie odruchowo zwracali informacje.

W końcu, zaledwie na cztery dni przed Bożym Narodzeniem, zostali wyzwoleni. Zgodnie z obietnicą, Laura spędziła cały ten czas u Palmera na Beacon Hill. Zastanawiała się, co prawda, czy w ogóle mogła być dla niego jakąkolwiek radością, skoro spała osiemnaście godzin na dobę. On jednak był szczęśliwy, że mają dla siebie, nawet jeśli tylko w tej nieruchomej postaci.

Tymczasem Hank Dwyer został pierwszym człowiekiem w historii ludzkości, który poleciał do domu autobusem. Miał wrażenie, że ulatywał nim do siódmego nieba.

Greta pożegnała się ze wszystkimi w Dziekance i pospiesznie odjechała na lotnisko, by wsiąść do studenckiego czarterowego samolotu, lecącego na północny zachód. W ostatnich dniach semestru subtelnie dała wszystkim do zrozumienia, że Ktoś czekał na nią w Portland. To wyjaśniało być może jej nieśmiałość i kokieteryjność zarazem. Były to takie jej ćwiczenia dla wprawy. Niewątpliwie jej ukochany był wysokim i muskularnym typem nordyckim i przypuszczalnie miał na imię Lars albo Olaf. Na co więc byłby jej potrzebny wschodni Adonis, skoro ma się już Thora* z Zachodniego Wybrzeża.

Wieczorem, w dniu ostatniego egzaminu, Bennett przyszedł się pożegnać z Barniem.

- Udanych wakacji, Landsmann - powiedział Barney. - Jestem pewien, że każdy z dwunastu świątecznych dni spędzisz z inną dziewczyną.

- Prawdę rzekłszy, nie jadę do domu. Spotykam się z rodzicami na dwa tygodnie w górach.

- A zatem *le ski*?

Bennett skinął głową. - Oraz *l'après ski*, co oczywiście zawsze jest najprzyjemniejsze.

- O Boże, Bennett, to znaczy, że będziesz miał co najmniej ze dwie dziewczyny na dzień! Gdzie zamierzasz jeździć?

- W Montanie.

- To daleko.

- No cóż, Livingston, ja w ogóle pochodzę z odległych stron.

Plany Petera Wymana były najambitniejsze ze wszystkich. Miał zamiar pozostać w Bostonie, aby prowadzić badania naukowe z nikim innym, jak z samym profesorem Pfeiferem.

Dwudziestego trzeciego grudnia o siódmej wieczorem Palmer odwiózł Laurę na lotnisko Logan. Czekał tam na nią Barney i razem mieli udać się liniami Eastern do Nowego Jorku (jedynie czternaście dolarów za niecałą godzinę powietrznych akrobacji przy porywistych grudniowych wiatrach pomiędzy Beantown a Gotham).

Palmer objął ją serdecznie, przypominając, aby wróciła wczesnym wieczorem, żeby zdążyli na zabawę sylwestrową w Klubie Łowieckim. Potem zawrócił w stronę stoków narciarskich w Vermont, gdzie - jak powiedział Laurze - zamierzał sublimować swoje pragnienia względem jej osoby, zajeżdżając się na śmierć.

Kiedy Laura zajęła miejsce w krętej kolejce studentów oczekujących na wejście do samolotu, Barney przeprosił ją na chwilę i pobiegł do kiosku z gazetami po "Ilustrowany Magazyn Sportowy".

Nie spieszył się jednak z powrotem. Szedł raczej wolno, w stanie lekkiego szoku. Dopiero głos Laury zmusił go do reakcji.

- Rusz tyłkiem, Livingston. Jeszcze się spóźnimy na ten cholerny samolot!

Przebiegł truchtem ostatnie pięćdziesiąt metrów i zrównał się z nią w momencie, gdy oddawała bilety obsłudze przy wejściu na pokład.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała, gdy przepychali się do środka zatłoczonej kabiny.

- Nic, nic. Chyba wypadłem z formy, to wszystko.

Znaleźli dwa wolne miejsca obok siebie, daleko po prawej stronie przejścia. Wcisnęli się w nie i zaczęli zapinać pasy. Barney milczał, dziwnie wpatrzony w łysinę siedzącego przed nimi człowieka.

- Livingston, wyglądasz, jakbyś przed chwilą zobaczył ducha.

- Coś w tym rodzaju.

W tym momencie śmigła samolotu wydały ogłuszający ryk.

Laura kręciła się nerwowo, kiedy samolot nabierał prędkości na pasie startowym, a potem wznosił się ponad bostońskim portem w zimowe niebo. Na koniec huk silników przycichł i Laura mogła ponownie domagać się informacji.

- Co się, u diabła, stało, Barney?

Pokręcił głową w kompletnym osłupieniu. - Właśnie zbliżałem się do stojaka z gazetami, kiedy zobaczyłem Bennetta w kolejce do samolotu.

- No i?

* Thor -jeden z głównych bogów mitologii skandynawskiej, pierworodny syn Odyna, bóg piorunów.

- Podróżował pierwszą klasą.
- Wiemy przecież, że ma forszę. To widać po jego ubraniu. No i co z tego?
- Powiedział mi, że jedzie do Montany na narty - odparł Barney. - Ale z całą pewnością nie jechał w tamtą stronę. Castellano, ten facet wsiadał do samolotu Swissair lecącego do Zurychu! Nie sądzisz, że to co najmniej dziwne?
- Nie - odpowiedziała. - Uważam, że to nawet bardzo dziwne.

Rozdział XIII

Stewardesa Swissair podchodziła kolejno do pasażerów pierwszej klasy, proponując im szampana i zakąski. Landsmann poprosił o kawior, lecz grzecznie podziękował za alkohol.

- *Danke. Ich werde vielleicht später mit dem Abendessen was trinken.*

- Bardzo dobrze mówi pan po niemiecku - zauważyła oblepiona biżuterią siwowłosa kobieta, siedząca obok niego. - Skąd pan pochodzi?

- Z egzotycznego miasta Cleveland, w stanie Ohio, proszę pani.

- Ależ to niemożliwe, żeby się pan tam urodził! - ciągnęła dalej najwidoczniej zaintrygowana.

- Ma pani rację. Przez pierwsze dziesięć lat życia mieszkałem w małym miasteczku zwanym Millersburg, w stanie Georgia.

- A teraz leci pan do Zurychu na wakacje?

- Niezupełnie. Mam się tam spotkać z rodzicami. Potem jadę z nimi na narty do Crans-Montana.

- W Yalais? To przepiękne miejsce.

- Owszem. Bardzo się cieszę z tego wyjazdu.

Zamknął oczy i kontynuował ten dialog z samym sobą. Jeżdżę na narty do Europy, ale z całą pewnością nie jestem Niemcem. Nawet nie nazywam się Bennett Landsmann. A przynajmniej nie z takim nazwiskiem się urodziłem.

Był kwiecień 1945 roku. Wojska alianckie przekroczyły Ren i posuwały się w kierunku serca Niemiec. Nie ulegało wątpliwości, że walcząc z Armią Czerwoną na przedmieściach Wiednia, hitlerowcy nie byli już w stanie uniknąć klęski.

Czwartego kwietnia całkowicie murzyński 386 Batalion Czołgów Trzeciej Armii Pattona pod komendą podpułkownika Abrahama Lincolna Bennetta wkroczył do spokojnej wioski Ohrdruf.

Na malowniczych obrzeżach tego niemieckiego sioła natknął się na opuszczony hitlerowski obóz pracy. To znaczy opuszczony przez wszelkie życie. Wszędzie leżały ponure stosy powykrzywianych, wycieńczonych ludzkich ciał, które gnily pokryte brudem i wszami, splecione tak mocno, że trudno było je rozłączyć.

Ludzie podpułkownika Bennetta byli jednymi z pierwszych czarnych żołnierzy wysłanych na front do Europy. Rok temu, w czerwcu, wylądowali na plażach

Normandii jako część pospiesznie zorganizowanych przez dowództwo alianckie posiłków dla stawienia czoła ofensywie wroga w Ardenach. Widzieli ciężkie starcia w zasłanej mgłą dolinie rzeki Meuse. "W nagrodę" za swoje osiągnięcia zostali przeniesieni do Trzeciej Armii George'a Pattona, walcząc o każdy centymetr zamarzniętej ziemi i pracując naprzód na wschód, poprzez Linie Zygryda, aż do samych Niemiec.

Widzieli swoich najbliższych przyjaciół wśród rannych lub zabitych. Konieczność zahartowała im serca. Teraz jednak nawet najsilniejsi z nich nie byli w stanie pokonać w sobie obrzydzenia. Niektórzy nie mogli powstrzymać się od wymiotów. Odór śmierci i rozkładu splugawił im każdy oddech.

Wstrząśnięty do głębi i dezorientowany pułkownik Bennett rozkazał swoim ludziom sfotografować tę przerażającą scenę. Postanowił wysłać te zdjęcia do samego generała Eisenhowera, ażeby sam na własne oczy zobaczył to bestialstwo.

Kiedy tak stał wpatrzony w tę masakrę, niepewnie podszedł do niego z raportem jeden z jego poruczników.

- Panie pułkowniku, poza obozem znaleźliśmy coś w rodzaju masowego grobu. Jest w nim chyba kilka tysięcy ciał. Niektóre z nich tylko częściowo przykryte. Co mamy z tym zrobić?

Linc z trudem odzyskał mowę.

- Dopilnuj, żeby zostali odpowiednio pochowani, poruczniku - odpowiedział szorstko. - Zamierzam przeprowadzić osobistą inspekcję. - A potem dodał cicho: - Poproś kapelana, żeby odmówił jakieś modlitwy.

Zatrzymali się w Ohrdruf ponad tydzień i w tym czasie Linc osobiście nadzorował godziwe pochówki. Czasami, kiedy głos kapelana słabnął, sam czytał modlitwy.

W ciągu tego całego okresu Linc nie był w stanie zasnąć. Gorączka i kaszel, które prześladowały go przez całą wilgotną i mroźną zimę, powróciły z całą zawziętością. Mimo że przez wiele ostatnich nocy pociał się i dyszał ciężko, nie mogąc złapać oddechu, na każdą myśl o pójściu do lekarza wmawiał sobie, że była to przecież tylko mała, cholerna grypa.

W końcu, czternastego kwietnia, nadeszły trzy inne oddziały Pattona, przynosząc jakże pożądaný rozkaz parcia na północ. Mimo zmęczenia jego ludzie zebrali się szybko, pragnąc jak najprędzej opuścić to miejsce.

O zmierzchu, kiedy posuwali się w stronę Gothy, po obu stronach drogi zaczęły nagle materializować się małe grupki dziwnych, widmowych postaci. Jedna z nich, szkielet niegdysiejszego człowieka, wskazała drżącą ręką na białą gwiazdę na wojskowym samochodzie pułkownika Bennetta i zawołała ochryplým głosem.

- Amerikaner! Die sind Amerikaner! Wir sind geretter!

Wkrótce pojawiły się inne żywe duchy. Pułkownik wstrzymał konwój. Dobrze świadomy swego zaokrąglonego brzuszka, zszedł z samochodu i podszedł do bladej, wystraszonej grupki strachów na wróble. Cofnęli się przed nim niepewnie.

- Wszystko w porządku, nie macie się czego bać. Jesteśmy tu po to, żeby wam pomóc. - Wyciągnął uspokajającym gestem rękę.

Nie rozumieli jego słów, ale z radością uświadomili sobie, że nie mówi do nich po niemiecku. Jeden z nich, wysoki, przygarbiony mężczyzna nieokreślonego wieku, wyraził jednym określeniem tysiące szalonych, radosnych myśli: - Wy naprawdę jesteście Amerykanami?

Linc skinął twierdząco głową: - Tak, naprawdę. Jesteśmy z USA.

W chwilę potem mężczyzna obejmował go za nogi, szlochając rozdzierająco: - Niech Bóg błogosławi Amerykę!

Linc nie mógł powstrzymać łez. Warknął do swoich żołnierzy, aby zabrali te obszarpane szczątki ludzkości do swoich pojazdów.

Sam pomógł wysokiemu mężczyźnie wsiąść do swego własnego łazika w nadziei, że dowie się od niego, kim byli ci ludzie. Łamaną angielszczyzną (w Berlinie rodzice zatrudniali dla niego angielskiego gubernera) mężczyzna wyjaśnił, że większość z nich uciekła z obozu w Ohrdruf parę dni temu, gdy spędzano pozostałych więźniów i kazano im maszerować do Bergen-Belsen. W każdym wypadku oznaczało to śmierć, nie mieli więc nic do stracenia.

Powiedział również, że uciekinierzy od kilku dni nic nie jedli. Linc przekazał swoim chłopcom, aby czym prędzej dali tym ludziom coś do zjedzenia. Ze wszystkich wewnętrznych kieszeni mundurów wyłoniły się tabliczki czekolady. Podano je więźniom, którzy natychmiast rzucili się na nie łapczywie.

Ku przerażeniu żołnierzy w ciągu niecałej godziny trzech z nich zmarło na skutek wstrząsu wywołanego przejedzeniem.

Kiedy na przedmieściach Gothy oddali swoich pasażerów pod opiekę naprędce zorganizowanego punktu Czerwonego Krzyża, wysoki mężczyzna był szczególnie wylewny. - Niech pana Bóg błogosławi, generale.

Linc nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. - Dziękuję panu za komplement, ale nie jestem nawet pełnym pułkownikiem.

- Za pańską dobroć powinien pan zostać generałem.

Obaj mężczyźni podali sobie ręce przed rozstaniem. Wkroczywszy do wioski, żołnierze Lincolna przekonali się, że kilka białych oddziałów ich dywizji już tam stacjonowało.

Kapitan Richard McIntyre z Birmingham, w stanie Alabama, właśnie przesłuchiwał jednego z okolicznych mieszkańców, pulchnego mężczyznę w średnim wieku, którego krótkie skórzane spodnie sprawiały wrażenie, że uciekł z zegara z kukułką.

Z początku kapitan zmieszał się na widok Murzyna w tak odległym i nieoczekiwanym miejscu. Potem jednak, zauważywszy liście srebrnego dębu na naramiennikach Lincolna, zsalutował odruchowo.

- Kto jest ten człowiek, kapitanie? - zapytał Bennett przyzwyczajony do zażenowania, jakie odczuwali w jego obecności młodzi biali oficerowie.

- To *bürgermeister* - burmistrz tej miejscowości, panie pułkowniku.

- Czy zapytał go pan, czy przetrzymywali tu jakichś więźniów?

Kapitan skinął głową. - Tak, panie pułkowniku. Byli to Żydzi pracujący w pobliskich kamieniołomach, ale odmaszerowali stąd dwa tygodnie temu. Z tego, co on wiedział, zabierano ich do Buchenwaldu.

- A po co? Co tam takiego jest?

McIntyre odwrócił się i zadał pytanie burmistrzowi. Potem spojrzał na Lincolna i wyjaśnił: - Jego zdaniem znajduje się tam po prostu następny obóz pracy.

- Ach, tak! - powiedział z sarkazmem pułkownik. - I to wszystko, co wiesz, co? - Utkwił z nienawiścią wzrok w Niemcu.

- Po prostu "następny obóz pracy", co? Ty szwabie!

Burmistrz, nie rozumiejąc z tego ani słowa, zapamiętał usiłował zjednać go sobie. Uśmiechał się: - *Na, ja. Ich weiss nichts von diesen Dingen. Wir sind nur Bauern hier.*

McIntyre szybko przetłumaczył: - Mówi, że o niczym nie wie. Oni wszyscy są tu tylko wieśniakami.

- Ależ tak, oczywiście - mruknął Lincoln, a potem zwrócił się do oficera: - Proszę kontynuować, kapitanie.

McIntyre zasalutował elegancko, na co Bennett odpowiedział równie formalnie, a potem zwrócił się w stronę wiejskiej karczmy, którą jego ludzie zajęli na tymczasową kwaterę główną.

Jako najstarszemu rangą oficerowi batalionu, pułkownikowi Bennettowi przysługiwał naturalnie największy pokój. Wysokie, wąskie okna wychodziły z niego na pełne kwiatów podwórze.

Usiadł przy biurku, wypił łyk koniaku skonfiskowanego karczmarzowi i wyjął kartkę papieru z podwójnie obrysowaną literką "A" i insygniami Trzeciej Armii. Odkręcił wieczne pióro i zaczął list do swego dziewięcioletniego synka w Georgii.

*Gdzieś w Niemczech,
15 kwietnia 1945 roku*

Kochany Juniorze,

przepraszam, że tak długo nie pisałem, ale fala wydarzeń potoczyła się dla nas pomyślnie i ostatnio byliśmy nieustannie w marszu.

Muszę przyznać, że cieszę się bardzo z tych sukcesów (nasi chłopcy są już udekorowani jak choinki świąteczne), lecz wszyscy straciliśmy wielu dobrych przyjaciół po drodze.

W zeszłym tygodniu widziałem wiele okropności, których nigdy nie będę Ci chyba w stanie opisać.

Często myślę o niedzielnych kazaniach pastora Stedmana o ludzkim "bestialstwie wobec drugiego człowieka". Do tej pory zawsze myślałem, że chodzi tu o sposób, w jaki traktuje się naszych ludzi w Ameryce.

Ciekaw jestem, co by Wielebny Stedman powiedział o przymusowych obozach pracy, które właśnie widzieliśmy? Dosłownie skazywano tam ludzi na śmierć.

Przyznaję, że u nas w Ameryce nikt nie cacka się z Murzynami i armia wcale nie jest pod tym względem lepsza. Lecz, Synu, nigdy nas nie zagazowywano całymi tysiącami i nie palono nas w piecach...

Zadzwonił telefon. Linc westchnął ciężko, pociągnął sobie następny łyk koniaku i podniósł słuchawkę. Był to generał major John Shelton, dowódca jego dywizji. Dzwonił gdzieś z terenu.

- Bennett, w jakim stanie są twoi ludzie?

- No cóż, generale, prawdę rzekłszy, są wykończeni. Fizycznie i psychicznie. Większość z nich to jeszcze dzieci i to, co widzieli w ciągu tych ostatnich dni, bardzo nimi wstrząsnęło.

- A widziałeś kiedyś piekło, Linc, prawdziwe piekło na ziemi?

- Tak, panie generale. Sądzę, że tak. Dwa przymusowe obozy pracy i olbrzymi dół - może z osiem tysięcy ciał.

- A zatem wiesz, o czym mówię. Chcę, żeby twoi ludzie byli tu jutro na dziewiętnastą. Jesteśmy w Nordhausen.

- To jakieś trzydzieści pięć mil na północ od nas, czy tak?

- Sprawdź. Na wszelki wypadek przygotuj jednak dobrze swoich ludzi.

- Na co, panie generale?

- Nordhausen nie jest obozem pracy. To obóz śmierci.

Tej nocy Linc spał wyjątkowo źle. Częściowo z powodu nieznośnego bólu w piersiach, a częściowo ze względu na ranę w duszy. Kiedy tylko się zdrzemnął, majaczyły mu się przeraźliwe koszmary, po których obudził się zlany potem. O szóstej rano wziął prysznic i zszedł na dół na kawę.

Na dole, niczym skamieniały posąg, stał mężczyzna, którego dzień wcześniej zostawił w punkcie Czerwonego Krzyża. Linc zastanawiał się, jak długo tam na niego czekał.

- Dzień dobry - odezwał się przyjaźnie. - Może zjesz ze mną śniadanie?

Mężczyzna skwapliwie skinął głową. - Dziękuję.

Po chwili siedział na drewnianym krześle naprzeciw Lincolna, żując kawałek chleba.

- Poczekaj, przyjacielu, posmaruj to masłem!

Mężczyzna pokiwał głową. Mając pełne usta, pokazał tylko rękami, że był zbyt głodny, ażeby czekać. Być może pozwolił sobie na luksus masła przy następnej kromce.

Lincoln wypił kubek kawy, po czym zapytał: - Czy nie miałeś przypadkiem zostać w punkcie Czerwonego Krzyża?

Mężczyzna zdecydowanie pokręcił głową. - O nie, nie, nie! Spotkałem tam wczoraj kobietę pochodzącą również z Berlina, przyjaciółkę rodziny. Mówi, że widziała moją żonę parę dni temu w Nordhausen. Słyszałem, że tam dzisiaj jedziecie. Musi mnie pan wziąć ze sobą.

Linc zmieszał się. Nie miał pojęcia, co na ten temat miał do powiedzenia regulamin. Jednakże ten koszmar przekraczał wszelkie protokoły.

- Czy sądzi pan, że wytrzyma pan podróż, panie...

- Herschel. Po prostu Herschel.

- Czy nie ma pan nazwiska?

- Proszę pana, jeszcze do wczoraj byłem tylko numerem. Herschel mi teraz wystarczy.

- No więc, Herschel, jeśli uważasz, że jesteś na tyle silny, że wytrzymasz tę podróż, to możesz z nami jechać. Nie mogę ci jednak obiecać, że twoja żona tam jeszcze będzie.

O zbliżaniu się do celu wiedzieli dużo wcześniej, zanim zobaczyli Nordhausen. Nawet z odległości kilku mil, i mimo że piece były już nieczynne, w powietrzu ciągle unosił się zapach spalonych ciał.

Mijali wiejskie gospodarstwa, w których chłopcy wykonywali swoje codzienne zajęcia, tak jakby chmura śmierci wcale nie przysłała im słońca. Orali i siali, tak jakby nic ich nie łączyło z tym wirem wszechotaczającego zła.

Linc przyglądał się im przez lornetkę. Byli krzepcy i zadowoleni. Spokojnie uprawiali tę żyzną oazę pomiędzy Górami Harcu a Turyngią. Scena ta mogłaby być natchnieniem dla Beethovena do skomponowania *Symfonii Pastoralnej*.

Linc nie mógł pojąć jak naród, który stworzył tak anielską muzykę, mógł również popełnić takie szatańskie potworności.

Nikt z batalionu 386 pod dowództwem podpułkownika Bennetta nie był w stanie zapomnieć tego wieczoru. Parę dni temu przeraził ich widok wychudzonych i zagłodzonych ludzi, teraz jednak patrzyli na prawdziwe żywe trupy.

A były ich tysiące. Mimo że oficjalnie uwolnieni przez Trzecią Armię Stanów Zjednoczonych dzień wcześniej, nadal pozostawali więźniami własnej niedoli - zbyt przerażeni, żeby oddychać. Sama ich liczba była wręcz zawrotna. Smrodu, odchodów, wszy i szcurów było tam więcej niż w miejskich ściekach.

Z zapadniętymi policzkami, wystającymi żebrami i nabrzmiałymi z głodu brzuchami z trudem przypominali ludzi. Chodzili wolno i niepewnie, i najwidoczniej kosztowało ich to wiele wysiłku.

Kiedy konwój zatrzymał się, Herschel opuścił na ziemię obolałe nogi i pokuśtykał z pośpiechem, na jaki go było stać, w stronę długiego rzędu baraków, z którego nawet z daleka dochodziły bolesne jęki.

Żołnierze Lincolna kręcili się po obozie, podczas gdy służba medyczna walczyła, aby utrzymać "wyzwoleńców" przy życiu.

Hitlerowców już tam nie było, ale mimo to nad całym obozem unosił się Anioł Śmierci.

Niektórzy więźniowie uśmiechali się słabo i z wysiłkiem machali rękami na powitanie Amerykanów. Nawet szczęście wymagają jednak siły, której tam żałośnie brakowało.

Lincoln zapalił jedno ze swoich grubych cygar, aby wytrzymać te niehumanitarne widoki i zapachy. Usiłując zachować zimną krew, przeszedł przez obóz i skierował się w stronę Kwatery Głównej, żeby się zameldować.

- Witaj w tym dantejskim piekle - powiedział generał major Shelton, łysiejący mężczyzna po czterdziestce. Podali sobie ręce. - Siadaj, Linc. Wyglądasz potwornie.

- Pan również, generale. Przyjrzałem się temu tylko po drodze do Kwatery, ale musi to być ostateczne dno...

- A gówno! Człowieku, ty sądzisz, że tutaj jest źle? Na północy Brytyjczycy wkroczyli dzisiaj do Belsen i jeśli to w ogóle możliwe, tam jest jeszcze gorzej. Widziałeś już te piece?

- Nie, i wcale mi się nie spieszy.

- Wiesz, najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że nie było tu nawet komór gazowych. Zmuszali tych nieszczęśników do tak ciężkiej roboty, że pod koniec dnia mieli tyle trupów, że krematoria mogły pracować na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Naturalnie pomagała im trochę dyzenteria, gruźlica i tyfus, ale największe zasługi mieli w tym chłopcy z SS.

Linc zaniemówił na moment. W końcu zapytał: - A co się teraz robi, żeby pomóc tym ludziom?

- Skierowaliśmy tu wszystkie dostawy medyczne, jakie tylko były w zasięgu naszych rąk. Mamy tu trochę lekarzy, inni są w drodze, nawet dzieciaki z angielskich szkół medycznych. Nasi żołnierze muszą im pomóc. Ale jest ich tak dużo...

- Wiem, panie generale - powiedział ponuro Bennett.

Shelton popatrzył na znużoną twarz Bennetta i wyczuł przygnębienie towarzysza. Nagle rozkazał dramatycznym, przesadnie formalnym tonem: - Podpułkownik Bennett, proszę wstać!

Lincoln powstał, przez ułamek sekundy niepewny intencji Sheltona. Shelton sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej małe pudełko. Leżała w nim para złotych liści dębowych.

Właśnie miał zostać pełnym pułkownikiem.

- Niech pan ściągnie te srebrne liście - rozkazał Shelton formalnym tonem.

Lincoln wypełnił rozkaz.

Shelton przypiął mu złote insygnia na ramionach i powiedział:

- Ten awans gonił za tobą po całej Europie. Gratuluję, pułkownik Bennett.

- Cóż mam teraz powiedzieć, John? - odpowiedział Bennett.

- Nic, nie marnuj słów. Jak Boga kocham, czeka na ciebie srebrna gwiazda.

Na to Lincoln uśmiechnął się i odrzekł: - O nie, John, nie sądzę, aby armia była gotowa na to, by z takich jak ja robić generałów.

Tego wieczoru pułkownik Bennett dokończył list do syna. Nie był jednak w stanie pisać mu o rzeczach, które zobaczył. Mógł tylko nadmienić o tym w sposób przystępny dla niewinnego chłopca. Bennett był głęboko religijnym człowiekiem.

Przyszła mu na myśl Kalwaria i opis ostatnich słów Chrystusa na krzyżu: - Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?

Najwidoczniej i niebo, i ziemia odwróciły się od tych nieszczęśników.

Rozbolała go głowa. Znowu ta przeklęta grypa. Piersi bolały go od kaszlu. Najlepiej będzie, jeśli zakończy ten list i trochę się prześpi. Powiedział tylko synkowi, aby zachował wiarę, przekazał pozdrowienia dla babci i modlił się o to, aby mogli się wkrótce zobaczyć.

Zakleił kopertę i schował ją do kieszeni płaszcza. Potem ściągnął buty i położył się na pryczy.

Następnego ranka podczas apelu pułkownik Lincoln Bennett przypisał swoich żołnierzy do różnych innych, już pracujących oddziałów. Część żołnierzy tropiła strażników więziennych, którzy z nadejściem Amerykanów uciekli w pobliskie lasy. Inni pomagali w dystrybucji lekarstw i żywności. On sam przyłączył się do starszych oficerów, których generał Shelton wezwał na obchód całego obozu. Kiedy przechodzili obok rzędu baraków, których mieszkańcy leżeli bez ruchu na zewnątrz w wiosennym słońcu, zobaczył żołnierzy przejeżdżających w ciężarówkach wyładowanych trupami. Jakiś oficer z innego pułku zapytał Sheltona: - Z całym szacunkiem, panie generale, ale czy nie można byłoby... jakoś bardziej godnie usuwać tych zmarłych?

Generał pokręcił głową. - Cholernie bym chciał, żeby to było możliwe, ale i tak mamy dosyć problemów z żywymi. W obozie panuje już epidemia tyfusu, a Bóg jeden wie, jaką zarazę mogą spowodować te gnijące ciała. Ci ludzie padają martwi na ziemię pod dotknięciem palca.

Albo po zjedzeniu tabliczki czekolady - pomyślał Linc. Obejrzeni "teren pracy", gdzie więźniowie zmuszani byli do bezsensownego przenoszenia ciężkich głazów z miejsca na miejsce, jedynie po to, aby wyczerpać ich siły. Widzieli kolczaste druty, w których jeszcze czterdzieści osiem godzin temu płynął prąd.

Kiedy ujrzeli krematoria, w których zamieniano ludzi w popiół i puszczano z dymem, Bennett myślał jedynie o tym, że to wszystko nie miało sensu, że w żaden sposób nie dało się racjonalnie wytłumaczyć czynów hitlerowców za pomocą ograniczonego słownika ludzkich emocji.

Obchód zajął im prawie trzy godziny. Wrócili do Kwatery Głównej tuż po południu. Generał poinformował oficerów, że kasyno oficerskie otwarte będzie o trzynastej i odprawił ich. Kiedy się rozchodzili, Linc czekał chwilę, aby zapytać o coś Sheltona.

- Panie generale, wiem, że złapaliście paru strażników. Co pan zamierza z nimi zrobić?

- Ci, którzy dotrwają, z pewnością staną przed sądem.

- Co to znaczy "dotrwają"?

- No cóż - odpowiedział generał, nie okazując specjalnych emocji. - Czasami więźniowie dobierają się do nich pierwsi. Nie uwierzyłbyś, ile siły potrafią znaleźć w sobie nawet ci najślabi i najbardziej schorowani. Potrafią rozszarpać tych drani na kawałki, zanim zdolamy ich powstrzymać.

- A czy usiłujecie?

- Naturalnie, Linc - odpowiedział Shelton. A potem dodał ciszej: - Tylko nie spieszy nam się specjalnie.

W tym momencie Linc usłyszał czyjeś gorączkowe wołanie: - Panie pułkowniku, niech pan poczeka, proszę na mnie poczekać!

Obrócił się i zobaczył Herschla, kuśtykającego w jego kierunku z błyszczącymi z podniecenia oczyma. - Musi mi pan pomóc! Panie pułkowniku Bennett, proszę, proszę! Błagam pana! Chodzi o Hannah, o moją żonę!

- Znalazł ją pan?

Herschel skinął głową i ciągnął dalej: - Jest teraz z lekarzami. Musi mi pan pomóc. Proszę, niech pan przyjdzie, szybko!

Linc usiłował go uspokoić: - Posłuchaj, jeśli otrzyma właściwą medyczną opiekę...

- Nie, nie, nie! Nic pan nie rozumie! Oni nie będą jej leczyć. Chcą pozwolić jej umrzeć. Niech pan tam idzie, proszę!

Podeszli obydwaj pod budynek szpitalny i zobaczyli pacjentów leżących na zewnątrz na noszach w oczekiwaniu na swoją kolejkę. Ze szpitala dochodził ostry, przenikliwy zapach środków dezynfekcyjnych.

W środku panował prawdziwy dom wariatów. Krzyki bólu mieszały się z poleceniami lekarzy wydawanymi pielęgniarkom. Linc bezzwłocznie zlokalizował nadzorującego lekarza.

Podpułkownik Hunter Endicott, kierownik wszystkich medycznych operacji, był wysokim białym mężczyzną w okularach. Pochodząc z Jackson, w stanie Missisipi, był nawet wyjątkowo biały. Jak również ogromnie zajęty. Nie mógł sobie pozwolić na tracenie czasu na pogaduszki z czarnymi intruzami, nawet jeśli byli oficerami.

Stojący o parę kroków z tyłu Herschel paplał coś gorączkowo po niemiecku. Linc zapytał spokojnie o stan zdrowia żony byłego więźnia. Odpowiedź Endicotta była bardziej zwięzła niż uprzejma.

- Obawiam się, że została wyselekcjonowana - stwierdził rzeczowo. - A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę się zająć ratowaniem innych pacjentów.

Kiedy doktor odwrócił się i pospiesznie odszedł, Linc musiał powstrzymać się przed odruchowym złapaniem go za rękaw. Zamiast tego po prostu zawołał: - Co, u diabła, oznacza ta pańska "selekcja"?

- Słuchaj, powiedziałem ci już, że jestem zajęty.

- Chciałbym panu przypomnieć - odpowiedział Linc cicho, lecz stanowczo - że jestem pańskim zwierzchnikiem i rozkazuję panu, aby mi pan wyjaśnił stan żony tego człowieka.

Endicott westchnął.

- W porządku, pułkowniku - powiedział z naciskiem. - Selekcja jest terminem, którego używamy do klasyfikacji rannych. Nie muszę chyba panu mówić, ilu mamy tu chorych. I że każdy z nich już ma tyfus albo najprawdopodobniej wkrótce go dostanie. Nasze zespoły podzieliły pacjentów na trzy kategorie - tych do odratowania, tych przypuszczalnie do odratowania i tych, którzy - przynajmniej naszym zdaniem - nie dadzą się odratować. Obawiam się, że żona tego człowieka podpada właśnie pod tę ostatnią kategorię.

- Dlaczego, co się stało?

Doktor pokręcił głową. - Nie sędzę, żeby pan rzeczywiście pragnął poznać szczegóły, pułkowniku. I jestem pewien, że jej mąż wołałby ich nie znać.

- Chwileczkę, Endicott. - Linc popatrzył na Herschla i postanowił nalegać. - W tym momencie mam wrażenie, że on zniesie wszystko.

- W porządku - odpowiedział doktor, wzdychając z rezygnacją.

Nieopodal stał pusty wózek używany niegdyś do przewożenia ciał. Woleli o tym nie myśleć. Endicott przysunął go do siebie i usiadł, podczas gdy obaj mężczyźni stali obok.

- No więc, panowie, posłuchajcie uważnie. Jak na obóz koncentracyjny to miejsce posiada wyjątkowe urządzenia medyczne. Bynajmniej jednak nie dla dobra więźniów, lecz raczej hitlerowskich "naukowców". Lekarze przeprowadzali tu eksperymenty "naukowe", wykorzystując do nich więźniów jako króliki doświadczalne.

Przerwał, pragnąc, aby informacja ta dotarła do ich świadomości.

- Słyszałem szcątkowe raporty o innych obozach i wiem, że niektóre z ich "badań" były czystym sadyzmem. Niemniej doktor Staengel, który prowadził tutejsze operacje, uważał się za kogoś, kto działa dla postępu nauk medycznych. Mordował, torturował i kaleczył rzekomo dla dobra ludzkości. Tenże właśnie nikczemnik dostał rozkaz z Berlina, aby wynaleźć coś lepszego niż sulfonamidy do zwalczania chorób wenerycznych, Jak widzicie, nawet nadludzie dostają czasami syfa.

Uśmiechnął się krzywo. Obaj mężczyźni przytaknęli mu skinieniem.

- No cóż, Staengel był dokładnym sukinsynem i robił szczegółowe notatki ze wszystkich swoich poczynań. Wiem zatem dobrze, co zrobili z tą kobietą. Dwudziestego ósmego marca wstrzyknęli jej dopochwowo dawkę dwoinek rzeźączki.

Twarz Herschla przypominała pozbawioną wszelkiego wyrazu gipsową maskę.

- A drugiego kwietnia zaczęli ją "leczyć" - jeśli to w ogóle odpowiednie określenie - eksperymentalnym antybiotykiem zwanym przez nich RDX 30. Staengel podaje jego dokładny skład. Przede wszystkim posiada on małą, ale istotną ilość wodorotlenku sodu, zwanego inaczej ługiem. Matki wasze nakładały rękawiczki, kiedy czyściły nim zlewy, gdyż jest tak żrący. W każdym razie, oprócz działania przeciwinfekcyjnego, środek ten spełniał również rolę skrobanki. Najpierw następował stan zapalny całej wyściółki macicy, a potem jej doszczętne zdarcie. Tenże właśnie rzekomo cudowny lek przeżarł się tej kobiecie przez nabłonek i zaczął korodować poniższe naczynia krwionośne. Pacjentka jest anemiczna, zakażona i ma prawie czterdzieści jeden stopni gorączki. Nie ma siły...

Przerwał na chwilę, zdając sobie nagle sprawę z tego, że w obecności męża pacjentki wydał właśnie na nią wyrok śmierci. Dodał więc parę słów pocieszenia: - Przykro mi, proszę pana, ale stan jej jest już zbyt daleko posunięty, aby dało się ją odratować. A teraz, jeśli panowie pozwolą...

Herschel krzyknął nagle niczym zranione zwierzę i osunął się na kolana.

Zanim doktor zdołał odejść, Linc zawołał: - Czekał no! Ja tu nadal dowodzę i jeszcze pana nie zwolniłem!

Przemęczone struny głosowe wywołały u niego następny atak kaszlu.

Endicott odwrócił się wolno z grymasem zdającym się mówić: "Odpierdol się, ty czarnuchu!" Mimo to wyszeptał: - Proszę wybaczyć, pułkowniku, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pozostało tu jeszcze coś do dodania. W czym mógłbym panu pomóc, poza przepisaniem panu czegoś na ten pański kaszel?

- Jest pan żonaty, Endicott? - dopytywał się Linc. Doktor skinął głową i dodał: - Trójka dzieci.

- Niech pan sobie przez minutę wyobrazi, że to pańska żona została tak wyselekcjonowana Jakby się pan zabrał do ratowania jej?

Doktor zastanowił się przez chwilę, grzebiąc gorączkowo w pamięci.

- Posłuchaj... panie pułkowniku - odpowiedział w końcu. - Nikt nie ma tu czasu na przeprowadzanie histerektomii.

- Sądzi pan, że to mogłoby ją uratować? - wtrącił Linc szybko.

Spojrzenie Endicotta powiedziało mu, że przyparł go wreszcie do muru.

- Niech pan posłucha! - zaprotestował Endicott z całym spokojem, na jaki było go jeszcze stać. - Ona krwawi tak obficie, że przypuszczalnie i tak nie przeżyje operacji.

- Niech mi pan tylko nie mówi, że brakuje wam krwi... - odpowiedział Linc.

- Nie mamy jej tyle, żebyśmy mogli ją marnować na beznadziejne przypadki, pułkowniku. A teraz, jeśli pan wybaczy...

- Jeszcze pana nie odprawiłem! - warknął Linc. - Jeszcze nie skończyłem. Chcę, żeby ktoś wykonał tę operację. Jeden Bóg wie, ile ci ludzie już wycierpieli. Należy im się przynajmniej jakaś szansa.

Rękawica została rzucona. Teraz należało rozstrzygnąć, który z nich wycofa się pierwszy. Linc był wyższy i pałały mu oczy.

- W porządku, pułkowniku - odpowiedział Endicott z udaną serdecznością. - Przypuśćmy, że wyznaczę kogoś do wykonania tej bezsensownej operacji, powiedzmy dzisiaj o dwudziestej trzeciej wieczorem. Skąd, pańskim zdaniem, mamy zdobyć te dwa lub trzy litry krwi, które będą potrzebne?

- Niech mi pan tylko powie ile, a ja je zdobędę.

Lekarz odprężył się, przekonany, że wreszcie udało mu się zapędzić swego przeciwnika w kozi róg. - Panie pułkowniku, na pańskim stanowisku powinien pan chyba znać przepisy panujące w Armii Stanów Zjednoczonych. Pod żadnym warunkiem nie możemy używać murzyńskiej krwi do ratowania białych pacjentów. To rozkaz naszego naczelnego dowódcy, Franklina Delano Roosevelta.

Rozumie mnie pan?

- Doktorze, obawiam się, że przeoczył pan jeden mały szczegół. Ta kobieta nie jest w amerykańskiej armii. Nawet nie jest Amerykanką. Jej własny rząd narzucił jej status bezosobowy. A zatem prawodawstwo Waszyngtonu nie dotyczy tej sprawy. Rozumie mnie pan?

W ciszy, jaka potem nastąpiła, Linc słyszał nieomal zgrzytanie zębów przeciwnika. - Jeśli wyślę tu pół tuzina ludzi, czy to wystarczy, doktorze?

- Tak. Później powiadomię pana o grupie krwi - powiedział znużonym głosem Endicott i odszedł z wściekłością.

Linc odwrócił się i spojrzał na twarz Herschla. Łzy spływały mu po policzkach.

- No, człowieku, uszy do góry! Jakoś udało nam się to załatwić. Obiecuję ci, że twoja Hannah będzie żyła.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć. Od pięciu lat torturują nas żołnierze, a teraz wy tyle dla mnie robicie...

Lincoln poczuł jednocześnie wzruszenie i zażenowanie. Objął ręką chude ramiona płaczącego Herschla.

- Ten doktor Staengel musiał być wyjątkowo udany. Mam cholerną nadzieję, że go złapiemy.

- Wszystko mi jedno - szlochał Herschel. - Już niczego nie chcę, tylko żeby moja Hannah żyła...

Nad ranem wniesiono Hannah Landsmann na noszach do zaskakująco dobrze wyposażonej sali operacyjnej, gdzie w kuble z lodem czekało na nią siedem butelek krwi. Wychudzona twarz nadawała jej wygląd sześćdziesięcioletniej kobiety, mimo że Linc wiedział, że miała zaledwie trzydziestkę. Nawet kropelki potu na jej twarzy zdawały się szare. Herschel trzymał ją mocno za rękę, szepcząc jakieś pocieszające słowa, których przy swojej gorączce nie była nawet w stanie zrozumieć.

Przypuszczalnie z czystej zemsty doktor Endicott wyznaczył do przeprowadzenia tej operacji swego najmniej doświadczonego chirurga.

Serce w Lincolnie zamarło, kiedy zobaczył, jak młody doktor, Andrew Browning, rozkłada przed sobą dobrze sfatygowany Atlas technik chirurgicznych.

W tym momencie Browning odwrócił się do nich i powiedział:

- Obawiam się, że panowie będą musieli stąd wyjść. Herschel nie poruszył się. Nagle podeszła do nich pielęgniarka.

Popatrzyła na Lincolna i pocieszyła go: - Pułkowniku, pracowałam już kiedyś z doktorem Browningiem. Być może jest nowy w tym zawodzie, ale z pewnością wie, jak się posługiwać skalpelem. I jest bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Linc skinął głową z wdzięcznością i delikatnie wyprowadził Herschla z sali.

Obaj mężczyźni wyszli na powietrze i usiedli na schodach. Była ciepła, wiosenna noc. Nad nimi rozpościerało się spokojne niebo usłane gwiazdami.

Linc wyciągnął papierosa. Potem otworzywszy wysmukłą, srebrną papierośnicę z wyrytym na niej godłem Trzeciej Armii, wyciągnął z niej dwa papierosy. Zapalił je i podał jeden Herschlowi.

Gwałtownie zaniósł się suchym kaszlem. Rozsądek mówił mu, że w ogóle nie powinien palić, lecz do diabła, musiał przecież coś robić, żeby o tym wszystkim nie myśleć.

- Czy jest pan żonaty, pułkowniku? - zapytał Herschel.

- Ciężko mi na to odpowiedzieć, Herschel - odrzekł z zakłopotaniem. - Właśnie braliśmy rozwód, kiedy zostałem wysłany za granicę. Trudno nam było znaleźć stan, w którym przyjęliby "obopólną pogardę" za powód. Sądzę, że do tej pory zdołała już całkowicie usunąć mnie ze swego życia. W każdym razie zostawiła naszego syna u mojej matki.

- Syna?

- Tak, Linca juniora. W lecie będzie miał dziesięć lat. Szczerze mówiąc, myśl o zobaczeniu go podtrzymywała mnie przez cały czas na duchu. A ty?

- Mieliśmy kiedyś córkę - odpowiedział Herschel na pozór niewzruszony. - Miała prawie cztery lata, kiedy przywieziono nas do pierwszego obozu. Powiedziano nam, że biorą ją do przedszkola.

Uwierzyliśmy w to, bo bardzo chcieliśmy wierzyć. Ale kiedy całowaliśmy ją owej nocy, wiedzieliśmy, że żegnamy się z nią już na zawsze.

Zaciągnął się głęboko papierosem i dodał: - Wiesz, to dziwne. Potem oboje z Hannah nie mogliśmy nawet wymówić jej imienia. Patrzyliśmy po prostu na siebie z poczuciem winy za to, że to my pozostaliśmy przy życiu, a nie ona.

Nastała długa, bolesna cisza.

Potem Herschel ciągnął dalej: - Po jakimś czasie rozłączono nas. Może w to nie uwierysz, ale kiedyś byłem mocnym jak byk atletą. Należałem nawet wówczas do ekskluzywnego klubu Turnvereine, przeznaczonego wyłącznie dla chrześcijan. No więc wysłali mnie do kamieniołomów jako niewolnika. Dopiero w tym tygodniu dowiedziałem się, co się stało z Hannah.

Wykończyli prawie całą paczkę papierosów, kiedy Browning, ciągle jeszcze w zachlapanym krwią fartuchu, wyszedł na zewnątrz, trąc ze zmęczenia oczy.

Obaj mężczyźni skoczyli na równe nogi.

- W jakim jest stanie? - zapytali nieomal równocześnie.

- Przeżyła operację - odpowiedział młody człowiek. - Musimy ufać, że będzie na tyle silna, żeby wyzdrowieć.

- Czy mogę ją teraz zobaczyć? - zapytał niespokojnie Herschel.

- Najlepiej będzie, jak jej pan pozwoli spać. Nam wszystkim sen dobrze by zrobił. - Browning zaczerpnął powietrza i chłopięcym tonem oksfordzkiego studenta,

którym był jeszcze parę tygodni temu, dodał: - Mówię serio, chłopcy. Przy tych zarazkach, które się tutaj unoszą, najlepiej będzie, jak wszyscy pójdziemy spać.

Linc odprowadził Herschla do jego baraku. Z wewnątrz dochodziły jęki. Choć wolni na jawie, mieszkańcy baraków nadal pozostawali więźniami swoich koszmarnych snów.

- Jak mogę panu podziękować, pułkownik Bennett?

- Po pierwsze, możesz mi mówić Linc. A po drugie, sądzę, że obaj powinniśmy odmówić modlitwę i iść do łóżka.

- Modlitwę? - zapytał z niedowierzaniem Herschel. - A do kogóż ja miałbym się modlić?

- Do Boga. Naszej skały i zbawienia - odpowiedział Linc z przekonaniem. - Psalm sto trzydziesty. "Z głębi wołam do Ciebie, o Boże. Miej ludu Izraela nadzieję w Panu, bowiem w Panu jest miłosierdzie". Znasz go przecież, prawda?

Herschel skinął głową. Jednakże coś w jego wnętrzu zmusiło go do zakwestionowania wiary Lincolna.

- Bóg? Ty mówisz mi o Bogu? Byłem kiedyś żarliwie praktykującym Żydem. Prowadziłem uczciwe życie. W każdą sobotę chodziłem do synagogi - i jakaż jest moja nagroda? Czy sądzisz, że potrafię się jeszcze modlić do Boga, który karze tych, co niczym nie zawinili? Przykro mi, ale wiara moja uleciała wraz z dymem tych kominów.

Linc nie mógł znaleźć właściwej odpowiedzi. Podał więc tylko Herschlowi rękę, którą wybidzony Żyd ujął w obie dłonie i wyznał:

- Wiesz, w co mogę jeszcze uwierzyć? Tylko w to, co ty mi okazałeś. Tylko w ludzką dobroć i serce.

Rozstali się. Linc przeszedł wolno obok strażników, salutując im machinalnie i zastanawiając się: - Jak ja to wytłumaczę mojemu synowi?

Usiadł na brzegu łóżka, ukrył głowę w dłoniach i zaczął się modlić.

Następnego ranka obudził się bardzo osłabiony. Krew pulsowała mu w skroniach, bolały go krzyże i kończyny. Ta cholerna grypa! Jakoś nie mógł się z niej wygrzebać. Biorąc prysznic dla otrzeźwienia, zauważył niebieskawe plamy na swoich piersiach i brzuchu.

Tego mi tylko trzeba - pomyślał. Robactwa w pościeli!

Zażył parę aspiryn, a potem włożył na siebie ciepły płaszcz i wyszedł na apel.

Tuż przed dwunastą zdołał oderwać się na chwilę od swoich obowiązków, żeby pójść sprawdzić, jak się czuje Hannah. Przeniesiono ją z powrotem do baraku. Herschel siedział przy niej.

- Jak ona się czuje?

Herschel uśmiechnął się. - Rozmawialiśmy przez cały ranek. Temperaturę ma dzisiaj znacznie niższą i ten młody lekarz nie traci nadziei. Proszę, podejdź tu do nas, chciałbym cię przedstawić.

Herschel zaprezentował jej po niemiecku swojego amerykańskiego wybawcę w długich zdaniach, które przypominały przesadne pochwały. Hannah uśmiechnęła się z trudem i szepnęła chrapliwie:

- Herschel powiedział mi, ile pan dla mnie zrobił.

- Ależ nie, proszę pani! To on był sprawcą tego wszystkiego. Ja byłem tylko pośrednikiem.

- O nie, nie! - nalegał Herschel. - Jeśli znajdziemy jeszcze kiedykolwiek szczęście, to tobie będziemy je zawdzięczać.

Linc wzruszył się tym wyznaniem. - Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić? Czy aby karmić was tu dobrze?

- Wszystko jest w porządku - odpowiedział Herschel. - Tych demonów już nie ma i możemy spokojnie oddychać. Tylko to się teraz liczy.

Nagle Linc Bennett zaczął się intensywnie pocić. Być może po prostu było tam za gorąco. Ależ to niemożliwe, przecież hitlerowcy nie troszczyli się specjalnie o ogrzewanie baraków. Może nie powinien wkładać tego zimowego płaszcza? Zakręciło mu się w głowie. Nie miał czym oddychać. Podszedł pospiesznie do drzwi, otworzył je i wyszedł na słońce rześkiego kwietniowego poranka. A potem runął jak długi bez czucia na ziemię.

Przebudził się wolno i leżał na wpół przytomny. Czuł pod głową poduszkę, więc domyślił się, że spoczywa w łóżku. Usłyszał w pobliżu czyjeś gniewne głosy.

- Cholera! Jakby brakowało nam roboty, to ten głupi, uparty pułkownik musiał jeszcze podłapać tyfus. Biorąc pod uwagę, że na ogół można się z tego wylizać, jeśli się jest chociaż częściowo zdrowym, to trzeba przyznać, że ten facet musiał się wyjątkowo starać.

- Panie doktorze, niech pan tylko rzuci okiem na te zdjęcia rentgenowskie, to zobaczy pan, że on musiał już od dłuższego czasu chodzić z odoskrzelowym zapaleniem płuc.

- Słuchaj no, Browning. Nie potrzebuję tych cholernych zdjęć. Słyszę przecież piersi tego bawełnianego parobka z drugiego końca pokoju.

- Doktorze Endicott, objętość oddechowa płuc pacjenta zmniejszyła się o pięćdziesiąt procent. On ledwo oddycha. Czy można mu jeszcze jakoś pomóc?

- Na litość boską, zalewamy go przecież sulfametazyną. Mocniejszy od tego jest już chyba tylko ten hitlerowski RDX 30. Musisz się z tym, chłopie, pogodzić, że to beznadziejna sprawa.

Linc pocił się dotąd, lecz teraz wstrząsały nim dreszcze. Nieomal natychmiast pojawił się u jego boku młody lekarz, pomagając pielęgniarce przykryć go następnym kocem.

- Browning, czy to pan? - wyszeptał Linc.

- Tylko spokojnie, pułkowniku. Z pewnością wyjdzie pan z tego - odpowiedział mu lekarz, uspokajająco klepiąc go po ramieniu.

- Dzieciaku - powiedział Linc, dysząc ciężko - byłem już na tej wojnie zbyt długo. Mogę się założyć, że macie już kogoś innego na to łóżko.

Browning nie miał doświadczenia i nie wiedział, jak mu na to odpowiedzieć.

Nagle Linc jęknął cicho: - Psiakrew!

- Tak, panie pułkowniku?

- Jeśli już miałem umrzeć na tej przeklętej wojnie, to czemu nie na polu walki, żeby przynajmniej mój syn mógł być z tego dumny?

Młodemu człowiekowi łzy nabiegły do oczu. - Wyjdzie pan z tego, zobaczy pan, pułkowniku.

- Jesteś beznadziejnym kłamcą, Browning. Musisz zmądrzeć, jeśli chcesz zostać prawdziwym lekarzem.

Usłyszeli ciche pukanie i drzwi do pokoju otworzyły się wolno.

- Przykro mi, ale nie wolno mu przyjmować gości - powiedział prędko, ale uprzejmie młody człowiek.

Herschel udał, że nie rozumie, i wszedł do pokoju z małym bukietem polnych kwiatów.

- Proszę - powiedział. - Przyszedłem odwiedzić mojego przyjaciela.

Browning wzruszył ramionami i wychodząc z pokoju, skinął głową w stronę Herschla i powiedział: - Będę w pobliżu, pułkowniku. Proszę mnie zawołać, jeśli będzie pan czegoś potrzebować.

Obaj mężczyźni pozostali sami.

- Kwiaty dla ciebie, Lincoln - powiedział Herschel, wyciągając je przed siebie i próbując się uśmiechnąć. - Coś niesłychanego. Parę metrów za tym martwym światem z kolczastych drutów rosną kwiaty i kwitną drzewa. Na świecie nadal istnieje życie.

Ale nie dla mnie - pomyślał Linc. A potem zapytał: - Jak się ma Hannah?

- Dobrze, dobrze! - odpowiedział radośnie Herschel. - Już prawie nie ma gorączki. Może jutro zabiorę ją na spacer. Przyjdziemy cię odwiedzić.

- Tak, byłoby mi bardzo miło. - Nagle zaczerpnął ciężko powietrza. - O Boże mój...

Dopiero po sekundzie Herschel zorientował się, że Linc stracił przytomność. Zawołał o pomoc.

Stał, trzęsąc się cały, z szeroko otwartymi ze strachu oczyma, patrząc, jak obsługa szpitala usiłowała ratować jego dobroczyńcę.

- Nie czuję pulsu w tętnicy szyjnej! - odezwał się pierwszy głos.

- Ani w *dorsalis pedis* - powiedział ktoś inny.

- Oddech zero.

- Spróbujmy wstrzyknąć mu dosercowo ampułkę adrenaliny.

- Nie sądzę, aby to było konieczne - odpowiedział spokojnym głosem Hunter Endicott. - Przy tyfusie i takim zapaleniu płuc ten człowiek nie miał żadnej szansy.

Grupa zebranych wokół jego łóżka rozstąpiła się, robiąc miejsce starszemu lekarzowi, który sprawdził dokładnie wszelkie oznaki życia, a potem zwrócił się do przełożonej pielęgniarki:

- Sheila, zajmij się dokumentacją, dobrze? I dopilnuj, żeby wszystko w tym pokoju zostało zdezynfekowane.

Skinęła głową. W parę sekund później usunięto z ramienia pułkownika Bennetta kroplówkę, zasłonięte mu prześcieradłem twarz i wytoczono jego łóżko na zewnątrz.

Nikt nie zauważył nawet niemego świadka tego wydarzenia - chudego, zgarbionego i przerażonego człowieka, stojącego w kącie z paroma gałązkami kwiatów w ręce i mokrą od łez twarzą.

Prawie mimowolnie wyrwała mu się z otwartych ust modlitwa: *Yisgadal ve yiskadosh shmei raboh...* “Chwalone i wielbione niech będzie imię Pana w świecie, który stworzył zgodnie ze swoją wolą”.

Była to żydowska modlitwa za zmarłych.

W tym też momencie Herschel Landsmann przysiągł sobie solennie, że pułkownik Abraham Lincoln Bennett nie umarł na marne.

Samolot Swissair lot numer 127 wylądował w Zurychu w jasny pogodny poranek dwudziestego czwartego grudnia 1958 roku. Wysoki czarny pasażer w pierwszej klasie zapiął blezer i poprawił krawat. Zarzucił sobie na ramię torbę podróżną z kurdybanu i skierował się do wyjścia.

Zszedłszy po metalowych stopniach na ziemię, prędko poszedł po bagaż. Nieomal natychmiast pojawiły się na transporterowej taśmie jego kurdybanowe walizki. Jednakże podobnie jak inni pasażerowie, którzy przywieźli ze sobą narty, musiał poczekać na rozładowanie specjalnego bagażu.

Popatrzył przez szklane drzwi na zebrany wokół strefy celnej tłum. Dojrzał w nim ludzi, których szukał. Uśmiechnął się i pomachał im przyjaźnie ręką.

I tak oto Abraham Lincoln Bennett junior objął swoich adoptowanych rodziców, Hannah i Herschla Landsmannów.

Rozdział XIV

Ofiary ich leżały przywiązane mocno do metalowych stołów, śliniąc się obficie i ciężko dysząc. Pośrodku sali stał instruktor o małych, paciorkowatych oczkach, dzierżąc w prawej ręce skalpel. Miał właśnie na jednym z tych stworzeń zademonstrować młodym adeptom medycyny, jak czyni się nacięcia i obnaża wnętrzności. Jego jasnowłosy asystent o niewinnej twarzy ministranta trzymał dwa następne instrumenty w ręce - kleszcze i parę długich, ostrych nożyczek.

Na sali unosił się odór kału i moczu wydalanego przez pacjentów w odruchu strachu w trakcie przywiązywania ich do metalowych blatów.

Ręka instruktora opadła na dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni i rozcięła jamę brzuszną. Niektórzy z obserwatorów jęknęli ze współczuciem.

- Czy jest pan pewny, że one niczego nie czują? - zapytał ktoś.

- Powtarzałem już pani wielokrotnie, panno Castellano - odpowiedział profesor Lloyd Cruikshank - że staramy się traktować te psy po ludzku, na ile to tylko możliwe.

Wrócili na zajęcia w styczniu, aby zakosztować swego pierwszego zetknięcia z żywymi organizmami. Cruikshank miał być ich przewodnikiem po "resekcji" (medyczny eufemizm pochodzący od łacińskiego słowa *resecare*, czyli wycinać, odcinać) kolejnych niezbędnych do życia organów psa.

Ćwiczenie to miało również wyćwiczyć w nich tolerancję, choć inni nazwaliby to raczej odpornością na ból i cierpienia innych ludzi. Przede wszystkim miało to jednak wyostrzyć im mózgi i zahartować serca.

Laura tak obawiała się tego, że w czasie całych świątecznych ferii o niczym innym nie była w stanie myśleć. W dzieciństwie karmiła i ukrywała w domu każde bezdomne zwierzę, jakie tylko zawędrowało do ich ogrodu, dopóty matka nie odkryła go i nie zawiadomiła o tym Towarzystwa Ochrony Zwierząt.

Wyjątkowo na tych ćwiczeniach pozwolono im dobrać sobie własne zespoły, więc Laura ubłagała Barniego, aby w ramach "prezentu gwiazdkowego" pomógł jej przejść przez tę próbę. Zgodził się, lecz sam się wkrótce przekonał, że nawet dla niego nie było to takie proste. Również trzeci członek ich zespołu, świeżo ożeniony Hank Dwyer, który pracował tego dnia jako anestezjolog, nie znajdował w tym żadnej przyjemności. Laura zazdrościła mu jednak, że mógł patrzeć tylko na tarcze urządzeń rejestrujących bicie serca i oddech, a nie na psie wnętrzności. Zdenerwowany Hank

powtarzał jednak sobie bez przerwy: - Nic się nie bój, nic się nie bój. Ona z pewnością nic nie poczuje.

Sekcja zwłok to było zupełnie coś innego. Chodziło w końcu o przedmioty martwe w najbardziej dosłownym znaczeniu. A teraz?

Barney i Laura, jak również pozostali uczestnicy tych zajęć z psiej chirurgii, mieli wrażenie, że operują bliskiego przyjaciela. Do ich obowiązków należało bowiem podtrzymywanie tych eksperymentalnych stworzeń przy życiu pomiędzy kolejnymi resekcjami.

- O Boże, jak ja tego nienawidzę - szepnęła Laura do Barniego.

- Spokojnie, Castellano. To tylko parę tygodni. Cały czas powtarzaj sobie, że to ich nie boli.

W pewnym momencie jeden ze studentów zaczął głośno narzekać:

- Nie mogę już tego dłużej znieść. Ten kundel jest na to za słodki!

Profesor Cruikshank odpowiedział mu swym tradycyjnym przemówieniem na temat "postępu ludzkości".

- Musimy pamiętać o tym, że nie robimy tego z okrucieństwa do zwierząt, lecz raczej dla dobra naszych bliźnich. Musicie nauczyć się operować żywe stworzenia. - A potem dodał trochę mniej pouczającym tonem: - W porządku, zabierzcie się za te noże. - I mówiąc to, wyszedł z sali.

Student pochylił się niechętnie nad psem leżącym na stole pod znieczuleniem. Zaskoczony zobaczył z ulgą, że w trakcie kazania profesora jeden z jego kolegów miłosiernie otworzył za niego jamę brzuszną. Utkwił teraz wzrok w łapie psa, przekłutej igłą znajdującą się na końcu długiej dożylniej rurki, dostarczającej glukozę i solankę nieprzytomnemu zwierzęciu.

Następną różnicą pomiędzy psami a trupami było to, że ludzkie zwłoki nie krwawiły. W tym zaś wypadku nerwowe ruchy studentów, grzebiących całymi godzinami we wnętrznościach zwierząt, nieuchronnie prowadziły do uszkodzenia różnych arterii, spryskując wszystkich od stóp do głów krwią.

W tym właśnie momencie usłyszeli przerażający skowyt, a potem krzyk kobiety. Odgłosy te pochodziły od owczarka szkockiego Alison Redmond i od samej Alison, która teraz skoncentrowała swą wściekłość na "anestezjologu" ze swego zespołu.

- Mówiłam ci, że jeszcze nie spał! Mówiłam ci, mówiłam! - krzyczała. - Nie dałeś mu wystarczającej dawki!

Jasnowłosy asystent podszedł pośpiesznie do jej stołu ze strzykawką w ręce. Momentalnie wbił igłę i zwierzę ucichło. Z pewnością jednak nie ustało oburzenie Alison z powodu niepotrzebnego bólu zadanego jej psu.

- Nie dałeś mi wystarczającej dawki morfiny - powiedziała z wyrzutem.

- Zapewniam panią, panno Redmond, że dałem - odpowiedział asystent chłodno. - To, co pani tu przed chwilą widziała, było po prostu odruchem.

- Niech mnie pan nie nabiera. Ten wrzask, kopanie i skowyt to według pana tylko odruchy?

- Małe sprostowanie. To pani wrzeszczała.

Odwrócił się, a Alison wybuchła: - Fink, mogę się założyć, że patrzeć na ich cierpienie cię podnieca. Do diabła! Jakim ty jesteś lekarzem?

- Prawdę rzekłszy, ja wcale nie jestem lekarzem. A teraz proszę wrócić do pracy. Gdyby ktoś z was mnie potrzebował, będę w laboratorium profesora Cruikshanka.

Kiedy zamknęły się za nim podwójne drzwi, zaskoczony tym wszystkim Hank Dwyer zwrócił się do swoich kolegów: - Co on, u diabła, miał na myśli, twierdząc, że nie jest lekarzem?

- To ty się jeszcze nie połapałeś? - spytała Laura. - Cruikshank też nie jest lekarzem. Bardzo niewielu z naszych nauczycieli jest również lekarzami. Większość z nich ma tylko doktoraty. Innymi słowy, nie mają nic wspólnego z jakimś tam praktykowaniem medycyny i leczeniem pacjentów. To czystej krwi naukowcy. Ostatnie słowo przypadło Alison: - Pierdolę tę całą naukę!

Laura denerwowała się dalej przy obiedzie.

- Czuję się jak lady Makbet. Wydaje mi się, że nigdy nie zdołam zmyć tej krwi z rąk.

- Och, przestań już, Lauro, nie przesadzaj - skarcił ją Barney. - Popatrz, wyciąłem ostrożnie naszemu kundlowi kawałek tarczycy i nawet nie drgnął. Następnym razem wytniesz mu śledzionę i też niczego nie poczuje. Te środki znieczulające są naprawdę bardzo skuteczne.

- A oprócz tego - wtrącił Bennett - skąd wiesz, że krojenie ludzkich pacjentów będzie łatwiejsze?

- Po pierwsze, ty będziesz to robił, bo to ty chcesz zostać chirurgiem. Po drugie, będziesz miał wówczas ku temu uzasadnione powody. A poza tym twój pacjent będzie

miał opiekę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W tym psim laboratorium nie ma ani jednej nocnej pielęgniarki.

- Nie bądź dziecinna, Lauro - upomniał ją Peter Wyman. - A w ogóle po co ta dyskusja? W przyszły piątek rozcinamy im żebra i wyciągamy serca i będzie po wszystkim.

- To tobie chciałabym rozciąć serce, Wyman - odpaliła Laura. - Ale do tego potrzebowałabym prawdopodobnie pneumatycznego świdra. - I powróciła do swoich nieszczęsnych rozważań. - Ciekawa jestem, czy ta nasza psina zdaje sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje? Sądzisz, że dali jej jakiś środek nasenny?

- Nie wierzę własnym uszom! - ogłosił całemu światu Wyman, dodając: - Castellano, mogę się założyć, że się popłakałaś przy *Lassie, wróc*.

- Oczywiście, że tak, Wyman.

- Ba! A ja myślałem, że jesteś żelazną damą roku. Wkrótce rozeszli się do swoich wyłożonych książkami cel. Laura nie ruszyła się z miejsca. Bawiła się porcją lodów posypaną kawałkami czekolady. Tego wieczoru prawie nic nie zjadła.

- Hej, Castellano! - szepnął Barney. - Wiem, o czym myślisz.

- To niemożliwe - odparła, miażdżąc lody łyżeczką.

- Na litość boską, czytałem twoje myśli, kiedy byliśmy jeszcze w piaskownicy! Chcesz pójść zobaczyć, co się dzieje z naszą psiną, prawda?

Nie odezwała się.

- No więc? - zapytał.

Skinęła głową i popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Wiem, że ty też masz na to ochotę.

Na korytarzu panowała głęboka ciemność. Laura wyciągnęła latarkę wielkości pióra. Jej intensywne, skupiające światło świeciło nieomal na całą długość korytarza, padając na ostatni róg, za który musieli przejść.

- Hej, skąd, u diabła, masz taką zgrabną zabawkę, Castellano?

- Przysłano mi ją pocztą. Prezent od jakiejś farmaceutycznej firmy. Czy tobie nigdy niczego nie dają?

- Owszem, ale ja nigdy tego nie otwieram. Uważam, że to po prostu tanie przekupstwo.

Kiedy zbliżali się do laboratorium, usłyszeli dochodzące stamtąd odgłosy - cichą kakofonię skomleń i poszczekiwań. Nie ulegało wątpliwości, że psy cierpiały.

- Miałaś rację, Castellano - przyznał Barney. - Jak sądzisz, co powinniśmy teraz zrobić?

Zanim Laura zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli ściszone kroki, zmierzające w ich stronę.

- O cholera, ktoś tu idzie - syknęła, gasząc natychmiast latarkę. Oboje schowali się za filarem.

Kroki zbliżały się coraz bardziej. Na śnieżnej szybie laboratoryjnych drzwi ukazała się czyjaś sylwetka. Laura i Barney wstrzymali oddech. Nieznana postać otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka.

W chwilę później nastąpiła tak przejmująca cisza, że Barney słyszał szaleńcze uderzenia swego własnego serca. I wówczas zorientował się, co się stało.

- Castellano! - szepnął. - Czy zauważyłaś coś dziwnego?

- Aha. Nagle zrobiło się cicho.

W sekundę później ukazała się znowu tajemnicza postać, minęła ich - tym razem biegiem i znikła w ciemnościach.

- Uff! - powiedziała Laura, oddychając z ulgą głęboko. - Dostyc już mam tych emocji jak na jeden wieczór.

- Jeśli chcesz, to możesz wracać, aleja muszę zobaczyć, co się stało - odpowiedział Barney.

- Nie ma mowy. Nie odstąpię cię nawet na krok. Nawet jeśli masz zamiar wejść do męskiej ubikacji.

Podeszli na palcach parę kroków do drzwi laboratorium, które otworzyły się bezszelestnie i wchłonęły ich do środka. Wewnątrz usłyszeli szum, w którym łatwo rozpoznali oddechy spokojnie śpiących zwierząt. Nic nie wskazywało na jakiegokolwiek cierpienie. Laura zapaliła latarkę i skierowała ją w stronę psów. Wydawało im się, że spały. Po paru sekundach zorientowali się jednak, że parę z nich w ogóle się nie ruszało.

- Popatrz na tego owczarka szkockiego Alison - szepnął Barney, wskazując na górny szereg klatek. Podeszli bliżej i Laura zaświeciła latarkę prosto w oczy psa.

- O Jezu, Barney, on zdechł!

Barney skinął głową i wskazał palcem na klatkę poniżej, po prawej stronie. - Ten według mnie również wygląda na martwego. A gdzie jest nasze psisko?

Wąski strumień światła latarki Laury przeszukiwał klatki od góry do dołu.

- O, tutaj! - Oboje przyklękli przy klatce terierki. Barney sięgnął szybko ręką do środka i dotknął jej obandażowanego brzucha.

- Żyje - mruknął. - A teraz zwiewajmy stąd szybko.

- Czytasz wprost w moich myślach, Barney.

Kiedy byli już bezpieczni w otoczeniu żywych, Barney zwerbalizował ich wspólne obawy.

- Nie jestem pewien, Castellano, ale przypuszczam, że ktoś z naszego rocznika mocno wierzy w eutanazję.

- Myślę, że można by to nazwać czynem humanitarnym.

- Owszem, ale trzeba również przyznać, że to raczej niesamowite.

Następnego ranka profesor Cruikshank zwrócił się do grupy z dezaprobatą: - Przykro mi, ale muszę powiedzieć, że wielu z was nie wykonało tych chirurgicznych zabiegów z należytą ostrożnością. W ciągu jednej nocy straciliśmy aż dziewięć zwierząt doświadczalnych. Wobec tego musiałem dostarczyć wam dziewięć nowych i to tylko na ostatnią wiwisekcję serca i płuc.

- Ależ, panie profesorze... - Oczy wszystkich zwróciły się na tego, kto ośmielił się zgłosić sprzeciw.

- Tak, panie Landsmann? - zapytał profesor.

- Czy nie byłoby to bardziej ekonomiczne i jednocześnie bardziej miłosierne, gdyby ludzie, którzy stracili psy, podeszli do innych stołów?

- Nie sądzę - odpowiedział profesor. - To zbyt istotna część waszej edukacji. Każdy z was powinien mieć możliwość własnoręcznego zbadania żywych organów w żywym organizmie. Żadne książki wam tego nie zastąpią. Bierna obserwacja też nie wystarczy.

Bennett skinął głową. W każdym razie cała ta sprawa była już teraz kwestią czysto akademicką, gdyż zwierzęta zostały uwiązane i uśpione, czekając ulegle na noże badaczy.

Były to dziwne bożonarodzeniowe święta dla Sarniego i Laury. Oboje wybrali się w podróż, która zaczynała już zmieniać ich perspektywę patrzenia na życie. Ta

niewielka ilość wiedzy, którą już posiadali, oddzielała ich od laików, których świadomość niesamowitej maszyny życia była zaledwie powierzchowna.

Mimo to rozkoszowali się tym owodniowym ciepłem rodzinnego gniazda. Rodzice nie byli przecież dla nich tylko zbiorem komórek, cząsteczek i tkanek, lecz ucieleśnieniem miłości i serdeczności. Patrząc, jak jego młodszy brat pożera szesnaście słodkich omletów na śniadanie, Barney nie mógł się nadziwić, że Warren nawet przez chwilę nie zastanowił się nad skutkami, jakie wywoła w jego metabolizmie zapoczątkowany w ten sposób glikogeniczny proces. Z największą przyjemnością oddawał się rozmowom, które nie wymagały podawania faktów, wzorów i struktur chemicznych.

Warren wydawał mu się teraz znacznie pewniejszy siebie, choć być może takie wrażenie sprawiały jedynie jego wąsy. W każdym razie podczas nieobecności Barniego pełnił godnie rolę mężczyzny w rodzinie, pomagając Estelle w przygotowaniach do nieuchronnej sprzedaży domu i w przeprowadzce na południe. Do rozpoczęcia Szkoły Prawniczej pozostały mu jeszcze dwa lata, ale zarówno matka, jak i syn w marzeniach opuszczali już Brooklyn.

Przy swoich nowo wyostrzonych zmysłach obserwacji Barney dostrzegał teraz rzeczy, których nigdy przedtem nie zauważał, na przykład skrzypiące deski na drugim piętrze.

Najwidoczniej dom też już się postarzał. Nawet obręcz do koszykówki na starym dębie została pozbawiona siatki przez październikowy huragan i zardzewiała doszczętnie pod wpływem ponad > tuzina zim. Rdza, kurz i skrzypiące deski. Tak jakby sam Brooklyn odczuwał coraz większe zmęczenie. Tylu przyjaciół przeprowadziło się już gdzieś indziej.

Luis zmienił się również. Nadal uważał się za *El Peñon, La Roca de Gibraltar*. Jednakże zmarszczki na jego czole były o wiele głębsze i nie miał już ochoty na domowe wizyty w najprzeróżniejszych godzinach nocy.

Brak poświęcenia z jego strony? Energii? Zapytany wprost, wytłumaczyłby to zapewne brakiem czasu. Kiedyś rzadko spoglądał w kalendarz, teraz zdawało się jednak, że jest uzależniony odruchów klepsydry. Niecierpliwie czekał na każdy weekend. Od kiedy przyjął do swojej praktyki zapaleńca z Puerto Rico jako partnera, pozostawiał młodszemu mężczyźnie soboty i niedziele. Sam siedział samotnie w swoim gabinecie, bezmyślnie przerzucając czasopisma, z włączonym telewizorem

nastawionym na pierwszy z brzegu piłkarski mecz jako coś w rodzaju muzycznego tła. A szklanka u jego boku nigdy nie pozostawała pusta.

Niedziele przestały być czymś specjalnym dla Inez Castellano, gdyż teraz spędzała każdy dzień tygodnia na pokutniczej modlitwie. Ten jej gorący zapal przybrał ostatnio na sile dzięki przybyciu ojca Francisco Xaviera, charyzmatycznego uciekiniera z Kuby Fidela Castro.

- Dzięki Bogu - powiedziała Luisowi. - Przyjechał tu w samą porę, żeby zbawić nasze dusze.

- Nie moją, *querida* - odpowiedział drwiąco. - Mojej duszy już nic nie ocali. Możesz powiedzieć ojcu Francisco, żeby to sprawdził w swojej następnej pogawędce z Wszechmocnym.

Cieszył się jednak, że w ogóle z nim rozmawiała, nawet jeśli tylko o ogniu piekielnym. Lepsze takie autodafe niż kompletny autyzm.

Delikatne kpiny Luisa nie miały żadnego wpływu na zapal Inez. Jeśli nie było jej w kościele na spowiedzi lub jeśli nie odmawiała różańca, to czytała Biblię po hiszpańsku.

- Twoja matka kształci się teraz na zakonnice - zauważył Luis z nikłym uśmiechem, nie będącym jednak w stanie zatuszować cienia irytacji w jego głosie. Rzeczywiście, z tego co Laura widziała, więcej było w tym prawdy aniżeli kpiny.

Inez nieustannie pokutowała za grzechy - własne, swojej rodziny i świata. Początkowo Luis usiłował chodzić z nią do kościoła i siedział z nią na modlitwie, lecz nawet jeśli jej ziemskie ciało siedziało tuż obok niego, jej dusza przebywała w zupełnie innym świecie. Ich młodsza córka była już u Boga. Jego żona modliła się najwyraźniej o dzień, w którym będzie się mogła z nią połączyć.

Gdy tylko Castellanowie i Livingstonowie skończyli świąteczny obiad, Inez wstała od stołu i zaczęła pospiesznie wkładać na siebie szalik i palto. Nie mogła się przecież spóźnić na nieszpory i błogosławieństwo.

- Pozwól, że pójde z tobą - nalegała Estelle.

- Nie, proszę, nie czuj się zobowiązana.

- Ależ ja nie mam nic przeciwko temu. Chór jest taki śliczny, a poza tym lubię słuchać łaciny...

Nie powiedziała jej, że łacina zawsze przypominała jej Harolda, który - szczególnie o tej porze roku - był zawsze żywo obecny w jej duszy.

- No dobrze, Estelle, ale pospieszmy się. Ojciec nie będzie zadowolony, jeśli się spóźnimy.

- Moja matka zupełnie zwariowała - orzekła Laura, gdy oboje z Barniem zajęli się sprzątnięciem naczyń ze stołu jadalni.

Warren ulotnił się na kolejną "poważną" randkę, a doktor Castellano uciekł do sanktuarium swego gabinetu.

- Czy Luis nie mógłby temu jakoś zaradzić?

- Co on ma z nią zrobić, Barney? Zastosować na niej elektryczne wstrząsy?

- To nie żarty, Lauro.

- Ja wcale nie żartuję. Jestem pewna, że grozi jej jakieś załamanie.

Ucichła na moment, układając talerze jeden na drugim. Nagle wybuchła: - Co się ze mną dzieje, Barney? Moja własna matka ledwo przyjmuje do wiadomości, że istnieję. Mój ojciec jest notorycznym alkoholikiem... Tak mnie to wszystko boli, że prawie zaczynam ich...

Zdawał sobie sprawę, co chciała powiedzieć w tej nie dokończonej myśli.

- Nic na to nie mogę poradzić. Wiem, że powinnam być bardziej wyrozumiała, to znaczy z profesjonalnego punktu widzenia...

- Tak, ale w tym cały problem, Castellano. Nigdy nie będziesz mogła podchodzić do rodziny profesjonalnie. Nawet jeśli zostałabyś kiedyś dziekanem Szkoły Medycznej, tutaj zawsze będą traktować cię jak nastolatkę.

- Wiem - przyznała ze smutkiem. - Co gorsza, to rzeczywiście sprawia, że faktycznie czuję się tutaj jak nastolatka. Szczerze mówiąc, odkąd widuję cię ciągle w Bostonie, nie mam już po co przyjeżdżać do domu.

Następnego ranka Barney odwoził siedzącą w milczeniu Laurę na lotnisko LaGuardia sędziwym studebakerem Castellano. W końcu odezwał się: - Uśmiechnij się, na miłość boską, Castellano. Za niecałe dwie godziny będziesz w Bostonie i - jak to zgrabnie powiedział poeta Milton - w "niebiańskich" ramionach swego ukochanego. Czemu, u diabła, nie szalejesz z radości?

Przez chwilę nic nie odpowiedziała. A potem, tuż przed zjazdem z Grand Central Parkway na lotnisko, rzekła wstrzymując łzy:

- No popatrz tylko. Dwoje rodziców do niczego. Jedno upiło się Bogiem, a drugie C₂H₅OH.

Barney również nie wracał do Brooklynu. Przejechał przez most Triborough, a potem skierował się trasą Jerzego Waszyngtona na Jersey Turnpike, zaczynając w ten sposób swą długą podróż w stronę Pittsburgha w Pensylwanii, gdzie następnego ranka Hank Dwyer i Cheryl De Sanctis mieli połączyć się w świętym związku małżeńskim.

Msza weselna odbyła się w kościele parafialnym Świętego Antoniego, w samym przemysłowym centrum Ameryki. Krewni po obu stronach kaplicy byli albo górnikami, albo hutnikami.

Potrawy na przyjęciu w miejscowej restauracji Rycerze Kolumba obejmowały tak różne przysmaki, jak mozarella w carozza i lasagne verde, nie mówiąc już o indyku, szynce i irlandzkiej duszonej baraninie z kartoflami, przygotowanej specjalnie dla rodziny Hanka. Metrowej wysokości tort ślubny miał na wierzchu tradycyjne figurki pana i panny młodej, z tą jednak subtelną różnicą, że maleńka replika Dwycera ubrana była również na biało i jak przystało na lekarza, miała miniaturowy stetoskop z marcepanu zawieszony na szyi.

Najbardziej smakowitymi kąskami były jednak druhny - siostra Cheryl i jej trzy przyjaciółki - wszystkie równie zmysłowe jak panna młoda. Hormony Barniego przypomniały mu nagle, że od ubiegłego lata żył w całkowitym celibacie.

Zdecydował wobec tego, że wypróbuje swój osobisty urok na najładniejszej z nich, Glorii, o znanym skądinąd nazwisku Cellini.

- Jesteś może krewną Benvenuto? - zapytał, patrząc, czy pochlebstwa mu się opląca.

- Owszem, jest jednym z moich kuzynów w Chicago.

Barniego urzekły jej głębokie, brązowe oczy, zęby koloru kości słoniowej i obiecujące zagłębienie pomiędzy dwiema marmurowymi kulami leżącymi poniżej. Przez chwilę miał wrażenie, że przejdzie do historii medycyny jako pierwszy mężczyzna, który umarł na skutek nie odwzajemnionego pożądania.

Pięciosobowa orkiestra zaczęła grać *Zabierz mnie na księżyc*, lecz Barney już tam był.

- Czy ty też jesteś lekarzem? - spytała Gloria.

- Jeśli robi to na tobie wrażenie, Glorio, to tak. Jeśli nie, to dla ciebie mogę być prawnikiem, indiańskim wodzem lub kimkolwiek zechcesz.

Zachichotała: - Śmieszny jesteś.

- Czy chciałabyś zatańczyć!

- Wspaniale - odpowiedziała i podając mu rękę, zaprowadziła na zatłoczony parkiet.

Napełnij moje serce pieśnią i pozwól śpiewać już zawsze.

Jesteś wszystkim, za czym tęsknię, wszystkim, co czczę i wielbię.

Innymi słowy...

Po dwóch tańcach Barney wyszedł Dwadera zmierzającego w stronę kibla. Powiedział Glorii, że musi odwiedzić jednego ze swoich pacjentów i zabronił jej tańczyć z kimkolwiek, aż do swego powrotu.

Hank był jedyną osobą w męskiej toalecie. Przyczesał sobie włosy beztłuszczowym i nie pozostawiającym plam Vitalisem. Zobaczył w lustrze wchodzącego właśnie Barniego i przywitał go radośnie:

- Hej, Livingston! I co ty na to? Jestem żonaty!

- Świetnie się prezentowałeś. Słuchaj, znasz może Glorię?

- Cellini? Ładna, co?

- To za mało powiedziane. Hank, nie znam Pittsburgha ani tutejszych zwyczajów i etosu, no wiesz, o co mi chodzi?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym gadasz.

- Chciałbym wiedzieć, czy mógłbym jakoś zaciągnąć tę dziewczynę do łóżka?

- Oczywiście - odpowiedział Hank, uśmiechając się anielsko. - To bardzo proste.

- Proste? Jezu, co mam zrobić?

Hank zakończył poprawianie swojej fryzury, schował grzebień do wewnętrznej kieszeni marynarki i wychodząc, powiedział beztrąsko: - Po prostu ożeń się z nią.

Barney wrócił do Brooklynu głodny i zmarznięty.

W sylwestrowy wieczór Palmer Talbot został porażony piorunem. Na zabawie w Klubie Łowieckim podziw bostońskiej arystokracji dla jego wysokiej i oszalałająco pięknej dziewczyny był oczywisty. Czuł ich spojrzenia, kiedy wirował z nią po sali w rytm łagodnych tonów orkiestry Lestera Lanina. Nawet on nigdy jeszcze nie widział Laury tak pięknej ani też - musiał przyznać - tak zamyślonej.

Było to tak ważne wydarzenie w kalendarzu bostońskiego towarzystwa, że jego starsza siostra Lavinia przyleciała z Londynu z mężem, wicehrabią Robertem Aldgate'em i ich nowo narodzonym synkiem, wielmożnym Tarquinem Aldgate'em, który obrzygał całym swym popołudniowym posiłkiem wiecznie uśmiechniętą starszą stewardesę BOAC.

Towarzystwo biesiadowało beztrąsko, aż zbliżyła się magiczna godzina. Na pięć minut przed dwunastą napełniono kieliszki Dom Perignon i zaproponowano Lordowi Aldgate'owi, aby wzniósł toast.

- Na cześć matki i ojca - z życzeniami zdrowia i szczęścia. Za zdrowie i szczęście Lavinii i Tarquina. A jeśli chodzi o Palmera i Laurę - no cóż, za ich zdrowie i szczęście oraz rychle małżeństwo!

Palmer rozpromienił się, kiedy zobaczył, że sześć kryształowych kieliszków zderzyło się ponad stołem. Spoglądając znacząco na Laurę, powiedział: - Piję właśnie za to.

Laura niespodziewanie odparła: - Ja również.

Palmer był tak uniesiony, że nie potrafił nawet o tym rozmawiać. Dopiero następnego dnia po południu, odwożąc Laurę do Szkoły

Medycznej, zapytał: - Lauro, czy to prawda, co powiedziałaś wczoraj w nocy?

Popatrzyła na niego i odparła: - Być może.

Jednakże gdy tylko znalazła się pod bezpiecznym dachem Vanderbilt Hall, zapytała samą siebie: - Powiedziałam to, ale nie jestem pewna, czy mówiłam prawdę. Dlaczego więc, u diabła, to zrobiłam?

Rozdział XV

- Mam raka - stwierdził spokojnie Lance Mortimer.

- Co takiego?

- Mam więcej nowotworów aniżeli wy wszyscy.

Dopiero po paru sekundach Barney zorientował się, że Lance miał na myśli preparaty patologiczne z nowotworami innych ludzi.

- To wspaniale, Lance - odpowiedział. - Rozumiem też, że jak zwykle masz duplikaty, żeby się nimi podzielić z kolegami.

- Naturalnie, jak również syfilisem i rzeżączką. Znosi się na wspaniały semestr.

Przez cały jesienny semestr studenci narzekali na program nauki - na to, że na zajęciach z anatomii zajmują się wyłącznie martwymi ciałami, na bezduszne wkuwanie chemicznych wzorów, na całkowity brak czegokolwiek, co choćby w najmniejszym stopniu związane było z chorobą.

Nowy semestr miał to wszystko odmienić, choć sytuacja nie uległa zmianie w takim stopniu, aby pozwalała skonfrontować ich z prawdziwym, żywym pacjentem.

Patologia, od greckiego słowa *pathos*, oznaczającego cierpienie, jest częścią histologii związaną z procesami chorobowymi. W ubiegłym semestrze studiowali mikroskopowe preparaty zdrowych tkanek. Obecnie mieli zajmować się tymi samymi tkankami, jednakże wykazującymi zmiany chorobowe. Inaczej mówiąc, pomiędzy histologią a patologią występuje ta sama relacja, co między mahoniem a gnijącym drewnem lub między ogórkami a piklami oraz mlekiem i jogurtem.

Tak oto przemawiał Brendan Boyd, profesor patologii, uważany za jednego z najdynamiczniejszych wykładowców w całej szkole. Któryś ze studentów powiedział o nim, że jest nawet w stanie "ożywić samą śmierć".

- Egipcjanie - tłumaczył dalej Boyd, ustawiając swój przedmiot w historycznej perspektywie - uprawiali tę naukę już prawie cztery tysiące lat temu. Dochowały się do naszych czasów ich zapisy różnych urazów, nowotworów i zakażeń. W tym sensie Hipokrates nie był wcale pierwszy i można mu przypisać jedynie stworzenie uporządkowanej metody systematyzacji chorób. Wielki Galen, osobisty lekarz rzymskiego cesarza Marka Aureliusza, wiedział, że obecność ropy w moczu jest oznaką zapalenia pęcherza i nerek. Był on również odkrywcą przyczyn powstawania wielu różnych złośliwych guzów. My, patolodzy, całkiem słusznie zasłużyliśmy sobie

na opinię nieomal absolutnej nieomyślności. Nasi koledzy na oddziałach mogą się czasem pomylić w rozpoznaniu choroby, jednakże autopsja zawsze przynosi właściwą odpowiedź. Innymi słowy, może nie zawsze będziemy umieli wyleczyć naszych pacjentów, ale przynajmniej będziemy w stanie powiedzieć im, na co umarli. Studenci roześmiali się z uznaniem.

- Mówiłem ci - szepnął Lance do Barniego. - On naprawdę jest dobry.

- Ma raczej chorobliwy humor.

- No wiesz, jest w końcu patologiem.

- We wczesnym okresie medycyny - ciągnął dalej Boyd - uważano, że choroby zsyłane były na ludzi przez złe duchy i jako takie były niewidoczne dla oka. Jednakże pod koniec XVIII wieku, dzięki innowacjom wprowadzonym w mikroskopie przez Van Leeuwenhoekę, okazało się, że duchy te poruszały się i posiadały określony kształt i wielkość. Z czasem nazwano je bakteriami - od grecko-rzymskiego słowa oznaczającego laskę, albo wirusami - od łacińskiego słowa oznaczającego truciznę, czy też po prostu mikroorganizmami.

Jednym z pierwszych współczesnych rycerzy, którzy rzucili wyzwanie tym niewidzialnym smokom, równie niewidzialnymi mieczami, był Louis Pasteur. Jego liczne zwycięstwa obejmują szczepionkę kontrolującą wąglik bydłęcy, szczepionkę przeciwko wściekliznie u ludzi, nie mówiąc już o opracowaniu procesu sterylizacji mleka. Francuzi, których zamiłowanie do alkoholu nobilitowało niejako marskość wątroby, nie mogli uwierzyć, że fermentacja wina i piwa powodowana była przez niewinne, mikroskopijnej wielkości komórki drożdży. Widzimy zatem, że drobnoustroje mogą czasem służyć ludzkości.

W każdym razie wytyczone zostały linie walki. Wrogiem były mikroby - pomysłowe, podstępne, bezwzględne i zdolne do niezliczonych przeobrażeń. Pozytywnymi bohaterami byli naukowcy. Z wierzchowców białych niczym leukocyty obserwowali za pomocą mikroskopowych oczu ten rzekomo niewidoczny świat, poszukując śladów wroga. Tylko Homer - i może jeszcze *Oksfordzki podręcznik medycyny* - mógłby godnie oddać sprawiedliwość licznym bohaterom tej nigdy nie kończącej się walki.

Moglibyśmy tu na przykład śpiewać na cześć Sir Josepha Listera, Anglika, który inspirowany osiągnięciami Pasteura, zwrócił uwagę na to, co dzisiaj wszystkim wydaje się oczywiste - a mianowicie, że sale operacyjne powinny być wolne od wszelkich drobnoustrojów. Jego wielkie osiągnięcie zostało uwiecznione o wiele

skromniej niż odkrycia Pasteura. Nazwa produktu dobrze znanego cierpiącym na oddech uniemożliwiający całowanie - listeryna - pochodzi właśnie od jego nazwiska.

I w żadnej z antyseptycznych pieśni nie można zapomnieć o pannie Florence Nightingale, która niemal w pojedynkę zmusiła armię i ludność cywilną do bardziej sanitarnej egzystencji.

Wreszcie pozostaje nam magiczna kula Ehrlicha, wycelowana w syfilis. Nie pytajcie więc, komu dzwonił Nobel, w 1908 roku bowiem zadzwonił on właśnie jemu.

Profesor zniżył głos i zmienił styl: - I miejmy nadzieję, że zadzwoni on również dla kogoś na tej sali. Moje pokolenie było świadkiem zwycięstwa Jonasza Salka nad polio, więc ktoś z was wyeliminuje inną plagę ludzkości.

Było to credo Harwardzkiej Szkoły Medycznej - w tym właśnie celu zostali do niej przyjęci.

Popularna, choć trochę brutalna prawda mówi, że wykształcenie lekarskie obejmuje grzebanie się w ogromnej ilości gówna. Studenci pierwszego roku przekonali się w drugim semestrze, że ich profesjonalna inicjacja wymagała zajmowania się ludzkimi odchodami. Co gorsza, okazało się, że miały to być ich własne.

Zadaniem bakteriologii jest zaznajomienie studenta z niezliczoną liczbą różnorodnych mikroorganizmów zamieszkujących jego ciało, przede wszystkim w odchodach i ślinie. Profesor uprzedził ich, że nawet gdyby dziesięć razy dziennie czyścili zęby pastą Colgate, , każdy z nich i tak będzie miał w ustach blisko sto bilionów dowodzących tam bakterii.

Pierwszym zadaniem ćwiczeń laboratoryjnych miała być bakteriologiczna analiza ludzkich odchodów. Podzielono ich na pary partnerów i każdy z nich musiał na przemian dostarczać próbki. Dla zachowania pełnej demokracji pary te wybierano według alfabetu. Barney oczekiwał, że będzie wykonywał to nieprzyjemne zadanie ze swoim dobrym przyjacielem Bennettem, gdyż "Landsmann Bennett" i "Livingston Barney" sąsiadowali na spisie rocznika. Przez chwilę zapomniał jednak, że "Lazarus Seth" mógł znaleźć się między nimi.

Barney znał Seta jedynie z widzenia. Był chudy, przygarbiony, nosił okulary i miał jasne, zaniedbane włosy. Na każdym wykładzie siedział w pierwszym rzędzie i zapelniał kartkę po kartce gorączkowym pismem. Nigdy jednak nie wyciągał ręki i nie zadawał pytań - ani w trakcie ćwiczeń, ani po zajęciach.

Kiedy stanęli naprzeciw siebie przy laboratoryjnym stole, Barney zobaczył, że Seth był jeszcze niższy i drobniejszy, niż myślał. Budowa jego ciała przypominała Barniemu słynną reklamę Charlesa Atlasa w jednej z komicznych książek z czasów własnej młodości. Seth mógł udawać czterdziestoczterokilogramowego cherlaka, któremu zawsze jakaś świnia na plaży sypała piaskiem w twarz.

To on zaproponował nieśmiało, że pierwszy dostarczy próbki i gdyby Barney się brzydził, to nawet był gotów sam przygotować preparaty.

- Ależ nie, nie! - odpowiedział Barney pospiesznie. - Ja zrobię połowę, a ty resztę, Seth.

Drobny jego partner skinął głową i zabrali się do pracy. Po upływie zaledwie paru minut wszelka odraza minęła, tym bardziej że barwniki, które stosowali, zmieniały materiał doświadczalny w zupełnie nowe substancje. Barney zamoczył wacik w roztworze Thayer-Martina, aby zobaczyć, czy wyrośnie w nim organizm przyczynowy jednej z najbardziej paskudnych chorób wenerycznych, a potem zaczął przygotowywać preparaty, które miały ujawnić paciorkowce jelitowe, dobrotliwe i niebezpieczne.

Przez całe popołudnie pracowali w milczeniu. Przed piątą ukończyli preparaty. Odłożyli parę płytek Petriego do przyszłych porównań oraz ze względu na zapach. Asystent laboratoryjny ostrzegł ich bowiem, że niektóre z tych kultur po wyrośnięciu zaczynają cuchnąć do tego stopnia, że nawet jemu robi się niedobrze.

Kiedy zmywali pozostałości swej pracy, Seth zauważył: - Wiesz, w naszych ustach jest więcej zarazków niż gwiazd w całym wszechświecie. Czyż to nie cudowne?

- Owszem, ale pod warunkiem, że nie każą nam nauczyć się ich na pamięć - odpowiedział Barney pół żartem.

Sądząc jednak po materiale, jaki został im zadany do czytania, wyglądało na to, że takie właśnie były ich zamiary.

Musieli orientować się, które gramujemne pałeczki zamieszkują normalnie jelita i które gramodatnie ziarniaki są najczęściej spotykane w płwocinie; które bakterie rosną w grupach, a które we włóknach, które z nich wykazują indywidualne wzory na agarze, a które roją się na szkiełku, i jakie mikroorganizmy wymagają beztlenowych warunków.

Nie da się tego uniknąć - pomyślał Barney. Z góry wiedzieli, jak będzie wyglądał końcowy egzamin. Dostaną tajemniczą płytkę, którą będą musieli zidentyfikować. Boże, co za kolosalna strata czasu! Czy ktokolwiek, włącznie z

asystentem, zachowuje to wszystko w głowie po ukończeniu kursu? Przecież to jak wkuwanie książki telefonicznej z Manhattanu na pamięć przy pełnej świadomości tego, że informacja telefoniczna funkcjonuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ktoś zapukał do niego o północy, kiedy jeszcze się uczył. Nie miał nastroju na stosowanie bezpłatnej terapii dla przygnębionych. Zresztą sam by z niej teraz chętnie skorzystał. Zawołał więc:

- Livingstona tu nie ma! Wywieźli go do domu wariatów!

Nie przekonało to trójki przybyszów, którzy mimo to weszli do jego nory, będącej w stanie totalnego "nowotworowego" bezładu. Brudne skarpetki leżały zmięte przy Anatomii Graya, a na sfatygowanym tomie poezji Emily Dickinson znajdowały się porozrzucane preparaty mikroskopowe.

Żaden z trzech mędrców, wyróżniających się wzrostem, nie był mu znany, poza być może jednym rudzielcem, którego przypominał sobie skądś niejasno.

Ich przywódca, ubrany w biały kitel ze stetoskopem na szyi, przedstawił mu się jako Elsas Skip z trzeciego roku i od razu przystąpił do sedna sprawy.

- Livingston, potrzebujemy twojej pomocy.

Barney, oszołomiony brakiem snu, zdołał tylko wymamrotać:

- Nie rozumiem. Czy to ma coś wspólnego ze szkołą?

- Poniekąd - zaczął Skip. - Powiedzmy, że to, z czym do ciebie przychodzimy, ma zarówno charakter epicentryczny, jak i styczny.

- Z naukowego punktu widzenia to nie ma sensu - stwierdził Barney, jeszcze bardziej zdezorientowany.

- Czy możemy usiąść? - zapytał grzecznie Skip. Cała trójka usiadła, nie czekając na odpowiedź gospodarza.

- No więc, chodzi o to, Livingston - ciągnął Skip - że co roku odbywa się tu przyjacielski mecz koszykarski pomiędzy Harwardzką Szkołą Medyczną i Harwardzką Szkołą Prawniczą.

- Tak tylko dla hecy - wtrącił dla informacji rudowłosa.

- I może paru pokątnych zakładów - dodał Skip. - Od lat nazywają go tu Pucharem Nadużyć, co powinno dać ci pewne pojęcie o tym, na czym on polega. Czy jesteś zainteresowany?

- Zainteresowany - owszem. Wolny - nie. Mam tyle nauki, że w trakcie następnych trzech miesięcy poważnie zamierzam zastanowić się nad rezygnacją ze snu i jedzenia.

- Sadzę, że nic z tego nie zrozumiałeś - ciągnął dalej Skip z trochę większym naciskiem. - Dziekani traktują to spotkanie bardzo poważnie. Nie wydaje mi się, aby potraktowali pobłażliwie nadgorliwych dezertów z przekonania.

- Gadacie tak, jakby to była jakaś wojna.

- Bo to prawda, Livingston. To jest wojna. To Armagedon pomiędzy dwiema profesjami. I nikt, kogo wezwano do walki dla sprawy, nie ośmielił się jeszcze odmówić.

- Tak naprawdę to byłoby samobójstwo - wtrącił drugi przybysz o podobnych do Barniego czarnych, kręconych włosach. - Wątpię, czy taki facet miałby jakiegokolwiek szansę, a w każdym razie nie większe niż kula śniegowa w piekle, gdyby dziekani dowiedzieli się kiedyś, że się od tego wykręcił. I co na to powiesz, Livingston?

- Że jestem tylko przeciętnym koszykarzem. Jeśli szukacie kogoś z klasą, to czemu nie zapytacie Bena Landsmanna. On grał kiedyś profesjonalnie dla Fiata Turyn.

- Wiemy o tym - odpowiedział Skip tonem Bogarta. - Już z nim rozmawialiśmy.

- No i? - zapytał Barney.

- Niezdecydowany - wyjaśnił rudzielec. - Mówi, że zagra, ale tylko razem z tobą.

- Słuchajcie! - przerwał Skip, przejmując kontrolę. - Ben ma o wiele większy pokój. Chodźmy do niego i tam obgadajmy całą sprawę.

Barney zaczerpnął powietrza i powstał.

- On wcale nie jest taki wysoki - nie mógł powstrzymać się od uwagi kędzierzawy.

- Nie panikuj! - odpowiedział rudzielec. - Na boisku ma się wrażenie, że to George Mikan.

To pochlebające porównanie do legendarnego obrońcy Minneapolis Lakers pobudziło wydzielanie adrenaliny w ciele Barniego. Zanim wyszedł za nimi z pokoju, złapał za sweter z emblematem kolumbijskiej Varsity i zarzucił go sobie na ramiona. W tej sytuacji zdawało się to najwłaściwszym posunięciem.

W dziesięć minut później wszyscy siedzieli na wyłożonej dywanem podłodze w pokoju Bennetta, przeglądając różne strategiczne dokumenty.

- Cały problem z tą cholerną Szkołą Prawniczą polega na tym - wyjaśniał Skip - że oni przyjmują do swojej drużyny zwierzęta. Swojego czasu mieli u siebie dwóch goryli, co grali kiedyś profesjonalnie.

A potem zwracając się do Bennetta, dodał: - I nie w jakichś tam makaroniarskich ligach, ale w Narodowym Związku Koszykarskim. Teraz mają w swoich szeregach Macka Wilkinsona, zwanego "Ciężarówą".

- Czy to ten centralny zawodnik New York Knicks? - zapytali nieomal równocześnie jednakowo zaskoczeni Bennett i Barney.

Na co Skip odpowiedział ponuro: - No właśnie. W całej swej dwumetrowej okazałości.

- Z drugiej jednak strony - zauważył Barney, próbując podtrzymać swoją drużynę na duchu - ten facet to już emeryt. Jest stary. Mack musi mieć już co najmniej jakieś trzydzieści dwa albo trzydzieści trzy lata.

- W rzeczywistości ma trzydzieści pięć - sprostował kędzierzawy. - Rusza się jak melasa.

- Wolniej - powiedział Skip. - Ten facet w ogóle nie może chodzić.

Przerwał na chwilę i dodał: - Wysłałem szpiegów na salę gimnastyczną Szkoły Prawniczej, żeby go sprawdzić. On tam teraz zasłania sobą tylko dziurkę od klucza.

- Daj spokój - powiedział Barney. - To przecież nielegalne.

- Powiedz to tym z prawa - odparł Skip. - Oni mają własną definicję tego co fair, a co nie.

Na co kędzierzawy dodał: - Ci prawnicy to najbardziej plugawi gracze, jakich kiedykolwiek widziałem. I drzę na samą myśl o tym, co oni zrobią w tym roku z Jolly Green Giant. Prawda, Livingston?

Barney wciągnął się w to po uszy: - Słuchajcie, jeśli on się faktycznie nie rusza, to będziemy mu po prostu schodzić z drogi. Możemy prowadzić nasze rozgrywki po bokach.

- Czy sądzisz, że dasz radę przez sześćdziesiąt minut uniknąć spotkania z "Ciężarówą" Maćkiem? - zapytał z niedowierzaniem Skip.

Barney pokiwał głową. - O mojej karierze powiedzieć można tylko jedno: zawsze byłem przeciwieństwem króla Leara - zazwyczaj grzeszyłem o wiele więcej, aniżeli grzeszono przeciwko mnie.

Bennett popatrzył na przyjaciela z pobłażliwym uśmiechem.

- Przypomnę ci o tym, jak będziesz leżał w Brigham z przetrąconym krzyżem, Barney.

A potem zwrócił się do Skipa: - Czy jest nas tylko pięciu?

- Mamy jeszcze trzy czy cztery możliwości - odpowiedział Skip. - Ale nasza największa nadzieja leży w starszym stażycie na chirurgii w Szpitalu Ogólnym Massachusetts. Gdyby on zaczął grać poniżej pasa, to moglibyśmy być odpowiedzialni za parę śmiertelnych wypadków. W każdym razie będzie nas przynajmniej siedmiu lub ośmiu, lecz nasze rzeczywiste szansę na odbicie tego pucharu znajdują się w tym pokoju. Powiedzmy więc, że zaczynamy treningi na sali Vanderbilta od jutra, o północy.

- O północy? - skrzywił się Barney.

- To jedyna pora, o której wszyscy możemy się urwać. Czy ktoś chciałby jeszcze coś powiedzieć?

Rozpalony sportowym duchem Barney udzielił wszystkim błogosławieństwa. - Bracia lekarze, pozwólcie, że przypomnę wam słowa nieśmiertelnego Szekspira, pochodzące z *Henryka IV*, z części II: "Wytłuczmy wszystkich prawników!"

Nocnych biegaczy na alei Louisa Pasteura przeraził w tym momencie ryk kilku krzepkich głosów, dochodzący z okna trzeciego piętra Vanderbilt Hall: - Wytłuc prawników!

Najprawdopodobniej koledzy z medycyny eksperymentowali z LSD.

Laura reagowała na bardziej nieprzyjemne aspekty zajęć w Szkole Medycznej w różny sposób. Do zajęć w psim laboratorium podchodziła beznadziejnie emocjonalnie. Dla kontrastu na patologii, w trakcie której stykała się bezpośrednio z najbardziej obrzydliwymi chorobami i smrodliwymi substancjami, była dziwnie nieporuszona. Przypominała sobie nieustannie, że zajęcia te potrważą zaledwie kilka miesięcy i w sumie wszystkie te nieprzyjemności zajmą zaledwie kilkadziesiąt godzin.

W przeciwieństwie do jej ojca, który bezpośrednio po przyjeździe do Ameryki zmuszony był prawie przez pięć lat męczyć się w tej ogłupiającej i niewdzięcznej pracy, zanim zezwolono mu w końcu na wykonywanie zawodu.

Kaprys alfabetyczny sprawił, że Laura i Greta pracowały na patologii przy sąsiednich stołach z męskimi partnerami, których spotkały po raz pierwszy.

Pewnego dnia Bruce, pracowity asystent, podszedł do nich, niosąc w rękach prostokątny plastikowy pojemnik, podobny do tych, w których sprzedaje się lody w sklepach.

- Mam dla was wspianiałą niespodziankę - ogłosił beztrosko. - Pierwsza świeża próbka, prosto z sali operacyjnej w Brigham. Przyniesiona zaledwie przed godziną.

- Co to jest? - zapytała Laura ze znużeniem.

- Nic się nie bój, Lauro, nie trzeba być profesorem, żeby to rozpoznać.

Położył pudełko na stole. Dziewczęta podeszły do niego, kiedy ściągnął pokrywkę.

Znajdowała się w nim kobieca pierś, usunięta najwyraźniej białej osobie. Sutek był trochę odbarwiony, lecz nadal rozpoznawalny, koronując patetyczny worek żółtych kulek.

- No więc? - zapytał asystent, uśmiechając się złośliwie. - Czy nie zasłużyłem sobie na waszą wieczystą wdzięczność? W trakcie swojej klinicznej praktyki na pewno spotkacie się kiedyś z rakiem cycka. Uff! Widzieliście ten nowotwór, co?

- Owszem, widzieliśmy - mruknął partner Laury, atletyczny typ o nazwisku Sheldon Burns, którego - jako że był żonaty - zaniepokoiła myśl, że może się to przytrafić jego własnej żonie.

Laura poklepała Gretę po ramieniu z największą swobodą, na jaką mogła się zdobyć. - Widzisz go, Andersen, co? Wydaje się taki mały jak okruch żwiru. To właśnie ten nowotwór, prawda, Bruce?

- Brawo, Lauro! To faktycznie wstrętny okaz.

Całkiem podobny do ciebie, Bruce - pomyślała sobie w duszy Laura.

- No więc - odezwał się asystent, udając zniecierpliwienie.

- Czy któraś z was zamierza to brać, czy też mam zaproponować tę ceną próbkę rywalizującym zespołom?

Laboratoryjni partnerzy spojrzeli na siebie. Od razu było jasne dla wszystkich, że Greta nie była w stanie sprostać temu zadaniu. Zanim Laura zdołała zebrać w sobie odwagę, aby sięgnąć po pudełko, Sheldon pochylił się przed nią i zebrał w obie dłonie galaretkową tkanę.

- Biedna kobieta - pomyślała na głos Greta.

- Daj spokój, Greto - strofował ją asystent. - Musimy zachować kliniczny dystans do takich rzeczy.

- Masz rację, Bruce - odparła z sarkazmem w głosie Laura.

- I właśnie dlatego na następne święta Bożego Narodzenia podarujemy ci zraczałe jądra.

Asystent wycofał się pospiesznie.

- Co mamy z tym teraz zrobić? - zapytał nerwowo Sheldon.

- Zobaczymy, czy uda nam się spreparować część tego nowotworu na szkiełku - powiedziała Laura, siląc się na spokój.

Sheldon skinął głową i położył materiał doświadczalny na tacy.

- To przerażające - powiedział szczerze.

- Tak - przyznała Laura. - Ciekawa jestem, co się wtedy czuje?

- Ta kobieta na pewno niczego nie poczuła pod znieczuleniem.

- Tak - odpowiedziała zamyślona Laura - ale ciekawa jestem, jak się czuł ten doktor, który to wycinał.

Na koniec Skip Elsas zdołał zwerbować w sumie ośmiu gladiatorów, chętnych do stawienia czoła Maćkowi "Ciężarówie" i jego drużynie. Na ogół studenci medycyny, którzy raz zmierzyli się z prawnikami, rzadko grali z nimi ponownie.

Owego wielkiego wieczoru zjedli posiłek w hotelu Howard Johnson przy Memoriał Drive - mały stek, pieczone kartofle i lody polewane gorącym karmelem. Barney zdziwił się i jednocześnie nabrał otuchy, kiedy Skip ogłosił, że ich posiłek został ufundowany przez biuro dziekana.

- A więc zależy im trochę na nas - stwierdził Bennett.

- Traktują to jak walkę na śmierć i życie. Słyszałem ze źródeł nieoficjalnych, że Holmes zakłada się co roku z dziekanem Szkoły Prawniczej o tysiąc patyków.

- O Jezu! - jęknął jeden z atletów. - To znaczy, że zabije nas, jeśli przegramy. <

- Powiedzmy raczej, że jeśli nie wygramy, to możemy posłużyć przyszłym studentom pierwszego roku za zwłoki - odpowiedział Skip poważnie.

Sala gimnastyczna Hemenwaya była zapchana po brzegi. Widzami byli głównie prawnicy ze swoimi dziewczynami, gdyż Szkoła Medyczna była daleko w Bostonie, za rzeką.

Drużyna doktorów wkroczyła na boisko przy fali gwizdów i okrzyków. Przyzwyczajeni jednak do zachowywania klinicznie zimnej krwi, zdyscyplinowanie zaczęli rozgrzewkę. Barney zauważył w trakcie rozluźniających ćwiczeń, że na centralnych miejscach z przodu widowni siedział nie tylko sam dziekan Holmes, lecz również wszystkie szare eminencje z całej Szkoły Medycznej. A, do diabła! - powiedział sobie w duchu. Niejeden raz grałem już pod presją. Nie boję się tych starych przyków. Cieszę się jednak, że udało mi się przekonać Castellano, by została w domu i się uczyła.

I zaczęło się.

Był tak gigantycznych rozmiarów, że wydawało się, że jego olbrzymia postać przesłania górne światła. "Ciężarowa" Mack Wilkinson, z całym swoimi stu siedemdziesięcioma czterema kilogramami żywej wagi był kolosem, w porównaniu z którym rzeźby w świątyni Luksor robiły wrażenie miniatur. Wtoczył się na boisko, trzymając piłkę, która w jego masywnej łapie wyglądała jak winogrono.

- O Chryste! - szepnął Barney do Bennetta. - Ten facet jest po prostu klinicznie otyły.

- Chciałbyś może powiedzieć mu to osobiście? - uśmiechnął się Bennett.

- Kto wie, może to zrobię - odpowiedział Barney. - Ale dopiero po meczu. Jak będę miał szansę ucieczki.

Plan gry lekarzy był prosty. Założywszy, że prawnicy nie byli w formie - Wilkinson był tu najlepszym, lecz bynajmniej nie jedynym przykładem - zamierzali w czasie gry postawić na biegi, aby potem, w drugiej połowie meczu, wykorzystać nieuchronne zmęczenie przeciwnika.

Podporządkowali temu planowi całą grę, i to do tego stopnia, że przy początkowym wysokoku Skip Elsas nie próbował nawet odebrać piłki, lecz pozwolił Wilkinsonowi odrzucić ją do kolegi. Ku ogromnej uldze medyków, kiedy zadzwonił dzwonek, prawnicy prowadzili zaledwie o sześć punktów.

W szatni Skip zwrócił się do swojej drużyny, okazując im profesjonalną troskę:
- Wypijcie sporo płynu, chłopcy. Gorąco tutaj jak w piekle. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ci prawnicy celowo nie podnieśli temperatury. Szkoda, że nie przynieśliśmy tu jakichś pigułek z solą.

- Ja mam dla was tabletki - odezwał się znajomy głos po drugiej stronie rzędu szafek. Był to dziekan Holmes ze swoją czarną torbą. Po chwili gracze łykali miksturę, która miała nie tylko wyrównać poziom utraconej przez nich soli, lecz także elektrolitów.

- No i jak wam tam idzie, chłopcy? - zapytał z ojcowską troskliwością.

- Grają absolutnie poniżej pasa, panie dziekanie - odpowiedział Barney. Dziekan nie zdawał sobie nawet sprawy, że była to opinia eksperta. >

- Zauważyłem to, Livingston - odpowiedział dziekan. - Wydaje mi się nawet, że w tym roku są jeszcze gorsi niż zwykle.

- No właśnie - dodał Barney. - Chowają się za tym Wilkinsonem, jakby był wielką sekwoją.

- Ale dzięki temu jest równie nieruchawy - zauważył Holmes i zwrócił się do przywódcy drużyny: - Skip, czy nie możecie jakoś wykorzystać tego jego bezruchu?

- Owszem, panie dziekanie. Zostawiliśmy sobie pewne szybkie zagrania na drugą połowę.

- To dobrze - powiedział dziekan, kiwając z uznaniem głową. - Róbcie więc, jak uważacie.

Od początku drugiej połowy meczu oczywiste było to, że obie strony miały już dosyć. Zwycięstwo należało zatem nie tyle do najszybszych, ile do tych, którzy byli w najlepszej formie. W miarę nużąco powolnego upływu minut mecz koszykówki zamienił się w swoistego rodzaju morderczy amerykański football bez ochraniaczy.

Barney, który nigdy nie wahał się nurkować przed siebie na oślep po piłkę, został kilkakrotnie zmiażdżony kupą zawodników, którzy wskoczyli mu na plecy. Nic zatem dziwnego, że miał obolałe żebra i zdartą z kolan skórę.

W połowie ostatniego kwadransu, przy remisowej punktacji 56:56, lekarzom pozostało dokładnie pięciu zawodników. Świeży dopływ adrenaliny pozwolił im jednak przyspieszyć grę.

Przy akompaniamencie wrzasków zelektryzowanego tłumu zaczęli powoli wysuwać się naprzód. Najpierw prowadzili o dwa punkty, potem o cztery, sześć, a wreszcie o siedem. Paliło im się w rękach. Skip Elsas złapał niecelnie rzuconą piłkę i odrzucił ją Barniemu, który był już na połowie boiska. On z kolei rzucił ją Bennettowi, który z wyjątkiem obrońcy Macka Wilkinsona, był teraz sam przy koszu prawników.

Bennett przygotowywał się do wyskoku. Wilkinson wskoczył na Bennetta. Nastąpiło zderzenie. Zwalili się na siebie. Zabrzmiał przenikliwy gwizdek sędziego. Bennett zniknął zupełnie pod górą rąk i nóg.

Nie wiadomo, dlaczego sędziowie orzekli, że Bennett sfaulował, nadużywając siły. Najpierw jednak należało odseparować od siebie splątanych na podłodze graczy. Kiedy trzech zawodników dźwignęło w końcu "Ciężarowe", ujrzeli wreszcie Bennetta, który wił się z bólu, trzymając się obiema rękami za kostkę.

- Ben, co ci się stało? - zapytał zaniepokojony Barney.

- A niech to szlag trafi! - jęknął Bennett z wykrzywioną z bólu twarzą. - Chyba coś sobie złamałem. Boli jak diabli.

- Z drogi, z drogi! - zagrzemiał czyjś władczy głos. Był to dziekan Holmes z dwoma innymi luminarzami ze Szkoły Medycznej.

- Ten człowiek nie ma tu przecież czym oddychać! - grzmiał drugi doktor.

Barney i inni zawodnicy wiali w siebie kilka kubłów zimnej wody, jeden po drugim, zastanawiając się nad swoim położeniem.

A co się stanie, jeśli Landsmann nie będzie w stanie grać dalej? Czy będą musieli poddać się walkowerem, czy też grać we czwórkę przeciwko pięciu? Jakkolwiekby na to popatrzyć, sytuacja nie była wesoła.

Martwiąc się bardziej o Bena, aniżeli o wynik meczu, Barney usiłował go zobaczyć. Jednakże eminencje ze Szkoły Medycznej całkowicie otoczyły pacjenta i jeden z młodszych dziekanów odsunął go ręką. Nawet sędzia nie wiedział, co się tam działo. Przepisowa przerwa dobiegała już wkrótce końca i musiał nalegać na podjęcie dalszej gry. Kiedy zagwizdał, krąg lekarzy rozstał się i wszyscy znowu ujrzeli Bennetta, któremu troskliwy dziekan Holmes delikatnie pomagał podnieść się na nogi. Stanął ostrożnie na prawej stopie, a potem pokuśtykał z odrobinę większą pewnością siebie. Skinął głową w kierunku sędziego na znak, że czuł się już dobrze, i uspokoił gestem Sarniego.

Doktorzy musieli po prostu przetrzymać piłkę, ażeby zamrozić wynik meczu. Byli przygotowani na taką pomyślną okoliczność i chociaż prawnicy naciskali na nich ze wszystkich stron, medykom udało się ustanowić system, który pozwalał im zabić czas i jednocześnie uniknąć dalszych śmiertelnych ofiar.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Puchar Nadużyć powrócił na swoje właściwe miejsce, to znaczy do Szkoły Medycznej.

Zazwyczaj stateczny dziekan Holmes skoczył na równe nogi i krzyczał, klaszcząc z radości. Potem opanowawszy się, wyszedł z godnością podać rękę dziekanowi Szkoły Prawniczej (a może tylko odebrać ów rzekomy zakład).

Skip i Barney pospiesznie pomogli Bennettowi wejść do samochodu i udali się na pogotowie, gdzie już ich oczekiwano. Kiedy podjeżdżali pod budynek, Bennett zaczął jęczeć i krzywić się z bólu.

- Ben, czy wszystko w porządku? - zapytał Barney.

- Nie! - syknął, zaciskając zęby - Ta cholerna nowokaina przestała działać!

- Dali ci nowokainę? - zapytał zaskoczony Barney. Bennett pokiwał głową. - I jeszcze jakiś inny zastrzyk. Nie mam pojęcia, co to było.

- No cóż - usiłował zażartować Barney. - Pomyśl tylko, czym by nas nafaszerowali, gdybyśmy przegrali.

Bennett nie uśmiechnął się.

Barniemu również nie było do śmiechu. Zastanawiał się bowiem, czy doktorzy rzeczywiście musieli wygrać za wszelką cenę?

Rozdział XVI

Przed wejściem do szpitala czekała już na nich pielęgniarka z wózkiem dla Bennetta. Porwała go bez zwykłych formalności i papierków prosto na radiologię w celu wykonania zdjęć. Zdjęcia sprawdzał sam Christopher Dowling, doktor medycyny, członek Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów i główny ortopeda szpitala. Po kilku minutach przyjechał dziekan Holmes. Patrząc, jak Dowling ostrożnie bada palcami coraz to bardziej spuchniętą stopę, dziekan Holmes odezwał się cicho do Bennetta: - Dobra robota, Landsmann. Ani się nie obejrżeli, kiedy ich powaliliście.

- Prawdę rzekłszy, panie profesorze, ja też nie bardzo wiem, co mnie zważyło z nóg. Co właściwie było w tych strzykawkach?

- Ksenokaina, która jest obecnie najlepszym środkiem znieczulającym na rynku. I - Bogu niech będą dzięki za farmakologię - ducozolidan, będący najnowszym środkiem przeciwzapalnym.

Skip i Barney przypatrywali się temu z boku w milczeniu. Słyszając te słowa, starszy student szepnął do kolegi: - Słyszałem coś o tym. Zdaje się, że próbowali to na koniach. Nie wiedziałem jednak, że to już jest na rynku.

- Naprawdę? - spytał Barney łagodnym szeptem, nie zdradzającym wzrastającego w nim oburzenia. - Jeśli to ma jakieś skutki uboczne, Dowling będzie mógł wpisać następną pozycję do swojej bibliografii.

Po wyjściu dwóch starszych lekarzy z pokoju, Skip i Barney podszli do swego rannego towarzysza.

- Jak się czujesz? - zapytał Barney.

- Już mnie tak nie boli - odparł Bennett, czując, jak mu wysychają usta. - Dali mi jakiś zastrzyk.

W tym momencie Barney nie miał nawet odwagi zapytać, jakim to znowu cudownym lekiem go leczono.

- A jaka jest ich diagnoza?

- Naderwane ścięgno Achillesa. Z tego, co słyszę, dosyć poważne. Na szczęście żadna kość nie jest złamana.

Barney znalazł się trochę na obrażeniach sportowych. To jasne, że w momencie, gdy mu dawano zastrzyk, ścięgno Bennetta nie mogło być całkiem zerwane. Najwidoczniej "podleczyli" go tylko po to, żeby potem pogorszyć jego obrażenia, które teraz prawdopodobnie wymagały operacji.

Barney nie mógł się powstrzymać od gniewnej myśli, że nawet gdyby “Ciężarówka” złamał każdą kostkę w nodze Bennetta, ci dostojni przedstawiciele współczesnej medycyny znaleźliby jakiś sposób na to, aby zmusić go do dokończenia gry.

- Hej - powiedział Bennett zmęczonym, ochrypłym głosem - idźcie już, chłopcy. A zwłaszcza ty, Livingston. Będiesz mi potrzebny do robienia notatek przez parę następnych dni. Nie będę nawet obecny przy ceremonii otwierania czaszki.

- Nie masz się o co martwić - wtrącił dziekan Holmes, zjawiając się w samą porę. - Powiem jutro tutejszemu szefowi neurologii, żeby informował cię na bieżąco, Landsmann. Nic się nie bój.

- Dasz sobie radę, Ben? - zapytał Barney, mając niejasne wyrzuty sumienia z powodu opuszczenia przyjaciela.

- Nie ma sprawy, w razie czego poproszę o telefony do jakichś ładnych pielęgniarek.

Neurolog rozłupił Barniemu czaszkę na połowę. A przynajmniej takie miał wrażenie, obserwując profesora Francisa Jamesa, demonstrującego rozcinanie ludzkiej czaszki.

To, co nastąpiło potem, było tylko przykrym rozczarowaniem. W przepołowionej niczym kokosowy orzech czaszce spoczywało święte urządzenie zwane mózgiem, ów organ, który, zdaniem Hamleta, “uszlachetniał człowieka i czynił go wzorem dla innych zwierząt”, a który w rzeczywistości przypominał jedynie mały, gnijący kalafior.

James szybko naszkicował jego podstawową strukturę. Człowiek ma właściwie dwa mózgi, to znaczy prawą i lewą półkulę, które są identyczne. Nadal w pełni nie rozumiemy, dlaczego tak jest, ani też jakie dokładnie pełnią one funkcje.

Potem wskazał na cztery płaty. - Proszę zauważyć, że płat skroniowy umiejscowiony jest ponad podwzgórzem, które mimo że waży zaledwie jedną dziesiątą uncji, jest ośrodkiem kontrolnym apetytu, wydzielania gruczołów, popędu płciowego i całego szeregu stanów emocjonalnych, włącznie z wściekłością.

Barney zastanawiał się, czy tylko jego uderzył fakt, że nauka, która potrafiła dokładnie wskazać na miejsce w mózgu, w którym zapala się gniew, nie zdołała jednak dotąd zidentyfikować miejsca, w którym rodzi się miłość.

Laura wysłedziła go w czasie obiadu, mimo że próbował się ukryć w najodleglejszym kącie jadalni.

- Co się, u diabła, wczoraj stało?

- Nic, wygraliśmy - powiedział oziębło.

- Wiesz, o co mi chodzi. Co się stało z Bennettem?

- Proszę cię, Castellano, nie jestem jego lekarzem. A poza tym sam jestem poobijany od stóp do głów. Wydaje mi się, że "wklinowano" mi duszę.

Laura usiadła naprzeciw niego. - Livingston, uważam, że Szkoła Medyczna sprawiła, że stałeś się nietowarzyskim i paranoidalnym dziwakiem.

- I to jest właśnie jej zadaniem. W tym tempie mam ogromną szansę zostania przewodniczącym Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy.

- Proszę cię, Barney, powiedz mi, co się stało z Bennettem?

Popatrzył na nią podkrążonymi i przekrwionymi ze zmęczenia oczyma i odpowiedział: - Ma najlepszą opiekę, jaką można kupić za pieniądze.

Laura złożyła ręce w geście, który zdawał się wskazywać na to, że była zdecydowana czekać na odpowiedź, choćby i do końca świata.

- No dobrze, dobrze. Wstrzyknęli w niego mnóstwo nowomodnych leków, a potem kazali mu biegać z naderwanym ścięgnem Achillesa.

- Powiedziałabym, że to co najmniej głupie.

- Lauro, ty w ogóle tego nie rozumiesz. Liczy się tylko to, że wygraliśmy mecz - westchnął i dodał: - Teraz już wiem, dlaczego nazywają to Pucharem Nadużyć. Wcale bym się nie dziwił, gdyby Mack Wilkinson po uzyskaniu dyplomu pomagał Bennettowi skarżyć Szkołę Medyczną o milion dolarów odszkodowania.

- Ale dlaczego? Nie jest chyba okaleczony?

- Jeszcze nie. Jeśli dopisze mu szczęście, to już za parę miesięcy będzie mógł chodzić bez kuli.

Tego wieczoru Barney odwiedził Landsmanna w jego pokoju, w prywatnym skrzydle szpitala. Otwierając drzwi, zobaczył tam ze zdziwieniem dwóch młodych mężczyzn w białych fartuchach, omawiających jakiś niezwykle przedmiot na tacy Bennetta. Była to replika ludzkiego mózgu, identyczna jak ta, której używał tego dnia James podczas swojego wykładu.

Na widok Barniego Bennett zwrócił się do swoich gości: - Czy możemy teraz przerwać na chwilę? Rozbolały mnie właśnie wszystkie cztery płaty mózgu.

Dwaj młodzi lekarze skinęli głowami, a jeden z nich odpowiedział: - Obaj jesteście dziś w nocy na dyżurze, Ben. Jeśli będziesz miał ochotę, to nas po prostu zawołaj. A jeśli nie, to zobaczymy się jutro rano. Ciao!

Barney rozejrzył się po pokoju. Nieomal w każdym kącie leżała otwarta książka, notatnik lub jakaś częśćka plastikowego modelu. Najwidoczniej jego przyjaciel nie narzekał tego dnia na brak możliwości do nauki.

- O cholera, Ben. Możesz otworzyć prywatną szkołę. Nie sądzę, żeby ci to było potrzebne. - Rzucił na łóżko kopię notatek, które zrobił tego popołudnia. - Zaczynam ci tego zazdrościć.

- Nie masz czego, Barney. Zapewniam cię, że to nie było tego warte.

- Noga boli cię jeszcze?

- Właściwie nie. Ale martwi mnie tak długie siedzenie w szpitalu.

- Boisz się, że będziesz miał zaległości w nauce?

- Bynajmniej! - uśmiechnął się Bennett. - Z pomocą, jaką tu otrzymuję, powinienem być w stanie praktykować medycynę już pod koniec tygodnia.

W tym momencie zadzwonił telefon. Barney podniósł słuchawkę.

- Dobry wieczór - powiedział męski głos, przypuszczalnie należący do kogoś po sześćdziesiątce. - Czy to numer wewnętrzny Bennetta Landsmanna?

- Tak. Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni?

- Jego ojciec z Cleveland.

Barney podał Benowi słuchawkę. Dlaczego, u diabła, ojciec tego faceta ma niemiecki akcent?

W kwietniu 1945 roku wielkie tornado płomieni załało drewniane baraki obozu koncentracyjnego w Nordhausen. Władze medyczne amerykańskiej armii zdecydowały, że tylko całkowita ewakuacja oraz doszczętne zniszczenie zakażonych budowli zatrzyma rozprzestrzeniającą się nieustannie epidemię tyfusu.

Tego wieczoru ładowano właśnie ostatnich więźniów na ciężarówki, aby przewieźć ich do jednego z obozów dla uchodźców, zorganizowanych naprędce przez wojska alianckie.

Hannah Landsmann czuła się na tyle dobrze, że mogła wytrzymać tę podróż, jednakże dwóch GI musiało jej pomóc wejść do pojazdu. Herschel siedział przy niej.

Z wnętrza ciężarówki dochodziły wielojęzyczne, nerwowe pomruki. Mimo że wytłumaczono uchodźcom w ich narodowych językach, że zabierano ich do obozu

rehabilitacyjnego w celu rekonwalescencji, ludzie ci nadal zachowywali się nieufnie. Ileż to razy w ciągu ostatnich lat słyszeli od swoich hitlerowskich oprawców, że zostają przewożeni do “obozu pracy” albo do szpitala?

Nie byli w stanie porozumieć się między sobą, gdyż łączył ich jedynie wspólny, lecz niemy język cierpienia. Niektórzy Polacy i Niemcy porozumiewali się po hebrajsku. Jak jednak mogli dogadać się ze sobą żydowscy stoczniowcy z Grecji z byłymi nauczycielami z Wiednia? Odpowiednikiem ich hebrajskiego było “ladino”, język hiszpański. Posługiwali się nim niegdyś ich przodkowie, którzy po wyrzuceniu z Hiszpanii w 1492 roku udali się na wschód. Kilku więźniów, tak jak Herschel Landsmann, mówiło trochę po angielsku.

Kiedy konwój zatrzymał się na lekki posiłek dla wzmocnienia niedożywionych pasażerów, Herschel podszedł do młodego żołnierza i zapytał: - Przepraszam pana, ale gdzie wy nas właściwie wywozicie?

- Czyż nie powiedziano wam tego? - zapytał kapral z wyraźnym akcentem z Nowej Anglii. - Zabieramy was do miejsca, gdzie będziecie mogli odpocząć i zregenerować siły. Będą tam ludzie, którzy pomogą wam odnaleźć waszych krewnych. To obóz dla uchodźców. To znaczy...

- Wiem, co to znaczy, proszę pana. Czy mógłby mi pan jednak z laski swojej powiedzieć, gdzie to jest?

- Nasz porucznik powiedział, że to będzie w Bergen-Belsen, proszę pana.

Słowa te wstrząsnęły wątłym ciałem Herschla Landsmanna. Ogrom hitlerowskich okrucieństw dokonanych w tym miejscu, w którym leżały setki tysięcy umierających i zmarłych, znany był już wszystkim. Czy miało to być zatem następne okrutne cięcie noża losu? Czyżby znowu popadli w ręce narodu prześladowców?

Herschel pokuśtykał z powrotem do ciężarówki. Kiedy wdrapał się do środka, jeden z żołnierzy chciał mu ofiarować czekoladę, której przyjęcia odmówił potrząśnięciem głowy.

- Co się stało, *Liebchen*? - zapytała zaniepokojona Hannah.

- Nic, nic - odpowiedział bohatersko, usiłując ukryć swoją rozpacz.

Mylił się jednak. Podobnie jak Dachau na południu, Belsen został teraz przekształcony z obozu śmierci w “obóz życia”.

Nie brakowało tam jedzenia ani lekarskiej opieki. Wkrótce rozpoczęły swoją działalność różne organizacje pomocy społecznej, takie jak Międzynarodowe Towarzystwo Pomocy Żydom oraz różne organizacje rehabilitacji i szkolenia,

ustanowione przez międzynarodowe instytucje. Ich wielkim zadaniem miało być zidentyfikowanie żywych i umarłych, a także próba łączenia rodzin i pomoc uchodźcom w powrocie do "domu" - jeśli ten wyraz miał dla nich jeszcze jakieś znaczenie. Któż z nich miał bowiem tyle siły, by wrócić do krajów, w których jego "rodacy" wydali go w ręce hitlerowskich oprawców? Najbardziej realne były jedynie dwa wyjścia - kraje anglojęzyczne albo Palestyna.

Herschel miał brata, który wyemigrował gdzieś do Ohio we wczesnych latach trzydziestych, i to wystarczyło, aby mógł się ubiegać o emigrację do Stanów Zjednoczonych. Teraz największym jego marzeniem było należeć do tego wspaniałomyślnego narodu, przez którego aniołów został wyzwolony.

Kiedy tylko zaczęła funkcjonować Amerykańska Komisja Obozowa, Herschel i Hannah oficjalnie złożyli papiery o pozwolenie zamieszkania w Ameryce.

Oficer, który z nimi rozmawiał, zadał im kilka pobieżnych pytań. Między innymi zapytał, czy Herschel był komunistą. Odpowiedział mu na to z humorem, który najwyraźniej wywarł pewne wrażenie na urzędniku. ‘

- Proszę pana, czy sądzi pan, że to możliwe, aby ktoś, kto posiadał kiedyś największą fabrykę wyrobów skórzanych w całych Niemczech, nie był kapitalistą?

Teraz nie pozostawało im nic innego, jak czekać na odnalezienie brata Herschla, który miał im zapewnić swoją porękę.

I czekali.

W połowie lata nadszedł list od niejakiego Stephena Landa z Cleveland, w stanie Ohio. Korespondent potwierdzał, że był tą samą osobą, z którą wychował się "Herschie" w Berlinie. Wówczas jednakże nazywał się Stefan Landsmann. "Nie chciałem, aby cokolwiek wskazywało na to, że jestem Niemcem - tłumaczył. - Kupiłem nawet zestaw płyt, aby pozbyć się wszelkich śladów mojego akcentu".

W liście wyrażona była ogromna radość z faktu, że jego brat i bratowa przeżyli to barbarzyńskie ludobójstwo, lecz pozostałe informacje były ponure:

"Według naszych wiadomości jesteście jedynymi z rodziny, którym udało się uniknąć pieców. Wszyscy Katznelsonowie, Spiegelowie oraz kuzyni z Wiednia zostali wysłani do Auschwitz".

Najboleśniej były jednak dla Herschla i Hannah ostatnie słowa listu:

"Płaczę wraz z Wami nad utratą małej Charlotte. Wiem, że nikt Wam jej nigdy nie zastąpi, jednakże jesteście jeszcze młodzi i możecie postarać się o inne dzieci. To już samo w sobie jest jakimś błogosławieństwem".

Czytając te słowa, Hannah zaczęła tak rozdzierająco szlochać, że Herschel żadną miarą nie mógł jej uspokoić. No bo jak, skoro sam również płakał z tego powodu?

Biurokratyczny proces ciągnął się i ciągnął w nieskończoność. Nadeszła jesień i mieszkańcy obecnej wioski Bergen-Belsen żyli w pełnym rezygnacji oczekiwaniu, przerywanym niekiedy gniew-

Dymi wybuchami niecierpliwości. Wszyscy pragnęli rozproszyć się po świecie niczym ziarna, aby móc wkrótce zakiełkować i zakwitnąć w nowej ziemi.

W grudniu pozostało tam jeszcze kilka tysięcy mieszkańców, a wśród nich Herschel i Hannah Landsmann.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia dla żołnierzy, a dla byłych żydowskich więźniów święto Chanuka, upamiętniające wyzwolenie ich przodków z tyranii syryjskiej niewoli w II wieku p.n.e.

Pomimo zimna i niewygodnych pomieszczeń był to czas na świąteczne uctowanie. Kapelani wojskowi zorganizowali grupę ochotników, którzy wybudowali olbrzymi kandelabr. Co wieczór zapalano na nim kolejne światło, aż w końcu osiem płomieni obwieszczało światu nową wolność świętujących, oświetlając ziemię ich byłych ciemności. Wszędzie radowano się, tańczono i śpiewano:

*Skąło Wieków, niech pieśń nasza
Wychwala Twą zbawienia moc.
Ty, który wśród rozszalanej cizby
Zawsze nam byłeś wieżą schronienia!
Gdy oblężyli nas dookoła,
Twoja ręka nas obroniła.
Gdy naszym ciałom siły nie stało,
Słowa Twe wrogie miecze łamały.*

- O co chodzi? - upominała męża Hannah. - Dlaczego nie śpiewasz?
- Jakżeż mogę śpiewać, że "Bóg nas wybawił", kiedy on odwrócił się do nas plecami? Przecież to amerykańska armia nas wybawiła.
- A jak myślisz, kto ich tu przysłał? - upierała się.

Mijała zima 1946 roku. Brat Herschla pisał regularnie, dołączając zdjęcia swojej amerykańskiej żony, Rochelle, oraz ich dwóch "ślicznych chłopców". Listy jego przesiąknięte były optymizmem - Ameryka jawiła się w nich jako kraj nieograniczonych możliwości. On sam założył sklep w centrum Akron i prosperował tam tak dobrze, że ostatnio mógł założyć jego filię w Cleveland, gdzie osiedlił się na stałe.

"Steve", nawiązawszy wreszcie z Herschlem regularny kontakt, uważał, że może prawić bratu kazania w stylu: "Wszystkie twoje największe marzenia mogą się spełnić w tym kraju. Jeśli się tutaj pracuje, to można mieć wszystko bez ograniczeń".

Jego europejski brat nie mógł jednak zapomnieć o napisie wiszącym nad bramami obozów koncentracyjnych: Arbeit macht frei - Praca czyni wolnym. W tym wypadku naturalnie oznaczało to uwolnienie duszy z ciała.

W rozmowach na ten temat Hannah usiłowała mu tłumaczyć:

- Jak możesz nie lubić człowieka, którego nie widziałeś przez ponad dwadzieścia lat? Jakże możesz mówić, że jego żona to, "jenta" i że ma zepsute dzieci, skoro jeszcze ich nie widziałeś?

- Hannah - odpowiadał Herschel, stukając się palcem w czoło - widzę ich tutaj bardzo wyraźnie. I nie obchodzi mnie to, co on mówi. Nie mam zamiaru robić interesów z moim braciszkiem Stefanem.

- Ze Steve'em.

- Dla mnie on zawsze będzie Stefanem. Wszechwiedzącym i nie znającym się na niczym.

- Miał tyle rozumu, aby wyjechać z Niemiec przed wojną - zauważyła Hannah, żalując natychmiast, że skierowała rozmowę na tak bolesny temat. - Przepraszam, Hersch, posunęłam się za daleko.

- Nie, masz rację. Gdybyśmy wyjechali ze Stefanem, nasza Charlotte byłaby dzisiaj wśród żywych. I my również.

- Ależ przecież...

- Nie - odpowiedział ponuro. - My tylko oddychamy. W świecie, w którym wymordowano tylu naszych braci, nie możemy uważać się za żyjących.

Upłynął prawie rok od ich wyzwolenia, kiedy wreszcie stanęli na amerykańskiej ziemi. Landowie przyjechali aż z Cleveland na spotkanie ich statku. Mimo dręczących

ich wyrzutów sumienia za to, że przeżyli, i pewnego zagubienia, łzom radości nie było końca.

Steve i Rochelle znaleźli dla Landsmannów małe, choć wygodne mieszkanie na przedmieściach Shaker Heights, gdzie sami posiadali "śliczny dom i ogród".

I mimo swoich głośnych zapewnień Herschel zaczął pracować dla brata. Nie miał bowiem wyboru. Marzył jednak, żeby się jak najszybciej uniezależnić i móc zapewnić swojej ukochanej żonie taki sam luksus, jaki Steve mógł ofiarować Rochelle.

Pozostawała jeszcze do załatwienia pewna paląca sprawa. Poprzez Amerykański Urząd Weteranów zdołał zlokalizować adres zamieszkania zmarłego pułkownika Abrahama Lincolna Bennetta. Był to Millersburg, mała wioska w Georgii, położona o jakieś pół godziny drogi samochodem od Fortu Gordona, w którym pułkownik stacjonował jako zawodowy oficer.

Herschel próbował skontaktować się z jego rodziną telefonicznie, ale dowiedział się, że nie mieli telefonu. Nie pozostawało zatem nic innego, jak jechać tam osobiście. Zapakowawszy więc małą walizkę, udali się oboje z Hannah w ich pierwszą amerykańską odyseję w trakcie długiego weekendu z okazji Święta Niepodległości.

Podróż zajęła im dwa dni. Pierwszego dnia późnym popołudniem Herschel zaczął szukać dla nich noclegu. Biały drewniany Dixie Belle Inn, na południu od Knoxville, robił wrażenie wygodnego. Herschel wjechał na żwirowy podjazd, poprawił krawat i poszedł poprosić o pokój.

Recepcjonista był obłudnie uprzejmy, lecz mało uczynny. - Przykro mi, proszę pana, ale obawiam się, że nie akceptujemy tu gości pana pokroju.

Herschel był zaskoczony. - Pokroju? Jakiego pokroju? Jestem człowiekiem, mam pieniądze - gotówkę. Proszę, niech pan popatrzy - wyciągnął portfel.

Mężczyzna uśmiechnął się tylko i pokręcił głową.

- Nie, proszę pana. Obawiam się, że nie rozumie pan przepisów panujących w tym hotelu. Wstęp czarnuchom i Żydom wzbroniony.

- Nie rozumiem - powiedział Herschel, nie wierząc własnym uszom.

- Czegóż pan nie rozumie? - zapytał urzędnik. - Związku pomiędzy Żydami a czarnuchami? W tych stronach uważamy, że jedni są czarni na zewnątrz, a drudzy od wewnątrz. Życzę panu miłego wieczoru.

Herschel wrócił przybity do samochodu i opowiedział żonie o zdarzeniu.

- Skąd on w ogóle wiedział, że jestem Żydem? - dziwił się głośno.

- Herschel, kochanie, bądźmy szczerzy. Daleko ci do akcentu Jerzego Waszyngtona. Proponuję, żebyśmy poszukali teraz jakiegoś miejsca, w którym dano by "ludziom naszego pokroju" coś do zjedzenia, a potem spróbowali przespać się w samochodzie.

Następnego ranka przybyli do Millersburga. Była to rozsypująca się, zaspana wioska, koloru wyschniętej na słońcu gliny. Herschel nie spał tej nocy. Zaparkował samochód za zamkniętą restauracją i zastanawiał się, gdzie najlepiej poprosić o pokazanie mu domu Bennetta - na poczcie czy też na policji? Ze względu na pozostały w nim strach przed mundurem, a zwłaszcza tym uzbrojonym, zdecydował się pójść na pocztę. Poczta nie mieściła się bynajmniej w wielkim kamiennym budynku, tak jak w Cleveland. Wręcz przeciwnie, była to zapadła przybudówka przy miejscowej aptece.

- Oczywiście, że pamiętam pułkownika - odpowiedział aptekarz z ciepłą południową serdecznością. - Ale jeśli wolno mi zapytać, czego chcecie od tych, co jeszcze pozostali z jego rodziny?

Herschel zapytał niepewnie: - Co pan przez to rozumie?

- No bo wiecie chyba, że sam pułkownik nie żyje. Zakładam, że widzieliście, że umieściliśmy jego nazwisko na pamiątkowej tablicy w Urzędzie Miejskim razem ze wszystkimi białymi, którzy polegli w tej wojnie. Lorraine już wiele lat temu uciekła z tego pancernego miasta z jakimś gogusiem z Atlanty. Pozostała tu tylko starsza pani Bennett z małym Lincolnem.

- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie oni mieszkają?

- Z całym szacunkiem, ale gdzież mają mieszkać Murzyni, jak nie w murzyńskim getcie?

- Czy mógłby mi pan pokazać, gdzie to jest?

Aptekarz zachichotał. - Przyjacielu, niech pan idzie do końca głównej ulicy, a potem to już traficie po zapachu.

Był to zaledwie równoległy rząd chat różniących się między sobą jedynie wyblakłym kolorem zeschniętego drzewa, niegdyś brązowego, zielonego czy czerwonego. Tu i tam wisiała metalowa skrzynka na listy z wybazgranym na niej nazwiskiem. Nazwisko Bennetta wypisane było stosunkowo najschludniej.

Herschel i Hannah zapukali do drzwi, obrzuceni pytającym spojrzeniem pół tuzina ludzi siedzących w pobliskich domach na werandach. Otworzyła im wielka czarna kobieta o siwych włosach zaczesanych do tyłu.

- Czym mogę wam służyć? - zapytała, przyglądając się z zaciekawieniem swoim gościom.

- Szukamy domu pułkownika Bennetta, proszę pani - wyjaśnił cicho Herschel.

- Czy nie wiecie, ludzie, że mój syn nie żyje? - zapytała z widocznym rozdrażnieniem i smutkiem w głosie.

- Tak, proszę pani. Poznałem go jeszcze w Europie, kilka dni przed jego śmiercią. Nazywam się Herschel Landsmann, a to jest moja żona, Hannah. Pani syn ocalił mi życie, a potem wymógł na lekarzach, żeby uratowali moją żonę. Chcieliśmy spotkać jego rodzinę, aby wyrazić naszą wdzięczność.

Elva Bennett zawahała się przez chwilę, niepewna, jak się powinna zachować. W końcu odrzekła: - Może wejdziecie do domu?

Landsmannowie przytaknęli. Otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka. - Czy mogę zaproponować wam mrożoną herbatę?

- To byłoby bardzo miło z pani strony - odpowiedziała Hannah, wchodząc do pokoju. Nad kominkiem górowała ogromna fotografia Lincolna w pełnym umundurowaniu. Wystawione były również jego dębowe liście i liczne medale.

Pani Bennett wróciła z kuchni z trzema kubkami herbaty i wszyscy usiedli - gospodyni na mocno sfatygowanym fotelu, a Landsmannowie na równie wytartej kanapie.

- A więc - powiedziała starsza kobieta już z przyjaznym uśmiechem - mówicie, że znaleście państwo mojego syna.

- Był najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu - powiedział Herschel z głębokim przekonaniem.

Pani Bennett pokiwała twierdząco głową. - Gdyby był biały, zrobiliby z niego czterogwiazdkowego generała. Taka jest prawda.

Landsmannowie przytaknęli zgodnie. - Nie mam co do tego wątpliwości - stwierdził Herschel.

Potem nastąpiła niezręczna cisza. Jakże miał jej wyjaśnić cel swojej wizyty? Usiłował taktownie nawiązać do tematu.

- Pani Bennett, oboje z żoną przeżyliśmy niedawno potworności, których nawet nie umiałbym pani opisać.

- Lincoln wspominał o tym w niektórych ze swoich ostatnich listów - odpowiedziała pani Bennett ze współczuciem.

- Pani syn - ciągnął Herschel - pani syn był dla nas jakby świętym aniołem. Po tych wszystkich latach upodlenia, które przeżyliśmy, był dla nas taki dobry! Traktował nas jak ludzi. Na koniec my przeżyliśmy, a on nie. Nie mogę nawet pani powiedzieć, jak bardzo oboje nad tym bolejemy.

Herschel nadal miał kłopoty z rozpoczęciem tematu. Hannah przysłała mu z pomocą.

- Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy państwu w jakiś sposób pomóc?

- Nie rozumiem pani - odpowiedziała pani Bennett.

- Chodzi nam o jego syna - zaczął niezgrabnie Herschel. - Lincoln zawsze mówił o swoich nadziejach i marzeniach związanych z tym chłopcem. Chcemy się upewnić, że te nadzieje się spełnią.

- A jak on się ma? - zapytała Hannah. - To znaczy, chciałam powiedzieć, on i jego matka.

- Niestety, Linc junior nie ma matki - odpowiedziała starsza kobieta z nagłym błyskiem gniewu w oczach.

- Jak to? - zapytała Hannah.

- No cóż - zaczęła pani Bennett, wzdychając ciężko. - To długa i nieszczęśliwa historia. Tych dwoje nigdy się nie zgadzało, nawet zanim Linc został powołany do służby za granicą. Prawdę rzekłszy, w tym samym czasie, kiedy zginął w akcji, prawnicy kończyli właśnie przygotowywać papiery rozwodowe. Ale jak jego żona o tym posłyszała, to szybko tu wróciła.

- Ze względu na dziecko? - zapytał Herschel. - Musiała się przecież o nie martwić.

Elva Bennett zaprotestowała energicznie głową. - Po dziesięć tysięcy dolarów, panie Landsmann. Tyle wynosiło wojskowe ubezpieczenie dla najbliższych krewnych, dziesięć tysięcy dolarów. Co tydzień jeździła potem z Atlanty aż do Millersburga, żeby sprawdzić na poczcie, czy przyszedł czek. No i oczywiście po pewnym czasie przyszedł.

W starej kobiecie wzrastało oburzenie. - I wie pan co, panie Landsmann? - powiedziała trzęsącym się głosem. - Czy uwierzy pan, że w czasie tych wszystkich wypraw po skarby ani razu nie przyszła zobaczyć się z synem? A rząd Stanów Zjednoczonych wziął ją za najbliższą krewną... Co za kobieta!

Rozplakała się.

Hannah próbowała pocieszyć ją delikatnie, a Herschel rozumował dalej na głos: - Przykro mi, pani Bennett, ale nie rozumiem. A w ogóle dlaczego on z nią nie mieszka?

Smutek Elvy ustąpił miejsca oburzeniu. - Dlaczego miałyby mieszkać z dzieckiem, którego nigdy nie chciała? Nigdy nie wybaczyła Lincowi, że nie pozwolił jej pozbyć się tego dzieciaka przed narodzeniem. Lorraine uważała się za wielką damę i nie chciała być "uwiązana". Nienawidziła życia w jednostce i ciągle jeździła sama do Atlanty, na kilka dni pod rząd, żeby się zabawić. To ja wychowywałam chłopca od samego urodzenia.

Wytarła oczy chusteczką Hannah. - Przepraszam. Nie powinnam mówić w ten sposób. Pismo Święte mówi nam, że to grzech nienawidzić.

Herschel próbował delikatnie wyjaśnić cel tej wizyty.

- Pani Bennett, proszę, niech się pani nie obrazi, ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, czy pani i pani wnuczek macie jakieś kłopoty finansowe?

Zawahała się przez moment, a potem powiedziała: - Dajemy sobie radę.

- Proszę... pytam, ponieważ chcemy coś zrobić - cokolwiek, aby wyrazić naszą wdzięczność. - Miał nadzieję, że swoją żarliwością zasłuży sobie na jej zaufanie.

Starsza kobieta niechętnie zaczęła się zwierzać: - No cóż, naturalnie, kiedy mój syn żył, dostawaliśmy zawsze część jego wypłaty. Co miesiąc, regularnie jak w zegarku. Kiedy to się skończyło, zaczęłam polegać na ubezpieczeniu. To nasze jedyne źródło utrzymania do czasu, aż mały Linc dorośnie na tyle, żeby mógł pracować.

- Ile on teraz ma lat? - spytała Hannah.

- W przyszłym miesiącu będzie miał jedenaście. Dwudziestego siódmego...

- To znaczy, że jeszcze długo nie będzie mógł starać się o zatrudnienie - zauważył Herschel.

- W tych stronach większość chłopców zaczyna pracować od czternastego roku życia, nawet wcześniej, jeśli są wystarczająco wysocy.

- Jaka szkoda! Wiem, że jego ojciec pragnął, żeby miał wykształcenie, a nawet żeby poszedł na studia.

- To marzenie umarło razem z nim.

Herschel i Hannah spojrzeli na siebie.

- Pani Bennett - zaczęła Hannah - nasz dług wobec pani syna nie ma ceny. Byłby to dla nas zaszczyt, gdyby zgodziła się pani na naszą pomoc.

- Nie jesteśmy bogaci - ciągnął dalej Herschel - ale mam pracę i mogę coś zaoszczędzić. A więc w odpowiednim czasie mały Linc mógłby pójść na studia.

Zaskoczyło to Elwę Bennett i przygnębiło zarazem.

- Panie Landsmann, czyż nie wie pan, że stąd do Atlanty nie ma takiej szkoły dla czarnych, która byłaby w stanie przygotować go na studia? Mowy nie ma, żeby mógł tutaj uczęszczać do prywatnej szkoły.

Landsmannowie nie wiedzieli, co dalej robić. Nigdy nie przypuszczali, że natrafią na takie przeszkody. Po kłopotliwej chwili milczenia, w której żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć, Hannah zaproponowała: - Wiem, że tam, gdzie my mieszkamy, pani Bennett, na Północy, są szkoły, i to nawet bardzo dobre szkoły, do których chłopiec mógłby chodzić. A to z pewnością otworzyłyby mu drogę na studia.

Zaskoczyło to Elwę jeszcze bardziej. Dlaczego ci ludzie chcą płacić za wykształcenie jej wnuka? Dlaczego białe małżeństwo w ogóle chciałoby coś takiego zrobić? Zastanawiała się nad tym, uważnie obserwując Landsmannów.

- Czy myślicie, że on mógłby dostać się do którejś z tych szkół na Północy? Nasze murzyńskie szkoły uczą zaledwie pisać i czytać. W klasie Lincolna jest sześćdziesiąt jeden dzieciaków i szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy nauczyciel zna jego nazwisko.

Przestraszony tym, że Elva zamierza im odmówić, Herschel wypalił: - Możemy załatwić mu prywatne lekcje. Naprawdę, pani Bennett. Opłacimy mu najlepszych guwernerów. A potem będzie mógł iść do najlepszej prywatnej szkoły.

Herschel mówił dalej, nieświadomy zdziwienia malującego się na twarzy jego żony. - Obydwoje pragniemy tego z całego serca. Chcemy dać pani wnukowi szansę osiągnięcia tego wszystkiego, o czym marzył dla niego jego ojciec.

Elva była rozdarta wewnątrz. Jeśli ci ludzie mówią poważnie i jeśli rzeczywiście mieliby wysłać Linca do prywatnej szkoły, to co jej zostanie? Fotografie? Medale wojenne? Wspomnienia i pusty dom?

Zastanawiała się, co w tym przypadku radziłoby jej Pismo Święte. Myśli jej natychmiast pobiegły do fragmentu z Księgi Przysłów: "Błogosławiony ten, co znajdzie mądrość... Nawet gdyby kosztowało to cały twój majątek, wszystko co masz, szukaj zrozumienia". Była to winna wnukowi. Co więcej, to przecież jej obowiązek wobec syna. Zwlekąca jednak z bolesną decyzją, zadając następne pytanie:

- A jak wy to sobie właściwie wyobrażacie?

- No cóż - zaczął Herschel. - Słyszałem o tych tak zwanych szkołach przygotowawczych, gdzie mógłby mieszkać z innymi chłopcami w jego wieku. W okolicy Cleveland są także dzienne szkoły.

- Wymienił spojrzenie z Hannah, która dokończyła za niego nieśmiało: - Lincoln mógłby zamieszkać razem z nami.

Elvie trudno było pogodzić się z myślą, że mały Linc będzie mieszkał z inną rodziną. I do tego biała... A nawet nie tylko biała, alei...

- Jesteście Izraelitami, prawda?

- Jesteśmy Żydami, ale nie jesteśmy praktykujący - odpowiedział Herschel.

- Ale wierzycie chyba we Wszechmogącego Boga?

Zanim Herschel zdążył przyznać się do swego agnostycyzmu, Hannah wtrąciła pospiesznie: - Tak, oczywiście.

- Czy Lincoln mógłby nadal chodzić do kościoła baptystów?

- Z pewnością.

Stara kobieta umilkła, zamyśliwszy się głęboko.

- Byliście kiedyś niewolnikami faraona w Egipcie? Herschel skinął głową. - Owszem, wiele lat temu.

- Mój dziadek jeszcze nie tak dawno był niewolnikiem. Pan Lincoln był naszym Mojżeszem. Sądzę, że to nas w jakiś sposób łączy.

- Z całą pewnością wiemy, co to znaczy być prześladowanym, pani Bennett - dodała Hannah.

W końcu Elva spytała: - Jak zamierzacie to załatwić?

Hannah odpowiedziała niezobowiązująco, coraz bardziej upajając się marzeniami męża: - Moglibyśmy zabrać go teraz do Cleveland. Zamieszkałby razem z nami jako członek rodziny. Traktowalibyśmy go jak własne dziecko - tu głos jej załamał się lekko - którego już nie mamy.

Elva zastanowiła się przez chwilę, a potem powiedziała: - Nie mogę sama o tym zdecydować. Linc jest już dużym chłopcem. Będzie musiał sam postanowić.

- O której on wraca ze szkoły? - zapytał Herschel, czując, że szybciej bije mu serce.

- To zależy. Czasami zostaje po szkole i gra z chłopakami w piłkę. - Uśmiechnęła się. - Ma wrodzone zdolności. Wie pan, tak jak jego ojciec.

- Może moglibyśmy go zobaczyć? - poprosił nieśmiało Herschel. - Mam samochód przed domem. Gdyby pani zechciała pojechać z nami i wskazać nam drogę.

- O mój Boże! Niepotrzebny wam samochód. To niedaleko stąd na piechotę. Szkoła murzyńska jest tam, gdzie być powinna - uśmiechnęła się ironicznie - po drugiej stronie kolejowych torów.

Herschel rozpoznał go natychmiast.

Rozpoznałby w nim syna Lincolna, nawet gdyby nie był taki wysoki, jak na swój wiek, i nie był najlepszym graczem spośród biegających po zakurzonej boisku chłopców. Oczy jego błyszczały zapalem, a ciało odznaczało się wyraźnym dynamizmem.

- Zawołam go - zaproponowała Elva.

- Nie! - zaprotestował Herschel. - Poczekamy. - A w duchu dodał: - I popatrzymy. Mój Boże, jakież on przystojny! Jakżeż dumny byłby z niego jego ojciec!

Po kilku minutach zawodnicy zauważyli obcych, białą parę, przyglądającą się im z boku. Kim byli ci ludzie? Jakimiś szkolnymi inspektorami? I czemu Elva była z nimi? Czy Linc coś przeskrobał?

Przerwali grę. Linc podszedł do babci, dryblując zręcznie piłką jedną ręką przed sobą, a potem drugą z tyłu.

Kiedy przedstawiła mu obcych jako "przyjaciół ojca z czasów wojny", przestał odbijać piłkę i spoważniał.

- Znaliście go? - zapytał.

- Owszem. On ciągle o tobie mówił. Był z ciebie bardzo dumny. Dlatego właśnie chcieliśmy się z tobą zobaczyć.

Twarz chłopca zmarszczyła się, jakby miał się za chwilę rozplakać.

- Może tak poszlibyśmy wszyscy na lody? - zaproponowała taktownie Hannah.

Zaczekali na zewnątrz. Herschel wszedł tymczasem do spożywczego sklepu "tylko dla białych" i po chwili ukazał się, niosąc dla wszystkich lody na patyku oblewane czekoladą. Wracali potem powoli do domu Bennettów, nerwowo unikając tematu, który tak bardzo pragnęli przedyskutować.

Młody Linc od razu polubił Herschla, jednakże propozycja, z którą wystąpił, przeraziła go i oszołomiła zarazem.

- To znaczy, że mam opuścić babcię? - zapytał nieśmiało.

- Możesz wracać tutaj na święta Bożego Narodzenia i na wakacje - zapewnił go Herschel. - A gdybyś nie był u nas szczęśliwy, to mógłbyś wrócić tu od razu.

- Może chciałbyś najpierw spróbować przez jakiś czas? - zapytała łagodnie Hannah.

Linc zmartwiony i rozdarty wewnętrznie spojrzał na babcię. Elva zwróciła się do Landsmannów i rzekła: - Myślę, że oboje musimy na ten temat porozmawiać na osobności. Czy moglibyście na jakiś czas zostawić nas samych?

Herschel i Hannah zgodzili się prawie jednocześnie.

- Moglibyśmy wpaść tu znowu do państwa jutro rano, jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu - ciągnęła Hannah.

- Myślę, że tak będzie najlepiej - przyznała Elwa. - Chciałabym poprosić Boga o radę. A potem oboje musimy spojrzeć sobie w serca.

- Herschel, czyś ty oszalał? Czy może zapomniałeś, że już nie jesteś bogatym człowiekiem? Ten cudowny chłopiec zacznie teraz przez ciebie marzyć o prywatnych szkołach i guwernerach. Skąd ci to przyszło do głowy? Wiesz przecież, że nie mamy ani grosza w banku.

- Wiem, wiem - powiedział półgłosem. - Ale tak mi na tym zależy, że oddałbym za to wszystko, co mam.

- Spójrz prawdzie w oczy, kochanie - odpowiedziała Hannah. - Nie mamy prawie nic.

Przeszli kilkanaście kroków, zanim Herschel odezwał się: - Ja jeszcze coś mam, Hannah.

- Co takiego?

- Mam jedną, ostatnią rzecz, którą poświęcę dla Lincolna Bennetta. - Przerwał na moment. - Mój szacunek do samego siebie.

Hannah zrozumiała od razu: - To znaczy, że zwróciłbyś się z tym do Stefana?

Herschel wzruszył ramionami, na wpół zawstydzony, na wpół przybity.

- Wiesz, że uzgodniliśmy kiedyś, że nigdy nie będziemy się u niego zadłużać, ponieważ przyjęcie jego pieniędzy mogłoby oznaczać zaakceptowanie jego wartości.

Potem przyznał się: - Dwa miesiące temu Stefan otworzył konto bankowe na nasze nazwisko i złożył tam dwadzieścia tysięcy dolarów. Powiedział, że to ma być zaliczka na dom. Nie mówiłem ci o tym, ponieważ nigdy nie zamierzałem z tego korzystać. - Herschel popatrzył na nią. - Hannah, dwadzieścia tysięcy wystarczyłoby na wysłanie Lincolna na studia. No, Hannah, czy nie myślisz, że warto dla niego stracić szacunek do samego siebie?

Popatrzyła na niego z miłością w oczach i powiedziała: - Kochanie, niczego przez to nie stracisz. Oboje za to zyskamy coś bardzo cennego. - Zrzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. - Boże, proszę cię, spraw, żeby on się zgodził!

Oboje byli zbyt podnieceni, aby mieć ochotę na śniadanie, więc wybrali się na spacer po Millersburgu. Usiedli w końcu na ławce na placu przed drewnianą tablicą honorową poświęconą miejscowym żołnierzom, którzy polegli w drugiej wojnie światowej. Wieńczyły ją dwie flagi - gwiazdzisty sztandar i chorągiew konfederacji.

- On nigdy z nami stąd nie wyjedzie - westchnęła pesymistycznie Hannah.

- Dlaczego tak myślisz?

- Popatrz tylko na ten pomnik. Popatrz, czyje imię widnieje na szczycie.

Herschel spojrział na znajdującą się przed nim listę nazwisk. Ze wszystkich mężczyzn z Millersburga, którzy zginęli na wojnie, pułkownik Bennett był najwyższy rangą. Po śmierci oddano mu szacunek, którego zawsze odmawiano mu za życia.

Wróciwszy o oznaczonej godzinie do domu Bennetta, usiedli, patrząc nieśmiało na chłopca i jego babkę. W końcu Herschel zebrał w sobie siły, żeby zapytać: - Czy podjąłeś już jakąś decyzję, Linc?

Chłopiec odpowiedział mu na to pytaniem: - A co z moimi przyjaciółmi? Nie znam tam przecież nikogo. Nie będę się tam miał z kim bawić.

Herschel odpowiedział mu szczerze: - Mogę ci tylko powiedzieć, że dołożymy wszelkich starań, aby ci znaleźć nowych przyjaciół.

- A tymczasem będziesz mógł dzwonić do babci i do kolegów, kiedy tylko poczujesz się samotny - obiecała Hannah.

- Przykro mi proszę pani, ale to niemożliwe - odpowiedział chłopiec. - Nikt tutaj nie ma telefonu.

- Ale za to będziesz mógł pisać - powiedziała Elva znacząco. - Twój ojciec nigdy nie dzwonił do nas z Europy, a mimo to zawsze utrzymywaliśmy kontakt.

- Czy jeszcze coś cię martwi, Linc? - zapytała Hannah. Przymknął głową wstydliwie.

- A co będzie, jeśli zawiodę wasze nadzieje?

- Zawiedziesz nas tylko wówczas, jeśli z nami nie pojedziesz - powiedział Herschel z naciskiem.

Nastała cisza. Chłopiec popatrzył na swoją babcię. Elva odezwała się w imieniu ich obojga: - Oboje zgadzamy się, że jego ojciec życzyłby sobie, aby on z wami pojechał.

Herschel miał ochotę skakać z radości. Powiedział jednak tylko:

- To cudownie. Oboje z żoną zatrzymamy się tutaj do czasu załatwienia wszystkich formalności.

A potem uśmiechnął się serdecznie do chłopca i dodał: - Przysięgam ci, że tego nie pożałujesz.

Landsmannowie wyszli upojeni nadzieją.

A mały Lincoln siedział oniemiały i przerażony powagą swojej decyzji.

- Herschel, czy ty jesteś *mishugah*? Co ty myślisz, że tutaj w Cleveland nie ma szwarców i musiałeś importować tu jednego z Południa?

- Stefan, to znaczy Steve, zakazuję ci mówić w ten sposób.

Znalazszy w pobliżu hotel, w którym pozwolono im się zatrzymać, Herschel zadzwonił do brata w Cleveland, aby zapytał swojego prawnika, jak to należało dalej załatwiać.

Brat jego wcale nie był zachwycony tym pomysłem.

- Słuchaj, Herschel, bądź rozsądny - upierał się Steve. - Wiem, że oboje z Hannah pragniecie mieć dziecko. Znajdziemy wam jakieś dziecko tutaj. Co ja mówię? Znajdziemy wam dwoje! Chcecie trójkę? Niech będzie i troje.

- Ale my chcemy właśnie tego chłopca - odpowiedział zdecydowanym tonem Herschel.

- No dobrze, dobrze, Hersch. Każę prawnikowi sprawdzić wszystkie detale i zadzwonię do ciebie jutro rano. - A potem dodał ostrzegawczo: - Tylko nie miej do mnie pretensji, jeśli cię wyrzucą z Klubu.

Prawnik, młody mężczyzna dopiero od niedawna po szkole prawniczej, patrzył bardziej przychylnie na propozycję Landsmannów. Naturalnie pozostawała kwestia matki, która w dalszym ciągu miała prawo do opieki nad dzieckiem, jednakże sądząc po tym, co słyszał o Lorraine, nie spodziewał się z jej strony większych kłopotów. Łatwo będzie dowieść, że starsza pani Bennett była właściwie rodzicem *de facto* i że miała prawo przenieść prawa opiekuńcze nad małym Lincolnem na Landsmannów jako przybranych rodziców.

Pozostawało jeszcze kilka drobnych szczegółów, w sprawie których musiał się skonsultować z firmą prawniczą w stanie Georgia.

- To, co robicie, jest wspaniale - powiedział im na zakończenie pierwszej telefonicznej konsultacji.

O tak - pomyślał Herschel. Dobrze wiemy, co to za szczęście dla nas!

Pewnego wieczoru w tydzień później zobaczył, że Hannah płacze.

- Co się stało, kochanie? - zapytał.

- Nie mogę w to uwierzyć, że będziemy mieli w domu dziecko - szepnęła.

Początkowo chłopiec chodził do miejscowej prywatnej szkoły. Kiedy jednak okazało się, że miał poważne braki w czytaniu i matematyce, Landsmannowie zatrudnili dla niego również prywatnych nauczycieli - po trzy godziny dziennie.

Linc nie sprzeciwiał się temu, ponieważ miał nie zaspokojone pragnienie wiedzy. A jednak, jak przyznał się Herschlowi podczas jednej ze szczerych rozmów, ogromnie tęsknił za babcią i grą w koszykówkę. Herschel nie był w stanie zaradzić pierwszemu problemowi, ale z pewnością mógł rozwiązać drugi. W dwadzieścia cztery godziny później zainstalował z tyłu na garażu deskę z koszykarską obręczą.

Landsmannowie obawiali się jednak, że może za bardzo popędzali Linca do nauki.

- Czy nie sądzisz, że za bardzo na niego naciskamy? - zapytał Herschel pewnego popołudnia. Przyszedł trochę wcześniej z pracy i zobaczył, że Linc nadal siedział zamknięty na górze ze swoją nauczycielką angielskiego, panną Alsop. - Może nas znienawidzi za to, że więzimy go całymi godzinami na dodatkowych lekcjach.

- Nie sądzę - zapewniała go żona. - Myślę, że jemu to odpowiada. Widzę takie podniecenie w jego oczach! On rzeczywiście chce się uczyć.

- Tak, to prawda.

Odwrócili się. Linc wszedł do kuchni. - Bardzo to lubię. Nawet mógłbym mieć dodatkowe lekcje w niedzielę, bo wtedy prędko dogoniłbym klasę.

- A potem... ? - zapytał uradowany Herschel.

- A potem ich prześcignę! - odpowiedział wesoło i stanowczo chłopiec.

Następnego lata zgłosili jego kandydaturę do Akademii w Shaker Heights. Nie był to typowy okres przyjęć. Dyrektora szkoły przekonał jednak w końcu upór przybranych rodziców, listy polecające od nauczycieli i guwernerów chłopca, nie

mówiąc już o telefonie od miejscowego kongresmana (Steve niechętnie załatwił to także).

Największe jednak wrażenie zrobił na nim intelektualny potencjał młodzieńca. Linc zdał zaskakująco dobrze przygotowane specjalnie dla niego egzaminy. Nikt by nie uwierzył, że jeszcze parę miesięcy temu był nieomal analfabetą.

Kierownik przyjęć zasugerował nawet, że mógłby to być ciekawy eksperyment, mając na myśli obecność kolorowego chłopca wśród grona białych uczniów.

- Można by powiedzieć, że to tak jakby był cudzoziemcem.

- No właśnie - zgodził się dyrektor. - Można by również powiedzieć, że w ten sposób upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Jak to? - zapytał jego współpracownik.

- No cóż, chłopiec jest kolorowy, a jego przybrani rodzice są... no wie pan, hebrajskiego pochodzenia. To powinno położyć kres różnym skargom i zażaleniom, jakie ostatnio do nas napływały.

Nie mieli nawet pojęcia, jak ważna miała się dla nich okazać ta decyzja.

Zgodnie ze swoją obietnicą, dogoniwszy kolegów w klasie, Linc zaczął ich teraz prześcigać. Po pierwszym semestrze musiano przenieść go o rok wyżej z angielskiego, matematyki i przedmiotów ścisłych.

I na tym nie koniec.

Nikogo specjalnie nie zdziwiło, że został najlepszym sportowcem w historii szkoły. To było w końcu naturalne. Trener wyjaśnił dyrektorowi, że jego rasa przodowała we wszystkich dziedzinach sportu wymagających szybkiego biegania lub wysokich skoków.

Z początku uczniowie traktowali go jak przybysza z jakiejś obcej planety, jednakże powoli zjednał sobie ich wszystkich.

Niektóre momenty były jednak krępujące - jak na przykład zabawy taneczne z dziewczętami z "lepszyc szkół". Po kilku niezręcznych incydentach dyrektor przyznał taktownie, że najlepiej, jeśli nie będzie brał udziału w tych imprezach.

Linc usiłował ukryć przed innymi dziećmi w szkole swoje upokorzenie, a zwłaszcza przed kolegami, którzy chętnie widzieli go w swojej drużynie, ale nie u siebie w domu.

Godzinami wystawał przed lustrem, pozując obojętność, z jaką musiał znosić te częste upokorzenia.

Ze swoich prawdziwych uczuć zwierzył się jedynie Herschlowi i Hannah. Hannah dodawała mu otuchy, a Herschel siły.

- Pewnego dnia, Linc, będziesz wysoki i dumny, a im będzie kiedyś za to wstyd. Wiem, że tak będzie. Jesteś bardzo dzielny.

Kiedy nie miał zajęć na boisku, spędzał weekendy z Herschlem i Hannah. Linc przodował teraz z fizyki, toteż mógł na takie tematy jak dynamika Newtona rozmawiać z Hannah, która za czasów swego pobytu w berlińskim gimnazjum była wyjątkowo dobra w przedmiotach ścisłych.

Herschel czytał wszystkie jego wypracowania i komentował je szczegółowo. Naturalnie czasami nie zgadzali się ze sobą, ale czyż spory nie są najprawdziwszym dowodem emocjonalnego zaangażowania?

Nie zapomnieli również o obietnicy danej jego babce i zabierali go w każdą niedzielę na lekcje religii do miejscowego kościoła baptystów.

Herschel często rozmawiał z Lincolnem całymi godzinami. Opowiadał mu o Berlinie, o zdobyciu władzy przez Hitlera i o ustawach norymberskich z 1935 roku, pozbawiających Żydów wszelkich praw obywatelskich. Mówił mu, jak bardzo żałował, że tak jak jego brat, nie przewidział, co się będzie działo i nie wyjechał. Było im tam jednak dobrze. Wydawało im się, że są dobrze zasymilowani i nigdy nie sądzili, że hitlerowcy będą chcieli się ich pozbyć.

Nie mogli się powstrzymać od opowiedzenia chłopcu o obozach, o okrutnych selekcjach, które decydowały o życiu i o śmierci. Kiedy opowiedzieli mu, w jaki sposób utracili swoją małą córeczkę, Linc przez tydzień miewał po nocach jakieś koszmary. Nie mógł sobie wyobrazić nienawiści na tak olbrzymią skalę.

Linc usiłował zrozumieć nieszczęścia, które ich dotknęły, w kategoriach wiary zaszczonej mu przez babcię.

- Może taka była wola Boża? - zapytał ich kiedyś.

- Wola Boża? - odpowiedział oburzony Herschel. - Wymordowanie wszystkich członków mojej rodziny?

- Nie - odpowiedział z przekonaniem chłopiec. - To, że was ocalił, po to, żebyśmy mogli się kiedyś spotkać.

Herschel popatrzył na niego czule. - Tak, nawet ja mógłbym uwierzyć w takiego Boga.

Linc z kolei opowiadał im o swoim dzieciństwie. Pamiętał żywo, jak pułkownik (jak go dumnie nazywano) czytał mu wieczorami Pismo Święte. Jeszcze zanim ojciec wyruszył na wojnę, matka rzadko bywała w domu.

- Pamiętam tylko, jak się ubierała i wyjeżdżała na jakieś spotkania towarzyskie w Atlancie. Wszyscy mieszkaliśmy w domu babci i ona dzwoniła po prostu do sklepu, żeby ich zawiadomić, że nie wraca.

- Linc, może to i lepiej - pocieszała go za współczuciem Hannah. - Babcia dała ci przecież tyle matczynej miłości, na ile ją było stać.

- Och, nie mówię, że za nią tęskniłem - odpowiadał troszeczkę za prędko, dzielnie tłumiąc w sobie uczucia, które zawsze go gnębiły, że w jakiś sposób był przyczyną odejścia matki.

- To już nieważne - powiedział, uśmiechając się do Hannah. - Mam teraz was dwoje.

Herschel i jego brat Steve nie zgadzali się ze sobą. Żona Steve'a, Rochelle, obracając się w wyższych sferach towarzyskich, wstydziła się ich akcentów i robiła, co mogła, aby zapraszać ich jak najrzadziej. Steve z kolei nie miał respektu dla przekonań czy propozycji Herschla. W najlepszym wypadku tolerował go jako pracownika. Cóż innego jednak Herschel mógł robić? Dawno temu w Niemczech stworzył kwitnące przedsiębiorstwo. Ale potem hitlerowcy podeptali jego życie.

W 1951 roku Niemiecka Republika Federalna zaczęła nagle zwracać to, co tak brutalnie odebrała ludziom Trzecia Rzesza. Kanclerz Konrad Adenauer ogłosił, że jego rząd będzie płacił odszkodowania ofiarom swoich poprzedników.

Specjalnie wyznaczony Sąd Restytucyjny zarządził, że były właściciel Königliche Ledergesellschaft mógł teraz przejąć swoje fabryki w Berlinie, Frankfurtie i Kolonii albo też dostać za nie odpowiednie odszkodowanie.

Herschel odmówił naturalnie powrotu do Niemiec i przyjął finansowe "odszkodowanie".

Gdy tylko otrzymał pieniądze, udał się pospiesznie do biura brata i położył mu na biurku czek opiewający na dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Dziękuję ci, Steve. Nie musisz już nas traktować jak ubogich krewnych.

Dzięki uzyskanemu kapitałowi Herschel otworzył własne przedsiębiorstwo, tym razem Royal Leathercraft, najpierw w Cleveland, a potem w Columbus i Chicago. W ciągu dwóch lat został jedynym dostawcą dziecięcych butów do sieci ośmiuset sklepów McMahona.

Mały Linc był kochającym wnukiem. Dzwonił do Elvy w każdy weekend (Herschel załatwił jej bowiem instalację telefonu) i odwiedzał ją w każde święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc oraz spędzał z nią dwa tygodnie wakacji.

Ale chociaż jego związek z babcią pozostał mocny i nie zmieniony, to jednak jego dawni przyjaciele zdawali się go unikać. Nie ubierał się już tak jak oni i mówił zupełnie inaczej.

- Ty już nie jesteś Murzynem! - pogardliwie krzyknął do niego jeden z nich.

Po drugiej wizycie Linc zdał sobie sprawę z tego, że z Millersburgiem łączyła go tylko babcia.

Na wiosnę i te więzi zostały przerwane. Pewnego dnia wezwano go do gabinetu dyrektora, gdzie czekał Herschel ze smutną nowiną.

Z początku nawet łzy nie uрониł, później jednak Landsmannowie słyszeli, jak w nocy szlochał u siebie w pokoju. Poprosił Herschla, aby pojechał z nim do Millersburga na jej pogrzeb. Stał w pierwszej ławce ze spuszczoną głową, słuchając kazania pastora, który wychwalał Elwę Bennett jako świętą, lecz również niepostrzeżenie krytykował jej wnuka.

- Była wartościową kobietą. Oddała swego syna ukochanej ojczyźnie i pozwoliła, by pochowano go na obcej ziemi. Wychowała swego jedyne wnuka, który postanowił jednak opuścić swe rodzinne gniazdo. Skłonmy zatem głowy we wspólnej modlitwie za Elwę, ostatnią z rodu Bennettów pochowaną tutaj w Millersburgu.

Linc był zdruzgotany. W trakcie długiej drogi do domu Herschel próbował go pocieszyć.

- Jestem pewny, że on nie chciał tego powiedzieć. To w końcu tylko wiejski kaznodzieja...

- Mylisz się. On powiedział dokładnie to, co myślał. Chciał mnie wypędzić - i to mu się udało.

Herschel westchnął. Rozumiał smutek chłopca, cóż jednak mógł mu powiedzieć?

Linc przerwał w końcu milczenie. Popatrzył na Herschla i zapytał nagle: - Czy mógłbyś mnie zaadoptować?

- Co takiego?

- Pastor miał rację. Bennettowie wymarli. Prawdę mówiąc, nigdy właściwie nie znałem dobrze mego ojca. Pułkownik jest dla mnie tylko zdjęciem na ścianie. Nadal

część go w jakiś sposób, ale on jest już dla mnie talji odległy... To nie jego wina, naprawdę, ale myślałem o nim częściej, niż go dotykałem. To wy byliście moją rodziną z krwi i kości. Chcę nosić wasze nazwisko - przerwał. - W przeciwnym razie kiedyś nie stanie i Landsmannów.

Herschel zdołał opanować swoje emocje do czasu, kiedy mógł zjechać na pobocze i zatrzymać samochód. A potem ze łzami objął serdecznie syna.

Barney spędził ponad dwie godziny w szpitalu u Bennetta, rozmawiając o grze Celtów, jeździe figurowej Bruinsów i przyszłości drużyny Red Sox.

Podtrzymując tę trywialną rozmowę, zastanawiał się jednocześnie: Jak to możliwe, że ten facet, który jest moim najbliższym przyjacielem w całej szkole, nigdy nie mówi o swojej rodzinie? Powiedział mi tylko, że jego ojciec jest szewcem w Cleveland. Co, u diabła, ten Bennett ukrywa?

W końcu kwadrans po jedenastej - i bynajmniej nie uszło to jego uwagi, że pielęgniarki pozwoliły mu zostać po godzinach odwiedzin - podniósł się do wyjścia.

- Wiem, że wy, arystokraci, macie prywatnych guwernerów - powiedział - ale my, plebejusze, musimy chodzić na zajęcia. O ósmej mam laboratorium. Może chciałbyś, żeby ci coś jutro przynieść?

- Tylko Marilyn Monroe, jeśli to możliwe.

- Przykro mi, Ben, ale to ja teraz z nią chodzę. Coś jeszcze?

- Wiesz, dobrze byłoby, gdybyś mógł przynieść mi tutaj jakieś cywilne ubranie.

Mam nadzieję, że wydam się stąd pojutrze.

Sięgnął do nocnego stolika, podniósł pęk kluczy i rzucił je Barniemu.

- W porządku, Landsmann - odpowiedział Barney i skierował się do wyjścia.

- Pozdrów Castellano i całą resztę! - zawołał zanim Bennett.

Kiedy wsiadał do białej corvetty, którą Lance łaskawie pożyczył mu na ten wieczór, ogarnęło go nagle ogromne zmęczenie. Potrzebował snu. Następnego dnia będzie musiał znowu stawić czoło rzeczywistości, która zowie się Szkołą Medyczną.

Rozdział XVII

Większość z nich przeżyła ten pierwszy rok. Szkoła Medyczna jest chyba jednym z najlepszych dowodów potwierdzających prawdziwość teorii Karola Darwina o naturalnej selekcji. Spotykamy się tam bowiem z nader okrutną formą przetrwania organizmów najlepiej dostosowanych. Nie tyle najmądrzejszych - jak by się należało spodziewać - ile właśnie najłatwiej przystosowujących się do nieludzkich zgoła nacisków i wymogów stawianych ich umysłem i psychice.

Dowodem tego było pierwsze samobójstwo na roku.

Znaczący był również fakt, który nie uszedł bynajmniej uwagi przyszłych lekarzy, że dziekan Holmes, mówiąc o tej tragedii, podkreślał przymiotnik "pierwsze", sugerując tym samym, że spodziewał się ich więcej.

Profesor Francis James oprowadzał ich po systemie nerwowym niczym Wergiliusz Dantego po raju. Najpierw rdzeń kręgowy, odpowiedzialny za wszystkie nasze podstawowe ruchy, prowadzący do pnia mózgowego, odbierającego sygnały ze wszystkich ośrodków zmysłowych. Potem mózdzek, nasz wewnętrzny żyroskop, utrzymujący skoczka na linie, roztańczoną baletnicę na palcach i całą wewnętrzną orkiestrę w jak najlepszej harmonii.

Wreszcie całość wieńczą dwie półkule mózgowe, zawierające wszystkie skarby naszych życiowych doświadczeń, całe bogactwo wyuczonych nauk - od prostych doznań bólu i rozkoszy po satysfakcję z jedzenia i picia, odruch obronny i ucieczkę, kopulację i wydalanie oraz wszelką działalność, o której informują strony "New York Timesa".

Prędko i nieuchronnie zbliżał się okres końcowych egzaminów. Wkrótce miano ich przetestować ze wszystkiego, z całego ludzkiego ciała w jego makroskopijnym i mikroskopijnym aspekcie, a także w tym zupełnie niewidzialnym (trzeba bowiem pamiętać, że istnieje wiele wirusów, jak dotąd niedostrzegalnych pod żadnym mikroskopem).

Dar zawierania przyjaźni sprawił, że Barney miał większe szczęście od innych. Lance pożyczył mu mikroskop wraz ze wszystkimi preparatami, mógł więc aż do upadłego podziwiać wszystkie bajeczne formy raka, które obserwowane przez podwójne okulary mikroskopu promieniowały niczym zaprojektowane przez Boga gobeliny krwawych fuksji.

Z bakteriologii uzyskał pomoc ze strony Setha Lazarus, który nie tylko znał dobrze cały materiał, lecz również miał wyjątkowe zdolności do przekazywania go innym.

Jedyny problem polegał tylko na tym, że Seth mówił bardzo cicho i jeśli nie siedziało się tuż obok niego, to nawet w tych ciasnych pokojach akademickich, w których zbierali się jego słuchacze, łatwo było przeoczyć jedną czy dwie cenne perełki. Seth robił notatki z wykładów, a oni wszyscy robili notatki z Setha. Czasami mieli ochotę go kanonizować, nawet pomimo jego denerwującego dziwactwa. Seth chodził bowiem spać punktualnie o dziewiątej wieczorem. I niczym nie wzruszony, nie dał się namówić na pozostanie dłużej, nawet o piętnaście minut.

- Na litość boską, Lazarus - skarżył się jeden ze studentów. - Przecież nie jesteś już dzieckiem. Mamusia nie zabierze ci spod nosa deseru, jak nie będziesz w łóżku równo o dziewiątej. Czy choć raz nie mógłbyś się odważyć iść spać o dziesiątej?

Wszelkie prośby okazały się jednak daremne, choć Seth był najwyraźniej skruszony.

- Przykro mi - powiedział swym charakterystycznym, nieco piskliwym półgłosem. - Uważam jednak, że to bardzo ważne, abyśmy przestrzegali naturalnych rytmów naszego ciała. Po samym sobie wiem, że najlepiej funkcjonuję wcześniej rano i dlatego wstaję o piątej. Zmęczony umysł jest jak wyczerpana bateria. Przykro mi, ale muszę swoją trochę podładować. Dobranoc.

- Ciekaw jestem, czy on nadal śpi z misiem? - kpił sobie Lukę Ridgeway, kiedy Seth opuścił pokój.

- Przestań, Ridgeway - rozkazał Barney. - Seth poświęca swój czas dla takich durnowatych osłów jak my i przynajmniej powinniśmy być mu za to wdzięczni.

- No właśnie - zawtórowała Laura. - Gdybym była taka mądra jak Lazarus, to też chodziłabym spać o ósmej. I wy także!

- Nie pieprz, Castellano - skrzywił się Lukę.

- Uspokójcie się! - interweniował Barney. - Nie ma powodów, żeby się unosić.

- A odwal się, Livingston! Co to? Jesteś jej osobistą ochroną?

- Słuchajcie - powiedział Barney, uważając to potem za swoją pierwszą próbę terapii grupowej. - Musimy zdać sobie sprawę z tego, że jesteśmy teraz na skraju załamania nerwowego. Mam czasem wrażenie, że jest to częścią ich wielkiego planu zahartowania nas na przyszłość. W każdym razie, idąc wcześniej spać, Seth dowiódł nam tylko swojego rozsądku. Tak naprawdę wszyscy powinniśmy zrobić to samo.

- Znasz wszystkie nerwy czaszkowe, Lwinston? - rzucił mu ktoś wyzywająco z kąta pokoju.

- Sądzę, że potrafiłbym je wymienić.

- A potrafisz określić ich pochodzenie i podział?

- No cóż, nie znam tego na pamięć - przyznał Barney.

- No to ty idź sobie spać, a my będziemy się dalej uczyć.

- Macie rację, nic tak nie przygotowuje człowieka do przyszłych zadań życiowych jak odrobina solidnego wkuwania - zażartował. - Ja w każdym razie idę dla rozluźnienia poodbijać sobie parę razy piłkę. Jeśli chcesz, Ridgeway, to poodbijam ci trochę głowę.

- O Jezu! - jęknął Luke, kiedy Barney wyszedł z pokoju. - Z tym facetem naprawdę nie ma żartów. Jak oni w ogóle mogli przyjąć taką hołotę do tej szkoły?

- Odpierdol się, Ridgeway! - ostrzegła Laura Castellano.

- Cholera! - stwierdził ktoś rozsądnie. - Lepiej wyjdźmy stąd, zanim się tu wszyscy pozabijamy.

Nawet po intensywnej grze w koszykówkę Barney nie był w stanie dalej się uczyć. Poszedł więc o północy pobiegać. Była cicha, wiosenna noc. W powietrzu unosił się już zapach lata. Przebiegł przez aleję Longwood i skierował się na dziedziniec Szkoły Medycznej. Wkrótce zaczął odliczać okrążenia, biegnąc na skraju trawnika.

Było niemal zupełnie ciemno i tylko gdzieś z okien paru laboratoriów padały na ziemię nikiłe smugi światła.

Po pięciu minutach biegu zorientował się, że nie był sam. Z początku dostrzegł tylko sylwetkę kogoś zbliżającego się spoza wielkich marmurowych filarów budynku "A" - Czyżby to był któryś z bardziej energicznych wykładowców? Nie, to niemożliwe - ci faceci utrzymywali przecież kondycję za pomocą morderczych rozgrywek tenisowych. O tej porze nocy mógł to być tylko jakiś student, równie zmęczony jak on. Nagle przyszła mu do głowy paranoidalna myśl: A może to był ów tajemniczy morderca psów, zakradający się teraz po swoją pierwszą ludzką ofiarę.

Postać poruszała się prędko. Barney również przyspieszył kroku, dochodząc do wniosku, że należało salwować się ucieczką. Jednakże nadaremno, gdyż przy następnym okrążeniu poczuł na karku oddech drugiego biegacza.

- Cześć, Barney! - usłyszał za sobą stłumiony szept. Odwrócił się i natychmiast rozpoznał Grete Andersen.

- O Jezusie, Greta! - wysapał. - A co cię tu przyniosło o tej godzinie?

- Pewno to samo co ciebie. Wiedziałam, że będą na nas wywierać presję, ale nigdy nie przypuszczałam, że aż taką. Wydaje mi się, że wielu z nas wariuje.

- Myślę, że ludzie nie zdają sobie po prostu sprawy z tego, że nikt jeszcze nie wyleciał z tej szkoły - odpowiedział Barney.

- Obawiam się, że nie mogę się z tym zgodzić - odpowiedziała Greta drżącym głosem. - Przez cały rok usiłowałam utrzymać głowę nad powierzchnią wody i teraz naprawdę wydaje mi się, że nie dam rady.

Nagle przyszło mu na myśl, że to może Greta dostała owe sromotne jedenaście, a potem dziewięć, dziesięć i trzynaście punktów z egzaminu z biochemii.

- Słuchaj, Greto, w najgorszym wypadku każą ci powtórzyć pierwszy rok. Przysięgam ci, że są to pewne wiadomości. Każdy, kogo tu przyjęli, prędzej czy później kończy medycynę.

Przebiegli parę kroków i Greta odpowiedziała bezbarwnym tonem: - Z wyjątkiem tych, którzy przedtem popełnią samobójstwo. Słyszałam, że każdy rocznik traci z pół tuzina ludzi na drodze harakiri.

Barney powrócił nagle myślami do Maureya Eastmana i owego jesiennego wieczoru. Zastanawiał się, czy jego partnerka, która po raz pierwszy zrezygnowała z roli kociaka, nie miała przypadkiem ochoty dokonać jakiegoś aktu samounicestwienia.

- Odpocznijmy trochę, Greto, dobrze?

- Nie mam nic przeciwko temu.

Zwolnili do marszu. Barney spojrzał na jej spoconą twarz błyszczącą w blasku księżycy. O Boże, jaka ona jest piękna!

- Dlaczego zaczęłaś mówić o samobójstwie? - zapytał na tyle taktownie, na ile pozwalała mu na to sytuacja. - Czy znasz kogoś, kto miałby jakieś kłopoty?

- Z całą pewnością nie znam nikogo, kto by ich nie miał - odpowiedziała szczerze. - Wiesz chyba, że psychologowie ze Studenckiej Służby Zdrowia pracują dniami i nocami. Każdy na roku do nich chodzi, a przynajmniej każdy, kogo znam. Nigdy jeszcze tyle pigułek nie zostało zażytych przez tak niewielu...

- Jakich pigułek?

- No wiesz, amfetaminy, żeby nie zasnąć, fenobarbitany na opanowanie nerwów...

- Skąd wy to bierzecie?

- O, psychiatrzy wypisują na to recepty, a poza tym, jeśli zna się jakiegoś internistę, to można bez problemu otrzymać, co się tylko chce.

- Ty też coś bierzesz?

- Owszem, czasami - odpowiedziała defensywnie.

- A Laura?

- Prawdopodobnie też... Nie wiem. Do diabła, Barney, skończ z tym przesłuchaniem, dobrze?

Barney, który wybrał się na te nocne ćwiczenia dla rozładowania napięcia, popadł po nich w jeszcze większą panikę.

Przez cały rok Laura ani razu nie przyznała mu się, jak jej poszły testy. Było to dla niej tak nietypowe, że jedynym logicznym wnioskiem zdawało się, że je oblewała. O Boże! - pomyślał. Dlaczego bardziej nie nalegałem? Czyż nie powinienem się domyślić, że będzie za dumna na to, żeby mi o tym powiedzieć?

Oboje odpoczęli już na tyle, że mogli wracać do Vanderbilt Hall. Kiedy dobiegli do rogu naprzeciw alei Louisa Pasteura, zapytał: - Słuchaj, Greto, jak wejdiesz na górę, czy możesz poprosić Castellano, żeby do mnie zadzwoniła?

- Oczywiście, nie ma problemu.

Wbiegając na górę po dwa stopnie naraz, popatrzył na Gretę wykonującą rozciągające ćwiczenia na korytarzu na dole i pomyślał: Pospiesz się, do jasnej cholery, Andersen! Muszę wiedzieć, że Laura jest w porządku!

Nie śmiał wejść pod prysznic ze strachu, że telefon zadzwoni, kiedy będzie w łazience. Usiadł więc tylko na brzegu łóżka, czując, jak pot na jego koszulce zamienia się w lepki i nieprzyjemny zimny kompres. Usiłował zachować spokój.

W końcu zadzwonił telefon i Lance Mortimer, którego pokój był o wiele bliżej, pierwszy podniósł słuchawkę.

- Chyba masz zdolności telepatyczne - powiedział, widząc, jak Barney biegnie przez korytarz - albo też szerokobiodra Miss Roku ofiarowała ci swe ciało w ramach pomocy naukowej.

Barney złapał za telefon. - Halo, Castellano?

- Nie, Barney, to ja, Greta.

- Czy jest tam gdzieś Castellano?

- Tak, ale nie mogę jej dociągnąć do telefonu.

- Czemu nie? - zapytał Barney, trzęsąc się z zimna. - Jest zupełnie nieprzytomna, Barney. Umarła dla świata.

- Co to znaczy "umarła"? - zapytał z niepokojem Barney.

- To znaczy, że śpi tak twardo, że chyba tylko trzęsienie ziemi mogłoby ją obudzić. Nie możesz poczekać do rana?

Cóż miał na to odpowiedzieć? Kazać jej, żeby sprawdziła Laurze puls i oddech?

- Barney, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym już iść spać - odpowiedziała zniecierpliwiona Greta. - Właśnie zażyłam tabletkę i zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Do cholery! - odwarknął. - Dlaczego wy wszystkie łykacie te pigułki, jakby to były cukierki?

- Uspokój się! - odpowiedziała kojącym tonem Greta. - Każdy, z wyjątkiem może Setha Lazarusa, łyka coś, żeby przebrnąć przez te egzaminy. Słuchaj! - ziewnęła. - Zostawię dla Laury wiadomość, żeby do ciebie zadzwoniła. Dobranoc.

Barney wolno odłożył słuchawkę. Odwrócił się i zobaczył stojącego obok Mortimera.

- O jakie pigułki ci chodzi? - zapytał.

- Nie twoja sprawa, do cholery! - odwarknął Barney. - Czy zawsze musisz podsłuchiwać cudze rozmowy?

- Uspokój się! - zaprotestował przyjaźnie Lance. - Ja ci tylko próbuję pomóc.

- Co ty masz właściwie na myśli, Lance? - zapytał z sarkazmem Barney.

- Mam tu do wyboru - czerwoną, zieloną i białą samopomoc. Na którą z nich masz ochotę?

- Kim ty właściwie jesteś? Handlarzem narkotyków?

- Uspokój się, Livingston. Próbowałem ci tylko po sąsiedzku pomóc.

- O Jezu! - jęknął z wściekłością Barney i wrócił do siebie do pokoju. Usiadł na łóżku i wykonał tuzin głębokich oddechów. Po chwili zaczął żałować, że nie przyjął od Mortimera fenobarbitalu.

Obudził go nagle histeryczny ryk syreny i zgrzyt samochodowych opon przed Vanderbilt Hall.

Usiadł przerażony i sięgnął ręką na podłogę po spodnie. Nałożył je prędko na siebie, zasznurował na gołych stopach tenisówki i wybiegł z pokoju. Zbiegając ze schodów, dopadł jakiegoś studenta, którego nawet nie znał z nazwiska.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - zapytał z przerażeniem w głosie.

- Chyba straciliśmy jedną z koleżanek - odpowiedział mu student z większym rozbawieniem niż współczuciem. - Sądzę, że to wszystko przekroczyło możliwości którejś z naszych dziewczynek.

- Na litość boską, której? - krzyknął Barney.

Jego rozmówca zaledwie wzruszył ramionami. - Kto to wie? Właśnie idę na dół, żeby się dowiedzieć.

Barney wyprzedził go i pognął na dół do westybulu. W otwartych drzwiach Vanderbilt Hall zobaczył karetkę pogotowia, która podjechała prosto na chodnik, blokując otwartymi drzwiami przejście.

Po obu stronach wejścia do akademika zgromadziły się grupki studentów. Niektórzy byli na wpół ubrani, inni jeszcze w piżamach. Barney miał wrażenie, że na wszystkich twarzach malował się wyraz, jaki musiał cechować fizjonomie Rzymian w trakcie pojedynków gladiatorów - żądza ujrzenia śmierci.

Nagle u szczytu schodów prowadzących do Dziekanki pojawili się dwaj na biało odziani mężczyźni niosący nosze. Kiedy zbliżyli się do tłumu, sanitariusz idący z przodu krzyknął: - Rozstąpcie się! Do diabła, dajcie nam przejść!

Barney przepchał się przez tłum, żeby popatrzeć na nosze. Osoba, która na nich leżała, z pewnością już nie żyła. I nie dało się jej rozpoznać, gdyż całe ciało przykryto kocem. Stanął twarzą w twarz z pierwszym sanitariuszem, zastępując mu drogę.

- Kto to jest? - domagał się odpowiedzi.

Mężczyzna jęknął tylko: - Psiakrew, z drogi! - i odtrącił Barniego ramieniem.

Ktoś dotknął jego ręki.

- Barney?

To była Laura. Błada jak duch, ale żywa.

- O Chryste, Castellano! - westchnął. Jak się cieszę, że cię widzę!

Była w stanie szoku. - To ja musiałam być tą, co znalazła ciało... Nie masz pojęcia, jak...

- Kto? - przerwał jej niecierpliwie. - Kto to jest?

- Alison Redmond - odpowiedziała Laura, a potem ze szklistymi oczyma zaczęła mu opisywać swoje szokujące odkrycie.

- Przecięła sobie skalpelem żyły. Zalala krwią całą łazienkę. - Zachwiała się lekko. - O cholera, kreci mi się w głowie. Muszę usiąść.

Barney objął ją ramieniem i pomógł jej usiąść na krześle w kącie korytarza. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę z siły przeżytego właśnie szoku. Ktoś, kogo znał, właśnie odebrał sobie życie.

- Lauro, czy wiesz może, dlaczego ona to zrobiła?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko... - tu głos jej się załamał - że leżała tam na tej przeklętej podłodze w kałuży krwi... - Straciła wszelkie panowanie nad sobą i wybuchnęła głośnym płaczem.

- Przepraszam, panno Castellano - odezwał się znajomy głos. Oboje byli zbyt zajęci, aby zauważyć pojawienie się dziekana Holmesa.

- Laura znalazła ciało, panie dziekanie. Rozumie więc pan chyba... - wyjaśnił Barney.

- Oczywiście - odpowiedział dziekan, kiedy Laura usiłowała się opanować. - Alison była tak niezwykle uzdolnioną dziewczyną. Podobno nie zwierzała się innym dziewczętom, ale powiedziano mi, że była najbliższej ciębie, Lauro. Miałem nadzieję, że będziesz mogła nam pomóc. Może zeszlibyśmy na dół do jadalni, żeby się czegoś napić?

Laura spojrzała na stojącego przed nią starszego człowieka. Twarz jego dziwnie pozbawiona była wszelkich emocji. Być może ta zdolność do nieokazywania po sobie żadnych uczuć wynikała z faktu, że był lekarzem.

- Czy mogę zejść z Laurą? - zapytał Barney, wiedząc, że potrzebowała jego pomocy.

- Oczywiście, Livingston. Może pomożesz rzucić jakieś światło na ten niefortunny incydent.

Usiedli w nie oświetlonej sali. Panujący tam półmrok stanowił odpowiednie tło do tej smutnej rozmowy. Popijali herbatę w plastikowych kubkach z automatu. Asystent przyniósł dziekanowi teczkę wypełnioną świadectwami Alison Redmond.

Holmes napił się herbaty i wszczął dochodzenie.

- Lauro, czy nie zauważyłaś może czegoś niezwykłego w zachowaniu Alison?

Laura wzruszyła ramionami. - Wiem tylko, że traktowała naukę bardzo poważnie. Bardzo się poświęcała...

- Chodzi mi o wszelkie patologie, zmiany nastroju, dziwactwa i tak dalej.

- Doktorze Holmes - zaczęła ponownie Laura - mówiąc o tym, że się poświęcała nauce, miałam na myśli patologię. Miała obsesję na punkcie swojej pracy.

- Aha, obsesję - powtórzył Holmes najwidoczniej zadowolony z terminologii choć trochę przypominającej medyczną.

- Jeśli mógłbym tu coś dodać... - wtrącił Barney. - Onabyła wprost niewiarygodnie ambitna i ciągle musiała ze wszystkimi konkurować. Wiem, że wszyscy jesteśmy tu w pewnym sensie tacy, ale ona była jak jakaś rozpalona do białości lokomotywa, w każdej chwili gotowa wybuchnąć.

Barney zamilkł, jakby chciał zobaczyć, czy jego wykład zrobił wrażenie na dziekanie.

- Czy mógłbyś to sprecyzować, Livingston?

- Na przykład zaczęła zajęcia z anatomii przy naszym stole, lecz kiedy tylko dotarło do niej, że Seth Lazarus ciął lepiej od nas, natychmiast zaczęła nalegać, żeby Lubar pozwolił jej pracować z Sethem. Ona zawsze musiała być najlepsza. Wydaje mi się, że stawiała przed sobą wprost niewiarygodnie wysokie wymagania i kiedy zorientowała się, że nie była najlepsza na roku, nie mogła się z tym pogodzić.

Dziekan milczał przez chwilę, przyglądając się dziwnie twarzy Barniego.

W końcu odezwał się: - Ta dziewczyna rzeczywiście była najlepsza.

- O! - zdziwił się Barney.

Holmes rozłożył przed sobą kilka dokumentów.

- To jest wykaz jej wszystkich osiągnięć. We wszystkim była najlepsza na roku. Nawet Pfeifer, który jest niezwykle wymagający, ocenił ją na dziewięćdziesiąt dziewięć punktów, co jest w ogóle niespotykane.

O cholera! - pomyślał Barney. A więc to ona była na szczycie totemicznego pala z biochemii!

- Czy ona była w kimś romantycznie zaangażowana, Lauro?

- Nie - odpowiedziała Laura po chwili wahania, zastanawiając się, ile jeszcze mogła na ten temat powiedzieć. - Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że ona bała się mężczyzn. Sądzę, że jej agresywność miała charakter przeciwfobiczny - jeśli w ogóle właściwie używam tego terminu. Fakt, że była najlepsza, z pewnością gwarantował, że mężczyźni trzymali się od niej z daleka.

Holmes pokiwał głową. - To interesująca hipoteza. Zobaczę, jak się ustosunkuje do tego jej psychiatra. Chodziła regularnie do kogoś ze Studenckiej Służby Zdrowia.

Nagle ktoś w drzwiach zawołał: - Panie dziekanie, czy mógłbym pana poprosić na minutę?

Dziekan skinął siwą głową i zwrócił się do Barneygo i Laury:

- Przepraszam was na chwilę, to nie potrwa długo. Barney i Laura czekali na niego w ciemności.

- Czuję się jak głupiec.

- Barney - odpowiedziała mu na to. - Oboje powiedzieliśmy mniej więcej to samo. Skąd, u diabła, mogliśmy wiedzieć, że ona była najlepszą studentką na roku, skoro dopiero on nam o tym powiedział? Alison była tak cholernie skryta...

Dziekan wrócił do ich stolika, trzymając w ręku notatnik na spirali z wytłoczonym na okładce godłem szkoły. Nie usiadł, tylko im oznajmił: - Oboje bardzo mi pomogliście. Dziękuję.

To jasne, że zostali odprawieni. Barney nie miał jednak zamiaru odejść bez rozwiązania tej zagadki.

- Panie dziekanie, czy mógłby mi pan powiedzieć, o co chodzi?

- To są uprzywilejowane informacje, Livingston.

Barney nie dawał za wygraną i nalegał dalej: - Panie dziekanie, jeszcze dwie minuty temu we trójkę uczestniczyliśmy w "uprzywilejowanej" rozmowie. Jeśli mógł pan zaufać nam wówczas, dlaczego nie ufa nam pan teraz?

- Sądzę, że ma pan rację, Livingston. Szczerze mówiąc, gdyby nie ta nasza rozmowa, nie miałbym pojęcia, do czego odnosi się ta bazgranina Alison.

- Jaka bazgranina, panie dziekanie?

- Sam popatrz. - Dziekan podał mu notes. - Przyjrzyj się ostatnim dziesięciu stronom.

Strona po stronie powtarzały się dwa słowa wypisane linijka po linijce:

"Doganiają mnie, doganiają mnie, doganiają mnie..."

Barney zastanawiał się tylko, dlaczego jej psychiatra tego nie wychwytał? Co on, u diabła, robił na tych sesjach? Czyścił sobie paznokcie?

Laura wypowiedziała głośno swoje myśli: - Powinam była to zauważyć w tych wszystkich naszych rozmowach. Powinam zauważyć tę jej chorobliwą ambicję...

- Proszę cię, Lauro - powiedział łagodnym tonem dziekan Holmes. - Przecież nie mogłaś wiedzieć, co ona zamierzała zrobić. Nie wyczuł tego nawet doświadczony lekarz.

Barney zwrócił mu notes, a dziekan pokiwał głową. - Teraz pozostaje mi tylko nieprzyjemne zadanie poinformowania o tym rodziców tej dziewczyny. - Westchnął. -

To najcięższa rzecz. Można być lekarzem nawet i sto lat i nadal nie potrafić spojrzeć w oczy rodzinie.

Barney patrzył za odchodzącym wolno dziekanem i pomyślał: - Po raz pierwszy widziałem, jak stracił równowagę. Jeśli on nie jest w stanie wytrzymać wszystkich wstrząsów związanych z tym zawodem, to któż to potrafi?

Zastanawiał się, co w tej chwili myślał psychiatra Alison. Czy dręczyły go jakieś wyrzuty sumienia, przygniatało poczucie klęski?

Potem zapytał samego siebie: - Dlaczego myślisz o zmartwieniach innych ludzi? Czyżbyś chciał przez to uniknąć analizy własnych uczuć?

Nie - odpowiedział mu na to wewnętrzny głos. - Po prostu żał mi Alison. To może dziwne, ale szkoda, że nie byłem dla niej lepszym przyjacielem. Żałuję nawet, że nie byłem jej psychiatrą.

Wiadomość o śmierci Alison zelektryzowała całą szkołę. W odruchu samoobrony rozmawiali o tym, jak o wydarzeniu na jakiejś odległej planecie.

Dziekan Holmes osobiście zaproponował, że będzie reprezentował szkołę na pogrzebie. Rodzice Alison odmówili mu jednak.

- Ciekawa jestem dlaczego? - zapytała Laura, siedząc wśród grupy studentów w trakcie obiadu.

- Moim zdaniem - odpowiedział Barney, zniżając głos dla nadania swojej hipotezie większego autorytetu - to dlatego, że oni prawdopodobnie uważają samobójstwo córki za swoją osobistą klęskę, swojego rodzaju kapitulację.

- I w jaki sposób doszedłeś do tak definitywnej konkluzji, doktorze, skoro nawet nie widziałeś jej rodziców? - zapytał Hank Dwyer.

- Hank, nerwice to nie wirusy i nie unoszą się w powietrzu. Powstają w określonym miejscu, którym jest ten trzyliterowy wyraz - dom.

- O mój Boże, ale jesteśmy dzisiaj mądrzy! - zauważył Peter Wyman z końca stołu. - A co powiedziałbyś o mnie? Co mógłbyś wydedukować na temat moich rodziców?

Barney popatrzył na niego, zastanowił się i orzekł: - No cóż, Peter, powiedziałbym, że wyjątkowo nie mieli szczęścia.

Udając obojętność wobec tych uszczypliwości, Peter odwrócił się do nich plecami i wyszedł.

- Powiedziałbym, że ten facet byłby skłonny przyłożyć sobie brzytwę do nadgarstków.

- Nic się nie martw - odezwał się poważnie Barney. - Jeszcze się może okazać, że masz rację. W końcu statystyki twierdzą, że szkoły medyczne tracą w ten sposób od trzech do pięciu ludzi na każdym roku.

- Czy wiesz, co to oznacza? - zapytał Hank Dwyer. - Statystycznie rzecz biorąc, jedna osoba siedząca teraz z nami przy stole będzie dwa metry pod ziemią przed ukończeniem studiów.

Spojrzeli po sobie.

- Nie patrzcie tak na mnie - uśmiechnął się Bennett. - Nie mam zamiaru umierać, zanim nie uzyskam pisemnego zapewnienia, że w niebie nie ma segregacji.

- Lauro, wycofujesz się z danej mi obietnicy - zauważył ze złością Palmer, kiedy siedzieli w niszy na parterze w Vanderbilt Hall.

- Wcale nie. Powiedziałam, że cię poślubię, ale nie wcześniej niż po ukończeniu studiów.

Nagle Palmer popatrzył na nią z wściekłością i odezwał się ostro:

- Słuchaj, Lauro, chcę, żebyśmy się natychmiast pobrali.

Nigdy nie słyszała w jego głosie takiego władczego tonu.

- Skąd ta nagle natarczywość? - spytała.

- Do diabła, Lauro, to nie jest czas na żarty - zaczerpnął powietrza, żeby się uspokoić i powiedział: - Otrzymałem wezwanie do wojska.

- O!

- Mam tylko sześćdziesiąt dni, Lauro, i chcę, żebyśmy się pobrali, zanim pójde do jednostki. Muszę mieć tę pewność.

- Palmer, to niesprawiedliwe. Wywierasz na mnie ogromną presję.

Zaczął ją błagać: - Na miłość boską, Lauro, wiesz przecież, jak bardzo cię kocham.

Owszem - przyznała w duchu - wiem, że mnie kochasz, Palmer. Ale ciągle potrzeba mi czasu, żeby się przekonać, czy ja potrafię ci tę miłość odwzajemnić. Czy potrafię kochać jakiegokolwiek mężczyznę na tyle, żeby móc wyjść za niego za mąż.

Bolesnie świadoma swego okrucieństwa ciągnęła już na głos dalej: - No i sam popatrz, w jakim to okresie zdecydowałeś się, żeby mi oznajmić swoje ultimatum. W

ciągu następnych pięciu dni mam cztery końcowe egzaminy. Nie mogłeś poczekać jeszcze tydzień, żeby mnie powalić tym emocjonalnym szantażem?

Widziała po wyrazie jego twarzy, że gniew jej zrobił mu przykrość i z miejsca poczuła skruchę.

- Słuchaj, przykro mi - powiedziała cicho. - Sądzę, że posunęłam się za daleko. Nie masz pojęcia, w jakim napięciu jesteśmy tu wszyscy. Zwłaszcza po tym wypadku z Alison.

Skinął głową. - To ja powinienem cię przeprosić. Wybrałem cholernie niewłaściwy moment, żeby z tym wyskoczyć.

A potem dodał niczym pokorny adorator z czapką w ręku: - Czy masz może jakieś plany na piątek wieczór po twoim ostatnim egzaminie?

- No cóż, jest u nas taka tradycja, że każdy upija się potem baryłką piwa. - Po czym prędko dodała: - Wiesz jednak, że nie lubię takich rzeczy. Może poszlibyśmy za to gdzieś na kolację?

- Dobrze. Czy spędzisz potem u mnie weekend?

- Oczywiście. Może. To znaczy... dobrze.

Pocałował ją w czoło, bojąc się, że cokolwiek bardziej namiętnego mogłoby zerwać tę nadwężoną i cienką nitkę, która ich jeszcze łączyła.

Było już dobrze po północy, kiedy Laura stanęła przed pokojem Barniego. Słyszac ciężki, miarowy oddech, doszła do wniosku, że Barney był zajęty. Do diabła! - pomyślała. Naprawdę muszę z nim porozmawiać!

Pomiędzy każdym ciężkim oddechem słyszała jego zadyszany głos: - Jeszcze trochę, nie przerywaj, już niedługo!

Zawstydzona odeszła.

Tymczasem Barney sapał dalej: czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt. Potem wstał, myśląc sobie: - Dwa dni bez snu i nadal potrafię zaliczyć pięćdziesiąt pompek. Całkiem nieźle, Livingston. Udało ci się zachować formę!

Niewielu z jego kolegów mogłoby się tym poszczycić.

- W ciąży?

- Aha. Nie mogę w to uwierzyć, Cheryl będzie miała dziecko!

Hank zatrzymał Barniego na dziedzińcu, aby ogłosić mu tę dobrą nowinę.

- Gratulacje, Hank, kiedy ma rodzić?

- Jakoś z początkiem sierpnia albo może w ostatnim tygodniu lipca. Nigdy nie wiadomo przy pierwszym dziecku.

Kiedy Hank odwrócił się i odszedł, Barney policzył coś na palcach i uśmiechnął się.

Przy obiedzie podzielił się tą nowiną z Laurą. Bardzo się ucieszyła.

- To nie wszystko - ciągnął Barney. - Hank będzie wspaniałym położnikiem.

- Na jakiej podstawie opierasz swoje przypuszczenia, Barney?

- Na sześć miesięcy naprzód potrafi przewidzieć, że dziecko urodzi się o cztery tygodnie za wcześnie.

Rozdział XVIII

Na koniec przystąpili do egzaminów. Zdrowy rozsądek okazał się najwłaściwszy - tylko czterech studentów oblało. Trzem z nich zaproponowano powtórzenie pierwszego roku, a czwartemu kazano wziąć urlop i wrócić na studia po dwudziestu czterech miesiącach.

Większość z nich spędziła lato, usiłując usunąć z mózgów nikomu nieprzydatne drobiazgi i przygotować się do ważniejszych zadań, jakie stały przed nimi. Wreszcie pojawiło się przed nimi światło. Mimo że nikłe jak promień oftalmoskopu i ledwie widoczne na końcu tunelu z podręczników, to jednak padało na chorych, czekających na to, aby ich leczyć.

Wielu z nich podjęło pracę w laboratoriach, badając preparaty krwi, moczu i innych substancji i szukając w nich mikroorganizmów, aby ich zwierzchnicy mogli wykorzystać ten wysiłek i oprzeć na nim swoje diagnozy.

Niektórzy z nich zajęli wyższe laboratoryjne stanowiska, tak jak Peter Wyman, który został zaangażowany do badań naukowych pod egidą profesora Pfeifera.

Seth Lazarus pojechał do domu, aby zająć odpowiedzialne stanowisko na oddziale patologii w Szkole Medycznej przy uniwersytecie w Chicago, gdzie pracował już przez dwa kolejne letnie sezony. Jak zwykle Bennett Landsmann miał inne plany niż wszyscy. Z początku, jak powiedział Barniemu w zaufaniu, gdyż reszta roku uważała go za lekkoducha, zamierzał jechać do Chile na narty. Jednakże ponieważ jego ścięgno Achillesa nie zagoiło się jeszcze na tyle, aby można było ryzykować takie niebezpieczne przedsięwzięcie, postanowił wyjechać ze swoimi rodzicami w podróż po Morzu Egejskim. Oni mieli oglądać ruiny, a on zamierzał nurkować i badać morskie głębiny.

Hank Dwyer dostał pracę sanitariusza w prywatnym sanatorium. Było to w pobliżu ich bostońskiego mieszkania, więc mógł dzięki temu spędzać jak najwięcej czasu z Cheryl, której ciąża była już bardzo zaawansowana.

Laura miała szczęście i pecha zarazem, kiedy zaproponowano jej pracę naukową dla Pfeifera. Był to niewątpliwy zaszczyt, lecz musiała się pogodzić z faktem, że ohydny Wyman miał zostać jej szefem. Początkowo wybór wybitnego chemika zaskoczył Barniego. - Nie obrażaj się, Castellano, ale dlaczego, do licha, Pfeifer wybrał właśnie ciebie?

Laura wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia. Cieszę się jednak, że nie muszę wracać do domu.

Wszystko jednak wyjaśniło się w momencie ogłoszenia wyników. Laura Castellano osiągnęła zaskakującą średnią - pięć minus. Barniemu, który swoją czwórkę z plusem uważał za wyjątkowe osiągnięcie, wydawało się to szczególnie niewiarygodne.

Prawda wyszła na jaw i Barney mógł teraz porozmawiać o tym z Laurą.

- Nie zaprzeczaj, Castellano, byłaś jedną z tych, co dostali te dziewięćdziesiąt osiem punktów z biochemii, czy nie tak?

- No dobrze, inspektorze. Przyznaję, że przyparł mnie pan do muru.

- Ale dlaczego, u diabła, trzymałaś to w takiej tajemnicy? Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Z początku myślałam, że to tylko głupi łut szczęścia. A potem...

Nie musiała dokończyć tego zdania. Barney potrafił czytać w jej myślach. Nie chciała mu robić przykrości.

Barney nie mógł sobie pozwolić na pracę choćby i na "przedmieściach" naukowego świata. Kiedy ogłoszono, że Szkoła Medyczna podnosi opłaty za naukę, wiedział, że będzie musiał postarać się o lepiej płatne zajęcie.

Został więc taksówkarzem, pracując na nocną zmianę dla pana Koplowitza, który posiadał własną taksówkę i mieszkał przy sąsiedniej ulicy.

Barney pojechał tego lata do domu zarówno z powodów sentymentalnych, jak i ekonomicznych. Jesienią mieli wystawić dom na sprzedaż i niebawem ktoś obcy wprowadzi się pewno do pokoju, w którym pozostało tyle jego dziecięcych marzeń.

Estelle, która z końcem czerwca przeszła oficjalnie na emeryturę, spędzała lato w ogrodzie, popijając herbatę z Inez Castellano i rozmawiając z nią, kiedy ona miała na to ochotę, lub po prostu milcząco dotrzymując jej towarzystwa, kiedy przenosiła się gdzieś do swojego prywatnego świata. Rozglądając się po ogrodzie, wspominała dni, kiedy bawiła się w nim trójka dzieci.

Śniadania jadała z synami - z Barniem, który właśnie wracał do domu z nocy, i Warrenem, który zaraz potem wychodził. Przygotowywał się do swojej kariery, pracując jako praktykant w firmie prawniczej.

Wieczorami najczęściej chłopców nie było w domu. Barney siedział gdzieś za kierownicą, a Warren wychodził na któreś ze swoich romantycznych spotkań. Coraz

częściej Inez przychodziła do nich nie tyle dla towarzystwa, co w poszukiwaniu schronienia.

Luis posunął się w swoim nałogu do awanturniczego pijaństwa. O dziewiątej wieczorem zamieniał się już w rozwścieczonego, a ostatnio nawet i w triumfującego lwa. Jego bożyszczem, Fidel Castro, zdołał bowiem w końcu pokonać Batistę i wyzwolić kubański naród. Czyż nie należało zatem uczcić tego kieliszkiem Cuba Libre? Albo nawet i dwoma czy dziesięcioma?

Sentymenty te nie zjednywały mu serc bardziej patriotycznych mieszkańców Brooklynu, tym bardziej że Castro skonfiskował amerykańskie fabryki cukru. Nikt oprócz niego nie krzychał tam: *¡Viva el pueblo cubano!*

Sąsiedzi zaczęli się skarżyć. Parę osób podeszło do Estelle, prosząc ją, aby wstawiła się za nimi i kazała Luisowi wytrzeźwieć albo przynajmniej siedzieć cicho.

Stan niegdyś oddanego swej pracy doktora pogarszał się z każdym dniem. Zapłacił już mandat za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. Następny incydent tego rodzaju pozbawiłby go przypuszczalnie prawa jazdy, a może nawet i prawa do wykonywania zawodu.

- Czy nie mogłabyś czegoś zrobić, żeby mu pomóc? - zapytała Estelle przyjaciółkę.

Inez pokręciła przecząco głową. - Modliłam się za niego - mruknęła półgłosem. - Prosiłam Najświętszą Panienkę, żeby wybawiła go z tego cierpienia.

- Ach, tak! - powiedziała Estelle. - Czy nie masz tu jednak kogoś... bliższego, kto mógłby z nim porozmawiać?

- Ojciec Francisco Xavier też się próbował za nim wstawić.

- Czy to znaczy, że Luis poszedł do kościoła?

- Nie - odpowiedziała Inez. - Zaprosiłam ojca do nas do domu w zeszłą niedzielę po południu.

- I co się stało?

- *¡Ay! No me pregunta.* Luis zachowywał się jak szaleniec, wrzeszczał na ojca, przeklinał Kościół i wszystkich hiszpańskich biskupów, którzy poparli Franco. Ojciec nie został nawet na podwieczorku.

Wcale mu się nie dziwię - pomyślała sobie Estelle.

Inez pograżyła się nagle w modlitwie. Estelle zastanawiała się, dlaczego Laura nawet nie próbowała im pomóc. Jakżeż mogła tak ignorować swoją rodzinę, która potrzebowała jej tak bardzo?

Następnego ranka poruszyła ten temat z Barnim przy śniadaniu.

- Uważam, że Laura uchyla się w tym wypadku od odpowiedzialności - stwierdziła Estelle.

- Mamo, ona próbowała. Zapewniam cię, że próbowała. Luis powiedział jej jednak coś niewybaczalnego w czasie ostatniej rozmowy.

- Co takiego? - zapytał Warren.

- No cóż - odpowiedział wolno Barney - między innymi wrzasnął na nią: "Przestań mnie pouczać, jakbyś była moim synem!"

Przy śniadaniowym stole zapadła cisza. W końcu Estelle odezwała się: - Biedna dziewczyna.

- To naprawdę potworne - przyznał Warren. - Ma dwoje rodziców, a jest sama jak palec. Mogę się założyć, że poślubi tego Palmera, czy jak mu tam, z czystej desperacji.

- Nie byłbym tego taki pewien - ostrzegł go Barney. - Palmer idzie do wojska i oboje zawiesili na razie swoją znajomość.

Estelle przeraziła się. - Ciekawa jestem, co się z tą dziewczyną stanie?

Ja również - myślał w głębi duszy Barney.

Pewnego upalnego sierpniowego poranka Laura odprowadzała Palmera do centrum poborowego przy bostońskiej bazie.

- Będę do ciebie pisać, Lauro. Proszę cię, wyślij mi od czasu do czasu pocztówkę, żebym wiedział, że coś ode mnie dostałaś...

- Daj spokój, wiesz przecież, że będę pisać. Czy ty rzeczywiście chcesz iść do tej Szkoły Oficerskiej? To przecież będzie oznaczało jeszcze dłuższe siedzenie w mundurze.

- Lauro, jeśli już mam cię stracić, to ten dodatkowy okres nie ma żadnego znaczenia. Przynajmniej będę mógł zatopić swój smutek w oficerskim kasynie.

- Nie stracisz mnie, Palmer. Ja przecież nigdzie nie wyjeżdżam.

- Obiecuję ci, że będę ci wierny.

- Nie wygłupiaj się, proszę. Nie oczekuję po tobie, żebyś był mnichem. To nie byłoby naturalne.

Nieszczęśliwy Palmer wywnioskował z tego, że Laura zamierzała podczas jego nieobecności prowadzić bogate życie towarzyskie.

- Pamiętaj jednak, Lauro, że nigdy nie znajdziesz nikogo tak ci oddanego jak ja.

Odjeżdżając w stronę Szkoły Medycznej (zawsze hojny Palmer zostawił pod jej opieką swojego porsche'a), pomyślała, że prawdopodobnie miał rację. Nikt nigdy nie będzie jej kochał tak bezkrytycznie jak Palmer.

Wyman był już w laboratorium i stukał coś na staroświeckiej maszynie do pisania. Miał mocno podkrążone oczy.

- Dzień dobry, Lauro. Jak się dzisiaj miewasz?

- O rany, a coś ty dzisiaj z rana taki dobroniusz, doktorze Frankenstein?

- No cóż - odezwał się Piotr Wielki, pochylając się nad maszyną - to dziwne, że pytasz. Tak się jednak składa, że dzisiejszy dzień przejdzie do annałów historii medycyny.

- Co ty powiesz? - odpowiedziała Laura. - Zamierzasz może zrezygnować z zawodu?

Zignorował jej przytyk. - Panno Castellano, w dniu dzisiejszym zostają przyjęte oficjalne wyniki moich badań. Całą noc siedziałem nad ukończeniem tego artykułu.

- Jesteś pewien, że go opublikują?

Wyman uśmiechnął się. - Moja droga, profesor Pfeifer jest recenzentem.

Po kilku tygodniach dowiedziała się jednak, że Peter nie miał wyjątkowego prawa do chwalenia się swoim autorstwem. Według obowiązującej praktyki, wszystkie wyniki badań pochodzące z danego laboratorium podpisywane były nazwiskiem najstarszego naukowca. Artykuł Petera ukazał się więc przede wszystkim jako praca Michaela Pfeifera, potem Keitha Macdonalda, głównego asystenta w ubiegłym roku, a geniusz Wymana pojawił się dopiero na końcu. I tak miał szczęście, gdyż artykuły tego typu mają zazwyczaj pół tuzina autorów.

W związku z tym, że rząd Stanów Zjednoczonych był wyjątkowo hojny w finansowaniu jego pracy, Pfeifer mógł sobie pozwolić na dziewięciu pełnoetatowych asystentów, w rezultacie czego "jego" wydajność tego lata była wręcz zdumiewająca. Na jednej z publikacji pojawiło się nawet nazwisko Laury. Mimo że sama zlekceważyła uprzednio uniesienie Wymana wywołane drukiem jego nazwiska, teraz, kiedy przyszła kolej na nią, poczuła tę samą euforię i koniecznie zapragnęła podzielić się nią z kimś bliskim. Poczula nawet w pewnym momencie nieodpartą chęć zadzwonienia do domu, lecz natychmiast zdusiła ją w sobie. Co ją, u diabła, obchodzi, co o niej myśli zapity ojciec? Wiedziała jednak, że Barney się ucieszy.

I miała rację.

- Jestem pewien, że to dopiero pierwsza z tysiąca! - gratulował jej przez telefon.
- I mam nadzieję, że ten osioł Wyman dostanie wrzodów, kiedy o tym usłyszy.

O mój Boże, jak on mnie dobrze zna! - pomyślała sobie, odkładając słuchawkę. Nic na świecie nie sprawiłoby mi większej radości niż pobicie Wymana. I kiedyś go pobiję!

Seth Lazarus wyszedł z gotującego się autobusu na piekące słońce. Nawet o siódmej trzydzieści rano Chicago było nie do wytrzymania w lecie.

Na szczęście miał tylko parę kroków do drzwi szpitala, w którym laboratorium patologiczne utrzymywane było w wyjątkowo chłodnych temperaturach dla zapobieżenia rozkładowi "pacjentów" - jak uporczywie nalegał, żeby ich tak nazywać, jego zwierzchnik, profesor Thomas Matthews. ("Jak z nimi skończymy i wyślemy ich grabarzom, to wtedy możecie nazywać ich trupami".)

Było to jego trzecie lato w "domu śmierci", jak określali laboratorium patologiczne szpitalni lekarze. To tutaj nauczył się zręcznego operowania skalpelem, resekcji tkanki do celów badawczych oraz ogólnego poszanowania dla ludzkiego ciała - żywego czy martwego.

Już w trakcie drugiego lata doktor Matthews powierzył mu robienie nacięć i pierwszą ocenę organów pacjenta. Czasami pozwalał mu nawet na sugerowanie przypuszczalnej przyczyny zgonu. Naturalnie doktor sam podejmował ostateczną decyzję w tej sprawie, lecz w większości wypadków Seth miał rację.

Atmosfera na patologii była zupełnie inna niż na zajęciach z anatomii. Panowała tu nieomal kompletna cisza, wynikająca być może z szacunku dla zmarłych. Dla kontrastu szkolne laboratorium przypominało pandemonium, w którym studenci strzelali nieprzyzwoitymi żartami, aby zatuszować w ten sposób swoją niepewność, nieudolność i strach.

Seth czuł się tu dobrze, choć w przerwach na kawę często patrzył przez okno na przechodzące po ruchliwych ulicach kobiety, zastanawiając się, czy fakt, że postanowił przebywać tu wśród tych zimnych ciał leżących nieruchomo na stole, nie świadczył przypadkiem o jego dziwactwie.

Na studiach miał przecież wymówkę. Chciał zmieścić pełne cztery lata nauki w trzech, gdyż tak bardzo pragnął zostać lekarzem. To chyba zatem zrozumiałe, że nie prowadził żadnego życia towarzyskiego.

Nigdy jednak nie miał właściwie przyjaciół wśród żadnej z płci. Koledzy przychodzili do niego tylko w czasie egzaminów, gniotąc się w jego akademickim pokoju i błagając o pomoc i wyjaśnienie skomplikowanego materiału.

Przez ostatnie dwa lata patrzył z nosem opartym o klimatyzowaną szybę na to wszystko, do czego tak bardzo pragnął się przyłączyć, czując jednocześnie, że nie ma do tego prawa.

Czy z tego powodu wybrał patologię? A może raczej dlatego, że był to jedyny pewny sposób na uniknięcie konieczności informowania rodziny o tym, że ich bliscy cierpią na nieuleczalne schorzenia?

Pewnego lipcowego dnia szef zapytał Seta, czy zamierza zejść do jadalni na obiad.

- Bo jeśli tak, to czy mógłbym cię prosić, żebyś mi kupił w kiosku dodatkową "Trybunę"? Na sportowej stronie jest artykuł o moim synu. Jest znakomitym zawodnikiem w Lidze Juniorów. Wczoraj rzucił trzy piłki nie do obrony.

- Gratulacje! - odpowiedział Seth. I prędko dodał: - Czy jedna gazeta wystarczy, proszę pana?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie. - Seth, ile razy mam ci powtarzać, żebyś się do mnie zwracał po imieniu? Nie jesteś tutaj chłopcem na posyłki. Owszem, jedna gazeta wystarczy. Moja żona kupiła mi już pewno z pół tuzina.

- Dobrze. Dziękuję.

Winda w porze obiadowej wypełniona była pielęgniarkami łaknącymi czegoś do zjedzenia i lekarzami złaknionymi pielęgniarek.

Seth dojechał na pierwsze piętro i podszedł do kiosku z gazetami. Kupił gazetę i przeglądając "New Yorkera", zauważył przechodzącą obok grupę ładnych pielęgniarek.

Jedna z trójki odwróciła się w jego stronę i krzyknęła: - O mój Boże! - Potem uśmiechnęła się i zawołała do niego po imieniu: - Seth! Seth Lazarus! Nie mogę w to uwierzyć! Czy to naprawdę ty?

- Słuchajcie! - zwróciła się do swoich przyjaciółek. - To nie do wiary, ale to właśnie jest ten facet, o którym wam przed chwilą mówiłam. Skończył szkołę średnią w trzy lata - i popatrzcie! Już został lekarzem!

Dopiero wówczas Seth uzmysłowił sobie, że nadal miał na sobie biały fartuch z małą plastikową plakietką wpiętą w klapę, identyfikującą go jako doktora Lazarusa.

- Do licha, naprawdę nie mogę w to uwierzyć, że to ty, Seth - ciągnęła z podnieceniem dziewczyna. - Mogę się założyć, że mnie nie pamiętasz. No bo i dlaczego miałbyś mnie zapamiętać? Powtarzałam chemię ogólną, żeby móc się dostać do Szkoły Pielęgniarskiej, i ty pomagałeś nam wszystkim w doświadczeniach. A zwłaszcza mnie! No i popatrz - zostałam pielęgniarką!

Seth nie był przyzwyczajony do tego, żeby ktoś poświęcał mu tyle uwagi.

Oniemiał co prawda, ale jeszcze nie oślepił. Prędko spojrział na nazwisko wypisane na jej plakietce na fartuchu, a potem z całym taktem, na jaki go było stać, zadebiutował jako damski uwodziciel:

- Jakżeż mógłbym zapomnieć Judy Gordon i jej wprost dysocjujących człowieka na miejscu oczu.

Trzy pielęgniarki roześmiały się: - A co to znaczy?

- Och! - odpowiedział Seth, trochę zawstydzony swoją mimowolnie kwiecistą retoryką. - To taki termin używany w chemii, oznaczający rozpad na czynniki pierwsze.

Judy uśmiechnęła się. - Bardzo mi to pochlebia, że mnie pamiętasz. A tak nawiasem mówiąc, to są moje przyjaciółki: Lillian i Maggie.

- Miło mi was poznać - powiedział uprzejmie. - Na którym oddziale pracujecie?

- Na wielkim "O" - odparła ponurym tonem Judy.

- Onkologia jest bardzo ciężka - przyznał Seth. - Nie sądzę, abyście widziały wielu pacjentów wychodzących tymi drzwiami, którymi tam weszli.

- To prawda - przytaknęła. - Czasami to bardzo przygnębiające. Pielęgniarki zmieniają się u nas bardzo często. A co u ciebie słyhać, Seth?

- Jestem na patologii, w laboratorium. A poza tym nie jestem jeszcze lekarzem. Jestem tu tylko na okres wakacji.

W trakcie całej rozmowy mózg Setha pracował gorączkowo. Nie zamierzał zmarnować tej szansy.

- Czy idziesz może teraz na obiad? - zapytał.

- Och, właśnie wracamy z jadalni - odpowiedziała z rozczarowaniem w głosie. - Kończymy przerwę za minutę. Ale może moglibyśmy się spotkać innym razem?

- Może jutro, w trakcie obiadu? - zaproponował Seth.

- Świetnie! - uśmiechnęła się Judy.

Kiedy odchodziły w stronę windy, Judy zawołała: - Spotkamy się tu przy tym kiosku, mniej więcej o dwunastej piętnaście, dobrze?

Pomachał jej ręką na zgodę. A potem pochłonęła ją winda.

Przez chwilę stał jak oniemiały. Nie tylko przypomniał sobie Judy, ale nawet pamiętał, jak kiedyś próbował się z nią umówić. Tylko że wtedy nie mógł się jakoś zdobyć na otworzenie ust.

Jak zwykle Seth zwlekał z powrotem do domu aż do zakończenia godziny szczytu. O siódmej trzydzieści wszedł do stosunkowo chłodnego już autobusu, w którym mógł usiąść i czytać.

Był już wieczór, kiedy wysiadł na swoim przystanku. Promienie zachodzącego słońca padały na trawniki i ogródki kwiatowe tej bezpretensjonalnej dzielnicy. Seth znał nazwiska wszystkich mieszkańców jeszcze z czasów szkoły średniej, kiedy to roznosił gazety po domach. Do tej pory pamiętał, kto był dla niego hojny i w którym domu mieszkali skąpcy.

Wszedł na plac, przy którym od lat trzydziestych znajdował się sklep: "Mięso i artykuły spożywcze Lazarusza". Przechodząc przed szybą wystawową, zobaczył, jak ojciec kroi ser gouda dla pani Schreiber. Pomachał im obojgu ręką. Wszedł na tyły sklepu i otworzył drzwi prowadzące piętro wyżej, do ich mieszkania.

Matka powitała go czule:

- Dzień dobry, kochanie. Co tam dzisiaj nowego?

- Mamo! - powiedział z naciskiem, gdyż odgrywali tę samą scenę codziennie. - Tam, gdzie pracuję, nigdy nic się nie dzieje. Wszyscy pacjenci na patologii są martwi.

- Wiem, wiem, ale może wynalazłeś już jakieś lekarstwo na śmierć. To przecież możliwe.

Uśmiechnął się. - Będiesz pierwszą osobą, którą o tym zawiadomię. Czy mam jeszcze czas na prysznic przed obiadem?

Rosie skinęła głową i wróciła do kuchni. Pomimo częstego braku wody w okresie lata, długie gorące prysznice były dla Setha zawodową koniecznością. Jego ubranie i skóra przesiąkały zapachem śmierci i codziennie wieczorami po powrocie ze szpitala szorował się intensywnie.

O dziewiątej wieczorem Nat Lazarus zamykał sklep i pięć minut później cała rodzina zasiadała do stołu.

- A więc, mój chłopcze - pytał ojciec - cóż tam u ciebie dzisiaj nowego?

- Odkryłem dziś lekarstwo na raka - odpowiedział Seth z niewzruszoną miną.

- To dobrze - mruknął ojciec, zupełnie pochłonięty wynikami wczorajszych rozgrywek baseballowych. - Mówię ci - odezwał się nagle - gdyby nasi mieli wczoraj jeszcze jeden rzut, to zdobylibyśmy ten porzecz. I taka jest prawda.

Pokrzepiony na duchu swoim popołudniowym spotkaniem, Seth dodał z humorem: - Wynałazłem też lekarstwo na choroby wieńcowe, a jutro z pewnością wyeliminuję pospolitą grypę.

Nat odłożył nagle gazetę. - Czy wspomniałeś coś o grypie? Znalazłeś coś, co zapobiega przeziębieniom?

- Dlaczego to cię tak poruszyło, tato, a na moje lekarstwo przeciw rakowi nawet nie mrugnąłeś okiem?

- Mój chłopcze - wyjaśnił serio jego ojciec - nie umiesz robić interesów i nie żyjesz na tym świecie. Nie masz pojęcia, ile tych bezsensownych maści węzowych sprzedają co zimy. Gdybyś wynalazł coś takiego, moglibyśmy to opatentować i zarobić na tym olbrzymie pieniądze.

- Przykro mi, ale to tylko żart, tato. Pospolita grypa jest na najodleglejszym z horyzontów. To tak jak księżyc dla astrofizyków. Nigdy go nie dosięgną za naszego życia.

Nat popatrzył na niego i uśmiechnął się. - Seth, powiedz no mi, kto tu kogo robi w konia?

- Obaj jesteście jak z farsy - stwierdziła pani Lazarus. - Kto chce dokładkę?

Zabierali się właśnie do biszkoptu Rosie z lodami domowej roboty, kiedy Seth stwierdził: - Prawdę rzekłszy, wydarzyło się dzisiaj coś niezwykłego. Spotkałem dziewczynę, z którą chodziłem kiedyś do szkoły.

Rosie Lazarus nadstawiła uszu. - Tak? Czy to ktoś, kogo znam?

- Judy Gordon. Jest pielęgniarką na onkologii.

Nat spojrzał figlarnie na syna. - Seth, uważaj tylko, żeby nie zaszła w ciążę.

- Bardzo proszę - zaprotestowała Rosie. - Tylko nie rozmawiajcie przy mnie w ten sposób!

- Ach, przepraszam, Wasza Wysokość Królowo Elżbieto! - odparł jej mąż. - Chciałbym ci jednak przypomnieć, że gdybyś za moją sprawą nie zaszła w ciążę, Seta nie byłoby na świecie.

A potem zwrócił się do syna o poparcie: - Czyż nie mam racji, doktorze?

- Owszem, proszę pana - odparł fachowo. - Lekarze nazwaliby mamę wieloródką.

- Czy mogę wiedzieć, co to oznacza w języku normalnych ludzi?

- To znaczy, że miałaś więcej niż jedno dziecko, mamó. Nagle wszyscy ucichli. Zrobiło się cicho i zimno. Seth przypomniał im bowiem o Howiem.

Howie zaczął życie jako starszy brat Setha, jednakże chociaż żył nadal, nigdy nie wyrósł na dorosłego człowieka. Wiele lat temu, siedząc z przodu samochodu na kolanach matki, został ofiarą wypadku. Nat musiał nagle ostro przyhamować, żeby nie potraćić dzieciaka, który wybiegł zza stojących pojazdów na ulicę. Howie wyleciał na metalową tablicę rozdzielczą samochodu, przygnieciony ciałem matki.

Doznał wówczas rozległych obrażeń czaszki. Mimo że pod względem fizycznym rozwijał się normalnie, to jednak nie był w stanie nauczyć się niczego, poza samodzielnym siadaniem i połykaniem pokarmu. Czasami rozpoznawał rodziców. (Lecz któż to wiedział? Howie uśmiechał się przecież przez cały dzień.)

Na koniec trzeba go było zamknąć w szpitalu. Zmuszali się do odwiedzania go dwa czy trzy razy w miesiącu, wiedząc, że nigdy nie zdołają wymazać z pamięci jego cierpienia. (Lecz czy Howie faktycznie cierpiał? Przecież nawet nie można go było o to zapytać.)

Pozostał zatem owym nigdy nie wyczerpanym źródłem wyrzutów sumienia, beznadziejnie okaleczony, lecz jednocześnie nieprzyzwoicie krzepki w swoim samotnym nieistnieniu. Żył w zawieszeniu, pomiędzy życiem a śmiercią.

Skończyli kolację. Seth pomógł matce sprzątnąć ze stołu, a Nat włączył telewizor. Na szczęście transmitowano właśnie baseballowy mecz. Dla niego była to jedyna anodyna na wiecznie nękający go ból spowodowany położeniem syna.

Wycierając umyte przez Rosie naczynia, Seth ośmielił się wreszcie zapytać: - A swoją drogą, co słyhać u Howiego?

- Jak to: co słyhać? A cóż to w ogóle za pytanie? A jakby miało być? Może jak już zostaniesz tym prawdziwym lekarzem, wynajdziesz coś na reperowanie uszkodzonych mózgów.

Tym razem nie żartowała. Seth wiedział, że żyła, łudząc się nieustannie, że może gdzieś, kiedyś, jacyś lekarze wynajdą jakieś cudowne lekarstwo, które przywróci jej dawno utraconego, lecz ciągle żyjącego przecież syna. Tymczasem, mimo że się bardzo starała, nie była w stanie okazywać swej miłości młodszemu synowi. Bo to nie był Howie.

Seth chodził i mówił, potrafił się ubrać i jeść samodzielnie, a Howie we wszystkim potrzebował pomocy.

Skończywszy pomagać w kuchni, Seth wyszedł dla odprężenia na spacer. Potem zamierzał zabrać się do pracy, którą przyniósł ze sobą ze szpitala. Kiedy wrócił do domu, drzwi do sypialni matki były już zamknięte, a Nat krzyczał głośno na obrońcę drużyny Cubs.

Seth nie przeszkadzał ojcu, wiedząc, że był całkowicie pod miłosiernym działaniem szesnastocalowego, czarno-białego opium. Poszedł na górę do swojego pokoju, który od dzieciństwa był jego domeną i prywatnym królestwem, a w którym teraz znajdowało się jego laboratorium. Zaświecił fluoryzującą lampę na biurku i zagłębił się w świecie patologii. To był jego sposób na zapomnienie.

- Polecam sałatkę z tuńczyka albo z kurczaka - powiedziała Judy Gordon. - W rzeczywistości obie smakują jednakowo. Podejrzewam nawet, że to jedno i to samo.

- Może ja wezmę jedną, a ty drugą, a potem je porównamy - zaproponował Seth.

- Dobrze - zgodziła się i skinęła na kelnerkę, żeby przyjęła od nich zamówienie.

- Wydaje mi się, że mamy sporo do nadrobienia.

- Chyba tak.

Wspominali i żartowali przy swoich identycznych sałatkach. Mógł się przy niej odprężyć, być może dlatego, że była taka spokojna, pewna siebie i życzliwa.

Zamówił czekoladowe lody na deser, a ona galaretkę. - Muszę uważać, to w końcu sezon na bikini.

To dziwne. Seth nie mógł sobie jakoś wyobrazić jej w skąnym stroju kąpielowym, mimo że przy swojej znajomości anatomii z łatwością wyimaginował ją sobie nago. Co wcale nie było takie złe.

- Czy dalej mieszkasz w domu? - spytała.

- Aha. Przypuszczam, że jestem towarzysko opóźniony w rozwoju. Dalej mieszkam z mamusią i tatusiem, ale jestem tu tylko przez okres wakacji.

- Szkoda - mruknęła na poły do siebie.

Natychmiast zaczął się zastanawiać: Czego właściwie jej szkoda? Tego, że mieszkam w domu, czy też tego, że wracam do Bostonu?

Idąc w stronę windy, zebrał się na odwagę, aby zadać pytanie:

- Może poszlibyśmy kiedyś razem na kolację?

- Dobrze. Może jutro wieczorem?

- Świetnie. Tak będzie najlepiej.

- Mam samochód, jeśli to w ogóle można tak nazwać - powiedziała niefrasobliwie - ale mogę się dzięki niemu poruszać, gdzie chcę. O której kończysz pracę?

- To zależy ode mnie - odpowiedział. - Pacjenci na patologii nie obrażą się, jeśli wyjdę trochę wcześniej.

- Powiedzmy zatem, że o szóstej trzydzieści. Jeśli coś mi wypadnie, zadzwonię do ciebie do laboratorium.

- Dobrze. To znaczy świetnie, wspaniale! - powtórzył. Windę mieli dla siebie. Nacisnęła piąte piętro - oddział onkologiczny i ósme - patologię.

- Powiedz mi coś, Seth - zaczęła. - Czy praca ze zmarłymi nie przygnębia cię? Nie masz czasami wrażenia, że za chwilę oszalejesz?

- Nie. Uważam, że twoja praca jest o wiele cięższa. Ja dostaję tych ludzi już po ich wszystkich cierpieniach. Ty musisz patrzeć, jak się męczą i umierają. Czyż to nie jest przygnębiające?

Skinęła głową. - Każdego dnia, kiedy wracam do domu, myślę sobie, jakie mam szczęście, że żyję i jestem zdrowa.

Rozmawiali na ten temat przy kolacji w Armando, słynnej restauracji w North Rush, w której Seth jeszcze nie był i na którą w zasadzie nie bardzo mógł sobie pozwolić. Była to jednak wyjątkowa okazja.

- To nie do wiary, ilu zupełnie normalnych skądinąd ludzi boi się widoku umierających krewnych. Wydaje im się, że śmierć jest w jakimś sensie zaraźliwa. Rodziny zmuszają się do odwiedzin, a starzy przyjaciele zawsze znajdują jakieś wymówki. Nic też dziwnego, że pacjenci, którymi się opiekuję, są niewiarygodnie wdzięczni za wszelką, choćby i najmniejszą dobroć, jaką się im okazuje. W każdym razie, gdybym to ja była na łożu śmierci, to z całą pewnością byłabym wdzięczna, gdyby ktoś - choćby i obca pielęgniarka - trzymała mnie w tych ostatnich chwilach za rękę. Przepraszam cię za obrazę twojego zawodu, ale szczerze mówiąc, rzadko kiedy widuje się tam wtedy lekarzy, którzy na ogół wolą tego nie widzieć.

- No cóż - odpowiedział ze wzrastającym dla niej podziwem. - Różni są lekarze, podobnie jak różne są pielęgniarki.

O, cholera! - zaklął w głębi duszy. Jeszcze pomyśli sobie, że jestem nieczułym draniem.

- Czy zamierzasz pozostać na patologii na zawsze? - spytała.

- Prawdę rzekłszy, jeszcze nie wiem. Z początku było to tylko wakacyjne zajęcie, tym bardziej że ułatwiło mi dostanie się do Szkoły Medycznej. Potem okazało się to solidną podstawą do anatomii. Bardzo dużo się nauczyłem w tym roku.

Nieśmiałość nie pozwoliła mu pochwalić się otrzymaną od profesora Lubara piątką z plusem. Rzadko komu przyznawano taki zaszczyt.

- Doktor Matthews uważa, że nasza praca może się kiedyś przydać w zapobieganiu wielu rzeczom, które są ostatecznie przyczyną śmierci.

- Och, to z pewnością wspianiałe - stwierdziła Judy. - Ale czy nie sądzisz, że na czymś tracisz? No wiesz, na tym emocjonalnym aspekcie, który był przecież podstawową przyczyną wyboru tego zawodu. - Westchnęła i ciągnęła dalej: - Ja uważam, że nie ma na świecie nic wspianialszego od podziękowania z ust pacjenta, którym się opiekuję.

To jawne lekceważenie mojego zawodu - pomyślał sobie. Czy wystarczy mi jednak odwagi, żeby się bronić?

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni powiedział mimowolnie coś, czego nie mógł w sobie powstrzymać: - Może to dlatego, że się boję.

Dlaczego, u diabła, się do tego przyznałem?

- Boisz się, że stracisz pacjenta? - spytała. - Wiem, że wielu lekarzy tak reaguje. To w końcu zrozumiałe, Seth. Jesteście tylko ludźmi.

- To nie tego się obawiam - przyznał Seth. - Boję się cierpienia. Wydaje mi się, że lubię patologię głównie dlatego, że wszystkie męczarnie, przez które przeszli ci ludzie, są już poza nimi. Nawet jeśli są podziurawieni nowotworami jak rzeszoto, to tego nie czują. Nie potrafię patrzeć na pacjenta udręczonego cierpieniem, wyczerpanego bólem czy podłączonego do oddychającej za niego maszyny, podczas gdy cała reszta jego ciała jest już właściwie martwa. Przypuszczam, że po prostu nie mam tyle odwagi, żeby zostać prawdziwym doktorem.

Kiedy Judy odwoziła go do domu, wzrastało w nim przekonanie, że cierpiał na jakieś rzadkie psychiatryczne zboczenie. Coś w rodzaju syndromu Gillesa de la Tourette' a, zmuszającego go do mówienia rzeczy, których nie była w stanie stłumić jego świadomość. Zazwyczaj była to prawda. Ale od kiedy to uczciwość robiła jakiegokolwiek wrażenie na dziewczynach?

Kiedy zbliżali się do przystanku autobusowego, pomyślał, że najlepiej będzie, jak uwolni ją od swego tchórzliwego towarzystwa.

- W porządku Judy, mogę stąd pójść na piechotę.

- Ależ to żaden problem. Mogę cię jeszcze podrzucić parę ulic dalej.

Skinął głową i bez słowa podwiozła go pod dom. Zatrzymała się przed sklepem jego rodziców, pod neonową reklamą "piwa Schlitz, chluby Milwaukee".

- Dziękuję za podwiezienie - powiedział. - Zobaczymy się w szpitalu.

- O, nie! - zaproponowała. - Nie wymkniesz mi się tak łatwo.

Seth odkrył ze zdziwieniem, że namiętność rekompensowała w takich wypadkach brak doświadczenia. Kiedy zbliżyła usta do jego ust, objął ją ramieniem i mocno przytulił.

Po chwili, kiedy odsunęli się od siebie dla zaczerpnięcia powietrza, zapytał: - Czy moglibyśmy to jeszcze kiedyś powtórzyć?

- Ale co? Kolację czy też moje bezwstydną zaloty?

- Czy obie te rzeczy wykluczają się wzajemnie? - zapytał. - W każdym razie ostrzegam cię, że następnym razem to ja uczynię pierwszy krok.

- Nie mam nic przeciwko temu. I kto wie, do czego to doprowadzi? Dobranoc, Seth. I jeszcze raz dziękuję.

Gdyby nie to, że rodzice już spali, wpadłby do swego pokoju na trzecim piętrze, tańcząc niczym Fred Astaire.

Gdyby zrobiono kiedykolwiek listę miejsc w Stanach Zjednoczonych, których należy unikać w sierpniu, Boston z pewnością zmieściłby się w pierwszej dziesiątce. Naturalnie laboratorium Pfeifera było dobrze klimatyzowane dla zachowania stałej temperatury otoczenia. Vanderbilt Hall nie miał jednak żadnej klimatyzacji, co było nawet całkiem zrozumiałe. Zniszczonych przez przegrzanie materiałów nie dałoby się łatwo zastąpić, a asystentów można tam było kupić na kopy za marne dziesięć centów.

Pracując do późna w nocy, Laura zaczęła snuć paranoidalne urojenia, że Pfeifer liczył właśnie na to, że pogoda pomoże mu w badaniach, przetrzymując jego wyrobników jak najdłużej w orzeźwiającym chłodzie pracowni.

Z początku dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu Palmera. Usiłowała je uspokoić, wmawiając sobie, że to przecież nie była wojna. Wiedziała jednak, że traci najlepsze lata swego życia na pucowaniu butów, czyszczeniu broni - a może nawet i latryny - choć nie była pewna, czy oficerowie również musieli robić takie rzeczy.

Z czasem doszła do wniosku, że zrobiła to, co na dłuższą metę było najlepszym wyjściem dla nich obojga.

Wreszcie zaczęła ponownie się umawiać.

Początkowo były to tylko wyjścia na piwo i pizzę z kolegami z laboratorium (naturalnie z wyjątkiem Wymana, który i tak nie zadawał się z nietytułowanymi pracownikami).

Poszła raz z Garym Arnoldem, przystojnym stażystą z neurologii, na koncert muzyki rozrywkowej odbywający się na wolnym powietrzu. Podobnie jak tysiące innych par, siedzieli na kocu, zajadając kanapki i popijając wino z termosu, słuchając legendarnego Arthura Fiedlera wykonującego muzyczny koktajl z ostatnich przedstawień na Broadwayu oraz paru urywków z klasyki. Kiedy na wielki finał powstali wraz z innymi, aby odśpiewać Gwiaździsty sztandar, Gary objął Laurę ramieniem i przytulił ją mocno do siebie. Był czarujący, wysoki i miał poczucie humoru. Być może jednak najważniejsze było to, że w ogóle był na miejscu, Laura czuła się bowiem bardzo osamotniona. Zakończyli więc ten wieczór u niego w mieszkaniu na Fenway.

Następnego wieczoru odwiedził ją w pracowni, żeby się upewnić, czy zdawała sobie sprawę z tego, że nie miał zamiaru angażować się "poważnie". Zapewniła go jednak o braku najmniejszych wątpliwości co do tego, że będą dla siebie niczym więcej, jak tylko dobrymi przyjaciółmi. Dobrze wiedziała, że z początkiem września wyjeżdża do Wisconsin.

- Słuchaj, Gary - powiedziała z przyjazną szczerością - oboje mieliśmy na to ochotę. Kiedy się obudziliśmy, obojgu nam przeszło. To wszystko i nigdy nic z tego nie będzie. Mam nadzieję, że życie ułoży ci się pomyślnie.

Wściekły w duchu, że Laura odrzuciła go pierwsza, wyszedł z laboratorium, mrużąc coś na temat upodobania, z jakim łamała ludziom serca. Inne jej randki tego lata nie były ani tak pompatyczne, ani tak namiętne. I to jej odpowiadało.

Czasami, jeśli pracowała do późna w nocy, dzwonił do niej Barney (najczęściej o jedenastej, kiedy opłaty telefoniczne były tańsze). Zazwyczaj korzystał z publicznych aparatów w Canarsie czy z jakiegoś równie zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, i zabawiał ją jakąś śmieszną anegdotą o swoim ostatnim kliencie. Pewnego dnia opowiedział jej na przykład o pewnej prostytutce, która zaproponowała mu opłatę w naturze.

- Zdaje się, że to bardziej zajmujące niż medycyna. Może powinieneś się zastanowić nad zmianą zawodu.

- Dziękuję za radę, Castellano. Zawsze marzyłem o bezsennych nocach. - Po czym zmienił ton głosu na ojcowski. - A tak nawiasem mówiąc, dlaczego ty, u diabła, jeszcze pracujesz? Nawet więźniów traktuje się lepiej. Dlaczego nie idziesz do domu spać?

- Dziękuję, doktorze Livingston. Myślę, że mam tego wystarczająco dosyć, aby móc to zrobić. Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę” i poszła wyszorować ręce. Właśnie miała wychodzić, kiedy usłyszała zniecierpliwiony głos Petera Wymana:

- Castellano, znowu telefon do ciebie. Nie jestem twoją osobistą sekretarką.

Laura zawahała się przez chwilę. Nie miała już siły na żadną rozmowę z Palmerem. Jednak ktoś inny mógłby dzwonić do niej o północy? A może coś się stało w domu?

- Słucham?

- Cześć, Lauro, to ja, Hank Dwyer.

- Hank! - powiedziała, oddychając z ulgą. - Jak się masz!

- Próbowałem dodzwonić się do ciebie do pokoju w Vanderbilt Hall. Powiedziano mi tam, że przypuszczalnie jesteś tutaj.

- Czy stało się coś złego?

- O nie, nie! Wręcz przeciwnie! Muszę z kimś porozmawiać. - A potem oświadczył: - Zostałem ojcem, a Cheryl matką.

- Hej, to cudownie! Czy wszyscy zdrowi?

- Tak, *Deo gratias*. Ale Lauro, jestem w szoku. One są dwie. Jestem ojcem bliźniaczek. Nie wiem, co mam teraz robić.

Laura również nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby mu pomóc.

- Wiesz co, Hank, jak już całą bandą będziecie w domu, to urządzimy dla was wszystkich jakąś huczną zabawę.

- To byłoby miło z waszej strony - odpowiedział zadziwiająco poważnym tonem. - Ale jest coś ważniejszego i dlatego właśnie dzwonię. Ty jesteś katoliczką Lauro, prawda?

- Tak jakby, z urodzenia. Wybacz mi jednak brak szacunku, ale więcej odmówiłam w życiu spotkań chłopakom niż różańców.

Hank nalegał z uporem. - Lauro, pójdziesz ze mną do kościoła?

- Dzisiaj w nocy?

- Oczywiście. Bóg zesłał mi dzisiaj cud, jakżeż więc mógłbym czekać do rana, żeby Mu podziękować?

- Oczywiście, Hank - odpowiedziała cicho. - Z przyjemnością.

- Cudownie! Wspaniale! Słuchaj, matka Cheryl jest tutaj i mogę wziąć jej samochód. Podjadę po ciebie za sekundę.

Stali w ogromnej pustce katedry Świętego Krzyża. To znaczy Laura stała, a Hank klęczał i modlił się. On pogrążył się cały w modlitwie, a ona w myślach.

Szkoda, że nie jestem religijna - rozpaczła w duszy. Nie mam tu na myśli kościelnej religijności, ale chciałabym uwierzyć w jakąś Najwyższą Mądrość, która pomogłaby mi sterować łodzią i odróżniać pomiędzy dobrem a złem. A tak tonę w morzu wątpliwości. O Boże, chciałabym umieć wierzyć jak Dwyer.

Żegnając się z Laurą przed Vanderbilt Hall, Hank nie mógł się opanować z radości i objął ją.

Laura przekonana była jednak, że wypuszczając ją z objęć, tylko przypadkiem dotknął dłonią jej piersi.

Rozdział XIX

Drugi rok studiów rozpoczęli wodą, a zakończyli krwią. Pierwszym wydarzeniem (nie ujętym w katalogu obowiązujących przedmiotów) były chrzciny dwóch bliźniaczek Hanka i Cheryl - Marie i Michelle.

Barney i Laura stali w pierwszej ławce, obserwując, jak ksiądz spryskiwał święconą wodą główki dziewczynek, za każdym razem intonując po łacinie, że chrzci je “w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen”.

Był to już prawie koniec września i przez ponad rok studiowali medycynę, nie widząc ani jednego prawdziwego pacjenta. Czekало ich jeszcze osiem miesięcy zabójczej podstawowej nauki, zanim przejdą do właściwego materiału na wiosnę - wstępu do klinicznej i fizycznej diagnozy. Pocieszali się jednak faktem, że miała to być już ostatnia zima ich utyskiwań. Na wiosnę staną przed pierwszymi chorymi ludźmi. Jak dotąd nie mieli jednak pojęcia, na czym tak naprawdę polega medycyna.

Mimo że Laura prawie codziennie otrzymywała listy od wiernego Palmera, który właśnie ukończył podstawowe szkolenie i dzięki temu “był teraz bardziej umięśniony niż Tarzan”, to jednak nie zdołały one ukoić w niej bólu samotności. Jej towarzyskie życie polegało na opędzaniu się od tłumów napalonych stażystów, lekarzy szpitalnych, a nawet żonatych asystentów, szukających okazji do rozrywki. Zastanawiała się, jak też zmysłowa panna Andersen dawała sobie radę z tą prąciową presją.

Barney z pewnością w niczym jej nie pomógł, a wręcz przeciwnie, przyłączył się do obozu wroga. Na pierwszym roku znalazła się bowiem rekordowa liczba sześciu młodych kobiet, a wśród nich pewna przyjemna Chinka Susan Hsiang.

Barney natychmiast zwąchał pismo nosem, wiedząc, co dla niego dobre. Susan miała bowiem stosunek do mężczyzn sięgający odległych tradycji Dalekiego Wschodu. Jakże różniła się od tych bezwzględnych, gnanych ambicją typów, które spotykał w Szkole Medycznej ! Nie wystarczyłoby powiedzieć, że się zadurzył - raczej upił się zapachem jaśminu i kwiatu lotosu.

Laura z pewną ambiwalencją, której nawet sama w sobie nie podejrzewała, musiała przyznać, że jej przyjaciel znalazł wreszcie swoją “idealną partnerkę”.

Barney poinformował ją o tym pierwszy: - Ona jest zupełnie inna, Castellano. Taki jestem w jej oczach wielki...

- Nic w tym dziwnego, skoro ma zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu.

- Nie żartuj. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak... tak wyjątkowo kobiecej dziewczyny. Czy wiesz, jak się mówi po chińsku "kocham cię"?

- Nie, Barney, ale jestem pewna, że ty się już tego nauczyłeś.

- Masz świętą rację. *Wo ai ni!* Susan powtarza to ze trzydzieści razy dziennie. Czuję się przy niej jak Adonis, Babę Ruth i Einstein w jednej osobie.

- Czy to nie za wiele, Barney? Nawet jak na twoje własne wygórowane wyobrażenie o sobie? Domyślam się jednak, że jak ci się tylko trochę zmęczy jaźń, ona masuje ci ją natychmiast.

Laura zazdrościła pannie Hsiang nie tyle niezaprzeczalnego opanowania duszy Barniego, co umiejętności wynajdywania sobie mężczyzn, których mogła czcić i podziwiać.

Laura natomiast miała ambicję górowania nad s woja płcią. Zawsze pragnęła polepszać własny status i być podziwiana dla samej siebie.

Nie koilo to jednak jej samotności.

Cudowna panna Hsiang zakupiła kuchenkę elektryczną, aby po zakończeniu długich wykładów i zajęć w laboratoriach móc gotować Barniemu obiady.

Rozmowa z nią rzadko kiedy dotyczyła jednak bambusowych kiełków czy też odżywczych własności fasoli sojowej. Susan potrafiła rozprawiać godzinami na temat medycyny chińskiej, która zaczęła się ponad dwa tysiące lat przed Hipokratesem wraz z powstaniem *Nei Ching*, klasycznej pracy na temat medycyny wewnętrznej.

Wyjaśniła również Barniemu zasady I Ching. - Cała przyroda - mówiła - stworzona jest z dwóch przeciwstawnych sił kosmicznych: żeńskiej Yin - miękkiej, chłonnej, ciemnej i pustej oraz męskiej Yang - oświecającej, stanowczej, twórczej i konstruktywnej. Yin jest ziemią, a Yang niebem. Yin jest zimnem, ciemnością, chorobą i śmiercią, a Yang - ciepłem, światłem, siłą, zdrowiem i życiem. Jeśli siły te egzystują w naszych ciałach harmonijnie, to cieszymy się dobrym zdrowiem. Brak równowagi pomiędzy nimi powoduje dysfориę, choroby i śmierć.

Susan opowiedziała mu także o najbardziej tajemniczym aspekcie tego procesu, zjawisku zwanym Qi, które odróżnia życie od śmierci.

Barney wypił łyk ryżowego wina, popatrzył na nią rozkochanym wzrokiem i powiedział: - Tyle już wiesz o medycynie, że w zasadzie mogłabyś ją już praktykować.

Susan uśmiechnęła się nieśmiało. - Może w Chinach tak. Ale tutaj muszę się nauczyć waszych metod, które wydają mi się takie dziwne! Rozmawiałam dzisiaj z

tym waszym profesorem Lubarem o akupunkturze. Powiedział mi, żebym “zapomniała o tego rodzaju bzdurach, gdyż nie mają one anatomicznej podstawy”. Jak zatem wytłumaczyć fakt, że milionom ludzi co roku przywraca się zdrowie w ten sposób?

- Nie mam pojęcia - przyznał Barney. - Może ta niechęć wynika z tego, że nikt nie wykląda na Harvardzie teorii Qi.

Rodzina Suzie przybyła do San Francisco z Szanghaju poprzez Hongkong w 1950 roku. Nieomal natychmiast ojciec jej założył praktykę popularną wśród społeczności chińskiej, która szanowała jego wiedzę i nie domagała się od niego okazania dyplomu. A ponieważ leczył ziołami i roślinami, nie potrzebował licencji na wypisywanie recept.

Susan, najstarsza z trzech córek, odziedziczyła po ojcu pragnienie leczenia chorych. Chciała jednak rozszerzyć swoją działalność poza chińską emigrację z San Francisco. Poszła więc najpierw do Berkeley, gdzie ukończyła z wyróżnieniem biochemię, a potem do Harvardu, a ściślej mówiąc, wstąpiła do królestwa, w którym suwerennym władcą był Barney Livingston.

Tylko dzięki swoim sportowym odruchom zdołał zarezerwować ją dla siebie, zanim jakiś rywal zdążył zareagować. Siedział przy wejściu do Vanderbilt Hall, słuchając pieśni pochwalnych Bennetta Landsmanna na temat rozkoszy nurkowania za zaginionym skarbem. Raptem, spojrzawszy przypadkowo na grupę studentów pierwszego roku, dokonujących wpisu, dostrzegł wśród nich drobną Miss Hsiang taszczącą olbrzymią walizkę. Bez słowa obrócił się i pognał na drugi koniec korytarza, oferując jej swoje usługi jako portier.

Dwie godziny później zaprezentował Susan najlepszą kuchnię chińską w Bostonie, a mianowicie restaurację Joyce Chen, po drugiej stronie rzeki, w pobliżu MIT.

I zanim wrócili do Vanderbilt Hall, postanowił, że zostanie Yang dla jej Yin. A w każdym razie, że będzie się bardzo starał.

Był to rok, w którym każdy z nich podłapał jakąś śmiertelną chorobę. Lance Mortimer pierwszy podupadł na zdrowiu.

- Barney, czy mógłbym z tobą porozmawiać?

- Jestem właśnie w trakcie obiadu, Lance - wskazał sąsiadowi na swoją orientalną towarzyszkę, która akurat nakładała obiad z dymiącego woku*.

- Ach, tak! - powiedział Lance. - Przepraszam, że ci przeszkadzam Suzie, ale czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli zamienię teraz parę słów z Barniem? To bardzo ważne.

Skinęła głową, wzdychając z rezygnacją. Mortimer wypchnął Barneya na korytarz, gdzie wyrzucił z siebie swą przerażającą wiadomość: - Barney, co ja mam teraz zrobić?

- A co ci się stało? Zaczynj wreszcie gadać do rzeczy!

- Jak mam gadać do rzeczy, skoro niedługo umrę?

- Nie wyglądasz mi na chorego - odpowiedział Barney, mając nadzieję, że w ten sposób uspokoi kolegę i szybko się go pozbędzie.

- Ależ ja jestem chory! - protestował Lance. - Mam potworniaka jądra.

- Byłeś z tym u lekarza?

- To nie jest konieczne. Mam każdy symptom wyliczony w tym cholernym podręczniku. A najgorsze, że stan ten ujawnia się u dwudziestoczteroletnich mężczyzn. W zeszłym tygodniu obchodziłem urodziny. Kiedy kroilem tort, poczułem pierwsze ukłucie. Wszystko sprawdziłem. O cholera! Prawdopodobnie wytną mi jądra, a może nawet i kawałek moszny. A i na to jest już być może za późno. Livingston, musisz mi pomóc!

- Lance, jeśli chcesz, żebym ci wyciął gonady, to musisz w tej sprawie zasięgnąć drugiej opinii u specjalisty. A tak nawiasem mówiąc, myślałeś może, żeby zwrócić się z tym do służby zdrowia?

- O Chryste! Nie! To zbyt żenujące. Do diabła, jeśli już miałem mieć tego raka, nie mogło to być coś pozapłciowego? Do jutrzejszego wieczoru wszyscy w Bostonie będą wiedzieć, że śpiewam jak kastrat. To znaczy, jeśli w ogóle wyjdę z tego żywcem.

Chociaż z prawnego punktu widzenia Barney nie miał jeszcze licencji na udzielanie porad, to jednak w przypadku tego schorzenia czuł się wyjątkowo kompetentny.

- No dobrze, Lance. Idź teraz do siebie do pokoju, weź dwie tabletki bufferin i przez cały czas trzymaj zimne okłady na mosznie.

- Nie mam bufferin. Czy może być excedrin?

* Wok - rodzaj chińskiej patelni o okrągłym dnie używanej do szybkiego podsmażania jarzyn lub mięs.

- Nie, nie! - zaprzeczył stanowczo Barney. - Tylko bufferin. Apteka przy alei Pasteura jest nadal otwarta. Proponuję, żebyś tam zadzwonił i kupił sobie duży słoik. O jedenastej przyjdę sprawdzić, jak się czujesz. Dobrze?

Lance był mu ogromnie wdzięczny. - Livingston, jeśli umrę, zostawię ci w spadku wszystkie moje ziemskie dobra, a jeśli przeżyję, to podaruję ci jeden z moich samochodów.

Lance oddalił się pospiesznie, a Barney wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Przepraszam cię za to wszystko, Suzie, ale Lance miał pewne kłopoty zdrowotne, którymi musiałem się zająć.

- I przyszedł z nimi do ciebie? - spytała z nutką podziwu w głosie. - Musisz być bardzo mądry. Mój ojciec również...

- Doceniam te komplementy - przerwał jej Barney - ale tak naprawdę to czytałem o chorobie Lance'a tego lata. Jest to chorobowa fobia.

- Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszałam - powiedziała Susan z rosnącym podziwem dla mądrości Barniego.

- Jest bardzo popularna wśród studentów medycyny. Oznacza dosłownie "strach przed chorobami". Przyczyną jej jest konieczność zapamiętania całego *Podręcznika Mercka*, w którym opisane są wszystkie najdziwniejsze choroby, jakie kiedykolwiek istniały. Każdy z nas przejdzie przez to w tym roku. Prawdę rzekłszy, sądząc po stanie mojej klatki piersiowej, mam wrażenie, że sam wykazuję objawy charakterystyczne dla krzemicogruźlicy. - Wzruszył ramionami. - Cały nasz rok przechodzi epidemię, a co dziwniejsze, każdy z nas ma inne objawy. Na przykład Laura uważa, że cierpi na zapalenie śluzówki macicy. Wykazuje jednak o wiele więcej rozsądku niż Lance, ponieważ jest to stan łagodny i da się wyleczyć. Ta cała chorobowa fobia zrobiła z nas wszystkich cholernych hipochondryków.

Jedynym facetem z jako tako wiarygodną patologią jest Bennett. On uważa, że ma chorobę Alberta, która polega na zapaleniu tkanki łącznej pomiędzy ścięgnem piętowym a piętą. Biorąc pod uwagę/, fakt, że nadal kuleje po zeszłorocznym przyjacielskim meczu z prawnikami, to całkiem prawdopodobne, że faktycznie ma rację. W każdym razie, jeśli do przyszłego tygodnia nie pozbędę się tego kaszlu, to zamierzam zrobić sobie prześwietlenie płuc.

Susan uśmiechnęła się tylko.

- Lauro, musisz mi pomóc. Jesteś mój ą jedyną przyjaciółką. Laura spojrzała znad biurka na dziwnie rozczochną Gretę stojącą w drzwiach, z przerażeniem malującym się w oczach.

- O co chodzi? Co się stało?

- Lauro - powtórzyła Greta żałośnie - będę musiała poddać się mastektomii.

- Ależ to straszne, Greto. Kiedy stwierdzono ten nowotwór?

- Odkryłam go dopiero przed chwilą, kiedy brałam prysznic. O mój Boże, Lauro, to chyba najgorszy koszmar!

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Greto. Wszystkie kobiety mają od czasu do czasu drobne guzy, które najczęściej nie są groźne.

Greta usiadła jednak na łóżku i lamentowała dalej: - O mój Boże, który mężczyzna kiedykolwiek spojrzy na dziewczynę z jednym cycem? No, bo zastanów się, Lauro, czymże ja jestem jak nie ciałem?

- Słuchaj, Greto, najlepiej będzie, jeśli wybierzesz się jutro rano do lekarza. Jak chcesz, pójdę z tobą.

- Nie mogę - odpowiedziała Greta. - Mam jutro bardzo ważne ćwiczenia w laboratorium.

- Ważniejsze od złośliwego nowotworu?

- A może jest tak, jak mówisz, to wcale nie jest złośliwe. Może powinnam trochę poczekać i zobaczyć, co będzie dalej.

Laura była na nią wściekła. Czyż ta egoistyczna, piersiasta smarkuła zdaje sobie w ogóle sprawę z tego, że rozmawia z kimś, kto ma poważne problemy z jajnikami? Ja przynajmniej nie zawracam tym głowy wszystkim na korytarzu. Jedyną osobą, której się do tego przyznałam, jest Barney. On będzie wiedział, co robić, jeśli nie przeżyję operacji.

Chorobliwe fantazjowanie bynajmniej nie kończyło się w bramie Vanderbilt Hall.

Wręcz przeciwnie, najwyraźniej odczuwało sieje w mieszkaniu Dwyerów, gdzie choroba Hanka w połączeniu z normalną rodzicielską troską doprowadzała go nocami do szaleństwa.

Za każdym razem, kiedy usłyszał płacz jednej z bliźniaczek, kaszel czy kichnięcie, wyskakiwał z łóżka z latarką w rękę i podręcznikiem do pediatrii, obawiając się najgorszego. A kiedy czasami zdarzało się, że z dziecięcego pokoju nie

dobiegał żaden hałas, zachowywał się jeszcze gorzej. Był bowiem przekonany, że dzieci umarły, i pędził do nich z małym aparatem tlenowym. Dzwonił nawet do domu między zajęciami, domagając się, żeby Cheryl upewniła się, że bliźniaczki wykazują oznaki życia.

Kiedy wreszcie ta masowa histeria osłabła, studenci wyciągnęli z niej właściwe wnioski. W późniejszym życiu okazały się one jednak dla nich wręcz szkodliwe. Bo chociaż zostali dokładnie przeszkoleni w obserwacji i wykrywaniu oznak i symptomów choroby u innych, to jednak utracili wszelką zdolność dostrzegania prawdziwych schorzeń u siebie samych. Na domiar złego każdy prawdziwy lekarz rzadko kiedy zwraca się do drugiego lekarza o pomoc. Bolesnie zdają sobie bowiem sprawę z tego, jak niewiele wiemy o leczeniu chorych.

Ich pierwszym pacjentem była pomarańcza z Florydy (Kalifornia produkuje mniej odpowiednie namiastki ludzkiej tkanki). Ale tylko przez jeden dzień. Po drugich zajęciach poświęconych sztuce posługiwania się strzykawką - wszyscy studenci postulowali, aby ustanowiono specjalizację ograniczoną wyłącznie do owoców cytrusowych. Jakże śmiało i bez wahania wbijali igły w swoich stoickich pomarańczowych pacjentów, pobierając z nich soki lub radośnie zaszczepiając ich bostońską wodą!

Na drugich zajęciach z pobierania krwi kazano im wybrać sobie z grupy partnera i na zmianę odgrywać rolę ofiary i dręczyciela. Tym razem brak brawury rzucał się wszystkim w oczy. Zabrakło nawet sadystów i masochistów, nikt bowiem nie miał ochoty kłuć ani dać się potem samemu pokłuć igłą.

Cały rocznik, chociaż nadal w liczbie stu dwudziestu osób, zdążył się już dobrze poznać. Jeśli nawet nie znano się osobiście, to przynajmniej na ogół wiedziano, kto jakie posiada uzdolnienia. Seth Lazarus mógłby się sprzedawać na aukcji. Każdy chciał zostać jego partnerem.

Na drugim miejscu pod względem popularności były kobiety, gdyż w rzeczywistości ci nie upieczeni lekarze uważali je jedynie za znakomite pielęgniarki. A samo ćwiczenie było zazwyczaj podstawą w Szkole Pielęgniarskiej.

Laura odrzucała wszystkie propozycje dopóty, dopóki nie zaproponowała wymiany ukłuć Barniemu. On jednak nie był w stanie zaakceptować jej hojnej oferty. - Nie mogę, Castellano - powiedział z żalem. - Nie potrafiłbym sprawić ci bólu.

- Ja nie mam nic przeciwko temu, Lauro - zgłosił się na ochotnika Bennett. A potem zapytał szarmancko: - Czy mógłbym panią prosić o rękę, panno Castellano?

Laura uśmiechnęła się. - Oczywiście. To moja jedyna szansa na to, aby sprawdzić pogłoskę, że krąży ci w żyłach błękitna krew.

Barney znalazł sobie partnera w Hanku Dwyerze: - Może będziemy się trzymać razem?

Następne ćwiczenie, polegające na nakłuciu żyły, było dla nich ważniejsze, gdyż istotna część ich medycznego wykształcenia opierać się miała na pobieraniu próbek krwi do badań laboratoryjnych.

Barney podchodził do tego jak do sportowych ćwiczeń. Najpierw należało wypatrzeć sokolim okiem ofiarę (w tym wypadku żyłę), a potem bezzwłocznie uczynić stanowczy ruch. Bardzo pomogło mu w tym to, że Dwyer miał jasną skórę i przedramię porysowane niebieskimi żyłkami niczym ser roquefort. Inaczej mówiąc, miał na ręku prawdziwą mapę. Hank, jak przystało na świętego człowieka, nie był jednak w stanie uczynić bliźniemu swemu tego, co jego zwinny partner uczynił przed chwilą jemu.

Barney pragnął natomiast jak najprędzej mieć to już z głowy, toteż zaklinał go na wszystko: - Prędszej, Hank, pospiesz się! Wbij wreszcie tę przeklętą igłę!

Wkrótce jednak pożałował tych słów.

Kiedy już było po wszystkim, instruktor medycyny wewnętrznej powiedział im: - Będziecie jeszcze mieli okazję do nabrania wprawy. Nie martwcie się więc, jeśli nie czujecie się w tym zbyt pewnie.

Niebawem przekonali się sami, że adepci na lekarzy pobierają w czasie swego szkolenia tyle krwi, że gdyby hrabia Dracula o tym wiedział, z pewnością sprzedałby swój zamek dla zapewnienia sobie wstępu w ich szeregi.

Bardzo niewielu z nich wyjechało do domu na te ostatnie, przedkliniczne święta. Gdyby liczba szczegółów, które musieli zapamiętać, była w formie cukru, z pewnością wszyscy nabawiliby się już cukrzycy.

Dla większości z nich gwiazda nad Betlejem nie była wcale boską łuną na niebie, ale światłem z nocnej lampki.

Bennett ponownie poświęcił swój cenny czas na to, aby pojechać do domu na święta.

Pamiętał, jak po raz pierwszy Hannah przyrządzała dla niego bożonarodzeniowy obiad. Taka była przejęta wszystkimi przygotowaniami i tym, co miała podać!

- To dziwne i smutne zarazem, Linc - powiedział Herschel do swego jedenastoletniego zaadoptowanego synka - ale nawet przed Hitlerem traktowano Boże Narodzenie i Wielkanoc jako okazję do organizowania krwawych prześladowań przeciwko nam. Mój ojciec zawsze mi powtarzał, jaka to ironia. Dla nas Jezus był po prostu dobrym żydowskim chłopcem, któremu wstrętne byłyby te wszystkie rzeczy czynione w Jego imieniu.

- Czy inni o tym wiedzą, tatusiu? - zapytał Linc, nie będąc pewny, czy przypadkiem nie jest to jakaś tajna informacja.

- Każdy powinien o tym wiedzieć - odpowiedziała Hannah.

- Ale większość woli o tym nie myśleć, bo tak im wygodniej.

- To wszystko jest bardzo skomplikowane - przyznał chłopiec. - Właściwie to nawet nie bardzo rozumiem różnicę pomiędzy Żydami a chrześcijanami.

- To dlatego, że mamy ze sobą wiele wspólnego - wtrąciła Hannah. - W końcu to Stary Testament nakazuje nam kochać bliźniego jak siebie samego.

- To bezpośredni cytat - dodał Herschel. W młodości był ortodoksyjnym wyznawcą swej religii i znał prawie całą Biblię na pamięć. - To Księga Kapłańska, rozdział dziewiętnasty, wiersz osiemnasty.

Z czasem jednak pytania nastolatka stawały się coraz bardziej dociekliwe.

- Tato, jeśli Bóg jest sprawiedliwy i karze złych ludzi, tak jak mówi panna Hayes, moja instruktorka w szkółce niedzielnej, to jak mógł na to pozwolić, żeby tylu waszych ludzi zginęło? Dlaczego pozwolił na to, żeby mój ojciec...

- Sam się nad tym zastanawiałem, jak byłem w obozie - przyznał Herschel. - I kiedy zesłano tam wszystkich moich krewnych. A zwłaszcza, kiedy sam przeżyłem. Często zastanawiałem się wtedy, czy Bóg jest ojcem, który ma faworytów?

- I znalazłeś na to odpowiedź?

- Jedyna odpowiedź na to, mój chłopcze, jest taka: a kimże ja jestem, żeby zadawać Mu takie pytania? Nie śmiem wypytywać Boga, dlaczego zginęli moi bracia. Muszę tylko żyć, usiłując odwdziaczyć Mu się za to, że mnie ocalił.

Pozostałością jego niegdysiejszej głębokiej pobożności była prosta ceremonia wykonywana w wigilię Jom Kippur. Zapalał wówczas jedną jedyną świecę dla uczczenia tych, którzy zginęli z powodów dla niego niepojętych.

- Ten ogień pali się również dla twojego ojca - powiedział Lincowi, czym wzruszył go głęboko.

W ostatnim akcie tej podniosłej ceremonii zaintonował żałobny Kadysz. Dziwny smutny język oraz żarliwość recytacji ojca zafascynowały chłopca.

- Co to takiego? - zapytał nieśmiało.

- To tradycyjna żydowska modlitwa za zmarłych - wyjaśniła Hannah.

Linc zastanowił się przez chwilę, a potem zwrócił się do Herschla: - Czy mógłbyś nauczyć mnie, jak to wymawiać?

- Nie muszę cię tego uczyć - odpowiedział Herschel. - Popatrz, tu na drugiej stronie jest tłumaczenie angielskie: "Niech będzie pochwalone i wysławione imię Pana".

- Nie! - nalegał Linc. - Ja to chcę powiedzieć w świętym języku.

- To będzie trochę trudne - powiedziała Hannah, wzruszona jego impulsywnością.

- Kochanie - poprawił ją Herschel-to jest jedyna modlitwa, którą zawsze wypisuje się fonetycznie po angielsku, żeby nawet ci, którzy nie znają hebrajskiego, mogli ją wymówić.

Otworzył Siddur na ostatniej stronie i podał go Lincowi.

- Powiedz ją za twojego ojca. Pomogę ci, jeśli gdzieś się potkniesz.

Linc przeczytał ją jednak bezbłędnie. - *Yisgadal ve yishadosh shmei raboh...* - I zaraz pragnął dowiedzieć się, co to znaczy.

Przeczytawszy tłumaczenie, miał jeszcze jedno pytanie do Herschla: - Dlaczego nie ma w tej modlitwie miejsca na imię zmarłej osoby? Wychwala się w niej tylko wielkość Boga.

- Bo jeśli wspomnisz Jego imię, On natychmiast pamięta o wszystkich innych.

Wzrastanie w takich dziwnych warunkach - przepelnionych miłością i obcych zarazem - często prowadziło do pewnego zamieszania. Zwłaszcza po tym, jak Linc domagał się zmiany nazwiska dla podkreślenia swojej podwójnej przynależności. Imię "Ben" zdawało się idealnym kompromisem. Był to nie tylko skrót od nazwiska Bennett, lecz również słowo to oznaczało "syna" w języku hebrajskim.

- Tato, kim ja właściwie jestem? - zapytał Herschla pewnego dnia.

- Nie rozumiem cię, Ben?

- No, bo ludzie pytają mnie czasem w szkole, czy jestem Żydem dlatego, że wy nimi jesteście. A potem ktoś inny się wtrąca i mówi, że to niemożliwe, bo jestem tylko kolorowy. Wszystko mi się pomieszało. Czasami mam ochotę iść do siebie do pokoju, zamknąć drzwi i nigdzie nie wychodzić.

Herschel zastanawiał się nad tym pytaniem i nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi. W końcu powiedział tylko: - Synu, to jest Ameryka. Tu możesz być, kim zechcesz.

- Co on właściwie miał na myśli? - Herschel zapytał żonę wieczorem, kiedy byli już w łóżku. - Czy spotkały go z czyjejs strony jakieś przykrości?

Wzruszyła ramionami.

- Hannah, kiedy patrzysz na mnie w ten sposób, wiem, że coś przede mną ukrywasz.

Powiedziała mu więc o wszystkim, zaznaczając, że do tych wniosków doszła na podstawie zachowania Bena i jego przypadkowych wypowiedzi. Miała wrażenie, że padły jakieś uwagi, a może nawet doszło i do bijatyki. Nawet w tych uprzywilejowanych warunkach ich syn nie uniknął cudzej bigoterii. I to z dwóch powodów.

- I to nie tylko "goje" w jego szkole - dodała. - Twój kochany braciszek i jego towarzystwo wcale nie jest lepsze. Ben nie jest zapraszany na zabawy bożonarodzeniowe do kolegów ani na tańce do świątyni twego brata. Kiedy zabrałeś go do klubu Steve'a w zeszłym roku, żeby sobie pograł w tenisa, pozostali członkowie klubu dostali ataku wściekłości. On po prostu nie ma prawdziwego domu.

- Przepraszam cię bardzo, a kim my dla niego jesteśmy? - zapytał Herschel.

- Dwojgiem starych ludzi, i to starzejących się szybko. Co się z nim stanie, jak nas już nie będzie?

- Chcesz zatem, żebyśmy wysłali go z powrotem do Georgii? - zażartował Herschel.

- Nie. Po prostu stwierdzam fakty. Mamy cudownego syna. Jest najlepszym, najbardziej kochającym dzieckiem, jakie znam. Musimy go jednak przygotować, pomóc mu być mocnym.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest czarny. A do tego, jest jakby i Żydem. Świat może zażądać od niego za to potwornej zapłaty.

To było nieuniknione. Życie Bena w domu Landsmannów stało się nieustannym wspomnianiem obozowej masakry. Wisiała ona w powietrzu, zarówno w słowach wypowiedzianych, jak i przemilczanych.

Pewnego dnia Ben pomagał Hannah sprzątać ze stołu po posiłku, który zjedli w kuchni.

Kiedy podciągnęła rękawy, żeby umyć naczynia, zauważył na jej przedramieniu tatuaż.

- Co to takiego? - zapytał niewinnie.

- To tylko taki numer - odpowiedziała Hannah, usiłując zaniechać tematu.

- Ale czego? - nalegał Ben.

- Powiedzmy, że dzięki temu numerowi mogli nas hitlerowcy mieć na oku.

- Ależ to straszne. Dlaczego nie powiesz jakiemuś lekarzowi, żeby ci to ściągnął?

- O nie, kochanie - próbowała uśmiechnąć się Hannah. - Wyszłam z tego cało, więc jest to mój szczęśliwy numer. Zatrzymam go zatem na zawsze.

Seth Lazarus wziął sobie pełne trzy dni wolnego i pojechał do Chicago.

Czuł, że dobrze mu szło na wszystkich zajęciach i mógł sobie w związku z tym pozwolić na utratę paru punktów w zamian za zobaczenie się z Judy. Postanowił, że spędzą jak najwięcej czasu razem pomiędzy kolejnymi obiadami u swoich rodzin.

Państwo Lazarus nie mieli jednakowego zdania na temat Judy.

- Muszę przyznać, że ona jest rzeczywiście ładna - orzekł Nat. - Kto by się spodziewał, że nasz mały Seth przyprowdzi do domu Ritę Hayworth?

Rosie była trochę mniej wylewna. - Czy ty rzeczywiście sądzisz, że ona będzie dla niego dobra? Przecież on jest taki nieśmiały, a ona taka... - jakby to powiedzieć - nachalna. Widziałeś, jak ona trzymała jego rękę? I to na oczach jego rodzonej matki! Uważam, że ta dziewczyna prowadzi się zbyt swobodnie.

- On już ukończył dwadzieścia jeden lat, Rosie. Niedługo zostanie lekarzem. Niech sam użyje swego stetoskopu do osłuchania swego serca.

- A zatem nie zgadzasz się ze mną?

- A czy ja się kiedyś z tobą nie zgadzałem?

- Nie, nigdy.

- A więc jest to wielkie wydarzenie, ponieważ z całą pewnością tym razem się z tobą nie zgadzam.

Rodzina Judy ustosunkowała się do nich mniej ambiwalentnie. Przyjrawszy się kawalerowi córki, Simon Gordon oświadczył, posługując się metaforą zawodową: - Nie ulega wątpliwości, że to dwudziestoczekaratowy człowiek.

- Judy mówi, że wszyscy w szpitalu uważają, że jest świetny - dodała pani Gordon z dumą. - Co za wspaniały zięć!

- Hej, nie spiesz się tak bardzo, on się jej jeszcze nie oświadczył.

- Słuchaj, w tej kwestii nie widzę żadnego problemu. Jeśli on się jej nie oświadczy, to ona zrobi to za niego.

Seth i Judy stali długo naprzeciw sklepu Lazarusa w namiętym uścisku.

- Zamówiłem na jutro pokój w hotelu Sonata. Czy nadal chcesz to zrobić? - szepnął Seth.

Judy odpowiedziała mu cicho: - Żał mi tylko, że to już nie dzisiaj. Może poszlibyśmy tam zaraz wcześniej rano, żeby w pełni wykorzystać ten czas.

- Dobrze. Powiem rodzicom, że zdecydowałem się na wcześniejszy samolot.

- Bardzo wczesny, Seth. Proszę.

Następnego ranka przyjechała po niego rozpromieniona o dziewiątej. Seth włożył małą walizkę do bagażnika samochodu. Pomachali na pożegnanie jego rodzicom i odjechali w kierunku lotniska O'Hare.

Była to dziwna pora, nawet według kryteriów ruchliwego hotelu. Urzędnik zaczął przeproszać: - Doktorostwo Schweitzer? Tak, mamy państwa rezerwację, ale spodziewaliśmy się państwa dopiero po południu.

- Samolot męża przyleciał trochę wcześniej. No, wie pan, pomyślne wiatry - wyjaśniła pośpiesznie Judy.

- Ach, tak! - odpowiedział urzędnik od lat przyzwyczajony do kontrolowania rysów twarzy.

- No cóż, pokojówki sprzątają teraz pokój dwieście dziewięć. Jeśli nie mielibyście państwo nic przeciwko temu, żeby trochę poczekać...

- Świetnie - odpowiedział Seth głębokim barytonem (czuł bowiem, że przyszły zdobywca Nagrody Nobla powinien mieć bardzo donośny głos). - I jeśli to możliwe, to chcielibyśmy zabrać ze sobą nasz bagaż.

Czekali przed otwartymi drzwiami pokoju, patrząc z niecierpliwością na dwie pokojówki zmieniające pościel na łóżku.

- Jeszcze tylko chwileczkę - powiedziała jedna z nich, uśmiechając się znacząco.
- Nowożeńcy, co?

- Czy to widać? - zapytał Seth, rumieniąc się.

- Zawsze to poznaję - odpowiedziała z nie ukrywaną satysfakcją w głosie. - Jeśli ktoś przyjeżdża tu świeży - a nie skonany - z podróży, to zazwyczaj są to nowożeńcy. W każdym razie, jeszcze tylko momencik. Niech państwo nie zapomną powiesić na drzwiach wywieszki "Nie przeszkadzać".

Seth był trochę zdenerwowany, ale nie przerażony. Przyznał się Judy, że jest dziewicą. Ona była również szczerą na temat swoich "doświadczeń". W ubiegłym roku chodził z nią młody stażysta i zapewniał ją o swojej dozgonnej miłości. Cały romans trwał tak długo jak jego staż w szpitalu i kiedy wyjechał do Teksasu, otrzymała od niego jednoznaczny list.

- Nic się nie martw - szepnęła. - To wszystko przychodzi naturalnie.

- Wcale się nie martwię - odpowiedział. - Na wszelki wypadek przeczytałem jednak książkę *Miłość bez obawy*.

- Uwierz mi, Seth, żadna książka nie jest w stanie opisać, jakie to cudowne!

- Czy tamten facet był taki dobry?

Pokręciła głową. - Nie, kochanie. Wiem jednak, że z tobą będzie idealnie.

Obiad zjedli na dole, w kawiarni. Seth pochłonął dwie klubowe kanapki i olbrzymi kawałek cytrynowej bezy. W połowie posiłku zamyślił się.

- Czy coś się stało? - spytała.

Pokiwał głową. - Czy miałabyś ochotę gdzieś się przejechać?

- Dobrze. A gdzie?

- Zobaczysz, jak zajedziemy na miejsce.

Wsiedli do samochodu. Seth wyciągnął z kieszeni marynarki mapę i zaczął pilotować Judy na zachód. Pół godziny później dotarli do wąskiego skrzyżowania poza miastem.

- Seth, gdzie ty mnie wywiozłeś? Dlaczego jesteś taki tajemniczy?

- Chcę, żebyś poznała kogoś - powiedział z dziwnym smutkiem w głosie. -
Mojego starszego brata...

- Nigdy mi nie mówiłeś, że...

- Nie - przerwał jej. - Bo usiłuję o nim nie myśleć. Jechała zgodnie z jego wskazówkami, coraz bardziej zaintrygowana i przestraszona.

W końcu wskazał jej zakręt po prawej stronie i powiedział: - Jeśli mamy być razem, to musisz wiedzieć wszystko o mojej rodzinie.

Zaparkowali na dziedzińcu Domu Świętego Józefa dla Dzieci. Przywitała ich zaróżowiona zakonnica po sześćdziesiątce. - Wesołych świąt, Seth - powiedziała ciepło. - Chcesz pewno zobaczyć się z Howiem. Chodźcie więc ze mną.

Poszli za nią korytarzem, parę kroków z tyłu. Kiedy wchodzili na górę po szerokich kamiennych schodach, Judy zaczęła się niepokoić.

- Seth - szepnęła - co mu jest?

- Zobaczysz - odpowiedział cicho.

Siostra wskazała im drzwi. - Z pewnością ucieszy się na wasz widok.

Odchodząc, dodała: - Będę w pokoju zabaw, gdybyście mnie potrzebowali.

Seth czekał, aż zostali sami. A potem powiedział do Judy:

- Mam nadzieję, że to cię nie przerazi. Nigdy mnie jednak nie zrozumiesz, jeśli nie poznasz Howiego.

W niszy służącej za pokój leżał mężczyzna, lub raczej duży chłopiec, ubrany w coś, co przypominało dziecięcą pieluszkę. Był bardzo wychudzony. Spod bladej przezroczystej skóry wystawały żebra. Leżał na plecach i kręcił na wszystkie strony głową, nie będąc w stanie skoncentrować na niczym wzroku. Z ust ściekała mu ślina.

Mimo całego swojego szpitalnego doświadczenia, Judy wzdrygnęła się.

- Cześć, Howie! - powiedział Seth.

Chłopiec nawet się nie odwrócił, żeby na niego popatrzeć.

- Czy on słyszy? - spytała Judy, siląc się na spokój.

- Myślę, że tak... Ale nie rozumie słów. Nastąpiła cisza przerywana bulgotaniem Howiego.

- Dlaczego on jest taki chudy? - zapytała Judy. - Przecież nawet jeśli nie jest w stanie połykać, można go karmić dożylnie.

- Robią to celowo - wyjaśnił Seth, usiłując powstrzymać emocje i zachować kliniczną obojętność. - Muszą utrzymać taką wagę, żeby dwie pielęgniarki mogły go podnieść... i wszystko koło niego zrobić. Zmienić pościel, ogolić go...

- A ta pieluszka?

- Ma dwadzieścia pięć lat, a ciągle jest mu potrzebna. - Seth pokręcił głową. - I tak jest od ponad dwudziestu lat. Rodzice robili, co mogli, żeby opłacić mu prywatny dom opieki. W państwowej instytucji już chyba nie żył, co prawdopodobnie byłoby błogosławieństwem.

W pokoju ponownie zapanowała cisza, przerywana tylko odgłosami wydawanymi przez Howiego. Stali i patrzyli na niego jeszcze przez parę minut. Seth spoglądał na swego brata z wyrazem twarzy, którego nie mogła rozszyfrować. W końcu powiedział: - Cieszę się, że cię widzę, Howie. Trzymaj się.

W drodze powrotnej milczeli oboje. Zastanawiał się, o czym ona myślała. Ona zaś usiłowała zrozumieć, dlaczego chciał, żeby o tym wiedziała.

W końcu zapytała: - Czy boisz się, że to dziedziczne?

Potrząsnął głową. - To nie jest dziedziczne. To był wypadek samochodowy. Miał wtedy cztery lata. Uderzył głową w tablicę rozdzielczą.

Milczała przez chwilę, przyswajając sobie tę informację.

- A gdzie ty byłeś w tym czasie?

- Bezpiecznie ukryty, w łonie mojej matki.

- Och! - Ta jedna prosta sylaba świadczyła o tym, że wreszcie go zrozumiała. - Dlatego poczuwasz się do winy?

Przez chwilę panowała cisza, a potem Seth odezwał się cicho:

- Tak. Wiem, że to szaleństwo, ale nic na to nie mogę poradzić. Mam to irracjonalne poczucie winy, że funkcjonuję w realnym świecie, a on tkwi w tym pokoju całe życie. Rodzice pogłębiają je jeszcze, traktując mnie poniekąd jak wyrzut sumienia. Wiesz, czasem wolałbym być na miejscu Howiego.

Ukrył twarz w dłoniach, nadaremnie usiłując wymazać z pamięci jego obraz.

Ciągnął dalej, nadal nie odwracając od niej oczu: - Wiesz, co w tym wszystkim stanowi największą ironię? Ten człowiek jest mocniejszy ode mnie. W dzieciństwie byłem astmatykiem, a Howie zawsze był silny jak byk. On mnie jeszcze przeżyje.

- Trudno to nazwać życiem. Czy on cierpi?

- To wielka tajemnica - odpowiedział Seth. - Lekarze zdołali przekonać rodziców, że on nie czuje niczego. Ja jednak nie rozumiem, skąd ta pewność, skoro on nie jest w stanie nam niczego powiedzieć. Ja po prostu nie mogę już znieść tego niewzruszonego pojęcia człowieczeństwa, jakie mają w tej instytucji. Dwa lata temu dostał zapalenia płuc. Tetracyklina dopiero co ukazała się na rynku. Dlaczego musieli zadawać sobie tyle trudu, żeby zdobyć i zastosować ten najnowszy cud farmaceutyki po to tylko, żeby przedłużyć temu człowiekowi... egzystencję.

- To faktycznie okropne - zgodziła się Judy. - Tak między nami mówiąc, tego rodzaju rzeczy są u nas na oddziale na porządku dziennym. Nie ma tam wątpliwości,

że pacjenci cierpią, ale lekarze wypróbują na nich lekarstwa po lekarstwach. Robią z nich króliki doświadczalne.

- Widziałas już zatem takie przypadki jak Howie?

Zawahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała z bolesną szczerością: - Nie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Dlatego, że nie ma temu końca.

Seth pokiwał ze smutkiem głową, zastanawiając się, czy mógłby się jej zwierzyć z sekretu, który palił mu duszę.

Pewnego dnia zamierzał bowiem zakończyć cierpienia brata.

Rozdział XX

Studenci, którzy wyjeżdżali w 1959 roku na bożonarodzeniowe ferie, nie przypuszczali nawet, że po powrocie zostaną zwolnieni z laboratoryjnej harówki.

Nie mogli jednak przewidzieć, że rok 1960 będzie rokiem powszechnych wystąpień na Południu, żądających zniesienia rasowej segregacji, że "Twist" Chubby'ego Checkera opanuje cały naród oraz że Izrael doprowadzi do ujęcia Adolfa Eichmanna?

Miał to być również rok, w którym profesor Theodore Maiman udoskonalił pierwotne wzmocnienie światła poprzez wymuszoną emisję promieniowania, zwaną inaczej laserem.

W listopadzie tego roku zwyciężył w wyborach prezydenckich młody John Fitzgerald Kennedy.

Przypuszczalnie jednak najistotniejsze dla ich codziennego życia było ukazanie się na rynku pigułek antykoncepcyjnych.

Rozpoczęli zajęcia z fizycznego rozpoznania, których zadaniem miało być przygotowanie studentów, dotąd pracujących jedynie przy trupach, próbkach i laboratoryjnych zwierzętach, do zajmowania się prawdziwymi pacjentami.

Ich instruktor, profesor Derek Shaw, nosił stetoskop niczym napierśnik Wielkiego Kapłana i zachowywał się równie sztywno jak jego wykrochmalony biały fartuch. Zaczął od opisu właściwego postępowania podczas "oszacowywania" nowego pacjenta, czyli od "przeгляdu układów". Zwrócił im uwagę na to, że w przypadku choroby, bardziej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie, przeszłość jest w rzeczywistości prologiem. Choroby dzieciństwa są bowiem ojcem schorzeń wieku dorosłego.

Przestrzegł ich, aby nigdy nie przeoczyli żadnej dziedziny fizjologii - żadnego układu, naczyń krwionośnych, gruczołów czy organów. Równocześnie dał początkującym lekarzom bardzo istotną radę: - Większość waszych pacjentów nie będzie znała medycznych terminów, takich jak ejakulacja, defekacja czy defloracja. W związku z tym mogą mieć pewne trudności ze zrozumieniem waszych pytań, jeśli będziecie je zadawać w czysto fachowy sposób. Rozumiecie chyba, co mam na myśli. Czasami będziecie nawet musieli używać bardziej wulgarnych określeń.

Owszem, profesorze Shaw - pomyśleli sobie jednocześnie. Dobrze wiemy, jakie to słowa ma pan na myśli.

- A więc po sprawdzeniu oddechu oraz stanu serca i układu krążenia, wypytujemy o uprzednie problemy z żołądkiem, systemem nerwowym i próbujemy poznać historię psychiczną pacjentów. Wreszcie pytamy, czy mają jakieś problemy z sikaniem lub z seksem.

W końcu nadeszła chwila próby.

- Pamiętajcie - ostrzegał Shaw - że w diagnostyce medycznej nie ma takiej technologii - fluoroskopu, rentgenowskich prześwietleń czy też mikroskopu - które kiedykolwiek wyeliminują konieczność posługiwania się ludzkimi zmysłami. Podstawowymi instrumentami rozpoznania zawsze pozostaną oczy, uszy i nos (wiecie bowiem, że niektóre bakterie wydzielają charakterystyczny zapach) oraz ręce. Nie zapominajcie również i o tym, że leczenie pacjenta rozpoczyna się od momentu jego dotknięcia. Ludzkie ciało jest symfonią dźwięków. Dobrze zharmonizowane grają skoczną melodię. Brak harmonii wskazuje na to, że któryś z instrumentów orkiestralnych ciała fałszuje i jest nie dostrojony.

A zatem pierwszym ćwiczeniem w diagnostyce jest sztuka osłuchiwania, nauczenie się odróżniania dźwięków rozpoznawalnych jedynie dla dobrze wyczonego ucha.

Szmer słyszalny ponad jednym z głównych naczyń krwionośnych wskazuje na zwężenie tętnicy lub jej zamknięcie. A w klatce piersiowej, którą moglibyśmy porównać do Carnegie Hall* całego organizmu, w której żebra stwarzają doskonałą akustykę, beczenie podobne do dźwięków oboju wskazuje na istnienie otworu w błonach otaczających płuca. Rzęzenie słyszalne w układzie oddechowym można określić jako "dzwoniące", "gwizdzące", "piszczące" lub "niskie". W każdym zapisie stanowią one uverture do problemów z oskrzelami. Bębnekowy rezonans - niski, podobny do dźwięku bębna odgłos słyszalny przy uderzeniu klatki piersiowej pacjenta opuszkami palców - świadczy o obecności płynu lub infekcji w jamie poniżej.

Wreszcie istnieje łagodny szmer podmuchowy - pomruk serca, który w zależności od wielkości skali informuje o stanie zdrowia zastawek.

Shaw zrezygnował wreszcie ze swoich muzykalnych metafor i przeszedł do obmacywania czterech ćwiartek brzucha.

Profesor logicznie zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli rozpoczną nawzajem badania na sobie.

Natychmiast wywołało to rewoltę i to bynajmniej nie kobiet. Były tylko cztery i z łatwością podzieliły się na dwa zespoły, odgrywając na przemian rolę doktorów i pacjentek. A poza tym - dla przyzwoitości - zabrano je do sąsiedniego pokoju, gdzie mogły wykonywać ćwiczenie bez podniecania męskiej większości.

Ze zrozumiałych powodów to mężczyźni nie mieli ochoty ani nikogo dotykać, ani też dawać się dotykać swoim kolegom. Robienie sobie nawzajem zastrzyków to inna sprawa. Nawet jeśli były one trochę bolesne, należały do powierzchownych kontaktów. Badanie ciała to jednak zupełnie coś innego.

Któż, u diabła, chciałby, żeby Peter Wyman obmacywał mu prostatę albo dotykał jego moszny.

Profesor Shaw był przyzwyczajony do masowego oporu, nigdy jednak aż na taką skalę.

Zacząło się to od czegoś w rodzaju oskrzelowego szmeru, lecz prędko przekształciło się w spazmatyczne okrzyki w stylu: - Nie ma mowy! Nikt mi nie położy palca na dupie! - jak również całkiem słyszalne: - Odpierdol się, Shaw!

Profesor zauważył kątem oka, że kilku studentów wymknęło się tylnymi drzwiami z sali. Zorientował się, że ma do czynienia z otwartą rebelią.

Zamiast natychmiast oblać całą grupę, ogłosił nowe parametry początkowego ćwiczenia.

- Naturalnie nie jesteśmy w stanie zrobić wszystkiego w ciągu jednych zajęć - oznajmił, mając nadzieję, że nie wyczują kapitulacji w jego głosie. - Ograniczymy zatem to pierwsze spotkanie do zaznajomienia się z dźwiękami serca. Z tonem serca, akcentacją tonów i uderzeniami koniuszkowymi. - Dla zapewnienia sobie ich dobrej woli zaproponował nęcącą zachętę na przyszłe zajęcia: - Ze względu na to, że czasami bywa to sprawą życia i śmierci, żaden kurs tego typu nie może przeoczyć nauki prawidłowego badania pochwy. Naturalnie będziemy musieli w tym celu zaprosić bardziej doświadczonych pacjentów. Na razie jednak posłuchajmy muzyki naszych serc i nauczmy się ich dźwięków.

W sali natychmiast przycichło i pięćdziesiąt osiem stetoskopów uniosło się do badania pięćdziesięciu ośmiu klatek piersiowych.

Wiecznie pokutujący za coś Dwyer zaofiarował się posłużyć za baranka diagnostycznego i zgodził się zostać partnerem Petera Wymana. Cnota jego została

* Carnegie Hall - słynna sala koncertowa w Nowym Jorku.

jednak sownie wynagrodzona. Mimo że Wyman przyprawiał wszystkich o wymioty, trzeba było przyznać, że posiadał ogromne zdolności obserwacyjne.

- Masz częstoskurcz, Hank - powiedział, przesłuchując klatkę piersiową partnera przesadnie długo.

- Nie wygłupiaj się, Peter - upierał się Hank. - Mam jedynie dwadzieścia trzy lata i jestem zdrowy jak byk.

- Przykro mi, Hank, ale upieram się przy swoim rozpoznaniu. Jeśli nie chcesz, żeby twoje dzieci zostały sierotami, powinieneś oddać się w ręce służby zdrowia. Chociaż szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby mogli ci powiedzieć więcej niż ja.

- No dobra, Peter, zaoszczędź mi tej fatygi.

- No więc - powiedział Wyman - po pierwsze, radziłbym ci przestać palić.

- O, daj spokój, palę zaledwie pół paczki dziennie. Jestem w ciągłym napięciu i to mi pomaga. Kiedy ty kończysz zajęcia, idziesz sobie do swojego małego, cichego pokoiku. Ja natomiast wracam do domu pełnego wrzasku dzieci, brudnych pieluch, pożywek, butelek i do żony, która wiecznie ma pretensje, że jej za mało pomagam.

- Słuchaj, Hank, istnieją opublikowane dowody związku pomiędzy paleniem a występowaniem chorób naczyniowych, ale to twoje życie, nie moje. A poza tym uważam również, że masz za dużą nadwagę.

Hanka Dwyera cechowała ogromna cierpliwość. Wyczerpał ją jednak doszczętnie, usiłując pohamować w sobie wybuch gniewu.

- Czy chciałbyś może, Wyman, poznać moją opinię o tobie?

- Twoje spekulacje mogą okazać się interesujące - przyznał Peter.

- Powiedziałbym zatem, że masz serce z kamienia i odpowiednią do tego twarz.

Hank zebrał zeszyty i wzburzony wybiegł z sali. Natychmiast sięgnął po papierosa dla uspokojenia nerwów.

W czasie bożonarodzeniowych ferii Warren pojechał z matką do Miami Beach, aby obejrzeć trzy czy cztery mieszkania, które ciotka Cecylia uznała za "godne uwagi".

Znaleźli w końcu jedno na ukończeniu w Carlton Towers. Mieszkanie Estelle nadal "wisiło w powietrzu", gdyż dwunaste piętro pozostało jeszcze do wybudowania, niemniej mogli już sobie wyobrazić, jakie wspaniałe będą stamtąd widoki na ocean. A najważniejsze w mniemaniu mędrca Warrena było to, że mieszkanie miało charakter własnościowy.

- To zaczyna być właśnie popularne - zapewniał ją przysły prawnik. - I będzie to dobra inwestycja.

- Warren, ale czy te opłaty nie będą trochę za duże? Nie mogę sobie pozwolić na życie ponad stan.

- Nie ma problemu. Wszystko już wyliczyłem. Przy swojej emeryturze możesz tu żyć jak sam Riley, do czasu, kiedy zacznę robić forszę jako prawnik. Prędzej czy później Barney też skończy te swoje wieczne studia i zostanie bogatym lekarzem. Oprócz tego Carlton Towers ma dodatkowy kąpiel dla gości, a zatem obaj z Barniem będziemy mogli wpadać tu na weekendy z naszymi żonami.

Estelle uśmiechnęła się. - A można wiedzieć, kogo zamierzasz poślubić?

- Oczywiście. Cudowną dziewczynę. Jest wprost niewiarygodnie piękna, ukończyła studia humanistyczne w Barnard i studia prawnicze w Yale, a do tego gotuje jak Julia Child.

- To wspaniałe. Czy już ją kiedyś spotkałam?

- Nie - odparł Warren. - Ja również jeszcze jej nie znam. Nie mam jednak zamiaru iść na jakiegokolwiek ustępstwa.

- Słuchaj - zażartowała przyjaźnie Estelle. - Najważniejsze, żebyś poślubił kogoś, z kim będziesz mógł rozmawiać, kto będzie ci przyjacielem. Oboje z ojcem byliśmy tym dla siebie. Nie potrzeba ci tych mitologicznych stworzeń o mózгах Einsteina i nogach Betty Gracie.

- Ależ, mam! - strofował ją z dezaprobatą Warren. - Czyż Laura nie jest piękna, mądra i miła zarazem?

Estelle pokiwała głową. - Owszem, ale czasami zastanawiam się...

- Nad czym, mam?

- No cóż, niestety mam wrażenie, że w głębi duszy ona nie jest szczęśliwa.

- Dlaczego? - zapytał Warren szczerze zaskoczony.

- Może właśnie dlatego, że jest zbyt ładna, za mądra i za miła.

Nawet Laura nie miała odwagi na samotne spędzanie świąt Bożego Narodzenia. Trzy godziny wcześniej pomachała radośnie na pożegnanie Sarniemu i Suzie, którzy wybrali się jednym z samochodów Lance'a w góry Vermontu. Mieli nadzieję, że tam zasypie ich śniegiem na cały tydzień.

Siedząc w pustej jadalni i zmuszając się do zjedzenia ciepłego indyka, smakującego jak plastikowe dekoracje wiszące smętnie tu i ówdzie na ścianach,

poczuła się do tego stopnia nieszczęśliwa, że mimo wszystko postanowiła pojechać do domu. Nawet jeśli jej ostatnie święta były takie katastrofalne.

Kiedy brnęła z trudem po szarym, mokrym śniegu w stronę placu Lincolna, nagle zdała sobie sprawę z tego, że punkty orientacyjne z czasów dzieciństwa stały się dla niej zupełnie obce. Nawet opuszczony dom Livingstonów stał teraz z pustymi oknami, spoglądającymi smętnie na czerwono-zielony znak "Na sprzedaż" wystawiony z przodu. Była to jedyna świąteczna dekoracja, jaką mieli do zaoferowania sąsiedzi.

Ze strachem weszła na stopnie rodzinnego domu. Przywitały ją jednak serdeczne uściski. Ze zdziwieniem zobaczyła, że rodzice się uśmiechali i - z braku lepszego określenia - byli jacyś dziwnie pogodni.

Przy obiedzie dowiedziała się, jakie były tego powody.

Castellanowie mieli specjalnego, świątecznego gościa w osobie przystojnego kubańskiego księdza - ojca Francisco Xaviera. Gość zmówił po łacinie modlitwę i pobłogosławił wszystkich obecnych. On też głównie podtrzymywał rozmowę przy stole. Albo to coś, co miało za nią uchodzić. Na ogół bowiem panowała tam cisza, przerywana tylko przez: "Proszę mi podać sałatkę" albo "Może jeszcze trochę pieczeni, proszę ojca?" i "Nie, dziękuję, to było wprost wyśmienite".

Przy kawie spojrzał na Laurę i zauważył: - Rozumiem, że chcesz zostać lekarką.

- Owszem - odpowiedziała znacząco.

- To bardzo szlachetne powołanie, pobłogosławione przez świętych Kosmę i Damiana. Ale ty na pewno o nich nie słyszałaś.

- Owszem, słyszałam. Byli to chrześcijańscy męczennicy, którzy praktykowali swojego rodzaju społeczną medycynę i w pewnym sensie są patronami lekarzy.

- Cieszę się, że tak dużo wiesz o naszej religii.

- Tak się składa, że uczyłam się o nich na zajęciach z historii nauki, ojczec. Tam również dowiedziałam się o świętym Benedykcie i rycerzach szpitalników z Jeruzalem. Byli to bardzo miłośni ludzie. Szczególnie podobała mi się ich reguła zakonna: "Szanujmy chorych - naszych panów i władców".

- To mi się bardzo podoba, Lauro - odezwał się Luis z dumą w głosie. - Zawsze powinniśmy się odnosić z szacunkiem do naszych cierpiących pacjentów.

Z nieoficjalnych obliczeń Laury wynikało, że w trakcie całego wieczoru Luis odezwał się dopiero po raz czwarty.

- Tak naprawdę - ciągnął Luis, utkwivszy spojrzenie w twarzy ojca Francisco Xaviera - uważam, że to najlepszy pomysł, z jakim kiedykolwiek wystąpił Kościół katolicki. Ludzie zbyt często czczą doktorów i robią z nich świętych tylko dlatego, że wstrzyknęli im trochę penicyliny. A to powinno być na odwrót.

- To bardzo interesujący punkt widzenia - odpowiedział grzecznie ksiądz. - Być może uda mi się wpleść to do kazania.

- Czy długo pozostanie ksiądz w tej diecezji? - zapytała Laura.

- Tak długo, jak będzie to życzeniem Pana - odpowiedział cicho. - Dlaczego pytasz?

- O, myślałam, że będzie ksiądz wracał na Kubę, skoro tamtejsza sytuacja już się polepszyła.

- Polepszyła się? W jakim sensie? - zapytał duchowny.

- Chodzi o ludzi - odpowiedziała. - Batista był przecież faszystowskim dyktatorem.

- Ale za to ten Castro jest komunistą - zauważył z dezaprobatą ksiądz.

- On wierzy w to wszystko, o co ja walczyłem - wtrącił Luis z większym niż dotąd przejęciem. - Za Fidela wszyscy na Kubie będą traktowani sprawiedliwie.

Laura spojrzała na ojca ze zdziwieniem. Zaskoczył ją ten jego dawny zapał. Uśmiechnęła się do Luisa. - Coś mi się wydaje, że chciałbyś tam teraz być.

W tym momencie ojciec Francisco Xavier zakaszłał z zażenowaniem i nagle wszystko stało się jasne.

Laura spojrzała na ojca i spytała matowym głosem: - Papo, nie myślisz chyba poważnie o wyjeździe na Kubę?

Luis pokiwał spokojnie głową. - Wielu doktorów z reżimu Batisty uciekło i jestem tam teraz potrzebny.

- Ale czy nie jesteś już troszeczkę... na to za stary, żeby się teraz bawić w Che Guevarę?

- Rewolucja już się skończyła - odpowiedział z zapałem Luis. - Teraz przyszedł czas na budowę nowego społeczeństwa.

Ojciec Francisco Xavier pochylił głowę jakby w modlitwie, a twarz matki była pozbawiona wyrazu niczym maska.

- Czy to prawda? Czy on mówi poważnie? - spytała Laura.

- Owszem. Jadę na Kubę, *querida* - odpowiedział spokojnie Luis.

- A mama?

Duchowny postanowił odpowiedzieć za Inez. - Twoja matka ma inne plany. Zamierza - jakby to powiedzieć - przyłączyć się do nas. Zupełnie zdezorientowana Laura zwróciła się teraz do Inez:

- Czy to znaczy, że zamierzasz zostać zakonnica?

- Nie, Laurito - odpowiedziała Inez. - Wstąpię do trzeciego zakonu, jako *una lega*.

- To rodzaj świeckiej siostry - wyjaśnił prędko ksiądz.

- Dziękuję, znam hiszpański, proszę księdza - warknęła Laura.

- Uspokój się - skarciła ją Inez. - To właśnie ojciec znalazł mi ten zakon w stanie Nowy Jork. Potrzebują tam pomocników z językiem hiszpańskim, żeby odwiedzali domy chorych i ubogich rodzin.

Laura ledwo mogła się powstrzymać od krzyku: - A co z naszą rodziną?

- Będę pracowała dla Boga - wyjaśniała dalej Inez. - W ten sposób może zdołam odpokutować za moje grzechy.

Tylko tyle jej na razie powiedziano.

Spojrzała na ojca i zobaczyła wyraz klęski w jego oczach. Przeraziła się nagle i poczuła boleśnie samotna.

Do kogoż miała się jednak zwrócić? Luis i Inez najwidoczniej abdykowali ze swojej rodzicielskiej roli.

W tym momencie duchowny wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. Musiał odprawić mszę wcześniej rano. Inez wstała również, żeby go odprowadzić.

- *Buenas noches* - powiedział na pożegnanie.

- Niech ksiądz będzie ostrożny - przestrzegala Inez.

- Bóg jest ze mną i niczego się nie boję - odpowiedział ksiądz, odchodząc w ciemność nocy.

Luis nie mógł się powstrzymać od szepnięcia sardonicznie w stronę Laury: - Miejmy nadzieję, że się nie myli. Z całą pewnością nie było przy nim Pana, kiedy napadnięto na niego trzy miesiące temu. Musiałem mu wtedy założyć pięć szwów na policzku.

Kiedy ksiądz wyszedł, Laura zamierzała zarzucić matce, że ją opuściła. Inez nie wróciła jednak do pokoju. Czyżby nawet nie chciała z nią porozmawiać?

- Mama zazwyczaj wchodzi na górę wcześniej - wyjaśnił Luis. - Przez jakiś czas się modli, a potem idzie spać. Chodźmy do mojego gabinetu i napijmy się czegoś, *niña*. - Po czym dodał szybko: - Naturalnie miałem na myśli coca colę czy coś takiego.

Skinęła głową i weszła za ojcem do jego prywatnego królestwa. Od razu zauważyła, jak schludnie wyglądał teraz jego gabinet. Czasopisma porozrzucane niegdyś niczym jesienne liście, leżały teraz poukładane równo na półkach.

Widząc reakcję córki, Luis wyjaśnił: - Estelle pokazała mi, jak katalogować książki i czasopisma. W ten sposób będzie mi je łatwiej spakować. Cola, woda sodowa czy też piwo z imbirem?

- Cokolwiek - odpowiedziała z roztargnieniem.

Luis otworzył butelkę Canada Dry. Napełnił szklankę i podał ją córce.

- Usiądź. Zachowujesz się, jakbyś tu była obca.

- Bo tak się czuję - odpowiedziała z goryczą. - Co się, u diabła, stało z naszą rodziną?

Luis usiadł za biurkiem, przechylił krzesło do tyłu i zapalił cygaro. - Usłyszałaś prawie o wszystkim przy obiedzie. Wyjeżdżam na Kubę.

- Na jak długo?

- Zamierzam tam zamieszkać na stałe - wyjaśnił. - Wiesz przecież, że moim największym marzeniem był powrót do wolnej Hiszpanii. Któż jednak wie, czy dożyję do śmierci Franco? Zawsze podziwiałem Fidela, a Guevara jest intelektualistą o właściwych poglądach.

Laura słuchała w milczeniu.

- A poza tym, jako doktor tracę teraz więcej czasu na wypełnianie druczków ubezpieczeniowych niż na leczenie pacjentów. Na Kubie medycyna jest bezpłatna i będę mógł leczyć każdego, kto będzie mnie potrzebował.

Zawahał się, a Laura wtrąciła: - I zamierzasz zostawić mamę w tym... zakonie?

Wzniósł ręce do góry w bezradnym geście i odpowiedział: - To jest jej decyzja, Laurita.

Pochylił się do przodu, opierając swoje potężne ciało na biurku.

- Kiedyś byliśmy z twoją matką małżeństwem - zaczął. - W każdym znaczeniu tego słowa. Te same ideały, te same przekonania, te same poglądy na temat tego, jak wychowywać nasze dzieci. Nie masz nawet pojęcia, przez jakie piekło przeszliśmy zaraz po ślubie. Ledwo zdążyła wyleczyć się z postrzałowych ran, zjawiałaś się ty i przyniosłaś nam szczęście. Byłaś rekompensatą za konieczność opuszczenia kraju, który kochaliśmy. A potem Isobel...

Przerwał i ze znużeniem zaczerpnął powietrza. - Po tym wszystkim był to cios, który rzucił twoją matkę na kolana. Można powiedzieć, że to wcale nie metafora.

Wiecznie siedziała w kościele na modlitwach. Nigdy nie rozmawialiśmy - to znaczy o niczym istotnym. Nie było między nami nienawiści czy otwartej niezgody, ale to, co powstało, było jeszcze gorsze - ściana milczenia. Małżeństwo, które miało wszystko, nagle nie miało nic. Żyliśmy więc jak obcy. Rozmawiała jedynie z Bogiem, a mnie zostawiła samego. Zacząłem pić. Tak, wiem, że to zauważyłaś. Lecz *niña*, nie pozostało mi nic, w co mogłem uwierzyć...

Laura poczuła się urażona. Czyż ja nie byłam żadnym pocieszeniem dla żadnego z was? - zapytała w myślach.

- A potem przyszedł Fidel. Ujrzałem w nim moją ostatnią szansę na to, żeby żyć jak *verdadero hombre*. Żeby być użyteczny. Czy ty to możesz zrozumieć?

Pokiwała tylko w milczeniu głową.

- Kiedy kubańskie Ministerstwo Zdrowia przyjęło moją kandydaturę, wyrzuciłem na śmietnik wszystkie przekłete butelki i od tego czasu nie miałem ani kropelki Jerez w ustach. Znowu mam jakiś cel w życiu.

Laura usiłowała zrozumieć to wszystko. - A zatem... rozchodzicie się?

- Przykro mi, *querida*. To wynik wielu lat. Myślałem jednak, że wyczuwałaś, w jakim kierunku to wszystko zmierza.

- I jak zamierzałeś mi to obwieścić? Na małej karteczce pocztowej z Hawany?

Jej głos zdradzał wściekłość i ból.

- Jeszcze parę dni temu nie było to nic pewnego - odpowiedział Luis w ramach przeprosin. - A poza tym oboje byliśmy zgodni co do tego, że jesteś na tyle mocna, aby sama się o siebie zatroszczyć. Zawsze taka byłaś.

Laura nie wiedziała, jak ma zareagować. Czy przy tych wszystkich spekulacjach i całym tym wielkim planie ojciec zastanowił się w ogóle nad tym, jak będą się teraz widywać?

Nie wiedziała, czy ma krzyknąć ze złości, czy się załamać. Nagle rozplakała się.

Luis natychmiast był przy niej. Objął ją ramieniem. - Proszę, wybacz mi, Laurito. Wiem, że to moja wina. Ale widzisz, bałem się powiedzieć ci o tym wszystkim.

- Dlaczego to robisz? - spytała zalana łzami. - Skąd wam przyszło do głowy, że skoro jestem dorosła, to już nie potrzebuję rodziców?

- *Querida* - szepnął uspokajającym tonem. - Wkrótce wyjdiesz za mąż. Sama zostaniesz rodzicem. I będziecie mogli przyjeżdżać w odwiedziny do *papacito* na plażę w Veradero.

Laura wstała i krzyknęła: - Skąd jesteś taki pewny, że w ogóle wyjdę za mąż?

- Ten Palmer to wspaniały, młody mężczyzna.,.

- A więc sam wyjdź za niego z mąż! - krzyknęła. - Doktorze Castellano, dobrze wiem, że nie zrobiłbyś tego, gdybym była twoim synem!

- To niesprawiedliwe! - zaprotestował.

- O tak, masz świętą rację, że to niesprawiedliwe. W porządku. Czytaj sobie swego Marksa i Engelsa, a ja idę spać. Jutro wyjeżdżam pierwszym pociągiem, więc nie szukaj mnie przy śniadaniu. I powiedz mojej matce, żeby nie spodziewała się ode mnie listów.

Odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku drzwi. Przed wyjściem jeszcze raz przystanąła, żeby mu powiedzieć: - Wyślij mi z łaski swojej moje ubrania i rzeczy do Vanderbilt Hall.

Odwróciła się ponownie i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Luis Castellano stał jak porażony piorunem. Czyżby teraz utracił drugą córkę?

Kiedy Laura dotarła w końcu do Vanderbilt Hall, było tam pusto i zimno jak w grobowcu. Przywitał ją ktoś, kto równie idiotycznie jak ona spędzał tę noc w takim miejscu jak to.

- Cześć, Lauro. Nie mogę uwierzyć, że jesteś tutaj.

- Szczerze mówiąc, ja również.

- Masz ochotę zjeść ze mną świąteczną kolację?

- Owszem, co proponujesz?

- Co sądzisz o pizzy?

- Świetnie. Cokolwiek. Poczekaj tylko, aż zatargam do Dziekanki mój bagaż.

Piętnaście minut później brnęła w śniegu w stronę Pizzerii Jacopo z ulubieńcem roku, Peterem Wymanem, u boku.

Wesołą nowinę bracia słuchajcie...

Barney zwlekał z zakończeniem swojego zimowego karnawału do ostatniej chwili. Oboje z Suzie wyjechali z New Hampshire dopiero w ostatnim dniu po kolacji, toteż przybyli do Vanderbilt Hall tuż przed północą.

Pocałowali się na pożegnanie i po raz pierwszy od tygodnia poszli spać osobno. W drodze do pokoju Barney opróżnił swoją zapchaną skrzynkę pocztową - jak zwykle było tam parę rachunków i kilka kartek świątecznych. Właściwie nic ważnego, dopóki

nie rzucił wzrokiem na oficjalną kopertę od kogoś o nazwisku Esterhazy z miejskiej kostnicy w Nowym Jorku.

O cholera! - pomyślał. Czyż chcą, żebym zidentyfikował jakieś zwłoki? Co to, u diabła, ma znaczyć?

Wszedł do pokoju, natychmiast rozerwał kopertę i zaczął czytać napisany starannie na maszynie list.

Drogi Barney,

poznałem już wszystkie chwytły. W Wariatkowie nie zostaje się właściwie wyleczonym zupełnie (takich słów żaden szanujący się psychiatra nigdy głośno nie wypowie), lecz niczym aktora uczącego się roli, charakteryzuje się w końcu delikwenta jako "normalną" osobę. I kiedy się wreszcie człowiek pozbiera, wszyscy są tak cholernie szczęśliwi, że natychmiast wysyłają go w świat i wycinają kolejny karb na swoich kozetkach.

Doktor Cunningham okazał się naprawdę dobrym facetem, zwłaszcza kiedy przestał przyjmować telefony od mojego ojca. Pomógł mi przemyśleć wiele spraw.

Nadal zamierzam zostać lekarzem - nie na Harvardzie, ale gdzieś, gdzie współzawodnictwo jest trochę mniejsze. Najważniejsze jest ukończenie biegu. Nigdy nie słyszałem, żeby pacjent wypytywał doktora o jego oceny z przedmiotów ścisłych.

Czy Zygmunt Freud znał w ogóle biochemię?

W każdym razie, jak widzisz na podstawie tej papeterii, pokonałem w sobie strach przed wnętrznościami zmarłych, decydując się na najbardziej przeciwfobiczny akt, jaki sobie można wyobrazić. W głębi duszy nadal się boję, ale przynajmniej potrafię sobie z tym poradzić. Na tym właśnie polega cała gra, jak mnie zapewniał doktor Cunningham.

Z drugiej zaś strony przestałem mieć wyrzuty sumienia z tego powodu, że nienawidzę mojego ojca. On sobie na to zasłużył.

W chwili kiedy to piszę, nie wie nawet, gdzie jestem, ani też nie ma pojęcia, kim jestem, gdyż przyjąłem oryginalne nazwisko rodzinne Esterhazy, które on z pewnością wymazał z pamięci.

Jeśli czytasz jeszcze ten nudny list, pozwól, że zakończę go zapewnieniem Cię, że zawsze miło myślę o Tobie jako o przyjacielu i pozostaję Ci wdzięczny za Twoją dobroć, kiedy jej najbardziej potrzebowałem.

Życzę Ci wesołych świąt i mam nadzieję, że ożeniłeś się już z tą fantastyczną Laurą Castellano.

*Twój Maury
Esterhazy (de domo Eastman)*

Brawo! - pomyślał Barney. I chwala Bogu. Dobrze Maury, że nie dałeś sobie wypalić rozumu!

Zanosilo się na to, że będzie to wspaniały Nowy Rok, a zwłaszcza jeśli list, który zamierzał teraz napisać, spotka się z przychylną reakcją.

Właśnie wyjmował pióro i papier, kiedy na korytarzu zadzwonił telefon. Nic nie szkodzi, to z pewnością nie do mnie. W chwilę później posłyszał stukanie do drzwi i zaspany (jak również trochę zniecierpliwiony) głos Lance'a Mortimera obwieścił ochryple:

- Telefon do ciebie, Livingston. Czy te twoje wielbicielki nigdy nie śpią?

Barney odłożył pióro i popędził do telefonu. Dobra, droga Suzie, pewno już za mną tęskni. W parę sekund później złapał słuchawkę i wyszeptał: - Cześć, kochanie!

Nieśmiały głos po drugiej stronie słuchawki brzmiał przeproszająco: - Barney, bardzo mi przykro, że o tej porze zawracam ci głowę...

To była Laura.

- Od półtorej godziny usiłowałam się z tobą skontaktować. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam...

- W porządku, Castellano. O co chodzi?

- Nic takiego monumentalnego. Tylko cały mój świat się zawalił. Sądzę jednak, że mogłabym poczekać z tym do jutra.

- Nie ma mowy. Za chwilę zobaczymy się na dole.

- Czy na pewno nie masz nic przeciwko temu? - zapytała ze smutkiem w głosie.

- Nie bądź niemądra. Będę tam za sekundę. Odłożył słuchawkę i wrócił do siebie do pokoju.

Pochylił się, żeby zasznurować tenisówki. W sekundę później, kiedy gotował się do wyjścia, przypomniał sobie o tym ważnym liście, który właśnie pisał.

Podszedł do biurka i popatrzył na leżącą na nim kartkę papieru:

Najdroższa Susan,

Mam do Ciebie pytanie -

Czy wyjdiesz za mnie za mąż?

Brakowało tam tylko podpisu.

Czy powinienem to podpisać i wrzucić po drodze do skrzynki?

Nie. Nie uważał już, aby to był właściwy moment. Wziął kartkę do ręki, zmiął w kulkę i wrzucił fachowo do kosza na śmieci.

Po czym zszedł na dół na spotkanie z Laurą.

Rozdział XXI

- Castellano, czy na pewno nie brałaś LSD?

O tej porze byli jedynymi ludźmi siedzącymi na korytarzu i szept ich odbijał się echem pod kopułą.

- Uwierz mi, Barnie, żałuję, że to nie skutki LSD. O niczym innym tak nie marzę, jak o tym, żeby móc wymazać ze świadomości to, co ci właśnie powiedziałam. Kto to słyszał, żeby matka chciała zostać zakonnica?

- No wiesz, ona w zasadzie nie składa żadnych ślubów. Czyż nie mówiłaś, że ma być tylko czymś w rodzaju świeckiej siostry?

- Do diabła, a co to za różnica? Cała moja rodzina nagle się rozpada. Będę jedyną sierotą na świecie, której oboje rodzice żyją.

Rozpacz jej była nieomal dotykalna. Jak dobrze ją rozumiał! Sam przecież głęboko przeżywał utratę ukochanego domu dzieciństwa. On jednak wiedział przynajmniej, że jego rodzina pozostaje nadal w zasięgu ręki. Ona natomiast nie miała dokąd iść, poza tym małym, obskurnym pokoikiem w Dziekance.

- Lauro - powiedział cicho - posłuchaj. Zakon twojej matki jest stąd zaledwie o parę godzin jazdy. Nawet Kuba odległa jest tylko o dziewięćdziesiąt mil od wybrzeży Florydy. Jeśli utrzymasz dobrą kondycję fizyczną, to będziesz mogła dopłynąć tam wpław.

Uśmiechnęła się mimowolnie, widząc oczyma wyobraźni, jak zмага się z falami oceanu. Ale tylko na chwilę.

- W każdym razie - ciągnął dalej Barney z przejęciem - pamiętaj, że zawsze jeszcze masz mnie. Zawsze możesz przyjechać do nas do domu. Estelle kupiła właśnie duże mieszkanie w Miami. Laura pochyliła głowę i rozplakała się.

- Posłuchaj, dzieciaku. Zaraz przejmę tu rolę ojca i zacznę wydawać rozkazy. Chcę, żebyś natychmiast poszła do siebie do pokoju, wypła szklanek ciepłego mleka i położyła się do łóżka. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Pokiwała głową i wstała. Barney wstał również. Przez chwilę oboje stali nieruchomo oddaleni od siebie zaledwie o parę centymetrów.

- O mój Boże, Barney - wyszeptła czule. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Castellano, o to nigdy nie musisz się martwić.

- Cheryl, do jasnej cholery, czy nie możesz uciszyć tych dzieciaków?

- Słuchaj, bliźniaki to też odrębni ludzie. O różnych porach się budzą i krzyczą, że są głodne lub mokre.

- Na litość boską, nie musisz mi o tym przypominać! Jak ja się mam, u diabła, uczyć w tym piekielnym wrzasku?

- Czy musisz się tak wydzierać, Hank?

- Cudownie! - odpowiedział sardonicznie. - Mnie mówisz, żebym się zamknął, a sama nie jesteś w stanie uspokoić tych dwóch potwornych bachorów.

- Czy w ten sposób wyrażasz się o swoich dzieciach?

- Odczep się ode mnie, dobrze? - Wstał, zatrzaskał z hukiem książkę, pozbiierał notatki i złapał płaszcz.

- Gdzie idziesz? - spytała błagalnie Cheryl.

- Gdzieś, gdzie jest cicho. Do biblioteki. Muszę się nauczyć wszystkich najdrobniejszych szczegółów przeprowadzania fizycznego badania.

- Może być tak przy okazji przebadaj własną głowę? - zawołała za nim. Jej słowa jednak zagłuszył huk zatrzaskiwanych drzwi.

Nie można powiedzieć, aby Szkoła Medyczna kojarzyła się wyłącznie z pracą i nie było w niej nigdy miejsca na rozrywkę. Dla ścisłości należy jednak przyznać, że praca była właściwie wszystkim i jeden jedyny występ artystyczny - tradycyjny program rozrywkowy drugiego roku - potwierdzał tę regułę. Rzecz nie poddawana cenzurze stanowiła owoc ich wyczerpanych, cofających się w rozwoju i żądnych zemsty umysłów. Arcydzieło transcendentalnej wręcz wulgarności było źródłem unikalnych przeżyć dramatycznych, nie spotykanych wręcz od czasów Arystofanesa. Studenci wiedzieli bowiem, że obiekty ich złośliwych dowcipów siedziały na sali teatralnej, słuchając spokojnie, jak się ich obraża.

Tegoroczna oferta pod tytułem Stosunki międzyludzkie odznaczała się wyjątkową liczbą uderzeń poniżej pasa. Tak jak na przykład w tej rapsodii o nauczycielu anatomii:

*Nikt z nas nie ma wątpliwości,
że Lubar ma nekrofilskie skłonności.
Pociąga go każde ludzkie ciało,
co odpowiednio długo w formalinie leżało.
Każdy zadaje sobie pytanie,*

*skąd on ma takie upodobanie?
Dobry psycholog byłby zmuszony
szukać przyczyny u jego żony.*

Powodzenie zawdzięczali w dużym stopniu twórczym talentom Mortimera. Gdy tylko zapadła kurtyna, dziekan Holmes pospieszył pogratulować autorowi.

- Mortimer, masz wyjątkowy talent do świntuszenia. Sądzę, że powinienes się zająć pornografią, a nie medycyną.

- Być może będę do tego zmuszony, panie dziekanie. Zwłaszcza jeśli obleję biochemię.

Wchodząc później na przyjęcie, Lance pogratulował sobie w duchu nieomyślności swego instynktu. Dzisiejsza ekstremalna fantazja literacka zjednała mu serca i sprośną wyobraźnię facetów, którzy się liczą.

Dla osadzenia ich studiów w odpowiednim kontekście społecznym zaproponowano studentom krótką serię wykładów pod wspólnym tytułem: *Socjologia medycyny*. Ci, którzy oczekiwali jakiegoś podniesienia na duchu, rozczarowali się gorzko, słysząc, jak pierwszy mówca, reprezentant Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy, wymyślał przeciwko uspołecznionej formie medycyny.

- Nie zapominajmy, że to Lenin ogłosił, że “uspołeczniiona medycyna jest podwaliną socjalistycznego państwa”.

Po czym zaczął się wypowiadać przeciwko ubezpieczeniu inwalidzkemu, będącemu następnym krokiem w kierunku pełnego upaństwowienia opieki medycznej.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Barney Mortimera, kiedy wychodzili z sali po tej namiętnej przemowie.

- Czyja wiem? Wydaje mi się, że powiedział parę interesujących rzeczy.

Laura podeszła do nich i usłyszała jego komentarz.

- Lance, faktem jest, że ludzie biedni są coraz bardziej schorowani i żyją o wiele krócej od bogatych. Czy uważasz, że to jest sprawiedliwe? Ten facet głosił tu rodzaj medycyny egalitarnej - jak zapłacisz, to możesz żyć. Żałuję, że nie miałam przy sobie śmierdzącego jaja, żeby nim rzucić w tego łajdaka.

Barney uśmiechnął się, słysząc jej wybuch, a Lance odpowiedział potulnie: - Każdemu według jego stanu.

- O nie, Lance, wszystkim jednakowo. Mam nadzieję, że zauważyliście, że nie słyszeliśmy jeszcze nic ze strony opozycji. Powinni przysłać tu kogoś z Krajowego Komitetu Zdrowia. To dobrzy ludzie - tylko prawie tak samo biedni jak ci, o których walczą. Każdego roku Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy wydaje miliony dolarów na podcinanie wszelkiej inicjatywy zmierzającej do stworzenia ogólnokrajowej polisy ubezpieczeniowej.

- No cóż - przyznał liberalnie Lance - to w końcu jest wolny kraj.

- O nie, Lance, mylisz się. W dziedzinie zdrowia jest to bardzo kosztowny kraj.

- Och, przestań już z tym pouczeniem, dobrze?

Laura nie raczyła mu odpowiedzieć, tylko odwróciła się na pięcie i odeszła. *

- Czy ona jest komunistką? - zapytał Barniego Lanc.

- Nie, chłopie. Ona jest tylko wrażliwym człowiekiem, o bardzo wyczulonym społecznym sumieniu.

- W takim razie - zażartował Lance - chyba znalazłem się w niewłaściwym towarzystwie.

Żaden mężczyzna nie był w stanie zmrużyć oka w przeddzień następnego ćwiczenia. Czego właściwie się obawiali? Wszyscy stawiali sobie to pytanie.

- Zachowujemy się tak, jakbyśmy wkraczali w zupełnie obce dla nas terytorium - stwierdził Barney. - Przecież pochwa jest w końcu tą częścią kobiecego ciała, którą znamy - że tak powiem - od podszewki. W pewnym sensie jest to jakby powrót do ojczyzny.

- Przestań pieprzyć - odpowiedział Bennett, rozdając butelki piwa zebranym w jego pokoju kolegom. Zeszli się tam wszyscy, aby podzielić się strachem, jaki odczuwali przed pierwszym w ich życiu badaniem miednicy, mającym nastąpić nazajutrz rano.

- No właśnie - zgodnie przytaknął Lance. - Dlaczego się nie przyznasz, że boisz się jak diabli? Wszyscy mamy pietra.

- Wcale nie mówiłem, że się nie boję. Próbowałem was tylko uspokoić. Posłuchajmy lepiej specy.

Wskazał ręką na Skipa Elsasa, niegdysiejszego koszykarskiego współzawodnika i studenta czwartego roku. A zatem kogoś, kto już przez to wszystko przeszedł.

- No, Elsas! Przyznaj się! - nalegał Bennett.

- Szczerze mówiąc - zaczął Skip - pierwsze badanie miednicy jest jedną z najgorszych rzeczy, jakie kiedykolwiek przyjdzie wam tu robić. Nieważne, ile mieliście już doświadczeń w tym względzie. Z pewnością nikt z was nigdy jeszcze nie świecił lampą parę centymetrów od tego dzbanuszka miodu i nie badał go w sposób kliniczny. A poza tym, jeśli nie będziecie mieli pojęcia, co macie robić, to możecie wyrządzić krzywdę kobiecie i zadać jej wiele bólu. Po pierwsze, pamiętajcie, żeby ogrzać ten cholerny wziernik. Jak byście się czuli, gdyby wam wsadzono zimną parę szczypiec do któregoś z waszych otworów?

Ktoś uniósł rękę. - Czy możemy zastosować jakiś krem? - zapytał Hank Dwyer.

- Nie. Waszym pierwszym zadaniem będzie pobranie czystych komórek do badań cytologicznych. Wymazy z szyjki macicznej i tym podobne. No i posiew rzeżączki.

- Czy to znaczy, że mamy wtykać nosy w potencjalne obszary weneryczne?

- Nikt tutaj nie mówił o używaniu nosa - odpowiedział Skip, uśmiechając się słabo.

Roześmiali się nerwowo.

- No więc - ciągnął dalej - gdy już założycie ten wziernik i otworzycie go, to - zakładając, że umieściliście go prawidłowo - powinniście zobaczyć szyjkę macicy położoną poniżej z tyłu. Łatwo ją rozpoznacie, bo przypomina duże, różowe oko. Potem pobieracie wymazy i delikatnie wynosicie się stamtąd.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Chwileczkę! - zaprotestował Skip, wznosząc ręce niczym policjant wstrzymujący uliczny ruch. - To dopiero połowa roboty. Teraz możecie nałożyć krem na drugi i trzeci palec ręki, którą będziecie przeprowadzali badanie (zademonstrował im to) i wykonacie badanie oburęczne. Dwa palce wewnątrz pochwy - która to technika jest pewno niektórym z was dobrze znana.

Czekał na jakieś oznaki uznania, ale tym razem nie nadchodziły.

- A potem kładzicie drugą rękę na brzuchu pacjentki i próbujecie oszacować wielkość i stan macicy, która normalnie przypomina wielkością cytrynę. Cały sekret w tym, żeby udawać, że się wie, co się robi. To wszystko nie powinno wam zająć więcej niż pięć minut. I jeszcze jedno. Będziecie musieli dobrze panować nad swoimi emocjami. Możecie mi wierzyć lub nie, ale początkowo jest to trochę... seksualnie stymulujące.

Zamilkł, a potem zapytał: - Czy macie jeszcze jakieś pytania?

Hank Dwyer uniósł gorączkowo rękę.

- Tak? - zapytał Skip.

- Powiedziałeś, że szyjka macicy jest różowa, czyż nie tak?

Skip pokiwał twierdząco głową.

- No więc - ciągnął dalej Hank z pewnym zażenowaniem - robiłem pewne ćwiczenia, no wiesz, na mojej żonie...

- No i? - ponaglał go Skip. - W czym miałaś problem?

- No więc rzuciłem okiem na to, co powiedziałeś, i szyjka macicy mojej żony jest jakby... taka niebieska. Czy to znaczy, że coś jest nie w porządku?

- Widzę, że nie przeczytałeś uważnie podręcznika, chłopie - odpowiedział ekspert. - Nazywa się to symptomem Chadwicka.

Hank pobladł z przerażenia. - Czy to coś poważnego?

- No wiesz - odpowiedział Skip - to zależy od ciebie i od twojej żony. Niebieska szyjka macicy świadczy o tym, że twoja żona jest w ciąży.

Na to niedoszły ksiądz odpowiedział tylko: - O cholera!

Morderca uderzył ponownie. W rok po swojej pierwszej wizycie wszedł głuchą nocą do psiego laboratorium i zabił na chybił trafił sześć zwierząt doświadczalnych.

Wykładowcy mieli ochotę wezwać policję, jednakże dziekan Holmes ostrzegł ich przed tym: - Towarzystwo Humanitarne zawsze agitowało przeciwko używaniu zwierząt do doświadczeń laboratoryjnych i ten niefortunny incydent mógłby stać się dla nich sygnałem do wszczęcia dalszej walki.

- Sądzę, że najlepiej nie wywoływać wilka z lasu - zaproponował potem na tajnym zebraniu strategicznym z profesorem Lloydem Cruikshankiem i jego laboratoryjnymi asystentami. - Musimy rozwiązać tę zagadkę sami.

Po czym zaczął przeprowadzać śledztwo. - Czy pozostawił po sobie jakieś ślady? Wiemy, że stosował wysokie dawki zwyczajnych środków przeciwbólowych, ale czy widoczna jest w tym wszystkim jakaś metoda? To znaczy, czy na przykład zabijał psy należące tylko do jednej rasy? Większe czy mniejsze?

Mikę, jeden z asystentów, podniósł rękę. - Wszystkie te psy były solidnie pokaleczone, panie dziekanie.

- Nie rozumiem.

- No wie pan, nie wszyscy studenci posługują się sprawnie skalpelem. Niektórzy rzeczywiście szatkują wnętrzności tych zwierząt.

- I przysparzają im wielu cierpień.

- No cóż, wszystkie psy są pod znieczuleniem, niemniej niektóre cierpią przypuszczalnie podczas końcowych zabiegów.

- Rozumiem, do czego zmierzasz, Courtney - odezwał się profesor Cruikshank bezpośrednio do dziekana. - Czy sądzisz, że mamy tu do czynienia z zabójcą z litości?

Holmes pokiwał głową. - Sądzę, że wszystkie dane na to właśnie wskazują.

Profesor Cruikshank ciągnął dalej: - Zaczęło się to w zeszłym roku, a zatem nie uważasz, że jest to któryś ze studentów drugiego roku?

- Czy widzieliście tam jakichś szaleńców lub jakieś inne zwariowane altruistyczne typy? Zazwyczaj ujawniają się, wygłaszając kazania na temat ludzkiego okrucieństwa w stosunku do zwierząt.

Cruikshank i jego asystenci zamyślili się. Na koniec Mikę przypomniał sobie. - W dzień po zeszłorocznym incydencie ten czarny facet protestował przeciwko sprowadzaniu nowych psów do ostatniego ćwiczenia.

- To byłby Bennett Landsmann - zauważył dziekan.

- Tak, panie dziekanie. Sądzę, że tak właśnie brzmiało jego nazwisko.

- Jeśli to on jest sprawcą tego wszystkiego, obawiam się, że będziemy musieli to zatuszować - stwierdził dziekan.

- Daj spokój, Courtney! - zaprotestował Cruikshank. - Tylko dlatego, że ten facet jest czarny?

- Pan pozwoli, że udam, że nie słyszałem tej uwagi - odpowiedział dziekan Holmes surowo. - Doktorze Cruikshank, czy mógłbym z panem porozmawiać na osobności?

Profesor skinął głową w stronę młodych ludzi, którzy prędko się ulotnili. A potem zaczął domagać się wyjaśnień. - Co to, u diabła, za sekret?

- Widzę, że nazwisko Landsmann nic ci nie mówi, Lloyd. Czy czytujesz może "Wall Street Journal"?

- Oczywiście.

- Więc może czytałeś, że Federated Clothing właśnie kupiło Royal Leathercraft, będący w pełni własnością pana Herschla Landsmanna, za drobne dwadzieścia osiem milionów dolarów.

- No i...?

- No ł właśnie z tej okazji, a także dla wyrażenia swej wdzięczności dla uczelni kształcącej jego syna, pan Landsmann przekazał nam darowiznę, która zgodnie z jego życzeniem miała pozostać anonimowa - wielkości jednego miliona dolarów.

Cruikshank zagwizdał. - O mój Boże! Czy znasz tego młodego człowieka?

- Owszem, trochę Jest solidnym obywatelem i nie wydaje mi się, żeby był w stanie to zrobić. Możliwe, że to wcale nie on.

- A zatem nadal pozostaje nam jakiś wariat, skradający się nocami po korytarzach.

- Nie przesadzajmy, Lloyd. W końcu zabił tylko parę psów.

- Jak dotąd, Courtney - ostrzegł Cruikshank.

Grupka zdenerwowanych studentów stała w swoich nie dopasowanych białych fartuchach przed gabinetem ginekologicznym. Czuli się jak oszuści udający, że są ekspertami, podczas gdy w rzeczywistości byli zaledwie turystami w kraju, do którego przybyli bez wizy.

Greta Andersen wyszła z zadowoloną miną z gabinetu.

- No i jak ci poszło? - spytali zdenerwowani koledzy.

- Bez problemu. Pacjentka była zadowolona, widząc, że ma do czynienia z lekarką, która jako kobieta wie, co to znaczy.

Kiedy odchodziła tanecznym krokiem, paru z nich usiłowało sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby mieli przebadać właśnie ją.

Następnie wywołano nazwisko Barniego. Niepewnie wszedł do środka i przystanął na widok pacjentki leżącej już w pozycji ginekologicznej, z nogami w strzemionach i z białym arkuszem papieru, pokrywającym ją od pasa do kolan - tak aby nie była w stanie obserwować go w trakcie przeprowadzania badania. Mała białoniebieska lampka oświetlała miejsca, które miał zbadać.

Zgodnie z prawidłową procedurą medyczną w gabinecie obecna była pielęgniarka w charakterze przyzwoitki i asystentki. Pomogła mu nałożyć chirurgiczne rękawiczki, a potem usunęła się, aby mógł przeprowadzić lekarskie oględziny.

Barney popatrzył na pacjentkę. Była platynową blondynką po czterdziestce, może z trochę za mocnym makijażem.

- Dzień dobry - powiedział uspokajającym tonem. - Nazywam się doktor Livingston i będę teraz przeprowadzał badania kontrolne szyjki macicy, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Proszę się odprężyć i natychmiast powiedzieć mi, gdyby coś bolało. To znaczy, nic właściwie nie powinno panią zboleć, robiłem to już tysiące razy (tę dodatkową radę Skip zaoferował mu na osobności).

Na co pacjentka odpowiedziała mu tylko: - Nie pieprz.

Nie zwracając uwagi na to, co usłyszał, Barney zaczął przeprowadzać oględziny zewnętrznych genitaliów, sprawdzając, czy nie są w stanie zapalnym lub w zaniku. Ostrożnie rozchylił wargi sromowe i podyktował pielęgniarce: - Brak upławów, brak nieprawidłowości lechtaczki.

Dalsze uważne oględziny upewniły go, że uda, wzgórek Wenery i obszar okołodbytowy były normalne. Teraz należało zastosować wziernik. Podniósł go z tacy. Był zimny, więc poprosił pielęgniarkę, aby puściła z kranu strumień gorącej wody, żeby mógł go ogrzać.

Jeszcze raz poprosił pacjentkę, żeby się rozluźniła. Potem zaczerpnąwszy głęboko powietrza, rozsunął wargi sromowe palcami lewej ręki i wsunął wziernik do pochwy, kierując go ku dołowi, dla ominięcia cewki moczowej.

Dosięgnął! szyjki macicy, sprawiając pacjentce (jak sądził) jedynie minimalny ból. W końcu zdawało mu się, że usłyszał: - O cholera! Wiedział więc, że dotarł na miejsce. Trzeba go teraz było ustawić w otwartej pozycji przez dokręcenie zamka znajdującego się po jego stronie. Następnie małą łopatką delikatnie zeszkrobał śluz ze ścianek pochwy i nałożył go na przygotowane specjalnie szkiełka. Podał je pielęgniarce, która - przynajmniej teoretycznie - miała wysłać je do analizy w laboratorium.

Dla zachowania świeżości preparatów należało teraz spryskać szkiełka jakimś cytologicznym utrwalaczem. Zwrócił się do pielęgniarki, usiłując obniżyć głos o oktawę dla dodania sobie powagi i wieku: - Proszę o rozpylacz, siostró.

Bez słowa podała mu lakier do włosów Revlona. O nie! To przecież niemożliwe! Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Uśmiechnęła się i odpowiedziała niewinnie: - Wszyscy lekarze tego używają, proszę pana.

- Ach, tak - odpowiedział Barney. - Tak, oczywiście. Dziękuję.

Połowę już miał za sobą. A teraz badanie ręczne. Kiedy wyciągnął rękę i pielęgniarka nałożyła mu na palce krem, pomyślał, że dobrze byłoby ponownie uspokoić pacjentkę. Jednakże zbadawszy jej intymne części ciała, zbyt był teraz speszony, żeby popatrzeć jej w twarz.

- No dobrze - powiedział śmiało, choć odwracając od niej oczy - jeśli się pani rozluźni, to ta część badania nie powinna pani sprawić żadnych przykrości.

Na co pacjentka odrzekła: - Ależ ja jestem rozluźniona.

Co z kolei ogromnie podbudowało Barniego.

Położywszy lewą dłoń na jej brzuchu, wsunął pokryte kremem palce do pochwy. Nagle usłyszał niepokojąco gwałtowny oddech pacjentki.

- Czy wszystko w porządku, proszę pani? - zapytał z niepokojem.

- Zapomniał mi pan o tym powiedzieć, doktorze. Krótki oddech zapobiega napięciu ściany brzusznej.

- Ach, tak. Oczywiście. Bardzo pani dziękuję.

Z pomocą pacjentki, delikatnie prowadzącej jego lewą rękę, zlokalizował macicę i określił jej pozycję, wielkość, konsystencję i ruchliwość. Potem prędko sprawdził jajniki i zgodnie z radą wielkiego doktora Elsasa, czym prędzej wyniósł się stamtąd.

Zakończył wizytę uprzejmym pożegnaniem: - Dziękuję pani, była pani wspaniała.

- Dziękuję. Z pana też niezły dzieciak.

Nawet za najlepszych czasów posiłki w jadalni były ściśle segregowane, choć Laura często stanowiła wyjątek. Tego jednakże wieczoru nawet ona musiała przysiąc się do przedstawicielek własnej płci. Była to naturalna reakcja. Jedynie studentki były w stanie prawdziwie wczuć się w sytuację tych istot, które zgodziły się na to, aby umieszczono im nogi w strzemionach, i pozwoliły przedstawicielom przeciwnej płci na niezdarne grzebanie w ich najbardziej intymnych częściach ciała.

Mężczyźni również zdawali sobie sprawę z tego, że paru z nich nie tylko przeraziło i zażenowało swoje pacjentki, ale także czasami sprawiło im ból.

Bennett był najbardziej skruszony z nich wszystkich.

- Wiem, że zadałem tej kobiecie ból - powtarzał. - Po prostu stłumiła w sobie jęk. Nie mogłem jednak znaleźć szyjki macicy. Miałem wrażenie, że trwało to parę godzin.

- Cieszę się, że nie dostała mi się twoja pacjentka - przyznał szczerze Barney. - Moja bawiła się lepiej ode mnie. Jak mnie nie pouczała, to śmiała się ze mnie pod nosem. Któż, u diabła, chciałby zostać ginekologiem?

- Daj spokój, Livingston - zaprotestował Lance. - To przecież nie były ogrodowe kwiatki w rodzaju Mary Poppins. To były zwykłe prostytutki.

- Jak to prostytutki?

- Jesteś sportowcem, Livingston, pozwól więc, że ci to wytłumaczę po sportowemu. Te panie mają się do seksu jak Bill Russell do koszykówki.

Barnie zaniemówił. - To niemożliwe! Nabierasz nas.

- Naprawdę - odpowiedział Lance. - Słowo harcerza. Następnym razem, jeśli będziesz chciał wykonać na niej takie badania miedniczne, będzie cię to kosztowało dwadzieścia pięć dolarów w hotelu Berkeley.

- Cheryl, dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży?

- Hank, bo nie byłam pewna. A w ogóle skąd ty o tym wiesz?

- Tak się złożyło, że zauważyłem to po kolorze twojej macicy.

- Nic z tego nie rozumiem. Czy jesteś wściekły dlatego, że jestem w ciąży, czy też dlatego, że ci o tym nie powiedziałam?

Zawahał się przez chwilę z odpowiedzią. - Przypuszczam, że trochę z obu powodów. No bo czy nie mamy już dosyć roboty z bliźniaczkami? Jak my za to wszystko zapłacimy?

- Twoje ubezpieczenie z Harvardu pokryje koszty porodu. O jakież inne wyrzeczenia ci chodzi?

- No cóż, może ty się z tym nie zgadzasz, ale dla mnie konieczność powstrzymania się od seksu jest wyrzeczeniem.

- Hank, nie będzie to przecież trwało wiecznie. Ginekolodzy uważają obecnie...

- Przestań mi, do cholery, mówić, co gadają doktorzy. To moja rola. I nie mów mi, że miałaś na to taką ochotę po urodzeniu bliźniaków. Właściwie musiałem cię zgwałcić.

- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że powinniśmy używać jakichś środków antykoncepcyjnych?

- No wiesz, są teraz na rynku pigułki - enovid, ovrall.

- Czy zapomniałeś, że jesteśmy katolikami?

- Och, przestań już, kochanie, to przecież dwudziesty wiek! Mogę się założyć, że nawet żona prezydenta Kennedy'ego je zażywa.

- Tak się składa, Hank, że właśnie jest w ciąży.

- O Jezu! Na wszystko masz odpowiedź, co? Nagle strumienie łez popłynęły Cheryl po policzkach.

- Nie wiem już właściwie, kim ty jesteś, Hank. Bluźnisz przez cały czas. Ciągłe na mnie krzyczysz. Myślałam, że wychodzę za mąż za świętego, a ty przeobraziłeś się w potwora.

Nie mógł wytrzymać widoku jej łez. Wziął ją w ramiona i szepnął; - Przepraszam. Chyba jestem za bardzo przepracowany. Uważam, że to wspaniała nowina. Może tym razem urodzi nam się chłopak.

Barney siedział pogrążony w nauce, kiedy ktoś zapukał do jego drzwi.

- Hej! - wrzasnął opryskliwie. - Czy nie widzisz wywieszki "Nie przeszkadzać"?

- Uspokój się, Barney - usłyszał głos za drzwiami. - To twój szacowny kolega, doktor Landsmann.

Przynajmniej Bennett nie przychodzi tu do mnie po duchowe porady - pomyślał sobie Barney. (Ale jakby się tak nad tym zastanowić, to właściwie czemu nie? Tylko on jeden nigdy tego nie zrobił.)

- Ale szybko, Landsmann. Usiłuję zostać lekarzem. O co chodzi?

- Przynoszę wstrząsające wieści z Olimpu.

- Ale o czym?

- O Pucharze Nadużyć.

- Nie ma mowy - odpowiedział stanowczo Barney, machając ręką jakby dla ochrony przed jakimiś pociskami. - Żadna siła na ziemi nie zmusi mnie do powrotu na to boisko.

- Uspokój się, Livingston - odpowiedział Bennett radośnie. - Posłuchaj najpierw, jakie przynoszę wieści.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął kartkę papieru i podał ją podnieconemu koledze. - Przypuszczam, że podobna czeka na ciebie w skrzynce. Tegoroczny mecz został odwołany.

- Co takiego? - Na twarzy Barniego ukazało się teraz rozczarowanie. - Ale dlaczego?

- No cóż, oficjalna wypowiedź dziekana Holmesa brzmi mniej więcej tak: studia medyczne wymagają zbyt wielkiego poświęcenia i nie ma na nich czasu na takie błahostki.

- Pierdolenie. A o co naprawdę chodzi?

- Moim skromnym zdaniem, ci kanciarze mają teraz u siebie w drużynie oprócz "Ciężarowy" Macka, który jest dopiero na drugim roku, dwóch studentów pierwszego roku, którzy grali w Koszykarskiej Drużynie Narodowej. A zatem dziekan Holmes przyjął taktykę Falstaffa.

Barney pokiwał głową. - Lepsza rozwaga niż odwaga. Niewątpliwie rozgrywki rozpoczną się ponownie, gdy "Ciężarowa" i jego pisklęta skończą studia.

Bennett uśmiechnął się. - Myślę, że powinniśmy się z tej okazji czegoś napić. Ukryłem dwie butelki piwa u ciebie za drzwiami.

Dobry z ciebie facet, Bennett. Szkoda, że nie mam więcej takich jak ty gości.

Barney ograniczył popijanie do minimum, gdyż czekał na wizytę Suzie. Zaledwie pół godziny po wyjściu Bennetta znowu ktoś do niego zapukał. Nie usłyszał jednak słodkiego wołania Suzie, więc ryknął: - Livingstona nie ma w domu!

- Proszę cię, Barney! Muszę z tobą porozmawiać!

Tym razem była to Laura. Wyraz jej twarzy pasował do tonu jej głosu. Wydawało mu się, że się zaraz rozpłacze.

- Przykro mi, Barney. Wiem, że ci zawracam głowę, ale stało się coś, z czym nie mogę czekać.

Weszła do pokoju, ciągnąc za sobą zieloną torbę na książki.

- Siadaj! - zaproponował Barney, wskazując gościnnie na swój wygodny fotel z czternastej ręki za dwanaście dolarów.

Pokręciła głową. - Wolę postać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wykonywałam pewne dodatkowe prace w laboratorium i wobec tego dopiero teraz odebrałam pocztę. Szlachetny ojciec Francisco Xavier pomagał mojej matce opróżnić dom i w trakcie tych zajęć znalazł coś, co nazywa zbiorem literackich osiągnięć mego ojca. Jedno z nich wstrząsnęło mną do głębi.

- Czy mogę to zobaczyć?

- To po hiszpańsku - sięgnęła do torby po ciemną kopertę. - Przeczytaj ten pierwszy. Przetłumaczę ci, jeśli będziesz miał kłopoty.

Podala Barniemu plik pożółkłych papierów. Rzucił okiem na pierwszą stronę i przeczytał: *Llanto para un hijo nunca nacido* - popatrzył na nią.

- Elegia na śmierć nie narodzonego syna. - przetłumaczyła.

- Tyle zrozumiałem - powiedział cicho Barney. - Dziwi mnie tylko, że posuwał się w swoich fantazjach tak daleko.

- To nie była żadna fantazja. Chodzi tu o chłopca, którego musiał usunąć z ciała kobiety...

- Z twojej matki?

Skinęła głową. - Wynika z tego, że była w ciąży, kiedy została ranna. O czym żadne z nich nie uważało za stosowne mi powiedzieć. Luis musiał poświęcić to dziecko

- swego syna - żeby uratować jej życie. - Usiłując zrzucić z ramion ten ciężar, dodała: - Tak nawiasem mówiąc, to bardzo marna poezja.

Barney wstał, wziął ją za rękę i podprowadził do krzesła.

- Usiądź, na litość boską.

Posłuchała go bez słowa. Próbował przedstawić jej kilka łagodzących okoliczności. - To by wyjaśniało wiele spraw, Castellano. Nie tylko jego obsesję na punkcie posiadania syna, lecz również i to, dlaczego zawsze miał wrażenie, że twoja matka była na niego o coś zła. Teraz wiemy, o co jej chodziło.

Popatrzyła na niego podkrążonymi ze zmęczenia, wielkimi niebieskimi oczyma.

- No i co mi, u diabła, z tego, że o tym wiem? Luis miał mi za złe, że to ja się urodziłam, a nie jego syn, a ona ma do mnie pretensje, że to moja siostra umarła, a nie ja. Mam ochotę wyświadczyć im obojgu przysługę i wyskoczyć przez okno.

- Nie ma mowy, Castellano. Z prywatnego doświadczenia wiem, że z tej wysokości połamiesz sobie tylko kości i najwyżej skończysz w domu wariatów. Jako profesjonalista radzę ci, żebyś trzymała się życia.

- No i co dalej?

- Usiądź tu i porozmawiaj trochę ze mną - powiedział cicho. Podszedł do drzwi i wywiesił wywieszkę z napisem "Nie przeszkadzać". Po czym wrócił i słuchał jej przez następne trzy godziny.

Rozdział XXII

- Suzie, co się, u diabła, z tobą wczoraj stało?

Spotkali się dopiero przy śniadaniu. Suzie siedziała w kącie, skubiąc od czasu do czasu ciasto z jagodami i popijając kawę. Ani razu nie popatrzyła jednak Barniemu w oczy.

- Suzie, o co ci chodzi?

Nadal odwracając od niego wzrok, odpowiedziała cicho:

- Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

- Co takiego?

- Kiedy podeszłam wczoraj pod twoje drzwi, już tam ktoś u ciebie był. To nieładnie z twojej strony. Powinieneś sobie przynajmniej trochę odpocząć. Jak bokser między rundami.

Usiadł naprzeciw niej i zaczął wyjaśniać błagalnym tonem:

- Ależ ty nic nie rozumiesz. To była tylko Laura!

- Co to znaczy "tylko"? Byłeś w pokoju z piękną dziewczyną, kiedy powinieneś tam czekać na mnie.

- Ależ, Suzie, ile razy mam ci powtarzać, że ona jest tylko moją przyjaciółką?

- No to dlaczego nie otworzyłeś drzwi, kiedy pukałam?

- Nic nie słyszałem. Może pukałaś za cicho.

- Słuchaj, nie miałam zamiaru robić z tego francuskiej farsy, więc nie pukałam głośno. I tak było to już dla mnie upokarzające.

Zawiedziony Barney uderzył się ręką w czoło: - O Jezu, Suzie, wiesz przecież, że nie kłamię! - Popatrzył na nią błagalnym wzrokiem. - Wiesz przecież, że cię kocham. Czyż nie mówiłem ci o tym z milion razy?

- Owszem - powiedziała wstydliwie. - I chciałam ci wierzyć.

- Ależ ja nie kłamię. Chcę, żebyś wyszła za mnie za mąż - wypalił niespodziewanie dla samego siebie.

Na jej niewzruszonej na ogół twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. - Naprawdę? - spytała cicho.

- Tak, Suzie, naprawdę. I to bardzo, bardzo, bardzo.

- Chciałabym móc ci uwierzyć - westchnęła ze smutkiem.

- Ale co ci, u diabła, w tym przeszkadza?

- Powtarzałeś to “bardzo” zbyt wiele razy. Tak jakbyś próbował przekonać samego siebie.

Po czym wstała i z wdziękiem wyszła z jadalni.

Barney został przy stole sam. W roztargnieniu podparł głowę ręką i niczym małe dziecko dla pokrzepienia ducha dokończył jej ciastko i kawę.

Przecież naprawdę ją kocha - usiłował zapewnić samego siebie. Musiał jednak przyznać, że nie kocha jej aż tak bardzo, bardzo, bardzo...

Rozpoczęły się kliniczne praktyki i przyszli lekarze cieszyli się z możliwości pracy z pacjentami w licznych klinikach harwardzkich. Nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, że ich obowiązki miały obejmować najczarniejszą robotę. Nie posiadając żadnych kwalifikacji lekarskich ani pielęgnarskich, byli najniższą kastą w szpitalu, obarczaną niezliczonymi żmudnymi poleceniami i zadaniami - takimi jak bieganie tam i z powrotem pomiędzy oddziałami a laboratoriami z próbkami krwi, moczu czy kału. Kiedy nie zajmowali się pobieraniem materiałów do analizy, wypisywali historie chorobowe pacjentów na kartotekach szpitalnych lub wypełniali niezliczone formularze ubezpieczeniowe. Po niedługim czasie zorientowali się, że płacili w Szkole Medycznej tysiąc dolarów za czesne w zamian za wątpliwy zaszczyt zostania bezpłatną siłą roboczą.

Wkrótce zaczęli uważać pobieranie krwi za wyjątkowy przywilej. Czasami pośrodku nocy budzono ich dla powierzenia im zadania założenia kroplówki. I to tylko dlatego, że wyższym sferom nie chciało się wylazić z łóżka dla czegoś tak trywialnego.

Celem praktyk klinicznych było zaznajomienie ich z głównymi specjalizacjami w sztuce leczenia, aby ułatwić im wybór przyszłej drogi.

Chirurgia oraz interna były obowiązkowe. Po tym następował szeroki wachlarz możliwości: położnictwo, pediatria, neurologia, okulistyka, urologia, a dla bardzo zainteresowanych - nawet proktologia.

Ten niegdyś zwarty na ogół rocznik podzielił się teraz na małe grupy. Dawniej czerpali pewne pocieszenie z faktu, że wszyscy, sto dwadzieścia osób, cierpieli pod pięścią takich tyranów jak Pfeifer. Teraz jednak musieli stawić czoło równie groźnym lekarzom w - co najwyżej - kilkusobowych grupach.

Barney i Bennett mieli szczęście, przypisano bowiem ich obu do Szpitala Brigham. Nawet jeśli robili obchody na różnych oddziałach i pod kierownictwem

różnych instruktorów, to przynajmniej przebywali w tym samym budynku i mogli urozmaicać sobie trochę tę mozolną i nudną harówkę. Barney wymyślał rozgrywki, które nazwał "olimpiadą dla wyrachowanych". Obejmowały one wiele niezwykłych dyscyplin, które wykluczały używanie szpitalnych wind.

Najpierw był to bieg na czwarte piętro z pustymi rękoma, potem sprint na dół z różnymi narzędziami lub próbkami. Bennett wymyślił swoisty "rzut minioszczepem". Trudność tej dyscypliny polegała na trafianiu igłą w żyły pacjentów za pierwszym razem i zgrabnym pobieraniu z nich krwi. Zwycięzcy miał płacić za obiad, w czasie którego rozmawiali o swoich osiągnięciach z całego tygodnia.

Chociaż obaj praktykowali teraz na internie, trudno było uwierzyć, że wykonywali te same zadania. Każdy z nich miał bowiem diametralnie różną opinię na ten temat.

- Tu nic się nie dzieje - skarżył się Bennett. - Nic dziwnego, że internistów nazywają wszami. Łażą po ludziach i zagląдают im tu i tam. Nie mogę spędzić całego życia na hipotetycznym dochodzeniu do hipotetycznych wniosków na temat tego, co też się może dziać w ciele danego człowieka.

- A ja uważam, że to fascynujące - odpowiedział Barney. - To jak detektywistyczna praca, polegająca na składaniu w całość małych dowodów i poszlak, które razem wzięte mogą rozwiązać zagadkę. Dlaczego nie zajmiesz się radiologią, Landsmann? Będziesz sobie mógł siedzieć przez cały dzień w ciemnościach i wszystko natychmiast przeszywać okiem promieni rentgenowskich.

- Nie, dziękuję, doktorze Livingston. Wolę chirurgię. To prawdziwa *vita activa*.

- No cóż - zauważył Barney - znasz chyba to stare lekarskie porzekadło: wszyscy wiedzą wszystko i nic nie robią, a rzeźnicy nie mają pojęcia o niczym, a wycinają wszystko.

- Tak, a psychiatrzy nic nie wiedzą i nic nie robią.

Barney roześmiał się. Bennett zastanawiał się dalej. - Dlaczego właściwie upierasz się, żeby siedzieć przez całe życie na dupie w fotelu, obrastać tłuszczem i gadać ludziom, że nie powinni kochać swoich matek?

- Daj spokój, Ben, mnóstwo zranionych ludzi chodzi po ulicach i potrzebuje pomocy. Czasami mam wrażenie, że nas wszystkich powinno się zamknąć w jakichś zakładach.

- Nas już zamknięto, doktorze - zaśmiał się Bennett. - My już jesteśmy w szpitalu.

Obaj skończyli pracę o piątej trzydzięci i oczekiwano ich w pracy dopiero nazajutrz o siódmej rano. Wracając w wolno zapadającym zmroku do Vanderbilt Hall, Barney zaryzykował pytanie:

- Ben, nigdy właściwie nie powiedziałeś mi, dlaczego postanowiłeś iść na medycynę. Mówiłeś mi kiedyś, że twój ojciec jest szewcem. Czy to twoi rodzice marzyli, żebyś poszedł na studia?

- Nie - odpowiedział Bennett. - Oni nie popychali mnie w żadnym kierunku. Po prostu postanowiłem zająć się czymś, co trochę poprawiłoby świat.

- Daj spokój, Landsmann. To nie rozmowa kwalifikacyjna. Jestem twoim kumplem. Nie możesz podać mi bardziej prawdopodobnego powodu? Zanudzałem cię szczegółami z mojej brooklyńskiej młodości - mogę się założyć, że twoje dzieciństwo było o niebo bardziej interesujące.

- No dobrze, Livingston - Bennett uśmiechnął się. - Tylko ze względu na ciebie zacznę grzebać sobie w duszy - tutaj, na środku ulicy. Sądzę, że powodem mojego wyboru był młody lekarz - a właściwie jeszcze student - który kiedyś ocalił mojej matce życie.

- Teraz dopiero gadasz do rzeczy! - odpowiedział zapalony Barney. - A co się jej właściwie stało? Czy miała jakiś wypadek?

- Nie - odpowiedział cicho - chyba że nazwiesz tak pojawienie się na horyzoncie Hitlera. Jeden z jego medycznych apostołów używał jej jako królika doświadczalnego.

- O cholera! - powiedział Barney.

- Kiedy alianci wyzwolili obóz, moja matka była w końcowym stadium ostrego zapalenia śluzówki macicy. Ten angielski student medycyny wykonał natychmiastową operację w najbardziej prymitywnych warunkach, jakie można sobie wyobrazić i uratował jej życie.

- O Jezu! - wykrzyknął Barney. - Nigdy nie przypuszczałem, że w obozach koncentracyjnych byli jacyś czarni.

- Moja matka jest Żydówką - odpowiedział Bennett.

- Ach, tak - uśmiechnął się Barney. - Teraz wszystko jest jasne. Pozwól, że ci zrekonstruuje resztę tej romantycznej opowieści. Twój ojciec, walczący w Trzeciej Armii Pattona - bo to po nim masz tę papierośnicę z inicjałami - brał udział w wyzwoleniu obozu. Potem zakochali się w sobie. Czy nie tak?

- Poniekąd.

- Jak to poniekąd?

- Słuchaj, Barney, to trochę zagmatwane. Mój ojciec wyzwolił moich rodziców.

- Hej, poczekaj chwileczkę, Ben! Zgubiłem się. Czy możemy zacząć od podstawowych faktów, jak na przykład akt urodzenia? Kto, u diabła, jest twoim ojcem?

- Moim ojcem był pułkownik Lincoln Bennett, senior. Służył w Armii Stanów Zjednoczonych, zmarł w 1945 roku. Moimi "rodzicami" są Herschel i Hannah Landsmannowie z Berlina oraz z obozu koncentracyjnego w Nordhausen, a obecnie zamieszkali w Cleveland, w Ohio. Widzisz, Hannah była rzeczywiście w bardzo kiepskim stanie i mój rodzony ojciec zmusił doktorów do tego, żeby przynajmniej spróbowali uratować jej życie. Jak na ironię, potem sam umarł na tyfus. Przybywszy do Ameryki, Landsmannowie odszukali mnie i zaadoptowali. Od tego czasu zacząłem używać imienia Bennett.

- No dobrze, wszystko wreszcie zaczyna pasować. A w takim razie to pan Landsmann jest tym szewcem.

Bennett skinął głową.

- Sądząc po tym, jak się ubierasz i jak jeździsz po świecie, przypuszczam, że ma niezły interes w tym swoim sklepie.

- Właściwie to jego fabryki produkują te buty. Ten jego "sklep" to Royal Leathercraft.

- Co za historia! - mruknął Barney. Potem przyszła mu do głowy następna myśl. - No a co z twoją rodzoną matką? Gdzie ona się w tym wszystkim podziewa?

Bennett zacisnął zęby. - Nie wiem, Barney. W ogóle nie pamiętani tej kobiety.

- No cóż, masz więcej szczęścia niż ktokolwiek z nas. Masz troje rodziców, którymi możesz się szcycić. Wielu ludzi nie ma ani jednego.

Bennett roześmiał się i objął ramieniem kolegę. Barney wzruszył się tą bezprecedensową demonstracją przyjaźni.

Laura miała praktykę z interny w Szpitalu Ogólnym Massachusetts. Biegała pomiędzy pacjentami a laboratorium, uczyła się badać puls, ciśnienie krwi, obmacywać główne organy w celu stwierdzenia istnienia anomalii i spisywała nigdy nie kończące się historie chorobowe nowych pacjentów.

Jako kobieta zaczęła napotykać trudności związane z wykonywaniem męskiego zawodu. Kiedy usiłowała sporządzić zapis historii chorobowej pracownika

budowlanego cierpiącego na kamienie nerkowe, przekonała się, że pacjent nie zamierzał dyskutować z nią na temat czegokolwiek poniżej pępka.

- Ależ, proszę pana - zaprotestowała - muszę to wszystko zapisać, bo inaczej nigdy nie zrobią panu tej operacji. Czy chce pan, żeby dalej bolały pana nerki?

- Słuchaj no, moja panno, nie mam nic do ukrycia, ale jeśli mamy tu rozmawiać o oddawaniu moczu i intymnych częściach ciała, to będę robił to z lekarzem, a nie z jakąś tam jasnowłosą pielęgniarką.

- Pan wybaczy, proszę pana, ale to obrażające - odparła.

- Jak cholera - odpowiedział jej na to. - Może mi pani co najwyżej zbadać puls.

Grecie nie było wcale łatwiej. Najgorzej potraktował ją jednak lekarz, a nie pacjent.

Na pierwszą praktykę wybrała sobie chirurgię i wykonywała tam zwyczajną, czarną robotę. Trzymała retraktory przy otwartych ranach w czasie, gdy nóż chirurga ciął - jak to się mówi - aż do skutku.

Czasami bardziej zaawansowanym studentom pozwalano zakładać końcowe szwy. Pewnego dnia doktor Malcolm McBride zaproponował Grecie, aby zakładała szwy wspólnie z nim. Jako dobry pedagog wziął jej dłonie w swoje ręce, pomógł jej ująć igłę prawą ręką, a potem poprowadzić ją z góry na dół poprzez ciało pacjenta, zamykając tym samym nacięcie.

Greta natychmiast zorientowała się, że coś było nie w porządku. Poczowała na sobie z tyłu ciężar jego ciała, a przy każdym ruchu igłą celowo ocierał się rękoma o jej piersi.

Czy ktoś to widział? Czy ktoś w ogóle zauważył, że ich nauczyciel zaczął nagle gwałtowniej oddychać? A może wszystkich zahipnotyzowały szyjące ręce?

- Już nigdy nie wrócę na tę salę. Po prostu nie mogę! Zaraz po powrocie do Vanderbilt Hall pobiegła powiedzieć o tym Laurze.

- Co ja mam teraz zrobić? - spytała płaczliwie. - Nie dość, że ocierał się rękami o moje piersi, to jeszcze przykleił się do mnie od tyłu... Miałam ochotę dźgnąć go igłą!

- Może trzeba było to zrobić - stwierdziła Laura.

- Łatwo ci mówić - zaprotestowała Greta. - A ty zaryzykowałabyś oblanie chirurgii, zwłaszcza jeśli nikt tego nawet nie zauważył?

Laura zastanowiła się nad tym. Nie. Prawdopodobnie nie zareagowałaby na to, chyba że ten facet próbowałby ją zgwałcić.

- Potraktuj to tak, Greto - usiłowała ją uspokoić. - To tylko ohydne obmacywanie. Jeśli ten facet jest do tego stopnia zboczony, że zadowala go każdy tani dreszcz podniecenia, to należy mu raczej współczuć. Będziemy miały szczęście, jeśli w ciągu następnych dwóch lat nie spotka nas nic gorszego.

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem. Od ostatniej spowiedzi dopuściłem się cudzołóstwa.

- Ach, tak, mój synu.

- Ostatnio nawet bardzo często.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Najpierw były to dziewczyny ze Szkoły Medycznej u mnie na roku, Greta, a potem Laura. Mam największe wyrzuty sumienia wobec niej, bo ona też jest katoliczką. Modliliśmy się nawet kiedyś w kościele. Co mam teraz zrobić, ojcze?

- Mój synu, musimy unikać okazji do grzechu, a szczególnie grzechów cielesnych. Przede wszystkim jednak musisz przestrzegać nauki Kościoła katolickiego. Módl się o siłę, mój synu, a ja będę się modlił za ciebie.

- Dobrze, ojcze.

- Za pokutę odmów sobie Drogę Krzyżową trzy razy. A teraz okaż Bogu swoją skruchę. *Absolvo te in nomine patris et filii et spiritus sancti.*

- Ojcze, aleja się nadal boję.

- A czego, mój synu?

- To było tylko cudzołóstwo w myślach. Boję się, że kiedyś zrobię to w rzeczywistości.

Z drugiej strony konfesjonału nie było odpowiedzi. Hank Dwyer wyszedł z katedry z oczyszczoną duszą i odrodzonym duchem.

Laura nienawidziła chirurgii.

Nie tylko ze względu na bardziej oczywiste, krwawe aspekty tej specjalności, ale przede wszystkim dlatego, że była tak bardzo fizycznie męcząca. Stała przez dwie lub trzy godziny, pilnując retraktorów, w czasie gdy oddzielano naczynia krwionośne i wnętrzności, które potem resekowano, podwiązywano lub usuwano. Widziała też sporo "ciężkiej roboty" - złamane kości nogi reperowane i składane niczym kawałki

drewna przez stolarza i zszywane nylonem, jelitami kangurów lub jedwabiem. Czasami przypominało jej to taśmę produkcyjną w Detroit.

Lepiej się czuła w towarzystwie pacjentów przygotowywanych do operacji. Próbowała uspokoić ich obawy i patrzyła, jak usypiają pod narkozą, słuchając dźwięku jej głosu.

Sale pooperacyjne były bardzo męczące. Od czasu do czasu patrzyła z radością, jak pacjent, do którego mówiła, budził się z uśmiechem, szczęśliwy, rokując nadzieje na szybki powrót do zdrowia. Najczęściej jednak, nawet jeśli operacje przebiegły pomyślnie, pacjenci nadal odczuwali ból i nic nie było w stanie ulżyć ich cierpieniom.

Naturalnie byli i tacy, którzy w ogóle się nie budzili.

Codziennie wracała ze szpitala późno wieczorem po kolacji i nie miała nawet siły, żeby zejść na dół do automatu z kanapkami.

Nieomal codziennie czekał na nią list od Palmera, czyli porucznika Talbota, jak czasem mówił o sobie.

Mój Boże - pomyślała - dlaczego ja właściwie odepchnęłam tego faceta? Jeździ sobie teraz po różnych egzotycznych wyspach na Pacyfiku i pewno spotyka dziesiątki uległych dziewcząt na wydaniu. Mimo że zapewniał ją w każdym liście o swojej wierności i przestrzeganiu celibatu, Laura nie miała wątpliwości, że się dobrze bawił.

Ze swojej strony podtrzymywała seksualną niezależność. Miała kilka przypadkowych romansów ze stażystami, które jednak były bez większego znaczenia. Pod wpływem nieustającej presji spotkała się w końcu z natrętnym Garym Arnoldem, narcystycznie usposobionym neurochirurgiem z Bostonu.

Ich drugie spotkanie okazało się równie krótkotrwałe jak pierwsze. Gary miał denerwującą tendencję do pouczania.

Pewnego niedzielnego wieczoru, kiedy leżeli razem w łóżku, mruknął wpatrzony w sufit: - Ty nie lubisz seksu, prawda, Lauro?

- Co takiego? - zapytała, prawie zasypiając.

- Zauważyłem po prostu, że nie lubisz seksu.

- Czy imputujesz mi przez to, że mam jakiś problem?

- No cóż, szczerze mówiąc, uważam, że powinnaś kiedyś z kimś na ten temat porozmawiać.

- Wiesz co? - odpowiedziała Laura, całkowicie otrząsnąwszy się ze snu. - Być może masz rację. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że seks nie jest wcale taką przyjemnością.

- No widzisz! - wykrzyknął doktor tonem Archimedesesa wołającego *Eureka!*

- O nie, Gary, chciałam ci tylko powiedzieć, że to seks z tobą nie sprawia mi przyjemności.

Zaskoczony neurolog zaczął się gorączkowo zastanawiać nad odpowiedzią. W końcu nic nie powiedział. Laura ubrała się szybko. Włożyła płaszcz i skierowała się do drzwi, serwując na pożegnanie:

- Wiesz, co jest twoim problemem, Gary? Nie widzisz różnicy pomiędzy swoim rozumem a prąciem. Jest to zresztą całkiem zrozumiałe, gdyż oba te organy masz równie żałosne.

Uśmiechnęła się skromnie i wyszła na palcach z jego życia.

Seth dzwonił do domu w każdy weekend. Matka zawsze zadawała mu to samo pytanie: - Co u ciebie nowego?

On z kolei odgrywał swój stary, wysłużony, wodewilowy numer:

- Nic takiego. Właśnie odkryłem lekarstwo przeciw nowotworom, chorobom sercowym, bólowi zębów i ukąszeniom komarów.

Na co ona proponowała mu swój stały komentarz: - I co jeszcze słyhać?

Następnie ojciec monologował na temat różnych drużyn w Chicago oraz tego, jakie mają szansę.

Ta nudna, przygnębiająca formuła była zawsze niezmienna. Seth zastanawiał się czasami, po co właściwie tracił pieniądze.

Jednakże pewnego dnia nikt nie odebrał telefonu. Ani w domu, ani na dole w sklepie. Nie mogli przecież wyjechać na wakacje, gdyż nigdy przedtem tego nie robili. Musieli chyba zgodzić się, że nigdy tego nie zrobią. Najwidoczniej uznali, że nie należy im się już żadna radość od życia. Gdzie zatem teraz byli?

Zadzwoił do Judy, z czym zazwyczaj czekał do weekendów. Wykręcał wtedy numer równo minutę po jedenastej i rozmawiał z nią *ad infinitum*. Tego dnia od razu wiedziała, dlaczego dzwonił.

- Przykro mi, Seth, ale twoi rodzice prosili mnie, żeby ci nic o tym nie mówić. Chodzi o Howiego.

- Co się stało? - zapytał pospiesznie.

- Miał krwotok mózgowy. O mało nie umarł.

Seth stracił panowanie nad sobą. - Czy to znaczy, że on nadal żyje?

- Ciągłe jeszcze oddycha. Podłączyli go do respiratora. Twoi rodzice siedzą przy nim od tygodnia.

Seth wybuchnął: - Dlaczego, na miłość boską, oni to robią? Od dwudziestu lat ten człowiek jest właściwie martwy. Co to, u diabła, za szpital?

Judy westchnęła. - Nie mam pojęcia, Seth - powiedziała cicho. - Wiem tylko, że twoja matka siedzi w tym pokoju bez przerwy, żeby mieć pewność, że "podtrzymują" go przy życiu.

- Wezmę kogoś jutro na zastępstwo i wskoczę w pierwszy samolot - powiedział stanowczo Seth. - Wydaje mi się, że linie American mają jutro lot o siódmej trzydzięci.

- Wyjadę po ciebie na lotnisko - odpowiedziała z radością.

- Wiem, że dla ciebie to straszna podróż, ale ja bardzo się cieszę, że cię zobaczę.

- Ja też - odpowiedział Seth.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, włożył niebieską kurtkę i wybiegł z Vanderbilt Hall. Przebiegł przez aleję Longwood do zabudowań Szkoły Medycznej i zniknął w budynku "D".

Pół godziny później był z powrotem u siebie w pokoju. Pakował do torby rzeczy, które miały mu się przydać w jutrzejszej podróży - koszulę, krawat, spodenki, skarpetki, przybory toaletowe. A na koniec strzykawkę do iniekcji podskórnych.

Rozdział XXIII

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Seth.

- Przez całą noc nie zmrzyłem oka... To, co mam teraz zrobić, jest po prostu straszne.

- To, co musimy zrobić, kochanie - poprawiła go Judy, idąc z nim pod rękę długim korytarzem na lotnisku O'Hare w Chicago. - Pamiętaj, że jesteśmy w to zaangażowani oboje.

Tłum zagonionych przedsiębiorców mijał ich w pośpiechu, żeby zdążyć na samolot. Dotarli na trzeci poziom piętrowego garażu, gdzie Judy zaparkowała samochód. Seth siedział w milczeniu, kiedy ona wycofywała wóz i wyjeżdżała z parkingu.

- Pewno masz wątpliwości, co?

- Nie nazwałbym tego w ten sposób. Prawdę rzekłszy, boję się jak diabli.

Wyjechali na autostradę i Judy próbowała go pocieszyć: - Seth, przecież ty masz rację.

- Niektórzy powiedzieliby, że bawię się w Pana Boga.

- Nie wierzę, żeby Pan Bóg chciał, aby ludzie cierpieli bez potrzeby, zwłaszcza jeśli ci chorzy nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że żyją. Mówiłeś mi to przecież z tuzin razy.

- Wiem - przyznał. - Ale co będzie, jeśli mnie na tym przyłapią?

Nie miała na to odpowiedzi. Perspektywa ta prześladowała ją po nocach od czasu, kiedy się okazało, że obydwójce wierzyli w prawo do zakończenia niezdolnego do samoistnej egzystencji i wyniszczonego bólem życia.

Seth posunął się nawet jeszcze dalej, przyznając, że gdyby kiedykolwiek miał takie przypadki, to - jeśli zechcą - "pomoże im umrzeć".

- I jeszcze jedno - stwierdził głośno - nie mogę przecież wejść tam z moją walizką. To byłoby zbyt oczywiste.

- Myślałam już o tym - odpowiedziała. - Wszystko powinno zmieścić się w mojej torebce.

Pokiwał głową i westchnął: - Wolałbym po prostu wyłączyć z kontaktu ten przeklęty respirator. Gdyby ci lekarze byli choć trochę humanitarni, już dawno sami by to zrobili. Kiedy cierpią konie, to sieje zabija, żeby się nie męczyły. Dlaczego nie mogą zrobić tego samego dla człowieka?

- Sadzę, że na ogół uważa się, że Bóg bardziej kocha ludzi niż konie.

- Mylisz się - poprawił ją. - Najwyraźniej woli konie, bo pozwala nam skracać ich cierpienia.

Wjechali na parking przy Domu Świętego Józefa dla Dzieci i zatrzymali się w odległym rogu. Seth otworzył walizkę i wyjął z niej strzykawkę. Nagle wydała mu się ogromna. Potem wyciągnął z kieszeni dwie fiołki płynu.

- Co to jest? - zapytała Judy.

- Chlorek potasu - odpowiedział. - To bardzo powszechny minerał i normalnie występuje w naszych ciałach. Potrzebują go elektrolity w naszych mózgach. Wstrzyknięcie zbyt dużej dawki dożylnie powoduje jednak wstrzymanie pracy serca. Nigdy nie wzbudzi to niczyjego podejrzenia, gdyż nikt nie może kwestionować jego obecności w ciele.

Przebił nakrętkę opakowania i zaczął napełniać strzykawkę. Przynajmniej po raz ostatni będę świadkiem twojego cierpienia, Howie - pomyślał.

Howie. Po raz pierwszy tego dnia wymówił, co prawda, w myślach jego imię. Przez całą bezsenłą noc i w trakcie podróży samolotem usiłował "odczłowieczyć" pacjenta. To wcale nie jest twój starszy brat - powtarzał sobie - to tylko cierpiąca masa beużytecznych organów, pozbawionych wszelkiej tożsamości.

Napełnił strzykawkę zawartością drugiej fiołki i podał ją Judy. Ostrożnie zawinęła ją w chusteczkę i włożyła do torebki.

- Z pewnością wyleje się tego trochę przy wyciąganiu.

- Nic się nie martw - odpowiedział głucho Seth. - Jest tego... aż za dużo.

Zamknęła uważnie torebkę. Wyszli z samochodu i przeszli ramię w ramię przez dziedziniec, deptając żwir pod stopami.

Kiedy wchodzili w główne drzwi, wyłonił się z windy zmęczony i nie ogolony Nat Lazarus.

- Seth! - wykrzyknął ochryłym głosem. - Co za niespodzianka! Matka ucieszy się, że przyjechałeś! - Potem odwrócił się do Judy i bez urazy dodał: - Przysięgłeś mi przecież...

- To moja wina, ojciec - przerwał Seth. - Nikt nie podnosił u was słuchawki, więc zadzwoniłem do Judy i zmusiłem ją do powiedzenia mi prawdy. A... jak on się czuje?

Ojciec wzruszył ramionami. - Jak to, jak się czuje? To nie jest pytanie, na które można odpowiedzieć w przypadku Howiego. W innych okolicznościach mógłbym może powiedzieć, że ma się trochę gorzej, ale było już z nim bardzo źle.

- A jak się ma mama?

Nat westchnął. - Na to pytanie też możesz sobie sam odpowiedzieć. Jak sądzisz, jak ona może się czuć? Siedzi tam u niego dniami i nocami, streszczając mu codzienne wiadomości, opowiadając o ostatnich dietach hollywoodzkich i o tym, co przeczytała w kobiecych czasopismach. Nie wiem, jakim cudem jeszcze nie straciła głosu.

- Czy ona w ogóle chodzi spać?

- Kazała im ustawić łóżko tuż koło niego. W razie gdyby jej potrzebował, jak mówi. Jeśli chodzi o mnie, to nie jestem w stanie w tym pokoju oddychać. Idę więc teraz do naszego motelu trochę się położyć.

- Masz rację, ojczu. Dobrze ci to zrobi. Zobaczymy się przy obiedzie.

- Dobrze - odpowiedział Nat i dodał zmęczonym głosem: - Miło mi, że cię widzę, Judy.

Przed pokojem brata Seth ujął Judy za rękę. Kiedy podeszli bliżej, usłyszeli jęczący, pneumatyczny odgłos.

Drzwi były lekko uchylone. Znad oparcia zielonego fotela wystawała siwa głowa Rosie Lazarus. Siedziała zwrócona twarzą w stronę poduszki, na której zapewne widziała twarz swego starszego syna. Z miejsca, gdzie stali, widoczny był tylko ogromny, metalowy respirator.

- Dzień dobry, mamu - powiedział Seth. Nie było odpowiedzi. - To ja, mamu - powiedział głośno, myśląc jednocześnie, że w tym cholernym hałasie ona nawet nie jest w stanie usłyszeć głosu swego jedyne żyjącego syna!

Wszedł do pokoju, a tuż za nim wsunęła się Judy. Matka wzdrygnęła się pod jego dotknięciem.

- Och, Seth - jęknęła, kiedy ją obejmował. - Howie jest taki chory. Tutejsi doktorzy nic już nie mogą. Może znasz jakiegoś specjalistę u siebie w szpitalu, który mógłby mu pomóc?

Pokręcił głową. - Nie mamu, nie znam nikogo.

- No to będziemy musieli czekać - odpowiedziała matka. Po chwili dostrzegła drugiego gościa. - Dzień dobry, Judy, kochanie. To miło z twojej strony, że tu przyszałaś.

Dopiero teraz Seth»spojrzał na twarz brata. Przy respiratorze wydawała się mniejsza. Miał zamknięte oczy i mokre od potu czoło. Najwidoczniej bardzo cierpi - pomyślał sobie. Wiem, że chciałby już to wszystko zakończyć.

Zwrócił się do matki: - A jak ty się czujesz, mamó? Czy dbasz o siebie? Jesz coś?

- Ja się tu nie liczę. Nic mi nie będzie.

- Czy zjadła pani śniadanie, pani Lazarus? - spytała zatroskana Judy.

- A to już czas na śniadanie? Myślałam, że to jeszcze noc.

- Parę metrów stąd jest Howard Johnson. Z przyjemnością tam panią podrzucę - zaproponowała Judy.

- O nie, nie trzeba! - zaprotestowała szybko Rosie. - Nie mogę opuścić Howiego na tak długo. Bądź taka dobra i przynieś mi coś do zjedzenia, dobrze?

- A na co ma pani ochotę?

- Na nic. Cokolwiek. Właściwie nie jestem wcale głodna. Szczerze mówiąc, napiłabym się tylko trochę dobrej, mocnej kawy.

- Zdaje się, że automaty stoją obok recepcji - odpowiedziała Judy. - Może przesłaby się tam pani ze mną dla rozprostowania nóg?

Rosie westchnęła. - Masz rację, spacer dobrze by mi chyba zrobił.

Oparła się mocno o poręczę fotela, ażeby podźwignąć się z miejsca.

- Chodźmy, kochana - zwróciła się do Judy, a potem nakazała synowi: - Seth, zostań tu przy Howiem. Gdyby się coś stało, dzwoń natychmiast po pielęgniarkę.

- Dobrze, mamó - odpowiedział, a słowa uwięzły mu w gardle. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść drobnych. Włożył je Judy do ręki, dodając: - Jeśli będzie tam jeszcze jakiś automat, to przynieś mi jakąś kanapkę.

- Masz rację - powiedziała aprobującym tonem Rosie. - Ty też powinieneś coś zjeść. Jesteś chudy jak patyk.

Kiedy obie kobiety wyszły z pokoju, Seth zamknął pospiesznie drzwi i sięgnął po zostawioną przez Judy torebkę.

Potem zabrał się do wykonania zadania, które już tyle razy powtarzał we śnie i w myślach na jawie. A zwłaszcza ubiegłej nocy.

Podszedł do drugiego końca łóżka, gdzie jego dłonie zasłaniał respirator na wypadek, gdyby jedna z pielęgniarek czy któryś z lekarzy przypadkowo wszedł do pokoju.

Otworzył z trzaskiem torebkę Judy i sięgnął do środka. Zawahał się przez sekundę, nie mając nawet odwagi oddychać, i nadśluchiwał.

Na korytarzu nie było nikogo. Rozlegał się tylko szum respiratora.

W kroplówce prowadzącej do ramienia Howiego znajdowała się biureta, wkleśła szklana rurka wskazująca na ilość podawanych leków.

Seth prędko odkręcił nakrętkę i wsunął igłę strzykawki do biurety. Następnie opróżnił jej zawartość. Trzęsącymi rękoma podłączył ponownie kroplówkę, schował strzykawkę do torebki Judy i usiadł u boku brata.

Wiedział, że jego serce przestanie wkrótce bić. Mechaniczny wentylator będzie nadal pompować powietrze w jego płuca. A ponieważ Howie był już nieprzytomny, pielęgniarki nie zorientują się, że umarł, przez następne pięć minut. A może i nawet przez całą godzinę.

Seth nie był pewny, czy chciał, aby matka była w tym czasie obecna, aby mu powiedzieć to swoje ostatnie, irracjonalne "Do widzenia" i być świadkiem jego agonii.

Nie mógł wszakże oderwać oczu od twarzy brata, z którym nigdy w życiu nie zamienił ani słowa.

Do widzenia, Howie - powiedział mu w myślach. Jeśli istnieje jakiś nadprzyrodzony sposób, dzięki któremu jesteś w stanie mnie rozpoznać, to może zrozumiesz, że zrobiłem to tylko... z miłości do ciebie.

W pogrzebie Howiego, podobnie jak w jego życiu, uczestniczyli tylko rodzice i Seth. Nawet Judy nie poproszono. Według życzenia Rosie "w takiej chwili rodzina powinna po raz ostatni pozostać sama".

Seth stał niewzruszony nad otwartym grobem, słuchając, jak unitariański pastor wychwalał dobroć jego brata. Pocieszenie przyniosły mu tylko przelotne napomknienia o tym, że Howie odpoczywa już teraz w spokoju.

Wracając z cmentarza limuzyną, Rosie pocieszała się, powtarzając sobie nieustannie słowa lekarzy, którzy na próżno usiłowali dobudzić Howiego. - Dzięki Bogu, że przynajmniej nie cierpiał. To było bezbolesne. Po prostu jego serce przestało bić.

Nikt nie był w stanie temu zaradzić.

Judy czekała przed sklepem Lazarusza. Złożyła kondolencje Rosie i jej mężowi. Oboje skinęli w milczeniu głowami i ramię w ramię podeszli do tylnych drzwi.

Seth i Judy zostali sami.

- Jak się czujesz? - spytała.

Chciał jej powiedzieć, że dobrze. Nagle jednak ogarnął go potok wyrzutów sumienia i szepnął: - Och, Judy, co ja takiego zrobiłem? Co ja zrobiłem?

W trakcie następnych praktyk Barney i Bennett pracowali w dwóch różnych szpitalach, a zatem spotykali się rzadko poza sporadycznymi koszykarskimi rozgrywkami o północy, w trakcie których współzawodniczyli o liczbę fauli. Naturalnie prowadził w nich Barney.

Pewnego ranka, kiedy Barney kończył właśnie swój milowy bieg, dostrzegł Bennetta, który niczym Gene Kelly w *Deszczowej piosence* najwyraźniej oszalał z radości i przeskakiwał przez uliczne liczniki na alei Pasteura. Barney przyspieszył, żeby się z nim zrównać.

- Hej, Landsmann, co ci uderzyło do głowy? - wysapał. Nie zwracając uwagi na pytanie, Bennett wykrzyczał: - Livingston, właśnie odebrałem prawdziwe, żywe dziecko!

- O cholera, nie gadaj! - uśmiechnął się Barney i uściśnął mu rękę. - Gratulacje! Jeszcze tylko następnych jedenaście porodów i zostaniesz dyplomowanym lekarzem.

- Z przyjemnością mógłbym odebrać ich milion! Czy możesz to sobie wyobrazić? Sięgasz ręką w tę krwawą maź i wyciągasz maleńkiego człowieka!

- Czy to znaczy, że sam odebrałeś poród?

- Miałem szczęście. Była piąta rano. Lekarza dyżurnego wezwano do nagłej operacji, a stażyści robili przez całą noc transfuzję jakiemuś facetowi z hemofilią i kazali mi zająć się tym samemu.

- To wspaniale!

- Naturalnie facet - ciągnął Bennett - mógł się trochę kierować faktem, że matka była tylko biedną pacjentką z Roxbury, korzystającą z opieki społecznej. W każdym razie poradziłem sobie z tym, chociaż muszę przyznać, że pielęgniarki trochę mi pomogły. Ta kobieta też już nie raz przez to przechodziła. Nigdy jednak nie uwierzysz, co się potem stało!

- Landsmann, tobie uwierzę we wszystko na słowo - odpowiedział Barney.

- No więc, wyobraź sobie, ta kobieta popatrzyła na mnie i powiedziała, że chociaż rodziła już dziewięć razy, to jednak po raz pierwszy odbierał jej poród prawdziwy murzyński lekarz. Uparła się więc, że nada jej moje imię.

- Jej? A wiec to była dziewczynka?

Bennett roześmiał się z radością. - Nic na to nie poradzę, że na oddziale położniczym w Szpitalu Beth Israel leży teraz czterokilogramowa młoda dama o imieniu Bennetta Landsmann Jackson.

- To dostało jej się nawet twoje nazwisko? Dobrze, że nie podałeś jej obu swoich imion - Abraham Lincoln!

- Prawdę rzekłszy, podałem. Ale ona nazwała już tak któreś ze swoich starszych dzieci.

- Jak przebiega poród, Lauro?

Dyżurujący lekarz położnik Walter Hewlett zajrzał na porodówkę, aby sprawdzić, jak Laura daje sobie radę ze swoją pacjentką Marion Fels, trzydziestosześcioletnią pierwiastką.

- Skurcze mniej więcej co cztery, pięć minut, szyjka macicy rozszerzona na jakieś sześć centymetrów i wygładzona w około osiemdziesięciu procentach. Pozycja minus trzecia.

- Boisz się?

- Nie, wszystko w porządku. Naturalnie skłamała.

Laura wiedziała, że informacje, które podała, określające pozycję dziecka w kanale rodnym, były zgodne z prawdą. Marion Fels nie czuła się jednak najlepiej.

Stwierdzili już wcześniej, że będzie to poród główkowy, to znaczy tak jak dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich dzieci, dziecko Marion urodzi się główką do przodu. Informacje, które właśnie podała Hewlettowi, wskazywały na to, że najprawdopodobniej główka dziecka nie ukaże się wcześniej niż za jakieś dwie godziny.

Laura obawiała się zatem, że Hewlett zostawi ją samą i pójdzie się gdzieś zdrzemnąć

- Słuchaj, Lauro - powiedział. - To znaczy, że mamy mnóstwo czasu. Wyjdę więc...

W porządku - pomyślała Laura. Zawsze chodzisz w to samo miejsce na parkingu na papierosa. Potem jednak usłyszała resztę zdania: - ...żeby coś przekąsić. Pojadę na aleję Blue Hill po kanapkę z konserwową wołowiną i kiszonym ogórkiem.

Aleja Blue Hill? - pomyślała. Ależ to parę mil stąd! Na litość boską, Walter, nie możesz mnie tu przecież samej zostawić! Wiem, że są tu pielęgniarki, ale ja jestem jedynym lekarzem i to do tego jeszcze nie dopieczonym.

- Czy uważasz, że dasz sobie sama radę na posterunku? Postanowiła nie stchórzyć. - Oczywiście, panie doktorze. Nie ma problemu - odpowiedziała, zastanawiając się, skąd miała w sobie tyle siły, aby wypowiedzieć takie kłamstwo.

- To świetnie - stwierdził Hewlett. - Przywieźć ci coś?

Pokręciła głową. - Nie, dziękuję.

A jednocześnie pomyślała: Mógłbyś mi tu przysłać wykwalifikowanego położnika!

- Jak się pani czuje? - zapytała siostra przełożona.

- Dobrze, dziękuję - odpowiedziała Laura.

- Pytałam pannę Fels, doktor Castellano - sprostowała pielęgniarka.

- Och! - odpowiedziała Laura, usiłując ukryć swoje zmieszanie.

- W porządku - odpowiedziała pacjentka.

Pielęgniarka uśmiechnęła się. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, to niech pani krzyczy.

- Czy mogłybyście dać mi coś na te skurcze?

- Trzymaj się jeszcze trochę, Marion - prosiła Laura. - Już niedługo będziemy mogli zastosować jakieś środki.

- No właśnie - potwierdziła pielęgniarka. - Przewidzieliśmy dla pani znieczulenie siodłowe.

Uśmiechnięta twarz Florence Nightingale zniknęła w drzwiach. Czyż to poparcie ze strony kobiecego zespołu, któremu nie podoba się to, że noszę biały kitel zamiast białego czepka, nie jest wręcz budujące? - pomyślała Laura. Błagam cię, Walter, zjedz tę cholerną kanapkę, zanim macica tej kobiety całkiem się otworzy!

Usiłowała odzyskać zaufanie pacjentki, sprawdzając jej ciśnienie krwi i stan szyjki macicy, która ku jej przerażeniu rozszerzyła się już do ośmiu centymetrów. Poród przebiegał szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał.

Kiedy minął jeden ze skurczów pacjentki, Laura zapytała ją delikatnie: - Czy to prawda, że jest pani panną?

Marion uśmiechnęła się słabo i z pewną trudnością odpowiedziała: - Tak. Nie chciałam za niego wyjść, przede wszystkim dlatego, że jest już żonaty z inną. Ale sama już nie jestem taka młoda i chciałam mieć dziecko, zanim nie będzie za późno.

- Gdzie pani pracuje?

- Pracuję dla "Globe". Tak byłam zajęta własną karierą, że zapomniałam o biologicznym zegarze. A pani jest mężatką, pani doktor?

- Może mi pani mówić po imieniu. A odpowiedź brzmi - jeszcze nie.

Nagle Marion krzyknęła: - Prędko, Lauro, podaj mi rękę!

Marion jęczała, kurczowo trzymając jej dłoń. Laura przemawiała do niej spokojnie: - Rozluźnij się. Spróbuj oddychać normalnie. Już wkrótce będzie po wszystkim.

Złapawszy oddech, Marion spytała pospiesznie: - Jak długo jeszcze to potrwa, zanim urodzi się dziecko?

- Już niedługo - odpowiedziała Laura uspokajającym tonem, modląc się w duchu, żeby Walter był już w drodze powrotnej na Fenway. - Sprawdzę jeszcze raz.

Ku własnej konsternacji zobaczyła, że szyjka macicy była już całkowicie rozwartą, a dziecko ułożone w pozycji plus dwa.

O Chryste! Ono już było gotowe do wyjścia! Zadzwoiła po pielęgniarkę.

- To już - szepnęła do Marion.

- Dzięki Bogu. Już nie mogę wytrzymać tych skurczów.

Oddział pielęgniarek wkroczył żwawo do środka i zaczął przewozić przyszlą matkę do izby porodowej. W ułamku sekundy sala była pusta. Nagle jakiś głos za Laurą wyszeptał obłudnie: - Czy nie zamierza pani umyć sobie rąk?

O cholera, to ta uczynna pielęgniarka.

- Tak, oczywiście«- odpowiedziała w stanie narastającej paniki. - Kiedy... wróci doktor Hewlett, proszę mu powiedzieć, gdzie jestem.

- Oczywiście, pani doktor.

Laura pobiegła w głąb korytarza. Zatrzymała się przy urny walce przed wejściem na salę porodową i zaczęła szorować ręce.

Przez cały czas usiłowała pohamować szaleńcze bicie własnego serca.

Z daleka słyszała jęki Marion.

- Gdzie jest anestezjolog? - spytała. Miał jej dać znieczulenie siodłowe.

- Nico został właśnie wezwany niebieskim kodem do nagłego wypadku. Może być przez jakiś czas zajęty.

O Boże! - pomyślała Laura. Powinnam go tu wezwać tym samym kodem z powrotem, bo nie sądzę, żebym sama była tu w stanie oddychać. A poza tym dobrze wiem, że nie potrafię dać jej znieczulenia.

Stała przez chwilę w bezruchu, usiłując sobie przypomnieć, co prawdziwy położnik zrobiłby w takiej sytuacji. Zastosowałby pewno blokadę nerwów sromowych. Widziała kilka razy, jak to robiono, jednakże nigdy przedtem nie zrobiła tego sama.

Teraz nie miała wyjścia - zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła na jasno oświetloną salę porodową.

Nagle stał się cud. Ku swemu zdziwieniu przestała drżeć ze strachu. W pełni gotowa do przyjęcia porodu podeszła spokojnie do stołu, na którym leżała Marion z nogami umocowanymi w strzemionach i sterylnymi ręcznikami na brzuchu. Siostra przełożona stała nieopodal przy małym stoliku, na którym starannie ułożyła chirurgiczne instrumenty.

Laura powtórzyła sobie wszystkie zapamiętane instrukcje. Przede wszystkim najważniejsze, żeby nie przyspieszać porodu, gdyż może to poważnie uszkodzić matkę lub dziecko. Obniżyć krocze po to, żeby je rozciąć i ułatwić główce dziecka wydostanie się z pochwy.

Spoza własnego pola widzenia usłyszała głos pielęgniarki:

- Popatrzcie, już widać główkę dziecka!

Z lodowatym spokojem Laura poleciła siostrze przełożonej napełnić strzykawkę dziesięcioma centymetrami sześciennymi xylocainy.

Czekając na wykonanie polecenia, wsunęła lewą rękę poza główkę dziecka, szukając kolca kulszowego. A potem trzymając palec na nerwie sromowym, poprosiła o "trąbkę", czyli metalową rurkę, którą wsunęła dla poprowadzenia dwudziestocentymetrowej igły. Biorąc strzykawkę do drugiej ręki, wsunęła ją do rurki, aż poczuła opór tkanki bocznej ścianki pochwy. Potem odrobinę wyciągnęła igłę, żeby się upewnić, że nie było w niej krwi. W końcu wstrzyknęła środek znieczulający.

W tym momencie przeszył Marion następny rozdzierający skurcz.

- O cholera! - wyszeptała. - To wcale nie działa!

Laura próbowała ją uspokoić: - Marion, xylocaina działa dopiero po dwóch lub trzech minutach.

I rzeczywiście w niecałe pięć minut później Marion poczuła ulgę. Laura mogła teraz wykonać nacięcie krocza. Prostymi nożyczkami Mayo wykonała sześciocentymetrowe nacięcie od podstawy pochwy aż po odbyt dla ułatwienia dziecku wyjścia na świat.

Marion nie poczuła niczego.

Obraz sytuacji zaciemnił się nagle. Zewsząd spływały strumienie krwi i śluzu. Ręce Laury znalazły jakoś noworodka i delikatnie pomogły mu wydostać się na zewnątrz. Najpierw twarz i podbródek, a potem szyjkę.

Funkcjonując jak samolot z automatycznym pilotem, ostrożnie obróciła niemowlę i uwolniła mu ramię z matczynego wchodu miednicznego.

Wolno (każdy ruch musi być powolny - przypominała sobie) obróciła dziecko twarzą ku dołowi i wysunęła drugie ramię. Reszta to już pestka. Tylko nie spiesz się, do cholery! Serce może ci łomotać tak prędko, jak mu się tylko podoba, ale ty musisz wyciągnąć dziecko stopniowo i delikatnie.

W chwilę później trzymała w rękach całego noworodka. A w każdym razie coś, co będzie go przypominało po porządnym umyciu z krwi, mazi płodowej, śluzu i innych substancji. O Chryste, jaki on śliski! A co będzie, jak go upuszczę? Nie, trzymam go przecież prawidłowo - za pięty. Nagle ktoś krzyknął, a może tylko zakwilił? W każdym razie była to pierwsza wypowiedź nowego przybysza na tym świecie. Laura spojrzała na umazane śluzem stworzenie, które trzymała fachowo jak kurczaka za nogi i zawołała:

- To dziewczynka! Marion, masz córeczkę!

Położyła dziecko na brzuchu matki, a pielęgniarki owinęły je ciepłymi ręcznikami. Gdy pępowina przestała pulsować, Laura zacisnęła ją, przecięła i podwiązała.

W tym właśnie momencie wszedł na salę wysoki, przygarbiony doktor w nie dopasowanym fartuchu. Był to Nico, szpitalny anestezjolog.

- Przykro mi, Lauro. Ale wezwanie jest wezwaniem. Zaczynamy przedstawienie?

- Przykro mi, Nico - odpowiedziała swobodnie Laura - ale obawiam się, że to przedstawienie już się skończyło.

- Jakie znieczulenie zastosowałaś?

- Blokadę nerwów sromowych.

- Sama?

- Nie, pomogła mi dobra wróżka.

Nico spojrział najpierw na matkę, rozmawiającą ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, a potem na Laurę.

- Hej, Castellano, całkiem niezłe!

Raz jeszcze rzucił okiem na pacjentkę i wyszedł. Laura machinalnie skierowała się za nim do drzwi.

- Pani doktor, niech pani zaczeka! - usłyszała krzyk pielęgniarki. - Niech pani nie zapomni o łóżysku!

Laura wróciła do stołu i jak automat czekała na ukazanie się łóżyska. Zaszyla nacięcie krocza katgutem chromowym.

W końcu sprawdziła ogólny stan Marion. Krwawienie było niewielkie. Nie było żadnych okaleczeń ani uszkodzeń macicy.

- Wszystko w porządku, Marion - zapewniła półgłosem.

A szczęśliwa matka odpowiedziała: - Jesteś wspaniała, Lauro, dziękuję!

Po wywiezieniu pacjentki Laura stała przez jakiś czas samotnie w pustej sali. Uczucie ulgi ustępowało miejsca rosnącej dumie. A potem zazdrości. Marion rzeczywiście patrzyła na wszystko z właściwej perspektywy.

Nagle przyszło jej na myśl, że największą radością dla kobiety było trzymanie w ramionach własnego dziecka.

I wtedy zrozumiała, że oprócz własnej kariery zawodowej pragnęła również i tego.

Barney był dumny ze swojej przynależności do pierwszego zespołu chirurgicznego, nawet jeśli wiedział, że pozwoli mu co najwyżej trzymać zaciski.

Będzie mógł jednak za to obserwować pracę Thomasa Aubreya (chirurga nad chirurgami) i anestezjologa Conrada Nagy'ego (najlepszego szafarza gazem w całym chrześcijaństwie).

Dzisiejszym zadaniem miało być wycięcie pęcherzyka żółciowego. To, co w normalnej sytuacji byłoby jedynie zwyczajnym usunięciem woreczka żółciowego, tym razem zapowiadało się nieco "bardziej interesująco", jak to określił Aubrey. - Nasz pacjent, pan Abrahamian, jak świadczą o tym jego zapisy, przeszedł przez skomplikowane choroby w okresie dziecięcym, łącznie z ostrym gośćcem stawowym i wszystkimi możliwymi alergiami, jakie sobie tylko można było wyobrazić. Musimy być przygotowani na różne niespodzianki.

Doktor Nagy zastosował atropinę jako środek przedoperacyjny. Wywołał narkozę sześćdziesięcioma miligramami metoheksitonu i użył salcuranium dla uzyskania odpowiedniej harmonii nerwowo-mięśniowej. W celu uspienia pacjenta zastosował podtlenek azotu i tlen w proporcji siedemdziesiąt do trzydzieści.

- Tyle w ramach prologu, a teraz otwieramy kurtynę.

Trzymając skalpel niczym smyczek do wiolonczeli, Aubrey uczynił nacięcie Kochera, a potem nakazał pielęgniarce z prawej i lewej strony zbliżyć się do stołu i przytrzymać sączki. Aubrey włożył prawą dłoń do rany, aby przesunąć wątrobę i tym samym odsłonić woreczek żółciowy. Uchwycił organ w pierścieniowe kleszczyki i uniósł go na powierzchnię.

Pierwszy asystent, doktor Lipson, utrzymywał ranę otwartą szerokim retraktorem brzuszny. Potem skinął na Barniego, aby wziął wąski hak i założył go pod brzegi żebrowe, na samym dole klatki piersiowej.

- A teraz panowie - ogłosił Aubrey - mamy przed sobą pełny obraz. Każdy dobry chirurg powinien dobrze przyjrzeć się całemu obszarowi, który odsłonił.

Zanim usunął woreczek żółciowy, zabrał ich wszystkich na wycieczkę po całym przewodzie żółciowym i otaczających go naczyniach krwionośnych. Następnie poprowadził swoich nieustraszonych odkrywców na wyprawę w poszukiwaniu możliwych ośrodków krwawienia, których jeszcze nie podwiązał. Wreszcie przekazał pałeczkę doktorowi Lipsonowi, każąc mu zamknąć ranę, podczas gdy sam kontynuował swoją narrację.

- Proszę, niech państwo popatrzą, jak doktor Lipson starannie unika torebki wątroby dlatego, że szwy przechodzące przez ten narząd spowodowałyby silne krwawienie. Kiedy będzie już po wszystkim, założymy soczek...

Nagle anestezjolog przerwał ten spokojny wykład. - Mamy problem, Tom - powiedział z widocznym zdenerwowaniem w głosie.

- Co się dzieje? - zapytał chirurg spokojnie.

- Ten facet wrze. Ciśnienie podskoczyło mu gwałtownie. Tętno osiemdziesiąt jeden.

Doktor Aubrey rozkazał cicho: - Niech ktoś sprawdzi temperaturę w odbycie.

Barney stał jak zahipnotyzowany. Jedna z pielęgniarek włożyła termometr. Barney zaczął się pocić, nie miał jednak odwagi otrzeć czoła, bojąc się, że utraci koncentrację i poruszy retractor. Spojrzał na anestezjologa. Czoło porały mu zmarszczki, a w oczach malował się niepokój.

Uwaga Aubreya skoncentrowana była na otwartej ranie, tak jakby panika wokół niego w ogóle go nie dotyczyła. Po jakimś czasie, który wydawał się mu wiecznością, pielęgniarka wyjęła termometr.

- Mój Boże! - szepnęła.

- Odczytaj go, Helen - rozkazał krótko Aubrey spokojnym tonem.

- Ma prawie czterdzieści dwa stopnie, doktorze.

- O cholera! - wykrzyknął Nagy. - To złośliwa hipertermia. Proszę obłożyć go lodem.

Barney posłyszał kroki kogoś biegnącego ku drzwiom. Czuł, że on również powinien jakoś zareagować na ten kryzys. Tylko jak? Przerażony i zmieszany zwrócił się do głównego chirurga.

- Czy mam im pomóc z tym lodem, panie profesorze?

- A czy ci kazalem, młody człowieku? - warknął Aubrey, po raz pierwszy okazując zdenerwowanie. - Trzymaj ten retraktor i nie płacz mi się pod nogami.

W tym momencie anestezjolog oznajmił: - Tom, EKG szaleje.

Aubrey ściągnął rękawiczkę i sięgnął ręką w stronę pachwiny pacjenta, żeby sprawdzić tętno udowe. Po wyrazie jego twarzy widocznej ponad maski Barney wiedział, że nie znalazł żadnego.

- Wstrzymana praca serca - zawołał czyjś głos.

- EKG zanika - stwierdził Nagy. - Pacjent nie żyje.

Nagle nastała cisza. Nikt nie ośmielił się odezwać, zanim Aubrey nie zadecyduje, co dalej robić.

W końcu chirurg rozkazał: - Doktorze Nagy, proszę nadal wietrzyć płuca.

Anestezjolog skinął głową i wypełnił rozkaz.

Po co on to, u diabła, robi? - zastanawiał się Barney. Ten biedak jest już przecież martwy.

Chirurg poklepał asystenta po ramieniu. Lipson zrozumiał i usunął się na bok, pozostawiając zszywanie pana Abrahamiana w szybkich i zwinnych rękach szefa.

Barney patrzył na to wszystko ze wzrastającym zdziwieniem. Po co, u diabła, zszywają go tak starannie? Po co w ogóle go zszywają? Przecież i tak go potem otworzą na sekcji. Barney zdążył usunąć już do tej pory retraktor i stał teraz jak bezradny i zagubiony obserwator, patrząc, jak pompują tlen w płuca martwego człowieka. Aubrey zawiązał końcowy szew i zakończył go supłem.

- W porządku - powiedział cicho. - Proszę go zabrać do sali pooperacyjnej. Przyjdę tam za chwilę.

Kiedy wywożono pana Abrahamiana, Aubrey odwrócił się i spokojnie wyszedł do pokoju obok, będącego najwidoczniej garderobą gwiazdy wieczoru.

Lipson wrócił z sali pooperacyjnej i spojrzał na Barniego wrośniętego w ziemię.
- Co się stało? - zapytał.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem - odpowiedział Barney.

- Z czego?

- Ten facet był już martwy, a oni ciągle...

- Ach, o to ci chodzi! - odpowiedział Lipson. - Jak długo byłeś tu na chirurgii?

- To jest dopiero mój pierwszy tydzień - odpowiedział Barney, a potem zaczął domagać się wyjaśnienia. - Czy mógłby mi pan teraz wyjaśnić, po jakiego diabła pompowaliście powietrze w martwego człowieka?

- Uspokój się, przyjacielu - odpowiedział młody doktor. - Właśnie dowiedziałeś się, dlaczego nikt nigdy nie umiera na stole operacyjnym Aubreya. Dzięki wysiłkom doktora Nagy'ego śmierć pana Abrahamiana zostanie stwierdzona dopiero po operacji przez kogoś na sali pooperacyjnej.

- Czy to wszystko ze względu na miłość własną Aubreya? - zapytał zdziwiony Barney.

- O nie! - zaprotestował Lipson. - Tom jest ponad takimi sprawami. Nie masz nawet pojęcia, ile czasu zaoszczędził na papierkowej robocie - nawet jeśli zazwyczaj ja wypełniam za niego te wszystkie przekłete zaświadczenia, papiery szpitalne i ubezpieczeniowe formularze. Ta cała zaszracona biurokracja zajmuje wiele godzin. A teraz spadnie to na chłopców z sali pooperacyjnej. Nauczyłeś się więc dzisiaj czegoś nowego, co przyjacielu?

- Owszem - odpowiedział Barney. - Wiem już z całą pewnością, że nie chcę zostać chirurgiem.

Tuż przed rozpoczęciem ich czwartego i ostatniego roku studiów podporucznik Palmer Talbot przyleciał do Bostonu z Kalifornii na koszt wojska. Tydzień później byłby w stanie przylecieć do domu bez pomocy skrzydeł, gdyż tak mu uderzyło do głowy zupełnie nowe, przyjazne zachowanie Laury.

Ze swojej strony Laura cieszyła się, że miała przy sobie kogoś spoza sali operacyjnej, mężczyznę, którego szanowała i który nie traktował jej jak seksualnego pionka w medycznej karuzeli.

Palmer postanowił wykorzystać swoje lata w wojsku na zdobywanie nowych naukowych doświadczeń. Został przyjęty do Wojskowej Szkoły Języków Obcych w Monterey, gdzie zaczął się uczyć chińskiego. Oznaczało to pozostanie w wojsku przez

następny rok. Wydawało mu się, że nie miał nic do stracenia, tym bardziej że Laura była w stosunku do niego taka oziębła i obojętna.

Teraz jednak wolała siedzieć przy kominku u niego w domu na Beacon Street i rozmawiać o wszystkim, pod warunkiem, że nie miało to nic wspólnego z medycyną.

Mówiła sobie, że już zapomniała, jak świetnie był odczytany, jakim był dobrym słuchaczem i jakim czułym człowiekiem. Wmówiła sobie, że nikomu na świecie tak na niej nie zależało jak Palmerowi. Jakżeż była głupia, że ryzykowała jego utratę w pełnym zadufania przekonaniu, że jeszcze nie spotkała właściwego mężczyzny. Teraz zdecydowała, że ten właściwy mężczyzna nigdy nie mógłby być lekarzem.

Próbowała nie obarczać go bólem, który odczuwała z powodu rozpadu swojej rodziny. Separacja ta stała się definitywna, kiedy na początku 1961 roku, a dokładniej w styczniu, rząd Stanów Zjednoczonych zerwał wszelkie dyplomatyczne stosunki z rządem Fidela Castro. Potem inwazja w Zatoce Świń, zorganizowana przez emigrantów kubańskich z Miami, zaostrzyła jeszcze bardziej stosunki między obydwoma krajami.

- Teraz nie mogłabym się zobaczyć z Luisem, nawet gdybym chciała - stwierdziła oschle Laura.

- Owszem, mogłabyś - odpowiedział Palmer. - Nadal mogłabyś polecieć na Kubę z Meksyku.

Laura spojrzała na niego i próbowała nadać swemu głosowi stanowczy ton: - Nie mam najmniejszego zamiaru odwiedzać na Kubie mego ojca czy Fidela Castro.

- Czy miałaś z nim jakiś kontakt od czasu jego wyjazdu?

- Parę nędznych listów. Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby na nie odpisać. Trzeba być *un poco loco*, żeby w jego wieku bawić się w rewolucjonistę. Uważa teraz, że największym jego marzeniem byłoby, gdybym przyjechała do niego na Kubę i pracowała tam jako lekarz.

Palmer potrząsnął głową. - Czytałem gdzieś, że mężczyźni w jego wieku robią różne dziwaczne rzeczy. To rodzaj męskiego menopauzalnego szaleństwa. Nic się nie bój, nawet gdybyś chciała tam jechać, to i tak bym cię nie puścił.

- Nie masz się czego obawiać, nie grozi mi to. Jak również przyłączenie się do mojej matki w jej religijnym schronieniu.

- A swoją drogą, co u niej słychać?

- Rozmawialiśmy przez telefon parę razy. Twierdzi, że od czasu, kiedy odkryła swoje "prawdziwe powołanie", jak to pobożnie określiła, jest o wiele szczęśliwsza.

Mam wrażenie, że chciałaby, żebym ją odwiedziła, ale nie mam ochoty widzieć się z matką, która woli być “siostrą”.

Dotknął jej ramienia. - Mogę sobie wyobrazić, jak się teraz czujesz.

- Nie sędzę. Wiesz, mając dwoje wariatów za rodziców, boję się, że sama kiedyś zbzikuję.

Palmer uśmiechnął się. - A może byś tak zbzikowała na moim punkcie?

- Sędzę, że już do tego doszło - odpowiedziała, zarzucając mu ręce na szyję.

Istniała pewna szansa na to, że wojsko oddeleguje go z powrotem do Bostonu. Wolno mu było zaliczyć ostatni rok służby wojskowej przez uczęszczanie na kurs języków dalekowschodnich na dowolnie wybranej i ogólnie uznawanej uczelni. Ponieważ wojsko “uznawało” Harvard, przyjechał omówić swój program z dyrektorem Simonem Rybarchykiem.

A także sprawdzić, jak wyglądała sytuacja z Laurą.

W przeddzień swego wyjazdu, leżąc z Laurą w ramionach przy kominku, powiedział: - Słuchaj, Lauro, chciałbym dokończyć studia na Wschodzie. Nie mogę jednak zaakceptować tego, co Szekspir nazywał “życiem na przedmieściach twoich uczuć”. Wiem, że nie jesteś gotowa na małżeństwo. Wobec tego chętnie dostosuję się do wszystkich twoich wymagań, pod warunkiem, że będziemy razem, to znaczy, że zamieszkamy razem.

Laura popatrzyła na niego przez chwilę i powiedziała: - Palmer, tej dziewczyny, która nie wierzyła w małżeństwo, już nie ma. Myślę, że “Laura Talbot” brzmi bardzo ładnie.

- Nie wierzę własnym uszom! Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie masz nic przeciwko zostaniu panią doktor Laurą Talbot?

- Nie - uśmiechnęła się figlarnie i odpowiedziała: - Zostanę panią Talbot, ale zawodowo będę panią doktor Castellano.

- Czy rzeczywiście zamierzasz wyjść za mąż za tego gogusia?

- Myślałam, że lubiłeś Palmera - zaprotestowała Laura.

- Słuchaj, lubię Elvisa Presleya, ale to nie znaczy, że ty masz wychodzić za niego za mąż. Robisz to tylko dlatego, że nagle wydaje ci się, że jesteś sama i zdecydowałaś się na Palmera jako najprostsze wyjście.

- Barney, on mnie naprawdę kocha.

- Wiem o tym, Lauro. Nie kwestionuję tego nawet przez minutę. Zastanawiam się tylko, czy w głębi duszy ty rzeczywiście go kochasz.

Rozdział XXIV

Moment największego załamania w życiu każdego studenta medycyny przychodzi dopiero na czwartym roku.

Kończąc ostatnie wybrane przez siebie praktyki, na chirurgii lub na oddziale wewnętrznym, w zależności od tego, czy ktoś zamierza zostać chirurgiem czy też internistą, spogląda nagle do kalendarza i widzi, że w czerwcu tego roku oficjalnie zostanie mu przyznany dyplom lekarski.

W tym też momencie boleśnie zdaje sobie sprawę, że żadną miarą nie dorósł jeszcze do tego, by zostać lekarzem. O cholera! - mówi sobie wówczas w duchu. Ludziom wydaje się, że wiem, co robię. Uważają, że wiem, co im dolega i jak ich leczyć. Jak ja sobie dam z tym wszystkim radę?

Teraz, z perspektywy czasu, ta żmudna bieganina po różnych oddziałach wydawała im się utraconym rajem. O ileż łatwiej biegać tam i z powrotem po schodach i przytrzymywać kleszcze, kiedy operuje ktoś inny! W najgorszym wypadku wracało się do domu z obolałymi nogami. Nigdy jednak nie miało się wyrzutów sumienia. Doświadczali w tej pracy wszystkiego - z wyjątkiem odpowiedzialności. Jak dotąd nie wymagano też od nich nieomyślności.

Niektórzy z przeżywających wątpliwości uważają skrycie, że zawsze będą tylko studentami i nigdy nie posiadą wystarczającej wiedzy. Szczerze ta nie może ich jednak uchronić przed bólem pacjentów. W końcu po dziesięciu czy dwudziestu latach napięcie to staje się dla niektórych za silne i metaforycznie - a czasem i fizycznie - łamie im serca.

I stają się wówczas istotami z gatunku "okaleczonych lekarzy", doktorami o zranionych duszach.

Innym sposobem na radzenie sobie z tym apokaliptycznym momentem jest swoistego rodzaju zaparcie się. Ludzie ci łudzą się, że złożenie przysięgi Hipokratesa jest równoznaczne z sakramentem chrztu. Wierzą, że wraz z dyplomem spadają na nich nadprzyrodzone łaski - niewidoczne dla nie wtajemniczonych obserwatorów. Rozumują zgodnie z zasadą Kartezjusza: "Myślę, więc jestem". W medycynie jednak formułka ta brzmi nieco inaczej: "Mam dyplom, więc jestem lekarzem". Ci, którym udało się ta samohipnoza, zdobywają przyjaciół, nagrody, awanse, a w odpowiednim czasie nawet mercedesy SLC.

Nadeszła chwila, w której Barney musiał dokonać wyboru specjalizacji. Zgodnie ze zwyczajem, jeszcze z czasów dzieciństwa, przeprowadził ze sobą na ten temat wewnętrzny dialog.

Pytanie: - Co ci sprawia największą przyjemność, Livingston?

Odpowiedź: - Uszczęśliwianie innych ludzi.

- No cóż, to nie wystarcza, mógłbyś przecież w tym samym celu przebrać się w domu towarowym za świętego Mikołaja. Czy mógłbyś to trochę sprecyzować?

- No tak, zastanowiwszy się nad tym głębiej, powiedziałbym, że chciałbym leczyć nieszczęśliwych ludzi i pomóc im dostrzec radość życia.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że idealnie nadawał się na psychiatrę. Przede wszystkim ludzie zwracali się do niego o pomoc już od niepamiętnych czasów. Czyż Laura nie płakała na jego ramieniu? Czyż postępy Marvina Amsterdama na obozie letnim nie sprawiły mu ogromnej satysfakcji?

(A gdzie ty teraz jesteś, Marvin? Czy jesteś szczęśliwy?) Stracił już nawet rachubę, ilu kolegów prosiło go o pomoc w chwilach rozpacz w Szkole Medycznej czy jeszcze wcześniej. No właśnie, jak magnes przyciągam do siebie wszystkich nieszczęśliwych.

Jednakże psychiatra musi być przede wszystkim szczery w stosunku do samego siebie. No więc, Livingston, spróbuj przeanalizować swoje własne uczucia. Wiesz już, co chciałbyś robić dla innych, czym jednak miałyby być psychiatria dla ciebie? No przyznaj się, to zawsze jest najtrudniejsze.

Ta wewnętrzna równowaga, którą ludzie widzą we mnie, tak naprawdę jest przecież tylko iluzją. Mam takie same słabości jak inni. Potrafię je tylko dobrze ukrywać. Psychiatria pomoże mi przede wszystkim zaleczyć własne rany. No, bo zastanów się, Livingston, masz już prawie dwadzieścia pięć lat i nigdy nie byłeś zaangażowany w kobiecie inaczej jak tylko powierzchownie. Z całą pewnością to nie jest normalne.

A poza tym już sam fakt, że chcesz udzielać innym mądrych porad, jest formą samoobrony. Przyznaj, boisz się spojrzeć we własne wnętrze i zobaczyć, co się tam dzieje.

No właśnie, wybór specjalizacji jest często odbiciem wewnętrznych potrzeb samego lekarza. Chcę zrozumieć samego siebie. Chcę wiedzieć, dlaczego przyjmuję w stosunku do innych rolę ojca. Czyżby kryło się za tym coś głębszego? Jak na przykład

ten prosty fakt, że w rzeczywistości moim największym pragnieniem jest zostać ojcem?

Zdecydowawszy się na psychiatrię, Barney pomyślał, że dobrze byłoby wziąć dodatkowo kurs neurologii, aby lepiej zapoznać się z organicznym funkcjonowaniem mózgu.

I w ten sposób zaczął zgłębiać tajniki ludzkiego umysłu.

Bennett Landsmann, nie mogąc oderwać oczu od błyszczącego skalpela, zdecydował się na dodatkową praktykę z chirurgii i wypełnił podanie o przyjęcie na staż chirurgiczny w okolicy Bostonu.

- Słuchaj, Ben - usiłował mu dyplomatycznie powiedzieć

Barney - nie oszukuj się. Nawet gdyby twoje nazwisko brzmiało Bennett X i gdybyś dzierżył w rękach wszystkie ciemne siły tego świata, to i tak ci to nic nie pomoże. W żadnym z większych bostońskich szpitali jeszcze nigdy nie było czarnego stażysty na chirurgii.

- Nigdy jeszcze nie przyjęto tam kobiety, a mimo to Greta Andersen złożyła podanie - odparł na to Bennett.

- Słuchaj, przyjacielu, być może jesteś tak przystojny jak Sidney Poitier i jesteś tak wielkim sportowcem jak Jackie Robinson, i może nawet jesteś lepszym Żydem od Sammy'ego Davisa - ale dla tych facetów jesteś tylko koniem innej maści. A jeśli chodzi o Gretę, to może wreszcie się nauczy, że nie tak łatwo wśliznąć się w zamknięte męskie towarzystwo. A w każdym razie to jest jej sprawa. Dlaczego nie zmądrzejesz i nie złożysz ze mną podania o staż w Nowym Jorku?

- Jestem sentymentalnie związany z Bostonem, Barney. Symfonie nie brzmią tak samo w Nowojorskiej Filharmonii. Nawet muzeum sztuki...

- Nie pieprz mi tutaj o kulturze, kiedy usiłuję ci mówić o faktach, Ben. Te oddziały chirurgiczne nie zerwą z tradycją, co najwyżej złamią ci serce.

- A ty, Barney? - zapytał Bennett, przystępując do ataku. - A jakież to atrakcje ma dla ciebie teraz to miasto, skoro matka sprzedała już posiadłość przodków i przeniosła się do krainy słońca, radości i raka skóry?

- No cóż, mój brat Warren studiuje prawo na uniwersytecie w Kolumbii.

- Ale on przecież mieszka z dziewczyną. Nie zaprosił cię wcale do dzielenia z nim kawalerki.

- Daj spokój, Beri, Nowy Jork jest w końcu stolicą świata. Z pewnością można tam praktykować psychiatrię równie dobrze jak w Bostonie, a poza tym...

- A poza tym to tylko dwieście pięćdziesiąt mil od Laury Castellano.

- A co to ma do rzeczy?

- Nie udawaj, Barney. Jesteś w kiepskim humorze od czasu ich oficjalnych zaręczyn.

- On po prostu nie jest jej wart.

- Wszyscy faceci odnoszą się w taki sposób do swoich sióstr i przypuszczalnie pewnego dnia do swoich córek. Nikt nigdy nie jest ich godny. Z tego, co słyszę, ten Talbot jest całkiem do rzeczy.

- Owszem - przyznał Barney. - Nie mogę mu niczego zarzucić poza tym, że nie jest właściwym mężem dla Laury.

- I tak się tym wszystkim przejmujesz, że nie chcesz być w pobliżu i patrzeć, jak ona się będzie męczyć, kiedy pięknie mydlana bańka.

Barney zamierzał coś odpowiedzieć, lecz zamilkł. Przeleciał mu po twarzy nikły uśmiech. - O Chryste, Landsmann, ciężko mi się do tego przyznać, ale trafiłeś w dziesiątkę.

- No cóż - przyznał Bennett. - Sądzę, że byłem trochę egoistą. Myślałem, że jeśli obaj zostalibyśmy w Bostonie, to może moglibyśmy wtedy wynająć razem mieszkanie i konkurować między sobą liczbą uwiedzionych dam. Do diabła, nie chcę cię stracić dla Nowego Jorku.

Barney popatrzył na niego i uśmiechnął się. - To się ze mną ożeń, Bennett.

- Nie mogę, Barney. Nie jesteś Żydem.

Barney był przekonany, że zagraża mu atak serca.

Potem jako psychiatra zorientował się, że było to tylko podświadome pragnienie śmierci.

W rzeczywistości jednak był przerażony. Tego ranka miał bowiem wygłosić swój pierwszy neurologiczny referat - podsumowanie badania, analizę symptomów i "rozpoznanie różnicowe" prawdziwego pacjenta i to na dodatek przed profesorem Cliffordem Marksem, znanym na całym świecie neurologiem i bezwzględnie wymagającym nauczycielem.

Z różnych symptomów, które Barney przeanalizował tak dokładnie, wynikało, że pacjent powinien przeżyć. Pozostawało tylko pytanie: - A Barney?

Wszedł na czwarte piętro w momencie, gdy Marks, korpulentny siwowłosy profesor, wyszedł z windy w otoczeniu grupy studentów.

Wymienili zdawkowe powitania i starszy konsultant wprowadził ich na oddział neurologii. Nie było to najprzyjemniejsze z miejsc. Ludzie leżący na łóżkach podzieleni byli na dwie skrajnie przeciwne kategorie. Albo wili się w konwulsyjnych drgawkach, albo leżeli powaleni paraliżem.

W końcu dotarli do łóżka pana Alda Morettiego, łysiejącego mężczyzny w średnim wieku, który na pierwszy rzut oka zdawał się nie pasować do tego otoczenia. Mimo że miał obandażowane ręce i nogi, to jednak był w stanie poruszać kończynami bez śladów paraliżu czy oznak porażenia.

Moretti ucieszył się na widok tyłu lekarzy składających hołd fascynującym symptomom jego choroby i serdecznie powitał pielgrzymów przy swoim łóżku.

Kiedy wszyscy zebrali się wokół chorego, profesor Marks skinął głową w stronę Barniego. - W porządku, Livingston, w czym według pana tkwi problem?

Barney zwrócił się do grupy i otworzył szarą kopertę zawierającą oficjalne formularze oraz liczne przygotowane przez siebie notatki. Właśnie miał zamiar zacząć, kiedy przedmiot jego dyskusji powitał go radośnie: - Cześć, Barney, jak się dzisiaj czujesz?

- Świetnie, panie Moretti, świetnie - mruknął i powrócił do wcześniej przygotowanego tekstu.

Moretti przerwał mu znowu, tym razem zwracając się do pozostałych postaci w białych kitlach: - Ten dzieciak, kiedy mnie wczoraj przyjmował, był taki zmęczony, że prawie nie był w stanie otworzyć oczu. Gdyby nie to, że sam się potwornie czułem, kazałbym mu iść prosto do domu.

- Ach, tak - zauważył profesor. A potem dodał: - Proszę kontynuować, Livingston.

Barney odchrząknął i zaczął recytować: - Pacjent jest czterdziestodwuletnim mężczyzną na kierowniczym stanowisku...

- Ściślej mówiąc, jestem w transporcie - poprawił go Moretti. - Posiadam firmę przewozową. - Po czym zwrócił się do Barniego: - Proszę, niech pan mówi dalej.

Barney kontynuował: - W ostatnią niedzielę podejmował u siebie swoich teściów obiadem i gotował olbrzymi sagan spaghetti...

- Ile razy mam ci powtarzać, Barney, że to było vermicelli.

Barney zebrał w sobie odwagę, żeby przemówić ostro do człowieka prawie dwa razy starszego od siebie.

- Byłbym panu wdzięczny, gdyby mi pan pozwolił skończyć, panie Moretti. Jeśli będzie pan miał jeszcze coś do dodania, zrobi pan to później.

Barney zdecydował, że nie dopuści więcej Morettiego do głosu i grzmiał dalej:
- Kiedy niósł sagan wrzącej wody do zlewu, upuścił go nagle, powodując rozległe oparzenia drugiego stopnia na rękach i dolnych kończynach.

- Nic z tego nie rozumiem - tłumaczył się Moretti. - Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego. I nie mam pojęcia, co ja tu, u diabła, między tymi ludźmi robię.

Barney zaczerpnął powietrza. - Kiedy przyjmowano go na pogotowiu, pacjent był w stanie rozkojarzonym i nawet nie pamiętał, że upuścił na siebie garnek wrzącej wody.

- No właśnie. Wszystko wydawało mi się jak za mgłą - przyznał Moretti.

- Ze względu na rozmiary oparzeń przyjęto pacjenta do szpitala i zastosowano dożylną nawadnianie organizmu. Nie wykazywał jeszcze wtedy żadnych ogniskowych objawów neurologicznych.

Dzisiaj rano dostał wysokiej gorączki, wynikającej prawdopodobnie z jego oparzeń, doznał czasowej utraty przytomności, cmokał ustami i przechylał głowę na prawo. Wykazywał objawy napadu toniczno-klonicznego trwającego niecałą minutę. Kiedy wezwano neurologa, był już na pół przytomny przez ponad pół godziny.

- Ten dzieciak nie przeoczył niczego - odezwał się głos z poduszki. Barney udawał, że go nie słyszy.

- Jakie było pańskie początkowe podejrzenie? - zapytał profesor.

- No cóż - stwierdził Barney, udając, że opinia ta właśnie nasunęła mu się na myśl i nie była wynikiem gorączkowych badań i poszukiwań - istnieje taka możliwość, że przyczyną napadu była wysoka gorączka. Możliwe, że dostał zakażenia na skutek poważnej bakteriologicznej infekcji, jaka wyłoniła się w wyniku oparzenia.

Zgodnie z protokołem, Barney zaproponował również diagnozę "różnicową", opartą na porównaniu objawów pana Morettiego z innymi chorobami, z którymi można byłoby je pomylić.

- Poza oczywistą możliwością istnienia nowotworu, można podejrzewać wady układu krążenia, które również powodują podobne problemy. Istniała nawet

możliwość wystąpienia stwardnienia rozsianego. Nie można było również wykluczyć zapalenia mózgu, przynajmniej do czasu wykonania nakłucia łądźwiowego.

Nagle posłyszał ryk z poduszki: - Nie ma mowy! Nie dam sobie wbić igły w kręgosłup. Mój kolega to miał i mówił, że go to bolało jak diabli.

Barney nie był już w stanie się zdenerwować. Osiągnął poziom transcendentnego spokoju i na ten ostatni wybuch odpowiedział tylko: - Postaramy się to mieć na uwadze, panie Moretti.

Po czym zwrócił się do białych kitlów: - W każdym razie, panie profesorze, zgodnie z tym, co nam pan zawsze powtarza, napady są tylko symptomami chorób, a nie chorobami samymi w sobie. O ile mi wiadomo, w rodzinie pacjenta nie ma historii tego typu zaburzeń - poza jednym wyjątkiem wspomnianym w rozmowie: jego dziadek spadł z konia i doznał czegoś, co niewątpliwie miało charakter pourazowego napadu.

Badania neurologiczne były w normie, łącznie z orzeczeniem stanu dwunastu nerwów czaszkowych. Badania nerwów czuciowych i ruchowych nie wykazały żadnych wad czy uszkodzeń. Odruchy ścięgniste były normalne i nie stwierdzono objawu Babińskiego. Stan umysłowy pacjenta jest w normie.

Na co leżący na łóżku komentator wykrzyknął: - No pewnie, nie jestem wariatem!

- A zatem podsumowując - powiedział Barney, czując, że zbliża się już do końca - przyczyna wydaje się idiopatyczna.

Było to najużyteczniejsze określenie w medycznym słowniku. Każdy lekarz, niezdolny do orzeczenia diagnozy o stanie pacjenta, zawsze może zastosować ten przymiotnik, pochodzący od greckiego słowa oznaczającego niewiadome pochodzenie. Innymi słowy, wyznaje się w ten sposób prawdę, ukrywając jednocześnie przed pacjentem swoją ignorancję.

Profesor skinął głową. - Doskonałe spostrzeżenia, Livingston. Dokładnie przedstawiona historia rodzinna, trafne rozpoznanie różnicowe i pełne przygotowanie neurologiczne. Gratuluję.

- Hej, a co ze mną? - wrzasnął oburzony pacjent. - Mnie się też należy jakieś uznanie. W końcu to ja powiedziałem to wszystko Barniemu. On to tylko zapisał.

Marks, nie wzruszony tym wybuchem, nadal rozmawiał ze swoim studentem: - Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego wyeliminował pan padaczkę skroniową?

- No cóż, panie profesorze - zaczął Barney, gorączkowo szperając w pamięci - padaczka skroniowa mogłaby wchodzić w rachubę, gdyby nie fakt, że pacjent nie cierpiał uprzednio na paramnezję i mikropsję, które są jej klasycznymi symptomami.

Na co wybitny neurolog odpowiedział: - Aha.

Marks pochylił się potem nad pacjentem i długo przyglądał się twarzy Morettiego. W końcu odwrócił się w stronę swoich nowicjuszy. - Panowie, jeśli przyjrzyście się uważnie twarzy pacjenta, to zauważycie na niej nieznaczną asymetrię. Zauważycie również, że jego lewe oko jest troszeczkę wyżej niż prawe. Nazywamy to wtórnymi objawami neurologicznymi.

Studentom zaimponowała ta spostrzegawczość profesora, jednak nie mieli pojęcia, do czego zmierzał.

- A teraz, czy mógłbym panu zadać parę pytań, panie Moretti?

- Mnie? - zapytał pacjent, któremu to nagle zainteresowanie profesora polechtało miłość własną. - Pytaj mnie pan, o co tylko chcesz.

- Czy pamięta pan swoje urodziny? - zapytał profesor.

- Oczywiście - odpowiedział Moretti. - Dwunastego lutego.

- Nie - przerwał mu Marks - chodzi mi o okoliczności pańskich narodzin. Czy pańska matka mówiła panu może o jakichś trudnościach?

Moretti zamyślił się przez chwilę i powiedział: - Owszem, wspomniała coś kiedyś na ten temat. Zdaje się, że musiano mnie wyciągać jakimiś kleszczami.

- Tak też podejrzewałem - powiedział Marks, uśmiechając się z satysfakcją. A potem zwrócił się do studentów: - Poród kleszczowy, asymetria twarzy - wskazał palcem na prawą stronę twarzy pacjenta - oraz fakt, że pacjent obrócił się na prawą stronę w trakcie ataku, wskazują na to, że uszkodzenie mózgu znajduje się po tej właśnie stronie. Będzie to można potwierdzić przez EEG.

Następnie zwrócił się do szpitalnego neurologa: - George, zacznijmy od tego. Jeśli to się potwierdzi, zaczniemy podawać panu Morettiemu dilantin.

Przechodząc wraz z grupą swoich wyznawców do następnej neurologicznej zagadki, Marks zwrócił się do Barniego: - To wcale nie było łatwe. Wykonał pan niezłą robotę. Szkoda, że wybiera się pan na psychiatrię. Mógłby pan zostać prawdziwym doktorem.

Farmakologia, z którą przyszli lekarze rozprawiają się stosunkowo krótko na ostatnich przedklinicznych kursach, jest w rzeczywistości dyscypliną, od której zależy sukces lub klęska lekarskiego zawodu.

Cała sztuka bynajmniej nie polega tu na zaznajamianiu studentów ze składem niezliczonej liczby lekarstw, ich działania, zastosowania i przeciwwskazań. Wszystko to bowiem można wyszukać w różnych kosztownie oprawionych książkach, ułożonych na półkach przy biurku lekarza. Chodzi tu raczej o zdolność wypisywania rzeczywiście dobrej recepty, która zdobyłaby im serca i umysły pacjentów.

Nikt nie poczuje się lepiej, jeśli nie otrzyma jakiejś recepty - tego małego dokumentu pokrytego zaszyfrowanymi bazgrołami, dowodzącego, że lekarzowi na pacjencie zależy.

Barney trochę nierozważnie stwierdził w obecności profesora Morrisa Cohena: - To coś w rodzaju ulotek rozdawanych przy wejściu. Pacjent nie będzie czuł, że się go traktuje poważnie, jeśli się mu nie da czegoś dotykającego. Jakiejś pamiątki czy prezentu.

- Wypraszam to sobie, Livingston. Mógłby pan wykazać trochę więcej szacunku dla naukowych osiągnięć. Czy szczepionka przeciwko polio albo penicylina to, pańskim zdaniem, tylko podstępne chwytły?

- Ależ, panie profesorze - zaprotestował Barney, wycofując się szybko - nie chciałem tu nikogo obrażać. Czasami jednak zwyczajna aspiryna ukryta pod wyszukaną nazwą działa jak najlepsze placebo. Recepta sprawia zazwyczaj, że pacjent czuje się lepiej już w momencie, kiedy dostaje ją do ręki. Wydaje mi się, że istnieją nawet jakieś publikacje na ten temat.

- No cóż - powiedział Cohen w obronie swojej dyscypliny - dobry doktor powinien umieć stwierdzić, czy dolegliwości jego pacjenta nie mają przypadkiem psychosomatycznego podłoża.

Głos wewnętrzny krzychał do Barniego: - Zamknij się, ty idioto! Potrzebne jest ci zaliczenie z tego przedmiotu, żeby dostać dyplom. A zatem zamknij gębę!

Profesor Cohen wyczuł już jednak, że Barney miał jeszcze coś więcej do powiedzenia. - No proszę, proszę - nalegał z sarkazmem w głosie. - Niech pan ciągnie dalej. Niech pan powie, co ma pan na myśli.

- No cóż - odpowiedział Barney z przesadną nieśmiałością - przecież nawet psychofizjologiczne symptomy wymagają leczenia.

A potem szybko rzucił słowo pod profesora: - Jak nam pan profesor sam często powtarzał, dla każdej diagnozy istnieje odpowiednia doza.

Facet przybrał minę pogłaskanego kota. - Nieźle powiedziane, Livingston. A teraz wróćmy do tematu - mruknął. - Przyjrzyjmy się zatem, panowie, tym skrótom.

I zaczął wyjaśniać, dlaczego lekarze nadal wypisywali recepty, używając łacińskich skrótów.

- Od wieków był to uniwersalny język medycyny. Łacina była kiedyś również językiem nauczania...

Barney pomyślał sobie: A gównu! Uczą nas wypisywać recepty po łacinie, abyśmy mogli otoczyć się nimbem tajemniczości. Pacjent nie przetłumaczy sobie, że q.i.d. (*quarter in die*) oznacza "cztery razy dziennie" oraz że p.c. (*post cibum*) znaczy "po jedzeniu", więc wyobraża sobie, że jest w rękach uzdrowiciela. Każdy lekarz musi uważać, żeby nie stosować obcych wyrazów, które pacjent mógłby zrozumieć. Na przykład nigdy nie powinien napisać *per rectum*, lecz skrócić to do p.r., przepisując komuś lekarstwo do tyłka.

Po zajęciach Bennett podbiegł do przyjaciela, żeby mu nawymyślać: - Co ci, u diabła, odbiło? Zajeżdżasz tym psychiatrycznym gównem przed farmakologiem, który cię obleje przy najbliższej okazji.

- Nie denerwuj się, Landsmann. Przyznaj jednak, że wycofałem się z finezją.

- Niespecjalną, Barney.

- Słuchaj, i tak się ugryzłem w język. Nie powiedziałem mu na przykład, że żaden szanujący się doktor na Park Avenue nigdy nie wypisze czytelnej recepty - straciłby bowiem część swojej mistyczości.

- Livingston, mam wrażenie, że stajesz się cynikiem.

- Do diabła, Landsmann, czyż nie jest to zadaniem Szkoły Medycznej?

Laura nie mogła przestać myśleć o dzieciach. Ze wszystkich klinicznych praktyk najbardziej wciągnęła ją pediatria. Być może był to jedynie jej ukryty instynkt macierzyński, lecz traktowała każdego pacjenta - czy to z niebezpiecznie rozciętą raną pod okiem, czy też zmagającego się z zapaleniem płuc albo przerażająco zniekształconego w wyniku samochodowego wypadku - jak własne dziecko.

Na każdym oddziale Szpitala Dziecięcego spotykała się ze scenami, które często wzruszały ją do łez. Były tam końcowe przypadki mukowiscydozy, hemofilii, talazemii, dystrofii mięśniowej i innych, jeszcze gorszych chorób. Życie niektórych

dzieci liczone było na dni, może i miesiące, a w najlepszym wypadku na lata. Były one jednak nieuleczalnie chore.

Z początku nęciło ją życie w laboratorium, gdzie mogłaby się poświęcić poszukiwaniom środków przeciwko tym dzieciobójczym chorobom. Wkrótce jednak zorientowała się, że przede wszystkim pragnęła być przy tych dzieciach, choćby tylko po to, aby ułatwić im śmierć.

Walka ta jednak nie zawsze była jednostronna. Czasami pediatrom udawało się wykryć omal niedostrzegalne choroby - jak na przykład galaktozemię - potencjalnie śmiertelną, lecz łatwą do wyleczenia, jeśli wykryje się ją odpowiednio wcześnie.

Najbardziej jednak współczuła wcześniakom - dzieciom urodzonym dwanaście do czternastu tygodni za wcześnie i nie będącym w stanie samodzielnie oddychać. Były tak drobne i wątłe (niektóre z nich ważyły zaledwie kilogram), że siniały pod dotknięciem stetoskopu.

Ci maleńcy pacjenci w inkubatorach dzielnie walczyli o każdy oddech i walka o uratowanie im życia trwała czasami przez wiele dni, a nawet tygodni. Lekarze mieli szczęście, jeśli udało im się uratować choć jednego z tych noworodków.

Barney powiedziałby może, że Laurą kierowały wyrzuty sumienia z powodu śmierci Isobel. Jej jednak obojętne były powody. Wiedziała tylko, że chciała poświęcić życie dla ratowania tych dzieci. Złożyła wobec tego podanie o staż w Szpitalu Dziecięcym. I została przyjęta.

- Lauro, otwórz!

- Daj mi spokój. Właśnie zeszałam z dyżuru i muszę się przespać.

Uporczywe stukanie do drzwi przybrało tylko na sile.

- Proszę cię, muszę z tobą porozmawiać! - zawołał rozgorączkowany kobiecy głos.

- O cholera! - mruknęła pod nosem Laura. Usiadła na łóżku, odrzuciła przykrycie i podeszła do drzwi. - Czasami chciałabym, żeby nikt nie znał numeru mojego pokoju.

Otworzyła i zobaczyła Gretę zalaną łzami.

- Co się stało, Andersen? - mruknęła.

- Lauro, odrzucono mnie w każdej cholernej klinice harwardzkiej. Mam ochotę popełnić samobójstwo.

Laura zaprosiła Gretę do środka. Kazała jej usiąść i uspokoić się. Przede wszystkim jednak pozwoliła jej się wypłakać. A potem próbowała podnieść ją na duchu, schlebując jej próżności:

- Popatrz na to w ten sposób. To strata dla Harvardu, a nie twoja. Przyjęli cię przecież do tuzina innych miejsc. Nie mają tu w końcu monopolu na dobrych chirurgów. Wybierz sobie miejsce, gdzie ciebie chcą.

- No cóż, dostałam propozycję ze Szpitala Johna Hopkinsa i z Georgetown. Przypuszczam więc, że przez kilka następnych lat będę gdzieś w pobliżu stolicy. - A potem dodała z uśmiechem: - Może nawet zostaną zaproszona na randkę przez prezydenta Kennedy'ego.

- No jasne - odpowiedziała Laura. - JFK z pewnością znajdzie czas na taką seksbombę jak ty.

Greta zachichotała. Znowu czuła się sobą, Królową Insynuacji.

Bennett Landsmann również nie został przyjęty do trzech bostońskich szpitali, w których złożył podania.

Przyczyną tego z pewnością nie były jego braki. Ukończył przecież Harvard z wyróżnieniem, był stypendystą Rhodesa i uzyskał wyjątkowo wysokie oceny ze swoich klinicznych praktyk.

Barney wyjaśnił mu ponownie: - Mówiłem ci, Landsmann, że chodzi tu o ilość melaniny. Nikomu nie podoba się czerń na chirurgii.

- Powiedzieć ci coś, Barney? Oszukiwałem samego siebie, wmawiając sobie, że jestem inny. Ktoś musiał wreszcie zostać Jackiem Robinsonem medycyny i myślałem, że to ja nim będę. W każdym razie to boli jak diabli.

Barney chwycił przyjaciela za ramiona: - Olej ich, Bennett! Olej ich wszystkich! Przyjęto cię w tylu innych miejscach. Jedź do Chicago, Filadelfii, Baltimore - zobaczysz, zostaniesz tak świetnym chirurgiem, że na kolanach będą cię błagać, żebyś wrócił do nich jako pełny profesor.

Bennett popatrzył na niego. - Z ciebie jest prawdziwy *mensch*, Livingston.

- Pochlebiasz mi, Landsmann. Ale muszę przyznać, że z ciebie też.

- Owszem, doktorze Livingston - odpowiedział Bennett z nieco mniejszym niż zazwyczaj uśmiechem. - Tylko że ja jestem czarny *mensch*.

Greta i Bennett byli wyjątkami. Większość ich rocznika została przyjęta na staż w szpitalach przez siebie wybranych. Nawet Lance Mortimer, stojący najniżej totemicznego pala, został przyjęty do Szpitala Mount Hebron w Los Angeles. Jak zwierzył się potem Barniemu, jego ojciec - autor scenariuszy - Terence Mortimer, poprosił ni mniej, ni więcej, tylko samego Johna Wayne'a, aby zadzwonił do przewodniczącego zarządu szpitala i zagroził mu, że poprowadzi przeciwko niemu cały oddział kawalerii, jeśli nie przyjmą do siebie syna jego przyjaciela.

Rozdział XXV

Namaszczenie ich na pełnych lekarzy odbyło się w czerwcu 1962 roku w trakcie uroczystości na dziedzińcu Szkoły Medycznej. Podium, postawione przed budynkiem "A", otaczali widzowie siedzący półkołem na drewnianych krzesłach.

W to gorące i duszne popołudnie mieli uzyskać dyplomy w obecności medycznego panteonu, który niegdyś ich uczył, oraz rodziców, którzy o tym tak długo marzyli. Przede wszystkim jednak, dzięki złożeniu przysięgi Hipokratesa, mieli doznać wtajemniczenia, a zatem przyjęcia do owego świętego zakonu "templariuszy".

Wśród zebranych byli Estelle i Warren, który fotografował dla potomności to historyczne wydarzenie.

Któż jednak był świadkiem konsekracji Laury? Starsi Talbotowie i jej narzeczoney byli naturalnie obecni, nie mogli jednak klasyfikować się jeszcze jako "rodzina". Z placu Lincolna nie było nikogo. Laura specjalnie zapowiedziała matce przez telefon, żeby nie przychodziła.

- Ależ dlaczego, *querida*?

- Czy mogłabym cię odesłać do bajeczki o *Malej czerwonej kurce*? Nie pomogłaś mi upiec tego chleba. Nie chcę więc, żebyś przyszła go jeść.

Zareagowała tak pod wpływem bólu, skończyło się jednak na wyrzutach sumienia. Tuż przed rozpoczęciem rytuału, kiedy Laura poprawiała swój akademicki strój, podeszło do niej dwóch katolickich księży. Jeden z nich był przypuszczalnie młodym nowicjuszem o anielskich, pucołowatych policzkach, a drugi, starszy, prawdopodobnie nie widział, jak wskazywały na to jego przyciemnione okulary.

- Señorita Castellano? - zapytał młodszy mężczyzna.

- Owszem.

- Panno Castellano, to jest ojciec Juan Diaz-Pelayo.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, starszy mężczyzna zwrócił się do niej w czystym, kastylijskim ojczystym języku.

- Przyszedłem cię pobłogosławić - powiedział drżącym ze starości głosem. - Brałem wraz z twoim czcigodnym ojcem udział w wojnie domowej. Niewielu było tam członków Kościoła. Miałem pecha i wpadłem - jakby to powiedzieć - w niewłaściwe towarzystwo. Twój ojciec uratował mi życie. Jestem pewien, że oboje z twoją matką byłiby teraz z ciebie dumni.

Drżącą dłonią wykonał znak krzyża, wymawiając: - *Benedicat te omnipotens Deus, Pater et Filius et Spiritus Sanctus.*

- Amen - dodał cherubinek.

Zniknęli równie prędko, jak się pojawili. Kto ich tu przysłał? Jej zamknięta w klasztorze matka? A może to ojciec zdołał w jakiś tajemniczy sposób przekazać im wiadomości z Kuby?

Barney zobaczył to spotkanie z daleka i gdy tylko obie zjawy zniknęły, natychmiast stanął u jej boku.

- Czy wszystko w porządku, Castellano? - zapytał. - Jesteś trochę blada.

- Prawdę mówiąc, czuję się tak, jakbym wypila LSD w porannej kawie. Te dwa typy przyszły tu mnie pobłogosławić - pokręciła głową z niedowierzaniem. - Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby pojawił się tu za chwilę jakiś piekielny rydwan. Nie pozwól, żeby mnie ze sobą porwali, dobrze, Barney?

- Dobrze, będę na ciebie uważać. Nic się nie bój, Castellano.

Rodzinę Dwyerów reprezentowali rodzice Hanka i Cheryl. Każda z babć trzymała po bliźniacze, a chłopiec siedział na kolanach matki. Nie posiadali się z radości z powodu tej "koronacji" prostego dzieciaka z Pittsburgha.

Niektórzy z przyszłych absolwentów z ciekawości przeszukiwali wzrokiem alabastrowy tłum, aby przyjrzeć się rodzicom Bennetta. Nie było tam jednak ani jednego Murzyna.

Poprzedniego wieczoru Barney był na kolacji z Bennettem i Landsmannami w restauracji Maitre Jacques. Miłość, którą sobie okazywali, wydawała mu się mocniejsza od tej, którą widział wśród wielu naturalnych rodziców i dzieci.

W rzeczywistości jednak wejście Bennetta na podium po odbiór dyplomu i uścisk dłoni dziekana wyczekiwane było z radością przez małą grupę Murzynów. Naturalnie nie siedzieli oni w świętym półkolu, lecz stali w oknach otaczających go budynków. Była to obsługa szkoły - odźwierni i sprzątaczkę - dobrze świadomi faktu, że w całej szkole było zaledwie dwóch duchowych braci i ani jednej duchowej siostry.

Rytuał rozpoczęły zwyczajne w takich sytuacjach gratulacje i schlebające przemówienia, po których rozpoczęło się rozdanie nagród.

Profesor Georges de la Forêt, laureat Nagrody Nobla za swoją pracę w dziedzinie biologii molekularnej, na ogół wyłaniał się ze swego laboratorium tylko raz do roku - i to właśnie z okazji tejże uroczystości. Wystąpił przed zebranymi, aby

ogłosić, kto uzyskał Nagrodę Johna Winthropa za najwybitniejszą pracę dyplomową z zakresu medycyny, obronioną przez absolwenta danego rocznika.

Wymamrotawszy kilka niezrozumiałych uwag w języku, który można było przyjąć za' francuski, angielski lub rodzaj esperanto, spojrzął, zmrużywszy oczy na skrawek papieru, i ogłosił: - Żwiczczą tego łoku jezt...

A potem odchodząc od uprzednio przygotowanego tekstu, dodał swą własną opinię:

- ...moim zdaniem przypuszczalnie najoryginalniejszy umysł, jaki się tu pojawił od czazu, kiedy szam tu przybyłem.

I wymienił nazwisko Petera Wymana.

Triumfujący zwycięzca podniósł się z krzesła, gotowy do przyjęcia hucznych oklasków tłumu.

Na dziedzińcu jednak panowała cisza.

Na widowni rozległy się uprzejme oklaski rodziców, z którymi zmieszały się sporadyczne gwizdy kolegów. Zanim Peter zdążył wejść na podium i uścisnąć rękę profesora, ogarnęła ich wszystkich nieprzeparata ochota wyrażenia swojej zbiorowej opinii na ten temat, i okrzyki dezaprobaty zdawały się sięgać pułapu nieba.

Dla kontrastu Seth Lazarus, wyróżniony jako najlepszy student, powitany został wiwatami bardziej odpowiednimi na boisku sportowym.

Nat i Rosie siedzieli wraz z Judy w trzecim rzędzie. Rosie, choć dumna z osiągnięć Setha, chłostała się wewnątrz: - Jak w ogóle możesz być szczęśliwa, skoro twój syn nie żyje?

Dzięki Bogu, że mam choć jednego wspaniałego syna - w tym samym czasie jej mąż radował się w duchu.

Nagle, jakby pod wpływem jakiejś tajemniczej siły, publiczność umilkła.

Dziekan Holmes, który w swoich szkarłatnych szatach jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem przypominał wielkiego kapłana, nakazał studentom powstać i powtórzyć za nim święte credo lekarskie - przysięgę Hipokratesa.

- Przysięgam na Apolla uzdrowiciela...

- Przysięgam na Apolla uzdrowiciela...

- ...że będę szanował nauczyciela mego w tej sztuce na równi z własnymi rodzicami...

- ...że będę szanował nauczyciela mego w tej sztuce na równi z własnymi rodzicami...

- ...i że będę traktował jego rodzinę jak własnych braci i nauczał tej sztuki bez żadnej opłaty...

Powtarzając te słowa, Barney pomyślał z ironią, że większość jego kolegów nie miała bynajmniej zamiaru pracować w charakterze misjonarzy.

- Przysięgam, że ze wszystkich sił będę się starał pomagać chorym i nie wyrządzać im krzywdy.

Bennett Landsmann pomyślał mimo woli: Faszystowscy lekarze też przecież składali tę przysięgę. Jakże więc mogli tak strasznie skrzywdzić Hannah?

- Przysięgam, że nikomu nie podam trujących środków, nawet na czyjąś prośbę, ani nie będę ich nikomu proponował.

Seth Lazarus poruszył ustami, ale nie wypowiedział tych słów. Było to coś, czego nie mógł nikomu zaprzysiąc.

- Przysięgam, że nie podam kobiecie żadnego środka wywołującego poronienie.

Laura wróciła mimowolnie myślami do owego dnia, dawno temu, kiedy to razem z Barniem gorączkowo poszukiwali doktora, który nie honorował tego punktu przysięgi.

- Przysięgam, że będę czysty moralnie i skrupulatny w życiu i mojej praktyce.

Spocony Hank Dwyer zaczął się jeszcze bardziej pocić. Czyżby to były śluby podobne do ślubów kościelnych, których nie byłem w stanie złożyć? Czy nawet tutaj wystawia się mnie na próbę poprzez cielesne pokusy?

- Przysięgam, że nie użyję noża, nawet dla usunięcia kamieni wewnątrz ciała...

Większość przyszłych chirurgów zastanawiała się nad tym nakazem. Wiedzieli jednak, że przez wiele wieków krojenie ludzkiego ciała uznawane było za pośledniejsze zajęcie, wykonywane często przez golibrodów. Najwidoczniej nie widziano wówczas większej różnicy pomiędzy ścinaniem włosów a amputowaniem nogi.

Być może powody tego zakazu były religijne - ciało człowieka uważane było za świątynię. Nie wolno było przekraczać jej progów ani gwałcić jej praw.

- Przysięgam, że nie nadużyję swej władzy dla zaspokajania swoich seksualnych zachcianek.

Siedzący na podium pośród swoich wybitnych kolegów chirurg, który przystawiał się niegdyś do Greta Andersen, usiłował nie słyszeć tego surowego nakazu przysięgi, którą złożył wiele lat temu.

Na koniec: - Przysięgam, że nigdy nie zdradzę tajemnic moich pacjentów i będę je uważał za święte.

Następnie dziekan Holmes ogłosił: - Jesteście teraz lekarzami. Idźcie i przynóście chlubę swemu zawodowi.

Z niczym na świecie nie da się tego uczucia porównać. Można by się może sprzeczać, że przypomina to śluby małżeńskie albo zakonne, jednakże w pierwszym przypadku istnieje instytucja rozwodu, a w drugim - możliwość wystąpienia z zakonu.

Przysięgi Hipokratesa nigdy jednak nie można się wyprzeć.

Tego popołudnia zobowiązali się nieodwołalnie służyć ludzkości, nieść ulgę i pomoc cierpiącym.

Ponadto śluby, które właśnie złożyli, w przeciwieństwie do tych małżeńskich i religijnych, nie były składane przed Bogiem, ale przed Człowiekiem. To, czy sprzeciwianie się Bogu grozi potępieniem, okaże się dopiero na tamtym świecie. Za wszelkie grzechy przeciw Ludzkości trzeba jednak zapłacić już tutaj.

I tak oto rozpoczęli swą walkę z chorobą i śmiercią. A czasem nawet staczali ją i między sobą.

Część trzecia

DOKTORZY

“Grzeszący przeciw Stwórcy swemu
niech wpadnie w ręce lekarza!”

Biblia Tysiąclecia, Księga Mądrości 38,15

Rozdział XXVI

W 1962 roku postęp w medycynie zdawał się dotrzymywać kroku rozwojowi motoryzacji. Zastosowanie nowego urządzenia elektrowstrząsowego potrafiło przywrócić do życia najwyraźniej martwego już pacjenta - podobnie jak prądnicą ożywia wyladowaną baterię samochodu.

Kiedy wysiadało serce człowieka, lekarze mogli już zastąpić uszkodzone zastawki sztucznymi, wykonanymi z takich substancji jak plastik, dakron czy podobne tworzywa.

Jedyną różnicą było to, że samochodowe części zamienne posiadały określoną gwarancję, której nie potrafiły zapewnić naprawy medyczne.

Czyż można było zatem oskarżać lekarzy o to, że naśladowali pracę samego Boga albo że wręcz rościli sobie pretensje do Jego wszechmocy? A jeśli tak, to czyż podobnie jak Prometeuszowi nie groziła im za to niechybna kara?

Kiedy okazało się, że przepisywany kobietom ciężarnym - rzekomo "nieszkodliwy" - środek uspokajający o nazwie talidomid powodował wrodzone wady płodów, natychmiast uznano to za dowód Bożego gniewu.

A potem przyszła kolej na kwestię moralną. Jeśli kobiety za poradą lekarską nieświadomie spożywały tę truciznę, to czyż nie miały wobec tego prawa do przerwania ciąży? Czy też może etyka medyczna nakazywała im ryzykować rodzenie zdeformowanych dzieci, które będą potem prowadzić bolesny i kaleki żywot?

Nagroda Nobla dla Jamesa Watsona i Francis Cricka za odkrycie DNA - substancji życia - otworzyła nowy kierunek medycyny. Pomimo swojej zastraszająco skomplikowanej nazwy kwas dezoksyrybonukleinowy miał zaskakująco prostą strukturę. Ukształtowany na wzór podwójnej spirali i składający się między innymi z tiaminy i cukru, mógłby umożliwić kiedyś naukowcom wypiekanie prawdziwych ludzi "z piernika". Innymi słowy, umożliwiało to stworzenie w przyszłości człowieka w laboratorium.

Czyż nie było to wystarczającą prowokacją wobec Szefa Rządu Niebiańskiego?

I kiedy ukazał się już na horyzoncie ten nowy, wspaniały świat, ludzkość zaczęła nagle coraz częściej sięgać po jeden z najpopularniejszych środków wszech czasów. Był to ów niezastąpiony wybawca dusz, kojący ludzką psychę, nieodzowny paliaty w Wieku Niepokoju, cud medycyny - valium.

Orkiestra zaintonowała: *Oto nadchodzi panna młoda*. Laura ujęła Barniego pod ramię i wszyscy goście zwrócili uwagę na ich urodę oraz postawność jej towarzysza.

Minęły trzy dni od zakończenia studiów. Na czystym, niebieskim niebie jarzyło się słońce. Radość tej uroczystości mąciły jednak pewne cienie. Wszyscy troskliwi krewni i przyjaciele zdawali sobie aż nazbyt boleśnie sprawę z tego, kogo wśród nich brakowało. Obowiązek odprowadzenia panny młodej do ołtarza przypadł bowiem automatycznie Barniemu.

Przechodząc wolno pomiędzy rzędem ustawionych w ogrodzie Talbotów wynajętych krzeseł, Barney zastanawiał się, jak w tym momencie czuła się Laura. Wydawało mu się jednak, że była spokojna. Szła w milczeniu, z godnością i była najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek w życiu widział.

Tylko czy była szczęśliwa?

Po odegraniu pierwszych taktów Marsza weselnego dotarli do celu. Wielebny Lloyd, miejscowy pastor Talbotów, stał obok triumfującego Palmera i jego drużby, Tima, jasnowłosego szaleńca na punkcie polo - jak go określał Barney (jakżeż niezręcznie wyglądał tu teraz bez swego konia).

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, pastor rozpoczął przemówienie.

- Moi kochani! Zebraliśmy się tutaj w obliczu Boga, aby na oczach was wszystkich połączyć tego oto mężczyznę i tę oto kobietę świętym węzłem małżeńskim.

Podkreśliwszy świętość owej uroczystości, zapytał, czy ktoś z zebranych zna powód, dla którego Laura i Palmer nie powinni • zostać małżeństwem. Barney, wierząc, że zna takie powody, postanowił mimo wszystko na zawsze zachować milczenie. Zapytany, kto wydaje tę kobietę za mąż, wskazał na siebie.

I tym samym oddał Laurę pod opiekę Palmera, który przyrzekł być wierny swojej żonie. Ona zaś przyrzekła "kochać go, szanować i być mu posłuszną" aż do śmierci. Drużba podał obrączkę, którą Palmer nałożył Laurze na palec i po kilku zgrabnych frazesach wypowiedzianych przez pastora Lloyda państwo młodzi pocałowali się po raz pierwszy jako mąż i żona.

Dźwięki nieśmiertelnego *Marsza Mendelssohna* oznajmiły zebrany, że nadszedł czas na wyzerkę i picie.

Niepewny swej obecnej roli, Barney stał w miejscu i patrzył, jak państwo młodzi znikają w składającym im życzenia tłumie.

- Piękna para, nieprawdaż? - zapytał pastor Lloyd.

- Owszem - odpowiedział Barney z dziwną melancholią. - Mój brat, Warren, robi im zdjęcia.

- Czy jest pan żonaty? - zapytał pastor.

- Nie, proszę pana.

- A zatem, panie doktorze - zakończył pastor życzliwie - przy odrobinie szczęścia, może pan będzie następny?

Mniej więcej w tym właśnie okresie Bennett Landsmann zaczął przechodzić drugi kryzys tożsamości.

Chociaż nie były mu obce rasowe uprzedzenia, począwszy od całkowitej segregacji czarnych w Millersburgu po mniej otwarty (a zatem bardziej zdradliwy) społeczny ostracyzm w Cleveland, to jednak zawsze był w stanie sprostać kolejnym ciosom. Teraz naiwnie wydawało mu się, iż jego nowy status lekarza z dyplomem harwardzkim sprawi, że ludzie będą patrzeć na niego z szacunkiem, a nie z pogardą.

Mylił się jednak. Szybko zorientował się, że jego współobywatele nadal widzieli tylko jego czarną skórę pod białym fartuchem.

Kiedy w czasie swego chirurgicznego stażu mieszkał w New Haven, mając nadzieję na pełne zatrudnienie w tamtejszej prestiżowej klinice, otworzyły mu się ze zdziwienia oczy.

Szpital ten położony był w samym centrum murzyńskiego getta. Mimo że Bennett mieszkał w nowoczesnym, klimatyzowanym bloku mieszkalnym stojącym w pobliżu starego miasteczka akademickiego, gdzie parkował swojego nowego jaguara z tabliczką MD*, którego podarował mu Herschel, to jednak nieustannie spotykał się z gniewnymi reakcjami ze strony ludności murzyńskiej w New Haven.

Nieomal całkowicie śnieżnobiali studenci uniwersytetu stanowili klasę bogatych i uprzywilejowanych. Czarni natomiast byli warstwą, którą upadlano, zaniedbywano i skazano na wieczną nędzę. Droga wybudowana przy trasie nr 95, wiodąca pomiędzy uczelnią a gettem, miała być makiawelicznym chwytem ze strony władz uczelnianych Yale i służyć za rodzaj fosy, powstrzymującej motłoch od wtargnięcia w ciszę patrycjuszowskiej cytadeli.

Sam szpital nie stosował segregacji. Biali i czarni, odziani w medyczne szaty, widywani byli tam w równych proporcjach. Jedyna różnica polegała na tym, że chirurdzy, którzy przeprowadzali operacje, byli biali, a zespół ścierający potem po

nich krew z podłogi składał się głównie z potomków wyzwolonych przez Lincolna niewolników.

Bennett robił, co mógł, aby zachować równowagę i poczucie humoru. Czuł się jednak zagubiony, usidlony w tej bezpańskiej krainie pomiędzy dwiema odrębnymi i zdecydowanie różniącymi się społecznościami. W żadnej z nich nie czuł się swobodnie. Nie było dnia, żeby coś nie przypominało mu w jakiś niepokojący sposób o jego "inności".

Pewnego dnia, kiedy dyżurował w izbie przyjęć, musiał zająć się murzyńską rodziną, która doznała drobnych obrażeń w wypadku samochodowym. Żona wyszła z niego stosunkowo najmniej poturbowana i była zaledwie w stanie szoku. Bennettowi wydawało się, że zastrzyk demeralu był w tym wypadku najbardziej stosowny, toteż postanowił wybrać się po niego ze swoją własną receptą do szpitalnej apteki.

Aptekarz popatrzył na receptę, a potem spojrział na niego.

- Doktor Landsmann, co? - zapytał. - On musi być tu nowy.

- Nie rozumiem - odpowiedział Bennett grzecznie.

- Znasz chyba przepisy, chłopcze. Nie wolno wydawać nam tego rodzaju rzeczy sanitariuszom - tylko lekarzowi albo pielęgniarce. Powiedz więc temu leniuchowi, żeby sobie po to sam przyszedł.

- Ależ to ja jestem doktorem Landsmannem - odpowiedział Bennett, mając nadzieję, że jego głos brzmiał spokojnie i pewnie. Był zbyt skrupowany i zbyt urażony, aby okazać po sobie zniecierpliwienie.

Ich spojrzenia się spotkały.

- O, do licha! Przepraszam, doktorze! - odpowiedział aptekarz z przesadną uległością. - Nie wiedziałem... to znaczy większość personelu...

- Rozumiem - odpowiedział Bennett cicho. - Niech mi pan poda lekarstwo. Mam pacjentkę, która potrzebuje pomocy.

. - Ależ oczywiście, oczywiście - aptekarz odwrócił się i niezwykle prędko przyniósł mu demeral.

Terytorialna wojna pomiędzy włoskimi a czarnymi gangami przyniosła w następną sobotę prawie tuzin ofiar. Jedną z nich był czarny młodzieniec z raną postrzałową na piersiach.

Bennetta zobligowano do zajęcia się ofiarą postrzału. Z pomocą pielęgniarki zawiózł więc prędko pacjenta do pierwszej z brzegu sali operacyjnej. Pielęgniarka

* MD, Medicinae Doctor- lekarz medycyny.

spiesznie przygotowywała strzykawkę, a Bennett przyglądał się tymczasem postrzałowi. Kiedy pochylił się nad pacjentem, aby przeciąć mu koszulę, ranny wykrztusił z wysiłkiem: - A gówno! Nie dotykaj mnie! Wezwij mi tu doktora.

- Ależ ja jestem doktorem - odpowiedział Bennett na tyle uspokajającym tonem, na ile go było stać.

- Nie kpij sobie ze mnie. Nie ma tu czarnych doktorów. Wezwijcie mi tu szefa.

Bennett miał już zaprotestować i powiedzieć mu, że ukończył studia z wyróżnieniem, kiedy drugi stażysta, Herb Glass, wszedł na salę, aby poprosić go o radę w opatrywaniu wielokrotnych ran ciętych. Bennett odwrócił się, żeby przyciszonym głosem porozmawiać z kolegą, a jego pacjent wrzasnął nagle: - No właśnie, ja chcę tego faceta. Uff, piersi pękają mi z bólu. Powiedz temu doktorowi, że potrzebuję pomocy.

Bennett prędko wyjaśnił sytuację.

- Opierdol go! - szepnął Herb z oburzeniem. - Powinien być wdzięczny za to, że dostał mu się doktor z rękoma takimi jak twoje.

Godność własna Bennetta została jednak tak już zraniona, że namówił kolegę na zamianę pacjentów.

Bez słowa wyszedł z sali i przeszedł na drugą stronę korytarza, żeby zająć się zszywaniem ran drugiego pacjenta, mając nadzieję, że ten okaże się bardziej tolerancyjny, albo jeszcze lepiej - nieprzytomny, a zatem nieświadomy tego, kto go leczy.

- Na litość boską, czy ty nic nie rozumiesz?

Doktor Henry Dwyer (Hank, po uzyskaniu nowego statusu, nalegał teraz, żeby tak się do niego zwracano) usiłował przekonać o czymś Cheryl, która karmiła piersią ich czwarte dziecko, Rosę Marie. Wrócił właśnie o świcie do domu, po trzydziestosześciodzinnej, wyczerpującej zmianie w bostońskim szpitalu.

- Hank, czy mógłbyś przestać krzyczeć? Obudzisz dzieci.

- No i co z tego? One mi nigdy nie dają spać, chociaż wypruwam sobie flaki, żeby je wykarmić.

- Hank, przecież dzieci są jeszcze małe. Jak mam im wyjaśnić, na czym polega praca stażysty?

- A to już twój problem, Cheryl. To ty jesteś matką. U nas w domu tato zawsze był traktowany jak król.

- Och, bardzo przepraszam Waszą Wysokość. Czy mam przez to rozumieć, że urodziłeś się z umiejętnością siadania na nocniku?

- To nie ma nic do rzeczy. Nie wykręcaj się.

- Kochanie, tu nie ma się od czego wykręcać. Kościół katolicki wyraźnie zabrania używania środków antykoncepcyjnych. A może ty już całkiem straciłeś swoją wiarę?

- Słuchaj, przestań mi wypominać moją rezygnację z kapłaństwa. Nie mam już w związku z tym żadnych wyrzutów sumienia. A poza tym, jeśli już musisz wymachiwać mi tu Biblią przed nosem, to pozwól, że ci zacytuję świętego Pawła z Pierwszego Listu do Koryntian: "Lepiej się ożenić, aniżeli płonąć".

- O co ci właściwie chodzi, Hank? - Odwróciła się z takim rozdrażnieniem, że wyciągnęła sutkę z ust małej Rosę Marie.

Cierpliwość Hanka była już na wyczerpaniu. Jak to możliwe, żeby tak podniecająca, czy też niegdyś tak zmysłowa kobieta jak Cheryl, nie była w stanie zrozumieć, że mężczyźni w sile wieku potrzebowali regularnego współżycia, nawet jeśli pewne pruderyjne, katolickie dziewczyny uważały, że to trochę brudne?

Przykucnął przy niej, odczuwając przy tym ból w mięśniach udowych od biegania tam i z powrotem po szpitalnych schodach. - Złotko, ja płonę z pożądania do ciebie. Oddaję temu cholernemu szpitalowi całe serce i duszę, ale jedną małą, lecz specjalną część mego ciała zachowuję wyłącznie dla ciebie. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Mała Rosę Marie rozplakała się. Hank skrzywił się, jakby uznał to za dezaprobatę z jej strony. Cheryl przysunęła główkę dziecka z powrotem do piersi.

- Hank, rozumiem, że masz swoje potrzeby, ale jesteś przecież lekarzem. Wiesz chyba, że kobiety bezpośrednio po porodzie...

- Odbieram dzieci dniami i nocami, nie musisz mi więc tłumaczyć, co to jest poporodowa depresja. To tylko pretekst z twojej strony, żeby mnie od siebie odsunąć.

- Przestań! To niesprawiedliwe. Wcale ci nie mówiłam, że cierpię na depresję. Jestem tylko zmęczona. Niedługo wróci mi na to dawna ochota.

- O tak, z pewnością. A potem prędko zajdziesz w kolejną ciążę.

- Nie. Przecież karmię piersią.

- To stara bajka, że karmiące kobiety nie zachodzą w ciążę. Chciałem ci jednak powiedzieć, że czworo dzieci to aż nadto jak na młodego, dorabiającego się doktora.

- Ależ, Hank, nasze dorabianie się jest już przecież prawie za nami. Po zakończeniu przez ciebie stażu nie powinniśmy mieć żadnych problemów. A poza tym wiesz, że moi rodzice zawsze gotowi są nam pomóc.

- Mam swoją dumę - odpowiedział urażonym tonem. - Nie przyjmuję darowizn od moich teściów. Żądam tylko szacunku. Każdy mąż potrzebuje, żeby go szanowano.

- Ależ, kochanie, przecież ja ciebie szanuję. Wiesz dobrze, że cię ubóstwiam.

- Dlaczego zatem nie uszanujesz moich potrzeb?

Cheryl rozpląkała się. Łzy spływały jej po policzkach i kapały na piersi, mocząc czółko niemowlęcia.

- Hank, zrobię, co będę mogła. Dzisiaj wieczorem, kiedy już wszyscy zasną...

- Nikła szansa - zadrwił szyderczo. - Ktoś zawsze będzie domagał się twojej uwagi...

Rozpaczliwie usiłowała go udobruchać: - Obiecuję ci, że będziemy stosowali... pewną kontrolę... - Nie była w stanie zmusić się do wymówienia słowa "antykoncepcja".

Hank uśmiechnął się z triumfem. - To dobrze. Czytałem w literaturze medycznej, że udoskonalono pigułki...

- Nie powiedziałam, że będę zażywać pigułki - przerwała mu nieśmiało. - Rodziny katolickie mogą stosować wyłącznie metodę kalendarzyka.

- Metodę kalendarzyka? - wybuchnął. - Czy śmiesz mi zaprzeczyć, że to, co teraz ssie twoje piersi, nie zostało spłodzone właśnie w ten sposób? A poza tym, to tylko nędzna wymówka, żeby ograniczyć sprawy do jednego czy dwóch razy na miesiąc.

Nagle umilkł. Zorientował się, że posunął się za daleko. Cheryl zanosila się teraz od szlochu, pochylając się nad Rosę Marie, jakby pragnąc osłonić ją od gniewu ojca.

Ukląkł przy niej i wymamrotał: - Przepraszam cię, kochanie. Spróbuj jednak pracować bez przerwy przez dwa dni i dwie noce, to może wtedy zrozumiesz, w jakim jestem napięciu. Naprawdę, bardzo mi przykro.

- Och, Hank! Tak cię kocham! Proszę, nie kłóćmy się już więcej.

Ojciec, matka i dziecko trwali w uścisku, kołysząc się razem przez kilka minut.

Cheryl uspokoiła się. - Chcesz śniadanie, kochanie? Jak tylko Rosę Marie zaśnie, zrobię ci francuskie grzanki.

- Nie trzeba. Zjadłem jakieś świństwo w szpitalu. Stażyści zjedzą wszystko, jak kozły. - Wstał i skierował się do sypialni. Przyszło mu nagle na myśl, że stażystów i kozłów łączy jeszcze jedna wspólna cecha - jedni i drudzy są wiecznie niewyżyci.

W sobotnią noc izba przyjęć w Szpitalu Bellevue przypominała oddział w MASH*. Barniemu, który siedział tam przeszło trzydzieści sześć godzin, zdawało się, że na ulicach Manhattanu rozgrywała się właśnie kolejna wojna światowa.

Wbrew pozorom rany postrzałowe i cięte opatrywało się stosunkowo najprościej. Pod koniec pierwszych paru tygodni miał wrażenie, że pozszywał takie ilości poszarpanej ludzkiej tkanki, że mimowolnie pomyślał o stwierdzeniu Luisa Castellano na temat jego udziału w hiszpańskiej wojnie domowej: "Byłem tam wówczas bardziej szwaczką niż doktorem".

Z czasem Barney nauczył się zszywać skórę w stanie półśpiączki, co pozwalało mu odpocząć trochę umysłowo w trakcie reperowania poturbowanych w miejskich zamieszkach ofiar.

Właściwie nigdy nie było okazji, żeby się zdrzemnąć choćby na moment, gdyż, przynajmniej z punktu widzenia Barniego, Nowy Jork faktycznie funkcjonował zgodnie ze swoją reputacją jako "miasto, które nigdy nie śpi". Próbował więc pocieszać się tym, że przecież uprzedzano go kiedyś o rygorach stażu.

No, ale właściwie dlaczego - pytał samego siebie - musimy, podobnie jak tysiące innych młodych lekarzy przed nami, pracować na tak nieludzko długich zmianach?

Z całą pewnością żadnemu z pilotów nie pozwolono by latać nawet w połowie tak długo. Dlaczego zatem poddawano stażystów takiej strasznej katordze?

Jak na ironię doktorzy, czyli ci, którzy znali się na fizjologii najlepiej, zdawali się ignorować fakt, że ludzie zmęczeni nie są w stanie funkcjonować normalnie. A także kompletnie nie zwracali uwagi na to, że stażyści pracują aż do zupełnego wyczerpania.

Barney zebrał się na odwagę, aby zapytać starszego rangą lekarza o sens pozwalania młodym medykom na znęcanie się nad własnymi ciałami w sposób, który u swoich pacjentów uznaliby za patologiczny.

Wybitny przedstawiciel starszyzny oświadczył mu tylko:

* MASH, Mobile Army Surgical Hospital - Wojskowy Szpital Polowy. Jest to również tytuł popularnego serialu z czasów wojny koreańskiej.

- Myśmy też przez to przeszli i jakoś przeżyliśmy.

- Ależ, proszę pana - argumentował dalej poważnie Barney. - To przecież nie tylko o to chodzi. Nawet jeśli pominiemy kwestię naszego własnego zdrowia, to co z tymi nieszczęsnymi pacjentami, których leczą lekarze ledwo trzymający się na nogach? To chyba nie jest w najlepszym interesie chorych, aby zajmowali się nimi wiecznie niedospani konsyliarze. Ludzie zmęczeni popełniają o wiele więcej błędów.

Lekarz popatrzył na Barniego lekceważąco. - Livingston, to część twojej nauki. I jak to się mówi - nie podoba ci się, to możesz się stąd wynosić. Nikt cię tu nie trzyma.

Barney służył więc dalej, choć czuł, jak krew zamienia mu się w kawę, a mózg mięknie niczym kromka białego chleba z kawałkiem sera na wierzchu. Pociuszające było tylko to, że był zbyt wyczerpany, ażeby martwić się tym, że tak niewiele umiał, i aby zdawać sobie sprawę z tego, że w razie utraty swego wiernego *Podręcznika Mercka* nie miałby nawet pojęcia, z czym się spotykał lub jak się ma do tego wszystkiego zabrać.

Pewnej względnie spokojnej nocy jakiś mężczyzna powiedział pielęgniарce w rejestracji, że "umiera na raka". Kiedy poproszono go jednak o szczegóły, stwierdził, że może o nich opowiedzieć wyłącznie lekarzowi.

Pielęgniarka skierowała go zatem do Barniego.

Barney poprosił owego człowieka do jednego z gabinetów, kazał mu usiąść, po czym przyniósł dla nich obydwu kawę. Następnie usiadł za biurkiem i poprosił go o zwyczajne informacje: nazwisko, zawód i, co najważniejsze z punktu widzenia szpitala, o jego ubezpieczenie.

Okazało się, że pacjentem był niejaki Milton Adler, księgowy w wieku trzydziestu pięciu lat i posiadacz ubezpieczenia Niebieskiego Krzyża i Niebieskiej Tarczy.

- To świetnie - odpowiedział Barney, odkładając pióro i usiłując nie zadusić się kłębamii dymu z mocnego papierosa, którym zaciągał się jego pacjent. - Czy z cukrem pan pija?

Mężczyzna podniecił się. - O Jezuu, jaki z pana lekarz? Ja tu umieram u pana w gabinecie, a pan mnie wypytuje, czy słodzę kawę? Czy dali mi tu jakiegoś studenta? Czy mógłbym zobaczyć się z pańskim zwierzchnikiem?

- Panie Adler - odpowiedział Barney stanowczo - jestem wykwalifikowanym lekarzem. Wiem wszystko na temat nowotworów oraz wszelkich możliwych

onkologicznych patologii. Szczerze mówiąc, na podstawie własnych doświadczeń sądzę, że zdąży pan jeszcze porozmawiać tu ze mną przez jakieś piętnaście minut.

- Czy to wszystko, co mi pozostało? - zapytał zaniepokojony pacjent. - Czy to znaczy, że nie pozostała mi nawet godzina życia?

- Tego nie powiedziałem, panie Adler - odpowiedział Barney spokojnie. - Obaj możemy tu jednak umrzeć ze starości, jeśli nie poda mi pan dalszych szczegółów.

Coś w zachowaniu Barniego (może łatwość, z jaką wypowiedział słowo "nowotwory") przekonało w końcu Adlera o kompetencjach młodego lekarza. - No dobrze, niech pan pyta.

- A zatem, w którym miejscu ma pan tego raka, panie Adler?

Mężczyzna zamyślił się i po chwili odpowiedział: - Nie wiem. Nie jestem pewien. Do diabła, to pan przecież jest doktorem, więc to pan powinien go znaleźć!

Barney zaczął pojmować, o co chodzi.

- Panie Adler, wszystkie nowotwory, poza rakiem skóry, są niewidoczne dla gołego oka.

- No to, na litość boską, niech mnie pan weźmie na prześwietlenie! Na co właściwie pan czeka?

Barney wziął czystą kartkę i usiłował udawać troskliwość. - Sądzę, że to dobry pomysł, panie Adler. Najpierw jednak będę im musiał wyjaśnić, którą część pańskiego ciała mają fotografować. Czy coś konkretnie pana boli?

- Serce, doktorze. Wydaje mi się, że mam raka serca. Czy to nieuleczalne?

- Nie mogę panu na to odpowiedzieć. Musi mi pan udzielić więcej informacji - odpowiedział Barney. - Jeśli mi pan powie, jakie ma pan objawy oraz od kiedy zaczął je pan odczuwać...

- Powiedziałbym, że zaczęło się to w ubiegłą niedzielę. - Nagle spostrzegł, że pióro Barniego nie poruszało się. - Dlaczego pan tego nie zapisuje?

- Niech się pan nie martwi, panie Milton. Proszę, niech pan mówi dalej.

- To wszystko. Już panu powiedziałem. Bóle zaczęły się w niedzielę.

- Czy coś jeszcze wydarzyło się w trakcie tego weekendu? A może coś się wówczas stało?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. Czy rak to za mało? - Znowu zaczął być podejrzliwy. - Czy ty aby nie jesteś studentem?

Barney zignorował pytanie i zadał mu swoje własne: - Jest pan żonaty, prawda?

W tym momencie Adler wpadł w szal. - Pytał mnie pan już o to przy wypełnianiu tych cholernych formularzy. Niech mi pan tu wezwie swojego zwierzchnika, bo w przeciwnym wypadku zavezwę tu mego prawnika!

Przez kilka sekund żaden z nich się nie poruszył. Sekundy te przedłużyły się do paru minut. Pacjent i lekarz siedzieli w małym gabinecie, patrząc na siebie w milczeniu. Wreszcie Barney zapytał cicho: - Dlaczego pomyślał pan o zavezwaniu prawnika, panie Milton?

- O co panu chodzi? - odpowiedział gniewnie pacjent.

- Powiedział pan, że chce się pan zobaczyć z innym lekarzem. Dlaczego miałby pan potrzebować do tego prawnika?

Adler, nie wiedząc, jak mu na to odpowiedzieć, skoczył na równe nogi, protestując.

- Niech pan siada! - rozkazał cicho, lecz stanowczo Barney. Mężczyzna wykonał polecenie niczym posłuszne dziecko. Barney oparł łokcie na biurku.

- Panie Adler, czy ma pan może jakieś kłopoty?

- Ależ skąd! Nie mam absolutnie żadnych.

- Nie ma pan żadnych problemów finansowych?

- Nie! - pomachał lekceważąco ręką. - Niech mi pan wreszcie przestanie zadawać te głupie pytania!

Wreszcie Barney zapytał: - A co z pańskim małżeństwem?

- Jakim małżeństwem? - wybuchnął mężczyzna. - Gdyby moje małżeństwo jeszcze istniało, to nie potrzebowałbym prawnika! Ona zatrudniła największą barakudę w Nowym Jorku. A mój facet jest takim słabeuszem, że pewno utracę przy nim nawet prawo do odwiedzania dzieci. O Chryste! Wolałbym już nie żyć!

Ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. Po chwili Barney zapytał cicho: - Czy to znaczy, że chciałby pan umrzeć, panie Adler?

- Tak! Tak! - Adler pokiwał głową, nadal zakrywając rękami twarz. - Kocham ją i kocham moje dzieci. Niczego oprócz nich nie mam, poza tym cholernym pustym mieszkaniem. Nie ma pan nawet pojęcia, jak ja się potwornie czuję.

- Sądzę, że mogę to sobie wyobrazić - stwierdził Barney współczująco. - Powiedziałbym, że czuje się pan właśnie jak ktoś, kto cierpi na raka serca.

Była to pierwsza właściwa diagnoza psychiatryczna Barniego i zarazem jego pierwsza prawdziwa klęska. Wypisał lekarstwo na poprawę nastroju pacjenta, czuł

jednak, że Adler był zbyt bliski kompletnego załamania nerwowego, aby można mu było pozwolić na powrót do domu. Zadzwoił więc na oddział psychiatryczny i wyjaśnił sytuację.

Tamtejszy lekarz, zmęczony facet o nazwisku Barton, wysłuchał go ze zniecierpliwieniem. - Słuchaj, chłopcze, gdybyśmy mieli zostawiać na obserwacji każdego pacjenta, który przychodzi tu w stanie depresji, to na zakwaterowanie nie wystarczyłby nam cały Central Park. A poza tym, nie mamy już tutaj miejsca. Daj mu pan librium i wyślij go pan do domu.

- Ależ, doktorze Barton - zaprotestował Barney. - Obawiam się, że ten człowiek może próbować popełnić samobójstwo.

- A, to niech pan tu wtedy zadzwoni - odpowiedział mu głos w słuchawce.

Barney powrócił do swojego gabinetu i podał Adlerowi dwie tabletki, jedną zieloną, a drugą czarną, oraz wodę do popicia w papierowym kubeczku.

- Niech pan zażyje jedną z nich teraz, a drugą jutro rano po śniadaniu. Powinno to panu pomóc się uspokoić i pozwolić trochę się przespać. Chciałbym jednak zobaczyć tu pana jutro rano, dobrze?

Pacjent skinął posłusznie głową i połknął tabletkę. Barney odprowadził go do wyjścia i skinął na taksówkę.

Adler faktycznie pojawił się nazajutrz, ale na pierwszej stronie gazety. Wyskoczył z czternastego piętra "ze swego luksusowego mieszkania we wschodniej części Manhattanu". Zrozpaczona żona, która wyjechała z dziećmi na weekend na wieś, szlochając, przyznała reporterowi: - Powinam się była tego domyślić. Biedny Milton miał taką straszną depresję. Powinam się domyślić, że może sobie coś zrobić!

Doktor Ivan Barton drzemał przy biurku w pokoju pielęgniarek, oparłszy na rękach brodaty podbródek, kiedy obudził go nagle huk przypominający walenie ciężkiego pneumatycznego młota zaledwie o parę centymetrów od jego uszu. Wzdrygnął się i spojrzał na stojącą przed nim nieznaną postać w poplamionym białym fartuchu.

- Doktor Barton? - warknął niechlujnie odziany doktor.

Po trzydziestosześciodzinnym dyżurze psychiatra był trochę zdezorientowany. Odpowiedział zatem na wpół przytomnie:

- W czym mógłbym panu pomóc?

Barney podsunął mu pod nos egzemplarz "Daily Mirror". - Niech pan popatrzy!
- rzucił z wściekłością. - To właśnie tego faceta nie chciał pan zatrzymać wczoraj w nocy, bo nie chciało się panu potraktować mnie poważnie.

- Hej, hej! Uspokój się kolego! - odpowiedział nieco starszy doktor, odzyskując natychmiast przytomność umysłu i swoją kliniczną technikę. - Od razu widać, że jesteś tu nowy.

- No i co z tego? Może gdybyś zadał sobie wczoraj trochę trudu i porozmawiał z Adlerem, zobaczyłbyś to, co ja. Ten człowiek był zupełnie zdesperowany.

- Daj spokój! Sam nie byłeś tego taki pewny. W przeciwnym razie należałoby o wiele bardziej zdecydowanie. Nieprawdaż?

- Nie! - wrzasnął Barney i natychmiast pomyślał sobie: To prawdopodobnie moja wina. To ja jestem odpowiedzialny za śmierć tego nieszczęśnika!

- Czy chcesz porozmawiać ze mną na ten temat? - zapytał troskliwie Barton. Barney pokręcił przecząco głową i usiadł. - Przepraszam za ten niepoohamowany wybuch. Ale po raz pierwszy...

- Straciłeś pacjenta? - dokończył za niego Barton.

Barney pokiwał głową. - To straszne. Powinienem być na to przygotowany. Może uratowaliśmy wówczas temu biedakowi życie.

Podniósł wzrok na Bartona i zapytał: - A czy ty straciłeś kiedyś pacjenta?

- Owszem - przyznał Barton. - I na pocieszenie powiem ci, że za każdym razem przeżywa się to coraz gorzej.

- To znaczy, że straciłeś ich już kilku? - zapytał zaskoczony Barney.

- Posłuchaj. To statystyczny fakt, że studenci medycyny "zabijają" przeciętnie trzech pacjentów przed ukończeniem studiów. A potem nikt już nawet nie liczy.

Barney pokręcił ze smutkiem głową.

- Nie sądzę jednak, że bym był w stanie jeszcze kiedyś przez to przejść.

- To nie decyduj się na psychiatrię - poradził mu szczerze Barton. - Pomyśl o czymś bezpieczniejszym, może dermatologia? - Przerwał na chwilę. - Tak jak chirurg ortopeda potrzebuje siły fizycznej, tak psychiatrze potrzebna jest ogromna wewnętrzna odporność. Niestety, na całym świecie roi się od nieszczęśliwych ludzi - z psychiatrami włącznie. Czy wiesz, na przykład, jaka jest przeciętna liczba samobójstw pośród nas?

- Słyszałem, że bardzo wysoka - mruknął Barney.

- Dziewięciokrotnie większa niż reszty społeczeństwa. Wybrałeś bardzo niebezpieczną specjalizację, przyjacielu.

Barney zdawał sobie sprawę z tego, że lekarze nie byli w stanie watować każdego pacjenta. Był to fakt, z którym mógł się jakoś pogodzić. Czyż jedna z ofiar napadu rabunkowego, którą się zajmował, nie zmarła właśnie przed chwilą na stole, kiedy robiono jej dożylną transfuzję?

Nagle zorientował się, na czym polegała różnica. Cięcie noża jest szybkie i natychmiastowe. Krew prędko wypływa z ciała. Psychiatra ma do czynienia z podobnym zjawiskiem, ale w zwolnionym tempie. Jego zadanie polega nie tyle na zaszywaniu ran, co na próbie powstrzymania ciosu.

- Hej, kiedy kończysz dyżur? - zapytał psychiatra.

- Pół godziny temu - odpowiedział Barney.

- Ja też już zaraz wychodzę. Jak tylko przyjdzie tu Sarah Field. Masz ochotę na śniadanie?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Barney nadal pod wpływem szoku. - Marzę tylko o tym, żeby się dobrze wyspać, żeby wleźć do łóżka i wymazać to wszystko z pamięci.

Odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

- Nie licz na to! - zawołał za nim Barton. - Większość stażystów nie potrafi odróżnić bólu na jawie od tego we śnie. To wszystko jeden wielki koszmar.

- Dziękuję - odpowiedział Barney. - Naprawdę bardzo mi pomogłeś.

Rozdział XXVII

Seth Lazarus był niewątpliwie prymusem wśród świeżo upieczonych lekarzy.

Nawet Peter Wyman musiał mu to przyznać, choć gdyby nie to, że Harvard wystąpił do niego z propozycją pierwokupu, przypuszczalnie sam przywłaszczyłby sobie ten nieoficjalny tytuł. Profesorowi Pfeiferowi zależało jednak na jego osobie, gdyż Peter stał się nieodzowny dla jego własnych badań. Zdaniem Petera, Mikę (teraz oczywiście mówili sobie po imieniu) chciał się najzwyczajniej “przejechać na ogonie komety”. W związku z tym Peter złożył podania o angaż jedynie w szpitalach położonych w bezpośrednim sąsiedztwie biochemicznego laboratorium. Naturalnie przyjęto go w każdym z nich.

Jego protektor postarał się o to, żeby pensja stażysty została zasilona funduszami z Narodowego Funduszu Zdrowia.

W ten oto sposób wszystko pozostało w jego życiu bez zmian, poza tym, że papier listowy, który kazał sobie wydrukować, miał teraz w nagłówku: Peter Wyman, doktor medycyny.

Seth natomiast ustanowił nie spotykany dotąd rekord w historii Harvardu. Z każdego ze swoich klinicznych przedmiotów uzyskał piątki z plusem. Wszystkie szpitale zabiegały o niego, podobnie jak szkoły wyższe starające się o pozyskanie najlepszych obrońców bocznych. Równocześnie ze względu na jego różnorodne zdolności zaproponowano mu specjalne praktyki w jakiegokolwiek dziedzinie, którą ostatecznie zechciałby wybrać na swoją specjalizację.

- Pomyśl tylko, jak prestiżowa jest chirurgia! - mówiło mu z pół tuzina szefów oferujących te właśnie usługi. - Masz ręce wirtuoza. Potrafisz ciąć równie dobrze jak Jascha Heifetz gra na skrzypcach - z finezją, zręcznością i absolutną precyzją. Będzie z ciebie kiedyś następny Harvey Cushing.

Nie trzeba chyba dodawać, że owo porównanie do legendarnego harwardzkiego chirurga i fizjologa pochlebiało mu bardzo.

Podziękował jednak i odmówił.

Potem przyznał się Judy, że nie chciał poświęcić życia dla ratowania nieprzytomnych i bezwładnych ludzi. Tłumaczył sobie nawet, że może to z tego właśnie powodu w przysiędze Hipokratesa istniało sformułowanie zabraniające “wycinania czegokolwiek, nawet kamieni”.

Nieomal z tych samych powodów nie przyjął propozycji swego starego szefa, Toma Matthews, który pragnął, aby przyjął etat w zespole patologów. Matthews obiecywał mu wszystko, łącznie z tym, że zostanie po nim dyrektorem oddziału. Seth jednak traktował patologię za ledwie jako środek do celu; dla niego był to jedynie sposób na odkrywanie przyczyn śmierci ludzkiego ciała. Pacjenci na tym oddziale trafiali w ręce lekarzy o wiele za późno.

Jeśli więc chirurgia za bardzo przypominała mu pracę hydraulików i stolarzy, to patologia była już dla niego tylko czystą archeologią. Cóż to za pocieszenie dla wdowy, że powiedzą jej, co było przyczyną śmierci jej męża? Pomyśl jednak, jaką ulgę przyniesie jej rozszyfrowanie wszystkich symptomów jego choroby. A wówczas, jeśli ma się na to czas i odpowiednie umiejętności, będzie można uratować mu życie.

Seth wybrał zatem drogę pośrednią - internę, w której właściwe rozpoznanie może zaoszczędzić pacjentowi konieczności poddania się operacji. No i cóż z tego, że chirurdzy kpili sobie z internistów? Mimo licznych pochlebstw ze strony szpitali w San Francisco, Houston i Miami - nie mówiąc już o Bostonie i Nowym Jorku, Seth pragnął powrócić do domu, do Chicago. Czuł się specjalnie związany ze swoim starym szpitalem. Zostawił tam serce. Tam również pracowała jego przyszła żona.

Na nieszczęście zapomniał, że mieszkali tam również i jego rodzice.

Od czasu śmierci Howiego matka jego przeszła jakąś metamorfozę. Mimo że chodziła na cmentarz równie regularnie jak do szpitala, to jednak zaczęła mieć teraz obsesję na punkcie swego drugiego syna.

W swojej naiwności Seth popełnił poważny błąd strategiczny. Oboje z Judy zdecydowali, że najlepiej będzie, jak się pobiorą w czerwcu przyszłego roku, po zakończeniu przez niego stażu. Oboje postanowili też, że nie będą o tym informować rodziców. A zatem, kiedy Seth po ukończeniu studiów powrócił do Chicago, wybrał drogę najmniejszego oporu i zamieszkał ponownie z rodzicami.

Rosie, która uprzednio nawet nie zauważała, kiedy uczył się w szkolnej bibliotece w trakcie obiadów, teraz denerwowała się, jeśli codziennie nie było go na obiedzie przy stole. Chociaż zawsze dzwonił do niej ze szpitala, ażeby poinformować ją o tym, że jest zajęty, Rosie coraz częściej traktowała jego nieobecność jako dowód braku synowskiej lojalności.

Na domiar złego, w miarę nasilania się tej obsesji, Rosie nie kładła się do łóżka do czasu powrotu syna. Niekiedy bywało, że szła spać dopiero po występie Johnny'ego Carsona. Na telewizyjnym ekranie migotały już sceny z jakiegoś przedpotopowego

filmu, a ona nadal ignorowała błagalne prośby męża, który chciał, aby wyłączyła wreszcie telewizor i pozwoliła mu spokojnie spać.

- Ani mi się śni - odpowiadała surowo i siedziała, czuwając do późnej nocy, dopóki nie usłyszała kroków Setha, wspinającego się na górę do swojego pokoju.

Pewnego wieczoru, kiedy w programie nocnym pokazywano jakiś klasyczny film z okresu kina niemego, Rosie zafundowała sobie podkład słowny, nawiązując z mężem następujący dialog:

- Jak sądzisz, co on o tej porze robi? - zapytała. Mąż z początku nic nie odpowiedział, jako że znalazł właśnie sposób na spanie z poduszką na obu uszach. Rosie zmuszona więc była krzyknąć ponownie: - Jak sądzisz, co on teraz robi, Nat?

W tym właśnie momencie Seth wszedł do domu i zaczął po cichu wspinać się po schodach. Niechcący posłyszał wymianę zdań pomiędzy dwojgiem starszych obywateli. Ojciec odpowiedział jej na to: - Na miłość boską, Rosie, chłopiec ma prawie dwadzieścia pięć lat!

- A co będzie, jak ona go usidli? Niektóre dziewczęta to robią. Wszystko jest niby cacy-cacy, a tu ni stąd, ni zowąd trach! I dziewczyna nagle jest w ciąży.

- To dobrze - odpowiedział Nat. - tyle wcześniej zostaniesz babcią.

Seth zastygł na schodach wsłuchany w rozmowę swoich starych.

- Judy nie nadaje się na jego żonę - stwierdziła kategorycznie Rosie. - Mógłby się postarać o coś lepszego.

Nat podniósł się, oparł na łokciu i odpowiedział: - Oni się kochają, a poza tym Judy jest bardzo miła. Na miłość boską, kogo ty się właściwie spodziewasz? Księżniczki Grace?

- Mógłby trafić trochę lepiej.

- Słuchaj, Rosie, Seth jest wspaniałym chłopcem. Ma głowę na karku, ale księciem Rainierem to on nie jest. Jest z tą dziewczyną szczęśliwy. Czego ty jeszcze chcesz?

Potem nastąpiła brzemienna w ciszę przerwa, w której Seth zamierzał uciec na górę i ulotnić się z zasięgu ich głosów. Myśli jego nie zdołały jednak zmobilizować do działania odpowiednich obszarów motorycznych w jego mózgu.

I wówczas usłyszał ponury głos matki: - Nie chcę go stracić, Nat. Wystarczy, że już straciłam Howiego. Nie mam zamiaru stracić drugiego dziecka.

- A kto tu mówi o jakiejś stracie? Chłopak jest zdrowy jak ryba. Najwyżej się ożeni i tyle.

- No właśnie, a potem gdzieś z nią wyjedzie. O to mi właśnie chodzi, Nat. Nie pozwolę, żeby mój Set się kiedykolwiek z nią ożenił. Nie ma mowy, to moje ostatnie słowo.

Na co jej mąż odrzekł: - Mam nadzieję, Rosie. Dobranoc.

W następną sobotę Seth Lazarus i Judy Gordon wybrali się do Evanston. W obliczu Boga zostali połączeni tam świętym węzłem małżeńskim w obecności zebranych, wśród których zabrakło, co prawda, ich rodziców, lecz za to obecni byli sędzia Daniel Carroll i jego żona, a także jeszcze jeden świadek (który kosztował ich pięć dolarów).

A tych, których Bóg połączył, niech żadna teściowa nie waży się rozłączać.

Laura po raz pierwszy zetknęła się tego dnia ze zniekształconym dzieckiem. Dwanaście godzin wcześniej pani Kathleen Paley urodziła ważącego trzy i pół kilograma chłopca. Obecny przy porodzie pediatra, doktor Paul Fedorko, przyprowadził z sobą swoją ulubioną stażystkę, aby doktor Castellano mogła zobaczyć, jak opiekują się noworodkami w pierwszych momentach życia.

Przybywszy do szpitala, młoda matka popadła w panikę. Położnik Jack Lesley doszedł więc do wniosku, że lepiej będzie dla niego, jak również dla jego pacjentki, jeśli poda się jej środki uspokajające. Zastosował wobec tego sto miligramów nembutalu w celu uspiania jej, a potem podał jej sto mililitrów skopolaminy dla podtrzymania jej w tym stanie.

Laura zdziwiła się. Wydawało jej się, że taka ilość środków wystarczyłaby na uspianie słonia, i to na parę dni. Panią Paley "wyłuszczone nieomal zupełnie ze skorupki" - tak jakby kompletnie wyłączono z kontaktu jej zewnętrzną część mózgu. Laura była przekonana, że to cud, że ta kobieta nadal oddychała.

Był to poród pośladowy, z którym Lesley poradził sobie po mistrzowsku, dzięki czemu wadę rozwojową dziecka odkryto dopiero w ostatniej chwili.

Matka spała przez cały czas, nieświadoma czekającego ją szoku. Synek jej był zupełnie zdrowy, ale miał częściowy rozszczep podniebienia. Tkanki w rejonie ust i nosa nie złączyły się. Na domiar złego noworodek miał też zajęczą wargę, co sprawiało wrażenie, że został ugryziony przez psa, który rozszarpał mu usta.

Fedorko ostrzegł wcześniej Laurę przed taką możliwością, jako że w rodzinie Kathleen były przypadki podobnych zniekształceń.

Laura widziała kiedyś zdjęcia dzieci z rozszczepionymi podniebieniami w podręcznikach medycznych, ale chociaż usiłowała zachować kliniczną obojętność, wzdrygnęła się na jego widok.

Doktor Lesley skinął na pediatrów, aby zabrali ze sobą dziecko. Laura i Fedorko owinęli noworodka w koc i pielęgniarki zawiozły go pospiesznie do małej izolatki na oddział intensywnej terapii. Matkę odwieziono natomiast z powrotem do jej pokoju, gdzie ze względu na ilość podanych jej środków spała nieprzytomna przez prawie pół dnia. Pozwoliło to zespołowi Lesleya na uzbrojenie się przed konfrontacją z rodzicami dziecka.

Tego dnia Laura nauczyła się czegoś bardzo ważnego. Jeśli lekarz ma do zakomunikowania pacjentowi coś dobrego, to zazwyczaj informuje go o tym sam. Przypomina wówczas gwiazdę operową na estradzie. Staje na środku sceny i śpiewa solo bez żadnego akompaniamentu. Jeśli natomiast nie wszystko przebiegło bezproblemowo, to zaczyna śpiewać na zupełnie inną nutę. Jest to wówczas coś w rodzaju oratorium na jak największą liczbę głosów.

Krótko mówiąc, w chwilach kryzysu lekarze uważają, że bezpieczniej występować gromadnie.

Do zespołu składającego się z doktora Lesleya, jego szefa i doktora Fedorko, oficjalnego lekarza dziecka, zwerbowano zatem również i Laurę. W dwanaście godzin później zbrali się wszyscy przed pokojem numer sześćdziesiąt trzy.

- Czy wszystko gotowe, Paul? - zapytał Lesley.

Fedorko skinął głową. - Mam przy sobie książkę - odpowiedział i zwrócił się do Laury: - Czy wszystko w porządku?

- Szczerze mówiąc, nie - odparta. - To znaczy nie rozumiem, co ja tu w ogóle robię.

- No cóż, skoro zdecydowałaś się na pediatrię, to będziesz musiała się tego nauczyć. A poza tym, nie da się ukryć, że zawsze łatwiej omawia się takie sprawy w obecności kobiety - wyjaśnił Paul.

Nie pieprz - pomyślała Laura. Według mnie chodzi ci o to, żeby powstrzymać matkę od typowo kobiecego zachowania, innymi słowy, aby nie dopuścić do hysterii. Cóż ja mam jej, u diabła, powiedzieć? Że sama przez to przeszłam? A może istnieje jakiś odpowiednio wyświechtany komunał, świetnie nadający się dla nas, bab?

Zwróciła się do swego nauczyciela: - A co na ten temat piszą w tej książce, Paul?

- Zobaczysz - odpowiedział i uśmiechnął się. - Nic się nie martw, Lauro, to jeden z tych szczęśliwych przypadków, w których możemy nieomal zagwarantować pomyślne rozwiązanie.

Lesley zapukał do drzwi.

Męski głos zaprosił ich do środka. Weszli do pokoju, który z trudnością pomieścił taką liczbę ludzi. Mort Paley siedział u wezłowania żony, trzymając ją mocno za rękę. Nadal była najwidoczniej w półprzytomna. Skoczył jednak na równe nogi w momencie wejścia lekarzy.

- Jak się masz, Mort? - zapytał położnik, celowo zwracając się do niego po imieniu, niejako dla podkreślenia swojego ojcowskiego stanowiska, które zawsze dawało lekarzowi przewagę. - Gratulacje.

- Wiem, że coś tu jest nie w porządku, czuję to! - zawołała Kathleen. - Pytałam już o to wszystkie siostry na oddziale i każda z nich kazała mi czekać na doktora Lesleya. Coś się stało, widzę to po waszych twarzach. Po was wszystkich!

Położnik odezwał się ponownie: - Państwo pozwolą, że przedstawię wam najpierw moich kolegów.

Mort słuchał niecierpliwie, jak Lesley przedstawiał mu kolejno każdego z członków zespołu, podając ich nazwiska i funkcje. To jasne, że nie przyszedł tu do nich z radosną nowiną.

Laura wczuła się w jego położenie. Dlaczego, u diabła, trwa to tak długo? - zastanawiała się. Czyż nie mogą po prostu powiedzieć im prawdy i choć trochę uspokoić tych biednych ludzi? O Chryste, im się chyba wydaje, że dziecko nie żyje.

- Mamy tu mały problem - zaczął w końcu Lesley, nie okazując po sobie ani cienia emocji.

- Jaki? Co się stało? - domagał się wyjaśnienia Mort. - Czy dziecko jest chore?

W tym momencie Lesley przekazał pałeczkę pediatrze.

- Doktor Fedorko wszystko państwu wyjaśni. To właściwie jego specjalność.

Paul odchrząknął i zaczął z udaną pewnością siebie: - No więc, Mort, z pewnością słyszałeś o przypadkach rozszczepionego podniebienia wśród krewnych ze strony żony.

- O nie! Tylko nie to! - wykrzyknął ojciec. - Czy to znaczy, że ten dzieciak będzie wyglądał jak jej wujek? Ten facet wygląda jak potwór. Nie potrafi nawet normalnie mówić!

- O co chodzi, Mort? - spytała żona. - Czy nasze dziecko wygląda jak wujek Joe?

Zaczęła jęczeć. Mąż ujął ją za rękę w pocieszającym geście.

- Och, nie! Proszę, powiedz mi, że to nieprawda!

- Słuchajcie! - przerwał położnik. - Mamy teraz rok 1962. Wiemy już, jak korygować tego rodzaju zniekształcenia. Doktor Fedorko pokaże wam, jaką fantastyczną robotę potrafią dzisiaj odstawić nasi chirurdzy dziecięcy.

I znowu poprosił o pomoc, czy też, zdaniem Laury, podparł się kolegą.

- Spójrzcie na te obrazki - powiedział uspokajająco Paul, otwierając album pełen fotografii.

- O Chryste! - przeraził się Mort Paley.

- To są zdjęcia "przed" - wyjaśnił Fedorko. - A teraz popatrzcie na te same dzieci po operacji. Czyż nie są cudowne?

Mort nie dał się łatwo uspokoić. Nadal robiło mu się słabo na samą myśl o tym, jak teraz wyglądało ich dziecko.

Popatrzył błagalnie na lekarzy. - Proszę was, nie pokazujcie jej tego teraz. Czy nie możecie poczekać z tym chociaż jeden dzień?

- Wykluczone, Mort - odpowiedział kategorycznie Lesley. - To jest kwestia, której oboje musicie spojrzeć w oczy i którą trzeba się będzie zająć jak najszybciej.

No i po co? - pytała samą siebie Laura. Cóż oni, u diabła, zyskują przez informowanie tej nieszczęsnej kobiety o tym wszystkim teraz? Biedna dziewczyna rodziła przez pół nocy. Jeszcze przez parę tygodni nie będą w stanie operować dziecka, więc dlaczego nie pozwolą jej trochę odpocząć?

I wówczas, patrząc, jak starszy pediatra pokazywał zdjęcia zniekształconych dzieci przed i po operacjach korekcyjnych, Laura zrozumiała nagle przyczyny pośpiechu Paula. Fedorko za bardzo wczuwał się w sytuację swoich pacjentów i musiał jak najprędzej zrzucić z siebie ten emocjonalny ciężar.

Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego powszechnie uważano, że aby być doktorem, a przynajmniej, aby wytrwać w tym zawodzie, należało otoczyć się fortecą i bronić przed jakimkolwiek zaangażowaniem emocjonalnym.

Można próbować pomagać cierpiącym w łagodzeniu ich bólu, ale nie można sobie pozwolić na odczuwanie go samemu.

Nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdobędzie się na taką siłę.

W godzinę później Fedorko zwrócił się do niej: - Lauro, pomóż pielęgniarce Walker i zanieś z nią małego Paleya matce. Ona musi już zacząć go karmić.

- Ale czy ona będzie w stanie to zrobić?

- Owszem, fizycznie jest to możliwe. Dziecko potrafi ssać. Nie mam natomiast pojęcia, czy jest to realne pod względem psychologicznym. Tu właśnie liczymy na twoje zdolności w podejściu do pacjenta. Wolałbym, żebyśmy nie byli zmuszeni do sztucznego karmienia. Po co używać strzykawki, skoro z punktu widzenia dziecka najlepszym źródłem pokarmu jest Chdteau Maman!

- Ależ, Paul, to wszystko jest tu dla mnie takie nowe! Nie mam pojęcia, jak jej to powiedzieć.

- Powiedz jej, że ta zajęcza warga zostanie poprawiona i będzie zupełnie normalna za sześć miesięcy. Zmusz ją w każdym ra/ie do wzięcia dziecka na rękę. Matka natura dokona wtedy reszty.

Stała przed pokojem numer sześćset pięćdziesiąt trzy, zaczerpnęła głęboko powietrza i zwróciła się do pielęgniarki: - Siostró, niech siostra tu chwilę poczeka. Zobaczę, może uda mi się przygotować ją jakoś do tego pod względem psychologicznym.

- Ależ, doktor Castellano, nie mamy tu takiego zwyczaju. Zazwyczaj wnosimy dziecko od razu.

- No cóż, jeśli nie ma siostra nic przeciwko temu, chciałabym spróbować zrobić to po swojemu.

- W porządku - skapitulowała pielęgniarka.

Kathleen zareagowała z początku zgodnie z przewidywaniami Laury: - O mój Boże! Tylko nie to! Nie chcę go widzieć! Zabierzcie go z powrotem!

Jej mąż siedział przy niej i machał ręką, tak jakby niemym gestem chciał dać Laurze do zrozumienia, aby przestała torturować jego żonę.

Przerażona trochę narzuconym jej zadaniem, Laura nalegała z uporem: - Proszę cię, Kathleen, to śliczny mały chłopczyk. Ma tylko parę małych zniekształceń, które z łatwością dadzą się naprawić.

- On wygląda jak mój wujek Joe - protestowała matka. - To wszystko moja wina. Jak Mort go zobaczy, to przestanie mnie kochać.

- Ależ, kochanie - szepnął mąż - to wcale nie jest twoja wina. I z całą pewnością nie przestanę cię kochać!

Dla rozładowania napięcia Laura zmieniła nieco temat rozmowy.

- Czy wybraliście już dla niego jakieś imię?

- Zamierzaliśmy nazwać go Mottem Juniorem - zaczęła niepewnie Kathleen. -
Ale teraz...

- Nadal go tak nazwiemy - przerwał jej mąż uspokajającym tonem.

Laura spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: - Dobry z pana człowiek.
Pańska żona ma szczęście.

- Zaraz przyniosę państwu małego - powiedziała cicho. - Powinno się go już
nakarmić i chciałabym, żeby pani chociaż spróbowała.

Kathleen nie była w stanie zmusić się do odpowiedzi. Mort położył jej rękę na
ramieniu, popatrzył na Laurę i odpowiedział za żonę: - Dobrze, niech nam pani
przyniesie nasze dziecko.

Istnieje pewna żelazna reguła: dopóki lekarz trzyma dziecko na ręku, dopóty
należy ono do niego. Z chwilą jednak, gdy dotknie je matka, staje się ono jej
własnością na zawsze. I bez względu na wygląd, zawsze w jej oczach jest piękne.

Tak też się stało w przypadku Kathleen Paley. Laura włożyła noworodka w jej
ramiona. Matka podniosła dziecko do piersi i westchnęła.

- Popatrz, Mort! - szepnęła z czułością w głosie. - On ssie! - Wolną ręką
pogłaskała pokrytą meszkiem główkę dziecka. - Mort, czyż on nie jest cudowny?

- To najcudowniejsze dziecko pod słońcem, kochanie - odpowiedział jej mąż,
wierząc w to święcie.

Dobrze, że nie zaglądaliście mu do buzi. Widać stamtąd prawie cały nos -
pomyślała Laura.

- Dziękuję pani, pani doktor - odpowiedział Mort z przejęciem. - Bardzo,
bardzo pani dziękuję. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

- Ja również - odpowiedziała Laura szczerze i zanotowała sobie w pamięci, żeby
obserwować przebieg leczenia małego Paleya. A także, żeby zobaczyć go, kiedy będzie
już rzeczywiście prześliczny.

Szkoła Medyczna Johna Hopkinsa

Baltimore, MD

Droga Lauro,

*ogromnie się ucieszyłam Twoim listem i bardzo wzruszyła mnie Twoja
opowieść o dziecku z rozszczepem podniebienia. Jeśli Wasze zespoły pediatryczne są
choć w części tak dobre jak tutaj, to powinny tego małego wyleczyć.*

Moje własne chirurgiczne doświadczenia - jeśli w ogóle można to tak nazwać - ograniczają się wyłącznie do podtrzymywania haków i patrzenia na innych, jak tną. Pewien specjalizujący się tu już drugi rok lekarz obiecał mi, że nauczy mnie, jak trzymać kleszcze i jednocześnie spać na stojąco. Według niego tylko w ten sposób można jakoś przejść przez to piekło.

Nawiązując do bardziej osobistych spraw, muszę Ci się przyznać do pewnej zmiany w moim życiu. Pewnego wieczoru w zeszłym miesiącu byłam na dyżurze z takim naprawdę porządnym, zonatym stażystą z dwójką dzieci.

Sama wiesz, jak to jest, kiedy jest późno i cały świat wokół Ciebie już śpi. Łapie się wówczas człowiek na mówieniu rzeczy, do których normalnie nigdy by się nie przyznał. Zaczęliśmy rozmawiać o naszych karierach i małżeństwie i ten facet wystrzelił prosto z mostu, że gdyby miał wybrać pomiędzy zostaniem najlepszym specjalistą w całym kraju, który nie ma czasu na domowe życie, a pozostaniem zwykłym internistą w Grenlandii z żoną i dziećmi, to bez chwili wahania wybrałby rodzinę. Zanim zdążył zapytać mnie, dlaczego nie jestem jeszcze żoną i matką, sama zaczęłam zadawać sobie te same pytania. Nie byłam jednak w stanie rozsądnie sobie na nie odpowiedzieć. Doszłam wobec tego do wniosku, że to może już najwyższy czas, żeby przestać się bawić w podlotka i porozmawiać z kimś, kto byłby w stanie pomóc mi dorosnąć.

W efekcie tego wszystkiego zaczęłam chodzić do jednego rzeczywiście dobrego psychiatry. Może nawet o nim słyszałaś - Andrew Himmerman. To naprawdę świetny facet, który napisał już z pół tuzina książek i całe mnóstwo artykułów. Problem w tym, że on prowadzi swoją praktykę w D.C., więc dojazdy z Baltimore do Waszyngtonu trzy razy w tygodniu o piątej rano wyprawiają mnie pewno wcześniej na tamten świat. Ale może dzięki temu trafię tam trochę zdrowsza. Szukam zatem zatrudnienia na oddziale chirurgicznym gdzieś na terenie Waszyngtonu, żebym nie musiała dojeżdżać na własne leczenie!

W swoim liście nie byłaś specjalnie wymowna na temat małżeńskiego życia. Przypuszczam jednak, że skoro znałaś Palmera przez tyle lat, nie stanowi ono dla Ciebie większej różnicy. Z drugiej zaś strony wiem, jak długie dyżury dzienne i nocne działają na małżeństwa niektórych tutejszych stażystów. Przypuszczam więc, że jest to i dla Ciebie stresujące, choć nie powinnam zapominać, że jesteś przecież Kobietą Doskonałą.

Muszę lecieć szorować ręce przed zabiegiem. Odpisz prędko.

Laura złożyła list w momencie, gdy nie ogolony Palmer pojawił się w kuchni, ziewając. Podeszła do niego, żeby go pocałować.

- O cholera, wyglądasz, jakbyś całą noc nie spał - powiedziała cicho.

- Ty również.

- Bo nie spałam - odpowiedziała, uśmiechając się ze znużeniem. - Uratowałam dziś dwa żywoty. Nie masz nawet pojęcia, co to za uczucie! A co ty masz dzisiaj na swoje usprawiedliwienie?

- Czekałem na ciebie, aż wrócisz do domu.

- Czy zapomniałeś, że mam dyżur? Zanotowałam to przecież.

Wskazała ręką kalendarz ze zdjęciami Harvardu w różnych porach roku, na którym wypisała swój rozkład godzin szpitalnych zielonym atramentem.

- Potrafię czytać, Lauro - odpowiedział Palmer, machinalnie nalewając sobie kawy. - Jednakże będąc jedynie wojskowym, zrozumiałem, że godzina dwudziesta trzecia oznacza jedenastą wieczorem. Wydawało mi się zatem, że będziesz w domu przed północą,

- O cholera! - odpowiedziała Laura, uderzając się dłonią w czoło. - Mieliśmy wczoraj nagły telefon z Manchesteru. Musieliśmy odebrać od nich parę wczesnych bliźniaków i zawieźć do nas na oddział intensywnej terapii. Pojechałam tam z jednym ze stażystów. I pewno nie uwierzysz, ale w drodze pękła nam opona.

- Owszem - odpowiedział oziębło. - Masz rację, nie wierzę ci.

- Na szczęście aparaty tlenowe działały dzięki generatorom. W przeciwnym wypadku moglibyśmy stracić te dzieci.

Umilkła nagle, kiedy w pełni dotarły do niej słowa Palmera.

- Czy to znaczy, że uważasz mnie za kłamcę?

Usiłował zachować obojętność. - Lauro, Manchester znajduje się ^ zupełnie innym i niezależnym stanie New Hampshire, i jestem przekonany, że mają tam swoich własnych pediatrów.

- Naturalnie, że mają. Wiesz jednak, dlaczego tyle ludzi przenosi się teraz do New Hampshire. Ponieważ nie płaci się tam żadnych podatków stanowych ani tym podobnych rzeczy. Oznacza to jednak, że tamtejsze szpitale mogą sobie pozwolić zaledwie na paczkę plastrów opatrunkowych. Jedynym sposobem na uratowanie życia

tym dzieciom było umieszczenie ich pod aparatami tlenowymi w naszym Szpitalu Dziecięcym.

Popatrzyła na Palmera błagalnie.

- Wiem, że powinnam była zadzwonić, ale wszystko potoczyło się tak szybko! Przepraszam cię, kochanie.

Podeszła bliżej, pragnąc pocałować męża, on jednak usunął się na bok dla uniknięcia jej uścisku.

- Czy zamierzasz udawać, że jesteś trudny do zdobycia? - uśmiechnęła się do niego czule.

- Nie. Powiedziałbym raczej, że to twoja specjalność - odparł.

- Palmer, co ty, u diabła, insynuujesz?

- Primo, nawet jeśli byłbym w stanie uwierzyć w spartańskie warunki panujące w szpitalach w Manchesterze, to nigdy nie uwierzę w to, że nie mają tam karetki pogotowia, która mogłaby przetransportować te nieszczęsne niemowlęta. Secundo, nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ambulans prowadziło dwóch lekarzy, i do tego z pękniętą oponą. Tertio, twoje rapsodyczne pienia na temat twoich kolegów przekonały mnie o tym, że to tylko kwestia czasu, kiedy - jak to określił Szekspir w *Otellu* - zaczniecie tworzyć "dwugrzbietową bestię".

Centrum wściekłości w mózgu Laury zaczęło wysyłać impulsy sygnalizujące eksplozję. Reszta jej ciała była jednak na to zbyt zmęczona.

- Primo, mój ukochany mężu - zaczęła swoją ripostę - powinieneś wiedzieć, że Otello się mylił, posądzając swoją żonę o niewierność. Secundo, Manchester nie posiada przenośnych inkubatorów, a poza tym, pojechaliśmy tam samochodem kombi, a nie karetką pogotowia. Wreszcie tertio, uważam, że jesteś paranoidalnym głupcem, skoro mi nie ufasz. Skąd, u diabła, mam wiedzieć, czy sam nie byłeś wczoraj z jakąś panienką? A teraz zejź mi z drogi, bo mam tylko cztery godziny czasu na sen przed powrotem do pracy.

Kiedy znikła w kuchennych drzwiach, Palmer zawołał za nią:

- Podsunęłaś mi właśnie świetny pomysł, doktor Castellano. Może zatroszczę się o swój własny, prywatny oddział intensywnej terapii. Tam się będą zajmować wyłącznie mną.

Przyczyną tego wszystkiego był fakt, że zarówno Laura, jak i Palmer oczekiwali zupełnie czego innego od swojego małżeństwa. Laura nigdy jednak nie zdobyła się na odwagę, żeby otwarcie przedyskutować tę sprawę z Palmerem.

Palmer był nadal tradycyjny i uważał, że żona powinna być mu towarzyszką, wsparciem i matką jego dzieci. No i oczywiście czarującą panią domu. W końcu jego własna matka była właśnie takim przykładowym wzorem żony dla jego ojca. Z całą pewnością Laura nie spełniała tych wszystkich kryteriów.

Ona z kolei nie miała żadnego modelu małżeństwa. Wiedziała tylko, że nie chciała układu podobnego do związku jej rodziców. Fakt, że Luis i Inez żyli ze sobą przez ponad dwadzieścia lat, zanim wreszcie się rozeszli, z pewnością nie dowodził tego, że byli kiedykolwiek zgraną parą.

W czasie swoich pierwszych lat w Szkole Medycznej wątpiła nawet, czy w ogóle nadawała się do małżeństwa. Jedyne, co rodzice zdołali w niej zaszcześcić, to umiejętność polegania na sobie samej. A czyż małżeństwo nie polegało właśnie na wzajemnej współzależności? Nie chodziło tu może o dzielenie słabości, ale o jednoczenie dwóch odrębnych sił, które razem tworzyły jeszcze większą siłę, niczym dwie belki podpierające się wzajemnie dla udźwignięcia wielkiego ciężaru.

Od początku ich znajomości Laura uważała, że najatrakcyjniejszą cechą Palmera była jego opiekuńczość. Chociaż nigdy nie odczuwała tego zbyt dotkliwie, zawsze wydawał jej się bardzo ojcowski. Zawsze też dawał jej do zrozumienia, że małżeństwo oznaczać będzie wyłącznie zmianę nazwiska, a nie jej stylu życia.

Miesiąc miodowy spędzili w egzotycznym hotelu Byblos w Saint-Tropez. Codziennie rano spacerowali brzegiem morza z plaży Pamplon (Plage de la Bouillabaisse) na plażę Tahiti, usiłując nie okazywać po sobie zażenowania z powodu położonej między tymi dwoma miejscami kolonii nudystów (a nawet w ogóle na nich nie patrzeć).

Palmer nie ukrywał faktu, że podobały mu się tego rodzaju widoki i próbował namówić ją do ściągnięcia staniczka. Ku swemu zdziwieniu odkrył jednak, że Laura wcale nie była aż tak swobodna i pozbawiona wszelkich zahamowań, jak się to początkowo obojgu wydawało.

Po obiedzie udawali się do łóżka na sjęstę. Później, kiedy słońce się zaczerwieniło, siadali w kawiarni Le Senequier w pobliżu mola i patrzyli na paradujące przed nimi piękności.

Popijali Pernod, a kilkaset metrów od nich rybacy gorliwie rozładowywali towar, który później podawano im na obiad w restauracji Leï Mouscardins.

O ile jednak ich podróż poślubna była prawdziwym marzeniem, to powrót na lotnisko Logan stanowił niemiłe przebudzenie. Laura, której zmysłowość (nawet w staniczku) mogła zawstydić wszystkie pozostałe na plaży kobiety, nałożyła teraz workowaty biały fartuch i odjechała o świcie do Szpitala Dziecięcego.

Palmer pozostał więc sam w drugiej połowie lata, nie mając pojęcia, czym ją wypełnić do czasu rozpoczęcia następnego semestru. Z początku usiłował pracować nad swoim chińskim. Jednakże dźwięk własnego głosu, usiłującego naśladować różne tony wymowy tego samego wyrazu, decydujące jednocześnie o jego znaczeniu, doprowadzał go do szału.

Czasami sięgał po książkę i siedł nad rzekę, szukając jakiegoś zacienionego miejsca do czytania. Kiedy się zmęczył, patrzył na żaglówki, które niczym białe motyle śmigały tam i z powrotem po spokojnej wodzie.

Zapadał mrok, a wraz z nim mijała połowa wieczoru. Wracił wówczas na ulicę Beacon, odmrażał sobie obiad, otwierał butelkę Chablis, włączał Vivaldiego na swoim stereo i wyobrażał sobie, że jest na randce z Laurą.

Palmer był cierpliwym człowiekiem. Laura, ciągle jeszcze rozpromieniona i pełna energii po powrocie z podróży poślubnej, kiedy tylko nie miała nocnych dyżurów, rekompensowała mu w pełni swoją nieobecność.

Staż jednak dawał jej się bardzo we znaki i powoli zaczęła odczuwać zmęczenie. W końcu wracała do domu, całowała męża, brała prysznic, zjadała coś naprędce i niczym morski nurek zanurzała się w głęboki sen.

Stopniowo zaczęła rezygnować z jedzenia. Po kilku kolejnych tygodniach odkładała prysznic na rano, całowała Palmera i kładła się do łóżka w tym, co miała na sobie.

Trzeba tu jednak zaznaczyć, że zawsze najpierw całowała męża.

Pewnego razu - o cudzie ponad cudy! - uzyskała medyczny ekwiwalent dwudniowej wojskowej przepustki. Palmer nie posiadał się z radości i zaproponował małą przejażdżkę w góry Vermontu w celu podziwiania pędzla przyrody na jesiennych drzewach. Potem mieli zjeść obiad w zacisznej knajpcie i - jak to określił Edgar Allan Poe - "kochać się miłością większą niż miłość".

- Jestem w pełni za tym ostatnim - odpowiedziała Laura, uśmiechając się ze znużeniem. - Ale czy nie moglibyśmy zrobić tego nieco bliżej domu, na przykład w naszym własnym łóżku?

- Daj spokój, Lauro, gdzie się podziała twoja żyłka przygodowa?

- Sądzę, że straciłam ją po pierwszym całonocnym dyżurze.

- Lauro, kochanie, czy to rzeczywiście ma sens?

Laura dojrzała smutek w jego oczach i chociaż wiedziała, jak bardzo się czuł osamotniony, odpowiedziała: - Owszem, Palmer, dla mnie ma.

Zadzwonił telefon.

Bennett Landsmann otworzył jedno oko, usiłując pozostać resztą ciała we śnie. Była już druga nad ranem i właśnie położył się do łóżka po trzydziestu godzinach pracy w pogotowiu. Telefon dzwonił jednak uporczywie i w końcu, wzdychając z rezygnacją, podniósł słuchawkę.

- Doktor Landsmann przy telefonie - odpowiedział opryskliwie.

- Mówi doktor Livingston, ale możesz mi mówić Barney.

Bennett otworzył drugie oko i usiadł.

- Hej, czy wiesz, że to środek nocy?

- Nie, ale co to za różnica? - odpowiedział Barney.

- Upiłeś się czy co?

- Nie, chyba że kawą i balonikami czekolady. O nie, Landsmann, właśnie usiadłem chyba po raz pierwszy od miesiąca. Zbadałem już chyba kilka milionów pacjentów i każdemu z nich osobiście wypisałem historię choroby. Nie potrafię już zliczyć, ile rozcięć i ran miażdżonych pozaszywałem. Jestem już tak zmęczony, że lekarz naczelny kazał mi się położyć. W każdym razie, mając te piętnaście minut, pomyślałem sobie, że trzeba sprawdzić, jak cię tam traktują w tym Yale. Landsmann, czy ty rzeczywiście spałeś?

- Nie, naturalnie, że nie. Pracowałem tylko dodatkowo w wolnym czasie, usiłując wynaleźć lekarstwo na gówna. A tak nawiasem mówiąc, jak tam twoja dupa?

- Boli, jak cała reszta mego ciała. A co z tobą, stary? Czy choć trochę tańczysz w pozycji horyzontalnej?

- Jedna czy dwie pielęgniarki spojrzały na mnie przychylnie, ale nawet w tych sprawach istnieje tu kolejka do żłobu i starsi stażyści zbierają najlepsze kąski. Jakoś to jednak przeżyję. Miałeś jakieś wiadomości od Castellano?

- Nie. No ale czego się spodziewasz? Pracuje równie ciężko jak i my. Za każdym razem, kiedy tam dzwonię, Palmer twierdzi, że nie ma jej w domu. Jestem przekonany, że przynajmniej w połowie wypadków usiłuje trzymać mnie na dystans.

Przyjaciele wymienili potem między sobą anegdoty z izby przyjęć, czasami tak przerażające, że tylko wisielczy humor pozwalał im je znosić, kiedy nagle Barney dotknął nieświadomie drażliwego tematu.

- A zatem innymi słowy, poza totalnym wyczerpaniem i brakiem seksu, jesteś na ogół zadowolony z pobytu w New Haven?

W słuchawce nastąpiła cisza.

- Hej, Landsmann, jesteś tam jeszcze?

Bennett zawahał się. - No cóż... to raczej druga historia.

A potem wyrecytował litanie przykrych incydentów. Kiedy skończył, Barney odezwał się: - Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz.

- Tak myślisz?

- No cóż, powiedziałbym, że jesteś rzeczywiście w czarnym nastroju.

- Masz rację, Livingston. I to w coraz czarniejszym.

Rozdział XXVIII

Dobrze poinformowani obserwatorzy amerykańskiej areny politycznej przewidywali, że rok 1963 utrwali się wszystkim w pamięci jako rok budzącej się "Czarnej Świadomości". To znaczy myślano tak aż do dnia dwudziestego drugiego listopada. Od tej pory najważniejszym wydarzeniem roku było zabójstwo Johna F. Kennedy'ego.

Zawrzało wówczas w całym organizmie politycznym państwa, ale ludzkie ciało również figurowało we wszystkich wiadomościach krajowych. Był to bowiem początek nowej ery.

Z całego kraju dobiegały wieści o udanych przeszczepach organów w miejsce chorych lub martwych. Dziesiątki ludzi otrzymywało ponownie dar życia z chwilą przeszczepienia im cudzych nerek.

Na uniwersytecie stanowym Missisipi dokonano pierwszego przeszczepu płuc, a w Houston - doktor Michael De Bakey zastosował po raz pierwszy sztuczne serce do podtrzymania krążenia krwi pacjenta w trakcie operacji jego serca.

A kiedy brakowało ludzkiego dawcy, przychodziły z pomocą różne laboratoria. Dzięki zastosowaniu sztucznych rogówek ślepcy mogli znowu zobaczyć światło dzienne.

Nie wszystkie jednak wiadomości medyczne były takie pomyślne. Amerykańskie Stowarzyszenie Szpitali ogłosiło, że w ciągu ostatnich pięciu lat przeciętny dzienny koszt utrzymania jednego pacjenta zwiększył się ponad dwukrotnie: z osiemnastu dolarów i trzydziestu pięciu centów do trzydziestu sześciu dolarów i osiemdziesięciu trzech centów.

Tego roku zmarł jeszcze jeden Kennedy. Siódmego sierpnia urodził się bowiem drugi syn Johna F. Kennedy'ego, Patryk, o pięć i pół tygodnia za wcześnie. Ważył zaledwie dwa kilogramy i sto dekagramów i cierpiał na zespół niedoboru surfaktantu. Nie miał rozwiniętych odpowiednio płuc i chociaż mógł nabrać w nie powietrza, to jednak nie potrafił go tam zatrzymać.

Owinięto go w niebieski kocyk i umieszczono w małym plastikowym pudełku, po czym przewieziono pospiesznie ze szpitala w Hyannis Port do Szpitala Dziecięcego w Bostonie, gdzie zmobilizowano całą obsługę do ratowania mu życia. Szpital tamtejszy posiadał bowiem unikatową na świecie aparaturę - olbrzymią komorę tlenową, długą na dziesięć metrów, a na dwa i pół metra szeroką.

Pracujący w niej specjaliści rozpaczliwie usiłowali wprowadzić tlen do organizmu dziecka.

Wysiłki ich okazały się jednak daremne. Zaledwie po trzydziestu dziewięciu godzinach życia dziecko zmarło.

(Jak na ironię, zaledwie rok później lekarze ze Szpitala Dziecięcego w Louisville, w stanie Kentucky, opracowali i udoskonalili nową metodę leczenia niemowlęcych zespołów niedoboru surfaktantu.)

Pod koniec 1963 roku rocznik, który otrzymał dyplomy z Harvardzkiej Szkoły Medycznej rok wcześniej, wypełnił wreszcie wszystkie wymagania konieczne do praktykowania medycyny w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy mieli wówczas od około dwudziestu czterech do dwudziestu dziewięciu lat.

Jednak większość z nich nie była jeszcze gotowa do uprawiania swego zawodu, ponieważ koniec stażu sygnalizuje najczęściej tylko kolejny początek.

Prawdziwa specjalizacja wymaga intensywnej koncentracji na jednym, określonym aspekcie medycyny, takim jak na przykład anestezjologia lub farmakologia, albo też na jednej tkance, jak krew czy skóra. Może też ograniczać się do jednego obszaru, na przykład do klatki piersiowej lub brzucha, albo też do jednego organu - takiego jak oko lub serce. Specjalizacja może wreszcie polegać na skoncentrowaniu się na jednej fizycznej metodzie, na przykład na sztuce chirurgii, albo też na zajmowaniu się rozwiązywaniem jednej tajemnicy, jaką jest na przykład funkcjonowanie ludzkiego mózgu, którym pasjonuje się psychiatria. (Chociaż niektórzy nadal twierdzą, że to wcale nie nauka.)

I tak oto doktor Barney Livingston, wypełniwszy posłusznie wszystkie wymagania stażu i nadal pragnąc zostać psychoanalitykiem, musiał spędzić następne trzy lata w szpitalu psychiatrycznym w celu dalszego dokształcania się, a potem jeszcze dodatkowo dwanaście miesięcy jako asystent.

A jeśli chciał zostać pełnoprawnym członkiem instytutu psychiatrycznego, musiał zgodzić się na to, aby starszy psychoanalityk przebadał jego głowę. Miało to pomóc mu w nawiązaniu bliższego kontaktu z własną podświadomością, co z kolei rzekomo ułatwiałoby potem analizę wnętrza pacjentów.

I tak oto - założywszy naturalnie, że nie potknie się nigdzie po drodze - Barney mógłby sprostać wszystkim wymaganiom w ciągu najbliższych sześciu lub siedmiu lat. Uniezależniłby się więc wreszcie finansowo dopiero w 1970 roku, a zatem w wieku

trzydziestu trzech lat. Oznaczało to, że rozpocznie swoją karierę zawodową z opóźnieniem liczącym dziesięć lat, w trakcie których specjaliści w innych dziedzinach pozamedycznych (tak jak jego mały braciszek Warren, który ukończy prawo już tego roku) pracowali na pełnych obrotach i zarabiali pokaźne pieniądze.

No i naturalnie pozostało mu jeszcze do tego spełnienie wszystkich zobowiązań wojskowych.

Droga Barniego wcale nie była najdłuższa. Absolwenci, którzy wybrali kariery chirurgiczne, tak jak Bennett, którego poproszono o pozostanie w Yale, oraz Greta, która przeniosła się do Szpitala Georgetown w Waszyngtonie, mieli jeszcze przed sobą co najmniej pięć lat specjalistycznego szkolenia. Rok w charakterze stażystów, a potem dwa lata specjalizacji pierwszego stopnia, rok specjalizacji drugiego stopnia w charakterze młodszego asystenta i wreszcie, jeśli do tego czasu nie wyzioną ducha lub nie zgłupieją do reszty, rok na stanowisku starszego asystenta. Naturalnie jeśli potem będą chcieli zająć się jeszcze jakąś węższą specjalnością, na przykład chirurgią dziecięcą, czekać ich będą kolejne lata nauki.

Często oskarża się lekarzy o gruboskórność, korupcję i zarozumiałość. Oni jednak przypominają nam ciągle, że poświęcili wiosnę swego życia, stracili bezpowrotnie te najcenniejsze lata pomiędzy dwudziestką a trzydziestką na zdobywanie umiejętności mających służyć bliźnim.

Ponadto każdy z nich musiał się zdecydować na wiele wyrzeczeń. Większość nie przespała w tym czasie więcej jak tuzin niczym nie zakłóconych nocy. Wielu poświęciło swoje małżeństwa i straciło tę wyjątkową sposobność obserwowania rozwoju własnych dzieci.

A zatem jeśli twierdzą, że świat powinien im to w jakiś sposób zrekompensować w formie bogactwa, szacunku czy też odpowiedniego statusu społecznego, to może żądania te nie są wcale tak całkowicie bezpodstawne.

Ponure statystyki wykazują również, że lekarze cierpią często bardziej niż niektórzy ich pacjenci. Nikt bowiem nie jest w stanie naprawić rozbitego małżeństwa ani wynagrodzić krzywd dzieciom zaniedbanym z powodu nieobecności ich ojca.

Laura była w szpitalu, kiedy przywieziono tam dziecko Kennedych. Mimo że sama nie miała bezpośredniego kontaktu z tą sprawą, to jednak, jak większość lekarzy, trwała w czymś w rodzaju masowego czuwania.

Nie spała ponad czterdzieści osiem godzin, kiedy rzecznik prasowy Białego Domu, Pierre Salinger, ze łzami w oczach ogłosił, że "Patrick Bouvier Kennedy zmarł tego ranka o czwartej zero cztery. Walka chłopca o prawidłowy oddech przerastała siły jego serca".

Laura dzieliła z resztą personelu kolektywny ból i poczucie klęski, jakie wypełniało każdy szpitalny korytarz.

Kiedy usłyszała, jak jeden z nowych stażystów powiedział:

- Mają przynajmniej jeszcze dwójkę dzieci. To nie jest więc jeszcze takie straszne - rzuciła się na niego. - A cóż to za postawa? Nie chodzi tu przecież o to, co ona ma, ale o to, co straciła!

Zbesztany stażysta wycofał się pospiesznie.

Na pierwszym roku specjalizacji pediatrycznej powierzono Laurze pewne poważne obowiązki.

Kiedy Kathleen i Mort Paley przynieśli swojego sześciomiesięcznego synka na operację ust (zabieg korygujący podniebienie można było przeprowadzić dopiero później), Laura stała tuż przy chirurgu. Patrzyła uważnie, jak Fedorko zamykał skrupulatnie oszpecające rozdarcie, używając niemal mikroskopijnych, nylonowych szwów do złączenia zewnętrznej powłoki skóry. Zniekształcenie prawie zupełnie zniknęło.

Paleyowie nie posiadali się ze szczęścia. Trzy dni później Kathleen nakładała dziecku płaszczyk i czapeczkę, a Mort zwrócił się do Laury: - Wszystkie pani obietnice się sprawdziły, doktor Castellano. Jesteśmy pani ogromnie wdzięczni, cała nasza trójka.

Uścisnęli jej rękę, a Laura pomyślała sobie: To takie słowa jak te sprawiają, że większość z nas decyduje się iść na medycynę.

Po swoim dwudziestoczterogodzinnym dyżurze Laura wróciła wreszcie do domu jak somnambuliczka. Jeden z niewielu neuronów funkcjonujących nadal w jej mózgu przypominał ciało, że należy coś zjeść, aby móc dalej wykonywać podstawowe funkcje życiowe.

Otworzyła lodówkę i wyciągnęła dwa jogurty, po czym usiadła cicho przy kuchennym stole, wmuszając w siebie jedzenie, zbyt zmęczona nawet, żeby przeczytać leżącą obok gazetę. Sięgnęła po mały stos listów, głównie rachunków, i zaczęła je

machinalnie przerzucać. Nie było wśród nich nic wartego poświęcenia nawet chwili snu, poza jednym z wytłoczonym na kopercie napisem: "Centrum Medyczne Georgetown, Washington, D.C." Podniosła nóż i z chirurgiczną precyzją otworzyła kopertę.

Droga Lauro,

mam wspaniale wieści. Wczoraj wykonałam wreszcie samodzielnie nacięcie. No i co z tego, że byt to tylko zwykły wyrostek? Pacjentką była jednak osiemnastoletnia wodzirejka, której największym zmartwieniem było, czy będzie potem mogła nosić bikini. W każdym razie ćwiczyłam pilnie moją technikę (najczęściej na brzaskwiniach i pomarańczach), tak więc, kiedy szef zwrócił się nagle do mnie i podał nóż, każąc mi się tym zająć, byłam rzeczywiście do tego gotowa.

Wzięłam skalpel, ustawiłam odpowiednio rękę i nacisnęłam, czyniąc zupełnie przyzwoite (przynajmniej moim zdaniem) poprzeczne nacięcie. A potem pozwolił mi dalej ciąć, aż doszłam do otrzewnej. Byłam tym tak podniecona! Wreszcie przeszłam tę inicjację!

Wygląda na to, że robię postępy w mojej terapii. Andy mówi, że prędzej czy później prawie każdy student medycyny potrzebuje pomocy psychiatry. Powiedział mi również o badaniach przeprowadzonych parę lat temu przez Fundację Markle'a. Poszłam więc do biblioteki, żeby to sprawdzić. Czy uwierzysz, że na 219000 lekarzy w tym kraju, jedynie 11000 to kobiety?

Ale najbardziej zaszokowało mnie to, że liczba rozwodów wśród kobiet lekarzy jest aż pięciokrotnie wyższa niż wśród mężczyzn, choć oni w tej dziedzinie nie są najgorsi. Nawet taki superfacet jak Andy ma wyjątkowo niewyrozumiała kobietę za żonę.

Mam się stawić na dyżurze za jakieś trzy minuty, a piszę ten list zupełnie nago. Muszę się zatem pospieszyć i ubrać.

Proszę, napisz do mnie i daj mi znać, co u Ciebie słychać.

Ucałowania

Greta

Laura uśmiechnęła się. Ta sama stara Andersen. Zawsze musi nawiązywać do swego ciała. Ciekawa jestem, kiedy ten jej psychiatra zacznie nad tym pracować?

Nagle uderzyła ją pewna myśl. "Andy?" Czyżby Greta zwracała się do swojego psychiatry po imieniu? I skąd ona, u diabła, tyle wie o jego małżeństwie? Czy to możliwe, że dyskutują na ten temat w trakcie sesji terapeutycznej? Była jednak zbyt zmęczona, aby się nad tym zastanawiać.

Zdjęła buty w pokoju gościnnym i na palcach weszła po schodach na górę. W sypialni paliły się światła, lecz łóżko było puste.

I zasłane.

Laura czuła, że powinna jakoś na to zareagować. Była jednak tak wyczerpana, że nawet zniknięcie męża nie było w stanie powstrzymać nawoływań Morfeusza.

Dopiero nazajutrz o ósmej rano dotarł do niej fakt nieobecności Palmera. Nie zostawił jej żadnej notatki, żadnego wyjaśnienia. Nic.

Przeleciała w wyobraźni całą gamę możliwości. Może miał jakiś wypadek? Może na niego napadnięto i zabrano go nieprzytomnego do pobliskiego szpitala?

Myślała nawet, żeby zadzwonić do jego rodziców, ale nie chciała ich niepokoić. Zrobiła sobie kubek kawy i spojrzała na wywieszoną w kuchni tablicę ogłoszeń, na której oboje zostawiali swoje indywidualne rozkłady zajęć.

Spojrzała na harmonogram z poprzedniego dnia. Palmer miał seminarium z historii dyplomatycznych stosunków angielsko-chińskich pomiędzy siódmą a dziewiątą wieczór. Zdecydowała, że zadzwoni do jego profesora i zapyta, czy Palmer był w tym tygodniu na zajęciach. Nagle obiekt jej poszukiwań odnalazł się.

- Dzień dobry, Lauro! - powiedział radośnie.

- Palmer, zamartwiałam się o ciebie na śmierć.

- Czyżby? Miło mi wiedzieć, że ci jeszcze na mnie zależy.

Wiedziała, że uwaga ta miała sprowokować sprzeczkę, więc puściła ją mimo uszu.

- Gdzieś ty się podziewał przez całą noc?

- Byłem z przyjaciółmi - odpowiedział, żeby ją jeszcze bardziej zdenerwować.

- Czy to wszystko? To twoje całe wyjaśnienie?

- A czy ja się kiedykolwiek ciebie pytałem o dokładne sprawozdanie z twojej działalności poza domem? Mówisz mi tylko, że byłeś w szpitalu i na tym koniec.

- Miałeś wczoraj wieczorem seminarium.

- Owszem, miałem.

- No i?

- No i to wszystko.

- Nie sądzisz chyba, że ci uwierzę, że dyskusja była tak stymulująca, że trwała przez całą noc.

Palmer uśmiechnął się. - Lauro, kochanie, ty mi zawsze mówisz to samo. Twoje cudowne zielone notatki wskazują na to, że kończysz dyżur o jedenastej, po czym pojawiaasz się o świcie i rzucasz mi łaskawie jakieś zdanie na temat nagłego wypadku. A co by to było, gdybym ci tak powiedział, że my również mieliśmy mały kryzys? Wyleciał nam dodatek do książki profesora Fairbanka i z heroicznym wprost wysiłkiem musieliśmy go pozyszywać.

- Jeśli to miał być żart, to wcale mnie tym nie rozśmieszylesz.

- Ależ, Lauro, mniej więcej od drugiego tygodnia twojej specjalizacji wcale nie mam powodów do śmiechu. Z natury bywam jednak wesołym człowiekiem. Jesteś naturalnie osobą, z którą najbardziej pragnąłbym spędzać czas, ale niestety - coraz bardziej nieosiągalną. Z tej też przyczyny, kiedy paru kolegów z seminarium zaproponowało, żeby pójść na piwo, przyłączyłem się do nich.

- I nawet nie próbowałeś zadzwonić?

- Ależ owszem, kochanie, próbowałem. Dzwoniłem do ciebie co pół godziny, poczynawszy od jedenastej trzydzieści. W domu nie było odpowiedzi, a recepcja w szpitalu nie była w stanie cię zlokalizować. W końcu dałem za wygraną i przyjąłem propozycję przenocowania u jednego ze znajomych na kanapce.

- Bardzo niejasno wyrażasz się na temat tego znajomego, Palmer.

- A czyż ja wypytuję się ciebie o twoich znajomych lekarzy?

- Do cholery, daj już spokój z tą sofistyką! - wybuchnęła. - Dobrze wiesz, że całonocne dyżury wchodzą w zakres moich obowiązków zawodowych. To zupełnie co innego.

- Przepraszam cię bardzo, ale z mojego punktu widzenia nie ma tu żadnej różnicy. Czy przyjemnie ci było spać wczoraj samej?

- Oczywiście, że nie, ale byłam...

- A zatem przekonałaś się, co ja odczuwam prawie każdej nocy - przerwał jej.

- Daj spokój, Palmer, nie mów mi, że wcześniej nie zdawałaś sobie sprawy z tego, jak żyją stażyści i młodszy asystenci. Jeśli to w ogóle można nazwać życiem. Czy sądzisz, że ja lubię, jak kręci mi się w głowie z niewyspania do tego stopnia, że ledwo widzę na oczy? Wcale nie jestem masochistką.

- Żadne z nas nie jest - odparował. - Tobie nie odpowiadają te nocne zmiany i mnie również. - Przerwał i po chwili dodał: - Wszyscy moi koledzy są żonaci, mają

dzieci i cieszą się życiem. Tymczasem ja pod każdym względem żyję jak ten pustelnik. Krótko mówiąc, Lauro, to nie może tak dłużej trwać.

Stali naprzeciw siebie jak dwoje ludzi po przeciwnych brzegach coraz to szerszej rzeki. W końcu ona odezwała się pierwsza ze znużeniem w głosie.

- Ja nie zrezygnuję ze szpitala.

- To dla mnie jasne.

- Jaką zatem proponujesz alternatywę?

- No cóż, jeśli mamy pozostać razem, to będziemy musieli się zdecydować na jakiś kompromis, na jakiegoś rodzaju modus vivendi.

- Wprost przeciwnie, Palmer. Mam wrażenie, że zadecydowałeś już za nas oboje. - Zaczerpnęła głęboko powietrza i zapytała: - No więc gdzie ty właściwie byłeś wczoraj w nocy?

Odpowiedział bez żadnych emocji: - Puszczając się.

Słowo “nieuleczalne” jest wyrazem zakazanym w medycznym słowniku. Chociaż większość lekarzy potrafi na ogół bez większych problemów wymówić słowo “końcowy”, to jednak wielu z nich reaguje alergicznie na specyficzne konotacje słowa “nieuleczalny”. W pewnym sensie zdaje się ono rzutować negatywnie na nich samych. A do tego stwarza bardzo niebezpieczne sytuacje. Krewni takiego biedaka mogą bowiem zadawać kłopotliwe pytania:

- A właściwie dlaczego nie potrafi go pan wyleczyć, doktorze?

W dawnych czasach nieszczęśników zarażonych trądem skazywało się na wygnanie i tym samym izolowało się ich od reszty ludności. Czyniono tak nie tylko ze strachu przed zakażeniem, lecz również dlatego, że społeczeństwo woli ukrywać uporczywie pojawiające się aberracje.

Trąd jest dzisiaj łatwo uleczalny przy zastosowaniu odpowiedniego leku. Jego współczesną analogią są jednak choroby psychiczne.

Współczesna psychiatria jest wszelako o wiele bardziej litościwa dla ofiar tych chorób. Oddziały psychiatryczne dzieli się dziś przeważnie na “uleczalne” i “chroniczne” - czyli na miejsca dla tych, dla których jedyną terapią jest środek tak otępiający jak thorazina, oraz na miejsca dla tych, których być może można jeszcze wyratować z mrocznych przepaści urojeń.

Barney Livingston rozpoczął swoją specjalizację psychiatryczną w lipcu tegoż 1963 roku od pracy na oddziale psychoz (to znaczy wśród “nieuleczalnych”) Szpitala

Bellevue. Jak każdy neofita, ludził się, że będzie w stanie pomóc wszystkim chorym na duszy, toteż otwierając drzwi na oddział Blenheima, nie widział za nimi wcale zatłoczonego muzeum figur woskowych. Nie patrzył też na tamtejszych chorych jak na kilka tuzinów ludzi, z których każdy żyje samotnie, wewnątrz swego prywatnego świata, lecz raczej spoglądał na nich podobnie, jak Dante patrzył na dusze w czyścisku cierpiące, zdecydowany pomóc im się stamtąd wydostać.

Jedna rzecz uderzyła go prawie natychmiast. O tej porze roku ulice Manhattanu były tak gorące, że topił się na nich asfalt. Większość mieszkańców tego oddziału ubrana była jednak niczym Król Lear gotowy do stawienia czoła wichrom szalejącym na wrzosowiskach.

Przypomniawszy sobie wówczas, że chroniczni schizofrenicy często przez cały rok noszą na sobie zimowe ubrania ze strachu, że je im ktoś ukradnie lub że je gdzieś zapodzieją w tym ogromnym niczym magazynie sklepowym pomieszczeniu.

Panowała tam także głęboka cisza.

Od czasu do czasu rozlegało się skądś szuranie pantofli, jakieś pokasływanie czy kichnięcie. Odgłosy te były jednak rzadkie. Zdawało się, że mieszkańcy tej sali są niemi albo że nucą pod nosem jakieś nieznane mantry. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z egzystencji innych ludzi, toteż wejście Sarniego na salę nie zwróciło niczyjej uwagi. Mój Boże! - pomyślał. Jak to się stało, że ci ludzie są tacy?

Nagle podszedł do niego potężny, muskularny Murzyn ubrany w białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

- Robi pan wrażenie zagubionego, doktorze - powiedział przyjaźnie.

- Dzień dobry. Jestem doktor Livingston - powitał swego rozmówcę, który był najwidoczniej pielęgniarzem.

- Oczekiwaliśmy tutaj pańskiego przybycia. Niech pan pozwoli, że zaprowadzę pana do gabinetu pielęgniarek.

- Dziękuję - odpowiedział Barney, rzucając okiem na prawo i lewo.

Przechodząc przez podwójne drzwi, zobaczyli siedzącego obok siwowłosego mężczyznę z pochyloną nad lewym ramieniem głową. Palce jego lewej ręki tańczyły w powietrzu, a prawą dłoń poruszał tam i z powrotem po rozciągniętym lewym ramieniu.

- To Ignac - wyjaśnił Murzyn. - On teraz ćwiczy.

- Ach, tak! - odpowiedział Barney, po czym zebrał się na odwagę i zapytał: - Ćwiczy, ale co?

- Ależ, doktorze, czyż nie widzi pan jego stradivariusa?

- Ach, tak, rozumiem. Ależ oczywiście. Miałem tylko trudności z wyłapaniem dźwięków.

- Doktorze! "Słyszalne melodie są słodkie, lecz te niesłyszalne dla ucha bywają jeszcze słodsze".

Barney uśmiechnął się z uznaniem.

- Bardzo stosowne - odpowiedział z podziwem. - John Keats, również lekarz. A swoją drogą - dodał, wyciągając rękę - nie znam jeszcze pańskiego nazwiska...

- Och! - odpowiedział czarny mężczyzna. - Myślałem, że powiedzieli to panu na dole w pałacu.

- Słucham?

- Czyż nie słyszał pan, że Poncjusz Piłat chce mnie ukrzyżować?

- O Chryste! - wykrztusił Barney, zupełnie wyprowadzony na moment z równowagi.

- Tak, mój synu. Kiedy już zobaczę się z moim Ojcem w piątek wieczorem, to wstawię się u niego za ciebie.

Nagle posłyszeli za sobą zirytowany głos: - Panie Johnson, co też pan tu wygaduje temu młodemu lekarzowi?

Wielki mężczyzna zwrócił się teraz do kogoś, kto wyglądał (a przynajmniej taką miał Barney nadzieję) na przełożoną pielęgniarkę oddziału. Maszerowała w ich kierunku, kiwając na jego przewodnika karcąco palcem.

Towarzysz Barniego szepnął prędko: - Miej się na baczności, mój synu. Ta kobieta jest demonem! To szatan w kobiecej postaci!

W tym momencie pielęgniarka stanęła przy nich.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Jane Herridge. A pan... zapewne doktor Livingston?

- Doktor Livingston? - zapytał z fascynacją w głosie Murzyn. - To w takim razie ja jestem Henry Stanley.

- Panie Johnson, niech pan już sobie stąd idzie i opowiada te swoje bzdury gdzie indziej, boja chcę porozmawiać z doktorem. On z pewnością jeszcze przyjdzie do pana z wizytą.

Pielęgniarka odprowadziła Barniego, zapewniając go jednocześnie, że różnorodne urojenia pana Johnsona były zupełnie niegroźne.

- On właściwie wcale tu nie mieszka. Jest z oddziału ostrego. Pełni tutaj tylko rolę kogoś w rodzaju nieoficjalnego sanitariusza. Mamy tu bardzo mało ludzi, a on jest taki otwarty i świetnie potrafi się obchodzić z innymi pacjentami.

Przypuszczalnie dlatego, że wciela się w tyle postaci - pomyślał Barney. Popatrzył przez ramię na górującą za nim postać pana Johnsona, wznoszącego w pożegnalnym geście rękę.

- "A teraz żegnaj na wieki spokojny umyśle!"

- To Szekspir - wyjaśnił Barney pielęgniarce. - Ale za Boga nie pamiętam, z której pochodzi to sztuki?

Potężny człowiek wykrzyknął z daleka: - Otello, akt trzeci, scena trzecia, wers trzysta pięćdziesiąty pierwszy!

Chwilę później siedzieli bezpiecznie za dźwiękoszczelną szybą pokoju pielęgniarek, popijając kawę z papierowych kubeczków z plastikowymi uchwytami.

- Ten facet jest swego rodzaju geniuszem - zauważył Barney.

Pielęgniarka odpowiedziała mu na to: - Doktorze, sędzę, że na tym oddziale najtrudniejsza do przyjęcia jest świadomość ogromnej ilości straconego talentu, jaka tkwi tu uwieczona. I nie mam w tym momencie na myśli zamków czy krat. Ten talent zamknięty jest w nich samych. I nic na to nie można poradzić.

- Czy jest pani pewna?

Pani Herridge przerwała mu: - Proszę, doktorze Livingston. Nie chcę pana urazić, ale każdego lata przychodzą tu nowi lekarze specjalizujący się w tym kierunku z przekonaniem, że uda im się zamienić ten oddział w jakiś instytut wyższej edukacji. Prawda jest jednak taka, że jest to tylko dom wariatów i nasi pacjenci są już tak zaawansowani w swoim szaleństwie, że nie potrafią zadbać o siebie w normalnym świecie.

Zaczęła pokazywać mu istniejące tam urządzenia. Więzienne okna ani wyściełane pokoje nie były mu obce, chociaż nie mógł się zmusić do nazywania ich celami. Mimo to wyraził pewne zdziwienie na widok pomieszczenia, w którym spali. Sypialnia ich przypominała bowiem ogromny barak letniego obozu wypoczynkowego, tyle tylko, że zamiast sześciu łóżek było tam... - De właściwie ich tu jest, siostrzo?

- Sześćdziesiąt - odpowiedziała. - Wybudowano tę salę na czterdzieści osób, ale zna pan przecież nasze problemy.

Barney zastanawiał się, czy rzeczywiście je znał. Czyżby na świecie panowała epidemia szaleństwa?

- W jaki sposób ich leczycie? - zapytał.

- W zasadzie nie leczymy ich, doktorze. Próbujemy tylko pomóc im przeżyć każdy kolejny dzień. Niech mi pan uwierzy, to nie jest takie łatwe zadanie. Budzić co rano sześćdziesięciu pacjentów, z których każdy śpi na innej planecie, wyprowadzać ich marszem na śniadanie...

- Marszem?

- No, niezupełnie. Usiłujemy jednak zmusić ich, żeby szli parami. Łatwiej nam sobie wtedy z nimi poradzić.

- Niczym w Arce Noego - mruknął Barney z roztargnieniem. - A co robicie potem?

- Dla tych, z którymi możliwa jest jakakolwiek komunikacja, mamy zajęcia ze sztuki i rzemiosła. Próbowaliśmy nawet kiedyś wprowadzić lekcję tańca. Większość z nich stała jednak w miejscu, robiąc to samo, co pan teraz widział, aż do czasu, kiedy nadeszła pora najedzenia. Potem dostają swoje lekarstwa i na tym koniec.

- Na tym koniec?

Na twarzy pielęgniarki pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

- Doktorze Livingston, ich jest sześćdziesięciu, a nas tylko osiem i to łącznie z panem Johnsonem. Musimy podawać im leki uspokajające, inaczej panowałby tu kompletny chaos.

Barney skinął głową. - Jeśli nie sprawi to pani większego kłopotu, to czy mógłbym przejrzeć niektóre historie chorobowe?

- Oczywiście - odpowiedziała, prowadząc go z powrotem do swojego gabinetu.

O cholera! Barney zgłupiał, pobieżnie rzucając okiem na kartoteki i widząc liczbę leków, jakimi karmiono tych pacjentów.

- O Boże - zwrócił się do siostry przełożonej - nawet Superman zasnąłby od tych dawek, które dajecie tym biednym ludziom.

Pani Herridge nie odezwała się ani słowem. Popatrzyła tylko na niego spod oka. Był przekonany, że się mu przygląda, być może nawet próbuje odnaleźć w nim oznaki psychozy.

- Czy coś się stało, pani Herridge?

- Nie, panie doktorze. Dziwi mnie tylko to, że chce się panu tracić tyle czasu na czytanie tych kartotek.

- Na tym przecież polega moja praca, nieprawdaż? - odpowiedział Barney.

- No cóż, pańska praktyka dobiegnie pewno końca, zanim zdąży pan przeczytać historie chorobowe wszystkich pacjentów na tym oddziale. Większość z nich była tu od niepamiętnych czasów. Pani Ridley będzie wkrótce obchodziła dwudziestą piątą rocznicę swego tutaj pobytu, jeśli tylko da się ją o tym w jakiś sposób powiadomić.

A jeśli to, co ich tutaj przywiodło, nie było takie złe jak to, czym się stali przez samo przebywanie w tym miejscu? - pomyślał Barney.

- Pani Herridge, może mi pani powiedzieć, czy kiedykolwiek Wypisano kogoś z tego oddziału?

- Nie w zwyczajnym, szpitalnym znaczeniu tego słowa, doktorze. To znaczy większość z nich to ludzie starsi, którzy...

- Po prostu umierają, żeby się stąd wydostać, co?

Wydawało mu się, że mięśnie jej twarzy drgnęły niepostrzeżenie i pojawiło się na niej coś w rodzaju uśmiechu.

Popatrzyła niecierpliwie na zegarek. - Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale muszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Barney skinął głową. Chce się upewnić, czy wszystkich pacjentów nafaszerowano już pigułkami.

Wstał grzecznie. - Ja również powinienem już iść. Będę tu jutro wcześniej rano, w pełnej gotowości do pracy.

Ukrył w ten sposób prawdziwą przyczynę: bał się pozostać sam na sam z duchami żywych ludzi.

Kiedy zbliżali się do końca tego gigantycznego korytarza, usłyszał pewien dźwięk, coś podobnego do skowytu, który wydawał mu się błaganiem o pomoc.

Zatrzymał się i wolno spojrział w lewo. Był tam młody mężczyzna; a przynajmniej nie wyglądał tak staro jak reszta pacjentów.

Stał nieruchomo, wydając z siebie przerywane jęki. I patrzył przed siebie w przestrzeń.

Spotkali się wzrokiem. Barniemu zdawało się, że nawiązali jakiś kontakt.

I przez moment miał wrażenie, że zobaczył w jego oczach dziwny błysk, jakby tamten nagle go rozpoznał. Czy ten mężczyzna mnie zna? Czy spotkali się kiedyś poza tymi ścianami, na zewnątrz, w normalnym świecie?

Przystanął mocno zaskoczony. Pani Herridge odezwała się głośno, tak jakby zakładała, że pacjenci, nawet jeśli nie są głusi, to i tak nie rozumieją, co się obok nich

mówi: - Niech pan nie zwraca na niego uwagi, doktorze. To tragiczny wypadek. Usiłował zabić swoją żonę i dzieci. Okropna historia. Czy pójdzie pan dalej?

Barney skierował się w stronę wyjścia. Zanim opuścił salę, spojrzął ukradkowo na jęczącego mężczyznę i powtórzył sobie w duchu: - Przysięgam na Boga, że znam skądś tego człowieka.

Teoretycznie rzecz biorąc, Bennett Landsmann miał ostatnie dwa tygodnie sierpnia wolne - dla zaczerpnięcia oddechu, odespania zmęczenia czy też łapania ryb.

Parę lat wcześniej Herschel i Hannah kupili letni dom w Truro na Cape Cod. Pragnąc, aby ich syn czuł się bardziej swobodnie, kiedy będzie przyjeżdżał do nich w odwiedziny ze swoją dziewczyną, specjalnie wybrali posiadłość z osobnym, małym domkiem dla gości.

To właśnie tam spędził Bennett ostatnie tygodnie sierpnia 1958 roku po powrocie z Oksfordu i przed rozpoczęciem Szkoły Medycznej.

Landsmannowie bardzo się cieszyli, kiedy przyjechał razem z Robin Winslow, o której pisał tak często. Wnioskowali z tego, że była to dziewczyna, z którą Bennett zamierzał się ożenić.

Od czasu do czasu wyjeżdżali razem, aby zwiedzać Nową Anglię. Hannah była pewna, że podczas którejś z tych wycieczek rozmawiali z przedstawicielami Harvardu o możliwości przyjęcia ich na tę uczelnię.

Robin była kruczowłosą studentką Oksfordu, która wygrała bardzo prestiżowe stypendium w Lady Margaret Hall, gdzie studiowała fizjologię.

Jej osiągnięcia były tym bardziej wyjątkowe, że pochodziła z Południowej Afryki. Zdaniem Bennetta, dzieliła z nim jedną specjalną cechę - nie była ani czarna, ani biała. Urodziła się bowiem w swoim rodzinnym kraju na tej bezpańskiej ziemi przeznaczonej dla rasowych mieszańców - Cape Coloreds.

Landsmannowie bardzo ją polubili. Miała ogromne poczucie humoru i mimo swoich przeżyć nie była wcale rozgoryczona. Jasne było też dla nich, że Ben był w niej zakochany po uszy.

Tuż przed Dniem Pracy, kiedy odwozili Robin na lotnisko Logan, przyrzekli sobie solennie, że spędzą razem następne święta Bożego Narodzenia.

Ku ogromnemu zdziwieniu i rozczarowaniu rodziców, zaledwie tydzień po rozpoczęciu Szkoły Medycznej Bennett oświadczył im chłodno, że oboje z Robin

postanowili zerwać ze sobą. Nie podał im żadnych szczegółów. Nie wymagali też tego od niego.

- Jest już dorosłym mężczyzną - stwierdził Herschel. - Nie musi się nam z niczego tłumaczyć.

Chociaż więc nadal jeździł tam do nich co roku w sierpniu, to jednak zawsze przyjeżdżał sam. Nigdy też nie pytali go, dlaczego. Jednakże w lecie 1963 roku Bennett wcale do nich nie przyjechał.

- Zamierzam przyłączyć się do marszu doktora Kinga na Waszyngton - powiadomił ich telefonicznie.

W słuchawce nastąpiła cisza. Żadne z jego rodziców nie wiedziało, jak na to zareagować. Gazety informowały o licznych groźbach gwałtów ze strony białej większości. Wiedzieli, że Bennett nie rzuci pierwszy kamieniem, ale równie dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że pierwszy przystąpi do akcji, jeśli kamienie posypią się z przeciwnej strony.

W końcu Herschel odezwał się: - Podziwiam tego doktora Kinga i dumny jestem z ciebie, że bierzesz w tym udział. Ale, Bennett, proszę cię, przyrzeknij mi, że będziesz ostrożny.

- Przyrzekam ci, nic się nie bój - odpowiedział Bennett. - Przyrzekam wam, że nie będę się wdawał w żadne rozmowy z ludźmi w białych prześcieradłach.

Herschel roześmiał się nerwowo. - Do widzenia. Zadzwoń jednak, żebyśmy wiedzieli, że wszystko jest w porządku.

- Dobrze, zadzwonię. Ucałowania dla was obojga.

Odłożyli słuchawki i Herschel poszedł do kuchni.

- Może wyjdziemy na spacer?

- O tej porze? Przecież jest już ciemno!

- Daj spokój - nalegał. - Przecież świeci księżyc. Przy blasku promieni odbitych w wodzie będzie tu co najmniej tak jasno jak zimą w Cleveland.

Nałożyli więc swetry i trzymając się pod rękę, poszli na przechadzkę wzdłuż spokojnej, opuszczonej plaży.

- Herschel - odezwała się w końcu Hannah. - Co ci leży na sercu?

Patrzył przez chwilę na cofającą się falę, po czym odpowiedział:

- No cóż, to musiało kiedyś nastąpić.

- Co takiego?

- Już go straciliśmy - szepnął.
- Straciliśmy? Tylko dlatego, że dwudziestoosmiolatek nie przyjedzie zobaczyć się w lecie ze swoimi rodzicami?
- Z przybranymi rodzicami, Hannah. Ben wraca do siebie, do domu.
- Ależ jego dom jest przy nas - odpowiedziała.
- Nie, kochanie Powinniśmy się cieszyć tym, co nam było dane. Wypożyczono go nam tylko na chwilę. Jego dom jest wśród jego ludzi.

Rozdział XXIX

*O, w głębi serca
wierzą,
że pewnego dnia zwyciężymy.*

Dwudziestego ósmego sierpnia 1963 roku tłum zebrany w palącym słońcu przed pomnikiem Lincolna w Waszyngtonie liczył prawie ćwierć miliona ludzi. Zmobilizowano więc każdego z sześciotysięcznej rzeszy policjantów tego rejonu. W pełnej gotowości stały również cztery tysiące żołnierzy piechoty morskiej. Marsz jednak odbył się bez najmniejszego incydentu. Tłum nie był bowiem zgrają buntowników, lecz gronem ludzi odpowiadających na apel Martina Luthera Kinga, który wezwał “sumienia narodu do stawienia się przed sąd”.

Na wiecu przemawiali przedstawiciele grup walczących o prawa cywilne, poczynając od czcigodnego już Krajowego Stowarzyszenia

Podniesienia Poziomu Kulturalnego Kolorowych do nowszych, bardziej aktywnych organizacji, takich jak Kongres Równości Rasowej i jeszcze bardziej impulsywnego Studenckiego Pokojowego Komitetu Koordynacyjnego. Bez względu jednak na ich indywidualne przekonania, wszystkich porwała namiętność doktora Kinga.

Pragnę, aby pewnego dnia kraj ten powstał i zaczął żyć wedle prawdy swego credo: »uważamy to za prawdę oczywistą, że wszyscy ludzie są równi...«

Marzę o tym, żeby czwórka moich dzieci żyła pewnego dnia w kraju, gdzie będzie się ich osądzać nie wedle koloru skóry, ale wedle cech ich charakterów.

Słyszając te słowa, ogromny tłum zaczął wiwatować. Wielu ludzi płakało ze wzruszenia. Jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stał Bennett, zemdląła młoda Murzynka, ofiara palącego słońca i gorączki podniecenia.

Ben przepchał się przez otaczający ją tłum, krzycząc głośno:

- Jestem lekarzem! Jestem lekarzem!

W mgnieniu oka klęczał u boku dziewczyny.

- Czy wszystko w porządku? - dopytywało się kilka zgromadzonych wokół nich osób.

Skinął głową. - Musimy ją szybko przenieść do punktu pierwszej pomocy.

- Jeden z nich znajduje się tuż za pomnikiem - odpowiedział jakiś młodzieniec, wskazując w kierunku marmurowego krzesła prezydenta Lincolna. - Zaprowadzę tam pana.

Bennett podniósł pacjentkę i starając się utrzymać nieco wyżej jej głowę, rozkazał tłumowi, żeby się rozstąpił. W chwilę potem znaleźli się w cieniu białego namiotu z powiewającą flagą Czerwonego Krzyża.

- Hej, jest tam ktoś? Mam tu ciężki przypadek hipertermii. Potrzebuję dożylniej kroplówki z solanki i paru zimnych ręczników. Trzeba jej też sprawdzić ciśnienie krwi.

- Spokojnie, bracie - zawołała jakaś ochotniczka. - Połóż ją tu na łóżku, a ja zawołam lekarza.

- Nie denerwuj się, dziewczyno - zignorował jej słowa Bennett. - Jestem lekarzem, więc lepiej mi pomóż, dobrze?

Ochotniczka pomogła mu położyć nieprzytomną kobietę na łóżku. Bennett nie mógł jednak powstrzymać się od myśli: O Jezu, nawet tutaj, w cieniu Lincolna, gdzie słowa Martina Luthera Kinga ciągle jeszcze wiszą w powietrzu, ta moja duchowa siostra nie była w stanie uwierzyć, że jestem prawdziwym lekarzem.

W tym momencie stawiała się na wezwanie oficjalna lekarka i podchodząc do nich, roześmiała się. - Landsmann, a gdzieżeś ty się, u diabła, podziewał? Przydałaby mi się dzisiaj twoja pomoc.

Była to Laura. Uśmiechnął się szeroko.

- Castellano, co taka grzeczna dziewczynka jak ty tutaj robi?

- A jak myślisz, piekę ciastka?

Jeden z towarzyszących jej studentów nadbiegł ze stojakiem do kroplówki i butelką solanki.

Laura założyła kroplówkę, a Bennett wbił igłę w ramię swojej nadal nieprzytomnej pacjentki.

- Tak jak za dobrych starych czasów, co? - zapytał.

- Aha! - uśmiechnęła się. - Teraz wydaje mi się, że robiliśmy te zastrzyki pomarańczom chyba z milion lat temu.

Owinęła nylonowy mankiet wokół prawego ramienia nieprzytomnej dziewczyny i przyłożyła stetoskop do zgięcia łokcia.

- O mój Boże! - krzyknęła. - Ciśnienie krwi sięga nieba. Musimy zawinąć ją w mokre prześcieradła.

- A masz tu jakieś?

- Mam stos ręczników i kilka pojemników zimnej wody. To będzie musiało wystarczyć. Rozbierz ją, a ja je przyniosę.

Laura wybiegła z pomieszczenia, a Bennett odwrócił się i spojrzał na młodą kobietę. Z powodu rurki kroplówki tkwiącej w ramieniu zdjęcie koszulki było raczej niemożliwe. Chwył więc za materiał przy szyi i rozdarł go z góry na dół.

Dziewczyna nie miała na sobie biustonosza. Bennett poczuł nagle zawstydzenie.

Laura wróciła z mokrymi ręcznikami i oboje owinęli nimi piersi i plecy kobiety.

- A co z jej spodniami? - zapytała niecierpliwie. - Musimy również owinąć jej nogi. Pospiesz się i ściągnij z niej dżinsy.

- No tak, oczywiście - odpowiedział, usiłując zachować kliniczną obojętność.

- Pospiesz się, Landsmann - ponaglała Laura. - Jestem już cała mokra od dźwigania tych ręczników.

Bennett szarpnął brązowy zatrask lewisów, rozpiął zamek i zaczął z niej ściągać spodnie.

Dżinsy były jednak tak ciasne, że zsunął je razem z majtkami. Po chwili dziewczyna była zupełnie naga. Miała jędrny, płaski brzuch i pięknie uformowane uda o barwie kawy.

Zanim zdążył skarcić samego siebie za te nieprofesjonalne myśli, Laura rzuciła w niego kilkoma ręcznikami i rozkazała: - W porządku, Ben, przestań się gapić i dobrzej tym okryj. Mam tu pół tuzina innych ludzi z hipertermią, którymi się jeszcze nie zajęłam.

Bennett nie zdołał nawet odpowiedzieć, bo Laura zniknęła z pola widzenia. Uklęknął przy swojej Śpiącej Królownie i zaczął przypominać sobie metody ratowania ofiar udaru słonecznego, jakich uczono go w Szkole Medycznej.

Najważniejsze rzeczy zostały już zrobione, wiedział jednak, że w zależności od powagi stanu istniała możliwość napadu drgawek. Sprawdził dziewczynie kroplówkę, gdyż jej organizm potrzebował zarówno płynów, jak i soli. Potem przyklęknął ponownie i zaczął masować jej stopy i ręce - jedyne odkryte części ciała.

Po kilku minutach zabiegi poskutkowały. Młoda kobieta zaczęła kręcić głową, jakby pragnęła oprzytomnieć, a potem przebudziła się.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotała słabym głosem. - Skąd się na mnie wzięły te szmaty? Zimno mi.

- To dobrze - odpowiedział Bennett. - To dobry znak.

- Kim ty jesteś?

- Nic się nie bój. Jesteś w namiocie Czerwonego Krzyża. Czy pamiętasz coś z tego, co się stało, zanim zemdliałaś?

- Słowa doktora Kinga: "Marzę o tym..." A co się później stało?

- No cóż, sądzę, że potem sama pograżyłaś się w świecie marzeń - odpowiedział Bennett, uśmiechając się.

- Innymi słowy: zemdlalam, co?

Skinął głową. - Byłaś w stanie cholernie poważnej hipertermii. Właściwie nadal w nim jesteś, więc leż tu spokojnie. Czy sądzisz, że możesz już przyjąć płyny doustnie?

- A jakżeż, do cholery, można je inaczej przyjmować? - spytała z uśmiechem.

- Spójrz na swoją rękę - odpowiedział Bennett. - Piła za ciebie przez ostatnie pół godziny. Widzę jednak, że zaczynasz pyskować. Przypuszczam więc, że czujesz się już lepiej. A swoją drogą, jak ci na imię?

- Anita. I wobec tego proszę o szklanek wody. A tobie?

- W tej chwili nazywam się Gunga Din. Leż tu spokojnie, a ja przyniosę ci to H₂O. - Wybiegł z namiotu i po chwili wrócił z kubkiem wody w rękę. - Wypij to - powiedział, podpierając ją prawym ramieniem. - Są w tym elektrolity.

- Co takiego?

- Różne rodzaje jonów dla zastąpienia tych minerałów, które straciłaś.

- Gadasz jak jakiś doktor - zauważyła.

- Bo może nim jestem - zażartował.

- Jak długo mam tu siedzieć jak ta mumia?

- Dopóki nie będziemy pewni, że jesteś już w porządku. Tymczasem spróbuję zdobyć jakieś ubranie dla ciebie.

- Ubranie? A co się, do cholery, stało z tym, co miałam na sobie?

- Przykro mi, ale musiałem je z ciebie zedrzeć, wykonując moje kliniczne obowiązki.

- Mogę się założyć, że dobrze mi się przyjrzałeś - powiedziała drwiąco.

- Skoro tak myślisz - odpowiedział z uśmiechem. - Udało mi się wszelako uratować twoje dzinsy. Czy jest ktoś może tutaj z tobą?

Skinęła twierdząco głową. - Przyjechałyśmy tu grupą z Uniwersytetu Spelmana w Atlancie.

- To dobrze. Sądzę, że oni są gdzieś w pobliżu. Widziałem przed chwilą parę dziewcząt, wymachujących waszym uczelnianym proporcem. Zobaczę, może któraś ma jakąś koszulkę, którą mogłabyś nałożyć.

Na zewnątrz namiotu popołudniowy skwar zaczął w końcu słabnąć. Bennett odnalazł stadko przyjaciółek Anity, z których jedna zabrała wcześniej jej plecak i teraz zwróciła mu go.

- Aha! - powiedział, zbliżając się do jej łóżka. - Widzę, że przyjechałaś tu rzeczywiście przygotowana. Myślałaś może, że zaproszą cię na kolację do Białego Domu?

- Nie kpj sobie ze mnie, bracie. Kiedy Ruch nasz zbierze się do kupy, będziemy mieli swojego człowieka w Gabinetce Owalnym. I to bynajmniej nie do czyszczenia podłóg.

- Czy rzeczywiście wierzysz, że dożyjemy tego? - zapytał poważnie.

- Bracie, nie mam zamiaru umierać, zanim to nie nastąpi. Nawet jeśli potrwa to ze sto lat. A jakie ty masz marzenia?

- No cóż, na tym etapie mojej medycznej kariery powiedziałbym, że chciałbym się choć raz dobrze wyspać.

- To wszystko, doktorze?

- Na imię mi Bennett. Owszem, to wszystko. Jeśli zdecyduję się na chirurgię, będę miał szczęście, gdy uda mi się przespać dwadzieścia godzin w tygodniu przez następne pięć lat. Prawdę rzekłszy, powinienem już być w tej chwili na dyżurze. Namówiłem jednak jednego z moich bardziej liberalnych kolegów, żeby wziął moją zmianę. Oznacza to, że dzisiaj wieczorem po powrocie będę pracował prawie pięćdziesiąt godzin bez przerwy.

Wstał z kolan.

- Muszę się spieszyć, żeby zdążyć na samolot o siódmej trzydzieści. Czy mógłbym cię gdzieś podzucić, Anito?

- Samolotem?

- Zażywasz coś czy też zawsze jesteś taka narwana?

- Zawsze, chyba że padam ofiarą udaru słonecznego. Na ogół jednak jestem beczką śmiechu.

Bennett spojrział na zegarek. A potem popatrzył znowu na Anitę, zastanawiając się prędko nad alternatywą: jeśli złapie samolot, to straci dziewczynę, ale jeśli tu zostanie, to szpital mógłby próbować pozbyć się go. Przyglądał się, jak dwie z jej

przyjaciółek pomagały jej włożyć nowy podkoszulek. Miała rzeczywiście niezłą figurę. A, do diabła! - pomyślał sobie. Taka szansa może mi się już nigdy nie trafić.

- Anito, czy mógłbym zaprosić ciebie - no i oczywiście twoje przyjaciółki - na mały pożegnalny posiłek, zanim każde z nas rozjedzie się w swoją stronę? A poza tym sądzę, że powinienem cię jeszcze mieć na oku, żeby upewnić się, że pijesz odpowiednią ilość płynów.

Anita zgodziła się. Jej przyjaciółki zareagowały jeszcze bardziej entuzjastycznie.

- To świetnie, pozwólcie tylko, że się wymelduję u jednej z moich koleżanek.

Bennett podszedł do Laury zakładającej komuś następną kroplówkę.

- Dzięki Bogu, że słońce chyli się już powoli ku zachodowi - powiedziała na jego widok. - Czy możesz trochę poczekać, Ben, to poszlibyśmy gdzieś napić się czegoś?

- Przykro mi - odpowiedział trochę zażenowany. - Właśnie zobowiązałem się do spotkania z kimś innym.

- W porządku - uśmiechnęła się Laura wszechwiedząca. - Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jak poważne są twoje zobowiązania. Może innym razem, co?

- Tak, tak, oczywiście. A swoją drogą, jak się ma Palmer?

Wyczuła, że spieszyło mu się do wyjścia, więc odpowiedziała tylko: - W porządku. Przekażę mu twoje pozdrowienia.

Kiedy Bennett wyszedł, Laura pomyślała sobie: Palmer faktycznie ma się dobrze i prawdę rzekłszy, ja również. Tylko nasze małżeństwo jest chore.

W czasie kolacji u pobliskiego Sloppy'ego Joe Bennett zastanawiał się nieustannie, dlaczego Anita nalegała, aby jej przyjaciółki usiadły obok niego przy stole, podczas gdy sama wolała siedzieć naprzeciwko.

Pomijając tę tajemnicę, wszyscy bawili się dobrze. Popołudniowa demonstracja wywarła na nich wyjątkowo silne wrażenie. Mogli być z siebie dumni. Bennett spojrzał ponownie na zegarek. Ostatni samolot był już w powietrzu. Będzie musiał spędzić noc w Waszyngtonie.

Tylko czy sam?

Pozostałe dziewczyny z Uniwersytetu Spelmana dawały mu delikatnie do zrozumienia, że chętnie ulżyłyby mu w jego samotności. Anita jednak trzymała się na uboczu.

Odprawiając je do autobusu, postanowił, że spróbuje po raz ostatni. Wymanewrował wreszcie tak, że znalazł się u jej boku, zatrzymując ją o parę kroków z tyłu.

- Hej - zaczął ją strofować. - Pamiętasz mnie jeszcze? Dzisiaj rano uratowałem ci życie. Czyż nie należy mi się chociaż numer twego telefonu w dowód wdzięczności?

Po raz pierwszy zmieszala się. - Bennett, fajny z ciebie facet i wdzięczna ci jestem za to, co dla mnie zrobiłeś. Ja jednak mam już kogoś.

- O! - odpowiedział Bennett, usiłując ukryć rozczarowanie. - Kim jest ten szczęśliwiec?

- Jest żołnierzem w Marynarce Wojennej. Właśnie zaczyna Szkołę Podoficerską. Mamy się pobrać, jak tylko ją skończy.

- Może wobec tego zaprosisz mnie na swoje wesele?

- Oczywiście - odpowiedziała Anita z uśmiechem. Oboje wiedzieli jednak, że były to tylko ciche żarty.

Kiedy autobus dziewcząt odjechał, Bennett skierował się na stację i kupił bilet na nocny pociąg do New Haven. W trakcie tej długiej podróży usiłował przymknąć na moment oczy, lecz nie był w stanie zasnąć.

Barney przez całą noc nawet nie zmrużył oka. Nieustannie prześladował go widok ostatniego mieszkańca oddziału Blenheim. Nazajutrz o jedenastej miało się odbyć zebranie wszystkich pracowników oddziału z naczelnym dyrektorem.

Starał się jak najdłużej przeleżeć w łóżku, ale o piątej trzydzieści nie wytrzymał. Musiał sprawdzić tę sprawę. Wstał, naciągnął na siebie ubranie i rozczochrany skierował się, ziewając, w stronę "krajiny nieuleczalnych".

Strażnik przyjrzał mu się z ciekawością i Barney zorientował się wówczas, że zapomniał użyć grzebienia i włożyć koszulę do spodni. W jaki sposób uda mu się zatem przekonać strażnika, że jest tu legalnie zatrudniony?

- Dzień dobry, panie doktorze - powitał go przyjaźnie strażnik.

Barney nie mógł powstrzymać się od pytania: - Skąd wiesz, że jestem doktorem? Wyglądam przecież tak niechlujnie.

Mówiąc to, wsunął pospiesznie koszulę do spodni.

- Niech pan nie zapomni o rozporoku, doktorze - odpowiedział uprzejmie strażnik. - Prawda jest taka, że wszyscy lekarze po nocnej zmianie wyglądają jednakowo. To pacjenci potrzebują lekarstw, żeby spać jak u Pana Boga za piecem.

Barney wszedł na salę i jak najciszej przeszedł przez ogromny głuchy "pokój rekreacyjny". A potem skierował się w stronę gabinetu pielęgniarek, w którym siedziała młoda, ładna Portorykanka o nazwisku Valdez.

Wzdrygnęła się, pomimo że Barney uprzednio grzecznie zapukał. Nikt nigdy nie przychodził tam o tej porze, pomiędzy nocą i dniem, chyba że w czasie nagłego wypadku, sygnalizowanego zazwyczaj przez dzwonek alarmowy.

- Czy mogę panu w czymś pomóc, doktorze? - spytała.

- Owszem, chciałbym zobaczyć kartotekę jednego z pacjentów.

- Teraz? - spytała, spoglądając na zegarek. - Zebranie pracowników jest dopiero...

- Dopiero rozpocząłem tu specjalizację - odpowiedział. - Chciałbym wcześniej zabrać się do pracy.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedziała nadal niepewna właściwych motywów Barneyego. - O którego pacjenta panu chodzi?

- Właściwie nie mogę pani powiedzieć. Jeśli jednak pójdzie pani ze mną do sypialni, to pokażę go pani.

Siostra Valdez spełniła jego życzenie. Po siedmiu latach pracy na oddziale psychiatrycznym nie dziwiło jej już żadne zachowanie pacjenta czy też lekarza.

Wszyscy chorzy spali jeszcze, kiedy Barney i pielęgniarka weszli do olbrzymiej sypialni. Ich pochrapywania, pomruki i jęki tworzyły rodzaj koszmarnej symfonii. Zaczęła po kolei oświetlać latarką leżące na poduszkach twarze. Nagle Barney pochwycił ją za ramię.

- To on! To ten facet! Jak on się nazywa?

Skierowała światło latarki na poręcz łóżka, na której zawieszona była karta pacjenta. Barney pochylił się i odczytał: CASSIDY, Kenneth, data urodzenia - 17 lipca 1932 r.

Barney był wstrząśnięty. Ten cień człowieka? Czy to możliwe, żeby to był Ken Cassidy, zuchwały trener drużyny koszykarskiej Kolumbii?

Wiedział jednak, że to musiała być prawda.

- Dziękuję - wyszeptał, usiłując zachować spokój. - Chciałbym teraz zobaczyć jego kartotekę.

Barney usiadł w gabinecie pielęgniarek i popijając słonawą kawę z dużą ilością cukru, zaczął czytać raport o stanie zdrowia Kena Cassidy'ego.

Pacjenta przyjęto do szpitala dwa lata wcześniej, po wyjątkowo gwałtownym napadzie szału. Mimo że nie przejawiał uprzednio żadnych objawów psychicznej degeneracji, nagle ni stąd, ni zowąd pochwycił siekierę i zaczął rąbać nią własny dom. Żona uciekła z córkami do kuchni i gdyby nie to, że wezwana przez sąsiadów policja stawiła się na czas, z całą pewnością byłby je pozabijał. Zbadał go lekarz o inicjałach VM, którego Barney nie znał, po czym został przyjęty na oddział Blenheima przez głównego dyrektora, profesora Stanleya Avery'ego.

- Dzień dobry, doktorze Livingston. Ale z pana ranny ptaszek! Była to siostra Herridge, przychodząca na dyżur, żeby we dwójkę z siostrą Valdez zacząć poranne budzenie pacjentów. W parę sekund później nadszedł sanitariusz.

- Panie prezydencie - powiedział. - Czuję się potwornie z tego powodu, że pana zawiodłem.

- W jaki sposób?

- Jako Naczelnny Dowódca Armii Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku nie powinienem utracić Okinawy. Niech mi pan jednak wierzy, ja tam jeszcze powrócę!

- Jestem tego pewny, generale MacArthur - odpowiedział Barney. - A teraz może byśmy tak wszyscy zaczęli budzić wojska?

Johnson wyprężył się na baczność i zaszalutował swojemu przełożonemu: - Tak jest, panie prezydencie!

Barney obserwował rytuał budzenia pacjentów, pomagając tam, gdzie mógł (choć w rzeczywistości nie bardzo wiedział, co robić). Kiedy tylko zmuszono Kena do umycia twarzy i zębów (tego dnia nie było golenia - robił to za nich Johnson), Barney ujął go za ramię i zaprowadził do cichego kąta.

- Panie Cassidy, wczoraj wydawało mi się, że mnie pan rozpoznał. Pan mnie pamięta, prawda? To ja byłem tym, który lubił grać poniżej pasa. To ja jestem tym facetem, który tak dosolił panu w dupę w drużynie koszykarskiej Kolumbii. Nadal lubi pan koszykówkę, prawda, Ken?

Cassidy stał nieruchomo niczym posąg z granitu. Nie potrafił skoncentrować na niczym wzroku, a wyraz jego twarzy nie wskazywał na to, aby rozumiał cokolwiek z tego, co powiedział mu przed chwilą jego rozmówca. Barney złapał go za ramiona, jakby próbując go tym gestem obudzić.

- Koszykówka, Ken! - powtórzył. - Wrzucanie piłki do kosza, raz, dwa, trzy!

Nie było żadnej reakcji. Podniósł głos, tak jakby sama liczba decybeli była w stanie przedostać się do czaszki tego chorego człowieka. - Do ataku Lwy! Naprzód Kolumbio!

Nieumiarkowane potrząsanie Barniego odniosło wreszcie skutek. Cassidy zamachnął się nagle i uderzył go obiema pięściami w piersi. Barney zatoczył się i runął na ziemię.

Zawsze czujny pan Johnson natychmiast skoczył na pomoc członkowi personelu. Złapał chwiejącego się na nogach Kena w miażdżący, niedźwiedzi uścisk, upominając go równocześnie: - Niech pan uważa, co pan robi, panie Cassidy. Co prawda, wycofałem się już z ringu, ale stary Joe Louis ma w sobie jeszcze sporo ognia. Nie zapominaj pan, że przeszedłem przez wiele rund bez żadnej porażki.

Cassidy rzucał się i kopał pomimo coraz mocniejszego uścisku "Joe Louisa". Johnson popatrzył niespokojnie na Barniego, który zbierał się wolno z podłogi.

- Nic się panu nie stało, doktorze? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Barney. - Dziękuję. Dziękuję panu, panie... Louis, za uratowanie mi życia.

- Nie ma za co - odpowiedział Johnson. - Z niego żaden Max Schmeling. Czy mam poprosić pielęgniarkę, żeby dała mu zastrzyk?

- Tak, sądzę, że tak - odpowiedział Barney, czując się odpowiedzialny za obecny stan tego biednego człowieka. Dwadzieścia minut później Ken Cassidy spał spokojnie na swoim łóżku, a Barney, Johnson i pani Herridge przyglądali mu się uważnie.

- Ominie go śniadanie - zauważył Barney ze skruchą.

- Niech się pan nie martwi, doktorze. Dopilnuję, żeby go nakarmiono, jak się obudzi - zapewniła go pielęgniarka.

- Kiedy on, pani zdaniem, oprzytomnieje?

- Powiedziałaabym, że odzyska przytomność i będzie już spokojny za niespełna godzinę.

- To dobrze - stwierdził Barney. - Zejdę na dół do kawiarni i zaraz tu wrócę.

- Nie zapomniał pan, doktorze, że o jedenastej jest zebranie personelu? - przypomniała mu siostra Herridge.

- Właśnie dlatego chcę tu być przed dziesiątą - odpowiedział Barney.

Po godzinie wrócił uczesany i ogolony, przyzwyczajony prezentując się przed konferencją z kolegami. Przedtem jednak chciał przeprowadzić pewne zawodowe

badania. Z siostrą przełożoną u boku podszedł do łóżka Cassidy'ego. Zgodnie z jej przewidywaniami, chory był teraz wespółprzytomny. Barney wyciągnął z kieszeni marynarki oftalmoskop i zaczął oglądać jego oczy. Sprawdził rutynowo lewe oko, po czym pochylił się nad prawym i pozostał nad nim bez ruchu przez dłuższą chwilę.

- Czy mogłabym wiedzieć, co pan właściwie robi, doktorze Livingston? - zapytała pani Herridge z odrobiną zniecierpliwienia w głosie. - Ten człowiek został już przecież dokładnie zbadany.

- Jak dawno temu? - zapytał Barney. Podała mu teczkę. - Niech pan sprawdzi.

Barney przerzucił kartki, szukając istotnych informacji. Wreszcie je znalazł. - Osiemnaście miesięcy temu. O Chryste Nic dziwnego!

- Słucham, panie doktorze?

Wyprostował się.

- Dziękuję pani, pani Herridge. Była pani wspaniała. Zobaczymy się na zebraniu personelu.

Było ich tam siedmiu: Barney, Joseph Leder, będący na drugim roku specjalizacji, Vera Mihalic, prosta jak struna i równie napięta młoda kobieta w grubych okularach, będąca na ostatnim roku specjalizacji, profesor Avery oraz trzy pielęgniarki. Obecność pana Johnsona na zebraniu nie została uznana za konieczną, chociaż zeszłego roku przez prawie miesiąc utrzymywał, że jest Zygmuntem Freudem.

Avery przedstawił Barniego kolegom, po czym zaczęto omawiać nowe przyjęcia - parę paranoidalnych schizofreników, którzy wymagali natychmiastowego leczenia szpitalnego i dla których trzeba było znaleźć dwa łóżka.

Siostra Herridge wyraziła sprzeciw: - Przepraszam bardzo, panie profesorze, ale już jesteśmy wystarczająco przepełnieni. Jeśli zaczniemy wciskać na siłę kolejne dodatkowe łóżka, to skończymy jak jakaś czarna dziura w Kalkucie.

- Przyjąłem twoje obiekcje, Jane - odpowiedział Avery. - Czy jest może ktoś, kogo dałoby się gdzieś przesunąć?

Barney podniósł rękę.

- Tak, Barney?

- Sądzę, że moglibyśmy oddać łóżko pana Cassidy'ego komuś innemu, panie profesorze.

W pokoju zapanowała pewna konsternacja, gdyż wszyscy wiedzieli już o porannym incydencie.

- Czy mówi pan poważnie? - zapytał Avery. - Czyż jego dzisiejsze zachowanie nie było, pańskim zdaniem, wystarczającym dowodem powagi jego stanu?

- Owszem, panie profesorze - odpowiedział Barney. - Tylko że ten człowiek wcale nie jest psychotyczny.

- Co takiego? - zapytał Avery tonem człowieka, któremu ktoś nadepnął na profesjonalny palec u nogi. - A jakież to oddział zaproponowałby pan dla tego uosobienia fizycznej przemocy i gwałtu?

- Neurologię, panie profesorze - odpowiedział Barney. - Uważam, że jego społeczne zachowanie jest wynikiem ucisku wewnątrzczaszkowego.

- To z pewnością zostałyby uchwycone w czasie badania pacjenta, doktorze Livingston. A może uważa pan, że posiada pan rentgenowski wzrok?

- Nie, panie profesorze - odpowiedział Barney. - Przed chwilą zbadałem go jednak za pomocą oftalmoskopu.

- No cóż, to samo zrobiła doktor Mihalic. Ja również sprawdzałem to w momencie jego przyjęcia. Wydaje mi się, że doktor Mihalic badała go ponownie niewiele ponad rok temu. Jakie zatem nowe dane oferuje nam pan dzisiaj?

- Panie profesorze - brnął dalej śmiało Barney - oponiak mógł jeszcze wtedy nie być taki widoczny.

Vera Mihalic zaprotestowała: - Mam już za sobą specjalizację neurologiczną i zapewniam pana, doktorze Livingston, że gdyby istniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo wewnątrzczaszkowego nowotworu, naciskającego na jego ośrodki mózgowe, byłabym w stanie to wychwycić. Ten człowiek jest paranoidalnym schizofrenikiem ze skłonnościami do morderstwa.

A ty jesteś zasuszoną suką, która boi się przyznać do własnych błędów - pomyślał sobie w duchu Barney.

Avery zainterweniował, pragnąc nie dopuścić do sprzeczki wśród swoich współpracowników.

- Czy empiryczny sprawdzian nie byłby najlepszym sposobem rozwiązania tej sytuacji?

- Naturalnie! - Barney i Vera odpowiedzieli niemal jednocześnie.

O jedenastej trzydzieści pan Johnson przytrzymał pacjentowi mocno ręce na plecach, podczas gdy profesor Avery, a potem doktor Mihalic, doktor Jeder i na koniec Barney zaglądali kolejno do jego mózgu poprzez źrenicę prawego oka. Żadne z nich nie mogło zaprzeczyć wyraźnej obecności nowotworu.

W południe przeniesiono Kena Cassidy'ego na neurologię, a operację zaplanowano na następnego dnia rano. Po dwudziestu czterech godzinach usunięto mu nowotwór z czołowego płata mózgu, a po kilku dniach neuropatologowie orzekli, że była to postać łagodna.

Barney poznał wkrótce następną istotną zasadę dotyczącą przywilejów w medycznej hierarchii. To Avery w towarzystwie neurologa przekazał dobrą nowinę Kenowi Cassidy'emu, który leżał u siebie w pokoju, trzymając żonę za rękę.

Barney wszedł tam ukradkiem dopiero wieczorem, pod koniec godzin odwiedzin. Zanim zdążył się przedstawić, Cassidy uśmiechnął się słabo i wymamrotał:
- Livingston, ty cholero! Co ty tu, u diabła, robisz?

- To taka ostatnia moda w medycynie, Ken. Wszystkie szpitale prowadzą rekrutację koszykarzy do Ligi Basenu. Masz może ochotę zostać naszym trenerem?

- Oczywiście - wyszeptał i uśmiechnął się jak człowiek, z którego ramion ściągnięto właśnie olbrzymi ciężar. Albo też raczej jak ktoś, komu usunięto nowotwór z mózgu.

Barney poszedł potem na nocny dyżur z taką ilością adrenaliny szumiącej mu we krwi, że przez całą noc nawet nie zmrużył oka, nie wypiwszy ani kropelki kawy do następnego popołudnia.

Przed skazaniem go na wieczyste milczenie, Vera Mihalic użyła wszelkich możliwych przekleństw, jakie tylko istniały w słowniku, a także paru, których Barney nigdy dotąd nie słyszał nawet w najciemniejszym zaułku.

- Dlaczego tak się rzucasz? - zapytał. - Nikt cię w końcu nie zmusza do przyznania mi za to Nagrody Nobla. Sądzę jednak, że należy mi się jakieś uznanie za uratowanie temu facetowi życia. Do diabła, cóż ja takiego złego zrobiłem?

Zasztyletowała go wzrokiem. - Powinieneś najpierw przyjść z tym do mnie.

- Och, na miłość boską! Odkryłem to dopiero o dziesiątej, a zebranie było o jedenastej. A poza tym, diagnoza była przecież właściwa. Czyż to nie jest w tym wszystkim najważniejsze?

- Jak oni w ogóle mogli się zgodzić na przyjęcie takiego naiwnego gówniarza jak ty? - szydziła. - Mój chłopcze, jeśli chcesz się utrzymać w tej grze, to naucz się lepiej, że istnieje tu pewna hierarchia ważności.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju, zanim Barney zdołał jej cokolwiek odpowiedzieć.

Co to wszystko ma znaczyć? Mój chłopcze? Hierarchia ważności? I co to właściwie za gra?

Od tego momentu, na wszystkich czwartkowych spotkaniach personelu, ze zrećznością graniczącą wprost z geniuszem, unikała zwracania się do niego w jakiegokolwiek sprawie. W najlepszym wypadku mógł liczyć na wzmiankę w trzeciej osobie w stylu: - Być może doktor Livingston nie zdaje sobie z tego sprawy... - I tym podobne.

Rok 1946 był okresem pełnym medycznych kontrowersji. Lekarze, którzy służyli swej ojczyźnie w drugiej wojnie światowej, wrócili wtedy do kraju, gdzie czekała ich następna walka. Tym razem jednak wrogiem nie był Hitler czy generał Tojo, ale Harry S. Truman, prezydent Stanów Zjednoczonych. Postanowił on bowiem wprowadzić ustawę, według której każdy członek społeczeństwa miał prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej. Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne chwyciło za broń, gotowe do walki. W jego mniemaniu pachniało to socjalizmem, z którym zamierzało walczyć do upadłego.

Wojna ta trwała prawie przez dwadzieścia lat. W 1964 roku prezydent Lyndon Johnson zmusił wreszcie Kongres do zaakceptowania swego projektu Ustawy o Lecznictwie, który proponował bezpłatną opiekę lekarską dla osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia i wszystkich niepełnosprawnych bez względu na wiek.

Zwycięstwo to było tym bardziej bohaterkie, że Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne wydało wiele milionów dolarów na dwudziestu trzech pracujących na pełnym etacie specjalistów, starających się nie dopuścić do tego, co uważano za pogwałcenie praw i wolności.

W 1964 roku Naczelny Lekarz Amerykańskiej Służby Zdrowia opublikował długo oczekiwany raport, dotyczący skutków palenia, przedstawiając jasno dowody łączące je z rakiem płuc, chorobami serca i różnymi schorzeniami dróg oddechowych. A czego się można było spodziewać po substancji napełniającej ludzkie płuca trucizną podobną do tej, którą wydalają z siebie samochodowe rury wydechowe?

Przemysł tytoniowy posiadał jednak swoje własne zespoły naukowe, które natychmiast przystąpiły do kontrataku, podając równie "stanowcze" dowody na to, że palenie może mieć nawet niekiedy działanie pozytywne jako środek odprężający dla tych, którzy pracują pod szczególną presją psychiczną.

Na innym znów froncie Amerykańska Służba Zdrowia Publicznego stwierdziła, że środki owadobójcze zabijały tysiące ryb w rzece Missisipi. Ostrzegła też, że w przyszłości będzie to przyczyną dalszego zniszczenia środowiska, jeśli natychmiast nie wprowadzi się ostrej kontroli zmierzającej do zatrzymania dalszych zanieczyszczeń.

Na mniejszym, nie mniej istotnym froncie, doszło do zakończenia długotrwałego sporu pomiędzy doktorem Henrym Dwyerem a jego żoną Cheryl. Posługując się dowodami naukowymi, sofistyką i nieustannie znęcając się nad nią werbalnie, Henry zdołał wreszcie nakłonić żonę do zażywania pigułek.

Cheryl pragnęła tylko kierować się nakazami swojej religii. Na koniec jednak dała się przekonać, że ostatnie tabletki zaproponowane przez Hanka zawierają tylko estrogen i progestogen, a zatem składniki spokrewnione bezpośrednio z naturalnymi hormonami istniejącymi w kobiecym układzie wydzielania wewnętrznego. W rzeczywistości stosowanie ich jest zatem niejako spełnianiem woli Bożej i najlepszym z istniejących zabezpieczeń.

Hank zaczął swoją specjalizację na oddziale ginekologii w Szpitalu Świętego Damiana w swoim rodzinnym Pittsburghu, gdzie znowu znaleźli się wśród bliskich przyjaciół i gdzie dwie kochające babcie z przyjemnością podejmowały się pilnowania wnucząt.

Nie trzeba chyba dodawać, że większość nocy spędzał na dyżurach. Lubił podniecenie związane z wydawaniem nowego życia na świat. Trzymając dziecko w jasnym, radosnym świetle operacyjnego stołu, ogłaszał pompatycznie niczym Mistrz Ceremonii w Izbie Lordów: - Pani Jones, ma pani ślicznego chłopca/dziewczynkę albo bliźniaki...

Większość z pracujących na tym oddziale lekarzy była już żonata, toteż na ogół nienawidzili nocnych dyżurów, trzymających ich z dala od żon i dzieci. Hank jednak zawsze chętnie ofiarował się ich zastąpić. Byli mu za to ogromnie wdzięczni, a on nie czuł się wcale zobowiązany do przyznania się im do tego, że cała przyjemność należała wyłącznie do niego.

Nocne dyżury umożliwiały mu dostęp do cichego pokoju i łóżka, na którym mógł się wyspać lepiej niż u siebie w domu. (Dzieci bowiem, w przeciwieństwie do zegarków, nie da się nakręcić tak, aby budziły się o określonej porze.)

Zorientował się również, że bajki o tym, jakoby niemowlęta rodziły się najczęściej we wczesnych godzinach rannych, były rzeczywiście prawdziwe. (Nikt właściwie nie wiedział dlaczego. Być może było to związane ze wzrastającym w tym

czasie poziomem kortyzonu.) Mógł zatem odbyć swoje północne rendez vous z bocianem, a nawet z kilkoma, a potem włożył do łóżka i ucinał sobie w swojej samotnej celi nie zakłóconą niczym, parogodziną drzemkę.

Odkrył również, że o odpowiedniej porze nocy, zwracając się odpowiednim tonem do odpowiedniej pielęgniarki: “panno... ma pani wspaniałe pośladki/biust czy też nogi”, może się wyzwolić ze swego zakonnego ascetyzmu.

Większość lekarzy zmuszona była z powodu rozkładu dyżurów traktować szpital jako swój drugi dom. W przeciwieństwie do nich, Hank Dwyer zaczął traktować swój dom jako coś w rodzaju antraktu w spektaklu swego życia.

Jak to tłumaczył sobie niedoszły ksiądz: - Lepiej pofolgować ciału, aniżeli pozwolić mu gorzeć.

Rozdział XXX

Chociaż zaledwie rok wcześniej Martin Luther King otrzymał Nagrodę Nobla, to jeszcze przed upływem 1965 roku cała jego filozofia znalazła się pod ostrzałem krytyki ze strony nowych, coraz bardziej agresywnych członków ruchu walczącego o równość praw cywilnych.

Zakładając partię “Czarnych Nacjonalistów” Malcolm X tłumaczył, że “minęły już dni bezkrwawego oporu”. Jak na ironię, zaledwie parę miesięcy później sam zginął, zastrzelony przez czarnego rewolucjonistę, który nie uważał go za wystarczająco bojowego.

James Baldwin strzelił w dziesiątkę, przewidując, że “następnym razem należało spodziewać się pożaru”.

Stosunki pomiędzy Laurą a Palmerem również przekształciły się w stadium nowej agresywności. Laura nie miała wątpliwości, że była to wojna. Po raz pierwszy też, od czasu kiedy w wojsku wysłano go na poddyplomowe studia, Palmer zaczął nosić mundur.

Tak ubranego zastała go po powrocie z jednego ze swoich coraz to bardziej morderczych, trzydziestosześciodzinnnych dyżurów.

- Palmer, wybierasz się gdzieś na zabawę kostiumową czy też umówiłeś się na randkę z kimś z Kobiecego Korpusu?

- Może raczysz sobie przypomnieć, Lauro, z czasów, kiedy traktowaliśmy się jeszcze z jako taką uprzejmością, że służba w rezerwie wojskowej zobowiązywała mnie do cotygodniowych zebrań oraz do stawiania się na poligony raz w miesiącu. Początkowo, kiedy się zapisywałem, myślałem, że będzie to pewnym poświęceniem. Szczerze mówiąc, teraz uważam to za wielką ulgę.

- Odpieprz się ode mnie, Palmer.

- No cóż, jeśli ty nie masz ochoty, to znajdą się inne, co zechcą - odparł z sarkazmem.

Laura westchnęła głęboko. Miała już dość tych małżeńskich ostrzałów.

- Palmer, wiem, że jesteś zbyt zajęty doskonaleniem swojej chińszczyzny, żeby czytać prasę. Wyobraź sobie jednak, że wprowadzono coś takiego jak rozwód bez orzekania winy. Skoro sytuacja między nami przypomina coś, co ja nazwałabym małżeńskim rigor mortis, to sądzę, że powinniśmy z tego skorzystać.

- Nie wygłupiaj się. Jesteśmy po prostu dwojgiem wyjątkowo upartych ludzi, którzy kochają się mimo to, że drogi ich czasami się rozchodzą. Jestem gotowy czekać, gdyż wierzę, że należymy do siebie.

- Czy to z tego właśnie powodu puszczasz się na prawo i lewo?

- A ty nie? A jak tam się mają ci twoi młodzi, krzepcy stażyści?

Laura rozplakała się, bardziej z frustracji i zmęczenia niż z upokorzenia.

- O mój Boże, Palmer, czy do ciebie nie dociera, że wypruwamy tam sobie flaki, żeby ratować chore dzieci? Jeśli w ogóle mam pięć minut czasu na to, aby położyć się do łóżka, przeznaczam je wyłącznie na sen. Czy twój lubieżny mózg nie jest w stanie pojąć tego, co to znaczy "obowiązek"?

- No cóż, Lauro - odpowiedział lekceważącym tonem - z pewnością nie mam kwalifikacji, żeby ci robić wykład na temat impulsów hormonalnych. Nie miałbym jednak wcale mniejszego szacunku do ciebie, gdybyś použíwała sobie trochę na boku.

Ranił ją celowo i oboje dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Później pytała samą siebie: - Właściwie dlaczego ja się na to godzę?

Vera Mihalic wyskoczyła nagle z zaskakującą propozycją. Przez ostatnie dwa miesiące usiłowała Barniego przemyślnie unikać, jednak pewnego dnia, po zakończeniu dziennego obchodu, podeszła niespodziewanie do niego i zaprosiła go na kawę.

Barney, skory do zawieszenia broni, chętnie się zgodził. zaproponował nawet, że kupi jej duńskie ciastko, ale skończyło się na tym, że ona mu je zafundowała, nalegając, że zapłaci za wszystko.

- To w końcu ja jestem w wyższym przedziale płacowym.

Barney podziękował jej grzecznie. Potem, kiedy usiedli przy stole w cichym kącie kawiarni, zdobył się na odwagę i stwierdził:

- Myślałem, że nie możesz ścierpieć mojego widoku.

- Nie wygłupiaj się. Chodzę teraz na analizę. Nauczyłam się pracować nad tymi sprawami.

- Cieszę się - odpowiedział. - Sam nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zacznę moje własne przeszkolenie w analizie.

Na to ona dodała prędko: - To wcale nie znaczy, że cię lubię. Wiem tylko, dlaczego cię nie lubię. Dlatego, że jesteś lepszy ode mnie - wyjaśniła szczerze. - To nie wszystko. Masz o wiele lepsze podejście do pacjentów. Masz prawo być dumny z

postępu z niektórymi, tym bardziej że zawsze spychamy beznadziejne przypadki na najmłodszych stażem. Wszyscy w końcu połamaliśmy tu sobie na nich zęby, dlaczego mielibyśmy zatem oszczędzać ciebie?

Barney uśmiechnął się. - Wiem, że w pewnym momencie powinienem ci podziękować, nie wiem jednak kiedy. Czy masz jakieś powody do tych pochlebstw? Chcesz mnie może poinformować, że zostałem wyrzucony?

- Ależ, co ty mówisz!

- O! - odpowiedział Barney, nie mając najmniejszego pojęcia, z jakiego powodu zaproszono go na kawę. Następne pytanie Vera niewiele mu pomogło.

- Gdzie sypiasz, kiedy nie jesteś na dyżurze?

Czyżby ten znerwicowany kłębek sprzeczności zastawił na niego jakąś pułapkę?

- Mam mały pokój w akademiku. Właściwie zmieniam tam tylko koszulę, tak rzadko tam przebywam.

- Myślałeś może kiedyś o wynajęciu mieszkania?

- Naturalnie. Albo przynajmniej pokoju w hotelu Waldorf-Astoria. Jednakże, jak to wyliczył jeden z chłopców, młodszy asystenci zarabiają około trzydziestu czterech centów na godzinę.

- Miałam na myśli wynajmowanie mieszkania do spółki.

- Z tobą?

- No cóż, właściwie było nas dotąd czworo - dwóch facetów i dwie babki. Jeden specjalizuje się w neurochirurgii, drugi w pediatrii. Moja koleżanka pracuje na Wall Street. Właśnie mamy jedno wolne miejsce. Odpadł nam neurochirurg.

- Tak w środku semestru? Dlaczego?

- Wyskoczył przez okno.

- O Boże! - wykrzyknął Barney. - Czy to znaczy, że się zabił?

- Mieszkamy na czternastym piętrze, Livingston, więc jak sądzisz? W każdym razie, twoja część komornego wynosiłaby dwadzieścia siedem pięćdziesiąt na miesiąc plus czyszczenie kuchni raz w tygodniu. Co ty na to?

- O cholera, Vera, czuję się zaszczycony.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Czy będę musiał spać na łóżku neurologa?

- Chyba że wolisz spać na podłodze.

- No dobrze - zgodził się Barney. - Pod warunkiem, że zmienisz pościel. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego właściwie mi to zaproponowałaś.

- Ja również. Pracuję jednak nad tym z moim psychoanalitykiem.

Jedną z obowiązkowych praktyk Setha w trakcie jego specjalizacji z interny była onkologia. Jakkolwiek publikowane oficjalnie statystyki wskazywały na to, że prawie jedną trzecią pacjentów chorych na raka udawało się uratować, co definiowano jako przedłużenie życia o pięć lat lub więcej, miejsce to nadal przypominało jednak salę tortur. Ci, którzy nie czekali nawet na niewymownie bolesną śmierć, cierpieli od potwornych dolegliwości spowodowanych przez różnorodne "metody" lecznicze. Napromieniowanie i chemioterapia wywoływały u nich tak ciężkie osłabienie i mdłości, że częstokroć wydawało im się, że zostali poddani karze gorszej od śmierci.

Judy była teraz zastępcą przełożonej zespołu pielęgniarek, a ten fakt czynił życie nieco znośniejszym. Mogli bowiem dzięki temu częściej wykraść parę minut na wspólny obiad, kawę albo przynajmniej na pocałunek.

Pani Alpert, pacjentka z nieuleczalnym rakiem kości, przyłapała ich kiedyś na tym, jak się obejmowali. Zawstydzili się oboje i przeprosili ją. Reakcja pacjentki zaskoczyła ich jednak. - Nie przeszkadzajcie sobie, moje dzieci - powiedziała z uśmiechem. - Miło mi widzieć, że życie toczy się dalej.

W niektórych przypadkach toczyło się jednak zbyt długo.

Mel Gatkowicz, hutnik z zawodu, był żywym, a raczej umierającym dowodem słuszności raportu Lekarza Naczelnego Amerykańskiej Służby Zdrowia. Dwie paczki papierosów dziennie zapewniły mu w końcu raka płuc, dławicę piersiową i chorobę Raynauda, polegającą na wadliwym funkcjonowaniu krążenia, które stopniowo zmniejszało dopływ krwi do jego kończyn. Oznaczało to powstanie gangreny w palcach u rąk i nóg, które wymagały amputacji.

Teraz był już zbyt chory, aby palić lub jeść, i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej bezwładny. Jedyne, co potrafił jeszcze zakomunikować innym z pewną dozą dokładności, był ogrom cierpienia, którego żadne z lekarstw nie było w stanie załagodzić.

W kontrolowanym eksperymencie zatwierdzonym przez Ministerstwo Zdrowia Stanów Zjednoczonych próbowano nawet leczyć go za pomocą heroiny, ale nawet ten środek nie ukoił jego bóleści.

Seth towarzyszył właśnie doktorowi Nelsonowi, kiedy żona Gatkowicza, Doris, zastąpiła mu drogę na korytarzu.

- Nie mogę już na niego patrzeć, doktorze! - szlochała. - On się tak strasznie męczy! Czy nie mógłby mu pan w jakiś sposób pomóc?

Za nią stali jej trzej synowie z żonami u boku, niczym rodzaj greckiego chóru intonującego żałobną litanię.

- Obawiam się, że zrobiliśmy już wszystko, co tylko było w naszej mocy - odpowiedział doktor Nelson ze współczuciem. - Nie pozostaje nam teraz nic innego, jak czekać na naturalny rozwój wypadków.

- Jak długo to potrwa, doktorze? - zapytał z zmartwieniem w głosie najstarszy syn.

Nelson wzruszył ramionami. - Naprawdę nie mam pojęcia. Może odejść w każdej chwili. Z drugiej zaś strony, jest tak silnym człowiekiem, że może to trwać jeszcze kilka dni, a może nawet z tygodni.

Doris zwróciła się teraz w błagalnym geście do Seta. - Czy nie sądzi pan, że to nieludzkie patrzeć na tak silnego mężczyznę w takim stanie jak on? To nie mój Mel leży tam na tym łóżku. To nie jest ten sam człowiek, którego poślubiłam trzydzieści pięć lat temu. On nie chciałby odchodzić w ten sposób, jestem tego pewna. Nawet pies nie powinien tak cierpieć.

Seth skinął głową twierdząco.

Doris zwróciła się ponownie do doktora Nelsona: - Wie pan, codziennie w nocy po wyjściu ze szpitala idę do kościoła. Na kolanach błagam Boga: "Proszę, zabierz już tego człowieka. On pragnie schronić się w Twoich ramionach. On nigdy nikogo nie skrzywdził. Dlaczego nie pocałujesz go i nie odbierzesz mu życiodajnego oddechu?"

Wzruszyło to obu lekarzy, lecz doktor Nelson widział już wielu takich pacjentów i zdołał się uodpornić na nich emocjonalnie.

- Myślę, że wszyscy modlimy się o to samo - odpowiedział cicho. Poklepał zrozpaczoną kobietę po ramieniu, skinął głową w kierunku synów i odszedł pospiesznie z oczyma utkwionymi w ziemi.

Seth nie mógł jednak odejść od tej kobiety oszalałej wprost z bólu.

Najstarszy syn Doris usiłował ją uspokoić. - Wszystko będzie dobrze, mamó. To już nie potrwa długo.

- Och! Każda następna minuta to za wiele! Dlaczego Bóg nie chce mnie wysłuchać? Dlaczego nie chce go uwolnić od tego cierpienia i pozwolić mu umrzeć? Mam ochotę wejść tam do tego pokoju i pozrywać te wszystkie rurki z jego ramion!

- Spokojnie, mamó, spokojnie - pocieszał ją cicho syn.

- Już mi wszystko jedno! - krzyczała. - Chcę, żeby już tak dalej nie cierpiał!

Rodzina Gatkowiczów skupiła się wokół matki, tak jakby pragnęła ochronić ją od bólu emanującego z łóżka ich ojca.

Nikt z nich nie zwrócił nawet uwagi na stojącego obok młodego lekarza, niemego świadka ich cierpienia.

Seth zorganizował swój harmonogram tak, aby jego nocne dyżury pokrywały się z dyżurami Judy. Siedział teraz w dyżurce, strofując swego kolegę, Joela Fishera, za to, że pali.

- Jak ty, u diabła, możesz palić, skoro każda sala na tym piętrze jest dowodem szkodliwości tytoniu?

- Nic na to nie mogę poradzić, Seth. Naprawdę! - protestował Joel. - Może to głupio brzmi, ale te parę zaciągnięć pozwala mi znosić ból innych ludzi.

- No dobrze - powiedział Seth, wstając dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. - Ja jednak nie mam zamiaru siedzieć tu z tobą i towarzyszyć ci w młodym wieku w podróży na tamten świat.

Kiedy wyszedł na korytarz, podeszła do niego Judy i szepnęła:

- Francine zeszła właśnie na dół na kolację. Zostaliśmy sami.

- A co z Joelem? - zapytał, wskazując na młodego doktora, oddającego się rozkoszom swego nikotynowego środka uspokajającego.

- Pójdę go zagadać - powiedziała uspokajająco. - O czym on lubi rozmawiać?

- O seksie - uśmiechnął się Seth. - Właśnie się rozwodzi. Opowiedz mu o jakichś namiętnych dziewczynach, z którymi mogłabyś go zapoznać.

- Nie znam takich.

- Wymyśl coś. Potrzebuję pięciu minut.

Judy skinęła głową. Zanim zdążyła odejść, Seth złapał ją za rękę i szepnął: - Czy to właściwe? Czy mam rację, że to robię? Boję się.

- Wiem o tym - odpowiedziała. - Ale ten biedny człowiek nie powinien tak strasznie cierpieć.

- Przysięgam ci jednak, że nie zrobię tego, jeśli on nie jest na tyte przytomny, aby wyrazić swoją zgodę. On się musi na to najpierw zgodzić.

Rozeszli się potem w przeciwnych kierunkach.

Seth zabrał z gabinetu pielęgniarek przygotowane dla pana Gatkowicza lekarstwa, podawane mu zazwyczaj o północy, a potem o trzeciej nad ranem. W kieszeni swojego białego fartucha miał dodatkową ampulkę.

Wszedł do pokoju chorego. Trudno było przewidzieć, czy Gatkowicz spał, czy też nie, gdyż żył teraz w narkotycznym omamieniu, na pograniczu obu tych światów, nie korzystając z otuchy żadnego z nich.

Seth podszedł do łóżka. Do obu ramion pacjenta podłączone były kroplówki, prawa ręka leżała jednak na zewnątrz i była odkryta. Seth podszedł bliżej, ujął ją w swoje ręce i szepnął: - Panie Gatkowicz, jeśli mnie pan słyszy, to proszę uściśnąć mi rękę.

Twarde palce mężczyzny zacisnęły się mocno wokół jego dłoni.

- A teraz Mel, zadam ci parę prostych pytań. Jeśli odpowiedź będzie twierdząca, to uściśnij mi rękę raz, jeśli będzie negatywna, to dwa razy. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię, Mel?

Palce mężczyzny zacisnęły się...

- Mel - ciągnął dalej Seth - czy lekarze powiedzieli ci, że umierasz?

Poczuł pojedynczy uścisk dłoni.

- Boisz się śmierci?

Mel zacisnął palce dwa razy. Był przygotowany na odejście.

- Czy bardzo cierpisz?

Pacjent ścisnął mu rękę z jeszcze większą siłą niż przedtem, ale tylko raz.

- Czy chciałbyś, abym ci pomógł? Czy chciałbyś, abym ci pomógł zasnąć na zawsze, tak, abyś nie czuł już więcej bólu?

Chory złapał go mocno za rękę i nie wypuścił jej z uścisku. Seth miał wrażenie, że chciał przez to powiedzieć: - Uwolnij mnie od tych ziemskich tortur! W imię Boga żywego, pomóż mi!

- Rozumiem cię, Mel - szepnął Seth. - Nic się nie martw. Pomogę ci.

Nawet nie potrzebował strzykawki. Musiał jedynie odłączyć na chwilę jedną z kroplówek i założyć ampulkę z morfiną, którą normalnie podawano choremu o północy.

Po chwili pacjent stracił przytomność. Seth podał mu następną dawkę morfiny, a na koniec przyniesioną przez siebie tajemniczą fiolkę. Schował do kieszeni trzy puste ampulki i spoglądając na spokojną twarz pacjenta, szepnął: - Niech pana Bóg błogosławi, panie Gatkowicz.

Po czym wyszedł na palcach z pokoju.

W parę godzin później znaleziono Gatkowicza martwego. Świadcstwo śmierci stwierdzało, że przyczyną zgonu był rozległy rak z przerzutami i towarzyszące mu niedomagania układu oddechowego. Podpisali je doktor Joel Fisher i doktor Seth Lazarus.

Kiedy poinformowano o tym telefonicznie wdowę, kobieta rozplakała się i krzyknęła: - O dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

Z chwilą podania pacjentom na oddziale chronicznym tabletek usypiających, Barney Livingston nie miał z nimi większych kłopotów na nocnych dyżurach. Zdarzały się naturalnie czasami jakieś wyjątkowo ciężkie przypadki, ale były one najczęściej wynikiem sobotnich pijatyk.

Barney nie mógł jednak zasnąć w pobliżu tych ludzi, skazanych, jak mu się zdawało, na wyjątkowo potworne i bolesne koszmary, toteż spędzał swój wolny czas na czytaniu. Wkrótce zaczął zajmować się innymi sprawami.

Najpierw wydzwaniał do różnych kolegów, którzy podobnie jak on, siedzieli na "cementarnej" szychcie. (Laura usiłowała zsynchronizować swoje noce z jego.) Pozwalało mu to również dzwonić bez problemów na Zachodnie Wybrzeże, gdzie ze względu na różnicę w czasie, niektórzy schodzili właśnie z dziennej zmiany na zasłużony, lecz teraz już prawie mityczny nocny odpoczynek.

W czasie jednej z takich rozmów Lance Mortimer napomknął niedbale: - A tak nawiasem mówiąc, podałem twoje nazwisko Hudsonowi.

- A któż to taki?

- No cóż, jeśli chodzi oniego samego, nie sądzę, żeby sam to wiedział. W każdym razie ten facet chodził ze mną do szkoły, a teraz jest redaktorem "Yillage Yoice". Pytał mnie kiedyś, czy znam jakichś piśmiennych lekarzy. Podobno rzadziej się takowych spotyka aniżeli łagodne nowotwory. Zaproponowałem mu więc ciebie.

- Dzięki, Lance - odpowiedział Barney, któremu to najwyraźniej schlebiało. A potem zażartował: - Jak to się stało, że nie podałeś mu dwóch nazwisk?

- Doktorze Livingston, naprawdę nie mogłem wygrzebać z pamięci drugiego.

Zgodnie z zapowiedzią Mortimera, zadzwonił do niego w dwa dni później niejaki Hudson, redaktor owego "Village Voice" z pytaniem, czy mógłby prosić o napisanie krótkiego artykułu na temat psychodynamiki *Kto się boi Virginii Woolf?*

Barniemu ogromnie spodobało się to zadanie i dał Hudsonowi do zrozumienia, że chętnie przyjmie podobne propozycje.

Był bowiem wyjątkowo predysponowany do przeprowadzenia krytycznej oceny filmowej biografii Freuda, zrobionej przez Johna Hustona. Zdaniem Barniego, ten film to "dwie najmniej udane godziny w życiu wielkiego mistrza".

Jego praca zwróciła uwagę wydawcy wychodzącego od niedawna "Nowojorskiego Przeglądu Książkowego", który zaprosił Barniego na kolację do restauracji Cztery Pory Roku, co było zaszczytem tak oszałamiającym, że Yera zgodziła się nawet zastąpić go na dyżurze.

Następnego dnia przysłano mu egzemplarz *Doktora Żywago* Pasternaka z prośbą o przemyślenia na temat lekarzy w literaturze na podstawie tej powieści.

- Musiałem chyba oszaleć, żeby podjąć się takiego zadania, Castellano - relacjonował jej przez telefon wydarzenia z poprzedniego wieczoru. - To jest równoznaczne z intelektualną hybris.

- Daj spokój, Barney, z tego, co przeczytałam, widzę, że na tym właśnie opiera się cały "Przegląd". A poza tym wiem, że potrafisz odstawić pierwszorzędną robotę.

Miał już odłożyć słuchawkę, kiedy Laura nagle dodała: - Hej, Livingston, to dopiero pierwszy raz.

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Po raz pierwszy to ja musiałam podnosić ciebie na duchu.

Vera Mihalic miała coraz większe problemy z zachowaniem platonicznego, a nawet czysto zawodowego dystansu w stosunku do swego literackiego kolegi, z którym dzieliła zlew, prysznic, a czasem nawet i pastę do zębów.

Seks od dawna wydatnie figurował w jej psychoanalizie, co naturalnie jest równie zbytecznym stwierdzeniem jak to, że wieloryb odgrywa ważną rolę w *Moby Dicku*. Problem Very polegał na tym, że bała się mężczyzn. Usiłując zaimponować swojemu lekarzowi, określiła to krótko: - Oni są albo za bardzo falliczni, albo za bardzo mózgowi. To znaczy, albo zasługują na pogardę, albo są całkowicie bez zarzutu.

Była to, jej zdaniem, kobieca wersja syndromu zwanego podwójną idealizacją, polegająca na tendencji do dzielenia opinii o kobietach na dwie antytetyczne kategorie. Doktor wykazał znaczne zainteresowanie jej teorią, zarówno w momencie sformułowania jej przez Verę, jak i później, kiedy zapytała go, czyjego zdaniem warto wspomnieć o niej w którymś z czasopism medycznych. Wydawało się jej nawet, że mogłaby się zdobyć na odwagę i zaproponować paradygmat normalności na podstawie cech, jakie dostrzegała w Barniem.

A zatem dla dobra nauki oraz w celu zaspokojenia własnej ciekawości - jak również aby nie przekroczyć trzydziestki w stanie dziewiczym - postanowiła oddać się Barniemu ciałem i duszą (rezerwując jednak swoją psychę dla swego analityka).

Nie mogła naturalnie naruszyć przyjaznych stosunków panujących w mieszkaniu, toteż zdecydowała, że ofiaruje się Barniemu na jego nocnym dyżurze.

Jej przyjaciółka Peggy zdziwiła się, widząc, że Vera przygotowuje się do wyjścia wraz z rozpoczęciem wiadomości o jedenastej w nocy.

- Myślałam, że jesteś dzisiaj wolna - zauważyła.

- Mamy na oddziale chronicznym jednego wariata - odpowiedziała Vera, rozpryskując perfumy Joy za uszami.

- Sądziłam, że macie tam samych wariatów. Czyż to nie z tego powodu tam siedzą?

- Tak, ale to jest specjalny przypadek - odpowiedziała Vera.

- A co mu dolega? - zapytała zaciekawiona Peggy.

- Podwójna idealizacją - odpowiedziała Vera.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- To zupełnie coś nowego - wyjaśniła Vera. - Prawdę rzekłszy, zamierzam napisać na ten temat artykuł.

- O Chryste, Mihalic, czy ty zawsze musisz myśleć tylko o pracy? Dlaczego nie zaczniesz uwodzić jakiegoś fajnego, młodego lekarza? Podobno oni wszyscy są bardzo spragnieni seksu.

- Skąd wiesz?

- Barney mi o tym powiedział.

- Ach, tak? - zapytała podejrzliwie. - A kiedy?

- Dzisiaj rano. Przy śniadaniu, przy płatkach kukurydzianych - wyjaśniła Peggy.

- O! - odpowiedziała Vera. - Jak tylko przy płatkach, to dobrze. Do zobaczenia.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. Nie mam doświadczenia w takich przypadkach.

Barney był fizycznie wykończony. Jeden z pacjentów zareagował paradoksalnie na środek usypiający i dostał takiego napadu szału, że trzeba mu było związać ręce i nogi przed zastosowaniem masywnej dozy thorzyny.

Będąc pierwszy po Bogu, musiał mocować się z tym facetem aż do przybycia strażników. Kiedy wrócił w końcu do dyżurki, był już zbyt zmęczony, aby dalej pisać. Położył się więc na łóżku, chwycił za słuchawkę i poprosił o połączenie go ze Szpitalem Dziecięcym w Bostonie.

Dla ścisłości trzeba naturalnie przyznać, że prowadzenie prywatnych rozmów nie było czynem etycznym z jego strony. Ale czyż nie były to w końcu rozmowy pomiędzy dwoma lekarzami?

- Doktor Castellano przy telefonie - odezwał się zmęczony głos.

- Hej! - odpowiedział Barney. - Masz tak zmęczony głos jak ja ciało.

- Och, Barney, nie masz nawet pojęcia, co to był za wieczór! Dlaczego dzieciom temperatura skacze zawsze o północy?

- Kto wie, może mają wtedy niższe opłaty, tak jak taryfy za telefon - zażartował.

- Wątpię. Mają jednak wtedy do dyspozycji mnie. Myślę też, że jestem najlepszym lekarzem na oddziale. Wcale nie żartuję! Ta cała reszta to prawdziwe osły.

Laura opowiadała mu właśnie, jak bardzo urósł w oczach Palmera, od kiedy zaczęto publikować go w "Nowojorskim Przeglądzie Książkowym", kiedy Vera Mihalic wyszła z windy.

- To typowe dla tego fireyka - zauważył uszczypliwie Barney. - Zawsze imponują mu pozory. Dlaczego nie przeniesiesz się z powrotem do Nowego Jorku? Tu cię naprawdę docenią. A może byś tak przyjechała tu, kiedy będziesz miała wolny weekend? Przenocuję cię.

Vera zatrzymała się poza zasięgiem jego wzroku, ale nie własnych uszu.

- Myślałam, że nie mieszkasz sam - odpowiedziała Laura.

- Owszem, ale to tylko kwestia czystych interesów - odpowiedział Barney. - Vera Mihalic ma tyle wspólnego z seksem co mrówki z piknikiem.

Oczy Very zaszkliły się łzami. Pobiegnęła z powrotem do windy. Nie usłyszała wobec tego łagodzących komplementów Barniego.

- Ale to naprawdę dobra osoba, Lauro. Wygląd nie jest przecież najważniejszy.

- To rewolucyjne stwierdzenie z twojej strony, Barney.

- Słuchaj, Castellano, wkrótce mam psychoanalizę. Chcę wobec tego pozalać wszystkie sprawy, żeby mnie ten facet szybko przez to przepuścił. Obecnie pracuję nad poskramianiem mojego libido.

Laura roześmiała się.

- Co w tym takiego śmiesznego, Castellano?

- Doktorze Livingston, nie wierzę w cuda.

- Czy mam to przyjąć za komplement czy krytykę?

- To fakt, Barney. Hej, słuchaj, zapaliło się właśnie moje światło. Potrzebują mnie w izbie przyjęć. Zadzwoń do mnie w czwartek po północy.

- Dobra. Uściskaj ode mnie Palmera.

- Czemu nie? - odpowiedziała ze smutkiem. - Skoro na moich uściskach już mu nie zależy.

Barney odłożył słuchawkę i pokręcił głową w osłupieniu. Po kiego diabła ona jeszcze jest z tym zimnym draniem?

Zwolniono go w końcu o siódmej rano. Poszedł na piechotę do domu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i rozprostować nogi.

Mieszkanie było puste. Wszedł do łazienki, żeby umyć zęby przed pójściem do łóżka i stanął jak w ziemię wryty. Wszystkie jego kosmetyki, a szczególnie takie podniecające środki jak jego płyn po goleniu Old Spice i dezodorant, leżały rozbite i porzucane po całej podłodze. Na lustrze widniał napis wypisany kremem do golenia: "Niech cię szlag trafi!"

Uznał to za niczym nie sprowokowany wyraz wrogiego nastawienia Very.

Właśnie zdążył usunąć wszystkie (jak sądził) kawałki rozbitego szkła i zaprowadzić jako taki porządek w łazience, kiedy zadzwonił telefon.

O Chryste! - pomyślał sobie. Mam nadzieję, że nie dzwonią tu z oddziału furiatów, żeby mnie poinformować, że właśnie zapakowali tam Verę w kaftan bezpieczeństwa.

- Słucham? - warknął. - Doktor Livingston przy telefonie.

- Barney, czy możesz mi powiedzieć, dlaczego wszyscy psychiatrzy to szaleńcy? To była Laura. Wyczuł w jej głosie irytację.

- Castellano, a możesz mi, u diabła, powiedzieć, kto mi tu porozbijał wszystkie butelki?

- O czym ty mówisz? Teraz już jestem pewna, że jesteś takim samym wariatem jak ta cała reszta.

- Słuchaj, Lauro, nie spałem prawie od dwóch dni. Wchodzę do domu, a tu atomowa bomba wybuchła w mojej łazience. Mam już tak tego dosyć, że z ochotą pozabierałbym wszystkie swoje rzeczy i wniósłbym się do najbliższego YMCA*.

- Livingston, zanim się tam wyniesiesz, chciałabym, żebyś posłuchał listu, jaki właśnie dostałam od Grety Andersen.

- Czy mogę spasować? Naprawdę nie jestem dziś w nastroju. ‘ - Wykluczone - odpowiedziała Laura ostro. - Zamknij się i słuchaj.

Droga Lauro,

mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Ja w każdym razie jestem w siódmym niebie. Pokonałam już wszystkie swoje fobie i wreszcie wstąpiłam w szeregi ludzkości jako w pełni dojrzała kobieta...

- Lauro, na miłość boską! - zaprotestował Barney. - Czy ja muszę wysłuchiwać tych jej wynurzeń na temat tego, jak to poruszyła się ziemia?

- Posłuchaj, co dalej - powiedziała Laura i zaczęła czytać.

Co więcej, naprawdę mam szczęście. To prawdziwa miłość. Andy mówi, że nigdy jeszcze nie spotkał kogoś tak cudownego jak ja!

- A któż to jest ten Andy? - zapytał Barney.

- Andrew Himmerman - odpowiedziała Laura sucho.

- Andrew Himmerman? Ten facet, który napisał tę świetną książkę na temat rozwoju jaźni u nastolatków?

- Tenże sam. Wygląda na to, że pracował nad rozwojem jaźni Grety - od kolan wzwyż.

- Co takiego? - obruszył się Barney. - To jest zupełnie niedopuszczalne. Po takiej historyczce jak Greta Andersen można się czegoś takiego spodziewać. Lauro, miałaś przecież kiedyś w Szkole Medycznej kurs psychiatrii. Słyszałaś więc chyba coś o zjawisku przeniesienia?

* YMCA, Young Man Christian Association - domy studenckie i hospicja dla młodzieży.

- Wybacz, Barney, ale w tym wypadku to coś więcej niż przeniesienie. Wygląda mi to bardziej na przetransportowanie. Podobno właśnie spędzili weekend w Karolinie Południowej.

- Czy ty wierzysz w te jej idiotyczne bajki?

- Napisała do mnie na papierze firmowym z Hiltona.

- Może pojechała tam snuć swoje marzenia.

- Może zatem polaroidowa fotografia, na której siedzą oboje na basenie, jest również wymysłem jej wyobraźni?

- Mogli tam być na jakiejś konferencji.

- No to dlaczego są na niej skręcani wokół siebie niczym precel?

- O Jezusie, to straszne. Słyszałem, że takie rzeczy się czasami zdarzają. On pewno nie był pierwszy, który naruszył przysięgę Hipokratesa.

- Pewno nie, ale z pewnością był pierwszym facetem, który naruszył Gretę. A to coś znacznie gorszego.

- Castellano, jeśli to prawda, to Himmerman zasługuje na to, żeby go wylali. Wydaje mi się jednak, że wydzierasz się tak na mnie, ponieważ masz potrzebę wykrzyknienia się na kogoś za swoją własną krzywdę.

Laura zamyśliła się przez chwilę.

- Może masz rację, Barney - przytaknęła cicho.

- Czy Palmer dalej się puszcza?

- No cóż, powiedziałabym raczej, że na razie tylko próbuje.

- Nie zasługujesz na to, Lauro - odpowiedział cicho.

- To nieważne, Barney. Porozmawiajmy o Grecie.

- Bardzo mi przykro, ale Andersen jest już dużą dziewczynką i może się sama zatroszczyć o siebie.

- Ze mnie też jest już duża dziewczynka, Barney.

- Nie - odpowiedział czule. - Ty nadal potrzebujesz kogoś, żeby się tobą opiekował.

Na drugim końcu zapanowała cisza.

- Nic nie szkodzi, Lauro. Płacz dobrze ci zrobi. Właśnie po to są przyjaciele.

- O mój Boże, Barney - westchnęła. - Co ja takiego w życiu zrobiłam, że zasłużyłam sobie na takiego przyjaciela jak ty?

- Przeprowadziłaś się do Brooklynu - odpowiedział wesoło. - Prześpij się teraz. Porozmawiamy jeszcze o tym później, wieczorem.

Rozdział XXXI

Istnieje pewna zasadnicza różnica pomiędzy psychoanalizą a pozostałymi dyscyplinami medycznymi. Świeżo upieczony kardiolog nie musi dla dopełnienia swoich zawodowych kwalifikacji kłaść się na stole i pozwalać innym, aby kroili mu piersi. Psychoanalityk musi natomiast poznać na własnej skórze, co to znaczy leżeć na czyjejs koczecie. W przeciwieństwie do chirurga będzie się bowiem zajmował nie biernym, nieprzytomnym pacjentem, ale aktywną, cierpiącą osobą.

W najlepszym przypadku psychoanaliza może się okazać najbardziej podniecającą i humanitarną specjalnością medyczną. W najgorszym zaś - najbardziej destrukcyjną siłą.

Barney został przyjęty na kandydata do Instytutu Psychiatrycznego i rozpoczął swoją analizę szkoleniową pod kierunkiem dyrektora Fritza Baumanna, znanego na całym świecie z ciętych artykułów i szanowanego przez swoich pacjentów, uważających go za mądrego i troskliwego terapeutę.

Barney zorientował się jednak prędko, że psychoanaliza bynajmniej nie należała do przyjemności.

Analiza freudowska, wyjaśniał doktor Baumann, przypomina teatr dwóch aktorów. Pacjent odgrywa samego siebie w różnych okresach swego życia, a psychoanalityk gra rolę wszystkich pozostałych postaci w jego psychologicznym rozwoju (albo też niedorozwoju). Analizując odtwarzane w ten sposób sceny, pacjent może wówczas lepiej zrozumieć, w jaki sposób dawne wydarzenia wpłynęły na powstanie u niego pewnych wzorów zachowań, kształtujących resztę jego życia.

Z początku wydawało mu się, że to dobra zabawa. Bardzo prędko przekonał się jednak, że tłumione w sobie uczucia są zazwyczaj ogromnie bolesne. Nie ma zatem mowy, aby psychoanaliza, nawet tak zdawałoby się "zrównoważonego" kandydata jak on, nie była czymś w rodzaju operacji mózgu bez zastosowania skalpela.

Barney przyszedł na pierwszą rozmowę beztrouski i wesoły, przekonany, że będzie niewątpliwie jednym z najbardziej przystosowanych pacjentów doktora Baumanna. Postanowił przekształcić tradycyjny maraton w krótkodystansowy bieg.

W pewnym sensie przygotowywał się do tego egzaminu od momentu, kiedy zabrał *Objaśnienia marzeń sennych* Freuda z brooklyńskiej biblioteki do czytania wieczorami na letnim obozie Hiawatha. Od tego bowiem czasu świadomie usiłował analizować motywy wszystkich ważniejszych decyzji swego życia. Teraz zaś

postanowił udowodnić doktorowi Baumannowi, że naprawdę wiedział, jakie powodowały nim siły.

Wszedł zatem do wyłożonego brązowym dywanem i drewnianą boazerią gabinetu, pragnąc jak najprędzej pozalać wstępne formalności i zająć się wewnętrzną eksploracją.

Doktor Baumann zadał mu rutynowe pytania - historia rodzinna, rodzeństwo, choroby dziecięce i tym podobne. Potem zaczął wyjaśniać, że rachunki (ze specjalną zniżką dla kandydatów) będą wystawiane miesięcznie. Na koniec zapytał Barniego, czy rozumie całą procedurę.

- Tak, proszę pana - odpowiedział. - Mam mówić o wszystkim, co mi przyjdzie na myśl, niczego nie ukrywać i starać się dotrzeć do materiału podstawowego.

Następnie położył się na kanapce, gotowy ujawnić wszystkie stłumione w sobie (jak sądził) seksualne sekrety i wstydlive wyczyny z czasów własnej młodości. Był nawet skory przyznać się do marzeń o nauczycielce z przedszkola. Każdy psychoanalityk miałby problemy z wydobyciem takiego materiału od krnąbrnego pacjenta z zacementowaną psychę.

W ten oto sposób wypełnił swoją pierwszą pięćdziesięciminutową wizytę tym, co dumnie uważał za najbardziej szczerze przyznanie się do cielesnych pożądliwości od czasu ukazania się *Psychopatologii seksualizmu* Krafft-Ebinga.

Dopiero po jedenastu spotkaniach i paru subtelnym uwagach ze strony doktora Baumanna zorientował się, że ofiarował te pikantne rewelacje głównie po to, aby udowodnić, że jest dobrym pacjentem i tym samym zaskarbić sobie względy psychoanalityka.

- Dlaczego, u diabła, miałoby mi tak na tym zależeć, żeby mnie pan polubił? Czy to w końcu nie jest zupełnie normalne? - zapytał.

Barney uświadomił sobie nagle, że mimo działającej w pokoju klimatyzacji czoło jego zrosiło się zimnym potem.

- Czy może mi to pan wyjaśnić, doktorze Baumann? - powtórzył. Ale kiedy ze strony starszego psychiatry nie było odpowiedzi, uczeń zorientował się, że natrafił wreszcie na analityczną żyłę złota. Przekonał się również, że sam będzie musiał ją wykopać za pomocą młota i kilofa.

Stopniowo i zaskakująco opornie oraz przy braku nacisków ze strony Baumanna, Barney zaczął rozumieć, że odtworzył najtrudniejszą relację międzyludzką w swoim życiu.

Odkrycie to nastąpiło w gniewie.

- Dlaczego, do cholery, pan nigdy nic nie mówi? - powtórzył z rosnącą frustracją. - Przecież nieźle panu za to płacę, a pan się do mnie nawet nie odezwie. I niech pan sobie nie wyobraża, że nie zauważyłem tego, że nie mówi mi pan nawet "dzień dobry". O Chryste, na pożegnanie stwierdza pan tylko, że już pora kończyć. Co ja, u diabła, mam z tym zrobić?!

Doktor Baumann nic nie odpowiedział.

- W porządku, Fritz, już rozumiem! - krzyknął Barney z nie ukrywaną wrogością (której dowodem było lekceważące zwracanie się do wybitnego lekarza po imieniu). - Chcesz mnie doprowadzić do wściekłości? No więc udało ci się!

Doktor Baumann nadal milczał.

- W porządku, w porządku, już wiem. Czytałem całą literaturę na ten temat. Wiem, co ma teraz nastąpić. Mam ci teraz powiedzieć, że tak naprawdę, to nie jestem zły na ciebie, ale na osobę, którą dla mnie reprezentujesz. Dobrze wiesz, że mam rację, Fritz. Chociaż to powinienes mi przyznać.

Doktor Baumann nie odezwał się jednak.

- Naturalnie - warknął Barney, ciągnąc dalej swoją tyradę. - Chcesz, żebym ci powiedział...

Nagle przerwał w pół zdania. Nie był bowiem jeszcze w stanie otwarcie przyznać się do tego, kto w jego życiu odnosił się do niego tak, jak teraz traktował go doktor Baumann.

O cholera! - pomyślał sobie. Może powinienem zdecydować się na dermatologię. Tam nawet wysypka nie jest obowiązkowa. Po co ja się właściwie poddam tym głupim ćwiczeniom? A co mnie to obchodzi, czy Baumann mnie lubi, czy też nie? To po prostu stary, łysiejący grubas.

- O czym pan teraz myśli? - zapytał Baumann.

Z początku zaskoczył go ten niespodziewany dźwięk głosu lekarza. Potem jednak odpowiedział z uczuciem ulgi, jaką niesie wyzwolona agresja: - Pomyślałem sobie, że jest pan tylko starym, łysiejącym grubasem.

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Baumann zapytał cicho: - Jakie ma pan z tym asocjacje?

- Żadnych. Nie mam z tym żadnych asocjacji.

Barney nie mógł się po prostu przyznać do tego wstydliwego skojarzenia, które przyszło mu nagle na myśl.

Na koniec powiedział: - Nie sądzę, żeby to miało jakikolwiek sens, Fritz.

Nastąpiła kolejna cisza. Wreszcie doktor odezwał się:

- Pora kończyć.

Dopiero po miesiącu takich codziennych spotkań i niezliczonych powtórzeń tej samej sceny w różnych wersjach i odcieniach Barney zdobył się na odwagę, aby przyznać się Baumannowi, że obraźliwa wobec lekarza frazeologia, którą się posłużył, wywoływała u niego ważne asocjacje.

- Tak, tak! - powiedział w końcu. - Wiem, co sądzisz. Wydaje ci się, że wiesz, co sobie teraz myślę. Ten "stary" to po prostu żargonowe określenie ojca. Mylisz się jednak. To po prostu głupota.

Nadal nie mógł się z tym w pełni pogodzić.

- O Jezu! - narzekał. - Niewiele dostałem w zamian za te trzysta dolców.

Nagle pomyślał sobie: Dlaczego zachowuję się jak każdy typowy podręcznikowy pacjent? Dlaczego się tak rzucam o jego honorarium? To takie cholernie typowe! Dlaczego nie stać mnie na to, żeby być innym?

A potem przyszedł mu na myśl pewien pomysł. Może Fritz będzie mnie bardziej lubił, jeśli dostosuję się do normalnego wzorca?

W 1965 roku rozszalała się w końcu wisząca nad południowo-wschodnią Azją burza. Pierwszą serię bombardowań z rozkazu prezydenta Lyndona Johnsona nazwano nawet złowieszczą "Huczącym grzmotem".

W czerwcu Biały Dom ogłosił, że generał Westmoreland może rozporządzać wojskami Armii Stanów Zjednoczonych w sposób, jaki uzna za stosowny. •

Stwierdzenie, że mały ogień urósł do rozmiarów pożaru, było w tym wypadku z pewnością czymś więcej niż zwykłą metaforą. W tym bowiem roku pierwszy antywojenny demonstrator sięgnął do portfela; wyjął zeń małą kartkę papieru i przyłożył do niej płonąca zapałkę. Była to pierwsza spalona karta poborowa, lecz bynajmniej nie ostatnia.

Chociaż ich rówieśnicy byli już za starzy na to, aby powołano ich do służby, to jednak oni, jako lekarze, nadal posiadali dług wobec wojska.

Początkowo nie notowano specjalnego oporu. Przypuszczalnie powodem było to, że administracja usiłowała zataić swoje wzrastające zaangażowanie w tym małym, południowo-wschodnim azjatyckim kraju.

Dziwnym trafem osoba, której najmniej groziło powołanie do wojska, okazała się najbardziej chętna do podjęcia służby. Hank Dwyer zgłosił się na ochotnika. Sytuacja domowa stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Zdecydował więc, że skoro i tak nie ma spokoju w domu, to równie dobrze może się przenieść tam, gdzie toczyła się prawdziwa wojna. Cheryl z początku nie sprzeciwiała się temu. W rzeczywistości zarówno ona, jak i jej rodzina podziwiała ten pokaz Bankowego patriotyzmu. A poza tym była przekonana, że jako ginekologa przeniosą go do jakiegoś stanowego obozu wojskowego, żeby się zajmował oficerskimi żonami. Nikt z nich nie spodziewał się jednak, że Hank w swojej gorliwości zapisze się na specjalny wojskowy kurs leczenia szoku pobitewnego.

W ramach przygotowań do tego zadania wojskowi strzelcy wyborowi strzelali do owiec, a potem lekarze biegli, aby próbować je ratować. Z początku przychodziło im to z niejaką trudnością, zwłaszcza że większość z nich była wychowana na tak niewinnych, dziecinnych melodiach jak *Mały Bo-peep* i *Owieczka Mary*.

Ostatecznie okazało się, że Hankiem powodowało coś więcej aniżeli zagorzały patriotyzm. W klubie oficerskim w Fort Devins, w stanie Massachusetts, nasłuchiwał się fascynujących opowieści o egzotycznych rozkoszach Sajgonu.

Jeden z bardziej doświadczonych zawodowych kapitanów armii, który odbył już tam krótką inspekcję, ujął to zwięźle.

- Słuchajcie, chłopcy! Pamiętacie, czym była Hawana, zanim ten brodaty kutas zakończył całą zabawę? To ci dopiero była frajda! Tarło i ochlaj. Miał człowiek wrażenie, że jedynym źródłem dochodu jest tam burdel i rum. Były tam najpiękniejsze dziewczyny, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Zawsze się zastanawiałem, co też się z nimi stało po przejściu władzy przez tego zasranego Fidela. Teraz już wiem. Przeniosły całą swoją działalność i wszystkie dobytki do Sajgonu.

- Czy rzeczywiście jest tam tak dobrze? - zapytał kolega, otwierając z niedowierzaniem oczy.

- Nie! - upierał się kapitan. - Z dziesięć razy lepiej. Na samą myśl o tym nie mogę się opanować. Chodźcie, napijmy się jeszcze piwa.

- Teraz moja kolej - zaproponował porucznik Henry Dwyer, lekarz medycyny w Medycznym Korpusie Armii Stanów Zjednoczonych. Patrzył, jak barman napełniał trzy kolejne szklance, kiedy z tyłu podszedł nagle wysoki kapitan. Skinął głową na barmana. - Dwa dżiny z tonikiem, Horatio, i nie za dużo dżinu.

- Chwileczkę, kapitanie - odpowiedział grzecznie barman.

Hank odwrócił się i zobaczył znajomą twarz, do której jednak nie był w stanie doczepić nazwiska.

- Przepraszam pana, ale czy my się przypadkiem nie znamy?

Kapitan popatrzył na Hanka i zauważył natychmiast: - Jest pan w Korpusie Medycznym?

- Tak jest.

- Być może zatem znał pan moją żonę z Harvardu.

Teraz wszystko stało się dla Hanka jasne.

- Przypominam sobie teraz. Jest pan mężem Laury Castellano, prawda?

- Można by tak powiedzieć - odpowiedział Palmer. Obaj mężczyźni przedstawili się sobie ponownie i podali sobie ręce.

- Co cię tu przyniosło, Palmer? Dostałeś wezwanie do odbycia trzydziestodniowej służby w rezerwie?

- Nie. Wróciłem do aktywnej służby.

- O cholera! - mruknął Hank. - Laura nie jest pewno z tego powodu zbyt szczęśliwa.

- Prawdę rzekłszy - odpowiedział Palmer - tak jest zajęta uzdrawianiem chorych, że przynajmniej przez miesiąc nie zauważy, że mnie nie ma.

- No tak. Moja żona ciągle narzeka, że za długo siedzę w szpitalu. Twierdzi, że moje dzieci nie pamiętają już, jak wyglądam.

- Znam to uczucie - skomentował Palmer.

- Masz dzieci? - zapytał Hank.

- Nie...

- Mądre rozegranie - pochwalił Hank. - My mamy w domu menażerię. Nic nie jestem tam teraz w stanie zrobić. Szczerze mówiąc, zazdroszczę ci. To byłoby cudowne, gdybyśmy tak mogli z Cheryl spędzić choć parę lat tylko we dwoje. Rozumiesz. Wszystkie noce niczym sobotni wieczór. Wiesz chyba, o co mi chodzi.

- Wiem - odpowiedział sucho Palmer.

- Laura to wspaniała dziewczyna - ciągnął dalej nie zrażony Hank. - Ładna jak modelka z okładki. Wcale nie żartuję.

- Dzięki. Z pewnością jej to powtórzę.

W tym momencie uratowało Palmera nadejście Horatia z napojami.

Minęły prawie dwa miesiące od czasu, kiedy Barney wprowadził się do tego olbrzymiego, choć nieco zapuszczonego mieszkania w SoHo i nadal nie miał zielonego

pojęcia, co też mogło sprowokować u Very Mihalic ów paroksyzm, którego efektem było tłuczenie butelek.

Kiedy nazajutrz rano zapytał ją o to ze złością, Vera odwarknęła mu tylko, że zdewastowała jego kosmetyki, "ponieważ nie mogła dorwać się do jego twarzy". I to miało być zachowanie wykształconego psychoterapeuty? Zaczął się zastanawiać, czy ona przypadkiem nie badała mózgów swoich pacjentów za pomocą dłuta i młota.

Dzięki Bogu, że odchodzi za parę miesięcy i nie będzie musiał już więcej znosić jej morderczych spojrzeń w szpitalu.

Tymczasem z dziecięcą wprost radością korzystał z darmowych kolacji, fundowanych mu w świątku literackim. Ukoronowaniem ich było zaproszenie do restauracji Lutece, w której cena butelki wina wynosiła więcej niż jego miesięczna pensja. Był tam gościem Billa Chaplina, starszego redaktora Berkeley House, wydawnictwa tak znakomitego, że sama jego nazwa była już synonimem jakości.

Chaplin okazał się ogromnie odczytanym człowiekiem, równie swobodnie dyskutującym na temat Platona, jak i powieści współczesnej. Barniemu jeszcze bardziej podobała się jednak jego asystentka, wysmukła nimfa o jasnych i długich, naturalnych warkoczach. Siedzieli już przy stole, kiedy Barney przybył do restauracji.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, aby Sally siedziała tu z nami przy rozmowie? - zapytał grzecznie Bill.

Barney nie miał jakoś wątpliwości, że Sally Sheffield (absolwentka Bryn Mawr, rocznik 1963) miała fantastyczne nogi, nawet jeśli zakrywała je spódnicą, również ukrytą pod stołem.

Mimo braku większego doświadczenia, Barney nie był naiwny. Wiedział, że Chaplin nie zaprosił go tutaj po to, żeby dyskutować na temat Flauberta, Prousta czy Faulknera, chociaż każde z tych nazwisk padło w toku rozmowy. Dopiero po suflecie i brandy oraz po hawańskich cygarach przeszli do interesów.

Barney zrozumiał, że czas przejść do sedna sprawy, kiedy gibka panna Sheffield wstała, przepaszając za to, że musi wyjść wcześniej.

- Mój szef pogania nas jak niewolników. Mam jeszcze dzisiaj mnóstwo pracy. Cieszę się, że pana poznałam, doktorze Livingston.

Barney nie mógł oderwać wzroku od złotych warkoczy znikających na drugim końcu sali. O Boże! - pomyślał sobie. Jej włosy są jeszcze jaśniejsze od włosów Laury.

- Barney - zaczął Chaplin, odwracając jego uwagę. - Mam nadzieję, że wiesz, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie twoja praca. To bardzo świeże. Świetnie się to czyta, ponieważ nie posługujesz się tym psychiatrycznym abrakadabra.

- Pochlebiasz mi, Bill - odpowiedział szczerze Barney.

Wydawca uśmiechnął się. - Bardzo chciałbym coś twojego wydać, Barney.

- Ja również nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś został moim wydawcą - odpowiedział Barney.

- Zastanawiałeś się już może nad czymś?

- Prawdę rzekłszy, tak. Od dzieciństwa fascynował mnie sport. Wydaje mi się, że każdy z nas marzył kiedyś, żeby zostać jakimś tam rekordzistą.

Bill skinął głową. - Ja chciałem zostać najlepszym amerykańskim obrońcą. Niestety, nie pozwolił mi na to mój wzrost.

- Ja zawsze marzyłem, żeby grać profesjonalnie w koszykówkę - ciągnął Barney. - Niektórym ludziom udaje się jednak zrealizować te marzenia. Weźmy na przykład tego biegacza, Emila Zatopka, czeskiego "człowieka z żelaza". Musi istnieć coś w tej jego głowie, co popycha go do przekraczania granic ludzkich możliwości. Istnieją dziesiątki podobnych przykładów.

- "Brown Bomber" byłby pewno następnym logicznym tego przykładem.

- Z pewnością. Joe Louis jest wręcz fascynującym przypadkiem. To facet, który nie potrafił nawet mówić do siódmego roku życia, a skończył jako światowy mistrz wagi ciężkiej. Istnieje cała rzesza sportowców, którzy zaczęli z takim czy innym kalectwem. Na przykład Hal Connolly. Pomyśl tylko - urodził się z niesprawną lewą ręką i wybrał rzut oszczepem, dyscyplinę, która przecież podkreślała jego kalectwo. A mimo to zdobył złoty medal na olimpiadzie w 1956 roku i siedmiokrotnie pobił rekord świata.

Podszedł do nich starszy kelner z rachunkiem. Gospodarz Sarniego podpisał go szybko.

- Dziękuję panu, panie Chaplin - powiedział kelner, kłaniając się lekko. W chwilę później znowu byli sami.

- No cóż - Bill zaczął podsumowanie. - To świetny pomysł, aby wydać tobie książkę. Myślę, że będziemy w stanie zadowolić twoich ludzi.

Moich ludzi? - zastanawiał się Barney. Co on, u diabła, ma na myśli?

Następna wypowiedź Chaplina wyjaśniła całą sprawę.

- Powiedz im, żeby zadzwonili do mnie jutro rano. Słuchaj, przykro mi, że cię muszę tak zostawić, ale mam jeszcze bardzo długi rękopis do przeczytania dziś wieczorem. Zostań tu jednak jeszcze i napij się brandy czy czegośkolwiek. A tak swoją drogą, kto cię reprezentuje?

Barney przekopał swoją przesiąkniętą Bordeaux pamięć i po chwili, która wydała mu się wiecznością, odpowiedział: - Chapman, Rutledge i Strauss...

- A zatem prawnicy - odpowiedział z uznaniem Bill. - Dzięki Bogu, że nie musimy mieć do czynienia z jakimiś agentami. Ciao.

Kelner zapytał ponownie: - Czy mógłbym panu jeszcze coś podać, doktorze Livingston?

- Owszem, byłbym panu wdzięczny za szklanekę mineralnej wody. Czy jest tu gdzieś telefon?

- Chwileczkę, proszę pana.

I zniknął.

Czy ten facet przyniesie mi tu teraz telefon? Mnie, Barniemu Livingstonowi, byłemu mieszkańcowi Brooklynu, w stanie Nowy Jork? Przez całe życie wpychałem miedziaki do automatu, a teraz mają mi na srebrnej tacy podać telefon? O Boże, nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Fritzowi.

Miał teraz jednak o wiele pilniejszą sprawę do załatwienia. Wykreślił numer.

- Kto to? - zapytał rozespany głos.

- Warren, to ja. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Barney? Masz może jakieś kłopoty?

- Tak jakby. Ale miłe. Potrzebni mi są "ludzie".

- Czy nie odbiło ci czasem z niewyspania?

- Nie, nie! Wydaje mi się jednak, że zapomniałem, dla której firmy pracujesz.

- Chapman, Rutledge i...

- Dobrze, dobrze - przerwał Barney. - Widać z tego, że mój mózg nadal działa bez szwanku. Słuchaj, Warren, dowiedz się, kto u was w biurze jest najlepszym facetem od kontraktów i poproś go, żeby zadzwonił jutro do mnie do szpitala. Właśnie sprzedałem książkę!

- Hej! Gratulacje, Barney! Poczekaj, niech no się tylko mama o tym dowie! Jesteś pewno w siódmym niebie.

- Prawdę rzekłszy, siedzę teraz w Lutece. Ale jeszcze bliżej nieba nie byłem. Dobranoc, stary. Dzięki.

Była to względnie spokojna noc w tym piekielnym kotle, do którego lekarze często porównują ostry dyżur. Przeważały zwykłe złamania, gorączkujące dzieci i ofiary wypadków samochodowych. Aż do momentu, kiedy nagle policja uprzedziła pielęgniarkę na izbie przyjęć o dwóch ofiarach wyjątkowo brutalnego napadu rabunkowego. Wysłano je właśnie do szpitala z krwawiącymi obficie wielokrotnymi ranami kłutymi.

Zaledwie parę minut później Seth usłyszał sygnały karetek pogotowia i wózwo policyjnych. W ułamku sekundy cały oddział zamienił się w istny dom wariatów. Pacjentów było tam tylko dwoje, lecz zarówno policjanci, jak i obsługa karetek wnosząca ich pospiesznie na noszach, umorusani byli krwią.

- Kto tu jest szefem? - warknął sierżant policji.

- Ja - odpowiedział Seth. - Niech pan mówi szybko. Nie mamy zbyt dużo czasu do stracenia.

- Przepraszam, doktorze. Przepraszam. Z tego, co widziałem, ta kobieta jest w gorszym stanie. Wygląda na to, że ma o wiele więcej ran. I zdaje się, że ją również zgwałcono.

- Dziękuję, sierzancie - powiedział pospiesznie Seth. - Sam się nią zajmę.

Skinął na dwie pielęgniarki i stażystę Tima Blustone'a, aby zabrali mężczyznę na drugą salę pourazową. Tymczasem on wraz z innym stażystą i trzecią pielęgniarką zajęli się kobietą.

Koła wózka nie przestały się jeszcze obracać, kiedy asystent Setha zaczął zakładać na jedno ramię kroplówkę. Seth założył następną.

Pielęgniarka ściągnęła resztki tego, co pozostało z poszarpanego ubrania kobiety. Pacjentka leżała w stanie śpiączki i szoku i zdawała się nie odczuwać bólu. Próbował oszacować liczbę i stan jej ran.

- Zwierzęta, po prostu zwierzęta! Jak w ogóle ktoś mógł coś takiego zrobić? - powiedziała pielęgniarka.

- Najwyraźniej nieźle się broniła - zauważył cicho Seth. - Najwięcej ran ma na rękach i na ramionach, a na brzuchu tylko dwa okaleczenia i to wyraźnie poniżej serca. Są również zbyt powierzchowne, żeby uszkodzić któryś z organów.

Spojrzał na młodszego lekarza. - Sprawdź, czy nie ma gdzieś krwawienia wewnętrznego, i zacznij zszywać. Pomogę ci, kiedy tylko sprawdzę, jak sobie radzi Tim.

Przeszedł prędko na drugą stronę korytarza i otworzył drzwi. Drugi zespół pogotowia stał w dziwnym bezruchu.

- Co tu się dzieje? - zapytał Seth.

Tim Bluestone odpowiedział chrapliwym głosem: - Dostał nożem w samo serce. On nie żyje.

Seth spojrzał na ekran monitora. Wykres wyglądał na prostą linię. Ofiara leżała na stole bez ruchu. Mała, czerwona strużka krwi spływała wolno z rany na lewym boku.

- Sprawdźcie mu jeszcze raz ciśnienie krwi - rozkazał Seth, wyciągając z kieszeni małą latarkę i zagładając w oczy mężczyzny.

- Już to sprawdzałem - odpowiedział Bluestone. - Ma rozszerzone źrenice i brak jakiejkolwiek reakcji.

Seth powtórzył pytanie, tak jakby tego w ogóle nie słyszał:

- Jakie jest jego ciśnienie krwi?

- Zero - odpowiedział Bluestone. - Powiedziałem ci już przecież, że on nie żyje.

Seth zdawał się ignorować orzeczenie kolegi. - Proszę o igłę i strzykawkę.

- Z czym, doktorze? - zapytała przełożona pielęgniarka.

- Zwykłą strzykawkę podskórną - odwarknął.

Podano mu do ręki strzykawkę. Ku powszechnemu zdziwieniu zebranych, a zwłaszcza doktora Bluestone'a, Seth prędko zatopił igłę w piersi mężczyzny tuż obok rany. Powoli napelnił strzykawkę krwią, łagodząc w ten sposób ucisk wokół serca pacjenta.

- Zaczynam odbierać bicie serca - odezwała się z niedowierzaniem stojąca przy monitorze pielęgniarka.

Seth skinął lekko głową dla potwierdzenia jej raportu i zwrócił się do drugiej pielęgniarki: - Proszę podać doktorowi Bluestone'owi dziesięć mililitrów adrenaliny.

Potem spojrzał na młodego doktora i powiedział: - Daj mu to prosto w serce, Tim.

Następnie bez słowa sięgnął do tacy z instrumentami, pochwycił skalpel i rozciął klatkę piersiową mężczyzny, po czym szerokim retraktorem uchwycił dwa żebra. Wszyscy ujrzeli teraz bijące serce pacjenta. Seth zakrył jedną dłonią ranę mężczyzny, a drugą począł rytmicznie ścisnąć mu serce. Siostra przełożona pobiegła zobaczyć, czy przyszedł już któryś z dyżurujących chirurgów, aby zakończyć pracę, którą rozpoczął Seth.

Bluestone zaniemówił. Zdołał tylko wykrztusić z siebie:

- O Jezu, to była szybka reakcja.

Potem jednak przyszło mu nagle na myśl: - Ale przecież to jest wbrew przepisom szpitala. Nikt poza chirurgiem nie ma prawa rozcinać klatki piersiowej pacjenta.

- Wiem o tym - odpowiedział ze zniecierpliwieniem Seth. - Powiedz to jednak wdowie po nim.

Ręce Setha nieustannie kurczyły i rozkurczały serce pacjenta, a oczy uważnie śledziły jego twarz.

Po kilku minutach mężczyzna zaczął jęczeć: - Ellen, gdzie jest moja Ellen?

- Ellen jest bezpieczna - szepnął Seth. - Jestem lekarzem. Twoja żona znajduje się w sąsiednim pokoju. Żadnemu z was nie grozi niebezpieczeństwo.

W godzinę później obaj lekarze umyli ręce z krwi (choć fartuchy mieli nadal poplamione czerwienią). Dopiero teraz mogli się spokojnie zastanowić nad tym, co się stało.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, Seth. Mam takie poczucie winy. Gdyby nie ty...

- Zapomnij o tym, Tim. Każdy z nas czasem nawala.

- Z wyjątkiem ciebie. Przyglądałem ci się przez cały rok. Nigdy nie widziałem, żebyś cokolwiek przeoczył.

Seth uśmiechnął się. - To taka procedura, której nigdy nie uczą w Szkole Medycznej. Nazywa się to KWD.

- Co to takiego?

- Należy kryć własną dupę.

Rozdział XXXII

Rok 1966 był rokiem buntów. Przez Amerykę przeszły wówczas aż czterdzieści trzy fale zamieszek na tle rasowym.

Czarna społeczność New Haven również chciała podkreślić swoją tożsamość i żądać niezaprzeczalnych praw. A jednak mimo to, Martin Luther King nie byłby mile widzianym gościem na wielu zebraniach. W większości bowiem miast północnoamerykańskich walka toczyła się w morzu płomieni i krwi.

Chcąc nie chcąc, Bennett Landsmann został wciągnięty w jej wir.

Jako młodszy asystent specjalizujący się w chirurgii miał teraz dodatkowe obowiązki, a nawet własny gabinet (jeśli w ogóle można było zaszczyścić ten kącik taką nazwą).

Spisywał tam właśnie dane jednego z pacjentów, którego przed chwilą przyjął na oddział z przepukliną pachwinową, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Gościem okazał się czarny, muskularny sanitariusz, którego znał tylko z imienia.

- Czy panu przeszkadzam, doktorze?

- Nie, wcale nie. Proszę, wejdź i usiądź.

Jack wszedł do gabinetu, ale nie usiadł. Bennett zza biurka spojrzał na zatroskaną twarz młodego mężczyzny i zapytał: - Czy coś się stało?

- Można by to i tak określić, doktorze.

- Proszę, mów do mnie po imieniu. A teraz powiedz mi, o co chodzi?

- O nas wszystkich - odpowiedział sanitariusz nieśmiało. - Jakby to powiedzieć... zostałem wydelegowany, aby wybadać braci i siostry wśród szpitalnego personelu. Nie chodzi tu o odźwiernych i sprzątaczkę.

- To spora robota.

- Niezupełnie, Ben. Chcesz wiedzieć, ilu jest tu czarnych lekarzy i pozostałego personelu medycznego?

Ben uśmiechnął się. - Mam wrażenie, że nie zabrakłoby mi palców u rąk i nóg.

- Starczyłoby ci palców u rąk. Kropka. Słuchaj, Ben, wielu z nas ma już dosyć tego siedzenia na dupie i pisania listów do kongresmenów lub tego maszerowania jak harcerzyki wokół skwerku w New Haven. Zbieramy grupę do poważniejszej roboty. Żądamy tego, co nam się należy, i żądamy tego już teraz. Kapujesz?

- Kapuję.

- W czwartek wieczorem organizujemy coś w rodzaju spotkania orientacyjnego. Czy mógłbyś przyjść o siódmej trzydzieści?

- Myślę, że tak.

Jack wyciągnął kawałek papieru z kieszeni i podał go Bennett-owi. - Sądzę, że otworzy ci to oczy na wiele spraw. Odwrócił się do wyjścia.

- A tak swoją drogą - zawołał za nim Bennett - czy ta twoja grupa ma jakąś nazwę?

- Aha - odpowiedział Jack. - Nazywamy się Czarne Pantery.

Podniósł rękę, zasalutował zaciśniętą pięścią i wyszedł z gabinetu.

- Już to sobie wszystko przemyślałem, Fritz - tłumaczył Barney psychoanalitykowi w nadziei, że tamten słucha go i nie śpi. - Mój ojciec był na wojnie, więc naturalnie często myślałem o nim i pewno zastanawiałem się, czy przypadkiem nie odszedł od nas przeze mnie.

Lekarz nie potwierdził niczego ani też niczemu nie zaprzeczył.

- Wiesz, Fritz, ciągle ci to powtarzam, że bardzo by mi pomogło, gdybyś dał mi do zrozumienia, czy mam rację i czy się nie mylę. - Przerwał na chwilę. - Przykro mi, doktorze, nie powinienem tak wyładowywać własnych frustracji na panu. Wiem, że mam rację, ponieważ tak faktycznie myślę. Prawda?

Doktor nadal nic nie odpowiedział.

- Nic zatem dziwnego, że przeszedłem przez wczesne dzieciństwo, szukając kogoś, kto pełniłby dla mnie rolę ojca. Luis Castellano był pod ręką, zaledwie trzydzieści metrów obok. Wielki, niedźwiedziowaty, ojcowski. Sądzę, że po części pragnąłem zostać lekarzem, żeby być taki jak on, chociaż on nie bardzo wierzył w psychiatrię. Żartował sobie kiedyś, że to tylko taki rodzaj spowiedzi bez rozgrzeszenia.

- Tak twierdził Chesterton - wtrącił Baumann jedną ze swoich rzadkich interwencji.

- Być może - odpowiedział Barney. - Ale Luis Castellano również. Tamten facet był konserwatywnym katolickim propagandystą, którym Luis z pewnością nigdy nie zostanie.

Barney wygadywał na swojego zastępczego ojca prawie przez cały miesiąc. Dopiero wówczas doktor Baumann poczuł, że należy interweniować.

- Ale naturalnie miałeś swojego naturalnego ojca - zauważył analityk.

- No tak. Czy sądzisz, że próbuję uniknąć rozmowy na jego temat? Daj spokój, Fritz, ja nie mam takich zahamowań. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał cicho: - A może i mam.

Przyjął milczenie lekarza za zgodę.

- Często marzyłem o nim, kiedy wyjechał. Tylko że po pewnym czasie jakoś zapomniałem, jak on wyglądał. To znaczy widziałem na filmach wojennych tych wszystkich dzielnych żołnierzy i wyobrażałem sobie, że mój tato będzie kimś w rodzaju Audiego Murphy'ego.

Barney przerwał na chwilę, wracając myślą do dnia, kiedy zobaczył Harolda na stacji. Ponownie przeżył swoje rozczarowanie.

- Wyobrażałem sobie, że był wielki i wysoki, a facet, który podszedł do nas, kulejąc, wydawał mi się taki niski i wąły.

Urwał nagle, czując napływające do oczu łzy. Zaczerpnął kilkakrotnie głęboko powietrza, zanim zaczął mówić dalej.

- Był jednak moim ojcem i rozpaczliwie usiłowałem mu się przypodobać. Czy uwierzysz, że uczyłem się łaciny tylko po to, żeby mu pokazać, że interesowałem się przedmiotem, którego on uczył? Przypuszczam, że to nie była znowu taka wielka rzecz.

Przerwał ponownie i po chwili zauważył z goryczą: - W każdym razie dla niego nie było to nic wielkiego.

Poczuł, jak wzbierał w nim gniew.

- Wiem, że mówiłem ci to już z milion razy. W szkole średniej byłem niezłym koszykarzem i naprawdę potrafiłem podniecić kibiców z Midwood szybkimi podaniami, czymkolwiek. Tak chciałem, żeby ojciec zobaczył mnie w akcji, no wiesz, żeby widział aprobatę tłumu... Ale on nigdy nie przyszedł na żaden mecz.

Znowu przerwał, usiłując zapanować nad swoimi uczuciami. A potem dodał: - Czasami go nienawidzę. - I ciągnął dalej z goryczą: - Nienawidzę go za to, że umarł, zanim mógł zobaczyć... na kogo wyrosłem.

Nie był już w stanie powiedzieć nic więcej. Rozplakał się.

Barney przyjmował pacjentów w szpitalu zupełnie bezinteresownie. Niektórzy przychodzili raz w tygodniu, inni dwa razy. Oni właśnie potwierdzali przekonanie Thoreau, że większość ludzi żyje w cichej desperacji.

Podręczniki dowodziły, że prawie dwadzieścia procent ludzi cierpi na różnego typu depresje, jednakże przygnębienie, z którym stykał się bezustannie, sprawiało, że dane te wydawały mu się zaniżone. Wszędzie, a przynajmniej w Nowym Jorku, panowała epidemia rozpacz.

Bardzo niewiele też osób posiadało krańcowo przeciwstawne symptomy. Oscylowały one pomiędzy szczytami niczym nie uzasadnionej euforii a dnem równie pozbawionej powodów depresji.

Z drugiej zaś strony, podręczniki słusznie podkreślały, że na chorobę tę zapadają najczęściej kobiety. Wydawały się bardziej podatne na ciosy. Dla wielu z nich dom, nawet bez dzieci, był równoznaczny z osadzeniem w samotnej celi, którego nie łagodziło nawet posiadanie bratniej duszy.

Częstokroć, po całym dniu tych podróży po cudzych koszmarach, Barney dochodził do wniosku, że coś takiego jak szczęśliwe małżeństwo w ogóle nie istniało. Potem jednak pomyślał, że ludzie szczęśliwi nie potrzebowali przecież terapii.

Przekonał się również, że Melancholia i żaloba Freuda nadal stanowiła jedną z najbardziej wnikliwych analiz źródeł depresji. Ci, którzy na nią cierpieli, oplakiwali niejako utratę poczucia własnej wartości oraz brak zaangażowania się we własne życie.

Tłumaczył doktorowi Baumannowi, że dlatego problem ten interesował go tak bardzo, ponieważ martwił się ogromnie o Laurę.

- Ta dziewczyna posiada wszystko. Jest piękna, mądra i dobra. Ma poczucie humoru. A mimo to pozwala temu swojemu przekłętemu mężowi deptać po sobie, ponieważ jest przekonana, że nic nie jest warta. O Chryste, chciałbym, żeby ona zaczęła chodzić do jakiegoś lekarza!

Tak naprawdę, Laura faktycznie widywała się z jednym z lekarzy. To znaczy spotykała się z Robbiem Waldem, psychologiem, którego poznała, kiedy przyszedł do Szpitala Dziecięcego na specjalne konsultacje. Wydawało się jej, że ma on trochę uroku i optymizmu Barniego, z dodatkiem paru specjalnych, własnych uzdolnień. Robbie był również utalentowanym pianistą i wykładał w konserwatorium w Nowej Anglii. Ilekroć szli razem do klubu jazzowego, kończyło się to nieuchronnie tym, że zajmował miejsce pianisty i bębnił w klawisze.

Był ciepłym i uprzejmym człowiekiem. Często wpadał o niesamowitych porach do Laury na jej nocne dyżury, przynosząc jej słodkie bułeczki od Kena albo pudełka

wielosmakowych, kolorowych lodów. Było w nich zawsze mnóstwo jej ulubionych deserów lodowych.

Romans ten dręczył ją jednak. W trakcie swego długiego chodzenia z Palmerem nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia, jeśli widywała się z innymi mężczyznami. Teraz jednak, kiedy była mężatką, czuła się winna. Wierzyła lub raczej pragnęła wierzyć w świętość przysięgi, którą złożyła.

Na koniec jednak zjednał ją sobie swoim zaangażowaniem. A ponadto była wówczas bardzo samotna. Poza telefonicznymi rozmowami z Barniem, nie prowadziła właściwie żadnych innych. Nawet poczta, którą otrzymywała, składała się wyłącznie z rachunków, sporadycznych kartek od Palmera i jeszcze rzadszych listów od Grety.

Kiedy poczuła się z nim swobodniej, zaczęła napomykać mu o problemie Grety.

- Małe sprostowanie - wtrącił Robbie. - Jej największym problemem jest jej własny doktor. Andy Himmerman może być największym na świecie ekspertem w sprawach związanych z okresem dojrzewania, jak również wyglądem może przypominać Cary Granta, ale to wcale nie zmienia faktu, że sam jest popieprzony.

- Jak to? - spytała.

- Przypuszczam, że czuje się bardzo niepewnie w swojej męskiej roli. Nie mam jednak pojęcia, dlaczego musi w związku z tym nadużywać swojej pozycji w celu uwodzenia pacjentek.

Zaskoczyło ją to. - Skąd ty tyle o nim wiesz?

- Nie mogę naruszać obowiązującej mnie etyki zawodowej. Powiedzmy więc zatem, że leczyłem kiedyś pacjentkę, wokół której on się kiedyś kręcił i której narobił kłopotów.

- Ale Greta przysięga, że on się chce z nią ożenić.

Robbie roześmiał się. - Parafrazując Dorothy Parker, gdyby tak wszystkie kobiety, którym Andy obiecał małżeństwo, ułożyć jedną obok drugiej... Wcale mnie to nie dziwi.

- Robbie, tu nie ma nic do śmiechu. Greta nie ma zielonego pojęcia o mężczyznach. Właśnie dlatego zaczęła chodzić do Himmermana.

- O mój Boże! - westchnął pod nosem Robbie i zamilkł.

Laura musiała zapytać: - Czy pomogłeś tej jego pacjentce? To znaczy, czy ona już wyzdrowiała?

Robbie skrzywił się. - To była bardzo chora dziewczyna.

Laura natychmiast zauważyła użycie czasu przeszłego. - Była?

Robbie pokiwał poważnie głową. - W świadectwie zgonu napisałem nieomal, że przyczyną śmierci był doktor Andrew Himmerman.

- O Jezu! - wykrzyknęła Laura. - Dlaczego nie złożyłeś na niego skargi?

- Próbowałem - odpowiedział bezbarwnym tonem Robbie. - Ale jedyny świadek nie mógł złożyć zeznań.

Bennett nie mógł zasnąć, nawet po dwóch miligramach valium, jakie zażył. Wiedział jednak, że jeśli odpowiednio nie wypocznie, to będzie zbyt zmęczony, aby nazajutrz kroić pacjentów. A w poniedziałki rano nie było bocznych obrońców na chirurgii.

W końcu przemógł swą niechęć i chwycił za telefon.

- Doktora Livingstona nie ma w domu - odpowiedział mu głos przypominający dokładnie głos Barniego.

- Hej, człowieku, to ja, Bennett! Czy cię obudziłem?

- A, doktor Landsmann - odpowiedział Barney przesadnie profesjonalnym tonem. - Czy mógłbym do pana oddzwonić? Właśnie mam u siebie pacjenta.

- U siebie w domu? W środku nocy? Dzwoniłem do ciebie do szpitala i powiedziano mi, że nie masz dzisiaj dyżuru.

- Doktorze Landsmann, obawiam się, że będzie pan musiał do mnie zadzwonić w czasie moich normalnych godzin przyjęć jutro rano.

Bennett w końcu połapał się, o co chodzi.

- Masz u siebie kociaka, doktorze? - zapytał przyciszonym głosem.

- Owszem, doktorze - odpowiedział Barney dosadnie. - Mam u siebie pacjenta, który wymaga natychmiastowej uwagi.

- Przepraszam. Nie pozwól, abym kiedykolwiek stanął na przeszkodzie postępowi w medycynie.

Barney odłożył słuchawkę i wrócił do swego pokoju, mruczając pod nosem dramatycznie: - I tak jest bez końca. Lekarze wydzwanają do mnie po konsultacje dniami i nocami. Nawet jeśli teraz jest ranek w Europie, to nie oznacza to wcale, że mają prawo zawracać mi o tej porze głowę.

Po czym zapytał swoją pacjentkę: - Gdzie to ja przed chwilą byłem?

- Tutaj! - odpowiedziała Sally Sheffield.

Bennett nie mógł uwierzyć własnym oczom. W małym, kwiecieście ozdobionym pokojem na pierwszym piętrze dwurodzinnego domu przy alei Dixwell, stłoczonych było ponad dwa tuziny osób. Połowę stanowiły kobiety uczesane na afro. Większość mężczyzn była ubrana w stylu szturmowych oddziałów. Oficjalne umundurowanie Panter składało się bowiem ze skórzanej kurtki, beretu, koszuli i spodni. No i naturalnie czarnych, skórzanych butów.

Cały pokój udekorowany był od ściany do ściany symbolami ludzkiego gniewu portretami Malcolma X, Che Guevary, Stokely'ego Carmichaela i Rona Karengi, prawdopodobnie najbardziej zagorzałego czarnego nacjonalisty z nich wszystkich. Wszystkie plakaty zdawały się nawoływać chóralnie do rewolucji pod hasłem: "Wytłuc białych".

Bennett wszedł niepewnie do środka i ucieszył się na widok Jacka. Sanitariusz pozdrowił go, a potem podszedł do niego i wprowadził na środek pokoju, przedstawiając jako brata Bennetta.

W swoim swetrze z Varsity, koszulce z rozpiętym kołnierzykiem i dżinsowych spodniach, Bennett czuł się trochę obco. Rozpaczliwie usiłował dostosować się do tych ludzi, którzy - pomimo swoich gwałtownych metod - usiłowali przecież naprawić rzeczywiste "krzywdy. Przypomniał sobie nagle o eseju, który Barney dał mu kiedyś, prosząc, aby przekazał go Herschlowi. Był to artykuł Brana Bettelheima na temat ludzkiego zachowania się "w krytycznych sytuacjach". W tamtym przypadku chodziło o obozy koncentracyjne. Zasady jednak pozostawały te same. Wyjątkowe napięcie wywoływało często zaskakujące reakcje wśród ciemniejących.

Jack powstał, żeby rozpocząć przemówienie. Nie używano tam jego "niewolniczego imienia", lecz nazywano go bratem Jamalem.

- Mamy tu między nami braci, którzy byli w wojsku i mogą nauczyć nas walki partyzanckiej. Mamy szkolenie karate dla każdego dzieciaka, który nie jest jeszcze w stanie utrzymać karabinu. Zorganizowaliśmy również kurs walki ulicznej. Jeśli biali chcą wojny, to ją będą mieli.

Rozległy się oklaski i entuzjastyczne pomruki: - Racja, racja!

Brat Jamal zapytał, czy są jakieś pytania.

Bennett zawahał się, a potem podniósł rękę.

- Czy mógłbym zapytać, jakie macie dowody na to, że... biali szykują się do wojny?

Jamal-Jack odpowiedział: - Mam pisemne dowody, że Armia Stanów Zjednoczonych przygotowuje siedem oddziałów specjalnych do rozprawienia się z nami. Tylko że to my najpierw rozprawimy się z nimi.

Wywołało to następną salwę aprobowanych okrzyków ze strony zebranych.

- Prawdę mówiąc - ciągnął dalej mówca, spoglądając na Bennetta - chcemy, żebyś nas nauczył udzielania pierwszej pomocy, a ponieważ jesteś chirurgiem, żebyś nauczył nasze służby medyczne zasad leczenia ran postrzałowych. A zatem, czy jesteś z nami, bracie?

Bennetta zaskoczyło to zupełnie. Jamal-Jack nalegał: - No zdecyduj się, człowieku. Wiesz chyba, co mówi Eldridge: "Jeśli nie jest się częścią rozwiązania, to jest się przyczyną problemu". No więc, po której stronie stoisz, bracie Bennecie?

Wśród zgromadzonych rozległy się pomruki.

Bennett wstał i odpowiedział z takim spokojem, na jaki mógł się zdobyć.

- Jestem tu przypuszczalnie najstarszy z was i może mógłbym nadać tej walce o równość - naszej wspólnej walce - jakąś perspektywę. Małe miasteczko w Georgii, gdzie się wychowałem, posiadało piękną szkołę średnią dla białych i szopę dla "czarnuchów". Od tego czasu szkoły, a nawet wyższe uczelnie na Południu zostały zintegrowane. Mamy nawet czarnego senatora w Massachusetts...

- Skończ na tym, Wuju Tomie - warknął gniewny głos. Był to Jomo Simba (w języku suahili oznaczało to lwa). - Dobrze wiemy, gdzie trzymasz głowę - tuż przy dupie białego człowieka.

Wśród Panter rozległy się kpiące chichoty, a Simba ciągnął dalej:

- Dość już mamy tego gównianego głędzenia w stylu "patrzcie tylko, jak już daleko zaszliśmy". Popraw się lepiej, bracie, bo w przeciwnym wypadku jak opadnie dym, zostanie po tobie tylko kupka czarnego kurzu.

Zaczęto krzyżeć jeszcze głośniejsze: - Racja, racja!

- No dobrze, skoro jesteście tacy mądrzy - odpowiedział Bennett. - Zobaczymy zatem, czy potraficie odpowiedzieć na parę zasadniczych pytań. Po pierwsze, jaki sens był w spaleniu Watts, czy też jakiegokolwiek innego miasta, skoro tym samym zniszczyliście swoje własne domy i przedsiębiorstwa? Po drugie, czy nikt z was nie był leczony w Yale, w Szpitalu New Haven? Gdzie, u diabła, pójdziecie, jeśli puścicie go z dymem?

- Mają tam tylko około dwóch i pół czarnych lekarzy! - wrzasnął ostry, kobiecy głos.

- Zgadzam się, zgadzam się! - odpowiedział Bennett. - Nadal jednak zajmują się tam na ostrym dyżurze wszystkimi czarnymi z New Haven.

- Ale co to, cholera, za postęp? - odwrzasnęła z wściekłością kobieta.

Bennett zniżył głos i odpowiedział z udaną powściągliwością:

- Pozwólcie, że opowiem wam jedną historię. Facet, który wynalazł i wprowadził technikę transfuzji krwi, był czarnym doktorem, który nazywał się Charlie Drew. Był to jeden z najbardziej wszechstronnie utalentowanych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na świecie. W 1950 roku padł ofiarą wypadku samochodowego w Alabamie. Ponieważ był czarny, nie przyjęto go do żadnego szpitala, mimo że jedynie transfuzja krwi mogła uratować mu życie. Rozumiecie? Czy ktoś z was słyszał kiedyś o tym?

Nie było odpowiedzi.

- Chcę wam przez to powiedzieć, że rozumiem, dlaczego chcecie spalić za sobą mosty. Dlaczego jednak mielibyście, u diabła, palić mosty przed sobą?

Zapanowała przejmująca cisza. Przerwał ją wreszcie ktoś z drugiego końca pokoju: - Nie potrzeba nam twoich cholernych opinii! Potrzebna nam tylko twoja dupa w pierwszych szeregach!

Bennett usiłował jak najszybciej opuścić scenę.

- Słuchajcie - odpowiedział cicho. - Daliście mi wiele do myślenia i potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić. Z chęcią nauczę was zasad udzielania pierwszej pomocy w getcie. To może okazać się bardzo pomocne. Nie mam jednak zamiaru podkładać bomby pod krzesłem Lyndona Johnsona.

Po czym wymawiając się obowiązkami w szpitalu, przeprosił i skierował się w stronę drzwi. Jamal-Jack złapał go na korytarzu.

- Słuchaj, Bennett - powiedział nieśmiałym szeptem. - Moja praca przynosi mi tylko sześćdziesiąt osiem dolarów i pięćdziesiąt centów po odliczeniu podatków. Mam na utrzymaniu żonę i dzieci. Nie wspomnisz chyba o tym nikomu...

- Naturalnie, Jack. Możesz być o to spokojny.

Bennett odwrócił się i zbiegł ze schodów na ulicę. Wstydził się, że go ktoś zobaczy w jego jaguarze za dziewięć tysięcy dolarów.

Rozdział XXXIII

Moment, w którym wypuszczono ich w świat, był niewesoły. A mimo to w roku 1967 i 1968 większość lekarzy, którzy ukończyli Szkołę Medyczną pięć lat wcześniej, pracowała już na własną rękę. Osiągnęli wymagany pułap wiedzy, lecz nadal prześladowała ich świadomość własnych ograniczeń i omylności.

Był to okres ogromnego zamieszania, w którym przywódcy wojskowi wypowiadali się na temat wartości życia, a lekarze definiowali właściwy moment śmierci. Moralna schizofrenia przybierała rozmiary epidemii.

Generał Westmoreland oświadczył w prasie, że mieszkańcy Dalekiego Wschodu, których jego żołnierze usiłovali wytluc w Wietnamie, nie szanowali ludzkiego życia w takim stopniu jak bardziej oświeceni pod tym względem ludzie Zachodu.

Murzyni buntowali się wprawdzie w miastach, ale kiedy wkładali na siebie mundury khaki i strzelali do Wietkongu, biali generałowie przypinali im medale na piersiach. Ta sprzeczność i schizofreniczny stosunek do przemocy została podsumowana przez Cassiusa Claya (jak zwykli nazywać go biali) czy też Muhammada Ali (jak nazywali go bracia i garstka liberalnej lewicy). Wielki bokser stanął na stopniach centrum poborowego i oświadczył, że nie będzie używał danego mu przez Boga talentu na załatwianie porachunków z Wietnameczykami. On, który chętnie skakał na ring, aby “rozłożyć swego przeciwnika, zanim policzy do pięciu” i “przygwoździć go do podłogi, zanim zdąży policzyć do czterech”, odmówił wzięcia udziału w zabijaniu ludzi, którzy nie byli nawet w stanie pozwolić sobie na kupno rękawiczek bokserskich.

Ali został uznany za umysłowo niezdatnego do pełnienia służby wojskowej.

(Powiedziałem wam przecież, że jestem najlepszy, ale wcale nie najmądrzejszy.) Czasy się zmieniły.

Tymczasem lekarze zaczęli zastanawiać się teraz nad tym, co to jest śmierć. Innymi słowy, kiedy można było usuwać zdrowe organy z ciał zmarłych, aby stosować je jako części zamiennie w miejsce uszkodzonych u innych ludzi.

W kraju położonym tak blisko bieguna południowego, że niekiedy oświetlała go aurora australis, doktor Christiaan Barnard czekał na orzeczenie czyjejs śmierci, aby móc przeszczepić serce zmarłego innemu człowiekowi.

W Szpitalu Groote Schuur, w pobliżu Capetown, chirurdzy nadali dodatkowy wymiar debacie na temat: czyje życie ma większą wartość. Trzeci pacjent doktora Barnarda, biały dentysta z Capetown, został wydarty śmierci dzięki darowi serca ze strony czarnego człowieka. Jakżeż teraz mędracy apartheidu mogli sklasyfikować tego pacjenta? Którą część autobusu, jakie toalety, a nawet które z miast były teraz najodpowiedniejsze dla Philipa Blaiberga, najbardziej kontrowersyjnego pacjenta doktora Barnarda?

Istniały zatem również i pozytywne rokowania dla świata. Przeszczep serca z jednej klatki piersiowej do drugiej figurował w większości nagłówków prasowych 1967 roku. W tym samym jednak czasie, w cichym laboratorium w Cleveland, w stanie Ohio, doktor Robert White usunął cały mózg z czaszki jednej małpy i przeszczepił go drugiej.

Otwierające się przed nauką perspektywy były wręcz niewiarygodne.

W psychoanalizie nie ma rozdania świadectw, gdyż w pewnym sensie nigdy się ona nie kończy. Najważniejsza część terapii zaczyna się dopiero wtedy, gdy pacjent powstaje niczym Feniks z popiołów własnych zahamowań, staje prosto i wkracza w labirynt swego codziennego życia, posługując się własną psychę niczym kompasem, dzięki któremu jest w stanie podejmować właściwe decyzje.

Barney pojawił się na swojej ostatniej sesji z doktorem Baumannem z mieszanymi uczuciami dumy i ulgi, przechodzącymi w smutek i lęk. Chociaż oficjalnie jego psychoanaliza dobiegła już końca, to jednak nadal miał świadomość, że zawsze będzie dźwigał ciężar nie rozwiązanych emocji. Odbywając wewnętrzną odyseję od wspomnień do wspomnień, uświadomił sobie, jak rozpaczliwie pragnął i potrzebował ojca, którego zabrała mu jego przedwczesna śmierć. I nic już nie było w stanie tego odmienić.

Doktor Baumann pomógł mu również zrozumieć jego zachowanie, a przynajmniej powodujące nim motywy. Mógł teraz cieszyć się największą korzyścią psychoanalizy, a więc tą rzadką umiejętnością zachowywania się jak przystało na dorosłego człowieka.

Istniał jednakże obszar, który nadal pozostał niedostępny jego świadomości - pewna postać w jego życiu, która zdawała się występować w każdej niemal scenie, a której rola nigdy nie została w pełni zbadana. Doktor Baumann zdawał sobie sprawę z tego, że Laury Castellano nie można zignorować.

Pacjent tak żywo opisał mu tę dziewczynę, nie tylko jej zalety, ale i skomplikowaną psychę, że doktor Baumann często zastanawiał się nad tym, jak ona w rzeczywistości wygląda. Wiedział jednak, że nie udało mu się pomóc młodemu psychiatrze w ujawnieniu tego, co ta mityczna wprost postać naprawdę dla niego znaczy.

Zaledwie kilka minut przed zakończeniem spotkania Barney w ramach swoich asocjacji na temat wkraczania w trzydziesty rok życia zauważył: - No cóż, Castellano również przekracza już trzydziestkę. Czuję się winny za ten mój optymizm, wiedząc, że ona jest taka nieszczęśliwa.

Fritz interweniował.

- A jeśli chodzi o Laurę... Przypuszczam...

Barney przerwał mu. - Pewnie uważasz, że coś zatałem przed U ba. Może nawet, że żywię w stosunku do Laury - bo ja wiem?- jakieś romantyczne uczucia. Ale to nieprawda.

Psychoanalityk nic nie odpowiedział.

- To znaczy byłem z panem zupełnie szczery, doktorze. Nie zaprzeczam, że raz czy dwa razy w ciągu tych wszystkich lat myślałem o niej - jakby to powiedzieć - w sposób seksualny.

Zapanowała cisza.

- Jesteś pewny, że nie usiłujesz zakamufłować tu czegoś? - zapytał Baumann wprost.

- Naturalnie, że nie. Pan wybaczy, ale to już jest inny świat. W dzisiejszych czasach zwykła przyjaźń pomiędzy mężczyznami a kobietami jest całkiem możliwa.

- Zawsze była możliwa - odpowiedział Baumann. - Zastanawiam się tylko, czy rzeczywiście jesteś pewny, że właśnie to istnieje pomiędzy tobą a Laurą.

- Jestem pewien, że ona tak właśnie o mnie myśli.

- Aty?

- Nie wiem. Naprawdę. Jak Boga kocham, nie wiem.

- No cóż, może powinieneś popracować nad tym w przyszłości.

Wprawdzie Barney nie ukończył jeszcze dwóch przepisowych, nadzorowanych psychoanaliz koniecznych do przyjęcia go do instytutu, jednakże otrzymał dyplom upoważniający go do praktykowania psychiatrii ogólnej, dzięki czemu mógł już przyjmować pacjentów poza szpitalem, w prywatnym gabinecie.

Dzięki szerokim kontaktom dowiedział się, że jeden ze starszych kolegów, Brice Wiseman, utracił właśnie na rzecz armii młodego psychiatrę, z którym dzielił dotychczas gabinet.

Nagle ogarnął go niepokój. Usiadł w swoim nowo zakupionym fotelu, przymknął oczy i usiłował spojrzeć w głąb siebie, na to, co go dręczyło.

Zapewne było prawdą, że gabinet Wisemana znajdował się na tyle blisko alei Parkowej - po wschodniej stronie Nowego Jorku - aby zapewnić przywileje i korzyści płynące z tej legendarnej ulicy. Z pewnością częściowo chodziło mu właśnie o to.

A poza tym - wyposażenie gabinetu. Jego poprzednik kolekcjonował egzotyczną sztukę i stworzył tutaj coś w rodzaju muzeum.

No, ale czyż nie w tym właśnie rzecz? Przecież żaden biedak nie będzie leczony w takim przepychu. Gdybym tak potrzebował kiedyś pomocy, to jako dzieciak z Brooklynu, czy miałbym szansę dostania się do gabinetu doktora Livingstona, gdzieś tam pomiędzy aleją Madison a Parkową? Potem jednak natychmiast pomyślał we własnej obronie, że przecież w szpitalu leczy pacjentów za darmo.

Zastanawiał się jednak nad tym, usiłując dotrzeć do głębszych pokładów swego niezadowolenia.

Na koniec zorientował się, o co mu chodziło.

Nie była to kwestia adresu, ekstrawaganckiego wystroju czy obrazów. Chodziło tu o cenę. U podłoża wszystkich wyrzutów sumienia tkwiło to, że musiał określić jakoś swoją wartość.

Na pozór mogłoby się wydać dziwne, że nie pomyślał o tym wcześniej. Jednakże do tej pory w nagrodę za swoją pracę pragnął się tylko dobrze wyspać. Szpital płacił mu pensję, jeśli w ogóle można było to tak nazwać. Artykuły, które pisał, dodatkowo przynosiły mu coś niecoś. Przynajmniej była to praca, którą można w jakiś sposób określić ilościowo.

Jak miał jednak wycenić samego siebie? Swój własny rozum? No, a poza tym, skoro ludzie, którzy chodzą do psychiatrii, mają już takie kłopoty, to jakże mógł nakładać na nich następny ciężar? Wprawdzie Freud uważał, że wyrzeczenia finansowe stanowiły po części dodatkowy bodziec przyspieszający powrót do zdrowia, nie wszystkie jednak twierdzenia mistrza były prawdziwe. W końcu, kiedy analizował samego siebie, nie wystawiał sobie rachunków.

Barney wrócił pamięcią do wydarzeń z dzieciństwa. Słyszał kiedyś, jak Luis Castellano rozmawiał z matką dziecka, któremu właśnie nastawił złamane ramię.

- Ile jestem panu winna, doktorze? - spytała.

- Czy pięć dolarów nie będzie za dużo? - zapytał.

- Nie, nie! - odpowiedziała z wahaniem. - Ale czy mogłabym zapłacić teraz tylko część, a resztę trochę później?

Luis uspokoił ją. - Wystarczy, jak będzie pani płacić pięćdziesiąt centów na tydzień. Wcale mi się nie spieszy. Porozmawiamy o tym, jak zdejmę z *niño* gips.

Luis nie musiał jednak płacić słono za wynajem gabinetu ani też pokrywać połowy pensji recepcjonistki.

Czy jednak lekarzom rzeczywiście potrzebne są takie zbytki?

- Wiem, jak się czujesz - powiedział mu Brice nazajutrz rano. - Jednakże nawet gdybyś był samym Rockefellerem i miał najlepsze intencje na świecie, to i tak musiałbyś żądać zapłaty. W przeciwnym wypadku pacjenci nie będą cię traktowali poważnie. Zostało to już udowodnione w literaturze. Nie tylko przez Freuda, ale i Ferencziego, i wielu innych. Można naturalnie czynić wyjątki w przypadku ubóstwa, na ogół jednak na twoim miejscu pobierałbym od dwudziestu do trzydziestu dolców za godzinę.

Nie uspokoiło to jednak sumienia Barniego.

- W starożytnej Babilonii lekarzowi płacono dopiero wtedy, kiedy wyleczył pacjenta.

Wiseman roześmiał się. - Hammurabi ustalił to prawo w 1800 roku p.n.e. Dzisiaj jednak obawiam się, że Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy uznałoby je co najmniej za niemodne. - Po czym ponownie wrócił do tematu. - Świadczysz tylko usługi, Barney. Wyobraź sobie, że jesteś taksówkarzem przewożącym pacjenta ze stanu choroby do punktu zdrowia. Licznik musi cykać, nieprawdaż?

Nieświadom niczego Wiseman użył metafory, która odpowiadała prawdziwemu doświadczeniu z życia Barniego. W końcu kiedyś był przecież taksjarzem. Uśmiechnął się łobuzersko. - Z tą tylko różnicą, że my nie bierzemy napiwków, co Bruce?

Wiseman roześmiał się i odpowiedział: - Na szczęście nie są nam potrzebne.

Do wiosny 1967 roku znalazło się w Wietnamie już prawie pół miliona amerykańskich żołnierzy. Niewielu z nich rozumiało, o co właściwie tam walczyli. Tymczasem w całych Stanach co najmniej tyle samo ludzi protestowało na różnych

wieczach przeciwko zaangażowaniu się ich kraju w polityczną rzeczywistość południowo-wschodniej Azji. Generał Lewis Hershey, szef służby poborowej, - dał jasno do zrozumienia, że studenci, którym odroczone służbę aż do ukończenia nauki, utracą ten przywilej, jeśli okaże się, że uczestniczyli w antywojennych demonstracjach. Wielu lekarzy, którzy nie spełnili jeszcze swoich wojskowych zobowiązań, musiało teraz podjąć moralną decyzję w razie otrzymania wezwania do wojska. Ogromna rzesza młodych Amerykanów, których powołano do armii, dobrowolnie zdecydowała się na wygnanie i uciekła z kraju. Kanada i Szwecja stały się głównymi centrami poborowych dezertersów.

Istniały jednak i inne sposoby na uniknięcie munduru. Na przykład zaświadczenie lekarskie stwierdzające, że dany młody człowiek nie nadawał się do służby. Zaświadczenia o niesprawności umysłowej były przypuszczalnie najbardziej skutecznym środkiem, toteż Barney znalazł się pod wyjątkowym naciskiem. Jakież jednak byłby z niego doktor, gdyby nazwał zdrowego człowieka chorym? W swoich nocnych rozmowach z Laurą dyskutował na ten temat bez końca.

- Dzięki Bogu, że chłopcy, z którymi ja mam do czynienia, mają zaledwie parę dni - stwierdziła z ulgą. - Nie muszę się więc o takie rzeczy martwić.

- Nie bądź tego taka pewna, Castellano. Patrząc na to, co się teraz dzieje, ta wojna może jeszcze trwać, jak oni dorosną.

- W każdym razie to ty jesteś teraz pod ostrzałem. Jak sobie z tym poradzisz?

- Zamierzam oświadczyć, że generał Westmoreland jest niepoczytalny, a cała ta wojna to czyste szaleństwo.

- Zgadzasz się z tobą - odpowiedziała. - Zdarłam już podeszwy w marszach protestacyjnych. Współczuję ci, że znalazłeś się w takiej sytuacji. Jednak w przysiędze Hipokratesa nie jest napisane, że lekarzowi nie wolno kłamać dla ochrony swoich pacjentów przed wojskiem. Nie istnieją chyba żadne moralne precedensy.

- Owszem, istnieją - zaprzeczył Barney. - Rozprawy norymberskie dowiodły, że moralność przerasta kwestie narodowe. Nie zapominaj również, że jeśli ci faceci będą tu siedzieć i palić swoje karty poborowe, to wsadzą ich do więzienia. A czy to jest moralne? A poza tym, obowiązkiem lekarzy jest ratowanie ludzkiego życia. A zatem każdy, kogo określe jako niezdatnego do służby, nie pojedzie tam po to, aby mordować innych ludzi.

- Do licha, Barney, ty rzeczywiście podejmujesz wielkie ryzyko. Podziwiam cię. A jakie przypiszesz im dolegliwości?

- Cokolwiek: fetyszizm stopy, schizofrenię, mordercze skłonności...

- Oni kochają facetów z morderczymi tendencjami.

- A mówiąc o mordercach... - przerwał Barney - jak się sprawuje ten twój skurwysyński mąż?

- Ma jakąś tam robotę w Waszyngtonie.

- Nie o to pytałem. Jak się układają sprawy między wami?

- Czy ja wiem? - odpowiedziała. - Powiedzmy, że wszystko jest w zawieszeniu.

Ma tu dzisiaj przyjechać.

- Czy nie sądzisz, że już wystarczająco długo bawił się tobą jak jo-jo? Pamiętaj, że to jest niesłychanie destrukcyjne. Dlaczego nie dasz mu jakiegoś ultimatum?

- Słuchaj, Barney, zaproponowałam mu już przyjacielski rozwód. On jednak odmówił. Twierdzi, że odpowiada mu taka sytuacja, jaka jest. Szczerze mówiąc, jeśli o mnie chodzi, to jestem już tak zmęczona, że wszystko mi jedno.

Laura zbyt była pochłonięta rozmową, żeby zauważyć otwierające się drzwi i wchodzącego do pokoju Palmera.

- Przypuszczalnie to ja jestem winna temu, że on się tak puszcza na prawo i lewo. Może te jego romanse są w jakimś sensie zemstą za mój swobodny tryb życia w czasach, gdy nie byliśmy jeszcze małżeństwem.

- O Chryste, Castellano, masz wyjątkowy talent do obwiniania się za wszystko.

W tym momencie Laura krzyknęła.

- Hej, co tam się, u diabła, dzieje? - zapytał zaniepokojony Barney.

Laura odwróciła się i z ulgą zobaczyła, że to Palmer figlarnie ugryzł ją w szyję. Objął ją ramieniem.

- To tylko mój nieobliczalny mąż zabawił się w Draculę - uspokajała Barniego. - Muszę więc kończyć.

- W porządku, Castellano, zbierz się jednak na odwagę i powiedz mu, żeby się uspokoił albo zamknął.

Odłożyła słuchawkę.

Nagle Palmer zaczął rozpinać guziki jej bluzki, szepcząc tonem, którego nie słyszała już od lat: - Naprawdę, tęskniłem za tobą, Lauro.

Pół godziny później siedzieli przed kominkiem. Laura pocałowała go i zauważyła: - Należałoby to zaliczyć do największych nawróceń od czasów katatonicznego napadu świętego Pawła na drodze do Damaszku.

- Lauro, wiesz przecież, że ja zawsze cię kochałem. Musiałem chyba przechodzić przez jakiś spóźniony okres dojrzewania. To znaczy, nie będę przed tobą udawać, że w Waszyngtonie żyłem w absolutnym celibacie. Tam ciągle trwa jeden wielki seksualny karnawał. Mam nadzieję, że nie dotarty do ciebie pewne brudne pogłoski z prasy o mnie i Jessice Forbes. Po prostu tak się złożyło, że siedzieliśmy kiedyś obok siebie na przyjęciu. Sądzę jednak, że wszystko, co robi senatorska córka, jest wodą na młyn plotek.

Laura zastanawiała się, czy to wyznanie nie było przypadkiem kiepsko zamaskowaną próbą pochwalenia się. Tak bardzo chciała jednak uwierzyć w te nowe zapewnienia o miłości.

- Słuchaj, Palmer - odpowiedziała. - Nie musisz mi tu cytować nazwisk, stopni i numerów biustonoszy. Powiedzmy więc sobie, że oboje wzięliśmy urlop od monogamii.

Zapytał ją niezobowiązująco: - Czy w tym czasie miałaś... kogoś specjalnego w swoim życiu?

- Zmieńmy może temat - odpowiedziała, wiedząc, że gdyby była szczerą i powiedziała mu o Robbiem, uraziłoby to miłość własną Palmera. Odpowiedziała mu zatem pytaniem.

- Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Dostałem dwutygodniową przepustkę - odpowiedział, a potem dodał cicho: - Gdybyś tak mogła wykombinować trochę wolnych dni... Chciałbym spędzić z tobą jak najwięcej czasu.

- Może uda mi się załatwić jakiś dzień lub dwa.

W tym momencie zadzwonił telefon. Żadne z nich się nie poruszyło.

- To pewno do ciebie - szepnął.

- Nie zwracaj na to uwagi. Nie chcę, żeby prysnął czar.

Telefon dzwonił natarczywie.

- Odbierz, Lauro - nalegał Palmer. - Jesteś przecież lekarzem. To może być coś ważnego.

Podchodząc wolno do telefonu, czuła na sobie jego wzrok.

- Słucham, mówi doktor Castellano.

- Cześć, Lauro, to twój zawsze kochający Robbie. Czy mógłbym cię namówić na późnego drinka i parę taktów dobrej muzyki?

- Przykro mi, ale jestem dziś uziemiona. Zobaczymy się jutro po porannym obchodzie.

- Czy coś się stało? Może ci w czymś przeszkadzam?

- Dziękuję za wyrozumiałość.

- Ależ nie ma za co - odpowiedział niepoczyszony. - Zobaczymy się jutro rano.

W jego głosie brzmiało wyraźne rozczarowanie.

- Kto to był? - spytał Palmer jakby mimochodem, kiedy usiadła z powrotem przy kominku.

- Nikt - odpowiedziała. - Nikt istotny.

- Czy mógłbym cię o coś zapytać?

- Naturalnie.

- Czy zażywasz pigułki?

Uśmiechnęła się. - Nie mów mi, że boisz się wpadki. W każdym razie możesz być spokojny. Zażywam je regularnie, jak zawsze.

Na twarzy Palmera pojawił się przelotny wyraz przykrego zdziwienia. Jakby chciał powiedzieć: - A kto był powodem tego, że przez tyle miesięcy stosowałaś środki zapobiegania ciąży?

- Gdybyś przestała je zażywać, po jakim czasie zaszłabyś w ciążę?

Laura zaniemówiła. Odpowiedziała odruchowo, zgodnie z podręcznikiem: - Trudno przewidzieć działanie układu hormonalnego. Czasami po zaprzestaniu używania tych środków potrzeba na to sześciu lub siedmiu miesięcy, niekiedy nawet roku. Są jednak przypadki, w których odstawienie pigułek pobudza płodność kobiety.

- Miejmy nadzieję, że należysz do tej drugiej kategorii.

Nadal pozostawała w stanie lekkiego szoku.

- Skąd ten nagły pęd do ojcostwa?

- No cóż, oboje się starzejemy. Kobiety powinny urodzić pierwsze dziecko najpóźniej zaraz po trzydziestce. W tym roku skończysz przecież swoją specjalizację, więc nie będziesz miała już takiego zabójczego harmonogramu. Może mogłabyś to jakoś pogodzić.

- Jakie są twoje prawdziwe powody, Palmer? - nalegała.

- No cóż, chciałbym mieć spadkobiercę. Kogoś, kto nosiłby dalej rodzinne nazwisko.

- Nie! - domagała się. - Chcę poznać twoje prawdziwe powody. Całą prawdę.

Popatrzył jej prosto w oczy i wyznał z odrobiną lęku w głosie:

- Dostałem przeniesienie. Nie wiem jeszcze dokładnie kiedy, ale mam jechać do Wietnamu.

- Lauro, ty chyba żartujesz!

- Przykro mi, ale nie mam innego wyjścia.

- Ale przecież on cię traktował jak szmatę, a ty mu tak po prostu pozwalasz wrócić do swego życia, po to tylko, żeby ci znowu zawrócił w głowie?

Robbie był oburzony. Laura poinformowała go właśnie przy kawie, że nie będą się mogli dłużej spotykać, chyba że tylko jako przyjaciele. Robbie mógłby sobie nawet jakoś poradzić z tą częścią oświadczenia. Był już dorosłym człowiekiem. Przegrywał i wygrywał w różnych okresach swego życia, a na dowód tego miał już ekszonę i dwoje zmarnowanych dzieci.

Jednakże sama myśl, że kobieta taka jak Laura wracała do Palmera po tym wszystkim, jak ją traktował, zupełnie nie mieściła mu się w głowie. Tym bardziej, że wiedział niejako z pierwszej ręki, jak często brak poczucia własnej wartości utrzymywał kobietę i mężczyznę razem, nawet wówczas, gdy oboje zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że było to dla nich obojga destruktywne.

Robbie był przekonany, że byłby dla niej lepszym mężem niż Palmer. Widział bowiem wewnątrz tej kobiety małą dziewczynkę, co wyzwalало w nim opiekuńczy instynkt.

A tu nagle pojawia się ten cholerny Palmer, strzela palcami, a ona wraca do niego po to, żeby się dalej umartwiać. Ale może Laura rzeczywiście chce być nieszczęśliwa? W porządku, Robbie - powiedział sobie. A zatem pozwól jej odejść. Może tylko zaoszczędzisz sobie dzięki temu kłopotów.

Pomyślał o tym wszystkim, stojąc przy niej w pokoju pielęgniarek i pijąc kawę. Ucieszył się, że udało mu się powstrzymać w sobie początkową ochotę do robienia jej wyrzutów. Poczul się spokojniejszy, zdolny do bardziej racjonalnego myślenia.

- Czy jesteś pewna, że podejmujesz właściwą decyzję? - zapytał.

- Ja nie podjęłam żadnej decyzji. Rób.

- Czy mam przez to rozumieć, że nie był to wybór pomiędzy mną a Palmerem?

- Nie, to nie był żaden wybór, Rób. Palmer jest moim mężem. Długo zastanawiałam się, zanim zdecydowałam się go poślubić.

- Owszem, masz wybór. Dobrze wiesz, że ożeniłbym się z tobą.

Laura ujęła delikatnie jego rękę. - Robbie, posłuchaj. To, co dzieliliśmy między sobą, było piękne, i ja naprawdę bardzo cię lubię. Uwierz mi jednak, będzie ci lepiej beze mnie. Nadaję się nieźle do romansów, ale w rzeczywistości nie jestem - jakby to powiedzieć - najlepszym materiałem na żonę.

Uboleło go to - zarówno ze względu na nią, jak i na siebie.

- Lauro, posłuchaj uważnie, to moje ostatnie słowo. - Przerwał, zaczerpnął powietrza i ciągnął cicho: - Bóg spletał ci brzydkiego figła. Dał ci wszystko. I pewno sam tak osłupiał na twój widok, że zapomniał dodać ci na koniec odrobinę wiary w siebie. W porządku. Nie jestem może tym facetem. Niełatwo się z tym pogodzić, ale jakoś sobie z tym poradzę. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia ktoś wbije ci trochę rozumu do tej twojej cudownej głowy i sprawi, że pokochasz samą siebie.

Odwrócił się zawstydzony własnymi łzami i odszedł.

Rozdział XXXIV

Wczesną jesienią 1968 roku ruch czarnych sięgnął dosłownie olimpijskich szczytów. W czasie igrzysk rozgrywających się w Meksyku dwaj amerykańscy sportowcy, Tommie Smith i John Carlos, zdobyli złoty i srebrny medal w biegu na dwieście metrów. W trakcie odgrywania hymnu narodowego, stojąc na podium, podnieśli zaciśnięte czarne pięści w geście protestu przeciwko temu, w jaki sposób biała Ameryka traktowała ich braci.

Ta nowa fala gniewu zawrzała rok wcześniej, kiedy to Rap Brown został przewodniczącym Studenckiego Pokojowego Komitetu Koordynacyjnego. Wspominając w swoim inauguracyjnym przemówieniu, że zamierza dokonać zamachu na życie żony prezydenta, lady Bird Johnson, dowiódł tylko, jak niewiele znaczyła teraz nazwa tego ugrupowania.

Wprowadził również nowy wątek do jego ideologii - antysemityzm. Ni stąd, ni zowąd amerykańscy Żydzi zaczęli być uważani za główną przyczynę represji czarnego człowieka.

Była to dziwna taktyka ze strony organizacji walczących o równość praw cywilnych, które w dużej mierze popierane były przez dawnych mieszkańców europejskich gett.

Dla Herschla Landsmanna stanowiło to prawdziwy sztylet w serce. Do tej pory był bowiem hojnym i zagorzałym poplecznikiem sprawy czarnego człowieka. Teraz jednak oboje z Hannah czuli, że ich oszukano. Najbardziej jednak bali się tego, w jaki sposób zaważy to na ich stosunkach z Bennettem. Wzbudzało to w nich taki niepokój, że nawet nie śmieli ze sobą na ten temat rozmawiać.

Tymczasem Barney zdołał ukończyć ponad dwieście stron swojej *Psychiki mistrzów świata* i nie potrafił już dłużej bronić się przed nieustannymi nagabywaniami Chaplina, domagającego się zgody na przejrzanie rękopisu. Z drżeniem serca odniósł tekst do wydawnictwa

Od dziewiątej wieczorem wydzwaniał do Billa Chaplina przynajmniej dwa razy na godzinę, błagając go o jakiś komentarz.

- Czy to się do czegoś nadaje, Bill? Czy to dobre? To znaczy, chciałem zapytać, czy to w ogóle ma jakiś sens? Czy sądzisz może, że to beznadziejne? A może zbyt pretensjonalne? Albo zbyt powierzchowne?

Z lekka zniecierpliwiony wydawca odpowiadał mu tylko:

- Słuchaj, Barney. Nie jestem w stanie czytać, bo ciągle mi przeszkadzasz. Weź sobie jakąś pigułkę i idź spać.

- Do cholery, nie potrzeba mi żadnych pigułek! Chcę tylko wiedzieć, co ty o tym myślisz?

Strony, które dał Billowi, zawierały psychoanalityczną interpretację tak różnych mistrzów, jak: biegacz Jesse Owens, bokser Joe Louis i Roger Bannister - pierwszy biegacz, który przebiegł odległość jednej mili w cztery minuty.

Zawierały one również wywiad z Donaldem Campbellem - ukończony zaledwie parę dni przed jego śmiercią - człowiekiem, który ustanowił rekordy prędkości w wyścigach zmotoryzowanych zarówno na ziemi, jak i na wodzie. Był to szczególnie interesujący przypadek, ponieważ ojciec Campbella również brał udział w "walce z czasem", będąc pierwszym człowiekiem, który pokonał barierę trzystu mil na godzinę. Czy miało to może coś wspólnego z genami? A może tkwiło coś w ich psychice? Jak czuł się ktoś, kto pokonał własnego ojca?

Barney uważał jednak, że jak dotąd najlepszym rozdziałem był ten, który poświęcił swojemu bohaterowi z dzieciństwa - Jackiemu Robinsonowi, wnukowi niewolnika i pierwszemu Murzynowi, któremu udało się przełamać barierę koloru skóry w baseballu.

O jedenastej trzydzieści zadzwonił do niego Bill.

- To wspaniały materiał! - wykrzyknął z entuzjazmem.

- Naprawdę? Podoba ci się? - dopytywał się z niedowierzaniem Barney.

- Nawet bardzo. Kiedy będziesz mógł to skończyć?

- Słuchaj - odpowiedział Barney. - Czasami mam wrażenie, jakbyś zapominał, że jestem praktykującym lekarzem.

- Wiem, wiem - przyznał Chaplin. - Musimy to jednak włączyć do naszej wiosennej listy tytułów. Jeśli chodzi tobie o pieniądze, to mogę ci dać następną zaliczkę i będziesz mógł się wtedy uwolnić od pozostałych zobowiązań i skoncentrować jedynie na książce.

Nagle nastąpiła cisza.

Bill miał wrażenie, że ich rozłączono.

- Barney, jesteś tam?

Barney odezwał się, nie ukrywając nawet swego oburzenia.

- Bill, powtarzałem ci to już z milion razy. Psychiatra to jakby ojciec ogromnej rodziny. Nasi pacjenci nie są ludźmi, którzy przychodzą na operację i po tygodniu idą

do domu. Kiedy się zdecydują, żeby przyjść do mnie, mam wobec nich pewne zobowiązania. Przede wszystkim, że będę dla nich osiągalny wtedy, gdy będą mnie potrzebować, nawet jeśli będzie to trwało przez kilka lat. Czy chciałbyś, żeby twój pilot wziął sobie urlop w połowie lotu przez Atlantyk?

Bill w pełni zasłużył sobie na taką reprimendę. - Przepraszam cię, Barney, naprawdę. Poniosło mnie. Rozumiem twoje priorytety. Czy mogę wycofać swą ofertę, bez żadnej urazy?

- Oczywiście, nie ma sprawy.

- No to w porządku, Barney. Wyłączam się - powiedział wydawca, dodając jednak na koniec: - Mógłbyś jednak spróbować ukończyć to przed sierpniem...

- Dobranoc, Bill.

- Słuchaj, Seth, ja naprawdę nie chciałem... Zabiłem tę staruszkę... Co ja teraz zrobię?

Była godzina druga w nocy. Tim Bluestone, młody lekarz specjalizujący się w internie, był zrozpaczony. Seth Lazarus, jego zwierzchnik, usiłował go pocieszyć.

- Uspokój się, Tim. Spróbuj się opanować. Siadaj tutaj i powiedz mi, co się stało. «

Młody lekarz posłuchał go jak automat. A potem ukrył twarz w dłoniach. - O Chryste, jestem mordercą! - jęknął. Podniósł głowę i otarł oczy rękawem.

- Chodzi o panią McNaughton... Miała...

- Wiem - przerwał Seth. - Miała mieć jutro operację zwiadowczą. Mów dalej.

- Pielęgniarka robiła zwyczajny sprawdzian oznak życia, kiedy nagle ciśnienie krwi tej staruszki opadło jak diabli. Zawołała więc mnie z dyżurki. Pobiegłem tam i od razu, nawet bez zakładania rękawa, mogłem stwierdzić poważne podciśnienie. Cała była niebieska na twarzy...

Przerwał i po chwili ciągnął dalej: - Zachowałem się jak ostatni idiota! Wiem, że powinienem cię zawołać, Seth. Ty byś mi nie pozwolił tak zawalić.

Spojrzał niepocieszony na swego szefa. Seth powiedział mu tylko: - Mów dalej.

- No więc, myślałem, że wiem, co robić. To znaczy wiedziałem, co trzeba było zrobić, tylko że...

Zatrzymał się w pół zdania. Miał właśnie przyznać się do swojej fatalnej pomyłki.

- Ciśnienie rozkurczowe spadło jej do trzydziestu. Powiedziałem więc pielęgniarce, żeby natychmiast przyniosła mi ampulkę araminy. Wiedziałem, że to od razu podniesie jej ciśnienie.

- To prawda - przyznał Seth. - W takich wypadkach wskazany jest wazopresor. Jak dotąd nie widzę żadnych nieprawidłowości.

- No więc pielęgniarka przyniosła mi z pół tuzina ampulek. Po prostu położyła je tutaj i wybiegła na korytarz, bo ktoś tam dostał krwotoku. No cóż, sądzę, że częściowo jest to i jej wina. Powinna przynieść mi araminę w bardziej rozpuszczonej postaci. O cholera! Co ja mówię? To ja powinienem uważniej popatrzeć! Byłem jednak tak cholernie zmęczony, że naprawdę nie wiedziałem, co robię. No więc wepchałem te dziesięć miligramów w kroplówkę pani McNaughton i czekałem na reakcję. Ona jednak nie nastąpiła. A potem ciśnienie strzeliło nagle do góry. Wpadłem w panikę. Bałem się, że ma niewydolność komorową, zawał albo krwotok mózgowy.

- Więc straciłeś panowanie nad sobą i dałeś jej następną ampulkę - domyślił się Seth.

Tim skinął głową. - A ona mi nagle kipnęła...

Przerwał, a potem wyszeptał: - Po prostu umarła. Na koniec zrobiłem to, co powinienem był zrobić na samym początku. Złapałem jej kartę. Dopiero wtedy zobaczyłem, że miała poważną cukrzycę.

- To rzeczywiście był błąd - stwierdził rzeczowo Seth. - Aramina jest niewskazana dla diabetyków, ponieważ zawęży naczynia krwionośne, które mogą być już wcześniej uszkodzone i tym samym można doprowadzić do przerwania dostawy krwi.

Tim walnął pięścią w stół.

Seth wstał i odezwał się cicho: - Czy rozmawiałeś już o tym z kimś innym?

Młodszy mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

Nie mówiąc ani słowa, Seth skierował się w stronę łóżka pani McNaughton. Tim posłusznie podążył za nim. Po obu stronach jej łóżka chrapali pacjenci. Pani McNaughton leżała nieruchomo.

Seth sprawdził ostrożnie, czy istnieją u niej objawy czynności życiowych i zaświecił jej latarką w oczy. Popatrzył na Tima.

- Masz rację. Wydaje mi się, że miała ostry zawał mózgu. Tim stał bez ruchu, sparaliżowany poczuciem winy. Seth ciągnął dalej:

- Idź do naszego gabinetu i poczekaj tam na mnie. Powiem dyżurującej pielęgniarce, żeby się tym zajęła. A potem obaj wypiszemy akt zgonu.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie Tim powtórzył cicho przerażonym głosem: - Zabiłem ją, Seth, prawda?

Na co Seth odpowiedział po prostu: - Zaraz przyjdę do ciebie do gabinetu.

I odszedł.

Kiedy piętnaście minut później dotarł wreszcie na dyżurkę, powietrze w niej było gęste niczym londyńska mgła. Bluestone wypalił chyba ze dwa naraz - pomyślał. Podał Timowi pióro i dokument. Tim spojrzał na niego w milczeniu.

- Podpisz to, Bluestone, dobrze? - nalegał.

- Napisałeś tu, że przyczyną śmierci był masywny zawał mózgu.

- No a cóż innego? To jest całkowicie zgodne z prawdą.

Tim spojrzał na Seta i z zastygłymi w bezruchu mięśniami twarzy powiedział:

- Wiesz przecież doskonale, że to ja byłem przyczyną jej śmierci.

- Posłuchaj, Bluestone. Nie ma na świecie lekarza, który przez zwykłą ludzką pomyłkę nie stracił jakiegoś pacjenta. Zwłaszcza gdy nie spał tak długo jak ty. To zaświadczenie stwierdza prawdę. - Seth przerwał na chwilę, a potem przyznał: - Nie mówi tylko całej prawdy.

Tim popatrzył na swego zwierzchnika z wdzięcznością. - Dziękuję, Seth. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Przez chwilę milczeli obaj. W końcu Tim zapytał niepewnie:

- Powiedz mi, Seth, czy zdarzyło ci się kiedyś, że zabiłeś pacjenta? To znaczy, przez pomyłkę?

Seth zastanowił się uważnie nad odpowiedzią i odparł: - Powiedziałem ci już. Nam wszystkim się to zdarza.

Kariera Barniego, podobnie jak i jego humor, poprawiła się wyraźnie. Książęcą, jego zdaniem, zaliczkę od Billa Chaplina przeznaczył na pierwszą wpłatę na mieszkanie w Gainsborough House, gdzie z okna salonu mógł rzucić okiem na swój ogromny trawnik, zwany inaczej Central Park.

Ponadto nieomal każdą przejażdżkę windą spędzał w towarzystwie znanego pisarza, muzyka czy artysty. Nadal nie mógł uwierzyć, że jego kariera sięgnęła takich

szczytów i drzemiący w nim mały chłopczyk miał często ochotę poprosić sąsiadkę z dziewiątego piętra o zanucenie paru taktów z tego, co właśnie śpiewała w Operze.

- Mam dla ciebie wyśmienitą wiadomość!

- Nie wątpię, skoro dzwonicz o takiej porze.

Barney wypisywał do późna notatki w kartach pacjentów i właśnie się zdrzemnął, kiedy nagle obudził go telefon od Billa Chaplina.

- Posłuchaj tylko - powiedział podnieconym głosem Bill. - Byłem właśnie dziś wieczór na kolacji z główną szyszką z "Ilustrowanego Magazynu Sportowego". W zeszłym tygodniu wysłałem im twój rozdział na temat łąckiego Robinsona. Chcą go wydrukować w kwietniowym wydaniu poświęconym baseballowi, żeby pokazać, jak bardzo czasy się zmieniły. Barney, nie masz nawet pojęcia, jaka to może być dla ciebie szansa.

- Ależ, Bill, ten rozdział jest na to za długi.

- Niewątpliwie. Będą zatem musieli go obciąć. Nic się nie martw. Upewniłem się, że będziesz miał prawo do zaakceptowania ostatecznego skrótu.

- To wspaniale, Bill! To cudownie! - odpowiedział Barney. - Nie masz jednak chyba nic przeciwko temu, jeśli pójdę teraz do łóżka? Pierwszego pacjenta mam jutro o szóstej czterdzieści pięć rano.

- To cały Nowy Jork, prawda, Barney? - entuzjasmował się Bill. - Ludzie wariują tu co godzinę. No cóż, pomyśl o tym przed zaśnięciem - z chwilą ukazania się tej książki zostaniesz prawdziwym pisarzem!

Barney był zbyt zmęczony, aby się tym przejmować.

- Dobranoc, Bill. Przyjemnych snów - powiedział wymijająco.

- Mnie się nigdy nic nie śni. Mam te wspaniałe czerwone pastylki, które wymazują mi wszystko z pamięci.

- Wspaniale - powiedział Barney na pożegnanie, a odkładając słuchawkę, pomyślał: Powodzenia, Chaplin. Jak ci to całkiem rozmiękczy mózg, to nie będzie ci tak do śmiechu, że się dałeś złapać na seconal.

Lance Mortimer był pewno jedynym człowiekiem w całym Los Angeles, który potrafił doprowadzać pokój pełen ludzi do konwulsji ze śmiechu, nie wypowiedziawszy ani słowa.

Szybko się przekonał, że jedną z wielu korzyści płynących z faktu specjalizowania się w anestezjologii jest to, że było się dzięki temu zapraszany na wiele pierwszorzędnych zabaw w Beverly Hills, które w przeciwnym wypadku mogłyby się okazać ponad jego stan. Nawet jego własny ojciec, znany autor scenariuszy, nie był nigdy tak bardzo honorowany przez wyższe sfery hollywoodzkiego towarzystwa.

Specjalną zaletą Mortimera jako gościa było to, że pokazywał się na zabawach zawsze z dwiema pięknymi dziewczynami u boku i ze zbiornikiem gazu. To znaczy z cysterną podtlenu azotu, znanego powszechnie jako gaz rozweselający.

Lance zdecydował się na zostanie anestezjologiem dopiero po rozważnym zbadaniu i przemyśleniu całej sprawy.

Najpierw wyeliminował najbardziej zabójcze alternatywy, takie jak na przykład położnictwo. Komu chciałoby się wstawać w środku nocy? I komu chciałoby się łączyć do cudzych domów i to wcale nie na zabawę? Oznaczało to zatem, że interna również nie wchodziła w rachubę.

Chirurgia była zbyt ciężką pracą. I za bardzo odpowiedzialną.

W pewnym momencie zastanawiał się nad dermatologią. Po pierwsze, nie wzywa się tam specjalisty o różnych nieludzkich godzinach. Ani nie traci się pacjentów. Nie trzeba wkuwać na pamięć zbyt dużej farmakopei. Z tego, co widział, dawało się tam pacjentom kortyzon albo penicylinę. Lub też z braku wyobraźni (a może najzwyczajniej ze zwykłego skąpstwa) mówiło się pacjentowi po prostu, że stan zapalny naskórka minie po jakimś czasie samoistnie.

W dermatologii była też duża forsa. Jeden facet, którego znał, zamienił swój gabinet w Beverly Hills na pięć osobnych minikonsultacyjnych gabinecików, nie większych od schowka na szczotki do podłogi. Biegał potem od budki do budki, rzucał okiem - niekiedy nawet korzystając ze szkła powiększającego - na jakąś tam wysypkę, brodawkę czy jeszcze jakiś inny symptom. Potem dokonywał błyskawicznej diagnozy i rzucał parę krótkich a czarujących słów w stronę pacjenta. Następnie pielęgniarka wydawała wszystkie formularze i recepty, po czym umawiała się na następną wizytę kontrolną za tydzień.

Lance zdecydował jednak, że dermatologia była nudna. Obserwowanie różnych wariacji tej samej wysypki sto razy na tydzień było równoznaczne z patrzeniem przez cały czas na jeden i ten sam obraz. Jeśli musiałby spoglądać nań

całymi godzinami, dzień po dniu, to nawet uśmiech Mony Lizy zacząłby w końcu działać mu na nerwy.

Następnie - urologia. Ostatnie badania w Ekonomii medycyny wykazywały, że specjaliści moczowo-płciowi wiedli obecnie prym w tak istotnej kwestii jak liczba dolarów na rok. Tu również nie trzeba było składać wizyt domowych. Liczba pacjentów na godzinę też była niezła. I podobnie jak w dermatologii, nigdy nie traciło się pacjenta. (Nawet jeśli stwierdziło się coś w rodzaju raka, to natychmiast odsyłało się taki przypadek do chirurga albo onkologa.)

Była to jednak ciężka praca. I na dodatek - bardzo odpowiedzialna. Trzeba ciągle tkwić w literaturze na ten temat, uczyć się nowych technik i w ogóle traktować całą sprawę bardzo poważnie. A poza tym niektórzy pacjenci bywają rzeczywiście chorzy, może nawet bliscy śmierci (choć przypuszczalnie na stole kogoś innego). Sama zaś myśl o tym, że przez cały dzień będzie się za pomocą cytoskopu zaglądać w intymne części ciała innych ludzi, nie była specjalnie podniecająca.

Zadania anestezjologa wydawały mu się o wiele bardziej atrakcyjne zredukowanie pacjenta do przyjemnego stanu zupełnego odprężenia mięśni, wprowadzenie go w błogi, spokojny sen i podtrzymywanie u niego stałego oddechu. Tymczasem po drugiej stronie stołu zestresowany nieustannie chirurg tnie, kroi, przeszczepia i zszywa, ciągle ryzykując jakiś kryzys. A jeśli operacja się nie uda, to prawie zawsze wini się za to chirurga.

Natomiast ten przyjazny "zagazowywacz" sprawdza sobie po prostu tarcze swoich instrumentów i równoważy oddech z ciśnieniem krwi. A kiedy operacja się udaje, pacjent budzi się przepełniony wdzięcznością za nowy dar życia.

Co więcej, anestezjologia jest świetnie płatna. Godziny pracy są elastyczne. Pacjenci nie mogą narzekać, spierać się z tobą czy kwestionować twoich decyzji. I jeśli się chce, można tak zorganizować sobie obowiązki, aby mieć maksymalnie dużo czasu na to, żeby żyć normalnie i dostatnio.

I mieć czas na pierwszorzędną zabawę, na których można się popisywać swoim urokiem i podtlenkiem azotu.

Barney był teraz bardzo zajęty. Nieomal zupełnie zapomniał o tym, że "Ilustrowany Magazyn Sportowy" miał opublikować jego rozdział na temat Jackiego Robinsona.

Pewnego sobotniego lutowego poranka wrócił z dwugodzinnej wizyty u pacjenta, który zadzwonił do niego poprzedniej nocy śmiertelnie przerażony. Przebrał się w swój sportowy dres, mając zamiar pobiegać po parku, aby w ten sposób zapomnieć o bólu, którym przesiał przez osmozę, kiedy nagle zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, doktorze Livingston. Przepraszam, że zawracam panu głowę w sobotę. Nazywam się Emily Greenwood. Pracuję w "Ilustrowanym Magazynie Sportowym" i sądzę, że domyśla się pan już, dlaczego dzwonię.

- O tak, to pani magazyn dokonuje amputacji, a raczej powinienem chyba powiedzieć - redaguje odpowiednio jeden z rozdziałów mojej książki.

- Powiedzmy raczej tak, musimy dokonać pewnych cięć, co jednak wcale nie jest równoznaczne z okaleczeniem. Czy mogłabym podrzucić panu dziś do domu poprawiony przez nas tekst? Trochę goni nas termin.

- Ile mam na to czasu?

- No cóż - zawahała się i wyjaśniła przepraszającym tonem: - W poniedziałek jesteśmy już w druku.

- Co takiego? Ależ to śmieszne!

- Niech pan zrozumie, doktorze Livingston, jesteśmy magazynem zawierającym bieżące informacje i pański artykuł musi ukazać się w oznaczonym czasie. A poza tym sądzę, że będzie pan zadowolony z dokonanych przez nas poprawek.

- W takim razie, czy mogłaby mi go pani przesłać tutaj przez gońca?

- Nie ma problemu. Dostanie go pan za pół godziny - odpowiedziała.

Barney podszedł do biurka, wyciągnął kopię rozdziału i zaczął ponownie czytać to, co napisał kilka miesięcy temu.

Dwadzieścia minut później rozległ się dzwonek. Otworzył drzwi drobnej, młodej kobiecie o dużych, piwnych oczach i krótkich, kasztanowych włosach.

- Dzień dobry. Jestem Emily Greenwood. Czy to pan jest szacownym doktorem? - zapytała figlarnie.

- Tak, to ja - odpowiedział Barney, usiłując ukryć swoje rozczarowanie faktem, że traktuje się go jak drugorzędnego pisarza, wymagającego pomocy redakcyjnego asystenta.

- Mam tutaj pański tekst - odpowiedziała wesoło, wyciągając szarą kopertę.

- To wspaniale. Czy... zechciałaby pani może wstąpić na chwilę na kawę?

- No cóż - odrzekła z uśmiechem. - Sądzę, że będę musiała. Chyba że chce pan przeglądać moje poprawki w przedpokoju.

- Czy to pani jest zatem moim redaktorem?

- Oczywiście. Nie pozwoliłabym żadnemu z moich asystentów zbliżyć się do tego. Uważam, że to świetne.

Pochlebstwo - jeśli było to pochlebstwem - wygładziło nastroszone piórka Barniego.

- Ależ proszę, niech pani wejdzie - powiedział, przesadnie zapraszając ją do środka.

- Niech się pani rozgości przy tym, co tak szumnie nazywam swoim stołem jadalnym, a ja tymczasem zagotuję wodę na kawę.

- Świetnie - odpowiedziała Emily, wchodząc do salonu Barniego. Po całym pokoju leżały rozrzucone spodenki do biegów, tenisówki, różne skarpetki, rakiетка do gry w squasha i tym podobne rzeczy.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko kawie w proszku? - zawołał z wnęki kuchennej.

- To pan jest przecież doktorem - odpowiedziała wesoło.

Po chwili wrócił z dwoma kubkami kawy i ustawiając je na stole, powiedział: - Sądzę, że należą się pani przeprosiny.

- Niech się pan nie przejmuj. To się często zdarza. Wszyscy biorą mnie za moją własną sekretarkę. To widocznie przez ten mój dziecinny entuzjazm dla sportu. Dlaczego jednak kobieta nie miałaby zostać następnym Grantlandem Rice'em? Wierzę, że to, co mówiła Virginia Woolf na temat dwupłciowego umysłu, jest prawdą. Stosowna aluzja - pomyślał Barney i odpowiedział tak, aby pokazać, że znane było mu jej źródło.

- *Własny pokój* był rzeczywiście punktem zwrotnym dla wszystkich pisarek. Faktycznie istnieje ogromna liczba klinicznych dowodów na to, że każdy z nas potrzebuje pewnych cech charakterystycznych dla płci przeciwnej po to, by móc funkcjonować twórczo.

- No cóż - odpowiedziała Emily - daleko mi jeszcze do Virginii Woolf.

- Nic nie szkodzi - odpowiedział. - Ja również nie jestem Zygmuntem Freudem.

- To świetnie - uśmiechnęła się. - A teraz, skoro już przyznaliśmy się oboje do własnej pokory, nałóżmy rękawice i powalczmy trochę o te cięcia.

I walczyli. Barney odczuwał każde wycięcie tekstu równie boleśnie jak nacięcie na własnej skórze.

- Emily, tylko nie to! To najokrutniejsze cięcie!

- Daj spokój, Barney - upierała się. - Musimy skoncentrować się na uczuciach Robinsona w trakcie tego pierwszego dnia w pierwszej lidze. Nie uważasz? - popatrzyła na niego swymi dużymi, piwnymi oczyma.

- Szczerze mówiąc, Emily - przyznał się Barney - jeśli będziesz tak na mnie patrzeć, to pozwolę ci wyciąć to wszystko w zamian za twój numer telefonu.

- Daj spokój! - strofowała go z udaną surowością.

- Słuchaj, Em, czy masz może coś przeciwko temu, abym cię tak nazywał?

- Ależ nie, to pierwsza litera w wyrazie "mama", pewna więc jestem, że ma to jakieś psychologiczne znaczenie dla ciebie. Najlepiej jednak będzie, jeśli mi to wyjaśnisz po skończeniu pracy. Proponuję, żebyśmy zaczęli od momentu, kiedy Robinson wchodzi po raz pierwszy do biura Rickeya. Według mnie to najbardziej fascynujące.

- Jak to?

- Nie wiem jak ty, ale ja uważam, że w tym pierwszym, niewiarygodnym wprost roku, na wszystkich zrobiło największe wrażenie to, że Jackie nie reagował zupełnie na obraźliwe docinki ze strony widowni. Zdawało się, że jest ponad tym wszystkim. Było to takie szlachetne. Nigdy się nie rozzłościł, nigdy nie pragnął zemsty.

- Też o tym myślałem. Nie mogłem uwierzyć, kiedy powiedział mi, że Rickey właściwie zmusił go do złożenia przysięgi, że pohamuje swoje emocje przez trzy sezony. Tylko święty mógłby zachować taki spokój przez tak długi okres.

Barney musiał w końcu przyznać, że stworzony w niecałą godzinę artykuł był lepszy niż początkowy rozdział. O Jezusie, ona rzeczywiście jest niezła.

A w dodatku całkiem niczego sobie.

No nie, przestań się okłamywać, ona jest ładna - przyznał w duchu Barney. A nawet bardzo ładna. Do cholery, dziewczyna taka jak ona z pewnością już kogoś ma. Lepiej nie zapraszać jej na kolację, bo jeszcze zepsuje to nasze redakcyjne kontakty.

- A teraz - powiedziała Emily, zamykając notatnik z dramatycznym hukiem - mam nadzieję, że nie odmówisz mi tej przyjemności i zgodzisz się pójść ze mną do restauracji na spóźniony obiad.

- Czy mam przez to rozumieć, że to ty mnie zapraszasz? - zapytał.

- Powiedzmy raczej, że to ja zapraszam, a płaci redakcja. Możesz więc pofolgować swemu apetytowi.

- W porządku. A zatem, co sądzisz o Klubie 21?

- Niech będzie. Znam chłopców Kriendlera, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, zadzwonię do nich, żeby im powiedzieć, że już tam idziemy.

Było już późno, nawet jak na sobotnie popołudnie, toteż sala na górze zajęta była głównie przez kelnerów sprzątających stoły.

W kącie sali, niepomna niczego, siedziała para sportowych narwańców, usiłując prześcignąć się nawzajem w zawiłych wspomnieniach z historii Brooklyńskich Dodgersów. Emily przyjęła wyzwanie Barniego, który zaczął sprawdzać jej wiedzę, domagając się, aby zidentyfikowała poszczególnych graczy po ich numerach.

- Jeden.

- Pee Wee Reese, świetny obrońca, dobra rękawica, taki sobie przy kiju, średnia życiowa - dwieście sześćdziesiąt jeden punktów.

- Numer czwarty.

- Irwin "Duke" Snider, zawodnik środkowy, dobre, dalekie piłki, w najlepszym sezonie - sto trzydzieści sześć punktów.

- Szóstka.

- Carl Furillo, prawe pole. Najlepsza ręka w rzucaniu. Życiowa średnia przy kiju - dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć. Prowadził ligę w 1953 roku z trzysta czterdziestoma czterema punktami.

Zabawa zakończyła się remisem, każde z nich odpowiadało trafnie i bez pomyłek.

Kiedy przeszli wreszcie z numerów do tematów wymagających czasowników, Barniemu przyszła nagle do głowy pewna myśl.

- Czy zauważyłaś może, Emily, że wcześnie bohaterowie Dodgersów mieli tylko jednocyfrowe numery? A potem nagle ukazuje się taki Jackie Robinson i dają mu numer czterdziesty drugi. Czy sądzisz, że to przypadek?

- Nie, wydaje mi się, że coś w tym jest - odpowiedziała. - Przecież Campy, drugi ich czarny zawodnik, otrzymał numer trzydziesty dziewięć. Co sądzisz o tym jako psychiatra?

- No cóż - zaczął Barney - jako profesjonalista nie mam absolutnie nic do powiedzenia. Osobiście jednak zawsze zwykłem prosić o numer dziesiąty, choć spieszę dodać, że nigdy nie grałem w wyższych ligach.

- Wiem o tym - odpowiedziała Emily wesoło.

- O czym?

- Wiem, że byłeś kiedyś koszykarzem, zanim zostałeś intelektualistą. Prawdę rzekłszy, chciałabym ci coś wyznać. Mam nadzieję, że nie będziesz tego za bardzo analizował.

A potem przyznała się: - Zawsze miałam bzika na punkcie twoich nóg.

Barney nie bardzo wiedział, jak ma zareagować. Czy miał to być jakiś nowy, modny zwrot wśród młodocianej elity nowojorskiego East Endu? (Jak coś w rodzaju: - Czy zechciałbyś wstąpić do mnie i rzucić okiem na moje kolana?) Odpowiedział więc równie niepoważnie: - Bardzo mi to pochlebia, Em. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek ktokolwiek powiedział mi coś równie miłego.

- Nic się nie bój. Nie jestem jakąś tam fetyszystką. Byłam o dwa lata niżej od ciebie w Midwood.

- Byłaś w Midwood?! Jak to się więc stało, że nigdy nie zwróciłem na ciebie uwagi?

- Przypuszczam, że byłeś zbyt zajęty uganianiem się za wodzirejkami. W każdym razie, to ja robiłam zdjęcia do "Argusa". Zawsze się zastanawiałam, dlaczego nie grałeś na ostatnim roku? Jestem przekonana, że zrobiłbyś z nich pierwszą drużynę w mieście. Według mnie byłeś nie tylko świetny w ataku, ale i potrafiłeś bronić jak tygrys. Co się wtedy stało?

Uniesiony jej podziwem dla swoich niegdysiejszych wyczynów sportowych, Barney odpowiedział lakonicznie, niczym Gary Cooper: - To długa i smutna historia, Emily. Nie sądzę, żebyś rzeczywiście chciała ją usłyszeć.

- Mamy mnóstwo czasu - odpowiedziała z uśmiechem.

Ta niewinna uwaga sprawiła, że spojrzał na zegarek. Było już piętnaście po czwartej.

- Hej, Em, kapitan już sztyletuje nas wzrokiem. Obawiam się, że nas zamorduje, jeśli się stąd natychmiast nie wyniesiemy.

- Nie denerwuj się, Barney. Dimitri pozwala mi tu siedzieć tak długo, jak mi się podoba. To w końcu ode mnie dostaje bilety na Super Bowl*.

- Nie jesteś dzisiaj z kimś umówiona? A może masz jakąś pracę?

- Na pierwsze pytanie odpowiem, że nie, a na drugie, że tak. A ty?

- Ja również. Zapomnijmy jednak o jeszcze nie zapisanych kartkach. I jak to powiedział jeden z łacińskich poetów - skorzystajmy z tego, co niesie chwila.

- Masz rację - odpowiedziała. - *Carpe diem*. Wychodząc z restauracji, Barney pomyślał sobie: Tak naprawdę, to ja bym również nie miał nic przeciwko temu, żeby skorzystać z ciebie, Emily.

Kiedy przeszli parę następnych ulic pogrążeni w pełnej wigoru konwersacji, Barney doszedł do wniosku: - Teraz dopiero wiem, co to znaczy euforia!

* Super Bowl - noworoczne rozgrywki amerykańskiego futbolu pomiędzy dwiema najlepszymi drużynami Stanów Zjednoczonych.

Rozdział XXXV

Był to sobotni, listopadowy poranek, świeży niczym jesienne jabłko. Zazwyczaj brązowy i kamiennoszary dziedziniec uniwersytetu w Yale ożywiały teraz niebiesko-białe piłkarskie chusty, jasnowłose dziewczyny z Vassar* i zaczerwienione z podniecenia, gorączki piłkarskiej i zimna policzki studentów.

Bennett zszedł z dyżuru o dziesiątej rano. Skończył pomagać Rickowi Zeltmanowi w jego ośmiogodzinnej "hydraulicznej robocie" - jak starszy chirurg określał skomplikowany zabieg w układzie moczowo-płciowymi padał z nóg, zarówno pod wpływem umysłowego stresu, jak i fizycznego zmęczenia. Był jednak zbyt podniecony, aby móc się od razu położyć do łóżka.

Skierował się więc wolno w stronę uniwersyteckiego dziedzińca z myślą, że wstąpi może do księgarni i kupi jakąś książkę dla Odwrócenia uwagi od krwi i flaków.

Sprzedawcy uliczni wylegli całymi tabunami na ulice, handlując balonami, szpilkami i innymi drobiazgami. Wydawało mu się, że studenci wyglądali jak dzieci. O Chryste! - pomyślał. Czyżbym sam tak szybko się zestarzał? Co tu się działo, odkąd zamknięto mnie w tym betonowym więzieniu, wyłożonym lśniącem linoleum, gdzie nie ma dnia ani nocy, a pory roku nie podlegają zmianie? Dziesięć lat temu kroczyłem jak młody lew, a teraz nagle czuję się jak stary kozioł.

Kiedy tak szedł ulicą Chapel w stronę Broadwayu, podszedł do niego młody czarny sprzedawca gazet.

- Hej, bracie! - zawołał. - Znasz ostatnie wiadomości? Jesteś na bieżąco? Bo jeśli nie, to lepiej kup ten dokument. Tylko dwadzieścia centów, bracie, i dowiesz się, o co chodzi.

Bennett sięgnął do kieszeni, podał chłopcu monetę, włożył gazetę pod pachę i odszedł.

Pół godziny później siedział w domu z książkami wartości dwudziestu pięciu dolarów, które przy odrobinie szczęścia zdąży może przeczytać do lipca. Włączył stereo, ściągnął buty i zasiadł do czytania.

Był jednak tak zmęczony tym wiecznym cięciem, podwiązywaniem naczyń krwionośnych i szyciem, a przede wszystkim niepewnością, czy robi to dostatecznie dobrze, że nie potrafił skupić uwagi na stylistycznych wygibasach Toma Wolfe'a. W końcu zaczął przeglądać ostatnie wiadomości Panter.

Ton gazety był ostry i zjadliwie antybiały. Do diabła! - pomyślał Bennett. Pominę ten ciężki kaliber. Może mają gdzieś część sportową.

Przekartkował ostatnie strony i z radością natrafił na jakieś karykatury. Ach! - pomyślał sobie. Właśnie ten poziom literatury jest mi teraz potrzebny.

A potem zaczął czytać podpisy. Po kilku takich karykaturach "obmierzonych świńskich Żydów żerujących na czarnych" rzucił gazetę na podłogę i z gniewem wybiegł z mieszkania na przenikliwie chłodny wiatr w New Haven.

Znalazł Jacka w pokoju sanitariuszy.

- Jak się masz, Ben? - powitał go Jack, pomijając zwyczajne szpitalne formalności, skoro inni sanitariusze traktowali Bennetta jak "swego".

- Chciałbym zamienić z tobą parę słów - powiedział Bennett ostro.

- Tak jest, doktorze.

Obaj mężczyźni wyszli na pusty korytarz. Bennett chciał właśnie wybuchnąć tyradą, którą przygotował sobie w drodze do szpitala. (Czy tylko o tym potraficie pisać w tej waszej brudnej szmacie?)

Nagle zorientował się, że wyładowanie własnego gniewu na biednym Jacku niczego nie zmieni. On nie był wydawcą ani żadnym przywódcą, tylko zwykłym piechurym walczącym o sprawę na tej obcej ziemi zwanej Ameryką.

Powstrzymał więc swoją furię i powiedział tylko: - Chciałbym przyjść na wasze następne spotkanie, Jack.

- Co, odmieniło ci się serce, doktorze?

- Można by to i tak określić.

- W porządku. Powiadomię o tym pana.

Laura siedziała właśnie w dyżurce Szpitala Dziecięcego w Bostonie, przyjmując dziewięcioletnią dziewczynkę z niebezpiecznie wysoką gorączką niewiadomego pochodzenia, która - jej zdaniem - wskazywała na zapalenie wsierdzia.

Kiedy skończyła spisywanie wszystkich danych, było już dobrze po północy. Idąc do pokoju dyżurującego lekarza, zauważyła, że stateczne zazwyczaj pielęgniarki rozmawiały głośno w swojej dyżurce z niezwykłym podnieceniem.

Jedna z nich zawołała do niej z daleka: - Lauro, czy słuchałaś może dzisiejszych wieczornych wiadomości?

* Vassar - żeńska szkoła wyższa w Poughkeepsie, w stanie Nowy Jork.

- Nie - odrzekła zbyt zmęczona, aby zwrócić uwagę na cokolwiek z wyjątkiem może czwartej wojny światowej. (W tym stanie z pewnością przespałaby trzecią.)

- Czy coś się stało?

- To coś niesamowitego, Lauro, wprost niewiarygodnego - stwierdziła najmłodsza i zazwyczaj najbardziej małomówna z nich. - Chodzi o ten głośny skandal w Waszyngtonie. Ta kobieta jest chirurgiem z Harvardu, mniej więcej w twoim wieku.

Laura natychmiast wiedziała, o kogo chodzi. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Czy ktoś popełnił samobójstwo? - wykrztusiła.

- Usiłował. Prawie trzysta miligramów valium. Zastosowano jednak natychmiastowe płukanie żołądka. Ale ta lekarka była rzeczywiście wspaniała.

Laura powiedziała z pośpiechem: - Greta Andersen?

- Tak - odpowiedziała pielęgniarka. - Tak się właśnie nazywała. Znałaś ją może?

Laura spytała z niepokojem: - Czy było jakieś uszkodzenie mózgu? Co jej właściwie zrobił ten cholerny psychiatra? Pielęgniarki spojrzały po sobie.

- Ależ to właśnie on zażył te pigułki - odezwała się jedna z nich.

Laura złapała się w oszołomieniu za głowę. Któraś pielęgniarka podeszła do niej i zapytała troskliwie:

- Lauro, czy źle się czujesz? Czy doktor Himmerman był również twoim przyjacielem?

- Nie, nie! - odpowiedziała półprzytomnie, pozwalając się zaprowadzić na plastikowy fotel w jednej z poczekalni. - Byłabym jednak wdzięczna, gdybyście powiedziały mi wreszcie, co właściwie mówiono w tych wiadomościach.

- No więc - zaczęła Nida - ten lekarz był rzekomo światowej sławy specem w psychiatrii.

- Zostawmy na boku jego listy uwierzytelniające. Co on takiego zrobił?

- Najzwyczajniej to, czego nie powinien robić z pacjentem. Twoja przyjaciółka była bardzo opanowana i odważna - wtrąciła druga pielęgniarka.

- Zwołała konferencję prasową w Szpitalu Georgetown.

- Co takiego? - spytała Laura pewna, że się przesłyszała. - A niby dlaczego prasa miałaby słuchać jakiegoś tam młodszego asystenta z chirurgii?

- Po pierwsze, ona jest wyjątkowo ładna - odpowiedziała Nida. - A poza tym, oni kochają tego typu skandale. Powiedziała im po prostu, że poszła do Himmermana się leczyć, a on zaciągnął ją do łóżka.

- Jak ona, u diabła, mogła tego dowieść?

- O, to było w tym wszystkim najciekawsze. Z początku ten doktor Himmerman, który nawiasem mówiąc, jest również niesamowicie przystojny, zaprzeczył wszystkiemu przed kamerami. Stwierdził, że były to jakieś paranoidalne złudzenia i że ta biedna dziewczyna powinna być w szpitalu dla psychicznie chorych. Mówił bardzo przekonująco.

- Nie mam co do tego wątpliwości - mruknęła Laura. Następne słowa Nidy strzeliły jak piorun z jasnego nieba: -

A potem odwrócił się i poszedł do siebie, do cudownej willi w Georgetown. Wszedł na górę do swojego pokoju i zażył pigułki.

- O! - wykrzyknęła z radością Laura. - A zatem ten sukinsyn okazał się swoim największym wrogiem. Brawo, Andersen!

- Greto, czy wszystko w porządku? Od dwóch tygodni usiłowałam się z tobą skontaktować.

- Przepraszam cię, Lauro, ale musiałam się wprowadzić do koleżanki, ponieważ mój telefon dzwonił bez przerwy. Powinnam odezwać się do ciebie wcześniej. Przepraszam cię.

- Skąd zdobyłaś się na taką odwagę, żeby zrobić tego nieetycznego drania? Co cię do tego sprowokowało?

- Ktoś musiał to zrobić. Czy wiesz, że Andy przyrzekał mi, że zostawi żonę i ożeni się ze mną? Potem dowiedziałam się, że wyśpiewywał tę samą śpiewkę już z milion razy.

- Skąd wiesz?

- Od samej pani Himmerman. Spotkałyśmy się kiedyś, gdy wychodziłam od niego z terapii. Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół i nagle wybuchła: "To pewno pani jest ostatnią lalczką mego męża". Potem wpadła prosto do niego do biura i zaczęła krzyczeć. Szczegółowe sprawozdanie z tego, co się dalej stało, ukaże się pewno w prasie.

- Och, Greto, tak ci współczuję! Mam nadzieję, że to przeżycie nie zniechęci cię na zawsze do mężczyzn.

- Prawdę rzekłszy, w tej chwili nie są oni moją ulubioną płcią. A jeśli chodzi o mężczyzn lekarzy, stanowią według mnie najniższą formę życia. Zgadnij do trzech, kto się ma wynieść z miasta w rezultacie tego skandalu?

- O czym ty mówisz?

- No cóż - zaczęła Greta - wydaje się, że tutejszy oddział chirurgiczny uważa, że do nich nie pasuję. Zaproponowali asystenturę komuś innemu, a mnie powiedziano, że owszem, mogę u nich zostać, ale nie na pensji. Musiałabym wypruwać sobie flaki jako wolontariusz.

- Innymi słowy, wylali cię.

- No cóż - odpowiedziała z sarkazmem Greta. - Można to tak określić, choć tego akurat słowa nie użyto. Ci lekarze działają jak jakaś tajemna sekta. Mój grzech najwidoczniej polegał nie tyle na tym, że pozwoliłam się uwieść, ale na tym, że powiedziałam o tym prasie.

- Greto, nie mam wprost pojęcia, co powiedzieć. Czy to znaczy, że temu lajdakowi ujdzie to wszystko płazem?

- Prawdopodobnie. To znaczy niby udają, że coś robią. Będzie musiał złożyć zeznania przed Komisją Stanową, ale naturalnie prywatnie. Nadal uważa, że jestem histeryczką, która sobie to wszystko wyssała z palca. W każdym razie zdecydowałam się już na odejście i składam podania do wszystkich szpitali od Bostonu aż po Honolulu. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, wstąpię do wojska.

- Co takiego? - spytała z niedowierzaniem Laura.

- Mówię poważnie. Bardzo im są potrzebni chirurdzy. Przypuszczalnie wysłaliby mnie nawet do Wietnamu. - Iz bólem w głosie dodała: - Szczerze mówiąc, Lauro, nawet gdyby mi ktoś strzelił w głowę, to nie sądzę, żeby było to bardziej bolesne.

Po raz pierwszy od czasu zawarcia małżeństwa Laura i Palmer mieli równie wyczerpujące harmonogramy. Nie narzekał już zatem, kiedy przychodziła o czwartej nad ranem do domu, gdyż sam nie spał jeszcze o tej porze, intensywnie ucząc się do późna w nocy wietnamskiego. Kiedy weszła do pokoju, ściągnął okulary do czytania, popatrzył na nią i uśmiechnął się. - Wiesz, kochanie, zaczynam odczuwać respekt dla tego wszystkiego, co robisz. Ten brak snu po prostu mnie wykańcza.

- Wiesz, Palmer, to wypróbowana technika psychicznego załamania więźniów wojennych. Powiedziano mi, że jest bardzo popularna w południowo-wschodniej Azji.

- Tak? Kto ci to powiedział?

- "New York Times".

- A ty wierzysz w tego komunistycznego szmatławca?

- Mój Boże, Palmer - odpowiedziała, tylko na poły żartując. - Czasami zachowujesz się tak, że Barry Goldwater wygląda przy tobie jak liberał.

Nalała sobie szklankę soku pomarańczowego, usiadła ciężko i zaczęła się głośno zastanawiać: - Nie mogę pojąć, dlaczego wy, mężczyźni, wywołujecie te wojny i zabijacie się w nich nawzajem. To chyba wszystko przez ten testosteron. Androgen jest w końcu potężnym środkiem pobudzającym.

- Myślałem, że on tylko stymuluje seks - odpowiedział z uśmiechem Palmer.

- Wiesz, zawsze istniał jakiś nikły związek pomiędzy miłością a wojną. Weźmy na przykład Helenę trojańską...

- W tej chwili wolałbym raczej wziąć ciebie - powiedział Palmer, wstając zza biurka.

- Jak myślisz, czy to dzisiaj? - zapytał.

Leżeli obok siebie w łóżku, odpoczywając w półśnie.

- Palmer - odpowiedziała sennie - gdyby wynaleziono • 7 medycynie maszynę, która potrafiłaby dokładnie określić moment jajczkowania, to wyniosłabym ją ze szpitala pod fartuchem.

- W każdym razie w naszym wypadku to nie jest konieczne- rozumował Palmer. - Jeśli robimy to co noc, to z pewnością uda nam się złapać właściwy moment, prawda?

- Statystycznie rzecz biorąc, Palmer, przeciętnej "olimpijskiej" parze spłodzenie dziecka zajmuje od czterech do sześciu miesięcy. Czasami trochę dłużej, jeśli kobieta brała pigułki.

- Myślę, że w większości przypadków decyduje podłoże psychiczne - stwierdził Palmer. - Jeśli się rzeczywiście bardzo chce, to z pewnością da się to zrobić od razu. Weźmy na przykład moich rodziców. Wątpię, czy w trakcie całego ich małżeństwa kochali się więcej niż z pół tuzina razy, a mimo to mogą się wykazać moją siostrą i mną. No więc, jak sądzisz, jak powinniśmy go nazwać?

- Jego? To znaczy kogo?

- Nasze dziecko, mojego syna. Tego właśnie, którego tak pracowicie płodzimy.

- A może by tak "Cuduś"? - spytała. - To byłoby całkiem stosowne. - A potem szybko dodała: - Albo "Cudusia", jeśli się okaże, że to dziewczynka.

- To nie będzie dziewczynka - zapewniał z przekonaniem Palmer.

- Najprawdopodobniej w ogóle nic z tego nie będzie - powiedziała Laura.

- No cóż, będę musiał stawić temu czoło, jak nie będę miał innego wyjścia - odpowiedział Palmer. - A tymczasem nie masz chyba nic przeciwko tym małym ćwiczeniom w rozmnażaniu się, prawda?

- Nie - odpowiedziała. - Ale wolałabym nazywać to, co robimy, miłością.

- Naturalnie, że się przy tym kochamy. Na tym właśnie polega całe piękno tego ćwiczenia.

Laura zastanowiła się przez chwilę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu była szczęśliwa i nie chciała psuć tego nastroju. A mimo to nie mogła się jednak powstrzymać od pytania: - Palmer, skąd u ciebie ten nagły pęd do rozmnażania się? Przecież to już nie zdoła uchronić cię przed wysłaniem do Wietnamu?

- W tym właśnie rzecz, kochanie - odpowiedział. - W brutalnej szczerości muszę ci powiedzieć, że boję się, że już stamtąd nie wrócę.

Po dwóch tygodniach odwoziła go na lotnisko.

- Wiesz, właściwie to ja nadal nie wiem, co ty tam będziesz robił.

- Ja sam tego nie wiem, Lauro. Właśnie dlatego jadę na tygodniową odprawę do Waszyngtonu. A właściwie będzie to poza Waszyngtonem, w słynnej rezydencji senatora Sama Forbesa. No widzisz, nawet tego nie powinienem ci powiedzieć.

- Forbes jest „jastrzębiem” Hawka - stwierdziła.

- Wiedziałem, że to powiesz. W każdym razie zatrzymaj to dla siebie. Nie będzie nam nawet wolno dzwonić.

- A czy jego urocza córka Jessica też tam będzie?

- Kochanie, to towarzyski motyl o pustej głowie. Dwuwatowa żarówka.

- Aha. A jakie notowania mają jej pozostałe akcje?

- Nawet nie zaszczycę tego odpowiedzią, Lauro.

Jechali dalej w milczeniu, aż dotarli do końca Storow Drive i pogrążyli się w tunelu Callahana. Pośrodku tej, zdawałoby się, nigdy nie kończącej się, słabo oświetlonej, wykafelkowanej łazienki Palmer powrócił do najważniejszego dla niego tematu dnia.

- Czy moglibyśmy nazwać go moim imieniem?

Laura skinęła głową. - Ale pod warunkiem, że będzie to chłopiec - odpowiedziała kategorycznie.

Pasażerowie lotu numer dwieście sześćdziesiąt jeden do Waszyngtonu wchodzili już na pokład samolotu. Mieli tylko czas na pospieszne pożegnanie i ostatnią, krótką wymianę myśli.

- Lauro, powiedz mi jeszcze raz, czy naprawdę przestałaś zażywać pigułki?

- Naprawdę. Przysięgam.

Uśmiechnął się. A potem odwrócił się i wszedł do samolotu.

Małe mieszkanko było jeszcze bardziej przepelnione niż przedtem. Pantery zyskały sobie nowych zwolenników. Zresztą wiele osób przybyło tu również, usłyszawszy, że głównym mówcą tego wieczoru miał być nowy chirurg z Yale.

Serce Bennetta łomotało jak oszalałe. Nie wiedział nawet, jak Bacząc, dopóki nie stanął przed nimi twarzą w twarz. Odezwał się trochę nienaturalnym głosem.

- Wierzę, że każdy Murzyn w Ameryce ma prawo do równości i sprawiedliwości. Zgodnie z konstytucją wszyscy ludzie są równi.

Zbliżył się teraz do zaminowanego pola. - Równy nie oznacza jednak lepszy. Nie jesteśmy gorsi od innych ludzi, ale też i nie lepsi.

- O czym ty gadasz? - zawołał jakiś głos.

- O tej szmacie, którą nazywacie swoją gazetą, a w której obwiniecie tak zwane syjonistyczno-faszystowskie świny żydowskie za wszystkie nieszczęścia czarnego człowieka.

Rozległy się okrzyki: - Racja! Wybić Żydów!

- A właściwie dlaczego wyróżniliście tę właśnie grupę etniczną i skazujecie ją na zagładę?

- Człowieku, czy ty tego jeszcze nie pojmujesz? - zawołał inny gniewny głos z drugiego końca pokoju. - Przecież to te żydowskie świny są właścicielami naszych slumsów i lombardów. To oni zabierają ci samochód, jeśli choć trochę zalegasz z płatnościami...

Bennett stracił panowanie nad sobą.

- Hola! Chwileczkę, bracie! - krzyknął z wściekłością. Wybuch ten wywołał natychmiastową, lecz naładowaną elektrycznością ciszę.

- Sprostujmy tu jedną zasadniczą rzecz - zaczął Bennett. - Niektórzy Żydzi faktycznie mogą być właścicielami slumsów, ale do jasnej cholery, są nimi również i niektórzy czarni. Wielu Żydów pomaga naszej sprawie. Czy zapomnieliście o

Mitchellu i Schwernerze, tych dwóch dzieciaków zamordowanych przez Klan w Missisipi?

Nastąpiło ogólne poruszenie.

- Doktorze Landsmann - odezwał się bardzo oficjalnie przewodniczący Simba. - Nie sądzę, aby nasi bracia wiedzieli, skąd pan pochodzi.

Oblany potem Bennett usiłował ciągnąć dalej.

- Mój ojciec walczył i zginął w czasie drugiej wojny światowej, ponieważ szanował wartości tego kraju. I musiał pogodzić się z gównem, o jakim wam się nawet nie śniło. Nie tylko z segregowanymi oddziałami i kłozetanfi "tylko dla kolorowych". Jeśli któryś z jego żołnierzy został ranny, to Czerwony Krzyż musiał mu dawać nawet segregowaną krew. A mimo to, na dzień przed śmiercią napisał mi, że widział okrucieństwa jeszcze gorsze niż te, przez które przechodzili nasi ludzie. Zobaczył hitlerowskie obozy koncentracyjne...

Przerwano mu potokiem obelżywości: - To jedna wielka kupa gówna! Nawet Hitler zabił ich jeszcze za mało!

Bennett poczuł, że traci panowanie nad sobą. Musiał jednak skończyć. - Po śmierci mojego ojca zostałem zaadoptowany przez żydowskie małżeństwo, które przeżyło te obozy. Na własne oczy widzieli, jak zabierano ich małą córeczkę do komory gazowej i jak resztę ich rodziny palono w piecach. Czy któryś z was tutaj obecnych przeżył kiedykolwiek coś takiego?

Z zaschniętymi ustami i policzkami zroszonymi kropelkami potu zakończył: - Przyszedłem tutaj, żeby wam powiedzieć, że czarni nie mają monopolu na cierpienie. A także, że nie każdy Żyd jest naszym wrogiem. Bo jeśli w to uwierzymy, to staniemy się największymi wrogami siebie samych. - Przerwał, a potem dodał cicho: - Zastanówcie się trochę nad tym, bracia.

Skoncentrował wzrok na widowni, czekając na jej reakcję. Siedzieli nieruchomo. W całym pokoju poruszały się tylko jego własne ręce, trzęsące się teraz z nadmiaru emocji.

Przewodniczący zapytał bezbarwnym głosem: - Czy są jakieś pytania?

Siedzący z tyłu mężczyzna podniósł rękę. - Chciałbym powiedzieć naszemu wybitnemu gościowi, żeby się odpiardolił razem ze swoimi Żydami.

Mimo że tłum pozostał w bezruchu, Bennett przeraził się nagle. Ogarnęło go jakieś niesamowite uczucie własnej odmienności. Wydawało mu się, że wszystko

wokół niego odbijało się jakby w krzywym zwierciadle. Skierował się w stronę drzwi. Tłum ludzi rozstał się przed nim niczym Morze Czerwone.

Barney usłyszał o tym po raz pierwszy dopiero po przyjeździe do szpitala. John Werner, jeden z młodszych stażystów, podbiegł do niego, wykrzykując: - Livingston, widziałeś może dzisiejszego "Timesa"?

- Nie - odpowiedział Barney sucho. - Czy ustaliliśmy może jakiś nowy rekord w paleniu napalmem?

John, zażarty republikanin, zignorował przytyk Sarniego.

- Czy ty przypadkiem nie chodziłeś do szkoły z Peterem Wymanem?

- Owszem - odpowiedział Barney. - Nie lubię się jednak tym przechwalać.

- Teraz już możesz - zapewniał stażysta. - Popatrz. Podał Barniemu gazetę. W dolnym lewym rogu widniało zdjęcie

Wymana w białym kitlu. Jak zwykle uśmiechał się z zadowoleniem. Czuprynę miał jednak już mocno przerzedzoną.

Artykuł głosił: "Odkryto strukturę budowy raka", a podtytuł wyjaśniał: "Młody harwardzki naukowiec wynalazł nową technikę w inżynierii genetycznej".

Barney przeczytał gazetę i pomyślał: Zawsze nam mówił, jaki to on jest mądry. Może powinniśmy mu uwierzyć. W końcu podają tu w gazecie, że opublikował już szesnaście artykułów i miliony streszczeń. Widać jednak, że lubi sławę. Jego odkrycia zostaną opublikowane dopiero za sześć miesięcy. Pewno zorganizował tę konferencję prasową tylko po to, żeby dać trochę więcej czasu ludziom przyznającym Nagrody Nobla.

W każdym razie Peter i tak nie ma wszystkiego. Nie było tam żadnej wzmianki o żonie i dzieciach.

W tym momencie superego Sarniego rzuciło mu wyzwanie: - A co pana, doktorze Livingston, upoważnia do tego, żeby obrzucać go kamieniami? A gdzie pańska żona i dzieci? Któż czeka na pana w tym pańskim "szklanym domu"?

Na co odpowiedziało jego ego: - Chwileczkę, daj mi trochę czasu. Muszę najpierw skończyć specjalizację, zacząć prywatną praktykę. A poza tym jestem już prawie żonaty.

Postanowił poruszyć ten temat wieczorem z Emily. Historia ich romansu była wręcz zawrotna. Przebiegli w nim przez wszystkie dziedziny amerykańskiego sportu - football, koszykówkę, boks, baseball, hokej, tenis - oraz boiska i bieżnie sportowe Europy. (W sierpniu tego roku, w czasie dwudniowego spotkania w Malmo, w

Szwecji, miał nawet okazję przeprowadzić wywiad z emerytowanym “człowiekiem z żelaza”, Emilem Zatopkiem i umieścić go w ostatnim rozdziale swojej książki.)

Oboje byli jakby zsynchronizowani i objęci symbiozą, nawet biegali w tym samym tempie.

Gdyby więc okazali się małżeństwem, któremu brak błogosławieństwa nieba, to i tak byłoby ono co najmniej tak trwałe jak powierzchnia bieżni.

Barney czuł się już zmęczony tym nieustannym pomaganiem innym w osiągnięciu szczęścia i postanowił, że nadszedł już czas, żeby samemu spróbować. Rok wcześniej dostało mu się porządnie na ślubie Warrena z Bernice (Bunny) Lipton, która również kończyła już studia prawnicze.

W trakcie wesela wujek z Houston skarcił go nawet, żądając: - A kiedy ty wreszcie pomyślisz o swoim szczęściu, Barney?

W tym momencie miał ochotę odpowiedzieć mu jak psychiatra, że gdyby wszystkie małżeństwa były takie idylliczne, jak twierdził jego wujek, to kanapka w jego gabinecie stałaby pusta i tylko sporadycznie zajmowałby ją jakiś schizofrenik.

Sam nawet napisał kiedyś we “Współczesnej psychiatrii”, że w tych niespokojnych czasach stosunki małżeńskie odzwierciedlają nieomal chorobę zewnętrznego świata.

Jednakże małżeństwo najlepiej określał doktor Johnson, nazywając je “tryumfem nadziei ponad doświadczeniem”.

W każdym razie on i Emily to zupełnie co innego. Stosunki między nimi układały się cudownie, byli ze sobą otwarci i szczerzy. I mimo że czuli się szczęśliwi w swoim towarzystwie, to jednak każde z nich posiadało własne życie poza domem. Dawałoby to im tę doskonałą równowagę, której domaga się każde małżeństwo, a którą tak rzadko znajduje.

Zaczął na ten temat rozmowę przy późnej kolacji u niej w domu po obejrzeniu meczu, w którym Lakersi pobili przeciwników, nie zostawiając po nich nawet mokrej plamy. Jadłospis składał się z najlepszych przysmaków na wynos z restauracji Zabara. Oznaczało to zatem, że Barney musiał tylko zamrozić butelkę wina przed otwarciem. Napelniwszy najpierw jej kieliszek, a potem swój, wznosił toast: - No to za nasze “długo i szczęśliwie” lub raczej za ciebie, Emily, żebyś żyła długo i szczęśliwie.

- Nie rozumiem? - uśmiechnęła się.

- Po naszym ślubie - odpowiedział.

Zatrzymała kieliszek w połowie drogi do ust. Barney dostrzegł wyraz melancholii na jej twarzy, mimo że usiłowała go ukryć.

- O co ci chodzi, Emily? Czy powiedziałem coś niewłaściwego? Skinęła głową. - Ślub, małżeństwo...

- A cóż w tym złego?

- To nie dla mnie. Chociaż uważam, że będziesz cudownym mężem.

- No więc dlaczego nie miałbym zostać twoim cudownym mężem?

Spuściła oczy i pokręciła głową.

- Nie, Barney, nie! - powtórzyła. - To nie ma sensu.

- Czy masz jeszcze kogoś innego? - zapytał Barney, gdyż nagle nasunęła mu się ta przerażająca myśl.

- Och, nie! To nie o to chodzi - zaprotestowała.

- A zatem nie zależy ci na mnie?

- Ależ oczywiście, że tak. Jak w ogóle możesz w to wątpić?

- No to właściwie dlaczego, Emily? Dlaczego?

Napiła się wina i odpowiedziała: - Nie jestem materiałem na żonę. Jestem bezwzględna, samolubna i ambitna.

Dziewczyna, która przed chwilą oceniła siebie tak ostro, rozplakała się nagle. - Zaslugujesz na coś lepszego, Barney.

- Ależ to bzdura.

- Nie, to prawda.

Barney poczuł się nagle jak człowiek, który pragnąc zasadzić krzak róży, włożył łopatę w płodną ziemię i natrafił na nieustępliwy kamień.

Nie było co do tego wątpliwości. Odmowa Emily była absolutna i nieodwracalna.

- Wobec tego zapomnij o tej mojej propozycji. Wycofuję się. Oferta ta jest nieważna. Czy mógłbym jednak prosić cię o coś mniej zobowiązującego?

- O co?

- Wprowadź się do mnie. Urządę ci biuro w drugiej sypialni. A jeśli z jakiegoś powodu nie będziesz miała ochoty na powrót do domu, to nie będziesz musiała przynosić usprawiedliwienia od rodziców. Czy to rozsądne, ty mój mały ptaszku, który obawia się, że go zamkną w klatce?

Emily nie odpowiedziała. Wstała tylko od stołu i zarzuciła mu mocno ręce na szyję.

Kiedy trzymał ją w objęciach, umysł jego nie był w stanie zamknąć drzwi od lekarskiego gabinetu. Analitycznie nastawiony podpowiadał mu bowiem: Coś tu nie pasuje. Panie doktorze, czy mógłby pan to wyjaśnić?

- Przyjdę do ciebie jutro i pomogę ci się spakować.

- Dzięki za wyrozumiałość - szepnęła z ogromną wdzięcznością w głosie.

Kiedy tak stali, trzymając się w objęciach, Barney zastanawiał się mimo woli: A na czym to polega moja szlachetność?

Peter Wyman stanowił zawsze kontrowersyjną postać. Przypuszczalnie był jedynym absolwentem Harwardzkiej Szkoły Medycznej, który tak otwarcie nienawidził chorych.

W trakcie pierwszego roku na stanowisku adiunkta odnosił się pogardliwie do laboratoryjnych kolegów, a w stosunku do swego szefa i patrona, profesora Pfeifera, demonstrował jedynie pozory uprzejmości. Pfeifer nie zatrudnił go jednak ze względu na jego urok osobisty. Wiedział, że Wyman był cennym materiałem i nie chciał, żeby dostał się w ręce wroga (którym był każdy instytut działający w tej samej dziedzinie).

Założył jednak, że taki sprytny chłopak jak Peter znał dobrze reguły gry - najpierw ty mi pomożesz dostać się na podium, a kiedy przyjdzie na ciebie kolej, to wyciągnę rękę i wciągnę tam i ciebie. Tymczasem zaś dopilnuję, żebyś mógł żyć wygodnie z federalnych subwencji i pracować spokojnie w najlepszym biochemicznym laboratorium na świecie.

Peter był z natury nieufnym człowiekiem. Świadom własnego braku skrupułów zakładał, że inni również nie mają sumienia. Innymi słowy, był swoim najlepszym przyjacielem. Jak również swoim największym wrogiem.

Odkrycia swego dokonał w trakcie pracy nad potwierdzeniem jednej z hipotez Pfeifera. Uważał jednak, że było to wyłącznie jego osobiste osiągnięcie. Gdy tylko badania kontrolne zaczęły wykazywać obiecujące rezultaty, udał się do sekcji trębaczy Szkoły Medycznej, czyli Biura Prasowego.

Dyrektor Nicholas Kazań był zachwycony tym, co mu Peter powiedział. Zamiast zwołania konferencji prasowej poradził mu raczej, żeby umówił się z redaktorem medycznym "New York Timesa" na kolację i udzielił mu wywiadu.

- Jeśli zdołam go przekonać, że będzie jedynym, to mogę cię zapewnić, że ukażesz się na pierwszej stronie. A potem wszystko będzie już tylko dziecinną zabawką.

Peter miał tylko jedno istotne pytanie:

- Czy sądzisz, że powinienem założyć szkła kontaktowe?

Kazan okazał się sprytnym reżyserem. Po pierwszym artykule, jaki ukazał się w prasie, zainscenizował ekskluzywny występ w programie telewizyjnym *Dzisiaj*. NBC wysłało Barbarę Walters do Bostonu, aby przeprowadziła wywiad z Wymanem.

Peter osiągnął coś wręcz niebywałego. Uczynił pierwszy, istotny krok w kierunku ostatecznego pokonania raka. Nie było to jednak jeszcze lekarstwo.

Pracę jego można by najlepiej porównać do opracowania mapy drogowej prowadzącej do ukrytego skarbu. Inni naukowcy mogli więc teraz korzystać z tej trasy.

Przez cały następny tydzień zrozpaczeni krewni chorych oblegali centralkę telefoniczną Szkoły Medycznej, błagając o umożliwienie im skorzystania z nowego odkrycia Wymana, zanim będzie już za późno dla któregoś z członków ich rodzin.

W trakcie telewizyjnego wywiadu panna Walters poprosiła naturalnie profesora Pfeifera o komentarz. Profesor stwierdził przed kamerami:

- Peter jest niewątpliwie wyjątkowym młodym człowiekiem. Gdy tylko zgasło czerwone światelko kamery, starszy mężczyzna zaprosił swego pomocnika na śniadanie do klubu.

Pfeifer odczekał, aż zaczęli drugą filiżankę kawy, zanim zaczął rozmowę.

- Powiedz mi, Peter - zapytał jakby mimochodem - czy domyślasz się może, dlaczego zaprosiłem cię tutaj dziś rano?

- Może dla uczczenia... ?

- A cóż to właściwie mielibyśmy tak radośnie obchodzić?

- No cóż, to moje odkrycie, ten cały projekt. Rozgłos, jaki zdobyliśmy dla Harvardu... - Jego głos załamał się.

- Powiedziałbym, że chodziło ci raczej o swój własny rozgłos, a nie o sławę Harvardu.

- Czy sugeruje pan przez to, profesorze, że przekroczyłem dopuszczalne granice? - zapytał niewinnie Peter. - Przestrzegałem zasad protokołu i załączyłem pańskie nazwisko w naszym oryginalnym artykule. Ja respektuję hierarchię, panie profesorze.

- Bardzo mi to pochlebia - odpowiedział Pfeifer. - Cieszę się, że choć w części mogę podzielać twoje zasługi, przynajmniej jako kierownik laboratorium.

- Ależ, panie profesorze! - obłudnie zapewniał Peter. - Pańskie zasługi są o wiele większe. To pan nauczył mnie wszystkiego, co wiem.

W tym momencie Pfeifer zmienił ton.

- Przestań się płaszczyć, Wyman. Nie jest ci z tym do twarzy. Wiem, że zostałem uznany jako współautor. To ja jednak jestem redaktorem tego pisma i musiałbym zamieścić tam swoje nazwisko, nawet gdybyś ty “zapomniał” to zrobić. Intrygują mnie jednak ci dwaj pozostali naukowcy, których badania cytujesz.

Ziemista twarz Petera pobiła ze strachu.

- Myślałem dotąd, że znam wszystkich chłopców w naszej dziedzinie i nawet współpracowałem swojego czasu z paroma z nich. Nigdy jednak nie udało mi się spotkać tego Charpentiera z Instytutu Français de Recherches Médicales w Lyonie ani tego van Steena z Amsterdamu. To raczej dziwne, skoro obaj właściwie współpracują z nami nad tym odkryciem.

- No cóż... To dopiero wschodzące gwiazdy. Obaj są jeszcze bardzo młodzi i nie opublikowali zbyt wiele.

- Miałeś zatem dużo szczęścia, skoro udało ci się z nimi skontaktować i namówić ich do przeprowadzenia swoich własnych doświadczeń, które mogłyby niezależnie potwierdzić twoje wyniki.

- Tak, panie profesorze, to prawda.

Nagle nastąpiła cisza. Dobiegały ich tylko ściszone głosy wybitnych bostończyków rozmawiających grzecznie, a może nawet decydujących w tej właśnie chwili o losie kraju, światowej ekonomii i szansach Harvardu na pokonanie Yale.

Tymczasem Pfeifer siedział z utkwionym w Peterze wzrokiem. Starszy mężczyzna był cierpliwy, mógł czekać. Wyman był jednak równie wytrzymały. Na koniec więc Pfeifer skapitulował i przerwał ciszę.

- Instytut Français de Recherches Médicales w Lyonie w ogóle nie istnieje, chyba że założono go w ciągu ostatnich dwóch tygodni. “Charpentier” miałby więc niejakie trudności z zatrudnieniem w tym miejscu. Naturalnie uniwersytet w Amsterdamie istnieje, dlatego też mogłem zadzwonić do mojego dobrego przyjaciela, Harry’ego Joosta, i zapytać go o tego mitycznego van Steena.

Popatrzył na Petera, mimo woli podziwiając spokój, z jakim ten młody człowiek przyjmował wiadomość o własnym zdemaskowaniu.

- Doktorze Wyman, bez poparcia danymi z zakrojonych na szeroką skalę badań prowadzonych rzekomo w Amsterdamie i Lyonie pańskie konkluzje są, delikatnie mówiąc, przedwczesne i raczej wątpliwe.

- Moja teoria jest właściwa, profesorze Pfeifer - odpowiedział Peter cicho. - Może pan przeprowadzić następny tuzin testów i pańskie wyniki będą podobne.

- Skoro jest pan tego taki pewny, to dlaczego nie przeprowadził pan właściwych badań, żeby tego dowieść? Dlaczego tak się panu spieszyło?

- Presja. Nie chciałem, żeby nas ktoś z tym uprzedził. Postanowiłem więc zaryzykować.

Profesor nie zareagował. Peter ciągnął dalej błagalnym tonem.

- Nie ma pan nawet pojęcia, co się teraz dzieje w świecie badań naukowych. Panie profesorze, dlaczego jakiś tam doktor miałby mi pomagać jedynie za marne dziękuję w adnotacjach?

Pfeifer pomyślał przez chwilę, zanim mu odpowiedział.

- Peter, dobrze wiem, że praca naukowca w zakresie medycyny przypomina uliczną walkę, i to w najciemniejszym zaułku. Tyle rzeczy wchodzi tu w rachubę! Są jednak na to tylko dwa sposoby: albo wykazuje się nieskazitelną uczciwość i zwalcza się każdą formę oszustwa, albo zostaje się sprytnym oszustem, któremu w jakiś sposób uchodzi to płazem. Obawiam się jednak, że ty nie zaliczasz się do żadnej z tych kategorii.

Peter siedział nieruchomo, oczekując wyroku. Pfeifer wydał go przyciszonym tonem, tak aby nie przeszkadzać innym gościom.

- Peter, wysłuchaj uważnie tego, co ci powiem. Chcę, żebyś poszedł teraz do laboratorium i zabrał stamtąd wszystkie swoje rzeczy. I dobrze się upewnij, że wszystko, co weźmiesz, rzeczywiście należy do ciebie. Masz zniknąć z moich oczu przed upływem dnia. Masz godzinę czasu na złożenie swojej rezygnacji, którą dziekan przyjmie z żalem jeszcze dzisiaj po południu. Nie mogę wypędzić cię z miasta. Radzę ci jednak trzymać się z daleka od bostońskiego towarzystwa lekarskiego - powiedzmy do końca życia.

Peter poczuł się jak kawałek drewna, twardego i suchego. Całkowicie martwego. Musiał się zmusić do oddychania.

- Czy... zostanie to w jakiś sposób... ogłoszone publicznie? - zapytał w końcu.

Pfeifer uśmiechnął się cierpko. Z nie ukrywaną pogardą odpowiedział: - Gdybyśmy pozwolili, aby dotarło to do prasy, odbiłoby się to niekorzystnie na reputacji Harvardu. A poza tym wolimy nie myć brudnych probówek publicznie.

- A co... z moim artykułem?

- Zostanie opublikowany w odpowiednim czasie. W końcu, nawet mimo pewnych niedociągnięć jest to ważna praca. I nie się nie martw, przyznamy ci twoje zasługi. Z łatwością znajdę dwóch kolegów, którzy zgodzą się odegrać rolę mitycznego Charpentiera i van Steena.

Powstał, podczas gdy Peter nadal siedział przygwożdżony do krzesła.

- Do widzenia, Wyman. Życzę powodzenia w nowym zawodzie.

Rozdział XXXVI

Fakt, że w 1969 roku Greta Andersen i Peter Wyman stracili posady z diametralnie różnych powodów, potwierdzał tylko paradoksalną naturę tego zawodu. Podczas gdy kobieta chirurg usiłowała powoływać się na etykę zawodową, Peter otwarcie się jej sprzeniewierzał. Obojga jednak spotkał ten sam koniec.

Naturalnie Greta miała tę istotną przewagę, że była stroną pokrzywdzoną. Postawa jej odpowiadała więc tej części amerykańskiej społeczności medycznej, która uważała, że dyplom medycyny nie upoważniał nikogo do przekraczania ogólnie przyjętych norm moralności.

Waszyngtońskie władze medyczne mogły więc ogłosić ją mianem “persona non Greta” (jak to określiła żartem w rozmowie telefonicznej z Laurą), ale nie były w stanie wymazać jej nieskazitelnej przeszłości. Nikt nie mógł zmienić jej znakomitych ocen z zajęć teoretycznych i klinicznych w Szkole Medycznej ani też odebrać jej entuzjastycznych pochwał, jakie potem uzyskiwała za swoją pracę w szpitalu.

Przyjęto ją zatem na oddział chirurgiczny w klinice w Houston, gdzie prowadzono w tym czasie jeden z najbardziej fascynujących programów w dziedzinie chirurgii - operacyjne leczenie i przeszczepy ludzkich serc.

Peter nie uważał wcale, że zachował się nieuczciwie. Jego zdaniem, był to praktyczny zabieg i wierzył obłudnie, że historia dowiedzie jeszcze, że miał rację. Ta diabelska biurokratyczna maszyna do zatwierdzania naukowych dowodów była po prostu stratą cennego czasu.

Mimo teczki liczącej dwadzieścia publikacji, listów od swoich profesorów ze studiów doktoranckich z MIT, a nawet notatki od samego profesora Pfeifera, w której stwierdzał, że “Wyman ma solidny mózg naukowca”, Peter szybko zorientował się, że trudno mu będzie znaleźć następną akademicką posadę.

Nie było to zresztą dla niego żadną niespodzianką. Wiedział dobrze, że temu, co się napisało w liście, można szybko zaprzeczyć przez telefon. Pfeifer usiłując wybielić Harvard, najwidoczniej oczerniał jego.

Rozglądał się zatem po prywatnym sektorze w poszukiwaniu laboratorium, które by go przyjęło. Dale Woodburn i Art Nagra, dwaj niedawni absolwenci uniwersytetu w Stanford, założyli prywatny biochemiczny instytut naukowy w Pało Alto.

Obu partnerom podobały się pomysły Petera. Odpowiadały im też jego listy uwierzytelniające, jak również wiszące na ścianach dyplomy. I nawet jeśli nie lubili go osobiście, to jednak na pierwszy rzut oka potrafili wyczuć obiecujący materiał.

Woodburn i Nagra wcześniej podchwycili niepokojące wieści ze świata medycyny. Kolejne badania i czasopisma medyczne dokumentowały bowiem alarmujący fakt, że - jak to ktoś określił - "nawet jeśli penicylina nie jest jeszcze zupełnie martwa, to będzie nią w przyszłej dekadzie".

Liczba chorób wenerycznych wzrosła czterokrotnie w przeciągu zaledwie dziesięciu lat. Inne bakterie zaczęły wykazywać silną odporność na ten cudowny antybiotyk poprzedniej generacji. Tylko w ubiegłym roku siedemdziesiąt pięć tysięcy pacjentów zmarło w wyniku zakażeń nabytych w czasie pobytu w szpitalu. Taka bowiem jest siła naszego wroga - choroby.

- Lauro? Słyszysz mnie?

- Połączenie jest doskonałe, Palmer. Słysząc cię tak, jakbyś był za rogiem. Gdzie jesteś?

- Zapewniam cię, że nie chciałabyś tutaj być - odpowiedział wymijająco. - Dzwonię tylko, żeby się dowiedzieć, co słysząc.

- Wszystko w porządku. Wysłałam do ciebie list.

- To dobrze. Przykro mi, że byłem ostatnio taki nierozmowny, ale - jakby to, powiedzieć - byłem bardzo zajęty. Czy jesteś pewna, że nie masz mi nic do zakomunikowania?

Wiedziała dobrze, do czego zmierza, ale świadomie zignorowała pytanie.

- Palmer, codziennie wstaję o piątej rano. Jadę do szpitala. Potem widuję pacjentów, którzy albo właśnie zapadają na jakieś choroby, albo z nich wychodzą. Wreszcie wracam do domu i idę spać. Jediną ważną rzeczą, jaką mogę ci powiedzieć, jest ta, że proponują mi specjalizację w neonatologii, to znaczy w opiece nad dziećmi od momentu ich narodzin. Zdaje się, że zostałam przyjęta do tego programu.

- To cudownie. Na pewno cieszy cię możliwość pracy z dziećmi.

- Owszem, to bardzo zajmujące. Choć czasami może człowiekowi serce pęknąć.

- No tak, rozumiem. A tak przy okazji, skoro już o tym mówimy, zastanawiałem się właśnie...

- Nie, Palmer - odpowiedziała cicho. - Nie jestem.

- O!

- Mówiłam ci, że to nie działa automatycznie za pierwszym razem. Nie mieliśmy szans.

Głos Palmera zabrzmiał nagle bardziej oficjalnie.

- No cóż, nie powinienem właściwie zajmować tak długo linii. Nie ma ich tu za wiele i w związku z tym jest mnóstwo oczekujących w kolejce...

- Palmer, przyrzeknij mi, że będziesz pisać, choćby tylko po to, żeby mi powiedzieć, że jesteś bezpieczny. W przeciwnym razie będę miała wrażenie, że poślubiłam jednostronną skrzynkę pocztową.

- Zawsze jesteś w moich myślach, Lauro. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

- A ty w moich.

Laura czuła się jeszcze bardziej zagubiona niż kiedykolwiek przedtem. Obwiniła się nawet za to, że nie zaszła w ciążę. Być może prawdziwym zamiarem Palmera rzeczywiście była konsolidacja ich związku? Chciała, żeby kochał ją tak, jak wiele lat temu.

- No cóż, na tym chyba zakończę. Do widzenia.

- Tak, naturalnie. Do widzenia.

Zapowiedzi nowości książkowych,

“Tygodnik Wydawniczy”, 6marca 1970

*“Psychika mistrzów świata” - spojrzenie psychiatry na wielkich sportowców.
Doktor Barney Livingston, Berkeley House, \$7,95.*

Praktykujący psychiatra analizuje psychikę mistrzów w różnych dyscyplinach sportowych, począwszy od mistrzów olimpijskich po mistrzów boks i baseballu. Książka obejmuje ogromną liczbę, badań i wywiadów wykorzystanych tu w celu zidentyfikowania czynnika, który odróżnia wyjątkowego sportowca od przeciętnego amatora.

Każdy z dwunastu rozdziałów skupia się na pojedynczej postaci. Jest tu na przykład Jesse Owens (“Dlaczego Jesse biega”), Sandy Koufax (“Leworęczna kukła”) lub doktor Roger Bannister (“Cztery minuty fizjologii”).

Doktor Livingston demonstruje prowokacyjne obserwacje, twierdząc na przykład, że dla niektórych biegaczy wyścigi są ponownym odgrywaniem w wyobraźni rywalizacji pomiędzy rodzeństwem z czasów dzieciństwa.

Ta jasna i pozbawiona zawodowego żargonu praca powinna przypaść do gustu legionom sportowych kibiców, jak również tym, którzy interesują się motywacjami człowieka.

Pierwsza wzmianka w "Ilustrowanym Magazynie Sportowym" (z 20 kwietnia).

Bill Chaplin tak się podniecił pierwszą wzmianką w tej biblii pojawiających się w handlu książek, że zdołał przekonać swoich kolegów, aby zwiększyli pierwsze wydanie książki z dziesięciu tysięcy egzemplarzy do piętnastu.

Zgodzili się również na subwencję selektywnego tournée i zorganizowanie autorskiego wieczoru dla autora książki, która mogła okazać się jeszcze bestsellerem roku. Zdziwił się przeto, widząc, że Barney wcale nie skacze z radości.

- Bill, ile razy mam ci powtarzać, że ja pracuję dla Zygmunta Freuda, a nie P.T. Barnuma? Nie chcę, żeby mnie lansowano jak jakiś nowy rodzaj środków do prania. Napisałem poważną książkę i chcę, żeby ją traktowano poważnie.

- Barney, ale chcesz chyba, żeby ją czytano, prawda? Musimy zatem powiedzieć o tym światu. Proponujemy ci tylko, żebyś pojawił się raz czy dwa razy w telewizji i pojechał do Waszyngtonu i Bostonu.

Barney przerwał mu. - Na litość boską, Bill, ja jestem psychiatrą. Moi pacjenci i tak nie mają już pojęcia, jak mnie traktować, a co dopiero jeśli będą musieli oglądać moją facjatę przy porannej jajecznicy w domu.

Chaplin westchnął zniecierpliwiony. - Czy pozwolisz nam wobec tego wylansować tę książkę za pomocą dystyngowanego przyjęcia w St. Regis i paru wywiadów z ważnymi - słyszysz? - powtarzam: ważnymi dziennikarzami?

- Niby dlaczego mieliby ochotę na spotkanie kogoś tak mało znanego jak ja?

- No właśnie - odpowiedział Bill. - To było moje największe dzisiejsze natchnienie. Zorganizujemy przyjęcie nie tylko z okazji wydania twojej książki, ale i na cześć ludzi, którzy w niej występują. Czyż to nie będzie cudowne - zgromadzenie tych żywych legend w jednym pokoju?

Barney był zainteresowany tym pomysłem, bał się jednak, czy nie da się przez to zagonić w kozi róg.

Zasłonił dłonią słuchawkę i zwrócił się do Emily: - Bill chce, żeby...

- Wiem. Mówił tak głośno, że słyszałam każde jego słowo.

- Co o tym sądzisz, Em?

- Sądzę, że on ma rację. Musisz pozyskać sobie zainteresowanie prasy. Upewnij się tylko, że będziesz miał prawo weta przed ukazaniem się ich publikacji.

Barney wrócił do rozmowy. - W porządku, Bill. Mój duchowy doradca zdołał mnie przekonać, że ty wiesz najlepiej, co teraz trzeba robić. Tylko upewnij się, żebym miał możliwość kontrolowania tego wszystkiego. I utrzymaj to w dobrym tonie. To znaczy, nie obiecuj ekskluzywnych wywiadów magazynom porno.

- Zostaw to już mnie - odpowiedział z wdzięcznością Bill.

Barney odłożył słuchawkę i spojrzał na Emily. - To dobre wieści, co?

- Powiedziałabym nawet, że fantastyczne. Dlaczego wobec tego wcale się nie cieszysz?

Ależ cieszę się - pomyślał sobie Barney. Wiem jednak, z jakiego powodu nie jestem w stanie właściwie obchodzić tej okazji.

Kiedy wprowadziła się do niego, obiecywał nie podejmować tego tematu, jednak nie mógł się powstrzymać. Czasem więc, gdy biegali razem w parku, wskazywał na dzieci bawiące się balonikami lub matki wożące niemowlęta i mówił: - Pewnego dnia też będziemy mieć coś takiego, a wówczas będziesz musiała wyjść za mnie za mąż.

Emily zawsze jednak odpowiadała w taki sam sposób: - Bądźmy szczęśliwi, że jest tak, jak jest, Barney. Cieszymy się tym, dopóki to możliwe.

Powtarzała to zdanie niczym litanie, toteż Barney zaczął się w końcu zastanawiać, co ona, u diabła, miała na myśli. Czy chodziło jej o to, żeby korzystać z życia przed podjęciem odpowiedzialności za dzieci? Czy też miała tu na myśli: tak długo, dopóki dane im będzie być razem? Ale dlaczego?

Ulica Tu-doh w Sajgonie znana była większości GI pod nazwą ulicy Rozkoszy. Jej różnorodne atrakcje, oświetlone jaskraworóżowymi i niebieskimi neonami, obiecywały spełnienie wszystkich, nawet najbardziej wybujałych zmysłowych pragnień, jakie musiał tłamsić w sobie zamknięty dotąd w klasztorze mnich.

I tak oto kapitan Hank Dwyer, doktor medycyny, miał wrażenie, że znalazł się w zmysłowym Disneylandzie, którego cuda nigdy nie bladły. Powracał też do tego cielesnego raju przy każdej okazji.

Dziewczyny były tam takie piękne - delikatne niczym figurki zkości słoniowej. Ich cudowne ręce potrafiły wzbudzić w mężczyźnie pożądanie za jednym dotknięciem.

To prawda, że przyjmowały pieniądze za swoje towarzystwo, ale w zamian oferowały coś więcej aniżeli tylko fizyczne rozkosze. Zdawały sobie sprawę z tego, że mężczyźni potrzebowali ich nie tylko dla zaspokojenia swego seksualnego pożądania, ale również dla ukojenia własnej samotności. Dodawały im zatem otuchy, dotrzymywały towarzystwa, jak również - nie da się tego inaczej określić - oddawały im wręcz bałwochwalczą cześć.

Mężczyźni mają bowiem ogromne apetyty psychiczne i głód nieustannego zapewniania ich, że nadal są królami i płcią panującą. I czy to po bitwach na Wall Street, czy też po walkach na polach ryżowych w Wietnamie, zawsze wracają wieczorami do domów, żądając, aby ich stawiano na cokołach.

Amerykanów przebywających w południowo-wschodniej Azji martwiły przeto wieści o zmianach zachodzących daleko w domu, w Stanach Zjednoczonych. Chodziły bowiem słuchy, że usuwano im tam spod nóg piedestały.

W tym samym czasie, kiedy oni strzelali tu w Namie, tam w kraju toczyła się innego rodzaju wojna. Z tą tylko różnicą, że zamiast palenia wiosek, tamtejsi kombatanci podpalali tam ich własne medale.

Żołnierze w polu przyjmowali wiadomości o ruchu wyzwolenia kobiet z pewnym niepokojem. Jakże bowiem mogli walczyć o wolność obcego kraju, skoro im samym groził teraz powrót do domów w charakterze niewolników?

Nic też dziwnego, że tutaj, na tej ulicy Rozkoszy, szukali schronienia w ramionach najbardziej urzekających kobiet, jakie kiedykolwiek w życiu widzieli, i łatwo ulegali powabom kruczoczarnych włosów i oczu, czarujących uśmiechów, a przede wszystkim tej nieomal dziecięcej zmysłowości, gdyż większość z nich wyglądała jak nastolatki o pączkujących piersiach we wczesnym okresie rozkwitu.

A ten nektar i ambrozja! Jakim cudem kraj, który poza stolicą był cały skrwawiony, upadły i rozdarty walką, mógł zdobyć się na najlepszą francuską kuchnię i wyborne wino? Być może w niektórych wioskach chłopci przymierali głodem, lecz tutaj, w samym sercu Sajgonu nie brakowało szampana i *pâté de foie gras*. W rzeczy samej nie było w Paryżu niczego, czego nie można było dostać i w Sajgonie - z wyjątkiem może pokoju.

A w odległości zaledwie kilkunastu mil od ulicy Rozkoszy osiemnastoletni żołnierze - chłopcy z farm ze stanów Dakota, Murzyni z miejskich gett, takich jak Chicago i Detroit - padali ranni i ginęli, nigdy właściwie nie rozumiejąc, o co walczą.

A mimo to wielu ich rodaków tam w domu przeklinało ich za to, że byli wierni swemu sztandarowi i umierali za ojczyznę.

Lekarze mogli znosić te makabryczne rany w dwojaki sposób - albo kompletnie znieczulając własne zmysły, albo też nadmiernie im folgując.

Hank Dwyer wybrał tę drugą możliwość. W miarę wzrostu zaciętości walk wzrastała również liczba widywanych przez niego żołnierzy, którym ukryte miny wysadziły w powietrze nogi. Wkrótce tak przesiąkł krwią, że chodził jak odrętwiały. Do życia wracał tylko w ramionach Mai-ling.

Spotkali się na ulicy Rozkoszy w ramach kontaktów handlowych. Wkrótce jednak zaczął przekonywać samego siebie, że te porcelanowe boginie musiały pochodzić z wykształconych rodzin, które rozproszyły się gdzieś po kraju, rozpadły albo po prostu zginęły - i one przychodziły teraz na ulicę Rozkoszy zgłodniałe prawdziwego towarzystwa. Po tygodniu conocnych odwiedzin Hank zdołał namówić Mai-ling, aby zamieszkała z nim razem w klimatyzowanej willi, którą dzielił wraz z dwoma innymi oficerami, którzy również postarali się o "orientalne żony".

Posiadali wręcz wszystkie cechy małej komuny. Jedna z kobiet miała już dziecko, a druga była aktualnie w ciąży. Szybko przekonały nowo przybyłą Mai-ling, że jej więzy z Ameryką zacieśniają się jeszcze bardziej, jeśli zostanie matką dziecka, którego ojcem będzie oficer amerykańskiej armii. Hank przyjął tę wiadomość obojętnie. Gdyby to Cheryl oznajmiła mu tę ważną nowinę, straciłby pewno cierpliwość i żądał, aby przerwała ciążę.

Jednakże tutaj, w południowo-wschodniej Azji, sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej - opieka nad dziećmi uważana była wyłącznie za domenę kobiet. A poza tym Mai-ling rozumiała, że każdy mężczyzna jest z natury poligamiczny, toteż czekała na niego cierpliwie całą noc, aż wróci do niej do domu - z ulicy Rozkoszy.

"Doktor Barney Livingston, urodzony 16 czerwca 1937 roku w Szpitalu King's County w Brooklynie, wylansowany 20 kwietnia 1970 roku w Sali Wersalskiej hotelu St. Regis w Nowym Jorku".

A tymczasem, pomiędzy zapowiedzią w "Tygodniku Wydawniczym" a datą publikacji, Berkeley zorganizował sprzedaż wydania w miękkich okładkach za sumę piętnastu tysięcy dolarów honorarium, którą to kwotę Bill Chaplin uznał za skromną, a która Barniemu wydała się tak zawrotną że przez pół dnia wypisywał ją sobie w notatniku.

W świątecznym nastroju udał się do przymiarki nowego, szytego na miarę garnituru.

Mój Boże! - pomyślał sobie, gdy krawiec mierzył go pod każdym możliwym kątem. On jest jeszcze gorszy od lekarza.

Nie przeoczono niczego. Mistrz krawiecki zapytał go nawet:

- Z której strony pan się ubiera, doktorze Livingston?

Pytanie to zaskoczyło go zupełnie. No, bo niby jak się miał ubierać? Nic zatem nie odpowiedział,

- Przepraszam pana bardzo - zaczął z szacunkiem krawiec - ale nie dosłyszałem odpowiedzi.

- Prawdę rzekłszy, nie zrozumiałem pańskiego pytania.

Krawiec postarał się sformułować je inaczej. - Po której stronie spoczywa pański członek... ?

- Co takiego?

- Pański członek, proszę pana - odpowiedział, wskazując dyskretnie na krocze Barniego. - U większości mężczyzn spoczywa on najczęściej po lewej stronie.

Coś niebywałego! Ten facet chce wiedzieć, po której stronie zwisa mi mój interes!

- Niech będzie po lewej - odpowiedział Barney, wybierając statystycznie najczęstszy układ.

- Mój Boże, jak ty świetnie w tym wyglądasz! - wykrzyknęła Emily z entuzjazmem. - Muszę dobrze uważać na tym przyjęciu, żeby któraś z tych kobiet z miejsca cię nie uwiodła.

Wziął ją w ramiona i powiedział: - Słuchaj, dzieciaku, gdy ty jesteś ze mną w pokoju, to nawet Rachel Welch nie robi na mnie wrażenia.

- Czy nowa "przyjaciółka roku" Billa też tam będzie?

- Owszem - odpowiedział Barney z uśmiechem. - Jego asystentka poczyniła już wszystkie przygotowania.

- Mogę się założyć, że to bomba.

Barney westchnął. - Och, Em! Wiesz przecież, że pragnę żyć w monogamii. Tak bardzo chciałbym złapać cię wreszcie za lewą rękę i wcisnąć ci na palec pierścionelek.

Nie uspokoiło to jej jednak. Dobrze wiedziała, że niektórzy mężczyźni, kiedy tylko staną w świetle reflektorów, zaczynają miewać lubieżne myśli.

- No a ta złotowłosa bogini lekarzy?

- Kto? Mówisz o Laurze?

- Wreszcie spotkam to niebiańskie stworzenie. A może to ktoś, kogo wysłałeś sobie z palca tylko po to, żeby wzbudzić we mnie zazdrość?

- Pewny jestem, że nie będzie miała na to czasu - odpowiedział niedbale Barney. - Powiedziałem jednak Billowi, żeby wysłał jej zaproszenie. Pragnąłem jej dać do zrozumienia, że chciałbym, żeby tutaj była.

Dwadzieścia minut później stali w recepcji St. Regis. Estelle, Warren i jego żona Bunny (w bardzo zaawansowanej ciąży) czekali tam na nich w nerwowym podnieceniu.

- Dlaczego nie poszliście na górę? - zapytał Barney wesoło. - Tym, co przychodzą najwcześniej, dostają się najlepsze zakąski.

Uścisnął matkę, która tego ranka przyleciała z Florydy.

- Dziękuję ci, że przyleciałaś.

- Och, Barney! Czy sądzisz, że mogłabym przeoczyć tak wielką okazję? Byłam przecież kiedyś bibliotekarką, pamiętasz? Według mnie napisanie książki jest największym osiągnięciem człowieka.

Warren robił, co mógł, aby ukryć ukłucie zazdrości.

- Chodźcie, zobaczmy, co tam za przysmaki podaje dziś Berkeley House na cześć naszego autora. Jeśli nie będą odpowiednie, to jutro wytoczę im proces.

Bynajmniej nie byli pierwszymi gośćmi. Większość sportowców już tam przybyła. Z zapytaniem z podniecenia oddechem Barney przedstawiał matkę, brata, bratową i Emilię nieśmiertelnym ze sportowego panteonu.

- Ten Rafer Johnson jest najprzystojniejszym mężczyzną jakiego kiedykolwiek w życiu widziałam - szepnęła Estelle do Barniego.

Wreszcie dla dopełnienia składu pojawili się przedstawiciele innej wagi ciężkiej - bohaterowie prasy.

W połowie przyjęcia pojawił się nagle nieoczekiwany gość.

Emily od razu wiedziała, że była nim Laura Castellano.

Ubrana była jedynie w prosty ciemnogrnatowy kostium, pozbawiony jakichkolwiek ozdób, z wyjątkiem jej złotych włosów, a mimo to uroda lekarki zapierała dech w piersiach.

Obie kobiety powiedziały niemal jednocześnie: - Tyle o pani słyszałam...

- Cieszę się, że mogła pani przyjechać - powiedziała Emily. - Wyobrażam sobie, jaka pani jest zajęta.

- Za nic w świecie nie chciałabym tego przeoczyć. Barney jest moim najdroższym przyjacielem. A poza tym uważam, że *Psychika mistrzów świata* jest rzeczywiście wspaniała.

- Ja również - stwierdziła Emily. - Jeśli podobał się pani ten kawałek, który streściliśmy w "Magazynie Sportowym", to z pewnością oszaleje pani na punkcie całej książki.

- Już ją przeczytałam. Barney wysyłał mi kopie kolejnych rozdziałów maszynopisu.

Potwierdziły się najgorsze przeczucia Emily. Od początku wyczuła, że najgłębsze uczucia Barniego ślubowane były tej na poły legendarnej Laurze, choćby nie wiadomo jak protestował, że przyjaźń ich była jedynie platoniczna.

Nie była w stanie podtrzymać dalej rozmowy. Wyśledziwszy w tłumie współredaktora swego czasopisma, przeprosiła wszystkich i pospiesznie odeszła.

- Czyż to nie wspaniale? - odezwał się nagle ktoś z tyłu. Laura odwróciła się i ujrzała tam przystojnego i jak zawsze nienagannie eleganckiego Bennetta Landsmanna.

- Ben! - wykrzyknęła, kiedy obejmowali się entuzjastycznie.

- Jak się masz?

- Wiesz przecież, jaka jest na to odpowiedź - odparł z uśmiechem. - A jak może się czuć młodszy asystent? Jest albo na wpół martwy, albo na wpół żywy. Na szczęście dzisiaj wyjątkowo jestem na wpół zalany.

- Co zatem sądzisz o sukcesie naszego wspólnego kolegi?

- Oboje wiemy, że dobrze sobie na to zasłużył - odpowiedział Bennett. - A co sądzisz o Emily? Ma szczęście, co?

- Sądzę, że jest cudowna - odpowiedziała Laura. - Nie miałyśmy jednak jeszcze okazji, żeby ze sobą dłużej porozmawiać. Ona jest jak żywy ogień. Czy sądzisz, że są szczęśliwi?

- Wiem, że Barney jest w niej zakochany - odpowiedział Bennett. - Nawet chce się z nią żenić, ale z powodów, które moglibyśmy określić tylko jako skrytopłciowe, ona mu ciągle odmawia. Barney zdecydował, że będą nadal współmieszkańcami, wierząc, że zdołają kiedyś złamać.

- Słuchaj, Landsmann - zażartowała Laura. - Nie chcę cię urazić, ale nie przyleciałam tu aż z Bostonu tylko na koleżeński zjazd. Chcę zobaczyć te gwiazdy. Gdzie jest ten Jackie Robinson?

Bennett wskazał palcem. - Widzisz ten tłum po drugiej stronie sali? On siedzi poza nimi. Sam jeszcze go nie widziałem, sądzę więc, że najlepiej będzie, jak poproszę naszego honorowego chłopca, żeby go nam przedstawił.

- Wspaniale. Zaczynij się więc przeciskać, a ja pójde za tobą.

- I poszli.

Bill Chaplin był wniebowzięty. Przyjęcie przekroczyło jego najśmielsze oczekiwania. Mój Boże! Zobaczyć na własne oczy, jak Jesse Owens rozmawia z Rogerem Bannisterem (który przyleciał tu specjalnie z tej okazji) oraz jak Joe Louis i Muhammad Ali przybierają wojownicze pozy przed kamerami. Ach, cóż to byłaby za walka, gdyby tak Brown Bomber w sile wieku stanął przeciwko tym największym sławom!

Bill poprosił Bannistera, obecnie praktykującego neurologa z Londynu, aby wznosił toast.

Bannister powiedział krótko i zwięźle: - Ponieważ oba doświadczenia nie są mi obce, mogę spokojnie stwierdzić, że cztery godziny rozmowy z doktorem Livingstonem były o wiele bardziej stymulujące niż cztery minuty na bieżni. Uważam, że Barniemu należą się gratulacje za jego wyobraźnię i wnikliwość, dzięki którym dowiódł, że sportowcy mają nie tylko ciała, ale i dusze.

Rozległy się pełne uznania oklaski i kiedy obaj lekarze ściskali sobie dłonie przed kamerami, Muhammad Ali wykrzyknął: - Hej, doktorze, zapomniał pan o mnie! Spośród was wszystkich ja mam tu największą duszę!

Barney spojrział na Estellę i Warrena. Brat robił wrażenie, jakby za chwilę miał pęknąć z dumy. Matka ocierała oczy chusteczką. I nagle pomyślał: O Boże, szkoda, że nie ma tu taty!

- Mam wszystkie autografy.

- Och, Bunny, daj spokój. To już niemożliwe - żartował Warren.

- Oni tak wcale nie myśleli. Ali napisał mi nawet na serwetce wierszyk.

Barney zaprosił potem małą grupę (wyłącznie drużynę "domową") do siebie do mieszkania na kanapki i szampana.

- Hej, Bunny, to cudownie - odpowiedziała Laura, kiedy Warren napełniał jej kieliszek. - Przeczytaj go nam.

Bunny wyciągnęła z kieszeni papierową serwetkę. - Jest bardzo krótki, ale typowy dla Atego:

*Może i weszła gwiazda Livingstona,
Ale Atego i tak nie pokona.*

Roześmiali się z uznaniem.

- Dobrze to schowaj, Bunny. Pewnego dnia będzie to bardzo cenne - poradził jej Barney.

- Zrobię coś lepszego - odpowiedziała uradowana. - Oprawię to w ramki!

Emily wniosła olbrzymią tacę najlepszych kanapek na zimno, jakie były w stanie zaoferować delikatesy Carnegie. Wszyscy zaczęli jeść i popijać szampana, jak gdyby był to odżywczy wywar z selerów.

- Słuchaj, Barney - zapytała Laura odrobinę podchmielona - a tak między nami, kto twoim zdaniem był najbardziej frapującym facetem spośród tych wszystkich, o których pisałeś?

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odpowiedział jeszcze bardziej zawiany niż ona. - Mogę ci powiedzieć tylko jedno. Gdybym miał się z kimś umówić na obiad - tu przerwał dla uzyskania dramatycznego efektu - byłyby to bez wątpienia Emily.

Podbite towarzystwo przyjęło to oklaskami.

- No więc, kiedy wesele, Barney? - zawołała Bunny.

Barney był zbyt pijany, aby zdobyć się na natychmiastową odpowiedź. Emily odpowiedziała za niego.

- Obiecuję ci, Bunny, że powiadomię cię o tym pierwszą - zapewniła z udaną wesołością.

- O nie! - zaprotestował Barney. - Najpierw mnie musisz o tym powiadomić!

Tuż po dziesiątej Laura się podniosła.

- Nie chcę wam psuć zabawy, ale muszę złapać ostatni samolot do Bostonu.

Bennett powstał również. - Ja też sądzę, że młodzi chirurdzy powinni już o tej porze kłaść się spać. Lauro, czy mógłbym cię może podrzucić? La Guardia jest po drodze do Yale.

- To świetnie, Ben. Opowiesz mi po drodze, co tam u ciebie słychać.

Oboje odbyli pożegnalną rundę. Podchodząc do Barniego, Laura szepnęła mu w ucho: - Emily jest naprawdę wspaniała. Nie pozwól, żeby ci przeszła koło nosa.

- Nie pozwolę - odszepnął jej. Odprowadził Laurę i Bennetta do drzwi. Kiedy wrócił do pokoju, Warren wkładał marynarkę.

- Nie wiem jak wy - zażartował - aleja muszę pracować na życie. Bunny odwozi rano dzieci do szkoły, a mama też już wygląda na zmęczoną. Pławcie się zatem sami w blasku własnej chwały.

Potem odwrócił się do Emily i powiedział: - Powiedz temu mojemu bratu, żeby przyszedł do nas kiedyś w niedzielę na obiad, dobrze? On jest taki nieodpowiedzialny.

W końcu zostali sami.

- No cóż - powiedział rozpromieniony Barney. - Jak ci się podobał ten wieczór?

- Sądzę, że ona jest cudowna.

- Co takiego?

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że Laura jest taka piękna?

- Ponieważ wcale taka nie jest - odpowiedział szczerze. - W porównaniu z tobą...

- Nie opowiadaj. W porównaniu z nią jestem niczym. Będę z tobą szczerą, Barney. Już sama rozmowa z nią potwornie mnie onieśmiela.

- Ależ dlaczego? Ona jest przecież panią Talbot. A poza tym jesteście tylko...

- Nie zajeżdżaj mi tu znowu z "platonyczną" przyjaźnią. Dlaczego nie przyznasz się do tego, że łączą was jakieś specjalne więzy? Wysyłałeś jej w końcu kopie rozdziałów swojej książki.

- No, bo ona jest lekarzem, a do tego kibicem sportowym. Cóż ja mogę powiedzieć, żeby cię uspokoić, Emily?

- Nic. To niemożliwe.

- Wobec tego wyjdź za mnie za mąż, a ja ci obiecuję, że nigdy nie odezwę się już do Laury Castellano ani słowem. Nawet nie zaproszę jej na nasze wesele.

- Och, Barney - jęknęła ze znużeniem. - Nie zaczynaj już tego od nowa.

- W porządku - odpowiedział stanowczo. - Wyjaśnijmy to sobie zatem raz na zawsze. Dlaczego właściwie nie chcesz wyjść za mnie za mąż? Co cię, u diabła, wstrzymuje?

Emily rozplakała się. - Wiedziałałam, wiedziałałam, że do tego dojdzie.

- Na miłość boską, do czego? - Zdecydował, że tym razem nie pozwoli się jej wykręcić od odpowiedzi.

- Znam cię, Barney. Przypuszczalnie lepiej niż ty znasz samego siebie. Tobie nie zależy jedynie na żonie. Ty chcesz mieć rodzinę.

- No i co z tego? Jeśli mężczyzna i kobieta kochają się, to chyba naturalne.

Emily powiedziała nagle: - Barney, ja nie mogę mieć dzieci. Nastąpiła krótka cisza.

- Skąd wiesz? - zapytał stłumionym głosem.

- Kiedy byłam w szkole średniej, miałam pewne kłopoty, więc zrobiono mi laparoskopię. Spojrzeli do środka i stwierdzili, że mam zupełnie zablokowane jajowody. I uprzedzając twoje pytanie, powiem ci od razu, że nie da się tego operacyjnie usunąć.

Barneyowi trudno było w tym momencie określić własne odczucia. Wiedział tylko, co jej na to odpowiedzieć. Uklęknął przy jej krześle i szepnął:

- Emily, przecież ja kocham cię, a nie jakieś tam dziecko, którego nigdy nie znałem.

- Słuchaj, Barney. Żyłam z tobą i wiem, że przede wszystkim pragniesz zostać ojcem. - Zniosła się szlochom i ostatnie jej słowa były prawie niedosłyszalne. - A ja nie mogę ci w tym pomóc.

- Em, uwierz mi - błagał Barney. - To nie ma znaczenia. Przecież zawsze będziemy mogli zaadoptować.

- Pewnego dnia znienawidzisz mnie za to - odpowiedziała z odrobiną gniewu w głosie. - Nie mam wątpliwości, że zachowałbyś się "szlachetnie". Wiem, że nie zostawiłbyś mnie, tylko cierpiałbyś w milczeniu z powodu tego, że nie masz własnych dzieci.

Oboje umilkli.

W pewnym sensie Emily miała rację. Cierpienia Barniego już się rozpoczęły.

- Nie opuścisz mnie jednak, prawda, Em? - błagał cicho.

- Nie, Barney. Zostanę tu tak długo, dopóki mnie stąd sam nie wykopiesz.

Przynajmniej będę miał jeszcze jedną okazję, żeby z nią porozmawiać. I z sobą samym także - pomyślał.

Jak zwykle coroczne spotkanie Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrów było jedną wielką mieszaniną kłótni, awantur i wyjątkowo częstych przejawów antyspołecznego zachowania. (Było to w końcu ich specjalnością.)

Na sesji poświęconej analizie literackiej Barney wygłosił referat na temat: *Moby Dick i amerykańska psyche*, który spotkał się z ciepłym przyjęciem. Poproszono go nawet o wzięcie udziału w komisji wydawniczej pisma Stowarzyszenia.

Nie była to jednak radość niczym nie zmacona, ku jego osłupieniu bowiem na ostatniej sesji plenarnej przyznano nagrodę za najwybitniejsze osiągnięcia w psychiatrii młodocianych - słynnemu Himmermanowi. No i co z tego, że ten facet napisał wyśmienitą monografię? Jak można było dopuścić do tego, aby Stowarzyszenie, którego naczelnym zadaniem było prostowanie ludzkich umysłów, honorowało w ten sposób kogoś, kto w taki sposób sprzeniewierzył się ich własnym zasadom etycznym?

Może wszystko sprowadza się tu do polityki - pomyślał sobie Barney. Ale jeśli kiedykolwiek stanę twarzą w twarz z tym rozpustnikiem, to powiem mu otwarcie, co o nim myślę.

Jednakże los miewa swoje kaprysy. Jeśli w męskiej toalecie, liczącej dwadzieścia, pięćdziesiąt czy nawet więcej pisuarów, znajduje się tylko dwóch panów, to niechybnie staną obok siebie.

I tak oto o czwartej trzydziści osiem po południu Barney Livingston natknął się na Andy'ego Himmermana.

- Bardzo podobał mi się pański referat, doktorze Livingston - stwierdził starszy psychiatra.

Barney zignorował go.

- Uważam, że trafił pan w samo sedno - ciągnął dalej przyjaźnie Himmerman. - Mam nadzieję, że opublikuje to pan w naszym czasopiśmie.

Barney spieszył się jak mógł, żeby uciec przed tą nieprzyjemną sytuacją. Himmerman nie wiedział, o co chodzi. - Czy uraziłem może pana w jakiś sposób, doktorze? - zapytał grzecznie.

- Nie - odpowiedział w końcu Barney. - Ale z pewnością nieźle załatwił pan moją przyjaciółkę.

- Och! - odpowiedział spokojnie psychiatra. - A kto to taki?

- Przykro mi - odpowiedział sardonicznie Barney. - Zapomniałem, że miał ich pan w życiu tak wiele, że mógł pan stracić rachubę. W tym wypadku miałem jednak na myśli doktor Gretę Andersen.

- O Jezu! - jęknął Himmerman.

Myli teraz ręce, tym razem jednak oddzieleni od siebie szerokością trzech umywalek.

- Chciałbym jasno postawić tę sprawę, doktorze Livingston.

Barney postanowił nie odpowiadać.

- Może mi pan nie wierzyć - upierał się Himmerman - ale ja nigdy nie tknąłem tej dziewczyny. Nie zaprzeczam, że parę lat temu zachowałem się niewłaściwie, ale...

Barney przerwał mu cytatem z Marlowe'a: - "Ale to było w innym kraju, a poza tym ta dziewczyna już nie żyje".

Himmerman zbladł. Kiedy w końcu zdobył się na odpowiedź, nie było wątpliwości, że miał kłopoty z doborem odpowiednich słów.

- Nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo cięży nade mną śmierć tamtej dziewczyny. Moje małżeństwo jest w rozsypce, a moja żona dostaje paranoi za każdym razem, kiedy rozmawiam z atrakcyjną kobietą. Zaręczam panu, że nie sypiam spokojnie.

- Mam wrażenie, że spało się panu całkiem dobrze z Gretą.

- Ależ nie! Nigdy! Nie miałem z tą dziewczyną nic wspólnego. Ona jest kompletną histeryczką. Wyssała sobie to wszystko z palca.

- Doktorze Himmerman - odpowiedział Barney, usiłując zachować panowanie nad sobą dla zademonstrowania własnej równowagi psychicznej. - Widziałem was oboje na zdjęciu. Miał pan na sobie szorty od tenisa, a ona bardzo skąpe bikini. Trzymaliście się w objęciach. Eastman Kodak nie sprzedaje jeszcze bajek na filmach.

- O nie! - mruknął półgłosem Himmerman. A potem zapytał z gniewem: - A czy przyjrzał się pan tej fotografii uważnie?

- Może nie pod mikroskopem, ale rzuciłem na nią okiem.

- A zatem powinien pan zauważyć, że to ona mnie obejmowała, a nie odwrotnie.

- Czy zaprzecza pan zatem, że umówił się pan z Gretą na weekend w Hiltonie?

- Doktorze Livingston, czy uwierzyłby mi pan, gdybym panu powiedział, że nie była to żadna schadzka, że ta dziewczyna wybrała się tam sama i, o ile mi wiadomo, jest nadal dziewicą?

- To byłoby raczej trudne - przyznał Barney.

- No cóż, pozwoli pan zatem, że panu przytoczę pewne niepodważalne fakty - upierał się ze wzrastającym gniewem w głosie. - Konwencja Stowarzyszenia Psychiatrów Południowych Stanów odbywała się w hotelu Hilton z soboty na niedzielę siedemnastego i osiemnastego kwietnia 1966 roku. Byłem wówczas jej przewodniczącym. Czy sądzi pan, że byłbym na tyle głupi, żeby zabierać na oś takiego własną pacjentkę?

Barney nadal powstrzymywał się od wydawania osądu.

Himmerman ciągnął dalej: - W trakcie przerwy obiadowej zszedłem na dół na basen i ni stąd, ni zowąd wyskoczyło zza krzaków to rozhisteryzowane stworzenie i rzuciło mi się na szyję. Namówiła jednego z ratowników, żeby zrobił nam zdjęcie. Powiedziałem jej wówczas od razu, że jest to koniec naszych zawodowych stosunków i żeby w poniedziałek nie pokazywała się u mnie na konsultacji.

Przerwał, wzdychając ciężko na samo wspomnienie tego niefortunnego incydentu. A potem zapytał: - Czy pańskim zdaniem brzmi to prawdopodobnie, doktorze Livingston?

- Owszem - przyznał Barney. - Dlaczego jednak zażył pan te pigułki?

Himmerman spuścił głowę. - Usiłuję być z panem brutalnie szczery. To nie jest takie proste, doktorze.

- Wiem o tym - przyznał ze zrozumieniem Barney.

- Problem tej dziewczyny polega na tym - mówię to teraz panu w zaufaniu, jak lekarz lekarzowi - że ona śmiertelnie boi się mężczyzn. To klasyczna historyczka. Najpierw podnieca ich, a potem ucieka przerażona.

Przerwał i po chwili ciągnął dalej: - Przypuszczam, i mam nadzieję, że nie wyda się to panu tylko wygodnym tłumaczeniem, że było to typowe przeniesienie i że ona przerażała się w końcu własnych uczuć do mnie. Jedynym sposobem ucieczki stało się dla niej zdyskredytowanie mnie jako obiektu miłości. Do tej pory nie mam pojęcia, jak to zrobiła, ale jakimś cudem zdołała przejrzeć moje akta w kartotekach Stowarzyszenia. Do tego momentu wszystko trzymano w tajemnicy, także przed prasą. Musiałem przysiąc wtedy w Komitecie Etycznym, że poddam się jeszcze raz terapii. Tylko pod tym warunkiem moja żona zgodziła się pozostać ze mną. A tu nagle pojawiła się w moim życiu ta wyjątkowo chora kobieta, która zagroziła mi, że zwoła konferencję prasową i ogłosi publicznie, że była jedną z wielu moich seksualnych ofiar.

Spojrzał Barniemu w oczy i zapytał cicho: - Gdyby przytrafiło się to panu, gdyby tak pańska kariera, małżeństwo, wszystko - miało pójść nagle z dymem przez czyjeś kłamstwo, to nie sądzi pan, że mógłby pan na chwilę stracić panowanie nad sobą...?

Załamał mu się głos.

- Owszem - przyznał Barney cicho, teraz bowiem uwierzył temu człowiekowi. - Przypuszczam, że tak. Przepraszam pana, doktorze Himmerman.

Rozdział XXXVII

Śmierć zebrała obfite żniwo w 1972 roku.

Odeszli wówczas książęta, prezydenci i poeci, wytwórcy lodów i sportowcy, zostawiając za sobą o tyleż uboższy świat.

Ezra Pound - geniusz, zdrajca i szaleniec - umarł, pozostawiając według własnych słów: "nieśmiertelną ozdobę, imię, którego nie zatrze czas".

Charles Atlas, który rozpoczął karierę jako czterdziestopięciokilogramowy słabeusz, a potem został uosobieniem muskularności i natchnieniem dla wszystkich młodych chłopców, nie potrafił przepędzić podstępnej śmierci, kiedy sypnęła mu piaskiem w oczy. Bohater, który niegdyś podtrzymywał na swoich ramionach cały świat, musiał go teraz opuścić.

Harry Truman, ten waleczny prezydent (który niegdyś odgrażał się, że pobije każdego, kto ośmieli się skrytykować śpiew jego córki), również przegrał swoją ostatnią potyczkę o życie.

Maurice Chevalier - ten typowo galijski szarmant, choć może nie tak rycerski jak wskazywałoby na to jego nazwisko (zabawiał bowiem swojego czasu hitlerowskich żołnierzy), odszedł, Bóg jeden wie gdzie.

Książę Windsor, który zrzekł się prawa do tronu, aby zostać niewolnikiem miłości, musiał tym razem abdykować, oddając życie.

Istota, której moc przewyższała nawet władzę J. Edgara Hoovera, podłączyła się do linii telefonicznej szefa FBI, aby powiadomić go, że na niego również nadszedł już czas.

Howard Johnson, wynalazca lodów z owocami i bitą śmietaną, także zakończył życie tego roku, odprowadzony do nieba przez chór złożony aż z dwudziestu ośmiu głosów.

Kostucha porwała też przedwcześnie Jacka Robinsona, liczącego sobie zaledwie pięćdziesiąt trzy lata.

Jeszcze młodszy od niego byli żołnierze walczący w Wietnamie. Liczba śmiertelnych ofiar pośród nich zbliżała się już do pięćdziesięciu tysięcy. Być może zatem nie przez przypadek wstrzymano wówczas druk magazynu "Life".

Barney długo nie mógł wyleczyć się ze swoich ran, nawet jeśli były one jedynie metaforyczne.

Prognozy "Tygodnika Wydawniczego" pozwoliły spodziewać się, że *Psychika mistrzów świata* spotka się z co najmniej ciepłym przyjęciem krytyków.

Reakcje te jednak nigdy nie nastąpiły. Nie ukazały się żadne pochwały, nie było też żadnej krytyki. Książkę spotkał najgorszy z możliwych losów - została po prostu zupełnie zignorowana.

- Bill, powiedz mi to bez żadnych ogródek - domagał się Barney po trzech miesiącach od jej ukazania się. - Czy moja książka zmarła śmiercią naturalną?

- Powiedzmy raczej, że sprzedaż nie była tak szybka, jak się tego początkowo spodziewaliśmy. Ale wydanie w miękkich okładkach powinno dotrzeć do szerszej publiczności.

Chaplin zawahał się, mając nadzieję, że przyjdzie mu do głowy coś zabawnego, co załagodzi rozczarowanie Barniego. Bolesnie zdawał sobie jednak sprawę z tego, że wszelkie wymówki były daremne.

- Owszem - przyznał wreszcie. - Powiedziałbym, że nastąpiło już coś w rodzaju stężenia pośmiertnego.

Gdyby eksperci z przewodnika po najlepszych restauracjach jadalni w La Renaissance, w samym sercu Sajgonu, w pobliżu francuskiego szpitala, to z pewnością przyznaliby jej co najmniej trzy gwiazdki.

Tak przynajmniej oceniał ją major Palmer Talbot, który jadał tam często, zwłaszcza kiedy zależało mu na wywarciu odpowiedniego wrażenia na którymś z odwiedzających ich urzędników państwowych lub na jakimś ważnym dziennikarzu.

- Czyż to nie konia, majorze, żeby trafić na najlepszą francuską restaurację na drugim końcu świata i to tak daleko od Paryża? Wydawałoby się, że wojna zmusi szefa do ograniczenia swego stylu. No, wie pan, że nie będzie mógł dostać wszystkich składników swojej kuchni.

- Sądzę, że lewicowa prasa lubi przesadzać w opisywaniu tutejszej sytuacji po to tylko, żeby sprzedać więcej gazet. To chyba oczywiste, że mamy nad wszystkim kontrolę, a to przecież zamierzał pan tu sprawdzić. Mam też nadzieję, że zdołaliśmy pana przekonać, że przyniesienie pokoju temu pięknemu, lecz pogrążonemu w mrokach barbarzyństwa krajowi, jest zaledwie kwestią paru miesięcy.

- No cóż, szczerze mówiąc, wywarło to na mnie olbrzymie wrażenie. Podzielę się moimi odczuciami z chłopcami na Kapitelu.

Często mówi się, że wojna to piekło. Rzadko jednak przyznaje się, że dla paru uprzywilejowanych może być ona cholernie przyjemna.

Z całą pewnością służba Palmera Talbota w Wietnamie była jak dotąd ogromnie sympatyczna. Nauczył się wietnamskiego nie po to, aby jeździć po odległych wioskach i wypytywać mieszkańców, czy przypadkiem nie było tam gdzieś w pobliżu zawadiaków Ho Szi Mina. Chodziło raczej o to, by w charakterze oficera łącznikowego pomiędzy dwoma dowództwami pomagać w koordynowaniu działań wojsk amerykańskich i ich południowo-wietnamskich sojuszników. Do niego należał również godny pozazdroszczenia obowiązek zdobywania serc i umysłów nieprzerwanego ciągu wybitnych gości, którzy przylatywali na zwiadowcze misje.

Palmer zawsze starał się, aby bez względu na to, co wcześniej widzieli, pokazać im, że miejsca takie jak La Renaissance prosperowały nadal, co miało dowieść, że wojna nie była wcale taka zła.

Nie zdziwił się zatem wcale, kiedy pewnego ranka po przybyciu do Kwatery Głównej zastał wiadomość, że ma natychmiast zadzwonić do przewodniczącego Senackiego Komitetu Wojskowych Służb Zbrojnych.

- Niech mnie pani połączy z senatorem Forbesem - poprosił Marie-Claire, swoją euroazjatycką sekretarkę. - Porozmawiam z nim u siebie w gabinecie.

- Nie, majorze. On specjalnie zaznaczył, żeby skorzystał pan z jednego z "bezpiecznych" telefonów. To musi być coś ściśle tajnego.

Idąc w kierunku dźwiękoszczelnego pokoju, w którym trzymano specjalny telefon, Palmer spojrzął przelotnie na wiadomość, którą wypisała dla niego na kartce. Miał natychmiast skontaktować się z senatorem w domu, a nie w biurze.

W ciągu kilku sekund dostał połączenie.

- Halo, senatorze, tu mówi Palmer Talbot z Sajgonu.

- Och, to ty, Palmer, mój dobry człowieku. Dziękuję, że zadzwoniłeś. Sądzę, że tam, gdzie jesteś, jest już ranek.

- Owszem, proszę pana. Czy rnoę panu w czymś pomóc, senatorze?

- Owszem, może pan, majorze. Może mi pan wyświadczyć ogromną przysługę.

- A o co chodzi, proszę pana?

Senator przerwał na chwilę, a potem odpowiedział lakonicznie:

- Mógłby się pan ożenić z Jessicą.

- Z Jessicą? - powtórzył zaskoczony Palmer.

- No właśnie, majorze Talbot. Z moją córką, Jessicą, której zrobił pan dziecko w czasie pańskiej odprawy w mojej rezydencji. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym ogłosić to natychmiast w prasie.

- Ależ to niemożliwe, proszę pana - wyjąkał Palmer. - Ja przecież jestem już żonaty i nie mogę porzucić żony.

- Dobrze wiedzieć, że jest pan taki opiekuńczy, majorze. Aleja mam takie same uczucia względem mojej córeczki. Dobrze więc panu radzę, żeby postarał się pan spojrzeć na to z mojego punktu widzenia.

Było to jasne ostrzeżenie. Forbes był na tyle wpływowy, że z łatwością mógł postarać się o to, by wysłano Palmera na linię frontu, gdzie śmiertelność wśród oficerów liczono na minuty.

- Niech pan się nie martwi, majorze Talbot - ciągnął senator. - Zdaję sobie sprawę z tego, że będzie pan miał parę kłód na drodze do ołtarza. Jednakże, jeśli obecna pani Talbot jest osobą wielkoduszną - w co wcale nie wątpię - to zgodzi się na szybki, meksykański rozwód i wnet będzie po wszystkim.

Palmer był zdruzgotany. Nie chciał skrzywdzić Laury. A już szczególnie nie miał ochoty na stawianie czoła jej ognystemu, hiszpańskiemu temperamentowi.

- Senatorze, z całym szacunkiem, jaki mam do pana, muszę stwierdzić, że to, o co mnie pan prosi, woła o pomstę do nieba.

- A to, co pan zrobił mojej Jessice, nie jest równie bezwstydne?

Palmer nie wiedział, co czynić.

- Proszę pana, potrzeba mi trochę czasu dla zebrania myśli, zanim...

- Całkowicie się«z panem zgadzam - odpowiedział polityk. - Właśnie dlatego otrzyma pan dziesięciodniową przepustkę, poczawszy od dziewiątej rano. Jeśli się pan nie będzie ociążała mam nadzieję, że nie - to zdoła pan jutro dotrzeć do San Francisco. A w dzień później może pan już być w Bostonie. Tymczasem dla przyspieszenia sprawy każę jednemu z moich byłych wspólników zacząć przygotowywać odpowiednie papiery. Czy ma pan coś przeciwko temu?

- Nie, proszę pana. W porządku.

Po zakończeniu rozmowy Palmer usiadł w stanie szoku i ukrywając twarz w dłoniach, powtarzał sobie: - Lauro, och, Lauro! Co ja mam teraz zrobić?

Niezależnie od ogólnie panującego przekonania, w Nowym Jorku można było w nocy żyć całkiem normalnie.

Wraz z nastaniem ciemności miasto zwalnia swój puls i tempo swego metabolizmu, zmienia się też ogólny jego nastrój z dziennego obłądu na względnie spokojną nocną psychozę.

Barney wyszedł na balkon i spojrzał na rozciągającą się przed nim metropolię, która przypominała mu rój robaczków świętojańskich.

Emily była teraz w Szwajcarii na Europejskich Mistrzostwach Narciarskich. Korzystając z wolnego czasu, zamierzał skończyć pracę na temat zaburzeń myśli u schizofreników. W tym momencie zadzwoniła jednak Laura i telefon jej tak go poruszył, że nie mógł się skoncentrować.

Była zbyt załamana, żeby podać mu jakiegokolwiek szczegóły. Zorientował się tylko, że stało się coś strasznego pomiędzy nią a Palmerem i nie mogła już dłużej siedzieć sama w Bostonie.

Barney naturalnie nalegał, żeby jak najprędzej przyleciała do Nowego Jorku. Z początku protestowała, uważając, że Emily może się to nie podobać. Dowiedziawszy się jednak, że wyjechała służbowo, postanowiła w końcu, że spróbuje złapać ostatni samolot z Bostonu.

Tuż po jedenastej w nocy zadzwonił portier, aby mu powiedzieć, że przyjechała panna Castellano.

Jej oczy...

Kiedy otworzył drzwi, natychmiast uderzył go widok jej oczu. Wyglądały jak podbite, całe czerwone i podkrążone. Najwidoczniej płakała przez kilka godzin. Jej głos był ochrypły i osłabiony.

- Cześć! - powiedziała cicho.

Odebrał od niej walizkę i zaprosił do środka: - Proszę, wejdź. Siadaj. Wydaje mi się, że dobrze by ci zrobiło coś mocnego. Skinęła głową.

- Na litość boską, Lauro, o co chodzi?

- Palmer pojawił się nagle. - Ponownie zaczęła się jej trząść broda. - Nie mogę, Barney. To zupełnie nieprawdopodobne.

- Myślałem, że jest w Wietnamie. Jak to się stało, że nagle wrócił do domu? Czy został ranny?

- Nie, Barney - odpowiedziała Laura. - To on mnie zranił. Palmer domaga się rozwodu.

- O cholera! Wiedziałem, że do tego dojdzie. Jestem pewny, że ty też się z tym liczyłaś.

Potrząsnęła głową. - Nie. Mieliśmy coś w rodzaju pojednania. Wszystko było już dobrze, a on przyszedł nagle i wcisnął mi przed oczy kawałek papieru.

- Jakiego papieru?

- Zgodę na szybki meksykański rozwód.

- Słuchaj, Castellano, to szaleństwo! Czemu tak cholernie mu się spieszy?

Laura wolno wyjaśniła powód.

Barney nie był nawet w stanie zachować swojego profesjonalnego obiektywizmu.

- Wiesz co, Castellano? Powiedziałbym, że to dobrze, że się wreszcie pozbyłaś tego drania. Każdy facet, który nie jest ci wierny, niewart tego, żeby być twoim mężem.

Wzruszyła ramionami. - Może to ja nie byłam tego warta, żeby być jego żoną.

Barney nie mógł ścierpieć tego samobiczowania.

- Lauro, na miłość boską! To, że on potraktował cię jak szmatę, nie oznacza wcale, że musisz się zgadzać z jego opinią. Po prostu otej go, Castellano! Niech idzie do diabła! Pewnego dnia spotkasz kogoś, kto będzie ciebie wart.

Pokręciła głową. - Nie ma mowy, Barney. Jestem przekonana, że jeśli chodzi o mężczyzn, mam pecha od urodzenia.

Kazał się jej położyć do łóżka w gościnnym pokoju. Podał jej szklankę wody i dwie tabletki, a potem usiadł przy niej.

- Wiem, że mi nie- uwierzysz, ale przyrzekam ci, że jutro rano znowu wzejdzie słońce. To znaczy, że będziesz miała cały dzień na to, żeby odpocząć.

- Dziękuję ci, Barney - szepnęła cicho.

Siedział przy niej, dopóki się nie upewnił, że zasnęła. Potem wyszedł na palcach z pokoju.

Podszedł do swojej maszyny do pisania i wyciągnął z niej kartkę z nieukończonym artykułem na temat schizofrenii. Włożył nowy kawałek papieru i zaczął pisać.

Memorandum

Do: Dr L. Castellano

Od: Dr B. Livingston

Temat: 107 powodów, dla których nadal warto żyć.

I przyniósł jej to wraz z filiżanką kawy nazajutrz rano.

Barney rozmawiał właśnie przez telefon, kiedy Laura weszła do pokoju. Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się.

- Już teraz wyglądasz o wiele lepiej, Castellano.

- To dziwne - odpowiedziała. - Przyjrzałam się sobie w lustrze. Wyglądam jak po dziesięciu rundach z Muhammadem Ali.

- Mylisz się - poprawił ją. - Ali jest zawodnikiem walczącym fair.

A potem wskazał stanowczo na kanapę i nakazał: - Siadaj!

Kiedy spełniła rozkaz, powiedział: - Rozmawiałem właśnie z twoim dyrektorem i wyjaśniłem mu - nie tłumacząc w zasadzie niczego - że jesteś chora i potrzebujesz około tygodnia na powrót do zdrowia. Był bardzo wyrozumiały.

- A co ja mam w tym czasie robić?

- Chodzić na długie spacery i koncentrować się wyłącznie na miłych myślach. Dlaczego na przykład nie kupisz sobie jakichś nowych ciuchów?

- Nie wygląda mi to na profesjonalną poradę, Barney.

- Słuchaj, Castellano, wyjątkowo dzisiaj zamienimy się rolami. Nie patrz na mnie jak na lekarza, czy nawet jak na przyjaciela. Potraktuj mnie jak swojego rodzica. Rób to, co ci każe, bo to dla twojego dobra.

- Tak, ojczy - przytaknęła, uśmiechając się słabo. - Czy zrezygnowałaś już jednak ze swego zawodu? Nie masz dzisiaj żadnych pacjentów?

- Kazałem sekretarce odwołać wszystkich przed obiadem. Jeśli będziesz się dobrze czuła, to zobaczę moich popołudniowych pacjentów.

- Już się dobrze czuję. Już mi lepiej, Barney. Nie musisz zawałać swojego życia tylko dlatego, że ja zawałam swoje.

- Przestań mnie pouczać - odpowiedział Barney. - Pamiętaj, dzisiaj jestem twoim ojcem.

Zostawił ją po obiedzie, upewniwszy się najpierw, że czuła się już na tyle dobrze, aby móc wybrać się na przykład do Muzeum Sztuki Współczesnej czy gdziekolwiek, byle tylko nie siedzieć samotnie w domu.

Kiedy wrócił z pracy o siódmej trzydzieści, zdziwił się, widząc, że Laura przygotowała dla nich obiad.

- To wszystko właściwie tylko podgrzewane. Nie masz nawet pojęcia, ile gotowych smakowitości można dziś dostać na Pięćdziesiątej Siódmej. Siadaj i powiedz mi, co dzisiaj robiłeś.

Barney opisał jej cztery przypadki, którymi zajmował się tego popołudnia, oraz krzykliwe zebranie personelu szpitala.

- Doprawdy, Castellano, gdyby jakiś psychiatra wszedł do naszego szpitala w tym właśnie czasie, to miałby pewne kłopoty z odróżnieniem doktorów od czubków.

- Niektóre z naszych konferencji w Bostonie też tak wyglądają - odpowiedziała.

- A tak nawiasem mówiąc, uważam, że ten twój artykuł, który teraz piszesz, jest wspaniały.

- Ten o schizofrenikach?

- Zawarłeś w nim wiele wnikliwych obserwacji. Kiedy zamierzasz to skończyć?

- No cóż, właściwie powinienem już to oddać. Ale skoro i tak jestem już spóźniony, to mogę poczekać z tym jeszcze parę dni.

- O nie, Barney - odpowiedziała Laura stanowczo. - Pozwól, że ja zabawię się teraz w mamusię. Zaraz po skończeniu tej wyśmienitej kolacji odmaszerujesz do maszyny i skończysz pracę. To rozkaz.

Barney uśmiechnął się. - Tak, mamó. Trzy godziny później Laura czytała trzy ostatnie strony artykułu, wyrażając swoje uznanie.

- Dobra robota, Livingston. Sądzę, że otwiera się przed tobą ciekawa przyszłość w medycynie.

- Też tak myślę. A teraz idź już spać, a ja tymczasem popracuję jeszcze nad poprawkami.

Wstała posłusznie niczym dziecko, pocałowała go w czoło i poszła spać.

Następnego ranka zjedli razem śniadanie przed wyjściem Barniego do pracy. Laura powiadomiła go wówczas: - Nie wracam już do Bostonu.

- Co takiego?

- Po prostu nie mogę. Wiem, że nie mogę już wrócić do tego domu. Myślę nawet, że nie potrafiłabym wejść do szpitala, nie czując się w jakiś sposób - czy ja wiem? - upokorzona. Czy możesz to zrozumieć?

- Z całą pewnością rozumiem to, że nie chcesz wracać do domu. Ale co w związku z tym zamierzasz zrobić?

- Jak tylko wyjdiesz do pracy, usiądę przy twoim biurku i zacznę dzwonić po szpitalach, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie mają gdzieś wolnego etatu na oddziale noworodków.

- Nie w środku roku, Castellano. Wszystkie miejsca są już zajęte.

- O Barney! - skrzywiła się. - Najwidoczniej nie masz zielonego pojęcia o pracy w szpitalu. Może nawet i w tej chwili jakiś tam doktor podcina sobie żyły albo wariuje. Popatrz tylko na mnie.

W południe zadzwonił do Laury od siebie z pracy. Wydawało mu się, że była zadowolona.

- Pewno mi nie uwierzysz, ale myślę, że dostałam pracę.

- To szybko. Jak ci się to udało?

- Mój stary profesor na oddziale pediatrii zadzwonił do znajomego ze szpitala w Toronto. Mimo że zaczynają tam nowy program dopiero w przyszłym roku, to jednak mają już na to pieniądze. Mogę więc zacząć w każdej chwili.

- To cudownie.

- Sama nie mogę w to uwierzyć - odpowiedziała. - Zamierzam lecieć dziś wieczorem do Toronto, żeby mieć pewność, że mi to nie zniknie sprzed nosa.

- Daj spokój, Castellano. Co tak szybko! - ostrzegł ją. - Nie tak dawno spadła na ciebie bomba atomowa. Potrzebujesz jeszcze co najmniej dwudziestu czterech godzin, żeby odzyskać równowagę. A poza tym zarezerwowałem dziś miejsce we wspaniałej hinduskiej restauracji.

- Nie my ślę...

- No właśnie, Lauro, nie myśl. Ja to będę robił za ciebie przynajmniej dopóty, dopóki będziesz pod moją opieką. Bądź więc gotowa o siódmej trzydzieści.

Zdecydowała, że miał rację. Potrzebowała co najmniej jeszcze jednego dnia na właściwe przygotowanie tego przedsięwzięcia, a także na zakup nowej garderoby, właściwej na ostrą kanadyjską pogodę.

Piętnaście minut później, kiedy kończyła spisywać listę zakupów, otworzyły się nagle frontowe drzwi.

Emily weszła do środka, ciągnąc za sobą olbrzymią walizkę. Spozregła siedzącą wygodnie za biurkiem Barniego Laurę i zaniemówiła ze zdziwienia.

Żadna z nich nie wiedziała, jak się w tej sytuacji zachować.

W końcu Laura zapytała po prostu: - Czy mogłabym ci jakoś pomóc z tą torbą, Emily?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała z zastygłymi w bezruchu mięśniami twarzy.

Kiedy Emily wniosła walizkę do sypialni, Laura zauważyła:

- Barney spodziewał się ciebie dopiero jutro.

- To widać - odpowiedziała cicho. - Udało mi się przylecieć wcześniej samolotem ekipy ABC. Nie zdawałam sobie jednak sprawy z tego, że zjawiając się o jeden dzień wcześniej, stanę się intruzem.

- Emily, ty niczego nie rozumiesz!

- Obawiam się, że rozumiem aż za wiele.

- Chodzi o to, że rozwodzę się właśnie z Palmerem. To znaczy, dzięki uczynności meksykańskiego rządu już właściwie jesteśmy po rozwodzie.

- To wszystko wyjaśnia - odpowiedziała lodowatym tonem Emily.

- Wyjeżdżam jutro rano - ciągnęła Laura, usiłując przełamać uprzedzenie Emily.

- Nie spiesz się tak ze względu na mnie - zaproponowała Emily. - Ja wychodzę już teraz.

Usiłując nie dopuścić do katastrofy, Laura krzyknęła: - Poczekaj, do cholery! Emily! Chcę ci coś powiedzieć!

Emily zatrzymała się w otwartych drzwiach, po czym zwróciła się w stronę Laury: - No dobrze, co masz mi do powiedzenia?

- Miałam kłopoty - zaczęła cicho Laura. - Bardzo poważne kłopoty. Nie mam nikogo na świecie, do kogo mogłabym się z nimi zwrócić, poza Barniem. Pozwolił mi zostać u siebie z litości. To wszystko. Spałam w gościnnym pokoju. Zrozum, Emily, był jedyną osobą, do której mogłam pójść.

Nagle zabrakło jej słów. Wiedziała, że w tej sytuacji prawda wyglądała na najbardziej szaloną fikcję. Byłoby lepiej, gdyby wymyśliła jakieś ekstrawaganckie kłamstwo.

- Posłuchaj, Lauro - powiedziała Emily cicho. - Pozwól, że będę z tobą zupełnie szczerą. Istnieją dwa powody, dla których nie zgodziłam się wyjść za mąż za Barniego. Jednym z nich byłeś ty.

Po czym zamknęła za sobą drzwi.

- Castellano, to nie twoja wina. Mówiłem Emily z milion razy o naszej znajomości i jeśli ona nadal mi nie wierzy, to trudno.

- Ale dlaczego ty masz się zawsze dla mnie poświęcać?

- Mylisz się. Nie mieliśmy przed sobą żadnej przyszłości. Ona nigdy by się nie zgodziła wyjść za mnie za mąż.

- Daj spokój, świetnie pasowaliście do siebie. Kochałeś ją przecież, prawda?

- Owszem.

- I nadal ją kochasz?

- To niczego nie zmienia. Po prostu muszę już teraz pogodzić się z tym, co zaszło, zamiast odkładać to na potem.

- Powiedziała mi, że ja byłem jednym z powodów, dla których nie mogła cię poślubić. Co było drugim powodem?

- To zbyt prywatna sprawa, Lauro.

- Barney, w innych okolicznościach nie pytałabym cię o to. Jeśli jednak chcesz faktycznie ulżyć mojemu sumieniu, to musisz mi powiedzieć, czy ona rzeczywiście miała jeszcze jakieś powody.

Barney milczał przez chwilę, po czym odpowiedział: - Ona nie może mieć dzieci. Mówiłem jej, że to nie ma znaczenia, że pragnę tylko, żebyśmy się pobrali.

- No i?

- Ona mi nie wierzyła - odparł cicho. Zamyślił się przez chwilę, a potem dodał: - Wiesz co, Castellano? Wstydzę się do tego przyznać, ale w pewnym sensie miała rację.

Ostatni pacjent, którego skierowała do niego tego dnia pielęgniarka, zaskoczył go. Właściwie były to trzy osoby - starszy mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce oraz dwoje młodych, wyglądających na jego syna i córkę.

Weszli bez słowa do gabinetu i stanęli dosyć skrepowani, dopóki Seth nie wskazał im krzesel.

- Dlaczego nie podali państwo swoich nazwisk recepcjonistce?

Czekał przez chwilę na odpowiedź. Cała trójka spojrzała po sobie. Wreszcie ojciec odezwał się niepewnie: - Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Mam nadzieję, że ta nasza rozmowa jest poufna.

- Wszyscy lekarze składają przysięgę Hipokratesa i są zobowiązani do zachowania w tajemnicy tego, co się im mówi.

- To nie zawsze jest prawdą - przerwała córka.

- Przyznaję, że bywają niedyskretni lekarze, proszę pani. Mogę państwa jednak zapewnić, że do nich nie należę. A teraz, czy mogliby mi państwo podać swoje nazwiska?

- Carson - przedstawił się starszy mężczyzna. - Tak jak Johnny, tylko że to nie jest rodzina.

Próbował się uśmiechnąć.

- Na imię mi Irwin - ciągnął dalej mężczyzna. - A to jest Chuck, mój syn, i Pam, moja córka.

Seth spojrzał na nich i zastanawiał się głośno: - Właściwie to komu z was coś dolega?

Ku jego zdziwieniu ojciec odpowiedział: - Nam wszystkim. - Po czym pochylił się trochę do przodu i ciągnął przyciszonym głosem: - Chodzi właściwie o moją żonę, a ich matkę. To ona jest bardzo chora.

- A gdzie ona jest? - zapytał Seth.

- W domu. Jest zbyt chora, żeby podróżować. W Hammond.

- Przyjechaliście tutaj aż z Indiany? Na co właściwie jest chora pańska żona?

Starszy mężczyzna przygryzł wargi. Spojrzał najpierw na córkę, a potem na syna. Oboje skinęli głowami na znak, że powinien kontynuować swą prośbę.

- Rok temu stwierdzono, że ma złośliwy nowotwór w żołądku. Operowali ją i wycięli go.

- No i? - zapytał Seth.

- Na początku było bardzo ciężko. Pomogliśmy się jej jednak odnaleźć i przystosować. Przez jakiś czas wszystko było dobrze. Zabrałem ją nawet z okazji naszej rocznicy ślubu na Wyspy Karaibskie. - Przerwał, odetchnął głęboko i ciągnął dalej: - A potem wszystko zaczęło się od początku. Poszliśmy do lekarza, który kazał zrobić prześwietlenie. Chciałby pan może zobaczyć zdjęcia?

- Tak, oczywiście.

Seth sięgnął po dużą kopertę i wyciągnął z niej kliszę. Następnie założył ją na podświetloną ramkę.

Natychmiast oszacował sytuację. - Szczerze mówiąc, nie wygląda to zbyt obiecująco.

- Wiemy o tym - powiedział młody mężczyzna.

Ojciec podjął przerwany wątek. - Pytałem lekarza, czy mógłby ją jeszcze raz zoperować. A on powiedział mi na to... Nagle załamał się.

- Przepraszam, doktorze, naprawdę przepraszam - głos mu drżał. - Chodzi o sposób, w jaki on mi to powiedział... Tak brutalnie. Powiedział mi po prostu, że już nie ma po co...

- To rzeczywiście nie było zbyt uprzejmie sformułowane - zauważył Seth. - Zdjęcia wykazują jednak istnienie dużego guza w tej samej części żołądka, którą już operowano.

W tym momencie mężczyzna powtórzył ze łzami w oczach: - Błagałem go, ale on mnie zlekceważył. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

- Czy nie zasugerował państwu innych sposobów powstrzymania wzrostu nowotworu?

- Tylko leczenie naświetlaniami. Ale nawet nasz domowy internista powiedział nam, że w przypadku raka żołądka to prawie bezużyteczne.

- Obawiam się, że pański lekarz ma rację - przyznał Seth.

Carson przyspieszył swoją relację: - Wpadł wówczas na pomysł, żeby ją poddać chemioterapii, jeszcze jednej z tych bezużytecznych technik, która gwarantuje tylko utratę włosów oraz zamienia człowieka w wycieńczony szkielet.

Seth skinął zaledwie głową.

- No więc, cóż nam pozostało? Po prostu wysłano ją do domu, żeby tam umarła.

Głos Carsona coraz bardziej przypominał suplikację. - Doktorce, ona nie może już niczego przełknąć. Musimy ją karmić papkami dla dzieci. Takimi jak sos jabłkowy Gerbera.

- I nawet tego nie może już trawić - dodała córka.

- Teraz - wtrącił syn - trzeba jej podawać środki antyśpazmatyczne i uspokajające tylko po to, żeby mogła przełknąć słodzoną wodę.

- Poszliśmy więc ponownie do lekarza - przejął opowieść starszy Carson - a on wpadł na pomysł, żeby ją teraz operować i przeprowadzić tam przetokę. Nie jestem nawet w stanie tego dokładnie wyjaśnić.

- Idzie o przetokę żołądkową - wyjaśnił Seth. - Można by to nazwać kompletnym przeinstalowaniem całego układu trawiennego, w wyniku czego jedzenie wprowadzane byłoby bezpośrednio do jelit poprzez rurkę w skórze.

Seth przerwał, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- No cóż, doktorze, nie muszę chyba panu o tym mówić - powiedział Carson głosem zdradzającym rozgoryczenie - że jest to piekielna operacja. Ten facet

oświadczył nam, że z pewnością nie zatrzyma ona wzrostu raka. Nie był nawet pewien, czy pohamuje ból. Stwierdził tylko, że da jej trochę więcej czasu.

Seth pragnął dotrzeć do sedna sprawy. - Przykro mi, ale sądząc z tego, co mi pan powiedział, nie ma sposobu, aby można było w jakiś sposób uratować pańską żonę. Z całą pewnością nie jest to w mojej mocy.

- Wiemy o tym - powiedział ojciec, a syn z córką powtórzyli za nim niczym echo. - Tak, wiemy o tym, wiemy.

- Dlatego właśnie przyszliśmy tutaj, żeby pana błagać o pomoc, doktorze - powiedział starszy Carson.

- Nie rozumiem - odpowiedział Seth, czując z niepokojem, że dobrze wiedział, o co im chodziło.

- Panie doktorze, nie chcemy, aby stała się jakimś nieludzkim przedmiotem z powtykanymi wszędzie plastikowymi rurkami. Niech jej pan pomoże w tym cierpieniu. Niech jej pan pozwoli odejść chociaż z odrobiną ludzkiej godności. Ona chce już umrzeć.

Nastała cisza. Wreszcie Carson zakończył słowami: - Proszę, niech nam pan pomoże. To znaczy chciałem powiedzieć - niech jej pan pomoże.

Reszta była już milczeniem. Ich role dobiegły końca.

Seth zaniemówił ze zdziwienia. Z przerażeniem pomyślał o tym, że wieść o jego dawnym "akcie miłosierdzia" dokonanym na Melu Gatkowiczu wydostała się w jakiś sposób poza obręb szpitala, a nawet przekroczyła granice stanów.

- Skąd państwo znają moje nazwisko? - zapytał z największym spokojem, na jaki mógł się zdobyć.

- Od naszego nowego internisty w szpitalu, doktora Bluestone'a.

- Powiedzcie doktorowi Bluestone'owi, żeby zadzwonił do mnie dzisiaj wieczorem do domu.

Wstał z fotela.

Rodzina podniosła się natychmiast i wyszła w ciemność.

Seth zgasił światła w gabinecie. Zamknął drzwi i skierował się w stronę swego samochodu, myśląc nieustannie o konsekwencjach tego, co kiedyś obiecał uczynić. A teraz domagano się, aby śmierć przyszła z prywatną wizytą do domu.

Rozdział XXXVIII

Zaraz po przybyciu do domu zaczął opowiadać o tym wydarzeniu Judy, która w pełni podzielała jego obawy.

- Jeśli Tim twierdzi, że się z tym zgadza, to dlaczego, do cholery, nie zrobi tego sam? - zapytała ze złością. - W ten sposób naraża tylko nas wszystkich.

Seth przyznał jej rację. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że to, co w ich mniemaniu było miłosierdziem, inni uważali za morderstwo.

- Ma do mnie zadzwonić dziś wieczorem - przypomniał jej Seth. - Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć.

- Powinieneś mu powiedzieć, żeby sobie poszedł do diabła! Seth zamyślił się głęboko. W końcu odezwał się cicho: - A co z Carsonami?

- O mój Boże! - odpowiedziała niepewnie. - Nie masz chyba zamiaru spełnić prośby Tima?

- Mam w nosie Bluestone'a - odparł, utkwivszy pusty wzrok w przestrzeni. - Obchodzą mnie jednak ci ludzie. Cała rodzina tej pacjentki bardzo cierpi. A nie wygląda na to, żeby koniec był bliski.

- Och, Seth! - zaprotestowała Judy. - Proszę cię, nie podejmuj tego ryzyka!

Głos jej zawisł w powietrzu. Wyczuwała bowiem, że współczuł pani Carson i dlatego podjął już decyzję w tej sprawie.

Tuż po dziewiątej wieczorem zadzwonił telefon. Tim Bluestone dzwonił z Indiany.

- Seth - zaczął niepewnie - myślę, że powinienem ci coś najpierw wyjaśnić...

- Nie ulega wątpliwości - przerwał mu Seth. - Chcę wiedzieć, co właściwie powiedziałeś Carsonom i dlaczego.

- Powiedziałem im, że znam jednego niezwykle miłosiernego lekarza, który może mógłby im pomóc. Nie miałem odwagi, żeby to zrobić samemu. Seth... widziałem, jak wychodziłeś z pokoju Mela Gatkowicza tuż przed jego śmiercią. Potem często zastanawiałem się nad tym.

Seth nie wiedział, jak mu na to odpowiedzieć. Nie śmiał też pytać, komu jeszcze o tym opowiadał.

- Istnieją w tej sprawie szczególne okoliczności - ciągnął błagalnie Tim. - Carsonowie to dobrzy, porządni ludzie. A Marge - to znaczy żona Carsona - jest już zaledwie strzępem człowieka i niesamowicie się męczy. Wszystkie istotne dane załączę

w liście, który wyślę do ciebie jeszcze dzisiaj wieczorem. Prawdopodobnie dostaniesz go w jutrzejszej poczcie. Słuchaj, rodzina jej jest tak zdesperowana, że pytano mnie, czy mógłbym - no wiesz - coś zrobić. Z początku wzdragałem się przed tym, ale obserwując w ciągu ostatnich paru dni, jak stan Marge się pogarsza, doszedłem do wniosku, że mają rację. - Przerwał, a potem wyrzucił z siebie jednym tchem: - Może tak zrobilibyśmy to razem, Seth? W pewnym sensie byłoby nam łatwiej podzielić się ciężarem winy.

Tim, ty głupcze! - pomyślał w duchu Seth. Czyż nie rozumiesz, że to jest coś, czego nie da się dzielić z nikim? Nawet jeśli zostaniesz jedynie kolaborantem, to i tak poczujesz cały ciężar na sobie.

- No dobrze. Przeczytam historię chorobową tej kobiety i oddzwonię do ciebie.
- Ale zadzwoń do mnie do domu, nie do pracy.
- Oczywiście - odpowiedział Seth, nie ukrywając swego rozdrażnienia.

Nazajutrz rano otrzymał akta pacjentki. Zadzwoił do Tima tuż przed dziesiątą.

- Masz rację - powiedział. - Nikt nie zasługuje na to, żeby tak strasznie cierpieć. Sądzę, że powinniśmy zrealizować twoją... propozycję. Ale musimy poczekać z tym do weekendu.

- Tak, oczywiście.
- A teraz powiedz mi dokładnie, jak się tam dostać.

Podawszy mu dokładne wskazówki, Tim dodał: - Dziękuję ci, Seth. O Boże, jakie to wszystko jest przerażające!

Seth nawet nie skomentował tego stwierdzenia. Musiałby mu bowiem opowiadać o widmach, które ukazywały mu się w niezliczonych snach. Tak więc Bluestone nie był już w stanie powiedzieć mu nic nowego na temat uczucia strachu.

- Słuchaj, Tim, gdzie mieszkają ich syn i córka?
- Chłopak kończy już inżynierię na uniwersytecie stanowym w Illinois. Córka wyszła za mąż za faceta, który jest właścicielem restauracji. Czasami pomaga mu w charakterze kasjerki.

- Upewnij się, żeby nie było ich w domu w niedzielę. Czy sądzisz, że mógłbyś to jakoś załatwić?

- Tak, oczywiście.
- Muszę jeszcze wiedzieć jedną istotną rzecz. Czy ta kobieta jest przytomna?

- Zazwyczaj tak. Aby jednak złagodzić jej cierpienia, podajemy jej duże dawki środków przeciwbólowych.

- Będę musiał z nią porozmawiać, więc postaraj się, żeby była przytomna w niedzielę wieczorem. Przyjadę tam o dziewiątej.

Była to typowa dzielnica klasy średniej - zabudowana identycznymi dwurodzinnymi domami z podobnymi krzakami i drzewami we frontowych ogródkach. Zegar wskazywał pięć po dziewiątej wieczorem. Panowała niemal nieprzenikniona ciemność. Tim Bluestone przechadzał się nerwowo przed domem Carsonów, kiedy nagle zmaterializował się obok niego Seth.

- To ty, Bluestone? - zapytał cicho.

- Cześć, Seth. A co się stało z twoim samochodem?

- Nic takiego. Zaparkowałem go tylko w odpowiednim miejscu. Wejdźmy do środka.

Seth nie powiedział mu, że zabrał samochód Judy, na którym nie było plakietki "Doktor medycyny".

Zza frontowych drzwi dobiegały dźwięki telewizyjnej transmisji z meczu baseballowego. Seth podejrzewał, że mąż usiłował w ten sposób zagłuszyć - i wymazać zarazem z własnej świadomości - wszelkie odgłosy świadczące o cierpieniu żony.

- Dobry wieczór, doktorze - odezwał się Irwin Carson głosem pozbawionym wszelkiej emocji. - Dziękuję, że zgodził się pan tutaj przyjść.

- Gdzie jest pańska żona?

- Na górze. Jej sypialnia jest na górze.

Seth skinął zaledwie głową. - Czy chciałby pan może jeszcze z nią porozmawiać?

Mąż odpowiedział po chwili zastanowienia: - Przez całe popołudnie nie robiliśmy nic innego. Już się pożegnaliśmy. Nie sądzę, żebym...

Załamano mu się głos.

Obaj lekarze skinęli w milczeniu głowami, po czym wolno weszli po schodach na górę.

- Dobry wieczór, Marge - odezwał się Tim. - To jest doktor Lazarus.

Kobieta wyglądała jak widmo. Do prawego ramienia miała podłączoną kroplówkę, która utrzymywała ją przy życiu.

Wyciągnęła kościstą rękę w stronę Setha i z trudem wyszeptwała:

- Dziękuję, że pan przyszedł, doktorze.

Seth skinął głową i usiadł, żeby zamienić parę słów z umęczoną pacjentką.

- Pani Carson, wiem, że jest pani ciężko mówić, jednakże są pewne sprawy, o których musimy porozmawiać. Czy znany jest pani powód mojej dzisiejszej wizyty?

- Owszem, doktorze.

- Czy jest pani absolutnie pewna tego, o co prosiła pani doktora Bluestone'a? A może zmieniła pani zdanie?

- Nie. Ja chcę już umrzeć. - Iz jękiem dodała: - Proszę, doktorze!

W tym momencie wzrok Setha padł na mały posążek ukrzyżowanego Chrystusa stojący na jej nocnym stoliku. Była katoliczką, a zatem czy zapraszając go tego wieczoru, nie popełniała czegoś w rodzaju samobójstwa, a więc śmiertelnego grzechu?

Marge odpowiedziała mu na to pytanie, zanim zdążył głośno je zadać.

- Niech się pan nie martwi, doktorze - powiedziała cicho. - Niech pan robi to, co do pana należy. Resztę niech pan zostawi mnie. Modliłam się do Niego często. Wiem, że On mnie zrozumie.

W tym momencie Seth spojrzał na Tima, sądząc, że jako lekarz rodziny miał może coś do powiedzenia. On jednak nie był zdolny do otworzenia ust. Seth zwrócił się zatem ponownie do pani Carson.

- Pani Carson, wleję pani teraz do kroplówki pewne lekarstwo. Po paru minutach powinna pani zasnąć.

- Bezboleśnie?

- Tak - odpowiedział Seth. - Bezboleśnie.

Kobieta rozplakała się. Łzy spływały jej w zagłębienia będące kiedyś policzkami.

- O Boże! - szepnęła. - Dziękuję ci za to, że zesłałeś mi swego anioła.

Seth mówił spokojnie dalej, mając świadomość, że jego słowa działały na nią uspokajająco. Wkładając zawartość małej ampułki do igły w prawym przedramieniu kobiety, zauważył, że Tim Bluestone odwrócił się plecami. Nawet nie mógł na to patrzeć. Seth ujął ją za rękę i trzymał mocno, aż wygasł w niej ból wraz z życiem.

Obaj lekarze wyszli z pokoju i podeszli do Irwina Carsona, wpatrzonego niewidzącym wzrokiem w małe postacie poruszające się na ekranie.

- Zasnęła w pokoju - odpowiedział Seth na jego nieme pytanie.

Carson przeżegnał się najpierw, a potem rozplakał się z ulgą ze smutku.

- Doprawdy... nie wiem, co mam teraz powiedzieć - szlochał.

Młodszy lekarz również nie wiedział, jak na to zareagować. Wkładając marynarkę, Seth zwrócił się do starszego mężczyzny:

- Panie Carson, Marge kazała panu powiedzieć, że zrobiła to z miłości do swojej rodziny.

Carson płacząc, skinął głową na znak, że to rozumiał.

- Doktor Bluestone przyjdzie tu do państwa jutro rano, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Dobranoc.

Irwin Carson stał jak wrośnięty w ziemię, patrząc na zamykające się cicho frontowe drzwi.

Ponownie otoczyła ich ciemność nocy.

- Seth, jak mam ci za to dziękować? - zapytał głęboko poruszony Tim.

Seth chwycił go za ramię i odpowiedział krótko: - Nie dzwoń już do mnie więcej. Nigdy.

I zniknął w mroku nocy.

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłem w takiej depresji.

- Stwierdzenia tego typu mogą podważyć wiarę, jaką ludzie pokładają w psychiatrach - zauważył Bill Chaplin. Usiłował poprawić humor młodego pisarza, zapraszając go na przyjacielską kolację w restauracji Elaine.

Barney daremnie próbował się uśmiechnąć.

- Bill, jestem tylko człowiekiem. A poza tym, niekoniecznie trzeba być szczęśliwym, żeby móc pomagać innym ludziom. W przeciwnym wypadku w całym Nowym Jorku nie byłoby ani jednego psychoterapeuty. Mam mnóstwo powodów, żeby być nieszczęśliwym. Odeszła ode mnie Emily. Nie odpowiada na moje telefony do redakcji. Jeden z moich usłużnych przyjaciół poinformował mnie, że zaczęła się nawet kręcić koło jakiegoś faceta z redakcji sportowej ABC. Moja koleżanka Laura siedzi gdzieś w dalekim Toronto o dwa kroki od zupełnego załamania nerwowego, a do tego nikt nie chce czytać mojej książki, nawet w miękkich okładkach.

- Daj spokój, Barney - pocieszał go Bill. - Przestań biadolić i rozczulać się nad samym sobą. Dostyc już tego. Porozmawiajmy lepiej o twojej następnej książce.

- Nie ma o czym gadać - odpowiedział niepokieszony Barney. - Mam pustki w szufladzie. Myślałem, że książka o sporcie była dobrym pomysłem. Rzeczywiście wierzyłem, że ludzi interesuje to, na jakiej zasadzie pracują umysły wyjątkowych osób.

Bill przyglądał się intensywnie Barniemu. - Masz rację, wszyscy chcemy to wiedzieć. Uważam więc, że nie powinieneś zmieniać swego podejścia ani na jotę. Może powinieneś po prostu skoncentrować się na wielkości innego typu.

- Nie ma mowy, Bill. Achilles nie żyje, Lancelot także. Nawet "The Beatles" już się rozpadli. Trudno o wielkich bohaterów w epoce cynizmu...

Bill przerwał mu nagle.

- Barney, mam pomysł!

Krzyknął tak głośno, że aż pół sali odwróciło się, żeby mu się przyjrzeć.

Bill był jednak zbyt podniecony, żeby się tym przejmować.

- Barney - ciągnął dalej - Ameryka jest krajem różnych religii i wyznań. Wszyscy jednak zgadzają się co do jednego: Bóg jest lekarzem - albo vice versa.

- Co takiego? Chaplin, jeśli będziesz tak dalej gadał, to wystawię ci odpowiednie świadectwo. Z własnego doświadczenia mogę ci powiedzieć, że lekarzom tak samo daleko do boskości jak każdej innej grupie zawodowej.

- To tylko twoja opinia, Barney - stwierdził Bill. - Każdy przeciętny obywatel wcale tak jednak nie myśli. Człowiek z ulicy uważa, że lekarz jest czymś w rodzaju księdza z gorącą linią do Pana Boga. Wielbimy ich i boimy się ich jednocześnie. Gdybyś mógł w jakiś sposób dać nam do zrozumienia, co naprawdę dzieje się w ich umysłach...

- Bill, nie ma czegoś takiego jak kolektywna medyczna psyche - uśmiechnął się Barney. - Lekarze różnią się między sobą jeszcze bardziej aniżeli produkty firmy Heinz. Większość z tych, których znam, to jednak ludzie oddani szczytnej sprawie, pracujący w pocie czoła w nadziei, że nie załamają się pod ciężarem głazu, który dźwigają. Nie ma w tym nic fascynującego. To wcale nie takie romantyczne jak doktor Kildare i Ben Casey.

- Barney, ty zdajesz sobie z tego sprawę, ale tkwisz wewnątrz tego wszystkiego. Lekarze, z którymi ja miałem do czynienia, to skorumpowane, przekupne i zakompleksione typy w białych fartuchach, podpierające się literami DR niczym kulami dla zachowania pewnej pozycji w społeczeństwie. Czyż nie mam racji?

- Nie - odpowiedział Barney cicho. A potem dodał: - W pewnym sensie też masz rację. Spotkałem się również i z takimi typami, z lekarzami, którzy wolą czytać Ekonomię medyczną zamiast naukowej literatury medycznej. To właśnie oni psują reputację całego zawodu.

Bill pochylił się nad stołem i złapał Barniego za klapy marynarki.

- Posłuchaj! - upierał się niczym sierżant w czasie musztry. - Pokaż mi, co się właściwie ukrywa za tymi maskami! Pokaż mi wnętrza tych napuszonych łbów! Pokaż nam, jakimi ludźmi są w rzeczywistości lekarze!

Barney zastanawiał się przez chwilę, a potem cicho zapytał: - Czy chodzi ci o sensacje poniżej pasa?

- Nie. Proszę cię tylko o prawdę, Barney. Jeśli opinia publiczna o doktorach jest wypaczona, to ją sprostuj. - Bill zniżył głos. - Posłuchaj mnie, Livingston. Trafiliśmy w sedno i nie pozwolę, żebyś wyszedł z tego McDonalda dla bogaczy bez podpisu, choćby tylko na serwetce.

A potem mruknął do samego siebie: - Oj, doktorze Jorgensen, od lat życzyłem ci śmierci. Teraz mam jednak nadzieję, że pożyjesz jeszcze na tyle długo, żeby móc przeczytać te książkę.

- Kim jest ten Jorgensen?

Bill nagle spochmurniał.

- To facet, przez którego straciłem oko - mruknął. - Poszedłem na operację zwykłej katarakty. Ten facet pochrzaniał coś i wyszedłem z tego z martwym okiem. Sądziłem go nawet, ale ten łajdak wygrał proces.

- Daj spokój, Bill, takie wypadki zdarzają się raz na milion.

- O nie, mylisz się, Barney. Prawie każdy z nas spotkał się z czymś takim. Mogę się założyć, że i ty miałeś w życiu przykre doświadczenia z lekarzami.

Barney przypomniał sobie nagle scenę, której nigdy nie widział, a która mimo to pojawiała się w jego niezliczonych sennych koszmarach - obraz ojca leżącego w ogrodzie twarzą do ziemi, krzyczącą matkę i Warrena biegnącego po pomoc... I doktora Freemana, który nigdy nie przyszedł.

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, w jak głębokiej pogрузzył się zadumie, dopóki nie usłyszał pytania Billa.

- No więc, napiszesz tę książkę czy nie?

Barney pokręcił głową. - Nie sądzę, żebyś chciał przeczytać to, co zamierzam napisać, Bill. Większość lekarzy jest tak oddana i zaangażowana w swoją pracę, że liczba samobójstw wśród nich jest prawie dziesięciokrotnie większa od przeciętnej.

- Czy to rzeczywiście prawda? - wykrzyknął ze zdziwieniem Bill.

Barney przytaknął skinieniem głowy. - Nałogowe spożywanie narkotyków i alkoholu jest wśród nich przypuszczalnie stokrotnie większe od normy. Opieka nad innymi ma swoją cenę - dodał.

- Chcesz zatem ich bronić, napisać apologię? - dopytywał się Bill.

- Nie - zaprzeczył Barney. - Stwierdzam tylko fakty. Lekarze nie różnią się niczym od innych ludzi.

- No dobrze - zgodził się Chaplin. - Pisz, jak chcesz. Przyrzeknij mi tylko, że to zrobisz.

Barney popatrzył na zegarek i wstał. - Słuchaj, muszę już wyjść, bo inaczej spóźnię się na moje spotkanie z pacjentem o trzeciej i będę musiał zadenuncjować samego siebie. Dziękuję za obiad, Bill. Wolałbym jednak rozmawiać o baseballu.

- Jak to?

- No bo teraz muszę się zabrać do pisania tej cholерnej książki.

Jak zwykle szczęście kochało Lance'a Mortimera. Jego nauczycielem w Szpitalu Mount Hebron był człowiek wzbudzający grozę u wszystkich swoich kolegów. Patrick Knowles okazał się bowiem pierwszym lekarzem, któremu udało się zredukować szpitalne obowiązki do czterdziestu ośmiu godzin na miesiąc.

Co więcej, były to godziny następujące po sobie kolejno. Niektórzy w społeczności medycznej zastanawiali się nawet, jakim cudem Knowles mógł zachować przytomność umysłu w ciągu tej swojej żmudnej, dwudniowej szychty. Ten przeszczepiony na amerykański grunt Anglik specjalizował się jednak nie tylko w usypianiu ludzi, ale i w ich budzeniu.

Poza tym był wspaniałym nauczycielem. Pokazał Mortimerowi, jak wykonywać zabieg, który należało przeprowadzić przed rozpoczęciem operacji, wymagający przypuszczalnie największej precyzji, a mianowicie - wkładanie wewnątrzchawicznej rurki do gardła oraz płuc pacjenta w celu wykonywania za niego oddychania.

(Na tym właśnie polega cała sztuczka, mój chłopcze - wyjaśnił Knowles. - Pamiętaj, że tchawica znajduje się z przodu przełyku. Upewnij się zawsze dobrze, czy rurka przeszła przez struny głosowe. Jeśli usłyszysz oddech po zewnętrznej stronie klatki piersiowej, to znaczy, że jesteś w domu.)

Lance szybko nauczył się również, jak unikać częstego błędu wśród początkujących anestezjologów, to znaczy wybijania zębów swym pacjentom w trakcie zakładania rurki.

“Na szczęście, kiedy przydarzyło mu się to pewnego razu, Knowles był przy nim i prędko zastosował aspirację w celu wyssania zębów, zanim zdążyły utkwąć w

oskrzelach czy też w płucach, gdzie mogły spowodować jakieś brzydkie zapalenie lub co gorsza - jeszcze brzydszą śmierć.

Szczęście sprzyjało mu wyjątkowo wiernie i w tym przypadku, gdyż “ofiara” jego była pacjentka leczona charytatywnie. Kobieta ogromnie ucieszyła się z możliwości otrzymania bezpłatnej protezy dentystycznej, która zdecydowanie poprawiła jej uśmiech.

Niezwykły sukces Knowlesa w Tinseltown miał również i inne przyczyny.

Był on nie tylko bogatym i przystojnym mężczyzną, ale i wyglądał o dwadzieścia lat młodziej, niż liczył sobie w rzeczywistości, i to najwidoczniej bez żadnych chirurgicznych poprawek.

Pewnej nocy (to znaczy jednej z tych jego dwóch na miesiąc) kiedy siedział razem z Mortimerem na dyżurze, dopuścił go również i do tego sekretu. Przede wszystkim regularnie wmasowywał w twarz magiczną maść doktora Niehana, wykonaną z owczych zarodków w słynnej klinice w Szwajcarii, jak również konsekwentnie unikał awantur.

- Jeśli chirurgom - z których większość, jak zapewne zauważyłeś, to zarozumiali głupcy - wydaje się, że wszystko wiedzą lepiej, to pozostaw ich w tym błogim przeświadczeniu. Jeśli pacjent nie przeżyje, to dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto oni dostają po uszach. Zazwyczaj nie musisz nawet brać udziału w nieprzyjemnym rytuale informowania o tym najbliższej rodziny. A ponadto, dzięki tym cudownym i wysoce kompetentnym anestezyjologicznym pielęgniarcom można nadzorować pracę na trzech salach operacyjnych jednocześnie, zaglądając tam kolejno i sprawdzając stan pacjentów. A ponieważ my, “zagazywacze”, nie musimy się nawet przedtem szorować, to od czasu do czasu możemy zadzwonić na sekundę do maklera, żeby sprawdzić, jak się miewają nasze własne akcje.

Lance podziwiał i szanował tego człowieka. Jak dotąd, największym jego marzeniem było nadzorowanie zaledwie dwóch sal operacyjnych jednocześnie.

- Hej, Bennett, mam pacjenta za jakieś dziewięćdziesiąt sekund. Pospiesz się więc. O co chodzi?

- Dostałem się, Livingston! Właśnie otrzymałem telegram potwierdzający przyjęcie mojej kandydatury. Będę uczestniczył w programie przeszczepu serc w Houston.

- To wspaniale, Landsmann. Zostaniesz pierwszym facetem w historii medycyny, który będzie przeszczepiał serca z odrobiną duszy!*

- Hej, to było całkiem niezłe powiedziane.

- Za ten komplement, Ben, zafunduję ci kolację, na którą i tak miałem cię zaprosić, ale będziesz mógł za to zażądać dwóch deserów.

- Gdzie i kiedy?

- Może spotkalibyśmy się gdzieś w połowie drogi? Na przykład tuż przy trzynastym zjeździe z autostrady w kierunku Connecticut? Podobno jest tam miejsce, gdzie podają niezłe befsztyki. Proponuję piątek, około ósmej trzydzieści wieczorem.

- Świetnie, wracaj do swojej kanapki, Barney.

Dwa dni potem Barney wjechał swoim nowym ffordem pinto na parking przed zajazdem Red Coach Grille i krążył wolno. Wreszcie wyśledził jaguara Bennetta i zaparkował o parę miejsc dalej.

Wewnątrz restauracji było tłumnie i gwarno. Nie miał jednak problemów ze znalezieniem Bennetta, który był wyższy i naturalnie ciemniejszy od reszty klientów.

Przywitali się i złożyli sobie nawzajem gratulacje. Jeden i drugi widział przed sobą zmęczone oblicze. Zaczęli się więc zastanawiać, ile jeszcze lat z życia zabierze im taki morderczy bieg.

Zamówili befsztyki oraz butelkę Mondavi Cabernet Sauvignon i skierowali się w stronę bufetu z sałatkami, aby napełnić sobie nimi talerze.

Kiedy wrócili do stolika, Bennett pragnął jak najprędzej opowiedzieć przyjacielowi o swojej nowej, fascynującej posiadce. Mieli jednak coraz większe kłopoty z konwersacją. Tuż obok znajdował się bowiem duży stół, przy którym siedziała głośna i wesoło zachowująca się grupa ludzi, najwidoczniej bawiąca się coraz lepiej. W końcu obaj musieli zamilknąć.

Była to przypuszczalnie jakaś uroczystość rodzinna, podczas której łysiejący okrągły mały człowieczek opowiadał głośno nosowym głosem jakieś anegdoty. "Był nawet zabawny. Tak bardzo starał się pozostawać w centrum zainteresowania - nie tylko przy własnym stole, ale i w całej restauracji - że obaj lekarze nie mieli wątpliwości: usiłował w ten sposób kompensować swój kompleks niższości. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste z chwilą nadejścia kucharza w białej czapce kucharskiej

* Aluzja do tradycyjnej murzyńskiej twórczości zwanej soul lub spirituals. Są to stylizowane pieśni o tematyce religijnej lub też nawiązujące do duchowych przeżyć ludności murzyńskiej w Ameryce.

na głowie, popychającego przed sobą ogromny wózek, na którym leżał długi, soczysty kawałek londyńskiej pieczeni, gotowej do pokrojenia zgodnie z życzeniami klientów.

- No to za to bycze zdrówko! - pisnął opasły człowieczek. Jego klan zaczął wiwatować, pogwizdywać i klaskać głośno.

I wówczas grubas zaproponował coś zaskakującego:

- Mogę się z wami założyć, że zdołam połknąć ten cały kawał pieczeni za jednym zamachem.

- Nie ma mowy, Carlo - zaprzeczył kategorycznie ktoś z jego rodziny. - Nawet koń nie byłby w stanie tego zjeść.

Carlo udał oburzenie.

- Założysz się ze mną o pieniądze, Chet? - sięgnął do kieszeni, wyciągnął plik banknotów i wyjął z niego studolarówkę. - Stawiam sto dolarów na to, że za jednym zamachem zdołam połknąć całą tę pieczeń. Przebij to albo się zamknij.

- W porządku - odparł Chet ze śmiechem. - To będzie najłatwiejsza stówka, jaką kiedykolwiek uda mi się w życiu zarobić. Zaczynamy!

Oczy wszystkich w restauracji zwróciły się na Carla, który odsunawszy blat do krajania mięsa, zaczął krążyć wokół swojej ofiary niczym prawdziwy matador.

W końcu podszedł bliżej, złapał pieczeń w obie ręce i podniósł ją tak wysoko, aby wszyscy zebrani mogli się jej dobrze przyjrzeć. Ze wszystkich stron sali, wyłączając stolik dwóch doktorów, dało się słyszeć oklaski i zachęcające okrzyki.

Barney usłyszał, jak jeden z członków rodziny Carla zwierzał się sąsiadowi: - Widziałem już kiedyś, jak potykał niezłe kawałki. Ten jednak nadaje się na wzmiankę w *Księdze rekordów Guinnessa*.

Nagle tłum zamilkł. Niemal namacalnie wzrosło napięcie w sali.

Na oczach podnieconej publiczności Carlo zaczął wpychać sobie do ust olbrzymią pieczeń. W chwilę później znalazł się na krawędzi śmierci.

Zapchał sobie całkowicie gardło, nie będąc nawet w stanie zaczerpnąć powietrza. Chwycił się za szyję i zaczął się zataczać, rozpaczliwie usiłując usunąć z gardzieli pieczeń. Tymczasem jego twarz nabierała sinoniebieskiej barwy.

Żona mężczyzny zaczęła krzyczeć. Wszyscy obecni w restauracji zamarli z przerażenia, jakby rażeni paraliżem.

Barney i Bennett zareagowali instynktownie.

- Zabieg Heimlicha - rzucił Bennett.

Żona Carla usiłowała pomóc mężowi wyrwać z ust kawał mięsa, kiedy nagle pojawił się Barney, szorstko odpychając ją na bok.

- Co pan robi...? - krzyknęła.

- Jestem lekarzem! - odpowiedział ostro. Nie był to bowiem czas na dobre maniery. Zaczął stosować standardową metodę usuwania ciał obcych z tchawicy w przypadku, gdy blokują przepływ powietrza do płuc. Ustawił się zatem za Carlem, objął rękoma pokaźny pas ofiary, zwinął palce prawej dłoni w pięść i zaczął uciskać brzuch od pępka po klatkę piersiową szybkimi, mocnymi ruchami.

Nie odniosło to jednak żadnego skutku. Drogi oddechowe były zbyt ciasno zapchane. Bennett stanął przy nim.

- Heimlich nic tu nie pomoże, Ben - zawołał Barney. - Co teraz? Bo inaczej umrze za pół minuty.

Bennett dobrze wiedział, co w związku z tym należało teraz robić.

- Tracheotomia. Połóż go na podłodze, prędko!

Mężczyzna stracił przytomność i zwisał ciężko w objęciach

Barniego, który położył go w końcu na ziemi. Oszołomieni widzowie nie byli nawet w stanie zareagować. Bennett złapał za leżący na pobliskim stole nóż do krojenia befsztyków, przyklął i wbił jego ostrze w podstawę gardła ofiary. Z rany poląła się krew.

Krewni Carla zareagowali paniką. Rozległy się histeryczne okrzyki: "Rzucił się na niego z nożem!", "Ten Murzyn usiłuje go zabić!", "Ratunku!", "Wezwijcie policję!", "Morderstwo!"

Kiedy Barney dzielnie przytrzymał Carla, jeden z krzepkich barmanów usiłował odciągnąć Bennetta na bok.

- Przestań, ty ośle! - wrzasnął Barney. - On jest chirurgiem. Ratuje w tej chwili temu człowiekowi życie!

Barman jednakże nie słyszał albo też nie chciał usłyszeć. Nadal próbował podnieść Bennetta na nogi. Nie było czasu na grzeczne wyjaśnienia. Bennett uderzył go lewą pięścią w splot trzewny i mężczyzna potoczył się po podłodze.

Tłum cofnął się w przerażeniu.

- Jestem doktorem, do jasnej cholery! - krzyknął Bennett, nieomal tracąc panowanie nad sobą.

Tymczasem Barney zawołał z dołu: - Chodź tutaj, Ben. Znajdź coś, co moglibyśmy użyć" zamiast tokara, żeby dostarczyć temu facetowi powietrza.

Bennett rozejrzał się prędko wokół siebie, lecz nie zauważył niczego odpowiedniego do tego celu. Nagle dojrzał w pobliżu kelnera z długopisem w górnej kieszeni marynarki. Złapał je błyskawicznie i przełamał na dwie części. Wyciągnął z niego wkład i podał twardszą, zewnętrzną rurkę Barniemu, który natychmiast zatopił ją w nacięciu dla rozszerzenia otworu i ułatwienia wolnego przepływu powietrza. Zatrzymawszy się na moment, krzyknął w stronę Bennetta: - A co z krwawieniem? Czy dałoby się zastosować coś zamiast zacisków?

- Nie, Barney. Zostań przy nim i pilnuj, żeby to otwarcie...

Resztę zdania zagłuszył ryk syren. Barman nacisnął bowiem guzik swego tajnego alarmu, wzywając w ten sposób policję stanową, stacjonującą w odległości zaledwie ośmiuset metrów od zajazdu.

Nagle w całej sali zaroilo się od policjantów.

Szybko pojęli sytuację. Czarny mężczyzna z nożem w ręku pochylał się nad białym człowiekiem z krwawiącą raną na szyi. Wobec tego zadziałali prędko i sprawnie.

Trzech z nich rzuciło się na Bennetta. Dwóch przytrzymało mu ręce z tyłu, a trzeci bił go dziko pięściami po twarzy i ciele, aż osunął się nieprzytomny na ziemię. Oni jednak kopali go dalej.

Barney wiedział, że musiał pilnować otworu w drogach oddechowych pacjenta, więc nie był w stanie pospieszyć przyjacielowi na pomoc. Zamiast tego ryczał tylko niczym zraniony byk: - On jest doktorem, ty chamie! Właśnie uratował temu człowiekowi życie! Zostawcie go w spokoju!

A potem już nic nie pamiętał.

Ocucił go zimny wiatr.

Z początku walczył o odzyskanie przytomności, ale widział przed sobą tylko psychodeliczny błysk świateł. Miał wrażenie, że dostał obuchem w tył głowy.

Sanitariusz złamał mu ampulkę amoniaku pod nosem dla przywrócenia świadomości.

- Jak się pan czuje? - zapytał.

A jak ja się mam czuć? - pomyślał sobie. Mam wrażenie, że skoczyłem na główkę do pustego basenu. Coś jednak bolało go bardziej od jego własnej głowy.

- Ben! Gdzie jest Ben?

- Ma pan na myśli tego drugiego doktora?

- On jest chirurgiem - zaprotestował słabo Barney.
- Nic mu nie będzie - odparł sanitariusz.
- Jak to? - zapytał Barney. - Gdzie on jest?
- W drodze do szpitala Ridgetown.
- Czy to znaczy, że nadal opiekuje się pacjentem?
- Niezupełnie. Jedzie tam osobnym ambulansem.

Barney zdołał wreszcie skupić wzrok. Popatrzył ze złością na drugiego człowieka, który wypowiedział właśnie te słowa.

- Został bardzo poważnie pobity - wyjaśnił niepewnie mężczyzna. - Sądzę, że policjanci nie wiedzieli, kim jest. Wzięli go za...

- Ty baranie! Ten człowiek wykonał naprędce tracheotomię. Uratował temu tłustemu idiocie życie.

Sanitariusz nie wiedział, jak na to zareagować. Nie mając nic lepszego do powiedzenia, potwierdził: - Tak, to było niesamowite. Byliście obaj wspaniali.

- Zabierz mnie do niego! - rozkazał Barney, nadal bełkocząc niewyraźnie. - Chcę się zobaczyć z moim przyjacielem.

- Przykro mi, ale mam rozkaz wykonania prześwietlenia na wypadek zaistnienia wstrząsu mózgu. A potem zabiorę pana ze sobą.

- Nie musi mnie pan nigdzie podwozić - wymamrotał Barney. - Mam tutaj swój samochód.

- Przykro mi - odpowiedział medyk przeproszającym tonem - ale miałem na myśli posterunek policji. Rodzina tamtego faceta zgłosiła napad.

Raz jeszcze musiał obudzić brata w środku nocy. - Słuchaj, Barney - jęknął Warren, nadal oplatany pajęczyną snu. - Nie dzwonisz chyba, żeby mi powiedzieć, że znowu sprzedałeś jakąś książkę.

- Nie, tym razem to mnie spisano do książki.
- Co takiego?
- Otrzeźwiej i posłuchaj. Policja po/wała na wykonanie tylko jednego telefonu.
- Policja? A o co tam chodzi?
- Nie jestem pewny. Mam jednak wrażenie, że chcą mnie oskarżyć o próbę popełnienia morderstwa.
- O cholera! - wykrzyknął Warren, oprzytomniawszy natychmiast.

Barney zaczął szybko i zwięźle opisywać bratu całe zajście, przy niecierpliwym stukocie obcasów nadzorującego rozmowę zarozumiałego policjanta.

Warren usiłował zapamiętać najważniejsze szczegóły. Na szczęście czytał niedawno o podobnej sprawie w jednym z czasopism prawniczych.

- Słuchaj, Barney, wiem, że jesteś już zmęczony. Muszę jednak zadać ci kilka bardzo ważnych pytań i chcę, żebyś się dobrze zastanowił, zanim mi odpowiesz.

Stukot butów policjanta przybierał na sile. Barney spojrzał na niego błagalnie i powiedział z całą uprzejmością, na jaką mógł się zdobyć: - To jest mój prawnik, sierzancie. Sądzę, że wolno mi rozmawiać ze swoim prawnikiem tak długo, jak uznam to za konieczne.

Umundurowany odchrząknął tylko, jakby chciał przez to powiedzieć, że sam osądzi, ile na to faktycznie potrzeba czasu.

- No więc - zaczął Warren swoje wstępne dochodzenie - czy powiedziałaś im jasno, że jesteś lekarzem?

- Wrzeszczałem o tym na cały głos.

- Czy w jakimkolwiek momencie pacjent poprosił cię o pomoc lub też odrzucił ją?

- Warren - odpowiedział Barney jeszcze bardziej zirytowany niż zmęczony - ten facet był już prawie martwy. Gdyby niemy...

- Proszę cię, Barney, odpowiedz na moje pytanie. Czy był tam ktoś z rodziny?

- Owszem, tak sądzę. O co ci, u diabła, chodzi?

- Mam tu na myśli prawo "dobrego samarytanina" - odpowiedział mu brat. - W latach pięćdziesiątych w większości stanów ustanowiono prawo, które pozwala lekarzom na udzielanie pomocy w nagłych wypadkach, nie narażając się na oskarżenia sądowe w razie popełnienia błędów w sztuce lekarskiej.

- Słuchaj, to była sprawa życia lub śmierci. Nie miałem tam czasu legitymować się dyplomem.

- A zatem chcesz mi przez to powiedzieć, że powiedziałaś im, kim jesteś, i ani ofiara, która z medycznego i legalnego punktu widzenia była niekomunikatywna, ani też jej rodzina nie odmówiła medycznej pomocy?

- Tak to mniej więcej wyglądało - przyznał cicho Barney.

- W porządku. Posłuchaj, muszę zadzwonić do paru osób, żeby się dowiedzieć, z którymi prawnikami współpracuje nasza firma w Connecticut. A potem pojedę tam zaraz, żeby zorganizować kaucję.

- A co ja mam robić w tym czasie?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział mu brat, usiłując go uspokoić. - Czytaj sobie gazetę, graj w karty z Bennettem.

- Bena tu nie ma - odpowiedział zatroskany Barney. - Jest w szpitalu w Ridgetown.

- No to zadzwoń do niego i powiedz mu, żeby się nie martwił. Postaram się to jak najszybciej załatwić.

- Czy mógłbyś zadzwonić do Bena? - poprosił Barney. - Wolno mi było wykonać tylko jeden telefon, więc zadzwoniłem do ciebie.

- Czy to znaczy, że w Kanadzie też? - Barney trzymał telefon w mniej obandażowanej dłoni.

- Owszem, Barney - odpowiedziała Laura. - Jedna ze stacji telewizyjnych musiała podchwycić całą historię. Tutejsze gazety narobiły wiele szumu. Napisano nawet na ten temat duży artykuł wstępny.

- Za czy przeciw?

- Daj spokój, masz paranoję? Naturalnie, że był przychylny. Podano waszą sprawę jako przykład wskazujący na potrzebę wprowadzenia ogólnokrajowego prawa "dobrego samarytanina". Postąpiliście właściwie. To, co zrobiliście, było wspaniałe.

- Rodzina tego faceta była innego zdania.

- Ale przecież wycofali w końcu swoje oskarżenia, tak czy nie?

- Owszem. Ochłonęli dość prędko, choć nadal czekam na jakąś bombonierkę lub kartkę z podziękowaniem.

Laura umilkła.

- Hej, Castellano, czy wszystko w porządku?

- Wiesz, pomyślałam sobie, że była to przypuszczalnie najważniejsza rzecz, jakiej dokonałeś od czasu, kiedy zostałeś doktorem.

- Nie rozumiem?

- Zamierzam sprawdzić, czy ten łajdak, doktor Freeman, nadal praktykuje w Brooklynie, a potem wysłać mu wszystkie wycinki z prasy. Może sobie przypomni, że ma na sumieniu twego ojca.

Barney zamyślił się przez chwilę. Laura miała rację. Być może ta adrenalina, która zadziałała tak prędko w restauracji, zbierała się w nim już od dzieciństwa,

czekając na moment, kiedy będzie mógł pokazać doktorowi, który odmówił udzielenia pomocy jego ojcu, jak należało postąpić.

W tym samym czasie, kiedy Laura i Barney wymieniali myśli, rozwścieczony Herschel stał przy łóżku swojego syna w Szpitalu New Haven w Yale. (Uparł się, żeby przewieziono tam ambulansem Bennetta pomimo kategorycznych protestów miejscowego ortopedy.)

Po drugiej stronie pokoju siedziało dwóch mężczyzn w średnim wieku, jeden w trzyczęściowym garniturze, a drugi w sportowej kurtce. Żaden z nich nie wyglądał na lekarza. Bennett leżał na plecach. W paru miejscach miał założony gips, a głowę i klatkę piersiową obandażowano mu tak ciasno, że sprawiał wrażenie współczesnej mumii.

W godzinę później przyjechał Barney, również z bandażem na głowie.

- Jak on się ma? - zapytał Herschla.

- Powiedziałbym, że ci policjanci wykonali swoją robotę bardzo dokładnie. Połamali mu wszystkie kości, jakie się tylko dało.

W tym momencie Bennett poruszył się i oprzytomniał.

- Jak się czujesz? - zapytał z niepokojem Herschel.

- Cześć, tato - odpowiedział na wpół przytomnie. - Nic jeszcze nie czuję. Co się stało?

- No cóż, odgrzewając stary dowcip - operacja się udała, tylko doktor umarł!

- A zatem uratowaliśmy mu życie? - zapytał Bennett wysuszonymi ustami.

Barney nalał wody do szklanki. - Oczywiście. Od tej chwili możesz wykonywać operacje kuchennymi nożami, a potem może awansujesz do łyżek i widelców.*

Bennett uśmiechnął się. - Nie rozśmieszaj mnie. Wszystko mnie boli.

- Przykro mi, Ben - powiedział Barney, podnosząc kubek wody do ust przyjaciela. - Chciałem cię tylko polechtać po żebrach.

Bennett jęknął ponownie. - Tato, proszę cię, wyrzuć stąd tego błazna.

Odпочzął chwilę, odetchnął głęboko i zapytał: - Kto mnie tak pokroił?

- Sami najlepsi, mój chłopcze - odpowiedział Herschel. - Szef twego oddziału.

- Czy to znaczy, że jestem w Yale?

- Aha - przyznał Barney. - Początkowo chcieliśmy ci pozwolić zoperować się samemu w swoim własnym szpitalu, ale twój szef stwierdził, że jesteś jeszcze za niski rangą.

Bennett znowu poczuł ból w żebrach ze śmiechu. - Kto cię tu nasłał? Ku-Klux-Klan? Gadaj do rzeczy. Przeczytaj mi notatki z sali operacyjnej.

- Uspokój się. Mam wrażenie, że zapisano tam kilka tomów. Radiolog przyrzekł, że przyniesie ci zdjęcia, jak tylko odzyskasz przytomność.

- Ależ ja już jestem przytomny - odpowiedział wolno Bennett. - Przynieś mi te zdjęcia, żebym mógł oszacować straty.

- Już je sprawdzałem - odpowiedział spokojnym głosem Barney. - Złamali ci kość promieniową i łokciową w obu rękach. Masz również pękniętą kość udową i trafili cię co najmniej czterokrotnie w głowę. Powiedzmy, że zrobili sobie układankę z twoich kości.

Bennett wyczuł, że przyjaciel coś pominął.

- Daj spokój - przerwał mu. - Gdyby to było wszystko, nie miałbyś takiej miny zbitego psa, Barney. W co jeszcze trafili?

Barney zawahał się. W końcu powiedział możliwie najswobodniej: - Miałeś pęknięcie z przemieszczeniem w kręgach szyjnych kręgosłupa. Twój szef nastawi złamanie, jak tylko zdołasz wytrzymać następną dozę gazu. A wtedy będziesz z powrotem jak nowy.

- Nie nabieraj mnie, Livingston. To wyłączy mnie z akcji co najmniej na dwanaście tygodni.

- Nic się nie martw, Bennett - wtrącił Herschel. - To w żaden sposób nie wpłynie na twoje zatrudnienie w Teksasie. Tymczasem, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym omówić pewne sprawy z tymi oto panami.

W tym momencie podeszła do nich ta nie dobrana pod względem ubioru para i przedstawiła się. Byli tak znanymi prawnikami, że Bennett natychmiast skojarzył ich nazwiska. Jeden z nich - Mark Sylbert - był znanym bojownikiem o prawa cywilne i obrońcą pokrzywdzonych. Drugi zaś uważany był za najbardziej przekonującego mówcę sądowego w całym kraju.

- Nie możemy tu siedzieć i patrzeć spokojnie na to, jak kraj ten depcze swoje podstawowe zasady - argumentował Sylbert. - To jasny dowód tego, do czego doszło całe nasze społeczeństwo, i chciałbym, żeby mi pan pozwolił działać, doktorze Landsmann.

- Tato, ja sądzę, że nie macie racji - odpowiedział Bennett, wykrzywiając się przy tym z bólu.

- Nie, mój synu, to najwspanialsza rzecz, jaką ma do zaoferowania Ameryka. Tu człowiek może domagać się prawdziwej sprawiedliwości.

- Tylko wtedy, jeśli może sobie pozwolić na kosztownych adwokatów, tato.

- Wybacz mi, Ben - odpowiedział Herschel ze wzrastającym oburzeniem. - Masz co najmniej tuzin połamanych kości i uszkodzony kręgosłup w nagrodę za szlachetny postępek.

- No właśnie - wtrącił Sylbert. - Zobaczyli tylko kolor pańskiej skóry i z miejsca założyli, że popełnił pan przestępstwo. Według mnie jest to najbardziej zjadliwa forma rasizmu. Nadarza się wreszcie szansa, żeby ich pociągnąć do odpowiedzialności.

- Cała ta historia jest już opisana w prasie - powiedział drugi prawnik.

- To dobrze - stwierdził Bennett. - Przedstawiono zatem nasz punkt widzenia.

A potem spojrzał na Herschla i zapytał: - Ile będzie kosztowało wniesienie tej sprawy do sądu?

- Ben, pieniądze nie są tu ważne. Zapłacę tyle, ile będzie trzeba.

- Dobrze - odpowiedział Bennett, którego coraz bardziej męczyło mówienie. - Nie traćmy forsy na zdobywanie harcerskich punktów prawnych. Wyślij raczej równowartość kosztów sądowych do Southern Christian Leadership - dla uczczenia pamięci doktora Kinga.

Rozdział XXXIX

W celu właściwego zanalizowania psychiki lekarskiej Barney sporządził kwestionariusz, który wysłał potem do wszystkich swoich przyjaciół i znajomych ze Szkoły Medycznej. Każdy z nich był niewątpliwie kiedyś świadkiem różnych pozascenicznych dramatów. Obiecał im naturalnie całkowitą anonimowość. Mogli nawet pominąć własne nazwiska.

Lance Mortimer odpowiedział wyczerpująco jako jeden z pierwszych, dodając osobisty list.

Drogi Barney,

uważam, że to wyśmienity pomysł (aż pluję sobie w brodę, że sam na to wcześniej nie wpadłem). Prawdę rzekłszy, byłem świadkiem tylu nieprawdopodobnych wprost rzeczy, że jakieś dwa lata temu zacząłem pisać pamiętnik Przejrzę go teraz uważnie i wyślę Ci co smakowitsze kaski. (Nie mogę wysłać fotokopii całości - nawet własnemu analitykowi nie zwierzam się ze swoich seksualnych wyczynów.)

Załączam tu opis wydarzenia z szóstego czerwca 1970 roku, wczesny ranek. Zatałem naturalnie prawdziwe nazwiska - nie tyle dla ochrony niewinnych, co dla ratowania własnej skóry. Jak zapewne wiesz, wypadki te wydarzyły się w Los Angeles, ja jednak podałem tu fikcyjną nazwę prywatnego Szpitala St. Davids w Newport Beach. Byłbym Ci wdzięczny, gdybyś podtrzymał moją małą bajkę. W przeciwnym razie mógłbyś rozsadzić całą tę cholerną klikę na drobne kawałki - albo też im udałoby się wcześniej zniszczyć Ciebie.

Pozdrowienia

Lance

PS. Twoja książka o mistrzach świata została parę lat temu zrecenzowana w "Las Angeles Times" przez niejaką Verę Mihalic. Nie sądziłem, abyś chciał to zobaczyć, więc nie wysłałem Ci tego artykułu.

Barney zaczął czytać pierwszy przypadek Lance'a i uśmiechnął się, rozbawiony jego hollywoodzkim stylem. Zanim jednak zdążył doczytać do końca, był wstrząśnięty do głębi. Najwyraźniej niechcący otworzył puszkę Pandory.

Przeczytał artykuł trzykrotnie i poczuł nagle potrzebę podzielenia się z kimś swoim niepokojem. Doktor Baumann przypuszczalnie nie potraktowałby zbyt łaskawie nocnego telefonu od swego byłego pacjenta, więc nie miał innej alternatywy.

- Cześć, Castellano. Czy cię obudziłem?

- Nie. Na okres Wielkiego Postu postanowiłam zrezygnować ze snu. O co chodzi?

Przeczytał jej wówczas dokument.

Z pewnością nikt z nas nie zapomni tak szybko mistrzowskiej roli zdobywcy Oscara, Luke'a Jamisona (fikcyjne nazwisko) w filmie Stanleya Waltera (również fikcyjne nazwisko), zatytułowanego powiedzmy sobie *Bezgwiezdna noc*. Nikt też nie wymaże łatwo z pamięci June Sommerville (także fikcyjne nazwisko), a w rzeczywistości pani Jamison, w roli głuchoniemej dziewczyny.

Pewnego dnia, ku ogólnemu podnieceniu całego personelu, zawiadomiono nasz szpital, że właśnie wysłano do nas June prywatnym ambulansem z podejrzeniem perforacji wyrostka robaczkowego.

Chirurg Steve Ross (nieprawdziwe nazwisko) obudził mnie z ciężkiego snu na dyżurce, każąc natychmiast przygotować się do operacji. Nie miałem nawet czasu przejechać brzytwą po szczecinie ani przyczesać włosów przed wejściem na salę operacyjną.

Jeśli nigdy nie widzieliście z bliska June Sommerville, to pozwólcie, że was zapewnię, że jej uroda wcale nie była rezultatem makijażu ani też żadnych fotograficznych sztuczek. Ona rzeczywiście była po prostu cudowna.

Kiedy wwoziliśmy ją na salę, zauważyłem mimochodem, że pojawił się sam dyrektor szpitala i poprosił jej męża, Luke'a, aby poczekał z nim razem w jego gabinecie. Wstrzyknąwszy pannie Sommerville odpowiedni środek rozluźniający dla odprężenia, wsunąłem jej prędko do tchawicy rurkę i zacząłem pompować ambu w celu nadmuchiwania płuc. Wreszcie wprowadziłem jaw stan "błogiego snu" za pomocą zwyczajnej mieszanki halotanu i tlenu. Poprosiłem ją o wymienienie dziesięciu ulubionych ról filmowych. Dotarła zaledwie do *Ben Hura*, kiedy nagle znalazła się w drugim stadium anestezji, w podobnej do nirwany krainie snów. Zasygnalizowałem doktorowi Rossowi, że pacjentka była już nieprzytomna.

On zaś poprosił wtedy o swój nieomylny skalpel i uczynił bezbłędne nacięcie na białym niczym kość słoniowa łonie. W parę minut później - Ross jest bowiem

wyśmienitym rzemieślnikiem - wyrostek robaczkowy został usunięty i rozpoczęto paracentezę jamy brzusznej, czyli sączkowanie zakażonego płynu.

I wówczas stało się nieszczęście. Byliśmy wszyscy - a zwłaszcza doktor Ross - tak oszołomieni faktem, że gwiazda tej wielkości, co panna Sommerville, występowała gościnnie na naszej sali operacyjnej, że zapomnieliśmy zebrać przed rozpoczęciem operacji wszystkie istotne dane medyczne pacjentki.

I tak oto nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, że panna Sommerville była uczulona na penicylinę, dopóki nie dostała anafilaktycznego wstrząsu. Kiedy robiłem, co mogłem, żeby ją dotlenić, nastąpiła następna katastrofa - zatrzymanie pracy serca.

Ross nie tracił czasu i prędko otworzył wspaniałą klatkę piersiową pacjentki i zastosował masaż serca. Mijały minuty, a ona ciągle nie odzyskiwała przytomności. Jej cudownie wyrzeźbione rysy zaczęły sinieć w oczach.

Po kilku minutach zaproponowałem Rossowi, żeby zaprzestać prób ratowania jej, gdyż wyglądało na to, że jest to stracona sprawa.

- Ty, kretynie! - wrzasnął na mnie. - Nie możemy dopuścić do tego, żeby żona Luke'a Jamisona zmarła na naszym stole! To zaszargałoby reputację naszego szpitala. Nie mówiąc już o tym, że nie przyjmowano by mnie w żadnym towarzystwie w tym mieście! Pompuj dalej, do cholery!

Powiedziałem mu wtedy, że nawet gdyby udało nam się ją natychmiast przywrócić do życia, najprawdopodobniej nastąpiło już nieodwracalne uszkodzenie mózgu. A on odparł mi na to, żebym się zamknął i zintensyfikował wentylację.

Po osiemnastu minutach i trzydziestu trzech sekundach serce June Sommerville zaczęło bić ponownie.

- Dzięki Bogu! - mruknął do siebie Ross.

Profesjonalnie rzecz biorąc, nie jest to najlepsze pociągnięcie - westchnąłem do Boga.

Kiedy tylko udało nam się ustabilizować oddech, Ross zerwał z twarzy maskę i biegiem poleciał do gabinetu dyrektora, żeby powiadomić pana Jamisona o tym, że operacja się udała.

Jeśli jednak ktoś z was zastanawia się, dlaczego June Sommerville nie zrobiła ostatnio żadnego filmu, to zapewniam was, że powodem tego nie jest wcale to, że - jak to orzekła prasa - woli siedzieć w zaciszu swego różanego ogrodu w Bel Air. June Sommerville przebywa teraz w ekskluzywnym domu opieki, gdyż mózg jej jest

uszkodzony do tego stopnia, że nie jest nawet w stanie rozpoznać swego słynnego męża.

Byłem tym wszystkim wstrząśnięty, zwłaszcza gdy Steve Ross zażądał, żebym mu oddał swój raport. Sam poczuwałem się do winy i zdawałem sobie sprawę z tego samego co Ross. Nawet student pierwszego roku medycyny ma świadomość, że po pięciu minutach wstrzymania pracy serca uszkodzenie mózgu jest nieuniknione. Nie było zatem sensu przysparzać zmartwień Jamisonowi.

Później dowiedziałem się, że regularnie oddaje część żywemu posągowi własnej żony, za każdym razem przynosząc jej bukiet czerwonych róż.

Z jakiegoś jednak powodu Steve Ross już nigdy więcej nie poprosił mnie, żebym został jego zagazywaczem.

Jak twierdził Bennett w momentach lepszego humoru, które poza odwiedzinami Barniego stawały się coraz rzadsze, jego powrót do zdrowia przypominał obieranie z łusek cebuli. Za każdym razem, kiedy ściągano z niego jakiś bandaż, natrafiano pod spodem na następny. Plastry pokrywały kolejne warstwy plastrów, tak że wydawało się nieomal, że nie było pod nimi miejsca na Bennetta.

Po pięciu tygodniach rekonwalescencji ból fizyczny ustąpił miejsca udreće psychicznej. Bezczynność była bowiem dla niego nie do zniesienia. Martwił się też tym, co działo się w tym czasie z jego mięśniami pod gipsem.

- Całe moje ciało uległo zanikowi - skarżył się Barniemu podczas jednej z jego wizyt.

- Słuchaj, Landsmann - próbował żartować Barney. - Wszyscy asystenci chirurgiczni na świecie ci zazdroszczą. Spędziłeś już więcej czasu w łóżku niż większość z nich w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Chętnie bym się z nimi zamienił - mruknął ze zniecierpliwieniem zirytowany Bennett. - Z tego też powodu posłużyłem się swoim nieodpartym urokiem i zmusiłem ortopedów, żeby mi pozwolili już teraz zacząć fizjoterapię.

- Teraz? W tym gipsie? A jaki to, za przeproszeniem, sport zamierzasz uprawiać? Skoki ze spadochronem?

- Nie, doktorze Livingston - odpowiedział Bennett. - Zaczynam od ćwiczeń z dwiema piłkami.

- Tak jak i my wszyscy - zażartował Barney.

- Pozwól jednak, że ja zacznę od zabawy piłkami do squasha.

Pewnego dnia odwiedził go profesor chirurgii ortopedycznej, Jeffrey Kirk, przynosząc zamiast czekoladek coś, na co Bennett czekał już od dawna - zdjęcia rentgenowskie. Przejrzeli je razem.

- No cóż, Jeff - stwierdził Bennett beztrąsko - według mojej profesjonalnej opinii, kości tego pacjenta zrastają się wyśmienicie.

Potem jednak spojrział na ostatni zestaw zdjęć, przedstawiających siedem kręgów szyjnych pomiędzy głową a ramionami.

- O cholera! - mruknął. - Mogę się założyć, że to nie była pestka, Jeff. Ale nastawiłeś to pierwszorzędnie. Kiedy zatem wypuścisz mnie stąd z powrotem na salę operacyjną?

Odpowiedź Kirka zaskoczyła go.

- Czy jutro rano nie będzie za wcześnie?

Gdyby nie bandaże na obu nogach, Bennett podskoczyłby pewno z radości.

- Będę tam jutro z całą pewnością, Jeff.

Dopiero wtedy Kirk podał mu swoje warunki.

- Nie chcę, żeby cała moja praca poszła na marne, Ben. Będziesz musiał nosić obręcz.

- Nie, chyba żartujesz! Będę w tym wyglądał jak Marsjanin.

- To nie ma znaczenia. Twoi koledzy już od dawna uważają, że pochodzisz z Marsa - stwierdził Kirk.

Rzeczywiście wyglądał jak przybysz z obcej planety. Założono mu metalową obręcz wokół głowy i przymocowano ją do czaszki. Drugi mocny pręt sięgał do ramion. Miało to unieruchomić szyję i zapobiec ponownemu uszkodzeniu kręgów, które Jeffrey tak fachowo nastawił.

- Mówię ci - powiedział Bennett Barniemu, kiedy pewnego wieczoru rozmawiali przez telefon - wyglądam jak miedziana kopia Tonto.

- Zrób sobie zdjęcia i roześlij je potem w charakterze kartek na Boże Narodzenie - poradził mu Barney.

- Nie, mój drogi, na świątecznych kartkach to ja już będę stał prosto - w Teksasie w kowbojskim kapeluszu na głowie.

Bennett nawet nie zauważył, że przyglądano się jego obręczom na głowie. Zdążył się już do tego czasu uodpornić na spojrzenia ludzi patrzących ze zdziwieniem na czarnego człowieka poruszającego się po terytorium białych.

Tymczasem musiał się zadowolić zszywaniem, a w najlepszym wypadku prostym wycinaniem wyrostków robaczkowych. Ćwiczenia z piłkami do squasha okazały się bardzo pomocne, gdyż przynajmniej jego przedramiona robiły wrażenie bardziej masywnych aniżeli przed wypadkiem.

Na koniec zaczął domagać się nagrody. - Zdejmij mi to świństwo z głowy, bo inaczej sam je odkręcę - zagroził profesorowi Kirkowi. - Chcę mieć pełną swobodę ruchów, żeby móc się zająć poważnymi zabiegami.

Kirk zmarszczył brwi. - Z tego, co słyszę, zdałeś już egzamin, Ben. Ściany mają uszy, nawet pomimo panującego tu zgiełku.

- Aha - przyznał Bennett z baranym uśmiechem - mieli tam do czynienia z wypadkiem autobusowym i byłem im rzeczywiście potrzebny. Czy wobec tego mogę już to robić przy zielonym świetle?

- Owszem - uśmiechnął się Kirk. - O ile o mnie chodzi, uważam, że jesteś już w doskonałej formie.

- Niech pan nie żartuje, doktorze - odpowiedział Bennett. - Nikt z nas nigdy nie jest doskonały. - A potem dodał: - Ale zapewniam pana, że staram się jak mogę.

Bennett był tak uniesiony tym pozytywnym orzeczeniem lekarskim, że pogwizdywał sobie wesoło, nakładając niebieski chirurgiczny owerol.

Jego pierwszym prawdziwym zadaniem miało być niezwykle skomplikowane zespolenie porto-cavalne - zabieg, w którym żyła wrotna wątroby zostaje połączona z dolną żyłą główną.

Podchodząc do stołu operacyjnego, zauważył, że zebrała się przy nim większa niż zazwyczaj liczba chirurgicznego personelu. Oprócz swojej pierwszej asystentki Terri Rodriguez, zobaczył tam dwóch starszych chirurgów, z których jeden był dyrektorem oddziału.

Dobrze wiedział, dlaczego tu przyszli. Chcieli sprawdzić, czy nie utracił swej żyłki, upewnić się, czy ten poważny uraz, jaki niedawno przeżył, nie spowodował utraty władzy lub też po prostu umiejętności panowania nad sobą. Bennett wmówił sobie, że była to tylko kolejna rozgrywka sportowa. Wygrają ci, którzy do końca zdołają zachować zimną krew.

Postanowił, że nie okaże zdenerwowania i nie popełni żadnego błędu.

Uśmiechnął się do swojej publiczności i powiedział swobodnie:

- Dzień dobry państwu. Będzie to długi zabieg, więc proponuję, żebyśmy zaczęli od razu.

Pół godziny później starsi profesorowie skinęli do siebie głowami i dyskretnie wyszli z sali. To, co zobaczyli, widocznie im wystarczyło.

Bennett opowiedział o tym później z triumfem Sarniemu przez telefon.

- O Jezusie, Landsmann, ty masz chyba nerwy ze stali. Ja pewno trząsnę się ze strachu. Jak ty w ogóle możesz twierdzić, że sprawiało ci to przyjemność?

- Doktorze Livingston - odpowiedział Bennett grzecznie - nie zapomnij wspomnieć w tej swojej książce, że większość z nas, zwariowanych chirurgów, najlepiej funkcjonuje pod presją.

“Książka ta stanowi ważny wkład w dorobek myśli psychoanalitycznej ostatniego pokolenia. Bez wątpienia zajmie istotne miejsce w literaturze całego przedmiotu”.

Barney wczytywał się uważnie we fragmenty ostatniego wydania “American Journal of Psychiatry”, publikacji nieskłonnej zazwyczaj do wyrażania superlatyw. Pochwały te przedrukowano również na plakatach wiszących u wejścia do Instytutu Psychiatrycznego, informujących o terminie wykładu wybitnego autora książki, Maurice’a Esterhazy’ego.

- Czytałeś już? - zapytał Brice Wiseman, zaglądając przez ramię koledze.

- To rzecz prawie niedostępna - odpowiedział Barney. - Umieram jednak z ciekawości. Ten facet był moim sąsiadem w Vanderbilt Hall.

- Nie opowiadaj bajek, Livingston. Harvard nie może rościć sobie pretensji do każdego geniusza na polu medycyny. Ulotka stwierdza jasno, że Esterhazy uzyskał specjalizację w Szpitalu Maudsley w Londynie.

- No dobrze. Przestaną wymachiwać chorągiewką. Znam jednak faceta. A ty już przeczytałeś tę książkę?

Wiseman skinął twierdząco głową. - Siedziałem wczoraj do trzeciej nad ranem. Po prostu nie byłem w stanie jej odłożyć.

- A zatem będziesz mi ją mógł dzisiaj pożyczyć, to i japosiedzę nad nią w nocy - zaproponował Barney.

- Oczywiście. Przyniosę ci ją wieczorem.

- Dziękuję, Brice - odpowiedział Barney. - To wręcz niesamowite, żeby medyczna książka była aż tak frapująca. Już sam jej tytuł jest prowokujący.

- *Prawowita córka Freuda* - brzmi to prawie jak powieść.

Obaj mężczyźni rozeszli się, każdy na obchód swojego szpitala.

Był słoneczny, zimowy dzień i Barney zdecydował, że pójdzie do Bellevue na piechotę. W rzeczywistości jednak pragnął być sam na sam z własnymi myślami. Chciał się zastanowić nad tą zaskakującą metamorfozą Maureya Eastmana, który przy ostatnim spotkaniu piętnaście lat temu był niedoszłym samobójcą o wypalonych doszczętnie elektrowstrząsami duszy, a który teraz przeobraził się w Maurice'a Esterhazy'ego, wybitnego specjalistę jednego z ponoć najlepszych szpitali psychiatrycznych świata.

Usiłował rozplatać sieć targających nim uczuć. Cieszył się niewątpliwie ze względu na Maureya Odczuwał rodzaj satysfakcji z tego powodu, że sponiewierany syn zdobył się na tak niezwykle wyrafinowaną zemstę na ojcu, który go niegdyś odtrącił. Pomimo bowiem swej pozycji w Amerykańskim Stowarzyszeniu Psychiatrycznym i wielu opublikowanych artykułów, starszy Eastman nigdy nie zdołał napisać całej książki. Z pewnością też nigdy nie odniósł tak ogromnego sukcesu jak jego syn, Maury.

Barney tak bardzo pragnął przeczytać arcydzieło Maureya, że odwołał kolację, na którą umówił się z dorodną asystentką z kardiologii, która właśnie przybyła z Holandii.

Przygotował sobie wątpliwej wartości spożywczej kanapkę z serem, usiadł w swoim ulubionym fotelu i zaczął czytać.

Okładka wyjaśniała już wszystko - *Prawowita córka Freuda* nosiła podtytuł *Psychologia Melanii Klein*.

Ta kontrowersyjna brytyjska psychoanalityczka zmarła zaledwie parę lat wcześniej. Zaczęła swą karierę jako ścisła freudystka, zanim poczyniła własne wnikliwe obserwacje dotyczące psychiki dzieci o wiele młodszych niż te, które - zdaniem Freuda - można było analizować. Ku ogromnemu rozczarowaniu Klein, ojciec psychoanalizy, odrzucił jej teorie, nie mogąc z jakiegoś powodu zrozumieć, że były one dalszym istotnym rozwinięciem jego własnych przemyśleń.

Dramatyczny tytuł Maureya odzwierciedlał dylemat jego bohaterki. Stosunki pomiędzy rodzoną córką Freuda, Anną, która uważała się za jedyną prawdziwą

spadkobierczynię teorii ojca, a Klein układały się zawsze bardzo wrogo. Maury nie tylko zademonstrował, że Klein była lepszą "freudystką", lecz również jasno uzasadnił słuszność jej teorii, wspierając je własnymi spostrzeżeniami.

Kiedy Barney przeczytał ostatnią stronę, była już pierwsza czterdzieści pięć w nocy. Książka Maureya pochłonęła go do tego stopnia, że nawet nie zauważył, kiedy igła na jego hi-fi zaczęła ocierać się już o naklejkę ostatniej z szeregu płyt.

Następne popołudnie przyniosło kolejną niespodziankę - telefon od Fritza Baumanna, którego głos brzmiał wyjątkowo przyjaźnie.

- Barney, wiesz chyba, że Esterhazy ma wykład w przyszły czwartek w instytucie. Elsa i ja wydajemy później na jego cześć małą kolację. On specjalnie prosił, żebyśmy zaprosili na nią i ciebie. Czy będziesz mógł przyjść?

- Oczywiście - odpowiedział Barney. - Bardzo się cieszę.

Odłożył słuchawkę i pomyślał: O Jezu, mój własny analityk zaprosił mnie do siebie do domu na kolację!

Barney nigdy nie widział tak zapchanego audytorium instytutu.

Wielu słuchaczy przybyło aż z Baltimore i z Yale. Pozostały tylko miejsca stojące i chyba ze dwadzieścia osób stało z tyłu sali z otwartymi notatnikami w rękę.

Fritz Baumann przedstawił Maureya jako "prawdopodobnie najbardziej innowacyjnego myśliciela swego pokolenia w dziedzinie psychoanalizy".

Barniego uderzyła natychmiast zmiana w wyglądzie zewnętrznym Maureya oraz jego akcent. Maury Eastman upodobił się bowiem do typowego angielskiego wykładowcy. Miał długie włosy, nosił druciane okulary i dobrze wytarty sztruksowy garnitur. Promieniowała od niego pewność siebie. Nie było wątpliwości, że czuł się swobodnie ze swoją publicznością i z sobą samym.

Zaczął od kilku lekkich żartów na temat różnicy pomiędzy brytyjskimi a amerykańskimi psychiatrami, określając własną pozycję jako "gdzieś w okolicy Grenlandii". Publiczność była zachwycona.

Następnie począł omawiać "paranoidalno-schizoidalną pozycję we wczesnym dzieciństwie". Mówił bez żadnych notatek, czasami tylko spoglądając na pojedynczą kartkę, którą przyniósł ze sobą, a także na zegarek, dla upewnienia się, czy nie przekroczy wyznaczonego mu czasu.

Brak nadętej frazeologii sprawiał, że wystąpienie było tym bardziej efektowne. Spokojnym, swobodnym tonem zaprezentował swoje własne teorie na temat

psychoanalizy dziecięcej, które wywarły wrażenie nawet na najbardziej reakcyjnych freudystach.

Dyskusja po wykładzie była długa i żywa i wykazała wielką rozpiętość medycznej wiedzy Maureya.

Kolację w domu Fritza Baumanna - poza trzema wyjątkami - zaszczyciły wyłącznie szare eminencje instytutu. Jedynie Maury i Barney byli poniżej czterdziestki, a żona Maureya, Antonia - uderzająco przystojna, z zawodu neurobiolog - nie miała nawet trzydziestki.

Przy podanych przed obiadem koktajlach otoczono Maureya kołem, zadając mu z szacunkiem różne zawodowe pytania. Maury zachowywał się statecznie niczym prawdziwy Anglik, dopóki nie ujrzał wśród gości Barniego. Zaraz pospieszył go powitać, wołając:

- Livingston! Jak to dobrze, że cię widzę!

Kiedy tak obejmowali się wzajemnie, Barney szepnął mu na ucho: - Maury, czy mógłbyś mi zdradzić swój sekret? Czy pomogło ci może jedzenie płatków owsianych na śniadanie?

- Nie. Tylko siedem lat analizy. I do tego dobra kobieta - odpowiedział serdecznie. Po czym zwrócił się do swojego gospodarza: - Doktorze Baumann, mam nadzieję, że jest pan dumny z tego, że ma pan u siebie w instytucie tak wspaniałego faceta.

Barney spojrzał na Baumanna, który robił wrażenie zadowolonego z siebie. Maury nadal rozmawiał ze starym kolegą tak, jakby w pokoju nie było nikogo.

- Musisz zjeść z nami jutro kolację, bo inaczej śmiertelnie się obrażę.

- Oczywiście, Maury - odpowiedział Barney. - Podaruję ci również egzemplarz mojej własnej książki. Mogę ci nawet dać ich z dziesięć, gdyż i tak nikt nie chciał ich kupić.

- Czytałem ją i uważam, że była to bardzo spostrzegawcza praca. Antonia też była tego zdania. Będziemy ci jednak wdzięczni za egzemplarz z autografem. Przyjdź w towarzystwie. Czy jesteś żonaty?

- Poślubiłem jedynie moją pracę - odpowiedział Barney z pewnym zażenowaniem.

- Kiedyś byłem przekonany, że poślubisz Laurę Il Magnifico. A co się z nią właściwie stało?

- To długa historia, Maury.

W tym momencie podeszła do Maureya doktor Antonia Esterhazy i szepnęła: - Kochanie, wszyscy domagają się twojej obecności. Rozprosz się więc może trochę, a ja tymczasem porozmawiam z Barniem.

Maury pocałował ją w policzek i odszedł w stronę starszych psychiatrów.

- Maurice zawsze mówił o tobie bardzo ciepło - powiedziała Antonia, kiedy zostali sami. - Podobno tylko ty nie opuściłeś go w potrzebie.

- Zachowałem się po prostu po ludzku - odpowiedział zawstydzony Barney.

Nagle Antonia zmieniła temat rozmowy: - Czy moglibyśmy zamienić parę słów na osobności?

- Naturalnie - odpowiedział Barney. Weszli do jeszcze pustej jadalni.

- Czy spotkałeś może kiedyś jego ojca? - zapytała cicho.

- Niezupełnie, chociaż w pewnym sensie zetknęliśmy się ze sobą. Dlaczego o to pytasz?

- Maurice ma w przyszłym tygodniu wykład w San Francisco. Szczerze mówiąc, nie chcę nawet myśleć, do czego mogłoby dojść, gdyby ten nikczemnik pojawił się na wykładzie.

- Wcale ci się nie dziwię - przyznał Barney. - Ale po jakie лихо Maury zgodził się na to?

- Przypuszczam, że chce coś sobie w ten sposób udowodnić- odpowiedziała. - Uważam jednak, że igra z ogniem. Nie sądzisz?

- Owszem - odpowiedział Barney. - Powiedziałbym nawet, że jest to jak rosyjska ruletka... z pięcioma kulami w pistolecie.

- Ja chyba w ogóle nie jestem człowiekiem - doszedł do wniosku Barney, leżąc w łóżku po spotkaniu z Maurice'em Esterhazym, wybitnym psychiatrą, kochającym mężem i ojcem, innymi słowy, prawdziwym i pełnym mężczyzną.

Wprost trudno było uwierzyć, że człowiek, którego widział tego wieczoru, był kiedyś w stanie takiej maniackalnej depresji, że potrzebował terapii elektro wstrząsowej.

Barney nagle uzmysłowił sobie, że jego własne osiągnięcia były w porównaniu z tym nieznaczące i błahę.

- No tak - powiedział sobie - zgodnie ze słowami Roberta Prosta "mam jeszcze wiele mil przed sobą, zanim będę mógł spokojnie zasnąć".

Bennett pracował jak wół, tak jakby chciał w ten sposób nadrobić czas stracony przez doznane obrażenia. Dla wszystkich asystentów dyżurujących w trakcie weekendów był prawdziwym świętym Mikołajem, gdyż proponował im mnóstwo wolnego czasu. Dodatkowe obowiązki nie męczyły go, ponieważ reperował w ten sposób własną nadwątloną pewnością siebie.

Podczas wyjątkowo burzliwych sobót w New Haven zdołał nawet wykonać kilka nagłych operacji kardiologicznych, przygotowując się w ten sposób psychicznie do wielkiego przyszłorocznego zadania.

- Czy nie mógłbyś trochę zwolnić tempa, Ben? - skarżyła się Terri.

- Czy chcesz, żebym się zaczął starać o innego asystenta? - zapytał przyjaźnie.

- Nie ma mowy. Zbyt wiele się od ciebie uczę. Wolałabym jednak, żebyś dla własnego dobra przestał tak ciężko pracować.

W kwietniu, cztery miesiące po operacji, Bennett prowadził ponownie "normalne" życie pierwszego asystenta na chirurgii, pracując po trzydzieści sześć godzin na zmianę.

Ściągał właśnie swój niebieski owerol po jednej z takich wyczerpujących szyccht, kiedy w drzwiach męskiej przebieralni ukazała się głowa Terri. (Kobiety pracujące w charakterze chirurgów nie miały własnej przebieralni - musiały przebierać się razem z pielęgniarkami.)

- Ben, dzwonił właśnie profesor Baye z hematologii. Chce, żeby wykonać splenektomię na pacjencie cierpiącym na białaczkę. Specjalnie zależy mu na tym, żebyś to ty operował. Jesteśmy zajęci od ósmej trzydzieści rano. Co mam mu powiedzieć?

- Powiedz mu, że zrobię to o szóstej trzydzieści, jeśli tylko on da radę tak wcześnie wstać.

- Doktorze Landsmann - ostrzegła go żartobliwie - jeśli będzie pan tak ciągnął dalej, to wcześnie dotrze pan do grobu.

- Już na to za późno, Terri. W każdym razie powiedz profesorowi Baye, żeby przysłał tu kartę tego faceta. Przestudiuję ją jeszcze dzisiaj wieczorem. Zrób dla siebie dodatkową kopię - na wypadek, gdybym ogłupiał w połowie operacji.

Pacjentom cierpiącym na limfocytową białaczkę usuwa się śledzionę najczęściej dlatego, że organ ten zaczyna być bolesny w związku z tym, że uległ

powiększeniu, albo też staje się przyczyną objawowej redukcji płytek krwi, czyli małych komórek pomagających kontrolować krwawienie.

Bennett przyjechał do szpitala tuż przed szóstą rano i pokrzepił się w barze czekoladowymi herbatnikami i kilkoma kubkami kawy. Mimo że uprzedniej nocy nauczył się nieomal na pamięć historii medycznej swojego pacjenta, trzydziestodwuletniego Harry'ego Scanlona, to jednak teraz raz jeszcze przeglądał swoje notatki.

Punktualnie o szóstej rano stanął przy operacyjnym stole.

Grzecznie pozdrowił dwóch profesorów, po czym spojrzawszy niczym dyrygent orkiestry na swego koncertmistrza, w tym wypadku anestezjologa. Ten skinął głową i w parę sekund później mruknął:

- Pacjent jest już uśpiony, doktorze.

Bennett przyjął tę informację niemym skinieniem głowy i natychmiast przystąpił do pracy, czyniąc zręcznym ruchem długie nacięcie. Powierzywszy jednemu ze stażystów oraz pielęgniarce trzymanie retraktorów, zaczął ogólnie obowiązujący przegląd trzewi obnażonych w wyniku nacięcia.

Potem sprawdził, czy nie było marskości wątroby oraz czy przypadkiem nie nastąpiła infiltracja komórek nowotworowych. Obmacał woreczek żółciowy dla upewnienia się, że nie było w nim kamieni. Nie stwierdziwszy żadnych anomalii, mógł kontynuować.

Delikatnie wsunął prawą dłoń pod jasnorożową, wypukłą powierzchnię śledziony, położył organ na lewej dłoni i podniósł go do góry, w kierunku brzuszego nacięcia. Wyciągnął szyję, aby lepiej przyjrzeć się temu, co właśnie zamierzał wyciąć, i nagle poczuł dziwne mrowienie w małych palcach obu rąk. Zignorował je jednak, myśląc, że może Terri miała rację - za bardzo się forsował. Nie był to jednak odpowiedni moment na tego rodzaju myśli.

Szybko przeciął tętnicę i żyłę śledziony i skinął na Terri, aby założyła zaciski. Wyciągnął rękę i poprosił o nożyczki. Podano mu je do ręki, a on sprawnie wyciął nimi śledzionę.

Następny etap operacji, choć krwawy, był już jednak tylko zwykłą formalnością. Musiał teraz zawiązać dwie małe rurki będące tętnicą i żyłą. Sięgnął po jedwab, żeby je podwiązać, i wykonał dwa mocne, jak mu się zdawało, węzły.

- W porządku - powiedział do siebie na głos. - Możemy ściągnąć zaciski.

Pochylił się, usuwając metalowy instrument z żyły.

Nagle wszędzie ukazała się krew.

Obserwatorzy zamarli w bezruchu, stłumiwszy w sobie okrzyki. Bennett był wstrząśnięty. Nigdy przedtem nie widział, żeby ktoś popełnił taką gafę. Nie było jednak czasu na zwymyślanie siebie samego. Należało jak najprędzej naprawić wyrządzoną szkodę.

Poprosił o ssanie dla odnalezienia żyły i tym razem zaszył ją odpowiednio mocno. Potem spokojnie nakazał Terri zamknąć interes i odszedł do przebieralni, udając pewność siebie, której wcale nie odczuwał.

Usiadł, usiłując zrozumieć, co się stało. To pewno było napięcie - próbował przekonać samego siebie. Albo też zwyczajna ludzka słabość... Co jednak oznaczało to mrowienie w palcach?

Siedział zamyślony w przebieralni, kiedy nagle posłyszał ciche pukanie do drzwi. Po chwili odezwał się głos Terri Rodriguez:

- Czy jesteś sam, Bennett?

- Owszem - odpowiedział. - Proszę, możesz wejść do sanktuarium.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała.

- A dlaczegoż by nie?

- Nie wiem. Pomyślałam sobie jednak, że może zdenerwował cię ten mały wypadek. To naprawdę nie było nic wielkiego.

- Daj spokój, Terri. Jesteś zbyt dobrym lekarzem, żeby tego nie wiedzieć. To był czysty horror. Przestań oszukiwać mnie i siebie samą.

Przez chwilę milczała, a potem zapytała: - Za pół godziny masz radykalną mastektomię. Czy czujesz się na siłach?

- Dlaczegoż, u diabła, miałbym się nie czuć?

Po raz pierwszy od roku, kiedy zaczęła z nim współpracować, była świadkiem, jak Bennett stracił panowanie nad sobą.

- W porządku, Ben. Idę po jakąś bułkę i kawę. Czy chcesz może, żebym ci coś przyniosła?

- Nie, dziękuję, Terri. Przepraszam, że tak się uniosłem.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała, wycofując się z terytorium, na które wkroczyła bezprawnie.

Po raz pierwszy w życiu potrzebował psychiatrycznej pomocy, a w każdym razie pomocy psychiatry. Zapytał Barniego, czy słyszał może kiedyś o przypadkach, w

których chirurdzy doznają czegoś w rodzaju “tremy scenicznej”, co mogłoby w jakiś sposób wyjaśnić jego nagłą niezręczność.

- Wielu chirurgów panikuje - odpowiedział Barney. - Mój partner widuje takie przypadki bez przerwy. Zazwyczaj jest to jednak zupełnie dziwactwo, ponieważ nie potrafią nawet zbliżyć się do swoich pacjentów. Nie, Ben, nie wydaje mi się, aby był to wymysł twojej wyobraźni. Na twoim miejscu udałbym się z tym jak najszybciej do neurologa.

- Czy mógłbyś załatwić mi wizytę u kogoś w Nowym Jorku, Barney? Nie chciałbym, żeby po całym Yale zaczęły krążyć o tym pogłoski, zwłaszcza pod koniec tego roku.

- Landsmann, bądź rozsądny. Jeśli to nic takiego, to nie ma przecież znaczenia, gdy ktoś się o tym dowie. A jeśli to coś poważnego, to chyba nie masz zamiaru operować, zanim tego nie wyleczysz? Czyż nie mam racji?

- Obawiam się, że tak - przyznał Bennett, usiłując opanować własne obawy. Zawsze jednak szczyił się swoją szczerością wobec pacjentów. Teraz zaś wiedział, że był im to winien, aby być szczerym wobec samego siebie.

Nie mogąc znaleźć schronienia we własnej sferze psychicznej, Bennett zdobył się w końcu na odwagę, by zwrócić się ponownie do profesora Kirka. Znał już teraz zbyt wiele symptomów - bóle w plecach oraz sporadyczne drętwienie w palcach i ramionach.

Według jego własnej diagnozy, przyczyną tego słabego funkcjonowania mięśni musiało być uszkodzenie korzenia nerwu ósmego kręgu szyjnego.

Obaj doktorzy wiedzieli, że należało wykonać tomografię komputerową kręgów szyjnych i obaj zdawali sobie instynktownie sprawę z tego, co ona wykaże. Pęknięcie kręgu Bennetta przesunęło się marginalnie, uciskając tym samym korzenie nerwu.

Co gorsza, jeśli Bennett natychmiast nie podda się operacji złączenia kręgów, uszkodzenie to będzie się dalej pogarszać.

- Nie chcę żadnej operacji! - wrzasnął Bennett.

- A ja nie chcę przez ciebie ogłuchnąć. Przestań się więc wydzierać w słuchawkę - odpowiedział Barney. - Na litość boską, Landsmann, czy chcesz ryzykować wózek inwalidzki? Wiesz przecież, że Kirk jest jednym z najlepszych w tej dziedzinie fachowców. Czego się więc, u diabła, obawiasz?

Bennett odpowiedział mu zwięźle: - Nie zapominaj, że ja również jestem chirurgiem. I wiem, że tego typu operacje przeważnie się udają...

Rozdział XL

Antonia Esterhazy siedziała wśród publiczności i czuła unoszące się w powietrzu napięcie. Tłum zebrany w Instytucie Psychiatrii w San Francisco zgromadził się nie tylko ze względu na sławę jej męża. Wielu ludzi przyszło tam w nadziei, że zobaczy coś w rodzaju konfrontacji pomiędzy ich szacownym kolegą, Frederickiem Eastmanem, a człowiekiem, który - jak się okazało - był jego synem.

Maury siedział już na podium, kiedy jeden ze starych członków Stowarzyszenia zaczął go przedstawiać.

Patrzył na audytorium, próbując odszukać ojca. Wiedział, że jako były przewodniczący Stowarzyszenia, Fred Eastman musiał się pokazać.

Doktor Eastman zajął jednak najmniej rzucające się w oczy miejsce na sali, gdzie tylko niewielu widzów mogło delektować się widokiem wyrazu jego twarzy.

Tymczasem kontynuowano wprowadzenie.

- Cieszymy się tym bardziej, że doktor Esterhazy urodził się i wychował w tym właśnie mieście i posiada nawet pewne rodzinne związki z naszym instytutem.

Rozległy się nerwowe chichoty. Wszystkie oczy zwróciły się na Maureya, pragnąc zobaczyć jego reakcję. On jednak nie pokazał po sobie niczego.

Przeczuwając jakieś nieszczęście, Antonia pobladła i zaczęła kręcić się nerwowo na krześle.

Maury wstał, podziękował za grzeczne oklaski przyjaznym uśmiechem, po czym zabrał głos.

- Jestem pewien, że wszystkim wam znana jest piosenka *Zostawiłem me serce w San Francisco*. Ja natomiast mogę spokojnie powiedzieć, że zostawiłem tu mój dziecinny, trójkołowy rowerek. Niech sobie moi koledzy psychiatry interpretują to, jak chcą, ale przyjechałem tu po to, żeby go zabrać dla moich dzieci.

Jego spokojny uśmiech uspokoił publiczność. Nie zamierzał obmawiać swego ojca ani też go wychwalać. Nawet o nim nie wspomniał.

Doktor Frederick Eastman siedział sztywno z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Wykład Maureya wywołał u słuchaczy podobnie ciepłą reakcję jak w Nowym Jorku, Filadelfii czy Bostonie. W czasie dyskusji, jaka się potem wywiązała, traktowano go nawet z jeszcze większym szacunkiem aniżeli na Wschodnim Wybrzeżu.

W końcu, pośród unoszących się zewsząd pochwał, publiczność zaczęła się powoli rozpyływać.

Pozostał jednak pewien dylemat. Starsi członkowie Stowarzyszenia przygotowali kolację na cześć gościa. Doktor Eastman został aa nią naturalnie zaproszony. Dowiedział się nawet ze zdziwieniem, że Maury nie miał przeciwko temu żadnych obiekcji. Odpowiedź jego syna powtórzono mu dosłownie. Brzmiała zwięźle i krótko:

- Dobrze.

Przyjęcie odbyło się w ogromnym domu położonym tak wysoko na wzgórzu Nab, że gospodarz musiał się pochwalić: - Przy dobrej pogodzie widać stąd Alcatraz.

Frederick Eastman wszedł do pokoju i rozejrzał się niepewnie po dumie wielbicieli otaczającym jego syna.

- Czy to pan, doktorze Eastman? - zapytał jakiś głos z angielskim akcentem. Odwrócił się w lewą stronę i zobaczył tam atrakcyjną młodą kobietę.

- Jestem Antonia Esterhazy - przedstawiła się, podając mu rękę. - Jestem pewna, że chciałby pan zobaczyć się z Maurice'em. Może uda mi się go tu w jakiś sposób ściągnąć.

- Byłbym... Byłoby to bardzo miłe z pani strony.

Poprosiła wcześniej gospodarza o pozwolenie skorzystania z jakiegoś cichego kąta w domu. Gospodarz zaproponował wówczas, aby weszli do jego gabinetu.

I tak oto pod fotografią Zygmunta Freuda, Maury i jego ojciec spotkali się wreszcie twarzą w twarz.

Maury wyczuł skrępowanie ojca. Nie potrafił się jednak zdobyć na współczucie. Lata psychoanalizy wypaliły w nim wściekłość, lecz nie były w stanie zastąpić jej przebaczeniem. Na to zdobyć by się mogli jedynie święci.

Zadecydował, że zmusi ojca, aby odezwał się pierwszy. Teraz bowiem najważniejsze było nie to, co sam miał mu do powiedzenia, ale to, co jego ojciec miał do powiedzenia jemu.

Fred Eastman szybko zorientował się, na jakiej zasadzie miał przebiegać scenariusz tego spotkania. Pozostała mu tylko decyzja wyboru początkowego dialogu. Odezwał się w końcu: - Znałem osobiście Melanię Klein. Była bardzo mądrą kobietą.

- I wyśmienitym psychoanalitykiem - dodał Maury. - Szkoda, że jej nie doceniano.

Potem nastąpiła przerwa. Eastman nie miał zamiaru powiedzieć za wiele. Ilekroć bowiem próbował odnaleźć w swojej psychy jakieś ukryte lub stłumione uczucia miłości do swego wybitnego syna, odnajdywał tam tylko rywalizację i niechęć. Tłumaczył sobie, że samo istnienie Mauraya napawało go gniewem, ponieważ przypominało mu nieustannie o bólu, który odczuwał po śmierci jego matki.

Naturalnie Maury zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Postarano się bowiem o to, aby nigdy nie zapomniał, że winny jest ojcu zadośćuczynienie za to, że żył.

- Masz czarującą żonę - stwierdził łaskawie Eastman.

- Dziękuję. Kolejna chwila ciszy.

- W trakcie swego wykładu... wspomniałeś coś o dzieciach. Ten żart o trójkołowym rowerku...

Owszem, mamy dwóch chłopców.

- Ach, tak.

Ponownie zapadło milczenie. W końcu Maury powiedział: - Nie sędzę, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia. Starał się nie używać wyrazu ojciec.

- Czy na tym chcesz te sprawy pozostawić, Maury? Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia?

- Przyjechałem tutaj, ponieważ poproszono mnie, żebym wygłosił wykład. Byłeś po prostu jednym ze słuchaczy.

W tym momencie ukazała się w drzwiach Antonia. - Maury, nie zapomnij, że o jedenastej trzydzieści mamy złapać samolot do Los Angeles.

Odwrócił się do ojca, który w końcu zapytał: - No cóż, dokonałeś już chyba tej swojej zemsty?

- Owszem.

- Czy w związku z tym poczułeś się lepiej?

Maury zawahał się, a potem odpowiedział cicho: - Nie.

Laura najbardziej lubiła Toronto, kiedy było opatulone śniegiem. Wówczas bowiem normalne tempo miasta zbliżało się do spokojnego bezruchu. Poza tym, w przeciwieństwie do płatków śniegowych w Brooklynie, które szarzały z chwilą zetknięcia się z ziemią, tutejsze białe opady niebiańskiego pierza długo pozostawały czyste, potęgując wrażenie spokoju i ciszy.

Nie oznaczało to jednak wcale, że dreptała po tym śniegu gdzieś na tyłach szpitala. Nie mając ochoty na żadne życie towarzyskie, pracowała dniami i nocami. Wydawało się jej zatem, że to logiczne, aby tam również zamieszkać.

Jej przyjazd wywołał normalne trzepotanie męskich serc. Obojętność z jej strony prędko jednak wyleczyła ten romantyczny częstoskurcz. Jak powiedziała Barniemu przez telefon, randka była ostatnią rzeczą na świecie, na jaką miała w tej chwili ochotę.

- Wytworzyło się we mnie coś w rodzaju reakcji Pawiowa na widok facetów, którzy zapraszają mnie, żeby gdzieś z nimi pójść. Im bardziej są atrakcyjni, tym bardziej wydaje mi się, że będę przez nich cierpiała. Zdołałam zatem spełnić wreszcie marzenia obojga moich rodziców - zostałam lekarzem i zakonnica.

Mogła tam myśleć wyłącznie o małych pacjentach. Każde nowo przyjęte do szpitala dziecko traktowała jak członka własnej rodziny. Bez względu na to, czy był to szok, stan gorączkowy, sprawy ortopedyczne czy oddechowe - zawsze była gotowa spieszyć z pomocą.

A wszystko to stanowiło dodatek do jej oficjalnej praktyki - opieki i leczenia noworodków, które wkraczały w życie chore lub umierające.

Postęp technologiczny wpływał na postępowanie lekarzy jak nigdy przedtem w całej historii medycyny. Nigdzie też nie było to bardziej widoczne niż w podejściu do kwestii leczenia noworodków. Definicja wcześniactwa i zdolności do życia ulegała zmianom w zawrotnym tempie. Jeszcze do niedawna dziecko urodzone nawet o parę tygodni wcześniej, przed upływem normalnego czterdziestotygodniowego okresu ciąży, uważane było za wcześniaka, którego życiu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Teraz lekarze zdawali sobie sprawę z tego, że nie tylko te, ale i jeszcze młodsze dzieci można było uratować. Z kolei coraz większe możliwości wykrycia anomalii u dzieci jeszcze nie narodzonych dawały ekspertom z neonatologii szansę skorygowania tych wad w momencie, gdy dziecko przychodziło na świat.

Pojawienie się neonatologów na salach porodowych nieuchronnie prowadziło do swego rodzaju walki o pierwszeństwo do opieki nad jeszcze nie narodzonym dzieckiem. Tradycyjnie odpowiedzialność za matkę i dziecko ponosił dotąd położnik. Obecnie jednak pediatrizy udowodnili, że w krytycznych okolicznościach dziecko potrzebowało swojego własnego specjalisty.

W każdym przypadku zaczęto oceniać stan zdrowia noworodka według punktacji Apgar. Była to technika nazwana imieniem jej wynalazcy, doktor Virginii

Apgar, polegająca na oszacowaniu pięciu podstawowych elementów kondycji dziecka minutę po urodzeniu oraz pięć minut później. Dziecko otrzymywało zatem zero, jeden lub dwa punkty za liczbę skurczów serca na minutę, kolor, oddech, ton i odruch ssania.

Niemowlę, które zaliczyło ponad siedem punktów przy pierwszym podejściu, mogło swobodnie zacząć trening w jakiegokolwiek wybranej przez siebie dyscyplinie olimpijskiej. Dzieci, których Apgar był niższy od czterech punktów, musiały jednak walczyć o życie i potrzebna im była do tego wszelka możliwa pomoc ze strony nauki medycznej.

Z każdym dniem w Szpitalu Queen's wiedza medyczna Laury była coraz większa, jednakże nie udało jej się nawiązać tam przyjaźni. Miała kilku znajomych, z którymi rozmawiała przy kawie w gabinecie pielęgniarek, lecz generalnie rzecz biorąc, uważano ją za surową i niedostępną.

Ciągle narzekała na biurokrację szpitalną, na mnóstwo papierkowej roboty wymaganej na przykład przy przenoszeniu chorego dziecka z izby przyjęć na oddział pediatryczny. Otwarcie krytykowała błędy popełniane przez swoich kolegów, starszych i młodszych.

- Wszyscy jesteście tu tylko ludźmi - odważyła się kiedyś przypomnieć jej pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii. - Omyłność jest rzeczą ludzką.

- Nie - odpowiedziała Laura. - Omyłność zazwyczaj fatalnie się kończy.

Nie wiadomo dlaczego zatraciła zdolność ucinania sobie krótkich drzeiriek w czasie nocnych dyżurów. Wykorzystywała jednak swoją bezsenność na czytanie profesjonalnej literatury i przygotowywanie własnych artykułów. Zainteresowała się problemem krwotoków u noworodków, które najczęściej wykrywano za późno. Gdyby tak udało się wynaleźć jakąś technikę wczesnego wykrywania oznak niebezpieczeństwa! Ileż dzieci można byłoby wtedy uratować!

Pewnego dnia, o trzeciej rano, kiedy siedziała w dyżurce, coś tam studiując, zadzwonił telefon. Był to Christian Lemaistre, główny położnik oddziału.

- Czy mógłbym rozmawiać z dyżurującym pediatrą?

- Mówi doktor Castellano - odpowiedziała.

- Och! - Najwidoczniej spodziewał się barytonu, a nie sopranu.

- W czym mogłabym panu pomóc, doktorze Lemaistre?

- Mam tu kobietę z trudnym porodem i prawdopodobnie będę musiał wykonać "cesarkę". Czy zdoła się pani przygotować za piętnaście minut?

- Nie ma problemu, doktorze - odłożyła słuchawkę. Włożyła buty, dopiła zimną już kawę stojącą na jej biurku i pobiegła w stronę windy. Położnik zdążył się już przebrać i wyszorować ręce. Uczyniwszy to samo, pospieszyła w stronę sali operacyjnej. Mimowolnie zauważyła, że nawet w masce na twarzy Lemaistre był niepokojąco przystojnym mężczyzną.

Dwadzieścia pięć minut później położnik wyciągnął małego chłopczyka. Laura nacisnęła stoper i przeniosła dziecko pod jasny grzejnik. Kiedy pielęgniarka wytarła go ciepłym ręcznikiem, zaczęła szacować stan zdrowia chłopca. Oddech był słaby, a w chwilę później stwierdziła: - Brak oddechu.

Dziecko było poważnie zagrożone, o czym świadczyły punkty, jakie mu przypisała: - Jednominutowy Apgar - zero.

- Ja powiedziałbym, że jeden, a może nawet i dwa, doktor Castellano - sprzeciwił się stojący za nią Lemaistre.

- W każdym razie jest siny jak niebieski kocyk. Musimy go intubować i natychmiast dostarczyć mu tlenu.

Po czym zawołała do pielęgniarki: - Proszę o rurkę trzy-zero.

- Uważam, że dwa-pięć powinna wystarczyć - zaprzeczył ponownie Lemaistre.

- Trzy-zero - powtórzyła Laura i odwracając się w stronę dziecka, zauważyła: - Ten dzieciak jest duży. Ma zatem niezłą szansę. - Zawołała wobec tego do pielęgniarki: - Osiem-pięć centymetrów.

Kiedy przygotowano rurkę nosowotchawiczną, Laura położyła dziecko na plecach i ustawiła mu główkę tak, aby zminimalizować uraz nosa. Następnie posmarowała mu kremem koniec noska dla ułatwienia wprowadzenia do środka rurki.

- Może będzie lepiej, jeśli ja się nim teraz zajmę, doktor Castellano - zaproponował Lemaistre tonem, który bardziej przypominał rozkaz. - To bardzo delikatny zabieg. Jeśli nie założy się tego właściwie w tchawicy, to można przebić się za głęboko i uszkodzić główne oskrzele.

- Wiem o tym, doktorze Lemaistre - odpaliła sucho. I pomyślała sobie jednocześnie: Do cholery, robiłam to prawdopodobnie więcej razy niż ty. Ale jeśli chcesz się odwoływać do swojej rangi, to proszę...

Odsunęła się na bok, a pielęgniarka podała mu aparat, który zaczął wkładać w nozdrza dziecka. Potem podał prędko dziecku butlę tlenową. Wskazówka poruszała się bezlitośnie na podziałce stopera, aż w końcu dosięgnęła pięciu minut. Dziecko

zaróżowało się i zarówno Laura, jak i Lemaistre zgodzili się tym razem, że Apgar chłopca wynosił teraz plus siedem.

Położnik uśmiechnął się. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy - zauważył, a potem odwrócił się w stronę neonatologa ze słowami: - Możesz się nim teraz zająć, Lauro. Gdybyś mnie potrzebowała, będę pisał raport u siebie w gabinecie.

Podał jej tlen i skinął głową w stronę pielęgniarek, które odpowiedziały nieomal jednocześnie: "Dobranoc, doktorze Lemaistre", po czym wyszedł z sali.

Pielęgniarki kończyły krzątanie, kiedy nagle usłyszały krzyk Laury: - O cholera, ta butla jest pusta! Prędko, podajcie mi zapasowy tlen!

Jedna z pielęgniarek podbiegła do ściany i ściągnęła z wieszaka zapasową butlę tlenową. Laura chwyciła ją i po sekundzie krzyknęła:

- Do diabła! Ta również jest pusta. Do cholery, co to jest za szpital?

Odwróciła się w stronę najbliższej stojącej pielęgniarki i rozkazała:

- Spróbuj wentylować go za pomocą maski gazowej. Ja tu zaraz wrócę.

Wybiegła pospiesznie z sali operacyjnej, czując, że powinna pozostać na miejscu i sama zastosować wentylację, zlecając szukanie butli tlenowej komuś innemu. Wytłumaczyła sobie jednak, że tylko ona zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji i dlatego też mogła załatwić to o wiele szybciej.

Pielęgniarka dyżurująca w gabinecie na drugim końcu korytarza wzdrygnęła się na dźwięk gorączkowego tonu jej głosu. - Tlen! Do cholery, podajcie mi prędko tlen!

Spojrzała przed siebie i zobaczyła Laurę w zielonym stroju septycznym i sterylnych pokryciach butów. W momencie kiedy sięgała po klucze do szpitalnego magazynu, dopadła do niej Laura, wściekła i zadyszana.

- Zaraz go pani podam, pani doktor - odpowiedziała nerwowo, odwracając się, żeby otworzyć magazyn. W panice niezdarnie usiłowała odnaleźć właściwy klucz.

- Pospiesz się, do cholery! - ponagliła ją Laura.

Ostre upomnienie jeszcze bardziej zdenerwowało pielęgniarkę. W końcu Laura wyrwała jej klucze z ręki i sama otworzyła drzwi. Porwała małą butlę tlenową i z całej siły zaczęła ją prędko ciągnąć za sobą korytarzem.

Z początku dziecko zasłaniały zgromadzone przy nim pielęgniarki.

- Dopuście mnie do niego! - warknęła Laura.

Pielęgniarki usunęły się na bok i Laura ujrzała chłopca. Był sinoniebieski. I leżał bez ruchu.

Nie mogła go już ożywić żadna ilość tlenu.

Laura stała na środku sali niczym posąg z lodu, trzymając w rękach bezużyteczną już teraz tlenową butlę... Zdawało się jej, że ludzie wirują wokół niej. Dobiegły do niej fragmenty słów:

- Zadzwoń do doktora Lemaistre'a... Powiadom matkę... Zabierz dziecko do kostnicy...

Wtem cały obraz nabrał normalnej ostrości. Doktor Lemaistre krzyczał na nią niczym kapitan besztający szeregowca:

- Czy to pani pierwsza histeria w trakcie zabiegu, doktor Castellano?

Nie odpowiedziała mu ani słowem.

A potem dodał z ironiczną pobłażliwością: - Może zatem mogłaby pani zorganizować swoje dyżury tak, żeby nie wypadały one w czasie, kiedy ma pani okres.

Laura nie pozwoliła się sprowokować.

- To dziecko mogło żyć - odpowiedziała spokojnie i kategorycznie.

- Owszem, mogło się to zakończyć bardziej korzystnie - przyznał Lemaistre.

- Niech pan da spokój, doktorze - odpowiedziała ze zniecierpliwieniem Laura. - Sam pan dobrze wie, że to dziecko powinno żyć. To była nasza wina. To szpital skrewił w tym wypadku. Czy może pan temu zaprzeczyć, doktorze Lemaistre?

- Być może pani nigdy się nie myli, doktor Castellano. Z mojego, trochę jednak większego doświadczenia wynika, że nawet przy najlepszych intencjach zwyczajni ludzie popełniają błędy.

- Ależ, do cholery, nie tego rodzaju! Głupie, zupełnie możliwe do uniknięcia pomyłki. To było zwykłe niedbalstwo. Niewybaczalne wprost zaniedbanie. •

Wcale go to nie poruszyło.

- Z mojego doświadczenia wynika również, że ludzie dorośli zazwyczaj nie lubią, kiedy pouczają ich dzieci. Jeśli tak się to pani nie podoba, to czemu nie porozmawia pani na ten temat z szefem swojego oddziału albo z moim szefem. A teraz pani wybacz, ale mam następną pacjentkę w prodromalnym porodzie.

Odwrócił się i wolno odszedł w stronę drzwi. Laura pomyślała sobie: Skoro jest w stadium prodromalnym, oznacza to, że ona nie będzie gotowa jeszcze co najmniej przez jakieś pięć godzin. Dlaczego choć trochę nie schlebiłeś mojej inteligencji i nie podałeś mi bardziej prawdopodobnej wymówki, żeby stąd uciec? Zawołała więc za nim: - Doktorze Lemaistre!

Zatrzymał się. - Tak, doktor Castellano?

- Czy powiadomił pan już o tym rodziców?

- Tak. Nie należę do tego rodzaju lekarzy, którzy boją się złych informacji. Podałem już matce środki uspokajające.

- Czy mogłabym wiedzieć, jak im to pan przekazał?

- Powiedziałem im, że stan dziecka po urodzeniu był bardzo ciężki i mimo naszych największych wysiłków nie byliśmy w stanie utrzymać go przy życiu. Czy pani sformułowałaby to inaczej, doktor Castellano?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Laura stała nadal w bezruchu, wykończona próbami ratowania dziecka, jego śmiercią i tym dialogiem. Nie mogła nawet jasno myśleć. Podeszła do niej jedna z pielęgniarek.

- Lauro, proszę cię, nie obraż się, ale doktor Lemaistre jest doświadczonym lekarzem... i dobrym człowiekiem. Jestem przekonana, że w głębi duszy był tym równie wstrząśnięty jak ty. Nikt z nas jednak nie potrafi wykonywać tego zawodu i rozpaczać po każdym, kogo stracimy. Oszałelibyśmy, gdyby tak było.

Laura skinęła głową w milczeniu. Pielęgniarka odeszła, a ona pomyślała sobie: Ty mnie też nie rozumiesz, siostrze. Ja wcale nie oszalałam. Jestem tylko wściekła.

Do tej pory Laura odczuwała jakąś perwersyjną wprost dumę z tego, że nie umiała pisać na maszynie. Pomagało jej to w pewnym sensie zachować swą niezależność i pewność siebie, gdyż przysięgła sobie, że nie dopasuje się do stereotypu "typowej kobiety". Musiała zatem polegać na dobrej woli jednej z dziennych pielęgniarek, która właśnie rozpoczęła dyżur, usiadła z nią i przepisała w czterech kopiach napisany przez Laurę list. Zaadresowała go nie do szefa pediatrii czy też przewodniczącego oddziału położniczo-ginekologicznego, którzy naturalnie mieli uzyskać kopie, ale do samego doktora Ivana Caldwell, dyrektora szpitala.

Po dokładnym zrelacjonowaniu wydarzeń z ubiegłej nocy poprosiła doktora Caldwell, aby poczynił kroki w celu zapobieżenia "tego rodzaju głupim i tragicznym w skutkach niedbalstwom".

Młoda pielęgniarka stuknęła na maszynie jak oszalała, żeby nadać za wartkim biegiem oburzenia Laury. Odczytawszy jej potem głośno list, zauważyła znacząco: - Sądzę, że coś jeszcze pani opuściła, doktor Castellano.

- Co takiego?

- Nie podała pani nazwisk swoich najbliższych krewnych.

- Nie rozumiem. Nie zamierzam umierać, siostró.

Pielęgniarka pokręciła przecząco głową. - Ja mam co do tego inne zdanie. Nazwałabym to listem samobójczym.

Laura była już spóźniona na obchód, więc gdy tylko skończyła, zaadresowała koperty, wzięła listy i pobiegła na dół, żeby oddać je szpitalnej recepcjonistce, po czym pospiesznie udała się na oddział pediatryczny. Resztę dnia spędziła niczym w śpiączce.

Zeszła w końcu z dyżuru po południu o piątej trzydzieści i poszła po jakąś kanapkę do szpitalnego baru.

Potem w drodze do swego pokoju zatrzymała się przy skrzynce pocztowej, żeby sprawdzić, czy nie ma odpowiedzi z Waszyngtonu na podanie, które wysłała do Państwowego Instytutu Zdrowia. Leżały tam tylko jakieś bezużyteczne listy - przeważnie okólniki z różnych zakładów farmaceutycznych, rachunek telefoniczny i koperta z odręcznym napisem "Doktor Laura Castellano".

Stłumiła ziewnięcie i otworzyła ją. Po przeczytaniu listu oprzytomniała jednak natychmiast.

Droga Doktor Castellano,

byłbym wdzięczny, gdyby zechciała Pani wstąpić do mnie dzisiaj do biura o godzinie siódmej wieczorem. W razie gdyby miała Pani w tym czasie jakieś inne zobowiązania, proszę je odwołać, gdyż sprawa, którą pragnę z Panią omówić, jest dość istotna.

Z poważaniem

Doktor Ivan Caldwell

Dyrektor

Spojrzała na zegarek. Była już szósta piętnaście. Miała tylko czas na to, żeby wejść do siebie na górę, wziąć prysznic i może ze dwie aspiryny.

Kiedy tuż przed siódmą zjawiała się w gabinecie dyrektora, jego sekretarka знаła już jej nazwisko i nie musiała o nie pytać.

- Dobry wieczór, doktor Castellano. Niech pani wejdzie. Zaraz powiadomię doktora Caldwell.

Zanim jeszcze zdążyła otworzyć drzwi, zorientowała się, że nie miało to być intymne spotkanie *tête-a-tête*. Wręcz przeciwnie, wyglądało to raczej na zebranie

komitetu w białych fartuchach lub też bardziej adekwatnie - kazano jej się stawić przed oddziałem białej policji.

- Proszę, niech pani wejdzie, doktor Castellano - powiedział dyrektor, jedyna osoba ubrana po cywilnemu, wstając grzecznie. - Czy jest tutaj może ktoś, kogo pani jeszcze nie zna?

Laura rozejrzała się po pokoju. Rozpoznała swego zwierzchnika, Lemaistre'a i jego szefa, nie znała jednak kościstej siwowłosej kobiety w okularach, która prędko wstała z miejsca i przedstawiła się: - Nazywam się Muriel Conway. Jestem przełożoną pielęgniarek.

Uśmiechnęła się, podając jej rękę.

- Proszę, niech pani siada, doktor Castellano - powiedział dyrektor, wskazując na krzesło stojące pośrodku dużego pokoju.

Usiadła posłusznie zbyt odrętwiała ze zmęczenia, aby poczuć zdenerwowanie.

- No cóż - zaczął Caldwell - sędzę, że wie pani, dlaczego tu panią poprosiłem.

- Myślę, że tak - przyznała Laura. - Dziwi mnie jednak, że przeobraziło się to w taką grupową aferę.

- Sędzę, że powód tego jest raczej oczywisty - odpowiedział dyrektor. - Pani niefortunny list oskarża poniekąd wszystkich tu obecnych.

- Wybacz pan, ale powiedziałabym, że niefortunny był raczej wypadek, który opisuję w tym liście.

Dyrektor puścił jej komentarz mimo uszu. Następnie podał właściwą według niego wersję wydarzeń.

- Po otrzymaniu pani listu przeprowadziłem szczegółowe dochodzenie w tej sprawie, z którego jasno wynika, że zachowała się pani dziś rano wyjątkowo nieprofesjonalnie.

O czym on, u diabła, mówi? - pomyślała sobie. Usiłowała się opanować, gdyż intuicja ostrzegła ją, że Caldwell próbował sprowokować u niej gniewną reakcję, żeby móc ją potem z miejsca zwolnić.

Zaskoczyła go jednak, przyznając mu rację. - Zastanowiłam się już nad tym, doktorze Caldwell, i przyznaję, że zachowałam się wówczas bardzo niepowściągliwie. Nie powinnam dać się ponieść emocjom na sali operacyjnej. To z pewnością niczemu nie pomogło i nie było w stanie przywrócić dziecku życia. - Przerwała na chwilę, a potem dodała znacząco: - Tylko tlen mógłby to zrobić.

Uwaga ta wywołała kilka niespokojnych pokasływań.

- W każdym razie, przepraszam za ten wybuch.

- To świadczy o pani dojrzałości, doktor Castellano. Dziękuję pani. Obawiam się jednak, że pominęła pani szerszy aspekt tej sprawy.

- Słucham?

- Jesteśmy tu wszyscy sumiennymi lekarzami. Nam również zdarza się od czasu do czasu, że tracimy - jak to się mówi - zimną krew. Jednym z największych i nieuniknionych ciężarów tego zawodu jest to, że czasami angażujemy się emocjonalnie w cierpienia naszych pacjentów.

Doktor Caldwell pochylił się do przodu. - Obowiązuje jednak naczelna zasada, według której lekarze nigdy nie atakują się nawzajem.

- Pan wybaczy, proszę pana, ale nigdy o tym nie słyszałam. Z pewnością nie ma na ten temat wzmianki w przysiędze Hipokratesa.

- Doktor Castellano, nawet nie zaszczycę tej uwagi odpowiedzią. Pozwoli pani, że powtórzę tylko jeszcze raz: ogólnie przyjmuje się, że nasi koledzy działają zawsze w najlepszej intencji.

- A jeśli zauważa się błędy tak kardynalne, że nie jest się w stanie zaakceptować tej "prawdy wiary"? Jeśli na przykład pijany chirurg zabije zupełnie zdrowego pacjenta?

- Niech pani nie opowiada absurdów, Lauro. Naturalnie, że w takim wypadku należy poinformować o tym jego zwierzchnika. - Przerwał na chwilę i zauważywszy malujący się na jej twarzy wyraz ulgi, dodał znacząco: - Ale nigdy pisemnie.

Ponownie usłyszała szelest kręcących się na krzesłach ludzi. Dyrektor powstał z miejsca.

- Myślę, że wyraziłem się jasno, doktor Castellano. Dziękuję pani za to, że zechciała pani tu przyjść.

Kiedy odchodziła w stronę windy, poczuła nagle na ramieniu czyjąś dłoń. Zatrzymała się. Był to Lemaistre.

- Lauro - powiedział z uśmiechem - jest pani bardzo piękną kobietą.

- A co to ma oznaczać, doktorze?

- To znaczy, że nie będzie miała pani żadnych problemów ze znalezieniem pracy w przyszłym roku.

Rozdział XLI

Barney zdołał w końcu przekonać Bennetta, aby mu pozwolił asystować przy operacji.

- A w czym ty, u diabła, mógłbyś mi pomóc? Przecież i tak będę nieprzytomny.

- Zapominasz, że moją specjalnością jest podświadomość, Landsmann. Może uda mi się pogrzebać ci w mózgu w czasie, gdy oni będą pracować nad twoim kręgosłupem. W każdym razie lekarze zawsze bardziej się starają, kiedy się im patrzy na ręce. A poza tym ciągle jeszcze pamiętam coś niecoś z mojej neurologii.

- Przykro mi, Livingston, ale nie zdołałeś mnie przekonać.

- Słuchaj, Landsmann, może cię to zaskoczy, ponieważ nigdy nie słyszałeś tego słowa, ale ja jestem twoim przyjacielem.

W końcu Barney odniósł zwycięstwo.

Był przy Bennecie i żartował z nim, kiedy podawano mu przedoperacyjny zastrzyk. Jego też twarz ujrzał Bennett przy sobie bezpośrednio po odzyskaniu przytomności. - No i jak poszło? - zapytał zaspany.

- Nic się nie bój, Landsmann, jakoś tam poszło - pocieszał go Barney. - Kirk twierdzi, że zdjęcia są bardzo ładne. Nikt nigdy nie będzie ci mógł zarzucić, że nie masz mocnego kręgosłupa.

Bennett leżał przez chwilę w milczeniu, a potem zapytał: - Czy masz coś przeciwko temu, żeby poczekać trochę z żartami na ten temat?

- Jak długo? - zapytał Barney.

- Dopóki neurolog nie potwierdzi, że mogę kroić coś więcej aniżeli świątecznego indyka.

- Landsmann! - odpowiedział serdecznym tonem Barney. - Ostatnio sam służysz za indyka.

Bennett uśmiechnął się mimo woli.

W ciągu następnych dni nie uśmiechnął się jednak ani razu. Niepokój, który odczuwał, uczynił go niemal więźniem własnych mięśni twarzy. Wiedział bowiem, że cała jego przyszłość zależała od kilku podstawowych a bolesnych testów, jakim się musiał poddać. Miał je wykonać Laszlo Farkas, starszy neurolog szpitala w Yale.

Barney raz jeszcze nalegał, żeby być przy tym.

- Słyszałem o tym Farkasie - powiedział pocieszającym tonem. - Cieszy się dobrą opinią jako diagnostyk.

Na co Bennett odpowiedział: - W przeciwieństwie do jego reputacji jako człowieka.

- Jak to? - zapytał Bennett.

- Ponieważ daleko mu do człowieczeństwa. Jest po prostu nieludzki - wyjaśnił Bennett. - Słyszałeś chyba o lekarzach mających nerwy ze stali. Ten facet ma serce z żelaza.

- Do diabła z jego osobowością. Przynajmniej nie będzie owijał prawdy w bawełnę.

- Wcale nie jestem taki pewny, że chcę poznać prawdę - odpowiedział Bennett, przeczuwając coś złego.

Początkowo wydawało się, że lodowaty z natury profesor Farkas znał tylko jedno słowo - i do tego w jakimś obcym języku. Przygotował Bennetta na EMG (elektromiogram) poprzez serię ruchów przerywaną okrzykami "Aha" w różnej intonacji. Miał to być test rozstrzygający. Zadaniem jego było zmierzenie istnienia czy też zakresu ewentualnego uszkodzenia normalnej transmisji impulsów, płynących z mózgu Bennetta do jego bezcennych rąk.

Bennett poprosił neurologa, aby mu pozwolił patrzeć na oscyloskop w trakcie trwania zabiegu. Profesor pokiwał jednak negatywnie palcem, przez co zdawał się mówić: - Nie przeczę, że jesteś świetnym fachowcem w swoim zakresie medycyny, ale to nie oznacza bynajmniej, że daje ci to prawo do kolegowania się ze mną.

W rzeczywistości jednak oglądanie wykresu na ekranie nie było wcale konieczne. Obaj mężczyźni - a raczej cała trójka, gdyż Barney przyczaił się w kącie - słyszeli syk i trzaski głośników elektromiografu, podającego akustyczny obraz impulsów transmitowanych przez peryferyjny układ nerwowy Bennetta.

Dla Landsmanna było to równoznaczne z krzesłem elektrycznym.

Nawet nie drgnął, kiedy profesor poddawał jego ramię bolesnym elektrycznym wstrząsom. Dźwięki, które słyszał, potwierdzały jednak rozdzierającą prawdę. Farkas dał mu już do zrozumienia, że podejrzewał jeszcze przed przeprowadzeniem testów ucisk kręgów szyjnych na któryś z nerwów. Diagnostyczny instykt mówił mu, że jest to sprawa nieuleczalna.

Była to jednak zaledwie zimna, kliniczna hipoteza profesora.

Teraz to, co słyszeli, przekonało ich ostatecznie, że faktycznie .nie były to dobre wiadomości.

A zatem, kiedy Farkas z pełnym satysfakcji uśmiechem z powodu trafności własnej diagnozy, wykrzyknął swoje tryumfalne "Aha!", podpisał tym samym wyrok śmierci na dalszej karierze Bennetta jako chirurga.

Barney uparł się, żeby odwiedzić przyjaciela do domu. Przynajmniej tym razem nie było protestów. Bennett osunął się ciężko na fotel i przechylił głowę do tyłu.

- Słabo ci? - zapytał Barney.

- Aha - przyznał Bennett. - Ale to nieważne. Powiedz mi, doktorze Livingston, co ma robić chirurg, który nie może być już chirurgiem?

I to właśnie było pytanie. Jak bowiem można było powiedzieć komuś, kto szkolił się przez prawie dwadzieścia lat i miał właśnie zaczynać samodzielną karierę chirurgiczną, że te wszystkie bezsenne noce, cały pot i wysiłek zniweczył but policjanta? I to tylko dlatego, że Bennett spełnił najszlachetniejszy obowiązek lekarza.

Herschel czekał u niego w mieszkaniu. Wiedział, że w tym dniu miano wydać wyrok na jego syna, toteż chciał być przy nim.

Bennett powiadomił go o wszystkim z rozpaczą.

- Słuchaj, to jeszcze nie jest koniec świata - tłumaczył mu Herschel. - Synu, nadal przecież jesteś lekarzem. Są w końcu inne specjalizacje...

- Jak na przykład moja - zaproponował Barney. - Możesz być sparaliżowany od pasa wzwyż i nadal czynić wiele dobrego jako psychiatra.

- Dziękuję bardzo - zażartował z rozgoryczeniem Bennett. - Robiłbym to, co ty, dopiero wtedy, gdybym był sparaliżowany od szyi wzwyż-

Barney poszedł do greckiej pizzerii na Howe Street i przyniósł stamtąd dla wszystkich obiad. Domyślił się prędko, że Herschel zdążył już zaproponować synowi każdą z możliwych specjalizacji, w których jego uszkodzone ramię nie byłoby przeszkodą. Bennett jednak był nieugięty.

- Tato, powiedziałem ci już, że nie chcę być psychiatrą ani internistą. Nie wyobrażam sobie nawet tego, że mógłbym podawać znieczulenie i patrzeć, jak ktoś inny kroi. Do diabła, to zupełnie inne dyscypliny. Nie sądzę też, żebym ze względu na swój temperament pasował do którejkolwiek z nich.

Popatrzył na Barniego. - Livingston, czy sądzisz, że przeszczepianie nerek sprawiałoby ci przyjemność?

- Nie - odpowiedział z bolesną szczerością Barney. Po czym zwrócił się do starszego Landsmanna. - Proszę pana, obawiam się, że Bennett ma tu rację. W dawnych czasach chirurdzy byli zupełnie odrębną grupą i nie mieli nic wspólnego z lekarzami. Bennett był urodzonym chirurgiem. Miał odpowiedni refleks, właściwą mentalność, odwagę szybkiego podejmowania decyzji i był prawdziwie oddany temu, co robił.

- Zakończ ten panegiryk - powiedział sucho Bennett. - Zostaw coś na czas, kiedy będę spoczywał w trumnie.

Przyłożył dłonie do skroni i jęknął: - Boże, jak mnie boli głowa! To pewno przez to cholerne znieczulenie, chyba że podrzuciliście mi jeszcze jakieś prochy. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza!

Podszedł do balkonowych drzwi i nacisnął klamkę. Zacięła się. Szarpnął ponownie. I wówczas zorientował się, że Barney zaniknął je na klucz. Odwrócił się w stronę przyjaciela i powiedział:

- Bardzo sprytnie, Livingston. Czy nie sądzisz jednak, że gdybym chciał popełnić samobójstwo, to znalazłbym na to lepszy sposób? Nadal przecież potrafię utrzymać w ręce skalpel. Mógłbym się pokroić na plasterki jak salami. - Po czym mruknął prawie niedosłyszalnie: - A poza tym, już i tak jestem martwy.

Barney wstał i chwycił przyjaciela za ramiona.

- Do diabła, Bennett, to nieprawda! To wcale nie koniec twojego życia! Przestań się litować nad sobą. Usiądźmy lepiej i porozmawiajmy. Zobaczmy, może uda się nam razem coś wymyślić.

- Po pierwsze zaskarżę cały stan Connecticut - powiedział ze złością Bennett.

- A potem?

Bennett usiadł i pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, Barney - odpowiedział bezradnie. - Naprawdę nie mam pojęcia, co dalej robić. Pomóż mi.

Spojrzał na przyjaciela. - Proszę cię.

Barney usiadł naprzeciw niego. - Posłuchaj, stary. Lekarze nie powinni leczyć własnych rodzin. - A potem dodał: - Uważam cię za własnego brata. Potraktujmy to zatem nieoficjalnie.

- No dobrze, Barney - odpowiedział sucho Bennett. - Posłuchajmy zatem twojej braterskiej rady.

- No więc, po pierwsze, ty rzeczywiście znasz się dobrze na medycynie. Możesz być dobry właściwie w każdej specjalności, to znaczy teoretycznie. Teraz jesteś wściekły. A w naszym zawodzie jest tylko jeden sposób na to, żeby dać upust takiemu gniewowi jak twój.

- Tak? A jaki?

- Medycyna sądowa.

Wyraz twarzy Bennetta dowodził, że Barney utrafił w dziesiątkę.

Herschel zmieszał się. - Wybacz mi, Barney - wtrącił grzecznie - ale nie jest mi znana specjalność, którą proponujesz.

- Medycynę sądową, panie Landsmann, praktykuje się na rzecz prawa. To chyba najbardziej wymagająca dyscyplina w obu tych zawodach.

Spojrzał na przyjaciela i ciągnął dalej: - Wiem jednak, że kolega Bennett lubi stawiać czoło trudnościom. I jest do tego właśnie predestynowany. Ma odpowiednią wiedzę, szybkość, a co najważniejsze - odwagę do walki z niewiadomym.

Zwrócił się ponownie do Bennetta: - Zastanowisz się nad tym? To może być jeszcze ostrzejsze aniżeli skalpel.

Bennett zamyślił się, a Barney zaczął wyjaśniać swoją propozycję Herschlowi.

- Słuchajcie, mówimy tu o trzech kolejnych latach nauki.

- A może nawet i czterech - potwierdził kolega. - Ale na koniec zostaniesz doktorem medycyny i prawa. Osiągniesz też to, czego twoja psyche potrzebuje teraz najbardziej - pole do walki.

Bennett spuścił głowę. Barney i Herschel czekali cierpliwie na jego reakcję.

- Tato, co o tym sądzisz? - zapytał wreszcie.

- Nie mogę podejmować za ciebie decyzji, Ben. Mogę ci tylko powiedzieć, co o tym myślę. Wydaje mi się, że Barney wpadł na niezły pomysł. Wszystko zależy teraz od tego, czy jesteś w stanie wrócić do szkoły i zacząć wszystko od początku.

- To wcale nie byłby taki zupełny początek, tato. Mógłbym potraktować to jak jakąś nową asystenturę.

- A zatem weźmiesz to pod uwagę? - zapytał troskliwie Herschel.

- Aha. Przypuszczam, że tak. To znaczy, jeśli zdołam jakoś przekonać samego siebie, że temu podołam.

- Zastanów się nad tym, Ben - poradził Barney. - Przez jedną noc nic się nie zmieni, poza twoim nastrojem. Dobrze?

- No dobrze.

Herschel włożył płaszcz i pożegnał się z nimi.

- Zamówiłem pokój w hotelu Park Plaża. Sądzę, że powinienem już iść i spróbować się przespać. Przyniosę wam jutro świeże bułeczki na śniadanie. Widziałem tu po drodze piekarnię.

Odwrócił się w stronę Sarniego i powiedział ciepło: - Dobry z ciebie fachowiec.
- A potem zwrócił się do Bennetta: - Z ciebie też niezły.

Uśmiechnął się i pieszczotliwie uszczypnął syna w policzek.

Poczekali wraz z nim na windę. Pomachał im na pożegnanie ze słabą namiastką uśmiechu.

Bennett spojrzał na Barniego i powiedział: - W porządku, możesz już odejść, żołnierzu.

- Do diabła! - zażartował Barney. - Zafundowałem ci obiad. Wypada chociaż, żebyś mnie przenocował.

- Ty chyba zwariowałeś. Nadal ci się wydaje, że będę próbował ze sobą skończyć?

- Nie... - zaprzeczył Barney. - Nie chcę tylko, żeby... - Przerwał. Winien był przyjacielowi prawdę. - Tak, Landsmann. Ponieważ masz przed sobą coś jeszcze znacznie gorszego.

- To znaczy?

- Spać będziesz dzisiaj przypuszczalnie spokojnie. To ta dobra nowina.

- A potem? - zapytał Bennett.

- Jutro rano obudzisz się i będziesz musiał stanąć twarzą w twarz ze światem, i to będzie z tego wszystkiego najtrudniejsze.

- No dobrze, stary. Może i masz rację.

Bennett położył przyjacielowi rękę na ramieniu i razem wrócili do mieszkania.

Barney spał niespokojnie i w końcu poddał się tuż po szóstej rano. Wstał z łóżka i poczłapał z pokoju gościnnego w stronę kuchni, żeby napić się kawy i trochę otrzeźwieć.

Wzrok jego machinalnie padł na drzwi balkonowe. Nagle zobaczył przed nimi Bennetta. Stał nieruchomo, patrząc przed siebie na rozciągające się poniżej miasto.

- Hej, Landsmann, chcesz kawę? - zapytał Barney. Bennett nie odpowiedział. Był w jakimś transie.

- To dziwne... Z tej wysokości widać cały szpital. Patrzyłem na niego, odkąd zaczęło świtać. Stąd przypomina mi on ogromny grobowiec. I to w nim właśnie... pogrzebałem dziesięć najlepszych lat mego życia...

- Pamiętaj, Ben, że koty mają dziewięć żywotów - pocieszał go Barney. - Jesteś bardzo spokojnym kotem, Ben, a zatem pozostało ci jeszcze osiem.

Bennett stał nadal nieruchomo, patrząc na slumsy poza szpitalem.

- Miałeś rację - powiedział cicho.

- W związku z czym? - zapytał Barney, podając mu kawę.

- Myślę, że faktycznie wyskoczyłbym wczoraj przez okno, Barney. Jesteś dobrym psychiatrą... naprawdę czytałeś mi w myślach.

- To nie ma nic wspólnego z zawodową techniką, Ben. To po prostu wynika z tego, że jest się czymś przyjacielem - odpowiedział cicho Barney.

- Wiesz co? - ciągnął dalej Bennett z oczyma utkwionymi w uszpienym mieście. Tylko trzy osoby powstrzymały mnie od skoku w dół. Mama, tata... i ty.

Potem usiedli i dyskutowali przy kawie na temat ostatnich kryzysów na arenie sportowej.

Herschel przyszedł tuż po siódmej trzydziści, przynosząc ze sobą obfity wybór ciągle jeszcze ciepłych bułeczek i ciastek.

- Słuchaj, tato - zazartował Bennett - nie masz do wyżywienia całego uniwersytetu. Jesteśmy tu tylko we trójkę.

- Nie pouczaj mnie w tych sprawach - odpowiedział Herschel. - Nie jesteś jeszcze rodzicem. Chodźcie, chłopcy, częstujcie się:

Herschel miał rację. Pół godziny później pozostały zaledwie okruchy.

Starannie pomijano w rozmowie kwestię decyzji Bennetta. W końcu były pierwszy asystent na oddziale chirurgii w Szpitalu Yale oznajmił: - To będzie cholerna piguła. Nie wiem, czy ktoś z czterdziestką na karku będzie miał jeszcze cierpliwość, żeby przebrnąć przez te diabelskie kursy.

Herschel i Barney spojrzeli na siebie z ulgą.

- W porządku - zakomunikował Bennett. - Powiedzmy zatem, że spróbuję.

- To świetnie! - wykrzyknął Barney. - Jaką szkołę zamierzasz zaszczyścić swoją obecnością?

- W tym właśnie problem - stwierdził Bennett.

- Nie rozumiem? - zapytał Herschel.

Po raz pierwszy od czasu usłyszenia złej nowiny Bennett uśmiechnął się. - Czy sądzisz, że świat jest gotowy na przyjęcie żydowskiego asa pikowego z trzema stopniami naukowymi z Harvardu?

Barney poprawił jeszcze dobry humor przyjaciela. - O Chryste, Landsmann, ale ci zazdroszczę! Nie tylko wracasz do łona, ale i do tego będziesz w odległości zaledwie paru kroków od Radcliffe.

- Livingston, to wcale nie w tym największa gratka - uśmiechnął się figlarnie Bennett. - Przejdę do annałów historii jako jedyny facet, który grał po obu stronach o Puchar Nadużyć.

- Wypiję za to - powiedział Barney, wznosząc do góry filiżankę i trącając się nią z Bennettem.

- Ja też chętnie za to wypiję! - powiedział Herschel.

Na co jego adoptowany syn odpowiedział: - *L'Chayim*.

W tym samym czasie, kiedy Bennett wraz z dziekanami z harwardzkiej Szkoły Prawniczej planował swój powrót do Cambridge, jego były kolega na drugim końcu świata pracowicie wykreślał własne plany. Hank Dwyer oraz pozostali dwaj oficerowie, którzy byli jego sąsiadami w tym sajgońskim siedlisku rozkoszy, musieli teraz podejmować ciężkie decyzje.

Nixon wycofywał oddziały GI z Wietnamu nieomal tak prędko, jak prędko je tam niegdyś wysyłano. Wszyscy trzej mieli wkrótce otrzymać bilety do Stanów.

Cała trójka zebrała się w celu przedyskutowania dalszych kroków i tego, co należało dalej zrobić z ich wietnamskimi "rodzinami". Jeden z nich nie miał jeszcze żony w kraju, więc jego zadanie było najłatwiejsze. Zabrał swoją atrakcyjną orientálną kobietę, która urodziła mu syna i córkę, do amerykańskiej ambasady, gdzie większość urzędników pracowała bez wytchnienia dniami i nocami przy wpisach nowych Amerykanów, rejestrując ich rodziny i związki małżeńskie oraz planując ich powrót do kraju.

Drugi z oficerów zdecydował się wrócić sam do Stanów i zacząć tam proces rozwodowy, ażeby pozbyć się swojej agresywnej i natarczywej amerykańskiej żony i móc sprowadzić tam swoją uległą, uwielbiającą go towarzyszkę oraz ich dziecko z tego oblężonego kraju. Ameryka mogła przegrać tę wojnę, jemu za to udało się zrozumieć, na czym polegało prawdziwe, domowe szczęście.

Sytuacja Hanka nie była jednak taka prosta. Wprawdzie cenił sobie Mai-ling i lubił towarzystwo swego dwuletniego synka (zwłaszcza że widywał go tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę), pozostawała jednak kwestia jego znacznego już wkładu w populację Stanów Zjednoczonych w Bostonie.

Kontakty z Cheryl z jego obecnego miejsca pobytu były proste. Było to jednak miejsce bez powrotu. Hank bardzo się bowiem zmienił. Jakby to powiedzieć - poznał życie poza przedmieściami miasta. Jego świat stał się o wiele większy, poszerzyły się jego horyzonty.

Cheryl po prostu nie była typem kobiety, która była mu potrzebna. Uzyskanie rozwodu od pobożnej katoliczki było jednak bardzo trudne. Przy Mai-ling i małym Gregorym mogłoby się to nawet okazać niemożliwe.

- Nie mam wyboru, chłopcy - oznajmił swoim kolegom. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zostawię tutaj Mai-ling i zacznę załatwiać sprawy, no wiecie, z tamtej strony.

- Ale chyba zarejestrujesz ich w ambasadzie, co? - zapytał jeden z oficerów.

- Tak, oczywiście - odpowiedział Hank. - Nie zobowiąże mnie to chyba do sprowadzenia ich do kraju, co?

- Nie, ale dzięki temu twój dzieciak będzie mógł zostać obywatelem amerykańskim. A amerykański paszport może się przydać w razie, gdybyśmy utracili... to znaczy chciałem powiedzieć, gdyby utracono Sajgon.

W przypadku Hanka była to po prostu kwestia presji kolegów.

Nagle znalazł się pośrodku prawdziwego pandemonium. Kolejki żołnierzy oraz ich rodzin sięgały daleko poza obszar budynku otoczonego wysokimi, pomalowanymi na biało murami. Były tam dzieci w różnym wieku i wielorakiej pigmentacji. Niektórzy z tych "azjatyckich" Amerykanów byli biali jak śnieg, odziedziczyli jednak po swoich matkach szerokie kości policzkowe i migdałowego kształtu oczy. Dzieci spłodzone przez czarnych żołnierzy miały złotą karnację Polinezyjczyków.

Sama ich liczba była zdumiewająca, tym bardziej że według obliczeń pracowników ambasady zarejestrowano zaledwie jedną czwartą dzieci amerykańskich

GL

Hank i jego koledzy musieli zatem czekać w palącym słońcu przez kilka godzin, aby móc zostawić swoje nieoficjalne rodziny pod opieką gwiazdzistego sztandaru.

Hank naturalnie kłamał. Do tego czasu zdołał już sobie dobrze przyswoić tę umiejętność. Nie uczynił oczywiście niczego, co mogłoby podważyć przeświadczenie Mai-ling, że jej przyszłość będzie podobna do losu pozostałych mieszkanek willi. Po prostu będzie musiała być cierpliwa - była to w końcu jedna z najatrakcyjniejszych cech tych azjatyckich kobiet. Nadejdzie jednak czas, kiedy Hank wyśle po nią i znowu będą razem.

Wkrótce potem Hank otrzymał oficjalne zawiadomienie, że został przeniesiony do domu. Ponieważ odbył już nie jeden, ale dwa pełne okresy służby wojskowej, miał prawo do tego, aby go honorowo zwolniono.

On jednak był zbyt wielkim patriotą i za bardzo bał się powrotu do cywila, aby zdecydować się na taki odważny krok. A zatem, ku ogromnemu zdziwieniu przełożonych, poprosił o przeniesienie - gdziekolwiek, byle tylko gdzieś na Zachodnie Wybrzeże. Pozwoliłoby mu to uwolnić się od wietnamskich kontaktów i jednocześnie umożliwiłoby załatwianie kwestii bostońskiej z daleka.

Wieczorem, w przeddzień wyjazdu z Sajgonu, Hank udał się ze względów sentymentalnych po raz ostatni na ulicę Rozkoszy. Wziął ze sobą aparat, aby móc sobie w późniejszych latach udowodnić, że nie było to wcale snem.

Niektóre z neonowych świateł świeciły się nadal, lecz nawet te, które jeszcze błyszczały, zdawały się blednąć w oczach. Nie ulegało wątpliwości, że zwijano tam już cały interes.

Ze względu na stare dzieje zdecydował się pójść do Mikko, gdzie po raz pierwszy spotkał się z Mai-ling.

- Dobry wieczór, kapitanie - przywitał go uśmiechnięty właściciel. W całym zakładzie jedynie jego humor pozostał nietknięty. - Miło mi pana widzieć. Wszyscy już teraz wyjeżdżają.

- Aha - przyznał Hank i rozejrzał się po pustych stolikach i krzesłach, częściowo już złożonych. Reflektory, które niegdyś oświetlały zatłoczony taneczny parkiet silniej aniżeli słoneczne światło, były teraz nieczynne. Nawet szafa grająca jaśniała bardziej przyćmionym blaskiem.

- Napije się pan tego co zawsze? - zapytał właściciel, będący teraz własnym portierem, barmanem, kelnerem i kucharzem w jednej osobie.

- Aha - odpowiedział z roztargnieniem Hank, żałując jednocześnie, że w ogóle tu przyszedł. Mogło to bowiem osłabić wspomnienia euforii, którą pamiętał z czasów, kiedy ulica Rozkoszy była w pełni rozkwitu.

Oparł się o bar i rozejrzał dookoła. Nadal siedziało tam parę kobiet. Nie brakowało ich w kraju, w którym zdziesiątkowano całe pokolenie ich braci.

- Mamy tu nową dziewczynę - powiedział Mikko, podając mu trunek. - Przybyła prosto ze wsi. Niczym kwiatek. I nadal jest dziewicą. Chciałby pan, żebym ją panu przedstawił?

Zanim Hank zdążył cokolwiek odpowiedzieć, entuzjastyczny Mikko przedstawił mu jedną z członkiń swego haremu.

- Kapitanie Dwyer, to jest Dio-xi, dla ułatwienia nazywamy ją tu jednak Dixie.

- Dobry wieczór - odpowiedział Hank, zauważając jednocześnie, jak wyborną figurę miała ta wyjątkowo młoda dziewczyna. Przypominała wymalowanego na ścianie kaplicy cherubina lub anioła.

- Czy mógłbym ci zafundować coś do picia, Dixie? - zapytał.

Dziewczyna spojrzała na Mikko, oczekując instrukcji.

- W porządku, Dixie. Kapitan Dwyer to przyjaciel - odpowiedział uprzejmie. - Zrobię ci lemoniadę.

Usiedli przy stole i posługując się podstawami wietnamskiego Hanka i łamaną angielszczyzną Dixie, próbowali nawiązać rozmowę. Zadał jej naturalnie nieuniknione pytanie, a więc starą śpiewkę na temat "co taka wspaniała dziewczyna jak ty robi w takiej dziurze". Okazało się, że wioska jej została zdobyta nie raz, a trzy razy. Początkowo przez Wietkong, potem przez GI, a gdy tylko żołnierze amerykańscy wycofali się, przejęli ją znowu komuniści. Krwawo zemścili się na tych, którzy współpracowali z Amerykanami.

Ojca jej zastrzelono. Matkę zgwałcono, a potem zastrzelono. Ona zaś zdołała się ukryć w pniu drzewa i uciec przed wszystkim, z wyjątkiem tego najgorszego - konieczności bezsilnego patrzenia na to wszystko. Ucieczka ta zakończyła się nieuchronnie na ulicy Rozkoszy.

Hank wysłuchał jej i gdzieś w swoim dobrze izolowanym sumieniu ulitował się nad nią.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Szesnaście - odpowiedziała.

- Ile tak naprawdę masz lat? - nalegał.

Schyliła głowę i przyznała się: - Dwanaście.

Nastąpiła niezręczna cisza. Po chwili Hank wymamrotał z zażenowaniem: - Chciałbym ci zostawić pieniądze, Dixie.

- Musi pan najpierw porozmawiać o tym z Mikko - odpowiedziała wstydliwie.

- O nie, nie! - przerwał jej prędko. - Chcę ci dać pieniądze, żebyś się mogła stąd wydostać. Może znajdziesz gdzieś prawdziwą pracę. Wiem, że są tu gdzieś jakieś przyklasztorne szkoły, w których nie musiałabyś... - Nie mógł się nawet zdobyć na wypowiedzenie tych słów.

- Jest pan naprawdę bardzo dobry - odpowiedziała cicho. - Ale nie mogę tego przyjąć.

- Ależ nie, ja nalegam - powiedział Hank i wcisnął w jej drobną dłoń dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty. Podniósł się z miejsca.

- Muszę już iść, Dixie. Uważaj na siebie, dobrze?

Skinęła głową. Nie miała na tyle bogatego słownictwa, aby wyrazić swą wdzięczność za jego dobroć.

Hank pomachał ręką w stronę Mikko i wyszedł na ulicę.

Przeszedł zaledwie dwadzieścia kroków, kiedy zorientował się, że zostawił aparat fotograficzny w nocnym klubie na stole. Szybko wrócił. Przy barze nie było teraz nikogo, lecz - o dziwo! - jego aparat leżał nie tknięty.

Nagle z kąta dobiegły go czyjeś głosy. Spojrzał w tamtą stronę. To Dixie. Oddawała właśnie Mikko wszystkie podarowane jej przez niego pieniądze.

Perła w koronie amerykańskiego lecznictwa, Państwowy Instytut Zdrowia, położony jest w odległości zaledwie dwudziestu minut drogi samochodem od Białego Domu w Bethesda, w stanie Maryland. Składają się nań sześćdziesiąt trzy budynki, z których większość jest z czerwonej cegły. Otaczająca je cisza przypomina atmosferę uczelnianego dziedzińca.

Szpital Państwowego Instytutu Zdrowia jest chyba największym ceglany budynkiem świata, którego łączna długość korytarzy wynosi dziewięć mil.

Geniusz jest tam normą.

Co najmniej osiemdziesięciu ośmiu zdobywców Nagrody Nobla pracowało w murach tego szpitala, po którym rozsiane były najróżniejsze laboratoria. Przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku prowadzi się tam badania nad rakiem, chorobami serca, zaburzeniami neurologicznymi oraz innymi, jeszcze bardziej tajemniczymi, choć równie bezlitosnymi schorzeniami.

Starsi członkowie instytutu kontrolowali pracę tych szczęśliwców, którym udało się przebić przez ostrą płataninę konkurencyjnych podań i zdobyć dwu- lub trzyletnie członkostwo wśród „juniorów”. Selekcja zależała głównie od wagi

proponowanych badań naukowych, a także od tego, czy - zdaniem komisji - dany aplikant był na tyle uzdolniony, aby móc sobie z nimi poradzić.

Bardzo niewielu członków instytutu pracuje w tamtejszym szpitalu. W większości zakopują się w swoich laboratoriach z czerwonej cegły, wpatrując się w swoje elektroniczne mikroskopy i czekając, aż jakiś miniaturowy cud wpłynie w ich obszar widzenia. Lekarze nazywają ich często "szczurzymi doktorami".

Nie da się jednak zaprzeczyć, że wiejski lekarz, brnący gdzieś w śniegu do pacjenta leżącego w drewnianym szałasie, jest niewątpliwie lepiej zaopatrzony, jeśli niesie ze sobą najnowsze lekarstwa, wynalezione w którymś z laboratoriów Instytutu Zdrowia.

Laura Castellano dobrze wiedziała, że jej szansę na przyjęcie do instytutu badawczego były wyjątkowo nikłe. Praca w Instytucie Zdrowia uważana była bowiem za jednoznaczną z odbyciem przez lekarza zobowiązań wojskowych. Każdy przeciętny lekarz wolał przeto mieć do czynienia z palnikami Bunsena niż z paleniem wiosek.

Propozycja pracy naukowej Laury wywarła pewne wrażenie na członkach komisji z kilku ważnych powodów.

Przede wszystkim ci, którzy ciągle jeszcze byli w trakcie tworzenia własnych rodzin, zdawali sobie sprawę z tego, że wczesny system ostrzegawczy, wykrywający groźbę krwotoku u wcześniaków, mógłby się im jeszcze osobiście przydać.

Poza tym jej propozycja brzmiała rozsądnie i pragmatycznie: "Dzięki ostatnim odkryciom w ultradźwiękowych odczytach możemy obecnie ustalić zarówno czas oraz zakres krwotoków, jak również zależność czasową pomiędzy początkiem krwawienia a innymi ważnymi symptomami występującymi u danego dziecka.

Moglibyśmy także mierzyć regularnie napięcie gazów we krwi (poziom tlenu, dwutlenku węgla, stopień kwasicy krwi). Powinny być również dokładnie notowane fluktuacje w ciśnieniu krwi, a kontrola zdolności krzepnięcia krwi płodu mogłaby umożliwić wykrycie wszelkich tendencji do skazy krwotocznej..."

Ponadto wyglądało na to, że projekt Laury mógł stosunkowo szybko przynieść oczekiwane rezultaty, co byłoby użyteczne w czasie, gdy Kongres obradował nad wielkością kredytów przyznawanych instytutom badawczym.

A mimo to Laura nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak niewiele brakowało, żeby odrzucono jej podanie. Uchroniło ją tylko nowe prawo dotyczące równouprawnienia.

Od niepamiętnych czasów podaniom do szkół i na uczelnie oraz o posady w administracji państwowej musiały towarzyszyć zdjęcia kandydatów, ujawniające ich pochodzenie etniczne.

Jednakże teraz, w tym śmielszym, bardziej demokratycznym świecie stworzonym ostatnio przez Kongres, kandydaci mieli być oceniani jedynie podług swoich zasług. Czynienie jakichkolwiek adnotacji dotyczących rasy lub wyznania kandydatów było ściśle zabronione.

Komisji znany był naturalnie fakt, że Laura Castellano była kobietą. Przemawiało to nawet na jej korzyść. Brak fotografii sprawił jednak, że nie odrzucono jej z tego prostego, a tak obciążającego powodu, że była piękna.

Od niepamiętnych bowiem czasów wiadomo powszechnie, że uroda i inteligencja po prostu nie chodziły ze sobą w parze. Dlatego też, gdyby sędziowie wiedzieli cokolwiek o wyglądzie Laury, odrzuciliby ją natychmiast w przekonaniu, że jest tylko głupią blondynką.

W czasie ostatnich tygodni swego pobytu w Queen's Laura obesza wszystkich sprzedawców używanych samochodów w Toronto, żeby znaleźć sobie jakieś cztery kółka, które były nieodzowne dla każdego, kto pracował w okolicy Waszyngtonu.

Depresja, którą odczuwała, miała cudowny wpływ na stan jej konta bankowego. Przez całą zimę obsesyjnie wręcz oddawała się pracy na neonatologicznym oddziale intensywnej terapii, co rzadko pozwalało jej na oglądanie światła dziennego, nie mówiąc już o robieniu zakupów większych niż kupno grahamowych herbatników i mleka. Nawet nie czytywała gazet. Jediną jej lekturą był "New England Journal"*.

Mogła sobie zatem pozwolić na to, by wydać dwa tysiące dolarów, których domagał się "uczciwy Ernie" za "prawie nie używany chevrolet nova". Była nawet na tyle sprytna, że kazała mu dorzucić do tego nowy zestaw opon.

W ostatnim dniu czerwca pożegnała się z paroma przyjaciółkami, które tam miała - dwiema pielęgniarkami z oddziału intensywnej terapii i kasjerką w szpitalnym barze. Załadowała do bagażnika walizkę i kilka pudeł z książkami, po czym skierowała się na południe.

Dwie godziny później przejechała przez most nad rzeką Niagarą, wjeżdżając do Buffalo, w stanie Nowy Jork, i podążyła w stronę Pittsburgha. Dopiero wtedy,

przekroczywszy już dawno wysokość Bostonu i Nowego Jorku, skręciła na wschód, zatrzymując się tylko w celu posilenia siebie lub swego pojazdu.

O wschodzie słońca dotarła do Waszyngtonu. Ciągle jeszcze drzemiące miasto wyglądało jak zdjęcie z reklamówki agenta biura podróży. Przyszło jej wówczas na myśl parę linijek z Wordswortha - z dawno zapomnianych lekcji angielskiego ze szkoły w Midwood - "Miasto to przybiera niczym szaty piękno poranka..."

Po przeszło roku nieustannego przygnębienia pierwszy raz poczuła nadzieję. Być może Waszyngton nie zada kłamu swemu zewnętrznemu pięknu. Być może właśnie tutaj wreszcie odnajdzie szczęście.

Wynajęła wcześniej mieszkanie w Bethesda, lecz była zbyt podniecona, aby pojechać "do domu", choćby po to, żeby się odświeżyć. Udała się więc prosto do Instytutu Zdrowia, gdzie ku swojej radości odkryła, że wcale nie przybyła tam pierwsza. W południe siedziała już bezpiecznie u siebie w laboratorium, przeglądając notatki swego protokołu.

Kiedy zdejmowała czysty, biały fartuch z małą niebiesko-białą plaketką ze swoim nazwiskiem, usłyszała kobiecy głos pytający o nią w sąsiednim laboratorium.

- Czy doktor Castellano już przyjechała? Mam do niej u siebie w biurze międzymiastowy telefon.

Zaskoczona Laura przedstawiła się i poszła za sekretarką do gabinetu dyrektora, gdzie podniosła słuchawkę.

- Hej, Castellano! Witaj w kraju ludzi dzielnych i wolnych!

- Barney, czy zgubiłeś gdzieś mój numer wewnętrzny?

- Nie - wyszeptał po drugiej stronie. - To miał być tylko taki chwyt, żeby cię zwabić do gabinetu dyrektora, żebyś mogła go spotkać mimochodem. Albo przynajmniej jego sekretarkę, która zazwyczaj jest rzeczywistą siłą, która rządzi tronem.

- Doktorze Livingston - odpowiedziała, usiłując zdobyć się na formalność. - Nie powinnam zajmować tego telefonu. Oddzwonię do pana dzisiaj wieczorem. Nie ma pan chyba nic przeciwko temu?

- Naturalnie. Zobaczysz jednak, że ten telefon przyniesie ci jeszcze dywidendy. Do widzenia.

Laura odłożyła słuchawkę.

- Przyjaciel czy współpracownik? - spytała sekretarka. Od razu wiedziała, jak na to odpowiedzieć.

- Współpracownik. Doktor Livingston z nowojorskiego uniwersytetu.

A przynajmniej od trzech miesięcy - pomyślała sobie, lecz nie powiedziała tego głośno.

- Jakiego rodzaju badania prowadził? - zapytała grzecznie sekretarka, której nie mieściło się wręcz w głowie, że lekarz mógłby się zajmować jedynie badaniem pacjentów.

- Obawiam się, że obowiązuje mnie tajemnica służbowa - odpowiedziała przeproszającym tonem Laura.

- O! - wykrzyknęła sekretarka z nie ukrywanym podziwem. - Rozumiem. Ma pani rację, że mi pani tego nie mówi. Jestem Florence. Proszę do mnie przyjść, jeśli tylko będzie pani miała jakieś problemy.

Laura podziękowała jej i skierowała się do wyjścia, myśląc równocześnie: Florence! Oglupiałabyś chyba zupełnie, gdybym ci powiedziała, że zwierzętami w laboratorium badawczym Barniego nie są szczury, myszy czy nawet małpy, ale po prostu lekarze.

Oczekiwania Laury związane z Waszyngtonem bynajmniej nie okazały się płonne. Codziennie ocierała się o największe medyczne mózgi świata. Nie było takiej książki, dziennika czy też przyrzędu, choćby i najbardziej egzotycznego lub dziwnego, którego nie dałoby się sprowadzić tam w ciągu sześćdziesięciu minut.

Panująca w instytucie atmosfera nie była aż tak napięta jak na terenie uniwersytetów. Pracownicy wiedzieli, że będą tam tylko przez czas ograniczony, toteż starali się zrobić w tym okresie jak najwięcej i opublikować swoje rezultaty, aby dostać potem posady na innych uniwersytetach. Nie przypominało to więc wcale zajęć laboratoryjnych z chemii, na których można było sabotować eksperymenty sąsiadów, kiedy tylko obrócili się na moment w stronę okna, żeby popatrzeć na jesienne liście.

Dwaj młodzi pediatrzy, z którymi dzieliła laboratorium oraz komputer, byli bardzo sympatyczni i najwidoczniej szczęśliwi w swoich małżeństwach. Dowodem tego był pośpiech, z jakim zaprosili Laurę do siebie do domu na kolację. Chcieli, aby ich żony mogły się w ten sposób dostatecznie przekonać, że nie zanosilo się na to, aby ta bostońska "bomba" (jak ją nazywano poza jej plecami) wybuchła u nich w domu. Laura rozumiała też w pełni, że jeśli chciała mieć towarzystwo w różnych godzinach

pracy, to musiała przekonać ich żony, że wszelka nocna działalność, jaką zamierzała prowadzić z ich mężami, ograniczała się wyłącznie do sfery intelektualnej.

Była rzeczywiście oddana pediatrii, mając niewielką świadomość własnych motywacji. Nie zauważyła bowiem nawet, że dowodziło to także siły jej macierzyńskiego instynktu. A miała już trzydzieści sześć lat. I nie pozostawało jej wiele czasu.

Zaczęła miewać potworne koszmary. Chociaż nie wiedziała, gdzie mieszkał teraz Palmer z Jessicą, to jednak zdawała sobie sprawę z tego, że w tym samym roku, w którym się z nim rozwiódła, urodziło się im dziecko. Mały "wczesniak" ważył aż cztery kilogramy. W swoich nocnych koszmarach odgrywała nieustannie sceny, w których spotykała nowych państwa Talbotów i na widok ich dziecka krzyczała: - Nie! Nie! Nie! To dziecko jest moje! Ono jest moje!

Mimo nalegań Barniego nie chciała zwrócić się o pomoc do psychiatrii. Potwornie bała się wielu rzeczy. Choćby i tego, że w instytucie dowiedzą się, iż wcale nie jest tą superkobietą, tą El-Peñon, skałą nad skały, Gibraltarem.

Co gorsza, bała się skonfrontować rozpaczliwe sprzeczności, jakie tkwiły w jej własnym umyśle. Miewała nawet dziwaczne sny, w których odgrywała podwójną rolę.

Była w nich swoją matką, która przeklinała i upominała małą Laure, ponieważ nie zasługiwała na to, żeby żyć.

Na jawie istniała jednak tylko jedna Laura Castellano, dla której miała jakikolwiek szacunek. Ta, która wraz ze swym kierownikiem, Dainem Oliverem, opublikowała pierwszy artykuł w "Amerykańskim Piśmie Pediatrycznym" jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Nawet wedle tempa ustalonego przez tamtejsze supermózgi uważane było to za niezły start. Co więcej, miała odczytać ten artykuł pod koniec stycznia na międzynarodowym kongresie w Meksyku.

- Wreszcie się wzbilam w powietrze! - powiedziała Barniemu przez telefon.

Przynajmniej mogła podziwiać swoje naukowe osiągnięcia.

Rozdział XLII

Pierwsza Międzynarodowa Konferencja Neonatologów miała się odbyć w Meksyku pomiędzy siedemnastym a dwudziestym piątym stycznia 1974 roku. Wszystko wskazywało na to, że będzie to ważne wydarzenie. Kiedy bowiem w grę wchodzi ratowanie dzieci, nie mają znaczenia podziały polityczne na Wschód i Zachód. Nie ma też wówczas Trzeciego Świata - istnieje tylko jedna wielka ludzka rodzina. W żadnym kraju śmiertelność niemowląt nie równa się zeru, pozostało zatem do stoczenia jeszcze wiele wspólnych bitew.

Grupa lekarzy z Instytutu Zdrowia uważana była nieomal za oficjalną "amerykańską delegację". Wszyscy zatrzymali się w hotelu Maria Isabel Sheraton, w którym również miały się odbywać ogólne zebrania. W czasie lotu Laura siedziała obok doktora Olivera, zmuszając cierpliwego kierownika do wysłuchiwania w nieskończoność recytacji swego artykułu.

- Wszystko pójdzie ci dobrze, Lauro. Nic się nie bój - pocieszał ją. - Nie musisz się tego uczyć na pamięć. Będziesz to przecież miała przed sobą.

- Wiem o tym, Dain, ale mam okropne przeczucie, że z chwilą wejścia na podium zapomnę nagle, jak się czyta.

Oliver roześmiał się. - To raczej mało prawdopodobne, Lauro. Pomyśl tylko, jak daleko już zaszłaś od pierwszej klasy. Rozumiem jednak twoją panikę. Dobrze pamiętam, jak w dniu, w którym miałem odczytać swój pierwszy artykuł, nie byłem w stanie zatrzymać śniadania w żołądku.

- O to wcale się nie martwię - odpowiedziała Laura. - W ogóle nie zamierzam w tym dniu jeść.

W tym momencie samolot wyłonił się z aureoli dymów, które wiecznie unosiły się nad La Ciudad de Mexico i rozpoczął końcowe podejście do lądowania.

W zatłoczonym westybulu hotelu panował wielojęzyczny zgiełk. Nad elegancką marmurową ladą recepcji rozwieszony był plakat z napisem ¡BIENVENIDO A LOS SALYADORES DE NIÑOS!, pod którym widniały te same powitalne słowa w języku angielskim, francuskim i rosyjskim, skierowane do dziecięcych aniołów stróżów.

Podobnie jak dla reszty kolegów z instytutu, miejsce w hotelu dla Laury zostało zarezerwowane już wcześniej, co - jak twierdziła - było jedną z niewielu rzeczywistych korzyści wynikających z faktu zatrudnienia na państwowej posadzie. Na *La Doctora*

Castellano czekały już dwie wiadomości. Jedną z nich był telegram, którego zawartości domyśliła się intuicyjnie jeszcze przed otwarciem koperty. Były to pozdrowienia od Barniego, który w jakiejś makaroniarskiej wersji łamanej hiszpańszczyzny kończył je następująco: *“Buena suerte y złam una nogga!”*

Drugą wiadomość, zawartą w ręcznie zaadresowanej kopercie, zapisano na hotelowej papeterii. Laura spodziewała się spotkania ze starymi przyjaciółmi z Bostonu, toteż wydawało jej się, że to po prostu zapowiedź owego spotkania. Wszelako otrzymała o wiele bardziej zaskakującą wiadomość:

iQuerida doctorcillita!

¿Porqué nopresentas tu disertación en tu lengua materna? No te olvida que todavía eres una verdadera castellana.

*Besos y abrazos,
Tu afectuoso papacito*

“Pozdrowienia, moja mała, ukochana pani doktor. Dlaczego nie czytasz swego artykułu w ojczystym języku? Nie zapominaj, że »Castellano« oznacza «prawdziwy Kastylijczyk». Uściski i ucałowania od twego kochającego ojca”.

- Co się stało, Lauro? - zapytał stojący tuż za nią w kolejce Dain. - Pobladłaś. Czy to jakaś niedobra nowina?

Potrząsnęła przecząco głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- To musi być zatem związane z wysokością - stwierdził Oliver. - To trochę potrwa, zanim się człowiek do tego przyzwyczai. Usiądź może, a ja zajmę się za ciebie tą biurokracją.

Skinęła głową z wdzięcznością i rozejrzała się za najbliższym krzesłem. Kiedy usiadła, próbowała zebrać myśli.

Co, u diabła, robi tutaj mój ojciec?

Jak przeżyje te godziny do jutra rano, do jedenastej piętnaście, kiedy to miała wystąpić ze swoim odczytem? Zaraz po wejściu do pokoju spróbowała zadzwonić do Barniego, ale bezskutecznie. Dlaczego właśnie dzisiaj jej chorobliwie pracowity przyjaciel nie odpowiadał w domu na telefony? Zadzwoniła do niego do pracy - może z jakiegoś powodu nadal tam siedział?

Połączyła się jednak tylko z recepcją. - Czy to coś poważnego? - spytano z niepokojem.

Nie - pomyślała sobie. Nie mogę przecież kazać im go szukać. No trudno, weź sobie parę własnoręcznie przepisanych pigułek i idź spać.

Następnego ranka poczuła lekkie zawroty głowy. Mogły to być te pigułki, wysokość, a nawet *carne asado*, które próbowała zjeść wczoraj na kolację. Otrzeźwiała przy kawie i wyjątkowo pozwoliła sobie nawet na dodanie do niej cukru, chociaż jako lekarz wiedziała, że to niezdrowe i normalnie należało się tego wystrzegać.

Zastanawiała się, gdzie będzie siedział jej ojciec. To w końcu nie był budynek Narodów Zjednoczonych. Lekarze z różnych krajów siedzieli razem, niekoniecznie w alfabetycznym porządku. Luis może być bardzo daleko... albo też czekać przy drzwiach położonych przy podium w nadziei, że rzuci mu się zażenowana w ogromne, ojcowskie objęcia.

W każdym razie było już za późno na tego rodzaju spekulacje. Dzięki mikrofonom usłyszała, że poprzedzający ją mówca właśnie skończył odpowiadać na ostatnie pytanie z sali.

Przewodniczącym porannej sesji był czerstwy na twarzy Rumun, który upierał się, aby wygłaszać swoje wprowadzenia po francusku (który to język był jednym z oficjalnych języków kongresu). Po raz pierwszy w życiu przedstawiono ją jako *Docteur Laura Castellano*.

Zebrała w sobie odwagę i ze spuszczonymi oczyma, nie patrząc ani na lewo, ani na prawo, skierowała się w stronę podium. Mimo że celem jej wielogodzinnych prób z doktorem Oliverem było nawiązanie wzrokowego kontaktu z publicznością, Laura odczytywała teraz swój artykuł z pospieszną monotonią, ani razu nie podnosząc głowy znad tekstu.

Przewodniczący Ardeleanu podziękował jej kwiecistą francuszczyzną, a potem zwrócił się do zebranych z pytaniem, czy mają może do niej jakieś krótkie pytania. Wskazał na młodego latynoskiego lekarza, który zgodnie z protokołem podał najpierw swoje nazwisko oraz pochodzenie: - *Jorge Navarro, Facultad de pediatria, Universidad Popular de Havana*.

Ostrzeżono już ją o tym wcześniej. Departament Stanu powiedział im, że mogli się spodziewać jakiejś prowokacji ze strony "zwyczajnej, politycznej lewicy". Nigdy jednak nie przypuszczała, że ogień ten skierują właśnie na nią.

- Dlaczego w Stanach Zjednoczonych - zapytał szybką hiszpańszczyzną czcigodny doktor Navarro - śmiertelność niemowląt wśród ludności murzyńskiej oraz hiszpańskiego pochodzenia jest dwukrotnie większa aniżeli wśród białej populacji?

Na sali rozległo się kilka zachęcających okrzyków, lecz głównie odgłosy oburzenia i dezaprobaty. Nawet tym, którzy podzielali przekonania doktora Navarro, nie podobał się jego mało szarmancki wybór tej najwidoczniej naiwnej młodej kobiety na cel swojej propagandy.

- Czy muszę odpowiedzieć na to pytanie? - Laura zwróciła się do przewodniczącego. - Uważam, że to nie ma nic wspólnego z moim tematem.

Rumun albo nie znał angielskiego, albo też udawał, że go nie zna. Skinął lekko głową i powiedział: - *Madame, peut répondre.*

W porządku - pomyślała sobie Laura ze wzrastającym gniewem z powodu swego wyróżnienia, ale natychmiast opanowała zdenerwowanie. Odpowiem temu małemu dogmatycznemu skurwysynowi za pomocą mojej własnej sofistyki.

Odpowiedziała Kubańczykowi w tym samym języku, w którym zadał jej pytanie, a nawet w jego czystej, kastylijskiej wersji. Skąd uzyskał taką statystykę? Czy znany był mu fakt, że liczba narodzin wśród Murzynów była dwukrotnie większa niż wśród białych? A także, że ludność hiszpańskiego pochodzenia posiadała najliczniejsze rodziny ze wszystkich etnicznych grup w Stanach Zjednoczonych? (Starła się nie używać terminu „Ameryka”, mówiąc o swoim kraju, ponieważ wiedziała, że latynoscj Amerykanie zawsze uważali to za arogancję.)

Natarła mu uszu jadowitą uprzejmością, pytając pokornie, czy jej wybitny kolega z Republiki Kubańskiej mógłby podać powód tego pytania, jeśli już nie jego związek z jej artykułem. Navarro, człowiek nieugiętego ducha, powstał, by przyjąć jej wyzwanie.

- W tak zwanych rozwiniętych krajach wskaźnik śmiertelności niemowląt wskazuje bezbłędnie na ich stosunek do przyszłych pokoleń, zwłaszcza w przypadku mniejszości etnicznych.

Publiczność przygotowywała się do debaty, toteż przewodniczący nie widział powodów, dla których miałby ją pozbawić tej nieoczekiwanej rozrywki, ograniczając dyskusję do przepisowych pięciu minut

- To bardzo ciekawa filozofia, doktorze Navarro - odpowiedziała Laura, zwlekając, żeby tym lepiej przygotować odpowiedź. - Współczuję zatem kubańskim matkom, gdyż wasz wskaźnik śmiertelności jest dokładnie dwukrotnie większy niż u

nas, w Stanach. Ale wy, oczywiście, jesteście krajem dopiero rozwijającym się (uważała, żeby przypadkiem nie powiedzieć “zacofanym”) i mam nadzieję, że wymiana naukowa na kongresach takich jak ten pomoże jak najprędzej skorygować tę sytuację.

Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, a niestrudzony doktor Navarro wtrącił prędko: - Uchyła się pani od odpowiedzi na moje pytanie.

- Wcale nie - odpowiedziała Laura spokojnie. - Wyraził pan przekonanie, że wskaźnik śmiertelności niemowląt odzwierciedla stosunek większości do mniejszości narodowej. Czy mam rację?

Navarro uśmiechnął się i założył z satysfakcją rękę: - Tak faktycznie brzmiało moje pytanie, pani doktor.

- A zatem, jak pan to wyjaśni, doktorze Navarro, że pańscy protektorzy w Związku Radzieckim - a mam nadzieję, że zgodzi się pan ze mną, że Rosja jest krajem rozwiniętym, posiadającym bardzo dużo grup etnicznych - mają wskaźnik śmiertelności trzykrotnie większy niż w Stanach Zjednoczonych? W rzeczywistości jest on nawet o pięćdziesiąt procent wyższy niż na Kubie.

Kiedy Navarro, niczym zraniony byk, osunął się z powrotem na swoje miejsce, w powietrzu rozległy się przyciszone okrzyki: *Ole!*

Mimo że w tym momencie mało kto pamiętał jeszcze treść jej artykułu, Laura opuściła podium przy burzy życzliwych oklasków.

Dain Oliver pobiegł natychmiast uścisnąć jej rękę i z dumą poklepał ją po ramieniu.

Dostrzegła go dopiero wtedy, kiedy przypadkowo spojrzała ponad ramionami gratulujących jej kolegów.

A dokładniej, ujrzała wychudzonego, kościstego mężczyznę, który niejasno przypominał jej Luisa. Odkąd zdołał zwrócić na siebie jej uwagę, nie miała już żadnych wątpliwości. Mimo to nie podszedł do niej. Czekał, aż się od nich uwolniła i sama zdecydowała się do niego podejść.

W chwilę później przedarła się przez morze obcych, zastanawiając się, jak się powinna zachować wobec tego dawno utraconego czy też byłego ojca.

Czy powinna odpowiedzieć, jeśli otworzy ramiona w ojcowskim geście miłości? A jeśli poda jej jedynie rękę - czy powinna ją uścisnąć, tak jakby witała obcego? Nawet w tych paru ulotnych sekundach zdała sobie sprawę z tego, że wszystko zależało od niego.

Kierując się instynktem samozachowawczym, zatrzymała się ó parę kroków przed nim.

Uśmiechnął się do niej ciepło. Wyraz jego oczu nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, jak bardzo był z niej dumny.

Kiedy zorientował się, że Laura nie miała zamiaru podejść do niego bliżej, odezwał się cicho po hiszpańsku.

- Doktor Castellano? - zapytał.

- Tak, doktorze Castellano - odpowiedziała.

- Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. - Bardzo schudłeś, Luisie.

- Owszem - przyznał. - To moja jedyna krytyka kubańskiej demokracji. Jedyńm dostępnym tam trunkiem jest rum, który jakoś mi się już znudził. A poza tym wszyscy urzędnicy państwowi muszą się obowiązkowo gimnastykować. Nie wypada, żeby pracownik ministerstwa zdrowia był pijany i otyły.

- Ministerstwa zdrowia?

- To nic takiego wielkiego, Lauro. Jestem zwykłym urzędnikiem. Zajmuję się głównie tłumaczeniem artykułów medycznych. Jeśli chcesz, to wydrukuję i twój.

Przerwał im głos przewodniczącego Ardeleanu, który pompatycznie przedstawiał przez głośniki następnego mówcę, profesora z Mediolanu.

- Może pójdziemy gdzieś na kawę, Laurito?

Używa starych zdrobnień - pomyślała.

- Czemu nie? - odpowiedziała obojętnie.

Odwrócili się i wyszli razem z sali. Laura nadal nie mogła w to uwierzyć.

- Kawiarnia znajduje się na dole - powiedziała, wskazując kierunek.

- Chyba zwariowałaś - stwierdził Luis. - Filizanka kawy kosztuje tu trzy dolary. Chodźmy gdzieś indziej, między ludzi.

Poszli wzdłuż ulicy Paseo de la Reforma i po kilku minutach skręcili w jedyną chyba wystarczająco nędzną uliczkę w okolicy, która mogła zadowolić jej proletariackiego ojca. Nie pomyliła się. Usiedli na rozklekotanych krzesłach przy jednym ze stolików na świeżym powietrzu.

Luis pomachał tajemniczo w stronę właściciela siedzącego przy kasie za swoją pokrytą laminatem ladą. Mężczyzna odpowiedział gestem, który zdaniem Laury oznaczał zapewne: - W porządku, Luis.

- To mój stary kumpel, Jaime. Jest głuchy. Lubi mnie, ponieważ zawsze zadaję sobie trochę trudu, żeby z nim "porozmawiać". Poza tym jest również sympatykiem rewolucji.

Luis przyglądał się jej uważnie od stóp do głów, jakby miał zamiar rozpocząć pełne badania.

- Ty również schudłaś. Jesteś na diecie?

- Nie - uśmiechnęła się. - Odkryłam niezawodną metodę na odchudzanie. Polega na insomnii.

Luis pochylił się nagle przez stół do przodu, przysuwając się do niej bliżej niż kiedykolwiek przedtem.

- Lauro - wyszeptał - ja to muszę wiedzieć. Proszę, powiedz mi...

Przerwał, a potem dokończył niespokojnie: - Czy jestem już dziadkiem?

- Ja już nie jestem żoną, *papacito*.

- Och! Bardzo mi przykro.

- On był łajdakiem - odpowiedziała bez cienia goryczy w głosie.

- No cóż, w takim razie to dobrze, że się z nim rozwiodłaś - odpowiedział Luis.

- To on się rozwiódł ze mną.

To powstrzymało trochę Luisa. - Bardzo mi przykro, nina. Naprawdę. - Po chwili jednak dodał szybko: - Wiesz, w dzisiejszych czasach wcale nie trzeba wiązać się w kościele, żeby mieć dziecko.

Nie wiedziała, jak na to zareagować. Potem zorientowała się, że nie było to właściwie pytanie, ale wstęp do własnego wyznania.

- Masz siostrę i brata, Lauro. Bardzo miłe dzieci.

Powiedział to w sposób tak naturalny, jakby czynił to codziennie.

Poczuła się urażona i oszukana.

- Czyż nie jesteś nadal żonaty z mamą?

Luis wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że w mniemaniu 1 księży - tak. Jednakże na Kubie Kościół jest tylko tolerowanym ornamentem.

Laura zapytała go zatem, wiedząc, że tego oczekiwał: - Czy masz może przy sobie zdjęcia tych dzieci?

- Czy faktycznie chcesz je zobaczyć? - zapytał cicho.

Zanim zdążyła to potwierdzić, wyciągnął portfel i zaczął wyjmować zeń małe fotografie, które rozłożył na stole niczym karciarz rozdający talię kart. Jedno ze zdjęć

przedstawiało ją i Isobel. Na innym widniała sama. Mimo że ją to wzruszyło, jej wzrok padł natychmiast na zdjęcie małego chłopca.

- Ma na imię Ernesto - powiedział Luis. Wiedziała to chyba, zanim jej powiedział.

- I naturalnie wołasz na niego "Che".

Luis przytaknął głową z uśmiechem. - Naturalnie. A ta mała dziewczynka to... Isobel.

Do tej pory Laura reagowała na jego rewelacje jedynie ze zdziwieniem. Teraz jednak zaskoczyło ją to zupełnie.

- Nazwałeś ją imieniem...

Luis pokiwał głową. - To był akt miłości, Laurito. Mam nadzieję, że się kiedyś spotkacie.

Ciekawe gdzie? - pomyślała Laura. W parku Gorkiego?

- Powiedz mi teraz coś o sobie, Laurito. Powiedz mi, co się u ciebie działo?

Spojrzała na niego. Jego wzrok był niewątpliwie pełen miłości i współczucia. Po raz pierwszy w życiu uwierzyła, że naprawdę ją kochał i rzeczywiście interesował go jej los.

Zaczęła mu o wszystkim opowiadać.

Ale najpierw musiała się wypłakać.

Zapadała już ciemność, kiedy wracali do Sheratonu. Właśnie kończyła się tam popołudniowa sesja. Dain Oliver wypatrzył Laurę w tłumie i najwidoczniej odetchnął z ulgą. Pomachała mu ręką, tak jakby chciała mu powiedzieć: - Wszystko w porządku. Mam nadzieję, że się o mnie nie martwiłeś.

A potem zwróciła się do Luisa:

- To mój szef. Sądzę, że powinnam już wrócić. Inaczej pomyślą, że zdezerterowałam.

- Ależ oczywiście, oczywiście - pokiwał głową ojciec. - Pamiętaj tylko, że ja też jestem w twojej drużynie. - A potem dodał mimochodem: - Kubańczycy nie zatrzymali się w tym pałacu.

- Domyśliłam się tego - odpowiedziała. - Zatrzymaliście się prawdopodobnie w jakiejś zawieszanej dziurze. Czy nie mam racji?

- No cóż, wszy to też ludzie - odpowiedział Luis, parodiując samego siebie. - Może pewnego dnia powstaną i również zerwą kajdany. - Po chwili dodał prędko: -

Lauro, ja też muszę już iść. Wagarowałem cały dzień. Napisz jednak do mnie na ten adres, który ci podałem. Przyrzeknij mi.

Laura skinęła głową.

- A ja przyrzekam, że ci odpiszę. Mogę wysłać pocztę przez Meksyk. Chcę wiedzieć, co u ciebie słychać. I nie wysyłaj mi samych artykułów. Chcę mieć zdjęcia moich wnuków. Słyszysz, nimf!

Pokiwała głową. Luis rozpostarł ramiona i uściskał mocno swoją najstarszą córkę, szepcząc jej coś na ucho.

Coś, o czym Laura nie śmiała nawet myśleć w swoich najskrytszych marzeniach.

Wróciła do Waszyngtonu nadal nieświadoma faktu, że mimo całej swej potęgi i wpływów stolica państwa była tylko zwyczajną, typową wsią, tyle że o marmurowych chatach. Jedynym tamtejszym przemysłem był rząd, jedynym tematem poruszonym w rozmowach - polityka i jedyną liczącą się gazetą - "Washington Post".

I tak oto, co dla Laury nie miało specjalnego znaczenia (gdyż potyczka z Navarro była dla niej niczym w porównaniu ze spotkaniem z własnym ojcem), dla Waszyngtonu okazało się smakowitym kąskiem.

Ledwo zdążyła wejść do swego mieszkania i rzucić na podłogę walizki, zadzwonił telefon.

- Cześć, Lauro, mówi Florence z Instytutu Pediatrii. Czy widziałaś dzisiejszy "Post"?

- Nie, jeszcze nie miałam okazji.

- Popatrz więc na stronę czternastą. Maxine Cheshire poklepała cię tam ładnie po plecach. Masz egzemplarz?

- Tak, dziękuję ci, Florence. Przeczytam to za chwilę.

Postawiła wodę w czajniku, żeby zrobić sobie kawę, po czym podniosła leżącą pod drzwiami gazetę. Maxine, seniorka waszyngtońskiego towarzystwa, relacjonowała: "Na ostatniej międzynarodowej konferencji medycznej w Meksyku reprezentant Kuby usiłował zastraszyć młodą lekarzkę z Instytutu Zdrowia, posługując się antyamerykańską propagandą. Jasnowłosa i niezwykle atrakcyjna doktor Laura Castellano nie tylko broniła się dzielnie, ale i zdołała utrzyć nosa poplecznikowi Castro w jego własnym rodzimym języku. Brawo, doktor Castellano!"

Przeczytała urywek kilkakrotnie, usiłując sprecyzować, co o nim myślała. Dlaczego zawsze muszą wspominać o moim wyglądzie? Tak jakbym nie mogła zrobić tego samego, gdybym wyglądała jak Quasimodo.

Jej rozmyślania przerwał przenikliwy gwizdek. Odwróciła się i z ulgą przekonała, że był to tylko czajnik.

Tuż przed pierwszą weszła do Instytutu. Dain Oliver siedział już w kafeterii.

- To normalne środowe zebranie szefów wydziałów - wyjaśniła Florence. - Jestem jednak pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli tam teraz wejdiesz.

- Nie jestem tego pewna - pomyślała na głos Laura. - Wydaje mi się, że powinnam poczekać. Chciałabym go jednak jak najprędzej zapewnić, że nie poszukuję rozgłosu.

- O co ci chodzi, kochanie? - zapytała Florence.

- Chodzi o to, że nie chcę, żeby sobie pomyślał, że to ja im podałam tę historię. Nie mam pojęcia, w jaki sposób dowiedziała się o tym prasa.

Jej naiwność zaskoczyła Florence: - Ależ doktor Oliver sam zadzwonił do Maxine, Lauro.

- Naprawdę? A po co?

- Żeby nam zrobić reklamę.

- A do czego jest nam to potrzebne? - zapytała Laura.

- Ponieważ za każdym razem, kiedy senat głosuje w sprawie naszych funduszy, to bardzo pomaga, jeśli Komitet przypomni sobie, że czytał o nas ostatnio coś pochlebnego. Ręczę ci, Lauro, że wszyscy na Kapitolu czytają Maxine Cheshire.

- Ach, tak! Już rozumiem - odpowiedziała Laura i dodała: - Przypomina mi to moją starą szkołę średnią. Kiedy ubiegałam się o jakieś stanowisko, usiłowałam na wszelkie sposoby rozgłosić własne nazwisko.

Wychodząc z biura dyrektora, Laura pomyślała sobie jeszcze coś więcej: To rzeczywiście pod wieloma względami przypomina mi Midwood. Czy więc już wtedy byliśmy tacy dojrzały, czy też to, co dzieje się tutaj, jest tylko szczeniacką zabawą? W ciągu najbliższych tygodni miała się o tym przekonać na własnej skórze.

Z początku pocieszała się myślą, że jej nagła niespodziewana sława będzie tylko chwilowa. Mała utarczka słowna z dogmatycznym Kubańczykiem nie była przecież aż tak istotna. Musiały chyba istnieć o wiele bardziej zajmujące dziennikarskie tematy -

jak na przykład, igraszki kongresmenów i ich nagich towarzyszek w fontannie pod pomnikiem Jeffersona.

A mimo to nadal napływały zaproszenia.

Sława automatycznie podtrzymuje się sama. Kiedy czyjeś nazwisko staje się głośnie w Waszyngtonie - a zwłaszcza w związku ze sprawami wymagającymi intelektu - to zaprasza się jego właściciela parokrotnie na przyjęcia dla sprawdzenia, czy jest on równie odpowiedni dla towarzyskiej biesiady.

Osobowość Laury Castellano miała naturalnie tak wyśmienitą oprawę, że wkrótce stała się bardzo pożądanym gościem. Przyjmowanie u siebie w domu tak bombowej lekarki było pewną atrakcją, tym cenniejszą, jeśli panie domu nie miały odpowiedniego towarzystwa dla jakiegoś senatora wolnego stanu (albo też takiego, który zostawiał swoją obrączkę w domu i do istnienia jej przyznawał się jedynie w czasie wyborów).

Z początku bardzo jej się to podobało. A przynajmniej wmawiała to sobie. Błyszczała w tłumie, rozsyłając uśmiechy na prawo i lewo, a popisując się swoim poczuciem humoru, czarowała wszystkich obecnych - zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Krótko mówiąc, została idealnym gościem.

Mimo to, całą swoją pasję rezerwowała jedynie dla swojej pracy. Producenci przyrządów medycznych dobijali się teraz do niej, pragnąc zostać częścią tego ważnego odkrycia, którego była już tak blisko. Choć wir jej towarzyskiego życia nie tracił wcale na sile, to jednak czasami prosiła swoich przypadkowych towarzyszy, aby podwieźli ją pod instytut, gdzie mogła spędzić parę cichych, wczesnych godzin porannych na analizie danych. Wszystkie rozmowy toczyły się wówczas wokół afery Watergate. Zastanawiano się powszechnie, czyja głowa jeszcze się potoczy. Ona zaś chowała się u siebie w gabinecie. Krwotoki niemowlęce nie miały bowiem żadnych politycznych afiliacji.

Zaakceptowano do druku jej drugi artykuł, a potem i trzeci. Nie ulegało wątpliwości, że jej członkostwo w instytucie zostanie przedłużone. I chociaż zajmowała się głównie badaniami naukowymi, miała tę wyjątkową satysfakcję, że jej praca ratowała już życie wielu noworodkom w tamtejszym szpitalu. Pod każdym nieomal względem czuła się bliska spełnienia. Odnosiła sukcesy, była podziwiana. Satysfakcja z pracy przerastała jej najśmielsze marzenia.

Wszystko układało się doskonale. Tylko że nadal była nieszczęśliwa.

Rozdział XLIII

Do legendarnych historii o największych kochankach świata - Antoniuszu i Kleopatrze, Romeo i Julii, Tristanie i Izoldzie - należało teraz dodać namiętność, jaką Barney Livingston obdarzał Shari Lehmann.

Problem polegał jednak na tym, że Shari była jego pacjentką.

Każda zatem godzina psychoanalizy zdawała się bardziej bolesna dla doktora aniżeli dla jego pacjentki.

Shari była dwudziestopięcioletnią tancerką z Amerykańskiego Teatru Baletowego, wrażliwą i inteligentną młodą kobietą o frapującym śródziemnomorskim wyglądzie. Małżeństwo jej rozsypało się sześć miesięcy wcześniej i depresja, w jaką zaraz potem popadła, okazała się tak poważna, że szpitalny lekarz poradził jej, żeby poszukała fachowej pomocy. Któryś ze starszych kolegów w instytucie polecił jej Barniego jako potencjalnego psychoanalityka.

Barney pomyślał tylko, że przypadek Shari był jeszcze jednym dowodem na słuszność dawno już sformułowanej przez niego teorii, iż z reguły mniej atrakcyjny partner angażuje się w pozamałżeńską aferę. Podświadomie bowiem nie czuje się godny swego męża czy żony.

Mąż Shari był znanym wiolonczelistą, starszym od niej o lat dwadzieścia i patologicznie o nią zazdrosnym.

- Po prostu w żaden sposób nie byłam w stanie go uspokoić - skarżyła się. - Nawet kiedy zaproponowałam, że przestanę tańczyć i pojedę razem z nim na jego koncertowe tournée. Prawdę rzekłszy, właśnie to spowodowało całą eksplozję.

Zawsze płakała, kiedy mówiła o zerwaniu z Lelandem, który po prostu ją od siebie odrzucił.

- Ale dlaczego, doktorze Livingston? Gdybym tylko wiedziała, dlaczego! Mogłabym wtedy jakoś sobie z tym poradzić i pozbierać się. A tak, rozsypuję się cała.

Nie, to nieprawda - pomyślał. To twój mąż ma problemy.

Tymczasem cierpienia Barniego przybierały na sile. Dlaczego nie spotkał Shari gdzieś w towarzystwie? Mógłby jej wtedy powiedzieć, nie kompromitując etyki lekarskiej, że był w niej śmiertelnie zakochany.

Pragnął leczyć jej ból, tuląc ją w ramionach i szepcząc kojąco:

- Nic ci nie jest, Shari. Potrzebujesz tylko kogoś, kto cię doceni. Kogoś takiego jak na przykład ja. Zrobiłbym wszystko, żeby napelnić twą zranioną, piękną i młodą duszę radością.

Musiał jednak cierpieć w milczeniu.

Co gorsza, jego psychoanaliza odnosiła sukcesy. To znaczy - nastąpiło już przeniesienie, czyli etap, w którym pacjent odtwarza swoje nerwicowe objawy z analitykiem w roli głównej. Wyznała już nawet z pewną trudnością, ale i odwagą: - Doktorze Livingston, wiem, że to zabrzmie głupio... Ale jakby to powiedzieć, zadurzyłam się w panu. Przeczytałam pańską książkę i wszystkie artykuły, jakie wpadły mi w ręce. Przypuszczam, że to normalne w psychoanalizie. W każdym razie zawsze pociągali mnie starsi mężczyźni...

Ostatnia uwaga była policzkiem dla jego ego. Starsi mężczyźni?

- To znaczy, jestem pewna, że wszystkie pańskie pacjentki odczuwają to samo. Miałam kiedyś kurs psychologii na studiach i zdaje się, że nazywa się to transferem, ale to brzmi tak okropnie, doktorze!

Barney siedział oniemiały i zastanawiał się: Czy słyszałaś może też coś o tym potwornym zjawisku zwanym kontratransferem?

Jeśli analiza ma być skuteczna, to doktor z pacjentem muszą nawiązać jakiś kontakt. Oczywiście zgodnie z obserwacją Freuda, terapeuta powinien umieć wykorzystać wzbudzone w sobie emocje dla dobra pacjentki. Wolno mu tylko angażować swoją uwagę i, jak to powiedział Theodore Reik, "słuchać trzecim uchem".

Krótko mówiąc, najgorsze, co mógłby uczynić psychoanalityk, byłoby wykorzystanie przywileju, jakim obdarzył go pacjent, a więc tego prywatnego klucza do najbardziej podświadomych myśli - i użycia go do zaspokojenia własnych namiętności.

Przez jakiś czas zdawało mu się, że był tego bliski. Złapał się nawet na tym, że zaczął mieć nieprofesjonalne fantazje. Dlaczego właściwie nie mielibyśmy skonsumować naszego związku? Jest przecież tak intymny i czuły.

Ponieważ byłoby to niewłaściwe.

Zdawało się, że zaciętej walce, toczącej się pomiędzy jego id a superego, nie było końca. Słyszał kiedyś o jednym czy dwóch psychiatrach, którzy ożenili się ze swoimi pacjentkami. Byli oni co prawda jedynie instruktorami, ale...

A potem przypomniał sobie doktora Himmermana. O Boże, nie pozwól, abym został następnym Andym Himmermanem!

Usiłował wmówić sobie, że to było coś innego. Pragnął przecież tylko jednego - żyć z Shari aż do śmierci.

Tydzień za tygodniem odsiadywał swoją godzinę z Shari, nie robiąc żadnych notatek, ponieważ pamiętał wszystko, co mówiła, w najdrobniejszych szczegółach.

- Pierwszy raz jest zawsze najgorzej, Barney.

To wszystko, co mógł wydobyć z Brice'a Wisemana, z którym dzielił gabinet i automat do parzenia kawy.

- Czy to znaczy, że też przez to przeszedłeś? - zapytał Barney.

- Na litość boską, Barney, nie jesteśmy przecież robotami. Psychoanaliza działa tylko wtedy, jeśli zachodzi żywa i zmienna interakcja. Ty reagujesz na jej uczucia tak samo, jak ona na twoje.

- Czy sądzisz, że ona wie, co ja odczuwam? - zapytał.

- Jestem przekonany, że do pewnego stopnia zdaje sobie z tego sprawę. Najprawdopodobniej jednak tłumaczy to sobie w ten sposób, że sama przenosi te emocje na ciebie i to wszystko jest tylko jej wyobraźnią. To jedyne wyjście.

Barney pokręcił głową.

- Brice, to poważne. Jestem gotowy rzucić dla niej wszystko. Jestem pewno jedyną osobą na świecie, która rzeczywiście wie, jaka z niej cudowna i czuła dziewczyna.

- Jest również bardzo ładna - zauważył Brice. - Widziałem ją kiedyś w poczekalni.

- Słuchaj - odpowiedział z naciskiem Barney - widziałem już w życiu różne piękności. Mówię ci, że prawdziwe piękno tej dziewczyny tkwi w jej wnętrzu.

Rozległ się dzwonek. Nadszedł czas na następnego pacjenta.

Wiseman dodał jeszcze: - Porozmawiamy o tym później, Barney.

Wrócił zatem do swego gabinetu, otworzył drzwi i poprosił następnego pacjenta, przysłanego do niego na konsultację i ewaluację. Był to mężczyzna niewiele starszy od niego. Bładość twarzy i mocno podkrążone oczy świadczyły o jego wewnętrznych męczarniach.

- PanAnthony? - zapytał Barney.

- Tak - odpowiedział mężczyzna, kiedy Barney zamykał drzwi. - Jestem lekarzem.

Po raz drugi tego dnia Barney był wściekły na samego siebie. Poprzedniej nocy przeczytał bowiem całą historię chorobową tego pacjenta chyba z tuzin razy. Był

jednak zbyt przejęty własnym nieźrównoważonym zachowaniem, więc zupełnie zapomniał, że jego nowy pacjent reprezentował coś, z czym jeszcze nigdy nie miał do czynienia - patologię, która szybko przybierała rozmiary ukrytej epidemii.

Anthony klasyfikował się bowiem do rzeszy "zranionych" lekarzy, czy też - jak nazywali to niektórzy psychiatrzy - był "okaleczonym uzdrowicielem".

Siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie, oddzieleni biurkiem Sarniego. W końcu Barney rozpoczął swój zwykły wstęp: - Co pana skłoniło, żeby tu do mnie przyjść?

- Zajmuję się chorobami wewnętrznymi - zaczął Anthony. - Mam żonę i dzieci, które mnie kochają, chociaż widuję je rzadziej, niż powinienem. Myślę jednak, że na ogół jestem całkiem niezłym ojcem i kochającym mężem. To znaczy, chcę przez to powiedzieć, doktorze, że nie mam właściwie powodu, dla którego miałbym być niezadowolony z życia. Jestem jednym z redaktorów "American Journal" i na brak pacjentów nie mogę narzekać.

Barney nie skomentował tej wypowiedzi ani też nie zadawał pytań. Na tym bowiem etapie nie miał pojęcia, czego mogło brakować temu lekarzowi.

- Lubię moich pacjentów - ciągnął dalej Anthony - i rzeczywiście jestem im oddany. Kiedy są w szpitalu, odwiedzani ich rano i, jeśli to możliwe, wieczorem zanim zasną.

- To musi być bardzo wyczerpujące - zauważył Barney. - Zwłaszcza jeśli są to terminalne przypadki.

Lekarz pokiwał głową. - Obawiam się, że nie potrafię wyzwolić się od ich problemów. Szczerze mówiąc, potrzebuję - jakby to powiedzieć - pewnego oparcia, żeby poradzić sobie z każdym kolejnym dniem. - Przerwał na chwilę, po czym wykrztusił z zażenowaniem: - Zażywam środki uspokajające.

Barney skinął głową ze zrozumieniem. - Które sobie pan sam przepisuje?

- One są mi potrzebne, doktorze - odpowiedział Anthony. - Niech pan spojrzy na to trochę szerzej. Każdy z moich pacjentów ma rodzinę, która chce dzielić się z kimś stresem, który odczuwa. Niech pan to pomnoży przez tuzin albo przez dwadzieścia - to wtedy zrozumie pan, dlaczego od czasu do czasu potrzebuję czegoś, co mogłoby mnie podnieść na duchu...

A potem ciągnął przeproszającym tonem: - Nie jestem pijakiem, potrafię się na tyle kontrolować. Potrzebna mi jest jednak odrobina valium, żeby przetrwać z dnia na dzień. Robię to w końcu dla dobra moich pacjentów.

- Ile pan tego zażywa? - zapytał cicho Barney.

- No cóż - zawahał się Anthony - dziesięć miligramów.

- Jak często?

- Kilka razy dziennie... - odpowiedział Anthony wymijająco i popatrzył na Barniego, którego wyraz twarzy wskazywał na to, że nie bardzo uwierzył w tę odpowiedź.

- No cóż, powiedzmy, że przeciętnie zażywam od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu miligramów dziennie.

- Maksymalna dawka wynosi czterdzieści - zauważył cicho Barney.

- Tak, wiem o tym.

- A ponieważ jest to czynnik osłabiający funkcjonowanie centralnego systemu nerwowego, w pańskim przypadku ma to już pewno paradoksalne działanie.

- Nie! Skądże znowu! - zaprotestował Anthony. - Czuję się wyśmienicie. To znaczy, zdaję sobie sprawę z tego, że są to duże dawki, ale mimo to funkcjonuję normalnie.

Nagle uderzył pięścią w stół i wykrzyknął: - Do cholery, jestem przecież dobrym lekarzem!

Barney odczekał chwilę, a potem zapytał cicho: - Nadal nie odpowiedział mi pan na pytanie. Co pana tu do mnie sprowadza?

- Przyszedłem tutaj - powiedział z trudnością - z powodów, których nadal nie potrafię zrozumieć. W zeszłą niedzielę - nie, to było dwa tygodnie temu, kiedy moja żona była z dziećmi u swojej matki... - przerwał i w końcu zawarł swój problem w trzech słowach - usiłowałem popełnić samobójstwo...

- Barney, będę z tobą szczerą. Zakochałam się we wszystkich swoich pacjentach.

- To bardzo dowcipne, Castellano. Ale mów poważnie. Ja naprawdę jestem w kropce.

- Barney, wiedziałeś przecież, że do tego może dojść. W twoim przypadku to profesjonalne ryzyko. Czy sądzisz, że inni prawdziwie oddani swemu zawodowi lekarze nie przechodzą przez piekło?

Słowa Laury przypomniały Sarniemu, że istnieli doktorzy o jeszcze bardziej udręczonych duszach niż jego. Wspomniał jej o Anthonym, nie wymieniając jego nazwiska.

- A co jemu dolega? - zapytała ze współczuciem Laura.

- Nie uwierzysz w to, Lauro, ale jego problem polega na tym, że się za bardzo przejmuję dobrem pacjenta. Zaczynam dochodzić do wniosku, że jest to taki specjalny rodzaj nowotworu, który ogranicza się jedynie do dobrych lekarzy. Niektórzy doktorzy otaczają swe uczucia ochronną zbroją i traktują pacjentów jak rzeźnicy mięso. Kiedy więc widzę takiego biednego nieszczęśnika jak ten samobójczy doktor, to muszę przyznać, że nie mogę ich za to obwiniać. To forma samoobrony.

- Przypuszczalnie masz rację - przyznała. - Gdybym sobie pozwoliła na rozpacz za każdym razem, kiedy stracimy jakiegoś wcześniaka, to chyba bym oszalała. Wcześniej czy później pewno i tak do tego dojdzie.

- Lauro - odezwał się Barney z prawdziwym przejęciem - mówiłem ci już tysiące razy, że powinnaś o tym z kimś porozmawiać.

- Daj spokój, Barney. Wiesz przecież, że nic mi nie jest. Naprawdę.

- Tak? To powiedz mi prawdę. Ile valium zażywasz, żeby przeżyć z dnia na dzień?

Zawahała się i przyznała wymijająco: - Nie tak znowu dużo. Umiem się kontrolować.

O Jezu - pomyślał Barney - po co ja zacząłem tę rozmowę?

Afera Watergate zaostriżyła chyba apetyty środków masowego przekazu na cyrkowe błazeństwa w centralnych kręgach rządowych. Publiczność domagała się rozrywki w postaci kolejnego dochodzenia w Kongresie. Gerald Ford był jednak zbyt przyzwoitym człowiekiem, żeby dawać powody do plotek.

W pewnym sensie polityka zawsze była swego rodzaju teatrem, teraz zaś stała się również sportem widowiskowym.

W 1972 roku Ministerstwo Zdrowia zdołało wprowadzić zakaz reklamowania papierosów w telewizji i zmusiło producentów tytoniu do drukowania ostrzeżenia na każdym opakowaniu, stwierdzającego jasno, że to, co konsumenci zamierzają wypalić, może zaszkodzić ich zdrowiu.

Dwa lata później urzędnicy rządowi musieli posunąć się jeszcze dalej. Teraz interesowały ich najbardziej szkody wyrządzone nie narodzonym dzieciom przez palące matki. Ministerstwo chciało uświadomić społeczeństwu, że matki te nieświadomie wypalały własnym dzieciom życie.

Przemysł tytoniowy był naturalnie dobrze przygotowany. Jego siły zbrojne stały zawsze w pełnej gotowości bojowej, w każdej chwili gotowe do ataku. W przeciwieństwie do nich, zapracowani senatorowie i reprezentanci siedzący w Komitecie Zdrowia musieli polegać na raportach swoich asystentów, żeby stawić czoło świetnie przygotowanym i zdecydowanym na wszystko oponentom. Na dodatek niektórzy z nich pochodzili ze stanów, w których głównym źródłem dochodów był tytoń.

Weterani kapitolinińscy z wcześniejszych kampanii siedzieli teraz wraz ze swymi doradcami, zastanawiając się nad bardziej atrakcyjnym sposobem przedstawienia faktów, które choć same w sobie były przerażające, to jednak łatwo mogły zagać w słodkiej retoryce opozycji.

Jeden z młodszych senatorów zaproponował, żeby wezwać na świadków matki, które straciły dzieci bezpośrednio z powodu palenia.

- To nie przejdzie, Richard - odezwał się przewodniczący Tom Otis. - Ich prawnicy zahukają te biedne dziewczyny i zrobią z nich nerwowe wraki. To jest domena lekarzy. Potrzebni są nam wysokiego kalibru specjaliści, którzy potrafią posługiwać się dwusylabowymi wyrazami.

- Czy ma pan już kogoś takiego na myśli, senatorze? - zapytał młodszy mężczyzna.

- Oczywiście - odpowiedział Otis. - Dziwię się nawet, że ty, jako ojciec, nie wpadłeś na to wcześniej. Najsłynniejszy lekarz dziecięcy na świecie - doktor Benjamin Spock.

Na sali rozległy się antyfoniczne okrzyki: - Nie! Nie! Nie! - i -Tak! Tak! Tak!

- Z całym szacunkiem - wtrącił młody senator, wyrażając stanowisko wszystkich jastrzębi na sali - Spock stał się już za bardzo polityczną figurą. Nadal identyfikuje się go ze wszystkimi protestami antywietnamskimi.

Republikański senator przyznał mu rację. - To prawda, Tom. Spock jest cholernie kontrowersyjny.

- Cholera! - przyznał Otis. - Obawiam się, że macie rację. Może wobec tego odłożymy to spotkanie do jutra rano. Tymczasem zadzwonię do Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy i zobaczę, co oni mi proponują.

Tego samego wieczoru senator i pani Otis poszli na małe przyjęcie w domu znanej dobrze w kręgach towarzyskich Annę Harding.

Obecni byli tam również szef wydawnictwa tygodnika "Times" z żoną oraz młody asystent Kissingera w towarzystwie doktor Laury Castellano z Instytutu Zdrowia. Otis oświadczył kolegom nazajutrz rano, że uważał to za czysty łut szczęścia.

Lekarka ta była bowiem pediatrą i specjalizowała się w chorobach nowo narodzonych dzieci.

- I dobrze się znała na rzeczy.

- Z całym szacunkiem, senatorze - sprzeciwił się taktownie kongresman Richard Moody - ale doktor Castellano nie jest znana poza granicami tego miasta.

Tom Otis przygwoździł spojrzeniem młodego prawodawcę i powiedział: - Mój chłopcze, wydawało mi się, że nawet taki żółtodziób jak ty powinien znać siłę środków masowego przekazu. Ta dziewczyna będzie słynna przez sam fakt ukazania się w telewizji.

Mimo że debata na temat ostrzeżeń drukowanych na paczkach papierosów nie przyciąga widzów tak jak prezydenckie grzechy i wykroczenia, to jednak blisko cztery miliony ludzi oglądało tego ranka stację PBS. Niektórzy mieli w tym swój interes. Handlowcy z Wall Street nastawili małe tranzystorowe Sony, żeby upewnić się, czy żadna niespodzianka nie wpłynie na wartość akcji tytoniu.

Było wśród nich także paru wielbicieli języka angielskiego, którzy rozkoszowali się znakomitą ekwilibrystką słowną, w czym specjalizował się rzecznik przemysłu tytoniowego, Arnold West.

Jak zwykle, jego argumentacja była jasna i prosta. Nie chodziło tu bowiem o to, czy palenie było szkodliwe - gdyż o tym mogli zdecydować jedynie wykwalifikowani naukowcy - ale o kwestię praw cywilnych jednostki. Był to stary, ale skuteczny chwyt, polegający na przywiązaniu skażonego przedmiotu do świętej krowy i chronieniu go przez asocjację.

- Jest to również kwestia wolnego rynku - ciągnął dalej West, rzucając jeszcze bardziej patriotyczne hasła. - Wiemy bowiem wszyscy, że w tym naszym wielkim kraju pijani kierowcy są przyczyną wypadków, w których ginie lub zostaje okaleczonych mnóstwo ludzi. Nikt jednak nie zaproponował jeszcze, żeby browary podawały ostrzeżenia na etykietkach, że ich produkty mogą w sposób pośredni wyrządzić komuś krzywdę.

A teraz powróćmy do dzisiejszej kwestii, a mianowicie do tego, czy przemysł tytoniowy powinien ostrzegać, że “palenie tytoniu przez brzemiennie matki może powodować uszkodzenia płodu, a nawet poronienia”.

Przerwał na moment, aby przyjrzeć się otaczającym go twarzom i zorientować się, czy do nich dotarł. Po chwili ciągnął dalej:

- Chciałbym, aby nasi dostojni senatorowie i posłowie reprezentanci, jak również wszyscy nasi goście na galerii, spojrzeli wokół siebie, najpierw na lewo, a potem na prawo. - Następnie nalegał dalej: - No proszę, proszę.

Zdziwiło to publiczność, a przynajmniej tych, co siedzieli na galeriach. Niemniej wykonano jego polecenie.

- A teraz - powiedział West - pytam państwa: czy wasi sąsiedzi to kaleki? Czy osoba siedząca obok państwa wygląda na chorą? Albo też - wiem, że to zabrzmia wręcz absurdalnie - na umyślowo niedorozwiniętą?

Adwokat podchwycił piłeczkę. - Szanowni członkowie Kongresu oraz panie i panowie! Jest to statystycznie niemożliwe, aby wszyscy zebrani na tej sali, którzy dzięki Bogu sprawiają wrażenie czerstwych i krzepkich, byli dziećmi jedynie niepalących matek. Jest to po prostu niemożliwe, a zatem rzucam wyzwanie i wniosek o obalenie tego zagadnienia.

Pomruki na galerii świadczyły o tym, że jego sofistyka wygrała rundę. Namiętnie podsumował swe przemówienie. - Domagamy się tylko naszych cywilnych praw. Dajcie nam naszą wolność. Pozwólcie zarabiać nam na życie. Mówię to nie tylko w imieniu palaczy, ale również w imieniu setek tysięcy naszych obywateli, którzy uprawiają ziemię. Nie pozwólmy, aby mała, rozhisteryzowana grupa zabrała nam nasze prawa do wolności, o którą walczyli nasi ojcowie, zakładając to państwo.

Zwrócił się teraz w stronę przewodniczącego i powiedział:

- Panie senatorze, to wszystko, co mam w tej chwili do powiedzenia. Jestem gotowy odpowiedzieć na wszelkie możliwe pytania pańskiego komitetu.

- Dziękuję panu, panie West - odpowiedział prawodawca. - Skoro to jednak nie jest sądowa rozprawa, proponuję, żebyśmy odłożyli pytania do czasu, kiedy wysłuchamy zwolenników tej propozycji. Szczerze przyznaję, że sam się do nich zaliczam. Uważamy także, że jest to kwestia medyczna i w związku z tym chcielibyśmy wezwać na świadka biegłego eksperta - Spojrzał w lewo i powiedział: - Doktor Castellano, czy zechciałaby pani wziąć do ręki mikrofon?

Oczy wszystkich zebranych, wraz z cyklopowym okiem telewizyjnej kamery, zwróciły się ku Laurze.

Reżyser programu od razu zorientował się, że to dobre ujęcie, i nakazał kamerzyście przez słuchawki: - Trzymaj się jej twarzy i na tym tle niech padają pytania Otisa.

Laura przedstawiła się, podając swoje nazwisko, wykształcenie oraz obecnie zajmowane stanowisko. Jej stopnie naukowe uzyskane na Harvardzie spodobały się szczególnie widzom ze Wschodniego Wybrzeża, jednakże jej obecna praca w Instytucie Zdrowia, zmierzająca do poprawy losu nowo narodzonych dzieci, dotyczyła niejako całego społeczeństwa.

Laura dobrze przygotowała się do tego wystąpienia i przyniosła ze sobą nie tylko dane i podstawowe hasła - tezy wypisane na niebieskich karteczkach - lecz również coś, czego cała elokwencja i ogniste przemówienie pana Arnolda Westa nigdy nie mogło przedstawić - fotografie.

(Castellano, musisz pamiętać, że jest to wizualny środek przekazu - ostrzegaj ją Barney w trakcie trwających do późna w nocy dyskusji na temat czekającego ją występu. - Masz zdjęcia uszkodzonych płuc tych dzieci, małych wcześniaków walczących o oddech w swoich izolatkach, których widok łapie za serce. Zrób powiększenia, żeby je mogła uchwycić kamera. Nie ma nic bardziej przekonującego niż widok cierpienia małego dziecka.)

I tak oto Laura Castellano zdołała wreszcie wyrzucić na innych wrażenie nie tylko jako smukła blondynka, ale jako lekarka wyjaśniająca znaczenie tych potwornych zdjęć przed telewizyjnymi kamerami.

West zarzucił ją później serią bezlitosnych pytań.

- Panie i panowie, jako ojciec mogę państwa zapewnić, że jestem tak samo poruszony tymi tragicznymi zdjęciami, które tu widzieliśmy, jak każdy z was obecnych tu na sali. Z całym jednak szacunkiem, panno Castellano - pani wybaczy, czy jest pani panną, czy też panią Castellano?

W ten sposób dawał publiczności do zrozumienia, że świadek koronny sam nie był matką. Miało to wątpliwe znaczenie dla sprawy, ale emocjonalnie stanowiło celne uderzenie.

- Może się pan zwracać do mnie: pani doktor Castellano, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - odpowiedziała spokojnie Laura.

- Wybaczycie pani zatem, pani doktor, ale jak dotąd nie przedstawiła nam pani żadnych dowodów na to, że te biedne, nieszczęsne niemowlęta znalazły się w tym smutnym stanie wyłącznie dzięki temu, że ich matki paliły papierosy. Czy to prawda, że dosłownie tysiące takich dzieci rodzi się codziennie i to nawet kobietom niepalącym?

- Owszem, proszę pana.

- Powiedziała pani zatem, że może się to zdarzyć nawet matkom niepalącym.

- Owszem, proszę pana.

- Wobec tego wydaje mi się, że dowodzi to mojej argumentacji - powiedział pan West i odsunął od siebie mikrofon.

- A teraz ja chciałabym zakończyć swoją - odpowiedziała Laura. - To nie jest program rozrywkowy, panie West. To jest medycyna. Nie mamy tu żadnych kaskaderów, dublerów czy zastępstw. Nie retuszujemy naszych zdjęć, żeby pacjenci wyglądali na bardziej chorych, niż są w rzeczywistości. - A potem podniosła głos. - Niech państwo pozwolą, że przedstawię wam suche fakty. Dzieci kobiet palących są zazwyczaj o dwieście gramów lżejsze przy urodzeniu niż dzieci matek niepalących. W trakcie palenia ciężarna kobieta wdycha różne trucizny, nie tylko nikotynę, ale i tlenek węgla. Większość z tych substancji przenika przez płacenta i dostaje się do organizmu dziecka.

Przerwała na chwilę i zwróciła się z następnym pytaniem bezpośrednio do samego rzecznika tytoniu: - Pytam zatem pana, panie West, czy położyłby pan swoje dziecko - choćby na sekundę, a co dopiero na dziewięć miesięcy - przy rurze wydechowej pańskiego samochodu?

Na sali rozległy się pomruki poruszenia. W całym kraju widzowie pochylili się w swych fotelach do przodu.

- Zdaję sobie sprawę, jak cenny jest czas tego komitetu, pozwolą jednak państwo, że przedstawię im jeszcze jeden fakt. Każdym wypalonym papierosem kobieta ciężarna zwiększa bezpośrednio niebezpieczeństwo poronienia. Mam tutaj fotokopie powyższych danych dla każdego z członków komitetu.

Wygrana gra, set i partia dla Rządowej Mafii Zdrowia.

Tym razem w "Washington Post" ukazało się jej zdjęcie. Zgodnie z jej perwersyjną nadzieją, było ono raczej mało pochlebne, gdyż rozgniewał ją tłum

popychających ją zewsząd dziennikarzy, proszących ją ciągle: - Niech pani spojrzy w tę stronę, Lauro! albo: - Niech się pani do nas uśmiechnie, doktor Castellano!

Tego więc wieczoru Barney miał okazję dokonać jej autopsji.

- Nieźle wyglądałaś, dziecino - przyznał entuzjastycznie. - Tylko niech ci to nie uderzy do głowy. Nie chcę, żebyś pozowała do "Playboya".

- Powiem ci coś, Barney - roześmiała się. - Byłam rzeczywiście przerażona. Ten West jest wspaniały. Nie miałam pojęcia, z której strony padnie pytanie. Nie chcę o tym nawet mówić, ale gdyby kiedykolwiek wytoczono mi proces o zaniedbania zawodowe, to wolałabym, żeby ta barakuda była po mojej stronie.

- Żał mi tylko, że nie mogłem cię dzisiaj sfilmować. Naprawdę byłem z ciebie bardzo dumny.

- Barney - powiedziała cicho - nieomal każdy z tych strzałów był twoim pomysłem.

- Aha, Castellano, według mego stopera zachowałaś pewność siebie prawie przez dwanaście godzin. To chyba rekord, co?

Nic nie odpowiedziała.

- Lauro, na miłość boską, przecież to nie ja napisałem ci podanie do Instytutu Zdrowia i nie ja jestem autorem artykułów, które publikujesz. Może raczysz sobie przypomnieć, że to ty dostałaś piątkę z zajęć z Pfeiferem. Kiedy wreszcie dotrze to do twojej głowy, że jesteś po prostu wspaniała?

- Daj spokój, Barney. Nie wygłupiaj się. Jak dotąd największym moim osiągnięciem życiowym jest to, że mam metr osiemdziesiąt wzrostu i jestem blondynką.

- Wiesz co, Castellano? W Kalifornii przeprowadzają teraz operacje w celu redukcji wzrostu. Myślę, że ci to zafunduję na Gwiazdkę.

Roześmiała się. - Dobranoc, Barney.

- I jeszcze jedno.

- Tak?

- Zawsze możesz sobie przefarbować włosy na rudo.

Z góry było wiadomo, że członkostwo Laury w instytucie zostanie przedłużone na kolejny rok. Trzeba przyznać, że tamtejsi dyrektorzy na pierwszy rzut oka dostrzegli w niej cenny nabytek. Laura obracała się bowiem w towarzystwie ludzi,

których oni spotykali jedynie raz do roku, kiedy to przyznając się do swego ubóstwa, zebrali o zwiększenie rządowego dofinansowania.

Tymczasem Laura wykazywała kooperacyjnego ducha i rzeczywiście walczyła o większe finanse dla instytutu.

Tak była tym przejęta, że zrobiła coś zupełnie bezprecedensowego - wydała przyjęcie w swoim nader skąpo umeblowanym mieszkaniu.

Mimo niewątpliwie licznych uzdolnień, nie mogła jednak zaliczyć sztuki kucharskiej do swoich cnót. W tej kwestii polegała wyłącznie na mądrych poradach pana Milтона z delikatesów o tej samej nazwie w centrum handlowym w Silver Spring. Owego dnia po południu załadował swoją furgonetkę zakąskami, kanapkami i tortami. Był nawet na tyle przezorny, że zapytał Laurę, czy ma odpowiednią liczbę sztuców, czego naturalnie nie miała. Przywiózł jej zatem jeszcze kilka tuzinów plastikowych widelców i noży.

- Teraz już nic pani nie brakuje - oświadczył Milton. - Pozostaje pani tylko poncz do zrobienia mam pojęcia z czego - oraz przywitać gości, choć też nie wiem czym. Do widzenia i powodzenia. Jutro rano przyjadę po śmieci.

- Dziękuję panu, panie Milton. Czy jest pan pewien, że niczego nie zapomniałam?

- Owszem - przyznał Milton. - Moim skromnym zdaniem, zapomniała pani wyjść za mąż. Dobranoc.

W trakcie mieszania ogromnych ilości ponczu (dzięki swej laboratoryjnej ekspertyzie i oku była biegła w odliczaniu miarek) przyszło jej nagle na myśl, że w czasie całego swego małżeństwa z Palmerem nie wydali właściwie ani jednego przyjęcia. Czy rzeczywiście była kiedyś mężatką?

Barney, którego naturalnie zaprosiła pierwszego, był pełen podziwu.

- To naprawdę postęp, Castellano.

Tym razem nawet Barney nie zauważył pewnego niuansu. Przyjęcie wydawane było bowiem nie tyle na cześć Laury, co na cześć publicznej figury Laury Castellano.

W dniu przyjęcia Barney przyleciał z Nowego Jorku wcześniej rano i pomógł Laurze w przygotowaniach. Widząc jej zdenerwowanie, nalegał, żeby z nim pobiegała.

- No więc, dla kogo mam być dzisiaj szczególnie miły? - zapytał, kiedy biegli obok siebie.

- Masz być miły dla wszystkich, Barney. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że zaprosiłam dzisiaj cały instytut. Jeśli wszyscy przyjdą, to możemy tu mieć z tysiąc osób.

- O mój Boże, to rzeczywiście byłoby coś - tysiąc lekarzy w jednym pokoju!

- Nie myśl tylko sobie, że celem tego spotkania jest dostarczenie ci materiału do twojej analizy środowiska medycznego - ostrzegę. - Chcę tylko zobaczyć, jak wyglądają moi koledzy, kiedy się zaleją.

- W porządku. To też może się okazać pouczające.

Nikt właściwie nie zliczył, ile osób przewinęło się przez mieszkanie Laury i trawnik dwa piętra poniżej. Dostawa Milтона obliczona była zaledwie na pięćdziesiąt osób. Wszystko poszło w ciągu pierwszej godziny. Na szczęście Laura założyła, że wszyscy goście się spiją. Poncz, w którym zawartość wódki rosła w miarę wyczerpywania się jej zapasów soków i imbirowego piwa, lał się jednak obficie.

Tuż po dziewiątej Florence, prawa ręka szefa oddziału pediatrii, podeszła do Laury i zawołała, przekrzykując otaczającą ją wrzawę:

- Lauro, kochanie, przyszli wszyscy. Powinnaś się tym chlubić. Nawet doktor Rhodes wyszedł ze swego laboratorium z tej okazji.

- Naprawdę? On też tu jest? Paul Rhodes, ta wielka szycha całego instytutu, pojawiła się tu we własnej osobie?

Laura zapomniała już, że w swojej zuchwałości podrzuciła zaproszenie do biura naczelnego dyrektora. A on zdecydował się przyjść!

Rzuciła okiem po twarzach osób zebranych w mieszkaniu, lecz nie dostrzegła go tam. Wyszła więc na trawnik, na którym Rhodes przewodził swojej świcie. Kiedy ją spostrzegł, zawołał:

- Ach, Lauro! Co za wspaniałe przyjęcie! Przyłącz się do nas!

O Boże! - pomyślała ze zgrozą. On jest zalany. Jeden z największych mózgow medycznych świata może się zwalić z nóg na moim trawniku!

Stał w otoczeniu własnych rycerzy medycznego stołu, podlegających jedynie Bogu i jemu - Rhodesowi (i to niekoniecznie według tego porządku). Każdy z nich był w średnim wieku, poza jednym mężczyzną, zaledwie po trzydziestce. Mimo ciepłej pogody, każdy z nich miał na sobie garnitur i krawat. Z wyjątkiem owego młodego faceta, który przyszedł w szortach od tenisa.

Laura przyglądała się mu mimowolnie. Któż by się odważył - zastanawiała się - stanąć przed Paulem Rhodesem w przepoconym stroju tenisowym? Najwidoczniej bowiem przyszedł tu prosto z kortu.

Spojrzenia ich spotkały się i Laura od razu poczuła niechęć do swego nieznanego gościa. Był jednym z tych pociągających, muskularnych szatynów o kędzierzawych włosach, których cała postawa świadczyła o tym, że doskonale wiedzieli, że są atrakcyjni.

- Cześć! - powiedział, jak mu się zdawało, ponętym barytonem. - Widziałem pani zdjęcie w gazetach. Nie sądzę jednak, żeby pani napotkała tam moje. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Nazywam się Marshall Jaffe.

- Dobry wieczór. Na imię mi Laura - odpowiedziała bez entuzjazmu.

- O, niech pani da spokój. Wszyscy tu panią znają. Jest pani przecież dzisiejszą gospodynią, a poza tym ozdobą całego instytutu.

- Niech pan nie przesadza! - zbyła jego uwagę. - Czy pan też tam pracuje?

- W podrzędnym charakterze - odpowiedział Marshall.

- To znaczy jakim? Jaka jest pańska specjalność?

- Miłość. Zazwyczaj w tej dziedzinie mam nieograniczone możliwości.

W normalnych okolicznościach machnęłaby na niego ręką, tak jak na komara.

- Co pan właściwie robi, panie Jaffe?

- No cóż - odpowiedział Jaffe wolno - Właściwie jestem doktor Jaffe. A ściślej mówiąc, doktor-doktor Jaffe. Czy zdołałem pani tym zaimponować?

- A dlaczego miałby mi pan imponować? Prawie każdy ma tu podwójny doktorat. A zatem jaka jest pańska dyscyplina?

Marshall objął ramieniem dyrektora Rhodesa i obwieścił:

- Właśnie zostałem uwiedziony przez Paula.

- Słucham?

- No cóż, jeszcze w zeszłym roku w czerwcu byłem mikrobiologiem na Uniwersytecie w Stanford. Teraz zostałem starszym członkiem, co oznacza, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. Nawet udoskonalać pułapki na myszy. Jednakże tak naprawdę to chciałbym wiedzieć, co pani życzyłaby sobie, żebym robił?

Nie było co do tego wątpliwości - ten człowiek był megalomanem. Trzeba jednak przyznać, że był fascynujący, na tej samej zasadzie co grzechotnik. A skoro Rhodes uczynił go starszym członkiem, to znaczy, że musiał mieć na to pokrycie. Widocznie był tak wybitny, jak twierdził.

- Pan wybaczy, doktorze-doktorze, ale muszę napęlnić kieliszki innych doktorów-doktorów.

- Mam na imię Marshall. Nie zapomnij, Lauro.

To byłoby raczej niemożliwe, nawet gdybym chciała - pomyślała sobie Laura.

Rozdział XLIV

- Nie ma mnie tu, Harvey. Powiedz mu, że wyszłam na obiad.

- Ależ to dopiero dziewiąta trzydzieści, Lauro - zaprotestował kolega z laboratorium.

- Nic mnie to nie obchodzi. Powiedz mu, że zgłodniałam wcześniej. Proszę cię, pomóż mi się pozbyć tego napuszonego bałwana.

Harvey przekazał rozmówcy wiadomość od Laury i odłożył słuchawkę. Wracając na swoje miejsce, zapytał mimochodem:

- Czego ty właściwie od tego człowieka chcesz? Widziałem go wczoraj na przyjęciu i odniosłem wrażenie, że jest całkiem przyjemnym facetem. A poza tym wiesz chyba, co się tu o nim mówi?

- Co takiego?

- Jaffe jest pupilkiem Paula Rhodesa. Podobno przygotowuje go na swojego zastępcę.

- Ależ to przecież jeszcze dziecko! - odpowiedziała z niedowierzaniem.

- Aha - potwierdził Harvey. - Właśnie to jest w tym wszystkim takie zdumiewające. Ten facet ma najwyżej trzydzieści trzy lata.

- To niesamowite - odpowiedziała, myśląc sobie jednocześnie: Jest młodszy ode mnie. - A potem odezwała się głośno: - Zwłaszcza że nadal zachowuje się jak szczeniak. A swoją drogą, jaką dał ci odpowiedź?

- Powiedział mi, że zejdzie na dół do kafeterii, żeby cię poszukać.

Pół godziny później Marshall Jaffe stał przed nią z małą papierową torebką w ręku.

- Dzień dobry, Lauro - powiedział wesoło.

Nachmurzyła się. - A cóż pana tu przynosi, Doktorze Wspaniały?

- No cóż, to chyba jasne. Kafeteria była zamknięta, więc nie mogłaś zjeść śniadania. Namówiłem wobec tego szefa kuchni, żeby mi dał dwa kubki kawy i jakieś bułki.

- Dziękuję. Wezmę kawę - odpowiedziała.

- Przyniosłem ci tylko jeden kubek. Ten drugi jest dla mnie. Ładna dzisiaj pogoda. Zechciałabyś może usiąść na zewnątrz na schodach?

- Słuchaj, Marshall, nie wiem jak ty, ale ja chcę trochę rano popracować. Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Nie, nie mam, Lauro. Będzie ci się jednak pracować o niebo lepiej po paru węglowodanach i z pewnością nadrobisz stracony czas. A poza tym, chciałbym się dowiedzieć, jak ci idą badania.

W parę minut później siedzieli na zewnątrz w mglistym porannym słońcu, popijając bułki kawą.

- Skąd tyle wiesz o moich badaniach? - zapytała Laura.

- Pracuję z Paulem i codziennie dyskutujemy przynajmniej przez godzinę na temat tego, co się tu dzieje. Tak się złożyło, że widziałem twoje podanie u niego na biurku.

- I pewno chyłkiem się mu przyjrzałeś? Marshall oburzył się.

- Nie - odpowiedział z mniejszą niż zazwyczaj nonszalancją. - Jestem być może arogancki, ale nie jestem typem faceta z Watergate. Nie mam zwyczaju wtykać nosa w cudze sprawy. Jeśli to panią interesuje, świętoszkowata panno Castellano, to pani powiem, że Paul pokazał mi je sani i zapytał, co o nim sądzę.

Aha - pomyślała Laura. Teraz usiłuje pokazać mi swoją siłę. Uważaj, bo mogę ci podłożyć świnię u szefa.

- No i jakie miał pan na ten temat zdanie, doktorze Jaffe?

- Myślę, że twoja praca jest wspaniała. Co prawda, nie grzeszy kosmiczną wyobraźnią, ale jest inteligentna i pragmatyczna. Dowodem tego są już wasze pozytywne wyniki.

Laura nie dosłyszała drugiej, pochlebnej części tej uwagi, gdyż skoncentrowała się głównie na konkluzji, że jej praca nie była specjalnie oryginalna.

- No cóż - odpowiedziała trochę defensywnie. - Już w tej chwili uzyskujemy dobre rezultaty z dziećmi, które jeszcze pół roku temu byłyby bardzo chore.

- Wiem, wiem - zaprotestował Marshall. - Sam jestem ojcem, więc doceniam takie rzeczy.

- O! - odpowiedziała, niechętnie przyznając nawet we własnych myślach, że ostatnia jego uwaga rozczarowała ją trochę.

- Jestem żonaty, Lauro, jeśli to panią interesuje.

- Jestem pewna, że twoja żona docenia szczęście, jakie ją spotkało. Naturalnie zawsze możesz podsunąć jej swoją wyśmienitą biografię, gdyby umknęło to jej pamięci.

- Nie rozmawiamy na takie tematy. Ona cierpi na stwardnienie rozsiane.

- Och! - wykrzyknęła spokojnie natychmiast Laura. - Bardzo mi przykro, Marshall.

- Tak - westchnął. - Mnie również. Najgorzej odbija się to jednak na dwójce naszych dzieci. To znaczy, Claire ma długie okresy remisji, w czasie których czuje się zupełnie dobrze. A potem ta cholerna choroba atakuje ponownie i dzieciom wydaje się, że mama gdzieś wyjechała. Na szczęście znaleźliśmy dla nich staroświecką nianię i zmusiliśmy ją do pomocy. W przeciwnym razie chyba byśmy wszyscy zwariowali.

- I dzięki temu możesz sobie nadal grać w tenisa - stwierdziła Laura, sama zdziwiona swoim sarkastycznym wybuchem. Mięśnie jego szczęki napięły się.

- Słuchaj - odpowiedział. - To jasne, że miałaś przytulne i wygodne życie. Powiem ci zatem, że walenie piłki rakieta działa na mnie jak środek uspokajający. Przy tym wszystkim, co dźwigam na plecach, gdybym tego z siebie nie wypocił, to prawdopodobnie, żeby nie zwariować, musiałbym zażywać pigułki. Moje dzieci rozumieją, że potrzebny jest mi ten zawór bezpieczeństwa dla utrzymania głowy na karku.

Ściszył głos i dodał bez skrępowania: - Claire wie również, że umawiam się z kobietami.

Laura nie wiedziała, co na ten temat sądzić. Mimo swoich - jak sądziła - liberalnych poglądów, wydawało jej się, że jawne zdrady Marshalla były trochę niesmaczne. A jednak na swój sposób podziwiała jego uczciwość.

Podniósł się z miejsca. - W porządku, pani doktor. Koniec przerwy. A teraz chodźmy wybawiać świat od robactwa i grzybicy. .

- Tak - odpowiedziała pełna sprzecznych uczuć. - Do zobaczenia, Marshall - dodała obojętnie.

Zatrzymał się i odpowiedział cicho: - Bardzo na to liczę.

Przez całe popołudnie nie mogła się skoncentrować. Jak zwykle obwiniała się za swoją szorstkość i mylną ocenę zuchwałości Marshalla. Nawet nie potrafiła zachować się na tyle profesjonalnie, żeby zapytać o temat jego badań. Dobry start, Castellano. Jeszcze tylko z pół tuzina takich rozmów i całkiem zdziczejesz.

Barney miał nieomal ochotę zadzwonić do Fritza Baumanna i poprosić go o fachową pomoc.

Kryła się w tym jednak pewna ironia. Jego walka o zachowanie profesjonalnej powściągliwości zakończyła się pełnym sukcesem. Panował nad sobą do tego stopnia, że choć Shari zdawała sobie sprawę z jego emocjonalnego zaangażowania, to jednak nie była świadoma jego romantycznych zapędów.

W ten zatem sposób stworzył jej idealne psychoanalityczne warunki, przyspieszając nadejście dnia, kiedy ten cudowny ptak, który wpadł mu w ręce ze złamanymi skrzydłami, mógł spokojnie odlecieć. Gwałtownie zaczęła odzyskiwać swoją artystyczną pewność siebie. Wybrano ją na dublerkę Odette i Odile w *Jeziorko łabędzim*, co niewątpliwie było postępem, chociaż nadal zakulisowym.

Barney nie mógł powstrzymać się od myśli, że balet Czajkowskiego był jeszcze jedną historią o zakazanej miłości, kończącą się tragedią. Nawet jeśli - jak stwierdził - kochankowie zostają ostatecznie złączeni, to tylko po to, by odejść razem z tego świata.

Czy nie istniało podobne wyjście dla niego i Shari? Przecież mogliby obydwójce opuścić Nowy Jork, zrezygnować ze swoich zawodów i żyć długo i szczęśliwie w jakiejś odległej Arkadii niczym dwa szczęśliwe łabędzie.

- Brice - ostrzegął przy automacie do kawy - jeśli usłyszysz jakieś krzyki z mojego gabinetu, to zadzwoń do szpitala, gdyż mam wrażenie, że jestem na skraju załamania nerwowego.

- Ciągle przez tę samą dziewczynę? - zapytał kolega.

- Aha. Musiała odłożyć na razie terapię. Jej teatr wyjechał najpierw na tournée po Zachodnim Wybrzeżu, a potem na resztę lata wyjeżdżają do Europy. Brice, co ja mam teraz zrobić?

- Dzięki Bogu, że nie do mnie należy analityczne pranie twojego mózgu. Na szczęście nie stać by cię było, żeby mnie do tego zatrudnić. Dam ci jednak małe nasionko, które mógłbyś w sobie posiać i patrzeć, co z niego wyrośnie.

- Tak?

- Jesteś pewny, że nie jest to kwestia zwykłego popędu seksualnego w stosunku do tej dziewczyny?

Barney oburzył się na taką sugestię. - Dlaczego tak sądzisz, Brice?

- Ważne jest tylko to, co ty o tym sądzisz, Barney.

W tym momencie odezwały się oba wewnętrzne telefony.

- No cóż - zauważył z uśmiechem kolega Barneyego - do roboty, na ugór.

- Powiedziałeś: na umór, czy też się przesłyszałem, Brice?

- Przesłyszałeś się, ale tak czy owak na jedno wychodzi.

Już kiedy wchodziła do jego gabinetu, odnosiło się wrażenie, że Shari Lehmann przeszła jakąś metamorfozę. Zadzwoiła do niego jeszcze z wybrzeża, żeby umówić się na jedną sesję przed wyjazdem do Londynu.

- Czuję się wspaniale, doktorze Livingston - oznajmiła. - Nigdy nie zdołam się panu za to odwdziżyć. To, co mi pan ofiarował... jakby to powiedzieć? Czuję się jak nowo narodzona.

Zostałem zatem jej matką - pomyślał ponuro Barney.

- Wygląda na to, że już się więcej nie zobaczymy - dodała z uśmiechem.

- Wiem o tym - odpowiedział cicho. - Twój teatr wyjeżdża do Europy.

- Owszem, ale ja z nimi nie jadę.

Poczekaj, Livingston, może jeszcze nie wszystko stracone? Być może żegna się ze mną jako doktorem po to, aby móc nawiązać stosunki ze mną jako z mężczyzną.

- Nigdy nie myślałam, żeby to było możliwe - ciągnęła dalej z podnieceniem w głosie. - No bo to przecież dla mnie takie nietypowe. Do tej pory pociągali mnie tylko mężczyźni tacy jak Leland, którym służyłam za szczotkę do podłogi. Teraz jednak, dzięki panu, poznałam siebie samą trochę lepiej i jestem pewna, że tym razem nie popełniłam tego samego błędu.

Barney czekał w napięciu. To, co miała mu do zakomunikowania, mogło być tylko albo bardzo, bardzo pomyslnie, albo bardzo, bardzo złe. Trzymał się zatem kurczowo krzesła.

- Kenneth to wyjątkowy mężczyzna.

- Kto? - zapytał Barney.

- O, wydaje mi się, że w tym całym podnieceniu zapomniałam zacząć od początku. Otóż zakochałam się. Mogłabym nieomal powiedzieć, że po raz pierwszy w życiu. To znaczy, dopiero teraz rozumiem, że to, co łączyło nas z Lelandem, na pewno nie było miłością. A nawiasem mówiąc, tak się składa, że on jest doktorem - profesorem neurologii w Santa Barbara. Nazywa się Kenneth Glover. Czy słyszał pan o nim?

- Aha - mruknął Barney.

- Wiem, że według pana działałam zbyt pochopnie, ale panie 'doktorze, w ciągu ostatnich sześciu tygodni byliśmy ze sobą codziennie, przynajmniej przez kilka godzin. To może nie wydaje się tak dużo według psychiatrycznych harmonogramów,

ale naprawdę czuję, że dobrze znam tego człowieka. Jestem pewna, że on spodobałby się panu. Pod wieloma względami przypomina mi pana.

Barney zapytał samego siebie: Dlaczego zadowala się margaryną, skoro mogłaby mieć prawdziwe masło? Siedzę tu przecież i topię się przy niej cały.

Nastąpiła chwilowa przerwa.

- Panie doktorze - odezwała się Shari. - Czy mógłby mi pan tym razem odpowiedzieć na jedno konkretne pytanie? Bardzo pana proszę, niech mi pan powie, czy pańskim zdaniem to, co robię, jest właściwe?

Dzięki Bogu za moje szkolenie - pomyślał Barney. Teraz mogę po prostu zacytować ceremonię pożegnalną ze standardowego podręcznika.

- Jeśli cokolwiek tu osiągnęliśmy - odpowiedział - to powinna pani sama zdecydować o tym, co jest dla pani dobre, a co nie, poprzez nawiązanie kontaktu ze swymi wewnętrznymi odczuciami. W końcu celem naszej pracy nie było uzależnienie pani ode mnie, lecz raczej umożliwienie pani usamodzielnienia się. Jeśli jest pani pewna...

- Ależ tak, tak - odpowiedziała pospiesznie. - Cieszę się jednak, że nie jest pan w tej kwestii ambiwalentny. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała przeproszającym tonem: - Nie chciałam powiedzieć "ambiwalentny". Chodzi mi raczej o to, że jeśli nie ma pan wątpliwości co do mojego osądu...

Pozostało jeszcze parę minut. Barney powstał jednak i powiedział: - Zawsze uważałem panią za osobę w gruncie rzeczy dojrzałą, która potrzebowała tylko - jakby to powiedzieć - żeby jej ktoś udzielił pierwszej psychiatrycznej pomocy po nieszczęśliwym wypadku.

Wyciągnął rękę.

- Powodzenia, panno Lehmann.

- Panie doktorze - zapytała. - Czy to będzie wbrew przepisom, jeśli pana pocałuję?

Zanim zdążył odpowiedzieć, było już za późno. Cmoknęła go w policzek i tanecznym krokiem wybiegła z jego życia.

Życie miłosne Barniego i Laury zawsze przypominało huśtawkę. Kiedy ona była na górze, on siedział przeważnie na dole, i odwrotnie.

Tego wieczoru wydawało mu się, że sięgnął dna, a nawet znalazł się dwa metry pod ziemią.

- Castellano, mam wrażenie, że straciłem wszelką ochotę do dalszej egzystencji
- stwierdził melodramatycznie. - Co mnie właściwie trzyma przy życiu bez Shari?

- Na przykład twoja książka - zaproponowała. - Mógłbyś nawet zamieścić w niej te swoje wstrząsające przeżycia.

- Naprawdę? A w jaki sposób?

- Mógłbyś napisać o niebezpieczeństwach przeciwprzeniesienia.

- Nie, dziękuję. Zostawię to tobie, serdecznej przyjaciółce Grety. A swoją drogą, co u niej słyhać?

- Z tego, co ostatnio słyszałam, świetnie sobie radzi w Houston. Asystowała nawet przy pierwszym przeszczepie.

Barney natychmiast pożałował swego pytania, gdyż wzmianka o Houston przypomniała mu o Bennecie, którego tam nie było. Żeby ktoś taki jak Greta wspinał się lekko po drabinie aż po dwa szczeble naraz, podczas gdy jego najlepszego kolegę nadal chłostały przeciwne wiatry i deszcze w Cambridge!

Z tego, co słyszał, wnioskował, że Bennett nie prowadził bynajmniej bogatego życia towarzyskiego.

(Sublimuję się, Barney - powiedział mu kiedyś. - Wściekłość działa na mnie jak amfetamina i pomaga mi nie spać po nocach. Biorę nawet dodatkowe kursy, żeby skończyć to świństwo w dwa lata, a nie w trzy. Nienawidzę tej szkoły prawniczej. Rzeczywiście uczą tu ludzi, jak posługiwać się "faktami", aby przekonać innych, że twoja wersja prawdy jest właściwa! A najczęściej w ogóle nie ma to nic wspólnego z prawdą. W medycynie przynajmniej człowiek jest żywy albo martwy. A tutaj bawią się dla hecy w rozprawę i każą decydować o tym przysięgłym.)

- Jesteś tam jeszcze, Barney? - zapytała Laura. Głos jej ściągnął go nagle z zamyślenia na ziemię.

- Przepraszam, Castellano. Myślałem właśnie o jednym pacjencie. - Otrząsnął się i zapytał: - Czy moglibyśmy porozmawiać teraz o czymś wesołym?

- No cóż, przyrzekam ci, że za miesiąc o tej porze zupełnie zapomnisz o swojej ukochanej pacjentce i oszalejesz na punkcie jakiejś innej dziewczyny.

- To ciekawe, co mówisz - zauważył. - Czy rzeczywiście sądzisz, że odpowiada mi typ "nieosiągalnej" madonny?

- Chcesz, żebym powiedziała ci prawdę, Barney? Czy też wolisz, żebym opakowała ją w styropian?

- Nie musisz mnie oszczędzać. Czy sądzisz, że podświadomie szukani kobiet, które są nieosiągalne?

- No cóż, wydaje mi się, że popadłeś w niezłą chandrę po odejściu Emily, i sądzę, że boisz się, że znowu się poparzysz.

Barney zamyślił się przez chwilę. Do diabła, Castellano miała rację.

- Słuchaj, Lauro. To mi się nie podoba. Nagle odczytujesz mnie jak za pomocą psychicznych promieni rentgenowskich. To w końcu moja specjalność.

- Nic się nie martw, Barney. Zawsze dostarczam ci mnóstwo materiału do krytyki. Weźmy na przykład Marshalla Jaffe'a.

- A któż to, u diabła?

No więc mu powiedziała. Wszystko. Z detalami.

Zdaniem Barniego, wyglądało to na nieopłacalną transakcję.

- Nie obchodzi mnie, w jaki sposób usiłujesz to sobie racjonalizować, ale ten facet nie jest wolny. Czy nie masz na tyle rozumu, żeby zostawić w spokoju żonatych?

- Barney, czy wiesz, że w Waszyngtonie stosunek wolnych mężczyzn do wolnych kobiet ma się mniej więcej jak pięć krów na jednego byka?

- Czy ty nie widzisz, że jesteś dziesięć razy lepsza od każdej przeciętnej "krowy"? Gdyby ci tylko na tym zależało, to zgromadziłabyś wokół siebie cały tabun byczków.

- Ależ, Barney, ja go lubię. Nic na to nie poradzę. Nie chciałam do tego dopuścić, ale naprawdę...

- Żal ci go?

Nie odpowiedziała mu. Musiała bowiem przyznać, że było w tym pewne źdźbło prawdy.

- Posłuchaj, Castellano. Mnie również żal tego faceta. Zależy mi jednak na tobie i nie wydaje mi się, żeby to się dla ciebie dobrze skończyło.

- Barney, ja już dawno skończyłam dwadzieścia jeden lat. Nie musisz się mną opiekować. ,

- A kto to za mnie zrobi?

- On jest bardzo atrakcyjny - odpowiedziała zupełnie nie na temat.

- Wiem, wiem. Widziałem go u ciebie na przyjęciu.

- W tym tłumie?

- Nietrudno go było zauważyć. Był w krótkich spodniach, Lauro. Nie sądzisz, że to trochę niesmaczne?

- No cóż - odpowiedziała na poły żartem. - Przynajmniej ma niezłe nogi.

- Ja również - odpowiedział Barney - ale mimo to nie mam w zwyczaju chodzić do domu Fritza Bauranna w koszykarskich spodenkach.

- A poza tym jest jednym z najinteligentniejszych facetów, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałam.

- O czym zresztą sam ci nieustannie przypomina.

- Owszem, przyznaję, że jest trochę zadurzony w sobie. Dzięki temu w pewnym sensie się uzupełniamy.

- Niby tak jak państwo Sprat? On jest trochę za bardzo zarozumiały, a ona zbyt nieśmiała.

- Coś w tym rodzaju.

- Zapomniałaś jednak, że państwo Sprat byli przynajmniej małżeństwem. Przykro mi, Lauro, ale nie pochwalam tego.

- Kiedy ja lubię z nim przebywać, Barney. Jest miły na swój sposób. A poza tym to lepsze niż nic.

- No dobra. Niech ci znowu złamie serce. Płyniesz jednak pod prąd. Albo też trzymając się metaforyki tenisowej, przewiduję, że twoja punktacja wyniesie love - zero. A zatem, pomiędzy tymi setami, postaraj się zastanowić, gdzie wylądujesz - powiedzmy, za jakieś pięć lat.

Nastała cisza. Czyżby Barney zaliczył kosza?

- Wiesz co? - odpowiedziała ze zdziwieniem Laura. - Nigdy nie miałam najmniejszego złudzenia, że będzie to trwało tak długo.

Dobrze jednak wiedziała, o co mu chodziło. Biologiczny zegar nieubłaganie odmierzał ostatnie lata jej płodności. Wkrótce nie będzie się już musiała "martwić" o to, że zajdzie w ciążę.

Och, przestań się nad sobą litować, Castellano. Kto to, u diabła, wie, co się może wydarzyć za pięć tygodni, nie mówiąc już o pięciu latach?

Laura zdołała wreszcie uzyskać coś w rodzaju wewnętrznego spokoju. Jej związek z Marshalllem był trwały, choć może niezupełnie kompletny. Raz lub dwa razy w tygodniu jadali razem kolację u niej w mieszkaniu. (Nauczył ją nawet gotować.) Zabierał ją do teatru albo na mecz, kiedy tylko pozwalały im na to obowiązki. I to jej wystarczało. W każdym razie nie sądziła, żeby należało jej się od życia coś więcej.

Marshall miał obsesję na punkcie wszystkiego, co najlepsze. Kiedy już postanowił, że będzie w jakiejś dziedzinie prymusem, żadna siła na niebie i rza ziemi nie mogła go powstrzymać.

Nie uczestniczył jednak w tej naukowej grze tylko ze względów finansowych. Rzeczywiście zależało mu na tym, żeby widzieć owoce swych pomysłów. Pragnął przełamać bariery w bioinżynierii i osiągnąć rezultaty, które byłyby błogosławione przez następne pokolenia.

Po osiemnastu miesiącach pracy z Rhodesem czuł, że byli już tego bliscy.

- Lauro! To będzie rok, w którym wiele nowotworów zacznie wreszcie gryźć ziemię.

Doktorzy Rhodes i Jaffe wraz z młodszym personelem z Instytutu Zdrowia kończyli właśnie pięcioletnią współpracę z profesorem Toivo Karvonem z Helsinek oraz jego młodszymi współpracownikami z Centralnej Kliniki w Meilahti. Przeprowadzali właśnie ostatnie badania kontrolne metody, którą opracowali wspólnie, polegającej na obserwacji komórek i wyłapywaniu uszkodzeń onkogenetycznych.

- To wręcz nie do wiary, Lauro! Pozostało nam jeszcze tylko pięć metrów do mety!

W pokoju nieomal pojaśniało od iskier jego entuzjazmu.

- Złapiemy te nowotwory za geny. Czyż to nie fantastyczne?

- Wręcz brakuje mi słów, Marshall. Myślę tylko o tych pacjentach, których straciłam, a których za parę lat dałoby się może uratować. Kiedy to dotrze do szpitali?

- Może za trzy lata, a może przy odrobinie szczęścia za dwa. O Jezu, nie mogę się doczekać, kiedy to ogłosimy całemu światu.

Marshall żył i oddychał swoim projektem.

- Moglibyśmy produkować syntetycznie tę substancję poniżej poziomu cytotoksycznego. Czyż to nie cudowne, Lauro?

Radość Laury z tego związku niepomiernie powiększał jeszcze fakt, że mógł z nią rozmawiać jak z równym sobie naukowcem. Być może przesadzał trochę z używaniem fachowego żargonu, niemniej jednak rozumiała, o co mu chodzi.

Zaakceptowała swój status poniekąd "póletatowej" żony. Marshall towarzyszył jej bez żadnego zażenowania we wszystkich imprezach organizowanych przez instytut. Mimo to zastanawiała się, co jej kochanek porabiał wieczorami, kiedy wraz z

Rhodesem siedział w Helsinkach, gdzie - jak wiadomo - noce bywają wyjątkowo długie.

Powiedział jej jednak w końcu kategorycznie, że nie mogła się po nim spodziewać niczego więcej. Przyznał również, że był przygotowany na to, że pewnego dnia poinformuje go o tym, że znalazła sobie pełnoetatowego męża. Wycofa się wówczas z tego z honorem i gracją. Związało to z nim Laurę jeszcze bardziej.

Po pewnym czasie zaprosił ją na wycieczkę do Finlandii.

- Tam jest tak czysto, sto osiemdziesiąt tysięcy jezior i żadne z nich nie jest zanieczyszczone. Może - zaproponował - kiedy nasi dwaj starsi koledzy będą ślęczyć nad danymi, uda nam się wykraść dzień albo dwa na narty.

- Ale ja nie umiem jeździć - przyznała się.

- Mogę cię nauczyć. Trudno by ci było znaleźć lepszego instruktora.

- Aha. Tak też twierdził mój pierwszy mąż.

Rozmowa zesłała na inny temat. Laura usiłowała ukryć zażenowanie swoją wzmianką o "pierwszym mężu". Wiedziała jednak, co przez to niechcący ujawniła. Była pewna, że Marshall również to zauważył.

A jednak nigdy o tym nie wspomniał.

Pewnego dnia obudził ją, telefonując do niej późnym wieczorem. Był bliski paniki.

- Lauro, potrzebna mi jest twoja pomoc.

- O co chodzi?

- Scott, mój ośmioletni syn, ma jakąś niewiadomego pochodzenia gorączkę. Podskoczyła mu tak wysoko, że prawie zagotowała się rtęć w termometrze. Czy mogłabyś tu prędko przyjechać?

Oprzytomniała na tyle, żeby poczuć się niepewnie.

- Marshall, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, o co prosisz?

- Lauro, nie ma czasu, żeby bawić się w protokół. To kwestia życia i śmierci. Jemu jest natychmiast potrzebny specjalista.

- Zabierz go zatem do szpitala - odpowiedziała ze złością, rozdarta wewnętrznymi.

- Lauro, dojedziesz tutaj o wiele szybciej, niż ja zdołam zabrać go na dyżur. Przy tym całym biurokratycznym gównie mógłby mi tam jeszcze umrzeć.

Przerwał z zawieszoną w powietrzu prośbą.

- No dobrze - westchnęła. - Zaraz tam będę.
- O Jezu, dzięki. Tylko się pospiesz, dobrze? Wiesz, jak tu trafić?
- Dobrze wiem, gdzie mieszkasz, Marshall - odpowiedziała spokojnie.

Samochód zaczął się trząść, kiedy na trasie numer piętnaście przyspieszyła do dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Jednocześnie w miarę tego przyspieszenia usiłowała pohamować swoje emocje. Słuchaj, Lauro, jesteś pediatrą, a to dziecko jest chore. To, co czujesz względem... jego rodziców, jest nieważne. Jest to w końcu nagły wypadek.

Powtarzała to sobie w kółko niczym rodzaj samohipnotyzującej litami, żeby móc dalej funkcjonować. A także oddychać.

Dom Jeffe'ów znajdował się w Silver Spring, tuż przy zjeździe z pętli. Ostatnie osiemset metrów było bitą, zupełnie nie oświetloną drogą. Mimo to Laura prawie nie zmniejszyła prędkości.

Zatrzymała się gwałtownie przed białym dwupiętrowym domem z trawnikiem z przodu i skrzynką pocztową. Był to jedyny w pełni oświetlony dom w okolicy.

Wyszła z samochodu i sięgnęła po swoją torbę. We frontowych drzwiach widniała sylwetka Marshalla.

- O Jezu, dzięki za to, że przyjechałaś tu tak szybko. Nigdy ci tego nie zapomnę, Lauro. Naprawdę.

Skinęła głową i bez słowa weszła do środka.

Na półpiętrze siedział na schodach pięcio-, czy sześćioletni chłopiec w piżamie z obrazkami z Ulicy Sezamkowej i patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Hej, tato - zawołał zmartwionym głosem. - Powiedziałeś, że wezwałeś doktora. A kim jest ta pani?

- Ta pani jest doktorem, Donny - uspokoił go Marshall. - Idź teraz cichutko do sypialni i pokaż jej, co się dzieje ze Scottem.

Laura pospiesznie wbiegła na górę, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Weszła prosto do otwartej sypialni.

Marshall obłożył już chłopca zimnymi ręcznikami. Podeszła do łóżka i powiedziała cicho do rozgorączkowanego dziecka: - Nazywam się doktor Castellano, Scott. Wiem, że jest ci bardzo gorąco. Czy możesz mi jednak powiedzieć, czy coś cię boli?

Zaprzeczył wolno głową. Laura zwróciła się do Marshalla.

- Kiedy po raz ostatni sprawdzałeś mu temperaturę?

- Może z pięć minut temu. Miał ponad czterdzieści jeden stopni.

Laura położyła dłoń na rozpalonym czole dziecka. - Mogę w to uwierzyć - stwierdziła. - Zejdź do kuchni i przynieś mi natychmiast mnóstwo lodu. Czy masz może alkohol do nacierania?

Marshall pokiwał głową. - W łazience Claire. Zaraz ci to przyniosę.

Wyszedł pospiesznie z pokoju. Jego zazwyczaj śniada, opalona twarz pozbawiona była teraz wszelkiego koloru.

Odwróciła się i przyjrzała uważnie swemu pacjentowi - chłopiec tak bardzo przypominał ojca!

Sprawdziła mu węzły chłonne. Były znacznie powiększone. Przyłożyła mu stetoskop do piersi. Nie usłyszała niczego poza przyspieszonym biciem serca. Wykluczało to zatem wszelkie problemy oddechowe.

W wieku Scotta gorączka tego typu mogła wskazywać na zapalenie wsierdzia, czyli wyściółki błony serca - było to jednak tylko przypuszczenie. W tym momencie należało leczyć symptomy i obniżyć temperaturę.

- Przepraszam, pani doktor - odezwał się w drzwiach kobiecy głos. Laura odwróciła się i zobaczyła stateczną kobietę w nieokreślonym wieku, ubraną w kraciasty szlafrok. Trzymała w ręku szklaną butelkę zamykaną na zakrętkę.

- Doktor Jaffe powiedział mi, że potrzebny jest pani alkohol - podała jej butelkę. Laura skinęła głową i podeszła dwa kroki, żeby ją odebrać. Zanim zdołała podziękować, kobieta odezwała się znowu: - Nazywam się Henderson. Czy mogłabym pani w czymś pomóc? Bardzo panią proszę, pani doktor. Jesteśmy tu wszyscy tacy bezradni.

- No cóż, przydałoby nam się sporo ręczników.

- Dobrze, pani doktor. Chwileczkę.

Kobieta odwróciła się i zniknęła. Nieomal w tej samej chwili wszedł do pokoju Marshall z wiadrem lodu. Mały Donny włókł się z tyłu, trzymając miseczkę z dwiema czy trzema kostkami.

- Czy to ci wystarczy? - zapytał zaspany Marshall.

- Będzie musiało. Prędko. Napełnij wannę zimną wodą.

- Co takiego? To przecież mogłoby wywołać szok. Zatrzymać pracę serca albo...

- Marshall - warknęła Laura. - Albo mi ufasz, albo nie. Jeśli chcesz leczyć własną rodzinę, to proszę bardzo. Nie waż się jednak podważać mojej opinii.

Skarcony Marshall pobiegł do łazienki dzieci, żeby nalać wody do wanny. Potem wrócił do Laury. Pomógł jej rozebrać Scotta i przenieść go do łazienki.

- Hej! - pisnął Don. - Co wy robicie mojemu bratu? Przecież on w tym zamarznie.

- Zamknij się, Don - warknął ojciec. - Musimy robić to, co nam ta pani każe.

Laura odwróciła się do przerażonego chłopca i odezwała się o wiele łagodniejszym tonem: - Ty również mógłbyś nam bardzo pomóc, Donny, gdybyś przyniósł nam jeszcze trochę lodu. Pani Henderson przyniosła już jednak całe wiadro.

- Dziękuję pani - szepnęła Laura - Oboje z doktorem Jaffe'em włożymy teraz Scotta do wody, a pani i Donny porzuczajcie wokół niego lód. - Po czym ponownie odwróciła się w stronę młodszego chłopca i uśmiechnęła się. - Tylko nie na głowę braciszka.

Przerażenie dziecka ustąpiło nagłemu chichotowi. Wrzucanie lodu do wanny brata wydawało mu się bardzo zabawne. Scott nawet nie zapłakał, kiedy zanurzyli go w lodowatej wodzie. Laura sprawdzała, czy na jego ciele były widoczne jakieś oznaki choroby.

- Jak długo ma to jeszcze trwać, Lauro? - mruknął zaniepokojony Marshall.

Laura odwróciła się do pani Henderson i powiedziała: - Bardzo panią przepraszam, ale zdaje się, że zostawiłam termometr w sypialni Scotta. Czy mogłaby pani...

Kobieta zniknęła i w mgnieniu oka zjawiała się z powrotem. Laura zaczęła sprawdzać temperaturę chłopca. W końcu kazała Marshallowi wyciągnąć go z wanny. Pomogła mu go osuszyć i położyć do łóżka.

- Lauro, ale przecież widziałaś, że nadal ma gorączkę...

- Czterdzieści stopni to nie tak dużo. Przestań, do cholery, kwestionować moje polecenia.

Pani Henderson i Donny zajęli się teraz następnym zadaniem powierzonym im przez Laurę - delikatnym nacieraniem ciała Scotta alkoholem, w celu dalszego obniżenia temperatury. Laura i Marshall stanęli razem w drzwiach.

- No więc, jak sądzisz, co to może być?

- Wezmę próbkę krwi i każę zrobić pełne badania jutro rano. To powinno nam wszystko wyjaśnić.

Spojrzała na niego i stwierdziła: - Wcale cię to nie uspokoilo.

- Martwię się o niego, Lauro. A jeśli to ostry gościec stawowy?

- Nie sądzę.

- Jesteś pewna?

- Który doktor może być tego pewny? - spytała zniecierpliwiona. - Marshall, już chyba dawno nie pracowałeś w szpitalu, gdyż zapomniałeś, że nie jesteśmy wszechwiedzący.

Spuścił głowę i podrapał się z tyłu w szyję.

- Przepraszam cię, Lauro, ale gdyby to był twój dzieciak... - Zaniemówił w pół zdania.

- Wiem - odpowiedziała cicho. - Prawdę rzekłszy, lekarze byli zazwyczaj najbardziej histerycznymi rodzicami, z jakimi kiedykolwiek miałam do czynienia. A ty, Marshall, wcale się od nich nie różnisz.

- Przepraszam, przepraszam. Straciłem głowę. Nie chcę cię do niczego przymuszać, ale czy mogłabyś mi powiedzieć, co o tym myślisz?

- W jego wieku jest to prawdopodobnie zapalenie tkankowe lub młodociany gościec stawowy.

- Zapalenie tkankowe lub gościec stawowy?

- Aha. Pamiętasz chyba jeszcze to i owo ze Szkoły Medycznej? Jeśli nawet okaże się, że to gościec, w jego wieku nie jest to takie poważne.

- Masz jeszcze jakieś inne wytłumaczenia? - zapytał nerwowo.

- Posłuchaj - odpowiedziała ze zniecierpliwieniem. - O tej porze nocy nie mam zamiaru podawać ci diagnozy różnicowej. To mało prawdopodobne, żeby miał coś tak poważnego, jak bakteriemia. Uwierz mi jednak, że nic mu nie będzie. Tymczasem podawaj mu co cztery godziny ze dwie tabletki tylenolu dla juniorów.

- Aspiryna nie wystarczy?

- Nie, Marshall. Podejrzewa się, że w przypadku dzieci jest przyczyną zespołu Reyesa. Tylko tylenol - chyba że chcesz, żeby twoje dziecko brało lekarstwa takie jak kortykosteroidy. A swoją drogą, czy wy nie macie pediatri?

- Owszem. Nie zaufałbym jednak temu facetowi, gdyby chodziło o coś poważniejszego od poparzenia pokrzywą.

- Zadzwoń do mnie jutro rano do pracy, to podam ci parę dobrych nazwisk. - Odwróciła się w stronę zebranych w pokoju i powiedziała: - Nie martw się, Scott, nic ci nie będzie. Dziękuję pani, pani Henderson, i tobie, Donny. A teraz już czas, żeby wszyscy udali się do swoich łóżek.

Była już prawie wolna.

Kiedy zeszła na parter, otworzyły się drzwi i stanęła w nich blada, szczupła kobieta w różowym jedwabnym szlafroku. Oparła się niepewnie o ścianę i spytała prawie niedosłyszalnym głosem: - Czy on wyzdrowieje, pani doktor? Czy mój syn wróci do zdrowia?

- Nic mu nie będzie - odpowiedziała. - Niech się pani nie martwi, pani Jaffe.

Odwróciła się i zaczęła schodzić ze schodów. Dobiegł ją tam jednak ten sam, schorowany głos: - Pani doktor?

- Tak? Słucham?

- To bardzo miło z pani strony, że zgodziła się pani przyjść o tej porze. Oboje z Marshalllem jesteśmy pani za to bardzo wdzięczni.

Laura skinęła głową i bez słowa zeszła na dół. Wsiadła do samochodu, skrzyżowała ramiona na kierownicy i oparła się na nich czołem.

- O Jezu Chryste! - mruknęła. - Dlaczego, u diabła, ja się tak narażam?

W powietrzu ciągle jeszcze wisiały bolesne, raniące słowa: "Gdyby to był twój dzieciak..."

Uruchomiła samochód i wjechała na drogę. W jej głowie szalał cały Armagedon myśli. Mimo że coś popychało ją ku temu, to jednak nie zjechała z mostu z prędkością stu mil na godzinę.

Rozdział XLV

Barney usiłował jej to wyperswadować.

- Castellano, mówiłem ci to już setki razy. Zaplątałaś się w bardzo niezdrową sytuację. Gdzie się podziała twoja pewność siebie? Czy nie uważasz, że zasługujesz na prawdziwy związek?

- On twierdzi, że mnie kocha, Barney - zaprotestowała słabo.

- Jestem tego pewny, na swój sposób. Traktuje to przypuszczalnie jak romantyczny odpowiednik baru szybkiej obsługi. Problem w tym, że ty nie kochasz siebie samej. Dlaczego nie porozmawiasz na ten temat z jakimś psychiatrą?

- Z kimś takim jak Andrew Himmerman? - zażartowała. - W ciągu jednej godziny mogłabym załatwić analizę i życie towarzyskie.

- Nie gadaj bzdur - zaproponował. - Greta przedstawiła ci fałszywy obraz tego człowieka.

- Teraz, skoro już sam wstąpiłeś w szeregi tej instytucji, będziesz bronił każdego członka klanu - odparła.

Barney miał ogromną ochotę opowiedzieć jej o swoim spotkaniu z Himmermanem i przedstawić jej prawdziwą wersję "uwiedzenia" Grety. Nie mógł jednak tego zrobić. Była to bowiem kwestia etyki lekarskiej. Zamknął więc dyskusję stwierdzeniem: - Postaram ci się o dobre nazwisko, Lauro.

- Świetnie. Pamiętaj tylko, żeby był blondynem. Lepiej się wtedy zrozumiemy.

Odłożyła słuchawkę zadowolona, że wygrała potyczkę. Czy rzeczywiście była to jednak potyczka? Czyż jej najlepszy przyjaciel nie robił tego dla jej własnego dobra?

Stłumiła w sobie impuls, aby oddzwonić do niego. Zamiast tego zatelefonowała do Marshalla, który pracował do późna w nocy w laboratorium.

Ucieszył się na dźwięk jej głosu. - Byłem naprawdę przygnębiony - przyznał. - Zdzwońmy się za jakieś pół godziny.

No widzisz? - pomyślała sobie Laura. On rzeczywiście cię potrzebuje. Jestem mu potrzebna. A zatem mnie kocha. A czyż to nie jest w końcu w życiu najważniejsze?

Był to potworny dzień dla Marshalla. Najpierw zadzwoniła rano sekretarka departamentu, zgłaszając kolejną ze swoich psychosomatycznych dolegliwości (jak żartowała niegdyś Laura: przypuszczalnie w wolnych chwilach czytała Podręcznik

Mercka), a potem został wezwany do szkoły Donny'ego, ponieważ jego młodszy syn zaczął ponownie stroić sobie żarty z nauczycieli.

Dla pogorszenia już i tak niewesołej sytuacji, gdy wszedł do swego laboratorium, nie znalazł pośród listów wyczekiwanej z niecierpliwością korekty artykułu Rhodesa i Karvonena, w którym ogłaszali naukowemu, światu swe odkrycia.

W tym oto stanie, nie mogąc się skoncentrować, pojechał do klubu, zapłacił za godzinę gry z profesjonalistą i rozłożył biedaka na obie łopatki. Mimo to, kiedy wrócił do domu na kolację z chłopcami, nadal nie był w stanie opanować swojej frustracji.

W końcu Donny zaczął się skarżyć, trafiając w samo sedno.

- Tatusiu, wcale nie jest nam przyjemnie, jak ciągle się na nas złości. Czy moglibyśmy jadać kolację z panią Henderson?

Claire spała, kiedy poszedł na górę, żeby się z nią zobaczyć, i nie wyglądało na to, żeby obudziła się wcześniej aniżeli nazajutrz rano.

Mając wrażenie, że nie jest nikomu potrzebny, wrócił do swego laboratorium. Na mikrobiologii nie było jednak nikogo, co podziało na niego jeszcze bardziej przygnębiająco.

Tuż po dziesiątej zadzwonił telefon. Była to Laura.

- Słuchaj - zaproponował. - Spotkajmy się na parkingu i pojedźmy gdzieś na przejażdżkę.

Zgodziła się chętnie.

Poszedł do łazienki, umył twarz i spojrział w lustro, przyczesując włosy. Potem skierował się w stronę schodów. Zszedłszy na parter, popatrzył na korytarz. W gabinecie dyrektora paliły się światła. Zdecydował, że powie Rhodesowi dobranoc. Być może zaliczy nawet u niego kilka harcerskich punktów za pracę po nocach.

Zapukał w drewnianą framugę oszklonych drzwi. Nie było odpowiedzi. Zapukał ponownie, a potem nacisnął klamkę. Okazało się, że drzwi były otwarte. Zawahał się i wszedł do środka, wołając cicho:

- Paul? Jesteś tam? To ja, Marshall. Jest tu kto?

Rozejrzał się po wewnętrznym gabinecie dyrektora. Paliły się wszystkie światła. Na biurku leżały porozkładane papiery. Rhodes musiał przed chwilą wyjść, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Postanowił na niego poczekać.

Nie mógł się oprzeć pokusie i usiadł w dyrektorskim fotelu, który w przyszłym roku miał zamiar uczynić swoim własnym. A poza tym, nawet gdyby Paul zastał go

tutaj z butami na biurku, to i tak wiedział, że jego starszy kolega miał duże poczucie humoru. Stosunki ich układały się przecież na zasadzie synowsko-ojcowskiej.

Rozsiadł się wygodnie na tronie i przechylił do tyłu, myśląc sobie: Cześć, wyrobniczy. Oto wasz nowy dyrektor. Jego wysokość król Jaffe na progu swego trzydziestoletniego panowania. Może ktoś chciałby pocałować mój absolwencki pierścionek ze Stanfordu?

Przez chwilę delectował się swoją wizją. A co będzie potem? - zastanawiał się. Może telefon z Białego Domu albo z Narodów Zjednoczonych? Może zaproszenie do stawienia się przed Kongresem? Rhodes otrzymywał wiele takich zaproszeń.

Ciekawe, nad czym on też dzisiaj pracował? Pokusa była silniejsza. Spojrzał uważnie na porzucane przed sobą papiery.

I nie pożałował, że to zrobił. Na wierzchu leżała korekta z "New England Journal of Medicine", ta właśnie, którą powinien otrzymać dziś rano.

Wziął do ręki stronicę i usiłował odnaleźć na niej napisane przez siebie paragrafy. O Boże, moje nazwisko jest tu chyba gdzieś wymienione?

Zaintrygowany, zaczął szukać strony tytułowej. Odnalezienie jej zajęło mu parę minut. Leżała odwrócona drukiem do dołu, na samym spodzie. Gdzieś po nazwisku Rhodessa i Karvonena (czy też Karronena i Rhodessa - wiedział bowiem, że się sprzeczali o kolejność) powinno znajdować się jego nazwisko, a więc znak jego skromnego wkładu.

Przechylił się w krzesło do tyłu i zaczerpnął powietrza. Artykuł zamieszczony był na pierwszej stronie. Nieskomplikowany tytuł zdawał się dementować jego ogromną wagę: *Zastosowanie bioinżynierii w niszczeniu onkogenów - nowe rozwiązania.*

Wreszcie zauważył swoje nazwisko, wciśnięte gdzieś pomiędzy A. Isaakiem i J.P. Lowellem: M. Jaffe - doktor medycyny i filozofii.

Patrzył przez chwilę na te litery w upojeniu, rozkoszując się własnym osiągnięciem. Nagle zauważył coś dziwnego. Brakowało tam nazwiska Sini Takalo. I gdzież się podział Jaako Fredricksen, z którym spędził tyle nocy, upijając się *pöytäviiną*? Do cholery, przecież Jaako pracował nad tym projektem o wiele dłużej od niego! Chodziły nawet pogłoski, że miał zostać następcą Karvonena, na który to zaszczyt bezsprzecznie sobie zasłużył, gdyż jego szef nie zdołałby wytyczyć całej struktury bez pomocy Jaako w charakterze nawigatora.

W rzeczy samej, sądząc po tych urywkach, Finlandia w ogóle nie istniała, a przynajmniej nie w dziedzinie akademickiej medycyny. Nigdzie bowiem nie zamieszczono nazwiska Toivo Karvonena, inicjatora całego projektu.

Z początku Marshall po prostu nie mógł pogodzić się z faktem, że Rhodes, człowiek, którego tak bardzo szanował, mógł zdobyć się na tak poważne zawodowe oszustwo. Nie dało się tego jednak inaczej wytłumaczyć.

Ten sukinsyn usiłował wykraść piłkę i samemu z nią dobiec do bramki.

Nagle usłyszał czyjeś kroki. Paul wracał do swego gabinetu. Lepiej, bracie, rusz dupą - pomyślał Marshall. Odłóż korektę na swoje miejsce i odwróć tytułową stronę. I wynoś się w cholere, byle jak najdalej od jego biurka!

Tenisowy refleks sownie mu się opłacił. Zanim Rhodes zdołał otworzyć drzwi gabinetu, Marshall stał już pod ścianą, podziwiając kolekcję zdjęć swego szefa w towarzystwie różnych nieśmiertelnych osobistości.

- A, Marsh! - zawołał wesoło dyrektor. - Co cię tu o tej porze przynosi?

- Miałem dziś fatalny dzień, Paul - odpowiedział ochrypłym głosem.

- Masz może ochotę usiąść i porozmawiać na ten temat?

- Nie, dziękuję. To miło z twojej strony.

- Drobiazg. Nie mam teraz nic pilnego. Czy chodzi o stan Claire? - zapytał współczującym tonem.

- O nie, nie. Ona w tej chwili czuje się nawet dobrze. Nie wiem, czy to zauważyłeś, ale nie było mnie dzisiaj w pracy po południu.

- Daj spokój, Marshall. Nie odbijamy tutaj zegara. Czy chodziło o chłopców?

Marshall skinął głową. T- Tak. Dyrektor szkoły poinformował mnie o złym zachowaniu Donny'ego. Uważa, że to przypuszczalnie reakcja, no wiesz, na tę całą sytuację.

Głos Marshalla zawisł w powietrzu. - Przepraszam cię, Paul, ale Laura czeka już na mnie na parkingu. Zobaczymy się jutro rano.

- Dobrze - odpowiedział z uśmiechem dyrektor. - Idź i odpocznij trochę.

- Ty też - odpowiedział Marshall. - Nie pracuj za ciężko.

Laura włączyła ogrzewanie na cały regulator, żeby się ogrzać.

- Jaffe, miałam zamiar dać ci jeszcze tylko dwie minuty. Co cię, u diabła, zatrzymało?

- Posłuchaj, Lauro - odezwał się dziwnym tonem. - Muszę z kimś porozmawiać.

- Czy masz na myśli kogoś szczególnego?

- Nie wygłupiaj się, to poważne. Potrzebna mi jest twoja rada.

- Wobec tego radzę ci, żebyśmy pojechali do mnie do domu i otworzyli butelkę Emerald Dry.

Wzruszył ramionami i pokiwał głową jak somnambulik.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym zostawił tu swój samochód i pojechał razem z tobą?

- Oczywiście, Marsh. Wsiadaj i opowiadaj.

Wstrząsnęło to Laurą tak bardzo, że z trudnością mogła się skoncentrować na drodze.

- O Chryste! - odezwała się. - Chyba każdy lekarz jest w głębi serca megalomanem.

- Dobrze wiem, że ja nim jestem - przyznał Marshall. - Ale Bóg mi świadkiem, że nie jestem kleptomanem. W końcu badania Toivo były podstawą tego projektu. Prawie sam rozszyfrował onkogen. Razem pracowali dopiero nad antycjalami. Paul udupił nie tylko karierę tego biednego faceta, ale wręcz całe jego życie.

- Zgadzam się z tobą - przyznała Laura. - Pytanie tylko, co wobec tego robić?

Jechali dalej w milczeniu, dopóki nie zaczął rozplątywać pajęczyny własnych myśli.

- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że jeśli puszcze farbę na Rhodesa, to mogę się uważać za martwego w instytucie.

- Owszem - odpowiedziała cicho.

- I to nie tylko tutaj, w Waszyngtonie. On ma takie świetne układy, że mógłby mi "spalić stopki" na każdej uczelni w kraju. Co roku wyjeżdża nawet na wykłady do Australii. A zatem i tam byłbym uważany za guano.

Laura powstrzymała się od ataku, dopóki nie przyjechali do niej do mieszkania.

- Marsh, skłamałabym, gdybym ci nie powiedziała, że byłby to heroizm typu kamikadze. Jednakże to, co Rhodes teraz robi, przynosi ujmę nie tylko całemu instytutowi, ale każdemu naukowcowi w tym kraju. Musisz go w jakiś sposób powstrzymać.

- Za cenę zawodowego samobójstwa? Albo całkowitego zniszczenia moich własnych szans na Sztokholm? Lauro, ja mam dwoje dzieci i chorą żonę. Zapomoga dla bezrobotnych nie zapłacimy nawet za panią Henderson.

Spojrzała na niego i zapytała: - Co ty właściwie chcesz, żebym ci powiedziała?

- Lauro - odpowiedział poważnie - cenię sobie twoje zdanie bardziej niż kogokolwiek w świecie. Co byś zrobiła, gdybyś była na moim miejscu?

Odpowiedziała cicho: - Sądzę, że bym go zdemaskowała, Marshall.

Kiedy wchodzili po schodach do jej mieszkania, zapytał: - Lauro, czy nigdy nie poszłaś na kompromis dla ratowania własnej skóry?

- Nigdy. A przynajmniej tak mi się wydaje.

- A co z tym martwym dzieckiem w Toronto?

- Zrobiłam piekło szefom departamentów - odpowiedziała z dumą.

- Ale nie powiedziałaś o tym matce.

Laura przystanęła w drzwiach. Miał rację. Powiadomiła o tym kapitana, ale nie rozhuściła całej łodzi. Nikt nigdy nie wniósł sprawy do sądu i nie zaskarżył szpitala o ten niewybaczalny błąd i jego zatuszowanie.

- Masz rację - przyznała. - A poza tym musisz myśleć o swojej rodzinie. Może zadzwoń po prostu do Toivo i niech on zadecyduje, co dalej robić. To w końcu jego problem.

Marshall spojrzął na zegarek. - Jest już prawie północ. To będzie siódma rano w Helsinkach. Za godzinę powinien być u siebie w laboratorium.

Usiedli w kuchni bez słowa, z niecierpliwością obserwując przesuwające się wolno w stronę pierwszej wskazówki zegara.

Wreszcie nadszedł czas, żeby zadzwonić. Laura spojrzała na Marshalla, który wstał i dla uspokojenia się zaczerpnął głęboko powietrza. Wreszcie ostrożnie wykręcił czternastocyfrowy numer.

- Dzień dobry. Mówi Marshall Jaffe z Waszyngtonu. Chciałem...

- Nie musisz mi mówić - przerwał mu Fin. - Domyślam się, dlaczego dzwonicz. Sam jestem wściekły jak diabli.

- Co takiego? - zapytał zaskoczony Jaffe.

- Dzwonicz w sprawie korekty, prawda?

- No tak...

- To znaczy, że też jej nie dostałeś, co? Miałem dzwonić do tego zadufanego w sobie wydawcy w Harvardzie, żeby go dobrze ochrzanić.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego - ostrożnie ostrzegł go Marshall. - To znaczy, chciałem powiedzieć, że skontaktowałem się już z tym facetem i mieli mi wysłać kopię dzisiaj po południu.

- Co było przyczyną tej zwłoki? Czy to, ich zdaniem, nieważne? Na litość boską, mógłbym zadzwonić z tym do Londynu i "Lancet" wydrukowałby mi to na słowo honoru.

- Wiem, Toivo, wiem. Jest jednak mały problem...

- O czym ty mówisz?

- No cóż, szczerze mówiąc, widziałem dzisiaj tę korektę, a przynajmniej jej pierwszą stronę.

- No i?

Marshall spojrzał na Laure, tak jakby chciał tym samym zapytać: Czy rzeczywiście muszę przez to przejść? Po czym zebrał się na odwagę i wyrzucił z siebie w słuchawkę:

- Toivo, Finowie nie zostali tam wymienieni.

- Co takiego? Czy to ma być jakiś żart?

- Chciałbym, żeby tak było, ale dwie godziny temu spojrzałem na jedyną wysłaną kopię korekty. Nikomu z twojego instytutu nie przyznano autorstwa, z tobą włącznie.

Nastała kolejna cisza. Tym razem wybitnemu naukowcowi ze Szpitala Meilahti zabrakło słów. Profesor Toivo Karvonen był przez całe życie naukowcem, toteż umiał wyciągać wnioski jedynie z danych empirycznych. Stwierdzenie, które właśnie usłyszał, było bezpodstawne, nie mówiąc już o tym, że wprost niewiarygodne.

- Marshall, znam Paula od ponad dwudziestu lat. Jest bardzo uzdolnionym człowiekiem, dlaczego miałby zrobić coś tak głupiego?

- Na litość boską, Toivo, nadstawiam tu własnego karku. Czy sądzisz, że dzwoniłbym do ciebie, gdybym na własne oczy nie widział dowodów?

Reakcja Karvonena była zaskakująca.

- O mój Boże - szepnął niczym pełen dezaprobaty rodzic na widok nieposłuszeństwa dziecka.

Marshall spodziewał się potoku epitetów w obcym języku. Nic z tego jednak nie nastąpiło. Karvonen cicho tylko wyraził swoją wdzięczność.

- Marshall, to wielka odwaga z twojej strony. Wiem, jakie to ryzyko. Czy mógłbym w zamian za to coś dla ciebie zrobić?

- No cóż - odpowiedział, wcale nie żartując - może będę cię musiał prosić o pracę. W każdym razie przykro mi, że musiałem ci o tym powiedzieć. Co zamierzasz teraz robić?

Fin zachował spokój.

- Słuchaj. Muszę się nad tym zastanowić. U ciebie jest już pewno bardzo późno. Idź teraz spać, a ja do ciebie zadzwonię o przyzwoitej godzinie.

- Tylko nie do instytutu, Toivo. Sądzę, że to byłoby trochę niebezpieczne.

- Zgadzam się z tobą. Czy mogę zadzwonić do ciebie do domu? Marshall spojrział na Laurę.

- Właściwie jestem teraz u znajomej. Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby pan do niej zadzwonił. - A potem dodał szybko: - Ona również jest lekarzem. To koleżanka z instytutu.

- Nie musisz się tłumaczyć - odpowiedział ze zrozumieniem. - Znam twoją sytuację. A teraz odpocznij. *Hyvästi*.

Marshall odłożył słuchawkę i objąwszy ramieniem Laurę, wszedł z nią do pokoju. Usiadł na kanapie, przechylił głowę do tyłu i wymamrotał: - O Chryste! Masz przed sobą spalonego naukowca. Czy sądzisz, że twój przyjaciel Milton znajdzie dla mnie jakąś pracę u siebie w delikatesach?

- Załatwiamy to krok po kroku - odpowiedziała i pochyliła się, żeby mu ściągnąć buty.

- Co ty, u diabła, robisz? Lauro, jestem w stanie paniki, na skraju hiperwentylacji. Nie masz chyba ochoty...

- Uspokój się, Marshall. Chcę tylko, żebyś się trochę przespał. Będziesz miał jutro ciężki dzień.

Położyła mu nogi na kanapie.

- Lauro - powiedział, układając się do snu. - W ciągu następnych trzydziestu lat będę miał same ciężkie dni. - Podniósł się na łokciu, żeby ją pocałować, i szepnął: - O Boże! Lauro, nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił.

Przypuszczalnie byłoby ci o wiele lepiej beze mnie - pomyślała, zastanawiając się teraz, czy dobrze zrobiła, namawiając go do bohaterstwa.

Popatrzyła na niego. Już zasnął.

Rozdział XLVI

Kiedy się obudziła, Marshall chodził już niecierpliwie tam i z powrotem po mieszkaniu.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Oczywiście. Poza tym, że czuję się potwornie, dostaję białej gorączki i zachowuję się jak kompletny katatonik, nic mi właściwie nie dolega - odpowiedział. Objęła go za szyję.

- Uspokój się, Jaffe - szepnęła. - Zobaczysz, że uczciwość zwycięży.

- Czy ty w to naprawdę wierzysz?

- Wierzę w ciebie - odpowiedziała, usiłując zakamufłować własne obawy.

Poczuł w sobie dość odwagi, aby zdobyć się na dalsze działanie.

- Posłuchaj, muszę się teraz pojawić na chwilę we własnym domu, a potem pokręcę się trochę po instytucie, żeby każdy zobaczył tam moją niewinną twarz.

Popatrzył na nią nieśmiało i zapytał: - Czy mogłabyś poczekać tutaj na wypadek, gdyby zadzwonił Toivo?

- A co z pokazaniem tam mojej twarzy?

- Nic się nie bój, Lauro - zapewniał ją. - Nikt nie będzie nawet podejrzewał, że coś na ten temat wiesz. Możesz zadzwonić i powiedzieć, że jesteś chora. Jak dostaniesz jakieś konkretne informacje od Toivo, przyjedź do mnie do biura, to pójdziemy razem na spacer.

- Marshall, boję się - szepnęła.

- Nie ty jedna. Już zaczynam żałować mego występu w stylu Jerzego Waszyngtona. To w końcu była sprawa Karvonena. Jeśli znajdę gdzieś bezpieczny telefon, to do ciebie zadzwonię.

Uściskał ją serdecznie i skierował się do wyjścia. Nagle zatrzymał się w progu, odwrócił się w jej stronę i powiedział: - Zdaje się, że zapomniałem wczoraj powiedzieć ci, że cię kocham. Wobec tego mówię to teraz.

Po czym wyszedł, pozostawiając Laurę samą. Chodziła tam i z powrotem niczym strapiiony ojciec przed salą porodową.

Nagle zadzwonił telefon.

- Mam złe wiadomości, Lauro - odezwał się Marshall z przydrożnej budki telefonicznej. - Czy on już zadzwonił?

- Nie, jeszcze nie.

- W takim razie jest już po wszystkim. Rhodes właśnie zwołał konferencję prasową oraz przyjęcie mające się odbyć dzisiaj po południu. No cóż, jeśli Toivo zadzwoni, to powiedz mu, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

Laura z niepokojem odłożyła słuchawkę. Właśnie miała zamiar wyjść na balkon dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, kiedy ponownie odezwał się telefon. Pospiesznie podniosła słuchawkę.

- Słucham? - zapytała zdyszana.

- Halo! - odpowiedział odległy głos. - Tu mówi Karvonen. Czy to właściwy numer?

- Tak, panie profesorze. Jestem koleżanką Marshalla.

- To cudownie. Proszę mu powiedzieć, że wszystko zostało załatwione.

- Nie rozumiem, proszę pana - odrzekła Laura. - Marshall właśnie zadzwonił przed chwilą, żeby mi powiedzieć, że Rhodes zwołał konferencję prasową na dzisiejsze popołudnie.

- Wiem o tym, wiem - odpowiedział przyjaźnie starszy człowiek. - Rozmawialiśmy właśnie z Paulem na ten temat przez telefon. - Odczekał ułamek sekundy i ciągnął dalej: - Moja własna konferencja prasowa odbyła się godzinę temu.

- Co takiego?

- Tak. I proszę przekazać pani dzielnemu koledze, że zdołałem zebrać dosyć silną grupę prasową i ogłosić tę wiadomość o dwunastej w południe u nas w Helsinkach. To znaczy, o piątej rano u was w Waszyngtonie. Zgodnie z memorandum mojej sekretarki byli obecni przedstawiciele radia i telewizji, jak również "New York Times". Nawet Tass i Chińska Agencja Prasowa wysłały tu swoich korespondentów.

- To wręcz niesamowite. Nie mogę uwierzyć własnym uszom - odpowiedziała z podnieceniem Laura. - Jak udało się panu zebrać tylu ludzi w tak krótkim czasie?

- Panno... przepraszam, ale nie znam pani nazwiska...

- Nazywam się Laura Castellano, proszę pana. A właściwie jestem doktor Castellano.

- No cóż, pani doktor. Widać, że nie jest pani obeznana ze światem prasy medycznej. Niech pani zgadnie, jakież to magiczne słowo natychmiast przyciągnie każdego dziennikarza?

- Bo ja wiem? Bezpłatny alkohol? - zażartowała nieśmiało.

- Nie, moja droga pani-rak. To najsilniej przyciągająca karta na całej planecie.

Przez chwilę zaskoczył ją ten nieoczekiwany cynizm. Sposób, w jaki Marshall opisywał jej profesora, sprawił, że wyobrażała sobie tego Fina jako kogoś w rodzaju dobrotliwego świętego Mikołaja w białym laboratoryjnym fartuchu. To ją jednak otrzeźwiło, i to prędko.

- Proszę pana, czy doktor Rhodes wie już o tym?

- Oczywiście - odpowiedział. - Byłem z nim absolutnie szczerzy i otwarty. Zadzwoiłem do niego do domu. Było mi przykro, że musiałem go obudzić, ale sądzę, że ostatecznie był mi wdzięczny za to, że go powiadomiłem o swoich zamiarach. W Waszyngtonie jednak wtedy zaledwie dniało, więc musiał się z tym pogodzić. W każdym razie, niech pani uściska ode mnie swego dzielnego młodego człowieka.
Hyvästi.

Tego samego dnia, o czwartej po południu, ponad stu najbardziej dystyngowanych członków instytutu, w towarzystwie olbrzymiego plutonu reporterów i fotografów, zebrało się w głównej sali przyjęć, aby wysłuchać naczelnego dyrektora, ubranego elegancko w swój odświętny garnitur "do publicznych występów". Miał powiadomić świat (a raczej powtórzyć mu) o potencjalnych możliwościach odkrycia Rhodessa i Karvonena. Wszyscy zebrani wypili toast za zdrowie obu naukowców oraz za ich globalnego pacjenta - Cierpiącą Ludzkość.

Pokrzepiwszy się wyśmienitym szampanem, Marshall przedostał się do podium, ucałował i pogratulował pani Rhodes, po czym serdecznie uścisnął rękę swego szefa.

- To rzeczywiście wielki dzień, Paul - powiedział z entuzjazmem. Po czym bez dostrzegalnej (jak sądził) ironii uzupełnił: - Dla nas wszystkich.

- Dziękuję ci, Marshall - powiedział rozpromieniony Rhodes. A potem dodał ściszym głosem: - Czy mógłbyś wpaść do mnie do biura o szóstej?

- Oczywiście - odpowiedział wesoło Marshall i poszedł poszukać Laury.

Znalazł ją w otoczeniu grupy reporterów, wypytyjących ją o to, co sądziła na temat odkrycia.

Mój Boże! - pomyślał z rozbawieniem. Zapraszanie Laury na konferencje prasowe związane jest z pewnym ryzykiem.

Rhodes czekał już na niego, oparty o swoje mahoniowe biurko. Marshall wszedł do gabinetu i zajął swoje zwyczajne miejsce. Dyrektor stał w milczeniu, wpatrując się w niego, tak jakby był przygwożdżonym szpilką motylem.

W końcu odezwał się. Jednym słowem.

- Dlaczego?

- Nie rozumiem, Paul?

- Nie pieprz, Jaffe. To ty musiałeś mu o tym powiedzieć. Istniała tylko jedna odbitka korektorska tego artykułu i wczoraj wieczorem leżała tu u mnie na biurku. A tak nawiasem mówiąc, czy Toivo ma ciebie na swojej liście płac?

Marshall nawet nie zaszczylił tej insynuacji odpowiedzią.

Rhodes pokręcił głową z niedowierzaniem. - Na Boga, nie mogę pojąć, dlaczego taki superambitny sukinsyn jak ty miałby coś takiego zrobić.

- Prawdę rzekłszy, sam tego nie rozumiem - przyznał Marshall. - Nazwij to zboczeniem, swojego rodzaju spazmem uczciwości. Sam pracowałem nad tym projektem i wiem, jak wielki był w nim wkład Toivo.

Rhodes przybrał wyraz wymuszonego współczucia.

- Nie mogę uwierzyć, że facet z mózgiem takim jak twój nie zorientował się jeszcze, jakie są reguły tej gry. W czasie mojej pracy habilitacyjnej w Cal Tech moi szefowie opublikowali dwa moje projekty, nie wymieniając nawet mojego nazwiska. To cena, którą się płaci za prawo zostania czeladnikiem.

- Daj spokój, Paul. Trudno uważać Karvonena za czeladnika. A poza tym on najwidoczniej miał więcej skrupułów od ciebie. Przykro mi, że tak cię zawiodłem swoim zachowaniem. Czy mogę już odejść?

- Kiedy ci każe, Jaffe - syknął ostro dyrektor. - Nie chciałbym, żebyś stąd wyszedł w przekonaniu, że osiągnąłeś coś szlachetnego. Naturalnie artykuł zostanie opublikowany z uwzględnieniem wszystkich nazwisk twoich serdecznych kumpli z Helsinek. - Przerwał na chwilę, rozkoszując się swoją kolejną rewelacją. - Pomyślałem sobie jednak, że może dobrze, żebyś wiedział, że już dostałem na to patent.

- Co takiego?

- Honor to tylko jedna strona tej sprawy, mój chłopcze. Nie można jednak siedzieć i spoczywać na laurach. O wiele wygodniej odpoczywa się na honorariach autorskich. Pozwól też, że ci powiem, że od trzech godzin urywa mi się telefon. Wszystkie wielkie koncerny farmaceutyczne, począwszy od Szwajcarii aż po Japonię,

zapropowały mi takie umowy, że na ich widok te twoje kręcone włoski stanęłyby ci na głowie jak elektryczne druty.

Marshall wzruszył ramionami. O cholera - pomyślał. I tak się mu udało oszukać Karvonena. I tyle był wart mój altruizm. Popatrzył na Rhodesa.

- A teraz, czy mogę już wyjść, *Herr Direktor*?

- Wyjść? Mój drogi Jaffe! Do jutra rana zostanie pan już stąd wylany. Niech pan zatem uporządkuje swój gabinet i zabierze stamtąd wyłącznie przedmioty należące do pana. Poprosiłem kapitana Stevensa ze służby bezpieczeństwa, żeby panu pomógł oddzielić je od tego, co jest własnością Wuja Sama. Dzisiaj od północy nie wpuszczą tu bowiem pana nawet w charakterze turysty. Dobranoc.

Dopiero kiedy się odwrócił do wyjścia, dotarło do Marshalla, jak ciężki wymierzono mu cios. To jednak nie było wszystko.

- Jaffe, jest mi rzeczywiście bardzo przykro ze względu na twoją żonę. Powinieneś o tym pomyśleć.

- Zachowaj to dla siebie, Paul. Claire nie potrzebuje twojej litości. Być może utraciła zdrowie, ale nadal ma swoje zasady. A zatem w imieniu mojej rodziny chciałbym ci powiedzieć, żebyś sobie poszedł do diabła.

- A także w imieniu doktor Castellano, jak sądzę? Marshall był wściekły.

- Laura nie miała z tym nic wspólnego, Paul. Ją także chcesz ukarać?

- A dlaczego nie? Przez czysty przypadek odkryłem, że zadzwoniła dziś rano, zgłaszając, że jest chora. Ponieważ dziś wieczorem wyglądała jeszcze bardziej promiennie niż zwykle, mogę spokojnie przyjąć, że była twoim współnikiem w tej zdradzie. Niestety, w tej chwili jest dla tej instytucji tym samym, czym "Srebrna Dama" była swojego czasu dla Rolls Royce'a. Nic się jednak nie martw. Jakoś sobie poradzę.

Laura czekała na niego w pustej już teraz sali zebrań. Usiedli obok siebie pośród brzęku szkła wnoszonego przez sprzątającą obsługę. Dotknęła lekko jego ramienia.

- Wiem, jak się teraz czujesz, Marshall. Czuję się winna, że namówiłam cię do tego, żebyś zadzwonił do Toivo. Nigdy nie przypuszczałam, że Rhodes posunie się tak daleko. Przysięgam ci jednak, że staniesz na nogi.

- Dzięki - powiedział, uśmiechając się smutno. - Pomożesz mi się spakować?

Skinęła głową i razem udali się do jego laboratorium.

Kapitan Clyde Stevens siedział z boku i palił spokojnie, patrząc, jak obydwójce przekopywali biuro Marshalla, szukając tego, czego nie należało oddać Cezarowi.

Co jakiś czas Marshall machał mu przed oczyma jakimś papierem. - To jest spis moich gier z różnymi członkami instytutu, wykaz forsy, którą wygrałem. Czy to też stanowi sekret państwowy?

Kapitan, szczerze zmartwiony odejściem młodego naukowca, nie rozumiał, co się stało, i czuł się dotknięty powierzonym mu zadaniem.

- Do diabła, doktorze Jaffe - żalił się. - Niech się pan ze mną tak nie bawi. Mnie to nic nie obchodzi, nawet gdyby pan zabrał cały papier toaletowy z łazienki.

- To niezły pomysł - zauważyła Laura, usiłując rozładować napięcie odrobiną humoru.

- O nie, nie - odpowiedział Marshall. - Pozbawilibyśmy przez to czcigodnego doktora Rhodesa materiału do pisania artykułów.

Kapitan Stevens usiłował powstrzymać się od uśmiechu. Marshall chwycił swój notatnik z adresami i zastanawiał się przez chwilę, czy nie powiedzieć kapitanowi, żeby wymazał telefony, które uważał za tajne. Potem jednak przyszło mu coś innego do głowy.

- Słuchaj, Lauro - powiedział. - To moja ostatnia szansa, żeby wykonać telefon za rządowe pieniądze. Może powinienem przygotować Karvonena na ten szok.

Przytaknęła głową. - To niezły pomysł.

Odwrócił się do Stevensa i wyjaśnił: - Kapitanie, daję panu słowo honoru, że jest to sprawa państwowa.

Oficer machnął ręką na zgodę.

W Helsinkach był dopiero wczesny poranek. Marshall prawdopodobnie obudził Karvonena swoim telefonem.

- Marshall, zapewniam cię, że już dawno nie spałem - zaprotestował wesoło Fin. - Jestem u siebie w gabinecie i właśnie robiłem pewne obliczenia. Przypuszczani, że dzwonisz, żeby mi powiedzieć, że zostałeś zwolniony. Mam jednak nadzieję, że wiesz, że zawsze będziesz mile widziany w moim instytucie. s

Marshall wzdrygnął się. - Obawiam się, że mam ci do zakomunikowania bardzo złe wiadomości, Toivo. Rhodes złożył podanie o patent już trzy miesiące temu. Sądzę, że go nie doceniliśmy.

Karvonen wybuchnął śmiechem.

- Toivo, czy nic ci się nie stało?

- Nie, mój chłopcze. Czuję się świetnie - odpowiedział serdecznie. - Zarejestrowałem ten patent już sześć miesięcy temu. Te rzeczy trochę trwają, więc Rhodes jeszcze się nie dowiedział, że go z tym uprzedziłem.

Marshalla zamurowało. A potem zakipiał z wściekłości.

- Toivo - zapytał, usiłując się pohamować - czy to znaczy, że oszukałeś Rhodesa, zanim jeszcze nadstawiłem za ciebie karku, ostrzegając cię?

- Owszem, mój drogi przyjacielu. Nie oznacza to jednak wcale, że nie jestem ci za to wdzięczny. Wiesz teraz przynajmniej, na czym polega ten świat. Pies pożera psa. A naukowcy wbijają sobie nawzajem noże w plecy. Bądź w kontakcie. *Hyvästi*.

Dla Laury było to zupełnie nowe doświadczenie. Chociaż przeżywała ciężkie chwile, miała dziwne poczucie wewnętrznego spełnienia dzięki temu, że mogła z Marshalllem dzielić jego nieszczęścia. Przez całą noc trzymała go w ramionach.

Następnego ranka obudzili się wcześniej, wypili kawę i rozeszli się - ona poszła do laboratorium, a on do swojej rodziny.

Przyjazny strażnik pomachał jej ręką, kiedy przejeżdżała przez bramę. Zaparkowała- samochód i przeszła przez dziedziniec. Spojrzała w okno Marshalla. Nawet z daleka wydawało się puste i ogołocone.

Spędziła godzinę na neonatologicznym oddziale intensywnej terapii, gdzie tego dnia na szczęście trzymano tylko trójkę chorych wcześniaków, których łączna waga prawdopodobnie nie przekraczała nawet trzech i pół kilograma. Podtrzymywała ich za to przy życiu prawie siedmiotonowa aparatura. Czasami zastanawiała się, czy dzieci nie czuły się nią przytłoczone - tak jak ona.

Wróciwszy do siebie do laboratorium, nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o Marshallu.

Zadzwoił telefon. Była to osobista sekretarka Rhodesa. Czy doktor Castellano mogłaby dziś wpaść do biura dyrektora, powiedzmy, o czwartej po południu?

Nie zdenerwowało jej to nawet. Wmówiła sobie, że chodzi prawdopodobnie o jakąś sprawę administracyjną, jak na przykład, odnowienie jej kontraktu.

Zjawiała się trzy minuty przed czasem i recepcjonistka od razu wpuściła ją do gabinetu dyrektora.

- Dzień dobry, doktor Castellano - odezwał się Rhodes po ojcowsku. - Proszę, niech pani siada.

Od razu zauważyła, że nie zwracał się do niej po imieniu.

- Przypuszczam, że domyśla się pani, dlaczego panią tu poprosiłem?

- Sądzę, że ma to jakiś związek z moim podaniem - odpowiedziała spokojnie.

- Poniekąd.

Rhodes potarł dłonią czoło dla zademonstrowania swojego zakłopotania.

- Doktor Castellano, nie wiem doprawdy, jak pani o tym powiedzieć.

Przyzwyczailem się już - to znaczy, wszyscy zaczęliśmy już uważać, że zajmuje pani specjalne miejsce w naszej konstelacji...

- Niech pan wali prosto z mostu - odpowiedziała z największym spokojem, na jaki się mogła zdobyć. - Niech mi pan powie, co ja takiego złego zrobiłam?

- Złego? - zapytał Rhodes. - Nie użyłbym tu takiego terminu. Chodzi o to, że nie widzę możliwości odnowienia pani kontraktu na następne trzy lata.

- O!

- Naturalnie, nie ma w tym żadnych osobistych powodów. Jest to po prostu kwestia zbyt dużej liczby wysoko wykwalifikowanych kandydatów.

- Naturalnie.

- Jak pani zapewne wiadomo, w takich okolicznościach informujemy zazwyczaj młodszych członków instytutu na wiosnę ich ostatniego roku, aby mogli poczynić odpowiednie przygotowania - no wie pani, postarać się o zatrudnienie gdzieś indziej. Jestem przekonany, że Dain Oliver będzie mógł pani coś zasugerować. Może pani liczyć na to, że nasza instytucja poprze panią bez zastrzeżeń. A poza tym, ma pani czas do końca lipca.

Laurze zabrakło słów. Miała wrażenie, że nieustanny łomot w skroniach rozsadzi jej mózg. Potrzebowała trochę czasu - choćby tylko pół minuty - na opanowanie się. Postanowiła bowiem, że się nie podda bez walki.

Tymczasem Rhodes chciał jeszcze wbić jej następną szpilkę.

- Bardzo mi przykro, że musiałem panią o tym zawiadomić. Bardzo tu wszyscy panią lubimy. Będzie nam pani brakowało na przyjęciach...

W końcu zdołała się na tyle zebrać w sobie, że była w stanie odeprzeć atak.

- Paul, nie masz prawa podejmować takiej decyzji jednostronnie. Jestem pewna, że nawet nie rozmawiałeś na ten temat z Dainem czy kimkolwiek z tej dziedziny. Zamierzam złożyć odwołanie do zarządu i mogę się założyć, że zostaniesz przegłosowany.

Nastąpiła cisza, którą Laura zinterpretowała jako punkt na własną korzyść. Paul podniósł się wolno z krzesła.

- Doktor Castellano, wyłóżmy zatem wszystkie karty na stół - powiedział tonem przypominającym cięcie sztyletu. - Oboje wiemy, o co tu chodzi. Dlaczegoż wobec tego nie mielibyśmy otwarcie na ten temat porozmawiać?

- W porządku. Szczera prawda jest zawsze orzeźwiająca. Dyrektor popatrzył na nią i zauważył z uśmiechem: - Lubi pani

Marshalla Jaffe'a, prawda? Powiedziałbym nawet, że bardzo go pani lubi. Czy nie mam racji?

- Nie muszę na to pytanie odpowiadać?

- Oczywiście, że nie. Zapewne pani na nim zależy. I nie chciałaby chyba pani zaszkodzić jego karierze?

- Jest jednym z najwybitniejszych mikrobiologów w całym kraju. Nie muszę się martwić o jego karierę.

- Owszem, powinna pani, doktor Castellano - odpowiedział protekcyjnym tonem Rhodes. - Nic mnie to nie obchodzi, że ta mała perfidna łasica jest taka zdolna. I tak przewyższam go rangą w naukowym świecie i potrafię zamknąć mu przed nosem wszystkie drzwi. Powtarzam, wszystkie drzwi w całej Ameryce. Jeśli zechcę, to mogę się postarać, żeby nie dostał nawet posady nauczyciela biologii w szkole podstawowej w Harlemie.

- Był pełnym profesorem w Stanford - odpowiedziała Laura. - Zaproponowali mu nawet, że podwoją jego pensję, kiedy poproszono go, żeby przyszedł tutaj. Z radością przyjmą go z powrotem.

- O, przypuszczam, że w normalnych warunkach miałyby pani rację. Jednakże Max Wingate, jego były kierownik, zawdzięcza mi coś, i to coś naprawdę wielkiego. Mimo całej sympatii, jaką darzy Marshalla, nie odważyłby mi się sprzeciwić.

- Sądzę, że pan blefuje - odpowiedziała.

- Chce pani, żebym do niego zaraz zadzwonił? Włączę głośnik, żeby pani słyszała na własne uszy, jak własna drużyna pani kochanka podstawia mu czarną gałkę. Wystarczy jedno moje słowo i wyleci na profesjonalny bruk na zawsze.

Nastąpiła cisza.

Na koniec spytała: - A cóż to ma wspólnego ze mną?

- Absolutnie wszystko, doktor Castellano - odpowiedział z cieniem dzikiej rozkoszy. - Trzyma pani los tej gnidy w swoich ślicznych malutkich rączkach. Jeśli nie złoży mi pani swojej rezygnacji, Marshall Jaffe może stracić życie.

- To trochę melodramatyczne, nie uważa pan? - spytała.

- Nie sądzę. Oboje wiemy, że jego kariera jest dla niego życiem. I mogę mu je odebrać jednym telefonem. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Zastanowię się nad tym - odparła lekceważąco Laura.

- Przykro mi, Lauro. Chcę, żebyś mi już teraz dała odpowiedź. A potem, jeśli o mnie chodzi, możecie razem spać albo iść razem do diabła.

Laura nigdy jeszcze nie spotkała się z tak brutalnym werbalnym atakiem. Popatrzyła z nienawiścią na Rhodesa i wyrzuciła z siebie:

- Ty obleśny lajdaku!

- Nie obchodzi mnie, co sobie o mnie myślisz - odpowiedział zadowolony z siebie - pod warunkiem, że twój list odwołujący podanie o przedłużenie kontraktu znajdzie się u mnie na biurku za pół godziny. I ani minuty później.

Usiadła u siebie w laboratorium, usiłując znieczulić się w takim stopniu, aby móc podpisać dokument, który z takim trudem napisała. Czy miała jednak odwagę wystawić na próbę pogróżki Paula?

Zadzwonił telefon.

- Cześć, kochanie - odezwał się Marshall.

- Jak ci leci? - zapytała, siląc się na wesołość.

- Znasz mnie - zażartował. - Jestem jak kot, zawsze spadam na cztery łapy. Wydaje mi się, że dostanę z powrotem moją posiadłość w Stanford. Max Wingate zwołał specjalne zebranie departamentu. Prawdopodobnie w tej chwili zapada decyzja. I tyle wart jest ten kolos z Rodos.

Laura śmiertelnie się przerażyła. Popatrzyła na zegarek - za dziesięć piąta.

- Marsh, chodźmy dzisiaj razem na kolację. Muszę jeszcze tylko coś szybko dokończyć.

- Dobrze, kochanie. Może umówilibyśmy się około szóstej przy pomniku Jeffersona.

- A dlaczego akurat tam?

- Lubię patrzeć na te jego wielkie słowa wyryte na tych potężnych marmurowych tablicach. Pokrzepiają moją duszę, kiedy rzeczywiście mam już wszystkiego dosyć.

Ja mogłabym to zrobić o wiele lepiej - pomyślała sobie Laura. A potem powiedziała głośno: - Dobrze, przyjdę tam, Marshall. Tylko się uspokój.

Miał poważną, skupioną minę.

Podeszła pod wielki, pokryty kopułą, marmurowy pomnik i zobaczyła tam Marshalla wpatrzonemu w wymowne cytaty Jeffersona. Pocałował ją na przywitanie.

- Teraz rozumiem, dlaczego przebywanie w tym miejscu podnosi cię na duchu. Czy już się lepiej czujesz?

- To jest już oficjalna wiadomość - ogłosił z radością. - Dostałem z powrotem moją posiadłość w Stanford. Zachowali się rzeczywiście bardzo wspaniałomyślnie.

- O! - wykrzyknęła i pomyślała sobie jednocześnie: A zatem Paul dotrzymał słowa. - Kiedy tam jedziesz?

- No cóż, Max twierdzi, że mogę się wprowadzić do mego starego laboratorium, kiedy tylko będę sobie życzył. Sądzę jednak, że powinienem poczekać, aż dzieci skończą semestr w szkole. Nie chcę jeszcze bardziej komplikować im życia. I bez tego mają sporo na głowie.

- No cóż - stwierdziła. - Przypuszczam, że zdołamy się w tym czasie do tego przyzwycząić.

- Nie, Lauro, chcę, żebyś pojechała ze mną do Kalifornii.

Przez chwilę ją to zaskoczyło. A potem zmieszało. Czyżby miał zamiar porzucić dla niej swoją rodzinę?

- Jesteś pewien?

- Absolutnie.

Ogarnęła ją taka nadzieja, że nieomal poczuła wyrzuty sumienia. Dla rozproszenia wątpliwości spytała:

- Jako kto?

- Jak to, jako kto? Nie ma co do tego wątpliwości. Zostaniesz pełnym profesorem.

- Nie rozumiem.

- Zapewniam cię. Stanford, Berkeley, San Francisco - wszędzie będą się bili, żeby cię zatrudnić. Uwierz mi, mam wpływy w Kalifornii.

Powoli zaczęło to wreszcie do niej docierać. - Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że poza moim akademickim awansem układy między nami pozostaną bez zmian?

- Naturalnie. Będziemy prawie małżeństwem.

- Tylko że Claire pozostanie nadal panią Jaffe, a ja będę czymś w rodzaju drugiego samochodu.

- Nie - protestował.

- Przecież o to właśnie prosisz, nieprawdaż? Chcesz, żebym rzuciła wszystko, co zdołałam w Waszyngtonie osiągnąć, i została twoją gejszą.

- Myślałem, że mnie kochasz, Lauro.

- Ja też tak myślałam, Marshall. Ale ponieważ nie jesteś ani mormonem, ani muzułmaninem, nie masz prawa do więcej niż jednej żony, a ja nie zamierzam zadowolić się połową męża.

- Na litość boską, Lauro, czy nie możesz zrozumieć moich zobowiązań? Moje dzieci już i tak mają popieprzone życie. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mogłoby się stać z ich osobowościami, gdybym się rozwiódł z ich matką? Jestem może łajdakiem, ale Bóg mi świadkiem, że nie aż takim.

Nie wiedziała, jak na to zareagować. Rozpaczliwie pragnęła “zalegalizowania” ich związku, z drugiej jednak strony rozumiała jego dylemat. A nawet mimo woli szanowała jego odmowę dalszego ranienia i tak już pokrzywdzonej rodziny.

- Nie wiem, Marshall - zaczęła.

- A może nadal jesteś tak olśniona blaskiem Waszyngtonu, że nie chcesz skazywać się na wygnanie do prowincjonalnej Kalifornii?

- Do diabła, mam chyba prawo do własnej kariery! - odpowiedziała z oburzeniem.

- A w jaki sposób miałoby to, do cholery, zaszkodzić twojej karierze? Berkeley to nie taka znowu dzicz. Gdybyś śledziła sytuację akademicką, to może wiedziałabyś o tym, że większość tamtejszych departamentów przewyższa poziomem Harvard.

- To nie o to mi chodzi - zaprotestowała, nie chcąc przyznać się do tego, że częściowo miał rację. A potem dodała cicho: - Posłuchaj, któregoś dnia obudzę się rano i zorientuję się nagle, że jest już za późno. Może po prostu chciałabym mieć dziecko, zanim to nastąpi. Popatrz w końcu na filozofię swego bohatera.

Wskazała na wysoką, majestatyczną płytę z wyrytymi na niej słynnymi, “niezaprzeczalnymi” prawami człowieka - do życia, wolności i dążenia do szczęścia.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział cicho: - Lauro, prosisz o zbyt wiele. To niesprawiedliwe.

- niesprawiedliwe? Ty mi mówisz o niesprawiedliwości? - Tak ją to rozwścieczyło, że nieomal powiedziała mu o układzie, jaki zawarła z Rhodesem. Jakoś nie miało to już jednak większego znaczenia.

- Lauro, czy sądzisz, że mnie podobają się karty, które rozdało mi życie? Czy nie sądzisz, że zmieniłbym to wszystko, gdybym tylko mógł? Czy nie możesz choć trochę wyjść mi naprzeciw?

- Na przykład w Chicago? - zażartowała gorzko.

Przez chwilę stali i patrzyli sobie w oczy. Mauzoleum było puste. Panowała w nim tak przejmująca cisza, że mieli wrażenie, jakby ich oddechy odbijały się echem pod kopułą.

- No cóż - mówiła zmęczonym głosem - z naukowego punktu widzenia powiedziałabym, że nasze stosunki określa w tej chwili najlepiej drugie prawo termodynamiki - to znaczy, nastąpiła kompletna utrata energii. Inaczej mówiąc, rozumiem teraz, że musisz pozostać z Claire. Wiem jednak także, że ja muszę się trzymać od ciebie z daleka. Do widzenia, Marshall! Odwróciła się i odeszła. Zawołał za nią:

- Lauro, proszę cię, czy jesteś pewna, że nie moglibyśmy jakoś...

W chwilę później znalazła się poza zasięgiem jego głosu. Schodziła w dół, po niezliczonych schodach pomnika w mrok nocy.

A także w otchłań rozpaczy, jakiej jeszcze nigdy nie знаła.

Mimo że była z siebie dumna, czuła się taka nieszczęśliwa. Popadła w depresję i myślała o samobójstwie. Cieszyła się jednak, że nie załamała się i nie rozplakała przy Marshallu. Ze wszystkich sił powstrzymywała się, aby nie zadzwonić do Barniego w godzinach pracy. Wiedziała, że przychodził do domu dopiero około ósmej. Postanowiła więc zadzwonić trochę później.

A jeśli będzie umówiony na jakieś spotkanie? Nawet jeśli wróci do północy, nie będzie chciał, żeby mu przeszkadzać. O cholera, ja chyba zwariuję!

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Castellano, co się, u diabła, z tobą dzieje?

Nawet jeśli kiedyś powątpiewała w istnienie telepatii, teraz uwierzyła w nią bez zastrzeżeń.

- Cześć, Barney - odpowiedziała głosem, który w najmniejszym stopniu nie maskował jej stanu.

- Nie przeszkadzam ci chyba w niczym, co? Nie chciałbym krępować tego tenisowego barana. Czy on kazał ci mnie bojkotować, czy co? Nie dzwoniłaś do mnie od tygodni. Czy wszystko w porządku?

- Tak, w porządku - odparła machinalnie.

- Słuchaj, dziecino, twój entuzjazm jest wręcz druzgoczący. Co się stało?

- Nic się nie stało. - Nie potrafiąc przyznać się do swego stanu, powiedziała wymijająco: - Można by rzec, że wszystko się zawaliło.

Zamilkła na chwilę, a potem spytała: - Właśnie pomyślałam sobie, żeby cię zapytać, czy jesteś sam.

- Tak. A przynajmniej obecnie. Za chwilę będzie tu Ursula.

- Kim jest ta Ursula?

- Powinnaś ją poznać, Castellano. To holenderski dar dla naszej kardiologii. A w szczególności dla mego serca. Być może dzisiejsze spotkanie zadecyduje o złotym medalu w matrymonialnej olimpiadzie Livingstona.

- A zatem najlepiej będzie, jak się wyłączę - odpowiedziała Laura jeszcze bardziej ołowianym głosem.

- Och, daj spokój, Castellano. Powiedz, w czym problem?

- Siedzisz? - zapytała.

- A dlaczego pytasz? Tak mnie to zaszokuje?

- Nie, ale może to trochę trwać.

Przeszedł z telefonem do wygodnego fotela i powiedział cicho:

- Lauro, mów tak długo, jak zechcesz. Pamiętaj, że jestem zawodowym słuchaczem. No, opowiadaj.

W tym momencie pękła w niej emocjonalna tama. Przerwał jej po prawie czterdziestu minutach. - Słuchaj, Castellano. Muszę się spieszyć na lotnisko.

- Ach, tak, oczywiście - odpowiedziała przepraszająco. - Masz przecież to spotkanie z Ursulą.

- Mylisz się, ona mieszka dwie przecznice stąd. Chcę złapać ostatnie połączenie do Waszyngtonu.

- Och nie, Barney. Proszę, nie rób tego. Nic mi nie jest, naprawdę.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję. Lepiej czekaj tam na mnie po drugiej stronie. Tymczasem nic nie pij. Nie zażywaj żadnych tabletek. Nawet nie prowadź samochodu. Weź jakiegoś przyjaznego taksówkarza i czekaj tam na mnie. I przynieś ze sobą czerwoną różę, żebyś mógł rozpoznać.

- A co z twoimi pacjentami? - spytała na poły strofującym tonem.

- Słuchaj, dziecino, czy nie wiesz, jaki dziś dzień? Jutro jest sobota. Kanapka jest nieczynna w weekendy. A zatem, czy chcesz, czy nie, jadę do ciebie.

Mimo że w głębi serca bardzo tego pragnęła, to jednak zaprotestowała słabo: -
A co z Ursulą?

- Nie ma sprawy. Wyjaśnię jej to. Jest już przyzwyczajona do moich dziwactw. Zrozumie to. Czekał na mnie - rozkazał.

Pakował swoje rzeczy do podręcznej torby, kiedy doktor Ursulą de Groot weszła do mieszkania.

- Czy gdzieś uciekasz?

- Słuchaj, usiądź na sekundę. Mam niewiele czasu, żeby ci opowiedzieć bardzo długą historię.

Robił, co mógł, żeby ją przekonać o nagłej wadze swojej miłosiernej misji. Jednakże rudowłosa pani kardiolog nie mogła tego jakoś zrozumieć.

- Nienawidzę tej Laury - stwierdziła z rozgoryczeniem.

- Dlaczego? - zapytał Barney, pospiesznie zatrzasnął zamek walizki.

- Czyż to nie jest oczywiste? - odpowiedziała, oddając mu klucz do jego mieszkania. - Proszę, weź to sobie. Wydaje mi się, że pannie Castellano będzie on bardziej potrzebny.

Rozdział XLVII

W ciągu następnych dwóch godzin Laura prawie przestała oddychać. A przynajmniej takie miała wrażenie. Tylko nadzieja zobaczenia się z Barniem podtrzymywała ją na duchu.

Czekała już na niego w sali przylotów, kiedy z podniesionym kołnierzem marynarki dla ochrony przed zimnym wiatrem schodził pospiesznie z płyty lotniska. Na sam jej widok poczuł ból w piersiach. Była biała jak papier i tak zrezygnowana, jakby wypaliła resztki swojej energii.

- Cześć! Dzięki za to, że przyjechałaś - powiedział, obejmując ją.

- To chyba ja powinnam to powiedzieć - zauważyła cicho.

- No dobrze. Niech ci będzie. Gdzie jemy kolację?

- O jedenastej w nocy? - spytała.

- Mogę się założyć, że nic nie jadłaś. Pokręciła głową. - Nie byłam głodna.

- Możesz sobie cierpieć na jadłowstręt, jak mnie tu nie ma. Oświadczam ci jednak, że umieram z głodu. Jeśli nie najem się zaraz jakiegoś makaronu, padnę z wyczerpania.

Stanęli przy krawężniku. Podjechała taksówka i Laura wsiadła do środka. Barney zapytał kierowcę: - Czy zna pan jakąś dobrą włoską restaurację po drodze do Mason-Dixon?

- Ludzie często mnie proszą, żeby ich zabrać do Don Pasquale w Georgetown.

- No, to niech pan nas też tam zawiezie. Wsiadł do taksówki i ruszyli z miejsca.

- Bardzo mi przykro, *signore*, ale nie mamy tu rezerwacji dla państwa Yehudi i Hepzibah Menuhin.

- No cóż, nam również bardzo przykro - odpowiedział Barney, udając artystyczny temperament. - Nasz impresario zapewnił nas, że wszystko zostało zaaranżowane. Czy rzeczywiście nie mógłby pan znaleźć jakiegoś małego stolika gdzieś w kącie?

- *Mi dispiace, signore*. Nawet gdyby mi się to udało, to i tak nie jesteście państwo właściwie ubrani.

Ani przez minutę nie dał się nabrać, że miał do czynienia ze słynnym skrzypkiem i jego siostrą. Tak czy owak, Pasquale musiał dbać tak samo o swoją gastronomiczną, jak i krawiecką reputację.

- Słuchaj pan, kapitanie - odpowiedział Barney. - Powiem panu prawdę. Jestem lekarzem, a ta kobieta jest w stanie węglowodanowego szoku. Jeśli jej szybko nie podamy przynajmniej *fettuccinee*, może mi tu zemrzeć na miejscu. A to z pewnością nie byłoby dobrą reklamą dla pańskiego interesu.

Kapitan, mając już dosyć tego debatowania, miał właśnie zamiar zawołać Rocco, barmana i zarazem wykidajkę. Na szczęście przyszedł im z pomocą jeden z elegancko ubranych biesiadników - wysoki, siwowłosy mężczyzna, który zauważył to ożywione *recitativo*.

- O co chodzi, Pasquale? - zapytał i szybko się odwrócił, żeby przywitać się z Laurą. - Miło mi panią widzieć, doktor Castellano.

- Mnie również, senatorze Otis. To mój przyjaciel, doktor Barney Livingston.

- Dobry wieczór, doktorze. Czy chcielibyście się państwo do nas przyłączyć na drinka? - zaproponował prawodawca.

- Właściwie mieliśmy właśnie wychodzić. Zdaje się, że nie mają tu dla nas stolika.

Senator zmarszczył czoło i spojrzał na Pasquale'a.

- Czy jest pan pewny, *padrone*? Doktor Castellano jest bardzo ważną osobistością w Instytucie Zdrowia. Prawdopodobnie została nagle wezwana do pacjenta i nie zdążyła się przebrać. Jestem przekonany, że mógłby pan wyjątkowo w tym wypadku pominąć przepisy.

Nie chcąc narażać się na dezaprobatę kongresmana, Pasquale wycofał swe weto i wymamrotał: - Mamy tu zamówiony jeden stolik na dwie osoby i zdaje się, że klienci są spóźnieni. Państwo pozwolą.

Laura uśmiechnęła się z wdzięcznością do Otisa, który raz jeszcze powtórzył: - Nadal zapraszam do przyłączenia się do mnie i Amandy, choćby tylko na kawę.

- Może innym razem, panie senatorze - odpowiedziała Laura. - Mamy z doktorem Livingstonem do omówienia coś bardzo ważnego. Jestem jednak panu bardzo wdzięczna za pomoc.

- Nie ma za co, Lauro. Jeśli tylko mógłbym pani w czymś pomóc, to proszę zadzwonić do mnie do biura.

Kiedy zaprowadzono ich do znakomicie usytuowanego stolika, Barney rzucił okiem w kierunku senatora i stwierdził:

- O rany, ale ten facet ma piękną córkę.

- To nie jest jego córka - odpowiedziała rzeczowo Laura.

- To jego żona?

- Zgaduj jeszcze raz, Livingston.

- Czy to jedna z tych dodatkowych korzyści wynikających z faktu bycia senatorem?

Laura potwierdziła skinieniem głowy. - Mówiłam ci już przecież, że stosunek kobiet do mężczyzn w tym mieście ma się jak pięć do jednego. Wyobraź sobie zatem tutejsze możliwości.

- Ach! - westchnął Barney. - Każdy facet może tu mieć swoją własną damską drużynę koszykarską.

Zamówiwszy *fettuccine* i ogromną, owiniętą w plecioną słomę *fiasco* Chianti Ruffino, Barney zajął się poważniejszymi problemami swojej przygnębionej przyjaciółki.

Kazał jej powtórzyć wszystkie szczegóły zajścia pomiędzy Rhodesem a Karvonem, robiąc nawet od czasu do czasu notatki, które jak ją zapewniał, z pewnością okażą się użyteczne w jego obecnej pracy nad mentalnością lekarzy. Od tego punktu pozostał mu już tylko niewielki krok do kwestii Marshalla Jaffe'a.

- Wiem, że zabrzmiało to trochę protekcyjnie i pouczająco, Castellano, ale mówiłem ci o tym już z milion razy. Każdy człowiek zasługuje na pełną uwagę drugiego człowieka. Miłość nie jest zajęciem na pół etatu.

- Nieźle powiedziane. Powinieneś zamieścić to w swojej książce - odpowiedziała.

- Już to zrobiłem - uśmiechnął się. - Ale to dobry cytat. Kiedy ty, u diabła, uwierzysz, że jesteś cudowną osobą, która zasługuje na szczęśliwe małżeństwo i wspaniałe dzieci?

- Nie będę miała dzieci. Nie wierzę w instytucję małżeństwa. Nawet nie wierzę już w miłość.

- Bzdury, Castellano. Nie wierzę, że ty w to nie wierzysz. Wiesz, Hipokrates powiedział kiedyś...

- Pierdolę Hipokratesa. On nie musiał mieszkać w Waszyngtonie.

- Na dobrą sprawę ty również nie musisz. Pomyślałaś już o tym, co będziesz robić od końca lipca?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie wiem. Co pewien czas pisuje do mnie jakaś szkoła medyczna, żeby sprawdzić, czy byłabym zainteresowana. Kolumbia zwróciła się do mnie z propozycją

prowadzenia programu neonatologicznego. Z tego, co ostatnio słyszałam, jeszcze nikim nie wypełnili tej luki.

- To cudowne! - wykrzyknął. - Byłabyś zatem w Nowym Jorku.

- Aha - odpowiedziała ponuro. - W tym właśnie problem. To najgorsze miejsce na świecie dla samotnych.

- Jakżeż ty możesz tak mówić, Castellano? W końcu ja tam jestem, tak czy nie?

- Owszem. Ty masz jednak swoją Ursulę. Nie potrzebujesz mnie koło siebie. Sama myśl o zaczynaniu wszystkiego od początku w nowym miejscu przeraża mnie. Mam w tej chwili zbyt wiele problemów na głowie, żeby się zastanawiać nad przyszłym tygodniem, a co dopiero nad przyszłym rokiem.

- Mogę to sobie wyobrazić - stwierdził cicho. - Masz pewno ochotę wejść prosto do morza, niczym Virginia Woolf, Czy nie mam racji?

- Mniej więcej. Czuję się jak zranione zwierzę, które powinno się zabrać do weterynarza i uśpić.

- Szkoda. Świat utraciłby przez to dobrego lekarza. - Przerwał na chwilę, po czym dodał cicho: - A ja utraciłbym moją najlepszą koleżankę.

Słyszając to, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie zrobiłabyś mi chyba tego, Castellano?

Nic nie odpowiedziała. W głębi duszy przyznała jednak, że był nadal jednym z tych niewielu ludzi, dla których warto było żyć.

- Jak Boga kocham, Lauro, musisz się nauczyć być szczęśliwą, nawet jeśli musiałabyś w tym celu pobierać lekcje. Nie wiem, czy ty to też zauważyłaś, ale ja czuję już czterdziestkę na karku. Powinniśmy być teraz rodzicami w średnim wieku, martwiącymi się o aparaty ortodontyczne naszych dzieci i tym podobne rzeczy. Patrząc na tempo, w jakim upływa czas, mam wrażenie, że gram w jakiejś wyjątkowo ważnej rozgrywce koszykarskiej i tak pochłonęła mnie gra, że kiedy spojrzałem na zegarek, ze zdziwieniem zorientowałem się, że pozostało mi tylko trzydzieści sekund do końca.

Laura skinęła tylko głową.

Rozmawiali dalej, aż w końcu zostali sami w restauracji. Otaczał ich kordon kelnerów pochrząkujących grzecznie.

- Wygląda na to, że tutejszy personel cierpi masowo na zapalenie oskrzeli. Nie sądzi pani, doktor Castellano?

- Barney, jesteś zalany - zauważyła rzeczowo.

- Ty też! - odparował.
- To dlaczego stąd nie wyjdziemy?
- Ponieważ nie wiem, czy dam radę stanąć na nogach.

Z trudem zapakowali się do taksówki i ruszyli w kierunku Bethesdy.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko przespaniu się na Castro*? - wymamrotała niewyraźnie Laura, której poprawił się humor.

- Ależ skąd - odpowiedział. - Potraktuję spanie na wielkim Fidelu jako swego rodzaju hołd składany Luisowi.

Pół godziny później Laura otworzyła drzwi do mieszkania i spytała: - Masz ochotę na kawę, Barney?

- Prawdę rzekłszy - odpowiedział przeproszającym tonem - wytrzeźwiałem zupełnie w samochodzie, a ponieważ i tak będę jutro miał kaca...

Nie musiał kończyć zdania. Laura uśmiechnęła się, podeszła do lodówki i wyjęła butelkę, którą początkowo zamierzała wypić z Marshalllem. Usiedli naprzeciwko siebie i dalej wylewali swoje myśli.

- Barney, powiedziałeś dzisiaj wieczorem coś, co mnie zaniepokoiło. Coś na temat tego, że oboje jesteśmy nieszczęśliwi.

- Aha. Cóż w tym takiego dziwnego?

- To, że ja nie potrafię być szczęśliwa, nie jest dla mnie żadną nowością. Zawsze jednak myślałam, że przynajmniej ty byłeś w porządku. Podałeś się w końcu psychoanalizie i tak dalej.

- Psychoanaliza uświadamia tylko pewne sprawy. Nie oznacza to jednak wcale, że człowiek automatycznie przestaje się zachowywać w sposób samodestruktywny. Cały wieczór zastanawiałem się, Castellano, jaka to ironia, że oboje tyle osiągnęliśmy, a mimo to zapieprzyliśmy w prywatnym życiu. Czy sądzisz, że to wina fluorowanej wody w Brooklynie?

Siedzieli w milczeniu.

Czyżby wyczerpali tematy? Nie - pomyślał Barney.

- Najlepsze między nami było to, że zawsze mieliśmy sobie coś do powiedzenia.

Po chwili Laura odezwała się: - Wiesz co, Barney? Nie sądzę, żeby terapeuta mógł mi pomóc.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ to, co mi dolega, jest czymś w rodzaju nowotworu, którego nie da się zoperować. Jest już za bardzo rozsiany po moim poczuciu własnej wartości.

A potem przyznała się do czegoś, nad czym już długo rozmyślała.

- Może gdzieś tam, podświadomie, ja wcale nie lubię mężczyzn.

- Wiesz przecież, że to nieprawda - odpowiedział.

- Myślę tu o zaufaniu, Barney - wyjaśniła. - Właściwie nigdy nie byłam w stanie zaufać żadnemu mężczyźnie.

- Ale przecież mnie ufasz.

- To co innego - odpowiedziała prędko. Przez chwilę znowu zapanowała cisza.

A potem Barney rzucił cicho: - Ale dlaczego?

- Jak to dlaczego?

- Dlaczego, według ciebie, jestem inny od reszty mężczyzn? Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Nigdy właściwie o tym nie myślała. Nie, to nieprawda. Oczywiście, że myślała.

Na koniec odrzekła: - Nie wiem, Barney. Odkąd pamiętam, zawsze byłeś najważniejszą osobą w moim życiu.

- Nie odpowiedziałas mi na moje pytanie, Lauro. Dlaczego jestem inny od reszty mężczyzn?

Wzruszyła ramionami. - Sądzę, że pewno dlatego, że zawsze byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi.

Popatrzył na nią i zapytał cicho: - A to niewątpliwie wyklucza wszystko inne, co?

Milczała znowu, więc ciągnął dalej: - Czy możesz mi z ręką na sercu powiedzieć, że nigdy nie myślałaś o nas jako o prawdziwej parze? Bo ja przyznaję, że o tym myślałem. Zawsze odpędzałem od siebie te marzenia, ponieważ nie chciałem ryzykować utraty tego, co jest między nami...

Laura uśmiechnęła się z zażenowaniem, a potem odważyła się przyznać: - Naturalnie, że miewałam takie myśli. Całe życie tłumaczyłam światu, dlaczego jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, a nie - no wiesz - kochankami.

- Nie ty jedna. Lauro, ja już dłużej nie mogę tego robić.

- Co takiego?

Zadał jej zatem kolejne pytanie:

- Jak sądzisz, które z nas bardziej się boi?

* Castro - rodzaj rozkładanej kanapy.

Pytanie padło z lewego pola, odpowiedź jednak zawsze zajmowała centralne miejsce w jej myślach.

- Ja. Zawsze myślałam, że znasz mnie za dobrze, żebyś mnie polubił w ten sposób - odpowiedziała.

- Ależ, Lauro, ja ciebie lubię pod każdym względem! Kocham cię na wszystkie możliwe sposoby!

Schyliła głowę, lecz nawet nie widząc jej twarzy, wiedział, że płakała.

- Hej, Castellano! Powiedz mi prawdę. Czy to znaczy, że straciłem przez to przyjaciółkę?

Spojrzała na niego ze łzami na policzkach, kontrastującymi z malującym się na jej twarzy uśmiechem.

- Mam nadzieję - odpowiedziała cicho. - Ponieważ zawsze pragnęłam, żebyś mógł mnie pokochać... jako kobietę.

Przerwała na chwilę, a potem dodała: - W taki sam sposób, w jaki ja kocham ciebie.

Barney powstał.

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem trzeźwy, Castellano. Jak się czujesz?

- Ja też już wytrzeźwiałam. Wiem, co mówię.

Na tym skończyli rozmowę. Barney podszedł do Laury i ujął ją za rękę. Przeszli powoli do sąsiedniego pokoju.

I tej nocy zakończyli swą platoniczną przyjaźń.

Rozdział XLVIII

Nazajutrz rano Barney i Laura doznali uczucia, o którego istnieniu przedtem nawet nie mieli pojęcia - całkowitego dopełnienia.

Byli bowiem chyba jedyną parą na świecie, która nie potrzebowała księdza, czy też urzędnika, do uświęcenia ich związku.

- Jak się czujesz? - zapytał Barney.

- Jestem szczęśliwa. Naprawdę bardzo szczęśliwa.

I to był prawdziwy cud.

Z początku utrzymywali swą radość w sekrecie niczym skarb, tym cenniejszy, że dzielony tylko we dwoje. W lipcu jednak zakończył się kontrakt Laury i dla uczczenia przeprowadzki do Nowego Jorku zajęli sędziemu piętnaście minut na "zalegalizowanie" ich związku.

Kiedy schodzili ze schodów w budynku sądu, doktor Laura Castellano, nowo mianowany profesor neonatologii w Szkole Medycznej i Chirurgicznej przy uniwersytecie kolumbijskim, wyznała doktorowi Barneyowi Livingstonowi, profesorowi psychiatrii w Szkole Medycznej przy uniwersytecie nowojorskim: - To wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie miałam czasu, żeby ci o tym powiedzieć.

- A o czym?

- Kiedy w zeszłym roku spotkałam się z Luisem w Meksyku, powiedział mi coś, co rzeczywiście mną wstrząsnęło. Wydawało mi się to wtedy takim szaleństwem.

- Co takiego?

- Były to tylko trzy słowa - odpowiedziała. - Pochylił się i szepnął: "Wyjdź za Barniego".

Rozdział XLIX

Seth Lazarus bał się, że oszaleje.

Dręczony koszmarami nie spał po nocach. Jego czyny “zamordowały mu sen”, tak jak Makbetowi.

Upłynęło już ponad dziesięć lat od czasu, kiedy pomógł Gatkowiczowi umrzeć. Potem zdarzyło się to jeszcze ze trzy czy cztery razy. Czasami nie był pewny, ile jeszcze duchów czyhało na niego w ciemnościach.

Była wśród nich pani Carson oraz kilkunastoletnia dziewczynka z tak rozległymi obrażeniami odniesionymi w wypadku samochodowym, że mogła tylko mrugać powiekami. Jej mózg pozwalał jej jedynie odczuwać ból.

A potem - kto jeszcze? Dlaczego pamięć odmawiała mu posłuszeństwa? Być może był to instynkt samozachowawczy, usiłujący obronić jego psyche przed szaleństwem. Gdyby tak mógł wymazać ich wszystkich z pamięci lub zapaść w litościwą amnezję dla złagodzenia wyrzutów sumienia!

Z wyjątkiem interwencji w przypadku Howiego, nigdy nie działał z własnej inicjatywy. Zresztą robił to tylko wtedy, kiedy życie ludzkie zredukowane zostało do masy cierpienia. Ile było tych przypadków, Seth? Ile?

W każdym kolejnym błagano go - bardziej lub mniej bezpośrednio - aż w końcu łamano w nim chęć pozostawienia ich losu bezlitosnej Naturze. Nigdy nie brakowało zrozpaczonych petentów, udręczonych rodzin, pogrążonych w bólu niemal równie wielkim jak ten, który zamęczał ich bliskich.

Nawet wówczas zawsze starał się upewnić, czy pacjent był świadomy i zgadzał się na zakończenie mu życia.

Mimo że wierzył mocno w to, co robił, Seth zdawał sobie sprawę, że poruszał się po tym szarym terenie, do którego i Bóg, i Szatan rościli sobie bezwzględne pretensje.

Pan Bóg rozkazał jednak: “Nie zabijaj”. Nie było też takiej świętej księgi na świecie, która potwierdzałaby przekonanie Seta, że człowiek zasługiwał na taki sam szacunek, jakim darzył poważnie zranione zwierzęta - na szybką i bezbolesną śmierć.

Judy widziała jego mękę. Jakżeż jednak mogła jej zaradzić? Czy był gdzieś na świecie taki lekarz, który potrafiłby zaleczyć aż tak ciężko zranioną duszę?

Przewidywała w przyszłości katastrofę. Albo zostanie złapany, gdyż mimo licznych zapewnień wiedziała, że nie będzie w stanie oprzeć się błaganiom kolejnej udręczonej rodziny, albo po prostu załame się w końcu pod tym ogromnym ciężarem.

Do późna w nocy przesiadywał w swoim gabinecie pogrążony w myślach. Pewnego wieczoru zeszła do niego na dół, żeby z nim porozmawiać.

- Co robisz, Seth? - zapytała.

- Nic takiego. Czytam czasopisma. Ledwo dzisiaj to wszystko rozumiem. Inżynierowie genetyczni przejmują na siebie pracę lekarzy. Wkrótce odsuną nas na bok, niczym starą "Corvair".

- "Corvairy" miały wady, Seth. Były "niebezpieczne przy każdej szybkości". Czy chcesz mi przez to dać do zrozumienia, że tobie także coś dolega?

Popatrzył na nią. - Judy, oboje wiemy, o co chodzi. Należę do kategorii lekarzy, którą psychiatrzy nazywają "okaleczoną".

Rzucił jej publikację, którą właśnie przeglądał. - Masz. Sama to przeczytaj.

Artykuł nosił tytuł *Okaleczony uzdrowiciel. Życiowe kryzysy praktykujących lekarzy*. Jego autorem był doktor Barney Livingston.

- Czy to ten, z którym chodziłeś do szkoły?

Seth skinął głową.

- Tak. To dobry człowiek. Z tego artykułu wynika, że ostatnio zaczął się specjalizować w psychice lekarzy. Jeśli wierzyć podawanym przez niego statystykom, jest niemal pewne, że ci, którzy rzeczywiście oddają się pacjentom, w końcu załamują się nerwowo.

- A ty żyjesz jeszcze w dodatkowym stresie.

- No właśnie.

Przerwał w pół zdania, jakby zastanawiając się ponownie nad tym, co zamierzał powiedzieć. Albo przemilczeć.

Judy podeszła do niego i położyła mu pocieszająco rękę na ramieniu. Nagle wyrwało mu się z najgłębszych pokładów jego istoty:

- Kiedy to się wreszcie skończy? Usiadła na biurku i spojrzała mu w twarz.

- Tutaj. I teraz. Weźmiesz urlop i pojedziemy gdzieś, gdzie - będziesz mógł się leczyć.

- A co z dziećmi?

- Moglibyśmy poprosić twoją matkę, żeby się nimi zajęła, i wyjechać na miesiąc.

- Judy! Moją matkę? Ty chyba oszalałaś! Czy mam ci przypomnieć, że mówimy tu o kobiecie, która co roku wstaje dwunastego stycznia i piecze tort, po czym zaprasza urojonych przyjaciół, żeby odśpiewali z nią Sto lat z okazji urodzin Howiego?

Myśl o tym znowu pokryła atmosferę ciężkim kirem. Oboje wiedzieli, że od niego wszystko się zaczęło. "Wybawił" brata, żeby uwolnić rodziców - i samego siebie - od życia z jego bezradną i nigdy nie kończącą się katuszą.

Powinno to być dla niego nauczką. Dla jego matki, nadal oszalałej z rozpaczy, Howie pozostał żywym duchem. Jej szaleństwo było z pewnością jednym z powodów przedwczesnej śmierci ojca.

- No dobrze, Seth - powiedziała Judy surowo. - Zawrzemy umowę. Dzieci kończą szkołę jedenastego czerwca. Dwunastego ściągniesz swój biały kitel, odłożysz stetoskop i wrócimy tu dopiero w dniu Święta Pracy.

- A co ze strzykawką? - zapytał głucho.

Ujęła jego twarz w obie ręce i powiedziała: - Koniec z tym, Seth. Odtąd już z tym koniec. Niech się ktoś inny nad nimi lituje. Ty już dość dla nich zrobiłeś.

Seth posunął się już jednak za daleko.

Poprzedniej soboty pielęgniarka Millicent Cavanagh widziała go przy pacjencie w Szpitalu Weteranów w Lakeshore, gdzie pracował zaledwie w jedno popołudnie tygodniowo. Porażony paraplegią sierżant Clarence T. Englund, weteran drugiej wojny światowej, prawie po trzydziestu latach leczenia ran i przebywania w szpitalu, umierał w końcu powoli na raka kości.

To właśnie Millie odkryła jego śmierć przy kolejnym obchodzie i sprawdzaniu oznak życiowych pacjenta. Następnego dnia oficjalne świadectwo zgonu stwierdzało, że śmierć była skutkiem licznych schorzeń pacjenta, które doprowadziły ostatecznie do niewydolności serca.

Jednakże, jej zdaniem, dokument ten powinien brzmieć - morderstwo z premedytacją. W ciągu przeszło osiemnastu lat pracy w szpitalu zdołała polubić "Starego Clarence'a" - jak go tam nazywano. Najbardziej podziwiała jego niewiarygodną odwagę i wytrwałość, które pozwalały mu się od czasu do czasu uśmiechać mimo bólu.

Na dzień przed śmiercią, choć współprzemyślny od podawanych mu środków przeciwbólowych, które chociaż otępiły mu umysł, nie mogły jednak całkowicie uwolnić go od cierpienia, powiedział jej coś tak pięknego, że zapamiętała każde słowo.

- Millie, kiedy już pójdę do nieba i ten ból wreszcie się skończy, będę czekał na ciebie i oboje zamieszkamy tam na całą wieczność.

Pamiętała również, jak mówił: - Wkrótce zobaczę się ze świętym Piotrem i poproszę go, żeby poszukaj nam jakiejś ładnej chmurki.

Dwa dni później Clarence zmarł. Kochała go, więc cieszyła się, że jego ziemskie cierpienia wreszcie się skończyły.

Z drugiej jednak strony, często słyszała, jak błagał doktorów - każdego nowego lekarza, który się nim zajmował - aby położyli kres jego życiu.

Oplakując go przeto, nie mogła pozbyć się myśli, że znalazł w końcu lekarza, który pomógł mu spełnić to niechrześcijańskie życzenie i popełnić samobójstwo.

Być może śmierć Clarence'a Englunda nie miałyby aż takiego znaczenia, gdyby nie Uvze nastąpiła tuż przed rokiem wyborów.

W Dzień Dziękczynienia, który Millie spędzała zawsze z rodzicami i braćmi, siedziała zadumana i smutna. Jej młodszy brat, Jack, poprosił ją na bok i zapytał, co się stało.

Ucieszyła się z możliwości podzielenia się z kimś ciężarem, który dźwigała, tym bardziej że Jack był prawnikiem.

Jej opowieść zdziwiła go. Nie mogła też zrozumieć, dlaczego był tym wszystkim tak dziwnie podniecony.

- Millie, czy przyszedłabyś i porozmawiała na ten temat z moim partnerem w firmie?

Zawahała się nagle. Za parę lat miała już iść na emeryturę i nie chciała robić przedtem szumu.

- Proszę cię, ja nie chcę się w to mieszać - odpowiedziała nerwowo.

- Słuchaj, siostrzyczko, gwarantuję ci, że w całej sprawie twoje imię nigdy nie padnie. Nigdy. Powiesz tylko panu Waltersowi to, co właśnie mi powiedziałaś, i na tym koniec. A my już przechwycimy dalej pałeczkę.

- Co to ma znaczyć? - spytała.

- Nie masz się o co martwić, siostrzyczko. Bardzo mi przez to pomożesz.

Edmund Walters, starszy partner w jego firmie, był naczelnym prokuratorem w stanie Illinois i nie krył się z tym wcale, że miał o wiele większe polityczne ambicje. Zwalniał się właśnie jeden z senatorskich stołków i Ed myślał poważnie, żeby po niego sięgnąć, chociaż wiedział, że sam gubernator miał na to oko. Edmund mógł się

pochwalić większym majątkiem, ale gubernator miał nad nim tę istotną przewagę, że był już o wiele bardziej znany.

Waltersowi potrzebny był zatem jakiś głośny proces, jakaś kontrowersyjna sprawa, która zwróciłaby na niego powszechną uwagę. Coś, co pomogłoby mu znaleźć się w centrum zainteresowania publicznego i skierowałoby na niego światła reflektorów na tyle mocne, aby mógł się dostać do telewizji i sprawić, że jego imię znajdzie się na ustach wszystkich rodzin w stanie.

I tak oto, kiedy w następny poniedziałek młody Cavanagh przyszedł do niego do gabinetu, Edmund Walters zorientował się od razu, że znalazł rydwan, który go zawiezie do Waszyngtonu.

- Dzięki, Jack. Nie zapomnę ci tego. Chciałbym nawet, żebyś mi pomógł rozgryźć tę sprawę.

- Ależ, panie Walters, nie mamy tu jeszcze żadnej sprawy.

Prokurator wskazał palcem na Jacka i powiedział: - Zrób coś zatem, żebyśmy ją mieli.

Spotkali się o czwartej po południu. Jack miał już pewne informacje, które mogłyby zwiększyć szansę prokuratora.

Szpital Weteranów był z legalnego punktu widzenia instytucją państwową i dlatego też zgodnie z paragrafem osiemnastym Kodeksu Stanów Zjednoczonych można było w tej sprawie wezwać FBI, żeby zajęło się ściganiem tego rzekomo ludobójczego lekarza.

- To dobra nowina, Jack - odpowiedział Walters, uśmiechając się. - Zadzwoń zatem do urzędu.

- Już to zrobiłem - odpowiedział z satysfakcją Cavanagh. - Z radością zobaczą się z panem jutro o ósmej rano, jeśli oczywiście nie będzie to dla pana za wcześnie.

- Nie, to wspaniale. Nie muszę ci chyba mówić, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Spotkali się na śniadaniu w obskurnym barze w pobliżu State House. Walters pomyślał sobie bowiem, że będzie najlepiej, jeśli tą kwestią nie zwróci uwagi gubernatora. A poza tym, to on był naczelnym prokuratorem i do niego należała ta sprawa.

Nawet pomiędzy nieokreślonego wyglądu klientelą baru człowiek FBI wyglądał właśnie na typowego reprezentanta swojego zawodu. To znaczy, robił wrażenie kogoś, kto bardzo się starał, żeby nie rzucać się w oczy.

Był to agent specjalny, J.P. Sullivan, bojowy - jak o sobie mówił - Irlandczyk. Zdawało się, że Sullivan był moralnie wstrząśnięty tym, co usłyszał. Przestępstwo to gwałciło wszystkie zasady, jakie osobiście wyznawał. Nikt nie powinien mieć prawa do podejmowania takich decyzji, należały one bowiem wyłącznie do Boga.

- Może pan liczyć na nasz urząd, panie Walters. Jak to zwykł mawiać nasz były szef, prędzej czy później dostajemy naszego człowieka.

Obydwaj zdawali sobie sprawę z tego, że w związku ze śmiercią Clarence'a T. nie posiadali niezbitych dowodów przeciwko doktorowi Lazarusowi. Ten facet musiał już jednak robić to wcześniej. Istniało zatem pewne prawdopodobieństwo, że uderzy ponownie.

Od tej chwili Sullivan będzie miał Seta pod dwudziestoczterogodziną obserwacją. Kaze też nowym komputerowym specem przeszukać wszystkie dane w szpitalach w okręgu Cook.

- To zajmie im całe lata - narzekał Walters. Potrzebował niezbitych dowodów już teraz, jeśli rozprawa miała przynieść mu jakiegokolwiek dywidendy.

- O to właśnie chodzi, proszę pana - odpowiedział agent. - Kiedyś zebranie takich informacji zajmowało nam mnóstwo czasu i kosztowało wiele zdartych butów. Teraz jednak zajmuje to specjalistom zaledwie kilka minut. Myślę, że możemy liczyć na to, że znajdą jakieś dowody.

- Chciałbym jednak podkreślić, że czas jest w tej sprawie niezwykle istotny. Nie zmrużę oka, dopóki nie zamkniemy tego "Doktora śmierci".

- To ładnie brzmi. "Doktor śmierci" - sądzę, że taki właśnie kryptonim nadamy tej sprawie.

Podniósł się z miejsca. - No dobrze, proszę pana. Ja to już rozgryzę.

Naczelną prokurator uściśnął rękę agentowi specjalnemu.

- Myślę, że w naszym własnym interesie powinniśmy się spotykać w tym miejscu. Niech mi pan po prostu zostawi w biurze wiadomość, że imalby pan ochotę iść ze mną na kawę.

- Dobrze, proszę pana - odpowiedział Sullivan i ulotnił się. Walters stał tam jeszcze przez chwilę, rozniecając w sobie płomienie ambicji.

Pragnął doprowadzić do tego, żeby ów “Doktor śmierci” musiał zeznawać przed sądem.

Informacje, jakimi FBI zasililo swoje komputery, nie dowiodly niczego konkretnego. Potwierdziły jednak fakt, że Seth był gdzieś na terenie kliniki w czasie, kiedy nastąpiły trzy zejścia na skutek różnych śmiertelnych chorób.

A ponadto, kiedy wyjechał na wakacje tego lata, nie nastąpiła żadna z tych naturalnych, lecz dziwnie nagłych i “miłosiernych” śmierci.

- To on jest człowiekiem, którego szukamy - powiedział Sullivan, stukając palcami po brązowej kopercie leżącej na pokrytym laminatem barowym stoliku.

- Czy możemy go już wezwać na przesłuchanie? - zapytał skwapliwie Walters.

- Nie robiłbym tego jeszcze, proszę pana. Te dowody przemawiają na razie tylko do mnie i do pana. Nie sądzę jednak, żeby były na tyle niepodważalne, aby można mu było dać nauczkę. Nikt nie widział go z igłą w ręku czy też z jakimkolwiek innym narzędziem, którym się posługuje. Jeśli chcemy mieć pewną sprawę, musimy go przyłapać na gorącym uczynku.

- Czy pańscy ludzie mają go na oku?

- Dniami i nocami - odpowiedział Sullivan. - Znamy każdy jego krok. Sprawdzamy jego dotychczasową historię. Wezwaliśmy nawet specjalistę z Waszyngtonu, żeby przejrzał teczki z danymi z patologii i sprawdził, czy czegoś w nich nie znajdzie. Jak dotąd, wszystkie sekcje wskazują na naturalne przyczyny śmierci. Nie mamy więc nic uchwytneho, chyba że przyłapiemy go na tym bezpośrednio.

- Na co zatem, u diabła, pan czeka? Czy wy, jako urząd, nic nie możecie zrobić?

- No cóż - i tak, i nie.

- Jak to?

- Moglibyśmy zastawić na niego pułapkę. No, wie pan - znaleźć kogoś, czyj krewny bardzo cierpi i chce umrzeć. Zazwyczaj działa to właśnie na takiej zasadzie.

- Czy chce mi pan przez to powiedzieć, że takie wypadki zdarzają się również i w innych częściach kraju?

Agent skinął twierdząco głową. - Dużo jest takich nikczemnych lekarzy, którzy bawią się w Pana Boga. Szczerze mówiąc, chciałbym ich wszystkich wyłapać. Dlatego tak bardzo mi na tym zależy, żeby przycisnąć tego łajdaka do muru.

- Dlaczego zatem nie mielibyśmy wypróbować pańskiego planu? . - To jest bardzo ryzykowne. Mieliśmy już kiedyś podobną sprawę, ale obrona zdołała przekonać sędziów przysięgłych, że policja zastawiła na tego faceta pułapkę i go

zwolniono. - Po czym dodał ściszym głosem: - A tak między nami mówiąc, mieli rację.

- Sullivan, niech mi pan złapie tego człowieka, a ja się już zajmę tymi dwunastoma na ławie przysięgłych.

Agent wzruszył ramionami. - Dobrze, proszę pana. Coś mi jednak mówi, że powinniśmy zaczekać. Taki chory człowiek jak on nie będzie się mógł powstrzymać od powtórzenia swych zbrodni. Jeśli jednak życzy sobie pan, żebyśmy mu pomogli, to zrobię, co będzie w mojej mocy.

Obaj mężczyźni powstali i uścisnęli sobie dłonie.

- I jeszcze jedno, panie Walters - ciągnął agent.

- Słucham?

- Sądzę, że nie powinniśmy się spotykać czy kontaktować ze sobą, dopóki nie zbierzemy dowodów.

I tak oto zastawiono pułapkę na Seta Lazarusa.

Specjalna agentka Madeline Hanson, jedna z pierwszych kobiet zatrudnionych przez urząd, kiedy w 1972 roku zaczęto przyjmować tam pracowników obu płci, wielokrotnie używała swoich talentów niegdysiejszej ambitnej aktorki dla potrzeb tej instytucji. Naturalnie większość z powierzonych jej zadań polegała na uwodzeniu rozmaitych mężczyzn, co pomimo pewnego niebezpieczeństwa zaczęło ostatnio ją nudzić. W końcu zaproponowano jej coś wyjątkowo śmiałego, wraz z obietnicą awansu o jeszcze jeden stopień w hierarchii urzędu.

Przez trzy dni siedziała w hotelu w centrum Chicago, gdzie została dokładnie przeszkolona przez ekspertów medycznych i psychologów. Agenci przeszukali już wszystkie medyczne historie śmiertelnie chorych pacjentów w Szpitalu Weteranów w Lakeshore i znaleźli najbardziej prawdopodobnego kandydata, który mógłby bezwiednie, a raczej nieświadomie, udawać jej męża.

Czytając teczkę kapitana Franka Camposa, wzdrygnęła się z przerażenia. Nadepnął na minę w Wietnamie i stracił w wyniku tego nogę, ramię, a także oślepl i częściowo utracił słuch. Słyszał tylko w osiemdziesięciu procentach na jedno ucho, a na drugie w ogóle. Najgorsze obrażenie spowodował jednak kawałek szrapnela, który utkwiał mu w kręgosłupie. Nie dał się zoperować i odczuwał nieznośny ból, od którego już dawno nie mogły uwolnić go ani demerol, ani morfina czy inne znajdujące się na rynku środki znieczulające.

Błagał lekarzy o kokainę lub heroinę, które próbował kiedyś w Namie, rozpaczliwie wierząc, że tylko one zdołają ulżyć jego cierpieniom. Lekarze jednak nie chcieli postępować nielegalnie. I tak oto ranny bohater tej najmniej heroicznej z amerykańskich wojen został skazany na nieustające katusze.

Pewnego razu, kiedy wyniesiono go na dach szpitala, żeby się mógł opalać na słońcu, Frank zebrał w sobie wszystkie siły i próbował rzucić się z krzesła poprzez ogrodzenie na dachu. Tylko czujność pielęgniarki ocaliła mu życie.

Odnotowano również w jego aktach incydent z poprzedniej Wigilii, kiedy to młodszy brat Camposa, Hector, przyszedł odwiedzić go w szpitalu z rewolwerem w kieszeni. Postanowił wówczas, że spełni życzenie swego brata i położy kres jego cierpieniom.

Jak na ironię, trzęsła mu się ręka i oba strzały, które wypalił, trafiły o parę centymetrów od głowy brata. Sanitariusze zdołali go obezwładnić, zanim zdążył wystrzelić ponownie. Nie przeprowadzono jednak przeciwko niemu rozprawy, gdyż policyjny psychiatra stwierdził, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robił. Zamiast tego zamknięto go w zakładzie dla umysłowo chorych na sześć miesięcy obserwacji.

- O Chryste! - jęknęła Madeline, którą coś ścisnęło w żołądku. - Może pozwolilibyście jednak temu "Doktorowi śmierci" zakończyć męczarnie tego biedaka?

- Daj spokój, Madeline. Nie aprobujemy tu morderstw. Agentka Hanson skrzywiła się i odpowiedziała z sarkazmem w głosie: - Tak? A to od kiedy, chłopcy? Agent Sullivan rozkazał im wrócić do pracy.

- No cóż - odezwał się po godzinie. - Czy wszystko jest już zrozumiałe, Madeline? Wbiłaś już sobie do głowy wszystkie szczegóły z życia kapitana Camposa?

Zmarszczyła brwi. - Słuchajcie. Z tego po prostu nic nie będzie. Jeśli ten doktor jest chociaż w połowie tak inteligentny jak wy, to nie da się nabrać na ten numer "zropaczonej żony". Ten biedak był w końcu w tym szpitalu przez osiem lat. A gdzież ja się w tym czasie ukrywałam? Te bzdurne bajki o zaginionych papierach nie nabiorą nawet idioty.

Sullivan spojrzał na nią surowo. - Masz może coś lepszego?

- Nie - odpowiedziała. - Usiłuję jednak myśleć rozsądnie. Potrzebny jest wam ktoś, kto rzeczywiście mógłby odegrać rolę zropaczonego krewnego. Jego brat próbował przecież już go zabić. Z łatwością mógłby przekonać o tym tego "Doktora śmierci".

Psycholog poparł argumentację Madeline.

- Sądzę, że ona ma rację. Najbezpieczniej byłoby, gdyby udało nam się w jakiś sposób namówić tego faceta, aby poprosił Lazarusa, żeby położył kres cierpieniom jego brata.

- A w dodatku sąd nigdy nie mógłby nazwać tego podstępem. Agent Sullivan dał się przekonać. - Słuchaj, Madeline, sprytna z ciebie dziewczyna. Mogłabyś mu na przykład powiedzieć, że jesteś pielęgniarką i znasz tego lekarza...

- Teraz dopiero gadasz do rzeczy, kochanie - odpowiedziała. - Wygląda na to, że rzeczywiście uda nam się zdemaskować tego dobrego samarytanina.

Seth zakończył obchód Szpitala Weteranów i w myślach skreślił następny czwartek ze swego kalendarza. Jeszcze tylko trzy miesiące i będzie wolny. Weźmie Judy z dziećmi i pojedą na długą wycieczkę po kraju. Zwiedzą Yellowstone, Yosemite i Disneyland. Będzie mógł wtedy zapomnieć o szpitalu, bólu i tym potwornym ciężarze.

Kiedy podchodził do samochodu, zbliżył się do niego niski, ciemny mężczyzna.

- Doktor Lazarus?

Miał lekko hiszpański akcent.

- Tak.

- Nazywam się Hector Campos. Mój brat, Francisco - wołają na niego Frank - jest pacjentem w tym szpitalu.

- Wydaje mi się jednak, że nie moim - odpowiedział Seth.

- Nie, leży na piętrze, na którym pan pracuje. Czekałem tu jednak, bo chcę pana poprosić, żeby pan został jego doktorem.

- Przykro mi - odpowiedział Seth. - Musi pan wiedzieć, że pracuję tu tylko na pół etatu. Jestem jednak pewien, że dobrze się tu pańskim bratem opiekują.

- Proszę, doktorze - błagał Hector. - Błagam pana w imię Jezusa. Niech pan tylko przeczyta jego kartotekę.

Odpiął koszulę i wyciągnął brązową teczkę, którą wepchnął Sethowi do ręki.

- Dlaczego pan sądzi, że powinienem to przeczytać, panie Campos? - zapytał Seth, podnosząc oczy.

Mężczyzna zniknął bez śladu, zostawiając przerażonego Setha z teczką dokumentów w ręku.

Starał się czytać szczegóły tego przypadku bez żadnych emocji. Postanowił, że nie pozwoli, żeby wzbudziły w nim litość.

W historii Franka podano jednak krótki, lecz dokładny opis rozpaczliwej próby Hectora zakończenia niedoli brata. To jasne, że ten chłopiec oszalał z rozpaczy.

W tym momencie weszła do gabinetu Judy i usiadła w szlafroku na kanapce.

- Seth, nie zamierzam stąd wyjść, dopóki wszystkiego mi nie powiesz - powiedziała cicho. - Wiem, co trzymasz w ręce, i nie muszę nawet pytać, co z tym zamierzasz zrobić. Jednakże jeśli już powiedzieliśmy, że na tym koniec, a ty nadal to robisz, to kiedy to się skończy?

- To nie "nasza", lecz moja odpowiedzialność - odrzekł Seth.

- Przykro mi, Seth - zaprzeczyła - ale dzielę z tobą życie i całą winę.

- Tylko poczucie winy - poprawił ją.

- Przynajmniej porozmawiajmy na ten temat.

Podał jej krótki opis straszliwych okaleczeń kapitana Camposa.

- O mój Boże! - westchnęła. - Dlaczego nie pozwolili mu umrzeć na polu walki?

- A potem zakończyła z gorzką ironią: - Przypuszczalnie podniosłoby to im statystykę śmiertelnych ofiar. I wobec tego ten biedak tyka tam sobie jak zegarek, nie mając nawet pojęcia, która jest teraz godzina.

- Zrobię to dla nich obu - odezwał się cicho Seth. - Moje ręce są już i tak zbrukane krwią.

- Seth, ale w Szpitalu Weteranów jest to o wiele bardziej niebezpieczne. Jesteś tam tylko w jedno popołudnie w tygodniu. Gdyby ktokolwiek coś podejrzewał, mógłby przyczepić się do faktu, że śmierć tego człowieka nastąpiła dokładnie wtedy, kiedy tam byłeś.

- Pomyślałem już o tym - odpowiedział. - Wymyślę jakiś "problem", pod pretekstem którego będę musiał wrócić do szpitala po kolacji. To miejsce zamiera z nastaniem nocy. To nie tak jak u nas w szpitalu, gdzie bez przerwy przewijają się odwiedzający. To dom, w którym straszą duchy ludzi, których nikt nie ma już ochoty widzieć.

- Seth, nie! Nie jesteś już... sobą. Nie jesteś już zdolny do...

- Czy chcesz mi zasugerować, że oszalałem? - przerwał jej, podnosząc dziwnie głos? - Naturalnie, że oszalałem. Mordowałem ludzi, odkąd zabiłem Howiego, odkąd...

- To były akty miłosierdzia - zaprotestowała.

- Miłosierdzia! - mruknął ponuro. - Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek zasłużę na miłosierdzie Boga po tym wszystkim, co uczyniłem.

Zamilkli na chwilę. Ale trwało to bardzo długo. Nagle zauważyła, że przechylił się w fotelu i zasnął. Zgasiła światło i skuliła się na kanapie, żeby być blisko niego.

Decyzja była jasna. Po prostu nie powiadomi o tym Judy. Wymyśli jakiś powód, dla którego przyjdzie tam w zupełnie innym dniu i w ten sposób nigdy nie będzie musiał jej o tym powiedzieć. Najpierw jednak powinien na własne oczy zobaczyć tego biednego kapitana.

Skończywszy swój zwykły, czwartkowy obchód, pożegnał się, a potem zamiast zjechać na dół windą, wszedł po schodach na piąte piętro. Bardzo trudno było tam odszukać rannego żołnierza. Wszyscy na tym oddziale byli okaleczeni, odseparowani od społeczności, ponieważ nikt nie chciał, aby przypominali im o potwornościach wojny w Wietnamie.

Nawet za czasów, kiedy pracował na patologii, nie widział takich okropnych ran, maceracji i zniekształceń, takiego potwornego urągowiska ludzkich kształtów.

W końcu go znalazł. Wziął do ręki zawieszoną na poręczy łóżka tabliczkę z napisem: Campos, Francisco R., kapitan Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych.

W oficjalnym raporcie stwierdzono, że słyszał i nadal posiadał pewną zdolność do porozumiewania się. Wobec tego Seth zwrócił się do niego:

- Kapitanie Campos.

- Uummm? - jęknęła pokryta bandażami postać.

- Czy rozumie pan, co do pana mówię, Frank? Odpowiedział mu jęk, który uznał za potwierdzenie.

- Czy bardzo pan cierpi, proszę pana?

Nastąpiła tyrada udręczonych jęków, przy których zbyteczne były słowa.

- Kapitanie, czy chciałby pan czasami zakończyć to wszystko? To znaczy, czy chciałby pan, żeby to się jakoś skończyło i żeby mógł pan umrzeć?

Jęknął tonem, który można było uznać jedynie za suplikację.

- Rozumiem - odpowiedział Seth. - Przyjdę tu wkrótce do pana.

I zanim zdołał odejść od tego udręczonego człowieka, usłyszał potok jęków, które zdawały się mówić: Bogu niech będą dzięki. Zadając Frankowi te pytania, Seth zauważył na nocnym stoliku dowody miłości ze strony jego rodziny - krucyfiks i jakieś kwiaty od Hectora.

Nie zauważył jednak mikrofonu, zainstalowanego tam przez agenta Sullivana.

Wybrał morfinę, narkotyk nazwany trafnie imieniem boga snu. I w dodatku zupełnie niewykrywalny.

Strategia Setha była znakomita i zarazem niezwykle prosta. Przyjedzie do szpitala tuż po kolacji, kiedy jeszcze pobrękiwać tam będą tace i naczynia, prawie na dwie godziny przed zwyczajowym sprawdzaniem oznak życia pacjentów.

Zaparkował samochód, nałożył na siebie biały fartuch i z pełną strzykawką w kieszeni wspiął się po schodach na piąte piętro. Niepostrzeżenie podszedł do łóżka kapitana Camposa. Wydawało mu się, że odpoczywał spokojnie.

Może zrobiłby to teraz i Frank już nigdy nie musiałby się obudzić w bólu. W końcu już z nim rozmawiał i mniej więcej uzyskał jego zgodę.

Zrób to Seth - pomyślał sobie. Zaciągnij zasłonę wokół jego łóżka, podaj mu zastrzyk i idź do domu.

Posiadał jednak pewien protokół, swój własny kodeks etyczny.

- Kapitanie Campos, słyszy mnie pan? - zaczął. - Mówi doktor Lazarus. Przyszedłem, żeby położyć kres pańskim cierpieniom, żeby pomóc panu zasnąć na wieki. Jeśli się pan zgadza, to zrobię panu mały zastrzyk, który powinien to wszystko zakończyć.

Przerwał na chwilę, czekając na odpowiedź, której jednak nie było. Podszedł bliżej do rannego żołnierza. Człowiek ten już jednak nie oddychał. O Jezu, on już nie żyje! Lazarus był zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

Nagle otworzyła się zasłona otaczająca łóżko kapitana Camposa i przed Sethem stanęło kilku mężczyzn ubranych na czarno.

Jeden z nich pokazał mu swój portfel i przedstawił się:

- Sullivan, FBI. Jest pan aresztowany za morderstwo tego żołnierza.

Rozdział L

FBI aresztuje "Doktora śmierci".

Alarmujące nagłówki w prasie wznieciły masową histerię, która otoczyła Seta Lazarusa niczym trąba powietrzna. Cyniczni dziennikarze wykorzystywali utajoną paranoję panującą powszechnie w społeczeństwie, wypisując w gazetach: "Mój lekarz ma możliwość decydowania o moim życiu i śmierci. Gdybym z jakiegoś powodu nie spodobał .mu się, z łatwością mógłby bezkarnie pozbyć się mnie".

Wiadomości o tym, że Seth odegrał w rzeczywistości te potworne fantazje, uczyniły z niego obiekt strachu, nienawiści i uprzedzenia. A przede wszystkim wywołały falę gniewu i... ciekawości.

Każda godzina była dla Judy koszmarem. Nie mogła wysłać dzieci do szkoły, gdyż wszędzie czyhali na nich fotoreporterzy. Wydawało się jej, że cały świat mówił tylko o jej mężu - a ich ojcu - i o tym, co zrobił.

Dla rozwrzeszczanej większości Seth był po prostu potworem. Obawiano się, że już przez samo wejście do szpitala wpadną w ręce kogoś takiego jak on. Niektórzy dzwonili do Judy z obrzydliwymi i przerażającymi pogrózkami.

Natomiast w oczach wielu innych ludzi, którzy nie odważyli się jednak zabrać głosu w tej narodowej debacie, był dzielny i bohaterskim człowiekiem.

Sprawę tę osądzano w każdym amerykańskim domu. Mężowie pytali żony: - Gdybym cierpiał tak przejmująco jak tamten człowiek, to czy poszukałabyś lekarza takiego jak on, aby mnie zabił?

Inni natomiast zastanawiali się, ilu jeszcze takich "Doktorów śmierci" działało gdzieś w ukryciu. Albo też, kogo jeszcze oprócz kapitana Camposa zamordował ten lekarz z Chicago.

Wydawców gazet zasypała lawina listów. Linie demarkacyjne były jasne - zwolennicy prawa do życia starli się z poplecznikami prawa do śmierci w swego rodzaju moralnej rozgrywce.

Byli również i tacy, którzy chodzili do kościoła i modlili się o jego zbawienie. Należała do nich rodzina Carsonów, których matce zaoszczędził cierpienia. Mogli się jednak za niego tylko modlić. Występując bowiem w obronie Seta, dodaliby przez to dowodów przeciwko niemu jako mordercy.

Prawdę rzekłszy, wiele rodzin obawiało się również o własną skórę. A może ten doktor zacznie się mścić i sypać nazwiskami? Czy to wystarczyłoby, żeby uczynić z nich współsprawców zbrodni?

Szaleństwo, jakie rozgrywało się wokół Seta i jego rodziny, zamieniło każdy dzień w makabryczny cyrk z Prokuratorem Generalnym Waltersem w charakterze aranżera programu. Jego postać stawała się coraz bardziej sławna. Zawsze bowiem znajdował czas na to, by poświęcić prasie parę cennych minut.

Agent Sullivan również nie należał do ludzi powściągliwych. Zajmował już na tyle wysoką pozycję w urzędzie, że nie musiał dłużej pracować w terenie. Mógł sobie zatem pozwolić na wywiady i fotografowanie przez prasę. Udowodnił też wszystkim, że miał bogatą wyobraźnię. Zawsze jednak starał się używać werbalnych zabezpieczeń, chowając się za przymiotnikami w stylu “domniemany” lub “rzekomy”. Albo też uśmiechał się przebiegle, stwierdzając: - Na tym etapie nie mogę tego skomentować, co zdawało się odpowiadać na pytanie reportera bez obciążania osoby mówiącej. I to było najgorsze.

Wszystko działo się poza murami więzienia, w którym zamknięto oskarżonego. Stawiając Seta w stan oskarżenia, oskarżyciel tak przekonywająco przedstawił konieczność trzymania tego niebezpiecznego kryminalisty z dala od społeczeństwa, że sędzia odmówił mu zwolnienia za kaucją.

Od momentu aresztowania ogarnęło Seta przerażenie i uczucie to wzmagало się tylko w miarę rozwoju wydarzeń.

Przed wszystkim wydawało się, że agenci FBI znajdowali jakąś perwersyjną wprost przyjemność w torturowaniu “Doktora śmierci”. Były to drobnostki takie jak, na przykład, zbyt mocne szarpanie za kajdanki lub popychanie go przy wsiadaniu do samochodu i inne tym podobne złośliwości.

Ból fizyczny nie był jednak najgorszy, o wiele trudniejsze do zniesienia było upokorzenie. Policijni urzędnicy i ludzie z FBI drwili z niego nieustannie, wpytując: - A kto będzie ciebie usypiał, jak przyjdzie niebawem twoja kolej?

Jak dotąd, nie miał jeszcze prawnika. Znał, co prawda, Murraya, sympatycznego faceta, z którym chodził niegdyś do szkoły średniej i który pomagał mu potem w wypełnianiu formularzy podatkowych, jak również skarżył człowieka, który rozbił mu samochód. Murray wiedział jednak, że ta sprawa przekraczała jego możliwości.

- Nie martw się, Seth - powiedział. - Znajdę ci wyśmienitego obrońcę. Zadzwońię do moich znajomych w Nowym Jorku i dowiem się, kto tam jest najlepszym adwokatem.

Seth siedział więc godzinami w swojej celi bez ruchu, nie wiedząc, co dalej począć.

Wyczekiwał codziennych wizyt Judy. Była jego ostatnim ratunkiem i schronieniem przed szaleństwem.

- Zawiozłam dzieci do Naomi w Indianapolis - oświadczyła mu. - Powiedziała, żebyśmy się nie martwili. Ona się nimi zajmie tak diugo, jak będzie trzeba. Zawsze ci mówiłam, że moja siostra była dobrym dzieckiem.

Potrząsnął głową. - Mój Boże! - mruknął. - Co ja tu robię w tym miejscu? Dlaczego tak mnie prześladowają? Czyż ci ludzie nie mają żadnego miłosierdzia?

Nie - pomyślała sobie Judy. Miłosierdzie rozdzielono wśród ludzi nierówno. Tobie dostało się go za wiele, a im za mało.

- A co z adwokatem? - zapytał.

- Murray robi, co może. Ciągłe powtarza, że potrzebny jest nam ktoś na tyle mocny, żeby był w stanie stawić czoło w sądzie Prokuratorowi Generalnemu. Walters jest piekielnie ostry, a ponadto ma polityczne ambicje. Murray twierdzi, że potrzebny jest nam ktoś taki jak Perry Mason lub Mark Sylbert.

- Sylbert? Ten słynny orędownik straconych spraw? Czy to znaczy, że moja sprawa jest aż tak beznadziejna? Nie sądzę jednak, " żebyśmy sobie mogli na niego pozwolić.

- Nic mnie to nie obchodzi, Seth. Sprzedam dom, wszystko, żeby tylko ci pomóc.

- Och, proszę! Niech mi ktoś pomoże się stąd wydostać! - jęknął, obejmując rękoma głowę.

Wzięła go w ramiona. Zawsze był chudy, teraz jednak wydawał się taki wątły na ciele i duchu! Postanowiła, że pójdzie do biura Sylberta i będzie tam siedzieć, dopóki prawnik nie wpuści jej do środka.

Było to najkrótsze obłączenie w historii świata.

W tym samym momencie, kiedy recepcjonistka zasygnalizowała niespodziewane pojawienie się jej osoby u nich w poczekalni, Sylbert rozkazał, aby natychmiast wprowadzono ją do gabinetu.

Po raz pierwszy w tym tygodniu Judy poczuła, że miała kogoś przyjaznego w tym rozwścieczonym i dzikim świecie, który ją otaczał.

Sekretarka zwróciła się do niej poufnie, prowadząc ją w głąb korytarza.

- Niech pani nie przerazi dźwięk głosu pana Sylberta. On właśnie dochodzi do siebie po niedawnej operacji.

- A co to była za operacja? - spytała Judy.

- Wycięcie krtani. Polega to na...

- Wiem - odpowiedziała była pielęgniarka. - Oznacza to, że wycięto mu struny głosowe.

Sekretarka skinęła głową. - Był bardzo dzielny. Założono mu w gardle elektroniczne urządzenie i codziennie przychodzi do niego terapeuta, żeby mu pomóc nauczyć się mówić. Nadal jednak brzmi jakos tak - bo ja wiem - dziwacznie. Przyzwyczaj się jednak pani do tego.

Być może - pomyślała sobie Judy - ale czy przyzwyczajają się do tego przysięgli?

Mimo ostrzeżenia Judy nie mogła opanować szoku, kiedy po raz pierwszy usłyszała siwowłosego prawnika, który zazgrzytał dzięki swojej maszynie: - Dzień dobry pani, pani Lazarus. Proszę, niech pani usiądzie.

Głos jego nie tylko brzmiał metalicznie, jakby dobywał się z jakiegoś głośnika, ale na dodatek odnosiło się wrażenie, że dochodził z dna ogromnie głębokiej studni.

- Ufam, że moja sekretarka wyjaśniła pani, dlaczego rzuciłem pracę w Metropolitan Opera - zażartował, chociaż każde słowo wymawiał z trudnością. - Nie będę przemawiać w sądzie, dopóki nie opanuję tej choliernej maszyny. Mamy tu jednak sporo twardych sztuk, które mogą poradzić sobie z tą robotą. Cieszę się, że pani do mnie przyszła. Z tego, co czytałem w prasie, wynika, że pewne grupy zamierzają za wszelką cenę zrobić z rozprawy pani męża prawdziwy pokaz. Stawia to go zatem w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

Judy pomyślała sobie: On chyba weźmie tę sprawę. No i cóż z tego, że nie może mówić. W końcu to nie mózg mu wycięli.

Nagle zorientowała się, że nie zadała mu drugiego istotnego pytania.

- Panie Sylbert, Seth dobrze zarabia, nie jesteśmy jednak zbyt zamożnymi ludźmi.

Prawnik przerwał jej machnięciem ręki i odpowiedział swoim ostrym, skrzypiącym głosem: - Niech się pani nie martwi o nasze honorarium, pani Lazarus.

To jest jedyna firma, której bardziej zależy na prawie niż na honorariach. A poza tym mamy tu płacących klientów, którzy subwencjonują nasze moralne krucjaty. Na przykład, wygraliśmy właśnie sprawę przeciwko przedsiębiorstwu Eagle Pharmaceuticals, ponieważ nie zaznaczyli, że zażywanie tabletek saranacu przeciwko nudnościom w czasie ciąży może spowodować wadliwy rozwój płodu.

- Tak, czytałam już o tym - zauważyła Judy. - To było wspaniałe.

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że kolega, który pomógł nam wygrać tę sprawę, byłby świetny do prowadzenia sprawy pani męża. On jest rzeczywiście znakomity. Uzyskał dyplom prawniczy w dwa lata. Występował również w charakterze biegłego rzeczoznawcy w różnych ważnych procesach o nadużycia medyczne. Naturalnie przygotowujemy tę sprawę razem. Pani pozwoli, że go tu wezwę, to nie będzie pani musiała opowiadać swojej historii dwukrotnie.

Nacisnął guzik wewnętrznego telefonu. - Niech pani poprosi tu do nas naszego doktora, dobrze?

Judy zdziwiła się: - Powiedział pan, doktora?

Sylbert skinął głową. - Jest lekarzem i jednocześnie prawnikiem. Nie ma pani nawet pojęcia, jak świetnie rozprawił się z biegłymi rzeczoznawcami z Eagle. Wyglądali przy nim jak uczniacy, którym podarowano pierwszy zestaw chemiczny. Starł ich na proch, tak że reprezentant Eagle podniósł w końcu ręce do góry i zgodził się na zapłacenie odszkodowań - i to dużych.

W tym momencie wszedł do gabinetu Bennett Landsmann.

- Dzień dobry - powitał Judy i wyciągnął rękę. - Cieszę się, że pani do nas przyszła. Odnoszę bowiem wrażenie, że ta przekłeta sprawa jest polityczną rozgrywką, a ponadto pani mąż był moim kolegą w Szkole Medycznej.

- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, Ben - przerwał żartobliwie Sylbert - że mogą to wykorzystać przeciwko tobie.

Bennett uśmiechnął się spokojnie.

- Mark, za każdym razem, kiedy pokazuję moją czarną twarz przed przysięgłymi, mam ich przeciwko sobie. Zazwyczaj jednak daję sobie z nimi radę.

A potem zwrócił się do Judy i powiedział: - Pani Lazarus, czy mogłaby nam pani opowiedzieć całą tę historię od początku do końca?

Już po dwudziestu minutach Bennett zawrzał z oburzenia. Pocieszył jednak Judy, że istniało wiele podobnych precedensów, w których "zabójców z miłosierdzia" oczyszczono z zarzutów, gdy wyjaśniono sędziom przysięgłym towarzyszące sprawie

okoliczności. Zazwyczaj była to jednogłośnie prośba rodziny, aby zakończyć cierpienia pacjenta. Musieli jednak pamiętać, że Waltersowi sprawa ta służyła za trampolinę i w związku z tym nie było to takie proste.

Ale przede wszystkim należało wyciągnąć Seta z celi i zorganizować kaucję.

Ku wielkiej uldze Lazarusów wstawiennictwo Bennetta okazało się skuteczne. Seth został zwolniony - przynajmniej czasowo - za kaucją stu tysięcy dolarów, którą załatwiła firma Bennetta.

Poradził im obojgu, aby dla własnego bezpieczeństwa i spokoju zatrzymali się anonimowo w jakimś hotelu na uboczu.

Chętnie na to przystali.

- I zadbaj o niego - poradził Judy Bennett. - To widać, że jedzenie więzienne mu nie służyło.

Nadal osłabiony i oszołomiony swoim uwięzieniem Seth powstał i uściśnął Bennettowi rękę. - Nigdy ci tego nie zapomnę, Ben. Prawie się nie znaliśmy w Szkole Medycznej, a jednak nadstawiasz za mnie karku.

- Mylisz się - odpowiedział Bennett. - Nie robię tego jedynie dla ciebie, lecz również dla tych wszystkich pacjentów, którym pomogłeś. Bóg jeden wie, że mógłbym wyliczyć dziesiątki chirurgów, z którymi współpracowałem, którzy znalazłszy paskudnego raka niemal w każdym z organów swoich pacjentów, mówili anestezjologom, żeby pozwolili im "nieco głębiej" zasnąć. I nawet ich przedtem nie budzili, żeby prosić o zgodę.

- Czy któryś z tych facetów zgodziłby się złożyć zeznania? - zapytał Seth.

- Wykluczone - odpowiedział Bennett. - Sami ryzykowaliby zbyt wiele. Nikt z nich nie jest aż takim altruistą.

Na tym polegało sedno sprawy. Chodziło o znalezienie lekarza, a przy odrobinie szczęścia dwóch lub czterech, którzy zgodziliby się złożyć zeznania, że postępek Seta nie był pogwałceniem etyki lekarskiej, gdyż podstawowym zadaniem lekarza jest ochrona pacjentów przed cierpieniem.

Data rozprawy została wyznaczona na pierwszy poniedziałek listopada. Bennettowi wydawało się, że będzie potrzebował aż tyle czasu na przeczesanie środowiska lekarskiego i znalezienie lekarzy odważnych do tego stopnia, by zgodzili się wystąpić w obronie Seta.

Upłynęła jednakże połowa lata i nie znalazł ani jednego biegłego rzeczoznawcy. Jego przyjaciele-chirurdzy z Bostonu i New Haven - albo zaprzeczyli wprost, że

kiedykolwiek robili to, czego był świadkiem, albo po prostu odmówili zeznań ze względu na niepisane prawo, zabraniające im krytykowania postępowania starszych kolegów.

Do diabła! - pomyślał zirytowany. Może sam będę musiał zająć miejsce dla świadków.

Czas mijał i Mark Sylbert został zmuszony zwrócić się z prośbą do sądu o odroczenie sprawy.

Prokuratorowi Generalnemu Waltersowi również nie odpowiadała listopadowa data. Oznaczało to bowiem, że rozprawa odbędzie się dopiero po wyborach i utraci wszelką polityczną siłę rozpędu, na której tak bardzo mu zależało. W związku z tym zwrócił się z prośbą o przesunięcie rozprawy na wcześniejszy termin.

Było to oczywiście oburzające i niesprawiedliwe. Jednakże Edmund Walters nie harował w szeregach partyjnych przez ostatnie dwadzieścia lat nadaremnie. Miał odpowiednie powiązania.

Rozprawę przesunięto zatem na pierwszy tydzień września. Bennett wpadł w szal, Sylbert rzucał się z wściekłości. Obaj złożyli protest, ale daremnie. Zbliżał się termin rozprawy i choć posiadali amunicję, zupełnie nie mieli z czego strzelać.

Pewnego wieczoru w połowie sierpnia Bennett zwierzył się Barniemu przez telefon ze swoich frustracji. Tego dnia postanowił, że będzie siedział przy biurku i wydzwaniał do wszystkich lekarzy na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu, dopóki nie wyjdą z pracy.

- To skandal - powiedział z gniewem Barney. - Nie mogę wprost uwierzyć, żeby tylu lekarzy zachowywało się tak egoistycznie w sytuacji, w której chodzi przecież o życie człowieka, i to jednego z nich.

- No cóż, Barney - odpowiedział Bennett. - Gdybym ci mógł wyjawić nazwiska wszystkich wybitnych doktorów tego kraju, którzy odmówili zeznań na naszą korzyść, to twoja książka zostałaby wiarygodnym spisem tego *Who is who* w amerykańskiej medycynie.

- A czy strona przeciwna ma jakąś ciężką artylerię?

- Kpisz sobie chyba - wykrzyknął Bennett. - Mają tam cały batalion domagający się potępienia eutanazji. Ni stąd, ni zowąd całe środowisko medyczne stało się obłudnie świętoszkowate. Nigdy byś nawet nie zgadł, kto jest ich najwybitniejszym rzeczoznawcą. Zgłupiejesz, jak usłyszysz. Nie kto inny, tylko sam dziekan Courtney Holmes!

- Holmes? Żartujesz? Dlaczego miałby się tak wysilać, żeby świadczyć przeciwko byłemu studentowi?

- No cóż, na jego obronę mogę tylko powiedzieć, że z tego, co słyszę, zawezwano go do stawienia się do sądu pod groźbą kary. Istnieje zatem szansa, że nie ma wcale ochoty zeznawać przeciwko Sethowi.

- Czy mógłbym ci w jakiś sposób pomóc?

Bennett zastanowił się przez chwilę i powiedział: - Właściwie mógłbyś zrobić jedną rzecz, Barney. Brat zmarłego, Hector, ma pewne psychiczne problemy. Czy mógłbyś go zobaczyć i zaświadczyć formalnie, czy według ciebie jest na tyle kompetentny, aby móc złożyć zeznanie?

- Oczywiście, Ben. Nie ma problemu. Dlaczego jednak chcesz wezwać na świadka osobę tak nie zrównoważoną?

- Barney, czy ty jeszcze nie rozumiesz, o co chodzi? Nikt o zdrowym umyśle nie zgodzi się zeznawać na rzecz oskarżonego w tej sprawie.

- To wcale nie jest śmieszne, Landsmann.

- Zapewniam cię, Barney, że daleko mi do śmiechu. Kiedy mógłbyś tu przylecieć?

- Czy następny weekend będzie ci odpowiadał?

- Świetnie. Zaaranżuję spotkanie i wyjdę po ciebie na lotnisko. Przywieź ze sobą Laure, «to zorganizujemy minizjazd. Dziękuję za to, że nadstawiasz kark.

- Ben, to nie ja, tylko Seth ma stryczek na szyi. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Laury:

- No cóż, Castellano, co sądzisz o spędzeniu weekendu w Wietrznym Mieście?

- To byłoby cudowne. Tylko że ja nie mogę tam lecieć.

- Hej, daj spokój. Zawarliśmy w końcu umowę, że będziemy spędzać weekendy razem.

- Chodzi mi o to, Barney, że ja nie mogę latać.

- A cóż to znowu? Jakaś nowa fobia?

- Owszem, nowa. Tylko że nie fobia. Po prostu jestem w ciąży.

Rozdział LI

- Ogłaszam posiedzenie Sądu Stanów Zjednoczonych Okręgu Pomocnego Illinois. Proszę powstać. Dzisiejszą rozprawę prowadzi sędzia Julius Novak.

Na podium wkroczyła odziana w czarne szaty postać, o twarzy tak nieprzeniknionej i niedostępnej jak góra Rushmore. Sędzia usiadł i bez żadnej ceremonii spojrzął na prawników.

- No dobrze. Słuchamy rozprawy wytoczonej przez rząd Stanów Zjednoczonych przeciw doktorowi Lazarusowi. Czy obrona jest gotowa?

Pomimo klimatyzacji gęsty tłum w połączeniu z upałem z zewnątrz zamieniły salę rozpraw w prawdziwy piekarnik.

Mark Sylbert podniósł się ciężko i odpowiedział z godnością, mimo drażniącego zgrzytu swego głosu: - Tak, panie sędzio. Jesteśmy gotowi.

Procedura sądowa wymagała, aby oficjalnymi oskarżycielami w sprawach federalnych byli asystenci prokuratorów Stanów Zjednoczonych. Wszelako Ed Walters zdołał zręcznie przypisać sobie tę główną rolę, pozostawiając uczonemu reprezentantowi rządu, młodemu Rodneyowi Brooke'owi, zaledwie jedną linijkę wprowadzenia: - Tak, panie sędzio.

W tym samym momencie Walters skoczył na równe nogi, wyszedł zza swego biurka i zajął centralną pozycję na scenie.

Zwrócił się w stronę sędziów przysięgłych, przyjmując pozę operowego tenora, zamierzającego oczarować publiczność jakąś wyjątkowo wzruszającą arią.

- Panie sędzio, panie i panowie przysięgli! Nasi dzisiejsi świadkowie dowiodą ponad wszelką wątpliwość, że dwunastego marca tego roku oskarżony doktor Seth Lazarus świadomie i z premedytacją zamordował kapitana Korpusu Piechoty Morskiej Marynarki Stanów Zjednoczonych Francisco Camposa, pacjenta w Administracyjnym Szpitalu Weteranów w Lakeshore.

Ściągnął okulary i rozejrzał się po twarzach przysięgłych.

- Znaczenie sprawy, którą dzisiaj rozpatrujemy, daleko wykracza poza ściany tego budynku sądowego. Dotyczy ona bowiem fundamentalnych zasad, które czynią z nas społeczeństwo podległe regułom prawa.

Moi koledzy z obrony, panowie Sylbert i Landsmann, mogą próbować dowodzić, że czyn oskarżonego był jedynie "zabójstwem z miłosierdzia". Jest to jednak równoznaczne z przyznaniem się do winy. Z wyjątkiem bowiem oczywistego

działania w samoobronie lub szaleństwie, nigdzie na świecie nie ma takiego kodeksu prawnego, który sankcjonowałby jakikolwiek rodzaj zabijania - z miłosierdzia czy też z nienawiści.

Strona oskarżająca dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że oskarżony był dotychczas uznawany za lekarza bardzo mądrego i ogromnie litościwego. Niemniej, przy pomocy biegłych świadków, zamierzamy udowodnić, że uśmiercając kapitana Camposa, działał on bezprawnie.

Sędzia Novak zapytał wówczas, czy prawnicy oskarżonego mieli coś do orzeczenia na wstępie.

Sylbert powstał i ponownie odpowiedział swym zgrzytającym, metalicznym głosem: - Nie mamy, panie sędzio. Jesteśmy przekonani, że oskarżyciel nie będzie w stanie dowieść ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony jest winny.

Walters stanął ponownie w świetle reflektorów i wezwał agenta specjalnego, Johna Patricka Sullivana, do złożenia zeznań.

Agent FBI rozsiadł się wygodnie na dobrze sobie znanym krześle.

Walters rozpoczął przesłuchiwanie.

- Panie Sullivan, czy mógłby pan nam powiedzieć, w jaki sposób pański urząd został zainteresowany tą sprawą?

- No cóż, proszę pana, paragraf osiemnasty Kodeksu Kryminalnego Stanów Zjednoczonych głosi, że każdy bezprawny czyn popełniony na terenie federalnej własności podlega naszej jurysdykcji. Zwróciliśmy uwagę na działalność doktora Lazarusa dzięki pielęgniarce pracującej w Szpitalu Weteranów, która zaczęła coś podejrzewać w związku ze śmiercią jednego z pacjentów. Obawiała się, że sprawca mógłby uderzyć ponownie. Urząd nasz śledził oskarżonego dniami i nocami oraz uzyskał zezwolenie na założenie mikrofonu przy łóżku zmarłego.

- Co było tego powodem?

- Mieliśmy podstawy, żeby przypuszczać, że kapitan Campos będzie jego następną ofiarą.

- Co na to wskazywało?

- Wiedzieliśmy, że młodszy brat kapitana usiłował go zabić podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Biedny dzieciak obsesyjnie usiłował zakończyć cierpienia brata.

Sullivan poprawił się prędko: - A w każdym razie, jemu się zdawało, że jego brat bardzo cierpiał.

- I czego dowiedział się pan z taśmy?

- Słyszeliśmy, jak doktor Lazarus powiedział kapitanowi Camposowi, że go uśmierci.

- A jak na to zareagował kapitan Campos?

- Naturalnie bardzo się przeraził. Był jednak zupełnym kaleką i nie mógł zdradzić swoich obaw pozostałemu personelowi medycznemu.

Bennett przerwał ze złością.

- Zgłaszam sprzeciw. Taśma dowiedzie ostatecznie, że kapitan pomimo swoich obrażeń zachował nadal jasność umysłu i posiadał wystarczające zdolności komunikacyjne.

Walters zwrócił się bezpośrednio do obrońców.

- Czy panowie zgadzają się zatem na załączenie tej taśmy do oficjalnych dowodów jako autentycznego zapisu wydarzeń?

- Absolutnie - odpowiedział Bennett.

Na sali nastąpiło poruszenie. Przyniesiono magnetofon i Walters ogłosił niczym mistrz ceremonii: - Panie sędzio, panie i panowie przysięgli. Usłyszycie teraz rozmowę pomiędzy kapitanem Camposem a oskarżonym, doktorem Lazarusem.

Przesadnym gestem nacisnął przycisk.

Cała sala usłyszała wówczas, jak Seth zapytał żołnierza, czy go rozumie, a potem jego godny politowania skowyt zamiast odpowiedzi. Po zapytaniu pacjenta, czy cierpi i pragnie śmierci, nastąpiła kolejna seria jęków. W końcu usłyszeli, jak Seth powiedział:

- Wróć tu wkrótce do pana.

Walters wyłączył maszynę i spojrzał na przysięgłych z nie ukrywaną satysfakcją.

- Panie i panowie, zdecydujcie sami, czy te powykręcane sylaby, te pozbawione znaczenia i niemal patetyczne odgłosy były zgodą czy też raczej wyrazem strachu i przerażenia, którego nie był w stanie zakomunikować zewnętrznemu światu.

Seth zakrył dłonią czoło jakby pod wpływem bólu. Siedzący o parę rzędów dalej Barney położył uspokajającym gestem rękę na zaciśniętej mocno pięści Judy.

Bennett przerwał: - Zgłaszam sprzeciw, panie sędzio! To należy do podsumowania i powinno być zachowane na koniec rozprawy.

Novak pokiwał głową. - Podtrzymuję. - I zwracając się do Waltersa, rozkazał: - Niech pan przejdzie do następnego pytania, panie prokuratorze.

Walters odwrócił się ponownie w stronę urzędnika FBI i zapytał:

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, co pan zrobił po tym, jak usłyszał pan propozycję oskarżonego, a właściwie jego obietnicę, że przyjdzie zabić kapitana?

- Oczywiście. Postawiliśmy dwóch agentów w piwnicy, żeby pilnowali mikrofonu, więc kiedy tylko usłyszeliśmy coś podejrzanego, mogliśmy od razu biec na górę. - A potem dokończył, zwracając się do Waltersa: - Przykro mi to wyznać, ale samo morderstwo również zostało zarejestrowane na taśmie.

Następnie przesadnym gestem Walters nacisnął przycisk i znowu usłyszano głos Seta: - Kapitanie Campos, słyszy mnie pan? Mówi doktor Lazarus. Przyszedłem, żeby położyć kres pańskim cierpieniom, żeby pomóc panu zasnąć na wieki. Jeśli się pan zgadza, to zrobię panu mały zastrzyk, który powinien to wszystko zakończyć.

Walters zatrzymał maszynę i zapytał świadka: - Jak zareagował na to pan i pańscy ludzie?

- Ruszyliśmy tak prędko, jak tylko było to możliwe. Obawiam się jednak, że doktor Lazarus był szybszy i zanim zdążyliśmy przybyć na scenę, zdołał zabić kapitana Camposa.

- Zgłaszam sprzeciw - zawołał Bennett. - Terminologia używana przez świadka sugeruje winę.

Na co sędzia Novak odpowiedział: - Podtrzymuję, doktorze Landsmann. Nakazuję sędziom przysięgłym, ażeby zignorowali ostatnie stwierdzenie agenta Sullivana.

Niczym nie wzruszony Walters zakończył: - Agencie Sullivan, pochwalam pańskie działanie w tej sprawie.

- Dziękuję panu.

Członek FBI zaczął podnosić się z miejsca dla świadków, kiedy nagle uzmysłowił sobie, że miała go jeszcze przesłuchać obrona.

- Agencie Sullivan - zaczął Bennett - chciałbym, żeby przesłuchał pan ostatni urywek taśmy i powiedział nam, co według pana przypuszczalnie się tam wydarzyło?

- To nie są żadne moje przypuszczenia, panie Landsmann - odpowiedział zniecierpliwiony Sullivan. - Ja to wiem. Jestem zawodowym przedstawicielem prawa.

- Wybacz pan, ale nie był pan przy tym obecny. Jedyнным dowodem z pierwszej ręki, jaki posiadamy, jest ta pańska taśma. A tak nawiasem mówiąc, czy nie spreparował jej pan przypadkiem odpowiednio?

- Z całą pewnością nie - odpowiedział z oburzeniem agent.

- Czy mógłby mi pan zatem powiedzieć, jaka była odpowiedź kapitana Camposa na propozycję doktora Lazarusa zrobienia mu zastrzyku?

Sullivan zamyślił się przez chwilę.

- No cóż, zdaje się, że nie było żadnej. Być może ten facet był już zbyt nafaszerowany pigułkami.

- Albo też kapitan Campos był już martwy. Czy istnieje taka możliwość? - zasugerował Bennett.

- Na litość boską, wszystko jest możliwe - odpowiedział zirytowany agent. - Słyszał pan przecież, jak doktor Lazarus powiedział, że przyszedł, żeby pomóc kapitanowi umrzeć. Co to za różnica?

- Powiedziałbym, że to ogromna różnica. Oskarżony stwierdził w swoim zeznaniu przed rozprawą, że nigdy by tego nie uczynił, gdyby nie uzyskał na to racjonalnej zgody pacjenta. Zgadza się pan?

- Panie Landsmann, pracowałem już w tym zawodzie bardzo długo. I kiedy na scenę wkracza policjant i znajduje tam ciało oraz kogoś stojącego nad nim z dymiącym pistoletem w ręku, to chyba jasne, co się stało, nie sądzi pan?

- To, co pan sądzi, jest rzeczywiście jasne, agencie Sullivan. Bennett podszedł do swego stołu i wziął do ręki cienki dokument w niebieskiej okładce. - Agencie Sullivan, czy przeczytał pan raport z sekcji zwłok kapitana Camposa, który został załączony do materiału dowodowego?

- Tak, proszę pana.

- Czy przypomina pan sobie, że stwierdzono w nim, że śmierć nastąpiła w wyniku ogromnej dawki chlorowodoru kokainy?

- Tak, proszę pana.

- Czy FBI znalazło kiedykolwiek strzykawkę czy też jakieś inne narzędzie, za pomocą którego można było podać kokainę i na którym pozostałyby odciski palców oskarżonego?

Sullivan zawahał się przez chwilę. - To o niczym nie świadczy. Znaleźliśmy przy nim pełną strzykawkę z taką ilością morfiny, że wystarczyłaby na zabicie konia.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Nie zaprzeczamy, że doktor Lazarus miał przy sobie strzykawkę z morfiną - i jestem pewny, że sędziowie przysięgli odnotowali już sobie, że jak pan sam przyznał, była nadal całkowicie pełna. Jakim jednak sposobem, według pana, doktor Lazarus wprowadził kokainę do krwiobiegu zmarłego? I jak pan wyjaśni fakt, że nie znaleziono przy nim żadnego narzędzia?

- Musiał się go w jakiś sposób pozbyć.

- To tylko spekulacja z pańskiej strony, prawda?

Sullivan niechętnie skinął głową. - Można by tak powiedzieć.

Bennett spokojnie spojrział na przysięgłych, odpowiadając świadka. - Nie mam więcej pytań.

Sullivan spojrział krzywo na Bennetta i opuścił miejsce dla świadków.

Przed wezwaniem następnego świadka prokurator Walters wziął do ręki ogromną księgę prawniczą, otworzył ją na zaznaczonej uprzednio stronie i zwrócił się do przysięgłych z uśmiechem.

- Z całym szacunkiem proszę, ażeby pan, panie sędzio, pouczył przysięgłych o kodeksie karnym tego stanu, dotyczącym "prawa niemożliwości".

Następnie podał sędziemu księgę. Novak założył okulary i wykonał życzenie prokuratora. - Panie i panowie przysięgli, pouczam was niniejszym, co następuje: "Uważa się, że osoba może być winna próby popełnienia morderstwa zamierzonej ofiary, która jest już martwa, jeśli istnieją dowody, na podstawie których można stwierdzić, iż w czasie owej próby oskarżony wierzył, że ofiara żyła nadal".

Walters spojrział tryumfująco na przysięgłych. - Powiedziałbym, że brzmi to całkiem jednoznacznie i odnosi się bezpośrednio...

- Zgłaszam sprzeciw! - Sylbert skoczył na równe nogi. - Oskarżycielowi nie wolno komentować prawa.

- Podtrzymuję sprzeciw - zarządził Novak.

Walters wzruszył zaledwie ramionami w teatralnym geście porażki, którym zdawał się mówić przysięgłym: - Wszyscy wiemy, że jest winny, to tylko formalność.

I ciągnął dalej: - Skoro moi uczeni koledzy z obrony wspomnieli już o zeznaniach, to chciałbym zwrócić uwagę przysięgłych na zeznanie Hectora Camposa, odnotowane po próbie zamordowania brata - w okolicznościach, które potem uznano za czasowe szaleństwo. Brat zmarłego zeznał również, że poprosił doktora Lazarusa, aby dokonał owego "zabójstwa z litości". Mamy zatem następny dowód na to, że oskarżony działał rozmyślnie i z premedytacją. - Przerwał na chwilę i ogłosił: - Prokurator chciałby teraz wezwać na świadka doktora Courtneya Holmesa.

Kilku lekarzy siedzących na sali, łącznie z jednym z prawników obrony, patrzyło ze zgrozą, jak ich były dziekan ze Szkoły Medycznej wkraczał sztywno na podium dla świadków. Po zaprzysiężeniu, czekał spokojnie na rozpoczęcie przesłuchania.

Wyliczył swoje nieskazitelne zasługi. Przez trzydzieści pięć lat był profesorem medycyny na Harvardzie, w ciągu ostatnich dwunastu lat pełnił tam funkcję dziekana. Teraz, mimo że był już emerytowanym profesorem, służył w paru państwowych komisjach i radach Kongresu jako doradca.

Chociaż Walters uzasadnił wezwanie świadka, zmuszając go do wyliczenia kilku jego publikacji na temat etyki lekarskiej, obrona nie była w stanie przewidzieć, w jakim świetle Holmes mógł postawić ich sprawę.

- Dziekanie Holmes, czy zna pan oskarżonego?

- Przypominam go sobie jako świetnego studenta z roku 1962. Wydaje mi się, że ukończył studia jako pierwszy na roku.

- Czy to prawda - wypytywał Walters - że w lutym 1959 roku, a potem w rok później, mieliście serię nie wyjaśnionych morderstw w Szkole Medycznej?

Bennett natychmiast skoczył na nogi.

- Zgłaszam sprzeciw, panie sędzio. Prokurator implikuje przez przeoczenie, że chodziło tam o morderstwa ludzi. Podczas gdy w rzeczywistości...

- A więc pan również wie o tych morderstwach?

Sędzia Novak uderzył młotkiem. - Panowie, to nie jest akademicka debata. Niech obie strony podejną do stołu.

Obaj prawnicy spełnili rozkaz. Novak zwrócił się do nich szeptem: - Czego, u diabła, chce pan dowieść, Walters?

- Panie sędzio, usiłuję tylko przez to udowodnić, że oskarżony popełnił już uprzednio wiele "złych uczynków" i wykazał, że jest to długotrwały schemat zachowawczy.

- To bardzo mgliste - zaprotestował Bennett. - Obrona zgłasza sprzeciw.

Sędzia westchnął. - Pozwolę mu kontynuować, a potem podejmę decyzję w kwestii dopuszczalności tych dowodów. Może pan kontynuować, panie Walters.

Bennett poddał się i wrócił na miejsce, spoglądając poważnie na Sylberta. Walters dalej przesłuchiwał świadka.

- Czy mógłby mi pan opisać te morderstwa, dziekanie Holmes?

Dostojny świadek odpowiedział wolno: - Były to tajemnicze zgony wśród laboratoryjnych zwierząt - a dokładniej mówiąc, psów - które nastąpiły w roku 1959 i potem znowu w 1960 roku.

- Czyż oskarżony nie był wówczas uczestnikiem jednego z chirurgicznych kursów i czyż nie dokonywał doświadczeń na tych zwierzętach?

Bennett wybuchnął.

- Zgłaszam sprzeciw. Co śmierć tych psów ma wspólnego ze sprawą doktora Lazarusza?

- Nadal wstrzymuję się od osądu, doktorze Landsmann. Zadecyduję w tej sprawie, jak usłyszę coś więcej na ten temat.

- Dziekanie Holmes, czy mógłby mi pan powiedzieć, co się stało z tymi psami w trakcie tych dwóch wypadków "zabójstw z miłosierdzia"? - Powiedziałbym, że były one lekką przesadą.

- Pan pozwoli, że sformułuję to pytanie trochę inaczej - powiedział Walters, usiłując ukryć wzrastającą frustrację z powodu własnego świadka. - Czy uważa pan, że te zabójstwa - z punktu widzenia ofiar - złagodziły ich ból?

- No cóż, chyba tak.

Walters zwrócił się do przysięgłych: - Panie i panowie, zwracam waszą uwagę na to, że doktor Lazarus był studentem w czasie, gdy nastąpiły oba te niecodzienne w historii Harvardzkiej Szkoły Medycznej wypadki - owe tak zwane "zabójstwa z miłosierdzia". Ile to było psów, dziekanie Holmes?

- Nie przypominam sobie.

Walters spojrział na swoje notatki. - Czy odświeżyłoby to pańską pamięć, gdybym panu powiedział, że w pierwszym wypadku chodziło o dziewięć zabójstw, a w drugim o sześć? Czy kiedykolwiek zdołano wyjaśnić tę tajemnicę?

Dziekan Holmes odpowiedział bezbarwnym tonem: - Nie, nigdy.

- Czy powtórzyło się to jeszcze w którymś z kolejnych lat?

- Nie.

Walters zwrócił się do Bennetta. - Oddaję panu świadka.

Bennett poczuł nagle dziwną nieśmiałość. Stawiał już czoło wielu groźnym świadkom, teraz jednak miał przesłuchiwać jednego ze swoich najbardziej szacownych nauczycieli. Uzmysłowanie sobie, że nie był już uczniem, kosztowało go wiele psychicznego wysiłku.

- Dziekanie Holmes, czy opublikował pan kiedykolwiek swoje poglądy na temat eutanazji, czy też miał pan kiedyś wykłady na ten temat?

- Tak. Wydałem kiedyś pracę pod tytułem Obrady pierwszej międzynarodowej konferencji na temat etyki medycznej, a także od czasu do czasu przedstawiałem je w bardziej skróconej formie przedstawicielom prasy.

- Czy mógłby mi pan zatem dokładniej powiedzieć, czy był pan publicznie zwolennikiem, lub inaczej mówiąc, czy posiada pan zdecydowane poglądy za lub przeciw temu, co się powszechnie nazywa “zabójstwem z miłosierdzia”?

Nagle nastąpiła przejmująca cisza. Holmes odpowiedział z godnością: - W sytuacjach, w których nie ma już nadziei na życie, a nasze umiejętności nie pozwalają na złagodzenie cierpienia, znałem przypadki, w których lekarze - i muszę dodać, że nawet moi nauczyciele - przyspieszali śmierć pacjenta.

W całej sali zawrzało. Sędzia zawzięcie stukał młotkiem, domagając się przywrócenia ładu i spokoju.

- Czy znana jest panu etyczna debata na ten temat, dziekanie Holmes?

- Tak sądzę.

- Jako ekspert, czy uważa pan, że należy brać w tej sprawie pod uwagę poglądy różnych grup religijnych?

- Tak.

- Czy zna pan może poglądy papieża Piusa XII na tę sprawę?

- Znam.

- Czy mógłby pan powiedzieć sądowi, jakie było stanowisko papieża?

- No cóż, wiem, że w 1958 roku Jego Świątobliwość został bezpośrednio zapytany, czy jego zdaniem cierpiącemu pacjentowi powinno podawać się morfinę lub inne środki przeciwbólowe, które złagodziłyby jego ból, za cenę zagrożenia życia.

- I jaka była jego odpowiedź?

- Twierdząca. Mogę panu podać źródło. Pogląd ten potwierdza również *Watykańska deklaracja na temat eutanazji*.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że papież dopuszczał możliwość “zabójstwa z miłosierdzia”?

- Sprzeciw! Zgłaszam sprzeciw! - ryknął Walters. - Świadczy nie wolno spekulować na temat tego, co papież mógł przez to rozumieć!

- Podtrzymuję sprzeciw - zarządził Novak. - Jeśli doktor Landsmann nie przedstawi dowodów na piśmie, przysięgli mają zignorować słowa na temat “zabójstwa z miłosierdzia” w związku z zarejestrowaną opinią papieża. Proszę kontynuować, doktorze Landsmann.

Bennett pocił się teraz obficie. Zaskakujące stwierdzenie papieża, słynnego z mało liberalnych poglądów, było jednym z jego najlepszych wystrzałów. Jednakże nie wyczerpał jeszcze swego arsenału.

- Jeszcze jedno pytanie, dziękuję Holmes. Odłóżmy na razie teorie. A czy pan pomógłby pacjentowi umrzeć?

Nastąpiła cisza. Tłum nastawił uszu, ażeby lepiej słyszeć odpowiedź wybitnego lekarza.

Padła w końcu przyciszonym tonem: - Być może.

Stwierdzenie Bennetta "Nie mam więcej pytań" utonęło w morzu głośnych pomruków publiczności, która potrzebowała kilku uderzeń sędziowskiego młotka, żeby się uspokoić.

Walters powstał.

- Jeśli sąd zamierza dopuścić ostatnią linię przesłuchania, to ja wobec tego chciałbym zapytać dziekana Holmesa, czy znane jest mu oświadczenie na ten temat doktora Edwina Londona, Naczelnego Lekarza Stanów Zjednoczonych?

- Owszem. Nie pamiętam jednak dokładnie jego słów, ale... Walters sięgnął po dokument i oświadczył:

- Z radością odświeżę pańską pamięć. Doktor London stwierdził: "Tylko Bóg może zdecydować o tym, kiedy życie nie ma już wartości. Jeśli zaczniemy wyznawać etykę, według której człowiek będzie miał prawo decydować o tym, który z jego braci może żyć, a który ma umrzeć, to znajdziemy się na prostej drodze do obozów koncentracyjnych". - Popatrzył na sędziego i powiedział: - Nie mam więcej pytań.

Sędzia zwrócił się do Bennetta:

- Doktor Landsmann?

- Nie mam pytań, panie sędzio.

- Czy ma pan jeszcze jakichś świadków, panie Walters?

- Nie, panie sędzio. Chciałbym jednak z całym szacunkiem przypomnieć sędziom przysięgłym, że załączyliśmy już do materiału dowodowego raport z sekcji zwłok, jak również, że usłyszeli już odczytane im zeznania świadków nie mogących uczestniczyć w rozprawie. Strona oskarżająca kończy przedstawianie dowodów w tej sprawie.

- To dobrze. Ogłaszam zatem przerwę na obiad. Rozprawę wznowimy o drugiej po południu.

O pierwszej czterdzieści pięć wszystkie miejsca były już zajęte. Bennett powstał, aby rozpocząć obronę. Zamierzał zbombardować przysięgłych przykładami spraw, w których tak zwanych zabójców z miłosierdzia uniewinniono.

- Istnieje mnóstwo podobnych precedensów. Na przykład w 1961 roku ojciec, który zabił potwornie zdeformowanego...

Edmund Walters nie zdążył się nawet sprzeciwić, kiedy sędzia Novak zaczął walić młotkiem. - To niedopuszczalne, doktorze Landsmann. Niedopuszczalne! Zakazuję panu kontynuować w ten sposób swoje dowodzenie.

Bennett utracił zatem swój najsilniejszy argument. Popatrzył bezradnie na Marka Sylberta, który skinął na niego lewą ręką.

Bennett spojrzał na Barniego. Wyraz jego twarzy przypominał mu słowa, które wypowiedział po przesłuchaniu Hectora Camposa. (Ten facet jest bardzo nie zrównoważony, Ben. To chodząca bomba.)

Pomimo to Bennett niechętnie wezwał brata zmarłego do zajęcia miejsca dla świadków.

- Hectorze - zapytał łagodnie. - Czy zdawałeś sobie sprawę z zasięgu obrażeń Franka? Czy wiedziałeś, że jest ślepy, częściowo głuchy i że nie mógł się poruszać?

- Tak.

- Czy wiedziałeś, że cierpi?

- Tak.

- Skąd to wiedziałeś?

- Powiedział mi o tym, proszę pana.

- Słowami?

- No, nie. Mógł tylko wydawać z siebie dźwięki - tak jak na tej taśmie, którą pan tu przegrał. Z łatwością mogłem odróżnić, kiedy miał na myśli "tak", a kiedy "nie". To właśnie dlatego, kiedy zapytałem Franka, czy chce umrzeć, wiem, że mi odpowiedział, że chce.

- I co w związku z tym zrobiłeś?

- Kupiłem pistolet. Próbowałem go zastrzelić, ale chybiłem. Z trudem powstrzymałem się od płaczu. - Ale chybiłem! *iAy! iQué dolor!* To straszne, że chybiłem!

Ukrył głowę w dłoniach i rozplakał się.

Sędzia Novak pochylił się do przodu i zapytał Bennetta: - Czy chciałby pan, żebym ogłosił przerwę?

- Nie, panie sędzio. On się zaraz uspokoi.

Zebrani na sali patrzyli prawie przez minutę, jak młody człowiek stopniowo dochodził do siebie.

- Hectorze - ciągnął łagodnie Bennett - czy możesz nam powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś?

- Frank bardzo cierpiał. Chciał bardzo, żeby Bóg zabrał go już do nieba.

Bennett spojrzał na Waltersa. - Świadek jest do pańskiej dyspozycji, panie prokuratorze.

Odchodząc na miejsce, spojrzał raz jeszcze na Barniego, który z ulgą wycierał czoło.

Walters podniósł się lekko z miejsca i skwapliwie oświadczył przysięgłym: - Zadam temu człowiekowi tylko jedno jedyne pytanie i zadowolę się odpowiedzią bez względu na to, czy będzie twierdząca, czy też nie. Panie Campos, czy poprosił pan doktora Lazarusa, żeby użył swych umiejętności jako lekarz i zabił pańskiego brata? Hector skinął głową.

- Proszę, niech pan odpowie słowami - tak czy nie?

- Tak - odpowiedział. - Poprosiłem go o to.

Walters oświadczył z teatralnym gestem w stronę przysięgłych:

- Nie mam więcej pytań. f Bennett był już na nogach.

- Panie sędzio. Mam jeszcze jedno pytanie. Podobnie jak mój szanowny kolega mam do świadka jeszcze tylko jedno pytanie.

Przerwał i usiłując dodać wzrokiem otuchy młodemu człowiekowi, zapytał cicho: - Hectorze, czy to ty wstrzyknąłeś kokainę? Tak czy nie?

Świadek zaniemówił. Bennett usiłował ponaglić go delikatnie.

- Czy to ty zrobiłeś, Hectorze?

- Pójdę za to do więzienia - mruknął, potrząsając głową.

Bennett wahał się pomiędzy współczuciem dla cierpienia młodego człowieka a obawą o to, że za chwilę się załamie i tym samym unieważni swoje świadectwo. Zapytał go spokojnie raz jeszcze:

- Proszę, niech pan odpowie: tak czy nie. Od tego zależy życie niewinnego człowieka. Czy to pan wstrzyknął kokainę, która zabiła pańskiego brata?

Młody człowiek zawahał się ponownie, tym razem jednak tylko na chwilę, i wreszcie powiedział: - Tak. Francisco błagał mnie, żebym to zrobił.

Na sali nastąpiło poruszenie. Bennett zwrócił się do sędziego:

- Panie sędzio, na podstawie zeznań tego człowieka wnoszę o oddalenie oskarżenia.

- Zgłaszam sprzeciw! - Walters skoczył na równe nogi, zanim sędzia Novak zdążył zareagować. - Wydaje mi się, że pewna rzecz uszła uwagi mego młodszego kolegi, który, najwidoczniej zapomniał o pańskim pouczeniu dotyczącym “prawa niemożliwości”. Prawo to stwierdza wyraźnie, że człowiek jest winny nawet wówczas, gdy tylko zamierzał dokonać czynu, którego za niego dokonano. Dlatego też świadectwo Hectora Camposa nie ma żadnego wpływu na sprawę doktora Lazarusa.

Sędzia Novak zwrócił się do Bennetta: - Pan Walters ma rację.

Kwestia intencji nadal uprawomocnia oskarżenie. Proszę wezwać następnego świadka.

Bennett zwlekał chwilę, czekając na absolutną ciszę, zanim oznajmił nieomal półgłosem: - Obrona wzywa doktora Lazarusa.

Cała sala zamarła, patrząc, jak zgarbiony, blady i zdenerwowany Seth podchodził wolno do miejsca dla świadków.

- Moje pytania będą krótkie i proste, doktorze Lazarus - zaczął Bennett. - Po pierwsze, biorąc pod uwagę wniesioną przez prokuratora kwestię intencji, czy mógłby nam pan powiedzieć, czy zamierzał pan zakończyć życie kapitana Camposa, czy też nie?

- Zamierzałem.

- Czy mógłby pan powiedzieć sędziom przysięgłym, dlaczego?

- Ponieważ ten człowiek właściwie już nie żył, to znaczy, nie był zdolny do życia. Istnieje różnica pomiędzy wegetacją a życiem. Wegetacja jest zjawiskiem biologicznym. Szympany i owady, nawet drzewa i krzewy są “żywymi” stworzeniami. Życie jednak oznacza coś więcej. Chciałem złagodzić cierpienia kogoś, kto nie był już w pełni człowiekiem. Uważałem, że kapitan Campos zasługiwał na takie samo miłosierdzie, jakim społeczeństwo zawsze darzyło zranione śmiertelnie zwierzęta.

Nawet w swoich najczarniejszych obawach Edmund Walters nie wyobrażał sobie, że obrona odważy się wezwać oskarżonego na świadka. FBI zebrało bowiem teczkę dowodów na Setha, która wystarczyłaby na to, aby go sądzić do końca życia.

Prokurator pospiesznie rozpoczął krzyżowy ogień pytań.

- Doktorze Lazarus, gdy był pan w Szkole Medycznej, czy pamięta pan wydarzenia, o których wspominał dziekan Holmes, kiedy to dokonano masowej rzezi zwierząt laboratoryjnych? Proszę odpowiedzieć - tak czy nie?

Seth odpowiedział bez namysłu: - Ja to zrobiłem. Rozległy się głośne, pełne podniecenia pomruki. Poruszone zostały silne emocje.

- Mam jeszcze jedno pytanie - ogłosił Walters. A potem utkwiał w oskarżonym przenikliwy wzrok. - Doktorze Lazarus, czy od czasu zgładzenia tych laboratoryjnych zwierząt "pomógł" pan umrzeć jeszcze jakimś innym pacjentom, poza kapitanem Camposem?

- Zgłaszam sprzeciw! - warknął Bennett. - Ta linia przesłuchania jest stronicza i krzywdząca.

Novak zastanowił się przez chwilę i powiedział: - Uchylam sprzeciw.

Na sali zapanowała grobowa cisza. Barney objął Judy ramieniem.

Nie było odpowiedzi. Walters nalegał przymilnie: - Doktorze Lazarus, wszyscy z wielką niecierpliwością czekamy na pańską odpowiedź. Czy kiedykolwiek pomógł pan w ten sposób innemu pacjentowi?

Seth milczał przez chwilę, a potem z cichym gniewem odpowiedział:

- Tak, panie Walters. Z miłosierdzia.

Prokurator ściągnął okulary i oświadczył: - Nie mam więcej pytań.

Kiedy Seth wracał na swoje miejsce, na sali zapanowała śmiertelna cisza.

W chwilę później Bennett powstał, aby wygłosić ostateczną obronę.

Zawsze uważał, że to niesprawiedliwe, aby obrona przemawiała pierwsza, zostawiając oskarżycielom ostatnie słowo. Sędziowie, nawet mając najlepsze intencje, byli zaledwie trzciniami na wietrze - a tym bardziej o tak późnej porze dnia.

Najprawdopodobniej największe wrażenie wywrze na nich to, co usłyszą na końcu. A zatem musi się cholernie postarać.

- Panie sędzio, panie i panowie przysięgli. Słyszeliśmy dziś na tej sali wiele emocjonalnie naładowanych słów, rzucanych na prawo i lewo. Do tego stopnia, że o mały włos w tym dymie moralnych i etycznych zagadnień, które nie mają nic wspólnego ze sprawą doktora Lazarusa, nie zagubiliśmy faktów.

Wydawało mi się, że to wystarczy, że Hector Campos przyznał się pod przysięgą, że zabił brata przed przybyciem doktora Lazarusa. Uznaję przytoczony przez oskarżyciela cytat o "prawie niemożliwości", chciałbym tu jednak zaznaczyć, że "zabójstwa z miłosierdzia" czy też "śmierć z godności", jak nazywają je inaczej niektórzy moi koledzy lekarze, praktykowane były od niepamiętnych czasów. Hiob w swojej niedoli błagał o śmierć. I chociaż to prawda, że Bóg ulżył jego cierpieniom, to jednak nie słyszałem jeszcze o żadnym wypadku boskiej interwencji na oddziałach onkologicznych.

Oskarżony doktor Lazarus przyznał, że interweniował w przypadkach, gdy pacjent nie miał już nadziei na życie i rozpaczliwie cierpiał.

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu i cicho ciągnął dalej: - To nie doktor Lazarus zabił kapitana Camposa. Po tych potwornych okaleczeniach i ranach odniesionych w Wietnamie, które pozbawiły go czucia i zmysłów, kapitan Campos już właściwie nie żył.

Kiedy wreszcie obrona dobiegła końca, prokurator Walters miał trzy srebrne kulki w karabinie i zamierzał je wszystkie wystrzelić.

Zaczął od Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy.

- Panie i panowie przysięgli! Chciałbym dostosować się do życzenia sędziego i ograniczyć się do oskarżonego, a zatem tylko nawiasem napomknę, że tak jak słyszeliście w trakcie rozprawy, Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy w swoim oświadczeniu z 1973 roku - zatytułowanym *Lekarz i umierający pacjent* - stwierdzało, cytując: "Celowe zakończenie życia jednej osoby przez drugą" - używa się tu nawet terminologii "zabójstwo z miłosierdzia" - jest sprzeczne z tym, co symbolizuje zawód lekarski". Koniec cytatu.

Zostawmy jednak Stowarzyszenie Lekarzy. Przypomnijmy może za to próbę wykorzystania przez obronę Kościoła katolickiego, kiedy to wypytywano dziekana Holmesa o wyrwane z kontekstu stwierdzenie papieża Piusa XII, uczynione wiele lat temu. Miejmy jednakże również na uwadze słowa ojca O'Connor, katolickiego kapelana Szpitala Weteranów, w którym umarł kapitan Campos.

Podniósł głos i przeczytał: "Kościół jest i zawsze był przeciwko odbieraniu życia w jakichkolwiek okolicznościach". Dodam również, jak to słyszeliście w trakcie rozprawy, że teolodzy żydowscy są nie mniej stanowczy w tej kwestii. Maimonides - sam będąc lekarzem - napisał: "Osoba umierająca powinna być traktowana pod każdym względem tak samo jak osoba żyjąca".

Przerwał na chwilę i dodał: - Słyszeliśmy również, że Koran wyraźnie stwierdza, że eutanazja, nawet na żądanie ofiary, jest grzechem, i ci, którzy ją wykonują, powinni być - cytując: "wyłączeni z nieba na zawsze".

Oskarżony przyznał pod przysięgą, że "pomagał" ludziom umierać. Mówiąc inaczej, podejmował subiektywne decyzje, kto ma żyć, a kto nie.' Jest to chyba prerogatywą Boga. Swego czasu hitlerowcy uczynili tak z sześcioma milionami ludzi i cały cywilizowany świat krzyczał, żeby ich ukarać.

Panie i panowie przysięgli, wiemy, że nie jesteśmy bogami. Błagam was zatem, abyście nie pozwolili nam zachować się jak hitlerowcy.

Było już późno. Sędzia skwapliwie zachęcił przysięgłych do zignorowania odwołań obu stron do emocji. Pouczył ich również, aby nie zwracali uwagi na "filozofowanie obrony na temat życia i śmierci" oraz na "inwokację" oskarżyciela do przedziwnej trójcy - Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy, Kościoła katolickiego i Hitlera, gdyż to nie ona była sądzona na tej rozprawie. Mieli jedynie zdecydować, czy doktor Lazarus był winny morderstwa lub też zamiaru popełnienia morderstwa i czy w związku z tym powinien zostać ukarany.

Nikt nie zmrużył oka tej nocy. Nikt.

Mimo że nie spodziewano się orzeczenia werdyktu wcześniej aniżeli późnym popołudniem, obaj adwokaci siedzieli już na swoich miejscach z wybiciem dziewiątej. Dwadzieścia minut po dwunastej wkroczyli na salę przysięgli.

Wydawało się, że w całym pomieszczeniu zabrakło nagle tlenu, jakby siedzący tam ludzie zużyli całe powietrze.

Sędzia Novak zajął miejsce w fotelu.

- Panie i panowie przysięgli - zapytał. - Czy wydaliście werdykt?

Przewodniczący Artur Zinn, z zawodu dentysta, wstał i odpowiedział: - Tak, panie sędzio. Uważamy, że oskarżony jest winny...

W sali zawrzało. Novak walił energicznie młotkiem, domagając się przywrócenia porządku. Najwidoczniej przewodniczący nie zdążył dokończyć swoich uwag. Kiedy przywrócono jako taki spokój, sędzia zapytał ponownie: - Tak, doktorze Zinn, powiedział pan...

- Tak jak nam pan nakazał, oparliśmy nasze orzeczenie winy ściśle na literze prawa. Jednomyślnie jednak głosowaliśmy, aby prosić pana o wymierzenie jak najłagodniejszej kary.

Przysięgli zepchnęli zatem całe brzemię odpowiedzialności na sędziego. Mógł teraz skazać Seta na spędzenie reszty dni swego życia w więzieniu albo wysłać go do domu na obiad.

- No dobrze - burknął Novak, spoglądając z wściekłością na obu prawników. - Poproszono mnie o wyrozumiałość. Wysłucham zatem prośby o złagodzenie wyroku od was obu. Tylko mówcie krótko.

Walters podniósł się na nogi.

- Sądzę, że to jasne, panie sędzio, że kapitan Campos nie był wcale jedynym pacjentem “leczonym” przez tego tak zwanego doktora. Uważam zatem, że oskarżony ma na sumieniu śmierć wielu ludzi.

- No dobrze - odpowiedział niecierpliwie sędzia. - A co pan na to, doktorze Landsmann?

- Panie sędzio, oskarżony ma nieskazitelną opinię. Prosimy o wyrozumiałość nie tylko ze względu na niego, jego żonę i rodzinę, ale również w imieniu setek ludzi chorych, których sumiennie leczył przez te wszystkie lata. Prosimy o wydanie miłosierdnego wyroku.

- No dobrze - odpowiedział Novak. - Odraczam rozprawę do trzeciej po południu.

Uderzył młotkiem w stół i wyszedł.

Była czwarta dwadzieścia, kiedy sędzia powrócił na salę i zasiadł na swoim miejscu. - Oskarżony, proszę wstać.

Seth powstał i oparł się ciężko o stojący przed nim stół. Widać było po oczach sędziego, że jest wściekły. Sethowi zakręciło się w głowie.

- Doktorze Lazarus - zaczął sędzia. - Sędziowie przysięgli orzekli, że jest pan winny. Ja chciałbym tu jednak dodać, że winni są również prawnicy po obu stronach, ponieważ uczynili z tego kwestię filozofii, religii i różnych hokus pokus. Nie oddali tym panu wielkiej przysługi. Mimo to uzmysłowili mi jedno. Jest pan szczerze oddany łagodzeniu ludzkiego cierpienia. Nikt nie powinien być torturowany - czy to przez hitlerowców, czy to przez księgę przepisów. Dlatego też skazuję pana na karę trzech lat pozbawienia wolności, a wykonanie kary warunkowo zawieszam. Panie i panowie, zabierzcie teraz własne sumienia i idźcie do domu.

Rozdział LII

Tego wieczoru Seth, Judy, Barney i Bennett poszli uczcić wynik rozprawy w Le Perroquet.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtarzał pogłosem Seth, obejmowany mocno przez Judy. - Nie mogę w to uwierzyć, że wracam dzisiaj do domu. To był tylko jakiś straszny sen.

- Nie martw się, ja cię z niego obudzę - obiecała mu czule Judy.

Obojgu spieszyło się do domu, gdyż pragnęli zostać wreszcie sami. Zaraz po deserze wymówili się zmęczeniem i wyszli, obejmując się wzajemnie.

Bennett i Barney zostali sami z połową butelki szampana do wypicia.

- Landsmann, byłeś dzisiaj wspaniały - pogratulował koledze Barney.

- Mylisz się - odpowiedział Bennett trzeźwo, choć nieźle już sobie podpił. - Każda cholerna rozprawa jest jak ruletka. Nie można przewidzieć wcześniej zwycięskiego numeru. To zależy od dnia, humoru przysięgłych, nastawienia sędziego, a przede wszystkim - od szczęścia. Jeśli o medycynie nie można powiedzieć, że jest nauką ścisłą, to trzeba przyznać, że prawo jest jeszcze większym hazardem.

- Czy chcesz mi pizez to dać do zrozumienia, że tego nie lubisz? Twoja kariera wystrzeliła w końcu niczym rakietą.

- Owszem - skrzywił się Bennett. - Pewno właśnie dlatego tak tego nie znoszę. Czasami nienawidzę siebie samego za to, co muszę robić. Na przykład, za maltretowanie medycznych rzeczoznawców. No wiesz, niszcę ich, zasypuję ich faktami, które nie zawsze są nawet istotne. Często wykorzystuję swoją wiedzę medyczną, żeby zastraszyć tych biednych poczciwców, których zmuszono do czegoś niebywałego - powiedzenia prawdy.

- Tęsknisz za salą operacyjną, co?

- Niezupełnie - odpowiedział bez przekonania Bennett i zaraz potem przyznał: - Tak, tęsknię. I to nie tylko ze względu na chirurgię. Chodzi mi o satysfakcję - chociaż czyja wiem? - jaką daje leczenie. Prawo jest dla mnie tylko zawodem. Medycyna była powołaniem.

Wypił następny łyk szampana i zmienił temat.

- A tak à propos, jak tam twoja książka?

- Jestem już bliski ukończenia pierwszego szkicu. Dlaczego nagle sobie o tym przypomniałeś?

- Pomyślałem sobie tylko, jak niewielu lekarzy chciało zeznawać w imię tak zwanego braterstwa. Ot, ile jest warta przysięga Hipokratesa.

- Nie martw się, Ben. Wszystko tam będzie - to, co złe, to, co dobre i nawet absurdalne. Musisz jednak zrozumieć, że lekarze są tylko zwykłymi ludźmi. A żaden człowiek nie jest uodporniony na strach.

- Daj spokój, Barney, możesz o nich mówić, jak chcesz, tylko nie nazywaj ich zwykłymi ludźmi. Jeszcze cię zaskarżą do sądu o zniesławienie.

Barney roześmiał się.

- Wiesz co, Landsmann? Wygląda mi to na kombinację przygnębionego prawnika i rozczarowanego lekarza. Dobry materiał do książki rekordów.

Bennett popatrzył na znikające wolno w jego kieliszku bąbelki.

W ciszy, która nagle zaległa, Barney zrozumiał po raz pierwszy, jak bardzo Bennett był nieszczęśliwy. Ilu ma prawdziwych przyjaciół - poza Laurą i mną? Czasem mam nawet wrażenie, że i od nas trzyma się z daleka. Dlaczego romansował z milionami kobiet i nigdy nie uczepił się jednej?

- Ben, czy mogę ci zadać jedno poważne pytanie?

- O tej porze nocy? - uśmiechnął się.

Barney zawahał się przez chwilę, a potem opanowawszy nieśmiałość, zapytał: - Dlaczego jesteś takim zatwardziałym samotnikiem?

Bennett przyjął to spokojnie. - To ty mi to powiedz. Leczysz w końcu ludziom głowy.

- Nie wiem. Dlatego zapytałem o to ciebie. Nie mogę patrzeć, jak się męczysz. Na litość boską, mów do mnie! Nie będę cię osądzał. Gdzie w twoim życiu są kobiety?

Bennett znowu utkwiał wzrok w kieliszku.

- Która kobieta mogłaby się ze mną utożsamić, Barney? Dla Żydów jestem czarny, a dla moich pobratymców jestem Żydem. Dla białych jestem czarny, dla czarnych dodatkowo jeszcze - karierowicz. Żyję w jakiejś próżni. Do kogóż ja pasuję?

Barney zawahał się, dziwiąc się, że po tylu latach miał odwagę zmusić przyjaciela, aby spojrzął w oczy prawdzie o sobie samym.

- Wiesz, Landsmann, one nie wszystkie są takie.

- Kto? O czym ty mówisz?

- Rozmawialiśmy na temat kobiet, doktorze. Proponowałem panu zarówno profesjonalną, jak i osobistą opinię, że nie wszystkie kobiety są takie jak twoja matka.

- Hannah?

- Nie, stary. Mam na myśli kobietę, która dała ci życie, a potem się z niego wyniosła.

Bennett stracił nagle cierpliwość i odparł: - To jedno wielkie psychiatryczne gówno, Livingston. Ja nie...

Barney przerwał mu. - Słyszałem już milion razy, że ona cię gówno obchodzi. Ale na Boga, Ben, to kłamstwo. Oszukujesz samego siebie.

- Wy, psychiatrzy, jesteście zawsze tacy sami. Czym bylibyście bez "matek"?

- Dokładnie tym, czym ty byłeś bez swojej. Zamilkł na chwilę dla rozładowania atmosfery.

- Posłuchaj - odezwał się cicho. - Nie wszystkie kobiety są takie jak Lorraine. Nie wszystkie odchodzą, pozostawiając ci dziurę w sercu.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Żaden z nich nie wiedział, co dalej powiedzieć. W końcu Bennett odezwał się: - Wiesz, co boli najbardziej? To, że ty to widziałeś, a ja nie potrafiłem niczego dostrzec.

Widok bólu malującego się na twarzy przyjaciela natychmiast wzbudził w Barniem skrucę. - Przepraszam cię, stary. Posunąłem się za daleko.

Bennett pokręcił głową. - Nie, Barney. Po to są prawdziwi przyjaciele. - A po chwili dodał: - Tego też mnie nauczyłeś.

Zapadła między nimi cisza, którą przerwał nagle metaliczny głos Marka Sylberta. - Przepraszam cię, Ben.

Obaj mężczyźni podnieśli wzrok. Widząc niezmiernie smutną minę czarnego kolegi, Sylbert doszedł do błędnego wniosku.

- O, widzę, że Barney już ci o tym powiedział. Bardzo mi przykro, Ben. Naprawdę bardzo, bardzo ci współczuję.

Bennett spojrział nie niego, nie pojmując, o co mu chodziło.

- Mark, o czym ty, u diabła, mówisz?

- To znaczy, że jeszcze nie słyszałeś o swoim ojcu? Bennett podniósł się na nogi, instynktownie gotów iść z pomocą w każdej sytuacji. - Nie. Czy coś się stało?

- Twój ojciec nie żyje - odpowiedział Sylbert czymś w rodzaju szeptu, na jaki pozwalała mu jego maszyna. - Umarł wczoraj w nocy. Nadjeżdżający z naprzeciwka samochód przeskoczył barierkę i uderzył w samochód twoich rodziców po stronie kierowcy. Twoja matka nie odniosła poważnych obrażeń. Jest tylko w strasznym szoku. Rozmawiała z twoim ojcem w ambulansie. Zmusił ją, żeby przysięgła...

- Co takiego?

- Kazał jej przysiąc, że nie powie ci o tym, co się stało, aż do zakończenia rozprawy.

Sylbert stał dalej bezradnie, nie wiedząc, co powiedzieć ani jak się zachować. Barney wstał i objął ramieniem zdruzgotanego kolegę.

- Chodź, Ben - powiedział cicho. - Pojadę z tobą do domu.

Rozdział LIII

*O Panie i Królu miłosierny,
przyjmij w swojej łaskawości duszę Herschla Landsmanna, który
odszedł do swoich.*

Było to piekielnie gorące popołudnie. Łzy mieszały się z potem aa twarzach żałobników przybyłych na pogrzeb Herschla.

Zebrało się tam niemal sto osób. Większość jednak znajomych t pracowników zmarłego stała z szacunkiem w pewnej odległości od grobu, aby pozwolić szlochającej Hannah i Bennettowi, na którego ramieniu się opierała, pożegnać się ze zmarłym na osobności.

Brat Herschla, Steve, również był obecny, lecz nie bez powodu stał z żoną po drugiej stronie grobu. Nieświadom niczego gładko ogolony rabin w jarmułce na głowie stał po przeciwnej stronie, dusząc się nieomal w tym upalnym zaduchu.

- Herschel życzył sobie, aby nie było żadnych pochwalnych mów na jego pogrzebie. - Spojrzał niespokojnie na Steve'a, którego niezadowolona mina zdradzała fakt, że usiłował się temu ostatniemu życzeniu sprzeciwić.

- Mimo to - ciągnął dalej rabin - jestem pewny, że nie miałby nic przeciwko temu, abym przeczytał krótki urywek z Księgi Przysłów naszych ojców: "Kiedy człowiek umiera, nie towarzyszy mu ni srebro, ni złoto - tylko jego prawość i dobre uczynki. Powiedziane jest bowiem, że będą zawsze szły przed nim, czuwały nad nim w spoczynku, a kiedy się obudzi, będą za niego mówiły". Herschel Landsmann zakończył już swoje dni na ziemi. Niech pamięć o nim pozostanie i żyć będzie dalej w sercach tych, co go kochali.

Rabin spojrział na prawo i na lewo i oświadczył cicho: - Czas na żałobny kadysz. Steve zbliżył się do grobu, a Bennett zapytał: - Mamo, czy lepiej się już czujesz? Hannah skinęła głową. - Tak, tak. Odmów kadysz za niego, Ben.

Pomimo jej zapewnień, Ben nie chciał odejść od matki. Barney prędko podszedł do przodu i objął ją ramieniem. Ben zbliżył się do grobu i spojrział na rabina, czekając na sygnał do rozpoczęcia modlitwy.

I wówczas usłyszał głos Steve'a: - Daj spokój, Bennett. Posuwasz się już za daleko. Pozwól, że ja się za niego pomodłę.

Steve zwrócił się do rabina o poparcie.

- Nic z tego nie rozumiem - odpowiedział duchowny.

Steve spojrział z przeciwnej strony grobu na Bennetta. - Widzisz, on nawet nie wie, skąd się tu wziąłeś i po co przyszedłeś. Nie masz żadnych powodów...

- Przepraszam bardzo - przerwał rabin, a potem wskazując skinieniem głowy na Bennetta, zapytał: - Czyż nie jest to syn Herschla Landsmanna?

Zanim Steve zdążył zakwestionować pochodzenie Bennetta, Hannah krzyknęła: - Zostaw go, Stefan. On jest synem Herschla. Kochał go całym sercem.

Steve spuścił głowę. Milczał, gdy Bennett zapytał: - Czy mogę już zacząć?

Rabin podał mu swój modlitewnik.

- Nie, dziękuję panu. Znam to na pamięć. Opanowawszy się, zaczął recytować donośnym głosem: - *Yisgadal ve yiskadosh shmei raboh...*

W pewnym sensie modlitwa Bennetta miała podwójny aspekt, albowiem prawie trzydzieści lat temu to Herschel stał nad grobem jego rodzzonego ojca i zastępując Bennetta, odmawiał za niego modły.

I tak oto w tej godzinie najgłębszego smutku raz jeszcze dokonano aktu miłości.

Rozdział LIV

Profesor Laura Castellano była zażenowana.

Miała prawie czterdziestkę i siedziała w poczekalni ginekologiczno-położniczej wśród dziewcząt, które mogłyby być jej córkami. Barney prosił ją, żeby pozwoliła mu przyjść, ale nie zgodziła się na to. Jego gorączkowe podniecenie już i tak doprowadzało ją w domu do szaleństwa.

A poza tym obawiała się, że doktor Sidney Hastings (“najlepszy, z całą pewnością najlepszy”, jak stwierdził Barney po gorliwych poszukiwaniach) mógłby opacznie zinterpretować żarliwe zaangażowanie się szalonego psychiatry w opiekę nad swoim jeszcze nie narodzonym dzieckiem i uważać je za wścibstwo.

Prawdę rzekłszy, Hastings nie był wcale zachwycony tym, że został wybrany przez tak wybitną parę, jaką byli Barney i Laura. Wiedział bowiem, że lekarze znani są z tego, że stanowią zazwyczaj najtrudniejszych i najbardziej nerwowych rodziców. A jeśli na dodatek miało się do czynienia z dwojgiem lekarzy, mogło to przekraczać wszelkie granice jego cierpliwości.

I wcale się nie mylił. Laura bowiem, dzięki swojej specjalizacji, była chodzącym katalogiem potencjalnych katastrof, które mogły nastąpić w macicy.

- Czy może to być trisomia, doktorze? Jak wcześnie możecie wykryć rozszczep kręgosłupa albo zespół Downa? Jak często chciałby pan przeprowadzać analizy?

- Uspokój się, Lauro. Histeryzujesz bez powodu.

- To nie jest wcale histeria, doktorze Hastings. To niepodważalny, naukowy fakt. Z każdym rokiem po upływie trzydziestu pięciu lat niebezpieczeństwo urodzenia upośledzonego dziecka wzrasta dramatycznie. Jedno na tysiąc przy czterdziestce, jedno na trzysta w czterdziestym drugim roku życia, jedno na osiemdziesiąt w...

- Lauro, nie musisz mi mówić o tych możliwościach i sama też nie powinnaś się tak o to martwić. Nikomu z nas nic to nie pomoże. Za dwa tygodnie zrobimy badania płynu owodniowego i wszystkiego się dowiemy.

- Ale czy ten facet, Levine, jest na pewno dobrym specjalistą w ultrasonografu? Jest pan pewny, że potrafi tak poprowadzić igłę, żeby niczego nie uszkodzić? Gdzie on studiował? Jakiego rodzaju sprzętu używa? Czy mogłabym się najpierw z nim umówić, żeby- no, wie pan...

Hastings oparł się o biurko i złapał się za głowę.

- Na litość boską, Lauro! - jęknął melodramatycznie. - Może sami powinniście się tym zająć. W końcu każde z was śpi z Drugą Opinią.

- No dobrze - westchnęła Laura. - Postaram się już tego nie robić. Ale Barney kazał mi przysiąc, że następnym razem pozwolę mu tu przyjść.

- Dobrze. Uprzedź mnie jednak o tym godzinę wcześniej, żebym mógł się wynieść z miasta.

Laura wstała powoli. Wcale jej to nie bawiło. Hastings nie rozumiał po prostu, ile dla niej i dla Barniego to dziecko znaczyło.

Kiedy stała już przy drzwiach, Hastings zawołał za nią cichym i uspokajającym tonem: - Lauro, proszę cię, nie denerwuj się. Przyrzekam ci, że wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się słabo i powiedziała: - Oboje dobrze wiemy, że żaden lekarz nie może obiecać takich rzeczy. Ubijmy zatem interes. Pan mi oszczędzi płytkich komunałów, a ja panu oszczędzę obecności mego męża. Umowa stoi?

- Stoi - odpowiedział Hastings i uśmiechnął się z ulgą i satysfakcją.

Wystarczyło już, że Barney dzwonił do niego za każdym razem, kiedy wykrył jakąś mało znaną, lecz hipotetycznie możliwą anomalię, opisaną mimochodem przez jakiegoś dziewiętnastowiecznego położnika.

- Oddychaj, Lauro, oddychaj!

Barney był bezlitosnym trenerem, kiedy w grę wchodziło przygotowanie jego "czołowej gwiazdy" do naturalnego porodu.

- Nie zapominaj też - raz, dwa... - zachęcał ją, nadzorując podnoszenie nóg ponad podłogę - że będziesz potem chciała jak najszybciej odzyskać dawną figurę. Trzy, cztery...

- To znaczy, ty będziesz chciała, żebym prędko odzyskała figurę.

- Owszem. Ale tylko dlatego, że się wszystkim dzielimy. - Uśmiechnął się. - Trzy, cztery.

Poranne mdłości Laury były raczej łagodne. Martwiło to ich obojga, gdyż nudności - chociaż mało przyjemne - są jednak pocieszającą oznaką tego, że wszystkie hormony w ciele kobiety krążą prawidłowo.

- Ależ posłuchaj, Lauro - zaprotestował biedny, sponiewierany Hastings. - W tych sprawach nie ma normy. Twoja ciąża przebiega dobrze. Powinnaś się cieszyć, że nie masz nudności.

- O, nie! - odpowiedziała. - Byłabym o wiele szczęśliwsza, gdybym wymiotowała po obiedzie.

Hastings dziękował w skrytości Bogu, że ludzka ciąża trwa tylko czterdzieści tygodni. (W końcu u słoni ciągnie się to prawie przez dwa lata.)

Minęło szesnaście tygodni.

Znaleźli się wreszcie w gabinecie doktora Levine' a na badaniach owodni. Barney śmiertelnie się bał tego delikatnego zabiegu, w którym doktor przebija brzuch matki przerażająco długą igłą, docierając w ten sposób do owodni w celu pobrania stamtąd próbki otaczającego dziecko płynu.

Dobrze wiedział, że badania laboratoryjne tej próbki mogły wykazać prawie wszystkie możliwe nieprawidłowości i zniekształcenia, lecz zdawał sobie również sprawę z tego, że zabieg ten nie był całkowicie pozbawiony ryzyka, gdyż zwiększał o jeden procent niebezpieczeństwo poronienia.

A to z pewnością przysparza zmarszczek na czole kobiecie ciężarnej oraz jej mężowi, zwłaszcza jeśli są już po czterdziestce...

- Kiedy poznamy wyniki? - zapytał Barney, który domagał się, żeby być przy tym obecny.

- Powiedziałem ci to już wczoraj przez telefon - odpowiedział Hastings. - Bardzo mi przykro, ale od wczoraj nie poczyniono żadnych postępów w medycynie. Wyniki badań płynów owodniowych są gotowe dopiero po dwóch tygodniach. Ale ponieważ oboje jesteście lekarzami, to wyjątkowo udało mi się to przyspieszyć.

Barney otworzył szeroko oczy.

- Naprawdę?

- Tak - odpowiedział Hastings, szczerząc zęby w uśmiechu. - Dla was potrwa to tylko czternaście dni.'

- Z pewnością nie możemy spodziewać się niczego dobrego. Są jakieś nieprawidłowości. Trisomia 21, zespół Downa...

- Skąd jesteś tego taka pewna, Lauro?

- Nie wiem, Barney. Po prostu to czuję. To znaczy, nic właściwie nie czuję. Do tej pory powinnam już chyba poczuć jakieś kopanie lub ruchy.

- Może to nocny rozrabiaka i odstawia nocne akrobacje, kiedy śpisz.

- To niemożliwe. Ja nigdy nie śpię.

Minęły w końcu dwa tygodnie. Jakimś cudem nie zatonęli w wirze własnego pesymizmu. W końcu pewnego wieczoru zadzwonił do nich Hastings.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno, Lauro, ale byłem w przychodni.

Nagle posłyszał odgłosy szamotaniny. Barney wyrwał Laurze z ręki słuchawkę i krzyknął: - Sidney, tylko jedno słowo. Czy wszystko w porządku? Mów - tak czy nie? Proszę, tylko jedno słowo!

Pediatra roześmiał się serdecznie, pocieszając po ojcowsku podnieconego psychiatrę.

- Wszystko w porządku, Barney. A poza tym - to chłopiec.

Po dwóch dniach Laura zadzwoniła do Barniego w przerwie pomiędzy jednym pacjentem a drugim i powiedziała płacząco:

- Harry mnie kopnął, Barney! Poczulałam, jak się poruszył!

- Czy była to lewa stopa czy prawa?

- A co to za różnica?

- Jeśli okaże się mańkutem, będę musiał zmienić cały plan sportowych treningów.

Przypuszczalnie najbardziej przerażającą rzeczą w drugim trymestrze jest to, że nic się nie dzieje. To znaczy, takie odnosi się wrażenie. Wszystkie organy są już uformowane w miniaturze i potrzebują tylko czasu, żeby urosnąć. Wszystko to pozwalało Laurze puścić wodze fantazji i wyobrażać sobie wszelkie możliwe katastrofy. Dziecko urodzone w dwudziestym tygodniu miałoby zerowe szansę na utrzymanie się przy życiu. W dwudziestym piątym tygodniu szansę na przeżycie wynoszą jeden do dziesięciu, a na normalny rozwój są jeszcze mniejsze. Dopiero po dwudziestu ośmiu tygodniach, po zmierzeniu wielkości dziecka za pomocą ultradźwięków, Laura odetchnęła z ulgą. Gdyby ich syn narodził się w tej chwili, szansę na utrzymanie się przy życiu w rękach dobrego neonatologa przechyliłyby się na jego korzyść.

Uspokajali się jakoś nawzajem, a dzięki zajęciom w szkole rodzenia, na które chodzili wieczorami dwa razy w tygodniu oraz regularnym dziennym ćwiczeniom mięśni pod kierunkiem "trenera Livingstona", zdołali zachować resztki zdrowego rozsądku.

W końcu nadszedł czterdziesty tydzień. Lecz nic się nie działo.

Hastings zawezwał ich oboje do siebie do gabinetu. Zaniepokoiło to Barniego, gdyż położnik po raz pierwszy przejął inicjatywę i poprosił go, aby tym razem towarzyszył żonie.

- Nic się nie martwcie - zapewniał ich. - Ponad dziesięć procent ciąż trwa dłużej niż czterdzieści tygodni, zwłaszcza w przypadku takich pierwiastek jak ty, Lauro. To jeszcze ciągle rzadko spotykane, żeby kobiety zwlekały z urodzeniem pierwszego dziecka tak długo jak ty.

Przybrał poważny wyraz twarzy.

- Mam do was obojga poważne pytanie...

Serce Barniego zamarło z przerażenia. Laura przestała oddychać.

- Mówię to oczywiście w ścisłym zaufaniu. - Przerwał i po chwili powiedział prawie szeptem: - Mam poważne kłopoty w małżeństwie. Szczerze mówiąc, można by nawet powiedzieć, że nasz związek jest już w rozsypce.

A cóż to, u diabła, ma wspólnego z nami? - zastanawiała się Laura.

Hastings pospiesznie wyjaśnił: - Zgodziliśmy się oboje z Louise, że damy sobie jeszcze jedną szansę. Nasz wspólny przyjaciel zaproponował nam domek nad jeziorem Champlain. Sądzę, że pięć lub sześć dni w tym miejscu mogłoby odwrócić to niebezpieczeństwo.

Przerwał i spojrzał na nich.

Barney wyczuł, co miał zamiar powiedzieć, i już był oburzony.

- Widziałem już wiele ciąży takich jak ta - ciągnął dalej Hastings - i jestem pewny, że Laura nie zacznie rodzić w czasie mojej nieobecności. A poza tym, nawet gdyby doszło do porodu, to w pobliżu jest małe lotnisko i zawsze mógłbym wskoczyć w prywatny samolot i zdążyć na czas.

Ton jego głosu zmienił się nagle na ojcowski. - Słuchajcie, wiem, ile to dziecko dla was znaczy. Jestem wam całkowicie oddany - tak osobiście, jak i zawodowo. Jeśli moja nieobecność w mieście rzeczywiście będzie was niepokoić, to mi otwarcie powiedzcie i po prostu nigdzie nie pojedę.

Zapadła cisza. Oboje dobrze wiedzieli, że nie była to szczerza propozycja. Szantaż, w którym stawką było małżeństwo tego faceta.

- Słuchaj, Sidney - zaczęła Laura. - To chyba naturalne, że chcę, żebyś przy tym był. Ale jeśli masz dobry zespół zastępczy...

- Lauro, obiecuję ci najlepszych ludzi, same gwiazdy. Wszystko już przygotowałem. Po pierwsze, Armand Bercovici ma chyba najlepsze ręce wśród

wszystkich położników w całym kraju. Szczerze mówiąc, chyba tylko jemu pozwoliłbym dotknąć mojej żony, gdyby kiedykolwiek potrzebowała operacji. Zostawiłem mu wszystkie moje notatki i znana jest mu cała twoja historia. A zamiast pielęgniarki będziesz miała starszego asystenta z ultrasonografu, absolutnie genialnego Irańczyka o nazwisku Reza Muhradi. Będzie kontrolować stan dziecka, żeby Bercovici mógł się całkowicie skoncentrować na Laurze.

- To wspaniale - odpowiedział Barney, który już od kilku tygodni całkowicie skoncentrował swe myśli wokół obrazu ich dziecka, trzymanego przed nimi do góry nogami w jaskrawym świetle sali operacyjnej v

- Jeśli jednak przy mnie będziecie się czuli bezpieczniej, to odłożę tę podróż. To dziecko jest ważniejsze.

Barney i Laura spojrzeli sobie w oczy i dostrzegli tam tylko zwątpienie i niepewność. Poddali się jednak naciskom Hastingsa. W końcu Laura odezwała się pierwsza:

- Do diabła, twoje małżeństwo też jest ważne, Sidney. Jedź, namówię moje dziecko, żeby poczekało, aż wrócisz.

Na twarzy Hastingsa pojawił się wyraz ogromnej ulgi.

- O cholera! - zaklął Barney w drodze powrotnej do domu. - Jak to możliwe, żeby dwoje lekarzy dało się tak nabrać i zgodzić się na coś takiego, chociaż wiedzą, że to może być ryzykowne?

- To niesamowite. Nawet lekarze boją się innych lekarzy. Ale wiesz, nasze tchórzostwo może mieć i dobrą stronę. Słyszałam o tym Bercovicim. Jest o wiele lepszy od Hastingsa i szczerze mówiąc, wołałabym, żeby to on był na sali, w razie gdyby się coś stało. Może byłoby lepiej, żeby nasz *niño* urodził się pod nieobecność Sidneya.

Barney skinął głową i zwrócił się w stronę jej nabrzmiałego brzucha. - Hej, Harry! - zawołał. - Masz tylko pięć dni czasu na wyjście stamtąd. A zatem rusz tyłkiem!

Dziecko okazało się geniuszem - posłusznym jeszcze przed narodzeniem. W niecałe dwadzieścia godzin później Laura zaczęła rodzić.

- O cholera! - zaklął Barney, ogarnięty nagle paniką. - Najlepiej będzie, jeśli od razu zadzwonię do Sidneya. Akurat wystarczy mu czasu na to, żeby tu przyjechać.

- Nie - zaprzeczyła Laura. - Prawdopodobnie jeszcze tam nie dojechał. Pomóż mi zmierzyć czas następnego skurczu, a potem zadzwoń do szpitala, żeby złapali Bercoviciego.

Barney pobiegł po stoper, wyliczył czas swojej lekkoatletki na osiem minut i złapał za telefon, w zdenerwowaniu dwukrotnie wykręcając niewłaściwy numer.

- Nie ma sprawy, Castellano - pocieszał ją. - Bercovici jest już w szpitalu. Operuje raka jakiejś kobiecie i do południa powinien skończyć. Powiedzieli, żeby poczekać, aż odstępy pomiędzy skurczami dojdą do czterech minut, i dopiero wtedy do nich przyjechać. Według mnie jednak powinniśmy tam jechać od razu.

- Nie, Barney. Jeśli powiedzieli ci, że to za wcześnie, to... Przerwał jej następny skurcz macicy.

O dwunastej Barney nie mógł już czekać ani chwili dłużej. Pomógł Laurze wsiąść do samochodu, załadował walizkę, którą oboje spakowali już trzy tygodnie wcześniej, i pojechali na oddział położniczy. Laura zdołała jakoś dojść do kozetki, gdzie nagle zgięła się wpół w coraz silniejszych skurczach.

Barney zapytał o doktora Bercoviciego. Powiedziano mu, że nadal był na dole na salf operacyjnej. Przyjął to zatem za dobry znak. Ten facet był widocznie bardzo ostrożny. Przyniesiono wózek i mimo początkowych protestów, Laura pozwoliła się w końcu zawieźć do jednej z sal porodowych.

Był to mały pokoik ze zwisającymi z sufitu rurkami, butlą tlenową i monitorem do mierzenia tętna matki i niemowlęcia. Ogromne malowidło na ścianie przedstawiało spokojny las gdzieś w Nowej Anglii. Miało to niewątpliwie pomóc matkom w skoncentrowaniu się na czymś w trakcie oddychania dla złagodzenia bólów.

Nadeszła druga po południu. Bercoviciego nadal nie było.

- Co on tam, u diabła, robi? - denerwował się Barney. - Usuwa tej kobiecie wszystkie organy czy co?

- Daj spokój - uciszała go Laura. - Lepiej się skoncentrujmy na naszym zadaniu. W najgorszym wypadku ty przyjmiesz dziecko.

Uwaga ta wcale nie rozbawiła jej męża. O trzeciej wszedł do pokoju niski drobny mężczyzna, o kruczoczarnych włosach i przedstawił się jako doktor Muhradi.

- Gdzież się, u diabła, podział doktor Bercovici? - domagał się odpowiedzi Barney.

- Nadal operuje. Powiedziałem już panu, że to bardzo delikatny zabieg. W każdym razie ja go zastępuję. A teraz pan pozwól, że zbadam pańską żonę.

Zaczął badać Laurę i sprawdzać rozszerzenie szyjki macicy. Barney miał nieprzyjemne wrażenie, że ten dzieciak przejął w jakimś sensie całą sprawę na siebie.

Skurcze Laury przybrały już na sile i były tak częste, że nie mogła skoncentrować się na niczym innym.

- Poproszę jedną z pielęgniarek, żeby przysłała i posiedziała przy doktor Castellano, a ja pana zabiorę na kawę - powiedział Muhradi do Barniego. - To powinno pana trochę uspokoić.

Barney spojrzał na Laurę, która zdołała zrozumieć tę wymianę.

- Idź, Livingston - szepnęła, zmuszając się do uśmiechu. - Należy ci się przerwa ode mnie.

Mając ambiwalentne uczucia, graniczące z poczuciem winy, Barney chętnie przyjął sposobność oderwania się na chwilę od patrzenia na cierpienia ukochanej żony. Stali w pokoju pielęgniarek, popijając kawę, kiedy nagle podbiegł do nich lekarz wyglądający na osobę, która dopiero co skończyła studia.

- Reza! - wykrzyknął zasapany. - Mam problem z jedną pierwiastką w pokoju numer pięć. Boję się, że nie potrafię poradzić sobie z tym porodem.

Irańczyk uśmiechnął się. - Zaraz zobaczę. - Objął ramieniem młodszego kolegę i poszedł udzielić mu pomocy.

Musi być dobry, skoro biegają do niego z problemami - pomyślał Barney i poszedł z powrotem do Laury.

Przerwy pomiędzy skurczami zmniejszyły się nieznacznie, lecz za to skurcze trwały dłużej i były coraz bardziej bolesne.

- Zawołaj Bercoviciego, Barney - wymamrotała Laura. - Nie mogę tego dłużej wytrzymać.

- Nie ma powodu do zmartwień, doktor Castellano - usłyszała głos Muhradiego, który wśliznął się tymczasem do pokoju. - Rozmawiałem już z doktorem i powiedziałem mu, że jeszcze daleko u pani do pełnego rozszerzenia szyjki. Ma zatem jeszcze trochę czasu na odpoczynek. Operował dzisiaj przez siedem godzin.

Barney coraz bardziej się niepokoił. - Czy nie sądzi pan, że należałoby już dać jej coś przeciwko tym bólom?

- Dostanie znieczulenie nadoponowe, zgodnie z własnym życzeniem. Będzie więc przytomna przy narodzeniu dziecka. Ale na to musicie jeszcze trochę poczekać. Tymczasem poproszę anestezjologa, żeby w jakiś sposób ulżył jej dolegliwościom.

- Świetnie - odpowiedział z ulgą Barney. - Świetnie.

- Hej, tygrysie! - zawołała słabym głosem Laura. - Jadłeś coś dzisiaj?

Barney podszedł do niej i ujął ją za rękę. - Nie pamiętam. Wiem tylko, że ty nie jadłaś od wczoraj.

- Ja nie mogę. Wiesz o tym. Nie oznacza to jednak, że ty masz się zagłodzić na śmierć. Zejdź na dół i...

- Nie, Lauro. Zamierzam tu siedzieć i udawać, że jestem czymś w rodzaju medycznego Ralpa Nadera.

W tym momencie Muhradi wszedł ponownie do pokoju, przytłoczony potężną postacią anestezjologa, który zaczął spisywać swój protokół.

- Dzień dobry. Jestem doktor Bali. Czy naszej małej dziecinie coś dolega?

Laura pomyślała sobie mimowolnie: Dlaczego ten nadęty dureń musi zachowywać się tak lekceważąco?

W swojej bezradności odpowiedziała więc tylko uprzejmie: - Owszem. Czy mógłby mi pan coś podać, co osłabiłoby trochę ten ból, a jednocześnie nie uspiłoby mnie?

- Nie ma problemu, panienko. Nic się nie martw. Dam ci mały zastrzyk, który podniesie cię na duchu wyżej niż wisi flaga Stanów Zjednoczonych na Czwartego Lipca.

- Ona wcale nie chce się nigdzie wznosić, doktorze - wtrącił Barney. - Niech pan jej tylko uśmierzy trochę ten ból.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że Barney był również lekarzem,

Bali odpowiedział mu protekcyjnie: - Pozwól, że ja się tym zajmę, mój chłopcze. Nawet sam doktor Spock nie miał do czynienia z taką liczbą matek jak ja.

Ze zręcznością i szybkością nie licującą wcale z jego obwodem w pasie zrobił Laurze zastrzyk ze skopolaminy. Natychmiast zakreśliło się jej w głowie. Olbrzymi mężczyzna skinął głową w stronę niższego kolegi i powiedział: - Zawołaj mnie, jak będziesz gotowy na nadoponowe. - Poczłapał ku wyjściu.

Barney usiadł, trzymając Laurę za rękę i pomagając jej oddychać. Poduszka była mokra od potu.

Weszła pielęgniarka i podała Barniemu tabliczkę z przypiętymi do niej kartkami.

- Potrzebny jest nam podpis męża na podanie środków przeciwbólowych i znieczulenie nadoponowe. Czy mógłby pan tutaj podpisać? I na tej drugiej kartce także?

- Barney - jęknęła Laura. - Coś tutaj jest nie w porządku. Te cholerne skurcze nie powinny trwać tak długo. To nie jest normalne.

Barney pobiegł poszukać Muhradiego. Siedział w poczekalni, paląc papierosa.

- Doktorze! - zawołał. - Jej bóle wymykają się już spod kontroli.

- To dobrze - stwierdził młody mężczyzna z nikłym uśmiechem.

- Jak to? - zapytał Barney.

- Włożyłem jej do kroplówki trochę środków przyspieszających poród. To pobudza macicę. Myślę, że to jej powinno pomóc.

- Może trochę pan przedobrzył. Niech pan tam lepiej idzie. Irańczyk zgasił papierosa i skierował się do sali porodowej. Zza drzwi usłyszeli histeryczny krzyk Laury:

- Zawołajcie tego głupiego doktora!

Doktor Bali stał pomiędzy stażystami i pielęgniarkami zebranymi wokół łóżka Laury.

- Ta kobieta dostała hysterii - stwierdził anestezjolog ze złością. - Najlepiej będzie, jak ją znokautuję.

- Spróbuj, bracie, to ja znokautuję ciebie - warknął Barney i pospiesznie zbliżył się do Laury.

Dyszała ciężko. - Popatrz na monitor, monitor...

- O co chodzi, Lauro? Powiedz mi!

- Poprosiłam pielęgniarkę, żeby go odwróciła w moją stronę, żebym mogła zobaczyć wydruk. Ten kretyn Muhradi jest podobno ekspertem. Dlaczego, do diabła, nie sprawdza tego cholernego monitora?

Jej panika rosła.

- Wydruk wskazuje na to, że płód jest w niebezpieczeństwie. Naszemu dziecku zagraża niebezpieczeństwo!

- Chwileczkę - przerwał Muhradi. - Nie bawmy się tutaj w lekarza. Jest pani dzisiaj pod moją opieką, pani Livingston.

- Pod pańską? A gdzież, u diabła, jest doktor Bercovici? - zawołała ochryplym głosem Laura. - Ten wydruk wskazuje na osłabienie tętna serca dziecka. Są jakieś komplikacje. Ktoś musi natychmiast wykonać cesarkę.

W tym momencie Muhradi spojrział na monitor i zorientował się, że jego pacjentka miała niestety rację.

- No dobrze - rozkazał. - Proszę wyjść. Wszyscy. Zwrócił się do pielęgniarki: - Przyłóż jej do twarzy tlen i natychmiast zawieźcie ją na salę operacyjną. Ja idę wyszorować ręce.

Zanim zdążyli się ruszyć, Laura zawołała bezradnie: - Barney, proszę cię, pomóż mi!

Podbiegł do niej. - Co chcesz, żebym zrobił?

- Pomóż mi się przewrócić. Tak mnie odurzono, że nie jestem w stanie sama tego zrobić. Pomóż mi uklęknąć. To złagodzi trochę ucisk na dziecko i pomoże dostarczyć mu krwi.

- Słyszałyście chyba - ryknął Barney na pielęgniarki. - Pomóżcie mi ją przewrócić! Do cholery, ja też jestem lekarzem!

Laura bardzo przytyła w trakcie ciąży. Z pomocą jednej pielęgniarki, która rozumiała, o co chodzi, Barney zdołał wreszcie z wysiłkiem przewrócić Laurę tak, że spoczywała na kolanach i łokciach. Otworzyły się drzwi i dwie inne pielęgniarki wytoczyły jej łóżko na salę operacyjną.

- Barney, zostań ze mną! - błagała.

- Nie martw się, Castellano, będę tam za sekundę.

Pobiegł do przebieralni chirurgów. Muhradi, z paniką malującą się na twarzy, nakładał właśnie zielony owerol.

- Gdzie są fartuchy? - warknął Barney.

- Przykro mi - odpowiedział Irańczyk - ale to nie jest miejsce dla mężów. Ona wymaga cesarki.

- A kto tu, do diabła, jest na tyle kompetentny, żeby ją wykonać? Chłopiec roznoszący kawę? Ile ich pan w życiu przeprowadził? Mogę się założyć, że mniej ode mnie.

Młody lekarz stracił panowanie nad sobą.

- Niech pan posłucha, doktorze Livingston. Ona jest moją pacjentką, a pan poczeka tu, za tymi drzwiami. W przeciwnym razie wezwę strażników i każę pana przywiązać do krzesła. Każdą minutę, którą tracimy tu na tej kłótni, zabieramy

pańskiemu dziecku, któremu już i tak zagraża niebezpieczeństwo. Niech się więc pan zamknie, usiądzie i pozwoli mi wyjść.

Barney uderzył pięścią o jedną z szafek.

Ty mały kutasie! Traktujesz mnie tak, jakby to była moja wina, że wcześniej nie przeczytałeś odczytu. Gdyby Laura nie była lekarzem, Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze byś zwlekał.

Nie powiedział jednak tego głośno. Odrobina rozsądku, jaka mu pozostała, mówiła mu, że ten facet był już i tak przerażony i nie było sensu denerwować go jeszcze bardziej.

- Przepraszam. Straciłem głowę, doktorze. Niech pan idzie robić, co do pana należy. Wiem, że wszystko będzie dobrze.

Muhradi nic nie odpowiedział. Odwrócił się i zniknął w umywalni.

Barney usiadł przed drzwiami sali operacyjnej, próbując podsłuchiwać. Usłyszał tylko dwie rzeczy: płacz Laury. - Gdzie jest mój mąż? Barney! Gdzie jest...

A potem słowa anestezjologa: - To ją powinno zamknąć.

Nastąpiła zupełna cisza.

Ciągle spoglądał na zegarek. Podeszła do niego pielęgniarka. Może żeby mnie pocieszyć? - pomyślał. Ona jednak powiedziała:

- Blokuje pan drzwi do sali operacyjnej. To może spowodować wypadek. Muszę pana prosić, żeby się pan odsunął.

- Jestem lekarzem - odpowiedział Barney. - Powinienem być w środku.

- To chyba jasne, że doktor Muhradi nie życzył sobie pańskiej obecności?

Barney wyszedł na pusty, przyciemniony korytarz. Pozostawiony sam z całym swoim niepokojem, powiedział głośno: - A niech cię wszyscy diabli, doktorze Hastings! Czy to ma być ten pański pierwszorzędny zespół?

Przyjrzał się bowiem dobrze personelowi wchodzącemu na salę. Bali, Muhradi i dwóch stażystów wyglądających tak, jakby po raz pierwszy mieli na sobie długie spodnie.

Popatrzył na zegarek. Trzydzieści pięć minut. Żadna normalna cesarka nie powinna tak długo trwać. Coś się musiało stać i nie mogło to być nic dobrego.

- Dobra nowina! - zawołał w ciemności jakiś głos. Był to Muhradi.

Barney obrócił się. - Szybko, niech mi pan powie, co się stało?

- Wszystko w porządku. Ma pan ślicznego, przystojnego syna. Barney o mało nie zemdlął. Irańczyk podszedł do niego i przyjaźnie obejmując go ramieniem, zapytał: - Jak go zamierzacie nazwać?

- Nie pamiętam - mruknął Barney. A potem natychmiast zebrał myśli i zapytał: - Jak się czuje Laura?

- Będzie spała przez jakiś czas na sali pooperacyjnej. Doktor Bali musiał jej podać bardzo silne ogólne znieczulenie.

Wiem o tym - pomyślał Barney. Słyszałem za drzwiami.

- Chcę zobaczyć Laurę i dziecko. Gdzie oni są? - zapytał.

- Na sali pooperacyjnej - odpowiedział Muhradi, a potem dodał z pewnym zażenowaniem: - To znaczy, pańska żona tam leży. Dziecko jest na górze.

- Co to znaczy, na górze? Powinien być ze swoją matką. Ona się przerazi, jeśli po obudzeniu nie znajdzie go przy sobie.

- Niech pan posłucha - odpowiedział Muhradi, siląc się na ojcowski ton. - Mielśmy pewne problemy z oddechem dziecka i pomyśleliśmy, że najlepiej będzie, jak położymy go na intensywnej terapii. Przynajmniej do jutra rano. Jestem pewien, że pańska żona to zrozumie.

Barney natychmiast znalazł się przy jej łóżku. Kobiety leżące na sali były oddzielone od siebie jedynie zasłonami i głosy młodych matek, ich mężów oraz dzieci były dobrze słyszalne.

Laura z trudem walczyła o odzyskanie świadomości, pragnąc dowiedzieć się, jak wyglądała sytuacja. Wiedziała bowiem, że jeśli dziecka przy niej nie ma, oznacza to, że coś było z nim nie w porządku.

- Barney, Barney - jęczała.

- Jestem tu przy tobie, kochanie. I mały Harry jest już z nami.

- Gdzie jest moje dziecko, Barney? Czy on nie żyje?

- Ależ nie, Lauro. Proszę, uwierz mi. Nic mu nie jest. Mieli tylko początkowo jakieś problemy z jego oddechem, więc wzięli go na górę.

- To brzmi groźnie, Barney. Chcę znać jego stan według punktacji Apgar!

- Nie sądzę, żeby mi pozwolili zobaczyć jego punktację, Lauro.

- Jesteś doktorem, do cholery! - jęknęła Laura.

- Zdaje się, że nie dzisiaj - odpowiedział gorzko.

- Barney... wszystkie inne matki mają przy sobie swoje dzieci. Czy możesz mi przysiąc, że on żyje?

- Przysięgam.

- Idź na górę i zobacz. Upewnij się, że żyje. I proszę cię, dowiedz się, jaką uzyskał punktację. Chcę wiedzieć, ile czasu upłynęło, zanim zaczął oddychać.

Skinął głową. Oboje zdawali sobie sprawę, że jeśli lekarze odmawiają udzielenia jakiegś informacji, to zazwyczaj są to niedobre wieści. Żadne z nich nie chciało się przyznać, że obawiali się jakiegoś uszkodzenia mózgu.

Barney pobiegł na górę po schodach, zbyt niecierpliwy, żeby czekać na windę. Potem skierował się w głąb korytarza na neonatologiczny oddział intensywnej terapii.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie jest pan odpowiednio wysterylizowany.

Była to nadmiernie gorliwa pielęgniarka, strzegąca wejściowych drzwi. - Musi się pan wyszorować i nałożyć ochronne fartuchy, żeby móc wejść do środka.

- No dobrze, dobrze.

Podszedł do umywalni w przedpokoju i zauważył Muhradię, rozmawiającego o czymś szeptem z asystentem, będącym kierownikiem oddziału intensywnej terapii.

Barney zawołał: - Niech mi go pan pokaże, doktorze.

Niczym nie wzruszony Muhradi uśmiechnął się. - Proszę bardzo, niech pan tu wejdzie.

Młody lekarz poprowadził go wśród rzędów maleńkich niczym lalki wcześniaków, których życie całkowicie zależało od technologii. W końcu podeszli do małego chłopczyka, o wiele większego od reszty dzieci. .

- Czyż nie jest cudowny? - zapytał Irańczyk.

Barney spojrzał na noworodka w inkubatorze i poczuł łzy pod powiekami. Zdołał jedynie powiedzieć: - Cześć, Harry. Jestem twoim tatą.

A potem nieśmiało zapytał asystenta: - Czy mogę go dotknąć?

- Oczywiście, proszę bardzo.

Barney pogłaskał swego małego synka po brzuszku. Potem ujął maleńką rączkę, zachwycony perfekcją jego filigranowych paluszków. Zauważył na nich jednak ledwo dostrzegalne, lecz niemniej definitywne ślady zsinienia na opuszkach palców.

Wyprostował się i zapytał asystenta: - Jaki był jego Apgar?

- Nie wiem, proszę pana. Zbyt byłem zajęty pomaganiem doktorowi Ballowi przy intubacji.

- Jeśli wy zajmowaliście się dzieckiem, to Muhradi musiał dokonać odczytu Apgara.

Barney utkwiał ponownie wzrok w Irańczyku.

- A więc, doktorze? Jakie były jego wyniki za kolor, szybkość tętna, oddech, odruch i ton?

Muhradi wzruszył ramionami. - Nie pamiętam dokładnie liczb, ale wiem, że początkowo były dosyć niskie.

- To bardzo mglista odpowiedź - warknął Barney. I nalegał dalej: - A wyniki po pięciu minutach? Jaki był Apgar mojego syna po upływie pięciu minut?

Muhradi zawahał się. - Właściwie dopiero trochę później przeprowadziliśmy ponowne pomiary.

- O ile później?

- Po sześciu czy siedmiu minutach.

- Niech pan da spokój z tymi unikami. To jasne, że zrobiliście to dopiero po siedmiu minutach. A może powiedział pan siedmiu, myśląc o ośmiu? Dobrze pan wie, że mówimy tu o potencjalnym uszkodzeniu mózgu.

W tym momencie wtrącił się kierownik oddziału neonatologii.

- Pańskiemu dziecku nic nie jest, proszę pana. Powinien być wypisany z intensywnej terapii i wrócić na dół do pańskiej żony za czterdzieści osiem godzin.

Barney już nie podejrzewał, że coś się stało z ich dzieckiem. Teraz był już o tym przekonany. Nagle przyszło mu także na myśl, że może i z Laurą było coś nie w porządku.

- Czy jest gdzieś tutaj telefon?

- Oczywiście, oczywiście. W dyżurce pielęgniarek. Może pan stamtąd zadzwonić do rodziny i podzielić się dobrą nowiną.

Barney spojrzał na niego ze złością.

- Nie mam zamiaru dzielić się z nikim "dobrą nowiną", dopóki nie będę miał pewności, że rzeczywiście mogę to zrobić. Chcę zadzwonić do doktora Hastingsa i powiedzieć mu, żeby natychmiast ruszył dupę.

- Nie ma potrzeby, żeby pan dzwonił. Już to zrobiłem - odpowiedział Muhradi zadowolony z siebie. - Miał wynająć samolot.

"Nieudany" pacjent, jak nazywają lekarze tych, z którymi im się nie udało, jest najsmutniejszą osobą w całym szpitalu.

Nikt nie odwiedzał Barniego i Laury. Nawet panie, które przynosiły jedzenie, wchodziły do nich prędko i jeszcze prędzej stamtąd uciekały, tak jakby wierzyły, że

wściekłość Laury była zaraźliwa. Od kiedy po raz pierwszy przeczytała wydruk monitora, wzbierała w niej wściekłość.

Syn ich od godziny był już najwidoczniej w niebezpieczeństwie, a Muhradi, rzekomo wybitny wirtuoz w tej materii, niczego nawet nie zauważył. Z tego prostego powodu, że nie był na tyle skrupulatny, żeby na niego popatrzeć. Brakowało im najważniejszej informacji - ile rzeczywiście czasu upłynęło pomiędzy pierwszym a drugim odczytem według punktacji Apgar?

Był to bowiem najważniejszy czynnik, determinujący długość okresu, w którym ich dziecko pozbawione było tlenu. Gdyby trwał on nie siedem a dziewięć lub raczej dziesięć minut, szansę na zdolność do życia dziecka byłyby z pewnością znikome. Mógłby być nawet poważnie upośledzony.

Barney naturalnie natychmiast zrelacjonował żonie te niepokojące obserwacje i powiedział jej, że na koniuszkach palców dziecka nadal widniały niebieskie ślady. Już sam ten fakt rzucał pewne wątpliwości na to, że lekarz zaliczył mu jakiegokolwiek punkty za kolor.

- Muszę go zobaczyć - nalegała Laura. - Muszę go sama zbadać.

- Uspokój się - powiedział Barney. - Dopiero miałaś poważną operację. Obiecano mi, że dzisiaj po południu będę cię mógł do niego zabrać.

Ktoś zapukał do drzwi, a potem odezwał się wesoły głos.

- Dzień dobry. Czy już jesteście po cygarach? - zapytał Sidney Hastings.

Laura odpowiedziała surowym tonem: - Wejdz do środka i zamknij drzwi.

- Byłem już na górze zobaczyć dziecko - ciągnął Hastings, usiłując stworzyć zasłonę dymu między nimi. - Wygląda na prawdziwą gwiazdę. No, ale przy takiej matce...

Barney przerwał mu: - Nie wysilaj się, Sidney. Dobrze wiesz, że prędzej czy później Laura pójdzie na górę i zobaczy, co tam się dzieje. Może zatem miałbyś tyle przyzwoitości, żeby powiedzieć nam prawdę.

- Nie wiem, o czym wy mówicie.

- Daj spokój, Sidney - przerwała Laura. - Kiedy faktycznie dziecko zaczęło oddychać?

- Nie miałem jeszcze okazji spojrzeć na raport.

- Kłamiesz! - warknął Barney. - Byłeś tam pewno i studiowałeś go przez godzinę.

- Słuchaj, Livingston - odpowiedział Hastings najwidoczniej zdenerwowany. - Nie pozwolę, żeby tak do mnie mówiono. Nie było mnie tutaj, więc nie jestem odpowiedzialny za żadne niedociągnięcia, które mogły tu zaistnieć.

- A zatem przyznajesz - podchwyciła Laura - że ktoś tutaj zawałił?

- Przepraszam cię, Lauro. Wiem, że była to dla ciebie straszna noc, ale nie pozwolę, żeby mnie traktowano jak jakiegoś kryminalistę na przesłuchaniu w sądzie.

Barney tytanicznym - wprost wysiłkiem próbował zdobyć się na spokój.

- Sidney, proszę cię, chcemy tylko wiedzieć prawdę. Wiemy, że wypadki się zdarzają. Chryste, każdy z nas w trakcie swojej kariery coś kiedyś...

Chciał powiedzieć "zaniedbał", ale powstrzymał się w porę.

- Słuchaj, wszystkim zdarzają się wypadki. Z doświadczenia wiem jednak, że pacjenci przyjmują to najlepiej, jeśli mówi im się prawdę, nawet w przypadkach, gdy jest to prawda typu "przykro mi bardzo, ale tym razem zawałiliśmy".

Czekali. Piłka upadła na kort doktora Hastingsa. Skrępowany ciszą, jaka nastała w pokoju, starszy lekarz odezwał się wreszcie tak, jakby czytał z notatek.

- Doktor Muhradi i doktor Bali są uczciwymi ludźmi. Jeśli napisali, że oddech dziecka został przywrócony po siedmiu minutach, to ja wierzę im na słowo. Jeśli wy jednak upieracie się, żeby zachowywać się w ten sposób, to proponuję wam, żebyście poszukali sobie innego lekarza. - Po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

- Co za sukinsyn! - zaklął Barney.

Laura wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Barney, podsuń mi wózek.

Obniżyli inkubator, aby mogła zbadać swego noworodka na siedząco. Sprawdziła jego paluszki u rąk i nóg, zwracając uwagę na kolor. Przez kilka minut osłuchiwała jego piersi. Potem wyciągnęła szpilkę i podrapała nią podeszwy jego maleńkich stóp.

Barney patrząc na to wszystko, pomyślał sobie: Dzięki Bogu, dzieciak ma jakieś odruchy.

Ostatni test był jednak najważniejszy. Czy będzie ssał? Gdyby bowiem był tak upośledzony, że nie byłby w stanie ssać, to nie miałby absolutnie żadnych szans na normalne życie.

Wzięła go na ręce i przyłożyła do piersi. Po chwili spojrzała na Barniego i rozplakała się z radości: - Wszystko w porządku. Nic mu nie będzie.

Pospiesznie opuścili szpital. We troje.

- No cóż, Castellano - stwierdził Barney, usiłując wykrzesać z siebie jakąś radość. - Przeszliśmy tu przez piekło. Potraktowano nas gorzej, niż można to było sobie wyobrazić. Najważniejsze jednak, że trzymasz teraz w ramionach czterokilogramowego Harry'ego Livingstona, przyszłego mistrza świata.

Dobrze jednak wiedzieli, że nie było to prawdą.

Oboje byli przecież lekarzami i zdawali sobie sprawę z tego, że chociaż Harry będzie rósł, uśmiechał się i baraszkował w piaskownicy, to nadal istniała możliwość, że nigdy nie osiągnie takiego poziomu intelektualnego, żeby się móc podpisać. Tylko czas to pokaże. W takich wypadkach nawet doktorzy nie znali wszystkich odpowiedzi.

Tymczasem byli zmuszeni żyć w czyścicu.

Rozdział LV

Któż mógłby przewidzieć, że niedoszły jezuicki ksiądz, który był niegdyś tak skrępowany w towarzystwie, niepewny siebie i niewinny, zostanie ostatecznie jednym z najbardziej poważanych (i najbogatszych) ludzi na Hawajach?

Taki był bowiem los Hanka Dwyera.

Co więcej, nie tylko dobrze zarabiał, ale i dobrze czynił. Legiony ludzi błogosławiły go, modliły się za niego i nazywały dzieci jego imieniem.

Mądrze zdecydował też, że w przyszłości pozostanie w stanie bezzennym, choć wcale nie oznaczało to celibatu.

Wszystko przychodziło mu tak łatwo jak kokosy z palmy - prosto do ręki, otwarte i gotowe do spożycia.

Zanik jego uczuć bynajmniej nie uszedł uwagi jego żony, Cheryl. Kiedy Hank zgłosił gotowość odbycia ponownego okresu służby wojskowej w Wietnamie, zaczęła szukać pomocy u księży. A ponieważ wiernie uczęszczała na mszę do katedry Świętego Krzyża, sam bostoński kardynał został jej duchowym doradcą.

Jego Eminencja uważał, że dusza tak czysta jak Cheryl Dwyer nie powinna być zmuszana do życia w takim zawieszeniu i lepiej wychowa swoje katolickie dzieci, jeśli uwolni się od Hanka i poślubi kogoś innego, bardziej godnego jej dobroci. I mimo że Watykan nie sankcjonuje rozwodów, to jednak istniały inne sposoby na rozwiązanie tej sytuacji. Na przykład, Kościół mógłby unieważnić ich małżeństwo.

I tak oto Hank nie musiał się nawet ruszyć z miejsca. Nie opuścił też ani jednej niedzieli na plaży w Maui. Po prostu otrzymał papiery do podpisu, co pospiesznie uczynił, nie okazując żadnego wzruszenia. Czuł tylko ogromną wdzięczność dla Jego Eminencji za interwencję.

Dwudziestego szóstego lipca 1978 roku stał się cud. W Anglii urodziło się dziecko - Louise Brown. Był to nieskomplikowany poród i dziewczynka pod każdym względem zaliczała się do normalnych, z wyjątkiem tego, że nie została spłodzona w łonie swojej matki, ale w laboratoryjnej probówce.

Ze względu na niedrożne jajowody matki, doktorzy Patrick Steptoe i Robert Edwards wprowadzili plemnik ojca do jaja matki w szklanym naczyniu. Dopiero kiedy związek ten przerodził się w zdrowy zarodek, przenieśli go do jego normalnego

środowiska. Zaszczepił się z łatwością w macicy pani Brown i dziewięć miesięcy później wyłonił się jako zdrowe dziecko.

Płodzenie potomstwa było niewątpliwie jedną z niewielu rzeczy, w których kompetencja Hanka była wyższa niż przeciętna. Uważał zatem, że będzie to logiczne, jeśli pojedzie do Anglii i jeśli tylko obaj doktorzy się na to zgodzą, będzie pracował jako ich asystent - zupełnie bezpłatnie - po to tylko, aby przejść odpowiednią edukację.

Nowatorscy naukowcy spojrzeli na jego akta personalne. Przeciętne stopnie w Szkole Medycznej zrównoważyły medale za waleczność w południowo-wschodniej Azji.

Taki doktor jak on zasługiwał na to, żeby nauczył się nowej techniki i pierwszy wprowadził zapłodnienie *in vitro* w Ameryce.

Kiedy po roku Hank powrócił do Stanów, rozeszły się prędko pogłoski, że zamierza otworzyć klinikę na wzór tych, które widział w Anglii. I mimo że nigdy nie szukał rozgłosu, dziennikarze uganiali się za nim. Ni stąd, ni zowąd mówiono o nim w każdym domu pięćdziesiątego stanu.

Kiedy o planach Hanka poinformowano gubernatora Hawajów, postarał się dla niego o niskoprocentową pożyczkę stanową dla przyspieszenia realizacji tego projektu i jak najszybsze otwarcie instytutu, jakiego nie miała jeszcze nawet Kalifornia.

Nieszczęśliwe kobiety z Zachodniego Wybrzeża, które bardzo pragnęły mieć dzieci, szybko dowiedziały się o tym, że fertylizacja *in vitro* wreszcie była wykonywana. Zjeżdżały zatem tłumnie do "Instytutu Hanka Dwycera".

A mimo to, pośród tego hawajskiego przepychu pozostały w Hanku pewne ascetyczne skłonności z czasów jego seminaryjnych dni. Posiadał surową wewnętrzną dyscyplinę i pewne żelazne zasady, podług których niezachwianie żył.

Na przykład, nie jadał czerwonego mięsa, wiedząc jako doktor, że - jak ostatnio odkryto - szkodzi na okrężnicę. Nie chciał bowiem w jakikolwiek sposób zaszkodzić swojej długowieczności.

Pracował jedynie trzy dni w tygodniu.

Pił tylko po piątej po południu.

I nigdy - bez wyjątku - nie chodził z dziewczynami, które miały powyżej dwudziestu pięciu lat.

Kiedy kwestionariusz Barniego Livingstona dotarł do jego hawajskiego gabinetu, Hank przebywał właśnie w Anglii, doksztalając się w dziedzinie produkcji dzieci, a jego sekretarka - w przekonaniu, że to jakieś śmieci - nie odesłała mu go.

W pewnym sensie Hank ucieszył się nawet z tego, ponieważ kwestionariusz Barniego nie miał nic wspólnego z jego zawodowym życiem.

Jakżeż miał bowiem odpowiedzieć na tak głupi dokument? Napięcie związane z pracą? Stres? Żal? Te słowa nie miały dla niego żadnego znaczenia. Wobec tego, zamiast wypełnić formularz, po prostu napisał:

Drogi Barney,

bardzo się ucieszyłem wiadomościami od Ciebie. Przypuszczam, że powinienem utrzymywać z Tobą kontakt w trakcie mego pobytu w Wietnamie, wiesz jednak, co się tam działo i pod koniec było to nawet niebezpieczne.

Na początku zmuszony jestem przekazać Ci smutną wiadomość. Z sobie tylko wiadomych powodów Cheryl nie doceniała mego poświęcenia dla ojczyzny i w czasie mojej służby w Namie wymyśliła sposób na zakończenie naszego związku, a jednocześnie uzyskanie orzeczenia, że nadal jest panną, tak aby mogła poślubić - i unieszczęśliwić - jakiegoś innego faceta. Pocieszam się tylko myślą, że kiedyś znajdę dziewczynę moich marzeń. Może śmiga już tu gdzieś na falach na desce surfingowej w złotym bikini. Nie myśl, że jej nie szukam.

Jedynym kolegą, którego widziałem osobiście, był Lance Mortimer, który przyjechał tu z okazji swojej pierwszej i drugiej podróży poślubnej. Z jakiegoś powodu po zawarciu małżeństwa numer trzy postanowił pojechać do Meksyku.

W każdym razie dobrze się mu powodzi. Nie muszę Ci chyba mówić, że anestezja jest bardzo popłatna i Lance pracuje tylko ze cztery dni w miesiącu. Resztę czasu poświęca programom, które organizuje dla telewizji. Mam nadzieję, że sam do Ciebie napisze. Uważam, że jest jednym z tych z naszego rocznika, którzy osiągnęli największe sukcesy.

Zmieniając temat, parę dni temu natknąłem się na "Psychikę mistrzów" w mojej księgarni i kupiłem ją zaledwie za dwa dolary. Muszę Ci powiedzieć, że jest to rzeczywiście świetna książka. Możesz być z siebie dumny. Nie było mnie tu, co prawda, z chwilą ukazania się jej na rynku, więc nie wiem, z jakim spotkała się przyjęciem ze strony prasy, jednakże uważam, że zasługuje na to, żeby zostać bestsellerem. Możesz być pewny, że kiedy pojawi się na półkach Twoja książka o

doktorach, nie będę czekał, aż ją będą wyprzedawać po przecenie. Zamówię ją od razu. Mam nadzieję, że dobrze mnie w niej potraktujesz.

Poszukaj mnie tu, gdyby los rzucił cię kiedykolwiek na Hawaje. Jestem właścicielem jednego czy dwóch małych hotelików i wszystko byłoby naturalnie na rachunek firmy.

Życzenia wszystkiego najlepszego

Hank

PS. Załączam kopię całostronicowego ogłoszenia wykonanego przez Agencję Reklamową w Honolulu po narodzeniu się naszego tysięcznego dziecka. Zdjęcie mówi samo za siebie - ja w środku z czworaczkami na ręku, w otoczeniu szeregów szczęśliwych matek, tulących do siebie potomstwo, o którym zawsze marzyły.

W pewnym sensie czuję się tak, jakbym był ojcem ich wszystkich.

Rozdział LVI

“Niemowlęciu z zamartwicą przy urodzeniu grożą przez dłuższy czas różne komplikacje, począwszy od opóźnienia w rozwoju umysłowym, porażenia mózgu, napadów padaczkowych, aż po minimalne uszkodzenia mózgu prowadzące do upośledzonych zdolności postrzegawczych oraz różnych zaburzeń w zdobywaniu wiedzy”.

“Zaburzenia w rozwoju niemowląt”. *Podręcznik Mercka. Diagnoza i terapia*, wydanie czternaste, strona 1759.

Żadne dziecko w historii świata nie było poddawane tak częstej i wnikliwej obserwacji, jak mały Harry Livingston.

Poddawano go również dokładnym oględzinom, analizom i nie kończącym się testom. Ponieważ oboje czuli, że nigdy nie dowiedzą się, jak długo Harry pozbawiony był tlenu, musieli spodziewać się najgorszego.

Radość ich przygaszały nieustanne obawy, że wkrótce wystąpią jakieś objawy wskazujące na uszkodzenie mózgu. Może dzisiaj, jutro. Albo za tydzień.

Co drugi miesiąc Laura zabierała Harry’ego do dyrektora Instytutu Pediatrii przy uniwersytecie kolumbijskim, a Barney do szefa Szpitala Bellevue. (Nigdy nie przyznawali się do swojej medycznej bigamii żadnemu specjalście.)

Lekarze nie lekceważyli bynajmniej ich obsesji. Livingstonowie mieli bowiem autentyczne powody do zmartwień.

- Z całą pewnością nie będziemy niczego pewni, dopóki nie ukończy co najmniej drugiego roku życia.

Była to opinia profesora Adama Parry’ego, najwybitniejszego pediatry w Nowym Jorku.

Laura dodała szybko: - Naturalnie w przypadku, gdyby było jakieś uszkodzenie mózgu. Jeśli nie...

- Tak - przyznał Parry. - Jeśli nastąpiło jakieś porażenie mózgu, dowiemy się o tym już wkrótce.

- O Jezu, Castellano, wolałbym, żebyś nie była taka nerwowa - stwierdził Barney, kiedy wracali z którejś ze swoich licznych konsultacji. - Wydaje mi się, że

dzieciak całkiem dobrze wygląda. Jestem w końcu na bieżąco z neurologii. Dlaczego tak się zamartwiamy na zapas?

- Możesz temu zaprzeczać, ile ci się żywnie podoba, Barney. Wiesz jednak, jak przebiega rozwój mózgu. Jedna trzecia z międzykomórkowych połączeń formuje się dopiero po urodzeniu. Fałdy mózgowe w główce Harry'ego nadal się rozwijają i niektóre ze ścieżek mogły zostać zablokowane w czasie, kiedy ten irański dureń romansował z pielęgniarkami. Sam powiedz, czy to nie napawa cię niepokojem?

- Nie - odparł rzeczowo.

- Naprawdę?

- Nie - przyznał szczerze. - Wydawało mi się jednak, że byłoby lepiej, gdybym skłamał.

Popatrzyła na niego czule z wdzięczności.

- Też pewno wstrzymujesz oddech, co?

- Aha - odpowiedział lapidarnie. I po chwili namysłu dodał: - To jest takie mordercze, prawda? Ten sukinsyn Muhradi podał nam zawiniątko radości, a równocześnie bombę zegarową. Gdyby tylko powiedział nam prawdę! Nawet jeśli nie byłyby to dobre wieści, ale za to prawdziwe, to przynajmniej moglibyśmy spać spokojniej po nocach. Przecież nawet gdybym wiedział, że Harry będzie musiał chodzić do specjalnej szkoły, nie kochałbym go przez to mniej.

Niepotrzebne było mu potwierdzenie Laury, żeby wiedzieć, że się z nim zgadzała.

- Dlaczego zatem nie był z nami szczerzy?

- Może się martwi, że go zaskarżymy o zawodowe niedbalstwo.

- Do diabła! Powinniśmy to zrobić. On to po prostu cholernie zlekceważył. Jeśli się okaże, że Harry nie jest w porządku, to pójdę do niego i go zaduszę.

Jechali dalej w milczeniu. Laura patrzyła obojętnie przez okno taksówki i w końcu mruknęła: - Należy cjo tych typów, co uważają się za świętych.

- Co takiego?

- No wiesz, należy do tego typu lekarzy, którzy twierdzą, że są odpowiedzialni jedynie przed Bogiem - a może nawet i nie przed Nim. Już nieraz natknęłam się na takich jego pokroju.

- Ja również.

- Czy napiszesz o nich w swojej książce?

Pokiwał głową. - Już nawet nakreśliłem szkic rozdziału zatytułowanego *Lekarze, którzy kłamią*. Problem w tym, że nie mogę go napisać.

- Jak to?

- No, bo ciągle jeszcze się wściekam.

I tak oto obserwowali syna nadal, wiecznie mając się na baczności, wypatrując najmniejszych nieregularności, najdrobniejszych śladów uszkodzenia mózgu. Krótko mówiąc, wszystkiego, co mogłoby wskazać na to, że Harry nie był doskonały.

W każdym razie dziecko było niewątpliwie spostrzegawcze. Wydawało się, że dzięki jakimś nie znanym jeszcze dziecięcym zmysłom wyczuwał myśli rodziców i przy każdej sposobności usiłował ich uspokoić.

W szóstym tygodniu życia się uśmiechnął. Oboje dokładnie zapamiętali okoliczności tego wydarzenia. Estelle z okazji swoich częstych przyjazdów z Miami w odwiedziny do wnuka przywiozła Harry'emu kolorowe grzechotki do zawieszenia w poprzek kołyski.

Laura potrząsała kolejno plastikowymi pudełeczkami, aby mu pokazać, że każde z nich różniło się nie tylko kolorem, ale i towarzyszącym mu dźwiękiem.

Na dźwięk czerwonej kostki uśmiechnął się.

Dzięki Bogu! - pomyślała sobie. Jedna przeszkoda już za nami.

Następnym milowym krokiem w jego rozwoju miało być opanowanie umiejętności siadania. Harry posłusznie spełnił ich oczekiwania, siadając w łóżeczku na długo przed upływem ostatecznego terminu siedmiu miesięcy.

A potem - o cud nad cudy! - tydzień po swoich pierwszych urodzinach uczynił pięć chwiejnych kroków od fotela, na którym siedział Barney, w stronę wyciągniętych ramion Laury. Chłopiec rzeczywiście był mistrzem!

Barney powtarzał więc tylko w kółko: - Dzięki Bogu, Lauro. Dzięki Bogu. Dzieciak jest w porządku i nic mu nie dolega.

I jednocześnie powtarzał sobie w duchu: Jak dotąd...

Pewnego wieczoru, kiedy oboje go kąpali, Barney przeraził się kolejną myślą. - Mam nadzieję, że nie zdziwaczał, wyczuwając przez skórę nasze obawy?

- Nie mam pojęcia, Barney - powiedziała Laura, podnosząc ich anielski skarb z wody i zawijając go w ręcznik trzymany przez ojca. - Mamy jeszcze przed sobą co najmniej jeden rok wyczekiwania. Jeszcze mogą się ujawnić jakieś nieprawidłowości.

- Dzięki, Castellano. Stokrotne dzięki - mruknął.

- A za co? »

Barney popatrzył znad stołu, na którym pudrował Harry'ego, i odpowiedział: - Podarowałaś mi właśnie wręcz niewiarygodny prezent. Następne trzysta sześćdziesiąt pięć nie przespanych ze zmartwienia nocy.

Pierwszy pacjent Barneygo był umówiony na siódmą. Barney wstawał jednak o piątej trzydzieści, żeby spędzić kilka spokojnych chwil ze swoim synem. Z radością zajmował się zmianami pieluszek, przygotowaniem butelek i czekaniem, aż mu się odbije. Nigdy nawet nie przypuszczał, że tak przyziemne czynności będą mu sprawiały tak niewysłowioną przyjemność.

Kiedy Harry ssał spokojnie swoje śniadanie, Barney opowiadał mu o bieżących wydarzeniach, literaturze, filozofii i sporcie. Nie dlatego, że uważał, że w ten sposób wyrośnie na większego intelektualistę, ale po prostu po to, żeby coś do niego mówić i słyszeć jego gaworzenie w ramach odpowiedzi.

Nienawidził, kiedy niczym nie wzruszony zegar kuchenny nakazywał mu położyć Harry'ego z powrotem do łóżeczka.

Laura i Barney posprzeczczała się kiedyś poważnie. Ona twierdziła, że pierwsze sylaby wymówione przez Harry'ego (w wieku ośmiu i pół miesiąca) brzmiały "da-da", a on uparcie utrzymywał, że było to "dok-ta" - co jego zdaniem wskazywało na to, że wybrał już sobie zawód.

Będąc wykwalifikowanym psychoanalitykiem, Barney wiedział, że nie należało wywierać presji na rozwijającym się dziecku. Dlatego też z okazji drugich urodzin kupił mu hełm strażacki oprócz zestawu przyrządów "Mały lekarz".

Tego lata przenieśli się do Connecticut. Chociaż oznaczało to dla nich obojga długie dojazdy pociągiem do pracy (Laura ograniczyła swoje szpitalne obowiązki do jednego dnia w tygodniu), to jednak dawało ich wypieszczonemu dziecku świeże powietrze, zieleń i drzewa, których nie mieli za wiele w czasach własnego dzieciństwa.

Pragnąc wynagrodzić mu swoją nieobecność podczas tygodnia, Barney suto obdarzał Harry'ego uwagą w czasie weekendów. Chłopiec zaczął już jednak wykazywać wczesne objawy towarzyskości, gdyż czasami wolał towarzystwo dwojga berbeciów z sąsiedniego domu, którzy mieli piaskownicę. Z zachowania syna oboje wywnioskowali, że Harry pragnął mieć rodzeństwo. Postanowili zatem, że spełnią to jego marzenie.

Z przyjemnością zabrali się do dzieła.

Kiedy jednak nic im nie wychodziło przez siedem miesięcy, Laura udała się do swojego ginekologa, który powiadomił ją, że musi poddać się operacji, po której urodzenie kolejnego dziecka stanie się niemożliwe.

A zatem pozostał im tylko mały Harry.

Tego wieczoru, kiedy Laura dowiedziała się o tym, przysięgali sobie solennie, że nie zrobią z Harry'ego znerwicowanego dziecka, przytłoczonego nadmierną troskliwością, czujnością i ciężarem ich oczekiwań.

I tak oto Laura została członkiem największego tajnego ruchu na rzecz ludzkości - macierzyństwa.

Mijały dni, w których nawet nie wiedziała, co robiła. A mimo to ich wspomnienia były widoczne i dotykalne na każdym kroku - ślady kolorowej plasteliny na ścianie, kwiatek sprezentowany jej przez Harry'ego, trochę zgnieciony, gdyż niósł go w zaciśniętej piąstce.

Pewnego razu, kiedy spacerowali wokół stawku, zatrzymali się, żeby nakarmić kaczki.

- Mamusiu, a dlaczego kaczki nie noszą butów?

Nie przygotowana na tak ezoteryczne pytanie, Laura mogła jedynie odpowiedzieć: - Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad tym. Być może tatuś będzie to wiedział. Zapytamy go o to, kiedy wróci do domu.

Przy obiedzie, kiedy Barney zapytał, co tego dnia robili, odpowiedziała jak zwykle: - Nic specjalnego. - W rzeczywistości jednak pomyślała sobie: Wszystko, co dzisiaj robiliśmy, było wyjątkowe, a nawet magiczne.

Egoistycznie powtarzała sobie w duchu: - Harry! Nie rośnij! Pozostań taki na zawsze!

Odczuła bolesne ukłucie, kiedy po raz pierwszy zostawiła dziecko w przedszkolu (tylko na trzy godziny). W rzeczywistości płakała nawet wtedy, kiedy Harry bawił się radośnie ze swoimi kolegami w "ojca Wirgiliusza".

(Ależ on jest jeszcze taki maleńki - tłumaczyła płaczliwie Barniemu poprzedniej nocy. - Przecież on jest jeszcze dzieckiem.)

Nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo go kochała, i w związku z tym, jak bardzo za nim tęskniła, jeśli nawet przez chwilę nie było go przy niej.

Ale chociaż przysięgali sobie, że nie będą nad nim krążyć i za często go badać, to jednak nie mogli nie zauważyć, że wraz z nadejściem trzeciej rocznicy urodzin Harry stawał się coraz bardziej ospały. I mimo wzrostu obwodu w pasie nie przybierał wcale na wadze.

Pewnego wieczoru w trakcie kąpieli dziecka Laura zawołała nagle Barniego do łazienki.

- Pomacaj tu - powiedziała poważnie, dotykając brzuszka Harry'ego.

Położył dłoń na miejscu, które mu wskazała (Och, tatusiu, to boli!) i przerażony skonstatował od razu, co miała na myśli - powiększoną śledzionę i wątrobę.

Był to koszmar, który już nie raz przeżyli w wyobraźni. Nie tego jednak się obawiali. Nie miało to bowiem nic wspólnego z rozwojem mózgu. Było to zupełnie coś innego.

Nazajutrz o szóstej rano, po nocy pełnej dręczących wyrzutów sumienia ("Nie powinniśmy mu pozwolić bawić się na deszczu owego dnia" albo "To moja wina, położyłam za dużo koców na jego łóżku") Barney zadzwonił do Adama Parry'ego.

- Przynieście go tu na testy, to zobaczymy, o co chodzi - rozkazał pediatra.

W ciągu dwudziestu czterech godzin otoczenie Livingstonów zmieniło się drastycznie - od piaskownicy do szpitalnego oddziału. Nie było wątpliwości, że zaistniały ślady jakiegoś patologicznego procesu.

Ale czego? Personel szpitalny wykonał mnóstwo testów i badań krwi (Proszę, nie chcę więcej igieł! - krzyczał Harry) i powtarzał te, które nie zadowalały Laury.

- To wszystko dla twojego dobra, kochanie - mówiła, próbując go udobruchać.

- Nie lubię tego miejsca. Chcę już iść do domu.

Słyszając to, Barney, który dotąd był jedynie niemym świadkiem, znalazł w sobie siłę, by stwierdzić: - Wszyscy chcemy już iść do domu.

Lekarze wykryli, że w związku z powiększoną wątrobą, Harry cierpiał na anemię i niedostateczną ilość płytek krwi. Groziło mu nawet pęknięcie śledziony.

Od tego momentu do łóżka Harry'ego podchodziła niezliczona liczba specjalistów. Niektórzy byli wysocy, inni niscy, grubi i chudzi. Wszyscy jednak zgodnie wzruszali ramionami, wychodząc z oddziału.

Laura i doktor Parry starali się dokonać właściwego rozpoznania.

- Czyż choroba Gauchera nie odpowiadała najbardziej symptomom dziecka?

Na co Parry odpowiedział: - Owszem, ale może to być również przypadek dziecięcej leukodystrofii metachromatycznej - a najprawdopodobniej to ani jedno, ani

drugie. Posłuchaj, Lauro. Jesteś koleżanką po fachu, będę więc z tobą szczery. Nie mam pojęcia, co to może być. Wiem tylko, że to postępujące.

Barney starał się, jak mógł, aby przyjmować najbardziej chorych spośród swoich pacjentów, jednakże każdą wolną chwilę spędzał albo z Harrym, albo w bibliotece Szkoły Medycznej, studiując choroby dziecięce.

Warren dzwonił codziennie, pytając, czy mogliby im z Bunny w jakikolwiek sposób pomóc.

- Owszem - odpowiedział Barney. - Nie zrozum tego źle, Warren, ale zostaw nas teraz w spokoju. - A potem dodał: - I nie mów o niczym mamie.

Oboje spali w szpitalu, to znaczy szpital był miejscem, w którym nie spali po nocach. No, bo jakżeż mogli? Z każdą przecież godziną pogarszał się stan ich dziecka.

Gdyby zasnęli, stwierdziła Laura ponuro, mogliby przeoczyć całą godzinę z życia Harry'ego.

Siedzieli oboje nad stosem papierów, usiłując odnaleźć jakieś powiązanie pomiędzy raportami różnych specjalistów, którzy badali Harry'ego.

- Musi tu przecież istnieć jakaś wskazówka - upierał się Barney. - Jakiś wspólny mianownik.

Laura popatrzyła na niego z rozpaczą i powiedziała: - Spójrzmy lepiej prawdzie w oczy, Barney. Nawet jeśli uda nam się odkryć, co to jest, to najprawdopodobniej będzie już za późno.

- Nie, Castellano, nigdy! - odpowiedział z ledwo ukrywanym gniewem w głosie. - Spróbuj się przespać, a ja tymczasem połączę się za pomocą szpitalnego komputera z Państwową Biblioteką Medyczną. Może to nas na coś naprowadzi. O tej porze prawdopodobnie nikt z niego nie korzysta.

Wyszedł, a ona zagłębiła się w półśnie, który ani nie łagodził jej bólu, ani nie dawał wypoczynku.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała przy swoim łóżku nie ogolonego Sarniego, z komputerowym wydrukiem w ręku.

- Już wiem, co to jest - powiedział posepnie.

- Jesteś pewny?

Pokiwał głową. - Niech żyją komputery. Dzięki nim dokładnie wiem, co będzie przyczyną śmierci naszego syna.

Usiadła, sięgnęła po okulary i wyjęła mu papier z ręki.

- Zaoszczędzę ci kłopotów z odczytywaniem tego wszystkiego, Lauro. Nazywa się to RSS. To zespół Reeve'a Strasburgera.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Odkryli go po raz pierwszy jacyś faceci w Londynie pod koniec dziewiętnastego wieku. Jest to choroba polegająca na odkładaniu się tłuszczu i mielinowym pokryciu wszystkich nerwów. Znalazłem artykuł na ten temat w jednym z norweskich czasopism, wyjaśniający jego przyczyny. Przyczyną produkcji nieprawidłowej mieliny jest brak pojedynczego enzymu - aryłu sulfatazy B.

- Czy to coś w rodzaju stwardnienia rozsianego? - spytała.

- Nie. Istnieje między nimi pewien związek, ale to coś innego. Stwardnienie rozsiane prowadzi do demielinizacji. Nieprawidłowa mielina w RSS nie tylko pokrywa nerwy, ale na domiar złego odkłada się w miejscach takich jak wątroba i śledziona.

- O Jezusie, Barney. To, co mówisz, ma sens. Zadzwoń do Adama do domu.

- Nie musisz się z tym spieszyć, Lauro - odpowiedział zupełnie wyczerpany Barney. - Niepotrzebny tu pośpiech.

- Ależ dlaczego? Jak się to leczy? Czy podano ci na ten temat jakieś odpowiedzi?

Potaknął głową. - Wybieraj. Przeszczep szpiku kostnego, przeszczep wątroby, chemioterapia przeciwbiałaczkowa. Cudowny wachlarz możliwości.

Przerwał, a potem ze ściśniętym gardłem powiedział: - Nic z tego nie skutkuje. Nie notowano przypadków, w których ktoś przeżył czwarty rok życia.

Wyrwał jej nagle papiery z ręki.

- I po co, u diabła, to wszystko? Nie ma sensu, żebyśmy to czytali, to jest już ostateczność. Wszystkie jego nerwy są w porządku. O Chryste! Nie mogło w nas lepiej trafić!

Załamana Laura padła z płaczem w objęcia Sarniego.

Adam Parry przyjechał do szpitala tuż przed siódmą, przeczytał notatki Sarniego i przetrawivszy już wcześniej raporty pozostałych specjalistów, potwierdził, że Harry rzeczywiście cierpiał na RSS.

- Nie wiem jednak, co w związku z tym nam pozostało - przyznał szczerze.

Laura odparła cicho: - Tylko parę tygodni z Harrym.

- Nie! Do cholery! - warknął Barney. - Musimy znaleźć jakiś sposób. Przeszukamy każdą piędź ziemi i znajdziemy jakiegoś doktora albo znachora.

Pojedziemy nawet do Lourdes. Nic mnie to nie obchodzi. Dopóki Harry oddycha, będziemy walczyć o jego życie. Pójdę teraz do siebie do biura i wykonam parę telefonów. Lauro, zadzwoń do tego faceta, z którym pracowałaś w Szpitalu Dziecięcym.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, był już za drzwiami.

Laura wróciła do ich izolatki i zaczęła dzwonić. Najpierw do eksperta z Harvardu.

- RSS? - zapytał z niedowierzeniem w głosie.

- Tak, panie profesorze - odpowiedziała Laura cicho.

- Mój Boże, nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek spotkał się z takim przypadkiem. Słuchaj, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym przyjechał do Nowego Jorku?

- Oczywiście, że nie.

- Czy mogę przywieźć ze sobą moich asystentów? To byłaby dla nich jedyna szansa na to, żeby się przypatrzeć tej chorobie.

Laura rzuciła słuchawką. Potem zadzwoniła do Daina Olivera z Instytutu Zdrowia i poprosiła go, żeby sprawdził istniejące tam dane. Z tego źródła uzyskała pewne informacje i jakieś naświetlenie sprawy. Państwowy Instytut Zdrowia miał w końcu dane, których jeszcze nigdy nigdzie nie publikowano.

- Lauro, istnieją co najmniej trzy teoretyczne sposoby, którymi można by do tego podejść.

Potrzeba mi czegoś więcej niż teorii, Dain - pomyślała sobie w duchu, ale zmusiła się do wysłuchania go.

- Mielina odkłada się na skutek braku jednego z enzymów.

- Wiem, wiem - powiedziała z niecierpliwością. - Arylu sulfatazy B.

- Problem jest zatem jasny. Trzeba dostarczyć organizmowi brakującego enzymu. Z tego, co widzę, istnieją na to trzy sposoby.

- Jakie? - spytała Laura z zapartym tchem.

- Przede wszystkim możesz najpierw próbować przeszczepić zgodne pod względem histologicznym fibroblasty skóry. Naturalnie będziesz musiała znaleźć odpowiedniego dawcę, a to może trochę potrwać.

- Czy operacje tego typu udały się już kiedyś? - zapytała Laura.

- Jeszcze nigdy tego nie próbowano - odpowiedział Dain. No dobrze - pomyślała sobie Laura. Zostawmy to na razie na boku. Możemy nie mieć czasu na szukanie dawcy, a co dopiero na robienie eksperymentów.

- Na czym polegają te dwa pozostałe sposoby?

- Można spróbować zastosować technikę, której używano do leczenia dzieci z mięsakami kostnymi.

- To znaczy, najpierw podawać truciznę, potem antidotum na zabicie cytotoksycznych białych krwinek. To zbyt ryzykowne. Jaka jest trzecia alternatywa?

- No cóż - odpowiedział jej były szef z nagłym zakłopotaniem w głosie. - Są tu w instytucie ludzie, którzy pracują obecnie nad opracowaniem laboratoryjnego modelu tego enzymu.

- Ile im jeszcze do tego brakuje, Dain? - zapytała nagle.

- Jest to teraz w stadium przygotowawczym - odpowiedział ze skruchą w głosie Dain. - Mówimy tu może o dwóch albo i trzech latach. Nic na to nie mogę poradzić, Lauro.

- Dain, masz informacje na temat tego, co się dzieje we wszystkich laboratoriach na świecie. Czy ktoś zdołał poczynić już na tym polu jakieś postępy?

- Kilka zakładów na Zachodnim Wybrzeżu usiłuje powielić wszystkie rodzaje enzymów. Są to najczęściej prywatne firmy. Jest tam nawet ktoś, kto zdaje się znacznie wyprzedził całą resztę. Słyszałem jednak, że to dziwak, i wątpię, czy uda ci się do niego dotrzeć i z nim porozmawiać.

- Powiedz mi tylko, kto to jest, Dain. Proszę! - błagała Laura, myśląc jednocześnie: Jeśli ten facet ma na to jakąś odpowiedź, to zachołgam się do Kalifornii na kolanach.

- Pracuje dla bardzo silnej małej firmy, zwanej Neobiotics. To zawodowo zdyskredytowany geniusz. Nazywa się Peter Wyman.

- Znam go - przerwała mu prędko Laura. - Daj mi jego numer telefonu, to ja już sobie dalej z nim poradzę. Czy możesz mi jeszcze raz powiedzieć, jak się nazywa ta firma?

- Neobiotics. Znajdują się w Pało Alto.

- Dziękuję ci, Dain. Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo jestem ci za to wdzięczna.

Podał jej numer. A potem z bezradnością, którą wyczuła nawet przez telefon, dodał: - Żałuję, że nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić, Lauro. Naprawdę, bardzo ci współczuję.

- Dziękuję - odpowiedziała nieomal niedosłyszalnie i pozwoliła słuchawce osunąć się na widełki.

W chwilę później wykręcała numer do Kalifornii.

Recepcjonistka odpowiedziała jednak stanowczo: - Bardzo mi przykro, ale doktor Wyman z zasady nie pozwala, aby mu przeszkadzano, kiedy pracuje u siebie w laboratorium.

- Niech pani mu powie, że dzwoni Laura Castellano i że jest to dosłownie sprawa życia i śmierci.

Mijały minuty, wreszcie usłyszała żartobliwy głos:

- Proszę, proszę! Jak się ma harwardzki odpowiednik Marilyn Monroe?

Laura nie miała zamiaru tracić cennego czasu na słowne finezje.

- Muszę się z tobą zobaczyć, Peter. Muszę się jak najszybciej z tobą spotkać.

- To mi bardzo pochlebia - odpowiedział ze śmiechem. - Jestem już jednak żonaty. Trzeba było zadeklarować swoje uczucia trochę wcześniej.

- Proszę cię! - zaklinała go Laura. - Lecimy następnym samolotem do San Francisco.

- Czy mógłbym wiedzieć, co znaczy to "my"?

- Mój mąż, Barney, ja i nasz mały synek. On jest bardzo chory, Peter. Musimy się natychmiast z tobą zobaczyć.

- Ale dlaczego ze mną? Ja jestem naukowcem, Lauro. Nie praktykuję medycyny.

- Mamy ku temu specjalny powód. Westchnął ze znużeniem.

- No dobrze - odpowiedział niechętnie. - Przypuszczam, że najmniej przeszkadzałoby mi to późnym wieczorem. Większość laboratoryjnego personelu idzie już o tej porze do domu i wtedy myśli mi się najbardziej twórczo. Gdybyście mogli wpaść do mnie jutro po dziesiątej wieczorem...

- A dlaczego nie dzisiaj?

- Czy to takie pilne?

- Tak, Peter. Jeśli tylko się zgodzisz, to może uda nam się złapać w południe samolot.

- Muszę przyznać, że zaczyna mnie to wszystko szalenie intrygować - odpowiedział napuszonym głosem. - W każdym razie, miło mi będzie znowu cię zobaczyć, Lauro.

- Dziękuję, Peter. Będziemy...

- Nie mogę jednak powiedzieć tego samego o twoim mężu, ale jeśli przyjedzie w takiej sprawie...

- Do widzenia, Peter. Musimy się spieszyć na lotnisko.

Załatwiła specjalny aparat dla podtrzymywania kondycji Harry'ego na stałym poziomie w czasie podróży, a Barney zadzwonił na lotnisko.

O tym, gdzie jadą, poinformowali jedynie Adama Parry'ego.

- Zdajecie sobie jednak chyba sprawę z tego, że możecie tu wrócić bez żadnych konkretnych odpowiedzi? - ostrzegwał życzliwie.

- Ze wszystkiego zdajemy sobie sprawę - odpowiedział pośpiesznie Barney.

Harry był prawie nieprzytomny na skutek podanych mu lekarstw. Barney i Laura trzymali go na zmianę na kolanach. Nie dlatego, że nie było dla niego miejsca na środkowym fotelu, ale raczej dlatego, że potrzebny im był jego dotyk - dla dobra ich wszystkich.

Gdyby stało się to, co najgorsze, pozostałyby im przynajmniej te cenne wspomnienia ciepła i dotyku. Wspomnienia tego, jak go tuliła do piersi, i uścisku tak mocnego, że w pewnej chwili Barney obawiał się, że go zadusi.

Był to jakiś pierwotny instynkt. Pragnął ochronić swego syna od wszelkiego złego. Powtarzał bez przerwy dla dodania im wszystkim otuchy: - Tatuś i mamusia nigdy nie pozwolą ci odejść. Nigdy, nigdy, nigdy! Jesteśmy tu przy tobie, Harry. Jesteśmy przy tobie.

Jednocześnie Laura myślała obsesyjnie: Gdybym cię tylko mogła wchłonąć z powrotem do siebie do środka, Harry. Byłbyś tam wtedy bezpieczny.

- Jaki słodki ten państwa chłopczyk! - gruchała stewardesa. - I jaki on grzeczny! Czy to jego pierwsza podróż samolotem?

Laura skinęła głową. - Tak. - I pomyślała sobie: I pewno ostatnia.

Na lotnisku wynajęli samochód i pojechali prosto do Uniwersyteckiego Zajazdu w pobliżu Uniwersytetu Stanforda w Palo Alto.

Oboje byli wykończeni podróżą, zmianą czasu, a przede wszystkim ogromnym napięciem. Usiłowali nie zasnąć przed wyznaczoną przez władcęgo Wymana godziną spotkania. (Według ich biologicznego zegara była już pierwsza w nocy.) Cały czas zastanawiali się nad strategią. Może Laura powinna udać się do Wymana sama? Czy powinna zabrać ze sobą Harry'ego? A może powinni raczej iść we trójkę? Czy widok dwojga znajomych ze Szkoły Medycznej, którzy tak otwarcie go nienawidzili, nie zniechęci Petera? A może jednak okaże litość zrozpaczonemu rodzicom, których jedyne dziecko miało już policzone dni albo i nawet godziny życia?

Na koniec Barney zdecydował za nich oboje.

- Pojedziemy do niego wszyscy, Lauro. Chcę, żeby spojrzał mi prosto w oczy. I w twoje także. I żeby przyjrzał się dobrze Harry'emu. Przekonamy się wtedy, czy ma w tej swojej duszy z granitu choć jedną ludzką cząsteczkę.

Pojechali wzdłuż El Camino Real, aż dotarli do zaskakująco skromnego, prostokątnego budynku z cegły, na którym widniał mały oświetlony napis: Neobiotics, Inc.

Kiedy tylko Barney podjechał do bramy, natychmiast zorientował się, na co ta firma wydawała pieniądze. Dwóch uzbrojonych przedstawicieli służby bezpieczeństwa kazało im wyjść z samochodu i przeszukało ich dokładnie. Zmuszono nawet Laurę do odwinienia kocyka, w którym trzymała Harry'ego.

Przeszedłszy przez oszklone drzwi obsadzone kolejną parą strażników, dotarli do recepcji, w której siedział jeszcze jeden strażnik. Podali swoje nazwiska i kazano im czekać.

Usiedli i położyli sobie śpiącego syna na kolanach. Zegar w poczekalni wskazywał dopiero za siedem dziesiątą. Znużeni spojrzeli na siebie z niedowidzeniem. Zastanowili się teraz, po co tu właściwie przyjechali. Prawdopodobnie okaże się to tylko następną ślepą uliczką.

W tym momencie Harry obudził się i przerażony nieznanym otoczeniem zaczął płakać. Laura zdołała go wreszcie uspokoić, kiedy pojawił się Peter w swoim białym, laboratoryjnym fartuchu.

- O, dobry wieczór, starzy przyjaciele! - powitał ich z sarkazmem. - Przybyliście aż tutaj, tak daleko od cywilizacji? Co zmusiło górę do przyścia do Mahometa?

Laura odpowiedziała cicho: - To jest Harry, nasz mały synek.

- O! - odpowiedział sucho ich były kolega.

Był to niezręczny moment. Barney zapytał z zażenowaniem:

- Czy moglibyśmy tu gdzieś porozmawiać? Peter spojrzął na zegarek.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo?

Barney pochylił się nad Harrym, wziął go na rękę i wyprostował się.

Nie bój się, Peter. Nie będziemy marnować twego cennego czasu.

Wyczuwali, że chciał, żeby zobaczyli jego gabinet - olbrzymie dyrektorskie biurko, telefoniczne wyposażenie godne epoki kosmicznej, liczne trofea na ścianach. Zależało mu, żeby wiedzieli, że chociaż w oczach Harvardu był tylko wyrzutkiem, to jednak w realnym świecie został prawdziwym gigantem. I to do tego rosnącym z minuty na minutę.

- A zatem - zaczął, rozsiadłszy się w swoim ogromnym, pokrytym skórą fotelu. - Na czym polega wasz problem?

W trakcie podróży Barney powtarzał sobie swoje przemówienie już z milion razy. Teraz wyrzucił z siebie najistotniejsze detale. Zastrzyk czystego enzymu był jedyną nadzieją dla Harry'ego.

- Zgadzam się z tobą - powiedział Peter, po raz pierwszy okazując jakieś zainteresowanie. - To rzeczywiście mogłoby poskutkować. Oboje jednak dobrze wiecie, że Ministerstwo Żywności i Lekarstw ustanowiło ostre przepisy regulujące stosowanie nowych leków na ludziach. To raczej zrozumiałe, że nie chcą dopuścić do czegoś takiego jak epizod z talidomidem, prawda? A mój syntetyczny ASB jest dopiero w drugim stadium próbnym. Nie mogę zatem dać wam tego, gdyż byłoby to całkowicie nielegalne. - A po chwili dodał: - Istnieje również taka możliwość, że mogłoby go to zabić.

W tym momencie Laura załamała się.

- Proszę cię, Peter, nie pozwól mu umrzeć, nie dając mu nawet szansy.

Barney powstał i stwierdził: - Słuchaj, Wyman, złożyłeś przysięgę Hipokratesa razem z nami. Zapomnij na chwilę o ministerstwie i jego przepisach. Spójrz lepiej na mojego umierającego syna. Czy masz zamiar pozwolić nam stąd wyjść i zabrać go prosto na cmentarz?

Peter przeraził się trochę otwartością Barniego. Spojrzął nerwowo na zegarek. Nikt się nie poruszył.

A potem Barney odezwał się znowu: - Czy zrozumiałeś to, co ci przed chwilą powiedziałem?

- Już od dłuższego czasu nie praktykowałem medycyny, a co dopiero pediatrii. Wydaje mi się jednak, że wasz syn jest rzeczywiście bardzo chory. Dlaczego nie zabierzecie go do Szpitala Dziecięcego i nie zapakujecie do łóżka z kroplówką?

- A potem co? - domagał się odpowiedzi Barney.

- A ja zadzwonię do was jutro o dziesiątej wieczorem.

- Nie wcześniej? - błagała Laura.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić - odpowiedział sucho Wyman. - To jest bardzo poważna sprawa. Dopilnujcie, żeby któraś z moich sekretarek wiedziała, jak się z wami skontaktować.

Wyszli odrętwiali z jego biura. Przeszli przez długi korytarz, szklane drzwi, minęli strażników i w milczeniu dotarli do swego samochodu.

Harry spał, opierając główkę na ramieniu ojca. Barney czuł na sobie ciepło jego policzka. Ma gorączkę - pomyślał sobie.

- Co o tym wszystkim sądzisz, Castellano? - Głos miał ochryply od kotłujących się w nim emocji.

- Sądzę, że w pewnym sensie on ma rację, Barney. Powinniśmy zabrać Harry'ego do szpitala. Wydaje mi się, że tam będzie najbezpieczniej.

Livingstonowie przekonali się, że w Szpitalu Dziecięcym pracowali ludzie na tyle wyrozumiali, że pominęli przepisy i zgodzili się położyć Harry'ego do łóżka, a także podać mu kroplówkę. Zbyt zmęczeni, żeby się gdziekolwiek ruszyć, Barney i Laura przespali się na materacu w pokoju Harry'ego. Obudzili się wcześnie rano. Zmiana czasu nadal zakłócała ich biologiczne zegarki. Upewniwszy się najpierw, że stan ich dziecka nie pogorszył się, wyszli, by poszukać jakiegoś baru, w którym mogliby wypić kawę. Właśnie dotarli do windy, kiedy zawołała ich ze swojego stanowiska pielęgniarka.

- Doktorze Livingston, mam tu do pana telefon.

Popędzili z powrotem jak szaleni.

- Kto to jest? - zapytał Barney pielęgniarkę.

- To doktor Goldstein, nasz szef pediatrii. Mówi, że zna was oboje.

- Goldstein? - spytała Laura, równie zaskoczona jak Barney. - Czy to nazwisko coś tobie mówi?

Barney wzruszył ramionami i podniósł słuchawkę.

- Mówi Livingston.

- Witajcie w San Francisco - odezwał się śpiewny kobiecy głos, który jeszcze dobrze pamiętał. Była to Suzie Hsiang.

- Suzie! To ty jesteś doktor Goldstein?

- Dzięki małżeństwu z doktorem Mikiem Goldsteinem - odpowiedziała. - Zobaczyłam wasze nazwisko na spisie nocnych przyjęć. Chciałabym wiedzieć, czy mogłabym wam w jakiś sposób pomóc?

- To bardzo miło z twojej strony - odpowiedział Barney - ale nie sądzę, żebyś mogła nam pomóc. Chyba że wymyśliłaś wczoraj w nocy jakieś lekarstwo na RSS. Jeśli jednak masz chwilę czasu, będzie nam bardzo miło wypić z tobą w barze kawę.

- Zejdę na dół, jak tylko zobaczę waszego chłopczyka.

Barney i Laura jedli machinalnie jajecznicę, kiedy Suzie zeszła do prawie pustej kafeterii.

- To śliczne dziecko - zauważyła ciepło Suzie. A potem dodała poważnie: - Ale jest bardzo chore. Co was tutaj sprowadziło?

- To długa historia - westchnął Barney.

Do tego czasu zdołał się jednak nauczyć przedstawiać całą sprawę z użyciem minimalnej liczby słów.

- Ten Wyman musi wam pomóc - stwierdziła z naciskiem Suzie. - Ma chyba w sobie jakieś ludzkie uczucia.

- Nie liczyłabym na to. Dobrze imituje skałę - stwierdziła i Laura.

- Kiedy wobec tego da wam o tym znać?

- Dzisiaj o dziesiątej wieczorem.

- Po co potrzeba mu na to aż tyle czasu?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Barney. - Nie jestem w stanie pojąć sposobu rozumowania Petera.

- Może wpadlibyście wobec tego do domu moich rodziców, zanim pojedziecie się z nim zobaczyć? Moglibyście zjeść z nami prawdziwy kantoński obiad, a poza tym chciałabym, żebyście poznali mojego ojca.

Oboje nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć. Z jednej strony pragnęli być sami z Harrym, z drugiej zaś strony wiedzieli, że wszystko, co mogłoby odwrócić ich uwagę od tego rozpaczliwego i nieustannego niepokoju, było im bardzo potrzebne.

- Pozwólcie, że wam podam adres. Stąd bardzo łatwo tam trafić. Przykro mi, że Mikę jest teraz na kongresie urologicznym w Teksasie. W każdym razie, jeśli tylko macie ochotę, to możemy się tam spotkać wszyscy o szóstej wieczorem.

Wymienili podziękowania i Suzie przeprosiła ich, gdyż musiała dokończyć obchód.

Kilka godzin spędzili przy łóżku Harry'ego. Rozmawiali za pomocą tych samych pytań i odpowiedzi: - Która godzina?

- Upłynęły zaledwie dwie minuty od czasu, kiedy pytałaś o to po raz ostatni.

Późnym popołudniem zawinęli małego w kocyk i poprosili, żeby go wypisano ze szpitala. Postanowili bowiem, że w razie gdyby Wyman odmówił im pomocy, zostaną z nim sami - gdzieś poza szpitalem - kiedy będzie umierał.

Tuż przed szóstą weszli na małe wzniesienie od strony placu Unii, poprzez ozdobne zielono-białe wrota w kształcie pagody, na których rzeźbione smoki zdawały się mówić: - Odlóżcie na bok swoje nowomodne zachodnie poglądy i wejdźcie w o wiele starszy i mądrzejszy świat Wschodu.

Na głównej ulicy znajdował się szereg sklepów z ozdóbkami dla turystów, oferujących kawałki Chin do zabrania ze sobą do domu gdzieś w Dakocie Południowej. Na prawo i lewo prowadziły jednak mniejsze uliczki, takie jak Kearney i Washington, na których chińscy mieszkańcy mogli się czuć jak u siebie w domu. Chodniki oświetlały tam bowiem dekoracyjne uliczne lampiony, a na skrzyżowaniach widniały nazwy ulic wypisane w języku chińskim i angielskim.

- Popatrz, Harry - powiedział Barney, siląc się rozpaczliwie na entuzjazm. - Czyż to nie jest wspaniałe? Możesz sobie teraz wyobrazić, jak się czuł Marco Polo, kiedy zobaczył to po raz pierwszy.

Laura nie odezwała się ani słowem. Popatrzyła tylko pobłaźliwie na Sarniego, który zdawał sobie przecież sprawę z tego, że Harry miał za wysoką gorączkę, żeby rozumieć, o czym mówił. On jednak usiłował w ten sposób zawrzeć w krótkim życiu syna tyle doświadczeń, ile się tylko dało.

Rodzice Suzie mieszkali na parterze przy ulicy Jacksona. Chiński plakat w oknie głosił - jak sądzili - że praktykowano tam również wschodnią medycynę, której korzenie wyprzedzały Hipokratesa co najmniej o dwa tysiące lat. Doktor Hsiang, jego żona, Suzie i jej niezamężna młodsza siostra siedzieli odziani w jedwabne szaty,

popijając herbatę. Starszy mężczyzna powstał na widok wchodzących gości i powiedział coś po chińsku.

Suzie przetłumaczyła: - Ojciec wita was serdecznie w naszym domu i mówi, że dzieli z wami ból z powodu waszego syna. Zastanawia się jednak, czy pozwolilibyście mu zbadać Harry'ego.

Barney i Laura wymienili między sobą spojrzenia.

Przecież to z pewnością nie zaszkodzi - pomyślała sobie Laura. Ten człowiek jest w końcu prawdziwym doktorem. Tyle że nie takim jak my.

Barney skinął głową, a starszy mężczyzna odpowiedział:

- Bardzo dziękuję.

Doktor Hsiang zaprosił ich do drugiego pokoju wypchanego od podłogi po sufit pudełkami z ziołami oznaczonymi chińskimi napisami.

Położyli gorączkujące dziecko na stole i trzymali je za ręce, podczas gdy doktor wolno i uważnie przykładał palce do różnych części ramienia Harry'ego.

Jedynie do jego ramienia?

- Ojciec mierzy w ten sposób dwanaście różnych pulsów - wyjaśniła Suzie. - To nasz tradycyjny sposób stawiania diagnozy.

Doktor Hsiang otworzył usta Harry'ego i za pomocą szkła powiększającego obejrzał mu język. Powiedział coś prędko po chińsku do Suzie.

- Ojciec kazał mi powiedzieć, że przygotowuje dla waszego synka lekarstwo. Chciałby was również prosić o pozwolenie wykonania akupunktury.

- Czy to będzie bolesne? - zapytał Barney.

- Nie. Jeśli robi to mój ojciec, to nic nie boli - wyjaśniła Suzie. Ponownie porozumieli się spojrzeniem i oboje wyrazili zgodę.

Oczy ich mówiły wyraźnie: - Zaryzykujemy.

Zabieg trwał prawie pół godziny. Doktor Hsiang skoncentrował swe igły głównie w okolicy ucha chłopca. Potem przeprosił i poszedł przyrządzać ziołowe lekarstwo.

- Czy Harry może pobierać płyny? - spytała Suzie.

- Owszem - odpowiedziała Laura. - Dzięki Bogu.

Harry obudził się, kiedy zasiadali do obiadu. Patrzył z zaciekawieniem szeroko otwartymi oczyma na bogactwo otaczających go kolorów, uważając niewątpliwie, że

były to karnawałowe stroje państwa Hsiang. Wskazując paluszką na wzorzysty brokatowy *cheongsam* pani Hsiang, powiedział: - Mamusiu, popatrz na te ptaszki!

Pani Hsiang prawdopodobnie intuicyjnie zrozumiała, co mówił, gdyż uśmiechnęła się do niego.

Harry zwrócił się znowu do Laury i zapytał: - Dlaczego wszyscy są już w piżamach?

Na co Barney odpowiedział: - Prawdopodobnie dlatego, że wszyscy idą dziś spać bardzo wcześnie. W przeciwieństwie do ciebie.

Laura odetchnęła z ulgą, widząc, że Harry pobierał teraz płyny o wiele lepiej. Nie tylko starannie sporządzone przez doktora Hsiang lekarstwo, które sądząc po wyrazie jego twarzy, musiało smakować okropnie, ale nawet zjadł trochę zupy.

Kiedy wychodzili, doktor Hsiang podał im małą butelkę ziołowego wywaru, prosząc, aby podali go Harry'emu jeszcze dwukrotnie tego wieczoru i nazajutrz rano. Laura podziękowała mu grzecznie.

Kiedy przyjechali do motelu, była dopiero dziewiąta trzydzieści. Czekala tam już jednak na nich wiadomość: "Proszę przyjechać na spotkanie z doktorem Wymanem o godzinie dziesiątej wieczorem".

Naturalnie przyjechali do niego o wiele wcześniej, gdyż uznali to zaproszenie za zgodę.

I mieli rację. Jednakże nawet w swej wspaniałomyślności Wyman nadal pozostał nie do zniesienia.

- Nie chcę od was żadnych łez ani podziękowań. Tym bardziej że nie mamy pewności, jaki odniesie to skutek. Jeśli chcecie wiedzieć, to powiem wam, że postanowiłem to zrobić jedynie dlatego, iż wiem, że zachowacie to w tajemnicy.

Podał im szarą kopertę. Barney wyczuł pod palcami, że zawierała kilka szklanych ampulek.

- Spróbujcie podać mu jednomililitrowy zastrzyk. Jeśli to dobrze zniesie, podwoicie dawkę po dwóch godzinach. A potem podawajcie trzy razy dziennie przez następne czterdzieści osiem godzin. Dałem wam tu komplet jednorazowych strzykawek - na rachunek firmy.

Laura skinęła głową.

- Byłbym wam wdzięczny, gdybyście nie wstrzykiwali tego dzieciakowi na terenie firmy. I bądźcie ze mną w kontakcie - bez względu na to, jakie będą wyniki. Może to się okazać istotne dla moich badań.

I jak tu dziękować takiemu zimnemu jak lód mózgowcowi? Wyman rozwiązał za nich ten problem. Spojrzał na zegarek i stwierdził: - Muszę już iść.

A jednak nie ruszał się z miejsca. Oboje wyczuwali, że usiłował powiedzieć coś jeszcze.

W końcu wymamrotał: - Wiem, jakbym się czuł, gdyby to było moje własne dziecko... To znaczy...

Nie będąc w stanie dokończyć myśli, Peter podszedł do Harry'ego i pogłaskał go po policzku. A potem, zanim jego goście zdążyli się odezwać, wymknął się z gabinetu.

Pojechali pędem z powrotem do motelu i pobiegli do pokoju. Położyli Harry'ego ostrożnie na łóżku i natychmiast zasłonili okna. Popatrzyli na siebie bezradnie.

- Chcesz, żebym to ja zrobił mu zastrzyk? - zapytał cicho Barney.

- Sama mogę to zrobić - odpowiedziała głucho Laura.

Barney przyznał się wówczas: - Proszę cię, Castellano, zrób to. Nigdy nie byłem dobry z igłami. Nie potrafię kłuć własnego syna.

Harry krzyknął, kiedy Laura wstrzykiwała mu ampulkę płynu w udo. A potem nagle umilkł.

Zamarli z przerażenia. Czyżby go zabili?

Stali niczym posągi po obu stronach łóżka, wpatrując się w syna.

Po kilku sekundach, które wydawały im się wiecznością, Laura pochyliła się i położyła palec na nadgarstku chłopca.

- Puls jest, Barney. Taki sam, jak wcześniej.

- Czy sądzisz, że to lekarstwo go wykończyło?

Potrząsnęła głową. - Te ostatnie dwa dni były dla niego cholernie męczące. Wyobraź sobie tylko, jaki musiał być zmęczony. - Wzięła go na rękę i przytuliła mocno do siebie. Barney dotknął jego czoła.

- Nadal gorące jak Sahara - stwierdził. - Jak dawno dałaś mu zastrzyk?

- Cztery, może pięć minut temu. Uspokój się, Barney. Nawet jeśli jest to cudowne lekarstwo...

Wyraz ten ugrzązł jej w gardle. Nawet jeśli istnieje Bóg, to niewiele mu zawdzięczam - pomyślała.

- Lauro - odezwał się Barney cicho. - Połóż się albo przynajmniej usiądź.

- Jestem zbyt zdenerwowana - odpowiedziała, kładąc delikatnie Harry'ego na łóżku.

- Czy chciałabyś, żebym zamówił coś do pokoju? - zaproponował.

- Nie jestem głodna, a ty?

- Ja też nie jestem, ale przy jedzeniu szybciej upływa czas. A poza tym będę się mógł czymś zająć.

- Na drugim końcu korytarza są jakieś automaty. Może weźmiemy coś stamtąd?

Chętnie podjął się wyznaczonego mu zadania. - Co ci przynieść?

- Nic, to znaczy cokolwiek. Pod warunkiem, że będzie niedobre.

Wiedział, co chciała przez to powiedzieć - wyrzekam się wszelkich ziemskich przyjemności, nawet słodczy i czekolady. Może ta moja wstrzeźliwość okaże się dostateczną ofiarą do przebłagania rozgniewanego bóstwa. Wybiegł z pokoju.

Dywan na długim korytarzu przypominał szarą bieżnię. Wysiłek fizyczny przyniósł Sarniemu pewną ulgę.

Mimo to nie mógł wyprzedzić własnych myśli: O Chryste, Harry. Marzyłem kiedyś, że będziemy biegać razem po pokrytych liśćmi leśnych ścieżkach. Albo rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Myślałem, że opowiem ci kiedyś o wszystkich błędach, jakie popełniłem w życiu, tak żebyś i ty mógł się z nich czegoś nauczyć. Czegóż jednak mógłbym nauczyć cię teraz? W tym momencie pragnę tylko, żebyś oddychał. I jest to coś, czego nie jestem w stanie zrobić za ciebie.

Wrócił wolno do pokoju, niosąc dwa napoje w papierowych kubkach.

Laura siedziała na krześle wpatrzona w twarz Harry'ego, nie ośmielając się nawet mrugnąć okiem ze strachu, że przeoczy najmniejszą zmianę w jego stanie. !

- Nie poruszył się jeszcze - odpowiedziała automatycznie.

- Może to tylko głęboki sen. Czy zauważyłaś u niego szybki ruch gałek oczu?

- Nie.

- A więc nawet jeśli spał, to nic mu się nie śniło.

Laura postawiła swoją colę na nocnym stoliku i wyjęła z niej kostkę lodu do ssania. Przez cały czas nie spuszczała z Harry'ego oczu. Może jej przejmująca miłość mogła go w jakiś sposób wyleczyć?

- Porozmawiamy trochę? - zaproponował z wahaniem.

Laura potrząsnęła głową.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Bo ja wiem? O wszystkim. Czy wyślemy go do prywatnej szkoły czy też państwowej. Możesz też mówić o sobie.

- Cóż takiego mogłabym ci powiedzieć, o czym jeszcze nie wiesz? - zapytała, uśmiechając się słabo.

- Mogłabyś spekulować na temat tego, jak ułożyłoby ci się życie, gdybyście się nie przenieśli do Brooklynu...

Popatrzyła na niego i odpowiedziała mu bez słów. Oczy jej mówiły wyraźnie: Bez ciebie nie miałabym po co żyć.

W co sam równie gorąco wierzył.

Oboje jednak zastanawiali się teraz, jak - i czy w ogóle - przeżyją utratę Harry'ego.

Nie! Do diabła! Nie musimy się jeszcze nad tym zastanawiać. Nawet nie byli w stanie o tym myśleć.

- Czy mogę go trochę potrzymać?

Minęło jakieś pół godziny. Barney dotknął czoła śpiącego dziecka. Popatrzył na Laurę i odezwał się, siląc się być może na optymizm.

- Castellano, wydaje mi się, że spadła mu trochę gorączka.

Laura dotknęła twarzy Harry'ego, popatrzyła na Sarniego i pomyślała sobie: To tylko twoje pobożne życzenia. Odpowiedziała jednak: - Być może, Barney.

I pomyślała znowu: Niech się łudzi, jeśli ma go to ochronić przed rozpaczą.

Chory chłopiec spał nadal. Barney i Laura wpatrywali się w zegarek, czekając, aż nadejdzie czas na wypróbowanie następnej dawki.

Tym razem zastrzyk obudził Harry'ego. Laura chciała wykorzystać tę okazję i podać mu trochę płynu. Mieli jednak pod ręką tylko colę i lekarstwo doktora Hsianga. Zdecydowała się na ziołowy napój.

Na wpół rozespany i nadal gorączkujący Harry miał jednak swoje własne zapatrywania na ten temat. Kiedy Laura podała mu do ust lekarstwo, pokręcił główką i zaprotestował.

- Fee... Wolę soczek jabłkowy.

- Wiesz co? - zaproponowała Laura. - Obiecuję ci, że jak wypijesz ten płyn, to jutro dostaniesz tyle soku jabłkowego, ile tylko będziesz chciał.

W tym momencie pragnienie okazało się mocniejsze od jego upodobań smakowych i Harry przełknął wywar, wykrzywiając się przy tym okropnie.

- Jak się czujesz? - zapytał syna Barney.

- Chce mi się spać, tatusiu - odpowiedział Harry.

- No cóż - odpowiedział Barney, udając beztróskę. - W takim razie może pójdziesz spać, co? - Głos mu się załamał. - Sen dobrze ci zrobi.

Zasnął, zanim zdążyli go pocałować.

Laura przykryła go i oboje wrócili na swoje posterunki po obu stronach łóżka, żeby czuwać dalej.

Teraz byli już zbyt przerażeni, żeby ze sobą rozmawiać. Barney włączył radio, znalazł stację z różnymi rozmowami i przysłuchiwał się jednym uchem debacie na temat restauracji dla kobiet bez biustonoszy. (Skoro są już plaże dla nudystów, to niby dlaczego kobiety nie miałyby pokazywać cycków, gdzie im się żywnie podoba? W końcu prawo powinno być wszędzie jednakowe.)

Po piętnastu minutach rozmyślenia w milczeniu, Barney przerwał radiową rozprawę i mruknął: - Czy to możliwe, Castellano? Dwoje wykwalifikowanych lekarzy siedzi w motelu w jakimś zwariowanym mieście, z umierającym dzieckiem w pokoju, usiłując wierzyć, że jakiś tam węzowy olejek egotyycznego maniaka uratuje ich synowi życie. Nie sądzisz, że postradaliśmy zmysły?

Laura pokręciła głową.

- Nie wiem - przyznała. - Naprawdę nie wiem. - Przerwała na chwilę, a potem patrząc Barniemu prosto w oczy, dodała: - Ale jeśli Harry umrze, to ja nie chcę już dłużej żyć.

- Lauro... :

- Mówię poważnie, Barney. I nie będziesz mnie w stanie zatrzymać. - \

Nie protestował dłużej, sam nie będąc pewny, czy potrafi żyć bez swego syna...

Cały czas słyszeli oddech Harry'ego na tle głosu radiowego reportera, rozmawiającego z kolejnym rozmówcą z tak zwanego Kościoła Erosa. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza. Barney wstał i wyłączył tę paplaninę.

Spojrzał na Harry'ego i ponownie dotknął jego czoło. Tym razem nie miał żadnych wątpliwości.

- Castellano, przysięgam na Boga, że on już nie ma gorączki! Popatrz, dotknij go sama.

Laura nie musiała go wcale dotykać. Po zmianie kolorów na jego twarzy wiedziała, że Barney miał rację. Prędko dotknęła jego brzuszka

- O Chryste Panie! - szepnęła. - Jego śledziona!

- Co takiego? - zapytał z przerażeniem Barney.

- Barney, jego śledziona już się zmniejszyła. Jest już o wiele mniejsza. Myślę, że to świństwo zaczęło działać!

Czuwali przez całą noc. Tym razem jednak nie patrzyli na śmierć swego syna, ale raczej obserwowali jego powrót do życia. O siódmej trzydzieści rano Laura przestraszyła Barniego, stwierdzając:

- Chcę iść do kościoła.

Barney pokiwał głową. - Dobrze wiem, co teraz czujesz.

Laura wyraziła to słowami: - Barney, muszę komuś podziękować. I mam nadzieję, że przynajmniej dzisiaj jest gdzieś jakiś Bóg, który mnie wysłucha.

- Masz rację. Chodźmy.

Popatrzyli na syna, który siadał właśnie na łóżku.

- Mamo, ja już chcę do domu! - pisnął mały Harry. - Mój misio bardzo za mną tęskni!

Kościół akademicki Uniwersytetu Stanforda był w odległości zaledwie dziesięciu minut drogi od ich motelu. Duży, katedralny budynek kontrastował wyraźnie ze skromnym otoczeniem. O tali wczesnej porze panowała w nim pustka i tak przejmująca cisza, K słyszeli niemal bicie własnych serc.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Laura uklękła, żeby się pomodlić, i nie wiedziała, jak zacząć. Skłoniła głowę w nadziei, że jej myśli dotrą do właściwego celu. Barney stał, trzymając Harry'ego w ramionach, i patrzył na syna. Delikatne światło poranka świeciło przez wysokie witraże i padało na jego twarz, sprawiając wrażenie, że otaczają magiczna aureola.

Przez chwilę rozmyślał spokojnie nad ciemną nocą ludzkiej duszy. Czyż noc, przez którą właśnie przeszli we troje, nie była nocą cudu?

Co to mogło być? - pytał sam siebie. Enzym Wymana? Chińskie zioła? Dotyk lekarza? Czy miłość rodziców?

Przez całe niemal życie studiował sztukę medyczną i dopiero teraz pojął, że nigdy tak naprawdę nie zrozumie jej tajemnic.

Medycyna jest bowiem wiecznym poszukiwaniem powodów, przyczyn, które mogłyby wyjaśnić skutki.

Nauka nie jest w stanie pojąć cudu.

Laura wstała.

- Chciałabym go teraz potrzymać - szepnęła.

Barney oddał Harry'ego w ramiona matki. Objął Laurę i syna. A potem wyszli razem ku porannemu blaskowi słońca.